

Powieść z Jackiem Ryanem, zekranizowana z Harrisonem Fordem



TOM CLANCY



STAN ZAGROŻENIA

TOM CLANCY
Stan Zagrożenia

w Wydawnictwie Amber

CZAS PATRIOTÓW

CZERWONY KRÓLIK

KARDYNAŁ Z KREMLA

POLOWANIE NA „CZERWONY PAŹDZIERNIK”

STAN ZAGROŻENIA

w przygotowaniu

BEZ SKRUPUŁÓW

TOM CLANCY

STAN ZAGROŻENIA

Przekład Zbigniew Kański

AMBER

Tytuł oryginału CLE AR AND PRESENT DANGER

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna ZBIGNIEW WARZECHA

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta RENATA KUK, ELŻBIETA SZELEST

Ilustracja na okładce AGENCJA AKPA

Projekt graficzny okładki MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu

<http://www.amber.sm.pl> <http://www.wydawnictwoamber.pl> Copyright © 1989 by Jack Ryan Enterprises Ltd.

All rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-0404-6

Pamięci Johna Balia, przyjaciela, nauczyciela i profesjonalisty, który odleciał ostatnim samolotem

Prawo bez przemocy jest bezsilne. Pascal

Rola policji polega na stosowaniu przemocy lub groźbie jej użycia w obronie żywotnych interesów państwa wewnątrz jego granic i w normalnych warunkach. Rola sił zbrojnych polega na stosowaniu przemocy lub groźbie jej zastosowania poza granicami państwa w normalnych warunkach, zaś wewnątrz jego granic wyłącznie w okolicznościach nadzwyczajnych (...). To, w jakim zakresie państwo gotowe jest użyć przemocy w obronie

swych żywotnych interesów (...), zależy od oceny

aktualnie sprawującego władzę rządu, jakie środki może i powinien zastosować, by nie dopuścić do kryzysu funkcjonowania państwa i rezygnacji z własnych obowiązków.

General sir John Hackett

Prolog

SYTUACJA

Pokój był jeszcze pusty. Gabinet Owalny mieści się w południowo-wschodnim rogu zachodniego skrzydła Białego Domu. Prowadzą do niego trzy wejścia: jedno z gabinetu osobistego sekretarza prezydenta, drugie z małej kuchni, przez którą można przejść do gabinetu prezydenta, i wreszcie trzecie z korytarza wychodzącego na Pokój Roosevelta. Jak na najwyższego urzędnika w państwie, gabinet jest niezbyt duży i zwiedzający często napomykają, że wydaje się im mniejszy, niż oczekiwali. Biurko prezydenta, ustawione na wprost okien o grubych szybach z kuloodpornego poliwęglanu, zniekształcających widok na trawnik przed Białym Domem, wykonane jest z drewna pochodzącego z HMS „Resolute”, brytyjskiego statku, który zatonął na wodach amerykańskich w XIX wieku. Amerykanie wydobyli wrak i zwrócili go Zjednoczonemu Królestwu, a w dowód wdzięczności królowa Wiktorja kazała wykonać biurko z jego dębowych desek i przekazać Amerykanom jako wyraz oficjalnego podziękowania. Wykonane w czasach, gdy ludzie byli niższego wzrostu niż dzisiaj, biurko podwyższono nieco za prezydentury Reagana. Leżały na nim segregatory i raporty przykryte wydrukami harmonogramu spotkań, aparat interkomu, zwyczajny wieloliniowy telefon klawiszowy oraz wyglądający normalnie, ale nader skomplikowany, bezpieczny aparat do rozmów poufnych.

Krzesło prezydenta zostało wykonane na zamówienie i przystosowane do rozmiarów i wymagań użytkownika, zaś wysokie oparcie zawierało kilka warstw kevlaru -

tworzywa lżejszego i mocniejszego od stali - stanowiącego dodatkowe zabezpieczenie przed kulami, gdyby jakiś szaleniec

zdołał przestrzelić pancerne szyby okien. Kilkunastu agentów Secret Service pełniło dyżur w tej części rezydencji prezydenta w godzinach urzędowania. Aby się tu dostać, większość ludzi musiała przejść przez detektor metali - w zasadzie wszyscy, bo ci najpewniejsi byli nieco za pewni - i każdy musiał się poddać kontroli przeprowadzanej całkiem serio przez funkcjonariuszy Secret Service, których bez trudu rozpoznawało się po wetkniętej w ucho słuchawce koloru skóry oraz przewodzie wychodzącym spod marynarki i których uprzejmość była sprawą drugorzędną wobec ich głównej misji -

ochrony życia prezydenta. Pod marynarką każdy agent nosił broń krótką o dużej mocy i każdy z zawodowego nawyku widział we wszystkich i wszystkim potencjalne zagrożenie dla Farmera, bo taki pseudonim aktualnie obowiązywał - nie miał on żadnego znaczenia, poza tym że był łatwy do wymówienia i rozpoznania w łączności radiowej.

Wiceadmirał James Cutter z Marynarki Wojennej USA urzędował w gabinecie położonym w przeciwnym, północno-zachodnim rogu zachodniego skrzydła i tego dnia tkwił na posterunku już od szóstej piętnaście. Stanowisko specjalnego doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego nadaje się tylko dla rannych ptaszków. Za kwadrans ósma wypił drugą filiżankę kawy - podawano tu wyborną - i włożył przygotowane raporty do skórzanej aktówki. Przeszedł przez pusty gabinet swojego przebywającego na urlopie zastępcy, potem korytarzem na prawo, obok również pustego gabinetu wiceprezydenta, który bawił właśnie w Seulu, i skręcił na lewo, obok gabinetu szefa administracji Białego Domu. Cutter należał do grona najbardziej wtajemniczonych osobistości

Waszyngtonu - nieobejmującego nawet wiceprezydenta - które bez specjalnego zezwolenia mogły wejść do Gabinetu Ovalnego według własnego uznania, choć zazwyczaj zawiadamiał najpierw sekretariat, żeby uniknąć zamieszania. Szef administracji nie patrzył przychylnym okiem na ten przywilej, z tym większą też satysfakcją Cutter wykorzystywał swoje uprawnienie nieograniczonego dostępu do prezydenta. Po drodze czterech funkcjonariuszy ochrony ukłoniło się admirałowi, który odwzajemnił się takim samym skinieniem, jakim pozdrowiał każdego pracownika fizycznego. Oficjalnym pseudonimem Cuttera był Drwal i choć Cutter dobrze wiedział, że agenci nazywają go pomiędzy sobą zupełnie inaczej, nic sobie z tego nie robił. W sekretariacie już tętniło życie; trzech sekretarzy i jeden agent Secret Service siedzieli na swoich miejscach.

- Szef będzie punktualnie? - spytał.

- Farmer jest w drodze, panie admirale - odpowiedział agent specjalny Connor. Miał czterdzieści lat, był szefem osobistej ochrony

prezydenta, nie obchodziło go, kim jest Cutter i miał gdzieś to, co Cutter o nim myśli. Prezydenci i doradcy przychodzili i odchodzili, jedni lubiani, inni znienawidzeni, ale zawodowcy ze służb specjalnych obsługiwali i chronili wszystkich bez wyjątku. Fachowym okiem przebiegł po aktówce i garniturze Cuttera. Dzisiaj nie było tam broni. To nie paranoja. Król Arabii Saudyjskiej zginął z rąk członka rodziny, a byłego premiera Włoch własna córka wydała terrorystom, którzy go w końcu zamordowali. Nie tylko na wariatów musiał uważać. Każdy mógł

zagrozić prezydentowi. Connor i tak miał szczęście, że musiał dbać tylko o jego fizyczne bezpieczeństwo. Były też inne zagrożenia, ale to już zmartwienie odmiennych, mniej zawodowych służb.

Wszyscy wstali, kiedy wszedł prezydent i za nim, jak zawsze, anioł stróż z ochrony osobistej - gibka kobieta około trzydziestki o rozpuszczonych, ciemnych włosach, co nie zmieniało faktu, że w strzelaniu z pistoletu nie miała sobie równych w służbach rządowych. Daga - jej przydomek służbowy - przywitała Pete'a uśmiechem.

Zapowiadał się spokojny dzień. Prezydent nigdzie się nie wybierał. Listę interesantów dokładnie sprawdzono - numery legitymacji ubezpieczeniowych osób spoza personelu przepuszczono przez komputery z rejestrem kryminalnym FBI - a samych gości podda się oczywiście najbardziej drobiazgowej rewizji, jaką da się przeprowadzić bez obmacywania delikwentów. Prezydent gestem ręki zaprosił admirała Cuttera do siebie.

Dwóch agentów jeszcze raz sprawdziło listę interesantów. Należało to do ich obowiązków, a szef ochrony wcale nie miał pretensji, że typowo męską robotę zlecono kobiecie. Daga zasłużyła na swoje stanowisko, pracując w terenie. Wszyscy zgodnie przyznawali, że gdyby była mężczyzną, nosiłaby już dwie krokiewki sierżanta, a jeśli przypadkiem jakiś niedoszły zabójca wziąłby ją za sekretarkę, należało tylko mu współczuć. Co kilka minut, dopóki Cutter nie wyszedł, agenci na zmianę spoglądali przez wizjer w białych drzwiach, by upewnić się, czy wszystko w porządku. Prezydent piastował urząd już przeszło trzy lata i przywykł do ciągłej obserwacji. Agentom nie przyszło nawet do głowy, że zwykły śmiertelnik czułby się skępowany w tej sytuacji.

Płacili im za to, żeby wiedzieli wszystko co się da o prezydencie, począwszy od tego, jak często chodzi do toalety, skończywszy na osobach, z którymi sypiał. Nie na próżno agencję zwano Secret Service. Ich poprzednicy skrzętnie ukrywali wszelakie grzeszki swojego szefa. Żona prezydenta wcale nie miała prawa wiedzieć, co robi jej mąż całe boże dzień - przynajmniej niektórzy prezydenci wyraźnie to sobie zastrzegali - ale funkcjonariusze ochrony mieli nie tylko prawo, ale i obowiązek.

Za zamkniętymi drzwiami prezydent usiadł wygodnie. Od strony kuchni Filipińczyk, steward w mundurze marynarki, wniósł tacę z kawą i rogalikami i zaszalutował na baczność, zanim odszedł. Tym samym zakończył się wstępny poranny rytuał i Cutter przystąpił do codziennego raportu wywiadowczego. Materiał dostarczała mu CIA do domu w Fort Myer w stanie Wirginia przed świtem, co pozwalało admirałowi odpowiednio go opracować. Odprawa nie trwała długo. Była późna wiosna i na świecie panował względny spokój. Lokalne wojny w Afryce i w paru innych miejscach nie miały większego znaczenia dla amerykańskich interesów, na Bliskim Wschodzie jak zwykle idylla. Był więc czas na inne sprawy.

- Jak tam operacja „Rewia na Wodzie”? - spytał prezydent, smarując masłem rogalik.

- Wszystko gotowe, panie prezydencie. Ludzie Rittera zabrali się już do pracy - odparł Cutter.

- Nie jestem do końca przekonany, czy nie będzie przecieków.

- Panie prezydencie, przedsięwzięliśmy nadzwyczajne środki ostrożności. Owszem, jest pewne ryzyko - wszystkich ewentualności nie da się przewidzieć - ale ograniczyliśmy do niezbędnego minimum liczbę wtajemniczonego personelu, a ludzie ci zostali wybrani i sprawdzeni z największą dokładnością.

Ta wypowiedź doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego została skwitowana pomrukiem uznania. Prezydent wpadł w zastawioną przez siebie samą pułapkę - jak to się zdarza w przypadku bodaj każdego prezydenta. Prezydenckie obietnice i oświadczenia... ludzie mieli wstrętny zwyczaj pamiętania o nich. A jeśli już sami zapominali, to zawsze znalazł się dziennikarz albo rywal polityczny, który nie omieszkał im przypomnieć. Tyle rzeczy się powiodło za tej kadencji. Ale wiele z nich pozostało w tajemnicy i, ku utrapieniu Cuttera, tak miało pozostać. W końcu na tym polegają sekrety. Tylko że kiedy w grę wchodzi polityka, żaden sekret nie jest absolutnie święty, a zwłaszcza w roku wyborów. Cutter nie powinien się tym przejmować. Był wszak zawodowym oficerem marynarki i powinien zajmować całkowicie apolityczne stanowisko w sprawach dotyczących bezpieczeństwa państwa, ale ten, kto wymyślił taki właśnie postulat, musiał być mnichem. Najwyżsi urzędnicy władzy wykonawczej nie ślubowali przecież cnoty i ubóstwa, a posłuszeństwo też już się tak bardzo nie liczyło.

- Obiecałem społeczeństwu amerykańskiemu, że coś z tym fantem zrobimy - odparł

gniewnie prezydent. - I gównie działaliśmy.

- Panie prezydencie, nie można zwalczać zagrożeń bezpieczeństwa narodowego za pomocą instytucji policyjnych. Albo nasze narodowe bezpieczeństwo jest rzeczywiście zagrożone, albo nie.

Cutter powtarzał tę opinię z uporem maniaka od lat. Teraz wreszcie znalazł

wdzięcznego słuchacza. Następny pomruk:

- No, właśnie, czyż nie mówiłem dokładnie tego samego?

- Tak, panie prezydencie. Najwyższy czas pokazać im, jak grają nasi duzi chłopcy. -

Opinię taką Cutter wyznawał od samego początku, jeszcze na stanowisku zastępcy Jeffa Pelta, a wraz z odejściem Pelta, ten właśnie pogląd w końcu zwyciężył.

- Dobra, James. Ty masz piłkę. Atakuj. Tylko nie zapominaj, że ważne są wyniki.

- Będą, panie prezydencie. Już moja w tym głowa.

Trzeba draniom dać wreszcie nauczkę, pomyślał prezydent. Miał pewność, że nauka będzie dotkliwa. Tu się nie mylił. Obaj panowie siedzieli w pokoju, w którym skupiała się i z którego emanowała najwyższa władza najpotężniejszego narodu w historii cywilizacji. Ci, którzy wybrali człowieka zasiadającego w tym pokoju, zrobili to przede wszystkim dla własnego bezpieczeństwa, ochrony przed zakusami obcych mocarstw i łobuzami z własnego podwórka, przed wrogami wszelkiej maści. Wrogowie jawili się w różnych postaciach, w tym i takich, które niezupełnie mieściły się w przewidywaniach Ojców Założycieli. Ale jedna - którą, a jakże, przewidzieli - załęgła się w tym właśnie pokoju... jednak nie o niej myślał teraz urzędujący prezydent.

Na karaibskim wybrzeżu słońce wstało o godzinę później i gdy w klimatyzowanych pomieszczeniach Białego Domu panował przyjemny chłodek, tu ciężkie i lepkie od wilgotności powietrze zwiastowało kolejny duszny dzień przy utrzymującym się bezlitośnie wysokim ciśnieniu. Zalesione wzgórza na zachodzie uciszały lokalne wiatry do poziomu słabiutkiego szeptu; właściciel „Empire Builder” zakończył przygotowania do wyjścia w morze, gdzie powietrze było chłodniejsze, a bryzy niczym nieograniczone.

Załoga się spóźniła. Nie podobali mu się, ale przecież nie brał z nimi ślubu. Byle tylko zachowywali się przyzwoicie. W końcu wypływał z rodziną.

- Dzień dobry. Jestem Ramón. A to Jesus - powiedział ten wyższy.

Właściciela gnębiło to, że obaj żywo przypominali mu jakby naprędce ogarnięte wersje... czego? A może po prostu chcieli zrobić dobre wrażenie?

- Dacie sobie radę? - spytał właściciel.

- Si. Znamy się na dużych statkach motorowych - uśmiechnął się, ukazując proste, umyte zęby. Ten zawsze dba o swój wygląd, pomyślał właściciel. Chyba niepotrzebnie się martwił. - A Jesiis, zobaczy pan, jaki z niego kucharz.

Czarujący główniarz.

- Dobra, kajuty dla załogi są z przodu. Paliwo zatankowane, silnik już ciepły.

Wy płynimy z tego pieca.

- Muy hien, Capitan.

Ramón i Jesus rozładowali ekwipunek z jeepa. Obracali kilka razy, zanim wszystko rozłożyli na pokładzie, ale o dziewiątej MY „Empire Builder” rzucił cumy i wyszedł w morze, mijając po drodze turystyczne łodzie, na których siedzieli Yanqui z wędkami.

Na otwartym morzu jacht wziął kurs na północ. Rejs miał potrwać trzy dni.

Ramón był już przy sterze, co oznaczało, że siedział w szerokim, podniesionym fotelu, podczas gdy autopilot „George” sterował automatycznie. Lekka robota. Jacht klasy Rhodes wyposażony był w stabilizatory płetwowe. Jedyne powodzenie to kajuty dla załogi, którymi właściciel nie zawracał sobie głowy. Typowe, pomyślał

Ramón. Jacht wart ciężkie miliony dolarów, z radarem i wszelkimi możliwymi udogodnieniami, a załoga, która go obsługiwała, nie miała nawet marnego telewizora ani wideo, żeby się godziwie rozerwać po pracy...

Przesunął się do przodu i wykręcając szyję, spojrzął na forkaasztel. Właściciel chrapał w najlepsze, jakby wycieńczyło go przygotowanie jachtu do rejsu. A może żona dała mu w kość? Leżała plecami do góry na ręczniku, obok męża. Miała rozpiętą górę bikini, żeby się równo opalić. Ramón się uśmiechnął. Są w końcu lepsze rozrywki dla mężczyzny niż telewizja. Ale nie za szybko. Im dłużej się czeka, tym lepiej smakuje.

Usłyszał odgłosy filmu w głównym salonie za mostkiem, gdzie dzieci puszczały sobie kasety wideo. Nie przyszło mu nawet do głowy litować się nad kimkolwiek z całej czwórki. Ale przecież miał trochę serca. Jesus był dobrym kucharzem. Obaj postanowili zgodnie, że skazańcom należy się obfity posiłek.

Rozjaśniło się na tyle, by można było już od biedy coś zobaczyć bez noktowizyjnych gogli: przedświt, znienawidzony przez pilotów śmigłowców, bo oko z trudem przyzwyczajało się do jaśniejszego nieba i wciąż tonącej w ciemnościach ziemi.

Chłopcy z drużyny sierżanta Chaveza siedzieli przypięci pasami bezpieczeństwa zapinanymi na jedną klamrę na piersi, każdy z bronią między kolanami. Śmigłowiec UH-60A

Blackhawk wzbił się ponad wzgórze i zaraz za wierzchołkiem gwałtownie zanurkował.

- Czterdzieści sekund - poinformował Chaveza pilot przez telefon pokładowy.

Ćwiczenie polegało na niewidocznym desancie, wobec czego helikoptery to wznosiły się, to opadały, by w ten sposób zmylić postronnego obserwatora. „Blackhawk zanurkował ku ziemi i wyrwał na

chwile, gdy pilot popuścił dźwignię sterowania skokiem, ustawiając maszynę nosem do góry, sygnalizując w ten sposób dowódcy załogi, żeby otworzył przesuwne drzwi po prawej stronie, a żołnierzom, żeby odpięli klamry pasów bezpieczeństwa. Blackhawk miał pozostać w zawisie tylko na chwilę.

- Skakać!

Chavez wyskoczył pierwszy i płasko upadł na ziemię. Reszta drużyny zrobiła to samo i blackhawk natychmiast wznosił się z powrotem w niebo, na pożegnanie sypiąc piachem w twarz wszystkim swoim byłym pasażerom, by zaraz pojawić się znowu na południowej stronie wzgórza, jakby się w ogóle nie zatrzymywał. Drużyna pozbierała się i skryła w lesie. To dopiero początek zadania. Sierżant wydał komendy ruchami rąk i poprowadził ludzi, narzucając mordercze tempo. Będzie to jego ostatnia misja, potem sobie odpocznie.

W ośrodku projektowania i testowania nowych broni marynarki wojennej w China Lake w Kalifornii grupa inżynierów cywilnych i specjalistów od artylerii krzątała się wokół nowej bomby. Mimo takich samych rozmiarów jak stara jednostonówka, dzięki nowej konstrukcji ważyła prawie trzysta pięćdziesiąt kilogramów mniej. Płaszcz bomby wykonano bowiem nie ze stali, ale ze wzmocnionej kevlarem celulozy - pomysł

zapożyczony od Francuzów, którzy produkowali obudowy pocisków z włókien naturalnych z dodatkami metalu tylko tam, gdzie mocowano lotki lub bardziej wyrafinowane urządzenia przekształcające pocisk w BSL -bombę sterowaną laserem, która naprowadzała się na wyznaczony punkt. Mało kto wiedział, że taka inteligentna bomba to najczęściej zwykła żelazna bomba z przykręconym urządzeniem naprowadzającym.

- Dużo huk, a nawet główniany odłamek nie zostanie - narzekał jeden z cywilów.

- Po co nam niewidzialne bombowce Stealth - spytał drugi inżynier -skoro nieprzyjaciel będzie miał echo radiolokacyjne od ładunku bojowego?

- Hm - zastanowił się ten pierwszy. - Po diabła robić bombę, która tylko wkurzy faceta?

- Wsadzisz mu ją za próg i nie zdąży nawet się wkurzyć.

- Hm.

Znał przynajmniej przeznaczenie bomby. Pewnego pięknego dnia będzie podwieszona pod ATA, samolot taktyczny nowej generacji, morski bombowiec szturmowy zbudowany przy zastosowaniu technologii niskiej wykrywalności. Wreszcie lotnictwo morskie popchnęło ten program. Najwyższy czas. Na razie jednak trzeba było przekonać się, czy ta nowa bomba o innym ciężarze i środku ciężkości wyśledzi cel, wyposażona w tradycyjne laserowe urządzenie sterujące.

Podnośnik uniósł opływowy kształt z palety. Następnie operator naprowadził bombę pod centralny zaczep bombowca szturmowego A-6E Intruder.

Eksperci cywilni i oficerowie przeszli do helikoptera, który miał zaraz zabrać ich na poligon. Pośpiechu nie było. Godzinę później jeden z cywilów w wyraźnie oznakowanym bunkrze nastawił dziwaczne urządzenie na cel oddalony o sześć kilometrów. Cel ten stanowił stary, pięcotonowy samochód ciężarowy z demobilu piechoty morskiej, który miał za chwilę, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, umrzeć śmiercią tragiczną i spektakularną.

- Samolot jest nad poligonem. Zaczynać koncert.

- Tak jest - odpowiedział cywil, pociągając za spust urządzenia kierującego. - Na celu.

- Samolot melduje odbiór sygnału... Uwaga... - powiedział radiooperator.

Na drugim końcu bunkra jeden z oficerów patrzył na monitor kamery telewizyjnej śledzącej lot intrudera.

- Zrzut. Mamy ładne wyjście z wyrzutnika. - Porówna później to ujęcie z obrazem rejestrowanym z myśliwca bombardującego A-4 Sky-hawk, który leciał tuż za A-6.

Mało kto wiedział, że sam zrzut bomby jest złożoną i raczej niebezpieczną operacją.

Trzecia kamera śledziła tor opadania bomby.

- Lotki chodzą jak należy. Uwaga...

Kamera skierowana na ciężarówkę rejestrowała obraz, wykorzystując przyspieszony przesuw taśmy. Nie mieli wyboru: bomba spadała ze zbyt dużą prędkością, żeby dało się coś zobaczyć na zwyczajnie odtwarzanym filmie. Kiedy rozdzierający, basowy huk detonacji dotarł do bunkra, operator już cofał taśmę. Następnie odtwarzał film klatka po klatce.

- Jest. - Nos bomby ukazał się dwanaście metrów nad ciężarówką. - Jak działa zapalnik?

- Nastawny - odpowiedział jeden z oficerów. Bomba miała miniaturowy radarowy czujnik zbliżeniowy, zaprogramowany na wybuch w ustalonej odległości od ziemi, w tym przypadku półtora metra, czyli niemal w chwili uderzenia w ciężarówkę. - Kąt bez zastrzeżeń.

- Wiedziałem, że się uda - powiedział cicho cywil. To on właśnie doszedł do wniosku, że bomba o wadze pół tony może być naprowadzana przez urządzenie zaprogramowane na mniejszy ciężar. Mimo nieco większej wagi, mniejszy ciężar właściwy celulozowego płaszcza zapewniał podobne właściwości balistyczne bomby. -

Detonacja.

Jak zawsze w przypadku zdjęć takich fajerwerków w zwolnionym tempie, na ekranie najpierw pojawił się biały błysk, potem żółty, potem czerwony i wreszcie czarny, w miarę jak stygły rozprężające się gazy. Najpierw szła fala uderzeniowa: powietrze sprężone do gęstości większej niż stal i poruszające się szybciej niż najszybszy pocisk.

Żadną prasą nie dałoby się uzyskać podobnego efektu.

- Właśnie zamordowaliśmy następną ciężarówkę - padła całkiem zbędna uwaga. Mniej więcej ćwierć masy ciężarówki wbiło się w płytki krater, prawie metrowej głębokości i dwudziestometrowej szerokości. Reszta rozprysnęła się na boki niczym odłamki szrapnela. Ogólny efekt nie różnił się zbyt od działania większych bomb w samochodach-pułapkach stosowanych przez terrorystów, ale był za to o niebo bezpieczniejszy dla dostawcy, pomyślał jeden z cywilów.

- Niech mnie diabli! Nie spodziewałem się, że pójdzie tak łatwo. Miałeś rację, Ernie, nie musimy nawet bawić się z przeprogramowaniem maszynki kierującej - zauważył

jeden z oficerów.

Chłopcy zaoszczędzili marynarce przeszło milion dolarów, jak sądził. Grubo się mylił.

I tak zaczęło się coś, co wcale się na dobre jeszcze nie zaczęło i nie miało się wkrótce skończyć. Wielu ludzi wyruszało w różne strony i z różnymi zadaniami, sądząc mylnie, że rozumieją, dokąd i po co zmierzają. Tym lepiej dla nich, bo strach nawet było myśleć, jaka czeka ich przyszłość; za spodziewanymi, złudnymi liniami mety roztaczały się niespodzianki, o których przesądziły decyzje powzięte tego dnia i których następstw najlepiej nie widzieć.

Rozdział 1

KRÓL KĄTOWNIKÓW

Nie da się nań spojrzeć, żeby człowieka nie rozpierała duma - powiedział do siebie Red Wegener. Kuter Straży Przybrzeżnej „Panache” nie miał sobie podobnych, co zawdzięczał pomyłce w projekcie, ale za to był jego. Cały kadłub pomalowano tak olśniewającą bielą, jaką ujrzyć można tylko na górze lodowej - wyjątek stanowił

pomarańczowy pas na dziobie, który oznaczał okręty Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych. „Panache” nie był dużą jednostką, ale jego własną, największą, jaką w życiu dowodził i na pewno ostatnią w jego długiej karierze. Wegener był najstarszym porucznikiem w Straży Przybrzeżnej, ale wciąż dzierżył prymat wśród innych dowódców jednostek i nie na darmo zwano go Królem Poszukiwania i Ratownictwa.

Rozpoczął karierę tak samo jak wielu innych adeptów służby w Straży Przybrzeżnej.

Jako młody chłopak z farmy pszenicznej w Kansas, który nigdy dotąd nie widział na oczy morza, zgłosił się na ochotnika do komisji rekrutacyjnej Straży Przybrzeżnej nazajutrz po ukończeniu szkoły średniej. Ani myślał spędzić reszty życia na siodełku traktora czy kombajnu, wyszukał więc dla siebie coś tak odmiennego od Kansas, jak tylko się dało. Podoficer dyżurny nie musiał wcale zachwalać towaru, i już po tygodniu Wegener rozpoczął nowe życie, wsiadając do autobusu, który dowiózł go do Cape May w stanie New Jersey. Miał jeszcze w uszach słowa podoficera z komisji, motto Straży Przybrzeżnej: „Musicie wypłynąć. Wracać nie musicie”.

Wegener trafił w Cape May do ostatniej i najlepszej szkoły żeglarskiego rzemiosła na zachodniej

półkuli. Nauczył się posługiwać linami, wiązać żeglarskie węzły, gasić pożary, skakać do wody po rannego albo przerażonego rozbitka, radzić sobie za pierwszym razem, za każdym razem - żeby nie był to ostatni raz. Po ukończeniu szkoły został natychmiast skierowany na wybrzeże Pacyfiku. W ciągu roku dorobił się rangi bosmanmata trzeciej klasy.

Bardzo wcześnie zauważono, że Wegener ma tak rzadki dar natury, jakim jest oko marynarza. To potoczne pojęcie oznaczało, że ręce, oczy i mózg potrafiły działać w doskonałej harmonii, zmuszając statek do bezwzględного posłuszeństwa. Prowadzony twardą ręką starego bosmana, wkrótce dowodził własną dziesięciometrową portową łodzią patrolową. Trudniejsze zadania świeżo upieczony dziewiętnastoletni podoficer wykonywał pod czujnym okiem starego. Od samego początku Wegener dał się poznać jako ktoś, komu wystarczy nową rzecz pokazać tylko raz. Pierwszych pięć lat nauki w mundurze teraz wydawało mu się króciutką chwilą. Żadnych dramatycznych przełomów, po prostu jedno zadanie za drugim, które wykonywał jak należy, szybko i płynnie. Kiedy po namyśle zdecydował się na zawodową służbę w straży, okazało się, że ilekroć mieli trudniejsze zadanie, jego nazwisko ukazywało się pierwsze na liście.

Jeszcze zanim skończył drugi etap służby, oficerowie nie wahali się przychodzić do niego po radę. Miał wówczas trzydzieści lat, był jednym z najmłodszych bosmanmatów i wiedział, gdzie pociągać za sznurki, co zakończyło się dowództwem „Invincible”, długiego na piętnaście metrów okrętu ratowniczego, już wcześniej znanego z wytrzymałości i niezawodności. Na wzburzonych wodach Kalifornii czuł się jak w domu i tu właśnie nazwisko Wegenera po raz pierwszy stało się głośnie wśród ludności cywilnej. Jeśli jakiś rybak czy żeglarz mieli kłopoty, „Invincible” cudem znajdowała się opodal, jakże często miotając się na dziesięciometrowych falach niczym wagonik diabelskiego młyna, z załogą przypiętą linami i pasami bezpieczeństwa - ale była na miejscu, gotowa do akcji pod wodzą siedzącego przy sterze rudowłosego bosmana z niezapaloną fajką w zębach. W tym inauguracyjnym roku ocalił życie co najmniej piętnastu pechowcom.

Liczba ta urosła do pięćdziesięciu, nim odsłużył termin na samotnym posterunku. Po dwóch latach dowodził już dużą przystanią straży z upragnionym przez wszystkich marynarzy tytułem kapitana, choć jego oficjalną szarżą był starszy bosman.

Posterunkiem położonym na brzegu rzeczki wpadającej do największego oceanu świata dowodził tak sprawnie, jak każdym statkiem, a oficerowie przyjeżdżali tam na inspekcje nie tyle sprawdzać, jak Wegener dowodzi, ile zobaczyć, jak powinno się dowodzić posterunkiem.

Przełom w karierze Wegenera nastąpił wraz z nadejściem gwałtownego zimowego sztormu u wybrzeży Oregonu. Jako dowódca większego posterunku ratowniczego, tym razem obok ujścia rzeki Columbia i osławionej mielizny, odebrał rozpaczliwe wezwanie z kutra dalekomorskiego „MaryKat”: z uszkodzonymi silnikami i sterem, zносиło go na zawietrzny brzeg, który pożerał statki. Jego osobisty okręt flagowy, dwudziestopięciometrowy „Ppint Gabriel”, w ciągu dziewięćdziesięciu sekund był już na pełnym morzu; mieszana załoga weteranów i nowicjuszy zapinała pasy, a Wegener koordynował akcję ratowniczą na kanałach radiowych Straży Przybrzeżnej.

Stoczyli zaciętą walkę. Po sześciogodzinnych bojach Wegener uratował wszystkich sześciu rybaków z „MaryKat”, cudem, bo jego okręt równie boleśnie odczuł ataki wiatru i spienionych bałwanów.

Ledwie wciągnięto na pokład ostatniego rozbitka, a

„MaryKat” uderzyła w podwodną skałę i pękła na pół.

Dziwnym zrzędzeniem losu Wegener miał tego dnia na pokładzie dziennikarza, młodego reportera z „Portland Oregonian” i doświadczonego żeglarza, któremu zdawało się, że morze zna jak własną kieszeń. Gdy kuter Wegenera przedzierał się pośród kolosalnych grzywaczy opodał mielizny, reporter zwymiotował na swój notes i wytarłszy go o sportowy garnitur, pisał dalej. Cykl artykułów opublikowanych po tej wyprawie nosił tytuł Anioł wybrzeża i zdobył nagrodę Pulitzera za reportaż.

Miesiąc później w Waszyngtonie pewien wpływowy senator ze stanu Oregon, którego bratanek był w załodze „MaryKat”, zastanawiał się na głos, dlaczego ktoś tak dobry jak Red Wegener nie jest jeszcze oficerem, a że w tym samym pokoju bawił akurat dowódca Straży Przybrzeżnej, by omówić budżet swojej służby, tej uwagi czterogwiazdkowy admirał postanowił nie puścić mimo uszu. Pod koniec tygodnia Red Wegener został mianowany porucznikiem - senator bowiem nie omieszkiał

również napomknąć, że Red jest trochę za stary na chorążego. Po trzech latach dostał

rekomendację na objęcie pod komendę większej jednostki ratowniczej.

Dowódca straży widział w tym tylko jeden szkopuł. Miał oto wolną jednostkę do objęcia - „Panache” - ale chyba wyrządził Wegenerowi niedźwiedzią przysługę.

Niemal ukończony kuter miał być prototypem nowej generacji, lecz obcięto fundusze, stocznia zbankrutowała, a poprzedniego kapitana zwolniono za niedbalstwo. I tak Straż Przybrzeżna została z niedokończonym okrętem, w którym nie działały silniki, w upadłej stoczni. Jednak Wegener miał przecież opinię cudotwórcy - zawyrokował

admirał przy swoim biurku. Aby zwiększyć szansę powodzenia, przydzielił Wegenerowi kilku dobrych bosmanów, którzy mieli wesprzeć niedoświadczoną załogę.

U wejścia do stoczni Wegenera powstrzymała pikieta niezadowolonych robotników i kiedy już się z nimi uporał, miał pewność, że gorzej już być nie może. Potem zobaczył

to, co miało być statkiem: stalową konstrukcję, na jednym końcu spiczastą, na drugim płaską, do połowy pomalowaną, obwieszoną płataniną kabli, zarzuconą skrzyniami i sprawiającą ogólne wrażenie pacjenta zmarłego na stole operacyjnym i pozostawionego na łaskę losu. Na domiar złego, „Panache” nawet nie dało się wypłynąć - ostatnim śladem pracy robotników był spalony silnik dźwigu blokującego drogę wodną.

Poprzedni kapitan odszedł w niesławie. Jego załoga zaś, zebrana na lądowisku helikoptera, by powitać nowego dowódcę, sprawiała wrażenie grupki dzieci zmuszonych do udziału w pogrzebie niekochanego wujaszka, a gdy Wegener próbował do nich przemówić, zepsuł się mikrofon. Jakimś cudem właśnie to przerwało złą passę. Przywołał ich do siebie roześmiany.

- Kochani - powiedział. — Jestem Red Wegener. Za sześć miesięcy to będzie najlepszy okręt Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych. Nie ja tego dokonam, tylko wy - z moją pomocą. Na razie daję

wam wolne, dopóki nie sprawdzę, co trzeba zrobić.

Bawcie się dobrze. Jak wrócicie, czeka nas ciężka praca. Możecie odejść.

Rozległo się zbiorowe „Oo!” z tłumu, który oczekiwał raczej złorzeczeń i wrzasków.

Nowo przydzieleni bosmani spojrzeli po sobie z podniesionymi brwiami, a młodzi podoficerowie, którzy już rozważali odejście ze służby, udali się do swojej kwatery całkiem ogłupiali i zaskoczeni. Przed spotkaniem z nimi Wegener odwołał na stronę trzech bosmanów.

- Najpierw silniki - powiedział Wegener.

- Mogę utrzymać pięćdziesiąt procent mocy przez cały dzień, ale jak się chce doładować turbosprężarką, wszystko diabli biorą w ciągu piętnastu minut - oznajmił

chief Owens. - I nie mam pojęcia, o co chodzi. - Mark Owens pracował przy dieslach okrętowych od szesnastu lat.

- Dopłyniemy do Curtis Bay?

- Czemu nie, jeśli chce pan stracić cały boży dzień, kapitanie. Wegener rzucił pierwszą bombę.

- Świetnie, bo wypływamy za dwa tygodnie i tam się skończy roboty.

- Dopiero za miesiąc ma być gotowy nowy silnik do tego dźwigu, panie kapitanie -

zauważył starszy bosmanmat Bob Riley.

- Czy dźwig się obraca?

- Silnik jest przepalony, kapitanie.

- W takim razie przeciągniemy linę od dziobu do ramienia dźwigu. Przed nami jest dwadzieścia pięć metrów wody. Zablokujemy przekładnię na dźwigu, pociągniemy leciutko, sami obrócimy dźwig i w ten sposób oczyścimy farwater - oznajmił kapitan.

Oczy podoficerów się zwęziły.

- Możemy złamać dźwig - rzekł po chwili Riley.

- To nie jest mój dźwig, ale, jak mi Bóg miły, to jest mój okręt. Riley roześmiał się.

- Niech mnie kule biją, miło cię znowu widzieć, Red - przepraszam, kapitanie Wegener!

- Zadanie numer 1 to doprowadzić kuter do Baltimore i tam go wykończyć.

Zastanówmy się, co trzeba zrobić, po kolei, żeby nie było bałaganu. Spotykamy się jutro, punktualnie o siódmej. Dalej sam sobie robisz kawę, Dniówka?

- A jakże, kapitanie - odparł bosman Dniówka Oreza. - Przyniosę dzbanek.

I Wegener miał rację. Dwanaście dni później kuter „Panache” rzeczywiście zdolny był

do wyjścia w morze, choć do niczego więcej, ze skrzyniami i elementami wyposażenia porzucanymi po pokładzie. Udało się usunąć z drogi dźwig przed świtem, żeby nikt nie zauważył, i gdy rano pojawiła się grupa pikietujących stoczniovców, po kilku minutach spostrzegli, że okrętu ani widu, ani słychu. Niemożliwe, myśleli jak jeden mąż. Przecież nawet nie był pomalowany do końca.

Malowanie dokończono w Cieśninie Florydzkiej, a także osiągnięto coś ważniejszego.

Wegener przysypiał na mostku podczas przedpołudniowej wachty na skórzanym krześle, kiedy zaterkotał głośno telefon i Owens zaprosił go do maszynowni. Wegener zastał jedyny stół zasłany planami, a nad nimi pochylonego ucznia i stojącego za nim oficera mechanika.

- Nie uwierzy pan, kapitanie - oznajmił Owens. - Sam powiedz, chłopcze.

- Marynarz Obrecki. Melduję, że silnik nie jest zainstalowany poprawnie - powiedział uczeń.

- Skąd wiesz? - spytał Wegener.

Wielkie diesle okrętowe nowego typu miały nadzwyczaj skomplikowaną konstrukcję, jednak nie wymagały specjalnie wyrafinowanej obsługi. Dla dodatkowego ułatwienia każdy mechanik w maszynowni dostawał broszurę z instrukcją obsługi, w której znajdował się diagram w plastikowej folii, o wiele przystępniejszy niż plan konstruktora. Ten sam powiększony schemat, też zabezpieczony folią, stanowił stałe pokrycie stołowego blatu.

- Panie kapitanie, ten silnik jest taki jak w traktorze mojego taty, większy, ale...

- Wierzę ci, Obrecki.

- Turbosprężarka nie jest dobrze zamontowana. Zgadza się z tymi schematami, ale pompa podaje paliwo w odwrotną stronę. Schemat jest do niczego. Kreślarz spieprzył

robotę. Widzi pan? O, tu. Paliwo powinno wchodzić tędy, ale kreślarz narysował wejście z drugiej strony obudowy i nikt się nie skapował, i...

Wegener skwitował to śmiechem. Spojrzał na Owensa.

- Jak długo potrwa naprawa?

- Obrecki mówi, że wszystko będzie cacy jutro o tej porze, kapitanie.

- Panie kapitanie - odezwał się porucznik Michelson, oficer mechanik. - To moja wina.

Powiniem był... - porucznik czekał, aż niebo się oberwie.

- Z tego nauczka, panie Michelson, że nie należy ufać nawet podręcznikom. Jasne, panie poruczniku?

- Tak jest!

- Cieszę się. Obrecki, jesteście starszym marynarzem, tak?

- Tak jest!

- Odpowiedź nieprawidłowa. Jesteście młodszym pomocnikiem oficera mechanika.

- Panie kapitanie, muszę zdać pisemny egzamin...

- Uważa pan, że Obrecki zdał już ten egzamin, poruczniku Michelson?

- Jasne, panie kapitanie.

- Dobra robota. Jutro o tej porze chcę robić dwadzieścia trzy węzły. I od tego czasu już szło z górki. Silniki są mechanicznym sercem

każdego statku, a nie ma na świecie marynarza, który wolałby wolny statek od szybkiego. Gdy „Panache” wyciągnął dwadzieścia pięć węzłów i utrzymał tę prędkość przez trzy godziny, malarze malowali od razu lepiej, kucharze przykładali się staranniej do posiłków, a mechanicy przykręcali śruby trochę mocniej. Ich okręt przestał być inwalidą i załoga miała być z czego dumna. O dzień wcześniej „Panache” wszedł do stoczni remontowej Straży Przybrzeżnej w Curtis Bay. Wegener sam dzierżył ster i wzniosł się na szczyty swoich umiejętności, byle tylko wpłynąć szybko, bez zbędnego manewrowania, do doku.

- Stary naprawdę wie - zauważył któryś z majtków na forkaasztelu - jak prowadzić tę pieprzoną łajbę!

Nazajutrz pojawił się na pokładowej tablicy ogłoszeń plakat: „Panache” to błyskotliwa elegancja i szyk. Po siedmiu tygodniach okręt otrzymał

certyfikat i popłynął na południe do Mobile w stanie Alabama, by tam rozpocząć służbę.

Ranek był mglisty, co cieszyło kapitana, w przeciwieństwie do samej misji. Król ratowników został teraz gliną. Główne zadania Straży Przybrzeżnej zmieniły się diametralnie w trakcie jego długiej kariery, czego nie zauważało się tak bardzo przy ujściu rzeki Columbia, gdzie wciąż głównym wrogiem były wiatry i fale. Ci sami przeciwnicy byli w Zatoce Meksykańskiej, ale dołączył do nich nowy. Narkotyki.

Narkotykom Wegener nie poświęcał wiele uwagi. Sam ich nie zażywał ani nie stykał

się z ludźmi, którzy to czynili. Kiedy Wegener miał ochotę na odmianę stanu świadomości, robił to zgodnie z marynarską tradycją - pił piwo albo i mocniejsze trunki - choć, mając pięćdziesiątkę na karku, coraz rzadziej zaglądał do kieliszka.

Zawsze bał się igieł - każdy ma swój osobisty wstręt - i sama myśl, że ludzie z własnej i nieprzymuszonej woli wbijali sobie igły w ręce, wprawiała go w zdumienie. Ażeby wciągać biały proszek do nosa - tego już zupełnie nie mógł pojąć. Taka postawa wynikała nie tyle z jego naiwności, ile odzwierciedlała epokę, w której się wychował.

Wiedział, że problem istnieje. Jak każdy w mundurze, musiał co kilka miesięcy oddawać mocz do badania, by dowieść, że nie używa „zastrzeżonych substancji”. To, co młodzi członkowie załogi przyjmowali za rzecz normalną, irytowało i obrażało ludzi w jego wieku.

Z obowiązku martwił się teraz bardziej tymi, którzy przemycają narkotyki, ale w tej chwili jedynym jego zmartwieniem był sygnał na ekranie radaru.

Znajdowali się sto mil od wybrzeża Meksyku, z dala od domu. A poszukiwawczy jacht nie powracał do przystani. Właściciel przekazał przed kilkoma dniami wiadomość, że przedłuża rejs o parę dni, ale jego wspólnik mocno się zdziwił i powiadomił miejscowy posterunek Straży Przybrzeżnej. Przeprowadzone naprędce dochodzenie ujawniło, że właściciel, zamożny biznesmen, rzadko wypływał dalej niż trzy godziny od brzegu.

Jacht klasy Rhodes rozwijał prędkość piętnastu węzłów.

Stateczek mierzył dwadzieścia metrów, wystarczająco dużo, by raczej wynająć kilku ludzi do pomocy w rejsie... ale jednocześnie na tyle mało, że prawo nie wymagało papierów kapitańskich. Wielki jacht motorowy miał miejsca dla piętnastu pasażerów i dwóch członków załogi. Wart był parę milionów dolarów. Właściciel, handlarz nieruchomościami, ze swoim własnym małym imperium opodal Mobile, nie czuł się jeszcze zbyt pewnie na morzu i żeglował ostrożnie. Świadczyło to, że jest rozsądny, myślał Wegener. Zbyt rozsądny, aby zapuszczać się tak daleko od brzegu. Znał swoje możliwości, co nie zdarzało się często w środowisku żeglarzy, zwłaszcza tych zamożniejszych. Wypłynął na południe przed dwoma tygodniami, trzymając się blisko brzegu i kotwicząc kilka razy, ale opóźniał powrót i nie pojawił się na ważnym zebraniu. Jego partner oświadczył, że w normalnych okolicznościach nie pozwoliliby sobie na opuszczenie tak istotnego spotkania. Patrol lotniczy zauważył jacht dzień wcześniej, ale nie próbował nawiązać łączności. Komendantowi okręgu coś tu się nie podobało. „Panache” stacjonował najbliżej i Wegener został wezwany do akcji.

- Osiem mil. Kurs zero-siedem-jeden - zameldował Oreza na podstawie danych radarowych. - Prędkość dwanaście. Nie płynie w kierunku Mobile, kapitanie.

- Mgła się podniesie za godzinę albo półtorej - orzekł Wegener. - Trzeba go teraz podejść. Panie O'Neil, cała naprzód. Kurs na cel, bosmanie?

- Jeden-sześć-pięć, panie kapitanie.

- Trzymaj się tego kursu. Jeżeli mgła się utrzyma, zmienimy kierunek dopiero dwie, trzy mile od celu i podejdziemy go od rufy.

Chorąży O'Neil wydał odpowiednie rozkazy sterowni. Wegener podszedł do nakresów.

- Jak myślisz, dokąd on płynie, Dniówka?

Nawigator przedłużył obecny kurs celu linią, która nie prowadziła do żadnego konkretnego miejsca.

- Płynie teraz z równą, ekonomiczną prędkością... chyba nie zmierza do żadnego portu w zatoce.

Kapitan wziął cyrkiel i przeszedł nim po mapie.

- Jacht ma zapas paliwa na... - Wegener zmarszczył brwi. - Powiedzmy, że zatankował

do pełna w ostatnim porcie. Może z łatwością dopłynąć na Bahamy. Tam uzupełnić paliwo i dotrzeć dalej, gdzie mu się żywnie spodoba na Wschodnim Wybrzeżu.

- Ryzykant - obruszył się O'Neil. - Pierwszy od dłuższego czasu.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Panie kapitanie, gdybym sam miał taki wielki jacht, za nic nie pływałbym w taką mgłę bez radaru. U niego jest wyłączony.

- Mam nadzieję, że się mylisz, synu - rzekł kapitan. - Kiedy przydarzyło się nam coś takiego ostatni raz, bosmanie?

- Pięć lat temu? A może jeszcze dawniej. Wydawało mi się, że takie numery mamy już z głowy.

- Przekonamy się za godzinę.

Wegener znowu spojrział na mgłę. Widzialność spadła poniżej dwustu metrów.

Następnie sprawdził monitor radaru. Jacht był najbliższym celem. Przez minutę się zastanawiał i wreszcie wyłączył radar. Z doniesień wywiadu wynikało, że szmuglerzy narkotyków mają już detektory transmisji radarowych.

- Przełączymy z powrotem, jak podejdziemy go na, powiedzmy, cztery mile.

- Tak jest, kapitanie - potwierdził chłopak.

Wegener usadowił się na swoim skórzanym krześle i wydobyl z kieszeni koszuli fajkę.

Coraz rzadziej napełniał ją tytoniem, ale bez fajki nie byłby sobą. Po kilku minutach wachta na mostku toczyła się już codziennym trybem. Zgodnie z tradycją, kapitan wychodził na mostek, by przez dwie godziny porannej wachty towarzyszyć najmłodszemu podoficerowi, ale młodziutki O'Neil miał

głowę na karku i wcale nie potrzebował nadzoru, zwłaszcza gdy w pobliżu pracował Oreza. Dniówka Oreza był

synem rybaka z Gloucester i zdobył uznanie, bez mała dorównujące kapitanowi. Po trzech stopniach w Akademii Straży Przybrzeżnej miał spory udział w wychowaniu całego pokolenia oficerów, tak jak Wegener niegdyś zasłużył się przyciąganiem rekrutów do służby w straży.

Oreza także wiedział, co to znaczy dobra kawa, a poranna służba na mostku, gdy w pobliżu kręcił się Dniówka, miała tę zaletę, że dostawało się na pewniaka sowitą porcję wysmienitej kawy, przyrządzonej jemu tylko znanym sposobem. Zjawiała się zawsze na czas, w specjalnym, używanym przez straż kubku w kształcie małej wazy, szerokim u podgumowanej podstawy i zwężającym się ku górze, aby się nie przewracał, a zawartość nie rozlewała. Zaprojektowany dla małych łodzi patrolowych, sprawdzał się również na „Panache”, który także potrafił nieźle kiwać na dużej fali, której Wegener w ogóle nie zauważał.

- Dziękuję - powiedział kapitan, biorąc kubek.

- Mamy jeszcze godzinę.

- Zgadza się - odrzekł Wegener. - Wyjdziemy na pozycję o siódmej czterdzieści. Kto pełni wachtę bojową?

- Pan Wilcox, Kramer, Abel, Dowd i Obrecki.

- Dla Obreckiego to pierwszy raz?

- Dzieciak farmera. Umie dobrze strzelać. Riley go sprawdził.

- Niech Riley zastąpi Kramera.

- Coś się stało?

- Mam złe przecucia tym razem - powiedział Wegener.

- Chyba zepsuło im się radio, nic więcej. Nie mieliśmy już takich od dawna. O rany, nie pamiętam nawet kiedy to było, ale... no tak. Zawołać Rileya?

Kapitan skinął głową. Oreza zadzwonił i za minutę zjawił się Riley. Dwóch bosmanów naradzało się z kapitanem na skrzydle mostku. Według zegarka chorążego O'Neila narada trwała zaledwie minutę. Młodego oficera dziwiło to, że kapitan zwierza się i ufa bardziej swoim bosmanom niż podoficerom, ale oficerowie z awansu mieli swoje nawyki i trzymali się razem.

„Panache” pruł fale z maksymalną prędkością. W papierach miał dwadzieścia trzy węzły i choć parę razy wyciągał już z górą dwadzieścia pięć, działało się to bez obciążenia, ze świeżo pomalowanym dnem i na gładkiej tafli. Wprawdzie turbosprężarki łądowały powietrze do silników, jednak nie dało się znacznie przekroczyć dwudziestu dwóch węzłów. Taka jazda dawała się im we znaki. Ludzie na mostku utrzymywali równowagę, szeroko rozstawiając nogi, a O'Neil ani na chwilę nie stawał w

miejscu. Okna na mostku były całkowicie zaparowane od mgły. Młody oficer włączył wycieraczki. Wyszedłszy z powrotem na skrzydło mostku, spojrział we mgłę.

Nie lubił pływać bez radaru. O'Neil nasłuchiwał, ale nie słyszał nic, prócz stłumionych odgłosów pracy silników „Panache”. Mgła, jak wilgotny całun, ograniczała widzialność i tłumiała dźwięki. Nasłuchiwał jeszcze minutę, ale oprócz warkotu dieslów słyszać było tylko szmer prującego wodę kadłuba. Rzucił jeszcze okiem za rufę i wrócił na pomost sternika. Dzięki białej barwie kuter pozostanie dłużej niewidoczny.

- Nie słysząc żadnych syren mgłowych. Słońce się powoli przebija - oznajmił.

Kapitan skinął głową.

- Za niecałą godzinę się podniesie. Ciepły dzień. Mamy już prognozę?

- Wieczorem burze, panie kapitanie. Ten sam front, który około północy przeszedł przez Dallas. Wyrządził spore szkody. Tornado spustoszyło pole kempingowe.

Wegener pokręcił głową.

- Coś w tym jest, że właśnie kempingi przyciągają te cholerne nawałnice...

Wstał i podszedł do radaru.

- Gotowe?

- Tak jest.

Wegener włączył radar i przeniósł wzrok na monitor.

- Dobra robota, bosmanie. Nasze kursy przecinają się pod kątem stu sześćdziesięciu stopni, odległość trzy mile. O'Neil, niech pan odbije w prawo na sto osiemdziesiąt pięć. Oreza, ile mam na podejście go z tyłu od lewej?

- Dobrą minutę, kapitanie.

Wegener wyłączył radar i wyprostował się.

- Na stanowiska ogniowe!

Zgodnie z planem, alarm poderwał załogę na nogi, gdy wszyscy już zdążyli zjeść śniadanie. Ludzie oczywiście już wcześniej wiedzieli, że szykuje się chyba spotkanie we mgle z przemytnikiem narkotyków. Wyznaczona grupa zebrała się przy gumowej szalupie Zodiak. Każdy miał przy sobie broń: jeden karabin automatyczny M-16, jedną krótką strzelbę do rozpędzania tłumów, a reszta to

pistolety Beretta 9 mm. Na dziobie czuwała załoga czterdziestomilimetrowego szwedzkiego działka Bofors, wysłużonego na niszczycielu marynarki wojennej i starszego od wszystkich ludzi na pokładzie z wyjątkiem kapitana. Zaraz za mostkiem marynarz ściągnął plastikowy pokrowiec z niewiele młodszego karabinu maszynowego M-2 kaliber 12,7 mm.

- Radzę teraz skręcić na lewo, kapitanie - powiedział Oreza. Kapitan znów włączył radar.

- W lewo na zero-siedem-zero. Odległość od celu trzy-pięć-zero-zero. Podejźmy go od lewej burty.

Mgła się przerzedzała. Widzialność dochodziła teraz do około ćwierć mili, raz mniej, raz więcej, bo mgła unosiła się w skupionych obłokach. Oreza przeszedł do radaru, a na mostku zgrupowała się wachta bojowa. Radar wskazał nowy cel oddalony o dwadzieścia mil, prawdopodobnie tankowiec zmierzający do portu w Galveston. Jego pozycja została skrupulatnie naniesiona na mapę.

- Odległość do naszego przyjaciela wynosi teraz jedną milę. Kąt stały zero-siedem-zero. Kurs i prędkość celu bez zmian.

- Świetnie. Powinien być widoczny za jakieś pięć minut.

Wegener powiódł wzrokiem po sterowni. Jego oficerowie przyciskali lornetki do oczu.

Próżny wysiłek, ale widocznie jeszcze o tym nie wiedzieli. Wyszedł na prawe skrzydło mostku i spojrzał ku rufie na stanowisko szalupy. Porucznik Wilcox uniesionym w górę kciukiem dał mu znak, że wszystko gra. Za jego plecami starszy bosmanmat Riley potwierdził skinieniem głowy. Jeden z doświadczonych podoficerów czuwał przy kołowrocie szalupy. Spuszczenie szalupy przy takich falach to nic wielkiego, ale morze potrafiło płatać figle. M-2 bezpiecznie celował w niebo, a przy karabinie zwisała z lewej strony skrzynka z amunicją. Od dziobu doszedł metaliczny szczepek repetowanej czterdziestki.

W dobrych czasach podpływalibyśmy, żeby udzielić pomocy. Teraz ładujemy broń, pomyślał Wegener. Przeklęte narkotyki...

- Widać go! - krzyknął obserwator.

Wegener wyteżył wzrok. Pomalowany na biało jacht ledwie odcinał się od zamglonego tła, ale już za chwilę płaska rufa pawężowa wyłoniła się wyraźnie z oparów. Teraz dopiero przyłożył do oczu lornetkę i przeczytał nazwę. „Empire Builder”. Wszystko się zgadzało. Na maszcie nie miał bandery, ale to nic nadzwyczajnego. Jeszcze nie dostrzegł nikogo z załogi, a jacht płynął na silnikach ze stałą prędkością, jakby nigdy nic. Dlatego właśnie zaszedł go dokładnie od rufy. Bo od kiedy ludzie pływają po morzu, żaden obserwator nie zadał sobie trudu, by oglądać się za rufę.

Szykuje się dla niego niespodzianka, pomyślał O'Neil, dołączając do kapitana. Prawo morza.

Wegener zdenerwował się, ale za chwilę mu przeszło.

- Radar nie pracuje. Nie można jednak wykluczyć, że mu się zepsuł.

- Proszę, oto zdjęcie właściciela, kapitanie.

Kapitan nie oglądał wcześniej fotografii. Właściciel wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Najwyraźniej późno się ożenił, sądząc po doniesieniach, bo na pokład, oprócz żony, zabrał dwójkę dzieci w wieku ośmiu i trzynastu lat. Rosły mężczyzna, mniej więcej metr dziewięćdziesiąt, łysy i otyły, stał na zdjęciu na pomoście przy całkiem sporym okazie miecznika. Musiał się niezłe napocić z tą sztuką* pomyślał Wegener, patrząc na spieczone słońcem obwódki oczu i nogi poniżej nogawek krótkich spodni...

Kapitan podniósł z powrotem lornetę do oczu.

- Za blisko - rzucił. - Odbić w lewo, szanowny panie.

- Tak jest. - O'Neil wrócił do sterowni.

Idioci, myślał Wegener. Powinniście nas już słyszeć, jeśli nie widzieć. Ale przecież miał sposób, żeby im pomóc. Wsadził głowę do sterowni:

- Obudź ich!

W połowie masztu „Panache” była syrena, taka sama jak na wozach policyjnych i karetkach, tylko znacznie większych rozmiarów. Już po chwili zawyła tak donośnie, że kapitan omal nie podskoczył. Skutek był natychmiastowy. Zanim Wegener zdążył

policzyć do trzech, ze sterówki jachtu wychynęła głowa. Nie był to właściciel. Jacht zaczął gwałtownie skręcać w prawo.

- O, ty gnoju! - ryknął kapitan. - Podejść blisko! - padł rozkaz. Kuter również ostro skręcił w prawo. Rufa jachtu zanurzyła się nieco

przy zwiększonych obrotach silników, ale jacht nie miał żadnych szans z „Panache”.

Już po dwóch minutach kuter płynął burta w burtę z jachtem, który jeszcze próbował odbić w prawo. Byli zbyt blisko, żeby użyć

boforsa. Wegener kazał strzelić w wodę z karabinu maszynowego przed dziobem

„Empire Builder”.

Słychać było szczęk i zaraz warkot pięciostrzałowej serii. Nawet jeśli nie zauważyli rozbryzgów wody, hałas nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości. Wegener wszedł do środka i wziął mikrofon

pokładowego megafonu.

- Tu Straż Przybrzeżna Stanów Zjednoczonych. Zatrzymać się i przygotować do wejścia załogi straży na pokład!

Niemal widać było chwilę wahania. Jacht z powrotem odbił w lewo, ale jeszcze minutę lub dwie płynął z niezmienną prędkością. Na rufie pokazał się jakiś człowiek i podniósł banderę - panamską — zauważył z rozbawieniem Wegener. Zaraz mu na pewno oznajmią przez radio, że nie ma prawa wchodzić na pokład jachtu. Kapitan spoważniał, nie czekając, aż spełni się jego przepowiednia.

- „Empire Builder”! Tu Straż Przybrzeżna USA. Jesteście zarejestrowani pod banderą amerykańską i zaraz wchodzimy na pokład. Zatrzymać się, natychmiast!

Jacht zwolnił. Rufa podniosła się przy niskich obrotach silników. Kuter musiał

gwałtownie wycofać się, by uniknąć kolizji. Wegener wszedł na mostek i dał znak załodze szalupy. Gestem naśladującym odbezpieczenie automatu nakazał swoim ludziom zachować ostrożność. Riley poklepał się dwa razy po kaburze, dając kapitanowi do zrozumienia, że załoga łodzi nie składa się z durniów. Zodiak został

spuszczony na wodę. Kapitan tym razem nakazał załodze jachtu wyjść na pokład.

Pojawiło się dwóch ludzi. Żaden nie przypominał właściciela. Cały czas byli na muszce karabinu maszynowego z kutra, na tyle, na ile pozwalało kołysanie statku. Ta część akcji wymagała zimnej krwi. Załoga „Panache” mogła ochronić kolegów z szalupy, strzelając jako pierwsza, ale tego właśnie zabraniało prawo. Do tej pory nikt ze straży nie zginął w ten sposób, ale to tylko kwestia czasu, a wyczekiwanie pogarszało jedynie sprawę.

Wegener nie spuszczał lornetki z tych dwóch, gdy zodiak podpływał do jachtu.

Porucznik przy karabinie maszynowym robił to samo. Wprawdzie nie było widać, czy są uzbrojeni, nietrudno jednak ukryć krótką broń pod obszerną koszulą. Tylko wariat zdecydowałby się na walkę w takim położeniu, ale kapitan dobrze wiedział, że na świecie wariatów nie brakuje - wszak przez trzydzieści lat życia właśnie ich ratował.

Teraz z kolei ich aresztował, takich, których szaleństwo było o wiele groźniejsze od pospolitej głupoty.

U jego boku zjawił się znowu O'Neil. „Panache” dryfował na jałowych obrotach; ustawiony bokiem do fali kołysał się mocniej, ale wolniej. Wegener znów rzucił okiem na rufę, w kierunku karabinu maszynowego.

Marynarz celował tam, gdzie trzeba, lecz palce trzymał prawidłowo, z dala od spustu.

Pięć pustych łusek tłuło się luzem po pokładzie. Wegener skrzywił się. Ktoś powinien je posprzątać. Chłopak przy karabinie mógłby się pośliznąć na łusce i przez pomyłkę wypalić...

Obrócił się. Łódź już podpłynęła do rufy jachtu. Dobrze. Tamtędy chłopcy wejdą na pokład. Porucznik Wilcox wszedł pierwszy i czekał na innych. Sternik łodzi odbił od jachtu, gdy wszyscy już weszli na pokład, po czym szybko odpłynął, żeby osłonić strażników. Wilcox poszedł lewą stroną pokładu, za nim Obrecki ze strzelbą skierowaną bezpiecznie w niebo. Riley wszedł z obstawą do środka. Porucznik dotarł

do dwóch mężczyzn w ciągu niecałych dwóch minut. Wegener widział, jak rozmawiają ze sobą, ale, niestety, nie słyszał, o czym...

Rozległ się podniesiony głos. Wilcox zareagował gwałtownymi ruchami głowy.

Obrecki natychmiast stanął przy nim i zniżył broń. Obaj mężczyźni padli na twarz, znikając kapitanowi z pola widzenia.

- Chyba mamy rozróbę, panie kapitanie - zauważył chorąży O'Neil. Wegener wszedł do sterowni.

- Radio!

Ktoś rzucił mu zaraz radiotelefon. Wegener nasłuchiwał, lecz sam nic nie mówił.

Cokolwiek jego ludzie znaleźli na jachcie, nie chciał im teraz przeszkadzać. Obrecki został z tymi dwoma na pokładzie, a Wilcox wszedł do środka. Riley musiał coś znaleźć. Obrecki trzymał zapewne wycelowaną w nich śrutówkę, a napięcie w rękach chłopca promieniowało przez wodę aż na kuter. Kapitan zwrócił się do marynarza przy broni maszynowej, wycelowanej wciąż na jacht.

- Zabezpiecz broń!

- Tak jest! - odpowiedział natychmiast marynarz i opuścił ręce, unosząc lufę ku niebu.

Stojącemu przy nim oficerowi zrzęda mina. Jeszcze jedna nauczka. Za godzinę, dwie usłyszysz parę ostrych słów. Takie błędy nie mogą się powtórzyć.

Po chwili na pokładzie jachtu pojawił się Wilcox, a w ślad za nim Riley. Bosman wręczył dwie pary kajdanków oficerowi, który schylił się, by zrobić z nich użytek. Na jachcie chyba nie było nikogo więcej. Riley schował zaraz pistolet do kabury, a lufa strzelby Obreckiego znów powędrowała ku niebu. Wegenerowi zdawało się, że młodzik zabezpieczył broń. Chłopak ze wsi znał się na rzeczy, uczył się strzelać tam, gdzie jego szef. Dlaczego więc przedtem odbezpieczył strzelbę...? Gdy Wegener zadawał sobie w duchu to pytanie, zatrzeszczało radio.

- Kapitanie, tu Wilcox. - Porucznik wstał. Obu mężczyzn dzieliła teraz odległość stu metrów.

- Słucham.

- Śmierdząca sprawa, panie kapitanie... wszędzie pełno krwi. Jeden z nich szorował

podłogę w salonie, ale... coś potwornego.

- Tylko ich dwóch?
- Tak. Nikogo więcej na pokładzie. Obaj już zakuci w kajdanki.
- Sprawdźcie jeszcze raz - rozkazał Wegener.

Wilcox czytał w myślach kapitana. Został z więźniami, a Riley poszedł dokładnie przeszukać jacht. Bosman pojawił się po trzech minutach, kręcąc głową. Wegener przez lornetkę dojrzał jego bladą twarz. Od czegoż mógł zblednąć taki twardziel jak Bob Riley?

- Tylko tych dwóch, kapitanie. Bez dokumentów. Nie trzeba chyba dalej szukać...
- Dobrze. Posyłam wam jeszcze jednego człowieka i zostawiam Obreckiego. Możecie dopłynąć jachtem do portu?
- Bez trudu, kapitanie. Mamy sporo paliwa.
- W nocy będzie nieźle dmuchać - przestrzegł Wegener.
- Sprawdziłem rano prognozę, kapitanie. Damy sobie radę.
- Dobra. Pozbieram teraz załogę i zorganizujemy akcję. Uważajcie.
- Tak jest. Panie kapitanie, dobrze byłoby przerzucić tu kamerę wideo. Filmowy zapis się przyda jako dowód, oprócz zwykłych zdjęć.
- Zgoda. Będzie za kilka minut.

Pół godziny trwało ustalanie planu działania pomiędzy Strażą Przybrzeżną, FBI a DEA

- Agencją do Walki z Narkotykami. Kiedy czekali na wiadomości, szalupa przetransportowała na jacht marynarza z kamerą i magnetofonem. Jednocześnie robiono zdjęcia polaroidem, razem sześćdziesiąt, i filmowano wszystko na taśmie.

Strażnicy ponownie włączyli silniki „Empire Builder” i wzięli kurs na północny zachód, do Mobile. Kuter płynął równo z jachtem po lewej stronie. Ostatecznie postanowiono, że Wilcox z Obreckim dopłyną sami jachtem do Mobile, a helikopter po południu zabierze dwóch skutych żeglarzy, jeśli pogoda się nie pogorszy. Do bazy helikoptera był kawał drogi. „Panache” miał dostać własny śmigłowiec, ale Straży Przybrzeżnej zabrakło funduszków na ten cel. Na jacht posłano trzeciego marynarza i trzeba było teraz przerzucić więźniów na „Panache”.

Bosman Riley przeprowadził więźniów na rufę. Na oczach Wegenera dosłownie wrzucił ich do szalupy. Po pięciu minutach wciągnięto łódź na pokład. Jacht popłynął

na północny zachód, a kuter zmienił kurs, by kontynuować zwykły patrol. Jako pierwszy członek załogi szalupy wszedł na pokład marynarz, który robił zdjęcia polaroidem. Przekazał ponad pół tuzina kolorowych fotografii.

- Bosman zabrał dla pana parę drobiazgów, kapitanie. Naprawdę wygląda to gorzej niż na zdjęciach. Jeszcze dojdzie film. Jest gotowy do wywołania.

Wegener oddał zdjęcia.

- Dobrze. Wszystko zamknąć w sejfie z materiałem dowodowym. Wracaj do zajęć.

Powiedz Myersowi, żeby założył nową taśmę, bo chcę, żebyście opowiedzieli przed kamerą, co widzieliście. Wiesz chyba, o co chodzi. Trzeba o wszystkim pomyśleć.

- Tak jest, panie kapitanie.

Riley wszedł minutę później. Robert Timothy Riley był typowym przykładem starszego bosmanmata w tradycyjnym stylu. Miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, ponad sto kilogramów wagi, owłosione ramiona goryla, obycie faceta, co to z niejednego kufla piwo pił, i grzmiący głos, którego nie zdoła zagłuszyć zimowy huragan. W potężnej łapie trzymał dwa foliowe worki. Na jego twarzy szok ustąpił

miejsca wściekłości.

- Jatkę skurwiele tam urządzili, panie kapitanie. Jakby ktoś rozlał parę puszek brązowej farby... tylko że to nie farba. Chryste! - Riley podał jedną torbę. - Ten mały sprzątał i zacierał ślady, kiedyśmy ich przyskrzynili. W kubie na śmieci w salonie znaleźliśmy może z pół tuzina łusek. Te dwie podniosłem z dywanu, tak jak nas uczyli, kapitanie. Wziąłem je końcem długopisu i wrzuciłem do woreczka. Na pokładzie zostawiłem dwie spluwy. Też włożyłem do torby. Ale to jeszcze pestka.

Następny worek zawierał małą fotografię w ramce, przedstawiającą zapewne właściciela jachtu z rodziną. W kolejnej torebce była...

- Znalazłem to pod stołem. Gwałt. Miała okres, ale to im nie przeszkodziło. Może tylko żonę. Może małą też. W kuchni leżały noże rzeźnicze, wszystkie zakrwawione.

Chyba poćwiartowali ciała i wyrzucili za burtę. Z całej rodziny zostało już pewnie tylko gówno rekinów.

- Narkotyki?

- Z dwadzieścia paczek białego prochu zmagazynowanych w kajucie załogi. Trochę marihuany, ale to chyba tylko zapas na podróż tych dwóch. - Riley wzruszył

ramionami. - Nawet nie warto było sprawdzać naszym próbnikiem, kapitanie. Szkoda zachodu. Oczywiście przypadek piractwa z morderstwem. Widziałem dziurę po kuli w pokładzie, na wylot. Red, jak pragnę Boga, nie widziałem jeszcze w życiu czegoś takiego. Jak w ponurym filmie, tylko

jeszcze gorzej. - Riley odsapnął. - Szkoda, że sam pan tego nie zobaczył, kapitanie.

- Co wiadomo o więźniach?

- Nic. Tylko marudzili, przynajmniej wtedy, kiedy ja tam byłem. Nie mają przy sobie dokumentów, a nie chciałem robić bałaganu i szukać paszportów ani innych papierów. Pomyślałem, że lepiej to zostawić prawdziwym glinom. Sterówka jest czysta. Jeden sracz też. Pan Wilcox spokojnie dopłynie do portu. Nie kazał Obreckiemu ani Brownowi niczego ruszać. Paliwa od cholery i trochę, można walić na całego. Zawinie do Mobile przed północą, jak morze będzie dalej spokojne. Łajba niczego sobie. - Jeszcze jedno wzruszenie ramion.

- Przyrowadź ich tutaj - powiedział Wegener po chwili milczenia.

- Się robi. - Riley poszedł na rufę.

Wegener nabił fajkę i usiłował przypomnieć sobie, gdzie zostawił zapalki. Świat się zmienił, gdy on robił swoje z dala od zgiełku, i zmiany te wcale mu się nie podobały.

Tu, na morzu, nie brakowało niebezpieczeństw. Wiatry i fale były dostatecznie groźnym wrogiem człowieka. Morze tylko czekało na swoją szansę i wykorzystywało ją bezlitośnie, choćbyś w swoim mniemaniu posiadał wszystkie umiejętności; wystarczyło raz zapomnieć, jedyny raz, że nie wolno morzu ufać. Wegener nie zapominał ani na chwilę i całe życie poświęcił na ratowanie tych, którzy zapominali.

Pamięć o wiecznie grożącym niebezpieczeństwie i spieszenie na pomoc tym, którzy zapomnieli, dały mu pełne satysfakcji życie. Cieszył się rolą anioła stróża na swym śnieżnobiałym okręcie. Nigdy nie był na straconych pozycjach, jeśli w pobliżu znajdował się Red Wegener. Zawsze miał szansę, dużą szansę, że na czas wtargnie do mokrego, wzburzonego grobu i wyciągnie cię gołymi rękami... Ale oto rekiny obżerały się teraz ciałami czworga ludzi. Wegener kochał morze, z wszelkimi jego kaprysmi, lecz rekiny nie zasługiwały na miłość, a myśl, że właśnie trawia ludzi, których on mógł uratować... czworo ludzi, którzy zapomnieli, że rekiny żyją nie tylko w morzu, powiedział w duchu. To właśnie się zmieniło. Piractwo. Jak na pamiętanych z dzieciństwa filmach Errola Flynna. Coś, co przecież przeszło do historii przed dwoma wiekami. Piractwo i mord, tego drugiego stare filmy starały się nie pokazywać.

Piractwo, mord i gwałt, zbrodnie, za które ongiś szło się na stryczek...

- Stać prosto! - warknął Riley.

Trzymał obu pod ręce. Obaj wciąż mieli założone kajdanki. Bosman Oreza nie spuszczał ich z oka.

Obaj mieli po dwadzieścia kilka lat i byli szczupłej budowy; jeden wysoki, około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, zachowywał się arogancko, co wielce zdziwiło kapitana. Przecież wiedział, że się z tego łatwo nie wywinie. Ciemnymi oczami świdrował Wegenera, który patrzył na młodszego mężczyznę beznamiętnym wzrokiem zza fajki. Było coś dziwnego w tych oczach, ale Wegener nie wiedział, co.

- Jak się pan nazywa? - spytał kapitan. Bez odpowiedzi. - Muszę znać pańskie nazwisko - tłumaczył spokojnie Wegener.

Raptem stało się coś niesamowitego. Wyższy mężczyzna splunął Wegenerowi na koszulę. Kapitan zareagował zadziwiająco długim milczeniem, nie godząc się z myślą, że coś takiego mogło się zdarzyć i nie okazując nawet zdziwienia. Riley pierwszy zareagował na to bluźnierstwo.

- Ty sukinsynu! - Bosman uniósł więźnia jak szmacianą lalkę, zamachnął się nim w powietrzu i rąbnął o reling mostku. Młody człowiek uderzył w barierkę brzuchem i przez mgnienie oka wydawało się, że pękł na dwie części. Stęknął przeraźliwie i przebierał nogami, szukając oparcia na pokładzie i ratując się rozpaczliwie przed upadkiem do wody.

- Chryste, Bob! - wydusił Wegener, gdy Riley już zdążył chwycić z powrotem delikwenta. Bosman wywinął nim młynka i zacisnąwszy mu lewą dłoń na gardle, podniósł go jedną ręką do góry. -Zostaw go, Riley!

Wybuch bosmana odniósł przynajmniej ten skutek, że przełamał arogancję. Przez chwilę widać było w tych oczach nieklamane przerażenie, gdy więzień nie mógł jeszcze złapać tchu. Oreza powalił drugiego na pokład. Riley rzucił swoją ofiarę obok niego.

Pirat - Wegener już inaczej

o nim nie myślał - ostatkiem sił podczołgał się do przodu, aż wreszcie czołem uderzył o pokład. Krztusił się i usiłował złapać oddech, gdy równie blady Riley wreszcie się opamiętał.

- Przepraszam, panie kapitanie. Chyba jednak się trochę zapomniałem. - Bosman dał do zrozumienia, że przeprasza tylko za to, że wyprowadził z równowagi swojego dowódcę.

- Do paki - rzekł Wegener. Riley wyprowadził obu na rufę.

- Cholera - powiedział cicho Oreza. Nawigator wyjął chusteczkę i wytarł kapitanowi koszulę. - Co się, u diabła, dzieje na tym świecie?

- Sam nie wiem, Dniówka. Chyba jesteśmy za starzy, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Wegener w końcu znalazł zapałki i zapalił fajkę. Wpatrywał się długo w morze, zanim znalazł odpowiednie słowa.

- Kiedy się zaciągnąłem do służby, wprowadzał mnie stary bosman, który opowiadał mi historyjki z czasów prohibicji. Małe piwo w porównaniu z tym, co się teraz dzieje.

W jego opowieściach tamto wyglądało na jeden wielki ubaw.

- Może ludzie mieli jednak jakieś zasady w tamtych czasach - posiedział Oreza.

- Chyba jednak chodzi o to, że nie dało się wtedy załadować bimbru za milion dolarów na motorówkę. Nie widziałeś Nietykalnych? Wojny

między gangami były tak samo krwawe, jak te, o których czyta się dzisiaj. Może nawet gorsze. Zresztą, diabli wiedzą. Jak się zgłaszałem do straży, nie miałem wcale zamiaru robić za glinę.

- Ja też nie, kapitanie - narzekał Oreza. - Postarzeliśmy się powoli, a tymczasem świat się zmienił nie do poznania. Szkoda mi tylko jednej rzeczy ze starych czasów.

- Czego, Dniówka?

Stary bosman spojrzał na dowódcę.

- Dowiedziałem się o tym w akademii straży w New London kilka lat temu. Chodziłem na różne zajęcia, jak nie miałem nic lepszego do roboty. Dawniej było tak, że jak się złapało piratów, można ich było postawić przed sądem wojennym na miejscu i załatwić sprawę od razu... I wiesz ty co? To skutkowało. - Oreza mruknął pogardliwie. - Chyba właśnie dlatego zmienili prawo.

- Urządzić im sprawiedliwy proces na miejscu... i powiesić?

- Czemu by nie, do diabła?

- To już nie te czasy. Żyjemy w cywilizowanym kraju.

- O tak, cywilizowanym. - Oreza otworzył drzwi do sterowni. -Zgadza się. Widziałem zdjęcia.

Wegener się uśmiechnął i sam nie wiedział, dlaczego. Fajka mu zgasła. Szukając zapalek, zastanawiał się, dlaczego jeszcze nie rzucił palenia, ale przecież nie byłby tym samym człowiekiem. Starym wilkiem morskim. Postarzałem się, zgoda, pomyślał

Wegener. Podmuch wiatru rzucił zapalną na pokład. Jak mogłeś zapomnieć sprawdzić kierunek wiatru? - spytał się w duchu, schylając się po nią.

Podnosząc zapalną, zauważył w połowie spływnika pudełko po papierosach. Wegener był fanatykiem czystości na statku i już miał dać odprawę temu, kto wyrzucił puste pudełko, gdy zorientował się, że nikt z załogi tego nie zrobił. Na paczce zobaczył napis Calvert, a jak sobie przypominał, była to marka papierosów sprzedawanych w Ameryce Łacińskiej, choć produkowanych przez firmę ze Stanów. Z czystej ciekawości otworzył kartonową paczkę.

W środku nie było papierosów, to znaczy normalnych papierosów z tytoniem.

Wegener wyciągnął jednego. Nie były to skręty, ale też nie takie równiutkie cacka, jakie wychodzą z szanującej się amerykańskiej „fabryki raka”. Kapitan uśmiechnął się mimo woli. Jakiś cwaniak wpadł na świetny pomysł rozprowadzania trawki - tak się mówi? - jako zwykłych papierosów. A może tylko wygodniej było je nosić w sztywnym pudełku? Musiało wypaść więźniowi z kieszeni,

kiedy tarmosił go Riley, uprzytomnił sobie dopiero teraz Wegener. Zamknął pudełko i wsadził do kieszeni. Podrzuci je przy okazji do sejfu z dowodami. Wrócił Oreza.

- Świeża prognoza pogody. Front dotrze tutaj nie później niż o dwudziestej pierwszej.

Szkwał przybrał na sile. Można się spodziewać porywów do czterdziestu węzłów.

Nieźle nas przetrzepie.

- Czy Wilcox da sobie radę z jachtem? - Jeszcze można było go odwołać.

- Przetrzyma. Skręcił na południe. Od Tennessee zbliża się wyż. Pan Wilcox powinien dopłynąć jak po maśle, kapitanie, ale gorsza sprawa ze śmigłowcem. Ma do nas dotrzeć dopiero około osiemnastej, a wtedy już może być niewesoło. Będą mieli front na karku w drodze powrotnej.

- A jutro?

- Ma się przejaśnić o świcie, a potem będziemy już w zatoce wyżowej. W nocy nas zdrowo pohuśta, ale za to od jutra cztery dni murowanej pogody.

Oreza nie wyraził na głos żadnej konkretnej rady. Nie musiał. Dwóm starym zawodowcom wystarczyła wymiana spojrzeń. Wegener przytaknął skinieniem głowy.

- Zawiadom Mobile, żeby raczej odłożyli akcję do jutra w południe.

- Tak jest, kapitanie. Nie ma sensu narażać helikoptera, żeby przewieźć te śmieci.

- Właśnie. Dopilnuj, żeby Wilcox dostał prognozę pogody, gdyby przypadkiem front zmienił kierunek.

Wegener spojrzął na zegarek.

- Muszę odwalić papierkową robotę.

- Dość wrażeń na dzisiaj, Red.

- Święta prawda.

Kabina Wegenera była, rzecz oczywista, największą i zarazem jedyną prywatną kajutą na statku, albowiem przywilej jednoosobowego pokoju i samotności przysługiwał

wedle tradycji wyłącznie kapitanowi. „Panache” jednak nie był wielkim liniowcem i kabina Wegenera mierzyła niecałe dziesięć metrów kwadratowych, ale za to z prywatną łazienką, nie lada luksusem na każdym statku. W ciągu swej długiej kariery w Straży Przybrzeżnej Wegener unikał jak ognia grzebania w papierkach. Miał

pierwszego oficera, młodego, rzutkiego porucznika, któremu zlecał tyle tej niewdzięcznej roboty, na

ile mu pozwalało sumienie. A i tak musiał poświęcić biurokracji dwie do trzech godzin dziennie. Zabrał się do tego z entuzjazmem skazańca prowadzonego na stryczek. Pół godziny później

zdał sobie sprawę, że tym razem miał twardszy orzech do zgryzienia niż zazwyczaj.

Morderstwa ciążyły mu na sumieniu. Zabójstwo na morzu, myślał, spoglądając na iluminator w prawej grodzi. Nie pierwszy to przypadek, oczywiście. Słyszał o kilku w ciągu trzydziestu lat, ale sam nie miał z nimi do czynienia. U wybrzeży Oregonu zdarzyło się, że marynarz dostał szału i omal nie zabił kolegi... Później się okazało, że biedak miał guz, na mózgu i rychło zmarł z tej przyczyny, przypominał sobie Red.

„Point Gabriel” wyszedł do akcji i zabrał nieszczęśnika, już związanego i uspiętego.

Ot i całe doświadczenie Wegenera z przemocą na morzu w ludzkim wydaniu. Morze było dostatecznie groźne bez takich wybryków. Ta myśl powracała doń uporczywie jak refren piosenki. Próbował się skupić, ale daremnie.

Wegener zdenerwował się własnym niezdecydowaniem. Czy lubił papierkową robotę, czy nie, wszak należała do jego obowiązków. Zapalił fajkę z nadzieją, że pomoże mu się wreszcie skupić. Nic z tego nie wyszło. Kapitan wymamrotał przekleństwo pod własnym adresem, ni to z rozbawieniem, ni to z wściekłością, i poszedł do łazienki po szklankę wody. Robota wciąż czekała. Spojrzał w lustro i postanowił się ogolić.

Papiery leżały nietknięte.

- Starzejesz się - oznajmił twarzy w lustrze. - I gnuśniejesz na starość.

Zabrał się do golenia. Robił to po staroświecku, z miseczką na mydło i pędzlem, a jedynym jego ukłonem w stronę dobrodziejstw nowoczesności były żyletki zamiast brzytwy. Miał już namydloną i do połowy ogoloną twarz, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę! - W drzwiach ukazał się bosman Riley.

- Przepraszam, panie kapitanie, nie wiedziałem, że...

- Nie szkodzi, Bob. Co się dzieje?

- Mam już na brudno raport z abordażu. Pomyślałem sobie, że zechce pan przejrzeć.

Mamy wszystkie zeznania świadków na taśmie i na filmie. Myers zrobił już kopię filmu. Oryginał zamknęliśmy razem z innymi dowodami w sejfie z poufnymi materiałami, zgodnie z rozkazem. Przyniosłem kopię, jeśli chce pan zobaczyć.

- Dobrze. Zostaw, przejrzę później. Co słyhać u naszych gości?

- Nic nowego. Zrobił się piękny dzień.

- A ja tu zagrzebany w tych cholernych papierach.

- Bosman może pracować dzień i noc, ale stary nie ma chwili wytchnienia - zauważył

Riley.

- Nie masz prawa drwić sobie z dowódcy, bosmanie. - Wegener powstrzymał się od śmiechu tylko dlatego, że miał żyletkę na gardle.

- Pokornie błagam pana kapitana o wybaczenie. I jeśli pan pozwoli, ja też muszę wrócić do roboty.

- Ten gówniarz, co stał u nas rano przy karabinie maszynowym. Trzeba mu powiedzieć parę słów na temat bezpieczeństwa. Za długo mierzył w jacht. Ale nie urwij mu całkiem głowy - rzucił Wegener, odłożywszy maszynkę do golenia. - Sam porozmawiam z panem Petersonem.

- I daj tu gówniarzowi pukawkę do ręki. Pogadam z nim, jak tylko skończę obchód.

- Ja też zrobię rundę po obiedzie. Pogoda da nam w kość dziś w nocy.

- Dniówka mi mówił. Przygotujemy się jak należy.

- Na razie, Bob.

- Do widzenia. - Riley wyszedł.

Wegener złożył przybory do golenia i wrócił do biurka. Pierwszy szkic raportu z abordażu i aresztowania leżał na wierzchu. Pełny tekst przepisywano teraz na maszynie, ale wolał zawsze zapoznać się z pierwszą wersją, bo uważał, że jest najdokładniejsza. Wegener przeglądał raport, popijając chłodną kawę. Na plastikowej planszy umieszczone były polaroidowe zdjęcia. Nie przybyło nic nowego.

Dokumentacja też pozostawiała wiele do życzenia. Włączył magnetowid, postanawiając obejrzeć kasetę przed obiadem.

Jakością kasety odstawała o dobrych kilka oczek w dół od profesjonalnej roboty.

Utrzymanie kamery nieruchomo na kołyszącym się jachcie stanowiło nie lada wyzwanie, do tego światło było jeszcze za słabe, żeby zrobić wyraźne zdjęcia. Jakby tego było mało, w odbiorze filmu przeszkadzały nagrane w tle strzępy przypadkowych rozmów i częste rozbłyski na ekranie od flesza polaroidu.

Nie ulegało wątpliwości, że na pokładzie „Empire Builder” cztery osoby rozstały się z życiem i zostały po nich jedynie krwawe plamy. Marne to świadectwo, ale wyobraźnia dopowiadała resztę. Koją w kajucie, najprawdopodobniej należącej do syna, przesiąknięta była krwią przy poduszce. Strzał w głowę. Trzy pozostałe skupiska śladów krwi ozdabiały główny salon, najobszerniejsze pomieszczenie na jachcie przeznaczone do zabawy. Zabawy - powiedział w duchu Wegener. Trzy skupiska plam. Dwa blisko siebie, jedno oddalone. Właściciel miał atrakcyjną żonę i trzynastoletnią

córkę... kazali mu na to patrzeć, jakżeby inaczej?

- O, Boże! -westchnął Wegener. Nie ma najmniejszej wątpliwości. Kazali mu patrzeć, a potem wszystkich zabili... poćwiartowali ciała i rzucili za burtę. - Dranie.

Rozdział 2

LUDZIE Z MROKU

Legitymował się paszportem na nazwisko J.T. Williams, ale paszportów miał całą kolekcję. Obecnie działał jako przedstawiciel amerykańskiej firmy farmaceutycznej i w każdej chwili mógł popisać się uczonym wykładem na temat różnych syntetycznych antybiotyków. Z równym znanstwem potrafił prowadzić dysputy o ciężkim sprzęcie budowlanym jako zagraniczny reprezentant koncernu Caterpillar Tractor; w zanadrzu miał jeszcze dwie inne legendy, które zmieniał na zawołanie jak rękawiczki. Nie nazywał się Williams. W dyrekcji departamentu operacyjnego CIA znano go jako Clarka, lecz naprawdę nie nazywał się wcale Clark, mimo iż właśnie pod tym nazwiskiem występował jako osoba prywatna i głowa rodziny. Był instruktorem w szkole agentów terenowych CIA, zwanej popularnie Farmą, a pracował tam, ponieważ świetnie znał swój fach i z tego samego powodu często wracał do pracy w terenie.

Clark był dobrze zbudowanym mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i gęste czarne włosy bez śladu siwizny oraz pociągłą twarz o zapadniętych policzkach i błękitne oczy. Dobrze już po czterdziestce, nie dorobił się wałków tłuszczu w pasie ani innych zwykłych przypadłości siedzącego trybu życia, a z potężnych barów dało się wyczytać cały program ćwiczeń kondycyjnych. Jednak w dobie powszechnej dbałości o krzepę, nie wyróżniał się zbytnio, poza jednym drobnym szczegółem. Na przedramieniu miał wytatuowaną uśmiechniętą czerwoną fokę. Zamierzał usunąć to znamię, ale powstrzymywały go względy sentymentalne. Znamię to symbolizowało życie, które ongiś sobie wybrał. Kiedy ktoś zagadnął go o to podczas lotu, odpowiadał, zgodnie z prawdą, że służył kiedyś w marynarce, po czym kłamał, jak to marynarka wojenna ufundowała mu studia farmaceutyczne, inżynierii lądowej czy w innej dziedzinie. W rzeczywistości Clark nie miał wyższego wykształcenia ani tytułu naukowego, choć za zdobytą mimochodem wiedzę należałoby mu się z pół tuzina dyplomów. Wprawdzie wyższe wykształcenie było formalnym wymogiem na jego stanowisku w CIA, Clark jednak posiadał zdumiewająco rzadkie w zachodnich służbach wywiadowczych zdolności. Nieczęsto nadarzała się okazja, by je wykorzystać, ale w tych rzadkich sytuacjach jego usługi były nieocenione, toteż jeden z wysokich funkcjonariuszy CIA powziął raz decyzję, że warto by mieć kogoś takiego jak Clark na liście płac. Z tego, że sprawdzał się jako wyjątkowo skuteczny agent terenowy - głównie do specjalnych, krótkich i niebezpiecznych zadań - Agencja mogła się tylko cieszyć. Clark stał się istną legendą, chociaż jedynie garstka ludzi w Langley wiedziała, dlaczego.

- Co sprowadza pana do naszego kraju, senior Williams? - spytał urzędnik imigracyjny.

- Interesy. Chętnie też wybrałbym się na ryby przed wyjazdem - odpowiedział Clark po hiszpańsku. Mówił płynnie sześcioma językami, z czego trzema tak doskonale, że nikt nie brał go za cudzoziemca.

- Mówi pan świetnie po hiszpańsku.

- Dziękuję. Wychowałem się w Kostaryce - skłamał. W tym również celował. - Mój ojciec pracował tam wiele lat.

- To widać. Miłego pobytu w Kolumbii.

Clark poszedł po bagaż. Zauważył, że powietrze było tu rozrzedzone. Przydały się teraz codzienne biegi, ale postanowił i tak poczekać kilka dni, zanim podejmie większy wysiłek. Pierwszy raz gościł w tym kraju, lecz instynkt podpowiadał mu, że nie po raz ostatni. Wszystkie operacje na wielką skalę rozpoczynały się od rozpoznania. Na tym właśnie polegała jego obecna misja. To, co polecono mu dokładnie zbadać, w dużym stopniu mówiło, na czym będzie prawdopodobnie polegała właściwa misja. Przecież robił już podobne rzeczy w przeszłości. Właśnie jedna z nich była powodem, dla którego CIA zwerbowała go, zmieniła mu nazwisko i dała życie, które prowadził już od bez mała dwudziestu lat.

Kolumbia należała do tych wyjątkowych krajów, które zezwalały na przywóz broni bez szczególnych utrudnień. Clark tym razem był nieuzbrojony. Zastanawiał się, jak będzie przy następnej okazji. Wiedział, że pod tym względem nie może liczyć na pomoc miejscowego rezydenta. Rezydent wszak nie wiedział nawet o jego obecnej wizycie. Clark ciekaw był, dlaczego, ale dał sobie spokój. Cóż go to w końcu obchodziło? Ważna była misja.

Pomysł wprowadzenia do armii Stanów Zjednoczonych brygady piechoty lekkiej odrodził się przed kilku zaledwie laty. Powołanie tego rodzaju jednostek nie nastroczało wielu trudności. Wystarczyło po prostu wybrać brygadę piechoty zmechanizowanej i pozbawić ją wszelkiego sprzętu zmechanizowanego. Pozostawała wówczas struktura licząca dziesięć i pół tysiąca ludzi, której TOS (Tabela Organizacji i Sprzętu) była lżejsza nawet niż TOS dywizji desantowej, do tej pory najlżejszej i dlatego

możliwej do przerzucenia drogą powietrzną zaledwie pięciuset lotami jednostek transportu wojskowego Sił Powietrznych.

Tworząc jednostki lekkiej piechoty, armia wróciła do ponadczasowego elementarza historii. Każdy myślący żołnierz potwierdzi, że walka wymaga dwóch elementów: piechoty oraz tych, którzy ją wspierają. Brygady piechoty lekkiej stały się przede wszystkim instytucjami kształcenia kadr. Tu, właśnie armia hodowała sobie sierżantów na starą modłę. W tym celu wyznaczała na stanowiska dowódcze w tych jednostkach swych najlepszych oficerów - weteranów wojny wietnamskiej, którzy w pamięci przechowywali także podziw dla wroga - zwłaszcza sposobu, w jaki partyzantka Wietkongu i armia północnowietnamska przemieniły brak sprzętu i niedobór siły ogniowej w swój atut. Nie ma żadnego powodu, zdecydowali wojskowi mędrcy, aby żołnierze amerykańscy nie osiągnęli takiego samego stopnia doskonałości bojowej w polu, jak żołnierze Vo Nguyena Giapa; co dopiero, gdy na te umiejętności nałoży się tradycyjna amerykańska fascynacja techniką i bronią. W rezultacie powstały cztery elitarne dywizje: siódma na zielonych wzgórzach w Fort Ord w Kalifornii, dziesiąta górską w Fort Drum w stanie Nowy Jork, dwudziesta piąta w Schofield Barracks na Hawajach i szósta w Fort Wainwright na Alasce. Jak na ironię, każda z nich miała kłopoty z utrzymaniem sierżantów i dowódców kompanii, ale to wynikało z samych założeń całego planu. Żywot piechura nie jest bynajmniej lekki i jak mu stuknie trzydziestka, nawet najlepszemu zamarzy się polecieć na pole bitwy helikopterem albo pojechać transporterem opancerzonym, a może też spędzić trochę czasu z młodą żoną i dziećmi, zamiast wspinać się po górach. Tak więc najlepsi z nich, ci, którzy wytrwali i ukończyli trudne szkoły podoficerskie prowadzone przez każdą dywizję, dowiedziawszy się, że sierżanci muszą niekiedy działać bez komendy poruczników, przechodzili do ciężkich formacji pozostałej części wojsk lądowych, wzbogacając je o nowe umiejętności. Jednostki

były zatem fabrykami, w których armia produkowała sobie sierżantów z nieprzeciętnymi zdolnościami przywódczymi i opanowaniem niezmiennych prawd wojennego rzemiosła - sprowadzały się zawsze do kilku ludzi w zabłoconych buciorach i przepoconych mundurach, dla których trudny teren i noc były sprzymierzeńcami w zadawaniu śmierci.

Sierżant sztabowy Domingo Chavez był jednym z nich. Znany wśród kolegów jako Ding, miał dwadzieścia sześć lat i za sobą dziewięć lat służby w wojsku. Zaczął jako członek gangu ulicznego w Los Angeles, ale wkrótce zdrowy rozsądek zrównoważył

braki w wykształceniu - doszedł do wniosku, że w Bandidos nie ma przyszłości, gdy bliski sercu

przyjaciel zginął w strzelaninie, której powodu nigdy nie pojął do końca. Następnego poniedziałku rano wsiadł do autobusu i pojechał do najbliższej komisji rekrutacyjnej wojsk lądowych, bo do marines go nie przyjęli. Nie zważając na jego niemal całkowity analfabetyzm, sierżant komisji przyjął go bez zmruczenia oka - na liście miał ledwie paru rekrutów, a dzieciak sam się pchał do piechoty, w ten sposób wypełniając dwie puste rubryki w miesięcznym raporcie sierżanta. Co najważniejsze, chłopiec chciał zaciągnąć się od razu, jak stał. Dla werbującego czysty zysk.

Chavez niewiele wiedział, co go czeka w wojsku, a i te skromne wiadomości wkrótce okazały się nic niewarte. Po obcięciu bujnej czupryny i zgoleniu szurzego zarostu przekonał się niebawem, że odwaga i siła nic nie dają bez dyscypliny i że w armii nie toleruje się zuchwalstwa. Tej lekcji nauczył się w pomalowanych na biało koszarach pod twardą ręką sierżanta, który miał twarz czarną jak noc w dżungli. Ale Chavez nie przywykł w życiu do łatwych lekcji, toteż nie zrażały go trudne. Pojmując, że armia to hierarchia, gdzie obowiązują ścisłe reguły podporządkowania, pogodził się z nimi i z dnia na dzień wyrastał na ponadprzeciętnego rekruta. Jako były gangster wiedział

dobrze, co to znaczy braterstwo i współpraca w grupie; skierowanie tych doświadczeń na pozytywne tory przyszło mu bez trudu. Gdy już ukończył podstawowe szkolenie, jego raczej drobne ciało stało się prężne i giętkie jak stalowa lina. Dumny był ze swojej muskularnej sylwetki i mistrzowskiego władania każdą bronią, którą nosić może żołnierz piechoty. Gdzie jeszcze - zadawał sobie raz dziennie pytanie - dają ci pistolet maszynowy i płacą, żebyś z niego strzelał?

Ale człowiek nie rodzi się żołnierzem, tylko się nim staje. Chavez został najpierw wysłany do Korei, gdzie dowiedział się, co to są góry i jak groźne mogą być wrogie bandy, bowiem służba w strefie zdemilitaryzowanej wcale nie okazała się tak bezpieczna, jak wynikałoby z nazwy. Nauczył się raz na zawsze, że dyscyplina ma swój wyraźny cel. Od niej zależało twoje życie. Niewielka północnokoreańska grupa zwiadowcza nieprzypadkowo wybrała deszczową noc, by znaleźć lukę i przedrzeć się przez linię jego oddziału w celu znanym wyłącznie ich dowódcom. Po drodze natknęli się na nieoznaczony posterunek nasłuchowy, którego dwuosobowa obsada postanowiła przespać noc i już się nigdy nie obudziła. Oddziały południowokoreańskie później otoczyły i zabiły intruzów, ale Chavez pierwszy natknął się na kolegów z plutonu z gardłami poderżniętymi, tak samo jak widział to nieraz w rodzimej dzielnicy.

Wówczas przekonał się na dobre, że wojenne rzemiosło to poważna sprawa, i postanowił się mu poświęcić. Pierwszy zainteresował się nim dowódca plutonu, potem porucznik. Chavez uważał na wykładach, a nawet próbował robić notatki.

Widząc, że Ding nie umie przeczytać ani napisać nic poza tym, co wcześniej szczegółowo zdołał zapamiętać, dowódca plutonu załatwił młodemu, wyróżniającemu się szeregowemu pomoc. Poświęciwszy każdą wolną chwilę na naukę, Chavez pod koniec roku zdał zaoczną maturę - za pierwszym podejściem, jak nie omieszkał

chwalić się każdemu, kto chciał słuchać - i dostał czwarty stopień specjalizacji, co oznaczało też podwyżkę miesięcznego żołdu o pięćdziesiąt osiem i pół dolara. Jego porucznik nie w pełni rozumiał, w przeciwieństwie do dowódcy plutonu, że ten splot sukcesów całkowicie odmienił życie Domingo Chaveza. Wrodzona duma Latynosa została teraz u tego osiemnastoletniego żołnierza wzmocniona poczuciem, że sam zapracował na to wszystko. Poprzysiął sobie, że za to należy się dożgonna wdzięczność armii, zaś głęboko zakorzenione w jego rodzimej kulturze poczucie honoru kazało mu spłacać ten dług solennie do końca życia.

Pewnych nawyków się nie wyzbył. Nadal żywił podziw dla siły fizycznej. Brało się to częściowo z jego wzrostu - zaledwie metr siedemdziesiąt - lecz pojął też, że prawdziwy świat to nie futbolowe boisko: ci najwytrwalsi, którzy najlepiej wytrzymywali katorżnicze ćwiczenia, byli zazwyczaj drobnej, smukłej budowy. Chavez przepadał za biegami i wysiłkiem fizycznym, toteż skierowanie go do siódmej dywizji piechoty było formalnością. Choć baza dywizji znajduje się w Fort Ord koło Monterey na kalifornijskim wybrzeżu, ćwiczenia odbywają się dalej na południe, na poligonie Hunter-Liggett, niegdyś rozległym ranczu rodziny Hear-stów. Okolica, urzekająca pięknem zielonych wzgórz w wilgotne zimy, latem przeobraża się w skwierczący krajobraz księżycowy ze stromymi, łysymi wzniesieniami, pokręconymi, koślawymi drzewami i kruszącą się na pył pod stopami trawą. Tu Chavez czuł się jak w domu.

Przybył jako świeżo upieczony zwykły sierżant piątego stopnia i natychmiast wysłano go na prowadzony przez dywizję dwutygodniowy kurs dowodzenia pododdziałami, czyli szkolenie sierżantów dowodzących drużynami, torując mu drogę do szkoły komandosów w Fort Benning w stanie Georgia. Po powrocie z tego najostrzejszego szkolenia w całej armii Chavez jeszcze bardziej wysmukłał i nabrał pewności siebie.

Powrót do Fort Ord zbiegł się z przyjazdem kohorty rekrutów do jego batalionu. Ding Chavez dostał pod komendę drużynę wypucowanych szeregowców, prosto po zaawansowanym szkoleniu piechoty. Była to dla młodego sierżanta pierwsza okazja spłacenia zaciągniętego długu. Armia zainwestowała w jego szkolenie sporo czasu i wysiłku, teraz nadeszła pora, by on przekazał

nabytą wiedzę dziewięciu świeżym rekrutom - a także pora, by armia przekonała się, czy Chavez sprawdzi się jako dowódca. Objął pieczę nad swoją drużyną jak ojczym licznej i niesfornej rodziny, który podejmuje opiekę nad przybranymi dziećmi. Chciał, żeby coś z nich wyrosło, bo były jego, a ponieważ były jego, on miał dopilnować, aby wyszły na ludzi.

W Fort Ord poznał także tajniki prawdziwej sztuki żołnierskiej, albowiem taktyka piechoty to dla piechura właśnie to - dziedzina sztuki. Przydzielony do kompanii Bravo w trzecim batalionie siedemnastego pułku piechoty, którego cokolwiek ambitna dewiza brzmiała „Ninja! Noc jest nasza!", Chavez szedł na ćwiczenia z twarzą pomalowaną farbą maskującą - w siódmej dywizji nawet piloci helikopterów maskują twarze - i wciąż sam doskonalił swe umiejętności, szkoląc jednocześnie podwładnych.

Nade wszystko pokochał noc. Chavez nauczył się poruszać i prowadzić swoją drużynę pod osłoną nocy tak cichutko, jak szepczący wiatr. Cel takich misji pozostawał

zazwyczaj ten sam. Bez szans w otwartym starciu z ciężką formacją, Chavez uczył się podstępnej, brudnej roboty, typowej dla jednostek lekkiej piechoty: ataków przez zaskoczenie, infiltracji i wypadów zwiadowczych. Zamaskowanie było dla nich środkiem, zaskoczenie narzędziem docierania tam, gdzie ich się najmniej spodziewano, zaciekłego uderzenia z najbliższej odległości, by zaraz zniknąć w mroku nocy, nim przeciwnik zdoła się pozbierać. Te metody Amerykanie poznali kiedyś na własnej skórze, nic dziwnego więc, że uczyli się, jak odplacić pięknym za nadobne. Dość, że sierżant sztabowy Domingo Chavez był teraz człowiekiem, w którym Apacze czy Wietkong rozpoznaliby swego - albo jednego z najgroźniejszych wrogów.

- Hej, Ding! - zawołał dowódca plutonu. - Porucznik chce cię widzieć.

Ta noc na poligonie Hunter-Liggett ciągnęła się długo i skończyła się dwie godziny po brzasku. Ćwiczenia trwały przez prawie dziewięć dni. Nawet Chavez dobrze je poczuł

w nogach. Nie masz już siedemnastu lat - mówiły mu z drwiną obolałe nogi. Pocieszał

się, że to już ostatni ostry trening z ninja. Awansował o szczebel wyżej i przechodził w stopniu starszego sierżanta sztabowego do ośrodka szkolenia podstawowego armii w Fort Benning w stanie Georgia. Chaveza rozpieszczała duma. Armia doceniła jego walory i teraz stawiała za przykład młodym rekrutom. Sierżant wstał, ale zanim poszedł

zameldować się porucznikowi, wyjął z kieszeni gwiazdę do rzucania. Od czasu, kiedy pułkownik nadał swoim ludziom nazwę ninja, stalowe gwiazdy stały się dla nich de rigueur -ku utrapieniu odpowiednich władz. Ale przymykano oczy w przypadku wzorowych żołnierzy, a za takiego uchodził Chavez. Wypuścił gwiazdę błyskawicznym ruchem nadgarstka i zatopił ją na dwa centymetry w pniu drzewa, pięć metrów przed sobą. Wyjął gwiazdę po drodze do szefa.

- Melduję się posłusznie! - powiedział Chavez, stając na baczność.

- Spocznij - rzucił porucznik Jackson. Siedział oparty o drzewo, odciążając obolałe, pokryte pęcherzami stopy. Dwudziestotrzyletni absolwent West Point przekonywał

się, jak trudno dotrzymywać kroku żołnierzom, którym miał wszak przewodzić. -

Dzwonili z bazy. Masz się stawić w sztabie i uzupełnić jakieś papiery w związku z przejściem do Fort Benning. Możesz lecieć z transportem zaopatrzeniowym z naszego poligonu. Śmigłowiec będzie tam za godzinę. Przy okazji, odwaliłeś w nocy kawał

dobrej roboty. Szkoda, że od nas odchodzisz, Ding.

- Dziękuję, panie poruczniku.

Jackson nie był najgorszy jak na młodego oficera, pomyślał Chavez. Zielony jeszcze, ale starał się chłopak i szybko się uczył. Zasalutował z teatralną przesadą młodszemu dowódcy.

- Trzymajcie się, sierżancie - Jackson wstał i zasalutował nienagannie w odpowiedzi.

- Noc jest nasza! - odparł Chavez hasłem ninja, trzeciego batalionu siedemnastego pułku piechoty. Dwadzieścia minut później wszedł na pokład helikoptera Sikorsky UH-60A Blackhawk i poleciał na pięćdziesięć minutową przejażdżkę do Ord. Na pokładzie sierżant kwatermistrz wręczył mu wiadomość. Chavez miał godzinę na ogarnięcie się przed wizytą u zastępcy szefa sztabu do spraw personalnych dywizji.

Długo szorował się pod prysznicem, zmywając sól i barwy wojenne, ale zdążył stawić się przed czasem w swojej najlepszej panterce.

- Cześć, Ding - przywitał go inny sierżant sztabowy, który pracował w kancelarii, kurując złamaną nogę. - Czeka na ciebie w sali konferencyjnej na końcu korytarza na drugim piętrze.

- O co tu chodzi, Charlie?

- Diabli wiedzą. Jakiś pułkownik cię wezwał i tyle.

- Cholera, przydałoby się ściąć kudły - mruczał pod nosem Chavez, wchodząc po drewnianych schodach. Buty też mógłby porządnie wypucować. Wyjdzie na szmacciarza przed pieprzonym pułkownikiem, ale w końcu mogli Chaveza wcześniej zawiadomić o tym spotkaniu. Armia miała tę dobrą stronę, pomyślał sierżant, że przepisy obowiązywały wszystkich jednakowo. Zapukał do właściwych drzwi, zbyt zmęczony, żeby się trapić. I tak stąd niedługo odejdzie. Przejście do Fort Benning miał

już załatwione i tylko zachodził w głowę, jak mu pójdzie z samotnymi kobitkami w Georgii. Właśnie zerwał ze swoją stałą dziewczyną.

Może bardziej ustatkowane życie sierżanta sztabowego pozwoli mu na...

- Wejść! - zagrzmiął głos w odpowiedzi na pukanie. Pułkownik siedział za tanim drewnianym biurkiem. Miał na sobie czarny sweter i plaketkę z nazwiskiem smith.

Ding stanął na baczność.

- Sierżant sztabowy Domingo Chavez melduje się na rozkaz.

- Świetnie, usiądźcie wygodnie, sierżancie. Wiem, że jesteście po wyczerpujących ćwiczeniach. Tam w rogu jest kawa, jeśli macie ochotę.

- Nie, dziękuję, panie pułkowniku. - Chavez usiadł i już prawie się rozluźnił, gdy ze zgrozą spostrzegł na biurku swoją teczkę personalną. Pułkownik Smith wziął ją do ręki i otworzył. Człowiekowi robi się nieswojo, jak mu grzebią w kartotece osobowej, ale pułkownik spojrzał znad papierów z przyjaznym uśmiechem. Chavez spostrzegł, że pułkownik Smith nie ma emblematu jednostki nad plaketką z nazwiskiem, nawet klepsydry z bagnetem, symbolu siódmej dywizji lekkiej piechoty.

Gdzie był jego przydział? Co to za facet?

- Oby więcej takich jak wy, sierzancie. Jesteście na dobrej drodze do siódmego stopnia za dwa, trzy lata. Widzę też, że byliście na południu. Trzy razy, zgadza się?

- Tak jest. Dwa razy w Hondurasie i raz w Panamie.

- I wszystkie trzy razy z wyróżnieniem. Tu jest napisane, że mówicie doskonale po hiszpańsku.

- Bo w tym języku się wychowałem. - Czego domyślał się po jego akcencie każdy, kto go usłyszał. Chciał się dowiedzieć, po co to wszystko, ale sierżant sztabowy nie zadaje takich pytań pułkownikowi. I tak życzenie się zaraz spełniło.

- Sierzancie, montujemy specjalną grupę i zależy nam, żebyście się w niej znaleźli.

- Panie pułkowniku, dostałem dopiero co przeniesienie i...

- Wiem. Szukamy ludzi, którzy łączą dobrą znajomość języków z... nieważne, szukamy najlepszych z najlepszych żołnierzy piechoty. Z waszych papierów wynika, że jesteście wśród najlepszych w całej dywizji.

Były też inne kryteria, o których pułkownik Smith na głos nie wspomniał. Chavez nie był żonaty. Rodzice zmarli. Nie miał bliskiej rodziny, a przynajmniej nie stwierdzono, by często pisał lub dzwonił do kogoś. Nie był wprawdzie ideałem - brakowało mu paru potrzebnych cech - trudno jednak wymagać za dużo.

- To specjalna robota. Może być trochę niebezpieczna ale najprawdopodobniej nie.

Jeszcze nie jesteśmy pewni. Potrwa parę miesięcy, góra sześć. Po wszystkim dostaniecie siódmkę i przydział do wybranej jednostki.

- Na czym ma polegać to specjalne zadanie, panie pułkowniku? - spytał przytomnie Chavez. Perspektywa siódmki o rok czy dwa wcześniej natychmiast wzbudziła jego zainteresowanie.

- Tego nie mogę powiedzieć, sierzancie. Nie lubię werbować ludzi na ślepo - skłamał

pułkownik Smith - ale ja też muszę podporządkować się rozkazom. Mogę tylko zdradzić, że zostaniecie oddelegowani stąd gdzieś na wschód na intensywne szkolenie.

Może na tym się skończy, może nie. Jeśli tak, umowa o awansie i wyborze jednostki dalej obowiązuje. Jeśli nie, prawdopodobnie zostaniecie wysłani tam, gdzie istnieje zapotrzebowanie na wasze szczególne umiejętności. No, mogę wam zdradzić, że chodzi tu o pewną tajną misję wywiadowczą. Nie posyłamy was, broń Boże, do Nikaragui czy czegoś podobnego. Nie ma mowy o żadnej skrytej wojnie.

Formalnie rzecz biorąc stwierdzenie to nie było kłamstwem. Smith nie wiedział

dokładnie, na czym misja polega i nikt mu nie kazał zawracać sobie tym głowy. Dostał

czarno na białym wymagania misji oraz zadanie, z którego już prawie się wywiązał: zwerbowania odpowiadających tym wymaganiom ludzi, cokolwiek mieli robić.

- Tyle wolno mi powiedzieć. Nasza rozmowa nie może wyjść poza ten pokój, co oznacza, że nie wolno wam z nikim rozmawiać na ten temat bez mojej zgody, jasne? -

rzekł stanowczo Smith.

- Jasne, panie pułkowniku!

- Sierżancie, zainwestowaliśmy w was sporo czasu i pieniędzy. Pora spłacić ten dług.

Ojczyzna was potrzebuje, waszej wiedzy i umiejętności.

Takie postawienie sprawy nie pozostawiało Chavezowi wyboru. Smith też o tym dobrze wiedział. Minęło około pięciu sekund, nim młody człowiek odpowiedział, i tak nadspodziewanie szybko.

- Kiedy wyjeżdżam, panie pułkowniku?

Smith przeszedł natychmiast do rzeczy. Wyciągnął ze środkowej szuflady biurka dużą brązową kopertę z nazwiskiem Chavez napisanym fosforyzującym mazakiem.

- Sierżancie, pozwoliłem sobie dopełnić już za was pewnych formalności. Mam tu waszą kartę zdrowia i rozliczenia finansowe. Udało mi się załatwić większość spraw w garnizonowej administracji. Wypełniłem też w formularzu ograniczone pełnomocnictwo, żeby wiadomo było, gdzie przesać wasze rzeczy osobiste - w rubryce „do” na formularzu.

Chavez skinął potwierdzająco, choć poczuł lekki zawrót głowy. Kimkolwiek był ten pułkownik Smith, musiał mieć niezłe wejścia, skoro w takim tempie uporał się z legendarną wojskową biurokracją. Zwolnienie z garnizonu zazwyczaj trwało dobrych pięć dni siedzenia i czekania. Wziął kopertę z rąk pułkownika.

- Spakujcie się i stawcie się tutaj punktualnie o osiemnastej. Nie trzeba się strzyc.

Niech włosy jeszcze trochę podrosną. Uprzedzę wartownię na dole. I pamiętajcie: nasza rozmowa zostaje między nami. Gdyby się ktoś pytał, dostaliście rozkaz stawienia się w Fort Benning trochę wcześniej. Każdy w to uwierzy i trzymajcie się tej wersji.

Pułkownik Smith wstał, wyciągnął dłoń i na pożegnanie powiedział jeszcze jedno kłamstwo, z domieszką prawdy.

- Dokonałiście słusznego wyboru. Wiedziałem, że można na was liczyć, Chavez.

- Noc jest nasza!

- Możecie odejść.

Pułkownik Smith włożył teczkę osobową do swojej dyplomaty. Załatwione.

Większość zwербowanych jechała już do Kolorado. Chavez był jednym z ostatnich.

Smith zastanawiał się, czy wszystko pójdzie tak gładko. Naprawdę nazywał się Edgar Jeffries i przed laty był oficerem w armii, później długo współpracował z Centralną Agencją Wywiadowczą, by wreszcie zostać jej stałym pracownikiem. Żywił nadzieję, że akcja się powiedzie, chociaż za długo siedział w Agencji, żeby żyć nadzieją. Nie był

to jego pierwszy werbunek do misji specjalnych. Nie wszystkie się udały, a jeszcze mniej przebiegło zgodnie z planem. Z drugiej strony Chavez i inni na ochotnika wstąpili do wojska, z własnej i nieprzymuszonej woli zostali w armii oraz dobrowolnie przyjęli jego propozycję spróbowania czegoś nowego. Świat był niebezpiecznym miejscem, a tych czterdziestu mężczyzn podjęło świadomą decyzję uprawiania jednego z bardziej niebezpiecznych na tym świecie zawodów. Tak się pocieszał Edgar Jeffries, a ponieważ miał jeszcze sumienie, potrzebował pocieszenia.

- Powodzenia, sierżancie - powiedział szeptem do siebie. Chavez miał ciężki dzień.

Przebrawszy się w cywilne ubranie, wyprał

mundur polowy i ekwipunek, potem poskładał sprzęt, który zostawiał na miejscu.

Musiał go wyczyścić na glanc, bo wszystko trzeba zdać w lepszym stanie niż się wzięło, czego wymagał starszy sierżant Mitchell. Kiedy reszta plutonu przybyła z Hunter-Liggett o godzinie trzynastej, kończył już przygotowania. Krzątania nie uszła uwagi powracających podoficerów i wkrótce pojawił się zaintrygowany dowódca plutonu.

- Dlaczego się spakowałeś, Ding? - spytał Mitchell.

- Potrzebują mnie wcześniej w Benning... i, no właśnie, dlatego wezwali mnie rano z poligonu.

- Porucznik wie?

- Musieli mu chyba powiedzieć... a już na pewno zawiadomili szefa kompanii, nie?

Chavezowi zrobiło się głupio. Przykro mu było okłamywać dowódcę plutonu. W

Bobie Mitchellu miał przyjaciela i nauczyciela przez prawie cztery lata w Ford Ord.

Ale rozkazy wydał pułkownik.

- Ding, jednego się jeszcze musisz nauczyć, mianowicie papierkowej roboty. Chodź, stary. Porucznik jest w swoim gabinecie.

Porucznik piechoty Timothy Washington Jackson jeszcze się nie zdążył porządnie umyć, ale już szykował się do wyjścia do domu w kwaterach dla samotnych oficerów, nazywanych eskami. Zobaczył ze zdumieniem dwóch ze swoich starszych podoficerów.

- Poruczniku, Chavez biorą wcześniej do Fort Benning i to natychmiast. Wyjeżdża dzisiaj wieczorem.

- Słyszałem. Dzwonili przed chwilą z kancelarii batalionu. Co im strzeliło? Tak się nie załatwia sprawy - narzekał Jackson. - O której?

- Osiemnasta zero zero, panie poruczniku.

- Kapitalnie. Muszę iść się ogarnąć i pogadać z S-3. Sierzancie Mitchell, możecie załatwić obiegówkę?

- Rozkaz, panie poruczniku.

- Dobra. Wrócę tu o siedemnastej, żeby zakończyć sprawę. Chavez, zostańcie na miejscu do mojego powrotu.

Reszta popołudnia upłynęła szybko. Mitchell ochoczo przystał na wysyłkę rzeczy -

dużo tego nie było - i odprawił młodszego kolegę, nie omieszkawszy pouczyć go, jak trzeba sobie radzić z papierkami. Porucznik Jackson wrócił punktualnie i poprosił obu do swojego gabinetu. Nic nie zakłócało im spokoju. Większość plutonu czym prędzej udała się na dobrze zasłużony nocny wypad do miasta.

- Ding, niezbyt jestem przygotowany na twoje odejście. Jeszcze nie podjęliśmy decyzji, kto przejmie waszą drużynę. Wspominaliście o Ozkanie, sierzancie Mitchell?

- Tak. Co wy na to, Chavez?

- Jest prawie gotów - zawyrokował Ding.

- No cóż, damy kapralowi Ozkanianowi szansę. Udało się wam, Chavez - zmienił

temat porucznik Jackson. - Uporałem się z papierami, zanim pojechaliśmy na ćwiczenia. Chcecie przejrzeć ze mną waszą cenzurkę?

- Wystarczą tylko najlepsze oceny, panie poruczniku - zaśmiał się Chavez. Porucznik go lubił i Chavez o tym wiedział.

- Napisałem o was same dobre rzeczy i w dodatku prawdziwe. Szkoda się was pozbywać tak szybko. Podrzucić was samochodem? - spytał Jackson.

- Nie ma sprawy. Chciałem iść pieszo.

- Pieprzenie w bambus. Dość się nałaziliśmy w nocy. Załaduj rzeczy do mojego auta -

porucznik rzucił mu kluczyki. - Coś jeszcze, sierżancie Mitchell?

- Nic, co by nie mogło poczekać do poniedziałku. Chyba zasłużyliśmy na miły, spokojny weekend.

- Jak zwykle, wasze zdanie nie podlega dyskusji. Odwiedził mnie mój brat i będę tu dopiero w poniedziałek o szóstej.

- Tak jest. Życzę dobrej zabawy, panie poruczniku.

Chavez nie miał dużo osobistych maneli i, rzecz niespotykana, nie miał nawet samochodu. Oszczędzał na chevroleta corvette, auto jego marzeń od dzieciństwa, i brakowało mu jeszcze niespełna pięciu tysięcy dolarów, żeby zapłacić gotówką.

Załadował już bagaż na tył hondy Jacksona, gdy z koszar przyszedł porucznik. Chavez rzucił mu kluczyki.

- Gdzie macie czekać?

- U szefa sztabu do spraw kadrowych, tak mi powiedzieli.

- Dlaczego tam? Dlaczego nie w Martinez Hall? - spytał Jackson, zapalając silnik.

Martinez służył zazwyczaj jako miejsce odpraw.

- Panie poruczniku, idę tam, gdzie mi każą. Jackson skwitował to śmiechem.

- Czyż nie odnosi się to do nas wszystkich?

Jechali zaledwie dwie minuty. Jackson uściśnął Chavezowi rękę na pożegnanie. Przed budynkiem czekało jeszcze pięciu innych żołnierzy - spostrzegł mimochodem porucznik. Wszyscy w stopniu sierżanta, co go trochę zaskoczyło. Wszyscy też wyglądali na Latynosów. Dwóch znał. Leon był w plutonie Bena Tuckera z czwartej kompanii siedemnastego pułku, a Munoz z oddziału zwiadowczego dywizji. Obaj także się wyróżniali. Porucznik Jackson wzruszył ramionami i odjechał.

Rozdział 3

SPRAWIEDLIWOŚĆ „PANACHE”

udał się na obchód przed obiadem, a nie jak zazwyczaj po. Nie miał powodów do narzekania. Bosman Riley go uprzedził. Poza kilkoma puszkami z farbą i pędzlami, odłożonymi tylko na chwilę - malowanie statku to praca, która nie ma początku ani końca, po prostu trwa

- pokład był czysty. Działko skierowano do wewnątrz i zabezpieczono jak należy, tak samo łańcuchy kotwiczne. Liny ratunkowe były naprężone, a luki szczelnie zamknięte przed spodziewanym wieczornym sztormem. Tu i ówdzie marynarze odpoczywali po służbie, czytając i wygrzewając się na słońcu. Zerwali się na równe nogi, gdy Riley ryknął komendę: „Załoga, baczność!” Jeden ze starszych marynarzy czytał „Playboya”.

Wegener ostzegł go życzliwie, żeby z tym uważał podczas następnego rejsu, bo do załogi miało za niespełna dwa tygodnie dołączyć trzech oficerów płci odmiernej, których nie należy urażać. To, że na „Panache” nie służyły jeszcze kobiety, stanowiło anomalię statystyczną. Wegener nie obawiał się tej zmiany, w przeciwieństwie do co najmniej sceptycznych bosmanów. Powstał też problem, kto kiedy ma korzystać z sanitariatów, bowiem projekt kutra nie przewidywał damskiej załogi. Po raz pierwszy dzisiaj Red Wegener uśmiechnął się. Kłopoty z kobietami na pokładzie... i uśmiech zgasł, gdy przypomniały mu się obrazy z nakręconej na jachcie kasety. Te dwie kobiety... nie, kobieta i mała dziewczynka... Też wypłynęły w morze.

Wciąż o tym myślał.

Wegener rozejrzał się wokół i spostrzegł pytające twarze ludzi z załogi. Kapitana coś wkurzyło. Nie wiedzieli, o co chodzi, ale wiedzieli, że lepiej nie być w pobliżu szefa, gdy go coś gryzło. Ale zaraz się rozchmurzył. Kapitan zadał sobie pytanie, pomyśleli.

- Na razie wszystko gra, chłopcy. Oby tak dalej. - Pokiwał głową i poszedł do swojej kabiny. Wezwał do siebie bosmana Orezę.

Przybył za minutę. Rozmiary „Panache” nie pozwalały na dłuższe przechodzenie z miejsca na miejsce.

- Jestem, kapitanie.

- Zamknij drzwi, Dniówka, i usiądź sobie.

Starszy bosman nawigator pochodził z Portugalii, ale mówił z akcentem z Nowej Anglii. Podobnie jak Bob Riley, był marynarzem doskonałym i tak jak kapitan, także wybornym nauczycielem. Całe pokolenie oficerów Straży Przybrzeżnej nauczyło się posługiwać sekstansem od tego smagłego, potężnego zawodowca. To właśnie tacy jak on, Manuel Oreza, naprawdę utrzymywali straż na poziomie i Wegener czasami żałował, że opuścił ich szeregi dla oficerskiego stopnia. Ale przecież nie rozstał się z nimi na dobre, a prywatnie Wegener i Oreza byli na ty.

- Widziałem taśmę z abordażu, Red - zaczął Oreza, czytając w myślach kapitana. -

Trzeba było pozwolić Rileyowi złamać skurwiela na pół.

- Nie wolno nam tak postępować - powiedział Wegener bez przekonania.

- Piractwo, morderstwo i gwałt... dorzuć do tego narkotyki, żeby było śmieszniej. -

Oreza wzruszył ramionami. - Wiem, co trzeba z takimi robić. Szkoda tylko, że nikt tego nie robi.

Wegener wiedział, o co mu chodzi. Choć nowo uchwalone prawo dopuszczało karę śmierci za morderstwo powiązane z narkotykami, odwoływano się do niego bardzo rzadko. Szkopuł w tym, że każdy aresztowany handlarz narkotyków znał kogoś jeszcze wyżej, kto stanowił bardziej pożądany cel, a prawdziwe grube ryby ustawiały się poza zasięgiem rzekomo długiego ramienia prawa. Federalni stróże porządku byli może wszechmocni na obszarze Stanów, a Straż Przybrzeżna miała szerokie uprawnienia na morzu - nawet do tego stopnia, że wolno jej było wedle uznania stosować abordaż i przeszukiwać statki pod obcą banderą - ale uprawnienia te miały swoje granice. Trudno się temu dziwić. Wróg dobrze znał te ograniczenia i bez trudu je wykorzystywał. Toczyła się gra, w której ścisłe reguły obowiązywały tylko jedną stronę, druga swobodnie zmieniała je w zależności od sytuacji. Grube ryby trzymały się bez trudu w bezpiecznej odległości, bo zawsze miały pod dostatkiem płotek, którym zlecały co ryzykowniejsze zadania, zwłaszcza że ich wynagrodzenie o niebo przewyższało żołd każdej armii w historii. Ci groźni i sprytni frontowi żołnierze utrudniali walkę - ale nawet jeśli się ich złapało, zawsze mieli informacje do sprzedania w zamian za złagodzenie kary.

W rezultacie nikt w pełni nie płacił za zbrodnie. Oprócz ofiar, rzecz jasna. Rozmyślania te przerwało Wegenerowi coś jeszcze gorszego.

- Wiesz co, Red? Tych dwóch łajdaków może się z tego w ogóle wymigać.

- Co ty wygadujesz, Dniówka? Nie chcesz chyba...

- Moja najstarsza studiuje prawo, kapitanie. Chcesz, to ci powiem, co się może stać.

- Mów.

- Bierzemy tych ptaszków do portu... właściwie helikopter przetrzuci ich jutro... i oni żądają adwokata, nie? Wystarczy oglądać amerykańską telewizję, żeby to przewidzieć.

Powiedzmy, że do tej pory trzymają język za zębami. A potem adwokat gada, że jego klienci zobaczyli wczoraj dryfujący jacht i weszli na pokład. Statek, którym podpłynęli, wrócił tam, skąd wypłynął, a oni postanowili doprowadzić jacht do portu i wziąć dołę za uratowanie statku. Nie używali radia, bo nie wiedzieli, jak działa. Widziałeś to чудо na taśmie? Jedna z tych zabaweczek ze sterowanym komputerowo radarkiem i instrukcją na sto stron. A nasi przyjaciele ni w ząb po angielsku nie czytają. Świadek z łodzi rybackiej potwierdzi

część zeznań. To jakieś potworne nieporozumienie. Wtedy prokurator w Mobile widzi, że sprawa nie jest taka pewna i nasi chłopcy wylizują się z dużo słabszym oskarżeniem.

Tak działa prawo.

- Aż trudno uwierzyć.

- Nie mamy ciał. Nie mamy świadków. Mamy na jachcie broń, ale jak udowodnisz, że to oni strzelali? To wszystko poszlaki. - Oreza uśmiechnął się gorzko. - Córka zrobiła mi dobry wykład, jak to wszystko działa" Załatwią sobie jelenia, który potwierdzi ich wersję, jak się dostali na pokład.

Kogoś czystego, nienotowanego. I oto nagle jedyni prawdziwi świadkowie są po drugiej stronie, a my, z czym do gościa, Red? Dostaną jakiś gówniany wyrok i na tym koniec.

- Ale jeśli są niewinni, to dlaczego...

- Są tacy małomówni? Nic prostszego. Obcy okręt z działami podpływa do nich i wysyła im na pokład uzbrojonych po zęby facetów, którzy celują im w czachy i tarmoszą, a oni mają takiego pietra, że boją się gęby otworzyć. Tak powie adwokat, głowę daję. Nie, nie puszcza ich od razu, ale prokurator tak się przestraszy przegrania sprawy, że poszuka najłatwiejszego wyjścia. Nasi chłopcy dostaną rok czy dwa pudła, a potem darmowe bilety do domciu.

- Ale to mordercy.

- Czyja mówię, że nie? Żeby się wylizać, wystarczy być sprytnym mordercą. I mogą jeszcze wymyślić inne bzdury. Moja córka przekonała mnie, że wbrew pozorom to nie są takie proste sprawy. Tak jak mówiłem, trzeba było zostawić w spokoju Boba, a on załatwiłby gnojów. Chłopcy by ciebie poparli, kapitanie. Szkoda, że nie słyszysz, co o tym gadają.

Kapitan Wegener chwilę milczał. Oreza chyba miał rację. Marynarze nie zmienili się przez te lata. Na plaży wychodzili ze skóry, żeby tylko zdjąć majtki każdej dziewczynie na widoku, ale co do morderstwa i gwałtu chłopcy podzielali poglądy starych. Czasy wcale się tak bardzo nie zmieniły. Mężczyźni wciąż byli mężczyznami. Wiedzieli, co to znaczy sprawiedliwość, w przeciwieństwie do sądów i prawników.

Wegener zastanowił się nad tym. Po chwili wstał i podszedł do swojej biblioteki. Obok nowego wydania Kodeksu prawa wojskowego i Podręcznika sądu wojskowego na półce stała o wiele starsza książka, znana powszechniej pod popularnym niegdyś tytułem Skaty i mielizny, stara księga przepisów, której pierwodruki sięgały XVIII wieku i którą wyparł KPW wkrótce po II wojnie światowej. Książka Wegenera była zabytkiem. Znalazł ją pokrytą kurzem w tekturowym pudle przed piętnastu laty na starej przystani w Kalifornii. Egzemplarz ten pochodził z 1879 roku, gdy obowiązywało jeszcze inne prawo. Świat był wówczas bezpieczniejszy, pomyślał

kapitan. Nietrudno zrozumieć, dlaczego. Wystarczyło przeczytać ówczesne przepisy...

- Dzięki, Dniówka. Muszę jeszcze popracować. Przyjdź do mnie z Rileyem o piętnastej.

Oreza wstał.

- Tak jest, kapitanie.

Nawigator zastanawiał się, za co też kapitan mu dziękował. Umiał czytać myśli swojego starego, ale tym razem mu nie wyszło. Wiedział, że coś tam się kołacze, tylko nie miał pojęcia, co. Ale miał pewność, że się dowie o piętnastej. Nie paliło się.

Kilka minut później Wegener jadł obiad z oficerami. Siedział na końcu stołu i w milczeniu przeglądał komunikaty radiotelegraficzne. Jego oficerowie byli młodzi i nieskrępowani. Prowadzili, jak co dzień, ożywione rozmowy przy stole. Temat dnia był oczywisty, a Wegener nie wtrącał się i

spokojnie przerzucał żółte kartki wydruków. Myśl, która przyszła mu do głowy w kabinie, nabierała kształtu. Wyważał

w milczeniu wszystkie plusy i minusy. Co mu mogą zrobić? Niewiele, osądził. Czy załoga go poprze?

- Oreza mówił, że dawniej mieli sposoby na takich skurwieli - odezwał się podporucznik przy drugim końcu stołu. Zawtórował mu chór przytakujących pomruków.

- Do dupy z takim postępem - zauważył inny. Dwudziestoczteroletni oficer nie wiedział, że właśnie podjął decyzję za swojego dowódcę.

Z załogą nie będzie problemów, pomyślał Wegener. Spojrzał znad wydruków na twarze swoich oficerów. Jego wysiłki nie poszły na marne. Miał ich dopiero dziesięć miesięcy, a spisywali się już tak doskonale, jak mógłby wymarzyć sobie niejeden dowódca. Z żalosego, przygnębionego tłumu, jaki zastał w stocznii, przeobrazili się w tryskającą entuzjazmem załogę. Dwóch zapuściło wąsy, żeby wyglądać jak przystało na prawdziwych marynarzy. Siedzieli rozparci na twardych krzesłach, promieniejąc doświadczeniem i wiedzą. Dumni byli ze swojego statku i dumni ze swojego kapitana.

Poprą go. Red włączył się do rozmowy, żeby się jeszcze upewnić, sprawdzić siłę wiatru, zdecydować, kto weźmie udział, a kto nie.

Skończył obiad i wrócił do swojej kabiny. Papierkowa robota wciąż na niego czekała.

W zawrotnym tempie uporał się z nią, by jak najprędzej otworzyć księgę Skały i mielizny. Punktualnie o piętnastej przybyli Oreza i Riley. Przedstawił im swój plan.

Zrazu zdumieni, szybko się przyłączyli.

- Riley, zanieś to naszym gościom. Jeden z nich zgubił to na mostku. - Wegener wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. - W pierdłu chyba jest wentylacja, co?

- Jasne, że jest - odparł zaskoczony bosman. Nic nie wiedział o calvertach.

- Zaczynamy o dwudziestej pierwszej - rzekł kapitan.

- W sam raz jak dojdzie do nas nawałnica - zauważył Oreza. - Należy im się, Red.

Chyba nie trzeba ci mówić, że musisz uważać, jak...

- Wiem, Dniówka. Co to za życie bez odrobiny ryzyka? - spytał z uśmiechem.

Riley wziął się do dzieła. Podszedł do drabiny, opuścił się o dwa poziomy niżej, skierował kroki ku rufie, aż wreszcie dotarł do paki. Dwóch rzezimieszków siedziało w kwadratowej klatce trzy na trzy metry. Leżeli na kojach. Może przed chwilą rozmawiali, ale umilkli, gdy otworzyły się drzwi do ich przybytku. Bosmanowi przyszło do głowy, że można by przecież ukryć w pierdłu mikrofon, ale przedstawiciel okręgowej prokuratury kiedyś wyjaśnił, że instalacja podsłuchu byłaby sprzeczna z konstytucyjnymi prawami obywatelskimi albo przepisami dotyczącymi abordażu z przeszukaniem czy

jakimiś innymi prawniczymi pierdołami, pomyślał bosman.

- Ty, miglanc! - krzyknął. Ten na dolnej koi, ten sam, którego przewiesił przez reling na mostku, odwrócił głowę, żeby zobaczyć, kto przyszedł. Na widok bosmana oczy mu się rozszerzyły. - Żarcie już dostali?

- spytał bosman.

- Tak - padła odpowiedź z wyraźnym, ale dziwnym akcentem.

- Zgubiliście fajki na mostku - Riley cisnął paczkę przez kraty. Upadła na pokład i Pablo - bosman sądził, że pasuje do niego imię Pablo -podniósł ją natychmiast z zaskoczonym wyrazem na twarzy.

- Dziękuję - odpowiedział więzień.

- Nie ma za co. I nie wychodźcie mi nigdzie bez pozwolenia, jasne?

- Riley oddalił się z chichotem.

Paka jak się patrzy. W tej części projektanci zadbali o każdy szczegół, pomyślał

bosman. Nawet o sraczu nie zapomnieli. To drażniło Rileya. Cela więzienna na kutrze Straży Przybrzeżnej. Hm. Ale dzięki temu przynajmniej nie trzeba było dwóch strażników do pilnowania cwaniaków. Jeszcze nie, Riley uśmiechnął się do siebie.

Szykuje się dla was, chłopcy, duża niespodzianka.

Pogoda na morzu zawsze robi wrażenie, czy to przez imponujące zmiany bezmiaru jednolitej powierzchni, czy też dlatego, że człowiek świadom jest groźnej potęgi tych zmian w porównaniu z lądem. Księżyc w kwadrze pozwalał Wegenerowi tej nocy obserwować zbliżający się

z prędkością ponad czterdziestu kilometrów na godzinę front burzowy. Wiatry dochodziły do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a w porywach osiągały nawet dwa razy tyle. Z doświadczenia wiedział, że łagodne metrowe falki, które pruł

„Panache”, wkrótce zmienią się w miotane z obłądną wściekłością, rozpryskujące się na wszystkie strony bałwany. Nic strasznego, ale jazda będzie urozmaicona. Niektórzy z nowicjuszy rychło pożałują obfitego obiadu. Cóż, tego też trzeba się nauczyć. Morze nie rozpieszczało obżartuchów.

Wegener z radością witał sztorm. Nie dość, że stwarzał odpowiedni do jego planu nastrój, to na dodatek był świetnym pretekstem do przeegzaminowania żółtodziobów na wachcie. Chorąży O'Neil nie sterował jeszcze statkiem podczas burzy i dzisiaj miał

okazję się wykazać.

- Ma pan kłopoty? - spytał kapitan podoficera.

- Nie, panie kapitanie.

- Dobra, ale niech pan pamięta, że w razie czego jestem w kabinie oficerskiej.

Jeden ze stałych rozkazów Wegenera brzmiał: „Żadnemu oficerowi włos z głowy nie spadnie za wezwanie kapitana na mostek. Nawet jeśli zechcesz tylko sprawdzić, która godzina: Wezwij mnie!” Była to usprawiedliwiona przesada. Wolał dmuchać na zimne, bo inaczej oficerowie mogliby tak obawiać się przeszkodzić kapitanowi, że raczej wrąbaliby się w tankowiec, byle tylko nie zakłócać mu snu - i tym samym skończyli jego karierę. „Dobrego oficera poznać po tym - powtarzał z uporem Wegener swoim uczniom - że gotów jest przyznać się, czego jeszcze nie umie”.

O'Neil skinął głową. Obaj wiedzieli, że nie ma się czego obawiać. Tylko że chłopak jeszcze nie przekonał się na własnej skórze, że statek prowadzi się trochę inaczej przy bocznym wietrze. Ale w razie czego bosman Owens był pod ręką. Wegener odszedł na rufę i szef wachty ogłosił: Kapitan zszedł z mostku.

W mesie poborowi marynarze zasiedli do oglądania filmu. Dostali nową kasetę z zastrzeżeniem „Tylko dla dorosłych” na plastikowym pudełku. Riley pomyślał o wszystkim. Spora dawka golizny przykuje ich uwagę na parę godzin. Ten sam film mogli obejrzyć w swojej kabinie podoficerowie; wszak mieli podobne potrzeby, ale tej nocy nie dane im będzie ich zaspokoić.

Nadciągający sztorm powstrzyma ludzi od wychodzenia na otwarty pokład. Hałas też nie zaszkodzi. Wegener uśmiechał się do siebie, otwierając drzwi do kabiny oficerskiej.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem.

- Jesteśmy gotowi? - spytał kapitan.

Początkowa fala entuzjazmu opadła. Rzeczywistość nieco ludzi otrzeźwiła. Tego należało się spodziewać, pomyślał Wegener. Młodym powrócił rozsądek, ale też nie wycofali się. Czekali na parę słów zachęty i usłyszeli je.

- Wszyscy gotowi - odezwał się Oreza z dalszego końca stołu. Oficerowie jak jeden mąż potwierdzili słowa bosmana. Red podszedł

do swojego miejsca pośrodku stołu. Spojrzał na Rileya.

- Przeprowadź ich tu.

- Już się robi, kapitanie.

Bosman opuścił mesę i zszedł na dół do paki. Otwierając tym razem drzwi, poczuł

gryzący smród i w pierw pomyślał, że w składzie lin tli się ogień, ale w mig spostrzegł

prawdziwą przyczynę.

- Hołota - mruknął z obrzydzeniem. Na moim statku! - Wstawaj palancie! - ryknął i dodał: - Jeden i drugi!

Ten na dolnej koi pstryknął niedopałek do klozetu i wstał ociężałe z aroganckim uśmieszkiem. W odpowiedzi Riley też wyszczerzył zęby i pokazał im klucz. Uśmiech na twarzy Pabla zmienił się, ale nie zgasł.

- Idziemy na spacer, dzieci.

Bosman wyjął kajdanki. Łatwo poradziłby sobie z nimi, zwłaszcza nabuzowanymi, ale kapitan dał wyraźne rozkazy. Riley włożył ręce przez kraty i przyciągnął jednego do siebie. Na poparty brutalnym szarpnięciem rozkaz więzień obrócił się i pozwolił się skuć. Drugi też. Brak oporu zdumiał bosmana. Następnie Riley otworzył klatkę i kazał

im wyjść. Kiedy Pablo przechodził przez drzwi, Riley wyciągnął mu z kieszeni paczkę i nie wpadłszy na lepszy pomysł, rzucił ją z powrotem na dolną koję.

- Jazda!

Riley chwycił obu za ramiona i wyprowadził. Szli chwiejnym krokiem - wzmożone kiwanie statku robiło swoje, ale to nie jedyny powód. Dopiero po trzech, czterech minutach dobrnęli do kabiny oficerskiej.

- Proszę więźniów o zajęcie miejsc - ogłosił Wegener. - Sąd rozpoczyna obrady.

Obaj zamarli na dźwięk tych słów, co dało wszystkim dużo do myślenia. Po chwili Riley doprowadził ich na miejsca przy stole obrony. Ciężko jest znosić wyczekujący wzrok towarzysza niedoli w milczeniu, zwłaszcza widząc, że coś się święci, ale nie wiadomo, co. Ten wyższy przerwał ciszę po dłuższej chwili.

- Co jest grane?

- Proszę pana - odparł z namaszczeniem Wegener - przystępujemy do sesji sądu wojennego w trybie doraźnym. - Odpowiedzieli mu tylko zdumionym wzrokiem.

Mówił dalej. - Proszę prokuratora wojskowego o odczytanie aktu oskarżenia.

- Panie przewodniczący, Wysoki Sądzie. Oskarżonym zarzuca się piractwo, gwałt i morderstwo, z artykułu jedenastego prawa wojennego. Za każdą z tych zbrodni oskarżonym grozi kara śmierci. Szczegóły: oskarżonym zarzuca się, że dnia czternastego bieżącego miesiąca lub wcześniej weszli na pokład motorowego jachtu

„Empire Builder”; że na pokładzie rzeczonoego jachtu zamordowali czworo ludzi, to jest właściciela i

jednocześnie kapitana, jego żonę i dwójkę ich dzieci; że oskarżeni uprzednio zgwałcili żonę i córkę właściciela, a następnie poćwiartowali zwłoki i pozbyli się ofiar przed naszym wejściem na pokład, piętnastego dnia bieżącego miesiąca rano. Postępowanie wykaże, iż zarzucane tu oskarżonym czyny miały miejsce w trakcie operacji przemytu narkotyków. Morderstwo popełnione w związku z handlem narkotykami podlega karze śmierci według kodeksu karnego Stanów Zjednoczonych, z uzupełnieniami. Także morderstwo popełnione w trakcie aktu piractwa i gwałt w trakcie aktu piractwa podlegają najwyższemu wymiarowi kary z artykułów prawa wojennego. Jak Wysokiemu Sądowi wiadomo, piractwo jest przestępstwem z ius gentium i podlega jurysdykcji zainteresowanej wojennej jednostki pływającej. Poza tym, jak wcześniej zaznaczyłem, morderstwo podczas aktu piractwa podlega karze śmierci. Choć jako jednostka Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych posiadamy de hire prawo do abordażu i aresztu każdej jednostki pod banderą amerykańską, powoływanie się na to prawo nie jest w tym przypadku konieczne. Przeto trybunał ten może skazać więźniów, a w razie konieczności wykonać wyrok. Prokurator, działając w zgodzie z powyższymi przepisami, domaga się niniejszym kary śmierci dla oskarżonych.

- Dziękuję - rzekł Wegener, zwracając się do ławy obrony. - Czy podsądni zrozumieli skierowane przeciw nim oskarżenia?

- Że co?

- Prokurator właśnie ogłosił, że stanęliście przed trybunałem wojennym pod zarzutem piractwa, gwałtu i morderstwa. Jeśli sąd uzna, że jesteście winni zarzucanych wam czynów, zadecyduje, czy wykonać wyrok, czy też nie. Macie prawo do skorzystania z porad obrońcy. Siedzący obok was porucznik Alison jest waszym oficerem-obrońcą.

Zrozumieliście?

Upłynęło kilka sekund, zanim do tego większego dotarły słowa Wegenera, ale w końcu przytaknął.

- Czy obrona zrzeka się prawa do pełnego odczytania szczegółowego aktu oskarżenia z dokumentacją?

- Tak, panie przewodniczący. Panie przewodniczący, obrona wnosi o odrębne osądzenie obu przypadków i zwraca się z prośbą o zgodę Wysokiego Sądu na rozmowę z klientami.

- Panie przewodniczący, zgłaszam protest! Prokurator nie wyraża zgody na dwa osobne procesy.

- Argumenty? - spytał kapitan. - Najpierw obrona.

- Panie przewodniczący. Jako że w grę wchodzi, jak zaznaczył mój szanowny przedmówca, najwyższy wymiar kary, proszę Wysoki Sąd o zgodę na wszystkie możliwe w tych okolicznościach środki obrony i...

Wegener przerwał mu uniesioną ręką.

- Obrona słusznie zauważa, iż w przypadkach najwyższego wymiaru kary obrońcom przysługują zazwyczaj szczególne względy. Sąd uznaje argumentację obrony za uzasadnioną i przyjmuje wniosek. Sąd również przyznaje obrońcy pięć minut na rozmowę z klientami. Sąd także sugeruje, żeby obrona raczyła skłonić swoich klientów do podania sądowi swoich danych.

Porucznik zaprowadził skutych wciąż więźniów do rogu kabiny i rozpoczął cichą rozmowę.

- Jestem porucznik Alison i chcąc nie chcąc, muszę ratować waszą parszywą skórę. Na początek, gadajcie, do cholery, jak się nazywacie!

- Co to za kino? - spytał ten wyższy.

- To kino to trybunał wojskowy. Jesteś pan na morzu i jeśli wam nikt jeszcze nie powiedział, kapitan amerykańskiej jednostki wojennej może robić co mu się żywnie podoba. Nie trzeba było go wkurwiać.

- No i co?

- To, że odbywa się wasz proces, baranie! Wiesz, sędzia, ława przysięgłych i te rzeczy.

Mogą was skazać na śmierć i wykonać wyrok od razu, tu na statku.

- Gówno prawda!

- Jak się nazywasz, do cholery?

- Spadaj - odparł z pogardą wysoki.

Ten drugi nie był taki pewny siebie. Porucznik podrapał się w głowę. Zauważył to siedzący sześć metrów dalej kapitan Wegener.

- Co robiłeś, do diabła, na tym jachcie?

- Chcę prawdziwego adwokata!

- Nie rozumiesz, ciołku, że ja jestem waszym pierwszym i ostatnim adwokatem w tej sprawie?

Wysoki nie uwierzył, co było przewidziane w planie. Obrońca z urzędu zaprowadził klientów z powrotem na miejsce.

- Sąd wznawia obrady - oznajmił Wegener. - Czy obrona chce złożyć oświadczenie?

- Wysoki Sąd zechce przyjąć do wiadomości, że obaj podsądni wolą nie ujawniać swoich nazwisk.

- Sąd z przykrością przyjmuje oświadczenie obrony i wolę oskarżonych. Na czas procesu proponuję nazywać oskarżonych John Doe i James Doe. - Wegener wskazał, który jest który. - Sąd proponuje

zacząć od rozprawy przeciwko Johnowi Doe. Czy są sprzeciwy? Nie ma. Proszę prokuratora wojskowego o przedstawienie sprawy.

Prokurator wygłosił dwudziestominutową mowę, wzywając tylko jednego świadka, starszego bosmana Riley'a, który zdał relację z abordażu i opatrzył barwnym komentarzem film nakręcony na pokładzie jachtu.

- Czy oskarżony coś mówił?

- Nie.

- Czy świadek może opisać zawartość tej torby z materiałem dowodowym? - spytał

następnie oskarżyciel.

- Wysoki Sądzie, o ile mi wiadomo, to się nazywa tampon. Wszystko wskazuje na to, że był używany - powiedział z zakłopotaniem Riley.

- Znalazłem go pod stolikiem w głównym salonie, blisko plam krwi, tych dwóch, które widać na zdjęciu. Ja sam, jakby to powiedzieć, nie używam tych rzeczy, Wysoki Sądzie, ale jak wiem z doświadczenia, to kobiety nie zostawiają ich na podłodze. Z

drugiej strony, gdyby ktoś chciał zgwałcić kobietę, ta rzecz stałaby mu na przeszkodzie, że się tak wyrażę, i wtedy pewnie usunąłby to i rzucił, żeby... tego...

popęłnić gwałt. Z miejsca, gdzie to znalazłem i gdzie są plamy, można się łatwo domyślić, co tam zaszło, Wysoki Sądzie.

- Nie mam więcej pytań. Podtrzymuję oskarżenie.

- Zgoda. Zanim przemówi obrońca, sąd chciałby wiedzieć, czy obrona zamierza powołać innych świadków oprócz oskarżonego.

- Nie, panie przewodniczący.

- Dobrze. Sąd będzie teraz rozmawiał bezpośrednio z oskarżonym.

- Wegener odwrócił się do więźnia i pochylił nieco do przodu. - Oskarżony ma prawo wybrać jeden z trzech sposobów własnej obrony. Po pierwsze, może odmówić wszelkich zeznań i wówczas sąd nie wyciągnie żadnych wniosków z takiej woli oskarżonego. Po drugie, oskarżonemu wolno złożyć zeznanie nie pod przysięgą i niepodlegające pytaniom oskarżyciela. Po trzecie wreszcie, oskarżony może złożyć zeznanie pod przysięgą z obowiązkiem odpowiedzi na pytania prokuratora trybunału wojskowego. Czy oskarżony zrozumiał przysługujące mu prawa?

John Doe, który od godziny przyglądał się tylko z rozbawieniem procesowi, wstał

ociężale. Ze skutymi z tyłu rękami pochylił się do przodu, a że kuter kiwał się na falach jak kłoda pod wodospadem, miał kłopoty z utrzymaniem się na nogach.

- Co to za pierdoły? - spytał stanowczo, wzbudzając i tym razem zaciekawienie słuchaczy swoim akcentem. - Chcę iść do swojej kajuty i zostać sam, aż zobaczę się z moim własnym, pieprzonym adwokatem.

- Panie Doe - replikował Wegener. - Chyba nie zrozumiał pan, że odbywa się właśnie pański proces. Jest pan podejrzany o piractwo, gwałt i morderstwo. W tej oto księdze

- kapitan uniósł tom Skał i mielizn - stoi napisane czarno na białym, że mogę sądzić pana tu i teraz oraz że jeśli sąd uzna pana winnym przypisywanych mu zbrodni, mogę powiesić pana na rei. Straż Przybrzeżna nie korzystała z tego prawa od przeszło pięćdziesięciu lat, ale lepiej, żeby uwierzył mi pan, że mogę to zrobić, jeśli uznam za stosowne! Prawa tego nikt nie kwapił się zmienić. Tak więc pańska sytuacja wygląda mniej różowo, niż pan przypuszczał, prawda? Chce pan adwokata? Proszę bardzo, jest na miejscu porucznik Alison. Chce pan się bronić? Proszę, nic nie stoi na przeszkodzie.

Jednak, panie Doe, od tego sądu nie ma odwołania i lepiej niech pan to sobie przemyśli, i to szybko.

- Nie wciskać mi tu ciemnoty. Odpierdolcie się ode mnie!

- Sąd nie uwzględni oświadczenia oskarżonego - rzekł Wegener, z trudem trzymając nerwy na wodzy, jak przystało na oficera przewodniczącego w sprawie zagrażającej najwyższym wymiarem kary.

Obrońca przemawiał przez piętnaście minut, podejmując tyleż heroiczny, co daremny wysiłek podważenia dowodów winy przedstawionych przez prokuratora.

Podsumowanie argumentów obu stron zajęło po pięć minut każde. Wówczas przemówił znowu kapitan Wegener.

- Po wysłuchaniu obu stron sąd wyda teraz orzeczenie. Decyzja zapadnie przez tajne głosowanie na piśmie. Prokurator trybunału wojskowego rozda, a potem zbierze kartki do głosowania.

Nie trwało to dłużej niż jedną minutę. Oskarżyciel dał każdemu z pięciu członków kartkę papieru. Cała piątka spojrziała na oskarżonego przed i po podjęciu decyzji.

Prokurator zebrał następnie kartki i przetasowawszy je tak gorliwie, jak pięciolatek przed partią piotrusia, podał plik kapitanowi. Wegener rozwinął głosy i położył na stole. Zapisał coś w swoim żółtym notesie i przemówił.

- Proszę oskarżonego o powstanie i zwrócenie się twarzą do sądu. Czy oskarżony Doe chce coś powiedzieć przed ogłoszeniem wyroku?

Nie chciał. Patrzył z kpiącym, niedowierzającym grymasem na twarzy.

- Dobrze. Wynik głosowania jest następujący: dwie trzecie składu sędziowskiego uznaje oskarżonego winnym zarzucanych mu czynów i skazuje go na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok zostanie

wykonany

w ciągu następnej godziny. Niechaj Bóg zlituje się nad twą duszą. Sąd zakończył obrady.

- Przykro mi, panie szanowny - rzekł obrońca do swego klienta. - Zrobiłem, co mogłem, w przeciwieństwie do pana.

- Żądam adwokata! - warknął Doe.

- Adwokat już na nic się nie zda. Pan potrzebuje księdza.

Jakby dla podkreślenia tych słów, bosman Riley wziął go pod ramię.

- Chodź, rybko. Masz randkę z pętlą. - Riley wyprowadził Doego z kabiny.

Drugi więzień, występujący jako James Doe, obserwował całą procedurę z fascynacją i zarazem niedowierzaniem. Niedowierzanie pozostało, ale przybrało wyraz, jakiego można się spodziewać na twarzy człowieka, któremu noga utknęła w szynach przed pędzącym na niego pociągiem.

- A pan rozumie, co się tu odbywa? - spytał porucznik.

- To wszystko lipa - odparł więzień głosem, w którym brakowało już takiego przekonania, jakie mógł wyrażać jeszcze przed godziną.

- Otwórz wreszcie oczy, człowieku. Nikt wam nie mówił, że wasi kumple znikają co jakiś czas bez wieści w tych okolicach? Załatwiamy ich tak już od sześciu miesięcy.

Więżenia są przepelnione, a sędziowie nie chcą zawracać sobie głowy. Jak kogoś przyskrzynimy i mamy dosyć dowodów, pozwalają nam załatwić sprawę na morzu.

Nikt wam nie mówił, że reguły gry się trochę zmieniły?

- Nie wolno wam tego zrobić! - odpowiedział prawie krzykiem.

- Tak ci się wydaje? Coś ci powiem. Za mniej więcej dziesięć minut zaprowadzę cię na górny pokład i przekonasz się na własne oczy. Mówię po dobroci, jeśli nie będziesz współpracował, nie będziemy się z tobą cackać, chłopie. Znudziło nam się. Siądź

spokojnie na dupie i dobrze się zastanów, a jak przyjdzie czas, pokażę ci, że nie rzucamy słów na wiatr.

Porucznik nalał sobie kawy dla zabicia czasu i nie odzywał się słowem do swojego klienta. Właśnie kończył pić, gdy drzwi znowu się otworzyły.

- Załoga na górny pokład. Zaczynamy egzekucję - ogłosił bosman Oreza.

- Idziemy, panie Doe. Powinien pan to zobaczyć.

Porucznik wziął go pod ramię i wyprowadził. Tuż za drzwiami kabiny znajdowała się drabinka na górę. Prowadziła do wąskiego korytarzyka, którym obaj przeszli w stronę rufy i pustego lądowiska dla helikoptera.

Porucznik nazywał się Rick Alison. Ten czarnoskóry chłopiec z Albany w stanie Nowy Jork został nawigatorem na „Panache” i co noc dziękował Bogu, że może służyć pod komendą Wegenera, który był

bezsprzecznie najlepszym dowódcą, jakiego znał. Alison nieraz przymierzał się do porzucenia służby, ale teraz planował pozostać jak najdłużej. Poprowadził Jamesa Doe jeszcze dalej, około trzydziestu metrów od widowiska.

Morze na dobre się rozszalało, zauważył Alison. Prędkość wiatru ocenił na przeszło sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a fale na cztery do pięciu metrów. Kuter odchylał

się o dwadzieścia pięć stopni w lewo i w prawo od pionu, podskakując tam i z powrotem jak dziecięca huśtawka. Alison przypomniał sobie, że ster trzyma O'Neil i miał nadzieję, że bosman Owens nie spuszcza chłopca z oka. Nowy chorąży był co prawda zdolnym gówniarzem, brakowało mu jednak jeszcze praktyki na okręcie, pomyślał nawigator, sam ledwie o sześć lat starszy. Od prawej burty błyskawice raz po raz oświetlały morze. Zimne krople rześistej ulewy przelatywały pod ostrym kątem przez pokład, szczypiąc w policzki. Nic dodać, nic ująć, nawet Edgar Allan Poe oblizałby się na myśl o takiej scenerii. Nie widać było świateł, jedynie upiorne sylwetki na tle białej farby statku pozwalały zorientować się w sytuacji. Alison zastanawiał się, czy Wegener zaaranżował wszystko ze względu na pogodę, czy też był to zbieg okoliczności?

Kapitanie, wyciąłeś już kilka wariackich numerów, odkąd wszedłeś na pokład tej łajby, ale tego chyba nic nie przebije.

Lina już zwisała. Ktoś przerzucił ją sprytnie przez końcówkę masztu antenowego. Miał

niezły ubaw. Na pewno Riley, któż inny porwałby się na takie wariactwo?

Następnie ukazał się skazaniec. Ręce miał wciąż skute za plecami. Kapitan i pierwszy oficer też byli już na miejscu. Wegener ogłaszał coś oficjalnie, ale nie słyszeli jego słów. Wiatr hulał ze świstem po górnym pokładzie, w pajęczynie masztów i flaglinek.

Aha, Riley wiedział, co robi, pomyślał Alison. Do przerzucenia dwucentymetrowego stryczka przez blok użył flaglinki przekaźnika. Nawet Riley nie był na tyle szalony, żeby włączyć na czubek masztu w taką pogodę.

Zapaliły się reflektory pokładowe, używane do naprowadzania helikopterów. Głównie oświetliły deszcz, ale przy okazji obraz tego, co się działo, stał się nieco wyraźniejszy.

Wegener powiedział jeszcze słowo do więźnia, na którego twarzy nadal widniał

arogancki uśmieszek. Wciąż nie wierzył, pomyślał Alison, zastanawiając się, czy wreszcie tamten spuści z tonu. Kapitan potrząsnął głową i cofnął się. Wtedy Riley założył skazańcowi pętlę na szyję.

Twarz Johna Doe nagle się zmieniła. Nadal nie wierzył, ale oto sprawa raptem przybrała nieco poważniejszy obrót. Pięciu ludzi zebrało się przy drugim końcu liny. Alison omal nie wybuchnął śmiechem. Wiedział, jak to się robi, ale w najśmielszych oczekiwaniach nie przypuszczał, że kapitan posunie się aż tak daleko...

Jako ostatni akcent pojawił się czarny kaptur. Riley obrócił więźnia twarzą do rufy, na której stał Alison z drugim więźniem i zniecacka założył mu kaptur. To wreszcie złamało Johna Doe.

- Neeeeeee! - Krzyk był doskonały, upiorny wrzask, wręcz idealnie dostosowany do pogody i wiatru, lepiej nie można było sobie wymarzyć. Kolana mu się ugięły, co reżyser spektaklu przewidział. Ludzie przy drugim końcu liny pokonali opór i pobiegli ku rufie. Stopy więźnia uniosły się ponad czarny, szorstki pokład i ciało powędrowało gwałtownie w górę. Nogi kopały jeszcze przez chwilę powietrze, by zaraz znieruchomieć, zanim przywiązano linę do masztu.

- No i po wszystkim - powiedział Alison. Chwycił drugiego Doego pod ramię i odprowadził. - Teraz kolej na ciebie, ptaszku.

Blisko burty uderzył piorun, gdy dotarli do drzwi nadbudówki. Więzień stanął jak wryty i po raz ostatni spojrzął do góry na zwisające z rei, dyndające w strugach deszczu jak wahadło bezwładne ciało towarzysza.

- Już mi wierzysz? - spytał nawigator, wciągając go do środka. Spodnie przemokły Jamesowi Doe od deszczu, ale mokre były także z innego powodu.

Należało teraz jak najprędzej się wysuszyć. Gdy sąd wznowił obrady, wszyscy zdążyli się przebrać w suche rzeczy. James Doe miał na sobie niebieski kombinezon Straży Przybrzeżnej. Zdjęto mu kajdanki, a na stoliku przy ławie oskarżonych czekał nań kubek kawy. Nie zauważył nawet, że przy stole prezydialnym nie było już bosmana Orezy, nie zjawił się też świadek Riley. Druga sesja rozpoczęła się w o wiele przyjemniejszym nastroju niż poprzednia, lecz do więźnia prawie to nie docierało.

Jamesowi Doe nie udzielił się jakoś miły nastrój.

- Panie Alison - zaintonował kapitan - proszę porozumieć się z klientem.

- Tym razem sprawa jest bardzo prosta, ptaszku. Gadasz albo wisisz. Starego gówna obchodzi, co wybierzesz. Na początek, jak się nazywasz?

Jesiisowi rozwiązał się język. Jeden z oficerów wziął przenośną kamerę wideo - tę samą, której użyto przy abordażu - i poproszono więźnia, by zeznawał od początku.

- Czy rozumie pan, że wolno panu odmówić zeznań? - zapytał ktoś. Więzień nie zareagował, więc pytanie powtórzono.

- No, niby tak, rozumiem - odpowiedział, nie odwracając oczu. - Co chcecie wiedzieć?

Pytania zostały wcześniej spisane. Alison, który pełnił także funkcję pokładowego prawnika, odczytywał jak najwolniej punkt po punkcie listę pytań przed kamerą. Robił

wszystko, co w jego mocy, aby skłonić oskarżonego, którego ledwie można było zrozumieć, do spokojniejszej wypowiedzi. Przesłuchanie trwało czterdzieści minut.

Więzień mówił niewyraźnie, ale do rzeczy, i nie zwracał uwagi na spojrzenia członków sądu.

- Dziękujemy panu za współpracę - rzekł na koniec Wegener. - Postaramy się łaskawszym okiem spojrzeć na pańską sprawę w zamian za tę pomoc. Oczywiście w przypadku pańskiego kolegi wiele już, niestety, nie możemy zdziałać. Chyba pan rozumie, prawda?

- No tak, on ma chyba przechlapane - odpowiedział i wszyscy zebrani odetchnęli z ulgą.

- Porozmawiamy z prokuratorem - obiecał kapitan. - Poruczniku, niech pan sprowadzi więźnia do paki.

- Tak jest.

Alison wyprowadził więźnia pod okiem kamery. Doszedłszy do schodków, więzień się potknął. Nie zauważył ręki, która to spowodowała, i nawet nie zdążył się obejrzeć, a druga niewidzialna ręka rąbnęła go w kark. Następnie bosman Riley złamał

nieprzytomnemu Jamesowi Doe przedramię, zaś Oreza przytknął mu do ust nasączoną eterem gazę. Dwaj bosmani zanieśli go do izby chorych i zostawili tam pogrążonego we śnie.

Więzień obudził się późno. Przyniesiono mu z mesy śniadanie i pozwolono ogarnąć się przed przybyciem śmigłowca. Przyszedł po niego Oreza i zaprowadził raz jeszcze na górny pokład, a stamtąd ku rufie na lądowisko helikoptera, gdzie zastali Riley'a eskortującego do śmigłowca drugiego więźnia. Jamesa Doe - jego prawdziwe nazwisko brzmiało Jesus Castillo - niezmiernie zdziwiło, że John Doe - w rzeczywistości Ramón Jose Capati - jest zdrow i cały. Para tajniaków z DEA posadziła ich jak najdalej od siebie i miała instrukcje, aby nie dopuszczać do kontaktów między więźniami. Jeden się wypowiedział, wyjaśnił kapitan, co nie mogło wprawić w zachwyt tego drugiego. Castillo nie odrywał oczu od Capatiego, a w jego zdumionym spojrzeniu agenci - którym bardzo spodobał się pomysł spowiedzi w obliczu najwyższego wymiaru kary - dostrzegli tyle strachu, że postanowili oddzielić więźniów jak najskuteczniej w tych okolicznościach. Przekazano razem z nimi także wszystkie dowody rzeczowe i kilka kaset wideo. Wegener odprowadzał wzrokiem helikopter Straży Przybrzeżnej dauphin, ciekaw, jak zareagują ludzie na lądzie. Przyszło otrzeźwienie, jak zwykle po nieco wariackim wyczynie, ale Wegener i to przewidział. Miał wrażenie, że wszystko uwzględnił. Tylko ośmiu członków załogi wiedziało o całym zajściu i wszyscy wiedzieli, co mają mówić. Do Wegenera podszedł

pierwszy oficer.

- Zawsze prawda różni się nieco od pierwszego wrażenia.

- Racja, ale różnica polega na tym, że zginęło troje niewinnych ludzi. A nie czworo.

Nikt nie twierdzi, że właściciel był aniołem, pomyślał Wegener. Ale czy musieli też zamordować jego żonę i dzieci? Wegener popatrzył na niezmiennie morze, nieświadom, jaki łańcuch zdarzeń rozpoczął i ilu ludzi przez to umrze.

Rozdział 4

PRZYGOTOWANIA

Chavez miał przedsmak niezwykłości całej misji już na lotnisku w San Jose.

Zawieziono ich cywilnym, wypożyczonym mikrobusem pod prywatny odrzutowiec. To już coś. Pułkownik Smith nie wszedł na pokład. Podał każdemu rękę, powiedział, że ktoś będzie na nich czekał i wrócił do mikrobusu. Wszyscy sierżanci wsiedli do samolotu, by przekonać się, że nie jest to prywatny odrzutowiec, ale raczej mały samolot pasażerski. Miał nawet stewardesę, która serwowała drinki. Wszyscy poskładali sprzęt i skwapliwie skorzystali z oferty, oprócz Chaveza, który był zbyt zmęczony, by nawet spojrzeć na młodą panienkę. Ledwie zauważył, kiedy wystartowali i spał już głęboko, gdy wznieśli się w powietrze. Coś mu podpowiedziało, że powinien się wyspać, póki ma okazję. Zwyczajny żołnierski instynkt, który rzadko zawodził.

Porucznik Jackson po raz pierwszy odwiedzał garnizon w Monterey, ale dostał od brata szczegółowe wskazówki i bez trudu trafił do kasyna oficerskiego. Poczł się nieswojo. Zatrzasnąwszy drzwi swojej hondy, zorientował się, że jest jedynym żołnierzem w mundurze piechoty w zasięgu wzroku. Przynajmniej wiedział, komu salutować. Jako podporucznik musiał tu salutować prawie każdemu, kto się nawinął.

- Cześć, Timmy! - zawołał do niego brat tuż za drzwiami.

- Hej, Rob.

Dwaj mężczyźni padli sobie w ramiona. Obaj cenili więzy rodzinne, a Timmy nie widział się ze swoim starszym bratem, porucznikiem Robertem Jeffersonem Jacksonem, już prawie od roku. Matka Robby'ego zmarła jako zaledwie trzydziestodwuletnia kobieta. Pewnego dnia poskarżyła się na ból głowy, postanowiła położyć się i już więcej nie wstała. Przyczyną śmierci okazał się potężny wylew krwi do mózgu. Później stwierdzono, że cierpiała na niewykryte nadciśnienie, tak jak wielu amerykańskich Murzynów dotkniętych tą bezobjawową chorobą. Mąż, wielebny Hosiah Jackson, opłakiwał ją wraz z całą parafią, w której oboje wyrosli i założyli rodzinę. Wielebny Jackson, człek poczciwy i bogobojny, był jednak też ojcem dzieci, które potrzebowały matki. Cztery lata później ożenił się drugi raz, z dwudziestotrzyletnią parafianką, i zaczął nowe życie. Timothy był pierwszym dzieckiem z tego drugiego związku. Czwarty syn poszedł w ślady pierwszego. Po ukończeniu Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis, Robby Jackson latał na samolotach marynarki. Timmy wygrał stypendium w West Point i szykował się do kariery w piechocie. Trzeci w kolejności był lekarzem, a czwarty prawnikiem z ambicjami politycznymi. Czasy zmieniły się w Missisipi.

Postronny obserwator miałby kłopoty z decyzją, który z dwóch braci miał większe powody do dumy. Robby, z trzema złotymi belkami na pagonach, nosił na piersi złotą gwiazdę oznaczającą dowództwo na morzu - w jego przypadku jednostki VF-41, dywizjonu myśliwców Tomcat F-14. Pracując teraz w Pentagonie, Robby szykował się do objęcia dowództwa grupy samolotów pokładowych na lotniskowcu, a potem może i całego lotniskowca. Timothy zaś przez kilka lat uchodził za rodzinnego niezgułę, ale pobyt w West Point odmienił go nie do poznania. O dobrych pięć centymetrów przerósł

starszego brata i górował nad nim co najmniej siedmioma kilogramami mięśni.

Na ramieniu nosił naszywkę komandosa nad klepsydrą, emblematem swojej dywizji.

Jeszcze raz sprawdziła się stara metoda robienia mężczyzny ze smarkacza.

- Świetnie wyglądasz, chłopie - zauważył Robby. - Napijesz się?

- Nie za dużo, bo zaraz padnę.

- Ciężki dzień?

- Żeby tylko dzień. Cały tydzień - odparł Tim - ale udało mi się wczoraj zdrzemnąć.

- Miło z ich strony - powiedział Jackson z braterską troską.

- A jak? Gdybym chciał łatwego życia, poszedłbym do marynarki. Bracia uśmieiali się serdecznie po drodze do baru. Robby zamówił

sobie jednego Johna Jamesona, trunek, który niedawno spróbował za radą kolegi. Tim poprzestał na piwie. Rozmowa przy obiedzie rozpoczęła się oczywiście od nowinek rodzinnych, potem dopiero zeszła na sprawy zawodowe.

- Właściwie robimy to samo, co wy - tłumaczył Timmy. - Wy próbujecie podleciec blisko i rozwalić gościa rakieta, zanim się spostrzeże, że nad nim jesteście. My staramy się podejść bliżej i dać mu w łeb, zanim spostrzeże, gdzie jesteście. Wiesz przecież, jak to jest, starszy braciszku, nie? - spytał Timmy z uśmiechem z domieszką zazdrości.

Robby miał okazję raz spróbować.

- Nigdy więcej - odpowiedział spokojnie Robby. - Zostawiam te zasrane podchody takim wariatom jak ty.

- Wczoraj na przykład byliśmy szpicą batalionu. Moja drużyna przedarła się bez pudła na tyły wroga. Wykiwaliśmy bandę pancerniaków z Gwardii Kalifornijskiej, głównie czołgi. Głupio się ustawili i sierżant Chavez dostał się do ich obozu, zanim zdążyli się obrócić. Szkoda, że nie widziałeś tego chłopaka w akcji. Jak Boga kocham, Rob, facet potrafi być prawie niewidoczny, jak chce. Ciężko mi będzie go zastąpić.

- A co?

- Przenieśli go dzisiaj. Straciłbym go i tak za dwa tygodnie, ale porwali mi go wcześniej do Fort Benning. Cała grupa dobrych sierżantów spakowała dzisiaj manatki.

- Tim przerwał na chwilę. - Latynosi, co do jednego. Przypadek. - Znów moment ciszy. - Dziwne, ale czy aby Leon też nie miał jechać do Fort Benning?

- Kto to jest Leon?

- Sierżant szóstego stopnia. Był w plutonie Bena Tuckera - z Benem graliśmy razem w piłkę w West Point. Tak, miał iść do szkoły komandosów piechoty jako instruktor za dwa tygodnie. Ciekawe, dlaczego on i Chavez wyjechali jednocześnie. No, mniejsza z tym, bądź tu mądry z tą piechotą. Jak ci idzie w Pentagonie?

- Mogłoby być gorzej - odparł powściągliwie Robby. - Jeszcze tylko dwadzieścia pięć miesięcy i, dzięki Bogu, będę nareszcie wolny. Mam szansę na dowództwo grupy pokładowej - wyjaśnił starszy brat. Doszedł właśnie do tego szczebla kariery, skąd trudno się dalej przepchać, bo na każde wolne stanowisko przypadało wielu dobrych kandydatów. Tak jak w działaniach bojowych, jednym z

decydujących czynników był

teraz łut szczęścia. Zauważył, że Timmy jeszcze o tym nie wie. Odrzutowiec wylądował po blisko trzygodzinnym locie i podkołował do terminalu towarowego małego lotniska. Chavez nie wiedział, jak się ono nazywa. Obudził się, wciąż niewyspany po bezsennych nocach, dopiero kiedy otwarto drzwi samolotu. Spostrzegł natychmiast, że powietrze jest tu bardzo rozrzedzone. Zdziwił się własną obserwacją i zaraz przypisał ją oszołomieniu po przerwanych śnie.

- Gdzie jesteśmy, do cholery? - spytał inny sierżant.

- Powiedzą wam na zewnątrz. Zobaczycie, będzie wam tu dobrze, jak w domu —

odparła stewardesa z tak rozbajającym uśmiechem, że dali za wygraną.

Sierżanci pozbierali swoje bagaże i wyszli beładnie z samolotu na płytę, gdzie czekał

już na nich następny mikrobus. Chavez znalazł odpowiedź na swoje pytanie, zanim wszedł. Powietrze było tu bardzo rozrzedzone, zgadza się, a spojrzawszy na zachód, wiedział już, dlaczego. Ostatni blask czerwonego słońca oświetlał ostre kontury gór na zachodzie. Kurs na wschód, trzy godziny lotu i góry: domyślił się od razu, że wylądowali gdzieś w Górach Skalistych, choć nigdy tu nie był. Spojrzał jeszcze raz z odjeżdżającego mikrobusu na samolot i zobaczył, jak podjeżdża do niego cysterna z paliwem. Chavez nie mógł połapać się, w czym rzecz. Odrzutowiec wystartuje za niecałe trzydzieści minut. Mało kto zauważyłby w ogóle, że wylądował, a tym bardziej zawracał sobie głowę, po co.

Clark miał ładny i odpowiadający jego legendzie pokój w hotelu. Odczuwał bóle w tyle głowy, które przypominały mu, że nie nawykł jeszcze zupełnie do wysokości, ale dwie tabletki tylenolu już zaczęły działać; pocieszał się też, że tym razem robota nie wymaga większego wysiłku fizycznego. Zamówił śniadanie do pokoju i zrobił parę ćwiczeń gimnastycznych, żeby rozmasować zdrętwiałe mięśnie. Poranny bieg nie wchodził w rachubę. Po gimnastyce wziął prysznic i ogolił się. Hotel miał dobrą obsługę. Ledwie zdążył się ubrać, a wniesiono śniadanie; o dziewiątej był gotów do pracy. Clark zjechał

windą do holu i wyszedł na ulicę. Samochód już czekał. Siadł z przodu.

- Buenos dias - powiedział kierowca. - Po południu może padać.

- Nie szkodzi. Mam płaszcz.

- Deszcz może być zimny.

- Płaszcz ma podszewkę - rzekł Clark, kończąc długie hasło.

- Ktokolwiek to wymyślił, ma łeb na karku - zauważył mężczyzna przy kierownicy. -

Rzeczywiście zapowiadają deszcz. Jestem Larson.

- Clark.

Nie podali sobie rąk. To nie było w stylu. Larson -to zapewne też nie jego prawdziwe nazwisko, pomyślał Clark - wyglądał na trzydziestkę i na przekór swemu nordyckiemu nazwisku miał ciemne włosy. W tutejszym środowisku panowało przekonanie, że jest synem Duńczyka i Wenezuelki.

Prowadził

szkołę pilotażu, wychodząc naprzeciw ogromnemu zapotrzebowaniu. Był doskonałym lotnikiem, który umiejętnie przekazywał wiedzę, nie zadając jednocześnie wielu pytań, co podobało się jego klienteli. Wcale zresztą nie musiał pytać - piloci, zwłaszcza ci niewyszkoleni, sami dużo mówią - a on miał dobrą pamięć do nawet najdrobniejszych szczegółów oraz taki autorytet, że chętnie i często proszono go o radę. Powszechnie też uważano, że kapitał na szkołę zgromadził z honorariów za kilka bardzo trefnych lotów, po czym żył bezpiecznie w dostatku. Ta legenda zjednała mu zaufanie ludzi, którymi się interesował i którzy nie widzieli w nim jednocześnie rywala. Facet zrobił, co trzeba, żeby osiągnąć, co chciał, i żył sobie teraz tak, jak chciał. To tłumaczyło samochód, najszybszy model bmw, luksusowe mieszkanie i kochankę, stewardesę linii Avianca, która w rzeczywistości pracowała jako kurier CIA. Larson uważał, że jego obecna misja spadła mu z nieba, tym bardziej że stewardesa rzeczywiście była jego kochanką, niezamierzoną premią, co raczej nie wzbudziłoby entuzjazmu w wydziale personalnym Agencji. Niepokoiło go tylko, że o jego misji w Kolumbii nie wiedział

sam szef miejscowej rezydentury. Larson nawet jako niedoświadczony agent - Clark zdziwiłby się mocno, że to jednak jego prawdziwe nazwisko - poznał już na tyle pracę Agencji, aby wiedzieć, że dwa odrębne ośrodki dowodzenia oznaczają szczególny charakter operacji. Wypracowanie jego bezpiecznej legendy trwało osiemnaście miesięcy i przez ten czas nie wymagano od niego w zamian niczego wielkiego.

Przybycie Clarka było sygnałem, że oto zbliżał się koniec tego błogostanu. Czas odpracować sowity kredyt.

- Jaki mamy plan dnia? - spytał Clark.

- Trochę polatamy. Trzeba dotrzeć na miejsce, zanim pogorszy się pogoda.

- Wiem, że lata pan na przyrządach.

- Przyjmuję to za wotum zaufania - powiedział pilot z uśmiechem, jadąc na lotnisko. -

Przeglądał pan oczywiście fotografie.

- Tak, trzy dni roboty. Tylko że jestem na tyle staroświecki, że lubię zobaczyć teren gołym okiem. Mapy i zdjęcia wszystkiego nie pokażą.

- Mówili mi, że podczas misji mam latać nad wyznaczonym terenem prosto i na jednym pułapie, bez nurkowania i kołowania, żeby nie wkurzać ludzi.

Prowadzenie szkoły pilotażu miało tę dobrą stronę, że jej samoloty nie budziły żadnych podejrzeń w całej okolicy, ale gdyby któryś z nich okazał szczególne zainteresowanie konkretnymi ludźmi, mogliby zaraz spisać numer rejestracyjny, zjawić się na lotnisku i zapytać, o co chodzi. A ludzie, którzy mieszkali w Medellin, znani byli z tego, że nie zadają takich pytań z wyszukaną uprzejmością.

Larson ich się nie bał. Póki działała jego legenda, nie miał się czego obawiać. Ale przecież był zawodowcem, a zawodowcy są ostrożni, zwłaszcza jeśli życie im jest miłe.

- Nie ma sprawy.

Clark dobrze wiedział, o co chodzi. Dożył męskiego wieku w niebezpiecznym zawodzie, ryzykując tylko w koniecznych przypadkach. A i tych mu wystarczyło.

Przypominało to grę na loterii. Nawet przy minimalnych szansach wylosowania numeru, jeśli się grało dostatecznie długo, dobry - czy raczej zły - numer wreszcie padnie, choćbyś nie wiedzieć jak uważał. Tylko że w tej loterii wygraną nie były pieniądze, ale anonimowy płytki grób, który dostawało się jedynie wtedy, kiedy przeciwnik pamiętał jeszcze coś z lekcji religii.

Sam nie wiedział, czy podoba mu się ta misja, czy nie. Z jednej strony, cel wart był

zachodu. Z drugiej strony... Ale Clarkowi nie płacili za takie oceny. Płacili mu za robotę, a nie za filozofowanie. To właśnie główny szkopuł tajnych operacji. Musiałeś ryzykować życiem, zdany na osąd innych. Zawsze miło wiedzieć, dlaczego, ale stratedzy twierdzili, że wiedza ta tylko zwiększa ryzyko operacji. Wykonawcom w terenie nie zawsze trafiało to do przekonania. Clarka trapiły teraz podobne wątpliwości.

Dwusilnikowy beech stał zaparkowany w sektorze awionetek Międzynarodowego Lotniska El Dorado. Nie trzeba było genialnego detektywa, żeby dokładnie określić zastosowanie tych samolotów. Za dużo stało tu najdroższych limuzyn i bajecznie kosztownych samolotów, jak na starą kolumbijską arystokrację. Tymi zabawkami bawili się nowobogaccy. Clark rzucił na nie okiem z umiarkowanym zainteresowaniem.

- Dochody z grzechu nie są złe, jak widać - zaśmiał się Larson.

- Szkoda tylko tych zdechłaków, którzy za to płacą.

- Wiem, wiem. Chciałem powiedzieć, że to całkiem ładne samolociki. Te Gulfstreamy, miałem okazję je wypróbować, świetnie się lata na tych maszynach.

- Ile kosztuje takie чудо? - spytał Clark.

- Jak powiedział raz pewien mądry człowiek, jeśli musisz pytać o cenę, to znaczy, że cię nie stać.

- No tak. - Clark wysilił się na uśmiech. Ale są rzeczy, których ceny nie wyraża się w dolarach. Nastrajał się już odpowiednio do swojej misji.

Larson przez piętnaście minut sprawdzał maszynę przed lotem. Wprawdzie przyleciał ledwie przed dziewięćdziesięcioma minutami

i niewielu prywatnych pilotów zadałoby sobie trud przejścia przez całą procedurę startową, Larson był jednak dobrym pilotem, co przede wszystkim znaczyło, że jest ostrożnym pilotem. Clark usiadł na prawym miejscu w kabinie, zapinając się pasami, jakby był uczniem przed pierwszym lotem. O tej porze panował mały ruch pasażerski i Larson bez trudu dokołował do pasa startowego. Clarka zaskoczył jedynie długi rozbieg.

- To wysokość - wyjaśnił Larson przez hełmofon, gdy wreszcie nos samolotu wzniósł

się. - Stery topornie zachowują się w tych warunkach przy małej prędkości. Nic nadzwyczajnego. Jakby się jechało samochodem po śniegu, trzeba po prostu zachować ostrożność.

Larson popchnął do przodu manetkę gazu, by jak najszybciej wznieść się na pułap lotu.

Clark przebiegł wzrokiem po wskaźnikach i nie zauważył nic groźnego, choć zdziwił

go odczyt trzech tysięcy metrów wysokości, gdy na ziemi wciąż było widać pojedyncze sylwetki ludzi.

Samolot przechylił się w lewo i wziął kurs na północny zachód. Larson przymknął

przepustnicę, wyjaśniając, że trzeba tu także uważać na temperaturę silników, mimo że wzmocnione układy chłodzenia silników Continental zabezpieczały przed przegrzaniem. Lecieli w kierunku górskiego kręgosłupa kraju. Na bezchmurnym niebie pełnym blaskiem świeciło słońce.

- Pięknie, prawda?

- Prawda - odrzekł Clark.

Góry porośnięte były szmaragdowozielonymi drzewami, których liście lśniły od kropel po nocnym deszczu. Ale wyczulony wzrok Clarka dostrzegł też coś innego. Chodzenie po tych górkach to diabelska tortura. Jedyna pociecha w tym, że ludziom łatwo się będzie ukryć w gęstwinie. Połączenie

stromych wzniesień z rozrzedzonym powietrzem da im jednak w kość. Nie poinformowano go o szczegółach operacji, ale wiedział

dostatecznie dużo, by cieszyć się, że nie weźmie udziału w najgorszej robocie.

Pasma górskie przecinają Kolumbię z południowego zachodu na północny wschód.

Larson obrał dogodny kurs między wierzchołkami, jednak wiatry znad pobliskiego Pacyfiku dały im się we znaki podczas przelotu.

- Trzeba się przyzwyczaić. Wiatry się nasilają, bo idzie front. A tu w górach kotłują się na dobre. Powinien pan zobaczyć, co to znaczy zła pogoda w tych stronach.

- Dziękuję! Swoją drogą, nie widzę tu żadnych miejsc nadających się do lądowania, gdyby przypadkiem...

- Coś się stało? - spytał Larson. - Dlatego tak skrupulatnie sprawdzam maszynę przed lotem. A poza tym, tam na dole jest więcej przesiek do lądowania, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Co prawda nie zawsze witają człowieka z otwartymi rękami, jak już trzeba wylądować. Spokojna głowa. Miesiąc temu założyłem dwa nowe silniki. Stare sprzedałem swojemu uczniowi do jego używanego King Aira, który teraz należy do Biura Celnego - wyjaśnił Larson.

- Przyczynił się pan do tego?

- Skądże! Przecież płacą mi za to, żebym wiedział, po co ci gówniarze uczą się latać.

Nie mogę robić z siebie balona, prawda? No to uczę ich też manewrów unikowych.

Można o nich wyczytać w każdym porządnym podręczniku, tym bardziej ode mnie oczekują, żebym im pokazał te sztuczki. Pablo słabo sobie radził z czytaniem, ale za to miał wrodzoną smykałkę do latania. Szkoda chłopaka, dał się lubić. Przydybali go z pięćdziesięcioma paczkami. Jak znam życie, nikogo nie wsypał. Twardy gówniarz.

- Jaką motywację mają ci ludzie? - Clark widział w życiu niejedną walkę i dobrze wiedział, że siły wroga nie ocenia się po liczbie broni.

Larson spojrział w zamyśleniu na niebo.

- Zależy, co pan ma na myśli. Jeśli zmieni pan słowo „motivacja” na „jaja”, sprawa jest od razu jasna. Wie pan, chodzi o kult męskości. Nie da się ukryć, że w tym coś jest. Ci ludzie mają swoiste poczucie honoru. Na przykład ci, z którymi jestem na stopie towarzyskiej, traktują mnie życzliwie. Są nad wyraz gościnni, zwłaszcza jeśli okaże się im szacunek, czego nikt im zresztą nie skąpi. Poza tym, nie jestem dla nich konkurentem. Krótko mówiąc, znam tych ludzi, sporą garstkę nauczyłem latać.

Gdybym miał problemy z forszą, mógłbym iść do nich i poprosić o pomoc; nie odmówiliby. Mówię tu o sumie pół miliona dolarów na gębę, i wyszedłbym z hacjendy z gotówką w teczce. Musiałbym wykonać kilka lotów kurierskich, żeby być kwita, rzecz jasna. Ale nie upomnieliby się o forszę. Z

drugiej strony, gdybym ich wykiwał, już na pewno zadbaliby, żebym za to zapłacił z nawiązką. Mają swoje zasady. Jeśli się do nich stosujesz, jesteś w miarę bezpieczny. Jeśli nie, lepiej od razu pakować manatki.

- Wiem co nieco o ich bezwzględności. A co mają w głowach?

- Są na tyle łebscy, na ile trzeba. Jak sami nie mają mądrych, to ich sobie kupują. Mogą kupić wszystko i wszystkich. Nie wolno ich nie docenić. Mają najlepsze systemy bezpieczeństwa, takie, jakie u nas stosuje się przy silosach międzykontynentalnych pocisków raketowych, cholera wie, może nawet lepsze. Mają taką ochronę, jaką u nas ma prezydent, z tym że ich snajperzy są mniej skrupowani przepisami ograniczającymi użycie broni. Najlepszym chyba dowodem ich mądrości jest to, że skrzyknęli się i zorganizowali kartel. Dobrze wiedzieli, że wojny pomiędzy gangami szkodzą każdemu, stworzyli więc luźny związek. Nie jest doskonały, ale się sprawdził. Kto chce na dziko wkręcić się do interesu, najczęściej dostaje kulkę w łeb.

W Medellin łatwo się umiera.

- A gliny? Sądy?

- Miejscowi próbowali. Wielu zabitych gliniarzy, wielu zabitych sędziów to dowód tych prób - powiedział Larson, kiwając głową. - Jak długo ludzie mają harować z poświęceniem bez widocznych rezultatów? Do tego dochodzi sprawa forsy. Ile razy człowiek może machnąć ręką na walizkę pełną studolarowych, nieopodatkowanych banknotów? Zwłaszcza ze świadomością, że jedyną alternatywą jest wyrok śmierci dla niego i całej jego rodziny. Kartel nie jest głupi, przyjacielu, a przy tym cierpliwy, ma wszelkie potrzebne środki i swym okrucieństwem przestraszyłby hitlerowskiego weterana. Krótko mówiąc, to groźny wróg. - Larson wskazał ręką na szarą smugę w oddali. - Oto Medellin. Narkotyki to my, wszystko w tym jednym małym miasteczku w dolinie. Jedna bombka jądrowa załatwiłaby sprawę, powiedzmy dwie megatony.

Ciekaw jestem, czy reszta kraju miałaby coś przeciwko temu...?

Tym pomysłem Larson zarobił na zaciekawione spojrzenie swojego pasażera. Larson tu mieszkał, znał wielu tutejszych ludzi, a niektórych nawet lubił, jak sam przyznał.

Mimo to nienawiść do nich przeziarała niekiedy spod zawodowego dystansu.

Najlepszy gatunek dwulicowości. Chłopak miał prawdziwą przyszłość w Agencji, pomyślał Clark. Chłodny umysł i gorące uczucia. Jeżeli będzie umiał zachować równowagę między jednym a drugim, może zajść daleko. Clark wyjął z torby aparat fotograficzny i lornetę. Nie interesował się samym miastem.

- Ładna okolica, prawda?

Kacyki narkotykowej mafii coraz bardziej troszczyły się o własne bezpieczeństwo.

Górskie wierzchołki wokół miasta systematycznie karczowano. Clark zdążył już naliczyć ponad tuzin nowych domów. Domów, dobre sobie, pomyślał z przekąsem.

Raczej zamków warownych, obwałowanych fortec, potężnych dworów otoczonych niskimi murami, za którymi ze wszystkich stron opadały stromo bezleśne górskie zbocza. Urok włoskich miasteczek i bawarskich zamków to przede wszystkim ich położenie. Zawsze na szczycie góry lub wzniesienia. Łatwo można sobie wyobrazić, ile pracy wymagały te piękne budowle - karczowanie lasów, wciąganie kamiennych bloków pod górę - wynagrodzonej wspaniałym, rozciągającym się na wiele kilometrów widokiem. Jednakże zamków tych i miasteczek nie zbudowano w takich miejscach dla kaprysu. Wysokość oznaczała, że nikt nie mógł zbliżyć się niezauważony.

Wykarczowany teren wokół domów nazywano w brutalnej terminologii wojskowej strefą rażenia, stanowił bowiem czyste pole ostrzału z broni maszynowej. Do każdego domu prowadziła tylko jedna droga, do jednej bramy. Na terenie każdego znajdowało się lądowisko dla helikopterów do szybkiej ewakuacji. Otaczające każdy dom mury zbudowano z kamienia, którego nie przebije żaden pocisk z broni strzeleckiej.

Dostrzegł przez lornetę, że po wewnętrznej stronie każdego muru zrobiono żwirową lub betonową ścieżkę dla wartowników. Wyborowa kompania piechoty nie sforsowałaby łatwo takiej hacjendy. Może atak z helikoptera, ze wsparciem moździerzy... Chryste, pomyślał Clark, co też mi przychodzi do głowy?

- Są plany tych domów?

- Nie ma sprawy. Trzy firmy architektoniczne projektowały te budowle. Da się znaleźć luki w zabezpieczeniach. W tym właśnie domku byłem na przyjęciu, dwa tygodnie temu, jeśli chodzi o ścisłość. To nie jest ich najmocniejsza strona. Lubią się chwalić swoimi rezydencjami. Mogę zrobić plany kondygnacji. Zdjęcia satelitarne wykażą liczebność straży, miejsca garażowania pojazdów i tym podobne szczegóły.

- Wiem - uśmiechnął się Clark.

- Może mi pan powiedzieć, po co pan tu przybył?

- Kazali mi sporządzić logistyczną charakterystykę terenu.

- Widzę. Przecież ja mógłbym to zrobić na zawołanie z pamięci. Pytanie Larsona nie wynikało z ciekawości, ale raczej z urazy, że nie jemu powierzono to zadanie.

- Wie pan, jak to jest w Langley - tym wyjaśnieniem Clark zbył uwagę Larsona.

Ty jesteś pilotem, kolego, pomyślał Clark. Nie dźwigałeś plecaka z wyposażeniem polowym w dżungli. A ja miałem tę przyjemność. Gdyby Larson wiedział więcej o jego przeszłości, mógłby się wiele domyślić, ale ani jego rola w Agencji, ani to, co robił

przed nawiązaniem z nią współpracy, nie były szeroko znane. Ścisłej mówiąc, nie były prawie w ogóle znane.

- Tajemnica służbowa, panie Larson - powiedział Clark po chwili milczenia.

- Tak jest - potwierdził pilot przez hełmofon.
- Lecimy na fotografowanie.
- Zrobię najpierw lądowanie z natychmiastowym startem, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń.
- W porządku - zgodził się Clark.
- Gdzie są ukryte laboratoria? - spytał Clark w drodze powrotnej do El Dorado.
- Przeważnie na południowy zachód stąd - odrzekł Larson, skręcając znad doliny. -

Sam nie miałem okazji żadnego zwiedzić, to nie moja działka i oni dobrze o tym wiedzą. Jeśli chce pan je wyśledzić, najlepiej wybrać się w nocy z noktowizorem, ale i tak ciężko je wyłuskać. Są mobilne, diabelnie łatwe do szybkiego rozłokowania i zwinięcia. Można załadować cały zestaw na średnich rozmiarów ciężarówkę i nazajutrz postawić rafinerię o dwadzieścia kilometrów dalej.

- Nie ma tylu dróg...
- Będzie pan w takim razie przeszukiwał każdą przejeżdżającą ciężarówkę? - spytał

Larson. - A poza tym, cały majdan ludzie mogą przenieść na plecach. Robocizna tu tania. Przeciwnik jest sprytny i szybko zmienia taktykę.

- Co na to lokalna armia? - Clark został dokładnie poinformowany przed misją, ale także wiedział, że z bliska inaczej to widać niż z Waszyngtonu, i chyba się nie mylił.

- Próbowali. Najtrudniejsze jest dla nich zapewnienie wsparcia - ich śmigłowce nie spędzają nawet dwudziestu procent czasu w powietrzu. To oznacza, że nie mogą zrobić wielu operacji. Wyobraźmy więc sobie, że do naszego kapitana podchodzi ktoś w miejscowym barze, stawia mu drinka i nawiązuje rozmowę. Proponuje kapitanowi, żeby zechciał pozostać w południowo-zachodnim rogu swojego sektora nazajutrz w nocy - wszystko jedno gdzie, byle nie w północno-wschodnim sektorze, dobra? Jeśli postanowi patrolować jedną część swojego rewiru, a nie inną, dostaje sto tysięcy dolarów. Żaden problem, druga strona ma tyle forsy, że płaci z góry po to tylko, żeby sprawdzić, czy facet będzie współpracował. Koszt ziarna, coś w tym rodzaju. Jeżeli okaże się, że faceta da się kupić, ustalają niższą, ale już regularną dolę. Co więcej, druga strona ma tyle towaru, że pozwala nowemu naprawdę przechwycić kilka transportów, kiedy już jest ich, żeby nie budził podejrzeń wśród swoich. Czas leci, kapitan „rośnie” i awansuje na pułkownika, który już kontroluje znacznie większy obszar... To wcale nie są zli ludzie, tylko że są w kurewsko beznadziejnej sytuacji.

Instytucje prawne są tu słabiutki i, co tu gadać, wystarczy zobaczyć, co dzieje się u nas w domu, na miłość boską. Nie mam...

- Nikogo nie chcę krytykować, Larson - przerwał mu Clark. - Nie każdy potrafi podjąć się beznadziejnej misji i nie załamać się. - Spojrzał przez boczne okienko i uśmiechnął

się do siebie. - Do tego trzeba być trochę stukniętym.

Rozdział 5

Chavez obudził się z bólem głowy, nieodłącznym objawem w początkowym okresie przebywania w rozrzedzonej atmosferze. Ból ten wykluwa się tuż za oczodołami i powoli promieniuje na cały obwód czaszki. Mimo to nie narzekał. W ciągu całej kariery w wojsku budził się zawsze sam kilka minut przed pobudką, co pozwalało mu na spokojne przejście ze snu do pełnej świadomości, bez chandry następującej po nagłym wyrwaniu ze snu. Przekręcił głowę w lewo i w prawo, badając otoczenie w pomarańczowym półmroku wpadającym przez niezastłonięte okna.

Budynek nazwałby koszarami każdy, kto w koszarach nie mieszkał na co dzień.

Chavez odniósł wrażenie, że jest to raczej dom myśliwski i nie pomylił się ani najotę.

Powierzchnię sali oszacował na jakieś sześćset metrów kwadratowych i doliczył się czterdziestu metalowych pryczy z cienkimi wojskowymi materacami i brązowymi wojskowymi kocami. Prześcieradła wszyte miały jednak gumki na rogach, więc nie trzeba będzie odstawiać kretyńskich sztuczek z prasowaniem taboretami zasłanych łóżek, i chwała Bogu. Podłoga była z gołych, woskowanych desek sosnowych, a sklepiony sufit podierały wygładzone sosnowe belki. Sierżant zdumiał się, że w sezonie łowieckim myśliwi - bogaci ludzie - płacili grube pieniądze, żeby mieszkać w takich warunkach: najlepszy dowód na to, że wraz z pieniędzmi nie przybywa człowiekowi rozumu. Chavez wcale nie przepadał za koszarowym życiem i nie zdecydował się na prywatną kwaterę w samym Fort Ord lub w okolicy, tylko dlatego że oszczędzał na upragnioną corvette. Żeby dopełnić wrażenia, w nogach każdej pryczy stała autentyczna żołnierska szafka.

Miał ochotę podnieść się na łokciach i wyjrzeć przez okna, ale wiedział, że na to i tak wkrótce przyjdzie czas. Jechali dwie godziny z lotniska i na miejscu każdemu przydzielono w budynku pryczę. Pozostałe prycze zajęte były już przez śpiących, chrapiących mężczyzn. Żołnierzy. Tylko żołnierze tak chrapali. To nie wróżyło nic dobrego. Bo z jakiego powodu młodzi mężczyźni spali jak susły i chrapali po dwudziestej drugiej, jeśli nie z wycieńczenia. Nie przywieźli ich tu na wczasy. I nikt wcale się wczasów nie spodziewał.

Pobudkę obwieścił elektryczny dzwonek, głośniejsza odmiana taniego elektronicznego budzika. Miła niespodzianka. Dobrze, że nie trąbka -

nie znosił trąbienia na pobudkę. Jak większość zawodowych żołnierzy, Chavez znał wartość snu i nie szalał z radości na powitanie dnia. Natychmiast poruszyły się wokół niego wyrwane ze snu ciała w akompaniamencie wściekłych pomruków i przekleństw.

Odrzucił koc i ze zdumieniem poczuł, jak zimna jest podłoga.

- Jak się nazywasz? - spytał wpatrzony w podłogę sąsiad.

- Chavez. Sierżant sztabowy. Kompania Bravo, trzeci batalion siedemnastej dywizji.

- Vega. Kompania sztabowa, 1/22. Przyjechałeś zeszłej nocy?

- Tak. Co tu jest grane?

- Diabli wiedzą, ale wczoraj przegonili nas za wszystkie czasy -powiedział sierżant sztabowy Vega. Wyciągnął rękę. - Julio.

- Domingo. Mów mi Ding.

- Skąd jesteś?

- Los Angeles.

- Chicago. Idziemy. - Vega wstał. - Na jedno przynajmniej nie można tu narzekać: masz tyle gorącej wody, ile zechcesz i żadnych jaj ze sprzątaniami. Gdyby jeszcze, kurwa, ogrzewanie włączali na noc...

- Gdzie, do licha, jesteśmy?

- Kolorado. Tyle wiem. Ale niewiele więcej.

. Dwóch sierżantów dołączyło do grupy zaspanych żołnierzy człapiących pod prysznic.

Chavez rozejrzał się dokoła. Nikt nie nosił okularów. Wszyscy mieli wysportowane sylwetki, bardziej niż przeciętni żołnierze. Kilku wyglądało na kulturystów, ale większość, podobnie jak Chavez, miała smukłą, żyłastą budowę długodystansowców.

Następna cecha wspólna, tak oczywista, że zwrócił na nią uwagę dopiero po upływie pół minuty. Wszyscy bez wyjątku byli Latynosami.

Prysznic pomógł. Przygotowano schludny stos nowiutkich ręczników, a umywalek było tyle, że wszyscy naraz mogli się wygodnie ogolić. Kabiny w toalecie nawet miały drzwi. Gdyby nie to rozrzedzone powietrze, pomyślał Chavez, żyłoby się tu całkiem nieźle. Ktokolwiek tu rządził, dał im dwadzieścia pięć minut, żeby się pozbierać. Pełna kultura.

Kultura skończyła się punktualnie o godzinie szóstej trzydzieści. Żołnierze wskoczyli w mundury, ciężkie buty terenowe i wyszli z budynku. Tu Chavez ujrzał czterech mężczyzn w rzędzie. Wyglądali na oficerów. Znać to było po postawie i wyrazie twarzy. Za nimi stał jeszcze jeden mężczyzna, starszy, który też miał wygląd i maniery oficera, ale... niezupełnie, pomyślał Chavez.

- Gdzie mam iść? - Ding spytał Vegę.

- Trzymaj się mnie. Trzecia drużyna, kapitan Ramirez. Krótka trzyma, ale równy chłop. Mam nadzieję, że lubisz biegać, mono.

- Spróbuję nie zesrać ci się pod nogi z wysiłku - odparł Chavez. Vega odwrócił się z uśmiechem.

- O to mi chodziło.

- Czołem żołnierze! - zagrział głos tego starszego. - Tych, którzy mnie jeszcze nie znają, informuję, że jestem pułkownik Brown. Witam nowych gości w naszym przytulnym górskim schronisku. Trafiliście już do swoich drużyn i miło mi wszystkich zawiadomić, że jesteśmy w komplecie.

Chavez nie zdziwił się, że Brown był tu jedynym nieLatynosem. Ale nie miał pojęcia, dlaczego się nie zdziwił. Do zgrupowania podeszło jeszcze czterech mężczyzn. Byli to instruktorzy odpowiedzialni za wyszkolenie fizyczne. Można ich zawsze poznać po czystych, białych podkoszulkach i twarzach wyrażających przekonanie, że każdego potrafią zwalić z nóg.

- Mam nadzieję, że wszyscy się dobrze wyspali - ciągnął Brown. -Zacniemy dzień od małej rozgrzewki...

- Jasne - mruknął Vega. - Równie dobrze możemy zdechnąć przed śniadaniem.

- Od kiedy tu jesteś? - spytał cicho Ding.

- Drugi dzień. Chryste, może z czasem będzie łatwiej. Oficerowie siedzą tu już od tygodnia i jakoś nie rzygają po biegach.

- ...i luźnego, pięciokilometrowego biegu po górkach - dokończył Brown.

- Pestka - zauważył Chavez.

- Też tak wczoraj mówiłem - odparł Vega. - Dzięki Bogu rzuciłem palenie.

Ding nie wiedział, jak na to zareagować. Vega też był piechurem, z dziesiątej górskiej i tak jak on, powinien bez trudu przechodzić cały boży dzień z trzydziestokilogramowym obciążeniem na plecach. Ale powietrze było tu tak rozrzedzone, że Chavez zastanawiał się, na jakiej wysokości się rzeczywiście znajdują.

Zaczęli od zwykłej gimnastyki porannej, z wcale znośną liczbą powtórek, choć pod koniec Chavez trochę się spocił. Dopiero bieg uświadomił mu, co go czeka. Gdy słońce weszło zza gór, zobaczył dokładniej, w jakiej okolicy się znajduje. Obóz leżał

wtulony w głęboką kotlinę i rozciągał się na około pięćdziesięciu akrach niemal płaskiego terenu. Cała reszta ukształtowana była pionowo, choć po uważniejszym spojrzeniu ukazywały się stoki o nachyleniu mniejszym niż czterdzieści pięć stopni, oznaczone mizernymi, karłowatymi sosnami, które nigdy nie dorosną do wysokości świątecznej choinki. Cztery drużyny, każda prowadzona przez instruktora i kapitana, pobiegły w różnych kierunkach pod górę końskimi ścieżkami przetartymi na zboczach. Po pokonaniu kilometra wspięli się, jak obliczył Chavez, ponad trzysta metrów, podchodząc licznymi, ostrymi zygzakami do skalistego wierzchołka. Instruktor tym razem dał spokój ze śpiewem, który zazwyczaj umiłał bieg w szyku. O szyku też zresztą nie było mowy; biegli gęsiego, usiłując dotrzymać kroku beznamiętnemu robotowi, którego biały podkoszulek prowadził ich ku zagładzie.

Chavez, choć biegał nie mniej niż pięć kilometrów codziennie od dwóch lat, z trudem łapał oddech już po pierwszym kilometrze. Chciał powiedzieć „nie ma pieprzonego powietrza!” czy coś w tym duchu, ale nie chciał marnować tlenu. Potrzebował każdej najmniejszej jego cząsteczki we krwi. Instruktor zatrzymał się u wierzchołka, by sprawdzić, czy wszyscy są, a Chavez, podbiegłszy z psim posłuszeństwem, miał teraz okazję zobaczyć widok godny fotografii Ansel Adamsa, w pełnym świetle porannego słońca. Ale jedyną reakcją na rozległą ponad sześćdziesięciokilometrową panoramę było przerażenie, że trzeba to wszystko przebiec.

Boże, myślałem, że jestem w formie!

Do diabła, przecież jestem w formie!

Następny kilometr biegł wzdłuż grani na wschód i słońce oślepiało niemiłosiernie oczy, które musiały być bez przerwy czujne. Nieopatrzne zboczenie z tego wąziutkiego szlaku mogło zakończyć się bolesnym upadkiem. Instruktor stopniowo przyspieszał, a przynajmniej na to wyglądało, aż wreszcie znów zatrzymał się przy kolejnym wierzchołku.

- Bieg w miejscu! - warknął do tych, którzy dotrzyмали mu kroku. Dwadzieścia metrów za nimi biegło jeszcze dwóch maruderów, nowych, pomyślał Chavez. Widać było na ich twarzach wstyd i determinację, żeby dorównać reszcie. - Dobra, stąd już lecimy z górki.

I rzeczywiście, ścieżka biegła przeważnie w dół, ale przez to była jeszcze bardziej niebezpieczna. Nogi żołnierzy, zdrętwiałe z wycieńczenia spowodowanego ubytkiem tlenu, biegły teraz stokiem, na przemian łagodnym i stromym, z mnóstwem luźnych skalnych odłamków. Tu instruktor nieco zwolnił tempo, ze względu na bezpieczeństwo. Kapitan pozwolił się wyprzedzić żołnierzom i biegł jako ostatni, żeby mieć wszystkich na oku. Widać już było obóz. Pięć budynków. Dym unosił się z komina, obiecując śniadanie. Chavez zobaczył lądowisko helikopterów, pół tuzina samochodów - co do jednego z napędem na cztery koła - i coś, co wyglądało na strzelnicę. W zasięgu wzroku nie było śladu ludzkich siedzib i sierżant uświadomił

sobie, że nawet rozległa panorama z najwyższego miejsca trasy nie ukazywała żadnych domów w promieniu dziesięciu kilometrów.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego okolica jest tak rzadko zasiedlona. Ale nie miał ani czasu, ani siły na głębokie refleksje w tej chwili. Ze wzrokiem wbitym w trasę, Ding Chavez kontrolował każdy krok i tempo. Zrównał się z jednym z niedawnych maruderów i miał go cały czas na oku. Chavez oswajał się już z myślą, że to jest jego drużyna, a żołnierze mają przecież wspierać się wzajemnie. Ale maruder jakoś zdołał

pozierać siły. Głowę miał teraz uniesioną wysoko, dłonie mocno zaciśnięte w pięści.

Grupa dobiegała do obozu. Inna drużyna zbliżała się z przeciwnej strony.

- Szyk dwójkowy! - zakomenderował po raz pierwszy kapitan Ramirez. Przebiegł na czoło i zajął miejsce instruktora, który odbił od formacji i przepuścił ich. Chavez zauważył, że skurwiel nawet się nie spocił. Trzecia drużyna ustawiła się dwójkami za swoim oficerem.

- Drużyna! Równaj krok!

Wszyscy zwolnili do zwykłego marszu. To ulżyło płucom i nogom oraz dało im do zrozumienia, że są teraz pod nadzorem kapitana i przypomniało, że wciąż należą do armii. Ramirez doprowadził ich przed same koszary. Kapitan nie kazał nikomu śpiewać, co oznaczało, że ma na tyle oleju w głowie, pomyślał Chavez, by wiedzieć, że ludzie mają za mało powietrza na śpiew. Julio się chyba nie mylił. Ramirez prawdopodobnie będzie dobrym dowódcą.

- Drużyna stój! - Ramirez odwrócił się. - Spocznij! No i co? Nie było tak źle, chłopcy.

- Madre de Dios! - westchnął cicho jakiś głos.

Jeden z żołnierzy z drugiego rzędu próbował wymiotować, ale nie miał czym.

- Dobra - Ramirez uśmiechnął się do podwładnych. - Wysokość rzeczywiście daje nam popalić. Ale jestem tu od dwóch tygodni. Szybko się człowiek przyzwyczaja. Za dwa tygodnie będziemy biegać dziesięć kilometrów dziennie z obciążeniem i zobaczycie, że to nic takiego.

Gówno prawda - Chavez podzielał myśl Julia Vegi, wiedząc, że kapitan ma rację.

Pierwszy dzień obozu dla rekrutów był gorszy od tego... chyba tak.

- Dziś dajemy wam trochę luzu. Macie godzinę na pozbieranie się i śniadanie. Nie przeżerać się: po południu zrobimy sobie jeszcze mały bieg. O ósmej zbiórka tutaj na ćwiczenia. Rozejść się.

- No i? - spytał Ritter.

Siedzieli na ocienionej werandzie starego domu plantatora na wyspie St Kitts. Clark zastanawiał się, co tu mogli niegdyś uprawiać. Chyba tylko trzcinę cukrową, choć teraz nie rosło nic. To, co ongiś było dworem na plantacji, miało teraz sprawiać wrażenie wyspiarskiej pustelni jakiegoś kapitalistycznego magnata i jego kolekcji nałożnic. W rzeczywistości posiadłość należała do CIA, która używała jej jako miejsca nieformalnych konferencji, szczególnie przydatnego, bezpiecznego przybytku do śledczej kwarantanny wyjątkowo ważnych azylantów; służącego także do innych, bardziej przyziemnych celów - na przykład jako wakacyjna baza dla wysokich funkcjonariuszy Agencji.

- Wstępna charakterystyka okazała się w miarę dokładna, ale nie doceniono w niej trudności terenowych. Nie krytykuję bynajmniej autorów opisu. Trzeba po prostu zobaczyć to, żeby uwierzyć. Bardzo ciężki teren. - Clark wyciągnął się w wiklinowym fotelu i sięgnął po drinka. W hierarchii Agencji znajdował się o wiele niżej niż Ritter, ale należał też do garstki pracowników CIA, którzy zajmowali wyjątkową pozycję. To oraz fakt, że często pracował osobiście dla zastępcy dyrektora do spraw operacji, dawało mu prawo swobodnego zachowania w obecności ZDO. Ritter nie darzył

młodsze kolegi szczególnymi względami, ale potrafił okazać Clarkowi sporo szacunku. - Jak się ma admirał Greer? - spytał Clark. To właśnie James Greer zwerbował go przed laty do Agencji.

- Nie wygląda najlepiej. Dają mu najwyżej dwa miesiące - odparł Ritter.

- Cholerny świat. - Clark wpatrywał się w szklanę, po czym podniósł wzrok. - Wiele zawdzięczam temu człowiekowi. Bogiem a prawdą, całe życie. Nic nie poradzą?

- Przerzuty. Nic się już nie da zrobić. Mogą tylko uśmierzać bóle. To wszystko.

Szkoda. Też się przyjaźniliśmy.

- Tak, wiem. - Clark dopił drinka i wrócił do rzeczy. - Wciąż nie wiem dokładnie, o co w tej misji chodzi, ale możecie na pewno podarować sobie polowanie w ich rezydencjach.

- Aż tak źle?

Clark skinął twierdząco.

- Tak źle. To zadanie dla prawdziwej piechoty z prawdziwym wsparciem, a i wtedy poniesiecie spore straty. Z tego, co mówi Larson, wynika, że ci faceci mają niezłe oddziały ochrony. Sądzę, że można by spróbować kupić kilku takich goryli, ale i tak są świetnie opłacani, więc może to odnieść odwrotny skutek. - Agent terenowy nie zapytał, na czym właściwie polega misja, ale założył, że chodzi o wyłuskanie paru ciepłych ciał i przeszmuglowanie ich do Stanów, gdzie mieliby pojawić się zapakowani jak prezenty pod choinkę przed drzwiami któregoś z biur FBI czy może sądu federalnego. Podobnie jak inni, był w błędzie. - Nie lepiej wygląda sprawa przyskrzynienia gościa w ruchu. Ubezpieczają się, jak należy: nieregularne harmonogramy, okrężne trasy, zawsze i wszędzie pod eskortą uzbrojonych goryli. Złapać więc któregoś w locie to przede wszystkim kwestia dobrego wywiadu, czyli kogoś w środku. Larson wszedł tak głęboko, jak żaden z naszych do tej pory, a i tak jest wciąż za daleko. Wszelkie próby wepchnięcia go jeszcze głębiej skończą się dla niego tragicznie. Zebrał dla nas ważne informacje, to dobry chłopak, i ryzyko takich prób jest zbyt wielkie. Sądzę, że miejscowi usiłowali...

- Tak. Sześciu z nich sprzątnęli. To samo z informatorami. Znikają. Wśród miejscowych roi się od kapusiów. Nie mogą sami prowadzić żadnych dłuższych operacji bez narażania się na poważne straty we własnych szeregach. Działając w ten sposób na dłuższą metę, zniechęcimy do reszty potencjalnych ochotników.

Clark wzruszył ramionami i spojrzał w stronę morza. Na horyzoncie widniał płynący do portu biały statek pasażerski.

- Nie powinienem być chyba się dziwić, że te skurwiele są nie do ruszenia. Larson miał rację: jeśli sami mają mało tęgich głów, to resztę mogą sobie kupić. Skąd werbują swoich doradców?

- Na wolnym rynku, głównie w Europie i...

- Chodzi mi o zawodowych wywiadowców. Muszą mieć kilku prawdziwych orłów.

- Cóż, jest u nich Felix Cortez. Wprawdzie to tylko pogłoski, jednak jego nazwisko padało kilkanaście razy w ciągu ostatnich paru miesięcy.

- Pułkownik DGI, który się ulotnił - zauważył Clark. - DGI to kubańska służba wywiadowcza, wzorowana na radzieckim KGB. Donoszono, że współpracował z Macheteros, portorykańską organizacją terrorystyczną, rozbitą niemal doszczętnie przez FBI w ciągu ostatnich kilku lat. FBI także aresztowało innego pułkownika DGI, Filiberto Ojedę, po czym o Cortezie słuch zaginął. Postanowił więc pozostać poza granicami swojego kraju. Następne pytanie: Czy Cortez sam zdecydował się pracować dla tej najprężniejszej gałęzi systemu wolnego rynku, czy też nadal działał pod kontrolą Hawany? Tak czy owak, DGI szkolili Rosjanie. Jej wysocy funkcjonariusze ukończyli Akademię KGB. Byli więc przeciwnikami godnymi szacunku. A już Cortez na pewno.

Jego kartoteka w Agencji charakteryzuje go jako geniusza w kompromitowaniu ludzi w celu pozyskania informacji.

- Larson o tym wie?

- Tak. Usłyszał jego nazwisko na przyjęciu. Rzecz jasna, byłibyśmy w lepszej sytuacji, wiedząc, jak facet wygląda, ale mamy tylko rysopis, który pasuje jak ulał do połowy męskiej populacji na południe od Rio Grandę.

Spokojna głowa. Larson nie zgrywa chojraka i jeśli zwęszy smród, ma własny samolot i w porę zwieje. Dostał wyraźne rozkazy na taką okoliczność. Nie zamierzam tracić doświadczonego agenta terenowego podczas zwykłej policyjnej roboty. Ritter dodał:

- Posłałem pana na miejsce po świeżą ocenę sytuacji. Jest pan świadom ogólnego celu.

Proszę mi powiedzieć, co się da według pana zrobić.

- Dobrze. Ma pan chyba rację, że warto spenetrować dzikie lotniska i potraktować to jako operację wywiadowczą. Mając odpowiednie środki, jesteśmy w stanie w miarę skutecznie zlokalizować przetwórnice, sęk w tym, że jest ich wiele, a ich mobilność wymaga niezwłocznego dotarcia na miejsce. Sądzę, że udałoby się przeprowadzić maksimum sześć takich akcji, nim druga strona zmadrzeje. Potem zaczniemy ponosić straty, a gdyby niegrzecznym chłopcom dopisało szczęście, możemy wręcz stracić całą siłę uderzeniową; jeżeli ktoś u was o takich rzeczach w ogóle myśli. O śledzeniu gotowego wyrobu wychodzącego z rafinerii nie ma chyba mowy bez całych zastępów ludzi na lądzie; zbyt licznych, by utrzymać długo tajność operacji, a i tak nie zdałoby się to nam na wiele. W północnej części kraju jest dużo małych lotnisk wartych obserwacji, ale Larson uważa, że są ofiarami własnego sukcesu. Przekupili tak skutecznie wojsko i policję w tym regionie, że niepostrzeżenie wchodzą do jawnego systemu ruchu lotniczego. Jeśli nasze grupy penetracyjne nie sypną się wcześniej, mogą działać, dajmy na to, przez dwa miesiące w najlepszym razie, i trzeba będzie je zwinąć. Chciałbym zobaczyć te oddziały, sprawdzić, co są warte.

- Mogę to załatwić - powiedział Ritter. Już wcześniej postanowił wysłać Clarka do Kolorado. Clark najlepiej oceni ich przydatność. - Niech pan mówi dalej.

- Tego rodzaju działania są dobre na miesiąc lub dwa. Możemy obserwować, kiedy ich samoloty startują i dawać cynk, komu trzeba. - Była to jedyna część całej misji, o której Clark cokolwiek wiedział. - Tyle czasu możemy im szkodzić i nie nastawiałbym się na nic więcej.

- Przedstawia pan raczej czarny obraz, Clark. Clark pochylił się do przodu.

- Dyrektorze, jeśli chce pan prowadzić tajną operację, żeby zebrać użyteczne, taktyczne informacje o przeciwniku tak zdecentralizowanym w swoich własnych przedsięwzięciach, owszem, jest to możliwe, ale tylko w ograniczonym czasie i z ograniczonym skutkiem. Jeżeli zaś powiększy pan siły, żeby działać skuteczniej, ręczę, że sprawa sygnie się

z wielkim hukiem. Można prowadzić taką operację, ale na pewno niedługo. Nie wiem, po co w ogóle zawracać sobie tym głowę. - Nie był całkiem szczery. Clark domyślał

się, i słusznie, że przyczyna tkwiła w prezydenckiej kampanii wyborczej, ale takich uwag agent terenowy nie śmiał wypowiadać na głos - zwłaszcza gdy były prawdziwe.

- Dlaczego zawracamy sobie głowę, to już niezupełnie pańska sprawa - zaznaczył

Ritter. Nie podniósł głosu. Nie musiał, a Clarka i tak nie dało się łatwo zastraszyć.

- Zgoda, tylko że nie jest to poważne przedsięwzięcie. Stara historia, panie dyrektorze.

Dajcie nam robotę, którą da się zrobić, a nie z góry przegraną. Rozmawiamy o tym poważnie, czy nie?

- Co pan ma na myśli? - spytał Ritter.

Clark dał mu odpowiedź. Na twarzy Rittera prawie nie znać było emocji. Clark miał tę zaletę, pomyślał Ritter, że jako jedyny człowiek w Agencji potrafił rozmawiać na te drażliwe tematy spokojnie i beznamiętnie, za to z przekonaniem. Tym różnił się od sporej grupki, dla której rozważania takie stanowiły ciekawą intelektualną grę czy wręcz amatorską spekulację wzorowaną, świadomie lub nieświadomie, na literaturze sensacyjnej. Stary, co byś powiedział, gdybyśmy tak... Panowało powszechne przekonanie, że Centralna Agencja Wywiadowcza zatrudnia liczną rzeszę ekspertów tej specjalności. Ale to nieprawda. Nawet KGB dało sobie z tym spokój, zrzucając tego typu robotę na Bułgarów - uważanych przez swoich własnych mocodawców za nieokrzesanych barbarzyńców - albo na postronnych wykonawców w rodzaju terrorystycznych ugrupowań w Europie lub na Bliskim Wschodzie. Polityczny koszt takich operacji był zbyt wysoki i mimo maniakalnej tajności kultywowanej przez wszystkie służby wywiadowcze na świecie, sprawy takie zawsze wychodziły w końcu na jaw. Świat stał się o wiele bardziej cywilizowany od czasu, gdy Ritter został

absolwentem Farmy nad York River, i choć uważał, iż zmiany te są ze wszech miar korzystne, bywało, że wracał myślami do starych, dobrych czasów, podpowiadających rozwiązania problemów, które nie całkiem się zmieniły.

- Jaki będzie stopień trudności? - spytał Ritter z zainteresowaniem.

- Z odpowiednim wsparciem i dodatkowym wyposażeniem, pestka. Clark wyjaśnił, jakie wyposażenie wchodziło w grę.

- Wszystko, co dotychczas robili, działa na naszą korzyść. To ich główny błąd. Są konwencjonalni w

swojej taktyce obronnej. Nic nowego. Wygrywa ten, kto ustala reguły gry. W tej chwili obie strony grają w myśl tych samych reguł, a reguły te, zastosowane przez nas, dają przewagę przeciwnikowi. O tej prawdzie zdajemy się wciąż zapominać.

Zawsze pozwalamy drugiej stronie ustalać reguły. Możemy ich podrażnić, pomieszać im szyki, zgarnąć im część zysku, ale, do diabła, w porównaniu z ich krociowymi dochodami, to dla nich główniana strata. Widzę tylko jeden sposób na przełamanie tego stanu rzeczy.

- To znaczy?

- Jak się panu podoba taki oto domek? - spytał Clark, podsuwając jedno ze zdjęć.

- Frank Lloyd Wright połączony z Ludwikiem Szalonym Bawarskim - zauważył z chichotem Ritter.

- Facet, który zamówił sobie to cacko, pęka z dumy. Ci ludzie manipulowali całymi rządami. Wszyscy twierdzą, że praktycznie rzecz biorąc, oni są rządem. To samo mówiło się w Chicago w czasach prohibicji, że Capone w rzeczywistości rządził

miastem - tylko jednym miastem, tak? A ci są na dobrej drodze do przechwycenia władzy w całym kraju. Powiedzmy więc, że już mają de facto władzę. Do tego dochodzi wybujałe ego. Prędzej czy później zaczną się z tym obnosić. Wiem, że nie sprzeniewierzymy się regułom. Ale wcale nie zdziwiłbym się, gdyby oni wyszli poza sztywne ramy raz czy dwa, żeby tylko zobaczyć, czy ujdzie im to na sucho. Wie pan, o co mi chodzi? Cały czas poszerzają granice swoich możliwości i jeszcze nie uderzyli o ceglany mur, który powiedziałyby im, gdzie muszą się zatrzymać.

- John, bawisz się w psychologa - rzekł Ritter, uśmiechając się półgębkiem.

- Może. Te dranie zarabiają na uzależniających narkotykach, prawda? Sami przeważnie ich nie tykają, ale sędzę, że powoli uzależniają się od najmocniejszego narkotyku jak świat światem.

- Władzy. Clark przytaknął.

- Prędzej czy później przedawkują. Wtedy ktoś poważnie się zastanowi nad moim pomysłem. Gdy dochodzi się do szczytów, reguły się nieco zmieniają. To już, oczywiście, decyzja polityczna.

Był panem wszystkiego w zasięgu wzroku. Tak przynajmniej dało się go najkrócej opisać, choć jak w przypadku wszelkich twierdzeń, również i ta charakterystyka mogła być zarazem prawdziwa i fałszywa. Dolina, na którą spoglądał, nie należała w całości do niego; jego parcela mierzyła niespełna tysiąc hektarów, a przed oczyma rozpościerały się ich miliony. Ale nikt, kto znalazł się w zasięgu jego wzroku, nie mógłby dalej żyć, gdyby on zdecydował inaczej. Tylko taka władza się liczyła, a on nie omieszkał korzystać z tej formy władzy niezliczoną ilość razy. Wystarczył

ruch dłoni, rzucona od niechcienia uwaga w obecności adiutanta i było po wszystkim.

Nie znaczy to, że nic sobie z tego nie robił - śmierć traktował poważnie - ale wiedział, że mógłby sobie pozwolić na taką bez troskę. Świadom był, że ten rodzaj władzy mógł

wpędzić człowieka w obłąd. Doświadczyli tego niektórzy z jego partnerów w interesach, z opłakanymi skutkami. Lecz on był badaczem świata, badaczem historii.

Dostał jednak łaski starannego wykształcenia - rzecz niezwykła w obranym przez niego zawodzie - pod presją ojca, jednego z pionierów, który do ostatnich dni miał żal do syna, że nie okazał mu za to wdzięczności. Toteż znał się na ekonomii jak niejeden profesor uniwersytetu. Rozumiał prawa rynku i wahania koniunktury. Rozumiał też historyczne siły, które na nie wpływały. Studiował marksizm; choć odrzucił filozofię marksizmu z wielu powodów, wiedział też, że zawiera więcej niż ziarenko prawdy zmieszanej z całym politycznym bełkotem. Resztę swych zawodowych kwalifikacji zawdzięcza temu, co Amerykanie nazywają szkoleniem na stanowisku. Podczas gdy ojciec pomagał w odkrywaniu nowych sposobów robienia interesów, on bacznie się przyglądał, doradzał i zaczynał działać. Zdobywał nowe rynki pod kierunkiem ojca i wkrótce cieszył się reputacją rozsądnego, dokładnego stratega, którego często ścigano, lecz nigdy nie ujęto. Tylko raz został aresztowany, ale po rychłej śmierci dwóch świadków, pozostali zachorowali na amnezję, kończąc tym samym jego bezpośrednie kontakty z policją i sądami.

Uważał się za spadkobiercę innej epoki - czasów klasycznych, kapitalistycznych magnatów-grabieżców. Przed stu laty dążyli trasy kolei żelaznych przez całe Stany Zjednoczone -wiedział dosłownie wszystko

o tym kraju - i jak walec gnietli wszystko, co stało im na drodze. Plemiona indiańskie - traktowane jak stada dwunożnej odmiany bawołu i odtrącane na boki. Związki zawodowe - pacyfikowane przy pomocy wynajętych siepaczy. Rządy - przekupywane i obalane. Prasa - mogła sobie kwiczeć... dopóki za dużo ludzi nie słyszało. Wiele się nauczył na tym przykładzie. Lokalna prasa spuściła już z tonu, przekonawszy się, że dziennikarz jest istotą śmiertelną. Kolejowi magnaci postawili sobie pałace - zimowe w Nowym Jorku, a letnie rezydencje pod Newport.

Jasne, że miał problemy, o których tamci nie śnili, ale żaden model historyczny nie wytrzymał próby, jeśli przenosić go zbyt drobiazgowo. Świadomie zignorował też fakt, że Gouldowie i Harrimanowie zbudowali coś pożytecznego dla swoich społeczeństw. Kolejną dla niego lekcją z poprzedniego wieku był fakt, że krwawa konkurencja się nie opłaca. Przekonał ojca, żeby zjednął sobie konkurentów. Już wówczas posiadał dar

skutecznej perswazji. Trafił sprytnie na czas, gdy zagrożenia z zewnątrz tworzyły sprzyjający klimat do współpracy. Lepiej współdziałać, jak przekonywał, niż marnować czas, pieniądze, energię i krew - i zwiększać osobiste ryzyko. Pomysł się sprawdził.

Nazywał się Ernesto Escobedo. Był jednym z licznych członków kartelu, lecz większość z nich przyznałaby bez wahania, że jego głosu słuchają wszyscy. Nie zawsze się z nim zgadzali, nie zawsze poddawali się jego woli, ale pomysłów jego słuchali zawsze z należytą uwagą, bo dotychczas okazywały się korzystne. Kartel nie miał szefa w zwykłym tego słowa znaczeniu, nie był bowiem jednym przedsiębiorstwem, lecz raczej grupą przywódców, którzy pracowali w ścisłej kooperacji - prawie komitetem, ale niezupełnie; prawie przyjaciółmi, ale nie całkiem. Narzucało się porównanie z amerykańską mafią, lecz kartel był bardziej cywilizowanym, a zarazem bardziej brutalnym związkiem. Escobedo rzekłby, iż kartel jest zorganizowany sprawniej i jest bardziej przebojowy, ma więc atrybuty młodej i prężnej organizacji, w przeciwieństwie do mafii, starej i feudalnej.

Czas płynął teraz szybciej. Zdobywanie ogromnego majątku nie wymagało już pracy przez całe życie, toteż, powtarzał sobie Ernesto, nie musiał zostawiać go swoim synom. Mógł zatrzymać wszystko dla siebie. Pierwszym krokiem do osiągnięcia każdego celu była decyzja, że da się go osiągnąć. Decyzję tę podjął już dawno.

Przyszła kolej na urzeczywistnienie celu. Escobedo miał czterdzieści lat, był

mężczyzną pełnym wigoru i pewnością siebie. Nigdy nie zażywał produktu dostarczanego innym, zaś do odmiany stanu świadomości służyło mu wino - i to coraz rzadziej. Kieliszek, dwa, do obiadu; czasem łyknął coś mocniejszego podczas spotkań z innymi przywódcami kartelu, ale częściej poprzestawał na wodzie perrier. Zyskał

sobie tym szacunek współników. Escobedo był trzeźwym, rozsądnym człowiekiem, o tym wszyscy wiedzieli. Gimnastykował się regularnie i dbał o swój wygląd. Nałogowy palacz w młodości, jeszcze za młodu zerwał z nałogiem. Przestrzegał diety. Jego matka żyła i cieszyła się dobrym zdrowiem w wieku siedemdziesięciu trzech lat; także jej dziewięćdziesięciodziesięcioletnia matka. Ojciec w zeszłym tygodniu skończyłby siedemdziesiąt pięć lat, gdyby... lecz ci, którzy skrócili jego ojcu życie, ponieśli okrutną karę za swą zbrodnię, wraz z całymi rodzinami, wymierzona w większości przypadków osobiście przez Escobedo. Wspominał to z synowską dumą; żonę ostatniego z zabójców posiadał na oczach jej umierającego męża, po czym zabił ją i dwójkę dzieci, nim oczy jego ofiary zamknęły się po raz ostatni. Nie sprawiało mu żadnej przyjemności zabijanie kobiet i dzieci, rzecz oczywista, ale zabiegi takie bywały konieczne. Pokazał tamtemu, który z nich jest lepszy, a gdy rozeszła się wieść o tym wyczynie, zmalało prawdopodobieństwo, by ktokolwiek odważył się w przyszłości niepokoić Ernesto i jego rodzinę. Nie sprawiało mu to przyjemności, ale historia wykazała, że bolesne lekcje na długo pozostają w pamięci. Dowiodła także nieraz, że ci, którzy nie potrafili takich lekcji dawać, nie mogli liczyć na szacunek. Escobedo żądał szacunku ponad wszystko. To, że osobiście wyrównał ten rachunek, a nie zdał się na najemników, przysporzyło mu znacznego prestiżu w organizacji. Ernesto był myślicielem, mawiali jego współnicy, ale umiał też zrobić co trzeba.

Jego majątek był tak ogromny, że oszacowanie go nie miało najmniejszego sensu.

Dzierżył boską niemal władzę nad życiem i śmiercią. Miał piękną żonę i trzech dorodnych synów. Gdy znudziły go uciechy małżeńskiego łóża, miał do wyboru kochanki. Posiadał wszystko, co dało się kupić za pieniądze. Miał domy w dolinie u jego stóp, tę fortecę na górze i rancza nad morzem - nad dwoma morzami, gwoli ścisłości, Kolumbia bowiem leży nad dwoma wielkimi oceanami. Na ranczach postawiono stajnie pełne koni arabskich. Niektórzy jego współpracownicy mieli prywatne corridy, lecz ten sport nigdy go nie pociągał. Świetny strzelec, polował już na wszystko, co dało się w kraju ustrzelić - łącznie z ludźmi. Wmawiał sobie, że powinien być zadowolony. Ale nie był.

Amerykańscy magnaci-krwiopijcy podróżowali po świecie, zapraszano ich na europejskie dwory, wżeniali swych potomków w arystokratyczne rody - cyniczny proceder, owszem, ale wart zachodu i całkowicie zrozumiały. Tych swobód nie zaznał

i choć świetnie zdawał sobie sprawę z przyczyny tego stanu rzeczy, nie mógł jednak pogodzić się z tym, że z taką władzą i majątkiem musiał sobie czegoś odmawiać.

Mimo wszystkich osiągnięć, życie wciąż stawiało przed nim bariery - co gorsza, bariery te wznosili inni, słabsi od niego ludzie. Przed dwudziestu laty obrał drogę do wielkości i mimo oczywistych sukcesów, fakt, że obrał tę właśnie drogę, uniemożliwił

mu zbieranie upragnionych owoców, bo słabsi ludzie nie wyrażali na to zgody.

A przecież bywało inaczej.

- Prawo? - rzekł ongiś jeden z kolejowych potentatów. - Cóż mnie obchodzi prawo? -

I nic mu się nie stało, podróżował do woli, uznano go za wielkiego człowieka.

Czyja mam być gorszy? - spytał siebie Escobedo. Jedna część jego osobowości знаła odpowiedź, ale druga, silniejsza część nie godziła się z nią. Nie był wszak głupi, z pewnością nie lekkomyślny, ale nigdy dotąd

nie pozwalał, by inni narzucali mu reguły gry. Ernesto, prawdę powiedziawszy, łamał

każdą zasadę wedle własnego widzimisie i świetnie na tym wychodził. Doszedłeś do wszystkiego, ustalając własne reguły - twierdził w nim biznesmen. Musi więc nauczyć się ustalać nowe. Tamci nauczą się negocjować na jego warunkach. Miał już dość naginania się do warunków stawianych przez innych. Powziąwszy decyzję, zajął się badaniem metod.

Co pomogło innym?

Najoczywistsza odpowiedź brzmiała: sukces. Czego nie dało się pokonać, trzeba było respektować. W polityce międzynarodowej obowiązywało tak mało reguł, jak w każdym poważnym przedsięwzięciu, poza jedynym liczącym się wyjątkiem - sukcesem.

Nie było wszak na świecie kraju, który nie układałby się z mordercami; w grę wchodziła tylko kwestia, czy mordercy byli skuteczni. Wymorduj kilka milionów ludzi i już jesteś mężem stanu. Czyż wszystkie państwa nie płaszczyły się przed Chinami - a czyż ich przywódcy nie zgładzili milionów Chińczyków? Czyż Ameryka nie szukała kompromisu z Rosją, która przecież wymordowała miliony własnych obywateli? Za Cartera Amerykanie popierali reżim Pol Pota, który wymordował miliony rodaków. Za Reagana Ameryka zabiegała o modus vivendi z tymi samymi Irańczykami, którzy zabili tylu własnych obywateli, wraz z większością tych, którzy widzieli w Ameryce swego sprzymierzeńca - i zostali pozostawieni na pastwę losu. Ameryka wspierała dyktatorów z rękami splamionymi krwią - i tych z prawa, i tych z lewa - w imię realpolitik, odmawiając jednocześnie wsparcia umiarkowanym - na prawo i na lewo -

mogli bowiem okazać się za mało umiarkowani. Kraj do tego stopnia wyzbyty zasad mógł przecież uznać go wraz ze współnikami. Tak przedstawiała się prawda o Ameryce w opinii Ernesto. Podczas gdy on miał zasady, którym się nigdy nie sprzeniewierzy, Ameryka takich zasad nie miała.

Degrengolada Ameryki jawiła się mu z całą wyrazistością. Sam wszak dostarczał jej towaru. Od wielu już lat niektóre grupy społeczne usiłowały zalegalizować narkotyki na największym i najważniejszym dlań rynku. Na całe szczęście, poniosły klęskę. Ich zwycięstwo oznaczałoby

katastrofę dla kartelu, porażka zaś wykazała po raz kolejny całkowity brak rozsądku rządu, który nie zwiertzył tu własnych korzyści. Rząd amerykański mógł zarobić miliardy na tym interesie -tak jak on i jego partnerzy - lecz zabrakło mu wyobraźni i rozsądnej kalkulacji. A uważali się za wielkie mocarstwo. Z

całą swą rzekomą siłą, Yanquis nie odznaczali się silną wolą ani męstwem. On umiał panować nad tym, co dzieje się w jego kraju, oni nie potrafili. Opanowali oceany, w powietrzu roіło się

od ich samolotów bojowych - ale wykorzystać je dla własnego dobra? Pokręcił głową z rozbawieniem.

Nie, Amerykanie nie zasługiwali na szacunek.

Rozdział 6

ODSTRASZANIE

Felix Cortez podróżował z kostarykańskim paszportem. Gdyby ktoś zwrócił uwagę na jego kubański akcent, wyjaśni, że jego rodzina wyemigrowała z Kuby, kiedy jeszcze był chłopcem, ale wybierając przeczornie docelowe porty lotnicze, ustrzegął się takich sytuacji. Poza tym pracował nad swoim akcentem. Cortez władał biegle dwoma językami -angielskim i rosyjskim, oprócz ojczystego hiszpańskiego. Był zniewalająco przystojnym mężczyzną o tropikalnej karnacji, niewiele odbiegającej od wakacyjnej opalenizny. Wypielęgnowany wąsik i szyty na miarę garnitur dopełniały wizerunku zamożnego człowieka interesu, a przy tym sympatycznego, dzięki ukazywanym w uśmiechu lśniącym białym zębom. Czekał w kolejce do odprawy paszportowej na Międzynarodowym Lotnisku Dullesa, zabawiając rozmową stojącą za nim panią, aż wreszcie dotarł do funkcjonariusza imigracyjnego, z niespieszną obojętnością częstego podróżnika.

- Dzień dobry panu - rzekł urzędnik, nie podnosząc niemal wzroku znad paszportu. -

Co sprowadza pana do Ameryki?

- Interesy - odparł Cortez.

- Uhm - mruknął funkcjonariusz. Przekartkował paszport i dostrzegł liczne stemple wjazdowe. Facet dużo podróżował i celem około połowy jego wyjazdów w ostatnich czterech latach były Stany. Stemple rozkładały się równo na Miami, Waszyngton i Los Angeles. - Na jak długo planuje pan swój pobyt?

- Pięć dni.

- Czy ma pan coś do zadeklarowania?

- Mam wyłącznie rzeczy osobiste i notatki - Cortez podniósł teczkę.

- Miłego pobytu w Ameryce, panie Diaz. - Funkcjonariusz podstemplował paszport i oddał go właścicielowi.

- Dziękuję.

Odszedł po bagaż - dużą i dość zużytą torbę na dwa garnitury. Zawsze starał się lądować na amerykańskich lotniskach w porach małego ruchu, nie ze względu na wygodę, ale dlatego, że godzin tych unikali ludzie, którzy coś chcieli ukryć. W porach małego ruchu celnicy mieli dość czasu, żeby naprzykrzać się podróżnym i nie puszczali wówczas psów do obwąchiwania rzędów bagażu. Łatwiej także było spostrzec, czy się jest pod obserwacją, gdy w halach lotniska nie panował tłok, a Cortez/Diaz celował w wykrywaniu takich przypadków.

Następnie przeszedł do biura Hertza, gdzie wynajął dużą limuzynę chevrolet. Cortez nie przepadał za Amerykanami, lecz gustował w ich wielkich autach. Dalej szło już jak z płatka. Zapłacił kartą kredytową Visa. Panienska za ladą zaproponowała mu jak zwykle członkostwo w Klubie Numer 1 Hertza; przyjął odpowiedni formularz z udanym zainteresowaniem. Jeśli wynajmował samochód od

tej samej firmy więcej niż raz, to wyłącznie dlatego, że nie było ich tak wiele, by uniknąć powtórek. Nie używał

też dwa razy tego samego paszportu ani karty kredytowej. Opoдал swego domu ukrywał całą kolekcję jednych i drugich. Przybył do Waszyngtonu zobaczyć się z kimś, kto dbał o podobne środki ostrożności.

Nogi wciąż miał zdrętwiałe, gdy wychodził po samochód. Mógł pojechać po auto mikrobusem na koszt firmy, ale miał już dosyć siedzenia. Wilgotne ciepło późnowiosennego dnia przypominało mu rodzinne strony. Nie żeby wspominał Kubę z rozrzewnieniem, ale bądź co bądź jego poprzedni rząd zapewnił mu szkolenie potrzebne w jego obecnej pracy. Te wszystkie zajęcia z marksizmu-leninizmu, wmawiające ludziom, którzy ledwie mieli co włożyć do ust, że żyją w rajach, w przypadku Corteza miały taki skutek, że dowiedział się, czego oczekiwać od życia.

Dzięki przeszkoleniu w DGI zakosztował pierwszych przywilejów, zaś niekończący się instruktaż polityczny sprawił jedynie to, że oświadczenia jego rządu stawały się dlań coraz bardziej groteskowe. Mimo to nie rezygnował z gry, zamieniając swój czas na szkolenie i pracę w terenie, ucząc się, jak działają społeczeństwa kapitalistyczne i jak je penetrować i rozsądzać od wewnątrz, badając ich mocne i słabe strony. Kontrast pomiędzy dwoma systemami serdecznie bawił byłego pułkownika. Względna nędza Portoryko wydawała mu się rajem, mimo że pracował wraz z pułkownikiem Ojedą i dzikusami Macheteros, by obalić tamtejszy porządek - i zastąpić go kubańską wersją realnego socjalizmu. Cortez dochodząc do parkingu, pokręcił głową z rozbawieniem.

Poziom wyżej Liz Murray wysadziła męża z samochodu za wysypującą się z autobusu gromadą podróżnych. Ledwie zdążyli się pocałować. Miała pilne sprawy do załatwienia, a do odlotu Dana zostało tylko dziesięć minut.

- Powinienem wrócić do domu jutro po południu - rzekł, wysiadając z samochodu.

- Świetnie - odpowiedziała Liz. - Pamiętaj o firmie przeprowadzkowej.

- Na pewno nie. - Dan zatrzęsął drzwiami i postąpił trzy kroki. - To znaczy, na pewno nie zapomnę, koteczku...

Odwrócił się na czas, by zobaczyć, jak żona odjeżdża roześmiana; znowu sobie nie podarowała. To nie fair, marudził pod nosem. Ściągają człowieka z Londynu, wielki awans, po to, żeby już na drugi dzień zwalić na niego robotę. Wszedł przez samoczynnie otwierające się drzwi do hali odlotów i znalazł monitor z informacją o jego rejsie. Miał tylko jedną torbę, na tyle małą, że mógł wziąć ją na pokład jako podręczny bagaż. Przejrzał już papiery - przesłano je faksem do Waszyngtonu z biura terenowego w Mobile; zdążyły narobić dużo szumu w Budynku Hoovera.

Trzeba było następnie pokonać detektor metali. Postanowił obejść urządzenie bokiem.

Usłyszał zwykłą uwagę „Przepraszam pana” i w odpowiedzi pokazał legitymację wydaną na nazwisko Daniela E. Murraya, zastępcy wicedyrektora Federalnego Biura Śledczego. Żadną miarą nie przedostałby się przez bramkę, na pewno nie z pistoletem Smith -Wesson przypiętym do pasa, a

służby porządkowe na lotniskach reagowały dość nerwowo, ilekroć pokazywał, co ma przy sobie. Nie żeby tak świetnie strzelał.

Nie zdążył jeszcze nawet odnowić licencji. Miał to w planie na przyszły tydzień.

Wprawdzie wobec szyszek ze ścisłego kierownictwa FBI nie egzekwowano stosownych przepisów zbyt rygorystycznie - wszak największe ryzyko zawodowe stanowiły dlań teraz zszywacze biurowe - to jednak jako człowiek daleki od próżności miał właśnie słabość do strzelania. Bez szczególnego powodu Murray trafił się tym, że po czterech latach na stanowisku attache prawnego potrzebował dłuższego treningu, by odzyskać wprawę eksperta w strzelaniu z obu rąk, zwłaszcza z nowej broni. Jego ukochany colt python kaliber 0.357 z nierdzewnej stali poszedł w odstawkę. Biuro przechodziło na pistolety i gdy Murray po raz pierwszy wszedł do swego nowego gabinetu, zastał na biurku zawiązany wstążką prezent w postaci S-W, o który postarał

się jego przyjaciel Bili Shaw, nowo mianowany samodzielny wicedyrektor wydziału dochodzeń. Bili zawsze działał z fantazją. Murray przełożył torbę do lewej ręki i ukradkiem sprawdził, czy broń jest na miejscu, tak jak zwykły śmiertelnik upewnia się, czy ma portfel w kieszeni. Jediną złą stroną jego londyńskiej posady było to, że nie mógł nosić broni. Jak każdy amerykański gliniarz, Murray czuł się nagi bez spluwy, nawet jeśli nie miał wystarczającego powodu do jej użycia w trudnych sytuacjach. Ale mógł chociażby udaremnić próbę uprowadzenia samolotu na Kubę. Skończyły się dla niego bezpowrotnie czasy stosowania bezpośredniego przymusu. Awansowali go do ścisłego kierownictwa, czym subtelnie dali mu do zrozumienia, że jest za stary do pożytecznej roboty, dopowiedział sobie w duchu Murray, siadając blisko wyjścia na stanowisko swojego samolotu. Powierzony mu teraz problem najbardziej zbliżył go do prowadzenia prawdziwej sprawy i to wyłącznie dzięki temu, że trafiła na biurko dyrektora, a ten wezwał Billa Shawa, który z kolei postanowił powierzyć ją komuś, kogo dobrze znał. Zapowiadała się niezgorzej.

Dali mu na początek całkiem smaczny kąsek.

Lot trwał nieco ponad dwie godziny i upłynął pod znakiem nudnej rutyny i marnego posiłku. Na Murraya czekał przy wyjściu starszy agent specjalny Mark Bright, zastępca szefa komórki służb specjalnych terenowego biura w Mobile.

- Ma pan jeszcze jakiś bagaż, panie Murray?

- Nie, to wszystko; mam na imię Dan - odparł Murray. - Czy ktoś już z nimi rozmawiał?

- Jeszcze nie dopłynęli, z tego, co wiem - Bright spojrzął na zegarek. - Mieli dotrzeć około dziesiątej, ale wezwali ich do akcji ratowniczej wczoraj w nocy. Wybuchł pożar na kutrze rybackim i musieli ewakuować załogę. Dziś rano było o tym w telewizji.

Akcja udana, jak podawali.

- Świetnie - zauważył Murray. - Nie dość, że jedziemy maglować pieprzonego bohatera, to facet wyskakuje z następnym dobrym uczynkiem.

- Wiesz o nim coś więcej? - spytał Bright. - Boja nie miałem jeszcze czasu...

- Dostałem jego kartotekę. Bohater jest odpowiednim słowem. Ten Wegener to już legenda. Reda Wegenera nazywają Królem PIR - to znaczy Poszukiwania i Ratownictwa. Połowa ludzi, którzy kiedykolwiek wyszli w morze, zawdzięcza mu życie. Przynajmniej tak się o nim mówi. Ma też mocne plecy na Kapitolu.

- Na przykład?

- Senator Billings z Oregonu. - Murray pokrótce wyjaśnił, dlaczego.

- Przewodniczący komisji prawnej. Za ciasno mu było w komisji transportu? - spytał

Bright z oczami zwróconymi w sufit. Komisja prawna Senatu nadzorowała działalność FBI.

- Długo siedzisz nad tą sprawą?

- Dali mi ją, bo jestem łącznikiem z Agencją do Walki z Narkotykami, DEA. Papiery dostałem dopiero przed samym lunchem. Przez dwa dni miałem urlop - rzekł Bright, idąc ku drzwiom. - Urodziło mi się dziecko.

- Och -zareagował skwapliwie Murray. Trudno mieć to człowiekowi za złe. -

Winszuję. Wszyscy zdrowi?

- Dziś rano przywiozłem Mariannę do domu, a Sandra to najśłodsze stworzenie na świecie. Tylko że hałaśliwe.

Murray zaśmiał się. Od niepamiętnych czasów nie miał już do czynienia z niemowlętami. Bright zaprowadził go do swojego forda, którego silnik mrucał jak nażarty tygrys. Na przednim siedzeniu leżały jakieś papiery dotyczące Wegenera.

Murray przeglądał je, gdy tymczasem Bright wyprowadzał auto z parkingu.

Potwierdzały to, co słyszał w Waszyngtonie.

- Niezła historia.

- Dobrze, co? - przyznał Bright. - Chyba nie sądzisz, że to wszystko prawda.

- Słyszałem o wielu wariackich wyskokach w życiu, ale ten numer bije wszystkie na głowę. - Po chwili milczenia Murray dodał: - Dziwi mnie tylko...

- Właśnie - potwierdził młodszy agent. - Mnie też. Nasi koledzy z DEA w to wierzą, ale to, co wyszło na jaw przy okazji - to znaczy, nawet jeśli dowody są kruche, to, co z tego wychodzi, jest...

- Tak. — I właśnie dlatego Murray dostał tę sprawę. - Jak wysoko notowana była ofiara?

- Powiązania z osobistościami wielkiej polityki, rady nadzorcze banków, uniwersytet w Alabamie, zwykle kontakty z organizacjami obywatelskimi, dodaj, co chcesz. Facet był

nie tylko szacownym obywatelem, był wręcz pomnikiem Stone Mountain.

Obaj mężczyźni wiedzieli, że góra ta, z wykutymi w niej popiersiami bohaterów Konfederacji, znajduje się w Georgii, ale przenośnia trafiała w sedno. Stara rodzina, sięgająca korzeniami do generała wojny secesyjnej. Jego dziad był gubernatorem.

- Pieniądze? Bright chrząknął.

- Ja bym nie wiedział, co z nimi zrobić. Wielka posiadłość na północ od miasta z wciąż czynną farmą - plantacją, rzekłbyś w tych stronach - ale nie stąd czerpał główne zyski.

Cały rodzinny majątek zainwestował w handel nieruchomościami. Z ogromnym powodzeniem, jak nam

wiadomo. Interes rozwinął się w istny labirynt małych korporacji - jak zwykle. Nasi ludzie starają się to rozpracować, ale potrzebują trochę czasu. Niektóre odnogi korporacji prowadzą jednak za granicę i nie wiadomo, czy uda nam się do końca wszystko rozwikłać. Sam wiesz, jak z tym bywa. Na razie jesteśmy na początku kłębka.

- Wpływowy lokalny biznesmen powiązany z narkotykowymi kacykami. Nie ma co, świetnie się kamuflował. Nie zwęszyliście nic wcześniej?

- Nic a nic - przyznał Bright. - Ani my, ani DEA, ani lokalne gliny. Zero.

Murray zamknął akta i spojrzał na sznur samochodów. To dopiero wąty promyczek światła na sprawę, której zbadanie może się rozciągnąć na długie lata żmudnej, śledczej pracy. Niech to szlag, nie wiemy nawet jeszcze, czego szukamy, rzekł w duchu do siebie zastępca wicedyrektora. Wiemy tylko, że na ślicznym jachcie „Empire Builder” znajdowało się milion dolarów żywej gotówki w używanych dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Taka sumka mogła znaczyć tylko jedno - chociaż wcale niekoniecznie. Mogła znaczyć wiele różnych rzeczy, pomyślał Murray.

- Jesteśmy na miejscu.

Wjechali do bazy bez problemu, Bright znał drogę do nabrzeża. „Panache” wyglądał

imponująco z samochodu - strzelista, biała skała z jasnopomarańczowym pasem i kilkoma ciemnymi plamami smaru koło śródkręcia. Murray wiedział, że statek jest w istocie niewielki, ale do trafnej oceny trzeba tła wielkiego oceanu. Nim wyszli wraz z Brightem z samochodu, ktoś przy trapie zatelefonował i po kilku sekundach ukazał się tam inny mężczyzna. Murray rozpoznał go ze zdjęcia z kartoteki. Był to Wegener.

Miał na głowie marną pozostałość po niegdyś bujnej rudej czuprynie, teraz przyprószonej tak obficie

siwizną, że koloru włosów nie dało się dokładnie określić.

Trzyma się całkiem krzepko, pomyślał agent FBI, wchodząc na statek po aluminiowym pomoście - nieznaczny wałeczek tłuszczu w pasie, ale nic poza tym. Tatuż na przedramieniu wskazywał na żeglarza, a spokojne oczy znamionowały człowieka nienawykłego do wszelkich przesłuchań.

- Witam na pokładzie. Jestem Red Wegener - rzekł z uprzejmym, acz nie wylewnym uśmiechem.

- Dziękuję, kapitanie. Nazywam się Dan Murray, a to jest Mark Bright.

- Mówili mi, że panowie są z FBI - zauważył kapitan.

- Ja jestem zastępcą wicedyrektora z Waszyngtonu. Mark jest zastępcą szefa służb specjalnych z naszego Biura w Mobile. - Twarz Wegenera zmieniła się nieco, zauważył

Murray.

- Cóż, wiem, co panów tu sprowadza. Przejdźmy porozmawiać do mojej kabiny.

- Jak tam pogorzeliśko na wodzie? - spytał Dan, idąc za kapitanem. Powiedział to jakimś osobliwym tonem. Bardzo... dziwacznie.

- Na kutrze poławiaczy krewetek zapalił się silnik. Stało się to pięć mil od nas, kiedy płynęliśmy do bazy. Zbiorniki z paliwem wybuchły akurat, gdyśmy podpłynęli do kutra. Szczęście w nieszczęściu. Wszyscy żyją. Jednego z załogi tylko trochę poparzyło.

- A kuter? - spytał Bright.

- Poszedł na dno. I tak ledwie udało nam się przerzucić załogę. - Wegener otworzył

drzwi i zaprosił ich do środka. - Bywa, że to wszystko, co się da zrobić. Napiją się panowie kawy?

Murray podziękował. Świdrował teraz wzrokiem kapitana na wylot. Przede wszystkim, pomyślał Dan, wygląda na zmieszanego. Niezwykły objaw. Wegener posadził gości i sam zajął miejsce za biurkiem.

- Wiem, po co panowie przyjechali - oznajmił Red. - To wszystko przeze mnie.

- Eh! Kapitanie, zanim pan przejdzie do rzeczy... - usiłował wtrącić się Bright.

- Zdarzały mi się w przeszłości głupie wpadki, ale tym razem rzeczywiście zawałem sprawę - ciągnął Wegener, zapalając fajkę. - Nie przeszkodzi panom, że zapalę?

- Oczywiście - skłamał Murray. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale wiedział, że nie tego, czego oczekiwał Bright. Wiedział też parę innych rzeczy, o których Bright nie miał pojęcia. - Niech nam pan wszystko opowie, dobrze?

Wegener sięgnął do szuflady biurka, coś wyciągnął i rzucił Murrayowi. Była to paczka papierosów.

- Jednemu z naszych przyjaciół wypadło to na pokład, a ja kazałem mojemu człowiekowi im to oddać. Myślałem... sami powiedzcie, panowie. Jakkolwiek by było, wygląda to jak zwyczajna paczka papierosów, prawda? A jak trzymamy ludzi w areszcie, mamy traktować ich po ludzku, tak? No to pozwoliłem im wziąć sobie fajki.

Później wyszło, że to skręty z trawką, oczywiście. Toteż kiedy przesłuchiwalismy ich -

zwłaszcza tego, co chciał gadać - cóż, był tak nabuzowany, jak pijany zajac. I przez to całe przesłuchanie jest gównem warte, tak?

- To chyba nie wszystko, kapitanie, prawda? - spytał niewinnie Murray.

- Bosman Riley poturbował trochę jednego z nich. To moja wina. Rozmówiłem się już z bosmanem. Ten, jak mu tam - no, ten ponury -

opłuł mnie, a Riley stał obok, wkurzył się trochę i przylał mu co nieco. Nie powinien był tego robić, ale w końcu jesteśmy organizacją wojskową i kiedy się pluje na dowódcę, żołnierzom się to niezbyt podoba. Riley się trochę zagalopował, ale stało się to na moim okręcie i odpowiedzialność spada na mnie.

Murray i Bright spojrzeli po sobie. Aresztanci wcale o tym nie wspominali.

- Kapitanie, prawdę mówiąc, nie dlatego tutaj jesteśmy - rzekł po chwili Murray.

- Tak? - powiedział Wegener. - Więc dlaczego?

- Twierdzą, że wykonaliście na jednym z nich wyrok śmierci - odrzekł Bright.

W kajucie kapitańskiej na chwilę zaległa cisza. Murray usłyszał z oddali stuk młotka, ale najgłośniejszy dźwięk dochodził z wentylatora.

- Przecież obaj są żywi i cali. A było ich tylko dwóch i obaj żyją. Oddałem do helikoptera tę kasetę z przeszukania jachtu. Nic nie rozumiem - jeśli obaj żyją, któregośmy zastrzelili?

- Powiesili - sprostował Murray. - Twierdzą, żeście jednego powiesili.

- Chwileczkę, panowie. - Podniósł słuchawkę i nacisnął guzik. - Mostek, mówi kapitan.

Przyslijcie mi pierwszego oficera. Dziękuję. - Wegener odłożył słuchawkę i podniósł

wzrok. - Jeśli panowie pozwolą, chciałbym, żeby mój pierwszy oficer był obecny przy tej rozmowie.

Murray usiłował zachować kamienną twarz. Należało się tego spodziewać, Danny, pomyślał sobie. Mieli dużo czasu, żeby ustalić między sobą każdy szczegół, a pan Wegener to stary cwaniak. Ma za sobą senatora i w końcu oddał w nasze ręce dwóch niebezpiecznych morderców. Nawet i bez tej

feralnej spowiedzi są wystarczające dowody na sprawę o morderstwo i najwyższy wymiar kary; jeżeli zgnoisz Wegenera, ryzykujesz, że sprawa padnie. Prestiż ofiary - nie, prokurator postawi na swoim. Na to nie można liczyć... Nie było w całych Stanach prokuratora wyzbytego politycznych ambicji, a posadzenie tych dwóch na krześle elektrycznym dawało pół miliona głosów.

Murray nie mógł sobie pozwolić na spieprzenie sprawy. Dyrektor FBI, Jacobs, był

kiedyś prokuratorem federalnym i powinien go zrozumieć. Murray doszedł do wniosku, że ułatwi mu to zadanie.

Po chwili zjawił się oficer administracyjny i po wymianie wstępnych grzeczności Bright przedstawił swoją wersję tego, co aresztowani powiedzieli w lokalnym biurze FBI.

Trwało to około pięciu minut, podczas których Wegener pykał z fajki i rozszerzył nieco oczy ze zdziwienia.

- Szanowny panie - oficer rzekł do Brighta, gdy ten skończył - słyszałem już parę niezłych morskich kawałków, ale ten bije wszystkie rekordy.

- To moja wina - kajał się Wegener, potrząsając głową - że pozwoliłem zwrócić im trawkę.

- Jak to się stało, że nikt nie zauważył, co oni palą? - spytał Murray, nie tyle z zainteresowania samą odpowiedzią, ile przemyślnością jej formułowania. Zdumiały go słowa oficera.

- Zaraz obok paki jest przewód wentylacyjny. Nie trzymamy stałej warty przy więźniach - nawiasem mówiąc, mieliśmy ich pierwszy raz -bo to uwłacza godności ludzkiej, czy coś takiego. Tak czy owak, nasze instrukcje tego nie zalecają. W dodatku nie mamy aż tylu ludzi na pokładzie, żeby pozwolić sobie na taki zbytek. Dym wyszła wentylacja, więc nie poczuliśmy smrodu aż do tamtej nocy. Wtedy było już za późno.

Kiedy przyprowadziliśmy ich do kajuty podoficerskiej na przesłuchanie

- pojedynczo, bo tego też wymagają nasze przepisy - obaj mieli jakby zaszklony wzrok. Pierwszy nie chciał nic mówić, ale drugi gadał. Panowie mają taśmę, prawda?

- Owszem, widziałem film - odparł Bright.

- Widział więc pan, że odczytaliśmy ich prawa, słowo w słowo z kodeksu, który mamy na pokładzie. Ale powiesić? Niech mnie diabli, przecież to bujda. Jak pragnę zdrowia, istne szaleństwo. Nie robimy tego, nie wolno. Nie wiem nawet, kiedy prawo na to pozwalało.

- Ostatni znany mi przypadek miał miejsce w 1843 roku — rzekł kapitan. - Akademia Marynarki Wojennej w Annapolis powstała właśnie dlatego, że na USS „Somers”

powiesili kilku facetów. Jednym z nich był syn sekretarza wojny. Mówiono, że w grę wchodziła próba rebelii, ale sprawa i tak mocno śmierdziała. Nie wiemy już ludzi -

podsumował Wegener z niesmakiem. - Owszem, pływam już kopę lat, ale nie aż tak długo.

- Nie wolno nam nawet przeprowadzić doraźnej sesji sądu wojennego - dorzucił oficer.

- Znaczy się, sami nie możemy. Kodeks z odpowiednimi przepisami waży z pięć kilo.

Rany boskie, nie obejdzie się bez sędziego, prawdziwych adwokatów i całej reszty.

Służę w straży już prawie dziewięć lat, a na własne oczy nie oglądałem prawdziwego procesu

- tylko pokazówki na ćwiczeniach z prawa w akademii.

- Ale pomysł niczego sobie. Nie miałbym nic przeciwko powieszeniu tych dwóch skurwieli - włączył się Wegener.

Murray ze zdumieniem przyjął tę niesamowitą, a przy tym sprytną odzywkę. Żał mu się zrobiło Brighta, który zapewne nie prowadził w życiu tak pogmatwanej sprawy. Z wdzięcznością też pomyślał o swej niedawnej posadzie attache prawnego w Londynie. Znał się teraz na polityce lepiej niż większość agentów.

- Czyżby?

- Za moich szczenięcych lat morderców się wieszało. Wychowałem się w Kansas. No i jakoś nie było tam wtedy wielu morderców. Jasne, teraz jesteśmy zbyt cywilizowanym narodem na takie środki i dlatego morderstwa pienia się na każdym kroku. Ładna mi cywilizacja - parsknął Wegener. - Powiedz - zwrócił się do swojego oficera - czy dawniej wieszało się takich piratów jak ci dwaj?

- Nie sądzę. Załoga Czarnobrodego miała proces w Williamsburgu - byli tam panowie?

- Stara siedziba sądu w zabytkowej części miasta. Doszły mnie słuchy, że powiesili ich dokładnie tam, gdzie dziś stoi Holiday Inn. A kapitana Kidda zawieźli na stryczek do rodzinnej Anglii, prawda? Tak, mieli tam specjalne miejsce, zwane dokiem śmierci, czy coś w tym guście. No więc... nie, nie wydaje mi się, aby wieszali na pokładzie, nawet w dawnych czasach. Niech skonam, sami byśmy na to nie wpadli. Chryste, ale historia.

- A zatem nic takiego się nie wydarzyło - rzekł Murray wcale nie pytającym tonem.

- Nie, proszę pana - odparł Wegener. Oficer poświadczył skinieniem głowy.

- I gotowi są panowie powtórzyć to pod przysięgą.

- Owszem, dlaczego nie?

- Jeśli panowie pozwolą, chciałbym również zamienić parę słów z bosmanem. Tym, który naruszył nietykalność tego...

- Czy Riley jest na pokładzie? - spytał Wegener oficera.

- Tak. Razem z Dniówką majstrowali przy jakiejś zabawce w swojej kajucie.

- Dobra, chodźmy tam - Wegener wstał i ręką dał znak gościom, żeby szli za nim.

- Będę jeszcze potrzebny? Mam trochę roboty - rzekł oficer.

- Damy sobie radę. Dziękuję.

- Nie ma za co. Do zobaczenia, panowie - powiedział porucznik i zniknął za rogiem.

Szli dłużej, niż Murray się spodziewał. Musieli obejść dwie grupy robotników reperujących grodzie. Kwatera bosmańska, od dawien dawna i nie wiedzieć dlaczego zwana kozią komórką, znajdowała się na rufie. Riley i Oreza, najstarsi rangą bosmani na pokładzie, zajmowali wspólną kajutę sąsiadującą z niewielką kabiną, gdzie wraz z innymi

bosmanami spożywali posiłki we względnym spokoju. Wegener doszedł do otwartych drzwi, skąd dobywały się obłoki dymu. W zębach bosmana tkwiło cygaro, a jego potężne dłonie próbowały manewrować śmiesznie maleńkim śrubokrętem. Na widok kapitana obaj zerwali się na nogi.

- Spoczniej. Co wy tam, do cholery, majstrujecie?

- Dniówka znalazł to cudo. - Riley podał kapitanowi jakiś przedmiot. - Prawdziwy antyk. Staramy się go naprawić.

- Tysiąc siedemset siedemdziesiąty ósmy rok. Co pan na to, panie kapitanie? - spytał

Oreza. - Sekstans wykonany przez Henry'ego Edgwortha. Znalazłem go w sklepiku ze starzyzną. Możemy za niego dostać kilka dolarów po wyczyszczeniu.

Wegener przyjrzał się z bliska.

- Tysiąc siedemset siedemdziesiąty ósmy powiadasz?

- Tak jest. Czyli jeden z najstarszych modeli sekstansów. Szkiełko całe zbite, ale to się da łatwo zrobić. Znam muzeum, co za takie starocie nie żałuje gotówki, ale właściwie czemu nie zatrzymać go dla siebie?

- Mamy gości - rzekł Wegener, wracając do rzeczy. - Panowie chcą porozmawiać o tych dwóch z jachtu.

Murray i Bright pokazali legitymacje. Dan zauważył w kajucie telefon. Zorientował

się, że pierwszy oficer Wegenera mógł zadzwonić i ostrzec ich w porę. Riley nawet nie strzepnął popiołu z nowego cygara.

- Nie ma sprawy - powiedział Oreza. - Co szykujecie, chłopcy, dla tych skurwieli?

- Decyzja należy do prokuratora - odparł Bright. - Naszym zadaniem jest zebrać wszystkie dane, a to oznacza, że musimy ustalić, co dokładnie zaszło po ich aresztowaniu.

- Z tym trzeba by zwrócić się raczej do pana Wilcoxsa. Dowodził grupą abordażową - rzekł Riley. - Wykonywaliśmy tylko jego rozkazy.

- Porucznik Wilcox jest na przepustce - zauważył kapitan.

- A co zaszło, kiedy już przerwaliście ich na swój okręt? - spytał Bright.

- Ach, o to chodzi - podjął skwapliwie Riley. - Zgoda, zachowałem się głupio, ale ten mały zasraniec, wszyscy widzieli, opluł kapitana, panie szanowny, a takie numery u nas nie przechodzą, pan wie. Trochę mu dałem w kość, to fakt. Może odrobinę przesadnie, ale temu kutasowi przydałaby się lekcja dobrego wychowania.

- Nie to nas tu sprowadza - rzekł po chwili Murray. - On twierdzi, że go powiesiliście.

- Powiesiliśmy? Na czym? - spytał Oreza.

- Fachowo nazywa się to chyba nok masztu antenowego.

- Znaczy się jak? Tak zwyczajnie jak... no, powiesiliśmy? Tak ze stryczkiem na szyi niby? - spytał Riley.

- Właśnie tak.

Śmiech bosmana zagrział jak trzęsienie ziemi.

- Drogi panie, gdybym ja własnoręcznie kogoś powiesił, to by nie kwękał o tym na drugi dzień.

Murray powtórzył całą historię, tak jak sam słyszał, niemal dosłownie. Riley pokręcił głową.

- Tak się tego nie robi.

- Co pan ma na myśli?

- Twierdzi pan szanowny, że ten mały zeznał, jakoby na odchodnym widział, jak jego towarzyszy dynda tam i z powrotem, tak? Tak się tego nie robi.

- Wciąż nie rozumiem.

- Jak się kogoś wiesz na łajbie, to się mu związuje nogi i zostawia kawał liny pod spodem, potem przywiązuje się ją do relingu albo masztu, żeby nie dyndał na wszystkie strony. Inaczej nie można, uważasz pan? Powiesz pan coś, co waży, dajmy na to, dobrze ponad pięćdziesiąt kilo, i zostawisz,

żeby tak dyndało, to wszystko naokoło idzie w drzazgi. I dlatego blokuje się gościa podwójnie, to znaczy od góry wiąże się go do bloku - krążka, znaczy się - a od dołu wiąże kontrafał, żeby się nie pałętał, gdzie popadnie. Inaczej się nie robi po marynarsku. Każdy majtek to panu powie.

- A skąd pan o tym wie? - spytał Bright, starając się ukryć irytację.

- Panie szanowny, spuszczenie szalupy do wody albo stawianie takielunku to moja robota. Żeglarskie rzemiosło, że się tak wyrażę. I teraz weź pan byle skrzynię, co ma ciężar człowieka, tak? Chcesz pan, żeby dyndała na wszystkie strony jak pieprzony żyrandol na długim łańcuchu? Chryste Panie, ani się pan obejrzysz, a rąbnie w radar i ściągnie z masztu jak nic. Mieliśmy do tego sztorm tamtej nocy. Nie ma siły, dawniej radzili sobie z tym tak jak z flaglinką - jedna lina na górze i druga na dole, przywiązane mocno i porządnie, żeby nic się nie obijało. Niech mi tylko jaki patałach podwiesi coś tak na pokładzie, żeby majtało się na wszystkie strony, to mu zaraz nową dziurę w dupie wywiercę. Sprzęt jest drogi. Nie rozwalamy naszych rzeczy tak dla picu, panie szanowny. Zgadza się, Dniówka?

- Dobrze mówi. Tamtej nocy zdrowo dmuchało - kapitan nie powiedział panom?

Trzymaliśmy jeszcze tych dupków tylko dlatego, że trzeba było odłożyć przyłot helikoptera ze względu na pogodę. Nikt nawet nie pracował wtedy na pokładzie, prawda?

- Nie dało się - rzekł Riley. - Zapięliśmy się pod szyje tej nocy. Znaczą się, proszę szanownego pana, możemy wyjść i pracować nawet podczas zasranego huraganu, jak trzeba, ale nikt bez potrzeby nie szwenda się po otwartych pokładach podczas wichury. To niebezpieczne. Szkoda ludzi.

- Bardzo źle było tamtej nocy? — spytał Murray.

- Kilku nowych chłopaków spędziło noc z głowami w nocnikach. Kuk postanowił

podać na kolację pulpety, widząc, co się święci. - Oreza zarechotał. - Po tym właśnie wyczuliśmy sprawę, nie, Bob?

- A jak?-przyznał Riley.

- Nie odbył się więc też sąd wojenny?

- Że co? — twarz Rileya wyrażała przez moment jakby autentyczne zaskoczenie i zaraz się rozjaśniła.

- Aa! Że niby urządziliśmy im sprawiedliwy proces, zanim poszli na stryczek, jak w tej starej reklamie piwa?

- Tylko jednemu z nich - odpowiedział mu Murray.

- A niby dlaczego nie dwóm? Jeden i drugi to mordercy, psia ich mać, nie? Panie, byłem na tym jachcie, uważasz pan? Widziałem, co zrobili - pan też? Płakać się chce.

Może pan ogląda takie widoki na co dzień, bo ja nie, i... wcale się nie wstydzę powiedzieć panu, że ciarki mnie aż przeszły. Chcesz pan ich powiesić, nie ma sprawy, ja to zrobię tak, że nie będą latać i kwiczeć na drugi dzień. Zgoda, nie powinienem był

walnąc tego jednego o reling, nerwy mi nie wytrzymały, zapomniałem się i żałuję tego.

Ale te skurwiele wyrzęły całą rodzinę i jeszcze do tego gwałtów sobie nie podarowali. Ja też mam, panie, rodzinę. Mam córki. Dniówka też. Jak panowie chcecie, żebyśmy się uzalali nad tymi skurwielami, to źleście trafili. Posadźcie ich na krzesła elektrycznym, a ja nacisnę pstryczek za panów.

- A więc nie powiesili go panowie? - spytał Murray.

- Proszę pana, szkoda tylko, że sam nie wpadłem na ten pomysł - oświadczył Riley. W rzeczy samej Oreza to pierwszy wymyślił.

Murray spojrział na Brighta, który zaróżowił się już nieco na twarzy. Poszło nawet bardziej gładko, niż się spodziewał. Uprzedzono go przecież, że kapitan ma łeb na karku. W końcu dowództwa nie powierza się byle komu - przynajmniej nie powinno się powierzać.

- W porządku, panowie, sądzę, że wyjaśniliśmy sobie na razie wszelkie wątpliwości.

Dziękuję panom za współpracę.

Już po chwili Wegener odprowadzał ich do wyjścia.

Trzej mężczyźni zatrzymali się przy pomoście. Murray porozumiewawczym gestem odprawił Brighta do samochodu, a sam zwrócił się do kapitana:

- Rzeczywiście na tym górnym pokładzie lądują helikoptery?

- Bez przerwy. Szkoda tylko, że nie mamy własnego.

- Mógłbym rzucić okiem na lądowisko, zanim się wyniosę? Po raz pierwszy jestem na kutrze.

- Proszę za mną.

Za niecałą minutę Murray stał pośrodku lądowiska, na samym przecięciu żółtych linii namalowanych na czarnej, przeciwpoślizgowej nawierzchni. Wegener objaśniał, jak włącza się światła sygnalizacyjne na konsolce, ale Murray patrzył na maszt, rysując w wyobraźni linię z noku masztu antenowego na pokład. Tak, skonstatował, to jest do zrobienia.

- Kapitanie, mam nadzieję, że dla własnego dobra nie zrobi pan już więcej takiego głupstwa.

Wegener obrócił się zaskoczony.

- O co chodzi?

- Obaj dobrze wiemy, o co chodzi.

- Pan wierzy w to, co ci dwaj...

- Tak, wierzę. Sąd nie uwierzy - przynajmniej tak mi się wydaje, choć Bóg wie, w co uwierzą przysięgli. Ale pan to zrobił. Wiem - nie może pan powiedzieć nic...

- Po czym pan sądzi, że...

- Kapitanie, pracuję w Biurze już dwadzieścia sześć lat. Słyszałem wiele różnych historii i tych prawdziwych, i tych zmyślonych. Po pewnym czasie człowiek ma już nosa do tego, co jest prawdą, a co nie. Mam wrażenie, że można spokojnie przeciągnąć linę z tego bloku na reid do pokładu, a przy wprawnym sterowaniu nawet podczas sztormu dyndający facet nie wyrządziłby wcale specjalnych szkód. Na pewno nie uszkodziłby anteny radarowej, o którą tak martwił się Riley. Jak powiedziałem, niech pan więcej tego nie robi. Tym razem rozejdzie się po kościach, bo możemy ich sądzić i bez materiału, któryście nam dostarczyli. Lepiej się z tym nie pchać. Zresztą jestem pewien, że sam pan to rozumiał. Zorientował się pan, że sprawa jest bardziej podejrzana, niż pan przypuszczał, prawda?

- Nie sądziłem, że ofiara była...

- Właśnie. Otworzył pan puszkę Pandory, nie brudząc sobie rąk. Ma pan szczęście. Ale niech pan się z tym nie pcha - powtórzył Murray.

- Dziękuję.

Minutę później Murray siedział w samochodzie. Agent Bright wciąż był

niezadowolony.

- Dawno temu, jako świeżo upieczony agent po akademii, zostałem oddelegowany do Missisipi - rzekł Murray. - Trzech działaczy antyrasistowskich zniknęło bez śladu, a ja byłem bardzo młodym członkiem grupy prowadzącej tę sprawę. Moje obowiązki ograniczały się wówczas niemal wyłącznie do podawania płaszcza inspektorowi Fitzgeraldowi. Słyszałeś o Wielkim Joem?

- Mój ojciec z nim pracował - odparł Bright.

- Wiesz w takim razie, że była to nie lada postać, prawdziwy gliniarz starej daty. W

każdym razie dostaliśmy cynk, że faceci z miejscowego Ku-Klux-Klanu trąbią o tym, jak to trzeba by sprzątnąć kilku agentów -znasz przecież te historie o pogrózkach wobec rodzin i podobnych numerach. Joe się wreszcie wkurzył. Kazał mi się zawieźć do - zapomniałem, jak się ten bałwan nazywał, ale był Wielkim Orłem lokalnej loży i miał najbardziej niewyparzoną gębę. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, siedział sobie w cieniu drzewa w ogródku przed domem. W zasięgu ręki miał opartą o leżak strzelbę i był już na zdrowej bani. Joe podchodzi jakby nigdy nic. Baran chwycił broń, ale Joe rozbroił go wzrokiem. Fitzgerald potrafił tego dokonać, załatwił kiedyś trzech facetów i można było to wyczytać z jego twarzy. Zaniepokoiłem się trochę, trzymałem rękę na rewolwerze, ale Joe po prostu zmiękczył go wzrokiem i powiedział mu, że jeśli dalej będzie puszczał gadkę o

sprzątnięciu agenta albo wydzwaniał z pogroźkami do żon i dzieci, to Wielki Joe wróci i zabije go, właśnie tu, na trawniku przed domem. Nie krzyczał, nic z tych rzeczy, powiedział to spokojnie, jakby zamawiał śniadanie. Orzeł

uwierzył mu. Ja też. I odtąd klukersom zamknęły się gęby.

To, co zrobił Joe, było niezgodne z prawem, pod każdym względem - kontynuował

Murray. - Czasami prawo się nagina. Ja to robiłem. I ty też.

- Ja nigdy w życiu nie...

- Nie bądź taką dziewicą, Mark. Powiedziałem „nagina”, a nie łamie. Prawo nie przewiduje wszystkich okoliczności. Dlatego właśnie od agentów oczekuje się trzeźwej oceny sytuacji. Tak funkcjonuje społeczeństwo. W tym konkretnym przypadku nasi ratownicy wydusili trochę cennych informacji, które możemy wykorzystać, pod warunkiem że zapomnimy, w jaki sposób zostały zdobyte. Nic złego się nie stało, bo zatrzymani i tak staną przed sądem pod zarzutem morderstwa i potrzebne nam są tylko dowody rzeczowe. Albo pójdą na krzesło, albo zmiękną i dla ratowania skóry pójdą na współpracę, dając nam i tak te same informacje, które poczciwy kapitan Wegener z nich wycisnął. Takie są zresztą decyzje Waszyngtonu.

Nikomu nie jest w smak rozdmuchiwać teraz to, o czym rozmawialiśmy na okręcie.

Czy naprawdę sądzisz, że miejscowy sąd...

- Nie - przyznał bez wahania Bright. - Pierwszy lepszy prawnik rozprawi się z tą historią, a nawet jeśli nie...

- Właśnie. Dreptalibyśmy w miejscu. Nie żyjemy w idealnym świecie, ale nie sądzę też, aby Wegener drugi raz popełnił ten sam błąd.

- Dobra. - Bright nie był przekonany, ale przecież nie o to w końcu chodziło.

- Pozostaje nam teraz rozgryźć, dlaczego ten nieszczęsny skurczybyk został

zamordowany wraz z całą rodziną przez jakiegoś sicario. Wiesz, stary, kiedy jeszcze uganiałem się za cwaniakami w Nowym Jorku, nikt nie tykał rodzin. Nie zabijało się nawet faceta na oczach rodziny, chyba że miało to dodatkowe znaczenie.

- U kokainiarzy nie doszukasz się skrupułów moralnych - zauważył Bright.

- Tak... A ja myślałem, że nie ma nic gorszego od terrorystów.

Pracowało mi się teraz o wiele łatwiej niż z Macheteros, pomyślał Cortez. Oto siedział

sobie w narożnej łoży wytwornej, drogiej restauracji z dziesięciostronicową kartą win w ręce - Cortez uważał się za znawcę win - a nie, jak niegdyś, w zaszczurzonej lepiance, żując fasolę i młócąc

rewolucyjne slogany z ludźmi, dla których marksizm polegał na rabowaniu banków i nagrywaniu bohaterских proklamacji, które lokalne radiostacje puszczały między przebojami rockowymi a reklamami. Ameryka to jedyny kraj na świecie, jak sądził, gdzie biedny ludek ciągnął na manifestacje swoimi samochodami i gdzie przed kasami supermarketów stały najdłuższe kolejki.

Wybrał markę nieznaną mu winnicy z doliny Loary. Kelner stuknął długopisem na znak aprobaty, odbierając menu.

Cortez wyrósł w kraju, gdzie biedacy - a do tej kategorii zaliczali się niemal wszyscy -

kradli znoszone buty i marny kawałek chleba. W Ameryce za enklawy nędzy uchodziły dokładnie te regiony, gdzie ludzie zażywali nałogowo narkotyki, na które wydawali setki dolarów tygodniowo. Ekspułkownik nie mógł wyjść z podziwu. W Ameryce narkotyki rozchodziły się ze slumsów na zasobne przedmieścia, nabijając kabzę tym, którzy dostarczali pożądaną przez innych towar.

Zasada ta sprawdzała się również, w skali międzynarodowej. Yanquis, nader powściągliwi w udzielaniu oficjalnej pomocy swoim mniej zamożnym sąsiadom, raptem skierowali do nich strumień pieniędzy, jednakże nie przez rządy, ale na zasadzie tak zwanej pomocy bezpośredniej, Śmiechu warte. Nie wiedział i miał to w nosie, ile gotówki Yanquis dawali

swoim ubogim sprzymierzeńcom, miał za to pewność, że zwyczajni obywatele -tak znudzeni życiem w komforcie, że potrzebowali chemicznej stymulacji - dawali znacznie więcej i to bez kwękania o prawach człowieka. Pracował tyle lat jako zawodowy oficer wywiadu, mając się wszelkich sposobów skompromitowania Ameryki, podważenia jej prestiżu, ograniczenia jej wpływów. Lecz z czasem doszedł

do wniosku, że ta droga prowadzi donikąd. Próbował zwalczać kapitalizm za pomocą marksizmu, wbrew wszelkim dowodom nieskuteczności tej strategii. Mógł natomiast obrócić kapitalizm przeciwko sobie i wypełniać swą pierwotną misję, korzystając jednocześnie ze wszystkich dobrodziejstw systemu, który zwalczał. I oto rzecz zdumiewająca: jego niegdysiejsi chlebobdawcy uznali go za zdrajcę, ponieważ znalazł

skuteczną taktykę...

Siedzący naprzeciwko niego mężczyzna był niemal typowym Amerykaninem, pomyślał

Cortez. Otyły od nadmiaru dobrego żarcia, niedbający o swoje drogie ubranie. Na pewno nie czyścił sobie nawet butów. Cortez pamiętał, że większość swych młodzieńczych lat biegał na bosaka i cieszył się jak szalony, gdy zdarzyło mu się zdobyć trzy własne koszule. Ten facet jeździł luksusowym samochodem, mieszkał w eleganckim domu, miał pensję, którą można by opłacić trzech pułkowników DGI - i było mu mało. To właśnie cała Ameryka - choćbyś miał nie wiadomo ile, zawsze będzie za mało.

- Co masz dla mnie?

- Cztery możliwe warianty. Wszystkie informacje są w tej teczce.

- Pewne? - spytał Cortez.

- Odpowiadają dokładnie instrukcjom - odparł tamten. - Czyżbym kiedyś...

- Nie. Mam do ciebie zaufanie. Dlatego tak dużo ci płacimy.

- Miło z twojej strony, że mnie doceniasz, Sam - powiedział tamten z nutką pychy.

Felix - Sam dla swego współbiedniaka - zawsze cenił ludzi, z którymi współpracował. Doceniał to, co potrafili zrobić. Doceniał informacje, których mu dostarczali. Gardził jednak nimi za ich próżność. Lecz oficer wywiadu - a za takiego się wciąż uważał - nie może być zbyt kapryśny. W Ameryce roilo się od takich ludzi jak jego obecny rozmówca. Cortezowi nie przyszło nawet na myśl, że on sam też się sprzedał. Siebie oceniał jako wykwalifikowanego zawodowca, może nawet najemnika, a profesję tę uświęcała wszak długoletnia tradycja. Poza tym robił to, czego zawsze wymagali odeń jego poprzedni chlebobawcy, i to o wiele skuteczniej niż w szeregach DGI, tylko kto inny mu płacił. Na dobrą sprawę to Amerykanie sami płacili mu pensję.

Obiad minął bez zakłóceń. Wino okazało się pod każdym względem tak doskonałe, jak przypuszczał, mięso jednak było zanadto przypieczone, a o jarzynach lepiej nie wspominać. Waszyngton nie zasługiwał wcale na swą reputację miasta dobrych restauracji. Zbierając się do wyjścia, wziął po prostu teczkę swego towarzysza i poszedł do samochodu. Dwadzieścia minut jechał do hotelu w błogim nastroju. Kilka następnych godzin przeglądał otrzymane dokumenty. Facet był rzeczywiście godny zaufania, pomyślał Cortez, i w pełni zasłużył na pochwałę. Każdy z wariantów miał ręce i nogi.

Nazajutrz zabierze się do werbunku.

Rozdział 7

Zgodnie z obietnicą Julia, po tygodniu człowiek przyzwyczajał się do wysokości.

Chavez z ulgą zdjął plecak. Nie zawierał jeszcze pełnego rynsztunku, ważył tylko piętnaście kilogramów; dociskali ich stopniowo, z opiekuńczą niemal troską narzucając coraz ostrzejszy program treningowy, bez gwałtownego uderzenia. Takie podejście odpowiadało sierżantowi, wciąż oddychającemu z trudem po dwunastokilometrowym biegu. Ramiona miał trochę obolałe, prawie nie czuł nóg, jak zwykle, ale nie słyszał w pobliżu odgłosów rzygania, nikt też nie odpadł tym razem na trasie. Nic, prócz zwykłego repertuaru utyskiwań i przekleństw.

- Dało się wytrzymać - powiedział Julio bez zadyszki. - Ale nadal uważam, że na kondycję najlepiej robi dobra dupcia.

- Jasna sprawa - zgodził się Chavez ze śmiechem. - Te wszystkie nieużywane grupy mięśni, jak mówią zapaśnicy.

Najlepsze na obozie treningowym było wyżywienie. Na obiad podczas ćwiczeń w terenie musieli zadowolić się racjami PGJ - posiłkami gotowymi do jedzenia, czyli trzema kłamstwami za cenę

jednego - ale za to menu śniadań i kolacji pieczołowicie przygotowywano w ogromnej kuchni obozowej. Chavez niezmiennie nabierał do miski tyle świeżych owoców, ile się dało, obficie posypując je cukrem dostarczającym organizmowi energię i popijając sławetną wojskową kawą, prawdopodobnie ze zwiększoną zawartością kofeiny, żeby dać człowiekowi porządnego kopa po przebudzeniu. Pochłaniał ze smakiem michę krojonych grejpfrutów, pomarańczy i diabeł wie czego jeszcze, podczas gdy koledzy przy stole atakowali jajka na tłustym bekonie. Chavez wracał do kolejki po zasmażane kartofle.

Słyszał, że węglowodany także dodają energii i gdy już przywykł nieco do rozrzedzonego powietrza, nie wzdragał się na myśl o tłustym śniadaniu.

Wszystko szło dobrze. Pracowali ciężko, ale oszczędzano im głupawych rekruckich udręk. Każdy z nich był doświadczonym profesjonalistą i tak też ich traktowano. Nie marnowało się energii na ścielenie łóżek. Sierzanci wiedzieli, jak to się robi, a jeżeli zdarzyło się, że róg koca nie był podwinięty jak należy, grupowa solidarność załatwiała sprawę i obywało się bez wrzasków oficera dyżurnego. Wszyscy byli młodzi i z największą powagą traktowali swoje powołanie, jednak nie brakowało im humoru i ducha przygody. Wciąż nie wiedzieli dokładnie, do czego się tak ostro przygotowują.

Stąd nieuniknione spekulacje, wieczorne szepty pomiędzy pryczami, które stopniowo przechodziły w symfonię chrapania, gdy wreszcie wydumali kolejną nieprawdopodobną wersję.

Choć Chavez nie miał wykształcenia, nie był w ciemni bity. Wiedział instynktownie, że wszystkie ich teorie są fałszywe. Afganistan już się skończył, tam ich więc nie poślą.

Poza tym wszyscy tu mówili płynnie po hiszpańsku. Rozmyślał znowu nad tym, przeżuając obfitą porcję owoców kiwi, przysmaku, o którego istnieniu dowiedział się dopiero przed tygodniem. Wysoko położony teren - nie trenowali w tych warunkach dla zabawy. To wykluczało Kubę i Panamę. Może Nikaragua? Jak wysokie były tam góry? Meksyk i inne państwa Ameryki Środkowej też miały góry. Wszyscy tu byli sierżantami. Każdy z nich dowodził przedtem drużyną. Wszyscy należeli do oddziałów szturmowych. Może zostaną gdzieś przerzuceni z misją szkoleniową, aby uczyć kolejnych rekrutów. To oznaczało walkę z powstańcami. Przecież każdy kraj na południe od Rio Grandę borykał się z partyzantką takiej czy innej maści, występującą przeciwko niesprawiedliwości rządu i gospodarki, ale Chavez miał prostsze i dobitniejsze wyjaśnienie tego stanu rzeczy - te kraje były do niczego. Miał okazję przekonać się o tym na własne oczy podczas podróży ze swoim batalionem do Hondurasu i Panamy. Prowincjonalne miasta tonęły w brudzie - jego rodzinne barrio wydało mu się w porównaniu z nimi rajem na ziemi. Policja - gdzieżby mu kiedyś wpadło do głowy, że będzie z rozrzewnieniem wspominał policję w Los Angeles. Ale największą pogardę żywił do lokalnych armii. Zgraja leniwych, niekompetentnych zabijaków. Niewiele różnili się od ulicznych gangów, tylko że wszyscy nosili jednakowe spluwy (gangi w Los Angeles skłaniały się ku indywidualizmowi pod tym względem). Jeżeli chodzi o umiejętności

posługiwania się bronią, jedni byli warci drugich. Pierwszy lepszy żołdak potrafił bez namysłu walnąć kolbą bezbronnego biedaka pod byle pretekstem. A oficerowie - cóż, nie widział ani jednego

dorównującego porucznikowi Jacksonowi, który lubił biegać ze swoimi chłopcami, nie stroniąc od brudu i smrodu, jak prawdziwy żołnierz. Nic dziwnego jednak, że na największą pogardę w jego mniemaniu zasługiwali tamtejsi sierżanci. Świetlanym wzorem dla niego był w Korei pewien Irlandczyk, sierżant McDevitt - sprawność i zawodowstwo dawały mu poczucie dumy. A czegoż więcej trzeba mężczyźnie, prócz dobrze zasłużonej dumy? Duma pozwalała znosić wszelkie trudy, nie zdychać z wycieńczenia na tych cholernych górskich trasach. Nie wolno ci było zawieść kolegów, w ich oczach nie mogłeś zejść ani o milimetr poniżej poprzeczki, którą sam sobie ustawiłeś. Do tego sprowadzała się nauka, jaką wyniósł z wojska i dobrze wiedział, że to samo można powiedzieć o wszystkich chłopcach w tej sali. Przygotowywali się więc do szkolenia innych w tym samym duchu; ich misja nie odbiegała zatem od całkiem zwyczajnych zadań zawodowej armii. Z takich czy innych powodów - prawdopodobnie politycznych, ale Chavez nie zawracał sobie głowy polityką; szkoda wysiłku - misja miała tajny charakter. Był dostatecznie bystry, by domyślić się, że towarzyszące przygotowaniom „cicho-sza” oznaczało, że macza w tym palce CIA. Tu się nie mylił. Pomylił się natomiast co do samej misji.

Śniadanie skończyło się o zwykłej porze. Żołnierze wstali od stołów, odnieśli tace i naczynia na stolik na kółkach i wyszli z kantyny. Większość z nich wróciła do swoich sal, a wielu, w tym i Chavez, przebrało się w czyste, suche koszulki. Ding nie miał fioła na punkcie czystości, ale cieszył go rześki, czysty zapach świeżo wypranej bielizny.

Mieli tu całkiem przyzwoitą pralnię. Chavez doszedł do wniosku, że będzie tęsknił za tym obozem, mimo morderczej wysokości. Powietrze, wprawdzie rozrzedzone, było jednak czyste i suche. Codziennie słyszeli samotne wycie syren pociągów wjeżdżających do tunelu Moffat, którego wejście widywali podczas odbywanych dwa razy dziennie biegów. Często wieczorami dostrzegali z dala piętrowe wagony pociągów Amtrak pędzących na wschód do Denver. Zastanawiał się, czy to dobre tereny łowieckie. Na co tu polowali? Może na jelenie? Udało im się zobaczyć już kilka sztuk dużych rogaczy długouchych, ale także osobliwe białe kształty górskich kozic umykających przed nimi po pionowych niemal ścianach skalnych. O, te sukinsyny mają dopiero kondycję, zauważył poprzedniego dnia Julio. Chavez po chwili namysłu zlekceważył tę obserwację. Zwierzęta, na które polował, miały tylko dwie nogi. I potrafiły ustrzelić myśliwego, jeśli ten nie zachował ostrożności.

Cztery drużyny zdążyły się ustawić na czas. Kapitan Ramirez kazał im stanąć na baczność i zaraz odmaszerować na wyznaczone specjalnie dla nich pole ćwiczeń około kilometra na wschód od centrum obozu, na drugim końcu płaskiego dna doliny.

Czekał tam na nich czarnoskóry instruktor w ciemnych szortach i podkoszulku, pękających niemal pod naporem potężnych mięśni.

- Czołem, żołnierze - powiedział. - Nazywam się Johnson. Dzisiaj zaczniemy prawdziwe ćwiczenia przydatne podczas waszej misji. Wszyscy już trenowaliście walkę wręcz. Moim zadaniem jest sprawdzić, co potraficie, i nauczyć was nowych sztuczek, których może brakowało w waszym wcześniejszym programie. Zabić kogoś po cichu to nie taka znowu sztuka. Trudniej jest podejść wroga na bliską odległość.

Wiadoma rzecz. - Mówiąc jeszcze chwilę, schował ręce za plecami. - A oto inny sposób cichego zabijania.

Pokazał znowu ręce, w których trzymał pistolet z dużym, przytwierdzonym do lufy urządzeniem w kształcie puszk. Zanim Chavez zdążył powiedzieć sobie, że jest to tłumik, Johnson uniósł pistolet oburącz i wypalił trzy razy. To bardzo dobry tłumik, pomyślał natychmiast Ding. Ledwie słyszało się metaliczny szcęk suwadła pistoletu -

cichszy niż brzęk szkła z trzech butelek, które rozprysły się sześć metrów dalej - a samych strzałów w ogóle nie było słychać. Istne чудо.

Johnson uśmiechnął się chytrze.

- I rąk sobie człowiek nie pokaleczy. Powtarzam, ćwiczyliscie walkę wręcz i tym też się zajmiemy. Ale kilka razy w życiu wychodziłem z domu, tak jak wy, więc szkoda czasu na dyskusje. Lepiej bić się z bronią niż bez broni. Toteż dzisiaj nauczymy się zupełnie nowego rodzaju walki: cichej walki z bronią.

Pochylił się i zdjął pokrowiec z pistoletu maszynowego. Też miał tłumik u wylotu lufy.

Chavez zganił się za swoje chybione domysły. Cokolwiek miała na celu misja, nie chodziło na pewno o szkolenie rekrutów.

Wiceadmirał James Cutter był arystokratą. Przynajmniej na takiego wyglądał, pomyślał

Ryan, wysoki i szczupły, o włosach posrebrzonych majestatyczną siwizną i olimpijskim uśmiechu przyklepionym trwale do różowiułkiej twarzy. Z pewnością zachowywał się jak arystokrata - lub przynajmniej tak sądził - poprawił swój osąd Jack. Ryan uważał, że naprawdę ważni ludzie nie stawali na głowie, żeby pokazać to przy każdej sposobności. Bądź co bądź stanowisko specjalnego doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego nie oznacza jeszcze szlachectwa. Ryan znał

kilku prawdziwych arystokratów. Cutter wywodził się z jednej z wielu starych, zubożałych jankeskich rodzin, które przez wiele pokoleń dorabiały się w pocie czoła na swoich farmach w Nowej Anglii, a następnie zajęły się handlem i, jak w przypadku Cuttera, posyłały swych nadliczbowych synów do marynarki. Cutter jednak należał do tych marynarzy, dla których morze stanowiło tylko środek do celu. Ponad połowę swej kariery spędził w Pentagonie, a tu, myślał Ryan, nie trafiali marynarze z krwi i kości.

Jack wiedział, że Cutter dowodził już wszystkim, co pływa po wodzie. Najpierw niszczycielem, potem krążownikiem. Wszędzie spisywał się na medal - w każdym razie tak dobrze, aby go zauważono, tam gdzie trzeba, co zresztą stanowiło główny cel jego wysiłków. Kariery wielu wybitnie zdolnych oficerów kończyło się na stopniu kapitana, nie potrafili bowiem zwrócić na siebie uwagi wysoko postawionego patrona. Czym Cutter zdołał wyróżnić się z tłumu?

Może trzymał się wiernie pańskiej klamki? - zastanawiał się Jack, kończąc odprawę.

Zresztą to już nie miało żadnego znaczenia. Prezydent zauważył go jako pracownika Jeffa Pelta, a kiedy Pelt powrócił do pracy naukowej, obejmując katedrę stosunków międzynarodowych na

Uniwersytecie Wirginii, Cutter wśliznął się na jego miejsce tak pewnie, jak dobijający do nabrzeża niszczyciel. Siedział przy biurku w szykownie skrojonej garniturze, popijając kawę z kubka z napisem USS „Belknap”, żeby przypadkiem nikt nie zapomniał, że właśnie on dowodził ongiś tym krążownikiem.

Gdyby zaś przypadkowy gość przeoczył tę subtelną aluzję - gabinet doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego odwiedzało niewielu przypadkowych gości - wystarczyło spojrzeć na lewą ścianę, obwieszoną proporczykami jednostek, na których służył, oraz taką liczbą podpisanych fotografii, jakiej nie powstydziliby się hollywoodzki agent.

Oficerowie marynarki określają to zjawisko ścianą samozachwyty i choć większość z nich takową posiada, to znajduje się ona zazwyczaj w prywatnym mieszkaniu.

Ryan nie przepadał za Cutterem. Nie lubił też Pelta, ale przynajmniej ten ostatni, w przeciwieństwie do Cuttera, był prawie tak inteligentny, za jakiego uchodził we własnym mniemaniu. Cutterowi wiele do tego brakowało. Trójgwiazdkowy admirał

dostał stanowisko nie za swój rozum, ale był zbyt mało bystry, żeby to pojąć. Gorzej natomiast, że Ryan wprawdzie też był specjalnym doradcą, jednak niestety nie prezydenta. To zaś oznaczało, że musiał się spowiadać Cutterowi, czy mu się to podobało, czy nie. Pobyt jego szefa w szpitalu sprawiał, że tego rodzaju sprawozdania będą teraz częste.

- Jak się miewa Greer? - spytał admirał z nosowym, kultywowanym w Nowej Anglii akcentem, który dawno już powinien był umrzeć śmiercią naturalną, choć to akurat Ryanowi najmniej przeszkadzało. Przypominały mu się studenckie lata w Bostonie.

- Jeszcze nie zrobili wszystkich badań - w głosie Ryana pobrzmiwała obawa.

Wszystko wskazywało na raka trzustki; szansę wyleczenia były bliskie zera. Sprawdził

to z Cathy i zrobił wszystko, by położyć szefa w Szpitalu Johna Hopkinsa, ale Greer służył w marynarce, a to znaczyło, że ma leżeć w Bethesda. Co prawda Centrum Medyczne Marynarki Wojennej w Bethesda to najlepszy szpital marynarki, jednak to nie to samo co John Hopkins.

- Czy pan obejmie po nim stanowisko? - spytał Cutter.

- Niezbyt stosowne pytanie, panie admirale - odparł Bob Ritter za Jacka. - Pod nieobecność admirała Greera doktor Ryan będzie go reprezentował, gdy zajdzie potrzeba.

- Jeśli będzie pan spisywał się tak doskonale, jak dzisiaj, to powinno nam się nieźle współpracować. Szkoda Greera. Mam nadzieję, że się z tego wyliże. - W jego głosie było tyle uczucia, co w pytaniu o drogę.

Ach, ile w panu serdeczności, admirale, prawda? - rzekł w duchu Ryan, zamykając teczkę. Założył się, że załoga krążownika „Belknap” wprost uwielbiała swego dowódcę. Lecz Cutterowi nie płacili za serdeczność. Płacili mu za doradzanie prezydentowi. A Ryanowi płacili za składanie mu raportów, a nie kochanie go.

Cutter nie był głupcem. Ryan też musiał to przyznać. Nie znał się na dziedzinie Ryana, nie dorównywał też Peltowi pokerowym wyczuciem zakulisowych rozgrywek politycznych i, w przeciwieństwie do Pelta, wolał działać bez porozumienia z Departamentem Stanu. Ani w ząb nie rozumiał polityki Związku Radzieckiego.

Jedynym powodem, dla którego zasiadał na tym wysokim krześle, za tym dębowym biurkiem, było to, że uchodził za eksperta w innych dziedzinach, a wszystko wskazywało na to, że głównie na tych dziedzinach skupiała się obecnie uwaga prezydenta. Tu zawiodła Ryana inteligencja. Powrócił do raportu na temat działalności KGB w Europie Środkowej, zamiast doprowadzić tę myśl do logicznej konkluzji. Jack popełnił też bardziej zasadniczy błąd. Cutter wiedział, że nie jest człowiekiem na miarę Pelta i zależało mu, żeby to zmienić.

- Bardzo mi było miło, doktorze Ryan. Świetny raport. Przekażę pańskie uwagi prezydentowi. A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę porozmawiać z ZDO w cztery oczy.

- Do zobaczenia w Langley, Jack - powiedział Ritter.

Ryan skinął głową i wyszedł. Dwaj pozostali mężczyźni zaczekali, aż drzwi się za nim zamknęły i wtedy dyrektor do spraw operacji przystąpił do raportu na temat operacji

„Rewia na Wodzie”. Zajęło mu to dwadzieścia minut.

- Jak z koordynacją? - spytał Rittera admirał.

- Normalnie. Jednym z nielicznych plusów nieudanej operacji „Pustynia Jeden” było to, że dostarczyła dowodów na skuteczność łączności satelitarnej. Widział pan przenośny zestaw? - spytał ZDO. - To już standardowe wyposażenie szturmowych oddziałów.

- Nie. Tylko te na statkach. Do przenośnych im daleko.

- Zestaw składa się z dwóch części, anteny w kształcie litery X i małego metalowego stojaka, który wygląda, jakby był zrobiony z paru używanych wieszaków. Mamy nowy plecak, waży tylko siedem kilogramów razem z telefonem. Można też przełączyć na Morse'a, gdyby nadawca nie chciał za głośno mówić. Transmisja na jednej wstędze bocznej w superszyfrowanym paśmie najwyższej częstotliwości. Bezpieczniej już się nie da.

- Nikt ich nie zauważy? - Tego Cutter obawiał się najbardziej.

- Gdyby teren był gęsto zaludniony, przeciwnik nie prowadziłby tam działalności. Poza tym wróg pracuje z oczywistych powodów głównie w nocy. Nasi ludzie będą więc odpoczywali w dzień, a poruszali się nocą. Są odpowiednio wyszkoleni i wyposażeni do tego celu. Przecież pracowaliśmy nad tym sporo czasu. Ci ludzie są doskonale przygotowani i nie...

- Uzupełnianie zapasów?

- Śmigłowiec - rzekł Ritter. - Faceci z operacji specjalnych na Florydzie.

- Mimo wszystko sądzę, że powinno się tam posłać marines.

- Piechota morska ma inne zadanie. Przecież rozmawialiśmy już o tym, panie admirale.

Ci chłopcy są lepiej wyszkoleni, lepiej wyposażeni, większość z nich zna tereny podobne do miejsca operacji i o niebo łatwiej będzie włączyć ich do akcji bez zwrócenia niczyjej uwagi - tłumaczył Ritter już chyba po raz dwudziesty.

Cutter nie zwykł słuchać zdania innych. ZDO zastanawiał się, jak radzi sobie z nim prezydent, ale pytanie to nie wymagało odpowiedzi. Szept prezydenta brzmiał

dochośniej niż wrzaski wszystkich doradców. Szkopuł w tym, że prezydent tak często zdawał się na idiotów, którzy mieli urzeczywistniać jego plany. Ritter wcale nie zdziwiłby się, gdyby jego opinię o doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego podzielał Jack Ryan; tylko że Ryan nie mógł wiedzieć, dlaczego.

- No cóż, to twoja operacja - rzekł po chwili Cutter. - Kiedy start?

- Za trzy tygodnie. Właśnie wczoraj wieczorem dostałem raport. Wszystko idzie jak najlepiej. Mieli już opanowane wszelkie podstawowe umiejętności, które są nam potrzebne. Teraz to już tylko kwestia paru usprawnień i dodania kilku nowych sztuczek. Dopisywało nam dotąd szczęście. Ani jednego wypadku podczas treningów.

- Przy okazji, jak długo macie ten teren?

- Od trzydziestu lat. Kiedyś miała tam powstać baza radiolokacyjna, ale z takiego czy innego powodu obcięto fundusze. Lotnictwo przekazało nam teren i od tego czasu prowadzimy tam szkolenie agentów. Nie figuruje na żadnych listach oficjalnych baz wojskowych. Należy do zagranicznej korporacji, którą wykorzystujemy do różnych celów. Jesienią czasami wydzierżawiamy teren na obóz myśliwski, dobre, co? Mamy nawet z tego niezły zysk, co zresztą też wyjaśnia, dlaczego nie znajdzie pan nas na listach sfery budżetowej. Czy to dostateczne utajnienie? Obóz przydał się nam jednak bardzo podczas Afganistanu, robiliśmy wtedy dokładnie to, co teraz i nikt jakoś nigdy na to nie wpadł...

- Trzy tygodnie.

Ritter poświadczył skinieniem.

- Może troszeczkę dłużej. Wciąż pracujemy nad koordynacją wywiadu satelitarnego i służb naziemnych.

- Czy to wszystko wyjdzie? - spytał Cutter retorycznie.

- Panie admirale, przecież już panu mówiłem. Jeśli chce pan dać prezydentowi jakieś magiczne rozwiązanie, my go nie mamy. Możemy najwyżej uszczypnąć kolosa.

Rezultaty ładnie zaprezentują się w gazetach i, kto wie, może nawet uda nam się w końcu uratować

kilku ludzi. Osobiście uważam, że gra jest warta świeczki, nawet jeśli zysk nie będzie duży.

Ritter miał tę zaletę, pomyślał Cutter, że nie nazywał oczywistych rzeczy po imieniu.

Zysk będzie. Wszyscy wiedzieli, o co tu chodzi. Misja nie była wcale cyniczną grą, choć niektórym tak mogło się wydawać.

- A wykrywalność radarów?

- W bezpośredniej akcji biorą udział tylko dwa samoloty. Trwają jeszcze testy nowego systemu NPW - radarów o niskim prawdopodobieństwie wykrycia. Nie znam wszystkich szczegółów, ale dzięki kombinacji zmiennej częstotliwości, redukcji anten radiolokacyjnych i względnie niskiej mocy wyjściowej, piekielnie trudno jest wykryć emisję z takiego pudła. W ten sposób mamy z głowy używane od niedawna przez przeciwnika detektory emisji radarowej. Tak więc nasi ludzie na ziemi będą mieli oko na cztery do sześciu ukrytych lotnisk i dadzą nam znać, kiedy odlatują transporty z towarami. Zmodyfikowane turbośmigłowe E-2 zlokalizują je na południe od Kuby i będą ich się trzymać całą drogę, aż przechwyci je pilot myśliwca F-15, o którym już panu wspominałem. Mówią, że ten czarny chłopak aż rwie się do walki. Pochodzi z Nowego Jorku. Jego matkę pobił tam niedawno jakiś handlarz narkotyków. Nie wyszła z tego i wkrótce umarła. Należała do tych pechowców z getta, o których się nigdy nie słyszy. Troje dzieci, wszystkie wychowała na ludzi. Pilot myśliwca kipi teraz ze złości. Będzie dla nas pracował i nie puści pary z gęby.

- Tak - powiedział Cutter z powątpiewaniem. - A co, jeśli chłopakowi później coś odbije i...

- Powiedział mi, że chętnie zestrzeli tych wszystkich drani, jeśli tylko chcemy.

Handlarz zabił mu matkę. Chce wyrównać rachunek i uważa, że to dobra okazja. W

Eglin realizuje się kilka poufnych programów "naraz. Jego myśliwiec został oddzielony od reszty jako część programu badań radarów NPW. W radary te wyposażone będą dwa samoloty marynarki, a my sami dobraliśmy załogi - z podobną przeszłością. I niech pan pamięta - gdy tylko F-15 uchwyci cel, samolot radarowy E-2 przerywa korespondencję i sływa. Jeżeli więc Bronco - tak chłopcu na imię - będzie musiał

zestrzelić nadlatującą maszynę z towarami, nikt się o tym nie dowie. Jeśli zaś pozwolimy im wylądować, ich załogi i tak posrają się ze strachu. Osobiście zaplanowałem tę część operacji. Gdyby ktoś musiał zniknąć - w co wątpię - to też się da załatwić. Stacjonujący na miejscu marines to wszystko chłopcy od operacji specjalnych. Jeden z moich ludzi będzie pozował na oficera FBI, a sędzia, do którego się ich zaprowadzi, to ten, którego prezydent...

- Znam tę część.

Dziwne, pomyślał Cutter, jak pomysły nabierają kształtu. Najpierw prezydent rzucił

niewyszukaną uwagę, dowiedziawszy się, że kuzyn bliskiego przyjaciela umarł z przedawkowania narkotyków. On wspomniał o tym Ritterowi, podchwycił pomysł i podzielił się nim z prezydentem. Miesiąc później plan zaczął się krystalizować. Jeszcze dwa miesiące i był już gotowy. Inicjatywa

prezydencka została utrwalona na piśmie i włączona do akt - istniały tylko cztery egzemplarze dokumentu, wszystkie dobrze zamknięte. Teraz sprawa ruszyła na całego. Za późno już na refleksje, pomyślał Cutter.

Brał udział we wszystkich dyskusjach strategicznych, a mimo to zaskoczył go pełny rozkwit operacji...

- Co się może nie udać? - spytał Rittera.

- Mój Boże, w operacjach terenowych nic nie jest przesądzone. Zaledwie kilka miesięcy temu błyskawiczna operacja nie wypaliła z powodu nielegalnego...

- To robota KGB - powiedział Cutter. - Mówił mi o tym Jeff Pelt.

- Jesteśmy tylko ludźmi. Zawsze można wdepnąć w gówno. Zrobiliśmy wszystko, co się da zrobić. Każda część operacji jest kierowana osobno. W powietrzu, na przykład, pilot myśliwca nie zna samolotu radarowego ani jego załogi - obie strony słyszą tylko hasła i głosy. Ludzie na ziemi nie wiedzą, jakie samoloty biorą udział w operacji. Chłopcy przerzuceni w teren będą dostawali instrukcje przez odbiorniki satelitarne - nie będą nawet wiedzieli, skąd. Ludzie, którzy ich przerzucają, nie wiedzą, po co to robią i kto wydaje rozkazy. Tylko garstka osób będzie wiedziała o wszystkim. W sumie liczba tych, którzy wiedzą cokolwiek, nie przekracza setki, a tylko dziesięciu ludzi zna cały plan. O lepszej zasłonie nie ma mowy. Teraz oczekuję decyzji: jedziemy z tym czy nie? To już pańska sprawa, admirale. Jak mniemam - dodał Ritter dla większego efektu - przekazał pan szczegóły prezydentowi.

Cutter wysilił się na uśmiech. Nieczęsto się zdarzało, nawet w Waszyngtonie, aby ktoś mówił prawdę i jednocześnie kłamał.

- Oczywiście, panie Ritter.

- Na piśmie - rzekł Ritter.

- Nie.

- W takim razie odwołuję całą operację - powiedział spokojnie ZDO.

- Nie mam zamiaru sam za to nadstawiać karku.

- A czy ja mam? - odparł Cutter.

Zduślił oznaki wzburzenia w głosie, ale wyraz twarzy nie pozostawiał cienia wątpliwości. Ritter zastosował oczywisty manewr.

- Sędzia Moore domaga się decyzji na piśmie. Czy woli pan, by sam zwrócił się z tym do prezydenta?

Cutter wpadł w potrzask. Jego psim obowiązkiem było wszak osłanianie prezydenta.

Próbował przerzucić ten zaszczytny obowiązek na Rittera lub sędziego Moore'a, ewentualnie na obu, lecz oto został wymanewrowany w swoim własnym gabinecie.

Ktoś musiał ponosić odpowiedzialność za wszystko; bez względu na biurokratyczny gąszcz, ostatecznie za każdą akcję odpowiadała jedna osoba. Tak jak w dziecięcej zabawie, zawsze ktoś musiał zostać bez krzesła, gdy przestała grać muzyka, i przegrywał. Z całym swoim sprytem, wiceadmirał Cutter został teraz bez krzesła w ostatniej rozgrywce. Lata służby w marynarce zmuszały go oczywiście do podejmowania decyzji, lecz mimo iż nazywał siebie oficerem marynarki i za takiego się uważał - choć nie nosił już munduru - udało mu się przez długie lata uchylać od wszelkiej odpowiedzialności. Praca w Pentagonie świetnie temu sprzyjała, w Białym Domu jeszcze bardziej. A teraz odpowiedzialność znów spadała na niego. Nie znalazł

się w tak groźnej sytuacji od czasu, kiedy jego krążownik o mały włos nie zderzył się z tankowcem podczas operacji uzupełniania paliwa

- pierwszy oficer cudem go wówczas uratował, wydając w ostatniej chwili komendę sternikowi. Jaka szkoda, wspominał Cutter, że oficer ten skończył karierę na stopniu kapitana, ale Ed po prostu nie był stworzony do okrętu flagowego...

Cutter otworzył szufladę biurka i wyciągnął kartkę z nagłówkiem Biały Dom. Z

kieszeni wyjął złote pióro i wykaligrafował upoważnienie. „Niniejszym prezydent upoważnia...” Admirał złożył kartkę, wsunął ją do koperty i podał Ritterowi.

- Dziękuję, panie admirale. - Ritter wsadził kopertę do kieszeni marynarki. - Będę z panem w kontakcie.

- Proszę nie pokazywać tego byle komu - rzekł chłodno Cutter.

- Nie ma obaw, umiem dotrzymać tajemnicy. Wszak to mój zawód. - Ritter wstał i wyszedł z pokoju.

Wreszcie rozkoszne ciepło spłynęło mu po plecach. Uratował własny tyłek. To właśnie uczucie stanowiło cel skrytych pragnień wielu ludzi w Waszyngtonie. Nie podzielał go teraz doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, ale Ritter nie poczuwał się do winy za to, że Cutter nie przemyślał tego numeru do końca.

Siedem kilometrów dalej Ryan oswajał się z chłodnym i opuszczonym biurem zastępcy dyrektora wywiadu CIA. Stał w nim kredens i ekspres do kawy, gdzie James Greer parzył ulubioną marynarską mieszankę, sędziowskie krzesło z wysokim oparciem, na którym stary admirał rozpierał się, nim wyraził swą opinię lub przedstawił fakty albo -

wspominał z rozrzewnieniem Jack - rzucił cięty dowcip. Jego szef miał niesłychane poczucie humoru. Jaki świetny byłby z niego nauczyciel! - ale przecież dla Jacka i tak był nauczycielem. Ileż to czasu? Zaledwie sześć lat, odkąd zaczął pracę w Agencji.

Znał Greera niecałe siedem, a admirał zastąpił mu niemal ojca, którego stracił w słynnej katastrofie lotniczej w Chicago. Tu przychodził po rady i wskazówki. Ileż to razy?

Drzewa za oknami na siódmym piętrze zieleńły się letnimi liśćmi, zasłaniając widok na dolinę Potomacu. Najbardziej szalone wydarzenia miały miejsce w bezlistnych miesiącach, wspominał Ryan. Pamiętał, jak krążył po tym puszystym dywanie i spoglądał na pozostawione przez pługi pryzmy śniegu, łamiąc sobie głowę trudnymi pytaniami, czasami z powodzeniem, czasami nie.

Wiceadmirał James Greer nie doczeka następnej zimy. Zobaczył już ostatni w życiu śnieg, ostatnie święta Bożego Narodzenia. Szef Ryana leżał w przeznaczonym dla ważnych osobistości apartamencie Centrum Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda. Nie tracił bystrości umysłu,

wciąż trzeźwo myślał, tryskał humorem, lecz stracił na wadze siedem kilogramów w ciągu ostatnich trzech tygodni, a chemoterapia nie pozwalała mu przyjmować innych posiłków prócz tego, co spływało mu do żył przez rurki. I ból. Dla Ryana nie było nic gorszego, niż patrzeć na czyjś ból. Widział w bólu swoją żonę i córkę, przeżywając to gorzej niż własny pobyt w szpitalu. Złe znosił wizyty u admirała, widząc te skurcze na twarzy, napinające się co pewien czas ręce i nogi, gdy jego ciałem wstrząsały drgawki, czy to spowodowane rakiem, czy też lekarstwami. Greer jednak był dlań tak bliskim człowiekiem, jak... Boże, pomyślał Ryan, myślę o nim jak o własnym ojcu. I tak już miało zostać, aż do końca.

- Cholera - rzekł Jack półgłosem.

- Wiem, co ma pan na myśli, doktorze Ryan.

- Hm? - Jack odwrócił się.

W drzwiach stał kierowca admirała (i jednocześnie jego osobisty goryl), obserwując, jak Jack segreguje dokumenty. Mimo iż Ryan był specjalnym asystentem ZDW i de facto jego zastępcą, nie miał prawa bez obstawy przeglądać dokumentów przeznaczonych do wyłącznego wglądu ZDW. Reguły bezpieczeństwa w CIA były twarde, logiczne i nie znały wyjątków.

- Wiem, co pan ma na myśli. Pracowałem z nim jedenaście lat. Jest dla mnie tak samo przyjacielem, jak i szefem. Na każdą Gwiazdkę ma coś dla moich dzieciaków. O

urodzinach też nigdy nie zapomina. Sądzi pan, że jest jakaś nadzieja?

- Cathy poprosiła o wizytę znajomego specjalistę. Profesora Goldmana. Lepszych od Russa Goldmana nie ma: profesor onkologii u Hopkinsa, konsultant Narodowego Instytutu Zdrowia i czegoś tam jeszcze. Twierdzi, że jest jedna szansa na trzydzieści.

Rozległe i szybkie przerzuty, Mickey. Dwa miesiące to góra. Chyba że stanie się cud. -

Ryan zdobył się na uśmiech. - Od tych rzeczy mam księdza.

Murdock potwierdził skinieniem.

- Wiem, że bliski mu jest ojciec Tim z Georgetown. Wczoraj wieczorem przyszedł do szpitala na partyjkę szachów. Admirał dał mu mata w czterdziestu ośmiu ruchach.

Grywa pan z nim w szachy?

- Nie mam z nim szans. I chyba nigdy nie będę miał.

- Po co ta skromność? - rzekł po chwili Murdock. - On twierdzi, że pan jest dobry.

- To w jego stylu.

Ryan potrząsnął głową. Niech to diabli! Greerowi nie podobałaby się ta gadka.

Czekała masa roboty. Jack wziął klucz i otworzył zamek szuflady z kartoteką. Położył

klucz Mickey owi z powrotem na leżący na

biurku rejestr i chciał wysunąć szufladę, ale źle trafił i zamiast kartoteki wysunął blat przeznaczony do pisania, na którym widniały pozostawione przez ZDW brązowe koła po kubku z kawą. Przy wewnętrznej stronie blatu Ryan zauważył przyklejoną skoczem kartę, na której charakterystycznym pismem Greera nakreślone były dwie kombinacje sejfowe. Greer posiadał swój własny sejf w biurze, podobnie jak Bob Ritter. Jack przypomniał sobie, że szef nie miał głowy do zamków kodowych i prawdopodobnie zapisywał sobie kombinacje, żeby nie zapomnieć. Zdumiał się, że admirał zanotował

również kombinację do sejfu Rittera, ale po chwili znalazł rozsądne wyjaśnienie.

Gdyby ktoś musiał dostać się szybko do sejfu ZDO - na przykład jeśli Rittera porwano i trzeba było sprawdzić, jakie ściśle tajne materiały znajdują się w rejestrze -

to najbardziej powołaną do tego osobą byłby któryś ze zwierzchników, jak właśnie ZDW. Niewykluczone, że Ritter znał też kombinację do osobistego sejfu ZDW. Jack ciekaw był, czy tylko on. Nie zaprzatając sobie tym głowy, wsunął blat z powrotem i otworzył szufladę. Znajdowało się w niej sześć teczek. Wszystkie dotyczyły długofalowych prognoz wywiadowczych, o które prosił admirał. Żadna nie była najwyższej wagi. Prawdę powiedziawszy, nie zawierały wcale tak bardzo poufnych materiałów, ale dostarczą admirałowi intelektualnej rozrywki. Jego szpitalnego apartamentu strzegła grupa personelu specjalnego CIA, po dwóch agentów na zmianę przez okrągłą dobę, mógł więc pracować do końca swoich dni.

Ty bałwanie! - wyrzucał sobie w duchu Jack. Nie spisuj go już na straty. Przecież dają mu szansę. Lepsze marne szansę niż żadne.

Chavez nie miał jeszcze do czynienia z pistoletem maszynowym. Jego osobistą bronią był dotąd karabinek szturmowy M-16, często zaopatrzony w granatnik M-203

przytwierdzony pod lufą. Umiał też posługiwać się karabinem maszynowym, belgijską bronią wprowadzoną niedawno do uzbrojenia armii, i niegdyś świetnie strzelał ze zwykłego pistoletu. Ale pistolet maszynowy już dawno wypadł z łask. Nie był po prostu poważną bronią, przydatną nowoczesnemu żołnierzowi.

Co nie znaczy, że mu się nie podobał. Był to niemiecki pistolet MP-5 SD2

wyprodukowany przez firmę Heckler - Koch. Nie wyglądał pociągająco. Miał

szorstkie w dotyku matowe wykończenie i brakowało mu seksapilu zgrabnego izraelskiego uzi. Ale przecież nie po to go zrobiono, aby ładnie wyglądał, pomyślał

Ding, lecz po to, aby dobrze strzelał, aby nie zawiódł i był dokładny. Ktokolwiek zaprojektował tę zabaweczkę - zawyrokował Chavez, przykładając się do pistoletu pierwszy

raz - wiedział, o co naprawdę chodzi w strzelaniu. Jak na niemiecką broń, składał się z zaskakująco niewielkiej liczby drobnych części. Łatwo i szybko rozkładało się go do czyszczenia, złożenie zaś nie trwało dłużej niż minutę. Kolba idealnie opierała się na ramieniu, a głowa sama układała się tak, że wzrok automatycznie padał na szczerbinę i muszkę.

- Ognia! - zakomenderował Johnson.

Chavez nastawił pistolet na pojedynczy ogień. Oddał pierwszy strzał po to tylko, by wyczuć spust. Ustępował gładko pod naciskiem około pięciu kilogramów, odrzut szedł

prościutko w tył i lufa nie podskakiwała, jak w niektórych innych modelach. Pocisk przeszył sam środek sylwetki głowy na tarczy. Strzelił drugi raz z identycznym skutkiem, potem wypalił pięć razy, nie zdejmując palca ze spustu. Ta kanonada odrzuciła go w tył o kilka centymetrów, ale sprężyna powrotna całkowicie niemal zamortyzowała kopnięcie. Spojrzał na tarczę z siedmioma dziurami zbitymi w gęstą grupkę, jak nos w wydrążonej w wigilię Wszystkich Świętych dyni. Następnie nastawił

przełącznik na ogień ciągły - czas zatańczyć rock and rolla. Wsadził trzy pociski w korpus sylwetki. Tym razem rozrzut był większy, ale każde z trzech trafień okazałoby się dla żywego celu śmiertelne. Po kolejnej próbie Chavez nabrał pewności, że potrafi utrzymać trzystrzałową serię w tym samym punkcie celu. Nie potrzebował długich serii. Wystrzelenie ponad trzech pocisków naraz to tylko strata amunicji. Podejście takie było może i dziwne jak na żołnierza, ale nie żołnierza piechoty, który rozumiał

wszak, że amunicja to coś, co trzeba nieść na plecach. Aby opróżnić trzydziestonabojowy magazynek, celował seriami w nieoznaczone miejsca na planszy i został wynagrodzony trafieniami dokładnie tam, gdzie chciał.

Kochanie, gdzie ty byłaś przez całe moje życie? Co najważniejsze, nowa spluwa nie robiła więcej hałasu niż szelest liści. I to nie dlatego, że miała tłumik, to lufa była tłumikiem. Słyszał tylko zdławiony szcęk mechanizmu i świst kuli. Instruktor powiedział im, że do pistoletu używa się

pocisków o prędkości początkowej niższej od prędkości dźwięku. Chavez wyjął jeden ze skrzynki. Pocisk był wydrążony, a uderzając w człowieka, rozszerzał się prawdopodobnie do przekroju pięciocentówki.

Natychmiastowa śmierć od strzału w głowę i niemal tak szybka przy trafieniu w klatkę piersiową - ale skoro uczyli go posługiwać się bronią z tłumikiem, miał na pewno celować w głowę. Nabral przekonania, że bez kłopotu trafi w głowę z odległości trzydziestu metrów - a może i większej w idealnych warunkach, choć żołnierze nie spodziewają się idealnych warunków. Wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie podejść

przeciwnika na piętnaście do dwudziestu metrów i położyć go bezszelestnie.

Cokolwiek stanowiło cel ich przygotowań - wróciła poprzednia myśl - nie była to z pewnością misja szkoleniowa.

- Ładne skupienie, Chavez - pochwalił go instruktor.

Tylko trzech ludzi oprócz niego stało w kolejce do strzelania. Na każdą drużynę przypadnie po dwóch strzelców z broni maszynowej, po dwa karabiny maszynowe - z których jeden dostał Julio - a reszta miała karabinki M-16, w tym dwa z granatnikami.

Każdy też dostał zwykły pistolet, co zdziwiło Chaveza, ale oprócz dodatkowego obciążenia, nie miał zastrzeżeń.

- Ta ślicznotka sama strzela, panie instruktorze.

- Jest twoja. A jak sobie radzisz z pistoletem?

- Jako tako. Zwykle nie...

- Tak, wiem. Macie jeszcze czas potrenować. Pistolet nie na wiele się wam zda, ale zdarza się, że warto go mieć pod ręką. - Johnson zwrócił się do całej drużyny. -

Dobra, wy czterej do mnie! Chcemy, żeby wszyscy tu wiedzieli, jak działają te zabawki. Każdy ma być strzelcem wyborowym.

Chavez przekazał broń koledze z drużyny i ustąpił z linii ognia. Wciąż starał się rozwikłać tajemniczy cel misji. Walka piechoty to sztuka zabijania w bezpośrednim kontakcie, gdzie zazwyczaj można zobaczyć, co się robi i komu się to robi. Fakt, że Chavez do tej pory tego nie robił, nie miał żadnego znaczenia; sam wybrał wszak taki zawód, a organizacja jego oddziału wiele już wyjaśniała, jaką formę przybierze misja.

Operacja specjalna. Bez pudła, chodziło tu o operację specjalną. Znał faceta, który służył w oddziałach Delta w Fort Bragg. Operacje specjalne to tylko bardziej wyrafinowana wersja zwykłego rzemiosła piechoty. Musiałeś podejść cholernie blisko, zwykle sprzątnąć wartowników i wtedy uderzyć mocno i szybko, jak piorun. Jeśli w ciągu dziesięciu sekund albo i szybciej nie było po wszystkim - cóż, zabawa robiła się wtedy trochę nerwowa. Chaveza uderzyło podobieństwo do

taktyki ulicznych gangów.

W żołnierce też nie obowiązywały zasady fair play. Podchodziłeś ukradkiem i załatwiałeś faceta zniecka od tyłu. Nie dawałeś mu żadnych, ale to żadnych szans obrony. Lecz to, co dla ulicznego gangstera było tchórzostwem, dla żołnierza stanowiło mądrą taktykę. Chavez uśmiechnął się w duchu. Na pierwszy rzut oka wydawało się to niesprawiedliwe. Armia stanowiła lepiej zorganizowaną siłę niż gang.

A jej cele ustalali inni. Armia wyróżniała się tym, że ktoś rozumiał sens jej działania. O

gangach można wprawdzie powiedzieć to samo, jednak o działalności armii przesądzał

ktoś ważny,

ktoś, kto dobrze wiedział, co robi. Nawet jeśli zwykły żołnierz, jak on, nie wiedział, o co chodzi - nierzadki przypadek - to wiedział ktoś za niego. Chavez był za młody, by pamiętać Wietnam.

Uwodzenie było dlań najprzykrzejszą częścią zawodu.

Zarówno, w tej, jak i w innych dziedzinach jego profesji uczono go zachowania chłodnego, rzeczowego obiektywizmu, jednakże nie sposób połączyć chłodu z intymnością - zwłaszcza jeżeli chciało się osiągnąć cel. Rozumieli to nawet w Akademii KGB. Ileż to godzin, wspominał z ironicznym uśmiechem, nasłuchiwał się o wszystkich pułapkach. Rosjanie tłumaczący Latynosowi miłosne zawiłości! Być może to kwestia niesprzyjającego klimatu. Trzeba było dostosować się do indywidualnych osobliwości upatrzonego celu, w tym przypadku wdowy, która w wieku czterdziestu sześciu lat utrzymała zdumiewająco miłą aparycję i która czuła się jeszcze dość młodo, by tęsknić do towarzystwa, gdy dzieci układały się do snu lub same już wychodziły na randki, i której łóżko było samotnym miejscem wystygłych wspomnień. Miał już nieraz do czynienia z takimi celami. Dostrzegał u wszystkich znamiona odwagi, a jednocześnie kłiwosci. Miał oto myśleć - zgodnie z odpowiednimi instrukcjami - że osobiste problemy niedoszłej zdobyczy to jej własne zmartwienie, a dla niego sposobność. Ale jak mężczyzna ma zbliżyć się do takiej kobiety, nie dzielając jej bólu? Instruktorzy z KGB nie mieli gotowej odpowiedzi na to pytanie, choć wskazali mu stosowną technikę. On też musiał boleśnie odczuwać niedawną stratę bliskiej osoby.

Jego żona również zmarła na raka - wyznał jej. Ożenił się późno - opowiadał -

postawiwszy na nogi odziedziczoną firmę, pracując bez wytchnienia, latając po całym świecie, aby doprowadzić do rozkwitu przedsiębiorstwo, które jego ojciec budował

całe życie; dopiero wówczas ożenił się z ukochaną Marią, ledwie trzy lata temu. Zaszła w ciążę, lecz kiedy poszła do lekarza, by potwierdzić tę radosną nowinę, badania wykazały... sześć miesięcy. Dziecko nie miało szans przeżycia, po Marii też zostały tylko wspomnienia. Może - mówił do kieliszka wina - to kara boska za małżeństwo z tak młodą kobietą albo za liczne kawalerskie miłostki.

W tym momencie ręka Moiry przesunęła się ku niemu i dotknęła jego dłoni.

- Przecież - mówiła kobieta - nie może zadręczać się winą. Spojrzał na nią i dostrzegł

współczucie w oczach kogoś, kto sam zadawał sobie w duchu pytania niewiele różniące się od tych, które on kierował do siebie na głos. Ludzie byli tak przewidywalni. Należało tylko nacisnąć

właściwe guziki - i okazywać odpowiednie uczucia. Kiedy jej dłoń spoczęła na jego dłoni, cel został zdobyty. Z dotyku było ciepło, promyk zwykłego ludzkiego wzruszenia. Gdyby jednak myślał o niej tylko jak o celu, jak odwzajemniłby jej uczucia

- i jak wypełnił misję? Czuł jej ból, jej samotność. Będzie dla niej dobry.

I był dla niej dobry, już po dwóch dniach. Jakże komicznie wyglądałyby jej zabiegi, gdyby nie ich wzruszająca szczerłość, kiedy przygotowała się na spotkanie jak nastolatka na pierwszą randkę - wszak nie robiła tego od przeszło dwudziestu lat; dzieci z pewnością bawiła ta odmiana, ale od śmierci ich ojca upłynęło już tyle czasu, że nie utyskiwały na potrzeby matki i uśmiechem dodawały jej otuchy, gdy wychodziła do samochodu. Pośpieszna, nerwowa kolacja, następnie krótka jazda do jego hotelu.

Jeszcze parę łyków wina dla uspokojenia nerwów, bo oboje odczuwali niepokój. Ale opłacało się poczekać. Wyszła już z wprawy, lecz za to zachowywała się o wiele naturalniej niż kobiety, które przewijały się na co dzień przez jego łóżko. Cortez był

wspaniałym kochankiem. Z dumą myślał o swoich zdolnościach i obdarzył ją ponadprzeciętną próbką swego bogatego repertuaru: pracował całą godzinę, przenosząc ją powoli przez kolejne stadia rozkoszy i sprowadzając ze szczytu tak łagodnie, jak umiał.

Leżała teraz przytulona z głową na jego ramieniu i płakała cicho. Wspaniała kobieta, nie ma co. Przedwcześnie zmarły mąż i tak miał szczęście przeżyć kilka lat z kobietą, która wiedziała, że cisza może najlepiej wyrażać uczucia. Obserwował zegar stojący na stoliku. Dziesięć minut ciszy, zanim się odezwał.

- Dziękuję, Moira... Nie wiedziałem... To było naprawdę... - Głos mu się załamał. - To pierwszy raz od... od... - Gwoli ścisłości, ulżył sobie tydzień temu, co kosztowało go trzydzieści tysięcy peso. Była młoda, wyrafinowana. Ale...

Siła tej kobiety go zdumiała. Ledwie mógł złapać następny oddech, tak mocno go ścisnęła. Część tego, co niegdyś było sumieniem, kazała mu się wstydić, ale większa część uspokajała myślą, że dał więcej, niż wziął. Wolał to od kupionego seksu. Istniały wszakże doznania, których pieniądze nie dają; myśl ta pocieszała, a zarazem drażniła Corteza, potęgując uczucie wstydu. I znów perswadował sobie, że nie czułby się podle, gdyby nie jej mocny uścisk, a nie ścisnęły go tak, gdyby jej nie sprawił

rozkoszy.

Sięgnął za siebie i wziął z drugiego stolika papierosy.

- Nie powinieneś palić - upomniała go Moira Wolfe. Uśmiechnął się.

- Wiem. Muszę rzucić palenie. Ale po tym, co dla mnie zrobiłaś - rzekł, mrużąc oko -
muszę dojsć do siebie...

Cisza.

- Madre de Dios - zawołał po kolejnej minucie milczenia.

- Co się stało?

Jeszcze jeden łobuzerski uśmieszek.

- Oddałem ci się bez pamięci, a przecież prawie nic o tobie nie wiem!

- Co chciałbyś wiedzieć? Chichot., Wzruszenie ramion.

- Nic ważnego... Cóż może być ważniejszego od tego, co już zrobiłaś? Pocałunek.

Pieszczota. Chwila ciszy. Zgasił wypalonego do połowy papierosa, by pokazać, że liczy się z jej zdaniem.

- Nie jestem w tym dobry.

- Doprawdy? - Teraz ona zachichotała, a on splonął rumieńcem.

- To już nie to samo, Moira. Kiedy... kiedy byłem młody, uważało się... uważało się, że to bez znaczenia, ale... jestem teraz poważnym mężczyzną i nie mogę być tak... -

Zakłopotanie. - Jeśli pozwolisz, chciałbym cię poznać, Moira. Przyjeżdżam często do Waszyngtonu i chciałbym... Dość mam samotności. Jestem zmęczony... Chciałbym cię bliżej poznać - rzekł z przekonaniem. Po chwili niepewnie, wolno, głosem pełnym nadziei, ale i obaw, dodał: - Jeśli pozwolisz.

Pocałowała go delikatnie w policzek.

- Pozwalam.

Zamiast odwzajemnić się swym mocnym uściskiem, Cortez rozluźnił całe ciało z ulgą, niezupełnie udawaną. Znow odczekał chwilę w milczeniu, nim się odezwał.

- Winien ci jestem parę słów o sobie. Jestem bogaty. Moja firma produkuje narzędzia i części samochodowe. Mam dwie fabryki, jedną w Kostaryce, a drugą w Wenezueli.

Interes jest skomplikowany i... nie niebezpieczny, ale... trudno czasem dogadać się z wielkimi firmami montażowymi. Mam dwóch młodszych braci, którzy u mnie pracują.

A ty... gdzie ty pracujesz?

- Cóż, jestem szefową sekretariatu. Pracuję w tym zawodzie od dwudziestu lat.

- Tak? Ja mam swoją sekretarkę.

- Na pewno podszczypujesz ją w biurze...

- Consuela mogłaby być moją matką. Pracowała jeszcze u mojego ojca. Czy takie są zwyczaje w Ameryce? Twój szef cię podszczypuje? -nutka zazdrości.

Śmiech.

- Niezupełnie. Jestem sekretarką Emila Jacobsa, dyrektora FBI.

- Nie znam tego nazwiska. - Kłamstwo. - FBI to wasi federales, tyle wiem. I ty jesteś sekretarką ich wszystkich?

- Nie aż tak. Moim głównym obowiązkiem jest organizowanie pracy panu Jacobsowi.

Nie uwierzyłbyś, jaki ma harmonogram - dziesiątki spotkań i konferencji, jedna za drugą. Istna żonglerka.

- Właśnie. Zupełnie jak Consuela. Bez jej opieki... - Cortez zaśmiał się. - Gdybym miał

wybierać pomiędzy nią a moimi braćmi, wybrałbym ją. Zawsze mogę zatrudnić dyrektora fabryki. Co to za człowiek, ten... Jacobs, tak? Wiesz, kiedy byłem chłopcem, chciałem być policjantem, nosić broń i prowadzić samochód. Ale być szefem policji, to dopiero gratka.

- Nic zabawnego. Głównie tasuje papiery. Ja zajmuję się porządkowaniem kartotek i pisaniem pod dyktando. Na dyrektorskim stanowisku człowiek przede wszystkim planuje budżet i odbywa spotkania.

- Ale zapewne ma dostęp do... ciekawych rzeczy, tak? Bo najciekawsze w pracy policjanta - cóż może być lepszego? - jest to, że wie takie rzeczy, o których inni nie wiedzą. Wykrywa przestępców i ściga ich.

- I jeszcze inne rzeczy. Oprócz zwykłej policyjnej roboty, FBI zajmuje się też kontrwywiadem. Ściga szpiegów - dodała.

- Przecież to działka CIA, nie?

- Nie. Nie wolno mi o tym mówić, chyba rozumiesz, mogę tylko zdradzić, że to także praca Biura. Niewielka różnica, naprawdę, wcale nie wygląda to tak, jak w telewizji.

Nic ciekawego. Czytam na okrągło raporty.

- Niesamowite - rzucił odprężony Cortez. - Kobieta w każdym calu i jeszcze potrafi mnie czegoś nauczyć.

Uśmiechnął się zachęcająco, oczekując bardziej szczegółowych wynurzeń. Ten kretyń, który go na nią naprowadził, przekonywał go, że trzeba będzie dobrze zapłacić. Cortez pomyślał, że jego instruktorzy z K.GB byliby dumni z jego techniki. KGB nigdy nie szastało funduszami.

- Czy szef zmusza cię do ciężkiej pracy? - spytał Cortez później.

- Bywa, że muszę siedzieć w biurze do późnego wieczora, ale szef jest bardzo wyrozumiały.

- Jeżeli będzie cię zamęczał, porozmawiamy sobie, pan Jacobs i ja. Co będzie, jeśli przyjadę do Waszyngtonu i nie będę się mógł z tobą zobaczyć, bo nie wypuści cię z pracy?

- Naprawdę chcesz...?

- Moira.

Cortez zmienił ton. Wiedział, że posunął się za daleko jak na pierwszy raz. Poszło mu zbyt łatwo i zadał za dużo pytań. Wszystko jedno, samotna wdowa czy nie, była jednak kobietą niezależną i odpowiedzialną, a co za tym idzie - inteligentną. Ale była też kobietą wrażliwą, namiętą. Przesunął rękę i odwrócił głowę. Odczytał z jej twarzy pytanie: Jeszcze raz? Odpowiedział jednoznacznym uśmiechem: Jeszcze raz.

Tym razem pewniej zmierzał do celu, nie był już odkrywcą nowego łądu. Znał teren.

Zbadawszy wcześniej jej upodobania, podążał utartymi ścieżkami. W ciągu dziesięciu minut zapomniała o wszystkich pytaniach. Zapamięta tylko zapach i dotyk jego ciała.

Będzie się pławić w odzyskanej na powrót młodości. Będzie się zastanawiała, dokąd to wszystko zmierza, a nie jak się zaczęło.

Schadzki są potajemne z natury. Krótco po północy podwiózł ją do miejsca, gdzie zaparkowała swój samochód. Jeszcze raz zadziwiła go wymownym milczeniem.

Podąła mu rękę jak uczennica, choć jej dotyk wcale nie był taki niewinny. Jeszcze ostatni pocałunek i wysiadła z auta - nie pozwoliła mu wyjść razem z nią.

- Dziękuję ci, Juan - powiedziała cicho. Cortez mówił prosto z serca:

- Moira, dzięki tobie jestem znowu mężczyzną. Znacznie więcej tobie zawdzięczam.

Kiedy znów przyjadę do Waszyngtonu, musimy...

- Oczywiście.

Jechał za nią prawie pod sam dom, żeby wiedziała, jak się o nią troszczy. Zawrócił

dopiero, gdy podjechał tak blisko domu, że dzieci -z pewnością jeszcze nie spały -

musiały go zobaczyć. Cortez wracał do siebie z uśmiechem na twarzy, nie tylko z powodu spełnionej misji.

W biurze nikt nie miał wątpliwości. Po ledwie sześciu godzinach snu Moira różnym krokiem weszła do sekretariatu w kostiumie, którego nie tknęła przez rok, z błyskiem w oku, którego nie dało się ukryć. Nawet dyrektor Jacobs zauważył, ale nikt nie odezwał się słowem. Jacobs rozumiał. Sam pochował żonę kilka miesięcy po owdowieniu Moiry i wiedział, że pustki po stracie tak bliskiej osoby nie da się wypełnić samą pracą. Dobrze jej to robi, pomyślał. Miała jeszcze dzieci w domu. Nie może jej teraz przeciążać pracą. Zasłużyła sobie na jeszcze jedną szansę prawdziwego życia.

Rozdział 8

ROZWINIĘCIE

Aż trudno uwierzyć, jak sprawnie wszystko przebiega, pomyślał Chavez. Zgoda, zgrupowali samych sierżantów, ale i tak ktokolwiek obmyślił tę zabawę, miał łeb na karku, bo wiadomo było od razu, kto ma spełniać jaką rolę. Sierżant sztabowy miał pomagać kapitanowi Ramirezowi w planowaniu akcji.

Medyk z korpusu sanitarnego, i to dobry, był też wyszkolonym strzelcem. Julio Vega i Juan Piscador mieli doświadczenie z ciężką bronią maszynową i odpowiadali za ten rodzaj uzbrojenia. Radiotelegrafista też znał swój fach. Każdy członek drużyny idealnie pasował do wyznaczonej funkcji, wszyscy byli tak przeszkoleni w swoich specjalnościach, że odnosili się do siebie z wzajemnym szacunkiem, a dodatkowe szkolenie w poszczególnych dziedzinach jeszcze ten szacunek potęgowało. Ostry rygor ćwiczeń utwierdzał ich w poczuciu dumy, z którym przybyli na zgrupowanie, i po dwóch tygodniach wszyscy byli tak zgrani, jak tryby precyzyjnej maszyny.

Chavezowi, absolwentowi szkoły komandosów, przypadła rola wysuniętego na czoło strzelca i zwiadowcy. Miał penetrować teren, przemykać się bezszelestnie z jednej kryjówki do drugiej, obserwować, nasłuchiwać i przekazywać obserwacje kapitanowi Ramirezowi.

- No i gdzie są? - spytał kapitan.

- Dwieście metrów, zaraz za tym zakrętem - odparł szeptem Chavez. - Jest ich pięciu.

Trzech śpi, dwóch czuwa. Jeden siedzi przy ognisku. Drugi chodzi z pistoletem maszynowym.

Noce w górach były chłodne, nawet w lecie. W oddali zawył do księżyca kojot. Raz po raz dał się słyszeć szelest przemykającego pośród drzew jelenia, a jedynym słyszalnym śladem człowieka był dochodzący z dala hałas odrzutowców. Przy zdumiewająco dobrej widzialności, w tę pogodną noc zbędne nawet okazały się gogle noktowizyjne, które zwykle nosili o zmroku. W rozrzedzonym górskim powietrzu gwiazdy nie migotały, lecz jarzyły się wyraźnymi, stałymi punktami światła. W innych okolicznościach Chavez zachwyciłby się ich pięknem, tym razem jednak absorbowwała go praca.

Ramirez i reszta drużyny mieli na sobie czterokolorowe maskujące panterki belgijskiej produkcji. Twarze pomalowali w odpowiadające mundurom barwy specjalnymi szminkami (oczywiście w

armii nie stosowano tej nazwy); stopili się tak doskonale z mrocznymi cieniami jak niewidzialny człowiek z powieści Wellsa. Co najważniejsze, w ciemnościach czuli się jak w domu. Noc była ich najpotężniejszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem. Człowiek należał do dziennych drapieżników. Wszystkie jego zmysły, wszystkie instynkty i nawyki sprawdzały się w świetle dnia. Pierwotne rytmy życia sprawiły, że czuł się upośledzony w nocy - chyba że nie szczędził wysiłków, by je przezwyciężyć, tak jak ci żołnierze. Nawet plemiona Indian, żyjące w ścisłym przymierzu

z naturą, bały się nocy, prawie nigdy nie walczyły w nocy, nie strzeły nawet swych obozowisk w nocy - podpowiadając na swą zgubę armii amerykańskiej pierwszą użyteczną doktrynę operacji w ciemnościach. W nocy człowiek rozpalał ogniska, tak dla światła, jak i dla ciepła, ale czyniąc to, ograniczał sobie widzialność do marnych kilku metrów, zaś oko ludzkie, odpowiednio ćwiczone, widzi całkiem dobrze w mroku.

- Tylko pięciu?

- Tylu naliczyłem, kapitanie.

Ramirez skinął głową i gestem ręki wysłał do przodu jeszcze dwóch ludzi. Padło kilka cichych rozkazów. Sam poszedł z pozostałymi dwoma na prawo, ponad biwak.

Chavez wrócił na czoło. Miał za zadanie unieszkodliwić wartownika i tego, który drzemał przy ogniu. Łatwiej jest w nocy widzieć, niż poruszać się bezgłośnie. Oko ludzkie prędzej dostrzeże w mroku ruch, niż rozpozna nieruchome przedmioty.

Ostrożnie stawiał każdy krok, badając najpierw stopą po omacku, czy nie nastąpi na coś, co mogłoby złamać się lub osunąć z hałasem - ucho ludzkie jest niedoceniane. W

światle dnia jego ruchy wyglądałyby komicznie, ale taka jest cena maskowania się. Co gorsza, poruszał się wolno, a Ding wcale nie był z natury cierpliwszy niż jego dwudziestokilkuletni rówieśnicy. Słabość tę zwalczył zmuśnym treningiem. Szedł w napiętym przysiadzie. Trzymał w pogotowiu broń, by nie dać się zaskoczyć, i gdy nadszedł odpowiedni moment, miał natężone do granic zmysły, jakby prąd przechodził

mu pod skórą. Głowa obracała się to w prawo, to w lewo, a wzrok nie zatrzymywał

się dłużej na jednym punkcie; kiedy bowiem człowiek wpatruje się w jeden przedmiot w ciemności, często przedmiot ów znika z oczu po kilku sekundach.

Coś niepokoiło Chaveza, ale nie wiedział, co to może być. Przystanął na chwilę, rozejrzał się dokoła i przez trzydzieści sekund wszystkimi zmysłami szukał czegoś po lewej stronie. Nic. Po raz pierwszy tej nocy żałował, że nie włożył noktowizora. Ding otrząsnął się. Może to wiewiórka albo inne nocne zwierzę. Na pewno nie człowiek.

Nikt nie potrafił poruszać się w nocy tak dobrze jak ninja - uśmiechnął się w duchu i skupił na właściwym zadaniu. Osiągnął docelową pozycję po kilku minutach, tuż za pnem rachitycznej sosny, i ukląkł, rozluźniając mięśnie. Odsunął wieczko z zielonej tarczy cyfrowego zegarka i patrzył, jak

numerki powoli maszerują ku wyznaczonej chwili. Miał na oku wartownika, który chodził wokół ogniska, nie oddalając się od niego dalej niż na dziesięć metrów i odwracając wzrok od ognia, by zachować zdolność widzenia w mroku. Lecz światło odbite od skał i sosen zakłóciło mu i tak w poważnym stopniu percepcję - dwa razy patrzył prosto na Chaveza, ale nie ujrzał niczego.

Czas.

Chavez zarepetował swój MP-5 i wystrzelił jeden nabój prosto w pierś wartownika.

Trafiony mężczyzna zachwiał się, przyłożył rękę do piersi i padł z jękiem na ziemię, całkowicie zaskoczony. MP-5 wydał ledwie słyszalny, metaliczny szczęk, jakby drobny kamień uderzył o kamień, ale w nocnej, górskiej ciszy dźwięk ten i tak zabrzmiał

nadzwyczaj wyraźnie. Drzemiący przy ognisku żołnierz obrócił się, lecz nim zdołał się podnieść, został trafiony drugim strzałem. Chavez szedł za ciosem i już mierzył w jednego ze śpiących, gdy ze snu wyrwał ich charakterystyczny terkot karabinu maszynowego Julia. Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi, ale nim zdążyli się wyprostować, padli trupem.

- Skąd się tu wzięłeś, do cholery? - spytał „zabity” wartownik. Narzekał na piekący ból w miejscu, gdzie trafił go woskowy pocisk, tym dotkliwszy, że strzał padł zniecka.

Gdy wreszcie wstał, Ramirez wraz z resztą weszli już na teren obozowiska.

- Jesteś bardzo dobry, chłopcze - odezwał się głos za plecami Chaveza i czyjaś ręka klepnęła go w ramię. Sierżant niemal wyskoczył ze skóry, gdy obok niego nieznajomy mężczyzna wszedł jakby nigdy nic na teren obozowiska. - Chodźmy.

Roztrzęsiony Chavez poszedł za nim do ogniska. Po drodze opróżnił magazynek -

woskowe kulki mogły poważnie zranić człowiekowi twarz.

- Dobra robota - rzekł nieznajomy. - Pięciu „zabitych”, żadnej reakcji ze strony wroga.

Kapitanie, ten z automatem trochę się zagalopował. Podarowałbym sobie nieco tej strzelaniny; hałas niesie się diabelnie daleko. Spróbowałbym też podejść bliżej, ale...

chyba nie dało się bliżej niż ta skała. W porządku, nie ma sprawy. Mój błąd. Nie zawsze uda nam się wybrać najlepszy teren. Podobała mi się wasza dyscyplina w marszu, samo podejście do celu było popisowe. Macie doskonałego zwiadowcę.

Prawie mnie wyczuł. - Ta ostatnia uwaga niezbyt ucieszyła Chaveza.

- Kim pan jest, do kurwy nędzy! - spytał cicho Chavez.

- Spoko, chłopcze. Robiłem takie rzeczy, i to na serio, kiedy ty jeszcze bawiłeś się pistoletami na wodę. Nie masz się czego wstydzić, bo zagrałem nieczysto. - Clark pokazał gogle noktowizyjne. - Widziałem dobrze drogę i zastygłem w bezruchu, gdy tylko obróciłeś głowę. To, co słyszałeś, to był mój oddech. Prawie mnie dorwałeś.

Myślałem już, że spieprzyłem całe ćwiczenie. Przepraszam. Jestem Clark, bo pytałeś. -

Wyciągnął rękę.

- Chavez. - Uścisnęli sobie dłonie.

- Niezły jesteś, Chavez. Dawno nie widziałem takiego piechura. Podobał mi się zwłaszcza twój ostrożny krok. Niewielu ma tyle cierpliwości.

Przydałbyś się nam w trzeciej GOS. - Był to wyraz najwyższego i rzadko wyrażanego uznania ze strony Clarka.

- A co to takiego? Chrząknięcie i rechot.

- Coś, co nigdy nie istniało... Szkoda zawracać sobie głowę. Clark podszedł do dwóch mężczyzn, których Chavez „zastrzelił”.

Obaj rozcierali sobie identyczne miejsca na bluzach, tuż nad sercem.

- Oko masz też niezłe.

- Z tej pukawki każdy wceluje.

Clark obrócił się i spojrzał na młodego człowieka.

- Pamiętaj, w prawdziwej akcji nie jest całkiem tak samo. Chavez dopatrywał się głębokiego znaczenia w tej uwadze.

- Co mam robić inaczej?

- Trudno powiedzieć - przyznał Clark, gdy reszta drużyny zbliżyła się do ogniska.

Mówił jak nauczyciel do zdolnego ucznia. - Z jednej strony musisz udawać przed sobą, że to kolejne ćwiczenie. Z drugiej strony musisz pamiętać, że każdy błąd może być twoim ostatnim błędem. Trzeba cały czas wybierać pomiędzy jednym a drugim, bo sytuacja zmienia się z minuty na minutę. Masz dobry instynkt, chłopcze. Zaufaj mu, a przeżyjesz. Jak czujesz, że coś jest nie tak, to najprawdopodobniej coś jest nie tak. Nie ma to nic wspólnego ze strachem.

- Hm?

- Będiesz się bał nieraz, Chavez. Ja zawsze się bałem. Trzeba się do tego przyzwyczaić, strach może ci tylko pomóc, a nie zaszkodzić. Broń Boże nie wstydz się własnego strachu. Połowa kłopotów z

ludźmi operującymi w dżungli polega na tym, że boją się własnego strachu.

- Do czego my się właściwie przygotowujemy?

- Jeszcze nie wiem. To nie mój dział.

Clark zataił swój pogląd na ten temat. Szkolenie nie przebiegało całkiem zgodnie z jego przewidywaniami co do charakteru misji. Ritter może rozgrywał następną sprytną partyjkę. Nic tak nie przeszkadzało Clarkowi jak za sprytny zwierzchnik nad głową.

- Ale będzie pan pracował z nami.

Nadzwyczaj przytomna uwaga, pomyślał Clark. Przyjechał tu w końcu na własne życzenie, ale zrozumiał poniewczasie, że Ritter nie pozostawił mu innego wyjścia.

Clark był najlepszym człowiekiem w Agencji do tego rodzaju operacji. W służbach rządowych niewielu ludzi dorównywało mu doświadczeniem, a większość z nich, jak Clark, miała już najlepsze lata za sobą. Czy tylko o to chodziło? Clark nie miał pojęcia.

Wiedział, że Ritter lubi trzymać karty w rękawie, zwłaszcza gdy wydawało mu się, że jest najsprytniejszy na świecie. Bywało, że najwięksi spryciarze przechytrzali samych siebie, a Ritter też mógł się przeliczyć.

- Niewykluczone - przyznał niechętnie. Nie żeby wstydził się współpracy z tymi ludźmi, obawiał się tylko okoliczności, w których może się to okazać konieczne, później. Stać cię jeszcze na takie numery, Johnny?

- No i? - spytał dyrektor Jacobs. W pokoju był też Bili Shaw.

- No i zrobił ten numer, wszystko się zgadza - odparł Murray, sięgając po filiżankę kawy. - Ale brzydko byłoby wytaczać mu proces. Facet ma głowę na karku i poparcie załogi. Przeczytaj jego kartotekę, a zobaczysz, dlaczego. Ze świecą szukać takich oficerów. Tego samego dnia, kiedy pojechaliśmy go maglować, ocalił rybaków z płonącego kutra -lepiej nie mógł trafić. Na kadłubie miał szerniałe plamy, tak blisko podszedł. Owszem, mogliśmy ich rozdzielić i porządnie przesłuchać, ale ciężko byłoby nam nawet ustalić, kto dokładnie brał udział w tej hecy. Przykro mi o tym mówić, jednak chyba nie warto robić szumu, zwłaszcza że senator będzie nam patrzył na ręce, a lokalny prokurator też nie weźmie sprawy z entuzjazmem. Bright miał pewne opory, ale udało mi się go uspokoić. Nawiasem mówiąc, to zdolny chłopak.

- Co z argumentami obrony dwóch aresztantów?

- Cienkie. Wydaje się, że dowody przeciwko nim mają solidne podstawy. Specjaliści ustalili, że kula wydobyta przez policję w Mobile z pokładu została wystrzelona ze znalezionej na jachcie pistoletu, na którym odkryto odciski palców obu delikwentów

- hit szczęścia. Krew koło miejsca, gdzie znaleziono kulę, ma grupę AB+, zgodną z grupą krwi żony. Plama na dywanie metr dalej potwierdza, że kobieta miała okres, co wraz z kilkoma plamami spermy

wzmacnia podejrzenie, że doszło do gwałtu. Właśnie przeprowadzają na dole badania zgodności DNA zebranych z dywanu próbek nasienia

- czy ktoś tu może chce się założyć o wynik? Mamy pół tuzina krwawych odcisków palców, wykazujących dziesięć wspólnych cech z odciskami pobranymi od tych facetów. Jest wiele mocnych dowodów rzeczowych. Starczy z nawiązką, żeby ich skazać już teraz - rzekł z przekonaniem Murray - a chłopcy z laboratorium nie zbadali jeszcze połowy materiału. Prokurator zażąda kary śmierci. Sądzę, że dopnie swego.

Zostaje tylko kwestia, czy pozwolimy im sypnąć trochę informacji za zmniejszony wyrok. Ale to już niezupełnie moje zmartwienie. - Ostatnim zdaniem Murray zasłużył

sobie na uśmiech dyrektora.

- Udawaj, że to twoje zmartwienie - rozkazał Jacobs.

- Za tydzień, dwa dowiemy się, czy interesuje nas to, co mają do powiedzenia. Mam przecucie, że nie. Powinniśmy dojść do tego, dla kogo pracował denat, a dowiemy się, kto wydał na niego wyrok - Jeszcze tylko nie znamy motywów. Ale jest mało prawdopodobne, że ci faceci je znają. Sądzę, że mamy dwóch sicarios, którzy tym skokiem chcieli sobie zasłużyć na udział w handlowej części całego interesu. Wydaje mi się, że są przeznaczeni na straty. Jeśli tak, nie wiedzą nic, do czego sami nie mogliśmy dojść. Może trzeba im dać szansę, ale nie byłbym za złagodzeniem wyroku. Cztery morderstwa - i to popełnione z wyjątkowym okrucieństwem. Mamy w prawodawstwie karę śmierci i zasłużyli sobie w sam raz na krzeselko.

- Stajesz się mściwy na stare lata? - spytał Shaw.

Był to jeszcze jeden wewnętrzny dowcip. Bili Shaw uchodził za czołowego intelektualistę Biura. Zdobywał ostrogi, zwalczając zorganizowaną przestępczość na terenie Stanów i osiągnął cel, pracowicie usprawniając procedury wywiadowcze i analityczne FBI. Ten wysoki, kostyczny mężczyzna o umysłowości szachisty i spokojnym, zorganizowanym obejściu był także niegdyś agentem terenowym, który opowiadał się za karą śmierci, podpierając się rzeczową, rozsądną argumentacją. W tej kwestii opinia policji była niemal jednogłówna. Żeby zrozumieć potrzebę kary śmierci, wystarczy zobaczyć scenę zbrodni z jej całym okrutnym sztafżem.

- Prokurator się nie sprzeciwia, Dan - rzekł dyrektor Jacobs. - Tych dwóch narkotykowych cwaniaków wyłączy się z gry na zawsze.

Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, pomyślał Murray. Dla Murraya ważne było, żeby mordercy ponieśli karę. Ponieważ na pokładzie jachtu znaleziono wystarczająco duży ładunek narkotyków, rząd mógł odwołać się do prawa dopuszczającego karę śmierci w przypadkach morderstw powiązanych z narkotykami.

Powiązanie to było prawdopodobnie dość luźne w tej sprawie, lecz to już nie obchodziło trzech konferujących w tym pokoju mężczyzn. Fakt morderstwa -

brutalnego i popełnionego z premedytacją - w zupełności wystarczał. Ale stwierdzenie, jak wynikało ze złożonych przez nich i prokuratora południowego rejonu stanu Alabama oświadczeń przed kamerami telewizji, że chodzi tu o walkę z handlem narkotykami, to cyniczne kłamstwo.

Murray otrzymał klasyczne wykształcenie w Boston College przed trzydziestu laty.

Wciąż potrafił recytować z pamięci urywki Eneidy Wergiliusza po łacinie czy początkowe wersety mowy Cyncerona przeciwko Katylinie. Grekę znał tylko z tłumaczeń - Języki obce i różne alfabety to dla niego dwie osobne sprawy - ale pamiętał mit o Hydrze, istocie o siedmiu lub więcej głów. Jak się obcięła jedną, zaraz dwie wyrastały na

jej miejsce. Tak właśnie było z handlem narkotykami. W grę wchodziły za duże pieniądze. Pieniądze przekraczające horyzont chciwości. Pieniądze, za które prosty człowiek - a takich tam najwięcej - mógł osiąść, co tylko zapragnął. Wystarczyła jedna transakcja, by zapewnić dobrobyt do końca życia. Wielu ochoczo i świadomie ryzykowało własne życie za tę jedną jedyną transakcję. Postawiwszy własne życie na ten jeden rzut kości - jakąż wartość przykładali do życia innych? Odpowiedź narzucała się sama. Zabijali więc z taką obojętnością i takim okrucieństwem, jak dziecko rozdeptuje mrowisko. Zabijali konkurentów, bo nie życzyli sobie konkurencji. Zabijali całe rodziny konkurentów, bo nie chcieli, żeby po pięciu, dziesięciu, dwudziestu latach zjawił się gniewny, przepojony chęcią wendety syn; a także dlatego, że - Jak to bywa z mocarstwami atomowymi - ważną rolę odgrywała zasada odstraszenia. Nawet rzucający na szalę własne życie desperat zawaha się dorzucić do stawki życie swoich dzieci.

Udało im się więc uciąć dwie głowy hydrze. Za trzy, cztery miesiące prokuratura wniesie sprawę do okręgowego oddziału sądu federalnego. Proces potrwa zapewne tydzień. Obrona zrobi co może, lecz jeśli prokuratura federalna wykorzysta wszystkie dowody, wygra. Obrona postara się zdyskredytować Straż Przybrzeżną, ale można było przewidzieć przesądzoną już wszak ripostę prokuratora: sąd spojrzy na kapitana Wegenera i zobaczy w nim bohatera, potem spojrzy na oskarżonych i zobaczy ludzkie śmieci. Jedyna prawdopodobna taktyka obrony okaże się niemal na pewno bezskuteczna. Następnie sędzia będzie musiał orzec o winie, lecz przecież rzecz dzieje się na Południu, gdzie nawet od sędziów federalnych oczekuje się prostych, jasnych poglądów na sprawiedliwość. Po orzeczeniu winy podsądnych rozpocznie się debata nad karą, ale w dalszym ciągu jesteśmy na Południu, gdzie ludzie czytają Biblię.

Przysięgli nie puszcza płazem okoliczności obciążających: masowej zbrodni na rodzinie, prawdopodobieństwa gwałtu, zamordowania dzieci, no i narkotyków. Ale na pokładzie znajdował się milion dolarów - zaoponuje obrona. Główna ofiara zamieszana była w handel narkotykami. Gdzie dowód? - zapyta skwapliwie prokurator - a żona i dzieci? Przysięgli wysłuchają obu stron spokojnie, rozważnie, z pietyzmem, przyjmą pouczenie od tego samego sędziego, który wskazał im wcześniej, co świadczy o winie oskarżonych. Będą deliberować, nie szcędząc czasu, rozważając dogłębnie, w zgodzie ze swym sumieniem, decyzję, którą podjęli i tak już na wiele dni przedtem, po czym wrócą i orzekną: śmierć. Zbrodniarze, już nie oskarżeni, pójdą do więzienia federalnego. Wyrok zostanie automatycznie zaskarżony, ale obalenie go nie wchodziło w rachubę,

jeśli sędzia nie popełnił żadnych poważnych uchybień proceduralnych, co przy tak bogatym materiale dowodowym było raczej nieprawdopodobne. Posypią się następne apelacje. Ludzie będą

kwestionować latami wyrok, szermując filozoficznymi argumentami - Murray nie zgadzał się z nimi, choć szanował ich poglądy. Sąd Najwyższy prędzej czy później będzie musiał wydać orzeczenie, lecz Najwyżsi, jak ochrzciła ich policja, wiedzieli dobrze, że konstytucja wyraźnie dopuszczała karę śmierci, a wola narodu głosem Kongresu zalecała wprost najwyższy wymiar kary w określonych przypadkach powiązanych z narkotykami, co opinia większości wykladała w precyzyjnych, suchych słowach. I tak oto po pięciu latach, gdy już wszystkie apelacje zostaną wysłuchane i odrzucone, obu mężczyzn przypnie się pasami do drewnianego krzesła i naciśnie wyłącznik.

To zadowalało Murraya. Przy całym swoim doświadczeniu i otwartym umyśle, był przede wszystkim gliną. Młodzieńcze złudzenia wyparowały z niego, kiedy opuścił

mury Akademii FBI, gdzie roił sobie, że wraz z kolegami - w większości już na emeryturze - zmieni zasadniczo świat. Według statystyk pod wieloma względami mu się to udało, lecz statystyka była zbyt sucha, zbyt abstrakcyjna, zbyt nieludzka.

Murrayowi wojna z przestępczością jawiła się jako nieskończona seria drobnych bitew.

Ofiary rabowano w samotności, porywano w samotności lub wreszcie zabijano w samotności i właśnie te poszczególne jednostki mieli ocalać i mścić misjonarze-wojownicy z FBI. Na jego poglądach zaważyło też katolickie wychowanie, a Biuro pozostawało bastionem irlandzko-katolickiej Ameryki. Jeśli nawet nie zmienił świata, to ocalił istnienia ludzkie i pomścił śmierć tych, których nie udało mu się ocalić. Znajdą się zawsze nowi przestępcy, lecz wszystkie jego bitwy wieńczyło zwycięstwo i w ostatecznym rozrachunku, jak musiał wierzyć, społeczeństwo odczuje różnicę na swą korzyść. Wierzył, jak wierzył w Boga, że każdy złapany zbrodniarz to bodaj jedno ocalone życie potencjalnej ofiary.

W tej sprawie kolejny raz uczynił zadość swym poglądom.

Ale nie miało to najmniejszego znaczenia dla przemysłu narkotykowego. Z wyżyn nowego stanowiska musiał ogarniać wszystko z większego dystansu, co zwykłym agentom zdarzało się tylko przy kieliszku, po zamknięciu Biura. Ci dwaj wypadli z obiegu, a hydrze wyrosły już dwie nowe głowy, dumął Murray, może nawet więcej.

Jego błąd polegał na tym, że nie wyciągnął wniosków z dalszego ciągu mitu, czego nie omieszkali już uczynić inni. Herakles zabił Hydre, zmieniawszy taktykę. Człowiek, który pamiętał o tym, siedział wraz z nim w pokoju. Murray nie zdążył się jeszcze nauczyć, że na poziomie, gdzie ważą się decyzje, nowa perspektywa stopniowo zmienia także poglądy.

Cortezowi też podobał się widok, mimo nieco rozrzedzonego powietrza w tej podniebnej rezydencji. Jego nowy szef wiedział, jak okazywać swą władzę. Siedział

tyłem do szerokiego okna, co niepomrotnie utrudniało rozmówcy siedzącemu naprzeciwko masywnego biurka odczytanie wyrazu twarzy szefa. Mówił spokojnym, cichym głosem niewzruszonej potęgi. Gesty jego były oszczędne, słowa na ogół

wyważone. Lecz za nimi krył się człowiek brutalny - o tym Cortez wiedział - i mimo wykształcenia, człowiek prymitywny, lecz właśnie dlatego go wynajął -o czym też Felix wiedział. Były pułkownik, absolwent moskiewskiego centrum, skupił więc wzrok na urokach zielonej doliny. Nie podjął wyzwania Escobedo do pojedynku na władcze spojrzenia. Miał okazję w to grać z o wiele niebezpieczniejszymi ludźmi.

- A więc?

- Zwerbowałem dwie osoby - odparł Cortez. - Jedna dostarczy nam informacji z chęci zysku. Druga robi to z innych powodów. Zbadałem też dwa inne potencjalne źródła, jednakże nie podobały mi się, więc z nich zrezygnowałem.

- Co to za ludzie - ci, których pan zdecydował się wynająć?

- Nie - Cortez potrząsnął głową. - Mówiłem już panu, że personalia moich agentów muszą pozostać tajne. Jest to zasada operacji wywiadowczych. Ma pan informatorów w swojej organizacji i swobodna rozmowa może udaremnić nasze wysiłki pozyskania informacji, o które pan zabiega, jefe - rzekł uniżenie. Ten potrzebował wazeliny. - Jefe, zatrudnił mnie pan jako doświadczonego eksperta. Niech mi więc będzie wolno wykonywać swój zawód jak należy. Pozna pan wartość moich źródeł po informacjach, które panu dostarczę. Doskonale rozumiem pańskie uczucia. To normalne. Sam Castro zadał mi to pytanie i odpowiedziałem mu tak samo. Tak już musi być.

Escobedo mruknął z aprobatą. Uwielbiał, gdy porównywano go z szefem państwa, cóż dopiero tym, co tak skutecznie stawił czoło Yanquis przez całe pokolenie. Na przystojnej twarzy pojawił się zadowolony uśmiech - Cortez nie zadał sobie nawet trudu, by to sprawdzić. Jego odpowiedź zawierała dwa kłamstwa: Castro nigdy nie zadał mu takiego pytania i ani Felix, ani nikt inny na wyspie nie śmiałyby odmówić mu odpowiedzi, gdyby je zadał.

- Czego się zatem pan dowiedział?

- Coś się święci - powiedział rzeczowym tonem na granicy drwiny. Musiał wszak czymś usprawiedliwić swoją pensję. -Amerykański rząd szykuje nowy program, który ma na celu skuteczniejsze powstrzymanie dystrybucji. Moi informatorzy nie znają jeszcze szczegółów, choć informacja pochodzi z wielu źródeł i wszystko wskazuje na to, że jest prawdziwa. Mój drugi człowiek będzie mógł potwierdzić każdą informację dostarczoną przez pierwszego. - Felix wiedział, że ten argument nie trafił do Escobedo. Zwerbowaniem dwóch niezależnych źródeł do tej samej misji zasłużyłby sobie na kwiecisty list pochwalny od każdej szanującej się agencji wywiadowczej.

- Ile będzie nas kosztowała ta informacja?

Pieniądze. Tylko pieniądze mu w głowie, pomyślał Cortez z tłumionym westchnieniem.

Nic dziwnego, że potrzebował profesjonalisty do ochrony swoich operacji. Tylko głupiec sądzi, że za pieniądze kupi wszystko. Owszem, bywało, że pieniądze załatwiały wiele, a Escobedo - sam

o tym nie wiedząc - płacił więcej swym amerykańskim najemnikom i zdrajcom niż całą komunistyczną siatką wywiadowczą.

- Lepiej wydać więcej pieniędzy na jedną dobrze ustawioną osobę, niż trwonić je na większą liczbę podrzędnych kapusiów. Ćwierć miliona dolarów zupełnie wystarczy na zdobycie informacji, o którą nam chodzi. - Cortez zatrzyma większość tej sumy dla siebie. Ma przecież swoje wydatki.

- To wszystko? - spytał Escobedo z niedowierzaniem. - Więcej płacę tym...

- Ponieważ pańscy ludzie nie znają się na rzeczy, jefo. Ponieważ płaci pan ludziom za to, gdzie są, a nie za to, co wiedzą. Nie zastosował pan systematycznej strategii w zwalczaniu wrogów. Mając odpowiednie informacje, może pan spożytkować fundusze znacznie efektywniej. Może pan działać strategicznie, a nie tylko taktycznie -

zakończył Cortez, naciskając najodpowiedniejszy guzik.

- Właśnie! Muszą nareszcie zrozumieć, że jesteśmy siłą, z którą należy się liczyć!

Nie po raz pierwszy Cortez pomyślał, że jego głównym celem jest wziąć forszę i zwiać... Może dom w Hiszpanii... A może zastąpić tego egocentrycznego bufona. To była myśl... Ale jeszcze nie nadszedł czas. Escobedo był co prawda zakochanym w sobie maniakiem, jednak wcale roztroptym, zdolnym do natychmiastowego działania.

Człowiek ten różnił się od jego poprzednich chlebodawców między innymi tym, że nie bał się podejmować decyzji, i to szybko. Nie było tu żadnej biurokracji, labiryntu gabinetów, przez które przejść musiała każda informacja. Za to szanował eljefe. Przynajmniej wiedział, jak podejmuje się decyzje. KGB może też działało niegdyś w tym stylu, może nawet organy amerykańskiego wywiadu. Ale czasy te minęły bezpowrotnie.

- Jeszcze tydzień - powiedział Ritter doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego.

- Miło słyszeć, że sprawy posuwają się do przodu - rzekł admirał. - A potem?

- To chciałbym od ciebie usłyszeć. Tak dla porządku - zasugerował ZDO i nie omieszkął przypomnieć: - Wszak pomysł całej operacji wyszedł od ciebie.

- Wciągnąłem do zabawy dyrektora Jacobsa - odparł Cutter zadowolony z własnej błyskotliwości. - Jak będziemy już gotowi do startu, to znaczy, gotowi nacisnąć guzik, Jacobs poleci na miejsce i spotka się z ich prokuratorem generalnym. Nasz ambasador twierdzi, że Kolumbijczycy pójdą niemal na wszystko. Są jeszcze bardziej zdesperowani niż my i...

- Chyba nie...?

- Nie, Bob, ambasador niczego nie wie. Zadowolony? Nie jestem takim idiotą, za jakiego mnie masz - mówiły jego oczy agentowi CIA. - Jeżeli Jacobsowi uda się sprzedać im pomysł, robimy zrzut naszych ludzi przy pierwszej sposobności.

Chciałbym tylko zaproponować jedną zmianę.

- Jaką?

- Chodzi o powietrzną część operacji. Z twojego raportu wynika, że wstępne misje rozpoznawcze już lokalizują cele.

- Niektóre - przyznał Ritter. - Trzy do czterech tygodniowo.

- Wszystko, co trzeba, jest już na miejscu. Czemu nie zacząć tej części operacji? Może to nam pomóc w rozpoznaniu terenów, na które zrzucimy grupy piechoty, rozwinięciu wywiadu operacyjnego, sam wiesz.

- Wolałbym zaczekać - powiedział ostrożnie Ritter.

- Na co? Jeśli uda się zlokalizować najczęściej używane miejsca, chłopcy będą mogli ograniczyć ruchy w terenie do niezbędnego minimum. Czyż nie to jest największym ryzykiem operacyjnym? W ten sposób zdobędziemy informacje zwiększające skuteczność całego planu.

Problem z Cutterem polegał na tym, pomyślał Ritter, że skurczybyk wiedział akurat tyle na temat operacji, żeby być niebezpiecznym. Co gorsza, miał władzę, by narzucić swawolę, a także zdawał sobie sprawę z opinii, jaką cieszył się wydział operacji. Co takiego powiedział kilka miesięcy temu? Wasze najlepsze operacje w ciągu ostatnich dwóch lat wyszły z wydziału Greera... Co wskazywało na Jacka Ryana, wschodzącą gwiazdę Jamesa

- najpewniejszego kandydata na nowego ZDW, wszystko na to wskazywało. Parszywa sprawa. Ritter żywił nieskrywany podziw dla swego odpowiednika na czele wydziału wywiadu, acz z większą rezerwą odnosił się do jego przymilnego pupila. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że dwa największe przeboje Agencji w ostatnich dwóch latach wzięły początek w niewłaściwym wydziale i nadszedł czas, by operacje odzyskały prymat. Ritter zastanawiał się, czy Cutter umyślnie podrażnił jego ambicję, by sprowokować go do działania. Chyba jednak nie - doszedł wreszcie do wniosku.

Cutter za mało jeszcze wiedział o wewnętrznych przepychankach. Czego nie omieszka, oczywiście, wkrótce nadrobić.

- Przedwczesne wejście jest klasycznym błędem w operacjach terenowych - zauważył

ZDO bez przekonania.

- Przecież wcale nie jest za wcześnie. W gruncie rzeczy mamy dwie osobne operacje, prawda? - spytał Cutter. - Część powietrzna może iść niezależnie od penetracji lądowej. Zgadzam się, że może być mniej skuteczna, ale jest do przeprowadzenia. Czy nie możemy w ten sposób sprawdzić najpierw mniej ryzykownej operacji, zanim puścimy w ruch niebezpieczną część całego planu? Czy nie damy wtedy Kolumbijczykom do ręki argumentu, że traktujemy sprawę całkiem serio?

Za wcześnie, oponował natarczywie głos w głowie Rittera, lecz na twarzy odbijało się niezdecydowanie.

- Słuchaj, mam z tym iść do prezydenta? - spytał Cutter.

- Gdzie go dzisiaj znajdziesz... w Kalifornii?

- Podróż polityczna. Wolałbym nie zawracać mu głowy takimi rzeczami, ale...

Dziwna sytuacja, pomyślał ZDO. Nie docenił Cuttera, podczas gdy doradca do spraw bezpieczeństwa miał skłonność do przeceniania samego siebie.

- Dobra, wygrałeś. „Orle Oko” rusza pojutrze. Tyle nam zajmie pozbieranie wszystkich do kupy.

- A „Rewia na Wodzie”?

- Jeszcze tydzień na ostatnie przygotowania. Cztery dni na przerzut ludzi do Panamy, gdzie zastaną wsparcie lotnicze, sprawdzenie systemów łączności i tak dalej.

Cutter z uśmiechem sięgnął po kawę. Czas wygładzić nastroszone pióra, pomyślał.

- Mój Boże, jak to miło pracować z prawdziwym zawodowcem. Spójrz na jasne strony, Bob. Będziemy mieli całe dwa tygodnie na przemaglowanie tego, co złapie się do sieci w powietrzu, i dzięki temu grupy penetrujące dżunglę będą miały rozeznanie, gdzie się pchać.

Już przecież wygrałeś, sukinsynu. Jeszcze ci mało? - cisnęło się na usta Ritterowi.

Ciekaw był, co by się stało, gdyby kazał Cutterowi odkryć karty. Co powiedziałby na to prezydent? Ritter miał małe pole manewru. Marudził długo i głośno w środowisku wywiadowczym, że CIA nie przeprowadziła poważnej operacji przez... piętnaście lat?

To zależy, co uważało się za poważną operację. Teraz miał szansę się wykazać.

Efektownymi odzywkami przy kawie podczas przerw w rządowych konferencjach na wysokim szczeblu sprawił sobie żabę, którą teraz musiał zjeść. Operacje terenowe, jak ta, były niebezpieczne. Niebezpieczne dla ich uczestników. Niebezpieczne dla tych, którzy wydawali rozkazy. Niebezpieczne dla rządów, które je wspierały. Tłumaczył to Cutterowi nieraz, lecz, jak wielu innych, doradca prezydenta był zahipnotyzowany blaskiem operacji terenowych. W kręgach zawodowców nazywano to syndromem misji niemożliwej. Nawet profesjonalistom zdarzało się pomieszenie filmów telewizyjnych z rzeczywistością, a w sferach rządowych roiło się od ludzi, którzy słyszeli tylko to, co chcieli usłyszeć, i puszczały mimo uszu nieprzyjemne części operacji. Ale Ritter nie miał już czasu na wszelkie ostrzeżenia. Sam wszakże upierał się od lat, że misja taka jest, owszem, możliwa i bywa przydatnym uzupełnieniem zabiegów dyplomatycznych. Przekonywał też często, że wydział wciąż wiedział, jak się do tego zabrać. Uszedł jego uwagi fakt, że musiał zwerbować specjalistów do operacji terenowych z armii i Sił Powietrznych. Pamiętał czasy, gdy Agencja dysponowała własnym lotnictwem i własną armią... i skoro to się sprawdziło w praktyce, czasy te może kiedyś wróćą. Samodzielności takiej potrzebowała i Agencja, i kraj, pomyślał Ritter. Oto być może nadarzała się sposobność wcielenia tej potrzeby w życie. Jeśli ceną mają być męki z upojonymi władzą amatorami pokroju Cuttera, trudno, gotów był tę cenę zapłacić.

- Zgoda. Zrobię, co trzeba.

- Powiadomię szefa. Kiedy spodziewasz się pierwszych wyników...?

- Tego się nie da przewidzieć.

- Ale przed listopadem - rzucił lekko Cutter.

- Tak, do tego czasu powinniśmy już coś mieć. - Polityka, a jakże. To napędzało cały ruch po stołecznej obwodnicy.

Pierwszy dywizjon odkomenderowany do operacji specjalnych stacjonował w Hurlburt Field, na zachodnim krańcu bazy Sił Powietrznych Eglin na Florydzie. Był to wyjątkowy oddział, jednak każdy oddział wojskowy z określeniem „specjalny” w nazwie, był z natury rzeczy wyjątkowy.

Przymiotnik ten stosowano w różnorodnych znaczeniach. „Broń specjalna” oznaczała zazwyczaj broń nuklearną i tu słowo to stosowano po to, by nie obrazić uczuć tych ludzi, którym przymiotnik „nuklearny” nieuchronnie kojarzył się z grzybami atomowymi i hekatombą; tak jakby zmiana nazewnictwa pociągała za sobą zmianę istoty samej rzeczy, jeszcze jeden charakterystyczny przesąd rządów na całym świecie.

W wyrażeniu „operacje specjalne” chodziło natomiast o coś innego. Na ogół odnosiło się to do tajnej działalności, przerzucania ludzi tam, gdzie nie powinni się znaleźć, wspierania ich, gdy tam przebywali, i wreszcie wycofywania ich po wykonaniu zadania, którego przede wszystkim nie powinni byli w ogóle rozpocząć. Takie z grubsza biorąc przeznaczenie miał pierwszy dywizjon.

Pułkownik Paul Johns - PJ - nie znał wszystkich szczegółów działalności swego dywizjonu. Jedyńka miała dość osobliwą strukturę, gdzie zwierzchnictwo nie zawsze korespondowało z rangą, gdzie wojsko wspomagało maszyny i załogi, nie zawsze wiedząc, dlaczego to robi, dokąd helikoptery przylatywały i odlatywały bez ustalonego harmonogramu i gdzie wszelkie spekulacje i pytania nie były mile widziane. Dywizjon dzielił się na poszczególne grupy, współpracujące ze sobą na ustalanych ad hoc zasadach. Oddział pod dowództwem PJ miał pół tuzina helikopterów Pave Low III.

Johns odsłużył już parę latek i jakimś cudem udało mu się większość swej lotniczej służby spędzić w powietrzu. Była to droga kariery, która dawała mu pełnię zawodowej satysfakcji oraz dokładnie zerowe szansę na uzyskanie generalskich gwiazdek. Ale tym akurat najmniej się przejmował. Wstąpił do lotnictwa po to, żeby latać -zajęcie, któremu generałowie oddają się niezbyt często. Dotrzymywał swojej części umowy, sztab wywiązywał się ze swojej; układ wcale nie tak powszechny, jak mogłoby się zdawać. Johnsi wcześniej zbrzydły szybkie odrzutowce do zrzucania bomb albo zestrzeliwania innych samolotów. Życzliwy ludziom przez całe życie, Johns rozpoczął

kariere od Jolly Green Giantów, wsławionych w Wietnamie helikopterów ratowniczych HH-3, potem przesiadł się na Super Jolly HH-53 wchodzące w skład powietrznych służb ratowniczych. Jako zuchwały młody kapitan brał udział w nalocie na Song Tai, gdzie był drugim pilotem śmigłowca, który umyślnie rozbił się na terenie obozu jenieckiego trzydzieści kilometrów na zachód od Hanoi, by w ten desperacki sposób przyczynić się do ocalenia ludzi, którzy jednak w ostatniej

chwili zostali przerzuceni w inne miejsce. Było to jedno z nielicznych niepowodzeń w jego karierze.

Pułkownik Johns nie zwykł ponosić porażek. Jeżeli potrzebowałeś pomocy, PJ

przylatywał, żeby cię wyciągnąć. Był trzecim

najlepszym specjalistą wszech czasów w ratownictwie Sił Powietrznych. Obecny szef sztabu wraz z dwoma innymi generałami nie skończył w „hotelu” Hanoi Hilton tylko dzięki niemu i jego załodze. PJ rzadko musiał płacić za drinki. Jemu generałowie salutowali pierwsi, co uświęcała tradycja wobec odznaczonych Medalem Honoru.

Jak większość bohaterów, był nieprzyzwoicie zwyczajny. Miał tylko metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ważył sześćdziesiąt pięć kilogramów i nie wyróżniał się niczym wśród innych mężczyzn w średnim wieku, kupujących chleb w sklepiku na terenie bazy. W

okularach, które musiał teraz nosić, sprawiał wrażenie usłużnego, podmiejskiego urzędnika bankowego. Rzadko też podnosił głos. Sam strzygł trawę w swoim ogródku, kiedy miał czas, a kiedy nie miał czasu, robiła to jego żona. Jeździł

oszczędnym plymouthem horizonem. Syn studiował mechanikę na politechnice w Georgii, a córka dostała stypendium na uniwersytecie Princeton, pozostawiając rodziców w odległym, przejmująco pustym domu, zdanych na kontemplację czekającej ich za kilka lat emerytury.

Ale jeszcze nie teraz. Siedział na lewym siedzeniu śmigłowca Pave Low i sprawdzał

umiejętności pojętnego, młodego kapitana, który, jak powszechnie mniemano, nadawał

się już na pierwszego pilota. Wielomilionowej wartości helikopter niemal cesał

wierzchołki drzew, lecąc z prędkością prawie trzystu kilometrów na godzinę. Nad Florydą zapadła już ciemna, pochmurna noc, a ta część bazy Eglin nie była jasno oświetlona, lecz nie miało to większego znaczenia: zarówno on, jak i kapitan mieli na sobie hełmy z wbudowanymi noktowizorami, wcale nie tak bardzo różniące się od hełmu Dartha Vadera z Gwiezdných Wojen. Te wszakże działały na serio, przemieniając mglisty mrok w zielonkawoszary obraz. PJ rozglądał się bezustannie i pilnował, aby kapitan robił to samo. Sprzęt noktowizyjny miał bowiem ten niebezpieczny mankament, że głębia widzenia - sprawa życia i śmierci dla latającego nisko pilota - ulegała redukcji w elektronicznie generowanym obrazie. Około jednej trzeciej strat operacyjnych dywizjonu, pomyślał Johns, dało się przypisać tej właśnie wadzie, na którą geniusze techniki wojskowej nie znaleźli jeszcze skutecznego lekarstwa. Pave Low narażone były na szczególnie wysokie straty operacyjne i treningowe - oto cena misji, do której się szykowali i której negatywne skutki zmniejszyć mogło tylko jeszcze dokładniejsze szkolenie. W górze obracał się sześćoosobowy wirnik napędzany dwoma silnikami turbinowymi. Z sześćoosobową załogą bojową i miejscem dla czterdziestu pasażerów w pełnym rynsztunku bojowym, Pave Low należał do największych helikopterów. Nos naszpikowany miał w różnych miejscach przyrządami radarowymi, czujnikami

podczerwieni i innymi instrumentami, sprawiając ogólne wrażenie owada z obcej planety. W drzwiach po obu stronach kadłuba znajdowały się stanowiska obrotowych karabinów maszynowych Minigun oraz jedno w luku towarowym na ogonie, albowiem ich zasadnicza misja -

tajny zrzut i wsparcie sił do operacji specjalnych - była nader niebezpieczna, jak również drugorzędne zadanie, które ćwiczyli właśnie tej nocy - poszukiwanie i ratownictwo bojowe. Podczas służby w południowo-wschodniej Azji PJ

współpracował z bombowcami szturmowymi typu a-1 Skyraider, ostatnimi samolotami szturmowymi Sił Powietrznych zaopatrzonymi w silniki tłokowe, zwanymi SPAD lub Sandy. Kto dokładnie miał ich wspierać tej nocy, wciąż pozostawało zagadką. Poza karabinami maszynowymi, śmigłowiec posiadał dla bezpieczeństwa dodatkowe zasobniki z flarami i wywołującymi zakłócenia radarowe paskami folii oraz urządzenia zakłócające i tłumiące emisję podczerwieni... a także załogę szaleńców.

Johns uśmiechał się pod hełmem. Upajał się prawdziwym lataniem, którego było już coraz mniej. Mieli możliwość sterowania za pomocą systemu autopilot-radar-komputer, który automatycznie utrzymywał lot koszący, jednak tej nocy symulowali awarię systemu. Z autopilotem czy bez, to piloci odpowiadali za lot, a Willis świetnie sobie radził z prowadzeniem maszyny tuż nad wierzchołkami drzew. Raz po raz Johns tłumiał gwałtowne odruchy, gdy już miał pewność, że wyrastająca naraz przed nimi gałąź chłynie o spód śmigłowca, lecz kapitan Willis był kompetentnym młodym pilotem i leciał niziutko, acz nie za nisko. PJ wiedział poza tym z długoletniego doświadczenia, że gałęzie na czubkach drzew są cienkie i słabe, toteż mogą co najwyżej porysować lakier. Ileż to razy przyprawdzał po akcji helikopter z podbrzuszem usmarowanym na zielono jak dzinsy małego dziecka.

- Odległość? - spytał Willis.

Pułkownik Johns spojrział na monitor nawigacyjny. Miał do wyboru radar dopplerowski - satelitarny lub inercyjny - oraz staroświecki ręczny planszety, którego wciąż sam używał i posługiwania się nim wymagał również od swoich uczniów.

- Cztery kilometry zero-cztery-osiem.

- Dobra - Willis przymknął nieco przepustnicę.

Dla dobra tej akcji treningowej pilot myśliwca dał się na ochotnika wywieźć w gęsty, podmokły las, gdzie inny helikopter rozwiesił na drzewie spadochron, by w ten sposób upozorować zestrzelenie pilota, który uruchomił nadajnik z sygnałem alarmowym.

Jedną z nowych sztuczek polegała na tym, że spadochron pokryty był substancją świecąca pod działaniem promieni ultrafioletowych. Johns jako drugi pilot miał za zadanie

przeszukiwać teren ultrafioletową wiązką laserową o słabej mocy. Ktokolwiek wpadł

na ten pomysł, zasługuje na medal, pomyślał Johns. Najgorszą, najniebezpieczniejszą i chyba

najdłuższą częścią każdej misji ratunkowej było nawiązanie kontaktu wzrokowego z rozbitkiem. Wtedy to właśnie łobuzy z armii przeciwnika na ziemi, którzy też polowali na rozbitków, słyszeli warkot wirnika i wpadali na genialny pomysł, że równie dobrze mogą zwinąć dwie maszyny w jednym dniu... Medal Honoru dostał po takiej właśnie misji we wschodnim Laocie, gdy załogą myśliwca F-105 Wild Weasel zainteresował się pluton piechoty północnowietnamskiej. Mimo ostrego wsparcia bombowca szturmowego, strąceni piloci nie odważyli się ujawnić swej pozycji. Johns jednak postanowił nie wracać z pustymi rękami i jego Jolly dostał z dwieście trafień w zażartej wymianie ognia, nim wyłuskał obu rozbitków. Johns często się zastanawiał, czy starczyłoby mu odwagi - szaleństwa - by porwać się na coś takiego jeszcze raz.

- Mam spadochron na drugiej godzinie.

- X-Ray Dwa-Sześć, tu Papa Lima. Mamy twój spadochron. Możesz pokazać swoją pozycję?

- Tak. Sygnał dymny, zielony.

Rozbitek zgodnie z instrukcją podawał załodze śmigłowca, jakim granatem dymnym zasygnalizuje swoje położenie, choć w ciemności i tak ratownicy nie rozróżniali kolorów. Jednakże ciepło wytwarzane przez sygnalizator pirotechniczny świeciło jak latarnia kierunkowa na monitorze czujnika podczerwieni, toteż bez trudu dostrzegli wzywającego pomocy.

- Masz go?

- Tak - odpowiedział Willis i zwrócił się do dowódcy ekipy: - Przygotować się, mamy naszą ofiarę.

- Jesteśmy gotowi.

Z tyłu mechanik pokładowy, starszy sierżant Buck Zimmer - z pułkownikiem znali się jak łyse konie - sterował dźwignią wyciągarki. Na końcu stalowej liny znajdowało się urządzenie zwane penetratorem, dość ciężkie, by przebić się przez najgęstsza płataninę gałęzi. Dno penetratora otwierało się jak płatki kwiatu, tworząc siodełko dla rozbitka, którego wciągano następnie przez gałęzie do helikoptera; dziwnym trafem doświadczenie to nie skończyło się dotąd dla uszkodowanego całkiem tragicznie.

Gdy zaś rozbitek był ranny, sierżant Zimmer albo sanitariusz spuszczała się do niego po linie, przypinali go do penetratora i wraz z nim windowali się do góry. Operacja ta czasami wymagała poszukiwania ofiary na ziemi, częstokroć pod ostrzałem. Dlatego też piloci śmigłowców ratowniczych żywili ogromny szacunek dla swych załóg. Nic bowiem

nie przeraża pilota bardziej, niż wizja znalezienia się na ziemi pod ogniem nieprzyjaciela.

Ale nie tym razem. W czasie pokoju obowiązywał regulamin bezpieczeństwa, ćwiczenia czy nie, akcję przeprowadzano więc na małej przesiece. Zimmer sterował

wyciągarką. Ofiara rozłożyła siodełko i przypięła się mocno do penetratora, wiedząc, co ją za chwilę czeka. Mechanik pokładowy zaczął zwijać linę, upewniwszy się, że rozbitek jest bezpiecznie przypięty, i dał znać pilotom.

W kabinie pilotów kapitan Willis natychmiast przerzucił manetkę na pełną moc i wzbił

się w górę. Po piętnastu sekundach „ocalony” pilot myśliwca wisiał sto metrów nad ziemią na siedmiomilimetrowej stalowej linie, zastanawiając się, po kiego zrobił z siebie idiotę i zgłosił się na ochotnika. Pięć sekund później pewna ręka sierżanta Zimmera wciągnęła go na pokład.

- Akcja zakończona - zameldował Zimmer.

Kapitan Willis pchnął do przodu dźwignię sterowania skokiem i helikopter zanurkował

ku ziemi. Wiedział, że wzniósł się za wysoko przy wciąganiu rozbitka i próbował

zrehabilitować się teraz przed pułkownikiem Johnsem, pokazując, że potrafi szybko wrócić na bezpieczną wysokość tuż nad wierzchołkami drzew. Udało mu się to, lecz czuł na sobie karcący wzrok dowódcy. Popęłnił błąd. Johns nie tolerował błędów.

Przez takie błędy ginęli ludzie - Johns powtarzał im to w kółko przy każdej okazji, bo dość już naoglądał się śmierci.

- Może mnie pan zmienić na chwilę, panie pułkowniku? - spytał Willis.

- Śmigłowiec drugiego pilota - potwierdził Johns, przejmując drążek i zniżając lot jeszcze o mniej więcej pół metra. - Nie należy wznosić się tak wysoko, wciągając faceta, można się wystawić na cel pocisków ziemia-powietrze.

- W nocy raczej można spodziewać się działek przeciwlotniczych. - Willis miał rację, do pewnego stopnia. Ale sprawa nie była wcale prosta i z góry znał odpowiedź Johnsa.

- Przetrzymamy tylko pociski działek małokalibrowych. Większe są tak samo niebezpieczne jak pociski ziemia-powietrze. Proszę trzymać się niżej następnym razem, kapitanie.

- Tak jest.

- Poza tym, całkiem nieźle. Ręka trochę ścierpła, co?

- Tak, panie pułkowniku.

- Trzeba zmienić rękawice. Jeżeli nie są idealnie dopasowane do palców, za mocno ściska się drążek, napięcie przenosi się na nadgarstek i dalej, na całą rękę. Wreszcie sztywnieje ramię, człowiek traci czucie i niezdarnie steruje maszyną. Postaraj się o porządne rękawice. Dla mnie żona robi na miarę. Nie zawsze będziesz miał drugiego pilota na zmianę, a robota jest i tak dość ciężka, żeby rozpraszać się dodatkowymi głupstwami.

- Tak jest.

- Wracając do rzeczy, zdałeś egzamin.

Kapitan Willis wiedział, że podziękowanie będzie nie na miejscu. Odpowiedział

najlepszym sposobem, rozluźniwszy dobrze rękę.

- Mój śmigłowiec. PJ zdjął rękę z drążka.

- Śmigłowiec pilota - potwierdził. - Aha!...

- Tak, panie pułkowniku?

- Za parę tygodni szykuje się specjalna robota. Piszesz się?

- Co to będzie?

- Grzeczni chłopcy nie zadają takich pytań - odpowiedział pułkownik. - Doraźne zadanie. Nie za daleko stąd. Lecimy tą maszyną. Powiedzmy... operacja specjalna.

- Dobra - powiedział Willis. - Może pan pułkownik na mnie liczyć. Kto jeszcze wie...

- Najprościej mówiąc, nikt. Bierzemy Zimmera, Childsa, Beana i grupę wspierającą. Z

tego, co wiadomo, jesteśmy czasowo przydzieleni do pewnych misji treningowych gdzieś na wybrzeżu kalifornijskim. Więcej nie musisz na razie wiedzieć.

Willis uniósł brwi pod hełmem. Zimmer pracował z PJ od czasów sięgających Tajlandii i chwały Green Giantów, jeden z niewielu podoficerów z prawdziwym doświadczeniem bojowym. Sierżant Bean był najlepszym strzelcem pokładowym dywizjonu. Childs niewiele mu ustępował.

Czymkolwiek miała być ta czasowa misja, zapowiadała się całkiem poważnie. Oznaczała także, że Willis jeszcze przez jakiś czas pozostanie drugim pilotem, ale nie przejmował się tym. Nie każdy w końcu mógł

poszczycić się lotami z czempionem załóg ratunkowych (z pierwszych liter tego tytułu wziął się znak wywoławczy Johnsa - Cezar).

Chavez i Julio Vega spojrzeli po sobie.

- Są pytania? - spytał oficer, kończąc odprawę.

- Tak jest - odezwał się radiooperator. - Co się stanie, jak zameldujemy odlot?

- Samolot zostanie przechwycony.

- Tak na serio?

- To już zależy od jego załogi. Jeśli nie podporządkuje się rozkazom, będzie się kąpać w morzu. To wszystko, co mogę powiedzieć. Panowie, to, coście tu usłyszeli, jest ściśle tajne. Nikt, powtarzam, nikt nie może się o tym dowiedzieć! Jeśli choć słówko dojdzie do niepożądanych uszu, ludziom może

się stać krzywdą. Celem naszej misji jest utrudnienie przetrwania narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Chwilami może być gorąco.

- Najwyższy czas, kurwa ich mać - padła cicha uwaga.

- Dobra. Wszyscy już wiemy, o co chodzi. Powtarzam, panowie, ta misja może być niebezpieczna. Dajemy wam wszystkim czas na przemyślenie sprawy. Jeśli chcecie się wycofać, zrozumiemy. Mamy do czynienia z gotowym na wszystko przeciwnikiem.

Oczywiście - oficer uśmiechnął się - między nami też znajdzie się paru niezłych zabijaków.

- Mowa! - odezwał się inny głos.

- Ale macie całą noc na zastanowienie. Ruszamy jutro o osiemnastej zero zero. Wtedy będzie już za późno na zmianę decyzji. Jasne? Dobrze. To na razie wszystko.

- Bacność! - padła ostra komenda kapitana Ramireza. Wszyscy w sali poderwali się na równe nogi, gdy oficer wyszedł po

zakończeniu odprawy. Teraz przyszła kolej na kapitana:

- Wiecie już, co się święci. Przemyślcie wszystko dokładnie, chłopcy. Wolałbym, żebyście ze mną poszli; wiadomo, że potrzebuję każdego z was, ale jeśli tylko macie jakieś opory, lepiej zostańcie w domu. Macie do mnie jakieś pytania? - Pytań nie było.

- Dobra. Niektórzy z was znają ludzi, którym narkotyki załatwiły życie. Może przyjaciół, może krewnych, nie wiem. Teraz nadarza się okazja, żeby wyrównać rachunki. Ci bandyci zatruwają nam kraj i najwyższy czas dać im małą nauczkę.

Zastanówcie się dobrze. Jeśli ktoś ma jakieś wątpliwości, niech się do mnie zaraz zgłosi. Jeżeli ktoś chce się wycofać, nie ma sprawy.

Jego twarz i barwa głosu mówiły coś wręcz przeciwnego. Kto się teraz wycofa, będzie w oczach swego dowódcy uchodził za niepełnego mężczyznę, a takie wrażenie było podwójnie bolesne, ponieważ Ramirez z poświęceniem prowadził ich, dzielił z nimi każdy znój i harował wraz z nimi w pocie czoła na każdym etapie szkolenia. Odwrócił

się

i wyszedł.

- Ale jaja - skomentował Chavez. - Przeczynałem, że szykuje się coś dziwnego, ale... niech to!

- Miałem przyjaciela, który umarł z przedawkowania - powiedział Vega. - Wziął tylko tak dla picu, żaden z niego narkoman, ale chyba trafił na jakiś syf. Srałem w gacie ze strachu i więcej nie dotknąłem już tego świństwa. Chodziłem wtedy jak struty. Tomas był moim przyjacielem,

marto. Tamten skurwiel sprzedał mu jakieś gówno, bracie. Chętnie poczęstowałbym go serią z mojego kaemu.

Chavez pokiwał głową z najgłębszą powagą, na jaką pozwalały mu wiek i wykształcenie. Przypomnił sobie gangi siejące postrach w latach jego dzieciństwa, ale ich działalność wydawała mu się z dzisiejszej perspektywy niemal dziecięcą igraszka.

Teraz w ulicznych bijatykach nie chodziło już o to, kto mieszka na jakiej ulicy. Teraz walka toczyła się o kontrolę rynku. W grę wchodziła poważna forsa, stawki, za które zabijano bez żadnych skrupułów. To właśnie przemieniło jego starą dzielnicę ze strefy nędzy w otwarte pole bitwy. Znał ludzi, którzy bali się chodzić po własnej ulicy, opanowanej przez uzbrojonych handlarzy narkotyków. Zabłąkane pociski wpadały przez okna i zabijały ludzi przed telewizorami, a policjanci bali się częstokroć wchodzić na teren trefnych osiedli, chyba że w liczbie i z uzbrojeniem okupacyjnej armii... wszystko z powodu narkotyków. Zaś ludzie, którzy byli sprawcami tej plagi, żyli sobie wygodnie i bezpiecznie trzy tysiące kilometrów dalej...

Chavezowi nie przyszło nawet do głowy, że on i jego koledzy - nawet kapitan Ramirez

- ulegli jakże sprytniej manipulacji. Byli żołnierzami, którzy ćwiczyli dzień i noc, by chronić kraj przed wrogiem; wytworem systemu, który ich młodzieńczemu entuzjazmowi nadawał kierunek, nagradzał ciężką pracę poczuciem spełnienia i dumy, nade wszystko dawał ich nieokiełznanej energii konkretny cel i w zamian za to wszystko wymagał tylko lojalności. Ponieważ zawodowi żołnierze rekrutują się na ogół z biedniejszych warstw społeczeństwa, chłopcy ci przekonali się rychło, że tu nie dyskryminuje się mniejszości: w armii liczyły się umiejętności, bez względu na kolor skóry czy akcent. Wszyscy na własnej skórze poznali społeczne problemy związane z narkotykami i stali się częścią subkultury, w której narkotyków nie tolerowano -

kampania, podczas której oczyszczano szeregi armii z narkomanów, aczkolwiek bolesna, nie poszła na marne. Dla tych, którzy pozostali, zażywanie narkotyków było czymś nie do pomyślenia. Stali się ludźmi sukcesu w ich rodzinnych dzielnicach, wzorem do naśladowania; żądnymi wrażeń, zuchwałymi, zdyscyplinowanymi wychowankami nędznych ulic, dla których nie było przeszkód nie do pokonania i którzy z całej duszy pragnęli pomóc innym, by poszli za ich przykładem.

Tak też pojmowali cel obecnej misji. Oto pojawiła się sposobność obrony nie tylko swojego kraju, lecz także barrios, z których wszyscy uciekli. Najpierw wyznaczeni jako najlepsi z szeregów elitarnych oddziałów armii, potem skierowani na szkolenie, które nappełniło ich jeszcze większą dumą, nie mogli teraz odmawiać udziału w tej misji, tak jak

nie mogli odmawiać sobie męskości. Nie było wśród nich takiego, któremu choć raz w życiu nie przyszłaby chętka na sprzątnięcie handlarza narkotyków. Teraz armia pozwalała im dokonać czegoś jeszcze lepszego. Jasne, że pójdą.

- Zdmuchnąć skurwiela z nieba! - rzekł radiooperator drużyny. - Wbić mu Sidewindera prosto w dupę! Nie masz, gnoju, prawa żyć!

- Taak T zgodził się Vega. - Nie ma co się z nimi cackać. Jeszcze czego! A najchętniej to bym dorwał

grube ryby, tam gdzie te kutasy mieszkają! Jak myślisz, Ding, dostalibyśmy ich?

Chavez wyszczerzył zęby.

- Co ty? Jaja sobie ze mnie robisz, Julio? Myślisz, że kogo oni tam mają, żołnierzy?

Gówno. Sami szmaciarze z rozpylaczami, pewnie ich nawet nie czyszczą. Przeciwno nam? Takiego wała! Może przeciwno tamtejszej gównianej armii, może, ale z nami?

Nie ma siły, bracie. Robimy z nich padlinę na miejscu. Ja podchodzę blisko, kładę wartowników gładko i bez szumu moim H-K, a wam zostawiam łatwą robotę.

- Ninja się znalazł! - obruszył się żartobliwie jeden ze strzelców. Ding wyciągnął z kieszeni koszuli gwiazdę i wbił ją we framugę

drzwi z pięciu metrów.

- Śmieję się, chłopcze, śmieję - zachichotał Chavez.

- Ty, Ding, nauczysz mnie tym rzucać? - spytał strzelec.

Nie było więcej mowy o niebezpieczeństwach misji, tylko o samych zaletach.

Przezwalili go Bronco. Naprawdę nazywał się Jeff Winters i dopiero co awansował na kapitana w Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych, ale ponieważ był pilotem myśliwca, musiał mieć specjalne imię, będące znakiem wywoławczym. Przewisko przyłgnęło do niego od czasu niemal zapomnianej imprezy w Kolorado - ukończył

tamtejszą Akademię Sił Powietrznych USA - podczas której spadł z konika rasy bronco, tak łagodnego, że zwierzak prawie zdechł ze strachu. Sześć puszek piwa przyczyniło się do upadku, skwitowanego salwą śmiechu kolegów, a jeden z nich -

cwaniak lata teraz na zdezelowanych transportowcach - powiedział do siebie Winters z zaciętym uśmiechem - na miejscu wymyślił przewisko. Palant umiał jeździć na koniu

- zwierzał się gwiazdom Bronco, ale zawałił egzamin na pilota myśliwców F-15C.

Świat może nie narzeka na nadmiar sprawiedliwości, ale można jeszcze trochę jej znaleźć.

Co właśnie stanowiło wyłączny cel jego specjalnej misji.

Winters był raczej drobnym, młodym mężczyzną. Miał dwadzieścia siedem lat i już zdążył przelatać siedemset godzin na maszynie firmy McDonnell-Douglas. Tak jak niektórzy chłopcy urodzili się baseballistami, aktorami albo kierowcami wyścigowymi, tak Bronco Winters przyszedł na świat po to tylko, by latać na myśliwcach. Miał taki wzrok, że okulistom opadała szczeka, koordynację ruchów pianisty i cyrkowego akrobata w jednej osobie oraz znacznie rzadszy przymiot, znany w jego zamkniętym środowisku jako RS - refleks sytuacyjny. Winters zawsze wiedział, co dzieje się wokół

niego. Samolot stanowił tak naturalną część tego młodego człowieka, jak mięśnie ramion. Przekazywał swoje życzenia maszynie, a F-15 spełniał je w mgnieniu oka, odtwarzając dokładnie powstały w umyśle pilota obraz. Co pomyślał umysł, samolot wykonał.

W tej chwili krążył trzysta kilometrów od florydzkiego wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Przed czterdziestoma minutami wystartował z bazy Sił Powietrznych Eglin, uzupełnił paliwo z samolotocysterny KC-135 i miał teraz dość paliwa na pięć godzin spokojnego lotu, a wcale nie zamierzał szaleć. Pod kadłubem przymocowane były dodatkowe zbiorniki z paliwem. Zwykle wisiały tam jeszcze pociski raketowe -

F-15 może zabrać ich aż osiem - ale podczas misji tej nocy miał na pokładzie jedynie amunicję do dwudziestomilimetrowego działka, która i tak zawsze znajdowała się w samolocie, bo jej ciężar pomagał utrzymać odpowiednie wyważenie maszyny podczas lotu.

Leciał okrężnym lotem, z silnikami zduszonymi do relaksowej prędkości. Ciemnymi, bystrymi oczami wodził na prawo i lewo, szukając świateł pozycyjnych innych samolotów, lecz pośród gwiazd nie dostrzegł niczego. Wcale się nie nudził. W duchu radował się raczej myślą, że podatnicy w jego ojczyźnie są na tyle durni, że dają mu trzydzieści tysięcy dolarów rocznie za coś, za co sam chętnie zapłaciłby z pocałowaniem ręki. No, pocieszał się, może jednak tej nocy czymś się im przysłuży.

- Dwa-Sześć Alfa, tu Osiem-Trzy Quebec, słyszysz mnie? Odbiór -zatrzeszczało radio.

Bronco przycisnął wyłącznik na drążku.

- Osiem-Trzy Quebec, tu Dwa-Sześć Alfa. Słyszę cię dobrze. Odbiór.

Kanał radiowy był zaszyfrowany. Tylko dwa samoloty stosowały jednorazowy algorytm szyfrowy na użytek tej nocy. Gdyby ktoś włączył się na kanał z podsłuchem, nie usłyszałby nic prócz szumów i zgrzytów zakłóceń atmosferycznych.

- Mamy zamiar na cel jeden-dziewięć-sześć, odległość dwa-jeden-zero z twojej pozycji. Miraż dwa. Kurs zero-jeden-osiem. Prędkość dwa-

-sześć-pięć. Odbiór. - Po informacjach tych nie padła żadna komenda. Mimo zaszyfrowanego kanału, korespondencję ograniczano do niezbędnego minimum.

- Potwierdzam. Wyłączam się.

Kapitan Winters pchnął drążek w lewo. Wyczuł właściwy kurs i prędkość na przechwycenie bez chwili namysłu. Eagle zrobił zwrot na południe. Winters ciut obniżył nos, obierając kurs sto osiemdziesiąt stopni i zwiększając nieco moc, aby przyspieszyć lot. Zdawało się, że nękał maszynę, lecąc tak wolno, ale wiedział, co robi.

Kapitan zobaczył wnet przed sobą dwusilnikowego beechcrafta, samolot najczęściej używany przez przemytników. To wskazywało raczej na transport kokainy, a nie zajmującej dużo miejsca marihuany.

Tym lepiej, gdyż najprawdopodobniej to kokainiarz pobił jego matkę. Ustawił się swoim F-15 równiutko za przemytnikiem, trzymając się około kilometra za nim.

Ósmy już raz gonił przemytnika, ale po raz pierwszy wolno mu będzie coś z nim naprawdę zrobić. Do tej pory nie pozwalano mu nawet przekazywać informacji celnikom. Bronco odczytał kurs celu - dla pilota myśliwców wszystko poza przyjaciółmi było celem - i sprawdził systemy. Wiszący w opływowym pojemniku pod kadłubem nadajnik kierunkowy sprzężony był z radarem śledzącym beecha. Nadał

pierwszy sygnał przez radio i włączył reflektory lądowania, przyszpilając mały prywatny samolot snopem światła. Beech natychmiast zanurkował tuż nad fale morskie, a Eagle podążył w ślad za nim. Bronco znów wezwał tamtego przez radio, dał rozkaz, ale bez odpowiedzi. Przesunął guzik drążka na pozycję „ogień”.

Następnemu wezwaniu zawtórowała seria z działka, na co beech przeszedł do lotu unikowego z ostrymi skrętami. Winters zdał sobie sprawę, że cel nie ma zamiaru podporządkować się jego rozkazom.

Dobra.

Zwyczajny pilot przestraszyłby się świateł i skręciłby, aby uniknąć kolizji, lecz zwyczajny pilot nie robiłby po pierwsze tego, co przemytnicy, beech zanurkował tuż nad wodę, zredukował moc i wychylił klapy, zwalniając do prędkości o wiele za małej dla F-15 i grożącej przeciągnięciem. Tym manewrem handlarze wymuszali na samolotach DEA i Straży Przybrzeżnej zerwanie kontaktu. Ale Bronco miał za zadanie trzymać się celu. Gdy beech skręcił na zachód i skierował się ku wybrzeżu Meksyku, kapitan Winters zgasił reflektory, dodał gazu i wzbił się świecą na tysiąc pięćset metrów. Tam zrobił karkołomny przewrót i ustawił się nosem w dół, czesząc radarem powierzchnię morza. Już go miał:

leciał dalej na zachód, z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, ledwie metr nad wodą. Pilot z jajami, pomyślał Bronco, żeby trzymać się tak nisko i o włos od przeciągnięcia. Ale to i tak nie miało znaczenia.

Winters wysunął aerodynamiczne hamulce i klapy, obniżając lot. Sprawdził palcem, czy przełącznik nastawiony jest dalej na „ogień” i obserwował wskaźnik refleksyjny HUD na szybie kabiny, utrzymując beecha dokładnie pośrodku celownika. Miałby trudniejsze zadanie, gdyby beech zwiększał prędkość i manewrował, ale i tak by mu to nic nie dało. Bronco był po prostu za dobry, a w swoim F-15 wręcz niezwyciężony.

Zbliżywszy się na odległość czterystu metrów, przycisnął guzik na ułamek sekundy.

Linia zielonych smug przecięła niebo.

Kilka pocisków chyba wpadło do wody tuż przed beechem, ale reszta trafiła prosto wabinę. Nie usłyszał żadnych odgłosów śmiertelnego ciosu. Dostrzegł tylko krótki błysk i zaraz rozbryzg fosforyzującej piany, gdy samolot uderzył o wodę.

Winters uprzytomnił sobie po chwili, że oto zabił jednego człowieka, może dwóch. Nic złego się nie stało. Żałoby po nich nie będzie.

Rozdział 9

Z PLANEM

A więc? - Escobedo patrzył na Larsona tak chłodno jak profesor biologii na białego szczura w klatce. Nie miał szczególnych powodów, by podejrzewać Larsona o cokolwiek, ale był wściekły, a Larson stanowił najbliższy cel, na którym mógł

wylądować swój gniew. Ale Larson już się do tego przyzwyczyił.

- A więc nie wiem, jefe. Ernesto był dobrym pilotem, dobrym uczniem. Tak samo ten drugi, Cruz. Samolot miał praktycznie nowe silniki - po dwieście godzin przebiegu.

Kadłub sześćoletni, ale to nic nadzwyczajnego; maszyna była dobrze konserwowana.

Pogoda na trasie lotu przyzwoita, trochę rzadko rozrzuconych, wysokich chmur nad Cieśniną Jukatańską, nic groźnego. - Pilot wzruszył ramionami. - Samoloty znikają.

Nie zawsze wiadomo, dlaczego.

- To mój kuzyn! Co teraz powiem jego matce?

- Sprawdził pan lądowiska w Meksyku?

- Tak! I na Kubie, i w Hondurasie, i w Nikaragui!

- Nikt nie odebrał wezwania o ratunek? Żadnych meldunków ze statków i samolotów w okolicy?

- Nic a nic. — Escobedo zmitygował się trochę, w miarę jak Larson wyliczał wszelkie możliwości ze zwykłym dla niego profesjonalizmem.

- Jeżeli miał awarię, może gdzieś wylądował, ale... nie łudziłbym się zbyt, jefe.

Gdyby wylądowali bezpiecznie, zawiadomiliby nas do tej pory. Przykro mi, jefe. Chyba jednak zaginął. Takie rzeczy się już zdarzały. I będą się zdarzać.

Istniała jeszcze taka możliwość, że Ernesto i Cruz dogadali się między sobą, wylądowali gdzieś poza umówionym miejscem, sprzedali czterdziestokilogramowy ładunek towaru i postanowili się ulotnić, jednakże tej wersji zdarzeń nie brano poważnie pod uwagę. Kwestię narkotyków skrzętnie przemilczano, albowiem Larson nie miał nic do czynienia z tą częścią operacji jako konsultant techniczny, na własne życzenie wyłączony z tej gałęzi całego interesu. Escobedo wierzył w uczciwość i obiektywizm Larsona, dotychczas bowiem nie zawiódł się na nim - pilot brał pieniądze i rzetelnie wywiązywał się ze swoich obowiązków - lecz także dlatego że Larson nie był głupcem i dobrze wiedział, czym grozi kłamstwo i pokątne interesy. Rozmawiali w luksusowym apartamencie Escobedo w Medellin, zajmującym całe najwyższe piętro kamienicy. Piętro poniżej należało do wasali i zauszników Escobedo. Windę kontrolowali ludzie, którzy wiedzieli, kogo wpuszczać, a kogo

nie. Ulica przed budynkiem była pod obserwacją. Larson pomyślał, że przynajmniej nie musi się obawiać, że ktoś podwędzi mu dekle z kół auta. Zachodził też w głowę, co mogło przytrafić się Ernesto. Po prostu zwykły wypadek? Takie rzeczy, owszem, zdarzały się często w przeszłości. Został zatrudniony na stanowisku instruktora pilotażu między innymi dlatego, że podczas przelotów towaru ginęło dawniej sporo samolotów, częstokroć z najbardziej prozaicznych przyczyn. Ale Larson nie był w ciemny bity.

Przypomniawszy sobie niedawnych gości i polecenia z Langley, trening na „Farmie” nie zachęcał adeptów do wiary w przypadki. Ani chybi szykowała się jakaś operacja.

Czyżby samolot Ernesta był pierwszym posunięciem?

Larson wątpił. CIA miała już za sobą takie hece - co nikomu nie wychodziło na dobre -

ale fakt pozostawał faktem.

- Był dobrym pilotem? - spytał znów Escobedo.

- Sam go uczyłem latać, jefe. Wylatał czterysta godzin, miał smykałkę do mechaniki i jak na młodego pilota, świetnie radził sobie z nawigacją. Gnębiło mnie tylko to, że uwielbiał latać nisko.

- Tak?

- Niskie latanie nad wodą jest niebezpieczne, zwłaszcza w nocy. Łatwo stracić orientację. Człowiek zapomina, gdzie jest horyzont i jeśli patrzy cały czas przed siebie, zamiast sprawdzać przyrządy... Nawet doświadczeni piloci zwałali się do wody w ten sposób. Niestety, niskie latanie to frajda i wielu pilotów, szczególnie młodych, uważa to za dowód męskości - głupota, z której leczą się z czasem.

- Dobry pilot to ostrożny pilot? - spytał Escobedo.

- Powtarzam to wszystkim uczniom - odparł z powagą Larson. - Nie wszyscy biorą to sobie do serca. Tak jest wszędzie. Niech pan zapyta instruktorów w służbach powietrznych gdziekolwiek na świecie. Młodzi piloci popełniają głupie błędy, bo są zuchwali i niedoświadczeni. Rozwaga przychodzi z doświadczeniem - najczęściej z bolesnym doświadczeniem. Ci, którzy przeżywają, mądrzeją, lecz niektórzy nie przeżywają.

Escobedo zastanowił się nad tym przez moment.

- Był z siebie dumny, ten Ernesto. - Zdanie to zabrzmiało jak epitafium.

- Przejrzę jeszcze raz książkę konserwacji i obsługi samolotu - zaproponował pilot. -

Sprawdzą też dokładnie dane o pogodzie.

- Dziękuję, że przybył pan tak szybko, senior Larson.

- Zawsze do pańskich usług, jefę. Jeśli tylko się czegoś dowiem, natychmiast dam panu znać.

Escobedo odprowadził go do drzwi, po czym zasiadł z powrotem przy biurku. Cortez wszedł do pokoju bocznymi drzwiami.

- No i?

- Larson mi się podoba - rzekł Cortez. - Mówi prawdę. Ma honor, ale bez przesady.

Escobedo potwierdził skinieniem.

- Najemnik, ale za to dobry... jak ty. Cortez nie zareagował na cieżką aluzję.

- Ile lotów nie dotarło do celu przez cały okres działalności?

- Nawet nie rejestrowaliśmy wcześniejszych strat, zaczęliśmy dopiero osiemnaście miesięcy temu. Od tego czasu dziewięć. Dlatego między innymi wynajęliśmy Larsona.

Sądziłem, że powodem wypadków były błędy pilotów i zła obsługa naziemna. Larson okazał się dobrym instruktorem.

- Ale sam nie chciał wchodzić do interesu?

- Nie. Poczciwy chłopak. Żyje sobie wygodnie, robiąc to, co lubi. I ma świętą rację -

dodał swobodnie Escobedo. - Sprawdzał pan jego przeszłość?

- Si. Wszystko się zgadza, ale...

- Ale?

- Ale gdyby w istocie nie był tym, za kogo go bierzemy, też wszystko by się zgadzało.

Tę uwagę zwykły śmiertelnik skwitowałby zapewne czymś w rodzaju: Ależ nie można przecież podejrzewać wszystkich! Escobedo jednak zachował spokój i to było miarą jego inteligencji, pomyślał Cortez. Jego pryncypał miał dostateczny staż konspiracyjny, by wiedzieć, że nikomu nie należy ufać. Nie był skończonym profesjonalistą, ale i nie był skończonym idiotą.

- Sądzi pan...

- Nie. Nie było go w pobliżu miejsca startu ani nie mógł się dowiedzieć, że przerzut odbywał się właśnie tamtej nocy. Sprawdziłem: bawił w Bogocie u swej przyjaciółki.

Zjedli kolację we dwoje i wcześniej udali się na spoczynek. Nie można wykluczyć wypadku, ale nie sądzę też, byśmy mieli zadowolić się tym wyjaśnieniem, zwłaszcza że stało się to tak szybko po naszej informacji, że Norteamericanos coś szykują.

Powiniennem chyba wrócić do Waszyngtonu.

- Czego się pan dowie?

- Spróbuję wyniuchać, w czym rzecz.

- Spróbuj pan?

- Senior, zdobywanie poufnych informacji jest sztuką...

- Może pan kupić, co się panu żywnie podoba!

- Tu jest pan w błędzie - rzekł Cortez z hardym spojrzeniem. - Dla najlepszych źródeł

informacji pieniądze nigdy nie mają pierwszorzędного znaczenia. Nieroztropne - ba, głupie - Jest założenie, że lojalność można kupić od ręki.

- A pański przykład?

- Owszem, to kwestia, którą pan musi rozważyć, lecz sądzę, że już pan to zrobił.

Aby skutecznie pozyskać zaufanie tego człowieka, należało powtarzać mu przy każdej sposobności, że zaufanie nie istnieje. Escobedo mniemał, iż wszędzie tam, gdzie lojalności nie da się kupić, można ją wymusić przez zastraszenie. Pod tym względem jego chlebodawca był głupcem. Żywił przekonanie, że swą reputacją okrutnego władcy rzuci wszystkich na kolana, rzadko dopuszczając do głosu myśl, że są również tacy, co mogą udzielić mu lekcji z przemocy stosowanej. Miał wiele podziwu godnych zalet, lecz tyle samo wad zasługujących na pogardę. Zasadniczo był amatorem, acz zdolnym, który skwapliwie uczył się na własnych błędach, ale brakowało mu profesjonalnego szkolenia, gdzie mógłby uczyć się na błędach innych - a czym był trening wywiadowczy, jak nie instytucjonalną pamięcią lekcji z błędów popełnionych przez innych?

Nie tyle potrzebował doradcy w sprawach wywiadu i bezpieczeństwa, ile w dziedzinie tajnych operacji jako takich, jednakże w tej właśnie dziedzinie żaden z tych ludzi ani myślał szukać czy służyć porad. Wywodzili się w prostej linii z wielopokoleniowych dynastii przemysłowców, stąd też korupcję i przekupstwo opanowali do perfekcji. Tylko że nigdy nie nauczyli się grać z wszechstronnie zorganizowanym i nader groźnym przeciwnikiem - Kolumbijczycy się tu nie liczyli. To, że Yanquis nie zdobyli się dotąd na odwagę, by wykorzystać w tej grze całą swą rzeczywistą siłę, to tylko i wyłącznie uśmiech losu. Jedną lekcję KGB wbiło Cortezowi do głowy raz na zawsze: nie ma nic takiego jak uśmiech losu.

Kapitan Winters w towarzystwie gości z Waszyngtonu oglądał taśmę wideo z fotokarabinu sprzężonego z działkiem pokładowym. Siedzieli w narożnym gabinecie jednego z budynków operacji specjalnych - na terenie bazy Eglin było ich kilka. Goście mieli na sobie mundury Sił Powietrznych z dystynkcjami podpułkownika, wygodnej średniej rangi oficerskiej, pod pokrywką której wielu z nich pojawiała się i zniknęła, zachowując całkowitą anonimowość.

- Dobra robota, synu - rzucił jeden z nich.

- Facet mógł się bardziej wysilić - odparł beznamiętnym tonem Bronco. - Ale się nie postarał.

- Czy w pobliżu znajdowały się jakieś jednostki pływające?

- Niczego w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

- Obejrzyjmy zapis danych z Hawkeye'a - poleciał starszy z gości. Używali dwudziestomilimetrowej taśmy, powszechnie stosowanej w wojsku ze względu na większą pojemność danych. Taśma była już po obróbce. Ukazywała powracającego beechcrafta, oznaczonego na radarze symbolem XX1 jako jeden z licznych kontaktów, z których większość nosiła wyraźne znamiona samolotów kursowych i znajdowała się grubo powyżej celu. Widać było również szereg kontaktów powierzchniowych, ale wszystkie znajdowały się w dużej odległości od terenu ataku, a zapis urywał się przed zestrzeleniem. Załoga Hawkeye'a, jak planowano, nie została poinformowana o tym, co zaszło po przekazaniu celu myśliwcowi. Instrukcje były pod tym względem przejrzyste, zaś teren przechwycenia wybrano tak, by nie znajdował się w pobliżu uczęszczanych szlaków morskich. Pomogło im również to, że przemytnik leciał na bardzo niskim pułapie, zmniejszając tym samym odległość, z jakiej postronny obserwator mógłby dostrzec błysk lub eksplozję, co w tym przypadku nie wchodziło w rachubę.

- Dobrze - skostatował ten starszy. - Zmieściliśmy się bezpiecznie w założonych parametrach misji.

Wrócili do pierwszej taśmy.

- Ile poszło naboji? - spytał młodszy Wintersa.

- Sto osiem - odrzekł kapitan. - Cholernie trudno walić mniej z vulcana. Diabeł pluje aż miło.

- Załatwił maszynę jak piła tarczowa.

- Właśnie* Mogłem pociągnąć dłuższą serię, ale mówili mi panowie, żebym raczej nie rąbnął w zbiorniki paliwa, nie?

- Zgadza się.

Gdyby przypadkowo ktoś zobaczył błysk, zasłoniliby się zawczasu przygotowanym wyjaśnieniem, że baza Eglin przeprowadzała manewry -zestrzeliwanie maszyn bezzałogowych nie należało do rzadkości w tej okolicy - ale tym lepiej, że nikt nic nie zauważył.

Wintersowi nie podobała się ta cała konspiracyjna otoczka. Na jego rozum, zestrzeliwanie tych łotrów było ze wszech miar słuszne. Misja opierała się na tym, jak tłumaczono mu podczas werbunku, że przerzut narkotyków stanowi zagrożenie bezpieczeństwa narodowego USA. Te słowa usprawiedliwiały każdą akcję. Jako pilot wojskowy miał obowiązek dawać odpór zagrożeniom bezpieczeństwa narodowego w ten szczególny sposób: strącać je z nieba, okazując im tyle współczucia, ile strzelec sportowy glinianym rzutkom. A na dodatek, myślał Bronco, jeżeli to naprawdę zagrożenie bezpieczeństwa narodowego, dlaczego ludzie nie mają się o tym dowiedzieć? Ale to już nie jego sprawa. Był tylko kapitanem, a kapitanowie są od działania, a nie od myślenia. Ktoś na górze postanowił, że tak ma być i nie jego w tym głowa. Likwidacja beecha ocierała się o morderstwo, ale to tak samo dokładne określenie operacji bojowej, jak każde inne. Dawanie

przeciwnikowi równych szans to bardzo szlachetny pomysł, ale na olimpiadzie, a nie tam, gdzie stawką jest życie. Jeżeli ktoś sam nadstawiał dupę pod lufę, jego sprawa, i Bronco nie miał wyrzutów, zwłaszcza jeśli facet dopuszczał się czynnej napaści na jego kraj. Czyż nie tak właśnie należało rozumieć „zagrożenie bezpieczeństwa narodowego”?

Poza tym dał temu Juanowi - wszystko jedno zresztą jak się zasraniec nazywał - kilka uczciwych ostrzeżeń. Jeśli się dupkowi zdawało, że zwieje najlepszemu myśliwcowi na całym świecie, to się przekonał. Nie ma lekko.

- Macie jakieś problemy, kapitanie? - spytał starszy gość z Waszyngtonu.

- Problemy, z czym, panie pułkowniku? - Co za kretyńskie pytanie!

Pas startowy, na który ich właśnie dowieźli, był za krótki jak na potrzeby transportowców wojskowych. Czterdziestu czterech uczestników operacji „Rewia na Wodzie” przybyło autobusem do bazy Sił Powietrznych Peterson, kilka kilometrów na wschód od Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs. Jechali o zmroku.

Autobus prowadził jeden z „doradców polowych”, jak ochrzcili ich żołnierze. Jazdę mieli spokojną i wielu uczestników przespało całą podróż po wczorajszym treningu kondycyjnym. Inni czuwali sam na sam ze swymi myślami. Chavez patrzył na góry przesuwane się za oknem autobusu, który krętą szosą przebijał się przez ostatnie pasmo. Żołnierze byli gotowi.

- Ładne górki, nie? - zauważył rozespany Julio Vega.

- Szczególnie jak autobus zjeżdża w dół.

- A jak! - zachichotał Vega. - Wiesz, stary, kiedyś tu wrócę pojeździć na deskach. -

Snajper wtulił się w fotel i zasnął.

Obudzono ich trzydzieści pięć minut później, już za bramą bazy Peterson. Autobus podjechał pod tylną rampę transportowca Sił Powietrznych C-141 Starlifter. Żołnierze wstali i poskładali skrupulatnie swój ekwipunek, zaś kapitanowie drużyn dodatkowo sprawdzali przy wyjściu, czy każdy ma wszystko, co mu wydano. Kilku chłopców rozejrzało się dokoła przed wejściem do samolotu. Nie zauważyli nic szczególnego, żadnej obstawy, tylko załogę naziemną tankującą paliwo i szykującą maszynę do natychmiastowego odlotu. W oddali startował samolot-cysterna KC-135 i choć nikt się nad tym teraz nie zastanawiał, już niebawem mieli spotkać się z tym „ptaszkiem” w przestworzach. Odpowiedzialny za załadunek sierżant Sił Powietrznych wprowadził

ich na pokład i posadził na tyle wygodnie, na ile pozwalało spartańskie wyposażenie, składające się głównie ze słuchawek przeciwhałasowych.

Załoga wykonała wszelkie zwykłe czynności przed startem i wkrótce Starlifter zaczął

kołować. Hałas był niemiłosierny mimo słuchawek, ale za to załoga samolotu składała się z rezerwistów Sił Powietrznych, na co dzień personelu linii lotniczych, która zapewniła im całkiem przyzwoitą podróż. Z jednym wyjątkiem: tankowania podczas lotu. Wkrótce po wejściu na odpowiednią wysokość C-141 miał randkę z KC-135, by uzupełnić zużyte podczas startu paliwo. Dla pasażerów oznaczało to przejażdżkę diabelskim młynem, której efekt potęgował zupełny niemal brak okien, toteż kilku piechurom żołądek podszedł do gardła, choć dzielnie nie dawali tego po sobie poznać.

Pół godziny po starcie C-141 ustalił kurs na południe, a żołnierze ze zmęczenia i nudy przesпали resztę podróży.

Mniej więcej o tej samej porze z bazy Eglin wystartował MH-53-J PaveLow, zatankowawszy do pełna już po rozgrzaniu silników. Pułkownik Johns wzbił się na wysokość trzystu metrów i wziął kurs dwa-jeden-pięć na Cieśninę Jukatańską. Po dwóch godzinach lotu ze śmigłowcem zrównał się samolot-cysterna MC-130E Combat Talon i tym razem Johns postanowił zlecić kapitanowi operację tankowania w powietrzu. Będą musieli uzupełniać paliwo jeszcze trzy razy, cysterna miała zaś eskortować ich do samego celu, dowożąc również załogę rezerwową i obsługę techniczną oraz części zamienne.

- Gotowy do połączenia - zakomunikował PJ dowódcy cysterny.

- Dobra - padła natychmiastowa odpowiedź z ustawionego idealnie równo MC-130E.

Pod okiem Johnsa Willis wysunął sondę i wprowadził jej końcówkę w lejkowate zakończenie przewodu paliwowego zwisającego z samolotu-cysterny.

- Dobra. Wsadziłem.

W kabinie MC-130E kapitan Montaigne, spojrzawszy na światełko wskaźnika, włączyła mikrofon i powiedziała ze zmysłową chrypką:

- Och, cudownie! Nikt tego nie robi tak jak pan, pułkowniku!

Johns zaśmiał się gromko i dwa razy włączył przycisk, dwoma krótkimi dźwiękami sygnalizując potwierdzenie. Przełączył się na telefon pokładowy.

- Nie będziemy psuć jej zabawy - oznajmił Willisowi, który, niestety, nie znał się na żartach. Tankowanie trwało sześć minut.

- Na jak długo nas tam posyłają? - zastanowił się na głos kapitan Willis po udanej operacji tankowania.

- Nie powiedzieli mi tego, ale jeśli się przedłuży, obiecali nas zmienić.

- Miło - rzekł kapitan.

Przeskakiwał wzrokiem tam i z powrotem ze wskaźników na świat za oknem opancerzonej kabiny.

Smigłowiec miał na pokładzie pełny ekwipunek bojowy - Johns należał do zatwardziałych zwolenników jak największej siły ognia - natomiast zabrakło tym razem zasobników ze sprzętem antyradiolokacyjnym. Cokolwiek będą robić, nie należało się martwić radarową obserwacją nieprzyjaciela, a to oznaczało, że misja nie odbywała się na obszarze Nikaragui czy Kuby. Dzięki temu mieli też więcej miejsca dla pasażerów i zrezygnowali z drugiego mechanika pokładowego.

- Miał pan rację z tymi rękawicami. Żona zrobiła mi nowe i od razu czuć różnicę.

- Niektórzy wolą latać z gołymi rękami, ale ja nie lubię spoconymi łapami trzymać drążka.

- Będzie tam tak gorąco?

- Jest gorąco i gorąco - rzekł sentencjonalnie Johns. - Dłonie pocą ci się nie tylko z powodu upalnej pogody.

- Rozumiem, panie pułkowniku.

O rany! - pomyślał. On też ma cykora, tak jak my wszyscy?

- Powtarzam ludziom do znudzenia: im dłużej pomyślisz, zanim zrobi się naprawdę gorąco, tym mniej gorąco będzie naprawdę. A i tak emocji nie zabraknie.

Do interkomu włączył się inny głos:

- Jeszcze trochę takiej gadki, pułkowniku, a my tu też zaczniemy trząść portkami.

- Sierżancie Zimmer, co słysząc tam z tyłu? - spytał Johns. Zimmer miał swoje stanowisko w przedziale tuż za obydwojoma pilotami, gdzie miotał się nad imponującym zestawem przyrządów.

- Kawa, herbata, mleko dla pana pułkownika? Z gorących dań mamy do wyboru kurczaka po kijowsku z ryżem, rostbef au jus z pieczonymi ziemniakami, a dla tych spośród nas, którzy chcą zrzucić parę kilo, polecam przepiórki w pomarańczach z jarzynkami po chińsku - a jeśli pan w to wszystko wierzy, to za długo wpatrywał się pan w tablicę wskaźników. Dlaczego, do cholery, nie mamy na pokładzie stewardesy?

- Bo jesteśmy obaj za starzy na takie numery, Zimmer! - zarechotał PJ.

- Jak to? W helikopterze nie jest źle. Takie drgania i...

- Usiłuję nawrócić go ze złej drogi od czasów Wietnamu - wyjaśnił Johns kapitanowi Willisowi. - W jakim wieku są teraz twoje dzieci, Buck?

- Siedemnaście, piętnaście, dwanaście, dziewięć, sześć, pięć i trzy lata, panie pułkowniku.

- Chryste Panie - skomentował Willis. - Masz zdrową dziewczuchę za żonę, sierżancie.

- Boi się, że będę się łajdaczył i wysysa ze mnie całą energię - tłumaczył się Zimmer. -

Latam, żeby się od niej wyrwać. Tylko to trzyma mnie przy życiu.

- Gotuje chyba nieźle, sądząc po twoim mundurze.

- Czyżby pułkownik znów chciał się ze mnie ponabijać? - spytał Zimmer.

- Niezupełnie. Chciałbym tylko, żebyś wyglądał tak dobrze jak twoja Carol.

- Nie ma siły.

- W porządku. Chętnie napiłbym się kawy.

- Już się robi, panie pułkowniku. - Zimmer pojawił się w kabinie pilotów za niespełna minutę. Pave Low miał dużą i skomplikowaną tablicę przyrządów, lecz Zimmer już dawno zamontował na kardanowym zawieszaniu uchwyty na używane przez pułkownika marynarskie kubki. PJ natychmiast wypił łyk.

- Robi ci też świetną kawę, Buck.

- Dziwnie się życie układa, co?

Carol Zimmer wiedziała, że mąż podzieli się kawą z pułkownikiem. Naprawdę nie miała na imię Carol. Urodziła się przed trzydziestoma sześcioma laty w Laosie jako córka generała Monów, walczącego długo i zawzięcie za kraj, który już przestał być jego krajem. Tylko ona przeżyła z dziesięcioosobowej rodziny. PJ i Buck wciągnęli ją do śmigłowca wraz z garstką innych osób ze szczytu góry w końcowej fazie północnowietnamskiej inwazji w 1972 roku. Ameryka nie ocaliła rodu generała, lecz przynajmniej uratowała jego córkę. Zimmer zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i panowała powszechna zgoda, że mają siedmioro najśladziejch dzieci na Florydzie.

- Uhm.

Jak na odwiedziny, w Mobile było już późno, a w więzieniach -zwłaszcza tych na Południu - ściśle przestrzega się regulaminu. Wobec prawników jednak regulamin mięknie, a w przypadku tych dwóch więźniów był paradoksalnie bardzo miękki. Nie wyznaczono im jeszcze randki z „małym elektrykiem”, jak nazywano krzesło elektryczne w więzieniu Admore. Klawisze w Mobile nie chcieli więc ingerować w konstytucyjne prawa więźniów, dostęp do adwokatów czy ogólną wygodę. Obrońca nazwiskiem Edward Stuart został dokładnie poinformowany o sprawie i w dodatku mówił płynnie po hiszpańsku.

- Jak to zrobili?

- Nie wiem.

- Wrzeszczałeś i wierzgałeś nogami, Ramón - powiedział Jesus.

- Wiem. A ty śpiewałeś jak kanarek.
- To nie ma znaczenia - rzekł adwokat. - Jesteście oskarżeni wyłącznie o morderstwo powiązane z narkotykami i piractwo. Informacje Jesusa w ogóle nie będą brane pod uwagę w sprawie.
- To rób pan swoje i wyciągaj nas z pierdła! Mina Stuarta wystarczyła obu za odpowiedź.
- Powiedz pan naszym przyjaciółom, że jak nas nie wyciągną z tego, zaczniemy sypać.

Strażnicy zdążyli już im obu opisać w barwnych szczegółach, jaki ich czeka los. Jeden pokazał nawet Ramónowi plakat przedstawiający

krzesło, z podpisem zwyczajnie lub z chrupiącą skórką. Mimo całej zuchwałości, na samą myśl, że przypną go do drewnianego krzesła z twardym oparciem, założą miedzianą bransoletę na lewą nogę i metalową mykę na wygolony dzień wcześniej przez więziennego fryzjera kawałek łysiny, małą gąbkę umoczoną w roztworze soli, by polepszyć przewodzenie prądu, skórzaną maskę, żeby oczy nie wyleciały mu z głowy...

Ramón był odważnym mężczyzną, gdy miał przewagę, a w ręce pistolet albo nóż skierowany na nieuzbrojonego lub skrupowanego przeciwnika. Wtedy był dzielny. Nie przyszło mu dotąd do głowy, że sam może znaleźć się w beznadziejnej sytuacji. Stracił

trzy kilogramy na wadze w ciągu tygodnia. Praktycznie nic nie jadł i przejawiał

niecodzienne zainteresowanie żarówkami i kontaktami. Bał się, ale jeszcze bardziej był

zły na siebie za własny strach, na strażników i policję za powód do strachu i wreszcie na swych byłych współników za to, że nie wyciągali go z tego gówna.

- Wiem dużo, dużo pożytecznych rzeczy.
- To nie ma znaczenia. Rozmawiałem z federales i nie obchodzi ich, co wiecie.

Prokurator nie wyraził zainteresowania tym, co możecie ujawnić.

- Bzdura. Zawsze kupują informacje, zawsze...
- Nie tutaj. Prawo się zmieniło.
- Co masz pan dla nas?

- Zrobię, co mogę. - Najchętniej powiedziałbym wam, żebyście umarli jak mężczyźni, pomyślał Stuart. - Wiele rzeczy może się zdarzyć w ciągu najbliższych tygodni.

Odpowiedziały mu sceptyczne spojrzenia, w których odbijał się wszakże cień nadziei.

Osobiście nie miał żadnej nadziei. Prokurator okręgowy sam poprowadzi sprawę, nie przepuszczając świetnej okazji do pokazania się w dziennikach telewizyjnych o siedemnastej trzydziści i dwudziestej trzeciej. Będzie to błyskawiczny proces, a za dwa lata z kawałkiem czekał na niego fotel senatora. Z pewnością prokuratorowi pomoże spektakularne osiągnięcie w batalii o ład i porządek. Stuart wiedział, że posadzeniem na krzesło paru przemytników-piratów-gwałcicieli-morderców oskarżyciel zjedna sobie obywatele suwerennego stanu Alabama. Obrońca z zasady sprzeciwiał się karze śmierci i poświęcił wiele czasu i pieniędzy na jej zwalczanie. Z

powodzeniem odwołał się w jednym przypadku do Sądu Najwyższego i stosunkiem głosów pięć do czterech zdołał doprowadzić do powtórnego procesu swego klienta, w wyniku którego najwyższy wymiar kary zamieniono w końcu na dożywocie plus dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia. Stuart uważał to za swój życiowy triumf, chociaż jego klient przetrwał jedynie cztery miesiące w społeczności więziennej, dopóki jakiś zdeklarowany przeciwnik dzieciobójstwa nie przetrącił mu kręgosłupa.

Nie musiał wcale lubić swoich klientów - i najczęściej też nie czuł do nich sympatii.

Bywało, że się ich bał, zwłaszcza handlarzy narkotyków. Najzwyczajniej oczekiwali oni, iż w zamian za odpowiednio podwyższone honorarium w gotówce -bo na ogół

oferowali gotówkę - zagwarantuje im się wolność. Nie rozumieli, że prawo nie daje takich gwarancji, szczególnie w przypadkach udowodnionej winy. A ci dwaj byli winni jak mało kto. Ale nie zasłużyli na śmierć. Stuart żywił przekonanie, że społeczeństwu nie wolno zniżać się do poziomu... jego klientów. Pogląd ten nie miał zbyt wielu zwolenników na Południu, lecz Stuart nie zamierzał ubiegać się o urząd publiczny.

Tak czy owak był ich adwokatem i miał obowiązek zapewnić im najlepszą możliwą obronę. Zbadał już szansę złagodzenia kary w zamian za informacje. Rozpatrzył też akt oskarżenia. Sprawa miała charakter całkowicie poszlakowy - nie było żadnych świadków, oprócz jego klientów, rzecz jasna — wszelako dowody rzeczowe były przygniatające, a załoga Straży Przybrzeżnej pozostawiła miejsce zbrodni nietknięte, zebrawszy tylko dowody rzeczowe, skrupulatnie zabezpieczone i posegregowane dla dobra śledztwa. Ktokolwiek szkolił i egzaminował tych ludzi, miał się czym pochwalić.

Tego nie przeskoczy. Pozostała mu jedynie nadzieja, że uda się podważyć ich wiarygodność. Wątpiła to nadzieja, ale nic innego nie da się zrobić.

Szef agentów specjalnych Mark Bright też pracował do późna. Jego ludzie mieli pełne ręce roboty. Na początek trzeba było przeszukać biuro i dom - mozolna procedura, która ledwie rozpoczynała zapowiadający się prawdopodobnie na całe miesiące proces, gdyż wszystkie znalezione dokumenty, wszystkie numery telefonów zanotowane w jedenastu różnych miejscach, wszystkie fotografie na biurkach i ścianach oraz wszelkie inne odnalezione rzeczy trzeba będzie zbadać. Należało także przesłuchać każdego ze współników denata, jak również sąsiadów, ludzi, którzy pracowali w sąsiednich biurach, członków klubu, a nawet parafian jego kościoła. Mimo ogromu pracy, istotny przełom nastąpił już w drugiej godzinie czwartej rewizji w mieszkaniu denata, dokładnie miesiąc od wszczęcia sprawy. Wszyscy mieli niejasne przecucie, że coś jeszcze musi się znaleźć. U siebie w domu zmarły posiadał sejf ukryty w podłodze - nie natrafiono na dokumenty kupna ani instalacji -

sprytnie schowany pod nieprzybitym kawałkiem pokrywającej całą podłogę wykładziny dywanowej. Na ślad skrytki wpadli po trzydziestu dwóch dniach. Rozpracowanie zamka trwało dziewięćdziesiąt minut; sztuki tej dokonał

doświadczony agent, który najpierw eksperymentował z datami urodzin wszystkich członków rodziny denata, po czym przeszedł do wariacji na ich temat. Wreszcie okazało się, że trzyliczbowa kombinacja składała się z miesiąca urodzin denata plus jeden, następnie dnia urodzin plus dwa i roku urodzin plus trzy. Drzwiczki drogiego sejfu firmy Mosler otworzyły się ze szmerem, ocierając się o dywan.

Żadnych pieniędzy, biżuterii ani testamentu. W sejfie spoczywało pięć dyskietek komputerowych, jakich używa się do osobistych komputerów typu IBM. Agentom to wystarczyło. Bright natychmiast zaniósł dyskietki wraz z komputerem denata do swojego biura, w którym również miał kompatybilny z IBM. Mark Bright był dobrym agentem śledczym, co oznaczało, że był cierpliwym agentem. Na początek wezwał

miejscowego eksperta komputerowego, który od czasu do czasu współpracował z FBI. Ten pracujący na zlecenia konsultant do spraw oprogramowania najpierw wymawiał się, że jest zajęty, ale szybko zmiękł, usłyszawszy, że chodzi o sprawę kryminalną wielkiego kalibru. Podobnie jak wielu innych dorywczych współpracowników FBI, ekscytowała go praca policji, choć nie do tego stopnia, by zgodził się na stałą posadę w laboratorium FBI. Na państwowym garnuszku nie zarobiłby tyle, ile pracując na indywidualne zlecenia. Bright przewidział pierwszą instrukcję eksperta: przynieść komputer właściciela.

Po dokładnym skopiowaniu pięciu znalezionych dyskietek za pomocą programu o nazwie Pas Cnoty kazał Brightowi zabezpieczyć oryginały, a sam zabrał się do rozpracowania kopii. Dyskietki były, oczywiście, zaszyfrowane. Istniało wiele sposobów utajnienia danych, lecz konsultant znał je wszystkie. Zgodnie z jego i Brighta przewidywaniami, algorytm szyfrowy zapisany był na stałe na twardym dysku.

Pozostawała teraz tylko kwestia, której opcji i jakiego osobistego klucza użył

właściciel do zabezpieczenia danych na dyskietkach. Zajęło im to dziewięć godzin, podczas których Bright tylko donosił kawę swemu przyjacielowi i zastanawiał się, dlaczego chce mu się tak męczyć za darmo.

- Mam cię! - Koścista ręka wystukała komendę „drukuj”, i biurowa drukarka laserowa zaczęła z cichym szmerem wypluwać kartki. Wszystkie pięć dyskietek upakowanych było danymi, w sumie bitych siedemset stron tekstu z pojedynczą spacją. W trakcie drukowania trzeciej dyskietki konsultant poszedł sobie. Bright prześlęczał nad całym tekstem trzy dni. Następnie zrobił sześć odbitek kserograficznych dla pozostałych odpowiedzialnych za sprawę agentów. Przerzucali teraz kartki przy stole konferencyjnym.

- Mark, przecież to rewelacja!

- Mówiłem.

- Trzysta milionów dolarów! - wykrzyknął inny. - Cholera, sam robię tam zakupy...

- Ile tego jest w sumie? - spytał przytomnie trzeci.

- Ledwie przejrzałem całość - odrzekł Bright - i wychodzi mi na oko blisko siedemset milionów. Osiem kompleksów handlowych od Forth Worth po Atlantę. Inwestycje przechodzą przez jedenaście różnych korporacji, dwadzieścia trzy banki i...

- Ubezpieczyłem się na życie w tym towarzystwie! Płacę im też składki emerytalne i...

- Zorganizował to tak zmyślnie, że on jeden o wszystkim wiedział. Ze świecą szukać takich artystów, ten facet to istny Leonardo...

- Skubaniec jednak zrobił się łakomy. Jeśli dobrze rozumiem, zwinął dla siebie około trzydziestu milionów... Chryste Panie...

Cały plan, jak większość doskonałych planów, był genialnie prosty. W grę wchodziło osiem firm handlu nieruchomościami. W każdym przypadku denat wchodził do spółki jako partner cywilny reprezentujący kapitał zagraniczny - niezmiennie określany jako kapitał naftowy z Zatoki Perskiej lub japoński kapitał przemysłowy - wyprany przez niewiarygodnie skomplikowany labirynt obcych banków. Wspólnik cywilny za

„naftowe pieniądze”-termin niemal powszechnie używany w ryzykownych transakcjach kapitałowych - kupował ziemię i rozkręcał przedsięwzięcie, następnie pozyskiwał

dalszy kapitał inwestycyjny od spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, które wprawdzie nie miały nic do powiedzenia w zarządach poszczególnych przedsięwzięć, lecz których zysk niemal gwarantował poprzednie wyniki finansowe syndykatu. Nawet przedsiębiorstwo w Forth Worth świetnie prosperowało mimo niedawnej bessy lokalnego przemysłu naftowego. Gdy poszczególne przedsięwzięcia na dobre się rozwijały, kwestia faktycznej ich własności coraz bardziej się zaciemniała w miarę przejmowania kontrolnych pakietów akcji przez banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i bogatych inwestorów prywatnych, gdy tymczasem większość zainwestowanego kapitału zagranicznego powróciła do Bank of Dubai i wielu innych, aczkolwiek pakiet kontrolny pozostawał w samym przedsiębiorstwie. W ten sposób zagranicznym inwestorom błyskawicznie zwracał się ulokowany kapitał z przyzwoitym zyskiem, rosnącym w miarę bieżącej działalności przedsiębiorstwa, toteż zależało im jak najbardziej na sprzedaży całego interesu lokalnym inwestorom z jeszcze większym zyskiem. Na każde zainwestowane sto milionów dolarów, według szacunków Brighta, uzyskiwano sto pięćdziesiąt milionów wypranych dolarów. I o to właśnie chodziło. Zarówno zainwestowana setka, jak i pięćdziesiąt milionów zysku były tak nieskazitelnie czyste jak marmur Iglicy Waszyngtona.

Gdyby nie te dyskietki.

Każde z przedsięwzięć i każdy zainwestowany cent przeszły przez urząd skarbowy, Komisję Papierów Wartościowych i tyłu prawników, że zapelniliby Pentagon, a nikt nie zwęszył, w czym rzecz. Facet prowadził dokumentację na wypadek, gdyby go ktoś przechytrzył - ale też liczył zapewne

na sprzedanie tych informacji za przywileje gwarantowane w Programie Ochrony Świadców...

- I byłby najbogatszym facetem w Cody w stanie Wyoming - dodał Mikę Schratz. - Ale wyczuli sprawę nie ci, co trzeba. Ciekawe, jak do tego doszli. Co powiedzieli nasi przyjaciele?

- Nic nie wiedzą. Zgodzili się sprzątnąć całą rodzinę i upozorować jej zniknięcie.

Szefowie przeznaczyci ich i tak na straty, a tacy nie mają dostępu do informacji wyższego ogniwa. Cóż za problem wynająć takich bandziorów? To tak jak zapisać się na taniec z dziewczyną na balu kotyliowym.

- Zgoda. Centrala już wie o sprawie?

- Nie, Mikę. Chciałem, żebyście najpierw sami zobaczyli - powiedział Bright. - Co sądzicie, panowie?

- Jeśli będziemy działać szybko... mamy szansę złapać kupę szmalu... chyba że chłopcy nas już uprzedzili - myślał na głos Schratz. - Ciekawe, czy zdążyli. Szwindel jest tak sprytnie pomyślany... Stawiam dolara, że nic nie ruszyli. Kto się zakłada?

- Na mnie nie licz - oświadczył inny agent, biegły księgowy. - Po diabła mieliby zawracać sobie głowę? To najbardziej misterna... Niech skonam, to absolutnie doskonały plan. Należy im się nieco szacunku. Z pewnością nasz kulejący budżet tylko na tym zyskał. Tak czy inaczej, panowie, forsa jest trefna i możemy położyć łapę na wszystkim, co do centa.

- I problem budżetu Biura mamy z głowy na dwa lata...

- Dorzuć dywizjon myśliwców dla Sił Powietrznych. Tą sumką można już naprawdę uszczypnąć facetów z kartelu. Mark, sądzę, że trzeba zawiadomić dyrektora -

podsumował Schratz. Wszyscy się zgodzili. -Gdzie jest dzisiaj Pete? - Pete Mariano był szefem operacji specjalnych terenowego oddziału Biura w Mobile.

- Chyba w Wenecji - odparł agent. - Będzie wściekły, jak się dowie, co stracił.

Bright zamknął teczkę z wydrukami. Miał już zarezerwowany lot do Waszyngtonu.

C-141 wylądował dziesięć minut przed czasem w bazie Howard Field. Po czystym, suchym powietrzu Gór Skalistych w Kolorado i jeszcze czystszy, bardziej rozrzedzony i suchszy powietrzu podczas lotu, wysiadając w wilgotnym piecu Przesmyku Panamskiego jakby uderzyli w zamknięte drzwi. Żołnierze poskładali ekwipunek i posłuszni komendom szefa rozładunku wygramolili się na płytę lotniska w ciszy i skupieniu. Zmiana klimatu namacalnie oznajmiała koniec zabawy. Misja się rozpoczęła. Natychmiast przesiadli się do kolejnego zielonego autobusu, który zawiózł

ich do zdewastowanych koszar na terenie Fort Kobbe.

Helikopter MH-53J wylądował kilka godzin później na tym samym lotnisku i został bezceremonialnie odholowany do otoczonego przez uzbrojonych strażników hangaru.

Pułkownika Johnsa z załogą odwieziono do wyznaczonych im kwater i kazano czekać w pogotowiu.

Inny helikopter, tym razem CH-53E Super Stallion piechoty morskiej, wystartował z lotniskowca USS „Guadalcanal” tuż przed świtem. Leciał na zachód nad Zatoką Panamską do Cortezal, niewielkiej bazy wojskowej opodal Przekopu Gaillarda, najtrudniejszego odcinka w oryginalnym projekcie budowy Kanału Panamskiego.

Załoga lotniskowca przymocowała do zwisających spod helikoptera lin pokaźnych rozmiarów ładunek i CH-53E poleciał ociążale ku lądowi. Po dwudziestominutowym locie śmigłowiec zawisł nad wyznaczonym miejscem lądowania. Pilot wyzerował

prędkość postępową i ostrożnie opadał ku ziemi pod czujnym okiem szefa załogi, aż wreszcie wóz łączności osiadł na betonowej płycie. Odczepiono pętlę i helikopter natychmiast odleciał, robiąc miejsce kolejnemu śmigłowcowi, mniejszemu transportowcowi CH-46, który wyrzucił czterech mężczyzn i powrócił na macierzysty statek. Mężczyźni od razu zabrali się do przygotowania wozu.

Ciężarówka nie wyróżniała się niczym szczególnym i przypominała kontener na kółkach, pomalowany w zielone, maskujące cętki, jak większość pojazdów wojskowych. Zmieniał się błyskawicznie, gdy łącznościowcy zaczęli montować na nim przeróżne anteny radiowe, w tym półtorametrowy dysk satelitarny. Z dostarczonego wcześniej pojazdu-generatora mocy przeciągnięto kable i w wozie łączności włączono klimatyzację, by chłodzić nie tyle pracujących w pocie czoła techników, ile raczej cenny sprzęt. Technicy mieli na sobie mundury wojskowe, choć żaden z nich nie był

żołnierzem. Wszystko było gotowe.

Lub prawie wszystko. Na przylądku Canaveral rozpoczęto ostatnie już odliczanie przed startem rakiety Tytan III D. Trzech wysokich rangą oficerów Sił Powietrznych oraz pół tuzina cywilów przyglądało się pracom techników.

Mieli nietęgę miny. Dosłownie w ostatniej chwili zamieniono im przygotowany na wyrzutni ładunek na ten mniej istotny (jak im się zdawało). Wyjaśnienia tej nagłej zmiany nie trafiały im do przekonania, a wcale nie mieli za dużo rakiet nośnych na takie zabawy. Nikt zaś nie fatygował się poinformować ich, na czym ta nowa zabawa miała polegać.

- Ahoj, ahoj! Widzę cel jak na dłoni - zameldował Bronco. Eagle leciał kilometr z tyłu i nieco poniżej celu, który wyglądał na czterosilnikowego Douglasa. DC-4, -6 lub -7, duża maszyna - największa z dotychczas przechwyconych. Cztery tłokowe silniki i jeden statecznik pionowy świadczyły, że ma do czynienia z produktem Douglasa, na pewno starszym od ścigającego go pilota. Winters widział błękitne płomienie dobywające się z rur wydechowych wielkich gwiazdowych

silników i księżycowy blask na śmigłach. Reszty się tylko domyślał.

Leciało się teraz ciężiej. Zbliżył się niebezpiecznie do celu i musiał zmniejszyć prędkość lotu, żeby go nie wyprzedzić. Bronco zdławił silniki i wypuścił klapy, zwiększając siłę nośną i opór, aż zszedł ledwie do czterystu kilometrów na godzinę.

Dostosował prędkość do celu, gdy znajdował się sto metrów od jego ogona. Ciężki myśliwiec kołysał się nieznacznie - tylko pilot zwróciłby na to uwagę - od strumienia turbulencji wywoływanych przez ścigany cel. Teraz. Kapitan Winters wziął głęboki oddech, zgiął palce na drążku i zdecydowanym ruchem włączył mocne reflektory lądowania. Byli czujni. Końcówki skrzydeł zachwiały się chwilę po tym, gdy światłami obezwładnił na niebie niegdysiejszy samolot pasażerski.

- Oświetlony samolot, proszę podać swoje dane, odbiór - odezwał się na paśmie Straży Przybrzeżnej.

Cel zaczął skręcać. Był to DC-7B - zorientował się teraz Bronco -ostatni z potężnych liniowców z silnikami tłokowymi, jakże szybko wypartyh z nastaniem ery odrzutowców pod koniec lat pięćdziesiątych. Płomienie z rur wydechowych rozjaśniły się, kiedy pilot zwiększył moc.

- Niezidentyfikowany samolot, jesteś w strefie ograniczonego ruchu. Natychmiast podaj dane, odbiór - powoził wezwanie Bronco. Słowo „natychmiast” ma szczególne znaczenie dla pilotów.

DC-7B zanurkował nad fale morskie. Eagle podążył za nim niemal instynktownie.

- Niezidentyfikowany samolot, powtarzam: jesteś w strefie ograniczonego ruchu.

Podaj swoje dane. Natychmiast!

Douglas skręcił ostro i skierował się ku Florydzie. Kapitan Winters zwolnił i włączył system kierowania ogniem. Sprawdził, czy na powierzchni morza nie ma w pobliżu statków ani łodzi.

- Jeśli nie podasz swoich danych, otworzę ogień, odbiór. - Żadnej reakcji.

Szkopuł w tym, że system kierowania ogniem czynił wszystko, by ułatwić pilotowi trafienie w cel, a Wintersowi polecono sprowadzić jednego przemytnika żywcem.

Bronco musiał więc skoncentrować się maksymalnie, by na pewniaka chybić celu, po czym nacisnął spust na ułamek

sekundy.

Taśma amunicyjna załadowana była w połowie nabojami smugowymi, a sześciolufowe obrotowe działko wypluwało je z prędkością prawie stu strzałów na sekundę, tworząc w powietrzu zielonożółte pasmo światła przypominające wiązkę promieni laserowych z filmu science fiction,

które na uchwytyny ułamek wieczności zawisło ledwie dziesięć metrów

od okna kabiny DC-7B.

- Wyrównaj lot i podaj dane, bo zjesz następną serię. Odbiór.

- O co chodzi? Co, do cholery, robisz? - DC-7B przeszedł do lotu poziomego.

- Przedstaw się! - rozkazał ostro Winters.

- Carib Cargo, lot specjalny, powrotny z Hondurasu.

- Jesteś w strefie ograniczonego ruchu. Skręć w lewo, na nowy kurs trzy-cztery-siedem.

- Nie wiedzieliśmy nic o ograniczeniu. Powiedz, gdzie mam lecieć i już się zmywam, dobra? Odbiór.

- Skręć w lewo na trzy-cztery-siedem. Odprowadzę cię na miejsce. Będziesz się spowiadał za wszystkie czasy, Carib. Źle wybrałeś miejsce na latanie bez świateł. Mam nadzieję, że masz coś mądrego na swoje usprawiedliwienie, bo pułkownikowi niezbyt przypadłeś do gustu. A teraz skręć tym wieprzem w lewo - no już!

Przez chwilę nic się nie działo. Bronco zirytował się, że robią z niego balona. Odbił

trochę na prawo i wypuścił następną serię, żeby nakłonić cel do posłuszeństwa.

Wreszcie DC zmienił kurs na trzy-cztery-siedem. Zaświeciły się światła pozycyjne.

- Tak trzymaj, Carib. Ten sam kurs i wysokość. Wyłącz nadajnik. Powtarzam: nic nie nadawaj, aż dostaniesz instrukcje. Nie pogarszaj sprawy, bo i tak już jest źle. Lecę za tobą i mam cię na oku.

Eskorta trwała prawie godzinę; czuł się jakby prowadził ferrari przez Manhattan w godzinach szczytu. Gdy już zbliżali się do wybrzeża, zauważył nadciągające od północy ciężkie chmury z błyskawicami. Niech najpierw wylądują, pomyślał Winters. Jak na zawołanie pojawiły się światła progowe na pasie lądowania.

- Carib, masz lądować na tym pasie. Podporządkuj się instrukcjom z ziemi. - Bronco sprawdził paliwo. Starczy jeszcze na kilka godzin. Nareszcie mógł sobie pofolgować.

Dodał gazu, wzbił się na sześć tysięcy metrów i z wysokości patrzył, jak światła stroboskopowe wchodzą w niebieski prostokąt pasa starego lotniska.

- W porządku, jest nasz - usłyszał przez radio pilot myśliwca. Bronco nie potwierdził.

Zawrócił w kierunku bazy Eglin i pomyślał,

że zdąży uciec przed nawałnicą. Kolejna noc z głowy.

DC-7B dokołował do końca pasa. Ledwie się zatrzymał, gdy rozbłysły liczne światła.

W odległości pięćdziesięciu metrów od nosa samolotu zahamował jeep. Z tyłu jeepa wystawał karabin maszynowy M-2 kaliber 12,7 mm, po którego lewej stronie wisiała duża skrzynka z amunicją. Lufa karabinu celowała prosto wabinę.

- Wyłaż z tego pieprzonego samolotu, amigo! - rozkazał wściekły głos przez megafony.

Otworzyły się przednie drzwi po lewej stronie samolotu. Ukazał się w nich biały mężczyzna po czterdziestce. Oślepiiony świecącymi mu prosto w twarz reflektorami, był całkowicie zdezorientowany. Co przewidywał plan.

- Na płytę, ale już, amigo - nakazał głos zza reflektora.

- Co jest grane? Ja tylko...

- Skacz na płytę, no już, do kurwy nędzy!

Pod samolot nie podstawiono schodków. Do pilota dołączył drugi mężczyzna i jeden po drugim usiedli na progu drzwi, po czym zawiesili się na rękach i wreszcie zeskoczyli z półtorametrowej wysokości na spękany beton. Powitały ich natychmiast mocne łapska w podwiniętych rękawach polowych panterek.

- Na pysk, ty komunistyczny szpiegu! - wrzeszczał młody głos.

- Wreszcie przyłapało się „czerwonego kapturka”! - krzyczał inny głos. - Zwinęliśmy kubański samolot szpiegowski!

- Czego, do cholery... - odezwał się jeden z mężczyzn na płycie. Zamknął usta, gdy najpierw poczuł na karku tłumik płomienia karabinka M-16, a po chwili gorący oddech na policzku.

- Wyśpiewasz teraz wszystko, amigo. Bo ci granat do dupy wsadzę i samo wyjdzie -

odezwał się drugi głos, starszy od poprzedniego. - Jest jeszcze ktoś w samolocie, amigo?

- Nie. To jakieś nieporozumienie. My...

- Sprawdźcie, chłopcy! Tylko uważajcie! - dodał sierżant marines.

- Dobra, dobra, sierżancie - odpowiedział kapral. - Daj mi tylko osłonę na drzwi.

- Masz jakieś nazwisko? - spytał sierżant, dla podkreślenia przyciskając lufę do karku pilota.

- Bert Russo. Jestem...

- Złe wybrałeś czas na szpiegowanie naszych manewrów, Roberto. Tym razem się nie udało, chłopie! Ciekawe, czy Fidel zechce wasze ścierwo z powrotem...?

- On mi nie wygląda na Kubańczyka, sierżancie - zauważył młody głos. - Myślisz, że to Rusek?

- Ludzie, nie rozumiem, o co wam chodzi - protestował Russo.

- Mowa, Roberto. Ale ja... Tutaj, panie kapitanie! - Usłyszeli odgłos zbliżających się kroków. Odezwał się nowy głos.

- Przepraszam za spóźnienie, sierżancie Black.

- Panujemy nad sytuacją, panie kapitanie. Ludzie sprawdzają samolot. Wreszcie przydybaliśmy kubańskiego szpicla, jak trza. Gość mówi, że nazywa się Roberto. Z

drugim jeszcze nie gadałem.

- Przewróć go na plecy.

Mocne szarpnięcie odwróciło pilota twarzą do góry jak szmacianą lalkę. Zobaczył

teraz, skąd pochodził gorący oddech. Z odległości pięciu centymetrów wpatrywał się weń największy owczarek niemiecki, jakiego widział w życiu. Gdy tylko na niego spojrzął, pies warknął złowrogo.

- Tylko mi nie denerwuj pieska, Roberto - ostrzegł go niepotrzebnie sierżant Black.

- Jak się nazywasz?

Bert Russo nie widział twarzy ukrytych za otaczającymi go ze wszystkich stron oślepiającymi latarkami. Dostrzegał tylko karabiny i psy, z których jeden pilnował

drugiego pilota. Gdy spróbował coś powiedzieć, pies nad jego twarzą poruszył się i słowa uwięzły mu w gardle.

- Wy, Kubańczycy, powinniście się wreszcie nauczyć. Ostrzegaliśmy was, żebyście nie szpiegowali naszych manewrów, a wy musieliście się tu znów wpieprzyć, tak? -

odezwał się kapitan.

- Nie jestem Kubańczykiem... Jestem Amerykaninem. I nie rozumiem, o co wam chodzi - wydusił wreszcie pilot.

- Masz jakieś dokumenty?-spytał kapitan.

Bert Russo przesunął rękę w kierunku portfela, ale pies natychmiast powstrzymał go groźnym warknięciem.

- Nie drażnij psa - ostrzegł kapitan. - To wrażliwa bestia.

- Cholerne kubańskie szpiegi - wtrącił sierżant Black. - Czemu ich nie sprzątnąć, kapitanie? Nikt nie będzie sobie nimi dupy zawracał.

- Hej, sierżancie! - zawołał głos z samolotu. - To nie żadne szpiegi. Maszyna jest wypchana narkotykami! Dorwaliśmy przemytnika!

- A to skurwysyn! - w głosie sierżanta odbiło się rozczarowanie. -Zwykły szmugler, kurwa jego mać!

Kapitan się roześmiał.

- Głupią wybrałeś trasę tym razem, chłopie. Ile tego, kapralu?

- Ile dusza zapragnie, panie kapitanie. Kokaina, trawka. Cała maszyna wypchana.

- Handlarz pieprzony - zauważył sierżant, po czym umilkł na chwilę. - Kapitanie?

- Tak?

- Kapitanie, te maszyny lądują, kiedy chcą, a załogi zmywają się i nikt ich nigdy" nie znajduje.

Jak na zawołanie, z otaczającego lotnisko bagna rozległ się chrapliwy ryk. Albert Russo pochodził z Florydy i dobrze znał ten odgłos.

- Bo niby kto się kapnie, że ich nie ma, panie kapitanie? Maszyna wylądowała, a załoga spieprzyła i zanim się połapaliśmy, oni wleźli tam w bagno i my tylko słyszeliśmy wrzaski, wie pan...? - Chwila milczenia.

- To tylko handlarze narkotyków. Kto będzie za nimi płakał? Świat będzie lepszy bez nich, nie? I przy okazji się nakarmi aligatory. Słyszać, że biedaki są głodne.

- Żadnych śladów... - rozważał na głos kapitan.

- A kto by ich nawet szukał, kapitanie? - nalegał sierżant. - Nikogo oprócz nas tu nie ma.

- Nie! - krzyknął na całe gardło drugi pilot, odzywając się po raz pierwszy i rozdrażniając psa warującego tuż przy jego karku.

- Cisza tam, do cholery, bo mamy poważną konferencję - zwrócił uwagę sierżant.

- Panowie, wydaje mi się, że pomysł sierżanta zasługuje na uwagę

- rzekł kapitan po chwili namysłu. - Aligatory chyba rzeczywiście są głodne. Najpierw ich rozstrzelać, sierżancie. Trzeba podejść do sprawy humanitarnie, a aligatorom i tak wszystko jedno. Nie zapomnijcie tylko wziąć ich papiery.

- Jasne, kapitanie - odparł sierżant Black.

Wraz z resztą patrolu - było ich w sumie ośmiu - przybył tu z Centrum Operacji Specjalnych w MacDill. Należeli do oddziału zwiadowczego piechoty morskiej, dla którego nietypowa działalność była bardziej regułą niż wyjątkiem. Śmigłowiec czekał

na nich kilometr dalej.

- Dobra, miglanc - powiedział, schylając się Black. Brutalnym szarpnięciem postawił

Berta Russo na nogi. - Gorzej nie mogłeś chłopie wybrać pory na szmugiel.

- Poczekajcie! - krzyknął ten drugi. - My nie... my możemy powiedzieć...

- Gadaj se, co chcesz, chłopcze. Ja mam rozkaz. Jazda. Chcecie się pomodlić, to najwyższy czas.

- Przylecieliśmy z Kolumbii...

- A to niespodzianka, co? - zarechotał Black, przeprowadzając go siłą w stronę drzew.

- Lepiej teraz pogadaj z Panem Bogiem, chłopcze. Może cię wysłucha. Albo i nie...

- Mogę wam wszystko powiedzieć - nalegał Russo.

- Nic mnie nie obchodzi!

- Ale nie możecie tak...

- A właśnie, że możemy. A jak myślisz, z czego ja żyję, chłopcze? - rzekł rozbawiony Black. - Nic się nie martw. Załatwię sprawę szybko i czysto. Nie torturuję ludzi, tak jak wy waszymi prochami. Kula w łeb i po wszystkim.

- Mam żonę i dzieci... - skomlał Russo.

- Tak jak większość ludzi - przyznał Black. - Dadzą sobie radę. Masz chyba ubezpieczenie, nie? Patrz!

Inny z marines skierował światło latarki ku zaroślom. Tak ogromnego aligatora Russo nie widział w życiu. Miał przeszło trzy i pół metra długości. Wielkie, żółte oczy błyszczały w mroku, a reszta gadziego ciała przypominała kłodę z paszczą.

- Dalej nie trzeba - oszacował Black. - Trzymajcie psy, do cholery! Aligator - nazwali go Nikodem - otworzył paszczę i zasyczał. Trudno wyobrazić sobie bardziej złowrogi dźwięk.

- Błagam... - jęczał Russo.

- Wszystko powiem! - zaproponował jeszcze raz drugi pilot.

- Niby co? - spytał kapitan zde gustowanym tonem, z którego dało się wyczytać pytanie: Dlaczego nie umrzesz jak mężczyzna?

- Skąd przylecieliśmy. Kto dał towar. Gdzie mieliśmy lądować. Kody radiowe. Z kim mamy się spotkać. Wszystko!

- Jasne - rzekł kapitan bez entuzjazmu. - Zabierzcie im dokumenty. Drobn e pieniądze, kluczyki do samochodu, wszystko. Właściwie, rozbierzcie ich do naga przed rozstrzelaniem. Trzeba zachować porządek.

- Ja wiem wszystko! - wrzeszczał Russo.

- On wie wszystko - powiedział sierżant Black. - Takiemu to dobrze, co? Wyskakuj z ciuchów, chłopcze.

- Zaczekajcie chwileczkę, sierżancie - podszedł do nich kapitan i zaświecił Bertowi Russo prosto w oczy.

- Co takiego wiesz, co by nas interesowało? - spytał głosem, którego dotychczas nie słyszeli. Choć miał na sobie mundur polowy, nie byłz marines.

Dziesięć minut później wszystko mieli nagrane na taśmie. Zнали już większość nazwisk.

Jednak lokalizacja pasa startowego, a także kody radiowe były dla nich nowymi informacjami.

- Zrzekacie się prawa do adwokata? - spytał cywil.

- Tak!

- Będziecie współpracować?

- Tak!

- Dobra.

Russo i drugiemu pilotowi, który nazywał się Bennett, zawiązano oczy i odprowadzono do helikoptera. Nazajutrz do południa złożą zeznania w sądzie stanowym, później przed sędzią Federalnego Sądu Okręgowego, wieczorem zostaną odstawieni do odległego sektora bazy Sił Powietrznych Eglin, świeżo wzniesionego kompleksu otoczonego wysokim ogrodzeniem. Strzegli go nienastroszeni do żartów mężczyźni w mundurach.

Nie wiedzieli nawet, że im się poszczęściło. Za pięć zestrzelonych samolotów pilot kwalifikował się na asa. Bronco Wintersowi już niewiele brakowało.

Rozdział 10

SUCHE STOPY

Przed wizytą u dyrektora Mark Bright zameldował się najpierw z czystej kurtuazji u zastępcy szefa wydziału, Murraya.

- Musiałeś wstać razem z ptaszkami. Jak sprawa?

- „Sprawa piratów” - tak ochrzcili ją gazety - idzie całkiem nieźle. Przyjechałem tu, bośmy natrafili przy okazji na coś bardziej interesującego. Ofiara okazała się trefniejsza niż przypuszczaliśmy. - Bright wyjaśniał przez kilka minut, po czym wyciągnął z teczki segregator.

- Ile?

- Nie jesteśmy pewni. Zajmą się tym jeszcze eksperci obeznani ze światem wielkiego biznesu, ale... na pierwszy rzut oka chodzi tu chyba o sumę rzędu siedmiuset milionów dolarów.

Murrayowi udało się postawić filiżankę kawy bez rozlania nawet kropli.

- Chyba się przesłyszałem.

- Dobrze słyszałeś. Dowiedziałem się o tym przedwczoraj, a dopiero dwadzieścia cztery godziny temu skończyłem czytać te papiery. Ba! Ledwie zdążyłem je przekartkować. Jeśli się pomyliłem w obliczeniach, to raczej na minus. Sądziłem, że dyrektor powinien zobaczyć to niezwłocznie.

- Że już nie wspomnę o prokuratorze generalnym i prezydencie. Kiedy idziesz do Emila?

- Za pół godziny. Może byś się dołączył? Lepiej ode mnie znasz się na międzynarodowych matactwach finansowych.

W Biurze pracowało wielu zastępców wicedyrektora, zaś Murray pełnił luźno sprecyzowaną funkcję, jak sam ją żartobliwie określał, dyżurnego agenta do specjalnych poruczeń. Jako niekwestionowany autorytet w dziedzinie terroryzmu, Murray znał się również najlepiej w Biurze na międzynarodowych przerzutach ludzi, broni i pieniędzy. Te kwalifikacje, w połączeniu z jego długoletnim doświadczeniem policyjnego tajniaka, predestynowały go do prowadzenia pewnych ważnych przypadków dla dyrektora lub Billa Shawa, wicedyrektora do spraw dochodzeń.

Bright wpadł do jego gabinetu niezupełnie przypadkowo.

- Na ile pewne są te informacje?

- Tak jak mówiłem, nie przeprowadziliśmy jeszcze dokładnej analizy, ale mam już kilka numerów kont, daty transakcji, konkretne sumy i wyraźny ślad prowadzący do samego źródła.

- I to wszystko dzięki tym ze straży...

- Niezupełnie - zawahał się Bright. - To też, ale wiedząc, że denat miał brudne ręce, zbadaliśmy

dokładniej jego środowisko. Prawdopodobnie wpadlibyśmy i tak prędzej czy później na tę aferę. Na razie jednak uporczywie wracałem do jego domu. Wiesz, jak to jest.

- Taak. - Murray skinął głową. Dobrego agenta cechowała po pierwsze wytrwałość, po drugie instynkt. Bright powracał do mieszkania ofiar tak długo, jak długo przeczucie mówiło mu, że musi tam coś jeszcze znaleźć. - Jak znalazłeś sejf?

- Facet miał na dywanie przed biurkiem gładką matę do łatwiejszego jeżdżenia na obrotowym krześle. Chyba wiesz, że takie maty lubią się trochę przesunąć razem z krzesłem. Musiałem siedzieć przy tym biurku dobrą godzinę i zauważyłem właśnie, że mata się przesunęła. Odepchnąłem krzesło, żeby przysunąć matę na miejsce i wtedy mnie oświeciło -cóż za wspaniałe miejsce na skrytkę. Nie pomyliłem się. - Bright uśmiechnął się z satysfakcją. Miał powody do zadowolenia.

- Powinieneś spisać to dla biuletynu Departamentu Sprawiedliwości, żeby wszyscy wiedzieli, gdzie szukać.

- Mamy w Biurze doskonałego specjalistę od sejfów. Potem trzeba było już tylko rozszyfrować kod na dyskietkach. W Mobile mamy faceta, który pomaga nam przy komputerach i... nie, nie wie, co jest na dyskietkach. Rozumie, że nie wolno mu zbyt dokładnie się przyglądać, a zresztą wcale go to tak bardzo nie interesuje. Sądzę, że nie ma co rozdmuchiwać sprawy, dopóki nie zablokujemy forsy.

- Cóż, chybajesz nie byliśmy właścicielami domów towarowych. Pamiętam tylko, jak przejęliśmy ten bar go-go - chichotał Murray, podnosząc słuchawkę telefonu i wybierając numer do gabinetu dyrektora. -Dzień dobry, Moira. Mówi Dan Murray.

Powiedz szefowi, że mamy dla niego coś gorącego. Bili Shaw też pewnie nie pogardzi.

Wpadniemy za dwie minuty. - Murray odwiesił słuchawkę. - No, jazda, panie Bright, dziś twój dzień. Nieczęsto się zdarza strzelić gola podczas pierwszego występu w pierwszej lidze. Poznałeś już dyrektora?

- Otarłem się tylko o niego ze dwa razy na bankietach.

- Ludzki człowiek - zapewnił go Murray w drzwiach.

Do gabinetu dyrektora musieli przejść tylko parę kroków po wyłożonym dywanem korytarzu. Po drodze spotkali się z Billem Shawem.

- Cześć, Mark. Co słysząc u ojca?

- Łowi dużo ryb.

- Przeniósł się na wysepki koralowe, o ile pamiętam.

- Tak.

- Spodoba ci się ten numer, Bili - rzucił Murray, otwierając drzwi sekretariatu.

Wprowadził ich do środka i stanął jak wryty na widok sekretarki. - Boże, Moira, jak ty ślicznie wyglądasz!

- No, no! Niech pan uważa, panie Murray, bo poskarżę się pańskiej żonie!

Ale Murray wcale nie przesadzał. Miała na sobie piękny kostium, doskonały makijaż, a z jej twarzy bił taki blask, jaki widzi się tylko u zakochanych.

- Zechce pani łaskawie wybaczyć mą śmiałość - rzekł wytwornie Murray. - Pozwoli pani, że przedstawię: ten oto przystojny mężczyzna to Mark Bright.

- Ma pan jeszcze pięć minut czasu, panie Bright - zauważyła pani Wolfe, nie spojrzawszy nawet do kalendarza spotkań. - Kawa?

- Nie, dziękuję bardzo.

- Chwileczkę - sprawdziła, czy dyrektor nie rozmawia przez telefon. - Mogą panowie wejść.

Obszerny gabinet dyrektora nadawał się na salę konferencyjną. Emil Jacobs trafił do FBI po długoletniej karierze federalnego prokuratora okręgowego w Chicago, a godząc się na obecne stanowisko, odrzucił jednocześnie propozycję zasiadania w tamtejszym Okręgowym Sądzie Apelacyjnym. Nie ulegało wątpliwości, iż z pocałowaniem ręki przyjęto by go do zarządu każdej renomowanej firmy prawniczej, lecz od dnia, w którym zdał egzamin sądowy, Emil Jacobs poświęcił się bez reszty wsadzaniu przestępców za kratki. Przyczynił się do tego również fakt, że ojciec jego ucierpiał w wojnach piwnych za czasów prohibicji. Jacobs nigdy nie zapomniał, jak pewnego dnia ojciec przyszedł do domu okaleczony, bo ośmielił się sprzeciwić gangsterowi z południowego Chicago. Niewielkiego wzrostu po ojcu, Emil Jacobs postawił sobie za życiowy cel obronę słabych przed złem. Wypełniał tę misję z religijną wręcz żarliwością, skrytą pod bystrym, analitycznym umysłem. Jako jeden z nielicznych Żydów w zdominowanej przez irlandzkich katolików Agencji, został

wszakże honorowym członkiem siedemnastu ekskluzywnych irlandzkich klubów.

Podczas gdy o J. Edgarze Hooverze w środowisku mówiło się Dyrektor Hoover, to dla obecnego pokolenia agentów dyrektor Jacobs był po prostu Emilem.

- Pański ojciec kiedyś dla mnie pracował - powiedział Jacobs, wyciągając rękę do agenta Brighta. - Teraz siedzi na wysepce Marathon Key, prawda? Wciąż łowi tarpony?

- Tak, panie dyrektorze. Skąd pan wie?

- Co roku przysyła mi kartkę z życzeniami na święto Chanuka -zaśmiał się Jacobs. - To długa historia. Dziwne, że panu nie opowiedział. No, co to za bomba?

Bright usiadł, otworzył aktówkę i wręczył dyrektorowi opracowane kopie dokumentów.

Zaczął mówić trochę nieporadnie, ale po dziesięciu minutach rozgrzał się na dobre.

Jacobs przerzucał kartki segregatora, nie roniąc ani słowa z ustnej relacji Brighta.

- Chodzi tu o ponad pół miliarda dolarów - podkreślił na koniec agent.

- Jeśli nie znacznie więcej, z tego, co tu widzę, synu.

- Nie miałem jeszcze czasu na dokładniejszą analizę, panie dyrektorze. Myślałem, że zechce pan zobaczyć to jak najszybciej.

- Dobrze myślałeś - odparł Jacobs, nie odrywając wzroku od papierów. - Bili, kto się najlepiej nadaje do takich rzeczy w Sprawiedliwości?

- Pamiętasz faceta, co prowadził sprawę tej trefnej kasy oszczędnościowo-pożyczkowej? On ma łeb do tego, jak pieniądze wędrują z miejsca na miejsce. Marty jakiś tam - rzekł Shaw. - Młody gość. Ma dobrego nosa do tych rzeczy. Sądzę, że Dan też powinien się tym zająć. Jacobs spojrzał na Murraya.

- Co ty na to?

- Czemu nie? Szkoda tylko, że nie dostaniemy prowizji z tego, co przechwycimy.

Trzeba będzie się pospieszyć. Jak tylko coś zwęszą...

- Chyba już nic nie wskórają - zastanowił się Jacobs. - Ale nie ma po co zwlekać. Taką stratę dobrze poczują. A razem z innymi rzeczami, które mamy... przepraszam. Dobra, Dan, jednym słowem, trzeba ruszyć sprawę. Są jakieś problemy z naszymi piratami?

- Nie, panie dyrektorze. Dowody rzeczowe wystarczą, żeby ich skazać. Prokurator okręgowy całkowicie zrezygnował z tych zeznań, kiedy obrońca zaczął narzekać na sposób, w jaki zostały wymuszone. Twierdzi, że go to rozśmieszyło. Powiedział

obrońcy, że o żadnych targach za informacje nie ma mowy i że ma dość dowodów, żeby ich posadzić na krześle, co zresztą zamierza zrobić. Naciska na szybki proces i sam chce wystąpić jako oskarżyciel. To wszystko.

- Coś mi się widzi, że kwitnie nam nowa kariera polityczna - zauważył Jacobs. - Ile w tym teatru, a ile rzetelnej roboty?

- Traktował nas całkiem przyzwoicie w Mobile, panie dyrektorze - powiedział Bright.

- Nigdy nie za wielu przyjaciół na Kapitelu - przyznał Jacobs. - Jest więc pan zadowolony z przebiegu sprawy?

- Tak. Nie widzę powodu do obaw. To, co wyszło przy okazji, można spokojnie traktować osobno.

- Dlaczego na jachcie było tyle pieniędzy, skoro chcieli go tylko zabić? - spytał

Murray.

- Przynęta - odparł agent Bright. - Wedle zeznania, któreśmy wyrzucili do kosza, mieli dostarczyć forszę łącznikowi na Bahamach. Jak wynika z tych dokumentów, denat niekiedy sam dokonywał większych transakcji gotówkowych. Dlatego prawdopodobnie kupił w ogóle ten jacht.

Jacobs potwierdził skinieniem.

- Nic dodać, nic ująć. Dan, powiedziałaś temu kapitanowi...

- Tak. Dostał nauczkę.

- Świetnie. Wróćmy do pieniędzy. Dan, ty zajmij się koordynacją z Departamentem Sprawiedliwości i informuj mnie przez Billa. Trzeba ustalić datę blokady pieniędzy...

daję wam na to trzy dni. Rozpracowanie tej afery jest wyłączną zasługą agenta Brighta i terenowego biura w Mobile... ale sprawę zamykamy pod kryptonimem, dopóki nie będziemy gotowi

do startu. - Oznaczało to, że sprawa otrzyma klauzulę najwyższej tajności na równi z operacjami CIA, co wcale nie należało do wyjątków w działalności FBI, które prowadziło większość operacji amerykańskiego kontrwywiadu. - Mark, wymyśl jakiś kryptonim.

- „Tarpon”. Ojciec ma bzika na ich punkcie, bo zahaczone świetnie walczą.

- Muszę kiedyś pojechać i sam spróbować. Nie złowiłem jeszcze nic większego od szczupaka. - Jacobs umilkł na chwilę.

Zastanawia się nad czymś, pomyślał Murray, próbując odgadnąć powód chytrego wyrazu twarzy szefa.

- Doskonale trafiliście, panowie. Szkoda, że nie mogę zdradzić wam, dlaczego. Mark, pozdrów ode mnie ojca. - Dyrektor wstał, kończąc spotkanie.

Pani Wolfe zauważyła, że wszyscy wyszli z gabinetu z zadowolonymi minami. Shaw puścił nawet do niej oko. Dziesięć minut później otworzyła nową teczkę w kartotece tajnej dokumentacji, pusty segregator z napisem tarpon na papierowej naklejce.

Wchodził do sekcji narkotyków i Jacobs powiedział jej, że dalsze dokumenty zostaną dołączone za kilka dni.

Murray i Shaw odprowadzili agenta Brighta do samochodu i pożegnali się z nim.

- Co się dzieje z Moirą? - spytał Dan, gdy samochód już odjechał.

- Chodzą słuchy, że ma narzeczonego.

- Najwyższy czas.

O szesnastej czterdzieści pięć Moira Wolfe nałożyła plastikowy pokrowiec na klawiaturę komputera i drugi na maszynę do pisania. Przed zamknięciem biura ostatni raz sprawdziła makijaż i sprężystym krokiem wyszła z sekretariatu. O dziwo nie przyszło jej nawet do głowy, że wszyscy w biurze jej kibicują. Inne sekretarki i asystenci dyrektora, a nawet szef ochrony dyrektora, wstrzymali się od komentarzy, żeby jej broń Boże nie speszyć. Nikt wszakże nie wątpił, że dziś wieczór ma randkę.

Wskazywały na to wszystkie znaki, choć w jej własnym mniemaniu nie dawała niczego po sobie poznać. Jako kierownicze sekretariatu pani Wolfe przysługiwało zarezerwowane miejsce na parkingu, co wraz z innymi przywilejami znacznie ułatwiało jej życie. Po kilku minutach wjechała w północno-zachodni odcinek Dziesiątej ulicy, następnie skręciła w prawo, w aleję Konstytucji. Zamiast codzienną trasą na południe ku Aleksandrii i domowi, pojechała na zachód przez most Teodora Roosevelta do Arlington. Miała wrażenie, że ruch w godzinie szczytu rozstępuje się przed nią i już dwadzieścia minut później zatrzymała się przed małą włoską restauracją przy Seven Corners. Przed wyjściem z auta sprawdziła jeszcze raz makijaż w lusterku wstecznym. Jej dzieci zadowolą się dziś obiadem z McDonalda, ale przecież rozumiały. Powiedziała im, że musi zostać dłużej w pracy i była pewna, że jej uwierzyły, choć powinna wiedzieć, że nic przed nimi nie ukryje, tak jak niegdyś one nie ukryły nic przed nią.

- Przepraszam - zagadnęła hostessę przy wejściu.

- Pani Wolfe? - odpowiedziała natychmiast młoda kobieta. - Proszę za mną. Pan Diaz czeka na panią.

Felix Cortez vel Juan Diaz siedział w narożnej łoży w tyle restauracji. Moira była przekonana, że wybrał ciemne miejsce dla intymniejszego nastroju, a siedział tyłem do ściany, aby widzieć, jak wchodzi. Częściowo miała rację w obu przypadkach. Cortez nie czuł się zbyt pewnie w tej okolicy. Kwatera główna CIA mieściła się niespełna dziesięć kilometrów dalej, tysiące pracowników FBI mieszkały w tej dzielnicy, a kto mógł zaręczyć, że jakiś wyższy oficer kontrwywiadu nie upodobał sobie również tej restauracji? Nie sądził, aby ktoś z nich znał jego rysopis, ale agenci wywiadu nie dożywiali do emerytury, opierając się na przypuszczeniach. Jego zdenerwowanie nie było całkiem udawane. Na dodatek nie miał przy sobie broni. Cortez pracował w branży, gdzie wbrew potocznej opinii broń palna przysparzała znacznie więcej problemów, niż rozwiązywała.

Felix wstał na powitanie. Hostessa oddaliła się dyskretnie, gdy pojęła prawdziwy charakter tego oficjalnego obiadu, pozwalając dwojgu kochankom - wyglądali słodko -

chwycić się za ręce i wymienić pocałunki, nadzwyczaj czule, mimo oczywistego skrepowania w publicznym miejscu. Cortez posadził swą towarzyszkę i nalał jej kieliszek białego wina, po czym usiadł na swoim miejscu naprzeciwko niej. Pierwsze słowa wypowiedział z cielecym zażenowaniem.

- Już bałem się, że nie przyjdiesz.

- Jak długo czekasz? - spytała Moira. W popielniczce leżało pół tuzina niedopałków.

- Prawie godzinę - odpowiedział z dziwnym wyrazem twarzy. Sprawiał na niej wrażenie zadowolonego z siebie.

- Ale przecież przyszedłam wcześniej.

- Wiem. - Tym razem roześmiał się. - Przy tobie zupełnie tracę głowę, Moira. W domu tak się nie zachowuję.

Opacznie zrozumiała jego intencje.

- Przepraszam, Juan, nie chciałam...

Doskonała reakcja, oszacował w duchu Cortez. Oby tak dalej. Objął jej dłoń na stole, oczy mu zalśniły blaskiem.

- Nie trap się. Czasem mężczyźni dobrze robi, gdy wychodzi na głupca. Przepraszam, że zadzwoniłem tak nagle. Drobne komplikacje w firmie. Musiałem natychmiast lecieć do Detroit, a skoro już byłem w sąsiedztwie, jak mawiacie, pragnąłem się z tobą zobaczyć przed powrotem do domu.

- Komplikacje...?

- Zmiana konstrukcji gaźnika. Chodzi o oszczędność paliwa, muszę więc zmienić pewne rozwiązania w moich fabrykach. - Machnął ręką. - Problem już załatwiony.

Takie rzeczy zdarzają się często... a przy tym świetny pretekst, żeby wyskoczyć do ciebie. Może powinienem napisać podziękowanie do waszej Agencji Ochrony Środowiska czy innej instytucji, która narzeka na zanieczyszczenie powietrza.

- Chętnie sama napiszę list, jeśli chcesz. Zmienił ton.

- Jestem tak szczęśliwy, że cię znowu widzę, Moira.

- Bałam się, że...

Jego twarz przybrała teraz zatroskany wyraz.

- Ależ Moira, to ja się bałem. Jestem cudzoziemcem. Przyjeżdżam tu tak rzadko, a z pewnością jest wielu mężczyzn, którzy...

- Juan, gdzie się zatrzymałeś? - spytała pani Wolfe.

- W Sheratonie.

- Czy można tam zamówić kolację do pokoju?

- Tak, ale dlaczego...

- Nie będę głodna jeszcze ze dwie godziny - oznajmiła i wypła resztkę wina. -

Możemy już iść?

Felix położył na stole dwie dwudziestki i odprowadził ją do wyjścia. Hostessie przypomniała się piosenka z filmu Król i ja. W holu Sheratona byli za niespełna sześć minut. Przeszli chyłkiem do wind i oboje rozglądali się dyskretnie dokoła w nadziei, że nikt ich nie zauważy, choć z różnych powodów. Jego pokój na dziesiątym piętrze okazał się luksusowym apartamentem. Moira nie zwróciła nawet uwagi na luksus i przez następną godzinę nie widziała nic poza mężczyzną o dźwięcznym nazwisku Juan Diaz, jak mylnie sądziła.

- Jak cudownie się złożyło - odezwał się wreszcie.

- Co?

- Cudownie się złożyło, że wyskoczył problem z tym nowym gaźnikiem.

- Juan!

- Chyba umyślnie zacznę powodować problemy z kontrolą jakości, żeby mnie co tydzień wzywali do Detroit - powiedział, głaszcząc ją pieszczotliwie po ręce.

- Dlaczego nie zbudujesz tutaj fabryki?

- Robocizna jest u was za droga - odrzekł z powagą. - Wprawdzie mniej byłoby kłopotów z narkotykami...

- U was też?

- Tak. Nazywa się to świństwo basuco, zbyt podłe, by nadawało się na eksport.

Niestety, to plaga wśród moich robotników - urwał na chwilę. - Moira, ja sobie zazartowałem, a ty od razu zmuszasz mnie do głędzenia o interesach. Znudziłem ci się?

- A jak sądzisz?

- Sądzę, że muszę wracać do Wenezueli, póki mogę ustać na nogach. Jej palce wyszły na pieszczotliwy zwiad.

- Wkrótce dojdiesz do siebie.

- Dobrze wiedzieć - obrócił głowę, by ją pocałować i dłuższą chwilę wodził oczami po jej ciele skąpanym w sączącym się przez okna świetle zachodzącego słońca.

Zawstydzona, sięgnęła po kołdrę. Powstrzymał jej rękę.

- Nie jestem już młoda - powiedziała.

- Każde dziecko na świecie patrzy na swą matkę i widzi najpiękniejszą kobietę na świecie, mimo iż nie wszystkie matki są piękne. A wiesz dlaczego? Bo dziecko patrzy na nią z miłością i widzi odwzajemnioną miłość. To miłość tworzy piękno, Moira. Dla mnie jesteś najpiękniejsza.

Stało się. Słowo się rzekło. Dostrzegł, jak jej oczy rozszerzyły się, usta drgnęły, oddech stał się głębszy. Już po raz wtóry Corteza ogarnął wstyd. Otrząsnął się, a raczej próbował otrząsnąć się z tego uczucia. Wszak robił to nie pierwszy raz. Ale zawsze z młodymi kobietami, młodymi, niezależnymi, skorymi do wrażeń i żądnymi przygód. Ta była inna pod każdym względem. Jednak miał konkretne zadanie do wykonania.

- Wybacz mi. Wstydzisz się mnie?

- Nie - odpowiedziała cicho. - Już nie. Uśmiechnął się do niej.

- No, a teraz gotowa jesteś na kolację?

- Tak.

- Doskonale.

Cortez wstał i przyniósł zawieszzone na drzwiach łazienki płaszcze kąpielowe. Obsługa była nienaganna. Pół godziny później Moira została w sypialni, a do salonu wjechał

wózek z kolacją. Gdy tylko kelner wyszedł, Felix otworzył łączące oba pokoje drzwi.

- Przez ciebie wychodzę na jakiegoś uwodziciela. Jak on na mnie spojrzał!

Wybuchnęła śmiechem.

- Czy wiesz, kiedy ostatni raz musiałam kryć się w drugim pokoju?

- I za mało sobie zamówiłaś. Jak przeżyjesz o takiej skromnej sałatce?

- Jeżeli utyję, nie będziesz do mnie przyjeżdżał.

- W moich stronach nie liczy się kobietom żeber - rzekł Cortez. - Jak tylko widzę, że ktoś jest za chudy, od razu podejrzewam tu działanie basuco. Bo tacy u nas zapominają zgoła o jedzeniu.

- Aż tak źle?

- Wiesz, co to jest basuco?

- Kokaina, jak zdążyłam się zorientować z naszych raportów.

- Najgorszego gatunku. Zbyt podła, aby ci bandyci wysyłali ją dla Norteamericanos, i na dodatek

zmieszana z chemikaliami, co zatruwają mózg. Basuco staje się przekleństwem mojej ojczyzny.

- U nas też nie jest najlepiej - powiedziała Moira. Spostrzegła, że jest to coś, co szczególnie gnębi jej ukochanego. Zupełnie jak dyrektora Jacobsa, pomyślała.

- Rozmawiałem o tym z naszą policją. Jak moi robotnicy mają pracować, jeżeli głowy mają zatrute tym świństwem? No i co na to policja? Wzruszają bezradnie ramionami i bełkoczą usprawiedliwienia, a ludzie jak umierali, tak umierają. Umierają od basuco.

Umierają od kul handlarzy. I nikt nie kiwnie palcem, żeby coś z tym wreszcie zrobić. -

Cortez machnął ręką z rezygnacją. - Musisz wiedzieć, Moira, że nie jestem tylko kapitalistą. Moje fabryki, one dają ludziom pracę, przynoszą pieniądze mojemu krajowi, pieniądze na mieszkania, wykształcenie dzieci. Jestem bogaty, owszem, ale pomagam budować swój kraj, tymi rękami, dosłownie. Robotnicy przychodzą do mnie i skarżą się, że ich dzieci... i co? Cóż im mogę poradzić? Pewnego pięknego dnia handlarze przyjdą do mnie i zechcą przejąć moją fabrykę - ciągnął. - Pójdę wtedy na policję, a policja nic nie robi. Pójdę do armii, armia też nic nie robi. Mówisz, że pracujesz dla waszych federales, tak? Czy nie ma na to rady? - Cortez wstrzymał

niemal oddech, oczekując w napięciu odpowiedzi.

- Powinieneś zobaczyć raporty, które muszę przepisywać dyrektorowi.

- Raporty - zachnął się. - Każdy może pisać sobie raporty. U nas policja też pisze setki raportów, sędziowie prowadzą dochodzenia - i nic z tego nie wynika. Gdybym ja w ten sposób kierował fabryką, Wkrótce zamieszkałbym w górskim szałasie i żebrał na ulicy!

Czy wasifederales coś w ogóle robią?

- Więcej niż ci się wydaje. W toku są pewne sprawy, o których nie mogę mówić. W

biurze chodzą pogłoski, że reguły się zmieniają. Nie wiem jednak, co to znaczy.

Dyrektor leci niedługo do Kolumbii, gdzie ma się spotkać z tamtejszym prokuratorem generalnym i... och! Nie wolno mi tego nikomu mówić. To tajemnica państwowa.

- Nikomu przecież nie powtórzę - zapewnił ją Cortez.

- Zresztą sama tak wiele nie wiem - rzekła ostrożnie. - Szykuje się coś nowego. Nie wiem, o co chodzi. Dyrektorowi niezbyt się to podoba, takie odniosłam wrażenie.

- Jeśli skutecznie uderzy to w zbrodniarzy, dlaczego miałoby się mu nie podobać? -

spytał Cortez tonem największego zdziwienia. - Wystrzelajcie ich wszystkich na ulicy, a postawię waszymfederales obiad!

Moira uśmiechnęła się.

- Chętnie przekażę twoją ofertę. Tego samego domagają się ludzie w listach - dostajemy listy od bardzo różnych ludzi.

- Twój dyrektor powinien ich wysłuchać.

- Prezydent też dostaje masę listów.

- Może on ich wysłucha - zasugerował Cortez. - Przecież to rok wyborów...

- Niewykluczone, że już to uczynił. To, co się właśnie zmienia, wyszło stamtąd.

- Ale twojemu dyrektorowi to się nie podoba? - Potrząsnął głową. - Nie rozumiem rządu w swoim własnym kraju. Nic dziwnego więc, że nie rozumiem waszego.

- Ciekawe jednak, że po raz pierwszy nie wiem... no, ale i tak nie mogłabym ci powiedzieć. - Moira skończyła jeść sałatkę. Spojrzała na pusty kieliszek. Felix/Juan skwapliwie dolał jej wina.

- A możesz mi powiedzieć jedno?

- Co takiego?

- Zadzwoń do mnie, kiedy twój dyrektor wyjeżdża do Kolumbii - powiedział.

- Po co? - spytała zbyt zaskoczona, by powiedzieć „nie”.

- Wizyty państwowe trwają kilka dni, tak?

- Raczej tak. Doprawdy nie wiem.

- Jeśli zaś dyrektor wyjeżdża, a ty jesteś jego sekretarką, to będziesz miała mniej roboty, tak?

- Chyba tak.

- Przylecę więc wtedy do Waszyngtonu, rzecz jasna. - Cortez podniósł się i przeszedł trzy kroki wokół stołu. Moira miała na sobie tylko luźno narzucony płaszcz kąpielowy.

Skwapliwie skorzystał ze sposobności.

— Muszę wracać do domu jutro wcześniej rano. Jeden dzień z tobą już mi nie wystarcza, kochanie. Hm, jesteś gotowa, prawda?

- A ty?

- Zobaczymy. Jednego nigdy nie zrozumieję - powiedział, biorąc ją pod rękę.

- Czego mianowicie?

- Dlaczego, taki głupiec zażywa wstrętny proszek dla przyjemności, skoro może zażyć rozkoszy z kobietą? - Było to doprawdy coś, czego Cortez nigdy nie zdołał pojąć. Ale nie płacili mu, żeby to akurat pojął.

- Z pierwszą lepszą kobietą? - spytała przed drzwiami sypialni. Cortez zrzucił z niej płaszcz.

- Ależ jasne, że nie.

- O mój Boże - westchnęła Moira pół godziny później. Ciało jej lśniło od potu. Jego także.

- Pomyliłem się - wykrztusił resztką sił, leżąc twarzą w dół u jej boku.

- Co się stało?

- Jak twój dyrektor federales będzie jechał do Kolumbii, nie dzwoń do mnie! - zaśmiał

się, pokazując, że żartuje. - Moira, nie jestem już pewien, czy mogę robić to częściej niż jeden dzień w miesiącu.

Chichot.

- Może nie powinieneś aż tak się wysilać, Juan.

- Cóż ty wygadujesz? - spojrzał na nią przeciągle. - Nie czułem się tak od czasu, kiedy byłem chłopcem. No, ale już nie jestem chłopcem. Dlaczego kobiety mogą zachować młodość, a mężczyźni nie?

Z zadowolonym uśmiechem przyjęła to oczywiste kłamstwo. Sprawił jej wielką rozkosz.

- Nie mogę do ciebie zadzwonić.

- Jak to?

- Nie znam twojego numeru. - Roześmiała się.

Cortez wyskoczył z łóżka, wyjął portfel z kieszeni marynarki i mruknął pod nosem coś raczej nieprzyzwoitego.

- Ha! Nie mam wizytówek! - Wyrwał kartkę z notesu na stoliku nocnym i napisał

numer. - To telefon do mojego biura. Trudno mnie tam zastać... Dnie spędzam w hali fabrycznej. - Zrezygnowany pomruk. - Noce spędzam w fabryce. Weekendy spędzam w fabryce. Czasami śpiam w fabryce. Ale Consuela mnie jakoś znajdzie, gdziekolwiek będę.

- Muszę już iść - powiedziała Moira.

- Powiedz swojemu dyrektorowi, żeby zaplanował podróż na weekend. Wybierzemy się na dwa dni za miasto. Znam takie ciche, ustronne miejsce w górach, tylko kilka godzin jazdy stąd.

- Myślisz, że to przeżyjesz? - spytała, ściskając go na pożegnanie.

— Będę się zdrowo odżywiał i gimnastykował - przyrzekł jej. Jeszcze jeden pocałunek i wyszła.

Cortez zamknął drzwi i poszedł do łazienki. Nie dowiedział się tak wiele, ale to, co udało mu się wyciągnąć, może okazać się nader istotne. „Reguły się zmieniają”. Choć nie wiadomo, o jakie zmiany chodziło, dyrektorowi Jacobsowi się nie podobały, niemniej jednak musiał je wspierać. Wybierał się do Kolumbii, aby porozumieć się z prokuratorem generalnym. Jacobs, jak sobie przypominał, dobrze znał prokuratora.

Razem studiowali, przeszło trzydzieści lat temu. Prokurator generalny przyleciał do Ameryki na pogrzeb pani Jacobs. Zmiany również opatrzone zostały pieczęcią Białego Domu. Całkiem nieźle. Dwóch współników Corteza udało się do Nowego Orleanu, by spotkać się z obrońcą tych bałwanów, co spaprali robotę na jachcie. FBI zapewne maczało w tym palce i wszelkie informacje stamtąd mogą okazać się przydatne.

Myjąc ręce, Cortez popatrzył w lustro, by przyjrzeć się człowiekowi, który zdobył te cenne strzępki informacji i doszedł do wniosku, że wcale nie podoba mu się osobnik, który tego dokonał. Strząsnął z siebie obrzydzenie. Nie pierwszy to raz. I zapewne nie ostatni.

Odpalenie rakiety nastąpiło o dwudziestą trzecią czterdzieści jeden. Dwa potężne silniki startowe na paliwo stałe zadziałały w wyznaczonym czasie, dając przeszło milion ton ciągu, i cały zestaw wyskoczył z płyty wyrzutni pośród rozbłysku widocznego od Savannah po Miami. Silniki na paliwo stałe pracowały jeszcze dwie minuty, po czym oderwały się, a w tej samej chwili zapaliły się silniki na paliwo ciekłe w środkowym stopniu rakiety pomocniczej, wynosząc pozostały ładunek wyżej, szybciej i dalej po trajektorii. Przez cały czas zainstalowane w rakiecie pomocniczej przyrządy przekazywały dane do stacji naziemnej na przylądku. Przy okazji przekazywały też dane do radzieckiej stacji nasłuchowej położonej na północnym krańcu Kuby oraz do trawlera rybackiego zakotwiczonego opodal przylądka Canaveral, także pod czerwoną banderą. Tytanów III D używano wyłącznie do celów militarnych, a szczególne zainteresowanie Sowietów tą operacją wzbudziły doniesienia wywiadu, że umieszczony na wyrzutni satelita został specjalnie zaprogramowany do przechwytywania bardzo słabych impulsów elektronicznych - Jakich dokładnie, tego już raporty nie precyzowały.

Szybciej i wyżej. Połowa reszty rakiety odpadła, gdy zużyło się paliwo drugiego stopnia, i około półtora tysiąca kilometrów od startu odpalił

trzeci stopień. W bunkrach kontrolnych na przylądku inżynierowie i technicy stwierdzili, że wszystko idzie zgodnie z planem, jak przystało na raketę nośną, której rodowód sięgał późnych lat pięćdziesiątych. Trzeci stopień wypalił się punktualnie i w odpowiednim punkcie toru. Czwarty, końcowy stopień rakiety, czekał teraz na swój czas odpalenia i wyrzucenia ładunku użytecznego na

zaplanowaną, geostacjonarną orbitę, na której miał zawisnąć nad określonym odcinkiem ziemskiego równika.

Przerwa pozwoliła kontrolerom wypić do końca kawę, wyjść do ubikacji i spokojnie przejrzeć dane startu, którego przebieg, jak wszyscy się zgodzili, spełnił oczekiwania najbardziej nawet wybrednych inżynierów.

Kłopoty zaczęły się pół godziny później. Stopień końcowy odpalił za wcześnie, jakby samoistnie, umieszczając ładunek na pożądanej wysokości, lecz w zgoła innym miejscu; ponadto zamiast zawisnąć na geostacjonarnej orbicie, ładunek wszedł na mimośrodowy tor, meandrując przechylnymi, rozkraczonymi nad równikiem ósemkami. Nawet nad właściwym południkiem, w obszarze obserwacyjnym satelity, nastąpią więc krótkotrwałe, acz irytujące zakłócenia na większych szerokościach geograficznych. Mimo wszystkich udanych etapów tysięcy części funkcjonujących zgodnie z planem, cała operacja się nie powiodła. Kontrolerzy kierujący początkowymi stadiami kręcili głowami, okazując współczucie odpowiedzialnym za stopień końcowy inżynierom, którzy w ponurym nastroju obserwowali przebieg ostatniej fazy. Operacja się nie udała.

Ładunek użyteczny o tym nie wiedział. W zaprogramowanym czasie oderwał się od stopnia końcowego rakiety i zaczął działać zgodnie z programem. Wypuścił

dziesięciometrowe, obciążone łąpska. Grawitacja z odległej o trzydzieści pięć tysięcy kilometrów Ziemi będzie działać na nie poprzez siły pływowe, utrzymując satelitę w pozycji stale zwróconej w dół. Następnie wyłoniły się płyty, które przetwarzać miały światło słoneczne na energię elektryczną do ładowania znajdujących się na pokładzie satelity akumulatorów. Wreszcie zaczęła się formować potężna antena paraboliczna.

Wykonana ze specjalnego metalowo-ceramiczno-plastikowego tworzywa rama pamiętała swą docelową konfigurację i pod wpływem ciepła promieni słonecznych rozwijała się w ciągu trzech godzin, aż nabrała kształtu niemal doskonałej anteny parabolicznej o trzydziestometrowym przekroju. Gdyby ktoś z bliska obserwował całe widowisko, dostrzegłby tabliczkę z nazwą wykonawcy na kadłubie satelity -trudno zrozumiałaby anachronizm, jako że nikt nie znajdzie się nigdy tak blisko, aby przeczytać napis, ale zwyciężyła siła przyzwyczajenia. Wykonana ze złotej folii tabliczka określała głównego producenta jako TRW oraz podawała nazwę satelity: Riolit-J. Ostatni z przestarzałej serii satelitów

tego typu został zbudowany w 1981 roku i przeleżał w magazynie - samo przechowywanie kosztowało przeszło sto tysięcy dolarów rocznie - czekając na wystrzelenie, którego nikt poważnie nie oczekiwał, albowiem CIA i NSA wypracowały tymczasem nowsze i lżejsze modele elektronicznych maszyn zwiadowczych z wykorzystaniem zaawansowanej technologii przechwytywania sygnałów. Tymczasem część nowej technologii dołączono do tej przestarzałej maszyny, zwiększając wydatnie jej efektywność dzięki potężnej antenie odbiorczej.

Riolit został pierwotnie przeznaczony do wychwytywania radzieckich emisji elektronicznych, telemetrii z próbnymi eksplozjami, rozproszonych fal z łącz mikrofalowych, a nawet sygnałów z urządzeń szpiegowskich zainstalowanych przez agentów CIA w strategicznych punktach.

Ale nie obchodziło to personelu stacji na przylądku Canaveral. Rzecznik Sił

Powietrznych wydał oświadczenie, w którym stwierdzał ogólnie, iż wystrzelony (tajny) ładunek nie wszedł na odpowiednią orbitę. Potwierdziły to obserwacje Sowietów, którzy byli absolutnie przekonani, że satelita zostanie umieszczony nad Oceanem Indyjskim, gdy tymczasem oscylował teraz ponad granicą brazylijsko-peruwiańską, skąd nie mógł nawet zobaczyć Związku Radzieckiego. Dziwne, myśleli, że Amerykanie dopuścili do włączenia się satelity, jednakże z innego trawlera rybackiego, tym razem u wybrzeży Kalifornii, wychwycili przerywane sygnały zaszyfrowanych transmisji z satelity do jakiejś stacji naziemnej. Cokolwiek wszakże nadawał, nie miało istotnego znaczenia dla Związku Radzieckiego.

Sygnały te odbierano w Fort Huachuca w stanie Arizona, gdzie technicy w kolejnym, niczym niewyróżniającym się wozie łączności z anteną satelitarną na dachu zabrali się do kalibrowania swoich instrumentów. Nie mieli pojęcia o rzekomym fiasku umieszczenia satelity na orbicie. Wiedzieli tylko, że całą operację obejmuje ścisła tajemnica.

Dżungla, pomyślał Chavez. Cuchnęło, ale smród nie przeszkadzał mu tak dotkliwie jak węże. Nie zdradził tego nikomu, ale nie znosił i bał się węży. Wszelkich gatunków. Nie wiedział dlaczego - gnębiło go niepomierne, że strach przed wężami uchodził za cechę kobiecą, nie męską - lecz cierpła mu skóra na samą myśl o tych wijących się, śliskich stworach, tych beznogich jaszczurach z rozwidłonymi języczkami i ślepiami bez powiek. Zwisały z gałęzi i kryły się pod zwalonymi pniami drzew, czyhając tylko, aż podejdziesz blisko, by ukąsić go, gdzie popadnie. Wiedział, że rzucą się nań przy pierwszej okazji, co zakończy się dla niego

niechybną śmiercią. Zachowywał więc czujność. Nie da się gadom, jeśli tylko będzie czujny. Wszak miał przy sobie cichą broń. Mógł więc zabić węża bez hałasu. Pieprzone węże.

Wyszedł wreszcie na drogę, chociaż powinien był dalej brnąć w błocie, ale chciał

odsapnąć w suchym, niezarośniętym miejscu, które wpierw zbadał przez noktowizor AN/PVS-7. Węży nie było. Odetchnął głęboko i wyciągnął z futerału plastikową manierkę. Szli już od sześciu godzin i posunęli się prawie siedem kilometrów - tempo iście mordercze - Jednak musieli dotrzeć do tej drogi przed świtem, i to niezauważeni przez powiadomione o ich obecności oddziały przeciwnika. Chavez spostrzegł ich dwa razy i w obu przypadkach natrafił, jak sądził, na dwójkę żandarmów, którzy nie byli prawdziwymi żołnierzami, nie dla niego przynajmniej. Przeprowadził drużynę bokiem, brnąc przez moczary bezszelestnie... jak wąż, pomyślał z obrzydzeniem. Mógł skosić wszystkich czterech, ale nie na tym polegała misja.

- Dobra robota, Ding - podszedł do niego kapitan Ramirez. Rozmawiali szeptem.

- Ale oni spali jak susły.

Kapitan uśmiechnął się w ciemności.

- Nienawidzę pieprzonej dżungli. Te wstrętne owady.

- Owady to jeszcze nic, kapitanie. Dla mnie najgorszy syf to węże.

Sprawdzili drogę w obu kierunkach. Nic. Ramirez poklepał sierżanta po plecach i poszedł sprawdzić resztę drużyny. Ledwie się zdążył oddalić, gdy spoza linii drzew, trzysta metrów dalej, wyłoniła się jakaś postać. Szła prosto na Chaveza.

Ding cofnął się w gąszcz i odłożył pistolet maszynowy. I tak nie był naładowany, nawet woskowymi nabojami ćwiczebnymi. Po chwili pojawiła się druga sylwetka, ale skierowała się w inną stronę. Zła taktyka, pomyślał Chavez. Dwójki powinny się wspierać nawzajem. Cóż, tym gorzej dla nich. Ostatni rąbek księżycy chował się za linię drzew, a Chavez korzystał z dobrodziejstwa noktowizora, obserwując zbliżającą się doń postać. Mężczyzna szedł cicho - przynajmniej wiedział, jak to się robi - powoli, nie spuszczać z oka obrzeży drogi i nasłuchując. Chavez czekał. Wyłączył

noktowizor i zdjął go z głowy. Po chwili wyciągnął z pochwy nóż. Kiedy tamten podszedł już na odległość około pięćdziesięciu metrów, sierżant głęboko przysiadł, podciągając kolana do piersi. Przy trzydziestu metrach wstrzymał oddech. Gdyby mógł

siłą woli powstrzymać bicie serca, chętnie uczyniłby to, by jeszcze bardziej ograniczyć hałas. Tak dla zabawy. W identycznej sytuacji, ale na serio, w głowie przeciwnika tkwiłby już dziewięćmilimetrowy pocisk.

Zwiadowca przeszedł tuż obok Chaveza, patrząc, lecz nie widząc postaci ukrytej w krzakach. Zrobił jeszcze jeden krok i usłyszał świst, ale było już za późno. Leżał twarzą w piachu, czując na karku rękojeść noża.

- Górą ninja, chłopie! Jesteś już historią.

- Zdjąłeś mnie bez pudła - odpowiedział szeptem „nieprzyjaciel”. Chavez obrócił go na plecy. Był to major, a na głowie miał beret.

Chyba jednak przeciwnikami nie byli żandarmi.

- Jak się nazywacie? - spytał pokonany.

- Sierżant sztabowy Domingo Chavez, panie majorze.

- Pięknie. Właśnie zabiliście instruktora walki zbrojnej w dżungli, Chavez. Robota na medal. Czy mogę się napić? Całą noc na nogach. - Chavez pozwolił majorowi przeczołgać się w krzaki, gdzie sam też łyknął porządnie z manierki. - Z jakiego oddziału jesteście... zaraz, zaraz, z trzeciego batalionu siedemnastego pułku, tak?

- Noc jest nasza, panie majorze - potwierdził Chavez. - Był pan u nas?

- Będę. Dostałem robotę w sztabie batalionu. - Major otarł z twarzy krew. Uderzył o ziemię trochę za mocno.

- Przepraszam, panie majorze.

- To moja wina. Mamy dwudziestu chłopów na zwiadzie. Nie przypuszczałem nawet, że znajdziecie tak daleko niezauważeni.

Usłyszeli warkot motoru. Minutę później na drodze pojawiły się szeroko rozstawione światła hummera - nowe i większe wcielenie poczciwego jeepa - obwieszczając koniec ćwiczenia. „Poległy” major odszedł pozbierać swoich ludzi. To samo uczynił kapitan Ramirez.

- To był ostatni egzamin, żołnierze - oznajmił drużynie. - Macie cały dzień, żeby się porządnie wyspać. Wieczorem jedziemy na miejsce.

- Aż wierzyć się nie chce - powiedział Cortez.

Przesiadł się na pierwszy lot z Lotniska Dullesa do Atlanty. Tam spotkał się ze współnikiem w wynajętym aucie i właśnie omawiali informacje w całkowitej anonimowości samochodu jadącego z maksymalną dozwoloną prędkością po obwodnicy Atlanty.

- Wygląda mi na psychologiczną zagrywkę - odparł współnik. - Nie chcą słyszeć o złagodzeniu wyroku za informacje, nic z tych rzeczy. Szykują normalny proces o morderstwo. Ramón i Jesiis nie mają na co liczyć.

Cortez patrzył w zamyśleniu na sznur samochodów. Miał gdzieś tych dwóch sicarios, tak samo bezmyślnych narzędzi jak wszyscy inni terroryści, którzy na dodatek nie znali nawet powodu zabójstwa. Nurtował go teraz ciąg oderwanych i na pozór niepowiązanych ze sobą informacji na temat amerykańskich operacji prewencyjnych.

Niespotykana dotąd liczba samolotów kurierskich zniknęła bez wieści. Amerykanie traktowali nietypowo tę sprawę sądową. Dyrektor FBI robił coś wbrew własnemu przekonaniu, o czym nie wiedziała jeszcze jego osobista sekretarka. „Reguły się zmieniają”. To mogło znaczyć dosłownie wszystko.

Jakieś zasadnicze zmiany. Niewątpliwie. Ale jakie?

Miał przecież mnóstwo świetnie opłacanych informatorów w rządzie amerykańskim, w służbach celnych, DEA, Straży Przybrzeżnej, a żaden z nich nie doniósł o niczym.

Środowisko policyjne też nie miało żadnych przecieków - z wyjątkiem dyrektora FBI, któremu coś się nie podobało, ale który niebawem udawał się do Kolumbii...

Szykowała się jakaś operacja wywiadowcza... Nie. „Środki czynne”? Wyrażenie to pochodziło z KGB i oznaczać mogło różne rzeczy, począwszy od dezinformacji dziennikarzy, a skończywszy na mokrej robocie. Czy Amerykanie porwą się na coś podobnego? Jeszcze takich rzeczy nie robili. Obrzucił groźnym spojrzeniem pejzaż za oknem. Uważał się za doświadczonego oficera wywiadu, którego zawód polegał na wyciąganiu konkretnych wniosków na podstawie strzępów pozornie przypadkowych informacji. To, że pracował dla człowieka, do którego żywił odrazę, nie miało żadnego znaczenia. Liczyła się duma zawodowa, a prawdę powiedziawszy, do Amerykanów żywił

jeszcze większą odrazę.

Co szykowali?

Cortez musiał przyznać przed samym sobą, że nie ma pojęcia, lecz już za godzinę wsiądzie do samolotu, a za sześć godzin będzie musiał powiedzieć swojemu szefowi, że nic nie wie. To mu się nie podobało.

Fundamentalna zmiana. Nowe reguły. Nie po myśli dyrektora FBI. Jego sekretarka nie wiedziała. Podróż do Kolumbii była tajna.

Cortez odprężył się. Cokolwiek się święciło, nie stanowiło natychmiastowego zagrożenia. Kartel był zbyt dobrze zabezpieczony. Miał jeszcze dość czasu na rozpoznanie i reakcję. W całej szmuglerskiej siatce było wielu ludzi, których śmiało można poświęcić, którzy będą, owszem, nawet się o to bili. A po pewnym czasie kartel dostosuje swoje operacje do zmienionych warunków, nie pierwszy zresztą raz.

Pozostało mu tylko przekonać o tym prostym fakcie swego pryncypała. Co w gruncie rzeczy obchodził eljefe taki Ramón czy Jesus albo którykolwiek z wyrobników, którzy przemycali towar i zabijali w razie konieczności? Liczyło się tylko utrzymanie ciągłości dostaw do konsumentów.

Powrócił myślami do znikających samolotów. W przeszłości Amerykanie przechwytywali jeden czy dwa miesięcznie, mało, zważywszy na ich radary i samoloty.

Ostatnio zaś... cztery w ciągu dwóch tygodni, tak? Co to mogło znaczyć? Amerykanie nie wiedzieli, że kartel też ma swoje straty operacyjne, którym to wojskowym terminem określano ni mniej, ni więcej tylko wypadki lotnicze. Szef dlatego między innymi wynajął Carlosa Larsona, żeby zminimalizować te odczuwalne straty potencjału, no i posunięcie to dało niebawem obiecujące rezultaty - aż do niedawna.

Skąd ten nagły wzrost strat? Gdyby Amerykanie przechwycili samoloty, załogi trafiłyby przecież na sale sądowe i do więzień. Cortez musiał odrzucić tę ewentualność.

Może sabotaż? Czyżby ktoś podkładał w samolotach ładunki wybuchowe, tak jak arabscy terroryści...? Mało prawdopodobne... ale kto wie? Czy ktoś zadał sobie trud, żeby to sprawdzić? Wiele nie trzeba. Nawet drobne uszkodzenie lecącej nisko maszyny postawiłoby pilota przed problemem, którego rozwiązanie wymaga więcej czasu niż na większej wysokości. Wystarczyła choćby jedna kapsułka z materiałem wybuchowym, niecały centymetr sześcienny... trzeba będzie to sprawdzić. Ale kto by to robił?

Amerykanie? A gdyby w świat poszła wiadomość, że Amerykanie podkładają bomby w samolotach? Czyżby gotowi byli ponieść takie polityczne ryzyko? Chyba nie. Wobec tego kto? Może Kolumbijczycy. Jakiś wyższy oficer armii kolumbijskiej działający na własną rękę... lub na żołdzie Yanquis. Niewykluczone. Nie była to z pewnością operacja rządowa. Za dużo miał tam informatorów.

Dlaczego od razu bomba? Dlaczego nie zanieczyszczona rozmyślnie benzyna?

Dlaczego nie drobne uszkodzenie silnika, podcięta linka sterowa... albo przyrządy?

Larson wspominał coś o dokładnym kontrolowaniu przyrządów przy niskim locie. A gdyby tak jakiś mechanik zmienił ustawienie sztucznego horyzontu...? Albo zmaistrował coś, żeby przestał w ogóle działać... coś w układzie elektrycznym na przykład? Ileż trzeba, żeby mały samolot przestał działać? Kogo zapytać? Larsona?

Cortez mrucał do siebie. To wszystko wysane z palca spekulacje, niegodne profesjonalisty. Możliwości było mnóstwo. Wiedział, że prawdopodobnie coś się dzieje, ale nic więcej. A i tu nie miał stuprocentowej pewności, musiał przyznać uczciwie. Nadzwyczajny wzrost liczby straconych samolotów można wszak było przypisać statystycznej anomalii -nie wierzył w to, jednak zmusił się do uwzględnienia i takiej możliwości. Serii przypadków - nie było na świecie akademii wywiadowczej, która zachęcałaby swych studentów do wiary w zbiegi okoliczności, lecz ileż to razy spotkał się z dziwnymi splotami przypadków w swojej długiej karierze?

- Reguły się zmieniają - mamrotał do siebie.

- Proszę? - spytał kierowca.

- Z powrotem na lotnisko. Mój samolot do Caracas odlatuje za niecałą godzinę.

- Sijefe.

Cortez wyleciał punktualnie. Musiał podróżować przez Wenezuelę z oczywistych powodów. Moira mogłaby z ciekawości sprawdzić bilet, spytać o numer lotu, a przy tym amerykańskich agentów mniej interesują pasażerowie podróżujący do Wenezueli niż bezpośrednio do Bogoty. Cztery godziny później przesiadł się na samolot linii Avianca lecący na Międzynarodowe Lotnisko El Dorado, gdzie czekała już nań prywatna awionetka gotowa do ostatniego skoku przez góry.

Rozdano ekwipunek jak zwykle, z jedną tylko różnicą. Chavez zauważył, że nikt niczego nie podpisywał. Był to istotny wyłom w wojskowej rutynie. Armia zawsze zmuszała żołnierzy do kwitowania odbioru wszelkiego sprzętu i umundurowania. Jeśli coś zepsułeś albo zgubiłeś, może nie musiałeś od razu płacić, ale tak czy inaczej, kazali ci się rozliczyć.

Ale nie teraz.

Zestawy różniły się między sobą. Chavez, zwiadowca drużyny, dostał najlżejszy ekwipunek, zaś Julio Vega, jeden z cekaemistów, otrzymał najcięższy. Ding wziął

jedenastkę magazynków do swojego pistoletu MP-5, w sumie trzysta trzydzieści naboii.

Granatniki M-203, które dwóch strzelców przymocowało do karabinów, były jedyną ciężką bronią w całym wyposażeniu drużyny.

Nie dostał tym razem zwykłego, pasiasto-cętkowanego munduru polowego, ale bardzo grube khaki,

nie mieli bowiem postronnym obserwatorom przypominać Amerykanów, jeśli już ktoś ich zobaczy. Khaki bynajmniej nie należało do rzadkości w Kolumbii, w przeciwieństwie do połowych panterek. Do tego miękki, zielony kapelusz zamiast hełmu i chusta do przewiązania włosów. Małą puszkę zielonej farby w sprayu i dwie pomadki do maskującego makijażu. Wodoodporny mapnik z kilkoma mapami; kapitan Ramirez też taki dostał. Po cztery metry liny i łączniku zatraskowym na każdego.

Dostępne w sklepach, drogie radio o bliskim zasięgu, lepsze jednak i tańsze od używanych powszechnie w wojsku. Małe, powiększające siedmiokrotnie japońskie lornetki. Parciany ekwipunek w amerykańskim stylu, jakiego używa się we wszystkich armiach świata, w tym przypadku pochodził z Hiszpanii. Dwie litrowe manierki do zawieszenia na parcianym pasie i litrową butelkę na wodę do plecaka, amerykańskiego, dostępnego w sklepach. Spory zapas tabletek do oczyszczania wody - będą musieli uzupełniać wodę w terenie, co nie stanowiło niespodzianki.

Ding dostał lampę stroboskopową z filtrem na podczerwień, ponieważ do jego zadań należało wybieranie i oznaczanie lądowisk dla śmigłowców. Do tego samego celu służyć miała mu płyta VS-I7. Lusterko sygnalizacyjne do zastosowania w sytuacjach wykluczających użycie radia (stalowe lusterka mają też tę zaletę, że się nie tłuką). Małą latarkę oraz zapalniczkę na płynny butan, znacznie poręczniejszą niż zapalki. Puskę tabletek tylenolu o wzmocnionym działaniu, potocznie zwanych też cukierkami piechura. Buteleczkę pastylek na kaszel z uderzeniową dawką kodeiny. Tubkę wazeliny. Pojemnik ze skondensowanym gazem łzawiącym CS. Przybornik do czyszczenia broni, zawierający także szczoteczkę do zębów. Zapasowe baterie do wszystkiego. Maskę gazową.

Chavez miał więc podróżować lekko, z zaledwie czterema granatami ręcznymi -

holenderskimi NR-20 C1 - oraz dwiema świecami dymnymi, też holenderskiej produkcji. Reszta drużyny dostała holenderskie granaty zaczepne i granaty z gazem łzawiącym, holenderskie, a jakże. Prawdę powiedziawszy, całą broń w wyposażeniu drużyny oraz amunicję zakupiono w panamskim porcie Colón, który szybko stawał się najwygodniejszym targowiskiem broni na zachodniej półkuli. Na każdego z gotówką czekało uzbrojenie do wyboru, do koloru.

Racje żywnościowe stanowiły zwyczajne PGJ. Największym zmartwieniem z higienicznego punktu widzenia była woda, ale poinstruowano ich dokładnie, jak stosować tabletki do jej oczyszczania. Gdyby ktoś zapomniał, miał zapas pigułek przeciw biegunce do połknięcia po zdrowym obsztorcowaniu przez kapitana Ramireza. Jeszcze w Kolorado wszystkich zaszczepili nową serią szczepionek przeciw całej gamie endemicznych chorób i każdy dostał bezzapachowy płyn odstraszający owady, wytwarzany dla wojska przez tę samą firmę, która produkuje sprzedawany w drogeriach środek o nazwie Precz. Medyk drużyny otrzymał pełny ekwipunek sanitarny, a każdy strzelec miał dodatkowo strzykawkę z morfiną i plastikową butelkę z kroplówką.

Chavez miał ostrą jak brzytwa maczetę, dziesięciocentymetrowy składany nóż i, oczywiście, trzy nieodłączne, pozaregulaminowe gwiazdy, o których kapitan Ramirez nic nie wiedział. Wraz z innymi drobiazgami miał dźwigać bagaż o wadze dokładnie dwudziestu dziewięciu kilogramów, co dawało mu najłżejsze obciążenie w drużynie.

Vega i jego kolega

z kaemem byli najbardziej objuczeni, bo dźwigali po trzydzieści pięć kilo. Ding podrzucił ciężar na ramionach, żeby poczuć, co go czeka, po czym poprawiał przez chwilę pasy plecaka, próbując najdogodniej ułożyć ciężar. Był to daremny wysiłek.

Dźwigał obciążenie równe jednej trzeciej wagi swojego ciała, czyli tyle mniej więcej, ile może nieść człowiek przez pewien czas i nie paść z wyczerpania. Miał już dobrze rozchodzone buty i kilka par suchych skarpet na zmianę.

- Ding, możesz mi pomóc to ułożyć? - poprosił Vega.

- Nie ma sprawy, Julio. - Chavez skrócił trochę jeden z pasów na ramieniu strzelca. -

Lepiej?

- Świetnie, mano. Niech to! Trzeba zapłacić za noszenie największej spluwy.

- A jak, Oso. - Julio, który udowodnił, że jest najsilniejszy w drużynie, dostał zaraz nowe przezwisko: Oso, czyli Niedźwiedź.

Kapitan Ramirez zrobił przegląd, zatrzymując się przy każdym i sprawdzając, jak sobie radzi z ciężarem. Poprawił kilka pasów, podrzucił parę plecaków i w ogóle dopilnował, żeby wszyscy byli porządnie zapakowani i mieli wyczyszczone broń. Gdy skończył, Ding pomógł z kolei kapitanowi, po czym dowódca stanął naprzeciw drużyny.

- No jak tam? Kogoś boli, uwiera, ociera?

- Nie, panie kapitanie! - odpowiedziała cała drużyna.

- Jesteśmy zvarci i gotowi? - spytał Ramirez z szerokim uśmiechem pokrywającym fakt, że był równie zdenerwowany jak wszyscy jego podwładni.

- Tak jest!

Pozostało jeszcze jedno. Ramirez zebrał po kolei od wszystkich tabliczki identyfikacyjne. Wkładał każdą do przezroczystego woreczka plastikowego razem z portfelami i innymi dowodami tożsamości. Na koniec zdjął własną tabliczkę, policzył

jeszcze raz woreczki i położył je na stole w poczekalni. Na zewnątrz kolejne drużyny pakowały się na osobne pięciotonowe ciężarówki. Nie wymieniali wielu pożegnalnych gestów. Choć podczas szkolenia zawiązały się przyjaźnie, kwitły na ogół wewnątrz poszczególnych drużyn. Każda jedenastoosobowa jednostka stanowiła zamknięty, samowystarczalny światek. Wszyscy doskonale znali się nawzajem, wiedzieli wszystko o sobie co warto wiedzieć, od wyczynów seksualnych po umiejętności strzeleckie.

Nawiązały się też trwale przyjaźnie, a także bardziej nawet cenne rywalizacje. Byli już sobie bliżsi niż najlepsi przyjaciele. Każdy z nich wiedział, że jego życie będzie zależało od umiejętności kolegów, a nikt nie miał ochoty wyjść na słabeusza przed swoimi towarzyszami. Mimo sprzeczek między sobą, stanowili zwartą grupę; mimo ostrych wzajemnych przytyków, w ciągu ostatnich dwóch tygodni stopili się w jeden złożony organizm, którego mózgiem był Ramirez, oczami Chavez, pięściami Julio Vega wraz z drugim strzelcem z ciężką bronią maszynową, a wszyscy pozostali równie nieodzownymi organami. Byli tak przygotowani do misji, jak mógł

wymarzyć sobie każdy dowódca na świecie.

Ciężarówki podjechały razem pod ogon helikoptera i żołnierze wsiadali drużynami.

Chavez od razu zauważył obrotowy karabin maszynowy Minigun kaliber 7.62 mm na stanowisku po prawej stronie śmigłowca. Stał przy nim sierżant Sił Powietrznych w zielonym kombinezonie i pomalowanym w barwy maskujące lotniczym hełmie. Ding nie darzył szczególną miłością Sił Powietrznych - uważał ich dotąd za bandę lalusiowatych kierowców - ale musiał przyznać, że ten wyglądał całkiem serio i kompetentnie. Identyczne, nieobsadzone stanowisko znajdowało się po przeciwnej stronie kadłuba, a z tyłu zobaczył jeszcze jednego miniguna. Mechanik pokładowy -

miał tabliczkę z nazwiskiem Zimmer - przeprowadził wszystkich na miejsca i dopilnował, by każdy żołnierz przypiął się odpowiednio pasami do swojego kawałka podłogi. Chavez nie zamienił z nim ani słowa, ale wyczuł, że facet był już tu i tam. Z

niewielkim spóźnionym refleksem zorientował się, że siedzi w największym helikopterze, jaki widział na oczu.

Mechanik pokładowy dokonał ostatniego przeglądu pasażerów, po czym przeszedł do przodu i włączył hełmofon. Chwilę później rozległo się wycie dwóch turbinowych silników.

- Wszystko w porządku - powiedział PJ przez hełmofon.

Silniki wcześniej rozgrzano i napełniono zbiorniki z paliwem. Zimmer naprawił drobną usterkę hydrauliczną i Pave Low III był w najlepszej formie, do jakiej doprowadzić go mogła jego doświadczona załoga. Pułkownik Johns przełączył się na radio.

- Wieża, tu Nocny Sokół Dwa-Pięć. Proszę o pozwolenie na kołowanie. Odbiór.

- Dwa-Pięć, tu wieża, możecie kołować. Wiatry kierunek jeden-zero-dziewięć, prędkość dwanaście kilometrów.

- Dobra. Dwa-Pięć kołuje. Bez odbioru.

Johns przekręcił dźwignię skoku ogólnego i pchnął z wyczuciem dźwignię sterowania okresowego. Z uwagi na swe potężne rozmiary i moc śmigłowca typu Sikorsky zazwyczaj rozpędzały się na płycie pasa startowego przed wzbiciem się w powietrze.

Kapitan Willis rozglądał się bacznie, czy w pobliżu nie ma żadnego ruchu naziemnego, ale o tej porze

w nocy było zupełnie pusto. Pracownik obsługi naziemnej szedł tyłem przed nimi, gwoli dodatkowego zabezpieczenia, sygnalizując drogę oświetlonymi pałeczkami. Po pięciu minutach dotarli na płytę. Pałeczki złączyły się i wskazały na prawo. Johns ostatni raz spojrzął na przewodnika i w odpowiedzi zsalutował zgodnie z ceremoniałem.

- Dobra, jedziemy z tym koksem. - PJ dał pełną moc, sprawdzając jeszcze na wszelki wypadek pracę silnika. Wszystko grało. Nos helikoptera wzniósł się o kilkadziesiąt centymetrów, po czym wyrównał w miarę nabierania prędkości. Wreszcie maszyna wzbiła się w powietrze, pozostawiając pod sobą tornado kurzu, widoczne tylko w niebieskiej poświacie świateł pasa startowego.

Kapitan Willis włączył przyrządy nawigacyjne i systemy zobrazowania terenu. Mieli do dyspozycji komputerową mapę terenu, nad którym przelatywali, bardzo podobną do tej, którą posługiwał się James Bond w filmie Goldfinger. Nawigacja śmigłowca Pave Low mogła odbywać się za pomocą dopplerowskiego systemu radarowego, systemu nawigacji inercyjnej z żyroskopami oraz satelitarnego systemu Navstar. Helikopter leciał z początku nad kanałem, pozorując regularny patrol strefy. Nie wiedzieli nawet, że przelatują niecały kilometr od stacji komunikacyjnej operacji „Rewia na Wodzie” w Corezal.

- Namachali się tu chłopcy łopatami i kilofami - zauważył Willis.

- Pierszy raz tu jesteś?

- Tak. Wielka sprawa, jak na osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt lat temu - powiedział, gdy właśnie przelatywali nad wielkim kontenerowcem.

Trochę ich wytrzęsło od strumienia gorącego gazu bijącego z komina statku. PJ odbił

zaraz w prawo znad komina. Mieli przed sobą dwie godziny lotu i lepiej było zaoszczędzić pasażerom niepotrzebnych wrażeń, zwłaszcza że już za godzinę wystartować miała cysterna MC-130E, by uzupełnić im w powietrzu paliwo na drogę powrotną.

- Kupa ziemi do przekopania - przyznał po chwili pułkownik Johns.

Przesunął się nieco na siedzeniu. Dwadzieścia minut później „zamoczyli stopy”, przelatując najdłuższy odcinek trasy nad Morzem Karaibskim, obrawszy kurs zero-dziewięć-zero na wschód.

- A co to za nocny ptaszek? - powiedział Willis pół godziny później.

Przez noktowizory zauważyli lecący na północ dwusilnikowy samolot około dziesięciu kilometrów od nich. Wykryli go po emisji podczerwieni na dwóch tłokowych silnikach.

- Bez świateł - przyznał PJ.

- Ciekawe, co ma na pokładzie.

- Głowę daję, że nie pocztę. Co ważniejsze, nie widzi nas, chyba że ma takie same okulary jak my.

- Moglibyśmy podlecieć i zrobić użytek z kaemów...

- Nie tym razem. Szkoda. Wcale nie miałbym nic przeciwko temu...

- Jak pan myśli, pułkowniku, co nasi pasażerowie...

- Gdybyśmy mieli wiedzieć, kapitanie, to by nam powiedziano -odparł Johns.

Sam się oczywiście też zastanawiał. Chryste! Przecież oni są obładowani na długą tułaczkę, pomyślał pułkownik. Nietypowe mundury... ani chybi tajna penetracja - do diabła, przecież znam tę część misji od tygodni - ale wyraźnie chłopcy mieli zostać tam na dłużej. Johns nie pamiętał, żeby rząd kiedyś coś takiego robił. Ciekaw był, czy Kolumbijczycy biorą udział w tej zabawie... chyba nie. A nam kazali tu zostać co najmniej przez miesiąc, planują więc, żebyśmy ich wspierali, a może i wyciągali, jak się zrobi trochę gorąco... Boże, szykuje się następny Laos, stwierdził definitywnie.

Dobrze, że wziąłem Bucka. Jesteśmy jedynymi prawdziwymi weteranami w tym towarzystwie. Pułkownik Johns potrząsnął głową. Gdzie podziała się jego młodość?

Spędził najlepsze lata z helikopterem przypiętym do pleców, wycinając różne głupawe numery.

- Mam na horyzoncie cel powierzchniowy, na około jedenastej godzinie - rzekł kapitan i zmienił kurs o kilka stopni na prawo.

Dostali wyraźne instrukcje. Nikt nie miał ich zobaczyć ani usłyszeć. Musieli więc unikać statków, kutrów rybackich, a nawet wścibskich delfinów, trzymać się z dala od wybrzeża, najwyżej trzysta metrów nad powierzchnią i nie włączać świateł

pozycyjnych. Taktyka lotu była dokładnie taka, jak podczas działań wojennych, z niektórymi środkami bezpieczeństwa odłożonymi na bok. Ten ostatni fakt odbiegał od normy nawet w operacjach specjalnych, zreflektował się Johns. Ostra amunicja i cała reszta.

Dotarli do wybrzeży Kolumbii bez żadnych incydentów. Na widok lądu Johns postawił

na nogi swoją załogę. Sierżanci Zimmer i Bean uruchomili napędzane prądem elektrycznym miniguny i rozsunęli drzwi kabiny...

- No, dokonaliśmy inwazji na zaprzyjaźniony obcy kraj - zauważył Willis, gdy już mieli

„suche stopy", lecąc na północ od Tolu.

Za pomocą sprzętu noktowizyjnego szukali oznak ruchu kołowego, którego też należało unikać. Zaplanowana trasa prowadziła z dala od siedzib ludzkich.

Sześciopłatowy wirnik nie wydawał tak charakterystycznego dla mniejszych śmigłowców łoskotu. Z daleka hałas nie odbiegał zbyt od jednostajnego warkotu samolotów z silnikami tłokowymi, a przy

tym myśląc był kierunek, z którego dobiegał

- nawet jeśli słychać było hałas, trudno było ustalić, skąd dochodzi. Minąwszy autostradę panamerykańską, skręcili na północ i przelecieli na wschód od Plato.

- Zimmer, Lądowisko Jeden za pięć minut - oznajmił Johns, zbliżając się do pierwszego wyznaczonego terenu lądowania.

- Dobra, PJ - odrzekł mechanik pokładowy.

Postanowili zostawić Beana i Childsa przy karabinach maszynowych, aby Zimmer mógł pokierować zrzutem.

To musi być misja bojowa. Johns uśmiechnął się w duchu. Buck zwraca się do mnie w ten sposób tylko wtedy, kiedy może dostać kulę.

Sierżant Zimmer przeszedł do środkowej części maszyny, kazał pierwszym dwóm drużynom odpiąć pasy bezpieczeństwa i uniósł rękę, pokazując palcami, ile minut jeszcze zostało. Obaj kapitanowie skinęli głowami.

- Lądowisko Jeden na widoku - powiedział wkrótce Willis.

- Zmienię cię.

- Śmigłowiec pilota.

Pułkownik Johns krążył nad okolicą, podchodząc spiralą do polany wybranej ze zdjęć satelitarnych. Willis rozglądał się bacznie w poszukiwaniu oznak życia, ale niczego nie dostrzegł.

- Teren chyba czysty, panie pułkowniku.

- Schodzimy - powiedział Johns przez interkom.

- Przygotować się! - krzyknął Zimmer, kiedy nos śmigłowca podszedł do góry. Chavez stał wraz z resztą swojej drużyny zwrócony twarzą ku tylnym drzwiom towarowym.

Kolana mu się lekko ugięły, gdy śmigłowiec dotknął ziemi.

- Skakać! - Zimmer ręką dawał znak do wyjścia, odliczając każdego z żołnierzy klepieniem po plecach.

Chavez wyszedł zaraz za swoim kapitanem, uskakując w lewo, gdy tylko dotknął

ziemi, aby umknąć przed podmuchem śmigła ogonowego. Uszedł dziesięć kroków i padł na twarz. Nad głową miał obracający się nadal z pełną prędkością wirnik, którego złowrogie łopaty piłowały powietrze w bezpiecznej odległości pięciu metrów nad ziemią.

- Wszyscy, wszyscy, wszyscy! - zameldował Zimmer po odliczeniu wszystkich pasażerów.

- Dobra - potwierdził Johns, przekręcając dźwignię do startu.

Chavez odwrócił głowę, gdy wycie silników spotęgowało się. Nieoświetlony śmigłowiec był ledwie widoczny, ale sierżant widział, jak upiorna sylwetka wzbija się w powietrze i dopiero gdy spływający z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę podmuch od wirnika osłabł, a po chwili ustał, poczuł ból twarzy od ziemi i pyłu.

Helikopter odleciał. Powinien się tego spodziewać, a jednak czuł się zaskoczony. Oto znalazł się na terenie wroga. To już nie były ćwiczenia, tylko całkiem serio. Jedyna droga odwrotu właśnie odleciała i już zniknęła

z pola widzenia. Mimo że miał wokół siebie dziesięciu kolegów, owładnęło go na chwilę poczucie samotności. Ale był przecież wyszkolonym, zawodowym żołnierzem.

Chavez chwycił mocniej w dłoń naładowaną broń i wróciły mu siły. Nie był całkiem samotny.

- Idziemy - ponaglił go cicho kapitan Ramirez.

Chavez ruszył ku drzewom, wiedząc, że podąży za nim reszta drużyny.

Rozdział 11

Pięćset kilometrów od sierżanta sztabowego Dinga Chaveza pułkownik Felix Cortez, były agent kubańskiego DGI, siedział przysypiając w biurze swego szefa. Eljefe, jak mu oznajmiono, gdy przybył przed kilkoma godzinami, był teraz zajęty -

najprawdopodobniej zabawiał kochankę. Może nawet żonę, pomyślał Cortez, wątpliwe, ale przecież możliwe. Wypił już dwie filiżanki wybornej, tutejszej kawy - do niedawna najcenniejszego towaru eksportowego Kolumbii - lecz nic mu nie pomogła.

Był wycieńczony po nieprzespanej nocy, po podróży, a także z powodu ponownego przystosowywania się do wysokogórskiego klimatu. Cortez potrzebował snu, ale musiał złożyć raport swojemu szefowi. Bezwzględny cham. W DGI przynajmniej mógł

najpierw napisać pośpieszną notatkę służbową i przespać się kilka godzin przed otwarciem biura. Ale DGI składało się z zawodowców, a on postanowił pracować dla amatora.

Tuż po trzynastej trzydziści usłyszał zbliżające się na korytarzu kroki. Cortez wstał i otrząsnął się z półsnu. Drzwi otworzyły się i stanął w nich eljefe z pogodnym, uszczęśliwionym obliczem. Jednak jedna z jego kochanek.

- Czego się pan dowiedział? - spytał Escobedo bez wstępów.

- Jeszcze nie mam konkretnych szczegółów - odparł Cortez, ziewając, po czym przez pięć minut zdawał sprawę z tego, co zdołał zbierać.
- Płacę panu za wyniki, pułkowniku - rzekł z naciskiem Escobedo.
- Zgoda, jednak na wysokim szczeblu wyniki wymagają czasu. Trwając przy takich metodach zbierania informacji, jakim hołdował pan, zanim tu przybyłem, nie wiedziałby pan do tej pory nic poza tym, że zniknęło kilka samolotów i że dwóch kurierów zwinęli Yanquis.
- A co z ich relacją o wymuszonym zeznaniu na statku?
- Mało wiarygodna, może zmyślili całą historyjkę na poczekaniu. -Cortez usadowił się wygodnie w fotelu, marząc o następnej filiżance kawy. -A może i nie zmyślili, w co jednak wątpię. Nie znam ani jednego z nich, trudno mi więc ocenić, na ile wiarygodne jest to, co mówią.
- Obaj są z Medellin. Starszy brat Ramóna dobrze mi się przysłużył. Zginął w walkach z partyzantką M-19. Umarł dzielnie. Ramón też mi służył. Musiałem dać mu szansę - ciągnął Escobedo. — To była kwestia honoru. Nie błyszczy inteligencją, ale jest lojalny.
- Jego śmierć nie będzie więc dla pana zbyt bolesna? Escobedo potrząsnął głową bez chwili wahania.
- Nie. Wiedział, jakie jest ryzyko. Nie miał pojęcia, dlaczego należało zabić Amerykanina. Nic na ten temat nie może powiedzieć. Co do Amerykanina - był złodziejem, i to głupim złodziejem. Myślał, że ukryje przed nami swoje matactwa. Pomylił się. Więc zlikwidowaliśmy go.
- I jego rodzinę, dodał w duchu Cortez. Zabijanie ludzi to jedno, gwałt na dzieciach... to już coś innego - no, ale nie jego w tym głowa.
- Jest pan przekonany, że nie mogą powiedzieć Amerykanom...?
- Kazano im wejść na jacht pod pretekstem przekazania pieniędzy. Po zabójstwie mieli wedle instrukcji popłynąć na Bahamy, przekazać pieniądze jednemu z moich bankierów, zniszczyć dyskretnie jacht i wreszcie przemyścić stałym kanałem narkotyki do Filadelfii. Wiedzieli, że Amerykanin mi się naraził, ale nie znali powodu.
- Muszą zdawać sobie sprawę, że prał pieniądze i zapewne powiedzieli to Amerykanom - zauważył spokojnie Cortez.
- Si. Na szczęście jednak Amerykanin robił to bardzo sprytnie. Działaliśmy ostrożnie, pułkowniku. Zawczasu postaraliśmy się, żeby nikt nie dowiedział się dokładnie, co ten złodziej robił. - Escobedo uśmiechał się, wciąż rozanielony pieszczotami Pinty. -

Niesamowity był spryciarz z tego Amerykanina.

- A jeżeli zostawił jakieś notatki?

- Nie. Oficer policji w jego mieście przeszukał na naszą prośbę biuro i dom -tak ostrożnie, że amerykańscy federales nie zauważyli nawet, że tam był - zanim kazałem złodzieja zabić.

Cortez przed odpowiedzią wziął głęboki oddech.

- Jefe, niechże pan wreszcie zrozumie, że o takich rzeczach trzeba mnie uprzedzać! Po co pan mnie zatrudnia, skoro nie chce pan korzystać z mojej wiedzy?

- Takie sprawy załatwiamy od lat. Jakoś sobie radzimy bez...

- Rosjanie wysłaliby pana na Sybir za taką głupotę!

- Pan się zapomina, senor Cortez! - warknął w odpowiedzi Escobedo. Felix miał już na końcu języka dosadną replikę, lecz zdołał się opanować i przyjął ton łagodnej perswazji.

- Pan myśli, że Norteamericanos to głupcy, ponieważ nie udało im się powstrzymać waszego szmuglu. Ich słabością jest niemoc polityczna, nie zaś zawodowa nieporadność. Pan tego nie rozumie, zatem postaram się panu wyjaśnić, w czym rzecz.

Ich granice są tak nieuszczelne, albowiem Amerykanie mają długą tradycję otwartych granic. Wy mylicie to z niezaradnością, a przecież chodzi o coś innego. Mają doskonale zorganizowaną policję opierającą się na najlepszych naukowych metodach na świecie - czy wie pan, że w sowieckim KGB czyta się podręczniki amerykańskiej policji? I naśladuje metody działania? Amerykańska policja ma związane ręce, ponieważ polityczne przywództwo nie pozwala jej działać, tak jak chciałyby i mogłaby działać zaraz po złagodzeniu tych restrykcji. FBI, ich federales, mają niewiarygodne wprost środki. Wiem o tym co nieco, bo deptali mi po piętach w Portoryko i o mały włos nie zwinęli mnie razem z Ojedą - a przecież jestem zawodowym oficerem wywiadu.

- Tak, tak -wtrącił cierpliwie Escobedo. - Co z tego wynika dla mnie?

- Co dokładnie robił dla pana ten zabity Amerykanin?

- Prał dla nas ogromne sumy pieniędzy, co nadal przynosi nam godziwy, czysty dochód. Zbudował zawiły system prania narkotykowej forsy, z którego nadal korzystamy i...

- Natychmiast proszę wyciągnąć wszystkie pieniądze. Jeżeli ten Yanqui był

rzeczywiście tak świetnie zorganizowany, jak pan powiada, na pewno zostawił jakieś ślady. Jeśli tak, to niewykluczone, że ślady te już odnaleziono.

- Skoro tak, to dlaczego do tej pory federales nic nie zrobili? Przecież już minął

przeszło miesiąc. - Escobedo obrócił się i chwycił butelkę koniaku. Rzadko sobie pozwalał, ale teraz miał wyjątkową ochotę. Pinta spisała się nadzwyczajnie tej nocy, a w tej chwili sprawiało mu ogromną radość tłumaczenie Cortezowi, że choć jego usługi są nader cenne, można się również bez nich obejść.

- Jefe, może tym razem się uda, lecz pewnego dnia przekona się pan, że ryzyko, jakie pan podjął w tym przypadku, graniczy z głupotą.

Escobedo zakotłosał kieliszkiem pod nosem.

- Święta prawda, pułkowniku. No, ale wróćmy do tych zmienionych reguł, o których pan wspominał.

Chavez wiedział, czego się spodziewać. Przeszli już cały odcinek przed misją na makiecie i każdy z nich miał zapisany w pamięci teren i trasę. Tej nocy mieli dotrzeć do ukrytego lotniska opatrzonego kryptonimem „Reno”. Widział przedtem zdjęcia celu, satelitarne i lotnicze. Nie wiedział natomiast, że teren lotniska wskazał ktoś o nazwisku Bert Russo, potwierdzając wcześniejszy raport wywiadu. Był to pas żwiru długości około tysiąca pięciuset metrów, w zupełności wystarczający dla dwusilnikowego samolotu, a z pewnym ryzykiem także dla większej maszyny, jeśli miała lekki ładunek - na przykład trawkę, zajmującą dużo miejsca, ale niezbyt ciężką.

Sierżant orientował się według kompasu przypiętego do nadgarstka. Co pięćdziesiąt metrów sprawdzał kompas, wyszukiwał wzrokiem jakieś drzewo lub inny punkt orientacyjny na linii trasy i szedł w tym kierunku, by dotarłszy do obranego miejsca, powtórzyć całą procedurę od nowa. Poruszał się wolno i cicho, nasłuchując najlżejszego ludzkiego dźwięku i wzrokiem badając teren przez gogle noktowizyjne.

Broń miał naładowaną, ale zabezpieczoną. Vega, drugi w grupie, czyli „luzak”, spełniał

rolę bufora pomiędzy czołową pozycją Chaveza a głównym trzonem oddziału idącego pięćdziesiąt metrów za Vegą. Jego ciężka broń maszynowa istotnie stanowiła bufor nie na żarty. W razie kontaktu najpierw mieli spróbować uniku, a jeśli by okazało się to niemożliwe, należało wyeliminować, cokolwiek stało im na przeszkodzie, jak najszybciej, bez żadnych skrupułów.

Po dwóch godzinach i dwóch kilometrach Ding wypatrzył miejsce, zaplanowane wcześniej na zbiórkę. Podniósł rękę i wykonał nią kilka obrotów w powietrzu, jakby rzucał lassem, sygnalizując w ten sposób, co robi. Mogli wprawdzie wysilić się jeszcze kawałek, jednak lot, jak wszystkie bez wyjątku loty śmigłowcem, był męczący i kapitan nie chciał przeciągać struny. Zresztą do celu mieli dotrzeć dopiero następnej nocy. Co drugie słowo w instrukcjach przed misją to „przezorność!” Pamiętał, jak bawiły go te przestrogi. Teraz nie było mu do śmiechu. Ten cały Clark miał rację.

Podczas prawdziwej akcji było inaczej. Ceną, jaką przyjdzie zapłacić tu za spuchnięcie, nie będzie tylko wstyd, że nie ma już więcej

sił.

Chavez otrząsnął się z tych myśli. Miał zadanie. Do zadania tego został pieczołowicie wyszkolony i

wyposażony, co więcej, było to zajęcie, które sam chciał wykonywać.

Na miejsce odpoczynku wybrał małe, suche wzniesienie, sprawdzwszy przezornie, czy nie ma tam węży. Jeszcze raz dokładnie zbadał teren, po czym wyłączył noktowizor, żeby oszczędzić baterie, i wyciągnął manierkę z wodą. Było gorąco, ale znośnie.

Około trzydziestu stopni,

pomyślał, wilgotność też wysoka. Jeżeli taki skwar panował w nocy, lepiej nawet nie myśleć o dniu. Dobrze, że dzień przeleżą do góry brzuchem. Poza tym Chavez przywykł do skwaru. W Hunter-Liggett maszerował po górach w ponadczterdziestostopniowym żarze. Wcale za tym nie przepadał, ale potrafił

wytrzymać.

- Jak tam, Chavez?

- Muy bien, Capitan - odpowiedział Chavez. - Chyba zrobiliśmy ze trzy kilometry. Tam jest nasz punkt kontrolny Sekator.

- Widziałeś coś?

- Nie. Tylko ptaki i owady. Nie widziałem nawet dzikiej świni... myśli pan, kapitanie, że ludzie tu polują?

- Czemu nie? - rzekł Ramirez po chwili namysłu. - Trzeba to wziąć pod uwagę, Ding.

Chavez rozejrzał się dokoła. Widział tylko jedną postać, reszta zlała się z podłożem.

Trapiły go z początku mundury khaki - mniej skutecznie maskowały niż tradycyjne panterki - ale w polu jakoś wcale się nie odznaczały. Ding pociągnął jeszcze łyk, po czym potrząsnął manierką, szacując, ile robi hałasu. Na tym polegała zaleta plastikowych manierek: woda nie chlupała w nich tak głośno, jak w aluminiowych starego typu. Ale i tak trzeba było uważać, bo najmniejszy hałas w dżungli od razu budził podejrzenie. Łyknął pastylkę na kaszel, żeby nie zaschło mu w gardle i zbierał się do drogi.

- Następny postój, punkt kontrolny Piła Tarczowa. Kapitanie, kto wymyśla te idiotyczne nazwy?

Ramirez zachichotał cicho.

- Jak to kto? Ja, sierżancie. Nie mam ci tego za złe. Mojej byłej też nie podobał się mój gust, więc zostawiła mnie i wyszła za handlarza nieruchomości.

- Te baby dają w dupę, co?

- Moja na pewno.

Nawet kapitan, pomyślał Chavez. Boże, nikt nie ma dziewczyny ani rodziny w kraju...

Ta myśl natarczywie powracała raz po raz z oddali, ale teraz należało skupić się na przejściu poprzez Sekator do Piły Tarczowej w niespełna dwie godziny.

Następny etap zakładał przejście przez drogę - choć to zbyt szumne określenie odnosiło się w rzeczywistości do zwirowego traktu ciągnącego się w nieskończoność w obu kierunkach. Chavez nie szczędził czasu na ostrożne podejście i przejście na drugą stronę. Reszta drużyny zatrzymała się pięćdziesiąt metrów od drogi, pozwalając zwiadowcy zbadać teren na prawo i lewo przed przejściem, aż upewnił się, że jest bezpieczne. Wówczas po hiszpańsku nadał krótką wiadomość do kapitana Ramireza.

- Przejście czyste.

W odpowiedzi usłyszał podwójny trzask zakłóceń, gdy kapitan przełączył radio na nadawanie, ale nic nie powiedział. Chavez potwierdził w ten sam sposób i zaczął, aż przejdzie reszta drużyny.

Teren był tu dogodnie płaski, do tego stopnia, że Ding zastanawiał się, po co trenowali w niebotycznych, pozbawionych powietrza górach. Chyba dlatego że miejsca te były dobrze ukryte, wytłumaczył sobie. Dżungla była gęsta, ale nie aż tak, jak w Panamie.

Napotykali gdzieś ślady krótkotrwałych prac rolnych, najprawdopodobniej jednosezonowe poletka powstawały przez ścięcie i wypalenie kawałka dżungli. Widział

pół tuzina spróchniałych bud, w których jacyś biedacy próbowali urządzić się z rodzinami, hodując fasolę lub coś innego, co i tak nie wyszło. Te widome oznaki nędzy robiły na nim przygnębiające wrażenie. Ludzie zamieszkujący ten region nosili podobne do jego nazwiska, mówili językiem, który różnił się tylko akcentem od mowy jego rodzinnego domu. Czy gdyby jego ojciec nie zdecydował się wyjechać do Kalifornii i zbierać tam sałatę, to wychowałby się też w takiej budzie? Jeśli tak, co by teraz robił? Szmuglowałby narkotyki albo może ochraniał z karabinem jednego z baronów kartelu? Dręczyła go ta myśl. Duma osobista nie pozwalała mu poważnie traktować takiej możliwości, a jednak kołatała się uporczywie w zakamarkach jego świadomości. Panowała tu nędza, a nędzarze nie gardzili żadną sposobnością polepszenia swojego losu. Jak mógłbyś spojrzeć w twarz swoim dzieciom i powiedzieć, że nie możesz ich nakarmić, nie gwałcąc jednocześnie prawa? Nie mógłbyś. Cóż innego dziecko zrozumiałoby, mając pusty brzuch? Biedacy nie mają wielkiego wyboru. Chavez trafił do armii i znalazł w niej prawdziwy dom, bezpieczeństwo i przyszłość, braterstwo i szacunek. A tu...?

Biedni ludzie. Ale co się stało z ludźmi w jego rodzinnym barrio! Zatrute życie, całe dzielnice przeżarte zepsuciem. Kto ponosił za to odpowiedzialność?

Mniej dumania, więcej roboty, mano, skarcił się. Chavez włączył noktowizor, ruszając na następny odcinek szlaku.

Szedł wyprostowany, nie w przysiadzie, jak można by oczekiwać. Stopami skrupulatnie pieścił podłoże, upewniając się, czy nie nastąpi na suchą gałąź, i starał się unikać krzaków, których liście czy kolce mogłyby zaczepić o mundur i zaszeleścić podejrzenie. W miarę możliwości szedł przesiekami, trzymając się przy samej linii drzew, aby jego sylwetka nie odznaczała się na tle zachmurzonego nieba. Lecz głównym wrogiem w nocy był hałas, nie widok. Zdumiewające, jak w dżungli wyostrzał się człowiekowi słuch. Wydawało mu się, że słyszy każdego owada, każdego ptaka, każdy podmuch wiatru i szelest liści nad głową. Ludzkich odgłosów jednak nie słyszał. Ani kaszlu, ani szeptów, żadnych metalicznych dźwięków charakterystycznych dla człowieka. Wprawdzie nie szedł rozluźniony, poruszał się jednak pewnie, tak jak na ćwiczeniach. Co pięćdziesiąt metrów przystawał i starał się usłyszeć idących za nim kolegów. Najłżejszego szeptu, nie było nawet słychać. Oso z ciężką bronią i morderczym bagażem. Cisza zapewniała im bezpieczeństwo.

Zastanawiał się, jak groźny jest przeciwnik. Na pewno dobrze wyposażony. Za taką forszę można było kupić każdą broń - w Ameryce albo gdzie indziej. Ale wyszkoleni żołnierze? Nie ma siły.

Więc na ile są groźni? Może dorównywali chłopakom z jego dawnego gangu.

Kultywowali siłę fizyczną, ale nie w zorganizowany sposób. Byli tacy groźni, tacy silni, kiedy mieli przewagę w uzbrojeniu albo liczbie. Dlatego brakowało im umiejętności w posługiwaniu się bronią i opanowania taktyki. Polegali na zastraszeniu i byli ciężko zaskoczeni, gdy ludzie się ich nie chcieli bać. Może jeden z drugim umieli polować, ale nie umieli poruszać się zorganizowaną grupą. Nie wiedzieli nic o wspomaganiu ogniowym, wzajemnym wsparciu i ostrzale przy ziemi. Może i potrafili zrobić zasadzkę, ale sztuka skutecznego zwiadu już przekraczała ich możliwości. Brakowało im odpowiedniej dyscypliny. Chavez nie wątpił, że gdy dotrą do celu, zastanie wartowników z zapalonymi papierosami. Nauka sztuki wojennej wymaga czasu -

czasu, dyscypliny i chęci. Nie, z takimi osiłkami sobie poradzi. Osilki to tchórze. Ci byli najemnikami dla pieniędzy. Chavez zaś był dumny z wykonywania obowiązku z miłości do swojej ojczyzny i - choć sam tak by tego nie nazwał - z miłości do swoich kolegów z oddziału. Prysłły wątpliwości, które nawiedziły go po odlocie śmigłowca.

Choć spełniał rolę zwiadowcy, żywił niekiedy nadzieję, że będzie miał okazję posłużyć się swoim MP-5 SD2.

Dotarli do Piły Tarczowej punktualnie według planu. Tu odpoczęli, po czym Chavez poprowadził oddział ku celowi całonocnego marszu, do punktu kontrolnego Tarnik.

Był to niski, porośnięty drzewami pagórek, pięć kilometrów od celu. Ding skrupulatnie sprawdził, czy Tarnik jest bezpieczny. Szukał zwłaszcza śladów zwierzyny łownej oraz tropów myśliwych. Nie znalazł nic. Drużyna przybyła na miejsce dwadzieścia minut później, gdy zawiadomił ją przez radio; zrobiła pętlę, zacierając skrętnie ślady.

Kapitan Ramirez zbadał miejsce równie ostrożnie jak Chavez i też nie miał zastrzeżeń.

Żołnierze dwójkami rozeszli się szukać dla siebie miejsc na posiłek i nocleg. Ding trzymał się z sierżantem Vegą i razem obrali pozycję obronną na najbardziej zagrożonej linii - północno-

-wschodniej - gdzie ustawili jeden z dwóch karabinów maszynowych. Medyk wraz z kimś do pomocy poszedł do pobliskiego strumienia napełnić manierki, zwracając wszystkim uwagę, żeby używali tabletek do oczyszczania wody. Wybrano miejsce na latrynę, do której wrzucano również śmieci pozostałe po ich dziennych racjach. Ale najpierw odbyło się czyszczenie broni, mimo że jeszcze nieużywanej. Każda dwójka czyściła swoją broń po jednej sztuce naraz, a dopiero potem martwiła się o jedzenie.

- Nie było tak źle - rzekł Vega, gdy słońce wynurzyło się zza drzew.

- Płasko i wygodnie - przyznał Chavez, ziewając. - Ale w dzień będzie żar jak skurwysyn.

- Masz, rozpuść sobie, mano - Vega podał mu torebkę koncentratu gatorada.

- Świetnie! - Chavez przepadał za gatorada. Rozdarł torebkę i wsypał zawartość do manierki, potrząsając nią, by proszek dobrze rozpuścił się w wodzie. - Kapitan wie?

- Gdzie tam, po co go drażnić?

- Właśnie. - Chavez wsadził pusty woreczek do kieszeni. - Szkoda, że nie robią piwa w proszku, co? - Zarechotali. Żaden nie pozwoliłby sobie na takie głupstwo, ale zgodzili się obaj, że ogólnie i abstrakcyjnie rzecz ujmując, zimne piwo nie jest takie złe.

- Rzucamy, kto pierwszy idzie spać - powiedział Vega. Okazało się, że ma jedną ćwierćdolarówkę do tego celu. Dostali po

pięćset dolarów na głowę w lokalnej walucie, ale wszystko w banknotach, bo monety robią hałas. Wyszła reszka. Chavez czuwał więc przy karabinie, a Vega ułożył się do snu.

Ding ułożył się na swojej pozycji. Julio wybrał świetne miejsce, za rozłożystym krzakiem, z niską przymą ziemi, która powstrzyma kule, lecz nie zasłoni mu widoku, a karabin maszynowy miał wolne pole ostrzału dochodzące do niemal trzystu metrów.

Ding upewnił się, że w komorze jest nabój, a broń zabezpieczona. Wyjął lornetkę, by rozejrzeć się po okolicy.

- Co tam widać, sierzancie? - spytał cicho kapitan Ramirez.

- Żadnego ruchu, kapitanie. Czemu nie prześpi się pan trochę? Będziemy czuwać. -

Ding wiedział, że o oficerów trzeba się troszczyć. A jeżeli sierzanci tego nie dopatrzą, to kto?

Ramirez przejrzał stanowiska. Dobrze chłopcy wybrali. Obaj najedli się i odświeżyli, jak na dobrych żołnierzy przystało, do zachodu słońca zdążą wypocząć - przeszło dziesięć godzin. Kapitan poklepał Chaveza po plecach i wrócił na swoją pozycję.

- Wszystko gotowe - zameldował sierżant radiotelegrafista Ingeles. Ustawił już antenę satelitarną do radia. Składała się tylko z dwóch kawałków stali, kształtem i rozmiarem przypominających szkolne

linijki, połączone w krzyż, oraz kilku prętów służących za stojak. Ramirez spojrział na zegarek. Czas na transmisję.

- Zmienna, tu Nóż, odbiór. - Sygnał powędrował trzydzieści osiem tysięcy kilometrów do geostacjonarnego satelity komunikacyjnego, który przekazał go z powrotem na ziemię, do Panamy. Trwało to jedną trzecią sekundy, a za następne dwie sekundy nadeszła odpowiedź. Nie słyhać było niemal żadnych zakłóceń atmosferycznych.

- Nóż, tu Zmienna. Wasz sygnał jest bardzo dobry. Odbiór.

- Jesteśmy na pozycji. Posterunek „Tarnik”. Wszystko w porządku. Nie mamy nic do przekazania, odbiór.

- Dobra. Bez odbioru.

Clark siedział w rogu przy drzwiach w wozie łączności na wzgórzu. Nie nadzorował

operacji - broń Boże - ale Ritter postanowił, że jego doświadczenie taktyczne może się przydać w razie potrzeby. Na ścianie naprzeciw stelaży ze sprzętem komunikacyjnym wisiała duża mapa taktyczna ukazująca rozmieszczenie poszczególnych drużyn w punktach kontrolnych. Wszystkie dotarły na miejsce punktualnie. Przynajmniej ten, co planował tę operację, wiedział - albo posłuchał tych, którzy wiedzą - co mogą, a czego nie mogą dokonać ludzie w dżungli. Szacunki czasu i odległości okazały się rozsądne.

Cóż za miła niespodzianka, pomyślał Clark. Rozejrzał się wokoło. Poza dwoma łącznościowcami, w wozie siedziało dwóch wysokich funkcjonariuszy z wydziału operacji, z których żaden nie miał tego, co Clark uznałby za znawstwo w tym szczególnym rodzaju operacji. Obaj jednak byli bliskimi i zaufanymi współpracownikami Rittera. No cóż, przyznał w duchu, faceci z moim doświadczeniem w większości plewią ogródki na emeryturze.

Serce Clarka było tam, w terenie. Wprawdzie nie pracował nigdy ani w Ameryce Północnej, ani w Południowej, a przynajmniej w lasach obu Ameryk, jednak mniejsza o szczegóły, był już kiedyś tam, w ostępach dżungli, samotny jak samotny może być człowiek zdany bez reszty na śmigłowiec, który mógł się zjawić albo nie, połączony z własnymi siłami jedynie niewidzialną nicią fal radiowych. Dzisiejsze radia były znacznie doskonalsze; to jedna z istotnych zmian na lepsze, trzeba przyznać sprawiedliwie.

Gdyby jednak coś się stało, radia te nie sprowadziłyby eskadry samolotów, których silniki z dopalaczami grzmiały na całym niebie i których bomby wstrząsały ziemią piętnaście minut po twoim wezwaniu pomocy. Nie, tym razem tak nie będzie.

Mój Boże, czy oni o tym wiedzą? Czy zdają sobie w pełni sprawę, co to oznacza?

Nie. Nie mogą. Są za młodzi. Dzieciaki. To wszystko jeszcze dzieciaki. Fakt, że byli starsi, więksi i silniejsi od jego własnych dzieci, nie miał tu nic do rzeczy. Clark wszakże operował w Kambodży i

Wietnamie - Północnym i Południowym. Zawsze z małymi oddziałami żołnierzy z bronią i radiami, zawsze niemal działając w ukryciu, łowiąc informacje i starając się spieprzać, tak żeby nikt ich przypadkiem nie zauważył.

Na ogół się udawało, ale niektórzy z nich o mały włos...

- Na razie wszystko gra - rzekł jeden z dostojnych gości, sięgając po kubek z kawą.

Jego towarzysz potwierdził skinieniem głowy.

Clark tylko uniósł brew. A co wy dwaj wiecie, do cholery, na ten temat?

Moira zauważyła, że dyrektor jest podekscytowany „Tarponem”. Nic dziwnego, pomyślała, robiąc notatki. Sprawa potrwa jeszcze tydzień, ale już wpisywano informacje o przechwytywaniu pieniędzy. Czterech specjalistów z Departamentu Sprawiedliwości siedziało cały dzień nad raportem dostarczonym przez Marka Brighta.

Skomputeryzowana bankowość - Jak się zdążyła zorientować - znacznie ułatwiała zadanie. Gdzieś w Departamencie Sprawiedliwości mieli faceta, który potrafił dotrzeć do komputerowych danych każdego banku na świecie. A może nie w Sprawiedliwości.

Może któraś z agencji wywiadowczych albo prywatny kontrahent, bo legalność tego kroku była cokolwiek dwuznaczna. W każdym razie, porównując dane Komisji Papierów Wartościowych z licznymi operacjami bankowymi, zdołali już wyłuskać narkotykowe pieniądze służące do finansowania przedsięwzięć, w których ofiara (przynajmniej żona i dzieci były prawdziwymi ofiarami, pomyślała Moira) próbowała je wyprać. Pierwszy raz widziała, aby tryby sprawiedliwości obracały się w tak zawrotnym tempie.

Cóż za bezczelność! Myślą sobie, że mogą spokojnie inwestować i prac swoje plugawe pieniądze pod naszym nosem! Juan miał rację, oburzając się na nich i ich arogancję, pomyślała Moira. No, ale teraz miny im zrzedną. Rząd mógł położyć rękę na co najmniej sześciuset milionach dolarów na czysto, po odtrąceniu wszystkich obciążeń, nie licząc jeszcze dochodów, których się spodziewali po ugodowym postępowaniu ze wszystkimi zainteresowanymi. Sześćset milionów dolarów! Oszalająca suma.

Owszem, słyszała już o miliardach narkodolarów wypływających z kraju, ale szacunki te były tak pewne jak prognozy pogody. „Wyglądało na to - Jak zanotowała pod dyktando dyrektora - że kartel nie był zadowolony z poprzednich metod prania pieniędzy i doszedł do wniosku, że sprowadzanie pieniędzy z powrotem do ich kraju powoduje tyle samo problemów, ile rozwiązuje. Stąd można przypuszczać, że po wypraniu pierwotnych funduszy - co przyniosło ogromny zysk - postanowili tak pokierować swoimi środkami, żeby stworzyć z nich potężny trust inwestycyjny, który w majestacie prawa mógł wykupywać po kolei wszystkie przedsiębiorstwa komercyjne w swoim kraju, a także w innych krajach, w których chcieliby poszerzyć wpływy polityczne czy gospodarcze. Sprawa nader interesująca - ciągnął Emil - gdyż kto wie, czy nie jest to przymiarka ludzi z kartelu do wyprania samych siebie i uzyskania czystej

„legitymacji” w stopniu niebudzącym żadnych zastrzeżeń przynajmniej w lokalnym, południowoamerykańskim kontekście politycznym”.

- Na kiedy mam to przepisać, panie dyrektorze? - spytała pani Wolfe.

- Jutro spotykam się z prezydentem w tej sprawie.

- Ile kopii?

- Pięć, wszystkie ponumerowane. Moira, to jest ściśle tajny materiał - przypomniał jej na koniec.

- Jak tylko skończę pisać, zjem dyskietkę - obiecała. - Dyrektor Grady przychodzi na lunch, a minister sprawiedliwości odwołał jutrzejszą kolację. Musi jechać do San Francisco.

- A po cóż minister sprawiedliwości leci aż do San Francisco?

- Jego syn postanowił się ożenić i zawiadomił go w ostatniej chwili.

- Zaiste ostatniej - zgodził się Jacobs. - Kiedy tobie to grozi?

- Jeszcze nie tak prędko. A pańska podróż do Kolumbii, zna pan już datę, żebyśmy mogła wprowadzić zmiany w harmonogramie?

- Niestety, wciąż nie wiem. Nie powinno być dużo zmian, jak sądzę. Wyjazd planowany jest na weekend. Początek wcześniej w piątek, powrót najpóźniej do lunchu w poniedziałek. Chyba nic ważnego nie tracę.

- Cieszę się. - Moira wyszła z uśmiechem na ustach.

- Dzień dobry. - Prokurator okręgowy miał trzydzieści siedem lat i nazywał się Edwin Davidoff. Miał ambicję zostać pierwszym Żydem wybranym na senatora ze stanu Alabama. Wysoki, krzepki, stukilogramowy były reprezentant uniwersyteckiej drużyny zapaśniczej, wykorzystał

skrzętnie prezydencką nominację i zdobył wkrótce reputację nieugiętego, skutecznego i krystalicznie uczciwego wyraziciela woli ludu. Prowadząc sprawy łamania praw obywatelskich, powoływał się na Prawo Tej Ziemi i na wszystkie Fundamentalne Amerykańskie Wartości. Gdy zaś prowadził głośniejszą sprawę karną, mówił o Ładzie i Porządku oraz że Ludzie Chcą Żyć Bezpiecznie. Mówił doprawdy bardzo dużo. Ze świecą trzeba by szukać grupy rotarian, gdzie nie przemawiał w ciągu ubiegłych trzech lat, a na pewno nie omieszkał odwiedzić wszystkich komend policji. Jego stanowisko głównego strażnika federalnego prawa w tej części Alabamy miało wybitnie administracyjny charakter, jednak zdarzało mu się samemu prowadzić sprawę, zawsze bardzo głośną. Najżywiej zajmował się polityczną korupcją, o czym dotkliwie przekonało się trzech stanowych ustawodawców, którzy teraz grabili trawę na oficerskim polu golfowym w bazie Sił Powietrznych Eglin.

Edward Stuart siadł naprzeciw biurka. Davidoff był człowiekiem uprzejmym i powitał

Stuarta na stojąco. Uprzejmi oskarżyciele niepokoili Stuarta.

- Mamy wreszcie potwierdzenie tożsamości twoich klientów - rzekł tonem, który mógłby udawać zaskoczenie, ale brzmiał całkiem rzeczowo. - Okazuje się, że są obywatelami kolumbijskimi i mają na koncie bez mała tuzin aresztowań do spółki.

Czyż nie twierdziłeś, że są z Kostaryki?

Stuart odbił piłkę:

- Dlaczego identyfikacja tak długo trwała?

- Nie wiem. Ale przecież to nie ma większego znaczenia. Złożyłem prośbę o możliwie szybki termin rozprawy.

- A co z obietnicą złożoną mojemu klientowi przez Straż Przybrzeżną?

- Złożono ją po jego spowiedzi. A zresztą i tak nie wykorzystamy spowiedzi, bo jest zbędna.

- Ponieważ została wymuszona w sposób jaskrawo...

- To bzdura i dobrze o tym wiesz. Tak czy owak, nie odegra żadnej roli w tej sprawie.

Jeśli o mnie chodzi, spowiedź nie istnieje, w porządku? Ed, twoi klienci popełnili zbiorowe morderstwo i za to poniosą karę. Najwyższą karę.

Stuart pochylił się do przodu.

- Mogę dostarczyć ci informacji...

- Nie obchodzi mnie, co mają do powiedzenia - rzekł Davidoff. - Będzie się ich sędzić za morderstwo.

- Zwykle postępowano inaczej - oponował Stuart.

- Może właśnie w tym kłopot. Tym procesem przekazemy wiadomość.

- Chcesz skazać moich klientów na śmierć po to tylko, by wysłać wiadomość. - To nie było pytanie.

- Wiem, że różnimy się w poglądach na temat odstraszającego waloru najwyższego wymiaru kary.

- Chciałbym zamienić przyznanie się do morderstwa i wszystkie informacje na dożywocie.

- Nie ma siły.

- Jesteś aż tak pewien, że wygrasz sprawę?

- Znasz przecież dowody - odparł Davidoff.

Prawo nakazywało stronie oskarżającej udostępnić obronie wszelkie materiały. Nie obowiązywało to w drugą stronę. Przepis ten stanowił instytucjonalną gwarancję sprawiedliwego procesu dla oskarżonych, aczkolwiek nie miał szerokiego poparcia wśród policjantów i prokuratorów. Prawo było jednak prawem, a Davidoff zawsze grał zgodnie z przepisami. Z tego między innymi powodu był dla Stuarta taki niebezpieczny. W całej karierze nie przegrał sprawy albo apelacji na podstawie uchybień proceduralnych. Davidoff był wytrawnym technikiem prawnym.

- Jeśli zabijemy tych ludzi, niżymy się do takiego poziomu, na jakim oni żyją.

- Ed, żyjemy w demokratycznym kraju. Ludzie ostatecznie decydują, jakie powinny być prawa, i ludzie też opowiadają się za karą śmierci.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić.

- Byłbym rozczarowany, gdybyś postąpił inaczej.

Chryste, ależ ty będziesz doskonałym senatorem, tak bezstronnym, tak tolerancyjnym wobec tych, którzy nie zgadzają się z tobą w poglądach. Nic dziwnego, że gazety cię wielbią.

- Tyle o Europie Wschodniej w tym tygodniu, tak? - rzekł sędzia Moore. - Wygląda na to, że sytuacja się nieco stabilizuje.

- Tak, panie sędzio - odparł Ryan. - Na razie jest spokojniej. Dyrektor generalny wywiadu skinął głową i zmienił temat.

- Odwiedził pan wczoraj Jamesa?

- Tak. Jest w całkiem dobrym nastroju, ale wie. - Ryan nie znosił tych sprawozdań o zdrowiu pacjenta. Tak jakby był lekarzem.

- Idę do niego dziś wieczorem - powiedział Ritter. - Potrzebuje czegoś, wziąć mu coś?

- Materiał do pracy. Wciąż chce pracować.

- Dostanie wszystko, czego chce - powiedział Moore. Ryan zauważył, że Ritter, słysząc to, poruszył się niespokojnie. - Doktorze Ryan, radzi pan sobie całkiem dobrze.

Zamierzam zasugerować prezydentowi, że spełnia już pan wszelkie warunki, by stać się następnym ZDW... wiem, co pan czuje; niech pan nie zapomina, że ja pracowałem z nim dłużej od pana... i...

- Panie sędzio, admirał Greer nie umarł - zaprotestował Jack. Już miał na końcu języka, jeszcze" i przeklął siebie za to, że słowo to w ogóle przyszło mu do głowy.

- Nie wyjdzie z tego, Jack - rzekł łagodnie Moore. - Przykro mi o tym mówić. Jest też moim przyjacielem. Ale naszym zadaniem jest służyć krajowi. To jest ważniejsze niż nasze sentymenty, nawet w przypadku osoby takiego formatu jak James. Co więcej, James jest zawodowcem i nie spodobałoby mu się pańskie podejście do sprawy.

Ryan pohamował odruch skruchy na tę reprimendę. Ale zabolą go, tym bardziej że sędzia miał rację. Jack wziął głęboki oddech i skinął potwierdzająco głową.

- James powiedział mi w zeszłym tygodniu, że widziałby ciebie jako swojego następcę.

Sądzę, że jesteś już chyba przygotowany. A tobie jak się zdaje?

- Panie sędzio, myślę, że jestem gotów z technicznego punktu widzenia, ale brak mi doświadczenia politycznego potrzebnego na tym stanowisku.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się tego nauczyć... a swoją drogą, wydział do spraw wywiadu wcale nie powinien być miejscem na uprawianie polityki - Moore uśmiechnął

się, podkreślając ironię swojego stwierdzenia. - Prezydent cię lubi i lubi cię Kapitol. Na razie tylko pełnisz obowiązki dyrektora. Stanowisko będzie oficjalnie obsadzone dopiero po wyborach, lecz obejmujesz fotel tymczasowo. Jeśli James wyzdrowieje, czego mu wszyscy życzymy, to bardzo dobrze. Każdy dodatkowy dzień pod jego kierunkiem tylko ci wyjdzie na dobre. Ale nawet jeżeli wyzdrowieje, wkrótce i tak przejdzie na emeryturę. Nie ma ludzi niezastąpionych, a James uważa, że jesteś gotowy. Ja także.

Jack nie wiedział, co powiedzieć. Poniżej czterdziestki miał oto jedno z najważniejszych stanowisk w branży. Praktycznie rzecz biorąc, piastował je już od kilku miesięcy - jeśli nawet nie od lat, jak mogliby sądzić niektórzy - lecz teraz stało się to oficjalne, a była to jednak dlań jakaś różnica. Będą przychodzić do niego po rady i opinie. Tak jak od dłuższego czasu, ale dotychczas miał się kim podeprzeć. Koniec tego luksusu. Będzie przedstawiał informacje sędziemu Moore'owi i czekał

na ostateczny werdykt, ale od dziś odpowiedzialność za właściwe decyzje spada wyłącznie na niego. Do tej pory wszystkie opinie i warianty musiał przedyskutować ze swoimi zwierzchnikami. Od teraz będzie przedstawiał swoje decyzje strategiczne bezpośrednio najwyższemu czynnikowi decyzyjnym. Wzrost odpowiedzialności, aczkolwiek subtelny, był jednak ogromny.

- Informacje zastrzeżone pozostaną jednak na razie zastrzeżone - podkreślił Ritter.

- Oczywiście - rzekł Ryan.

- Zawiadomię Nancy i szefów podległych ci wydziałów - powiedział Moore. - James napisał list, który im odczytam. To jest kopia dla ciebie.

Ryan wstał i wziął list.

- Ma pan chyba dużo pracy, doktorze Ryan - rzekł Moore.

- Tak, panie sędzio. - Jack odwrócił się i wyszedł z pokoju. Wiedział, że powinien czuć się dumny, ale zamiast tego miał wrażenie, że wpadł w potrzask. Domyślał się, dlaczego.

- Za szybko, Arthur - powiedział Ritter, gdy Jack wyszedł z pokoju.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Bob, ale nie możemy zostawić wywiadu na pastwę losu, tylko dlatego że nie chcesz włączyć go do „Rewii na Wodzie”. Nie zostanie w to wtajemniczony, a przynajmniej będzie całkowicie odcięty od działań wydziału operacji.

Trzeba mu będzie przekazać informacje, które teraz rozpracowujemy. Na miłość boską, jego wiedza na temat finansów bardzo nam się tu przyda. Wcale przecież nie musi wiedzieć, skąd bierzemy te informacje. Poza tym, jeśli prezydent zgadza się na rozpoczęcie operacji i dostanie aprobatę z Kapitolu, mamy wolną rękę.

- Kiedy idziesz z tym na Kapitol?

- Jutro po południu czterech przychodzi do mnie. Powołujemy się na klauzulę specjalnych i ryzykownych operacji.

KSIRO to nieformalne ograniczenie prawa nadzoru Kongresu nad działalnością służb specjalnych. Wprawdzie Kongresowi przysługiwało prawo nadzorowania wszystkich operacji wywiadowczych, to jednak dwa lata wcześniej przeciek z jednej z wybranych komisji spowodował śmierć szefa rezydentury CIA i wysoko notowanego azylanta.

Miast wnosić o oficjalny nadzór, sędzia Moore spotkał się z zaufanymi członkami obu komisji i otrzymał pisemną zgodę, że w uzasadnionych przypadkach wyłącznie przewodniczącym i wiceprzewodniczącym każdej komisji udostępni się niezbędne informacje. Sami wówczas już mieli decydować, czy podzielią się informacjami z całym komisjami. Jako że obecni byli członkowie obu partii politycznych, żywiono nadzieję, iż nie dojdzie do

manipulacji poufnymi informacjami dla rozgrywek politycznych. Gwoli dodatkowego zabezpieczenia sędzia Moore sprokurował subtelną pułapkę dla całego towarzystwa.

Ktokolwiek naciskał, żeby informacje zostały udostępnione całej komisji, narażał się tym samym na zarzut stronniczości politycznej. Ponadto elitarny status czterech wtajemniczonych członków już wytworzył wśród nich poczucie uprzywilejowania, które skutecznie zamykało szeregowym członkom dostęp do informacji. Dopóki operacja nie miała wyraźnie politycznego podtekstu, dopóty istniała gwarancja, że Kongres nie będzie się wtrącał. Co najdziwniejsze, Moore'owi udało się nakłonić obie komisje do zgody na takie rozwiązanie. Lecz zaproszenie na przesłuchania wdowy i dzieci po zabitym szefie rezydentury wcale nie zaszkodziło. Bo co innego ględzić abstrakcyjnie o majestacie prawa, a co innego stanąć oko w oko z ofiarami pomyłki -

zwłaszcza gdy jedną z nich okazała się dziesięcioletnia dziewczynka bez ojca. Teatr polityczny nie był wyłącznie domeną wybranych urzędników.

- A inicjatywa prezydencka? - spytał Ritter.

- Gotowa. „Stwierdza się, iż przemysł narkotyków na teren Stanów Zjednoczonych stanowi jaskrawe i bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. Prezydent dopuszcza rozważne użycie siły militarnej zgodnie z ustalonymi wytycznymi operacyjnymi w celu ochrony naszych obywateli” i tak dalej.

- Aspekt polityczny nie bardzo mi się podoba. Moore zachichotał.

- Facetom z Kapitolu też by się nie spodobał. Trzeba więc utrzymać sprawę w tajemnicy, prawda? Jeśli prezydent pochwali się publicznie, że coś naprawdę robi, opozycja zaraz zacznie wrzeszczeć, że prowadzi polityczną grę. Jeśli zaś opozycja spali operację, prezydent może użyć tego samego argumentu. Toteż w interesie obu stron leży utrzymanie sprawy w tajemnicy. Specyfika roku elekcyjnego działa na naszą korzyść. Sprytna sztuka, ten admirał Cutter.

- Nie taki sprytny, jak mu się wydaje — zachnął się Ritter. - Ale dobre i to.

- Właśnie. Szkoda tylko, że James nie zdążył się w to włączyć.

- Będzie nam go brakowało - zgodził się Ritter. - O Boże, jakże chciałbym dać mu coś, co pozwoliłoby mu zapomnieć.

- Wiem, co masz na myśli - rzekł sędzia Moore. - Prędzej czy później włączy się Ryan.

- Niezbyt mi to odpowiada.

- Nie odpowiada ci to, Bob, że Ryan ma na swoim koncie dwie bardzo udane operacje terenowe poza swoimi sukcesami przy biurku. Może

istotnie kłusował na twoim terytorium, ale w obu przypadkach miał twoje przyzwolenie. Czy bardziej podobałoby ci się, gdyby mu się nie powiodło? Robert, nie po to mam dyrektorów wydziałów, żeby podstawiali sobie nawzajem nogi, jak Cutter i towarzystwo na Kapitolu.

Ritterowi drgnęły powieki.

- Od dawna uważam, że wciągnęliśmy go za szybko, bo taka jest prawda. Wcale nie kwestionuję jego niewątpliwych sukcesów. Prawdą jest jednak i to, że facetowi brak politycznego obycia do tej roboty. Nie dojrzał jeszcze do samodzielnego podejmowania decyzji. Leci wkrótce do Europy jako nasz reprezentant na konferencję NATO poświęconą sprawom wywiadu. Chyba nie ma powodu, żeby go wciągać do

„Rewii” przed jego wyjazdem. Jak sądzisz?

Moore miał już na końcu języka, że admirał Greer nie został wtajemniczony ze względu na stan zdrowia, co było głównym, acz nie jedynym powodem. Dyrektywa prezydencka ograniczała liczbę wtajemniczonych do nadzwyczaj wąskiej grupy ludzi, którzy rzeczywiście znali się na antynarkotykowych operacjach. Nic nowego w wywiadowczej grze: czasami zabezpieczenie operacji było tak szczelne, że pomijano nawet speców, którzy mogliby w istotny sposób pomóc, a w niektórych znanych przypadkach nawet przesądzić o jej powodzeniu. Nie brakowało wszakże w

historii przykładów klęsk wynikających z tak szerokiej bazy operacji, że procesy decyzyjne bywały sparaliżowane, a poufność niezupełna. Określenie właściwych proporcji pomiędzy bezpieczeństwem operacji a jej skutecznością stanowiło od dawien dawna najtrudniejszą łamigłówkę dla szefów wywiadu. Nie było tu żadnych reguł, a liczyło się tylko powodzenie operacji. Powieści szpiegowskie lubują się w przypisywaniu szefom komórek wywiadowczych jakiegoś tajemnego, nieomylnego szóstego zmysłu, który podpowiada im, jak prowadzić operacje. Lecz jeśli najznakomitszym chirurgom na świecie zdarza się popełniać błędy, jeśli najwytrawniejsi na świecie oblatywacze ginęli na ogół w katastrofach -ba, jeśli najlepszy futbolista nie trafi czasem nawet do pustej bramki -dlaczegoż as wywiadu miałby być inny? Jediną zasadniczą różnicą pomiędzy mądrymi a głupcami - a Moore to wiedział - jest to, że mądrym zdarzają się bardziej poważne błędy - i to tylko dlatego, że nikt głupcom nie powierzy naprawdę istotnych decyzji; tylko mędrcom dane było przegrywać bitwy... albo gubić całe narody.

- Masz rację z tą konferencją NATO. Wygrałeś, Bob. Na razie. -Sędzia Moore miał niewyraźną minę. - Co tam słycać?

- Wszystkie cztery grupy są o kilka godzin marszu od wyznaczonych stanowisk obserwacyjnych. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrą na miejsce jutro przed świtem i pojutrze zaczną przekazywać nam informacje. Piloci, których zwinęliśmy parę dni temu, wyśpiewali trochę potrzebnych, wstępnych danych.

Co najmniej dwa wyznaczone przez nas lotniska są gorące. Niewykluczone, że któreś z pozostałych też.

- Prezydent chce się ze mną jutro spotkać. Chyba Biuro podłapało coś ważnego. Emil uważa, że to bomba. Wygląda na to, że odkryli poważną operację prania pieniędzy.

- Przyda się nam?

- Wszystko na to wskazuje. Materiał jest ściśle tajny.

- Nie kijem ich, to pałką - zauważył Ritter z uśmiechem. - Może uda nam się rzeczywiście ukrócić działania tych drani.

Chavez obudził się po drugiej kolejce snu, godzinę przed zmierzchem. Sen nie przyszedł łatwo. Temperatura w dzień przekraczała czterdzieści stopni, co wraz z wysoką wilgotnością sprawiało, że nawet w cieniu dżungla zamieniała się w piec.

Pierwszą świadomą czynnością po przebudzeniu było wypicie przeszło pół litra wody -

z gatoradą - aby zrekompensować to, co wypocił podczas snu. Następnie łyknął dwie pastylki tylenolu, chleb powszedni oddziałów szturmowych, łagodzący bóle po codziennej dawce wyczerpującej rutyny. Teraz dokuczał mu spowodowany upałem ból głowy, jakby był na lekkim kacu.

- Czemu nie zostawić im tego cholernego piekła? - mruknął do Julia.

- Też nie mam pojęcia, mano - odpowiedział chichotem Vega.

Sierżant Chavez dźwignął się do pozycji siedzącej, rozgarniając pajęczyny. Przeciągnął ręką po twarzy. Gęsty zarost, którym chlubił się od wieku dojrzwania, pokrywał mu brodę i policzki w zwykłym tempie, ale nie miał się dziś golić. Mruknął z niesmakiem.

Regulamin wojskowy był szczególnie wymagający w sprawach higieny osobistej, a oddziały piechoty lekkiej jako jednostki elitarne miały wyglądać ślicznie. Ding śmierdział już jak drużyna koszykówki po dwóch dogrywkach, lecz nie miał zamiaru się myć. Nie włożył też świeżego munduru. Ale wyczyści znowu broń. Upewniwszy się, że Julio oporządził już swój kaem, Chavez rozłożył MP-5 na sześć części i zbadał

ich stan. Matowoczarna oksydowana powierzchnia skutecznie chroniła przed rdzą.

Mimo to, wszystkie kawałki naoliwił, przeczyścił szczoteczką do zębów każdą część mechanizmu, dopilnował, by wszystkie sprężyny były odpowiednio napięte, a magazynki niezabrudzone ziemią i piaskiem. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku złożył z powrotem broń i cicho sprawdził, czy wszystko gładko pracuje, jak należy. Wreszcie włożył magazynek,

wprowadził do komory nabój i zabezpieczył pistolet. Potem upewnił się, czy noże są czyste i ostre. Nie zapomniał oczywiście o gwiazdach.

- Kapitan się wścieknie, jak je zobaczy - powiedział szeptem Vega.

- Przynoszą szczęście - odrzekł Chavez, chowając gwiazdy do kieszeni. - Poza tym, kto wie... - Sprawdził resztę ekwipunku. Wszystko miał w porządku. Gotów był do pracy. Wyjął mapy.

- Gdzie niby dziś idziemy?

- „Reno”. - Chavez pokazał punkt na mapie taktycznej. - Niecałych pięć kilosów.

Oglądał mapę w skupieniu, zatrzymując wzrok w kilku miejscach i także tym razem notując szczegóły w pamięci. Mapa nie miała oznaczeń operacyjnych. Gdyby zginęła albo została przechwycona, wszelkie oznaczenia powiedziałyby niepowołanym ludziom to, czego nie powinni wiedzieć.

- Zobaczcie tu - podszedł do nich kapitan Ramirez z fotografią satelitarną.

- To chyba nowe mapy, panie kapitanie.

- Tak. W KADO - chodziło mu o Kartograficzną Agencję Departamentu Obrony - do niedawna nie mieli dobrych map tych terenów. Zrobili je na podstawie zdjęć satelitarnych. Macie jakieś problemy?

- Nie, panie kapitanie - Chavez uśmiechnął się. - Droga płaska i przyjemna, więcej rzadszego lasu... zapowiada się lepiej niż wczorajszej nocy.

- Jak będziemy już blisko, chcę, żebyście podeszli pod takim kątem do naszego docelowego biwaku.
- Ramirez przejechał ręką po mapie. -Ostatni odcinek pójdę z tobą, na zwiad dowódcy.
- Rozkaz, szefie - potwierdził Ding.
- Tu zaplanuj odpoczynek, punkt kontrolny „Kilof.
- Jasne.

Ramirez podniósł głowę i rozejrzał się po okolicy.

- Pamiętaj, co było na odprawie. Te łobuzy są podobno dobrze zabezpieczone. Uważaj szczególnie na miny pułapki. Jeśli tylko coś zauważysz, daj mi natychmiast znać...

chyba że nie będzie to bezpieczne. W razie wątpliwości, pamiętajcie obaj, że misja jest tajna.

- Doprowadzę nas tam, kapitanie.
- Przepraszam, Ding - Ramirez zmienił ton - może mówię jak rozhisteryzowana baba.
- Tylko nogi nie jak u baby, kapitanie - zarechotał Chavez.
- Wytrzymasz z tym kaemem jeszcze jedną noc, Oso? - spytał kapitan Vegę.
- Nosiłem już cięższe wykałaczkę, ye/e.

Ramirez roześmiał się i poszedł sprawdzić następną dwójkę.

- Znałem gorszych kapitanów niż ten - powiedział Vega, gdy dowódca się oddalił.
- Ciężko pracuje - mitygował Chavez. Podeszedł do nich sierżant Olivero.
- Jak u was z wodą? - spytał medyk.
- Mniej o litr u każdego - odparł Vega.

- Macie natychmiast wypić całą manierkę.

- Doktoru, po co ten pośpiech? - protestował Chavez.

- Bez jaj, panowie. Dostanie taki udaru i ja muszę później dupy nadstawiać. Jak nie chce wam się szczać, to znaczy, że za mało pijecie, jasne? Udawajcie, że pijecie piwsko - zaproponował, gdy już wyjęli manierki. - Zapamiętajcie sobie: jak nie chcecie sikać, to chcecie pić. Do cholery, Ding, już ty to powinieneś wiedzieć, chociażby z Hunter-Liggett. Ten pieprzony klimat wysuszy wam flaki, zanim się zdążycie obejrzeć, a ja nie mam zamiaru nosić waszej padliny, wysuszonej czy nie.

Olivero miał oczywiście rację. Chavez połknął zawartość manierki trzema haustami.

Vega poszedł z medykami do pobliskiego strumienia napełnić puste pojemniki. Wrócił

po kilku minutach. Oso zaskoczył przyjaciela dwiema nowymi torebkami gatorady w proszku. Medyk, wyjaśnił Vega, miał swój własny zapas. Jedyne szkopało w tym, że tabletki do oczyszczania wody nie mieszały się dobrze z gatoradą, ale chodziło raczej o elektrolity, a nie smak.

Ramirez zebrał ludzi o zachodzie słońca i powtórzył wszystkim to, co powiedział na odprawie z poszczególnymi dwójkami. Powtarzanie jest podstawą wyjaśniania, zapamiętał Chavez z jakiegoś podręcznika. Wszyscy z drużyny byli brudni. Gęsty u większości zarost i zmierzwiłone włosy ulepszały tylko kamuflaż, wykluczając niemalże potrzebę farby maskującej. Ten i ów narzekał na bóle, spowodowane głównie podłymi warunkami spania, ale czuli się zdrowi i wypoczęci. I chętni do działania. Pozbierali i spalili śmieci. Olivero spryskał je gazem łzawiącym, zanim przysypali dół ziemią.

Odstraszy to zwierzyńcę od rozgrzebywania odpadków na kilka tygodni. Kapitan Ramirez zrobił ostatni obchód obozowiska przed zmierzchem. Gdy Chavez wyruszył

na czoło, teren wyglądał tak, jakby ich tam nigdy nie było.

Ding przeszedł polanę na tyle szybko, na ile pozwalała ostrożność, obserwując drogę przez gogle noktowizyjne. Znów, posługując się kompasem i punktami orientacyjnymi, mógł poruszać się prędko, zwłaszcza że już coraz pewniej czuł teren. Jak poprzedniej nocy, nie słyszał nic

prócz odgłosów natury, a rzadszy las dodatkowo ułatwiał zadanie. Szedł szybciej niż kilometr na godzinę. A najważniejsze, że jeszcze nie natknął się na węża.

Dotarł do punktu kontrolnego „Kilof” w niespełna dwie godziny, rozluźniony i pewny siebie. Spacer przez dżunglę pomógł mu tylko rozruszać zeszywniałe mięśnie. Po drodze zatrzymał się dwa razy, by łyknąć wody, i jeszcze kilka razy, by nasłuchiwać, ale wciąż nie usłyszał żadnych niespodziewanych dźwięków. Co trzydzieści minut komunikował się przez radio z kapitanem Ramirezem.

Wybrałszy miejsce na odpoczynek, Chavez zaczął dziesięć minut, aż dołączy reszta drużyny. Jeszcze dziesięć minut i wyruszył na ostatni etap, do punktu kontrolnego

„Młotek”. Żył cichą nadzieją, że lista narzędzi wyczerpie się wreszcie.

Wzmógł teraz czujność. Odtwarzał mapę z pamięci, a im bliżej podchodził do celu, tym większe prawdopodobieństwo, że natknie się na kogoś. Zwolnił niemal nieświadomie. Pół kilometra od „Kilofa” usłyszał jakiś ruch po prawej stronie. Cichy odgłos, ale odgłos istoty stąpającej po ziemi. Uniesioną ręką powstrzymał drużynę, póki nie sprawdził, co to jest - Vega uczynił to samo, celując kaemem w miejsce, z którego dochodził odgłos - lecz cokolwiek to było, oddaliło się na południowy zachód.

Jakieś zwierzę, był pewien, choć odczekał jeszcze kilka minut, nim poczuł się na tyle bezpiecznie, by ruszyć w dalszą drogę. Sprawdził kierunek wiatru. Wiał zza pleców, z lewej strony. Ding zastanowił

się, czy aby jego coraz mocniejszy zapaszek nie jest wyczuwalny dla człowieka; chyba jednak nie - doszedł do wniosku. Gnilne odory dżungli wciąż wygrywały w tej konkurencji. Ale z drugiej strony przydałoby się chyba umyć raz na jakiś czas...

Dotarł do „Młotka” już bez żadnych zakłóceń. Znajdował się teraz kilometr od celu.

Znów zebrał się cały oddział. Niecałych pięćdziesiąt metrów od punktu kontrolnego przepływała rzeczka, w której uzupełniono zapasy wody. Następny postój znajdował

się już w punkcie zbiornym przy celu, wybranym ze względu na łatwość rozpoznania.

Ding doprowadził grupę na miejsce w niespełna godzinę. Oddział uformował się w kolejny obwód obronny, gdy tymczasem zwiadowca naradzał się z dowódcą.

Ramirez wyjął mapę. Chavez i kapitan włączyli lampki na podczerwień, wchodzące w skład zestawów noktowizyjnych, i porównywali szczegóły na mapach i zdjęciach satelitarnych. Dołączył do nich także sierżant operacyjny o nazwisku, nomen omen, Guerra. Droga dochodziła do lotniska z przeciwnej strony, wijąc się wzdłuż rzeczki, której brzegiem

doszli do punktu zbiornego. Jedyne widoczne na zdjęciu budynki również znajdował

się po przeciwnej stronie celu.

- To chyba najlepsze dojsście, kapitanie - zauważył Chavez.

- Też tak myślę - odpowiedział Ramirez. - Sierżancie Guerra?

- Wygląda, w porządku.

- Dobra. Jeśli dojdzie do kontaktu, to właśnie w tej okolicy. Trzeba wyznaczyć posterunki. Chavez, idę z tobą. Guerra, przyprowadzisz resztę za nami, jeśli będą jakieś kłopoty.

- Tak jest - odpowiedzieli obaj sierżanci.

Ding z przyzwyczajenia wyjął szminkę maskującą i posmarował twarz na zielono i czarno. Włożył rękawiczki. Wprawdzie nie znosił spoconych rąk, jednakże czarna skóra rękawic to dodatkowy kamuflaż. Ruszył, a w ślad za nim kapitan Ramirez. Obaj mieli na sobie gogle noktowizyjne i obaj szli teraz bardzo wolno.

Rzeczka, wzdłuż której posuwali się przez ostatnie pół kilometra, odwadniała dobrze teren, co sprawiało, że podłoże w okolicy było twarde i suche - zresztą z tego samego powodu ktoś wpadł na pomysł wykarczowania tu pasa startowego. Chavez najbardziej obawiał się pułapek. Z każdym krokiem badał ostrożnie grunt, szukając drutów, po czym sprawdzał wyższą strefę na poziomie piersi i oczu. Nasłuchiwał też najlżejszych odgłosów z ziemi. Znów pomyślał o zwierzynie łownej. Zwierzak też mógł przecież się zaplątać w drut i spowodować wybuch. Jak zareagowałby na to

przeciwnik? Chyba wysłaliby kogoś, żeby sprawdził... lepiej, żeby do tego nie doszło, bez względu na to, co tamci spodziewaliby się znaleźć.

Tylko bez paniki, mano, powiedział sobie Chavez.

Nareszcie: hałas. Dochodził pod wiatr. Niski, daleki szmer męskich głosów. Choć odgłosy przerywane były ciszą i tak niewyraźne, że nie dało się rozpoznać języka, nie miał wątpliwości, że to ludzka mowa.

Kontakt. *p*>

Chavez odwrócił się i spojrzał na kapitana, wskazując kierunek, z którego dochodził

szmer i pukając palcem w ucho. Ramirez potwierdził skinieniem głowy i pokazał

Chavezowi, żeby szedł dalej.

Niezbyt mądrzy ludzie - oszacował swój łup Chavez. Tylko durnie gadają tak, że słysząc ich z dwustu metrów. Ułatwiacie mi zadanie. Nie żeby sierżant miał coś przeciwko temu. Samo to, że tu był, dawało mu w kość.

Po chwili ścieżka.

Chavez ukląkł i szukał śladów stóp. A jakże, prowadziły w obie strony. Zrobił długi krok na drugą stronę wąskiej, ubitej dróżki i zatrzymał się. Ramirez i Chavez stanowili teraz zgrany dwuosobowy zespół, posuwając się w dostatecznie dużej odległości od siebie, by jedna seria nie trafiła obu naraz, na tyle blisko jednak, by wzajemnie się wspierać. Kapitan Ramirez był doświadczonym oficerem, świeżo po osiemnastomiesięcznej służbie jako dowódca kompanii lekkiej piechoty, ale nawet on podziwiał terenowe umiejętności Chaveza. Byli już na posterunku - przed kilkoma minutami oświadczył to swoim ludziom i od tej pory miał na głowie wszystkie zmartwienia oddziału. Dowodził tymi ludźmi. To oznaczało, że cała odpowiedzialność za powodzenie misji spoczywała na nim. Odpowiadał też za życie swoich żołnierzy.

Wprowadził dziesięciu chłopców do dżungli i miał ich wszystkich też stąd wyprowadzić. Ponadto, jako jedyny oficer, powinien być co najmniej tak dobry, jak każdy z jego podwładnych - a właściwie lepszy - w każdej specjalności. Nawet jeśli to tylko ideał, wszyscy tego po nim oczekiwali. Łącznie z kapitanem Ramirezem, na tyle od nich starszym, by wiedzieć i umieć więcej. Obserwując wszakże Chaveza dziesięć metrów przed sobą, w szarozielonym świetle noktowizyjnych gogli, poruszającego się jak duch, cichutko niczym powiew wiatru, Ramirez musiał stłumić w sobie poczucie niższości, które po chwili ustąpiło miejsca dumnemu uniesieniu. Wolał to od dowództwa kompanii. Dziesięciu doborowych specjalistów, każdy wybrany spośród najlepszych, jakich miała armia, i on nimi dowodził... Ramirez miał niejasne wrażenie, że właśnie doświadcza emocjonalnej karuzeli, często przeżywanej w operacjach bojowych. Ten inteligentny młody człowiek uczył się teraz kolejnej lekcji, którą przekazuje historia, choć nigdy dość wyraźnie: można nie wiadomo ile mówić, czytać i myśleć o takich rzeczach, nic jednak nie zastąpi przeżycia tego na własnej skórze.

Trening uodparnia może na stres operacji bojowej, ale nigdy go nie likwiduje.

Zdumiewało kapitana, że widzi wszystko tak przejrzysto. Zmysły miał wyostrzone, umysł pracował przytomnie i szybko. Zdawał sobie sprawę ze stresu i niebezpieczeństwa, ale był gotów na wszystko. Ta świadomość podnosiła go na duchu, gdy karuzela emocji dalej się kręciła. Skryta głęboko część umysłu obserwowała jego poczynania, podpowiadając, że tak jak w sportach kontaktowych, każdy członek drużyny musiał przeżyć szok prawdziwego starcia, nim w pełni oswoi się z tą pracą.

Problem polegał jednak na tym, że mieli za wszelką cenę unikać tego kontaktu.

Ręka Chaveza uniosła się i zwiadowca przykucnął za drzewem. Kapitan przeszedł pod kępą krzewów i zobaczył, dlaczego sierżant się zatrzymał.

Przed sobą mieli lotnisko.

Co więcej, na pasie stał samolot, kilkaset metrów dalej, z silnikami jarzącymi się w podczerwieni noktowizorów.

- Chyba trafiliśmy w samą porę, kapitanie - zauważył szeptem Ding.

Ramirez i Chavez skradali się w prawo i lewo, szukając obstawy. Ale nie było nikogo.

Cel, „Reno”, zgadzał się niemal co do joty z tym, co im wcześniej opisano. Jeszcze chwilę się upewniali, po czym Ramirez wrócił do punktu zbornego, zostawiając Chaveza na czatach. Dwadzieścia minut później oddział rozlokował się na niewielkim pagórku tuż na północny zachód od lotniska, skąd rozciągał się widok na dwieście metrów wykarczowanego pasa. Kiedyś było tu zapewne poletko uprawne, a wypalona przesieka została tylko przedłużona na prowizoryczne lądowisko. Ze swojego stanowiska dokładnie widzieli cały pas startowy. Chavez z Vegą zajęli miejsce najdalej po prawej stronie, Guerra z drugim właścicielem kaemu po lewej, Ramirez zaś zajął pozycję w środku wraz z radiooperatorem, sierżantem Ingelesem.

Rozdział 12

UTAJNIENIE „REWII nA WODZIE”

Zmienna, tu Nóż. Uwaga, nadaję wiadomość, odbiór. - Sygnał z kanału satelitarnego był tak czysty jak z lokalnego programu radiowego na UKF. Oficer łącznościowiec zgasił papierosa i poprawił słuchawki.

- Nóż, tu Zmienna, sygnał na pięć. Jesteśmy gotowi, odbiór.

Za jego plecami Clark odwrócił się na krześle obrotowym i spojrzał na mapę.

- Jesteśmy w bazie „Reno” i kto by pomyślał: na naszych oczach do dwusilnikowej maszyny jacyś ludzie ładują pudła. Odbiór.

Zaskoczony Clark obrócił się ku stanowisku radiowemu. Czyżby mieli aż tak dobry wywiad operacyjny?

- Możecie odczytać numer na stateczniku, odbiór?

- Nie, zły kąt. Ale będzie zaraz startował nam przed nosem. Znajdujemy się dokładnie w planowanej pozycji. Na razie nie widać żadnej ochrony lądowiska.

- Niech to! - rzucił jeden z facetów z operacji. Założył słuchawki. - Tu Zmienna. Jest meldunek z „Reno”, że mają ptaszka w gniazdku, czas zero-trzy-jeden-sześć Zulu... Dobrze. Przekażę. Bez odbioru. -Zwrócił się do swojego towarzysza: - Wsparcie naszych sił jest oddalone o przeszło godzinę.

Wystarczy, pomyślał ten drugi.

Ramirez i Chavez obserwowali przez lornetki, jak dwóch ludzi kończy ładować pudła do samolotu. Obaj orzekli zgodnie, że jest to Piper Cheyenne, średnich rozmiarów maszyna dyspozycyjna, latająca na całkiem długich dystansach, w zależności od masy ładunku i pułapu lotu. Miejscowe warsztaty mogły zamontować w niej dodatkowe zbiorniki, zwiększając tym samym przewidziany fabrycznie zasięg lotu. W przypadku ładunków transportowanych do Ameryki przez przemytników narkotykowych nie liczyła się prawie wcale masa ani - z wyjątkiem marihuany - objętość. Czynnikiem ograniczającym były pieniądze. Jeden samolot pomieścić mógł na pokładzie tyle rafinowanej kokainy, licząc nawet po cenie hurtowej, by ogołocić banki rezerwy federalnej z zasobów gotówkowych.

Piloci weszli na pokład, pożegnawszy się uściskiem dłoni z obsługą naziemną - ukryci obserwatorzy nie dopatrzyli się w tym żadnego odstępstwa od rytuału towarzyszącego każdemu innemu odlotowi. Zaczęły pracować silniki, a hałas poprzez otwartą przestrzeń doszedł do skrytych piechurów.

- Jezus Maria - zauważył oszołomiony sierżant Vega. - Chętnie bym zrobił sito z tej maszyny, tu i teraz. Niech go! - Broń miał zabezpieczoną, oczywiście.

- Mielibyśmy za dużo gorących przeżyć - zauważył Chavez. - Tak, wszystko się zgadza, Oso. Ludzie z ochrony przez cały czas otaczają samolot. - Chwycił radio. -

Kapitanie...

- Widzę. Bądźcie w pogotowiu, gdyby trzeba było się wycofać.

Piper podkołował do końca pasa ruchem ranionego ptaka, podskakując i chybcząc się na amortyzatorach podwozia. Pas oświetlało zaledwie kilka małych światełek, o wiele mniej niż zazwyczaj używano do oznaczenia prawdziwych pasów startowych.

Wszystkim obserwatorom cała operacja wydała się nader niebezpieczna, a Chavezowi przyszło do głowy, że gdyby maszyna rozbiła się podczas startu, niejeden z nich znalazłby się w opałach...

Nos samolotu opadł, gdy pilot maksymalnie otworzył przepustnicę, gotując się do startu, a następnie zmniejszył moc, aby upewnić się, czy silniki nie zgasną na wolnych obrotach. Wszystko grało, silniki więc

zwiększyły znów obroty, pilot zwolnił hamulce i ruszył. Chavez przycisnął do oczu lornetkę. Obciążona paliwem maszyna przeszła zaledwie dwadzieścia metrów nad drzewami, na prawo od nich. Kimkolwiek był pilot, na pewno niezły z niego kaskader.

Określenie, które przyszło Chavezowi na myśl, wydawało się całkiem trafne.

- Właśnie wystartował. Piper Cheyenne. - Ramirez odczytał numer na stateczniku pionowym. Miał amerykańską rejestrację. - Kurs mniej więcej trzy-trzy-zero. - Co oznaczało kierunek na Cieśninę Jukatańską, między Kubą a Meksykiem.

Łącznościowiec zapisał dane.

- Co możecie powiedzieć mi o „Reno”?

- Doliczyłem się sześciu ludzi. Czterech ma karabiny, nie wiem, czy reszta też. Jedna furgonetka i szopa jak na zdjęciach satelitarnych. Furgonetka teraz rusza i chyba... tak, gaszą światła pasa startowego. Posługują się pochodniami, które teraz przysypują ziemią. Nie wyłączaj się, furgonetka jedzie w naszym kierunku.

Po lewej stronie Ramireza Vega oparł karabin maszynowy na dwójnogu i wodził

celownikiem za jadącą pasem na wschód furgonetką. Co kilkaset metrów zatrzymywała się i z szoferki wyskakiwał pasażer, by zasypać jeden z migocących ogników.

- No, podejdź bliżej i tylko kogoś dotknij... - mruczał Julio.

- Spoko, Oso - studził go Ding.

- Nie ma sprawy. - Vega trzymał kciuk na bezpieczniku wciąż zabezpieczonej broni, a palec na kabłąku, nie na samym spuście.

Światła gasły jedno po drugim. Furgonetka przez chwilę oddalona była zaledwie o sto pięćdziesiąt metrów od dwóch żołnierzy, lecz nie doszło do bardziej bezpośredniego kontaktu. Ot, po prostu znaleźli się tuż przy trasie samochodu. Karabin Vegi celował

w furgonetkę jeszcze długo, nim się na dobre oddaliła. Oparłszy kolbę z powrotem na ziemi, Julio zwrócił się do towarzysza.

- I gówno! — szepnął z udawanym rozczarowaniem.

Chavez z trudem zdusił chichot. Dziwna sprawa, pomyślał. Oto wreszcie wdarli się na terytorium wroga, obladowani jak pieprzone niedźwiedzie, po to tylko, żeby bawić się w chowanego, niczym dzieci w Wigilię Bożego Narodzenia. Gra była poważna jak cholera, wszyscy o tym doskonale

wiedzieli, lecz forma, jaką przybrała, nastrajała niemalże do śmiechu. Zdawali sobie też sprawę, że sytuacja może się zmienić w jednej chwili. W końcu nie ma chyba nic śmiesznego w celowaniu z karabinu maszynowego w furgonetkę. Kwestia gustu.

Chavez włączył ponownie gogle noktowizyjne. Na drugim końcu pasa startowego ludzie zapalali papierosy. Niewyraźny obraz raptem rozjarzył się od energii cieplnej. Ding wiedział, że w ten sposób tamci ograniczyli sobie nocną widzialność. Domyślał się po ich ruchach, że już się tylko opieprzają. Dniówka, a raczej nocna zmiana, już im się skończyła. Furgonetka wreszcie odjechała, zostawiając na miejscu dwóch ludzi, którzy prawdopodobnie pracowali jako oddział

straży tego lądowiska. Tylko dwóch, a palili papierosy w nocy. Z bronią czy bez -

chyba mieli po AK-47 albo dość wierne kopie - nie byli poważnym przeciwnikiem.

- Jak ci się wydaje, co oni palą? - spytał Vega.

- Nie pomyślałem o tym - przyznał z przekąsem Chavez. - Chyba nie są aż tak durni, co?

- Nie mamy do czynienia z żołnierzami, bracie. Moglibyśmy podejść i załatwić ich jak nic. Najwyżej dziesięć sekund ognia i po nich.

- Ostrożność nie zawadzi - odparł szeptem Chavez.

- Jasne - przyznał Vega. - Tak się zdobywa przewagę.

- Nóż, tu Szóstka - odezwał się przez radio Ramirez. - Wycofać się do bazy wypadowej.

- Idź, ja cię osłonię - powiedział Chavez do Vegi.

Julio wstał i zarzucił broń na ramię. Rozległ się cichy, ale irytujący szczeł metalu.

Taśma amunicyjna, pomyślał Ding. Muszę to zapamiętać. Poczekał jeszcze kilka minut i ruszył.

Punktem zbornym było wyjątkowo wysokie drzewo opodal rzeczki. Żołnierze ponownie napełnili manierki ponaglani bezustannie przez medyka Olivero. Okazało się, że ktoś ma skaleczoną twarz od nisko rosnącej gałęzi, ale poza tym medyk nie miał nic do roboty. Mieli obozować pięćset metrów od lądowiska, zostawiając dwóch ludzi na posterunku obserwacyjnym - Chavez sam go wyznaczył - przez okrągłą dobę. Ding objął pierwszą wartę, też razem z Vegą, a o świcie zmienić ich miał Guerra z kolegą uzbrojonym w MP-5 z tłumikiem. Na posterunku musiał bez przerwy warować ktoś z karabinem maszynowym albo granatnikiem, gdyby przypadkowo przeciwnikowi zachciało się awantur. Jeśli już doszłoby do wymiany ognia, chodziło o to, aby strzelanina trwała jak najkrócej.

Lekka piechota nie znała się wprawdzie na czołgach ani działach, ale żołnierze amerykańscy myślą przede wszystkim w kategorii siły ogniowej, której odkrycie przecież w dużym stopniu im właśnie należy zawdzięczać.

Chavez zdumiał się, jak szybko można popaść w rutynę. Godzinę przed świtem sprawdzili z Vegą pas

startowy ze swojego pagórka. Z dwóch ludzi w stałej straży lotniska tylko jeden robił obchód. Drugi siedział

oparty plecami o szopę i palił to lub owo. Ten na chodzie nie oddalał się zbyt.

- Co się dzieje, Ding? - spytał kapitan.

- Słyszałem, jak pan kapitan podchodzi - odpowiedział Chavez.

- Potknąłem się. Przepraszam.

Chavez zdał krótką relację. Ramirez wycelował lornetkę na wroga, żeby potwierdzić to, co usłyszał.

- Podobno policja ani armia nie wchodzi im w paradę - zauważył kapitan.

- Przekupieni? - spytał Vega.

- Nie, raczej zniechęceni, bo się sparzyli. Kartel poprzestał więc na półtuzinie stałych lotnisk. Tak jak to. Zostaniemy tu jakiś czas. - Cisza. - Gdyby się coś działo...

- Natychmiast zameldujemy, panie kapitanie - przyrzekł Vega.

- No i widziałeś węże? - spytał Ramirez.

- Nie, dzięki Bogu.

Zęby kapitana zabłyśły w ciemności. Klepnął Chaveza po ramieniu i zanurzył się na powrót w gęstwinie.

- A niby komu przeszkadzają węże? - spytał Vega.

Kapitana Wintersa ścisnęło w dołku z zawodu na widok lądującego Pipera. To już drugi z rzędu. Ten większy sprzed kilku nocy już się ulotnił. Gdzie dokładnie je przerzucali - nie miał pojęcia. Może na wielkie cmentarzysko na pustyni. Kto zauważyłby jeszcze jedną starą awionetkę? A z drugiej strony takiego Pipera można było łatwo sprzedać.

Karabin maszynowy kaliber 12,7 mm wyglądał jeszcze bardziej imponująco na wysokości oczu, choć przed samym świtem reflektory nie miały już tak obezwładniającego działania. Tym razem nie powtórzyli numeru z samolotem szpiegowskim. Marines potraktowali jednak przemytników równie ostro, co przyniosło pożądany efekt, tak jak zeszłym razem. Dowodzący operacją oficer CIA służył niegdyś w DEA i lubił urozmaicenie w metodach śledczych. Obaj piloci byli Kolumbijczykami, czemu przeczyła rejestracja samolotu. Na ich latynoską dumę skuteczne okazało się jedno spojrzenie na Nikodema. Co innego być odważnym w obliczu kuli czy szczonego psa, a zupełnie co innego przed żywym okazem aligatora.

Śledztwo trwało niecałą godzinę, po czym przewieziono ich do Federalnego Sądu Okręgowego.

- Ile samolotów nie dolatuje do nas? - spytał sierżant Black, gdy ich odwozili.

- O co wam chodzi, sierżancie?

- Bo widziałem ten myśliwiec. Zdaje się, że powiedział temu dupkowi: „Leć tędy, bo jak nie...!” A nas wzywali tu częściej, niż przylatywały samoloty, no nie? Chciałem powiedzieć, że na mój rozum to kilku łebków chyba nie posłuchało dobrej rady i ten chłopak, co lata myśliwcem, pokazał im „bo jak nie”.

- To nie wasza rzecz, sierżancie Black - podkreślił oficer CIA.

- Trudno. Tak czy siak, mnie nie wadzi. Jak pierwszy raz byłem w Wietnamie, to widziałem, jak Wietnamcy sprzątnęli cały nasz oddział, bo kilku chłopaków się naćpało. Złapałem tego fiuta, co sprzedawał narkotyki w mojej drużynie, i dałem mu tak w dupę, że prawie kipnął. O mało nie miałem przez to kłopotów.

Oficer CIA skinął głową, jakby wyznanie to go zaskoczyło. Ale nic podobnego.

- Nie wasza rzecz, sierżancie - powtórzył.

- Tak jest. - Sierżant Black zwołał swoich żołnierzy i podszedł do oczekującego ich helikoptera.

Na tym właśnie polega problem z czarnymi operacjami, pomyślał oficer CIA, patrząc za odlatującymi marines. Werbuje się do nich dobrych, łebskich ludzi, na których można polegać. Ale dobrzy, łebscy i zaufani ludzie mieli wszakże rozum i wyobraźnię.

I wcale nie musieli się bardzo wysilać, żeby zrozumieć, w czym rzecz. Zbierze się takich kilku i już czarne operacje stają się szare. Jak wstający właśnie ranek. Tylko że światło nie zawsze było dobrodziejstwem.

Admirał Cutter spotkał się z dyrektorami Moore'em i Jacobsem w holu skrzydła biurowego i poprowadził ich prosto do Gabinetu Owalnego. Agenci Connor i D'Agostino pełnili służbę w sekretariacie i z przyzwyczajenia obrzucili wszystkich trzech fachowym spojrzeniem. Wyjątkowo, jak na Biały Dom, weszli bez zapowiedzi prosto do Farmera.

- Dzień dobry, panie prezydencie - rzekli wszyscy po kolei.

Prezydent wstał od biurka i usiadł w antycznym fotelu przy kominku. Tu właśnie zwykł zasiadać do rozmów intymnych. Sam prezydent wcale się z tego nie cieszył. W

tym fotelu siedziało mu się o wiele mniej wygodnie niż na wykonanym na zamówienie krześle przy biurku, zwłaszcza że ból w krzyżach znów dawał znać o sobie, ale nawet prezydenci muszą grać zgodnie z oczekiwaniami innych.

- Rozumiem, że przyszli panowie zdać mi sprawę z rozwoju operacji. Zechce pan zacząć, panie

sędzio?

- „Rewia” ruszyła pełną parą. I od razu nam się poszczęściło. Ledwie nasze oddziały zwiadowcze dotarły na miejsce, przydybały startujący samolot. - Moore obdarzył

rozmówców uśmiechem. - Wszystko poszło zgodnie z planem. Szmuglerzy siedzą w federalnym areszcie śledczym. Dopisało nam szczęście i nie należy się spodziewać, że będzie nam ciągle sprzyjało, ale, bądź co bądź, przechwyciliśmy dziewięćdziesiąt kilogramów kokainy, a to niezły obrót jak na pierwszą noc. Wszystkie cztery zakonspirowane oddziały są już na wyznaczonych pozycjach. Żaden nie został

dostrzeżony.

- Jak sprawdza się satelita?

- Jeszcze nie wszystkie zespoły zostały wykalibrowane. To już, ma się rozumieć, sprawa komputera. Przygotowanie Riolitu zajmie nam jeszcze około tygodnia. Jak wiadomo, ten element całego planu pojawił dość późno i gramy go na razie ze słuchu.

Jedyny problem, jeśli można tak to określić, to dogranie oprogramowania komputerowego, a na to chłopcom trzeba jeszcze parę dni.

- A Kapitel?

- Dzisiaj -odparł sędzia Moore. -Nie sądzę, bym miał z tym jakiegokolwiek kłopoty.

- Już to słyszeliśmy - wtrącił Cutter.

Moore obrócił się i zmierzył go zmęczonym spojrzeniem.

- Przecież od dawna przygotowaliśmy grunt. Nie powołuję się na KSIRO zbyt często, a ilekroć się na to decyduję, nie spotykam się z żadnym sprzeciwem z ich strony.

- Nie spodziewam się stamtąd aktywnej opozycji, Jim - zgodził się prezydent. - Ja też poczyniłem pewne kroki w tym kierunku. Emil, nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny.

- Omawialiśmy już ten aspekt operacji, panie prezydencie. Nie mam żadnych szczególnych zastrzeżeń prawnych, bo też nie ma żadnych szczegółowych przepisów w tym względzie. Konstytucja gwarantuje panu prezydentowi prawo użycia wojska dla ochrony naszego bezpieczeństwa narodowego, jeśli tylko stwierdzi się, to znaczy pan prezydent stwierdzi, że nasze bezpieczeństwo jest istotnie zagrożone. Precedensy prawne sięgają prezydentury Jeffersona. Kwestie polityczne to inna sprawa, która nie leży w mojej gestii. W każdym razie Biuro rozgryzło chyba jedną z operacji prania narkotykowych pieniędzy na wielką skalę i jesteśmy gotowi przystąpić do akcji.

- Na jak wielką skalę? - spytał admirał Cutter, denerwując prezydenta, który chciał

zadać to samo pytanie.

- Udało się nam zidentyfikować w sumie pięćset osiemdziesiąt osiem milionów narkotykowych dolarów zdeponowanych w dwudziestu dwóch różnych bankach, od Liechtensteinu po Kalifornię, zainwestowanych w liczne przedsięwzięcia handlu nieruchomościami, znajdujące się co do jednego tu, na terenie Stanów Zjednoczonych.

Powołaliśmy grupę specjalistów, która pracowała nad tym dzień i noc, przez cały tydzień.

- Ile? - spytał prezydent, tym razem jako pierwszy. Nie tylko on chciał, aby suma została powtórzona.

- Bez mała sześćset milionów - powtórzył dyrektor FBI. - Jeszcze dwa dni temu było tego ponad sześćset, ale w środę dokonano transferu sporej działki funduszy; wygląda na to, że chodziło o transfer w ramach zwykłych operacji finansowych, ale nie spuszczałyśmy z oka podejrzanych kont.

- I co zamierzacie zrobić?

- Dziś wieczorem dostaniemy pełną dokumentację wszystkich podejrzanych rachunków bankowych. Od jutra attache prawni w naszych placówkach zagranicznych oraz terenowe oddziały nadzorujące krajowe banki przystąpią do zamrażania kont i...

- Czy Szwajcarzy i reszta Europejczyków zgodzą się współpracować? - wtrącił Cutter.

- Tak. Mit kont na hasło liczbowe jest mocno naciągany, o czym miał okazję przekonać się prezydent Marcos kilka lat temu. Jeśli uda nam się udowodnić, że zdeponowane fundusze pochodzą z działalności przestępczej, rządy zainteresowanych krajów zamrożą konta. W Szwajcarii, na przykład, pieniądze przejmują lokalne rządy, czyli władze kantonów, i przeznaczają je na cele publiczne. Pomijając aspekt moralny, leży to wszakże w ich interesie, a poza tym podpisaliśmy z nimi odpowiednie traktaty.

Cóż to zaszkodzi szwajcarskiej gospodarce, jeśli pieniądze i tak pozostaną w Szwajcarii? Jeżeli nam się powiedzie, a mam wszelkie powody przypuszczać, że tak będzie, to kartel w sumie poniesie straty rzędu miliarda dolarów. Liczba ta wynika z naszych przybliżonych szacunków i mieszczą się w niej również straty kapitału akcyjnego w inwestycjach i spodziewane zyski z refinansowania kredytów. Natomiast pięćset osiemdziesiąt osiem to twarda liczba. Nazwaliśmy tę operację „Tarpon”. W

kraju prawo jest zdecydowanie po naszej stronie i jak się postaramy, ciężko będzie komukolwiek uwolnić te fundusze w bliskiej i dalekiej przyszłości. Za granicą sytuacja prawna jest bardziej zagmatwana, ale można spodziewać się przyzwoitej współpracy.

Rządy europejskie też zaczynają już zauważać problem narkotyków u siebie i mają swoje sposoby traktowania kwestii prawnych bardziej... hm, rzecz by można, pragmatycznie - dokończył z uśmiechem Jacobs. - Jak mniemam, życzy pan sobie, by minister sprawiedliwości wydał stosowne oświadczenie.

Widać było błysk w oku prezydenta. Oświadczenie dla prasy zostanie wydane w sali prasowej Białego Domu. Zajmie się tym za jego pozwoleniem Departament Sprawiedliwości, ale słowa pójdą w świat z Białego Domu, żejby dziennikarze wiedzieli, komu przypisać zasługi.

- Witam was serdecznie, panie i panowie. Właśnie poinformowałem pana prezydenta, że osiągnęliśmy poważny sukces w trwającej wojnie przeciwko...

- Jak dotkliwie to odczują? - spytał prezydent.

- Panie prezydencie, możemy jedynie snuć domysły co do dokładnej wartości ich majątku. Najciekawsze jednak w tej aferze jest prawdopodobnie to, że cała operacja prowadzić może w zamierzeniu przestępców do całkowitego wyczyszczenia pieniędzy, kiedy pojawią się z powrotem w Kolumbii. Wiem, że brzmi to niesamowicie, ale coś mi się zdaje, że kartel próbuje znaleźć niezupełnie kryminalne sposoby kontrolowania własnej, narodowej gospodarki, a jako że nie ma w tym żadnego interesu czysto ekonomicznego, ostateczny cel całej operacji mająk sędzę, podłoże polityczne.

Odpowiadając na pańskie pytanie, można rzec, iż strata finansowa, owszem, da im się we znaki, ale ich bynajmniej nie wyłączy z gry. Natomiast ich straty polityczne stanowią dla nas dodatkową premię, której wartości i zasięgu nie da się jeszcze oszacować.

- Miliard dolarów... - rzekł prezydent. - Z tym można już iść do Kolumbijczyków, prawda?

- Nie sędzę, aby się nie ucieszyli. Naciski polityczne, których doświadcniają ze strony kartelu, są dla nich nader uciążliwe.

- Nie na tyle uciążliwe, żeby dali im wreszcie odpór - zauważył Cutter.

Jacobsowi wcale się to nie podobało.

- Panie admirale, przyjaźnię się z ich prokuratorem generalnym. Podróżuje on z ochroną osobistą dwa razy liczniejszą niż naszego pana prezydenta i na co dzień spotyka się z tak ogromnym zagrożeniem życia, że większość ludzi na jego miejscu rzuciłaby się do ucieczki, ilekroć w pobliżu strzeliłby komuś gaźnik w aucie. Kolumbia nie szczędzi wysiłków, by utrzymać rządy demokratyczne w regionie, gdzie demokracje są rzadkością; za co, historycznie rzecz ujmując, my ponosimy winę, o czym zdaje się pan zapominać. Czego więc się pan po nich spodziewa? Że rozpędzą tych kilka instytucji demokratycznych, które mają i pójdą w ślady Argentyny? Na miłość boską, FBI i DEA razem wzięte nie mają ludzi, żeby rozprawić się z tymi gangami narkotykowymi, które dobrze znamy, a przecież mamy do dyspozycji tysiąc razy większe środki. Czego więc, do cholery, pan oczekuje? Że Kolumbijczycy wrócą do faszyzmu po to, żeby sprzątnąć mafię narkotykową, bo nam to odpowiada? Dawniej też tego oczekiwaliśmy i dostaliśmy, cośmy chcieli, na przeszło sto lat. I proszę bardzo, gdzie nas to zaprowadziło! - I ten pajac ma być ekspertem w sprawach Ameryki Łacińskiej, dodał w myśli Jacobs. I kto to mówi? Założę się, że głównianego statku też nie umiałeś poprowadzić!

Sęk w tym, pomyślał sędzia Moore, że Emilowi chyba nie podoba się ta cała operacja.

A z drugiej strony, Cuttera aż cofnęło od tej mowy. Jacobs, mężczyzna drobnej postury, miał jednak ogromny ładunek godności osobistej i autorytetu moralnego, mierzony w megatonach.

- Masz coś na języku, Emil - rzekł krotoczwilnie prezydent. - Wypluj to.

- Niech pan wstrzyma tę całą operację - zaczął dyrektor FBI - zanim będzie za późno.

Proszę mi dać ludzi i środki, a osiągnę więcej tu na miejscu, całkowicie w zgodzie z prawem, niż kiedykolwiek osiągniemy za pomocą tej bezsensownej tajnej awantury.

„Tarpon” jest najlepszym tego dowodem. Czysta policyjna robota, a przecież odnieśliśmy największy dotychczas sukces.

- Tylko dzięki temu, że jakiś kapitan ze Straży Przybrzeżnej posunął się trochę za daleko - zauważył sędziego Moore. - Gdyby nasz wilk morski sam nie złamał

obowiązującego prawa, mielibyście jeszcze jedną sprawę piractwa z morderstwem i nic więcej. O tym chyba zapominasz, Emil.

- Nie pierwszy raz coś takiego się zdarza, a różnica polega na tym, Arthurze, że nie planował tego nikt w Waszyngtonie.

- Temu kapitanowi nic się nie stanie, mam nadzieję? - spytał prezydent.

- Nic a nic. Pomyśleliśmy o tym - zapewnił prezydenta Jacobs.

- Świetnie. Tak trzymaj, Emil. Dobrze rozumiem twój punkt widzenia - rzekł

prezydent - ale trzeba wreszcie spróbować czegoś innego. Za nic nie przekonam Kongresu do podwojenia funduszy FBI czy DEA. Wiesz o tym.

Nawet nie próbowałeś - chciał powiedzieć Jacobs, ale poddał się skinieniem głowy.

- Poza tym wydawało mi się, że mamy twoją zgodę na tę operację.

- Owszem, panie prezydencie. - Po co się dałem w to wplątać? - spytał się w duchu Jacobs. Ta droga, jak i wiele innych, usłana była dobrymi intencjami. To, co robili, niezupełnie kłóciło się z prawem; tak

samo jak chodzenie po linie jest prawie bezpieczne - dopóki wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Kiedy wybierasz się do Bogoty?

- W przyszłym tygodniu, panie prezydencie. Przekazałem list attache prawnemu, a on osobiście doręczy go prokuratorowi generalnemu. Podejmą specjalne środki bezpieczeństwa podczas spotkania.

- To dobrze. Musisz uważać na siebie. Jesteś mi potrzebny. Bardzo cenię twoje zdanie

- rzekł uprzejmie prezydent. - Nawet jeśli nie zawsze idę za twoją radą.

Prezydent jest chyba mistrzem świata w pozyskiwaniu sobie ludzi, pomyślał Moore.

Ale też Jacobs wymagał takiego mistrzostwa. Grał przecież w tej drużynie od czasu, kiedy zaczął pracować w Okręgowej Prokuraturze Federalnej w Chicago, hen, ze trzydzieści lat temu.

- Coś jeszcze?

- Mianowałem Jacka Ryana pełniącym obowiązki ZDW - rzekł Moore. - Polecił go James i chyba już jest gotów do pracy.

- Czy zostanie wtajemniczony w operację „Rewia na Wodzie”? -nie omieszkał spytać Cutter.

- Nie jest chyba aż tak gotów, prawda Arthurze? - wtrącił prezydent.

- Nie, panie prezydencie. Zgodnie z pańskimi rozkazami ograniczyliśmy liczbę wprowadzonych osób do niezbędnego minimum.

- Co z Greerem?

- Nie wygląda najlepiej, panie prezydencie - odrzekł Moore.

- Parszywy los. Muszę w przyszłym tygodniu jechać do Bethesdy zmierzyć sobie ciśnienie. Odwiedzę go przy okazji.

- Na pewno bardzo się ucieszy.

Ryan zauważył, że wszyscy są dla niego diabelnie mili. Sam czuł się jak intruz w swoim gabinecie, ale Nancy Cummings - sekretarka ZDW jeszcze za czasów sprzed Greera - nie traktowała go jak natręta, a faceci z przysługującej mu teraz ochrony osobistej okazywali mu szacunek, mimo że dwóch z nich było starszych od niego.

Najradośniejszą nowiną, którą zdradził mu ktoś dopiero po pewnym czasie, było to, że przysługiwał mu też osobisty szofer. Chodziło przede wszystkim o to, że szofer jako członek ochrony osobistej miał berettę 92-F pod lewą pachą (pod deską rozdzielczą krył coś jeszcze bardziej imponującego), ale Ryan cieszył się, że nie będzie już musiał

sam prowadzić samochodu do Langley; przejazd w jedną stronę zajmował prawie godzinę. Od teraz będzie jedną

z tych ważnych osobistości, co to siedzą na tylnym siedzeniu pędzącej z niedozwoloną prędkością limuzyny i rozmawiają przez bezpieczny telefon lub przeglądają ważne dokumenty, albo też, co bardziej prawdopodobne, czytają gazetę w drodze do pracy.

Służbowy samochód będzie parkował w podziemnym garażu CIA na zarezerwowanym miejscu obok dyrektorskiej windy, którą wjedzie bezpośrednio na siódme piętro, nie podlegając cholernie uciążliwej procedurze przy strzeżonych wejściach. Będzie jadał w dyrektorskiej stołówce z mahoniowymi meblami i subtelnie eleganckimi, srebrnymi sztućcami.

Podwyżka pensji też była imponująca czy raczej byłaby, gdyby dorównywała dochodom jego żony Cathy, z praktyką chirurgiczną uzupełniającą etat wykładowcy na Uniwersytecie Johna Hopkinsa. Lecz żadna pensja rządowa - nawet prezydencka - nie dorównywała zarobkom dobrego chirurga. Ryan otrzymał także rangę odpowiadającą trzygwiazdkowemu generałowi lub admirałowi, mimo że faktycznie tylko pełnił

obowiązki.

Dzień pracy, zaraz po zamknięciu drzwi gabinetu, zaczął od otwarcia sejfu ZDW. Był

pusty. Ryan nauczył się na pamięć kombinacji cyfr, po raz wtóry zauważając, że kod do sejfu ZDO widniał na tej samej kartce. W swoim biurze miał jeden z najcenniejszych rządowych luksusów: prywatną łazienkę; poza tym miał monitor o dużej rozdzielczości, na którym mógł oglądać bezpośredni przekaz satelitarny, nie wychodząc do sali operacyjnej w nowym, północnym skrzydle gmachu; bezpieczny terminal sieci komputerowej, przez który mógł komunikować się z innymi biurami, jeśli tylko sobie życzył - kluczyki pokryte były kurzem; Greer prawie w ogóle z niego nie korzystał. Nade wszystko miał przestrzeń. W każdej chwili mógł wstać i przechadzać się do woli. Na tym stanowisku miał nieograniczony dostęp do dyrektora.

Gdy zaś dyrektora nie było w mieście - a nawet wówczas, gdy był na miejscu - Ryan mógł zadzwonić do Białego Domu i żądać natychmiastowego spotkania z prezydentem. Musiałby wprowadzić powiadomić o tym szefa personelu Białego Domu -

omijając Cuttera, o ile miał na to ochotę - ale gdyby Ryan w tej chwili powiedział:

„Muszę się natychmiast zobaczyć z prezydentem!”, wszedłby do Gabinetu Owального bez zwłoki. Oczywiście, musiałby mieć niebagatelny powód.

Jack zasiadł na krześle z wysokim oparciem, plecami do okien z grubego, wielowarstwowego szkła i dopiero teraz zdał sobie sprawę, dokąd zaszedł. W

najśmielszych marzeniach nie spodziewał się kolejnego awansu w Agencji. Jeszcze nie stuknęła mu czterdziestka. Dorobił się na firmie maklerskiej, której majątek dalej się pomnażał. Potrzebował pensji

CIA jak trzeciego buta. Zrobił doktorat, napisał parę książek, trochę wykladał historię, znalazł sobie nowy, ciekawy zawód i zaszedł w nim na szczyty. I to przed czterdziestką. Schlebiliby sobie teraz dyskretnym, zadowolonym uśmiechem, gdyby nie pamięć o pewnym opiekuńczym starszym panu, który leżał w Centrum Medycznym Marynarki Wojennej w Bethesda i powoli umierał w ciężkich bólach, dzięki czemu on siedział na tym krześle, w tym gabinecie, na tym stanowisku.

Cóż to wszystko warte? Nic, zupełnie nic! - powiedział do siebie Jack. Stracił

rodziców w katastrofie lotniczej w Chicago i pamiętał to nagle, dławiące poczucie pustki, szok jak po nokautującym ciosie. A jednak tamto przyszło ze zbawienną szybkością. Nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy, zrozumiał to dopiero teraz.

Ryan obiecał sobie odwiedzać admirała Greera trzy razy w tygodniu i z każdą wizytą zauważał, jak jego ciało coraz bardziej kurczy się i zwija niczym usychająca roślina; widział, jak bruzdy bólu coraz głębiej żłobią tę szlachetną twarz człowieka, który toczy mężny bój świadom, że jego wynik jest z góry przesądzony. Los oszczędził Jackowi widoku umierających rodziców, ale Greer stał się dla niego nowym ojcem i Ryan wypełniał teraz synowskie obowiązki wobec przybranego rodzica. Zrozumiał wreszcie, dlaczego jego żona wybrała chirurgię okulistyczną - ciężką i nader wymagającą specjalizację, gdzie najdrobniejsza pomyłka groziła pacjentowi ślepotą, ale Cathy nie musiała przynajmniej oglądać ludzkiej śmierci. Cóż mogło być gorszego? Ryan wszak znał odpowiedź. Widział przecież, jak jego córka ocierała się o śmierć i ocalała dzięki przypadkowi i najwyśmienitszym chirurgom.

Skąd czerpią tyle odwagi? - zastanawiał się Jack. Co innego walczyć z ludźmi. Tego Ryan doświadczył aż nadto. Ale walczyć z samą śmiercią, wiedząc, że w końcu i tak się przegra, a mimo to walczyć dalej. Na tym wszak polegała lekarska profesja.

Niech cię diabli, cóż za chorobliwe myśli przychodzą ci dzisiaj do łba.

Co by na to powiedział admirał?

Powiedziałby, żebyś zabierał się do roboty, durniu.

Życie domaga się, żeby iść naprzód, dawać z siebie wszystko, ulepszać świat. Jasne, przyznał w duchu Jack, że co poniektórym CIA wydać się może nader osobliwym miejscem ulepszenia świata, ale nie Ryanowi, który dokonał tu sporo bardzo dziwnych, ale też bardzo pożytecznych rzeczy.

Z zamyślenia wyrwał go aromat. Obrócił się i zobaczył na kredensie włączony ekspres do kawy. Domyślił się, że to robota Nancy. Ale kubków admirała Greera nie było, a zamiast nich na srebrnej tacy pojawiły się ogólnowojskowe kubki z emblematem CIA. Wnet rozległo się pukanie do drzwi. Pokazała się głowa Nancy.

- Zebranie dyrektorów wydziałów zaczyna się za dwie minuty, doktorze Ryan.

- Dziękuję, pani Cummings. Kto zaparzył kawę? - spytał Jack.

- Dziś rano dzwonił pan admirał. Powiedział, że na pewno zechce się pan napić dobrej kawy w pierwszym dniu pracy.

- Doprawdy? Podziękuję mu, bo właśnie wybieram się do niego wieczorem.

- Odniosłam wrażenie, że czuł się dziś trochę lepiej - rzekła Nancy z nutką nadziei.

- Oby tak było.

Szefowie wydziałów przybyli punktualnie. Nalał sobie filiżankę kawy, proponując to samo gościom, i za minutę przystąpił do pracy. Pierwszy poranny raport dotyczył jak zwykle Związku Radzieckiego, po czym tematy przeskakiwały po globusie zgodnie z aktualnymi zainteresowaniami CIA. Jack uczestniczył regularnie w tych spotkaniach od lat, lecz po raz pierwszy przewodził zza biurka.

Wiedział, jak należy prowadzić odprawy i nie zamierzał złamać utartego schematu. Praca nadal była pracą. Admirał nie zgodziłby się na nic innego.

Z aprobatą prezydenta sprawy ostro ruszyły do przodu. O łączność międzynarodową dbała jak zwykle Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, NSA, i jedyną trudność stwarzały strefy czasowe. Wcześniej sygnałem alarmowym postawiono na nogi attache prawnych w kilku ambasadach europejskich i w oznaczonym czasie, najpierw w Bernie rozstukały się dalekopisy pracujące na zaszyfrowanych kanałach satelitarnych. W

działach łączności ambasad radiotelegrafisci natychmiast zauważyli, że wiadomości nadawano w najbezpieczniejszym z istniejących systemów. Pierwszy wydruk, tak zwany rejestracyjny, przygotowywał jedynie radiotelegrafistów na właściwy, jednorazowy system kodowy, który należało wydobyc z sejfów zawierających klucze do szyfrów.

Dla supertajnych wiadomości - na przykład takich, które towarzyszyły komunikatom o rozpoczęciu wojny - konwencjonalne urządzenia kodujące nie gwarantowały dostatecznego bezpieczeństwa. Siatka szpiegowska KGB Walker-Whitworth o to już się postarała. Ujawnione wówczas rewelacje wymusiły szybką i radykalną zmianę w amerykańskim systemie kodowania informacji. W każdej ambasadzie znajdował się specjalny sejf - ściślej mówiąc, sejf w drugim, większym sejfie - zawierający znaczną liczbę całkiem zwyczajnych z wyglądu kaset magnetofonowych. Każda z nich była szczelnie zgrzana w folii, przezroczystej, ale o wyróżniającym się zabarwieniu. Na każdej widniały dwa numery. Jeden - w tym przypadku 342 - to numer rejestracyjny taśmy matki. Drugi zaś - w ambasadzie w Bernie - to numer 68 i oznaczał kolejny egzemplarz kasety w wersji 342. W razie stwierdzenia, że plastikowe opakowanie którejkolwiek kasety gdziekolwiek na świecie jest przerwane, zadrapane, a nawet zniekształcone, wszystkie kasety o tym samym numerze seryjnym natychmiast palono, wychodząc z założenia, iż kasety zostały skopiowane.

W tym przypadku radiotelegrafista wydobyc kasetę z sejfu, sprawdził numer i dał szefowi zmiany do potwierdzenia, że numer jest właściwy:

- Uwaga, kasety ma numer trzy-cztery-dwa.

- Potwierdzam - przyznał szef zmiany. - Trzy-cztery-dwa.

- Otwieram kasetę - powiedział radiotelegrafista, kręcąc głową na absurdalną podniosłość całej procedury.

Foliowe opakowanie powędrowało do najzwyklejszego, kanciastego, plastikowego pojemnika na śmieci stojącego obok biurka, po czym radiotelegrafista włożył kasetę do zwyczajnie wyglądającego, acz kosztownego magnetofonu połączonego elektronicznie z innym, oddalonym o trzy metry dalekopisem.

Łącznościowiec przypiął pierwszy wydruk na tabliczce umieszczonej nad własnym dalekopisem i zabrał się do pisania. Komunikat, już wcześniej zaszyfrowany na kasecie matce numer 342 w głównej kwaterze NSA w Fort Meade, w Marylandzie, został

dodatkowo zaszyfrowany dla potrzeb transmisji satelitarnej najnowszym i najbezpieczniejszym kodem Departamentu Stanu o nazwie PAS, ale choćby ktoś posiadał nawet klucz do odcyfrowania PASA, odczytałby jedynie nic nieznaczący ciąg DEERAMO WERAC KEWJRT i tak dalej, dzięki nadrzędnemu szyfrowi obejmującemu cały system kaset. Wyprowadziłoby to z równowagi każdego, kto mógłby się ucieszyć, że udało mu się odcyfrować amerykański system tajnej łączności.

Tym razem wyprowadziło z równowagi radiotelegrafistę, który z najwyższym skupieniem wystukiwał bełkot w rodzaju DEERAMO WERAC KEWJRT zamiast słów, które miałyby jakiś sens.

Każda litera przechodziła przez magnetofon, który odczytywał na wejściu literę i traktował ją tak jak liczbę od 1 (A) do 26 (Z), a następnie dodawał do niej liczbę na kasecie. I tak na przykład, jeśli liczba 1 (A)

w oryginalnym tekście odpowiadała też liczbie 1 (A) na kasecie, obie jedyńki sumowały się, dając 2 (B) otwartego tekstu. Odpowiedniki na kasecie były całkowicie przypadkowe i powstawały po przetworzeniu szumu radiowego generowanego przez komputer w Fort Meade. Był to kod nie do odcyfrowania, fachowcom znany jako szyfr jednorazowy. Z natury rzeczy nie dało się przecież uporządkować czy też przewidzieć przypadkowego zachowania atomów wszechświata. Póki kasyety magnetofonowe nie zostały przechwycone przez niepowołane osoby, nikt nie potrafiłby tego odcyfrować. Systemu tego, zwanego TAPDANCE, nie stosowano powszechnie tylko ze względu na niewygodę wytwarzania, rozsyłania, zabezpieczania i kontrolowania tysięcy niezbędnych kaset, ale ten problem miał niebawem zniknąć wraz z zastąpieniem kaset dyskami CD. Tak oto sięgającej rodowodem epoki elżbietańskiej profesji szyfranta groziło teraz przejście do lamusa razem z suwakiem logarytmicznym.

Radiotelegrafista walił w klawiaturę i usiłował skupić się, utyskując na późną porę.

Miał wyjść z pracy o osiemnastej i nastawił się na kolację w przytulnej restauracyjce dwie przecznice od ambasady. Nie widział wprawdzie otwartego tekstu wychodzącego trzy metry dalej, ale Bogiem a prawdą miał to w nosie. Pracował w tym fachu już od dziewięciu lat i wytrwał tylko dlatego, że dzięki tej robocie mógł podróżować. Berno było jego trzecią placówką zagraniczną. Wprawdzie miał tu mniej rozrywek niż w Bangkoku, jednak dużo ciekawsze życie niż w rodzinnym mieście Ithaca w stanie Nowy Jork.

Komunikat składał się z siedemnastu tysięcy znaków, co prawdopodobnie odpowiadało dwu i pół tysiącom słów, pomyślał radiotelegrafista. Przeleciał przez tekst w rekordowym tempie.

- W porządku? - spytał po wystukaniu całości. Ostatnim słowem było ERYTPESM.

- Tak - odparł attache prawny.

- Świetnie. - Telegrafista odpiął wydruk dalekopisu, z którego odpisywał wiadomość, i włożył go do maszyny mielącej dokumenty - wypadły z niej w postaci cieniutkich nitek. Następnie wyjął kasetę z magnetofonu i uzyskawszy potwierdzenie szefa zmiany, podszedł do kąta pokoju. Tu, przywiązany do kabla - zwykłego, spiralnego przewodu telefonicznego - zwisał masywny magnes w kształcie podkowy.

Radiotelegrafista przesunął magnes tam i z powrotem nad kasetą, aby zniszczyć zapis magnetyczny na taśmie. Po tej operacji kasetę wylądowała w worku z materiałami do spalania. O północy jeden z pilnujących ambasady marines pod okiem innego pracownika zaniesie worek do pieca ambasady,

gdzie na ich oczach spłonie na popiół w płomieniach gazu ziemnego dzienna dawka papieru i innych zastrzeżonych śmieci. Pan Bernardi skończył przeglądać komunikat i podniósł wzrok.

- Szkoda, że moja sekretarka nie pisze w takim tempie, Charlie. Znalazłem dwa - tylko dwa! - błędy. Przykro mi, że przytrzymał cię tak późno. - Attache wręczył mu pięciofrankowy banknot. - Masz, wypij dwa piwa na mój rachunek.

- Dziękuję, panie Bernardi.

Chuck Bernardi był starszym agentem FBI, którego stanowisko odpowiadało generałowi brygady w armii amerykańskiej, w której zresztą służył jako oficer piechoty dawno temu i daleko stąd. Zostały mu jeszcze dwa miesiące służby w Bernie, po czym wróci do kraju, do centrali FBI, a potem może dostanie robotę jako szef służb specjalnych w średnich rozmiarów oddziale terenowym. Ze względu na swoją specjalność podlegał Departamentowi Przystępności Zorganizowanej FBI, co wyjaśniało jego pracę w Szwajcarii. Chuck Bernardi znał się bowiem jak mało kto na śledzeniu mafijnych pieniędzy, z których spora porcja przepływała przez szwajcarski system bankowy. Pracując pół na pół jako oficer policji i dyplomata, stykał się ze wszystkimi wysokimi funkcjonariuszami szwajcarskiej policji, z którymi nawiązał

bliską i serdeczną współpracę. Uważał, że miejscowa policja odznaczała się inteligencją, profesjonalizmem i diabelną skutecznością. Drobną staruszką mogła przejść ulicami Berna z torbą na zakupy pełną banknotów, czując się całkowicie bezpieczna. Pewnie niektóre, zaśmiał się w duchu, rzeczywiście chodziły z workami forsy.

Bernardi wszedł do swojego gabinetu, zaświecił lampkę do czytania i zapalił cygaro.

Nie strzepnąwszy nawet pierwszego popiołu, odchylił się w fotelu do tyłu i wpatrzył się w sufit.

- Skurczybyki! - Sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do najwyższego rangą gliniarza, jakiego znał.

- Mówi Chuck Bernardi. Czy zastałem doktora Langa? Dziękuję... Cześć, Karl, mówi Chuck. Muszę się z tobą zobaczyć... i to natychmiast, jeśli możesz... sprawa dość poważna, Karl, naprawdę... Lepiej w twoim biurze... To nie na telefon, Karl, nie gniewaj się... Świetnie, dziękuję, stary. Nie pożałujesz, mówię ci. Będę u ciebie za piętnaście minut.

Odłożył słuchawkę. Udał się do kserokopiarki i powielił dokument, po czym wpisał do zeszytu swoje nazwisko i liczbę odbitek. Przed wyjściem schował oryginał do swojego osobistego sejfu i włożył kopię do kieszeni marynarki. Karl na pewno wnerwił się, że przypadnie mu kolacja, ale w końcu niecodziennie ktoś wzbogacał gospodarkę narodową

swojego państwa sumką dwustu milionów dolarów. Szwajcarzy zamrożą konta.

Oznaczało to, że sześć ich banków zatrzyma zgodnie z miejscowym prawem wszystkie narosłe odsetki - a może i nawet razem z całym kapitałem, bo ustalenie, który rząd upoważniony jest do jego przejęcia, może okazać się niemożliwe, co zmusi Szwajcarów do zatrzymania funduszy, które w końcu zostaną przekazane poszczególnym kantonom. A ludzie dziwią się, skąd też Szwajcaria jest takim zamożnym, spokojnym, uroczym małym krajem. Narciarstwo i czekolada jeszcze wszystkiego nie wyjaśniają.

W ciągu godziny wiadomość dotarła do sześciu ambasad i gdy słońce maszerowało po niebie, tajni agenci FBI odwiedzili także reprezentacyjne gabinety kilku amerykańskich banków komercyjnych gwarantujących pełną obsługę. Przekazywali numery identyfikacyjne lub nazwy rachunków, na których wkłady miały być natychmiast zamrożone w całości za pomocą prostego zabiegu blokady komputerowej. W każdym przypadku sprawę załatwiano dyskretnie. Nikt nie musiał o niczym wiedzieć, a o znaczeniu dyskrecji poważni panowie ze służb rządowych przekonywali skutecznymi argumentami - w Ameryce i gdzie indziej -prezesów banków, którzy bez wyjątku godzili się na współpracę (przecież nie były to ich pieniądze!). W prawie wszystkich przypadkach, jak wykazała policja, rachunki nie były zbyt aktywne; przeciętnie dokonywano dwóch lub trzech transakcji miesięcznie, za to pokaźnych. Depozyty miały nadal być przyjmowane, a pewien belgijski dygnitarz zasugerował, że jeśli FBI zbierze informacje o innych tego rodzaju kontaktach, powinno się dopuszczać do transferów pod obserwacją z jednego konta na drugie - tylko w granicach jednego kraju, zastrzegł się Belg - aby w ten sposób zapobiec spłoszeniu depozytariuszy. Bądź

co bądź - tłumaczył Belg -narkotyki to wspólny wróg całego cywilizowanego świata, a już z pewnością wszystkich policjantów. Sugestia ta zyskała natychmiast aprobatę dyrektora Jacobsa z poparciem ministra sprawiedliwości. Nie odmówili współpracy nawet Holendrzy, mimo że rząd holenderski sam sprzedawał narkotyki w wyznaczonych sklepach swoim co bardziej zdeprawowanym młodym obywatelom. Ot, klasyczny przykład kapitalizmu w akcji. Pojawiły się pieniądze, pieniądze niezarobione w przyzwoity sposób, a rządy nie popierały takich pieniążków. Dlatego też przechwytywały je na własne, bardzo przyzwoite cele. Co do banków, tajemnica, której zobowiązywały się strzec, była tak święta, jak tajemnica personaliów ich klientów.

W piątek po godzinach pracy wszystko już zostało zapięte na ostatni guzik. Bankowe sieci komputerowe czuwały. Stróżom prawa pozostały jeszcze całe dwa dni na dokładniejsze zbadanie pieniężnych szlaków. Gdyby wpadli na trop dalszych depozytów powiązanych z zablokowanymi kontami, fundusze te miały być również zamrożone, a w przypadku banków europejskich - skonfiskowane.

Pierwsze trofeum padło w Luksemburgu. Chociaż banki szwajcarskie cieszą się międzynarodową sławą dzięki przepisom gwarantującym tajemnicę, jedyna różnica pod tym względem pomiędzy ich działalnością a działalnością banków w większości innych" państw europejskich polegała na tym, że takiej Belgii, na przykład, nie otaczały Alpy i że Szwajcaria nie gościła na swoim terytorium obcych wojsk w tak niedalekiej przeszłości jak jej europejscy sąsiedzi. Poza tym solidność banków była identyczna, a co za tym idzie, bankierzy spoza Szwajcarii nie znosili Alp za to, że dawały ich szwajcarskim braciom dodatkowe i całkiem przypadkowe fory. Ale w sprawach tego kalibru współpraca międzynarodowa była regułą. Do niedzielnego wieczoru zidentyfikowano sześć nowych trefnych kont i założono blokadę komputerową na kolejnych sto trzydzieści pięć milionów dolarów.

W Waszyngtonie zaś dyrektor Jacobs, zastępca wicedyrektora Murray, specjaliści z Biura do Spraw Zorganizowanej Przeszeczności i Departamentu Sprawiedliwości wyszli ze swoich gabinetów i udali się na dobrze zasłużony obiad do restauracji Jockey Club. Pod czujnym okiem dyrektorskiej ochrony dziesięciu panów zasiadło do wykwinanego obiadu na koszt rządu. Może przechodzący reporter miałby obiekcje, lecz tym razem panowie z nawiązką zapracowali sobie na tę ucztę. Operacja

„Tarpon” to przecież największy dotychczasowy sukces w wojnie narkotykowej.

Wiadomość miała być podana publicznie, jak postanowili, pod koniec tygodnia.

- Panowie - rzekł Dan Murray, wstając z trudem; już nie pamiętał, ile kieliszków chablis towarzyszyło rybnemu, co było oczywiste, daniu - wypijmy zdrowie Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych!

Wszyscy wstali z gromkim śmiechem, irytując innych gości w restauracji.

- Niech żyje Straż Przybrzeżna!

Szkoda, jak zauważył jeden z prawników Departamentu Sprawiedliwości, że nie znali słów do Semper Paratus.

Biesiada zakończyła się o dwudziestą drugą. Ochroniarze dyrektora spojrzeli po sobie. Emil nie najlepiej znosił alkohol i nazajutrz przeobrazi się w ponurego, skacowanego niedźwiadka, choć nie omieszka grzecznie przeprosić wszystkich przed lunchem.

- W piątek po południu lecimy do Bogoty - oznajmił im w zaciszu swego służbowego oldsmobila. - Ułóżcie sobie plany, ale nie powiadamajcie Sił Powietrznych do środy.

Nie chcę żadnych przecieków na ten temat.

— Tak jest - odpowiedział szef ochrony.

Też nie miał ochoty na ten wypad. Zwłaszcza teraz. Handlarze będą wkurzeni. Ale tym razem nic nie wyczują. Prasa poda, że Jacobs zostaje w Waszyngtonie i bada sprawę, nie będą się go więc spodziewali w Kolumbii. Ale na wszelki wypadek ochrona będzie bardzo mocna. Szef ochrony wraz z podwładnymi agentami spędzi więcej czasu na strzelnicy Biura w Budynku Hoovera, szlifując formę w strzelaniu z pistoletów i karabinów maszynowych. Nie pozwolą, żeby coś złego przytrafiło się Emilowi.

Moira dowiedziała się we wtorek rano. W tym czasie znała już też szczegóły operacji

„Tarpon”. Wiedziała, że podróż ma być utrzymana w ścisłej tajemnicy i nie wątpiła, że będzie niebezpieczna. Juanowi powie dopiero w czwartek wieczorem. Musiała przecież uważać. Przez resztę tygodnia zachodziła w głowę, cóż to za szczególne miejsce znał w Górach Błękitnych.

Nikogo już nie martwiło, że dostali umundurowanie khaki zamiast klasycznych panterek. Niemiłosiernie umorusani, wcale nie odróżniali się od kryjącego ich poszycia. Cały oddział umył się raz w rzeczce, z której brali wodę do picia, ale nikt nie używał mydła, żeby mydliny, zapach czy coś jeszcze nie zwróciło czyjejs uwagi w dole rzeki. W tych okolicznościach mycie bez mydła sprawiało im tyle przyjemności, ile całowanie się z własną siostrą. Ale przynajmniej się trochę ochłodzili, a tę chwilę Chavez wspominał z największą rozkoszą. Przez dziesięć wspaniałych minut było mu dobrze. Dziesięć minut, po których znów zlał się potem. W tym wrednym klimacie w bezchmurne popołudnie temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni. Jeżeli to ma być pieprzona dżungla, dziwił się Chavez, to dlaczego, do cholery, nie pada? Całe szczęście przynajmniej, że nie musieli się dużo ruszać. Dwóch dupków pilnujących lotniska większość czasu spało, paliło - chyba trawkę - i objało się bezmyślnie. Raz przestraszyli go, strzelając z nudów do puszek, które ustawili sobie na pasie startowym. Mogła to być niebezpieczna zabawa, ale strzały nie szły w kierunku punktu obserwacyjnego i Chavez wykorzystał okazję, żeby ocenić zdolności strzeleckie przeciwnika. Do dupy - natychmiast powiadomił Vegę. Teraz znowu zabierali się do zabawy. Ustawili trzy duże puszkę po fasoli około stu metrów od szopy i zaczęli strzelać, z biodra, jak aktorzy z westernów.

- Dupy wołowe - zawyrokował, patrząc przez lornetkę.

- Ja też popatrzę - Vega zdążył akurat przyłożyć lornetkę, gdy jeden z nich trafił w puszkę za trzecim podejściem. - Cholera, ja bym stąd pieprznął w to śmierdzące żelastwo...

- Czoło, tu Szóstka, co tam się dzieje, kurwa! - zaskrzeczało po chwili radio.

Vega odpowiedział.

- Szóstka, tu Czoło. Nasi przyjaciele znowu zabawiają się pukawką. Tor strzałów jest w bezpiecznej odległości od nas. Robią dziury w puszkach. Tacy z nich strzelcy, jak z koziej dupy trąba, panie kapitanie.

- Zaraz tam będę.

- Dobra. - Ding postawił radio. - Kapitan idzie do nas. Hałas go chyba zdenerwował.

- Martwi się za wszystkich - zauważył Vega.

- Za to właśnie płacą oficerom, nie?

Ramirez zjawił się po trzech minutach. Chavez chciał mu dać lornetkę, ale kapitan tym razem przyniósł swoją. Położył się na ziemi i przyłożył lornetkę do oczu w samą porę, by zobaczyć, jak pada następna puszkę.

- Och!

- Dwie puszkę, dwa pełne magazynki - wyjaśnił Chavez. - Amunicja musi być cholernie tania w tych stronach.

Obaj strażnicy wciąż palili. Kapitan z sierżantem obserwowali, jak tamci, strzelając, śmiali się i wygłupiali. Zdaje się, pomyślał Ramirez, że się nudzą tak samo jak my. Po odlocie pierwszego samolotu nic się tu, w „Reno” nie działo, a żołnierze znoszą nudę jeszcze gorzej niż zwykli cywile. Jeden z nich - nie dało się ich odróżnić, bo byli mniej więcej jednakowego wzrostu i mieli na sobie takie samo odzienie - załadował następny magazynek do swojego AK-47 i palnął dziesięciostrzałową serię. Niewielka fontanna ziemi podeszła do ostatniej już puszki, która jednak pozostała nienaruszona.

- Nie wiedziałem, że będziemy mieli aż tak łatwe zadanie - powiedział Vega zza celownika swojego karabinu. - Długo by szukać takich patałachów!

- Myśl tak, a sam się staniesz jednym z nich, Oso - rzekł przytomnie Ramirez.

- Zgoda kapitanie, ale widzę, co widzę. Ramirez złagodził reprimendę uśmiechem.

- Chyba masz rację.

Wreszcie padła trzecia puszka. Przeciętnie wypadło im trzydzieści naboju na jeden cel.

- Wiecie co? - odezwał się po chwili Vega. - Jeszcze nie widziałem, żeby któryś z nich czyścił broń.

Chłopcom z drużyny Ramireza czyszczenie broni tak weszło w krew, jak ranne i wieczorne modlitwy księżom.

- AK zniesie bardzo dużo. To wytrzymała broń - zauważył Ramirez.

- Tak jest.

W końcu strażnicy też się znudzili. Jeden z nich pozbierał puszki. Wtedy właśnie nadjechała ciężarówka. Bez żadnego specjalnego ostrzeżenia - ze zdumieniem stwierdził Chavez. Wiatr wiał w przeciwnym kierunku, ale i tak nie spodziewał się, że nie będzie miał nawet minuty na pozbieranie myśli. Nowa nauczka. Ciężarówką przyjechały trzy osoby, z których jedna siedziała na platformie. Kierowca wysiadł i podszedł do dwóch strażników. Po chwili wrzeszczał na nich, pokazując na ziemię -

słyszeli wszystko z odległości pięciuset metrów, a przecież nie usłyszeli nadjeżdżającej ciężarówki, co wydało im się dziwne.

- Co się dzieje? - spytał Vega. Kapitan Ramirez zaśmiał się cicho.

- Ciała obce. Facet się wkurzył na ciała obce.

- Hm? - spytał Vega.

- Uszkodzenie maszyny przez ciało obce. Niech tylko silnik samolotu wessie jedną z tych łusek, na przykład silnik turbinowy, a maszynę szlag trafia. Patrzcie, jak chłopcy zbierają złom.

Chavez skierował z powrotem lornetkę na ciężarówkę.

- Widzę jakieś skrzynki, panie kapitanie. Chyba szykuje się przerzut dzisiejszej nocy.

Ale dziwne, że nie widać kanistrów z paliwem -właśnie! Kapitanie, przecież jak tu byliśmy zeszłym razem, oni nie tankowali paliwa, prawda?

- Samolot startuje z normalnego lotniska trzydzieści kilometrów stąd - wyjaśnił

Ramirez. - Może nie muszą wcale uzupełniać zbiorników... Dziwna sprawa.

- Może trzymają beczki z paliwem w szopie...?-zastanawiał się na głos Vega.

Kapitan Ramirez mruknął pod nosem. Chciał posłać dwóch ludzi na zwiad, żeby dokładniej zbadali teren, ale rozkazy na to nie pozwalały. Jedyne patrole miały na celu sprawdzenie, czy w otoczeniu lotniska nie ma dodatkowych oddziałów ochrony. Ani razu nie podeszli bliżej niż na czterysta metrów do odkrytego terenu i to nie spuszczać z oka dwóch wartowników. Rozkazy operacyjne wyraźnie zabraniały najmniejszego

nawet ryzyka kontaktu z przeciwnikiem. Nie wolno im więc było patrolować terenu, mimo że dowiedzieliby się w ten sposób więcej o przeciwniku, niż wiedzieli dotychczas - zdobyliby bardzo potrzebne informacje. Ale rozkazy były rozkazami.

Ktokolwiek je wydał, nie znał się zbyt na żołnierce. Ramirez po raz pierwszy zetknął się z tym zjawiskiem, był bowiem za młody, żeby pamiętać Wietnam.

- Chyba zostaną tam cały dzień - powiedział Chavez.

Wyglądało na to, że kierowca ciężarówki kazał im liczyć łuski, a przecież wszystkich nigdy człowiek nie znajdzie. Vega popatrzył na zegarek.

- Zachód słońca za dwie godziny. Założę się, że dziś w nocy będzie ruch w interesie.

Daję sto peso, że przed dwudziestą drugą sfrunie nam tu ptaszek.

- Nie ma głupich - rzekł Ramirez. - Ten wysoki właśnie otworzył skrzynię z pochodniami naprowadzającymi.

Kapitan odszedł. Musiał nadać meldunek przez radio.

W Corezal upłynęły dwa spokojne dni.

Clark właśnie wrócił z późnego lunchu w kasynie oficerskim Fort Amador - szef armii panamskiej miał biuro w tym samym budynku; rzecz o tyle ciekawa, że nie cieszył się on obecnie największą popularnością w amerykańskich kołach wojskowych.

Miejscowe zwyczaje, jak się zdążył zorientować, były całkiem rozsądne. Szczególnie przesypianie

najupalniejszej pory dnia. Chłodne powietrze w wozie łączności -

klimatyzacja miała chronić sprzęt elektroniczny, zwłaszcza przed zabójczą wilgocią -

strząsnęło z niego resztki snu.

Oddział Nóż zdobył punkt już pierwszej nocy, nakrywszy jeden samolot. Dwa z pozostałych oddziałów też miały trafienia, ale jednej maszynie udało się dotrzeć do celu, gdy ku ogólnemu utrapieniu w F-15 zepsuł się radar dziesięć minut po starcie.

Ale przecież należało liczyć się z tego rodzaju problemami, prowadząc operację tak skromnymi środkami. Dwa na trzy to wcale nieźle, zwłaszcza jak się weźmie pod uwagę szansę sprzed zaledwie miesiąca, gdy przy sprzyjających okolicznościach celnikom udawało się przyskrzynić jeden marny samolot na miesiąc. Przy tym jedna z drużyn miała czyste konto. Jej lotnisko wyglądało na zupełnie martwe wbrew informacjom wywiadu, po których można było sobie wiele obiecywać jeszcze tydzień temu - kolejne ryzyko prawdziwych, a nie przeprowadzanych na papierze operacji.

- Zmienna, tu Nóż, odbiór - odezwał się nadawca bez wstępów.

- Nóż, tu Zmienna. Sygnał głośny i wyraźny. Jesteśmy gotowi odbiór.

- W „Reno” znowu ruch. Chyba dziś w nocy szykuje się przerzut. Będziemy was informować na bieżąco. Odbiór.

- Dobra. Będziemy w pogotowiu. Bez odbioru.

Jeden z facetów z operacji przełączył nadajnik na inny kanał.

- Orle Gniazdo, tu Zmienna... Bądźcie gotowi... Dobra. Będziemy meldować. Bez odbioru. - Odłożył mikrofon i obrócił się. - Postawią wszystkich na nogi. Myśliwiec jest już gotowy do akcji. Twierdzą, że radar miał panel do wymiany. Już jest w porządku, Siły Powietrzne przekazują wyrazy ubolewania.

- Należą się nam, do cholery - zrzędził drugi gość z operacji.

- Czy wpadło wam kiedyś do głowy, że operacja może przebiegać za dobrze? - spytał

Clark ze swojego miejsca w kącie.

Ten starszy już miał na języku ciętą odpowiedź, ale się opamiętał.

- Muszą się domyślać, że dzieje się coś dziwnego. Żebyście tylko nie przedobrzyli, panowie - wyjaśnił Clark temu drugiemu.

Rozparł się wygodnie na krześle i zamknął oczy. Przydałoby się jeszcze trochę sjesty, pomyślał. Zapowiadała się długa noc.

Marzenie Chaveza ziściło się zaraz po zachodzie słońca. Zaczęło kropić, a nadchodzące od zachodu chmury zwiastowały rześisty deszcz. Załoga lotniska rozłożyła światła - o wiele więcej niż zeszłym razem - i niebawem nadleciał samolot.

Deszcz utrudniał orientację. Chavezowi zdawało się, że ktoś przeciągnął wąż paliwowy z szopy do samolotu. Może w środku znajdowały się zbiorniki z paliwem, ale oddalony o pięćset czy sześćset metrów obraz to pojawiał się, to rozpływał w strugach deszczu. Zdarzyło się coś jeszcze. Ciężarówka przejechała środkiem pasa startowego, a kierowca wyrzucił z dziesięć dodatkowych świateł do oznaczenia linii środkowej. Samolot wystartował dwadzieścia minut po wylądowaniu. Ramirez już nadawał wiadomość przez radio.

- Widzieliście numer na stateczniku pionowym? - zapytała Zmienna.

- Nie - odpowiedział kapitan. - Leje jak z cebra. Widzialność do dupy. Ale odleciał o dwudziestej pięćdziesiąt jeden lokalnego czasu, kierując się na północno-północny zachód.

- Dobra, zrozumiałem. Bez odbioru.

Ramirez obawiał się skutków ograniczonej widzialności dla swojego oddziału. Wysłał

jeszcze dwóch żołnierzy na punkt obserwacyjny,

ale daremnie się trudził. Wartownicy tym razem nawet nie zgasili pochodni sygnalizacyjnych, zdając się na deszcz. Wkrótce po starcie samolotu odjechała ciężarówka, a złajani strażnicy lotniska udali się do szopy, uciekając przed deszczem.

Przyznał w duchu, że już łatwiej być nie mogło.

Bronco też się nudził. Nie żeby miał dość tej roboty, ale nie zaspokajała dostatecznie jego ambicji. Poza tym utknął w miejscu z czterema strąceniami, a brakowało mu tylko jednego, żeby zostać asem. Doskonale wiedział, że dla dobra misji potrzebni są żywi więźniowie... ale, niech to szlag, zabić takich skurwysynów to... czysta satysfakcja, choćby nawet człowiek nie musiał się specjalnie wysilić. Latał maszyną przeznaczoną do walki z najlepszymi myśliwcami, jakie wymyślili Rosjanie. Załatwić dwusilnikowego beecha, to tak jak przejechać się do kasyna na piwo. Może tej nocy zrobi coś innego... ale co?

Takie myśli zaprzętały mu głowę, gdy krążył na północ od Cieśniny Jukatańskiej na ogonie E-2C, oczywiście z dala od korytarzy linii pasażerskich. Zgłoszenie kontaktu przyszło w samą porę. Skręcił na południe, kierując się na cel, do którego dotarł po przeszło dziesięciu minutach.

- Jest - zameldował pilotowi Hawkeye'a. - Widzę cel.

Następny dwusilnikowiec, czyli następny przemytnik kokainy. Kapitan Winters był

wciąż zły z powodu tamtej nocy. Ktoś zapomniał sprawdzić plan konserwacji jego maszyny i stało się: ta zasrana lampka wysiadła dokładnie wtedy, kiedy przewidział

producent - po pięciuset trzech godzinach. Dziw bierze, że obliczyli to z taką dokładnością i że myśliwiec za ileś tam milionów dolarów rozkraczył się przez lampkę, diodę, chip czy inne gówienko za pięć dolarów. Tak, pięć dolarów. Wiedział, bo mu powiedział sierżant.

Już go miał na oku. Dwusilnikowiec, chyba Beech King Air. Bez świateł, leciał dużo niżej od pułapu ekonomicznego.

Spokojna głowa, pomyślał Bronco, wypuszczając klapy, zapalając reflektory i nadając pierwsze ostrzeżenie przez radio.

Przemytnik, jak nic. Wycinał te same numery co wszyscy poprzednicy, redukując moc, wypuszczając klapy i nurkując nad samą powierzchnię wody. Wintersowi nigdy nie udało się przekroczyć czwartego stopnia trudności w komputerowej grze Donkey Kong, ale zestrzelenie prawdziwego samolotu w tych okolicznościach było o wiele łatwiejsze i w dodatku człowiek nie musiał wrzucać ćwierćdolarówki... tylko że już go to nudziło.

Dobra, spróbujmy czegoś innego.

Dał tamtemu zanurkować i utrzymując własną wysokość i moc, wyprzedził znacznie cel. Upewniwszy się, że ma zgaszone wszystkie światła, zrobił ostry zwrot w lewo. W

ten sposób naprowadził radar kierowania ogniem na cel, co pozwoliło mu śledzić King Aira za pomocą detektora podczerwieni połączonego z magnetowidem, tak jak system działek.

Myślisz, że mnie zgubiłeś, tak?

A teraz część rozrywkowa. Noc była tym razem wyjątkowo ciemna. Niebo bez gwiazd, bez księżyca, zasnuwane chmurami na wysokości trzech do czterech tysięcy metrów. Szarobłękitny kamuflaż pozwolił Eagle'owi zlewać się z tłem nieba, a w nocy maskował lepiej niż gładka, matowa czerń. Bronco był niewidoczny. Załoga beecha szukała go teraz wszędzie, tylko nie przed sobą.

Przemytnicy lecieli na wysokości piętnastu metrów. Na monitorze kapitan Winters widział, jak o kilometr dalej strumieniem zaśmigłowym rozbryzgują fale - wysokie na prawie dwa metry grzywacze, na ile zdołał ocenić. Nadleciał z powrotem na wysokości trzydziestu metrów, z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę. Dokładnie kilometr przed celem włączył znowu światła.

Stało się teraz to, co się musiało stać. Pilot beecha zobaczył nadlatujące, na pozór wprost na niego, światła jasne jak słońce i zrobił odruchowo to, co na jego miejscu zrobiłby każdy pilot. Z ostrym przechyłem odbił w prawo i zanurkował - dokładnie piętnaście metrów - wbijając się w wodę. Chyba nawet nie zdążył się zorientować, jaki popełnił błąd, pomyślał Bronco i zaraz wybuchnął gromkim śmiechem, pociągając za drążek sterowy i przechylając maszynę, żeby spojrzeć na swoje dzieło ostatni raz. No, to rozumiem, zabić z klasą, powiedział do siebie kapitan Winters, skręcając do bazy.

Ten numer na pewno spodoba się facetom z Agencji. A najważniejsze, że już został

asem. Wcale nie trzeba było ich zestrzeliwać, żeby się liczyło. Wystarczyło zabić.

KRWAWY WEEKEND

(' hyba jednak nie wypada trzymać go w niepewności do ostatniej chwili, - rozmyślała Moira, jadąc do domu w środę po południu. A jak nie może przyjechać? Może chciałby wiedzieć wcześniej? A jeśli wypadło

mu coś ważnego w czasie weekendu? Może w ogóle nie będzie mógł przyjechać?

Musi do niego zadzwonić.

Pani Wolfe sięgnęła do torebki i wyszperała złożony firmowy papier z hotelu, wciąż tkwiący w kieszonce zamkniętej na zamek błyskawiczny. Zapisany numer telefonu nie dawał jej spokoju. Musi zadzwonić do Diaza.

Na ulicach panował chaos. Ktoś złapał gumę na Czternastej ulicy. Ręce pociły się jej na plastikowej kierownicy. A jeśli nie będzie mógł przyjechać?

A co z dziećmi? Były już przecież na tyle dorosłe, że dadzą sobie radę, z tym pójdzie łatwo, ale z drugiej strony, jak im wytłumaczyć, że ich mama jedzie na weekend - Jak one to teraz mówią? - na chatę. Ich mamusia! Jak to przyjmą? Nie przyszło jej nawet do głowy, że owa straszna dla niej tajemnica już dawno nią nie jest ani dla jej dzieci, ani kolegów z pracy, ani szefa i nie posiadałaby się ze zdumienia, dowiedziawszy się, że wszyscy trzymają kciuki, żeby tylko udało jej się... pójść na chatę. Rewolucja seksualna przyszła o rok lub dwa za późno dla Moiry Wolfe. Doniosła swe wystraszone - ufne - namiętne - bojaźliwe dziewictwo do małżeńskiego łóżka i nigdy nie zwątpiła, że jej mąż też. Musiał, powtarzała sobie wówczas i później, bo przecież oboje tak nieporadnie zabierali się do rzeczy za pierwszym razem. Ale w ciągu trzech dni opanowali podstawy - miłość i młodzieńczy wigor potrafią dokonywać cudów - i przez następne dwadzieścia dwa lata dwoje nowożeńców złączyło się w prawdziwą jedność.

Pustka po stracie męża doskwierała jej jak otwarta, niezagojona rana. Przy łóżku trzymała jego zdjęcie, zrobione zaledwie rok przed śmiercią, podczas majsterkowania przy jachcie. Nie był już wówczas młodym mężczyzną, wyhodował w pasie wałeczki tłuszczu, włosy mu się znacznie przerzedziły, ale uśmiechał się jak dawniej. Jak to ujął

Juan? Patrzysz z miłością, a widzisz miłość odwzajemnioną. Lepiej nie da się tego wyrazić, pomyślała Moira.

Mój Boże, co by pomyślał Rich? Zadawała sobie nieraz to pytanie. Ilekroć spojrzała na fotografię przed snem. Ilekroć patrzyła na dzieci, jak wchodzi albo wychodzą z domu, z nadzieją, że się niczego nie domyślają, a przecież wiedziała - choć wiedzy tej nie tknęła nawet świadoma myśl - że muszą znać prawdę. Ale cóż miała począć. Chodzić we wdowiej żałobie do końca życia? Ten zwyczaj należał już do zamierzchłej przeszłości. Przecież nosiła żałobę dostatecznie długo. Płakała za nim po nocach na wspomnienie jakiegoś wydarzenia, w rocznice wszystkich pamiętnych dat, które nabierają znaczenia w ciągu tych dwudziestu dwu lat, gdy dwoje ludzi staje się jedną osobą, a czasem wystarczyło, że spojrzała na fotografię Richa na jachcie, na który ciułali tyle lat...

Czego ludzie ode mnie oczekują? - pytała się w rozterce. Przecież mam jeszcze życie przed sobą, mam swoje potrzeby.

Co by powiedział Rich?

Nie zdążył nic powiedzieć. Umarł w drodze do pracy, dwa miesiące po zwykłej wizycie u lekarza, który zalecił mu zrzucić parę kilo i orzekł, że ciśnienie ma odrobinę za wysokie, ale nie ma się czego obawiać, że poziom cholesterolu jest całkiem przyzwoity, jak na mężczyznę po czterdziestce, i że powinien przyjść się zbadać za rok. I niedługo później, o siódmej trzydziści dziewięć, jego samochód zjechał z jezdni i zatrzymał się na metalowej barierze. Z sąsiedniej ulicy nadjechał policjant i dziwił się, że kierowca nie wyszedł z samochodu, zastanawiając się, czy aby ktoś nie prowadził

auta po pijanemu tak wcześnie rano, lecz po chwili spostrzegł, że u kierowcy nie czuć pulsu. Wezwano karetkę, której załoga zastała policjanta masującego Richowi klatkę piersiową, bo podejrzewał - tak jak i lekarz pogotowia - atak serca i postępował tak, jak nauczono go postępować w takich przypadkach. Ale od początku nie było najmniejszej szansy. Anewryzm mózgu. Osłabienie ścianek naczyń, jak wyjaśnił lekarz po oględzinach zwłok. Nic i tak nie dałoby się zrobić. Skąd się to u niego wzięło...?

Może dziedziczne, ale raczej nie. Nie, nadciśnienie nie miało z tym nic wspólnego.

Wczesna diagnoza prawie wykluczona nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Czy skarżył się na bóle głowy? Tak nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia? Lekarz odszedł speszony tym, że nie może powiedzieć nic więcej, nie tyle zły, co zasmucony faktem, że medycyna nie znała odpowiedzi na wszystkie pytania i że trudno było powiedzieć coś konkretnego. (Jedna z „tych rzeczy” - tak lekarze mawiali między sobą, ale przecież nie wypadało powtórzyć tego rodzinie). Przynajmniej nie cierpiał, jak pocieszał lekarz, nie wiedząc, czy kłamie, czy mówi prawdę, ale to wszakże nie miało już większego znaczenia, więc zapewniał ją autorytatywnie, że owszem, może się pocieszyć tym, że nie cierpiał. Potem pogrzeb. Przyszedł Emil Jacobs, już wówczas przeczuwając rychłą śmierć swojej żony; pani Jacobs prosto ze szpitala przyjechała na pogrzeb, towarzysząc mężowi, którego niebawem miała opuścić na zawsze. Popłynęło tyle łez...

Niesprawiedliwy los. Niesprawiedliwy los kazał mu wyjść bez słowa pożegnania.

Pocałunek o smaku kawy przy drzwiach, coś o zakupach w Safewayu po drodze do domu; odwróciła się, nawet nie widziała, jak wsiada do samochodu ostatni raz w życiu. Dręczyła się później przez to całymimi miesiącami.

Co by powiedział Rich?

Ale Rich nie żył, a dwa lata żałoby to wystarczająco długo.

Gdy dotarła do domu, dzieci już jadły obiad. Moira poszła na górę przebrać się i nie mogła oderwać

wzroku od telefonu na nocnym stoliku. Tuż obok fotografii Richa.

Usiadła na łóżku i wpatrując się w telefon, usiłowała się przełamać. Trwała w bezruchu minutę lub dwie. Wreszcie wyjęła z torebki kartkę i wystukała numer. Usłyszała sygnał

połączenia międzynarodowego.

- Diazy Inaz - odezwał się kobiecy głos.

- Czy mogłabym rozmawiać z Juanem Diazem? - spytała Moira.

- A kto mówi? - spytał głos.

- Nazywam się Moira Wolfe.

- A, seniora Wolfe! Consuela przy telefonie. Proszę poczekać moment. W słuchawce trzeszczało przez dobrą minutę.

- Seniora Wolfe, niestety, jest gdzieś na terenie fabryki. Nie mogę go znaleźć. Czy mam powiedzieć, żeby do pani zadzwonił?

- Tak. Czekam w domu.

- Si, przekażę mu... seniora?

- Tak, słucham?

- Proszę mi wybaczyć, ale muszę pani coś powiedzieć. Od śmierci jego Marii... Senor Juan, on jest dla mnie jak syn. Od kiedy panią poznał, seniora, jest znów szczęśliwy.

Już myślałam, że on nigdy nie zazna... Tylko błagam, niech pani nie mówi mu, co ja tu wygaduję. Dzięki pani senor Juan zmienił się nie do poznania. Wszyscy w biurze modlimy się za wasze szczęście.

Bardzo chciała to usłyszeć.

- Consuelo, Juan tyle wspaniałych rzeczy mi o pani opowiadał. Proszę mi mówić po imieniu.

- Powiedziałam już za dużo. Znajdę zaraz seniora Juana, choćby na końcu świata.

- Dziękuję, Consuelo. Do widzenia.

Consuela, która naprawdę miała na imię Maria - od niej właśnie Felix (Juan) wziął imię dla swej zmarłej żony - miała dwadzieścia pięć lat i po ukończeniu miejscowej szkoły sekretarek chciała zarobić więcej od swoich koleżanek, toteż przemyślała narkotyki do Ameryki przez Miami i Atlantę kilka razy z powodzeniem, aż raz o mały włos nie wpadła, co przesądziło o zmianie kariery. Obecnie, prowadząc swoją własną, niewielką firmę opodal Caracas, wykonywała jednocześnie

drobne zlecenia dla dawnych chlebodawców. Za tę konkretną pracę, czyli czekanie na wiadomość telefoniczną, dostawała pięć tysięcy dolarów tygodniowo. Była to oczywiście jedynie połowa zlecenia. Przystąpiła zaraz do drugiej,

wykręcając inny numer telefonu. Usłyszała dziwny ciąg zgrzytów, gdy - Jak podejrzewała - połączenie przeskoczyło z numeru, który wykręciła, na inny, którego nie знаła.

- Słucham?

- Senor Diaz? Mówi Consuela.

- No i?

- Przed chwilą dzwoniła Moira. Prosiła, żeby zadzwonił pan do niej do domu.

- Dziękuję. - Połączenie się urwało.

Cortez spojrział na zegar. Nie od razu, niech poczeka... dwadzieścia trzy minuty.

Przebywał właśnie w kolejnej luksusowej rezydencji w Medellin, dwa domy od posiadłości szefa. Czy to właśnie rozmowa, na którą czekał? Pamiętał czasy, kiedy z trudem powściągał niecierpliwość, ale przecież już od dawna nie był świeżo upieczonym oficerem wywiadu, toteż ze spokojem wrócił do przeglądania dokumentów.

Po upływie dwudziestu minut znów sprawdził czas i zapalił papierosa, patrząc na biegnące po tarczy zegara wskazówki. Uśmiechnął się, ciekaw, co ona przeżywa, czekając na jego telefon trzy tysiące kilometrów stąd. O czym myśli? Gdy papieros dopalił się do połowy, nadszedł czas, żeby się dowiedzieć. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Dave pierwszy odebrał telefon.

- Halo? - Skrzywił się. - Bardzo źle słyhać. Czy może pan powtórzyć? Ach, dobrze, proszę poczekać. - Dave obrócił się i napotkał wzrok matki. - Do ciebie, mamusiu.

- Odbiorę na górze - powiedziała bez wahania i ruszyła ku schodom najwolniej, jak tylko mogła.

Dave przykrył dłonią słuchawkę.

- Zgadnijcie, kto dzwoni.

Przez jadalnię przebiegły porozumiewawcze spojrzenia.

- Tak - usłyszał Dave jej głos z drugiego telefonu. Dyskretnie odłożył słuchawkę.

Powodzenia, mamó.

- Moira, mówi Juan.

- Jesteś wolny w ten weekend? - spytała.

- W ten weekend? Jesteś pewna?

- Mam wolne od lunchu w piątek do poniedziałku rano.

- Chwileczkę... muszę się zastanowić. - Trzy tysiące kilometrów dalej, Cortez patrzył przez okno na gmach po przeciwnej stronie ulicy. Czy aby to nie pułapka? Czy wydział do spraw wywiadu FBI czasami

nie... czy to wszystko nie jest...? Skądże znowu. - Moira, muszę z kimś porozmawiać.

Poczekaj minutkę, dobrze?

- Oczywiście!

Nieklamany entuzjizm w jej głosie rozwiął wszelkie wątpliwości. Nacisnął klawisz hold i przeczekał dwie minuty, nim wznowił rozmowę.

- Będę w Waszyngtonie w piątek po południu.

- Przylecisz akurat wtedy, kiedy... w sam raz, kiedy będę wolna.

- Gdzie możemy się spotkać? Na lotnisku. Możesz wyjechać po mnie na lotnisko?

- Tak.

- Nie wiem jeszcze, którym samolotem przylecę. Spotkajmy się... przy wypożyczalni Hertz o trzeciej. Będiesz tam, tak?

- Będę.

- Ja też, Moira. Pa, kochanie.

Moira Wolfe zerknęła jeszcze raz na fotografię, z której nadal patrzyła uśmiechnięta twarz. Nie dostrzegła jednak w tym uśmiechu potępienia.

Cortez wstał zza biurka i wyszedł z pokoju. Na jego widok strażnik za drzwiami stanął na baczność.

- Idę zobaczyć się z eljefe - oznajmił mu jakby nigdy nic. Strażnik uniósł komórkowy telefon i wybrał numer.

Trudności techniczne były ogromne. Największy problem mieli z mocą. Jeśli nawet centrale wysyłały sygnał o mocy pięciuset watów, to stacje przenośne dawały mniej niż siedem, a zasilane bateriami aparaty ręczne, którymi wszyscy tak lubią się posługiwać, nie przekraczały trzystu miliwatów, toteż nawet zebrane za pomocą potężnej anteny parabolicznej sygnały były jak szepty. Lecz Riolit-J to nader złożony instrument, rezultat niezliczonych miliardów dolarów zainwestowanych w prace badawcze. Oparta na nadprzewodnictwie elektronika częściowo rozwiązywała problem. Nadchodzące sygnały były analizowane w zero-jedynkowym systemie cyfrowym przez względnie prosty komputer i w tej postaci przesyłane do Fort Huachuca, gdzie inny komputer o nieporównywalnie większej mocy analizował bity surowych informacji i próbował

doszukać się w nich sensu. Przypadkowe zakłócenia elektrostatyczne eliminowano za pomocą matematycznie prostej, lecz za to powtarzanej po wielekroć procedury-algorytmu, polegającej na porównywaniu sąsiednich bitów oraz obliczaniu przeciętnych wartości liczbowych odcedzonych z dziewięćdziesięciu procent szumu.

Tym sposobem komputer w końcu wypluwał zrozumiały tekst z danych odebranych z satelity. Ale to dopiero początek.

Kartel posługiwał się telefonami komórkowymi w codziennej komunikacji ze względu na bezpieczeństwo. Wykorzystywano z grubsza sześćset osobnych częstotliwości, wyłącznie w paśmie od 825 do 845 i od 870 do 890 megaherców. Niewielki komputer w stacji bazowej ostatecznie doprowadzał do połączenia, wybierając na chybił trafił

dostępną częstotliwość, a w przypadku połączenia ze stacji ruchomej, zmieniając częstotliwość na lepszą, gdy odbiór szwankował. I wreszcie na tej samej częstotliwości mogły odbywać się równocześnie dwie rozmowy na sąsiednich komórkach (stąd nazwa całego systemu) w tej samej sieci. Dzięki temu rozwiązaniu żadna policja na świecie nie mogła przechwytywać rozmów w systemie telefonii komórkowej. Nawet bez szyfranki można było spokojnie rozmawiać, nie troszcząc się o kodowanie połączeń.

A przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

Rząd Stanów Zjednoczonych od dawna doskonalił technologię przechwytywania obcej łączności radiowej. Wiadomo skądinąd, iż nie ma lepszego sposobu zdobywania informacji, niż przechwytywanie przekazów wroga skierowanych do swoich ludzi. W

tej właśnie dziedzinie Ameryka przodowała od wielu lat. Całe konstelacje satelitów wystrzelono tylko po to, by podsłuchiwały obce narody, przechytując strzępki komunikatów radiowych lub sygnały wstęgi bocznej z mikrofalowych łącz przekaźnikowych. Sygnały te - częstokroć zaszyfrowane takim czy innym sposobem -

analizowano w centrali NSA, Agencji Bezpieczeństwa Narodowego na terenie Fort Meade w stanie Maryland, pomiędzy Waszyngtonem a Baltimore, której rozległe podziemia mieściły największe superkomputery świata.

W tym przypadku zadanie polegało na ustawicznym nasłuchu sześciuset kanałów wykorzystywanych przez sieć telefonii komórkowej w Medellin. To, czego nie dokonałaby żadna siła policyjna na świecie, stanowiło wręcz błahostkę dla NSA, która miała na ciągłym nasłuchu dosłownie dziesiątki tysięcy radiowych i innych elektronicznych kanałów. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego była znacznie większa niż CIA, o wiele tajniejsza i o wiele lepiej finansowana. Jedna z baz Agencji mieściła się w Fort Huachuca w Arizonie. Posiadała nawet swój własny superkomputer, nowiuteńkiego Craya, połączonego kablem światłowodowym z jednym z wielu wozów łączności, z których każdy wykonywał zadania, o jakie nie śmieli nawet pytać szeregowi członkowie personelu.

Następny problem to skuteczne wykorzystanie komputera. Nazwiska wielu szefów kartelu znane były służbom amerykańskim. Dysponowały one również nagraniami ich głosów. Od tego zaczęli programiści. Wykorzystując spektrograficzne charakterystyki poszczególnych głosów, ułożyli algorytm rozpoznający te głosy, obojętnie na jakiej częstotliwości się pojawiały. Następnie identyfikowano elektronicznie głosy tych, którzy do nich dzwonili. Wkrótce komputer automatycznie rozpoznawał i nagrywał

ponad trzydzieści znanych głosów, a liczba rozpoznawanych głosów-celów rosła z dnia na dzień. Wyjściowa moc sygnałów niekiedy utrudniała identyfikację i pewną liczbę rozmów stracono bezpowrotnie, jednak według oceny głównego inżyniera wyłapywano przeszło sześćdziesiąt procent, a wraz z rozszerzeniem identyfikacyjnej bazy danych, skuteczność miała wzrosnąć do osiemdziesięciu pięciu procent.

Głosom nieopatrzonym nazwiskami nadawano numery. Właśnie głos 23 połączył się z głosem 17.23 to strażnik. Został zidentyfikowany, ponieważ dzwonił do 17, którego wcześniej rozpoznano też jako członka obstawy celu Echo, jak ekipa comintu ochrzciła Escobedo. „Idzie się z nim zobaczyć”, to wszystko, co powiedział im nagrany sygnał. Nie mieli pojęcia, kto „idzie”. Był to głos, którego albo dotychczas nie słyszeli, albo - co bardziej prawdopodobne - Jeszcze nie zidentyfikowali. Ekipa wywiadowcza nie traciła cierpliwości. Tym razem szło im i tak znacznie szybciej niż zazwyczaj. Mimo całej przebiegłości członków kartelu, nawet im się nie śniło, że taki podsłuch jest możliwy, toteż nie zachowywali należytej ostrożności. W ciągu miesiąca personel comintu zebrał dostateczną liczbę informacji o celach, by wypracować szereg użytecznych metod wywiadu taktycznego. Była to tylko kwestia czasu.

Łącznościowcy zastanawiali się, kiedy rozpoczną się właściwe operacje. Wiedzieli przecież, że działania sigintu zawsze poprzedzały przerzucenie personelu operacyjnego w teren.

- O co chodzi? - spytał Escobedo Corteza, który właśnie wszedł do gabinetu.

- Jutro do Bogoty leci dyrektor FBI. Z Waszyngtonu wyjeżdża zaraz po południu.

Wizyta utrzymana ma być w tajemnicy. Poleci, jak sędzę, rządowym samolotem.

Amerykanie mają cały dywizjon takich maszyn w bazie Sił Powietrznych Andrews.

Przekazą informacje o locie, najprawdopodobniej z innym charakterem misji. Należy się go spodziewać właściwie w każdym samolocie lądującym między szesnastą a dwudziestą. Przyleci

chyba dwusilnikowym odrzutowcem dyspozycyjnym G-111, ale nie można wykluczyć innego typu maszyny. Ma się spotkać z prokuratorem generalnym, żeby omówić coś bardzo ważnego. Natychmiast polecę do Waszyngtonu i spróbuję zasięgnąć języka. Za trzy godziny wylatuje samolot do Mexico City. Polecę nim.

- Ma pan dobre źródło - zauważył Escobedo, wreszcie usatysfakcjonowany.

Cortez uśmiechnął się.

- Sijefe. Jeśli nawet nie uda się panu dowiedzieć na miejscu, o czym będą rozmawiać, postaram się zdobyć informacje podczas weekendu. Niczego nie obiecuję, ale zrobię, co się da.

- Kobieta - zauważył Escobedo. - Piękna i młoda, założę się.

- Co racja, to racja. Na mnie już czas.

- Niech pan się dobrze bawi w weekend, pułkowniku. Tak jak ja. Godzinę po wyjściu Corteza przyszedł teleks z informacją, że zeszłej nocy kurierski samolot nie dotarł do celu w południowo-zachodniej Georgii. Dobry humor, który zwykle towarzyszy przechwyceniu ściśle tajnej informacji, natychmiast zamienił się w złość. Eljefe chciał zrazu zadzwonić do Corteza z przenośnego aparatu, lecz w porę przypomniał sobie, że jego najemnik nie życzy sobie rozmów na istotne tematy na, jak to określał, niezabezpieczonej linii. Escobedo potrząsnął głową. Ten pułkownik z DGI - Jest przewrażliwiony jak stara baba! W tym momencie zaświergotał telefon eljefe.

- Bingo! - wykrzyknął łącznościowiec w wozie oddalonym o trzy tysiące kilometrów.

vox i dent-p okazał się napis na monitorze komputera: CEL bravo DZWONI DO

CELU ECHO CZTL 848,970 MHZ CZAS 2349Z NR IDENT KOMUNIKATU 34 5.

- Mamy chyba pierwszą grubą rybę, Tony.

Szef wozu, którego przed czterdziestoma siedmioma laty rodzice ochrzcili Antonio, założył słuchawki. Rozmowa nagrywała się na super-szybką taśmę - posługiwano się dwudziestomilimetrową taśmą magnetowidową ze względu na system rejestrowania sygnału. Nagrania dokonywano na czterech osobnych urządzeniach. Były to ogólnodostępne magnetowidy firmy Sony, wyposażone w odrębny tryb pracy zapisu dźwięku, z drobnymi ulepszeniami wprowadzonymi przez personel techniczny z NSA.

- Ha! Senor Bravo jest wkurzony! - rzekł Tony, podsłuchawszy fragment rozmowy. -

Zawiadomcie Fort Meade, że wreszcie złapaliśmy

daleką piłkę na linii lewego pola. - „Daleka piłka” oznaczała w żargonie NSA bardzo ważny przechwycony sygnał. Zaczął się sezon baseballowy i do rozgrywek powracała drużyna Baltimore

Orioles.

- Masz dobry sygnał?

- Wyraźny jak dzwon kościelny. Że też jeszcze nie kupiłem udziałów naszego koncernu! - Antonio przerwał, z trudem powstrzymując wybuch śmiechu. - Mój Boże, facet jest wnerwiony na całego!

Rozmowa"skończyła się minutę później. Tony przełączył sygnał na jeden z magnetowidów, podjechał na obrotowym krześle do dalekopisu i zaczął pisać: ŚCIŚLE TAJNE ***** KAPAR

2358Z

RAPORT SIGINT

PODSŁUCH 345 NAD 2349 CZTL 836,970 MHZ

NAD: CEL BRAVO

ODB: CEL ECHO

B: STRACILIŚMY KOLEJNY PRZERZUT. [ZDENERWOWANIE]

E: CO SIĘ STAŁO?

B: PRZEKŁĘTY TOWAR NIE DOTARŁ NA MIEJSCE. CO O TYM SĄDZISZ?

[ZDENERWOWANIE]

E: STOSUJĄ INNE METODY. JUŻ CI MÓWIŁEM. STARAMY SIĘ

DOWIEDZIEĆ, NA CZYM POLEGAJĄ TE METODY.

B: KIEDY BĘDZIE WIADOMO?

E: PRACUJEMY NAD TYM. NASZ CZŁOWIEK LECI W TYM CELU DO

WASZYNGTONU. DZIEJĄ SIĘ TEŻ INNE RZECZY.

B: CO? [ZDENERWOWANIE]

E: PROONUJĘ SPOTKANIE NA TEN TEMAT JUTRO.

B: PLANOWALIŚMY SPOTKANIE WE WTOREK.

E: TO ZBYT WAŻNA SPRAWA, WSZYSCY MUSZĄ SIĘ DOWIEDZIEĆ, PABLO.

B: NIE MOŻESZ MI NIC .POWIEDZIEĆ?

E: AMERYKANIE ZMIENIAJĄ TAKTYKĘ. JAK I CO DOKŁADNIE

ZMIENIAJĄ, TEGO JESZCZE NIE WIEMY.

B: ZA CO WIĘC PŁACIMY TEMU KUBAŃSKIEMU RENEGATOWI?

[ZDENERWOWANIE]

E: PRACUJE BEZ ZARZUTU. MOŻE DOWIE SIĘ WIĘCEJ PODCZAS POBYTU

W WASZYNGTONIE. ALE TEMATEM NASZEGO SPOTKANIA BĘDZIE TO, CZEGOŚMY SIĘ

JUŻ DOWIEDZIELI.

B: DOBRZE. ZORGANIZUJĘ SPOTKANIE.

E: DZIĘKUJĘ, PABLO.

KONIEC ROZMOWY. SYGNAŁ PRZERWANIA POŁĄCZENIA. KONIEC

PODSŁUCHU.

- O co chodzi z tym „zdenerwowaniem”?

- Przecież nie napiszę „wkurwiony” w oficjalnym raporcie - odparł Antonio. - Tym razem mamy gorący kawałek do wywiadu operacyjnego. - Nacisnął klawisz transmisji na swoim terminalu. Transmisja przeznaczona była do celu pod kryptonimem KAPAR

- tyle tylko wiedzieli ludzie w wozie łącznościowym.

Bob Ritter dopiero co wyjechał do domu i ledwie zdążył przejechać kilometr na George Washington Parkway, gdy zabrzmiał charakterystyczny, a dla niego irytujący dzwonek bezpiecznego telefonu komórkowego.

- Tak?

- Komunikat do „Kapara” - odezwał się głos.

- Dobra - odpowiedział zastępca dyrektora do spraw operacji i ze stłumionym westchnieniem. Do szofera: - Wracamy.

- Tak jest.

Powrót oznaczał, nawet dla najwyższego personelu CIA, znalezienie sposobu na zmianę kierunku jazdy, a potem zmaganie się z korkami w szczytowych godzinach waszyngtońskiego ruchu, który w swym majestacie przyzwala bogatym, biednym i ważnym na posuwanie się z jednakową prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę.

Strażnik machnięciem ręki przepuścił samochód przez bramę wjazdową i po pięciu minutach Ritter wszedł do swojego gabinetu na siódmym piętrze. Sędzia Moore już wyszedł. Tylko czterech dyżurnych oficerów dopuszczono do tej operacji - minimalna liczba konieczna do odbierania i oceny wiadomości na temat misji. Ritter zastał oficera, który niedawno rozpoczął dyżur. Dostał od niego wiadomość.

- Mamy coś gorącego - oznajmił oficer dyżurny.

- Wspaniale. To Cortez - oznajmił Ritter, przejrzawszy wydruk.

- Bez wątpienia, panie dyrektorze - przyznał oficer.

- Przyjeżdża tu... ale nie wiemy, jak wygląda. Szkoda, że Biuro nie sfotografowało skurczybyka, jak był w Portoryko. Znasz ten rysopis, który mamy w kartotece? -

Ritter podniósł wzrok.

- Włosy czarne, oczy piwne. Wzrost średni, średnia budowa ciała, czasami nosi wąsy.

Znaków szczególnych brak - wyrecytował z pamięci oficer. Nie sztuka zapamiętać tak niewiele, a dokładnie tyle wiedzieli na temat Feliksa Corteza.

- Kto jest twoim kontaktem w FBI?

- Tom Burkę, facet ze średniego personelu wydziału wywiadu. Chłop całkiem do rzeczy. Prowadził część sprawy Hendersona.

- Dobra, przekaż mu to. Może Biuro coś wymyśli, żeby przyskrzynieć skurwiela.

Jeszcze coś?

- Nie, panie dyrektorze.

Ritter skinął głową na pożegnanie i po raz wtóry wyruszył do domu. Oficer dyżurny powrócił do swego gabinetu na piątym piętrze i zadzwonił do FBI. Tym razem miał

szczęście; Burkę jeszcze nie wyszedł z biura. Oczywiście nie mogli rozmawiać o sprawie przez telefon. Oficer dyżurny CIA, Paul Hooker, pojechał do budynku FBI na Pennsylvania Avenue numer 10.

Chociaż CIA i FBI czasami rywalizują ze sobą w pracy wywiadowczej i zawsze rywalizują o fundusze z budżetu federalnego, na poziomie operacyjnym personel obu organizacji raczej zgodnie współpracuje; jeśli wbijają sobie nawzajem szpilki, to w przyływie dobrego humoru.

- Niebawem przylatuje do Waszyngtonu nowy turysta - oznajmił Hooker, gdy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi.

- Któż mianowicie? - spytał Burkę, wskazując na ekspres z kawą. Hooker nie skorzystał z poczęstunku.

- Felix Cortez.

Oficer CIA wręczył odbitkę teleksu. Niektóre partie tekstu zostały skrzętnie wymazane. Burkę nie poczuł się tym urażony. Jako pracownik komórki wywiadowczej FBI, zajmującej się ściganiem szpiegów, nawykł do ścisłego dawkowania informacji.

- Przypuszczasz, że to Cortez - zauważył skwapliwie agent FBI i zaraz się uśmiechnął.

- Ale nie zakładałbym się, że nie masz racji. Gdybyśmy mieli fotografię drania, przy odrobinie szczęścia moglibyśmy go przydybać. Niestety... - Westchnienie. - Wyślę ludzi na Lotnisko Dulles, National i BWL. Spróbujemy, ale wiesz przecież dobrze, jakie mamy szansę. - Gdyby Agencja sfotografowała gnoja, kiedy jeszcze działał w terenie albo podczas studiów w Akademii KGB, mielibyśmy teraz o niebo łatwiejsze zadanie... - Zakładam, że przylatuje w ciągu następnych czterech dni. Sprawdzimy wszystkie bezpośrednie połączenia stamtąd i wszystkie przesiadki na naszym terenie.

Był to problem raczej matematycznej natury. Liczba bezpośrednich lotów z Kolumbii, Wenezueli, Panamy i innych pobliskich krajów przedstawiała się całkiem skromnie, toteż obstawienie ich nie nastęczało większych trudności. Ale jeśli cel planował

przesiadkę w Portoryko, na Bahamach, w Meksyku czy w jednym z wielu innych miejsc, łącznie z miastami w Stanach, liczba możliwych połączeń wzrosłaby dziesięciokrotnie, a gdyby zrobił jedną dodatkową przesiadkę w USA, liczba lotów pod obserwacją FBI podskoczyłaby natychmiast do kilkuset. Cortez był szkolonym przez KGB

zawodowcem i znał te kalkulacje równie dobrze jak ci dwaj panowie. Nie było to niewykonalne zadanie. Policja na co dzień gra trochę w ciemno, bo nawet najzdolniejsi przeciwnicy tracą zimną krew i miewają pecha. Ale grać trzeba do końca. Zawsze można liczyć na łut szczęścia.

Nie tym razem. Cortez zdążył na lot linii Avianca do Mexico City, po czym przesiadł się na połączenie American Airlines do Dallas-Forth Worth w Teksasie, gdzie po odprawie celnej poleciał innym samolotem tych linii do Nowego Jorku. Zatrzymał się w hotelu St Moritz na południowym odcinku Central Park. Była trzecia i musiał

wreszcie odpocząć. Zamówił budzenie na dziesiątą i poprosił w recepcji o załatwienie biletu pierwszej klasy na ekspres Metroliner, odjeżdżający o jedenastej do Waszyngtonu. Wiedział, że w pociągach tych można korzystać z telefonu. Będzie więc mógł zadzwonić, gdyby zaszły nieprzewidziane okoliczności. Albo może... nie, postanowił nie dzwonić do niej do pracy; z pewnością FBI miało na podsłuchu swoje własne telefony. Zanim Cortez padł zmordowany na łóżko, podarł skrzętnie książeczki biletów lotniczych i metki bagażowe.

O dziewiątej pięćdziesiąt sześć obudził go telefon. Prawie siedem godzin snu, pomyślał. A wydawało mu się, że spał tylko kilka sekund, ale nie miał czasu na marudzenie. Pół godziny później pojawił się w recepcji, błyskawicznie uregulował

rachunek i odebrał bilet kolejowy. Przez zwykły, śródmiejski ruch na Manhattanie omal nie spóźnił się na pociąg, lecz zdążył w ostatniej chwili. Zajął miejsce w ostatnim rzędzie z trzema fotelami, w sekcji dla palących wagonu-salonki. Uśmiechnięty steward w czerwonej kamizelce podał mu na początek bezkofeinową kawę i nowy numer „USA Today”, a po chwili śniadanie, które nie różniło się wcale -prócz tego, że było nieco cieplejsze - od śniadania podanego mu w samolocie. Gdy pociąg dojeżdżał

do Filadelfii, spał z powrotem w najlepsze. Cortez doszedł do wniosku, że sen mu się bardzo przyda. Steward zabierając tacę, zauważył uśmiech na śpiącej twarzy i zastanawiał się, jakież to błogie sny cieszą pasażera.

O trzynastej, gdy metroliner 111 zbliżał się do Baltimore, w sali prasowej Białego Domu rozbrzły telewizyjne jupitery. Reporterów już wcześniej nakarmiono „pogłębioną informacją, nie do rozpowszechniania” i uprzedzono, że minister sprawiedliwości wygłosi niebawem doniosłe oświadczenie i że będzie to miało coś wspólnego z narkotykami. Główne sieci telewizyjne nie przerwały wprowadzie popołudniowych seriali -wszak nie można bezpardonowo wejść w sam środek Młodych i gniewnych - jednakże CNN jak zwykle pokazała planszę z napisem special report. Zauważyli to natychmiast dyżurni oficerowie wywiadu Narodowego Centrum Dowodzenia w Pentagonie, z których każdy miał na swoim biurku telewizor nastawiony na CNN. Był to najwymowniejszy komentarz na temat sposobu informowania rządu przez amerykańskie agencje wywiadowcze, aczkolwiek tego właśnie główne sieci telewizyjne nie komentowały.

Minister sprawiedliwości niepewnym krokiem szedł ku mównicy. Mimo wieloletniego doświadczenia prawniczego, był raczej kiepskim mówcą, lecz jako praktyk prawa handlowego i organizator kampanii politycznych radził sobie bez tej umiejętności. Był

jednakże fotogeniczny, szykownie się ubierał i zawsze miał w zanadrzu jakiś przeciek w pozbawionym sensacji dniu, dzięki czemu cieszył się popularnością wśród dziennikarzy.

- Panie i panowie - zaczął, kartkując nerwowo notatki. - Wkrótce otrzymają państwo dane dotyczące operacji „Tarpon”, czyli najskuteczniejszej dotychczas operacji przeciwko międzynarodowemu kartelowi narkotykowemu. - Uniósł wzrok, usiłując dostrzec miny dziennikarzy za oślepiającym światłem reflektorów.

- Prowadzone przez Departament Sprawiedliwości, za pośrednictwem FBI, dochodzenie ujawniło wiele rachunków bankowych zarówno w kraju, jak i za granicą, które wykorzystywano do prania pieniędzy na niespotykaną dotąd skalę. Rachunki te prowadziło dwadzieścia dziewięć banków od Liechtensteinu po Kalifornię, a złożone na nich depozyty przekraczają wedle naszych najświeższych szacunków sumę sześciuset pięćdziesięciu milionów dolarów. - Znów uniósł głowę, usłyszawszy ze stłoczonej cizby reporterów okrzyk: „Ale numer!” Tę reakcję skwitował uśmiechem.

W końcu nie tak łatwo zaimponować sprawozdawcom korpusu prasowego Białego Domu. Aparaty z automatycznym naciągiem rozterkotały się już na dobre.

- We współpracy z rządami sześciu krajów poczyniliśmy odpowiednie kroki, by zablokować wszystkie te fundusze, a także zamrozić lokaty w ośmiu inwestycjach handlu nieruchomościami z udziałem kapitału zagranicznego, które stanowiły główne ogniwo właściwej operacji prania narkotykowych pieniędzy. Podstawą prawną blokady inwestycji jest ustawa o przestępczych i skorumpowanych organizacjach gospodarczych. Pragnę jednocześnie podkreślić, iż w owych przedsiębiorstwach handlu nieruchomościami ulokowało kapitał wielu niewinnych inwestorów. Ich udziały nie zostaną - powtarzam: nie zostaną w najmniejszym stopniu objęte operacją rządową.

Inwestorzy ci posłużyli kartelowi za fasadę i konfiskata ich nie obejmie.

- Przepraszam - przerwał reporter Associated Press. - Powiedział pan sześćset pięćdziesiąt milionów dolarów?

- Zgadza się, ponad pół miliarda dolarów. - Minister wyjaśnił ogólnie, jak natrafiono na ślad afery, przemilczając jednak sposób zdobycia pierwszej wskazówki oraz szczegóły samego mechanizmu tropienia pieniędzy. - Jak państwu wiadomo, zawarliśmy traktaty z rządami niektórych krajów, obejmujące właśnie takie przypadki. Lokaty pochodzące z handlu narkotykami i zdeponowane w zagranicznych bankach zostaną skonfiskowane przez rządy zainteresowanych państw. W bankach szwajcarskich, na przykład, ulokowano około... - zajął znowu do notatek. - W przybliżeniu dwieście trzydzieści siedem milionów dolarów i cała ta suma przechodzi na rzecz szwajcarskiego rządu.

- A jaka jest nasza działka? - spytał „Washington Post”.

- Jeszcze nie wiemy. Trudno doprawdy opisać całą złożoność tej operacji - sama rachunkowość zajmie nam długie tygodnie.

- Jak przedstawia się współpraca zagranicznych rządów - dociekał inny reporter.

Wolne żarty, pomyślała siedząca obok niego dziennikarka.

- Pomoc, jaką otrzymujemy w tej sprawie, przekracza nasze wszelkie oczekiwania -

odparł rozpromieniony minister. - Nasi zagraniczni przyjaciele zabrali się do rzeczy błyskawicznie i ze znanstwem.

Niecodziennie udaje się wam ukraść tyle forsy oraz ogłosić wszem i wobec, że to dla dobra ogółu, stwierdziła w duchu milcząca dziennikarka.

CNN to sieć o światowym zasięgu. Program oglądało w Kolumbii dwóch ludzi, których zadanie polegało na zbieraniu bieżących informacji z amerykańskich środków przekazu. Sami byli dziennikarzami pracującymi dla kolumbijskiej sieci telewizyjnej Inravisión. Jeden z nich wymknął się z pracowni, przeprowadził rozmowę telefoniczną, po czym wrócił.

Tony wraz ze swym partnerem wrócili na dyżur do wozu łączności, gdzie zastali przypięty do ściany teleks z informacją, że należy spodziewać się wzmożonej aktywności na łączach komórkowych około osiemnastej. Nie zawiedli się.

- Czy możemy porozmawiać o tym z dyrektorem Jacobsem? - spytał jeden z reporterów.

- Dyrektor Jacobs jest osobiście zainteresowany sprawą, lecz nie mógł, niestety, przybyć tu i osobiście podzielić się z państwem informacjami na temat śledztwa -

odparł minister. - Będą państwo mogli spotkać się z nim w przyszłym tygodniu, teraz bowiem wraz z

całym zespołem jest zbyt zajęty. - Nie naruszył reguł gry, a przy tym pozostawił wrażenie, że Emil jest w mieście i dziennikarze, zrozumiałwszy dokładnie to, co minister sprawiedliwości powiedział, oraz sposób, w jaki to powiedział, postanowili nie wnikać w szczegóły. Gwoli ścisłości, Emil odleciał z bazy Sił

Powietrznych Andrews dwadzieścia pięć minut wcześniej.

- Madre de Dios! - wrzasnął Escobedo.

Właśnie dobiegła końca towarzyska wymiana uprzejmości, jakże nieodzowna faza każdej konferencji gangsterów. Wszyscy członkowie kartelu zgromadzili się w jednym pokoju, co zdarzało się nadzwyczaj rzadko. Mimo że budynek otaczał wręcz mur najemników z obstawy, niepokoił się o własne bezpieczeństwo. Dom miał na dachu antenę satelitarną, którą szybko nastawiono na CNN. Zaplanowana dyskusja poświęcona niespodziewanym wypadkom w ich operacjach przemytniczych zesłała raptem na znacznie bardziej kłopotliwy temat, szczególnie niewygodny dla Escobedo, który przecież jako jeden z trzech członków kartelu gorąco przekonywał kolegów do całego planu prania pieniędzy. Choć wszyscy prawili mu przez ostatnie dwa lata komplementy za skuteczność tego rozwiązania, spojrzenia, którymi go teraz obrzucano, wyrażały nieco mniej zachwyty.

- Nic nie da się zrobić? - spytał jeden z zebranych.

- Jeszcze nie wiadomo - odrzekł główny księgowy kartelu. - Przypomnę tylko, że dochody, które zgarnęliśmy wyłącznie dzięki tym operacjom, równają się prawie naszym normalnym dochodom ze sprzedaży za ten sam okres. Można zatem powiedzieć, że straciliśmy niemal dokładnie tyle, ile spodziewaliśmy się zebrać z naszych inwestycji. - Brzmiało to nieprzekonująco nawet dla niego.

- Uważam, że nasza cierpliwość się wyczerpała - rzekł z naciskiem Escobedo. -

Jeszcze dziś przybędzie tu, do Bogoty, dyrektor amerykańskichfederali.

- Tak? A skąd masz takie wiadomości?

- Od Corteza. Mówiłem wam, że wynajęcie go nam się opłaci. Zwołałem to zebranie, aby podzielić się z wami informacjami, które dla nas zdobył.

- Nie możemy tego dłużej znosić - przyznał inny z członków. -Czas działać. I to zdecydowanie.

Wszyscy się zgodzili. Kartel jeszcze się nie nauczył, że ważnych decyzji nie podejmuje się w gniewnym nastroju, ale nikt nie zaapelował o powściągliwość. Tym ludziom wciąż była obca cnota umiarkowania.

Pociąg Metroliner 111 z Nowego Jorku przyjechał na miejsce minutę przed czasem, o trzynastej czterdzieści osiem. Cortez wysiadł z dwiema torbami i przeszedł natychmiast do postoju taksówek przed dworcem. Szofer nie krył zadowolenia z kursu na Lotnisko Dullesa. Za trwającą nieco ponad pół godziny jazdę taksówkarz dostał sowity, według Corteza, napiwek: dwa dolary. Cortez wszedł do górnego holu, skręcił w lewo, zjechał

ruchomymi schodami, gdzie znalazł stoisko Hertza. Tu wynajął kolejnego dużego chevroleta i korzystając z chwili czasu, załadował do samochodu bagaż. Gdy wrócił do środka, dochodziła trzecia. Moira przyszła punktualnie. Uścisnęli się. Uważała, że nie wypada się całować w publicznym miejscu.

- Gdzie zostawiłaś samochód?

- Na parkingu. Zostawiłam swoje bagaże w samochodzie.

- Zaraz po nie pójdziemy.

- Gdzie jedziemy?

- Jest taki hotelik przy Skyline Drive, gdzie firma General Motors organizuje co pewien czas ważne konferencje. W pokojach nie ma telefonów, telewizorów ani gazet.

- Już wiem! Jak ci się udało zarezerwować pokój prawie bez uprzedzenia?

- Rezerwowałem apartament na każdy weekend od naszego ostatniego spotkania -

wyjaśnił zgodnie z prawdą Cortez i nagle zrzędła mu mina. - Czy... czy zrobiłem coś niestosownego?

- Urywany, zawstydzony głos opanował już bezbłędnie.

Moira chwyciła go za rękę.

- Ależ skąd.

- Widzę, że będzie to długi weekend. - Po kilku minutach mknęli już autostradą 66 na zachód ku Góróm Błękitnym.

Czterech ubranych w kombinezony obsługi lotniska funkcjonariuszy ochrony z ambasady zlustrowało po raz ostatni teren, po czym jeden z nich wyjął radiotelefon satelitarny i wydał ostateczną zgodę.

VC-20A, wojskowa wersja dyspozycyjnego odrzutowca G-111, nadleciał jako samolot cywilny i wylądował o siedemnastej trzydzieści dziewięć na Międzynarodowym Lotnisku El Dorado, około dwunastu kilometrów od Bogoty. Od większości maszyn VC-20A należących do Osiemdziesiątego Dziewiątego Dywizjonu Transportu Lotniczego w bazie Sił Powietrznych Andrews w stanie Maryland różnił się dodatkowym wyposażeniem przeznaczonym do lotów nad terytoriami o szczególnym zagrożeniu. Miał na pokładzie urządzenia zakłócające, po raz pierwszy użyte przez lotnictwo Izraela jako broń przeciwko pociskom ziemia-powietrze, znajdującym się w rękach terrorystów... lub biznesmenów. Samolot wyrównał i perfekcyjnie wylądował

pod słaby zachodni wiatr, po czym dokołował do odległego zakątka terminalu towarowego, dokładnie tam, gdzie skierowała się teraz kolumna jeepów i limuzyn.

Ladunek samolotu przestał już być tajemnicą dla każdego, kto tylko nań zechciał

spojrzeć. Ledwie się zatrzymał, a po jego lewej stronie zgromadziły się jeepy.

Wyskoczyli z nich uzbrojeni żołnierze i utworzyli kordon, kierując automatyczną broń na cele, które mogły być wyimaginowane, a może i nie. Opadły drzwi samolotu. Miały wbudowane schodki, ale pierwszy pasażer nie zawracał sobie nimi głowy. Zeskoczył, trzymając jedną rękę pod połą płaszcza. Wkrótce dołączył doń drugi ochroniarz. Obaj byli agentami specjalnymi FBI i obaj mieli za zadanie zapewnić fizyczne bezpieczeństwo swojemu szefowi, dyrektorowi Emilowi Jacobsowi. Stanęli wewnątrz kordonu żołnierzy kolumbijskich, z których każdy należał do elitarnej jednostki antyterrorystycznej. Każdy z nich odczuwał niepokój. Utrzymanie bezpieczeństwa w tym kraju nie znało rutyny. Zbyt wielu z nich zginęło przekonanych, że jest inaczej.

Następnie w drzwiach pojawił się Jacobs w towarzystwie osobistego asystenta oraz Harry'ego Jeffersona, administratora z Agencji do Walki z Narkotykami, DEA. Kiedy ostatni z nich zszedł na płytę, zajechała limuzyna ambasadora. Nie zatrzymała się na długo. Wprawdzie ambasador wysiadł przywitać się z gośćmi, jednak już za minutę wszyscy siedzieli w samochodzie. Żołnierze wskoczyli z powrotem do jeepów, które ruszyły jako eskorta ambasadora. Dowódca załogi samolotu zamknął

drzwi Gulfstreama, po czym VC-20A, który ani na chwilę nie wygasił silników, zaczął

kołować do pasa startowego. Jego celem było lotnisko na Grenadzie, jakże przewidująco wybudowane przez Kubańczyków ledwie przed kilku laty. Tam łatwiej się go upilnuje.

- Jak minął lot, Emilu? - spytał ambasador.

- Pięć godzin z kawałkiem. Nie najgorzej - odparł powściągliwie dyrektor.

Wyciągnął się w aksamitnym fotelu wydłużonej, wypełnionej do ostatniego miejsca limuzyny. Z przodu siedział szofer ambasadora i ochroniarz -razem cztery pistolety maszynowe w samochodzie, a nie wątpił, że Harry Jefferson ma przy sobie służbową broń. Jacobs w życiu nie nosił broni, bo nie chciał sobie zawracać głowy takimi bzdurami. Poza tym, jeśli jego dwóch goryli i asystent - też strzelec wyborowy - nie miało wystarczyć, to co by wystarczyło? Jacobs wcale nie należał do najodważniejszych, ot, po niemal czterdziestu latach przepychanek z kryminalistami wszelkiej maści - chicagowska mafia raz mu poważnie groziła - był tym wszystkim zmęczony. Ciągłe zagrożenie spowszedniało mu do cna: wszak stanowiło część codziennej rzeczywistości i przestał je zauważać, jak nie zauważa się po pewnym czasie wzoru na tapecie albo koloru ściany.

Odczuł natomiast zmianę wysokości. Miasto Bogota leży na poziomie trzech tysięcy metrów n.p.m., na płaskowyżu otoczonym niebotycznymi górami. Brakowało mu powietrza w płucach i ciekaw był, jak ambasador znosi takie warunki. Jacobsowi bardziej odpowiadały przenikliwe wiatry znad jeziora Michigan. Nawet lepki całun opadający na Waszyngton każdego lata lepszy jest niż to, pomyślał.

- Jutro o dziewiątej, tak? - spytał Jacobs.

- Uhm - potwierdził ambasador. - Sądzę, że pójdą na wszystko, co zechcemy. -

Ambasador nie znał, nie bez żalu, przedmiotu spotkania. Pracował niegdyś jako charge d'affaires w Moskwie i nawet tam zabezpieczenie informacji nie było tak daleko posunięte jak tutaj.

- Nie o to chodzi - włączył się Jefferson. - Wiem, że chcą dobrze -stracili dość gliniarzy i sędziów oddanych sprawie. Pytanie jednak, czy zechcą z nami się w to bawić?

- A czy my chcielibyśmy w podobnych okolicznościach? - rzekł z zadumą Jacobs, po czym sprowadził rozmowę na bezpieczniejszy tor. - Prawdę powiedziawszy, nigdy nie byliśmy najlepszymi sąsiadami.

- Co przez to rozumiesz? - spytał ambasador.

- To mianowicie, że kiedy akurat odpowiadało nam, żeby krajem tym rządili dyktatorzy, nie sprzeciwialiśmy się temu. A kiedy wreszcie wykiełkowała demokracja, kibicowaliśmy zza bocznej linii i złorzeczyliśmy, gdy tylko ich idee nie zgadzały się w pełni z naszymi. Teraz z kolei, kiedy kartel szachuje ich rządy, tucząc się na tym, co pragną kupować nasi obywatele, obarczamy ich winą.

- Demokracja nie przychodzi łatwo w tych stronach - rzekł ambasador. - Hiszpanie nie byli najlepszym wzorem...

- Gdybyśmy interweniowali sto, a może nawet pięćdziesiąt lat temu, nie mielibyśmy połowy tych problemów, co teraz. Cóż, nie dokonaliśmy tego wówczas. Trzeba więc zrobić to teraz.

- Jeżeli masz jakieś pomysły, Emil... Jacobs zaśmiał się.

- Do diabła, Andy, jestem przecież gliniarzem -prawnikiem, ściślej mówiąc, a nie dyplomata. To twój problem. Jak się miewa Kay?

- Dziękuję, w porządku.

Ambasador Andy Westerfield nie musiał pytać o zdrowie pani Jacobs. Wiedział, że Emil pochował żonę przed dziewięcioma miesiącami po heroicznej walce z rakiem.

Wprawdzie boleśnie odczuł stratę, ale zachował tyle miłych wspomnień o Ruth. Poza tym absorbowała go praca. Wszyscy tego potrzebowali, a Jacobs jeszcze bardziej niż większość ludzi.

W terminalu mężczyzna z nikonem kalibru 35 mm wyposażonym w teleobiektyw cykał

zdjęcia przez dwie godziny. Gdy limuzyna z eskortą opuszczała teren lotniska, zdjął z aparatu teleobiektyw, schował sprzęt do futerału i poszedł w kierunku rzędu kabin telefonicznych.

Limuzyna jechała z dużą prędkością, mając jednego jeepa przed sobą i drugiego z tyłu.

Luksusowe samochody z uzbrojoną eskortą, wyjeżdżające pełnym gazem z lotniska, nie należały w Kolumbii do rzadkości. Kto wypatrzył tablicę rejestracyjną, wiedział, że jest to amerykański

samochód. Czterech ludzi w każdym jeepie dowiedziało się o eskortowaniu gości dopiero pięć minut przed wyjazdem, a trasa, choć przewidywalna, nie była długa. Nie powinno było starczyć czasu na zasadzkę - zakładając, że znajdzie się szaleniec, któremu coś podobnego zaświta w głowie.

Zabójstwo amerykańskiego ambasadora to doprawdy szalony pomysł; zdarzyło się to ostatnio tylko w Sudanie, Afganistanie, Pakistanie... A nikt dotąd nie śmiał targnąć się na życie dyrektora FBI.

Jechali samochodem, którego konstrukcję oparto na cadillacu fleetwood. W skład specjalnego wyposażenia wchodziły pancerne szyby z lexanu, których nie przebiłby pocisk z karabinu maszynowego, i kevlarowa okładzina wnętrza wozu; opony wypełnione masą pozwalającą na jazdę nawet po przebiciu gum i wreszcie zbiornik paliwa o konstrukcji niemal takiej, jak odporne na wybuchy zbiorniki używane w samolotach wojskowych. Nic dziwnego więc, że w warsztatach ambasady limuzynę nazywano czołgiem.

Szofer wiedział, co z tym fantem robić, jako były kierowca rajdowy. Moc silnika pozwalała na jazdę z prędkością przeszło stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę; potrafił wprowadzić trzytonowy wehikuł w poślizg kontrolowany i zawrócić gwałtownie jak filmowy kaskader. Przerzucał wzrok z szosy na wsteczne lusterko.

Przez cztery, pięć kilometrów jechał za nimi jakiś samochód, ale wreszcie skręcił.

Chyba nic groźnego, skonstatował. Ktoś zapewne wracał z lotniska do domu...

Samochód wyposażony był również w wysokiej jakości sprzęt łączności radiowej, gdyby zaszła potrzeba wezwania pomocy. Zbliżali się do ambasady. Choć ambasador miał osobną rezydencję, estetyczny piętrowy dom, na sześciu ukształtowanych ludzką ręką akrach ogrodu i zagajnika, nie nadawał się ze względów bezpieczeństwa na przyjęcie gości. Jak większość współczesnych ambasad amerykańskich, placówka w Bogocie również przypominała skrzyżowanie niskiego biurowca z Linią Zygryda.

vox ident - pojawił się napis na monitorze komputera trzy tysiące kilometrów od Bogoty:

NAD GŁOS 34 ODB NIEZNANY CZTL 889,980 MHZ START TRANSM 22:58Z

NR ROZM 381.

Tony nasunął słuchawki i słuchał, odtwarzając dźwięk w zwolnionym tempie.

- Nic - powiedział po chwili. - Ktoś wybrał się na przejażdżkę samochodem.

W ambasadzie attache prawny nerwowo chodził po holu. Agent specjalny FBI Pete Morales powinien był wyjechać na lotnisko. Wszak to jego dyrektor przybywał z wizytą, ale bałwany z ochrony zgodziły się tylko na jeden samochód, bo wizyta miała być niespodzianką - a niespodzianka, jak wszystkim wiadomo, zawsze jest lepsza niż pokaz siły na wielką skalę. Morales pochodził z Kalifornii. Choć nosił hiszpańskie nazwisko, jego przodkowie mieszkali już w okolicach San Francisco, zanim przybył

tam major Fremont, toteż musiał popracować nad swoim onegdaj ojczystym językiem, by podjąć obecną pracę, wymagającą też rozłąki z pozostawionymi w Stanach żoną i dziećmi. Jak donosił Centrali w swym niedawnym raporcie, życie było tu niebezpieczne. Niebezpieczne dla tutejszych obywateli, niebezpieczne dla Amerykanów i bardzo niebezpieczne dla amerykańskich gliniarzy.

Morales spojrział na zegarek. Jeszcze dwie minuty. Ruszył ku drzwiom.

- Co do minuty - zauważył mężczyzna trzy przecznice od ambasady. Mówił do ręcznego nadajnika radiowego.

Do niedawna RPG-7D stanowił standardowe wyposażenie armii sowieckiej. Jego korzenie sięgały niemieckiego pancerfausta i dopiero w ostatnim czasie został wyparty przez RPG-18, dość wierną kopię amerykańskiej rakiety M-72 LAW. Wprowadzenie nowej broni pozwoliło na pozbycie się starej, co powiększyło i tak obfitą już podaż na rynkach broni całego świata. Była przeznaczona do niszczenia czołgów i niezbyt prosta w obsłudze. Toteż aż cztery RPG-7D celowały jednocześnie w limuzynę ambasadora.

Samochód zmierzał na południe arterią Carrera 13 w dzielnicy zwanej Palermo, zwolniwszy nieco z powodu wzmożonego o tej porze ruchu. Gdyby ochrona dyrektora знаła nazwę dzielnicy i numer w nazwie ulicy, miałyby może zastrzeżenia do tej trasy, choćby przez wzgląd na przesady. Już sam spowolniony ruch uliczny wszystkich niepokoił, zwłaszcza żołnierzy w jeepach z obstawy, którzy wykręcali szyje, wpatrując się w okna budynków po obu stronach ulicy. Jest rzeczą nadto oczywistą i dlatego bagatelizowaną, że nie da się dostrzec z zewnątrz, co dzieje się za oknem. Nawet otwarte okno jest tylko prostokątem ciemniejszym niż mur, a wzrok dostosowuje się raczej do otaczającego światła niż do światła we wnętrzu. Zaskoczenie było całkowite.

O śmierci Amerykanów przesądziła rzecz tak prozaiczna, jak światła na skrzyżowaniu.

Elektryk naprawiał właśnie wadliwą sygnalizację - ludzie skarżyli się na nią od przeszło tygodnia - i sprawdzając mechanizm zegarowy, włączył czerwone światło. Ruch został

zatrzymany niemal przed wjazdem do ambasady. Z okien na trzecim piętrze po obu stronach ulicy wystrzeliły prosto w dół cztery pociski RPG-7D. Trzy trafiły w samochód, z czego dwa w dach limuzyny.

Błysk wystarczył. Morales biegł, zanim jeszcze huk dotarł do bram ambasady, zdając sobie w pełni sprawę z daremności wszelkiego pośpiechu. Prawą dłoń wyrwał z kabury przy pasie rewolwer Smith - Wesson i trzymał go zgodnie z regulaminem, lufą do góry. Na miejsce dotarł po dwóch minutach z kawałkiem.

Wyrzucony z samochodu kierowca jeszcze żył, krwawiąc ze śmiertelnych ran, których żaden lekarz nie zdołałby załatać. Żołnierzy z przedniej eskorty nie było widać, choć na tylnym siedzeniu jeepa czerwieniła się plama krwi. Kierowca drugiego jeepa wciąż siedział za kierownicą, kryjąc dłońmi poranioną odłamkami szkła twarz; siedzący obok niego żołnierz nie żył, dwóch pozostałych też nie było...

Po chwili Morales zorientował się, dlaczego. W budynku po lewej stronie odezwały się serie z automatów. Z okna doszedł krzyk, ale też zaraz ucichł. Morales chciał pobiec do kamienicy, ale zreflektował się, że to wbrew regulaminowi i że jest zbyt cennym zawodowcem, by tak lekkomyślnie ryzykować życie. Podeszedł do roztrzaskanej limuzyny. Wiedział, że to też na nic się nie zda.

Wszyscy zginęli natychmiast, czy też tak szybko, jak się tylko da umrzeć. Dwóch członków ochrony osobistej dyrektora miało na sobie kevlarowe kamizelki kuloodporne, skutecznie chroniące przed kulami, nie zaś odłamkami głowicy przeciwpancernej, toteż nie okazały się bardziej skuteczne niż pancerna obudowa kabiny „czołgu”. Morales domyślał się, co uderzyło w samochód - broń przeznaczona do niszczenia czołgów. Prawdziwych czołgów. Co do pasażerów limuzyny, zaskakujące było jedynie to, że dało się w nich jeszcze rozpoznać ludzkie ciała. Na nic nie zdałaby się już żadna pomoc, chyba że księdza... lub rabina. Morales odszedł po paru sekundach.

Stał samotnie na ulicy, nie czyniąc nic w sprzeczności z zawodowym regulaminem, nie pozwalając, by ludzka wrażliwość wzięła górę nad trzeźwym osądem sytuacji. Jedyne pozostałe przy życiu żołnierze były zbyt ciężko rannymi, by się poruszać - nie miał zapewne pojęcia, gdzie jest i co się mu stało. Morales zdał sobie sprawę, że stan limuzyny podpowiedział wszystkim przygodnym świadkom, gdzie ich pomoc może okazać się potrzebna. Agent przebiegł wzrokiem po ulicy. Nie dostrzegł nikogo przy skrzynce sygnalizacji świetlnej. Elektryk już się ulotnił.

Z budynku wyszło dwóch żołnierzy, z których jeden niósł coś, co przypominało wyrzutnię pocisków RPG-7. Morales rozpoznał w jednym z żołnierzy kapitana Edmundo Garze. Spodnie i koszulę khaki miał poplamione krwią, a w jego oczach Morales dostrzegł dziki wyraz, którego nie widział od czasów służby w korpusie marines. Za Garzą wyszło dwóch ludzi ciągnących trzeciego z przestrzelonymi ramionami i pachwiną. Morales włożył rewolwer do futerału, zanim ruszył w ich kierunku, pokazując przezornie ręce, dopóki nie upewnił się, że został rozpoznany.

- Capitan... - powiedział Morales.

- Jeszcze jeden z nich zabity na górze i jeden nasz. Cztery grupy. Samochody bandytów w uliczkach.

Garza spojrział na broczące krwią ramię z obrzydzeniem, które raptownie zmieniało się w bolesną świadomość groźnych ran. Ale nie tylko szok opóźnił ból. Kapitan po raz pierwszy od wielu minut spojrział na samochód z nadzieją, że pierwsze wrażenie mogło go zmylić, wiedząc jednocześnie, że o pomyłce nie ma mowy. Jego przystojna, zakrwawiona twarz patrzyła na Amerykanina, napotykając mur obojętności. Garza był

dumnym mężczyzną, zawodowym żołnierzem, oddanym bez reszty swojej ojczyźnie, a do tej misji wybrano właśnie jego, gdyż łączył najwyższy kunszt z uczciwością. Nie lękając się śmierci, doznał teraz czegoś, czego wszyscy żołnierze obawiają się jeszcze bardziej. Jego misja skończyła się fiaskiem. To, że nie wiedział dlaczego, jeszcze pogarszało sprawę.

Garza, dalej bagatelizując swoje rany, zwrócił się do jedyne go jeńca.

- Jeszcze pogadamy - pogroził i osunął się w ramiona Moralesa.

- Cześć, Jack! - Dan i Liz Murrayowie właśnie przyszedli z wizytą do Ryanów.

Dan musiał zdjąć pistolet wraz z futerałem i złożył je na półce w garderobie, z cielecym zakłopotaniem na twarzy.

- Bardziej pasowałby ci rewolwer - rzekł z przekąsem Jack. Pierwszy raz gościli Murrayów u siebie w domu.

- Tęsknię za moim starym pythonem, ale Biuro przechodzi na pistolety. A zresztą już nie uganiam się za niegrzecznymi chłopcami. Ścigam teraz raporty, kartoteki i plany budżetu. - Z żalem potrząsnął głową. - Sam miód.

- Znam ten ból - przytaknął Ryan, prowadząc gościa do kuchni. - Piwko?

- Czemu nie?

Po raz pierwszy spotkali się w Londynie, a ściślej mówiąc w londyńskim Szpitalu Świętego Tomasza, przed kilku laty, gdy Murray pracował jako attache prawny w ambasadzie amerykańskiej, a Ryan został ranny w strzelaninie. Murray, wysoki i wciąż szczupły jak za dawnych lat, z włosami nieco przerzedzonymi, ale bez śladów siwizny, był sympatycznym, jowialnym mężczyzną, którego nikt nie wziąłby za gliniarza, a już na pewno nie za jednego z najlepszych. Jako doskonały śledczy przechrzył w swojej karierze kryminalistów wszelkiej maści i choć zżymał się teraz na brak kontaktu z policyjną robotą, wywiązywał się ze swych administracyjnych obowiązków tak sprawnie, jak ze wszystkich poprzednich.

- Cóż to za krecia akcja, o której tak głośno?

- „Tarpon”? Kartel wykończył faceta, który prał im forszę na wielką skalę, a przy okazji sam sobie nie żałował. Zostawił rejestry wszystkich operacji. Znaleźliśmy je.

Pracowicie spędziliśmy ostatnie dwa tygodnie, aż rozgryźliśmy wszystkie ślady.

- Słyszałem o sześciuset milionach z kawałkiem.

- Będzie jeszcze więcej. Szwajcarzy rozpracowali dziś po południu nowe konto.

- Au! - Ryan, oblewając się, otworzył dwa piwa. - Dobra robota, co?

- Tym razem chłopcy to odczują - zgodził się Murray. - Słyszałem, że dostałeś nową posadkę.

- Chyba dobrze słyszałeś. Tylko że głupio jest człowiekowi dostawać awans w takich okolicznościach.

- No tak. Co prawda nie poznałem admirała Greera, jednak dyrektor bardzo dobrze się o nim wyraża.

- Obaj z jednej gliny. Czcigodni panowie starej daty - zauważył Jack. - Gatunek na wymarciu.
 - Dobry wieczór, panie Murray - zawołała w drzwiach Sally Ryan.
 - Panie Murray?
 - Wujciu Dan! - Sally podbiegła i rzuciła się Murrayowi na szyję. -Ciocia Liz mówi, żebyście lepiej stąd wyszli - zachichotała.
 - Dlaczego pozwalamy im pomiatać nami, wojownikami, Jack?
 - Bo może są silniejsze od nas? - zasugerował Ryan. Dan roześmiał się.
 - Tak, to wyjaśnia sprawę. Ja... - przerwał mu sygnał przywoływacza. Murray wydobył z pasa małe plastikowe pudełko. Po chwili, na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu ukazał się numer telefonu, pod który miał zadzwonić. - Wiesz co, chętnie wykończyłbym faceta, który wynalazł tę smycz.
 - Spóźniłeś się, już nie żyje - odparł Jack z kamienną twarzą. -Zgłosił się do szpitala z bólami w klatce piersiowej i kiedy lekarz dowiedział się, kim jest pacjent, jakoś nie spieszyli się z leczeniem. Lekarz wyjaśnił potem, że dostał ważny telefon i... a zresztą... - Ryan zmienił ton. - Potrzebujesz bezpiecznej linii? Jest w bibliotece.
 - Nie rób ze mnie ważniaka - rzekł Murray. -Nie. Mogę zadzwonić z tego aparatu?
 - Jasne. Ten dolny przycisk łączy cię z Waszyngtonem.
- Murray wybrał numer, nie spojrzawszy nawet na wyświetlacz. Numer biura Shawa znał na pamięć.
- Mówi Murray. Dzwoniłaś do mnie, Alice? Dobra... Cześć, Bili. Co się dzieje?
- Przez pokój przeszła jakby fala mrozu. Ryan poczuł chłód, zanim dostrzegł zmianę na obliczu Murraya.
- Nie, to wykluczone... tak, oczywiście, znam Pete'a. - Murray spojrzął na zegarek. - Będę za czterdzieści minut. - Odwiesił słuchawkę.
 - Co się stało?
 - Ktoś zabił dyrektora - odrzekł bez ceregieli Murray.
 - Co... gdzie?
 - W Bogocie. Poleciał tam dzisiaj po południu na cichą naradę razem z szefem DEA.

W ścisłej tajemnicy.

- Wykluczasz, że... Murray potrząsnął głową.

- Naszym attache jest tam Pete Morales. Dobry agent, byłem kiedyś jego bezpośrednim przełożonym. Mówi, że wszyscy zginęli na miejscu. Emil, Harry Jefferson, ambasador i obstawa. - Urwał, wyczytując pytanie z twarzy Jacka. - Tak, ktoś musiał być całkiem dobrze poinformowany.

Ryan potwierdził skinieniem.

- Ładny początek...

- Nie ma chyba w Biurze agenta, który nie lubiłby tego człowieka. - Murray odstawił piwo.

- Przykro mi, stary.

- Jak to powiedziałeś? Gatunek na wymarcu? - Murray pokiwał głową i poszedł po żonę.

Ryan nie zdążył jeszcze zamknąć za nimi drzwi, gdy zadzwonił jego bezpieczny telefon.

Pustelnia, położona zaledwie kilka kilometrów od jaskiń Luray, była nowoczesnym budynkiem, mimo umyślnego braku pewnych nowoczesnych udogodnień. Wprawdzie pokoje nie miały podłączonej telewizji kablowej, płatnych programów satelitarnych ani darmowej gazety codziennej pod drzwiami, wyposażone jednak były w klimatyzację, bieżącą wodę, a menu obsługi pokojowej liczyło sześć stron plus dziesięciostronicową listę win. Obsługa hotelu była w stylu europejskim. Od gościa nie spodziewano się niczego prócz jedzenia, picia i wylegiwania się w pościeli, choć oferowano również jazdę konną, korty tenisowe i basen kąpielowy dla tych nielicznych gości, których apartament nie posiadał dostatecznie dużej wanny. Moira spostrzegła, że jej kochanek wręcza odzwiernemu dziesięciodolarowy napiwek - znacznie więcej niż komukolwiek dotąd przy niej dał - nim przyszło jej do głowy, by zadać najbardziej oczywiste pytanie.

- Jak nas zameldowałeś?

- Pan Juan Diaz z małżonką. - Zawstydzone spojrzenie. - Wybacz mi, ale nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Nie sądziłem... - kłamał nieporadnie. - I nie chciałem... cóż mogłem powiedzieć, nie narażając swojej reputacji? - wydusił wreszcie z gestem rezygnacji.

- Cóż, muszę wziąć prysznic. Skoro już jesteśmy małżeństwem, możemy iść razem.

Chyba starczy miejsca na dwie osoby. - Wyszła z pokoju, rzucając po drodze jedwabną bluzkę na łóżko.

Pięć minut później Cortez przekonał się, że pod prysznicem łatwo zmieściłyby się cztery osoby. Ale wypadki potoczyły się tak, że na nadmiar miejsca nie narzekali.

Prezydent udał się na weekend do Camp David i ledwie zdążył wziąć prysznic, gdy jego młodszy asystent wojskowy - dyżur pełnił właśnie porucznik z marines - podał mu telefon bezprzewodowy.

- Tak, o co chodzi?

Na widok oblicza prezydenta porucznik w pierwszym odruchu zastanowił się, czy szef ma pistolet.

- Natychmiast mają tu przylecieć minister sprawiedliwości, admirał Cutter, sędzia Moore i Bob Ritter. Przekaż sekretarzowi prasowemu, żeby zadzwonił do mnie w sprawie treści komunikatu. Na razie zostaną tutaj. Pomyśleliście o sprowadzeniu zwłok? Dobra... mamy dwie godziny, żeby się nad tym zastanowić. Na razie zwyczajny protokół. Tak... Nie, nic z Departamentu Stanu. Załatwię to stąd, potem wypowie się sekretarz. Dziękuję. - Prezydent wyłączył się i podał porucznikowi telefon.

- Panie prezydencie, czy mam przekazać jakieś instrukcje ochronie?

- Nie. - Prezydent wyjaśnił pokrótce, co się stało. - Wróćcie do swoich obowiązków, poruczniku.

- Tak jest, panie prezydencie. - Porucznik wyszedł.

Prezydent założył płaszcz kąpielowy i podszedł do lustra uczesać się. Musiał przetrzeć frotowym rękawem zaparowane szkło. Gdyby od razu zobaczył swoje odbicie, zastanowiłby się, dlaczego lustro nie roztrzaskało się pod jego wzrokiem.

- Dobrze - rzekł do lustra prezydent Stanów Zjednoczonych. - Sami tego chcieliście, sukinsyny...

Lot z Andrews do Camp David odbył się jednym z helikopterów VH-60 Blackhawk, które niedawno weszły na wyposażenie Osiemdziesiątego Dziewiątego Dywizjonu Transportu Wojskowego. Mimo

luksusowego wyposażenia z myślą o transporcie ważnych osobistości, hałas na pokładzie śmigłowca praktycznie uniemożliwiał rozmowę. Każdy z czterech pasażerów patrzył przez okna w rozsuwanych drzwiach na umykające pod maszyną wzgórza zachodniego Marylandu, przeżywając samotnie żal i gniew. Lot trwał

dwadzieścia minut. Pilotowi kazano się spieszyć.

Natychmiast po lądowaniu czterech pasażerów załadowano do samochodu na krótką przejażdżkę do położonego opodal domku prezydenta. Kiedy weszli, właśnie odkładał

słuchawkę. Pół godziny trwały poszukiwania sekretarza prasowego, co jeszcze pogorszyło i tak już dość podły humor prezydenta.

Admirał Cutter usiłował wyrazić, jak głęboki żal wszyscy odczuwają, ale wzrok prezydenta nie dał mu dokończyć.

Prezydent usiadł na kanapie naprzeciwko kominka. Przed nim stał stolik, który dla niewtajemniczonych był zwyczajnym stolikiem na kawę, lecz teraz, po zdjęciu blatu, przeistoczył się w zestaw monitorów i cichych drukarek termicznych, połączonych z największymi agencjami prasowymi i innymi rządowymi kanałami informacyjnymi. W

sąsiednim pokoju znajdowały się cztery odbiorniki telewizyjne nastawione na CNN i pozostałe większe stacje. Czterech gości patrzyło na prezydenta, z którego buchała wściekłość jak para z imbryka.

- Tego już za wiele, żebyśmy przyglądali się beczynnemu, poprzestając na potępieniu zbrodni - rzekł przyciszonym głosem prezydent, oderwawszy wzrok od ekranów. -

Zamordowali mojego przyjaciela. Zamordowali mojego ambasadora. Uderzyli bezpośrednio w suwerenną władzę Stanów Zjednoczonych Ameryki. Chcą grać z dużymi chłopcami - ciągnął prezydent groteskowo spokojnym tonem. - Zgoda, tylko że muszą grać według reguł ustalonych przez dużych chłopców. Peter, podjąłem już decyzję uznającą poczynania kartelu za akt wrogi wobec rządu Stanów Zjednoczonych. Postanowili działać jak wrogie państwo. Odpowiemy im tak, jak odpowiedzielibyśmy wrogiemu państwu. Jako prezydent jestem zdecydowany prowadzić walkę z wrogiem, tak jak z terroryzmem państwowym.

Ministrowi to się nie podobało, ale chcąc nie chcąc, zgodził się. Prezydent zwrócił się do Moore'a i Rittera.

- Zdejmujemy białe rękawiczki. Przekazałem właśnie sekretarzowi komunikat prasowy dla grzecznych dziewczynek, ale zdejmujemy panowie pieprzone rękawiczki.

Przygotujcie jakiś plan działania. Chcę, żeby skurwiele wreszcie to odczuli. Dość już gówniarskiej zabawy w jednoznaczne ostrzeżenia. Chcę, żeby wiedzieli, co jest grane, bez

względu na to, czy rozumieją subtelne aluzje, czy nie. Panie Ritter, dostał pan kartę łowiecką bez okresów ochronnych. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, panie prezydencie - odpowiedział niezgodnie z prawdą ZDO.

Prezydent wszak ani razu nie wyrzekł słowa „zabić”, co wykażą magnetofony ukryte zapewne gdzieś w tym pokoju. Ale pewnych rzeczy po prostu się nie robi, a do nich właśnie należało zmuszanie prezydenta do jasnych wypowiedzi, gdy chciał uniknąć jednoznaczności.

- Znajdźcie sobie chałupę i wymyślcie rozsądny plan. Peter, zostań jeszcze na chwilę. -

Następna aluzja: minister sprawiedliwości, raz poparłszy życzenie prezydenta, by wreszcie coś zrobić, wcale nie musiał dokładnie wiedzieć, co zostanie zrobione.

Admirał Cutter, lepiej obeznany z Camp David niż dwóch pozostałych gości, zaprowadził ich do jednego z domków. Szedł przodem, toteż Moore i Ritter nie dostrzegli uśmiešku na jego twarzy.

Ryan dotarł wreszcie do biura; przyjechał sam, bez szofera. Na korytarzu przy windzie czekał już na niego starszy oficer dyżurny wywiadu. Rozmowa trwała cztery minuty, po których Ryan siedział sam w gabinecie, nie mając właściwie nic do roboty.

Zadziwiająco: był teraz wtajemniczony we wszystkie znane władzom szczegóły zabójstwa - prawdę powiedziawszy, wiedział niewiele więcej, niż usłyszał w radiu po drodze do biura, choć mógł

podstawić konkretne nazwiska pod „niezidentyfikowane źródła”. Czasami to się liczyło, ale nie tym razem. Szefowie wydziałów kontrwywiadu i operacyjnego, jak się zdążył natychmiast zorientować, byli u prezydenta w Camp David.

Dlaczego nie ja? - spytał się w duchu zaskoczony.

Powinien był szybko na to wpaść, ale jeszcze nie oswoił się z dyrektorskim stołkiem.

Nie mając nic innego do roboty, błądził myślami wokół tego tematu przez kilka minut.

Wniosek nasuwał się sam. Nie miał wiedzieć, o czym rozmawiano w Camp David - ale to z kolei oznaczało, że coś już jest w toku... Jeśli tak, to co? I od jak dawna?

Nazajutrz w południe na Lotnisku Międzynarodowym El Dorado wylądował

transportowiec Sił Powietrznych C-141B Starlifter. Tak zmasowanej ochrony nie widziano od pogrzebu Anwara Sadata. Ponad głowami krążyły uzbrojone helikoptery.

Wozy pancerne stały w pogotowiu z wycelowanymi w powietrze lufami działek.

Zamknięte na trzy godziny

lotnisko otaczał cały batalion wojsk powietrznodesantowych. Do tego dochodziła oczywiście gwardia honorowa, której honor w indywidualnym odczuciu wszystkich jej członków został splamiony wraz z honorem całej armii i państwa przez... tamtych.

Kardynał Esteban Valdez pomodlił się nad trumnami w towarzystwie naczelnego rabina nielicznej społeczności żydowskiej Bogoty. Rząd amerykański reprezentował

wiceprezydent; armia kolumbijska przekazywała kolejno trumny na barki żołnierzy reprezentujących wszystkie rodzaje wojsk amerykańskich. Nie obyło się bez szablonowych, ceremonialnych przemówień, od których odstawała krótka, wzruszająca mowa kolumbijskiego prokuratora generalnego, nie kryjącego łez po stracie przyjaciela i kolegi z uczelni. Wiceprezydent wsiadł do samolotu i odleciał, a w ślad za nim ogromny transportowiec Lockheed.

Opublikowane już oświadczenie prezydenta mówiło o wzmocnieniu rządów prawa, którym Emil Jacobs poświęcił życie.

W miejscowości Eight Mile, na przedmieściach Mobile w stanie Alabama, sierżant policji Ernie Braden przystrzygał trawnik przed domem, siedząc na siodełku spalinowej kosiarki. Jako fachowiec działu włamań znał na wylot wszystkie sztuczki ludzi, których przestępstwami się zajmował. Wiedział między innymi, jak obejść skomplikowane systemy alarmowe, nawet te najbezpieczniejsze, zainstalowane w domach zamożnych bankierów. Z tą wiedzą, pogłębianą informacjami z biurowych niedyskrecji - antynarkotykowa stajnia sąsiadowała z działem włamań - mógł

zaoferować swoje usługi ludziom, których pieniądze starczały na ortodontę i edukację dla jego dzieci. Braden poszedł na współpracę nawet nie dlatego że był

skorumpowanym gliniarzem, ale przepracował w policji ponad dwadzieścia lat i już miał to w nosie. Jeśli ludzie chcieli zażywać narkotyki, to niech się trużą. Jeśli handlarze chcieli się nawzajem wyrzynać, tym lepiej dla reszty społeczeństwa. A jeżeli jakiś pieprzony bankier chciał wykiwać całą złodziejską bandę i dostał w czapę, dobrze mu tak; Braden miał tylko i wyłącznie przeszukać dom faceta i sprawdzić, czy nie zostawił żadnych śladów. Szkoda żony i Bogu ducha winnych dzieciaków, ale to się właśnie nazywa igraniem z ogniem.

Braden czynił zadość krzywdzie wyrządzonej społeczeństwu, tropiąc po prostu nadal włamywaczy, a od czasu do czasu udawało mu się nawet posłać za kratki niezgorszego bandytę, choć zdarzało się to nader rzadko. Włamania należały do w miarę bezpiecznych przestępstw. Nie zwracały uwagi, na jaką zasługiwały, co także odnosiło się do ludzi, którzy

zajmowali się ich tropieniem - z najbardziej chyba niedocenianego sektora aparatu ścigania. Przez dziewięć lat z rzędu podchodził do egzaminów na porucznika, ale jakoś nie awansował. Braden oczekiwał podwyżki, a tymczasem awansowały pieszczochy z narkotyków i zabójstw, a on tyrał jak niewolnik... i miał nie przyjąć tej zasranej forsy?

Nade wszystko Ernie Braden był już tym wszystkim zmęczony. Zmęczony długimi godzinami pracy. Zmęczony ofiarami przestępstw, które na niego wylewały swoje pretensje, a przecież usiłował robić tylko to, co do niego należy. Zmęczony lekceważącym stosunkiem do niego we własnym środowisku oficerów policji.

Zmęczony rolą prelegenta na organizowanych pro forma szkolnych pogadankach o zgubnych skutkach przestępczości, których nikt nie chciał słuchać. Zmęczony już nawet trenowaniem młodzieżowej ligi baseballowej, choć do niedawna była to dlań jedyna radość w życiu. Zmęczony niemalże wszystkim. Ale na emeryturę też nie było go stać. Przynajmniej na razie.

Silnik kosiarki Sears terkotał w gorącym, wilgotnym powietrzu spokojnej ulicy, na której mieszkał Braden z rodziną. Ernie przetarł chustką spocone czoło i pomyślał o zimnym piwie, które czekało nań po skończonej robocie. Mogło być gorzej. Jeszcze trzy lata temu pchał koszmarną ręczną kosiarkę. Teraz przynajmniej siedział na siodełku podczas cotygodniowej harówki przy zafajdanym trawniku. Jego żona miała fioła na punkcie trawnika i ogrodu. Jakby to miało jakieś znaczenie, marudził Braden.

Skupiwszy się na wykonywanej pracy, pilnował, żeby obrotowe noże kosiarki przejechały co najmniej dwa razy po każdym kwadratowym centymetrze trawnika, który na początku sezonu odrastał natychmiast po skoszeniu. Nie zauważył

podjeżdżającego mikrobusu Plymouth. Nie miał też pojęcia o tym, że ci, u których dorabiał do pensji, są bardzo niezadowoleni z rezultatów powierzonej mu ostatnio tajnej misji.

Braden miał kilka swoich dziwactw, jak wielu mężczyzn i większość oficerów policji.

Między innymi nie ruszał się nigdzie bez broni. Nawet kosić trawę. Pod przepoconą koszulą na grzbiecie tkwił Smith - Wesson Chiefs Special, pięciostrzałowy rewolwer z nierdzewnej stali, a zarazem jedyna rzecz z napisem szef, jaką udało mu się w życiu zdobyć. Gdy wreszcie dostrzegł parkujący za jego chevroletem mikrobus, nie zauważył

nic szczególnego oprócz tego, że siedziało w nim dwóch mężczyzn, którzy chyba patrzyli na niego.

Gliniarski instynkt nie zawiódł go jednak zupełnie. Patrzyli na niego dość groźnie. Sam wreszcie zdecydował się spojrzeć w ich stronę, głównie z ciekawości. Któżby interesował się nim w sobotnie popołudnie?

Gdy otworzyły się drzwi od strony pasażera i zobaczył pistolet, pytanie to wywietrzało mu z głowy.

Staczając się błyskawicznie z kosiarki, Braden zdjął nogę z hamulca, co wywołało efekt odwrotny niż w samochodzie: kosiarka przejechała sama jeszcze pół metra, a ostrza nie przestały się obracać i wciąż wyrzucały mieszaninę trawy z ogródka policjanta. Braden znalazł się tuż przy otworze wyłotowym zbiornika kosiarki i czuł, jak grudki ziemi i piachu uderzają go w kolana, ale to też w tej chwili nie miało żadnego znaczenia. Trzymał już w ręce rewolwer, gdy mężczyzna z mikrobusu otworzył ogień.

Strzelał z pistoletu maszynowego Ingram M-10, najprawdopodobniej kalibru 9 mm, i nie najlepiej się nim posługiwał. Pierwszy strzał prawie trafił w cel, ale już osiem następnych poszło górą, gdyż trudna do opanowania broń wymykała się spod kontroli, nie trafiając nawet w kosiarkę. Sierżant Braden oddał dwa strzały w kierunku napastnika, ale odległość przekraczała dziesięć metrów, a rewolwer miał ledwie pięciocentymetrową lufę, co dawało zasięg skuteczny mierzony w centymetrach, a nie metrach. Stres w połączeniu z niewłaściwie dobraną bronią sprawiły, że tylko jeden nabój trafił w mikrobus.

Lecz odgłos strzałów z broni maszynowej jest bardzo łatwy do rozpoznania - nie da się go pomylić z fajerwerkami ani innymi normalnymi hałasami - toteż w sąsiedztwie od razu zorientowano się, że dzieje się coś niezwykłego. W domu po przeciwnej stronie ulicy piętnastoletni chłopiec czyścił właśnie karabin, stareńskiego marlina kaliber 0,22

cała ze staromodną dźwignią typu Winchester, który odziedziczył po dziadku. Ów młody człowiek, Erik Sanderson, odłożył przyrządy do czyszczenia i podszedł do okna w samą porę, by zobaczyć swojego dawnego trenera futbolowego strzelającego do kogoś zza kosiarki. W olśnieniu, które nachodzi człowieka w takich chwilach, Erik Sanderson zdał sobie sprawę, że oto jacyś ludzie chcą zabić jego trenera, oficera policji, że ma karabin i naboje trzy metry dalej i że ma prawo użyć broni palnej w obronie policjanta. To, że rano ćwiczył w strzelaniu do puszek, tylko utwierdziło go w poczuciu gotowości bojowej. Erik Sanderson miał życiową ambicję zostać żołnierzem marines, nie omieszkał więc wykorzystać okazji, żeby wcześniej poznać smak wybranej kariery.

Gdy odgłosy strzelaniny nadal rozbrzmiewały na zadrzewionej ulicy, Erik chwycił

karabin i garść małych mosiężnych naboji i wybiegł na ganek. Wkładał pojedynczo naboje do komory, zdumiony, że spocły mu się już dłonie. Załadował czternaście naboji i w tym momencie dwa z nich

wypadły mu przez wylot magazynku. Spokojnie załadował je z powrotem, włożył

żerdź prowadzącą i przesunął, ryglując zamek, po czym wprowadził nabój do komory i napiął kurek.

Ze zdumieniem stwierdził, że nie ma pozycji do strzału, przebiegł chodnikiem na ulicę i ustawił się za maską furgonetki ojca. Z tej pozycji widział dwóch mężczyzn strzelających z pistoletów maszynowych z biodra. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak sierżant Braden wystrzelił ostatni nabój, pudłując jak za poprzednimi czterema razami.

Policjant desperacko rzucił się w kierunku domu, ale potknął się i nie mógł wstać.

Napastnicy podbiegli do Bradena, zmieniając po drodze magazynki. Erik Sanderson drżącymi rękami przyłożył do ramienia karabin ze staroświeckim celownikiem przeziernikowym i muszką. Musiał przypomnieć sobie skautowskie lekcje dokładnego celowania: muszkę nastawić na środek szczerbiny w ramce celownika, tak żeby górny koniec muszki znalazł się w jednej linii z górnymi krawędziami celownika w chwili strzału.

Z przerażeniem spostrzegł, że się spóźnił. Dwaj napastnicy zrobili z jego trenera sito długimi seriami z bliskiej odległości. Coś przeskoczyło w świadomości Erika.

Wycelował w głowę bliższego bandyty i strzelił.

Jak większość młodych i niedoświadczonych strzelców, natychmiast spojrzął na cel, by zobaczyć, co się stało. Nic. Spudłował - z karabinu na odległość tylko trzydziestu metrów. Z niedowierzaniem wycelował ponownie i nacisnął spust, ale bez skutku.

Zapomniał napiąć kurek. Miotając przekleństwa, za które matka sprząłaby mu skórę, zarepetował marlina i nadzwyczaj dokładnie wycelował przed drugim strzałem.

Mordercy nie usłyszeli pierwszego wystrzału; w uszach dźwięczał im wciąż terkot ich własnych pistoletów, toteż nie usłyszeli również drugiego, ale jednemu z nich odskoczyła na bok głowa, gdy został trafiony. Facet wiedział, co się stało, odwrócił się w lewo i wystrzelił długą serię mimo natychmiastowego, rozdzierającego bólu głowy.

Drugi bandyta też zobaczył Erika i zaczął strzelać.

Ale chłopak strzelał najszybciej jak mógł. Z wściekłością patrzył, że ciągle chybia, robiąc odruchowe uniki przed skierowanym w jego stronę ogniem; chciał zabić obu bandytów, zanim zdążą uciec do samochodu. Z satysfakcją zobaczył, że kryją się przed nim i zmarnował trzy ostatnie naboje, próbując trafić ich przez karoserię auta. Ale sportowa amunicja nie nadaje się do tego i mikrobus odjechał.

Erik patrzył za odjeżdżającym samochodem, wyrzucając sobie, że nie załadował więcej naboji, że mógłby spróbować strzału przez tylną szybę, zanim auto skręciło w prawo i zniknęło mu z oczu.

Chłopiec nie miał odwagi podejść i zobaczyć, co się stało sierżantowi Bradenowi. Nie ruszał się z miejsca, oparty o furgonetkę, przeklinając się za to, że pozwolił im uciec.

Nie wiedział i nigdy nawet by nie uwierzył, że poradził sobie lepiej niż niejeden wyszkolony oficer policji w jego położeniu.

W mikrobusie jeden z najemników bardziej przejmował się kulą w klatce piersiowej niż raną głowy. Ale to właśnie trafienie w głowę miało go zabić. Gdy pochylił się do przodu, nadwątlona arteria pękła, zalewając kabinę samochodu krwią ku zaskoczeniu konającego mężczyzny, który miał ledwie kilka sekund, by spostrzec, co się stało.

Inna maszyna Sił Powietrznych - traf chciał, że również C-141B -leciała z Clarkiem na pokładzie z Panamy do Andrews, gdzie przygotowywano się pośpiesznie do ceremonii. Zanim wylądował samolot z trumnami, Clark rozmawiał już w Langley ze swoim szefem, Bobem Ritterem. Po raz pierwszy od czasów Hoovera wydziałowi operacyjnemu przyznano prezydencką licencję łowiecką. John Clark występował na listach personelu jako instruktor agentów terenowych, był zaś naczelnym łowczym CIA. Od dawien dawna nie zwrócono się do niego ze zleceniem wymagającym tego szczególnego talentu, ale wciąż wiedział, jak się zabrać do rzeczy.

Ritter i Clark nie oglądali transmisji telewizyjnej z lotniska. To już była dla nich historia i choć obaj interesowali się historią, to raczej taką, która nigdy nie oglądała światła dziennego.

- Zastanowimy się jeszcze raz nad pomysłem, który zaproponował pan w St Kitts - rzekł zastępca dyrektora wydziału operacyjnego.

- Jaki jest cel operacji? - spytał ostrożnie Clark. Nietrudno się było domyślić, dlaczego jest potrzebny i kto wydał dyrektywę. Stąd jego ostrożność.

- W najkrótszej wersji odwet - odparł Ritter.

- Retorsja jest bardziej dyplomatycznym określeniem - zauważył Clark. Mimo braków w formalnym wykształceniu, sporo w życiu przeczytał.

- Cele stanowią oczywiste i bezpośrednie zagrożenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

- Prezydent tak powiedział?

- Słowo w słowo - przyznał Ritter.

- Świetnie. Sprawa jest więc legalna. Wcale nie mniej niebezpieczna, ale legalna.

- Jest pan gotów podjąć się tego?

Clark odpowiedział tajemniczym uśmiechem.

- Ja decyduję, jakimi sposobami wykonać swoją część roboty. Inaczej nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie mam zamiaru dusić się pod nadzorem. Nikt stąd nie będzie mi się do niczego wtrącał. Wy dajecie mi listę celów i konieczne wsparcie. Reszta to już moja głowa, moje sposoby, mój harmonogram.

- Zgoda. - Ritter skinął głową. Clark nie krył zaskoczenia.

- W takim razie biorę tę robotę. A co z tymi dziećmi, co się wałęsają po dżungli?

- Wyciągamy chłopców stamtąd dziś wieczorem.

- Żeby ich przerzucić, dokąd? - spytał Clark. Ritter zaklął pod nosem.

- To już niebezpieczna zabawa - zauważył agent terenowy, choć odpowiedź wcale go nie zaskoczyła. Zapewne było to i tak wcześniej zaplanowane posunięcie. Ale skoro tak...

- Wiemy.

- Nie podoba mi się to - rzekł Clark po chwili namysłu. - Niepotrzebne komplikacje.

- Nie płacimy panu, żeby się to panu podobało.

Clark musiał się z tym zgodzić. Był jednak wobec siebie na tyle uczciwy, żeby docenić tę część, która mu się podobała. Dzięki podobnej robocie objęło go przecież przed laty opiekuńcze ramię Centralnej Agencji Wywiadowczej. Ale wówczas działał jako wolny strzelec. Tym razem dostawał robotę legalną, przynajmniej na pozór. Dawniej nie miałyby to dla niego większego znaczenia, lecz co innego teraz, kiedy miał żonę i dzieci.

- Zdążę pojechać do rodziny na parę dni?

- Oczywiście. Potrzebujemy jeszcze trochę czasu na ostatnie przygotowania.

Wszystkie niezbędne informacje przekazemy panu przez posłańca na Farmę.

- Nazwa operacji?

- „Wzajemność”.

- Całkiem nieźle.

Na twarzy Clarka pojawił się uśmiezek. Wyszedł z pokoju, kierując się do windy. Po drodze minął się z nowym ZDW, doktorem Ryanem, który szedł do gabinetu sędziego Moore'a. Clark i Ryan nigdy się właściwie nie poznali - teraz pora po temu nie była najstosowniejsza - choć ich drogi życiowe przecięły się już dwukrotnie.

Rozdział 14

EWAKUACJA

- Muszę podziękować twojemu dyrektorowi Jacobsonowi - powiedział Juan. - Może się kiedyś poznamy? - Z tym tekstem czekał na właściwy moment. Wkrótce, jak sądził, będzie mógł wyciągnąć z Moiry każdą informację, licząc na wzajemne zaufanie, jak w dobrym małżeństwie - wszak prawdziwa miłość nie zna sekretów, nieprawdaż?

- Całkiem możliwe - odpowiedziała po chwili Moira. Już zaświtała jej w głowie myśl, że dyrektor przyjdzie na ślub. Chyba nie żądała zbyt wiele.

- A właściwie po co on pojechał do tej Kolumbii? - zapytał, penetrując opuszkami palców dobrze znajome, utarte szlaki.

- To już publiczna wiadomość. Operacja nazywa się „Tarpon”. Juan uważnie słuchał szczegółowych wyjaśnień, ani na chwilę nie

wypadając z rytmu czułych pieszczot, co zawdzięczał długoletniemu doświadczeniu oficera wywiadu. Uśmiechał się teraz błogo do sufitu. Skończony dureń. Ostrzegałem go. Ostrzegałem go nie raz i nie dwa w jego własnym biurze, ale nie - był za chytry, zbyt dumny ze swojej przebiegłości, by słuchać moich rad. Cóż, może stary kretyn po tej nauczce wreszcie zmądrzeje... Po kilku chwilach zadał sobie w duchu pytanie, jak na to zareaguje jego pracodawca. Dopiero teraz uśmiech zniknął mu z twarzy, a czułe palce znieruchomiały.

- Coś się stało, Juan?

- Twój dyrektor wybrał niebezpieczny moment na podróż do Bogoty. Oni będą bardzo źli. Jeśli się dowiedzą, że przyjeżdża...

- Podróż utrzymana jest w tajemnicy. Ich prokurator generalny to stary przyjaciel - chyba razem studiowali i znają się od czterdziestu lat.

Podróż była utrzymana w tajemnicy. Cortez wmawiał sobie, że nie są aż tak durni, żeby... a może jednak są. Zdziwił się, że Moira nie poczuła, jak ciarki przeszły mu po całym ciele. Ale coż mógł teraz uczynić?

Jak to bywa z rodzinami wojskowych i komiwojażerów, najbliżsi Clarka przywykli do jego wyjazdów bez uprzedzenia i na nieokreślony czas. Przywykli również do jego całkiem niespodziewanych powrotów. Stało się to już dla nich swoistą grą, której, o dziwo, nie sprzeciwiała się jego żona. Tym razem wziął samochód służbowy z garażu CIA i wyruszył

w dwu i półgodzinną podróż do Yorktown w stanie Wirginia i podczas samotnej jazdy zamierzał przemyśleć dokładnie operację, której się podjął. Zjeżdżając z międzystanowej autostrady 64, miał już przygotowane wszystkie kwestie proceduralne, choć z drobnymi szczegółami musiał poczekać, aż dostanie do wglądu zestaw informacji wywiadowczych, które obiecał przysłać Ritter.

Clark mieszkał w typowym dla biznesmenów średniego szczebla domu, zbudowanym z cegły, z czterema sypialniami i podwójnym holem, położonym w jednoakrowym zagajniku charakterystycznych dla amerykańskiego Południa długoiglastych sosen.

Stąd jechało się dziesięć minut do Farmy, ośrodka szkoleniowego CIA, który według adresu pocztowego znajdował się w Williamsburgu, ale w rzeczywistości leżał bliżej Yorktown, opodal bazy, w której marynarka trzyma zarówno wystrzeliwane z okrętów podwodnych rakiety balistyczne, jak i dostosowane do nich głowice nuklearne. Okoliczne domki zamieszkiwali głównie inni instruktorzy CIA, dzięki czemu można było sobie podarować niestworzone historyjki na użytek sąsiadów.

Rodzina Clarka miała oczywiście jakie takie pojęcie, z czego żyje mąż i tatuś. Dwie córki, siedemnastoletnia Maggie i czternastoletnia Patrycja, nazywały go czasami Tajnym Agentem, co podchwyciły ze wznowionego niedawno na jednym z kanałów telewizji kablowej serialu Patricka McGoohana, ale były na tyle roztropne, by nie chwalić się tym przed kolegami ze szkoły - choć zdarzało im się przestrzegać swoich chłopców, żeby zachowywali się przyzwoicie przy ojcu. Przestrogi te były wszakże zbędne. Większość mężczyzn instynktownie miała się na baczności przy Clarku. John Clark nie miał wprawdzie rogów ani kopyt, wystarczyło jednak najczęściej jedno spojrzenie, by zorientować się, że z nim nie ma żartów. Żona, Sandy, wiedziała jeszcze więcej, łącznie z tym, co robił, zanim wstąpił do Agencji. Jako dyplomowana pielęgniarka uczyła zawodu młode adeptki w salach operacyjnych miejscowej kliniki.

W swoim zawodzie na co dzień obcowiała z kwestiami życia i śmierci, doceniając fakt, że jej mąż należy do nielicznych laików, którzy rozumieją, w czym rzecz, aczkolwiek z odwrotnej niejako strony. Dla żony i dzieci John Terence Clark był oddanym mężem i ojcem, może niekiedy aż nadto opiekuńczym. Maggie skarżyła się raz, że odstraszył jej potencjalnego „stałego” jednym groźnym spojrzeniem. To że chłopak został wkrótce aresztowany za prowadzenie auta po pijanemu, tylko pokazało ku jej utrapieniu, że tatuś się nie mylił. Miał też miększe serce od matki w takich sprawach, jak wszelkie przywileje domowe i zawsze można się było wypłakać na jego ramieniu, kiedy przebywał w domu. Na łonie rodziny nie unosił się, mówił spokojnie i roztropnie, kulturalnym językiem, w rozluźnionym nastroju, ale najbliżsi wiedzieli, że z dala od domu jest zupełnie inny i nic ich to nie obchodziło.

Zajechał pod dom tuż przed kolacją i wszedł z miękką walizką na garnitury przez kuchnię, czując miłe zapachy domowych specjałów. Zbyt wiele razy zaskakiwał żonę, by peszyła się ilością przygotowanego jedzenia.

- Gdzie byłeś? - spytała retorycznie Sandy, po czym starym zwyczajem zabawiała się w detektywa. - Żadnych śladów opalenizny. Musiało tam być zimno albo pochmurno?

- Większość czasu siedziałem w czterech ścianach - odparł zgodnie z prawdą Clark.

Razem z dwoma pajacami w zasranym wozie łączności na otoczonym dżunglą wzgórzu. Jak za dawnych, złych czasów. Prawie. Mimo nieprzeciętnej inteligencji, Sandy niezmiernie rzadko udawało się zgadnąć, gdzie przebywał jej mąż. Ale przecież to nie jej sprawa.

- Na jak długo...?

- Tylko dwa dni i znów w drogę. W ważnej sprawie.

- Czy to w związku z... - wskazała głową telewizor w kuchni. Clark skwitował pytanie uśmiechem i pokręcił głową.

- Jak myślisz, co się stało?

- Z tego, co widzę, kartel miał dużo szczęścia - powiedział spokojnie.

Sandy dobrze wiedziała, co mąż myśli o handlarzach kokainą i dlaczego. Każdy ma swój osobisty przedmiot nienawiści. W jego — i jej — wypadku byli to właśnie handlarze; długo pracowała jako pielęgniarka i dość napatrzyła się na skutki przedawkowania, by zdobyć się na tolerancję. W tej jednej kwestii Clark prawil

dziewczynkom istne kazania i choć nastawione były buntowniczo, jak wszystkie normalne nastolatki, do tej granicy nie zbliżyły się, nie mówiąc już o jej przekroczeniu.

- Zdaje się, że prezydent jest wściekły.

- A jak ty byś się czuła na jego miejscu? Przyjaźnił się z dyrektorem FBI... na tyle, na ile polityk może mieć przyjaciół. - Clark czuł przemożną potrzebę dodania tego komentarza. Nie ufał politykom, nawet tym, na których sam głosował.

- Jak na to zareaguje?

- Nie wiem, Sandy. - Jeszcze nie miał gotowego planu. - Gdzie są dzieci?

- Poszły do Busch Gardens z przyjaciółmi. Postawili tam nowy diabelski młyn. Pewnie wrzeszczą za wszystkie czasy.

- Zdamę wziąć prysznic? Podróżowałem cały dzień.

- Kolacja za pół godziny.

- Świetnie.

Pocałował ją jeszcze raz i poszedł z walizką do sypialni. Przed wejściem do łazienki wrzucił bieliznę do kosza na brudy. Jeden dzień odetchnie z rodziną i dopiero potem zabierze się do planowania swojej misji. Nie miał powodu się spieszyć. W tego rodzaju misjach pośpiech oznaczał śmierć. Miał nadzieję, że politycy to rozumieją.

Jasne, że nie rozumieją, pomyślał sobie, wchodząc pod prysznic. Nigdy nie rozumieli.

- Nie martw się - uspokajała go Moira. - Jesteś przecież zmęczony. Przykro mi, że cię tak wymęczyłam.

Przytuliła jego twarz do piersi. Mężczyzna to w końcu nie maszyna, a pięć razy w ciągu jednego dnia... Czegóż więcej mogła wymagać od swojego kochanka? Musiał

przecież się wyspać, odpocząć. Tak jak i ona. Z tą myślą Moira odpłynęła w błogi sen.

Po kilku minutach Cortez delikatnie uwolnił się z uścisku, obserwując jej wolny, miarowy oddech i rozmarzony uśmiech na ukojonej twarzy, gdy sam zachodził w głowę, co u diabła począć. Jeśli w ogóle coś się dało zrobić. Zadzwoń...

zaryzykować wszystko dla krótkiej rozmowy na niezabezpieczonej linii? Policja kolumbijska albo Amerykanie, albo jeszcze ktoś musiał mieć te wszystkie telefony na podsłuchu. Nie, to niebezpieczniejsze, niż nie robić nic.

Doświadczenie zawodowca podpowiadało mu, że najbezpieczniejszym wyjściem było nic teraz nie robić. Cortez spojrział na siebie. Oto właśnie nie dokonał absolutnie nic.

Po raz pierwszy od wielu lat.

Oddział Nóż działał w zupełnej - Jeśli nie błogiej - nieświadomości tego, co zaszło poprzedniego dnia. Do dżungli nie dochodziły informacje agencyjne, a łączność radiowa służyła wyłącznie do komunikacji oficjalnej. Tym bardziej zaskakująco brzmiał

nowy rozkaz. Chavez i Vega znów siedzieli na posterunku obserwacyjnym, z trudem znosząc wilgotny skwar po gwałtownej burzy. Godzinę wcześniej spadło pięć centymetrów deszczu, zamieniając posterunek w płytką kałużę, a spodziewali się więcej opadów po południu, zanim się przejaśni.

Kapitan Ramirez pojawił się znienacka, zaskoczywszy nawet Chaveza, który wszak pysznił się najwyższym kunsztem leśnej żołnierki. Na własny użytek wyjaśnił sobie, że kapitan nauczył się, podpatrując właśnie jego.

- Czołem, kapitanie - powitał dowódcę Vega.

- Coś się dzieje? - spytał Ramirez.

Chavez odpowiedział, nie odrywając oczu od lornetki.

- A jakże, nasi przyjaciele oddają się porannej sjeście. Po południu będzie, ma się rozumieć, następna. - Od lornetki oderwała go dopiero kolejna odzywka kapitana.

- Niech się chłopcy nacieszą. Bo to już ich ostatnia sjeść.

- Czy się nie przesłyszałem, kapitanie? - spytał Vega.

- Dziś w nocy przylatuje po nas helikopter. Siądzie na tym lądowisku, chłopaki. -

Ramirez wskazał na pas startowy. - Mamy zniszczyć obiekt przed odlotem.

Chavez rozważył słowa kapitana. Przemysłowców nigdy nie lubił. Siedzenie tu i gapienie się, jak te rozleniwione dranie robią swoje tak niefrasobliwie jakby grali w golfa, ani na jotę nie mitygowało jego wrogich uczuć.

Ding skinął głową.

- Dobra. Jak się do tego zabierzemy, kapitanie?

- Jak tylko się ściemni, ty i ja podejdziemy ich od północnej strony. Reszta oddziału podzieli się na dwie grupy ogniowe i wesprze nas w razie potrzeby. Vega, ty ze swoim kaem zostaniesz tutaj. Drugi kaem podejdzie czterysta metrów dalej. Po załatwieniu dwóch strażników założymy miny-pułapki przy zbiornikach paliwa w szopie; to nasz prezent pożegnalny. Helikopter weźmie nas z drugiego końca pasa o dwudziestej trzeciej. Ciała bierzemy ze sobą i chyba zrzucimy je do morza.

To już coś, pomyślał Chavez. Potrzebujemy ze czterdzieści minut na podejście bez ryzyka, ale sądząc po ich beztróskim zachowaniu, to małe piwo. Sierżant wiedział, że wykończenie ich to jego zadanie. Miał przecież spluwę z tłumikiem.

- Masz obowiązek spytać się, czy to prawda - upomniał go kapitan Ramirez. Sam przed chwilą spełnił tę powinność przez radio satelitarne.

- Jeżeli mój dowódca mówi, żebym coś zrobił, to dla mnie znaczy, że mówi prawdę. Ja tam nie mam wątpliwości - zapewnił dowódcę sierżant sztabowy Domingo Chavez.

- Dobra. Wyruszamy, jak tylko się ściemni.

- Tak jest.

Kapitan poklepał obu żołnierzy po ramieniu i oddalił się do punktu zbornego. Chavez patrzył za nim przez chwilę, po czym wyjął manierkę. Odkręcił plastikową zatyczkę, pociągnął porządny łyk i wreszcie spojrzał na Vegę.

- Krzyż im na drogę! - mruknął pod nosem kaemista.

- Temu, co prowadzi cały ten bal, wreszcie wyrosły zdrowe jaja -zgodził się Ding.

- Fajnie byłoby wrócić gdzieś, gdzie mają prysznic i klimatyzację - rzekł smętnie Vega.

To że dwóch facetów będzie musiało umrzeć, zanim ziści się to marzenie, nie miało większego znaczenia, skoro decyzja już zapadła. Obaj z miłym zaskoczeniem przyjęli wieść, że po latach służby w mundurze, kazano im teraz zrobić to, co stanowiło przedmiot żmudnego, niekończącego się szkolenia. Wątpliwości natury moralnej nie zaświtały im w głowach. Byli żołnierzami swojej ojczyzny. Ojczyzna zdecydowała, że ci dwaj faceci, co ucinali sobie teraz drzemkę kilkaset metrów dalej, są wrogami zasługującymi na śmierć. Klamka zapadła, choć obaj zastanawiali się, jak to będzie za pierwszym razem.

- Trzeba przygotować plan - rzekł Chavez, przykładając znów do oczu lornetkę. -

Musisz uważać z tym kaemem, Oso.

Vega rozważył sytuację.

- Nie będę strzelał na lewo od szopy, dopóki się nie wycofasz.

- Tak, dobra. Ja podejdem od strony tego drzewa. - Prosta sprawa, pomyślał na głos.

- Jasne.

Tylko że tym razem wszystko było naprawdę. Chavez nie odrywał oczu od lornetki, obserwując ludzi, których miał za kilka godzin zabić.

Pułkownik Johns otrzymał rozkaz gotowości w tym samym mniej więcej czasie, co wszystkie oddziały w terenie, razem z nowymi mapami taktycznymi do uważnego przejrzenia. Z kapitanem Willisem naradzali się w zaciszu swojej kwatery nad planem na dzisiejszą noc. Mieli tej nocy przeprowadzić szybką ewakuację.

Oddziały, które niedawno zrzucili w dżungli, trzeba było wyciągnąć o wiele wcześniej, niż przewidywał plan. PJ podejrzewał, że zna powód. Przynajmniej częściowo.

- Na ich lądowiskach? - zastanawiał się kapitan.

- Tak, wygląda na to, że albo wszystkie cztery były od początku jałowe, albo nasi przyjaciele wyczyszczą je przed ewakuacją.

- Aha - kapitan Willis zrozumiał po chwili namysłu.

- Poszukaj Bucka i powiedz, żeby jeszcze raz sprawdził swoje sikawki. Z tego rozkazu domyśli się, co jest grane. Ja pójdę sprawdzić prognozę pogody na noc.

- Ewakuację robimy w odwrotnym porządku niż zrzut, tak?

- Taa. Zatankujemy pięćdziesiąt mil od wybrzeża, a potem jeszcze raz po akcji.

- W porządku. - Willis udał się na poszukiwanie sierżanta Zimmera. PJ poszedł w odwrotną stronę do stacji meteorologicznej bazy. Pogoda na noc rozczarowywała: słabe wiatry, czyste niebo, księżyc w kwadrze. Idealna pogoda do wszelkich innych lotów, tylko nie po myśli ludzi od operacji specjalnych.

Opuścili Pustelnię w południe. Cortez nie wiedział, czemu zawdzięczać uśmiech losu, który kazał jej skrócić weekend pod pretekstem niepokoju o dzieci, choć podejrzewał, że chodziło jej raczej o to, by nie zamęczyć kochanka na śmierć. Żadna dotąd kobieta nie musiała się nad nim litować, a zniewagę

tę równoważył jedynie niepokój o rozwój wypadków w Kolumbii.

Jechali autostradą 81 w milczeniu, jak zazwyczaj. Wynajął samochód z szeroką, nieprzedzieloną kanapą z przodu. Moira siedziała w środku oparta o niego i otulona czule jego prawym ramieniem. Omal jak nastolatki, tylko że w zupełnej ciszy; i po raz kolejny był jej za to wdzięczny. Ale tym razem nie chodziło mu o wyrażone milczeniem uczucie. Umysł Corteza pędził teraz szybciej niż samochód, który nie przekraczał ograniczonej znakami prędkości. Mógł włączyć radio, ale nie chciał psuć nastroju. Nie wolno było wzbudzić żadnych podejrzeń. Jeśli tylko jego szef postąpił

inteligentnie - a przecież inteligencji mu nie brakowało, trzeba przyznać - to on wciąż obejmował ramieniem ogromnie wartościowe źródło strategicznych informacji.

Escobedo doceniał wagę dalekosiężnej wizji swoich interesów. Rozumiał - ale Cortez nie zapomniał też o arogancji tego człowieka. Jak łatwo go było urazić - zwycięstwo mu nie wystarczało, Escobedo musiał upokorzyć, złamać, doszczętnie zniszczyć każdego, kto ośmielił się zranić jego dumę w najmniejszym stopniu. Miał władzę i pieniądze, jakimi normalnie dysponują rządy całych państw, ale brakowało mu perspektywicznego spojrzenia. Mimo swej inteligencji, był niewolnikiem dziecięcych emocji; ta myśl coraz bardziej niepokoiła Corteza, gdy skręcał na 1-66, kierując się na wschód, do Waszyngtonu. Rzecz niesłychana -dumał z mglistym, cierpkim uśmiechem

- żeby w świecie pękającym od informacji musiał teraz spekulować jak dzieciak, choć mógł usłyszeć wszystko, co chciał, przekręcając jednym ruchem gałkę radia, a jednak nie pozwolił sobie na to.

Punktualnie przyjechali na parking lotniska. Cortez zatrzymał się obok samochodu Moiry i wysiadł, żeby wyładować jej bagaż.

- Juan...

- Tak?

- Nie bierz sobie do serca zeszłej nocy. To moja wina - powiedziała szeptem.

Zdobył się na uśmiech.

- Mówiłem ci, że już nie jestem młodzieniaszkiem. Miałaś tego dobitny dowód.

Przyszłym razem odpocznę, żeby mi lepiej poszło.

- Kiedy...

- Nie wiem. Zadzwoń do ciebie. - Pocałował ją czule.

Minutę później odjechała, a on stał jeszcze chwilę na parkingu i odprowadzał ją wzrokiem, czego się na pewno po nim spodziewała. Następnie wsiadł do swojego auta. Dochodziła szesnasta, włączył więc radio na codziny przegląd wiadomości.

Dwie minuty później zwrócił samochód do wypożyczalni, wziął bagaż i poszedł do terminalu,

szukając pierwszego samolotu odlatującego obojętnie gdzie. Jako pierwszy startował samolot United Airlines do Atlanty. Wiedział, że na tym ruchliwym lotnisku złapie odpowiednie połączenia. Ledwie wcisnął się na pokład w ostatniej chwili.

Moira Wolfe jechała do domu z uśmiechem przyćmionym winą. To, co przytrafiło się Juanowi zeszłej nocy, było jednym z najbardziej upokarzających doświadczeń dla mężczyzny, i to z jej winy. Zbyt wiele od niego wymagała, a przecież, jak sam się przyznał, nie był już pierwszej młodości. Dała się ponieść euforii wbrew rozsądkowi i zraniła dumę mężczyzny, którego... kochała. Teraz już nie miała wątpliwości. Moira nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek zazna tego uczucia, ale oto ośwładnęło ją z całym beztróskim zapamiętaniem jak za młodych lat, a jeśli Juanowi brakowało młodzieńczego wigoru, to rekompensował ten brak z nawiązką opanowaniem i fantastyczną techniką. Wyciągnęła rękę i nastawiła radio na stację nadającą stare przeboje i przez resztę drogi pławiła się w tym najwspanialszym ze wszystkich uczuć, przy dźwiękach młodzieżowych ballad, do których tańczyła przed trzydziestu laty i które teraz nieodparcie przywodziły wspomnienia najszcześniejszych chwil młodości.

Ze zdumieniem spostrzegła zaparkowane naprzeciwko jej domu auto, które wyglądało na służbowy samochód Biura, ale równie dobrze mógł to być gruchot z taniej wypożyczalni... gdyby nie charakterystyczna antena radiostacji. Zaparkowała przy chodniku i wyjąwszy bagaże, podeszła

do domu, lecz gdy drzwi się otworzyły, zobaczyła w nich Franka Webera z ochrony osobistej dyrektora.

- Cześć, Frank. - Agent specjalny Weber z grobową miną pomógł jej wnieść walizki. -

Coś się stało?

Nie bardzo wiedział, jak jej to powiedzieć, a na dodatek przykro mu było zepsuć jej nastrój po, jak się domyślał, nader szczególnym dla niej weekendzie.

- Emil został zamordowany w piątek wieczorem. Próbowaliśmy się z tobą skontaktować od tego czasu.

- Co?

- Rąbnęli go po drodze do ambasady. Z całą ochroną... wszystkimi. Jutro jest pogrzeb Emila. We wtorek pozostałych.

- O Boże! - Moira usiadła na najbliższym krześle. - Eddie... Leo? - Traktowała młodych agentów ochrony Emila jak własnych synów.

- Wszyscy - powtórzył Weber.

- Nie miałam pojęcia. Nie spojrzałam na gazetę ani nie włączałam telewizora w... od piątku wieczorem. Gdzie...?

- Dzieci są w kinie. Jesteś nam potrzebna do pomocy przy ustaleniu paru rzeczy.

Przyślemy tu kogoś, żeby się nimi zaopiekował.

Dopiero po kilku minutach mogła się pozbierać do wyjścia. Do oczu napłynęły jej łzy, kiedy treść słów Webera przeniknęła mury ledwie wzniesionej budowli z innych uczuć.

Kapitanowi Ramirezowi nie w smak było iść razem z Chavezem. Nie z tchórzostwa bynajmniej, lecz z niepewności, jaką właściwie rolę w tej akcji ma odegrać. Jego odpowiedzialność jako dowódcy przedstawiała mu się cokolwiek niejasno. Jako kapitan, który nie tak dawno dowodził kompanią, nauczył się, że dowodzenie to nie to samo co przywództwo. Dowódca kompanii ma pozostawać na tyłach niedaleko od linii frontu i kierować - wojsko nie lubi tego słowa - akcją bojową, manewrując swoimi oddziałami i nie tracąc z oczu sytuacji na całym polu walki; w ten sposób może bowiem kontrolować akcję, gdy tymczasem dowódcy plutonów prowadzą właściwą walkę. Nauczywszy się zaś jako porucznik prowadzenia ludzi od czoła, miał

zastosować tę naukę na wyższym o jeden stopień poziomie, choć bywały i takie sytuacje, gdy kapitan powinien sam przewodzić. Tutaj zaś dowodził tylko drużyną i choć obecna misja wymagała ostrożności i rozwagi, to liczebność jego oddziału zmuszała go do osobistego przewodzenia. Poza tym nie bardzo mógł wysłać dwóch żołnierzy na ich pierwszą w życiu misję z rozkazem zabicia wroga i nie iść razem z nimi, nawet jeżeli Chavez doprowadził sztukę skradania się do takiego mistrzostwa, o jakim kapitanowi Ramirezowi nawet się nie śniło.

Sprzeczności pomiędzy obowiązkami dowódcy i przywódcy trapiły młodego oficera, lecz w końcu wybrał przewodzenie, bo inaczej nie mógł postąpić. Nie sprawdziłby się jako dowódca, gdyby nie umiał przewodzić oddziałem w boju. W duchu wiedział, że jeśli pierwsza misja się powiedzie, podobne rozterki już nie zaprzątną mu myśli.

Pocieszył się, że tak już chyba musi być.

Ustawiwszy dwie wspierające grupy ogniowe, ruszył z Chavezem w drogę, obchodząc od północnej strony pas startowy, z sierżantem na czele. Poszło im gładko. Strażnicy nadal wylegiwali się, paląc skręty - czy diabeł wie co - i gadali tak głośno, że słychać ich było przez stumetrowy pas drzew.

Chavez skrupulatnie zaplanował podejście na podstawie zeszlonoconego patrolu nakazanego przez kapitana Ramirezę. Obyło się bez niespodzianek i po dwudziestu minutach skręcili na cel i znów ujrzeli pas lotniska. Teraz już szli wolniej.

Chavez szedł na czele. Wąski trakt, którym wjeżdżały ciężarówki, był dla nich doskonałą wskazówką. Szli jego północną stroną, pozostając poza liniami ognia ustalonymi dla karabinów maszynowych kolegów z oddziału. W przewidzianym czasie dostrzegli zarysy szopy. Chavez poczekał zgodnie z planem, aż jego przełożony zrówna się z nim, pokonawszy dziesięciometrowy odstęp, zachowywany podczas podejścia. Porozumiewali się na migi. Chavez miał od razu podejść na odległość strzału, z wysuniętym nieznacznie do przodu po jego prawej stronie kapitanem.

Strzelać miał sierżant, ale gdyby zaszły nieprzewidziane okoliczności, Ramirez byłby gotów natychmiast go wesprzeć. Kapitan cztery razy nacisnął klawisz nadawania i otrzymał dwa sygnały w odpowiedzi. Oddział stał w pogotowiu na drugim końcu pasa świadom, co miało za chwilę nastąpić,

i w razie potrzeby gotów do odegrania swojej roli w akcji.

Ramirez gestem ręki kazał Dingowi podejść do przodu.

Chavez wziął głęboki oddech, zaskoczony gwałtownie przyspieszonym biciem serca.

Przecież robił to już setki razy. Potrząsnął ramionami, żeby się rozluźnić, po czym dopasował ramię pistoletu. Kciuk położył na selektorze i nastawił MP-5 na trzystrzałową serię. Przyrządy celownicze pomalowane były niewielką ilością farby fluorescencyjnej i świeciły dostatecznie mocno dla ludzkiego oka w niemal całkowitym mroku równikowej dżungli. Gogle noktowizyjne trzymał w kieszeni. Teraz tylko by przeszkadzały.

Posuwał się już bardzo wolno pomiędzy drzewami i zaroślami, wyszukując po omacku stopą twarde, czyste miejsca lub odgarniając czubkiem buta liście z drogi, zanim zrobił następny krok. Żadna sztuka. Niedawne napięcie ciała ustąpiło, choć w uchu jakby dzwonił alarm, ostrzegający, że to już nie ćwiczenia.

Są.

Stali bez żadnej osłony, oddaleni od siebie o mniej więcej dwa metry, dwadzieścia metrów od drzewa, o które opierał się Chavez. Wciąż rozmawiali i mimo że rozumiał

bez trudu każde słowo, język ten wydał mu się tak obcy jak szczekanie psów. Ding mógł podejść jeszcze bliżej, ale nie chciał ryzykować, a dwadzieścia metrów wystarczało w zupełności. Miał czysty strzał do obu delikwentów.

Dobra.

Podniósł wolniutko pistolet i naprowadził muszkę na środek szczerbiny celownika, aż zobaczył wyraźny biały krąg wokół celu, a pionowa linia środkowa znalazła się na czarnej, okrągłej bryle, która w rzeczywistości była tyłem ludzkiej głowy, w tej chwili jednak przestała już być częścią ludzkiego ciała - była celem, rzeczą. Pociągnął lekko palcem za spust.

Broń nieznacznie szarpnęła, ale podwójna pętla rzemienia utrzymała MP-5 w ryzach.

Cel upadł. Ding przesunął natychmiast pistolet na prawo. Drugi cel odwrócił się zaskoczony, wystawiając na strzał mglisto-biały krąg twarzy oświetlonej blaskiem księżyca. Następną serią, niemal bezgłośnie. Chavez czekał, przesuając broń z jednego ciała na drugie, ale już się nie poruszyły.

Ding wyskoczył zza drzew. Jedno z ciał przyciskało karabinek AK-47. Chavez kopnął

broń na bok, wyjął z kieszeni na piersi latarkę i oświetlił cele. Jeden dostał wszystkie trzy naboje w tył głowy. Drugiego trafiły tylko dwa, ale oba w czoło. Twarz tego drugiego wyrażała zaskoczenie. Pierwszy już nie miał twarzy. Sierżant ukląkł przy ciałach i rozejrzał się, czy w pobliżu nie dzieje się nic podejrzanego. Chavez ogarnęło bez reszty poczucie dumy. Wszystko, czego się nauczył i co wyćwiczył - sprawdziło się! Niełatwa robota, ale znów nic nadzwyczajnego.

Noc naprawdę należała do ninja.

Po chwili dołączył do niego Ramirez. Mógł powiedzieć tylko jedno.

- Dobra robota, sierżancie. Sprawdź szopę. - Włączył radio. - Tu Szóstka. Cele zlikwidowane, wychodźcie.

Oddział doszedł do szopy po dwóch minutach. Zgodnie z wojskowym zwyczajem, żołnierze zebrali się wokół ciał zabitych strażników, by przyjrzeć się pierwszej próbie tego, co stanowi istotę wojny. Jeden z sierżantów przeszukał kieszenie zabitych, a kapitan rozstawił oddział na pozycjach obronnych.

- Nic szczególnego - zameldował dowódcy sierżant.

- Chodźmy sprawdzić szopę.

Chavez upewnił się, czy gdzieś nie ma jeszcze strażników, których mogli przeoczyć.

Ramirez znalazł cztery beczki z paliwem i ręczną pompę. Na jednej z beczek leżał

karton papierosów, co spowodowało cięty komentarz kapitana. Na kilku z grubsza ciosanych półkach stały konserwy i dwie rolki papieru toaletowego. Ani śladu książek, dokumentów ani map; znaleźli jeszcze tylko niemal doszczętnie zniszczoną talię kart.

- Jaką pułapkę mam założyć? - spytał sierżant odpowiedzialny za sprawy wywiadu.

Służył niegdyś w Zielonych Beretach i był ekspertem od min-pułapek.

- Potrójną.

- Nie ma sprawy.

Poszło mu bardzo łatwo. Wykopał rękami płytki dołek w klepisku, umacniając boki szczapami drewna. Dołek w sam raz pomieścił półkilogramowy kawał plastycznego materiału wybuchowego C-4 - cały świat go używał. Następnie włożył dwa detonatory elektryczne i zapalnik naciskowy, jakich używa się w minach ziemnych. Poprowadził

po klepisku przewody do zapalników przy drzwiach i oknie, po czym zamontował je, tak żeby były niewidoczne z zewnątrz. Sierżant przykrył druty kilkucentymetrową warstwą ziemi.

Usatysfakcjonowany rezultatem, przetoczył beczkę ku dołkowi i delikatnie postawił na zapalniku naciskowym. Z chwilą, gdy ktoś otworzy drzwi lub okno, C-4 eksploduje bezpośrednio pod beczką, zawierającą dwieście pięćdziesiąt litrów benzyny lotniczej, z nietrudnym do przewidzenia skutkiem. Mało tego, gdyby ktoś okazał się na tyle sprytny, by rozbroić zapalniki przy drzwiach i oknie, doszedłby zapewne po przewodach do beczek z paliwem i próbował wydostać materiał

wybuchowy na własny użytek... i tak oto nasz cwaniaczek rozstałby się ze swoją bandą na zawsze. Zabić głupiego wroga to żadna sztuka. Mądrego zaś, to już nie lada wirtuozeria.

- Gotowe, panie kapitanie. Tylko żeby raczej nikt nie podchodził już do szopy -

ostrzegł swojego dowódcę sierżant.

- Jasne.

Wieść rozeszła się lotem błyskawicy. Dwóch ludzi z oddziału wyciągnęło ciała na środek lądowiska, po czym wszyscy spokojnie oczekiwali śmigłowca. Ramirez ponownie rozstawił ludzi, by zabezpieczyć teren, ale najważniejszym obowiązkiem każdego było teraz sprawdzić sprzęt, czy aby nic przypadkiem nie zostało.

PJ sam przeprowadził tankowanie. Pomogła dobra widzialność, ale sprzyjałaby równie dobrze wypatrującym ich z powierzchni wrogom. Ze zbiornika pod skrzydłem MC-130E wysunął się lejkowaty podajnik umieszczony na końcu zbrojonego przewodu paliwowego, w którego sam środek wprowadził wysunięte urządzenie do tankowania w powietrzu Pave Lowa. Wprawdzie często wyrażano opinię, że tankowanie helikoptera tym sposobem to szaleńczo nienaturalny akt - odbiornik paliwa łączył się bowiem z podajnikiem cztery metry pod tarczą wirnika, a kontakt łopat z węzłem oznaczał pewną śmierć załogi helikoptera - to załogi Pave Lowa odpowiadały niezmiennie, że akt ten jest, owszem, jak najbardziej naturalny i wszedł im w krew po długiej praktyce. Nie zmieniło to faktu, że pułkownik Johns i kapitan Willis byli nadzwyczaj skupieni podczas całej operacji i do końca nie wymówili jednej zbędnej sylaby.

- Odłączam się, odłączam się - zameldował PJ.

Zwiększył skok, aby odsunąć tarczę wirnika od przewodu paliwowego samolotu-cysterny. Po meldunku MC-130E wzniósł się na pułap ekonomiczny przelotu, na którym miał krążyć, dopóki helikopter nie wróci po następną porcję paliwa. Pave Low III zawrócił ku wybrzeżu, następnie poleciał w głąb lądu nad bezludnym terenem.

- Aha - szepnął do siebie Chavez, usłyszawszy hałas.

Z oddali dochodził ciężki warkot silnika V-8, który domagał się naprawy i nowego tłumika. Hałas wzrastał się z sekundy na sekundę.

- Szóstka, tu Czoło, odbiór - zgłosił niezwłocznie.

- Tu Szóstka, mów - odpowiedział kapitan Ramirez.

- Nadjeżdża towarzystwo. Słysząc ciężarówkę, panie kapitanie.

- Nóż, tu Szóstka - zareagował natychmiast Ramirez. - Wycofać się na stronę zachodnią i zająć pozycje ogniowe. Czoło, wycofaj się szybko!

- Już lecę.

Chavez opuścił swój posterunek na bitej drodze i pobiegł obok szopy, omijając ją szerokim łukiem, przez pas startowy, by wreszcie natknąć się na Ramireza i Guerrę, którzy wlekli zabitych ku

najdalszej linii drzew. Pomógł kapitanowi przenieść ciężar do ukrycia, po czym wrócił na pomoc sierżantowi. Skryli się za drzewami z dwudziestosekundowym zapasem.

Ciężarówka jechała na pełnych światłach. Snopy reflektorów wiły się to w lewo, to w prawo, zgodnie z zakrętami traktu, prześwitując przez zarośla, aż wreszcie ukazały się nieosłonięte szopy. Gdy się zatrzymała, można było niemal dostrzec zaskoczenie, jeszcze zanim zgasł silnik

i pasażerowie wysiedli. Z chwilą, kiedy zgasły światła ciężarówki, Chavez włączył

gogle noktowizyjne. Tak jak poprzednio, było ich czterech, dwóch w szoferce i dwóch z tyłu. Akcją najwyraźniej dowodził kierowca. Rozejrzał się wokół z widoczną wściekłością. Po chwili coś krzyknął i wskazał na jednego z ludzi, który zeskoczył z platformy samochodu i podszedł prosto do szopy...

- Cholera! - Ramirez włączył radio. - Wszyscy padnij! - rozkazał niepotrzebnie.

...i pewnym ruchem otworzył drzwi.

Beczka z benzyną wystrzeliła w górę jak rakieta z wyrzutni. Przebiwszy się przez dach szopy, zostawiła za sobą stożek białych płomieni. Kula ognia z pozostałych beczek rozprzestrzeniła się na wszystkie strony. Przez chwilę widać było sylwetkę mężczyzny, który otworzył drzwi, jakby stał u wrót piekła, zanim pochłonęły go płomienie. Dwóch jego towarzyszy zniknęło w tej samej żółtobiałej ścianie ognia.

Trzeci stał na skraju pierwszego wybuchu i rzucił się do ucieczki, prosto na ukrytych żołnierzy, lecz w pół drogi spłynęła nań benzyna z wyrzuconej w powietrze beczki, zmieniając go w mgnieniu oka w pochodnię, żywą jeszcze przez dziesięć kroków.

Płomienie zatoczyły krąg o średnicy czterdziestu metrów, ze środkiem w postaci czterech mężczyzn, których przeraźliwe krzyki odcinały się od niskiego pomruku ognia. Następnym akcentem pirotechnicznym był wybuch zbiornika paliwa ciężarówki.

Paliło się już około tysiąca litrów benzyny, tworząc potężny grzyb dymu, podświetlony płomieniami. Nie minęła minuta, gdy rozległa się kanonada eksplodującej w karabinach amunicji, jakby ktoś powrzucał do huczącego ognia petardy. Tylko popołudniowa ulewa zapobiegła rozprzestrzenieniu się pożaru na las.

Chavez przypomniał sobie, że leży obok sierżanta pirotechnika.

- Pułapka na medal.

- Szkoda, że skubańcy nie poczekali trochę. - Krzyki już ucichły.

- Prawda.

- Kolejno odlicz - rozkazał Ramirez przez radio. Sprawdzili się. Nikt nie został ranny.

Ogień szybko przygasł. Lotnicza benzyna rozlała się cienką warstwą na dużej powierzchni i spalała się błyskawicznie. Po trzech minutach zostało już tylko rozległe pogorzelisko ograniczone kręgiem płonącej trawy i krzewów. Ciężarówka zmieniła się w zwęglony szkielet z oświetloną ładunkiem pochodni startowych platformą. Będą się jeszcze paliły przez dłuższy czas.

Co to może być, do cholery? - zastanawiał się na głos kapitan Willis na lewym siedzeniu helikoptera. Wzięli właśnie na pokład pierwszą drużynę i gdy wznosili się z powrotem na pułap ekonomiczny, luna na horyzoncie wyglądała jak wschód słońca przez urządzenia obserwacyjne na podczerwień.

- Może rozbił się samolot... dokładnie na trasie naszego ostatniego kursu - dorzucił po namyśle pułkownik Johns.

- Wspaniale.

- Buck, przygotuj się na możliwą obecność wroga w Punkcie Cztery-

- Dobrze, panie pułkowniku - odparł lakonicznie sierżant Zimmer.

Zadowolony tym ostrzeżeniem, pułkownik Johns kontynuował misję. Wkrótce i tak miał dowiedzieć się, o co chodzi. Nie wszystko naraz.

Pół godziny po wybuchu ogień przygasł już wystarczająco, by sierżant pirotechnik włożył rękawice i próbował wydobyć ze zgliszcz urządzenia detonujące. Udało mu się znaleźć część jednego, lecz pomysł, choć niegłupi, nie rokował nadziei. Ciała pozostawiono na miejscu i nie próbowano ich nawet przeszukać. Wprawdzie dałoby się może znaleźć dowody tożsamości - skórzane portfele wcale nie są łatwo palne -

Jednak ich brak wzbudziłby podejrzenia. Zwłoki strażników ponownie zaciągnięto na środek północnej części pasa, gdzie i tak miał wylądować helikopter. Ramirez rozstawił ludzi na pozycje, licząc się z tym, że ktoś mógł zauważyć ogień i dalej przekazać wiadomość. Trapił go także kurierski samolot przemytników, którego należało się spodziewać tej nocy. Z dotychczasowego doświadczenia wynikało, że powinien nadlecieć za przeszło dwie godziny - ale przecież wysłędzili dopiero jeden pełny cykl i trudno na tej podstawie wyciągać daleko idące wnioski.

Co robić, jak przyleci samolot? - zachodził w głowę Ramirez. Już wcześniej rozważał

taką możliwość, ale dopiero teraz groźba stała się nader realna.

Nie wolno było dopuścić, aby załoga tego samolotu przekazała komukolwiek meldunek o obecności dużego helikoptera. A z drugiej strony, dziury po kulach w samolocie to równie przejrzysta informacja dla wroga o tym, co się wydarzyło.

Skoro tak, pytał sam siebie Ramirez, to po jaką cholere kazali nam zabić tych zasrańców i ewakuować się właśnie stąd, a nie z wcześniej wyznaczonego punktu?

Co więc robić, kiedy przyleci samolot?

Nie miał gotowej odpowiedzi. Bez świateł oznaczających pas nie mógł wylądować.

Poza tym jeden z nowo przybyłych przywiózł małe radio VHF. Przemysłowcy sprytnie zabezpieczyli się, powiadamiając sygnalizacją radiową załogę samolotu, czy lotnisko jest czyste. Co więc, jeśli samolot będzie tylko krążył? A na to się zapowiadało. Czy helikopter mógł go zestrzelić? A gdyby spróbował i chybił? Gdyby... gdyby...

Przed zrzutem Ramirez sądził, że cała misja jest skrupulatnie zaplanowana, każda okoliczność uwzględniona - i rzeczywiście tak było, a tu naraz wyciągają ich w połowie ustalonego pobytu i cały plan szlag trafił. Co za półgłówkę podjął taką decyzję?

Co się dzieje, do diabła? - niepokoił się kapitan. Żołnierze oczekiwali od niego informacji, wiedzy, przywództwa i pewności. Musiał udawać, że wszystko jest w porządku, że kontroluje sytuację. Było to oczywiste kłamstwo. Przyzwyczał się, że poruszają nim jak figurą szachową. Tak w teorii przedstawiała się rola młodszego oficera - ale tu wszystko działo się naprawdę. Najlepszy dowód to sześciu zabitych.

- Nóż, tu Sokół, odbiór - zaskrzeczało radio.

- Sokół, tu Nóż. Strefa lądowania na północnym krańcu „Reno”. Gotowi do ewakuacji, odbiór.

- Bravo X-Ray, odbiór.

Pułkownik Johns pytał o możliwe kłopoty. Odpowiedź „Juliet Zulu” oznaczała, że są w rękach wroga i ewakuacja jest niemożliwa; „Charlie Foxtrot”, że trwa walka, ale można ich ewakuować; „Lima Whiskey” to hasło, że wszystko w porządku.

- „Lima Whiskey”, odbiór.

- Nóż, powtórz, odbiór.

- „Lima Whiskey”, odbiór.

- Dobra, zrozumiałem. Jesteśmy o trzy minuty od was.

- Broń w pogotowiu - rozkazał załodze PJ.

Sierżant Zimmer zostawił przyrządy i zajął pozycję strzelecką z prawej strony. Włączył

sześcioletowy karabin maszynowy Minigun. Wiązka sześciu luf zaczęła się obracać, gotowa do wchłonięcia naboju z podajnika po lewej ręce Zimmera.

- Prawa gotowa - zameldował przez interkom.

- Lewa gotowa - zgłosił się po drugiej stronie Bean.

Obaj strzelcy przez gogle noktowizyjne wypatrywali pośród drzew śladów wrogiej działalności.

- Mam światło stroboskopowe na dziesiątej godzinie - powiedział Johnsowi Willis.

- Widzę. Chryste Panie, co tu się stało?

Gdy Sikorsky zwolnił, widać było wyraźnie cztery ciała koło czegoś, co kiedyś było drewnianą szopą... Stała też obok ciężarówka. Jednak oddział Nóż czekał na umówionym miejscu. Mieli też dwa ciała.

- Nie widzę przeszkód, Buck.

- Dobra, PJ.

Zimmer zostawił miniguna i przeszedł do tyłu. Sierżant Bean w razie czego mógł

przeskoczyć do przeciwległego stanowiska, a Zimmer miał za zadanie przeliczyć ludzi na ostatnim punkcie ewakuacyjnym. Robił, co mógł, żeby nie nadebrać po drodze na żołnierzy, ale pasażerowie nie mieli mu za złe, gdy jego ciężki but nastąpił na kilku z nich. Żołnierze potrafią być wyrozumiali dla tych, co ewakuują ich z terytorium wroga.

Chavez zgasił lampę stroboskopową dopiero po wylądowaniu helikoptera, po czym pobiegł dołączyć do reszty drużyny. Zastał kapitana Ramireza odliczającego wchodzących na pokład żołnierzy. Ding poczekał na swoją kolej, aż wreszcie ręka kapitana klepnęła go po ramieniu.

- Dziesięć! - usłyszał, przeskakując kilka ciał na rampie. Jeszcze raz dosłyszał swój numer wywołany przez potężnego sierżanta Sił Powietrznych, a po chwili: -

Jedenaście! Wchodzić-wchodzić-wchodzić! - gdy wdrapywał się na pokład kapitan.

Helikopter wzniósł się natychmiast. Chavez zwałił się mocno na stalowy pokład, gdzie chwycił go Vega. Obok niego przewrócił się też Ramirez, po czym wstał i poszedł za Zimmerem do przodu.

- Co się tu stało? - spytał PJ Ramireza minutę później.

Oficer piechoty szybko zaspokoił jego ciekawość. Pułkownik Johns trochę dodał gazu i trzymał się nisko, co i tak by uczynił. Kazał Zimmerowi zostać jeszcze dwie minuty na rampie i wypatrywać wrogiego samolotu, ale nic nie nadleciało. Buck przeszedł na przód, wyłączył elektryczne zasilanie broni i na powrót zajął się przyrządami. Po niespełna dziesięciu minutach mieli już „mokre stopy”, lecąc nad wodą i wypatrując samolotu-cysterny, by uzupełnić paliwo na lot powrotny do Panamy. Z tyłu żołnierze piechoty przypięli się pasami i niebawem zasnęli.

Ale nie Chavez z Vegą, którym przyszło siedzieć obok zwalonych razem na rampie sześciu nieboszczyków. Nawet dla zawodowych żołnierzy - z których jeden miał swój udział w zabiciu tych ludzi - widok ten był okropny. Ale nie aż tak przerażający jak wybuchy. Żaden z nich

przedtem nie znał widoku palących się żywcem ludzi i nawet jak na handlarzy narkotyków, doszli do zgodnego wniosku, taka śmierć była okrutna.

Lot stał się mniej wygodny, gdy Pave Low wszedł w strumień zaśmigłowy cysterny, ale trwało to krótko. Kilka minut po tankowaniu sierżant Bean - kurdupel, jak ochrzcił

go w duchu Chavez - przeszedł na tył, stąpając ostrożnie, by nie nadebrać na śpiących żołnierzy. Przypiął się pasem do zamka na podłodze i powiedział coś do hełmofonu.

Skinąwszy twierdząco głową, przeszedł na rampę. Bean gestem ręki poprosił Chaveza o pomoc. Ding chwycił mocno lotnika za pas i patrzył, jak tamten zrzuci nogą ciała z rampy. Wydało mu się to nazbyt bezduszne, ale zreflektował się, że handlarzom i tak już wszystko jedno. Nie spojrzął nawet do tyłu, na spadające do wody ciała, tylko ułożył się wreszcie do snu.

Sto pięćdziesiąt kilometrów za nimi dwusilnikowy prywatny samolot krążył nad miejscem, gdzie pas startowy - znany pilotom po prostu jako numer 6 - wciążznaczony był niezbyt regularnym okręgiem płomieni. Widzieli wykarczowany teren, ale samego pasa nie oświetlały prowizoryczne lampy, a bez takiej wzrokowej wskazówki próba lądowania byłaby czystym szaleństwem. Zawiedzeni, acz również odczuwając ulgę po tym, co spotkało liczne samoloty w ciągu ostatnich dwóch tygodni, zawrócili na swoje macierzyste lotnisko. Natychmiast po wylądowaniu złożyli meldunek przez telefon.

Cortez zaryzykował bezpośredni lot z Panamy do Medellin, choć za bilet zapłacił

nieużywaną kartą kredytową, aby nie można było pójść śladami jednego nazwiska.

Własnym samochodem pojechał do domu i natychmiast próbował się skontaktować z Escobedo, który jak na złość przebywał właśnie w swej górskiej hacjendzie. Felix nie miał siły jechać tak daleko o tak późnej porze po ciężkim dniu ani też nie zdecydował

się na rozmowę tak wielkiej wagi przez telefon komórkowy, mimo wszelkich zapewnień o niezawodnym bezpieczeństwie tych linii. Zmęczony, wściekły i zrezygnowany z tuzina powodów, nalał sobie mocnego drinka i położył się do łóżka.

Tyle wysiłku na marne, klął w ciemności. Już nigdy nie będzie mógł wykorzystać Moiry. Ani zadzwonić do niej, ani rozmawiać z nią, ani się z nią zobaczyć. A fakt, że popis, jakim ją uraczył ostatniej nocy, skończył się całkowitą klęską, spowodowaną obawami -

jakże uzasadnionymi! - o to, co zrobił jego szef, tylko dodał prawdziwej goryczy do siarczastych przekleństw.

Przed świtem pół tuzina ciężarówek zajechało na pół tuzina śródlądowych lotnisk. Dwie grupy ludzi zmarły piekielną śmiercią. Trzecia weszła do szopy i znalazła dokładnie to, czego się spodziewała, czyli nic. Pozostałe trzy zastały swoje lotniska nietknięte, ze strażnikami na miejscu, zadowolonymi i znudzonymi monotonią swych obowiązków.

Gdy dwie ciężarówki nie powróciły do bazy, pozostałe wyjechały ich szukać i smutna wiadomość

szybko przedostała się do Medellin. Corteza obudził telefon z poleceniem następnej podróży.

W Panamie wszyscy żołnierze piechoty jeszcze spali. Pozwolono im odpoczywać cały boży dzień i spać w klimatyzowanym komforcie - pod grubymi kocami - po gorących prysznicach i posiłkach, jeśli nawet niezbyt smacznym, to przynajmniej lepszym niż PGJ, którymi żywili się przez cały tydzień. Jednakże czterech oficerów obudzono wcześniej i poproszono na nową odprawę. Dowiedzieli się tam, że operacja „Rewia na Wodzie” weszła w bardzo poważną fazę. Dowiedzieli się też dlaczego, a informacja o przyczynie nowych rozkazów była dla nich tyleż budująca, co kłopotliwa.

Nowy S-3, oficer operacyjny Trzeciego Batalionu Siedemnastego Pułku Piechoty, stanowiącego część Dywizji Piechoty Lekkiej, oglądał swoją kancelarię, podczas gdy jego żona szamotała się z ekipą przeprowadzkową. Na biurku zastał kevlarowy hełm Mark-2, zwany też frycem ze względu na podobieństwo do nakrycia głowy starego niemieckiego Wehrmachtu. W siódmej dywizji pokrycie z tkaniny maskującej dodatkowo przyozdabiały związane w węzłki paski tego samego materiału, z którego uszyte mieli mundury polowe. Większość żon nazywała ten hełm kapuścianą głową, bo tak jak kapusta nie miał jednolitego zarysu i dzięki temu lepiej maskował właściciela.

Dowódca wraz z szefem batalionu wyszli na odprawę. Nowy S-3 postanowił spotkać się z S-1, czyli szefem kadr. Okazało się, że razem służyli w Niemczech przed pięciu laty, mieli więc okazję do pogadania przy kawie o swoich dalszych losach.

- Jak tam było w Panamie?

- Gorąco i beznadziejnie, a chyba nie muszę ci opowiadać o politycznych smaczkach.

Ciekawostka: przed samym odjazdem natknąłem się na jednego z twoich ninja.

- Tak? Ciekawe którego?

- Chavez. Chyba sierżanta sztabowego. Skurczybyk wykończył mnie na treningu.

- Pamiętam go. To był ten wzorowy, uu... jak mu tam... Sierżancie Bascomb?

- Słucham, panie majorze? - W drzwiach gabinetu ukazała się głowa.

- Sierżant sztabowy Chavez... u kogo on był?

- Kompania Bravo, w plutonie porucznika Jacksona... chyba druga drużyna. Tak, zastąpił go później kapral Ozkanian. Chaveza oddelegowano do Fort Benning, jest teraz instruktorem szkolenia podstawowego - przypomniał sobie sierżant Bascomb.

- Jesteś pewien? - spytał nowy S-3.

- Tak, panie majorze. W papierach zrobiło się zamieszanie. On był jednym z tych, których trzeba było

szybciutko wypisać. Pamięta pan?

- A, tak. Mieliśmy wtedy bajzel do kwadratu, co?

- Tak jest, panie majorze - przyznał sierżant.

- Po jakiego diabła robił trening kondycyjny w Strefie Kanału? -zastanawiał się oficer operacyjny.

- Porucznik Jackson może coś wiedzieć - zasugerował Bascomb.

- Jutro go poznasz - powiedział S-1 nowemu S-3.

- Jest coś wart?

- Jak na żółtodzioba prosto ze szkółki West Point, nieźle sobie poczyną. Dobra rodzina. Syn pastora, braciszek lata na myśliwcach w marynarce... chyba dowódca dywizjonu. Zderzyłem się z nim kiedyś w Monterey. A zresztą Tim ma takiego dowódcę plutonu, co mu da niezłą szkołę.

- Nie ma co, dobry był sierżant z tego Chaveza. Nie lubię, jak się ze mną bawią w chowanego! - S-3 podrapał się po brodawce na twarzy. -Kto go tam zresztą wie.

- Mamy sporo dobrych ludzi, Ed. Spodoba ci się u nas. Może pójdziemy na lunch?

- Z przyjemnością. O której zaczynamy rano ćwiczenia?

- O szóstej piętnaście. Szef lubi biegi.

Nowy S-3 mruknął zadowolony, podchodząc do drzwi. Nareszcie z powrotem prawdziwe wojsko.

- Wygląda na to, że nasi przyjaciele są trochę wkurzeni - zauważył admirał Cutter.

Trzymał w ręku teleks przeznaczony dla obiegu informacyjnego oznaczonego kryptonimem „Kapar”. - Któż to wpadł na ten genialny pomysł, żeby podłączyć się do ich systemu łączności?

- Pan Clark - odpowiedział ZDO.

- Ten sam, który...

- Tak.

- Chciałbym dowiedzieć się o nim czegoś bliższego.

- Był SEAL marynarki, dziewiętnaście miesięcy służył w Południowo-Wschodniej Azji w jednej z tych formacji specjalnych, które oficjalnie nigdy nie istniały. Kilkakrotnie ranny - wyjaśniał Ritter. - Zrezygnował ze służby w dwudziestym ósmym roku życia jako starszy bosmanmat. Był jednym z najlepszych, jakich kiedykolwiek mieli. To właśnie on zdobył się na odwagę i uratował syna Dutcha

Maxwella.

Cutterowi zaświeciły się oczy.

- Znałem Dutcha Maxwella, służyłem u niego przez pewien czas jeszcze jako młodszy oficer. A więc dzięki temu Clarkowi Sonny uratował dupę? Nigdy nie słyszałem całej historii.

- Admirał Maxwell dał mu z miejsca awans; był wówczas dowódcą Floty Pacyfiku.

Wracając do rzeczy, facet skończył służbę, ożenił się i zatrudnił w cywilnym przedsiębiorstwie prac podwodnych przy robotach inżynieryjnych; zna się jak mało kto na materiałach wybuchowych. Ale żona zginęła w wypadku samochodowym, gdzieś w Missisipi. Odtąd prześladowała go zła passa. Poznał nową dziewczynę, ale wkrótce została porwana i zamordowana przez miejscowy gang handlarzy narkotyków -

najprawdopodobniej pracowała dla nich, zanim się poznali. Nasz eks-SEAL postanowił

ścigać bandytów na własną rękę. Szło mu całkiem nieźle, ale niebawem namierzyła go policja. Tymczasem admirał Maxwell awansował już na OP-03. Wieść dotarła i do niego. Znał Jamesa Greera z młodych lat i sprawy potoczyły się już szybciotko.

Zadecydowaliśmy, że potrzebny jest nam ktoś z umiejętnościami Clarka. Toteż Agencja przyłożyła się do zainscenizowania jego śmierci w wypadku na morzu.

Zmieniłmy mu nazwisko, dostał nowy życiorys - wszystko co trzeba, no i teraz pracuje dla nas.

- Jak...

- Nic trudnego. Jego teczka służbowa po prostu zniknęła. Dokładnie to samo zrobiliśmy z żołnierzami „Rewii”. Odciski palców w kartotece FBI zostały zmienione -

działo się to za czasów Hoovera i mieliśmy swoje sposoby. Facet umarł i zmartwychwstał jako John Clark.

- Co robił od tego czasu? - spytał Cutter, na którym cała konspiracyjna otoczka sprawy zrobiła nieźle wrażenie.

- Pracuje głównie jako instruktor w Farmie. Czasami mamy dla niego zadanie wymagające jego specjalnych kwalifikacji - wyjaśnił Ritter. - To właśnie on między innymi przechwycił z plaży żonę i córkę Gierasimowa.

- O! I to wszystko zaczęło się od narkotyków?

- Tak. W sercu skrywa głęboki uraz do handlarzy. Nienawidzi skurczysynów. To jedyna rzecz, do której nie potrafi zachować profesjonalnego dystansu.

- Niepotra...

- Nie o to mi chodzi. Ta misja sprawi mu satysfakcję. Urazy nie wpłyną na jakość roboty, która tylko sprawi mu przyjemność. Niech mnie pan źle nie zrozumie. Clark jest doświadczonym agentem terenowym. Ma instynkt i głowę na karku. Umie planować i konsekwentnie realizować plan.

- A jaki ma plan?

- Spodoba się panu. - Ritter otworzył aktówkę i wyłożył papiery. Cutter od razu spostrzegł, że większość z nich to prostopadłe zdjęcia satelitarne.

- Porucznik Jackson?

- Dzień dobry, panie majorze - przywitał Tim nowego oficera operacyjnego batalionu, zaszalutowawszy z regulaminową perfekcją. S-3 robił obchód batalionu, przedstawiając się oficerom.

- Wiele dobrego o panu słyszałem, poruczniku Jackson. - Takie komplementy są zawsze miłe dla ucha świeżo upieczonego podporucznika. - Miałem też okazję poznać jednego z waszych dowódców drużyn.

- Którego, panie majorze?

- Chavez, chyba tak się nazywa.

- To pan major prosto z Fort Benning?

- Nie, byłem instruktorem szkoły walki w dżungli w Panamie.

- A co Chavez tam robił? - spytał zdumiony Jackson.

- Zabijał mnie - odparł major z uśmiechem. - Czy wszyscy wasi żołnierze są tacy dobrzy?

- Chavez był u mnie najlepszym dowódcą drużyny. Dziwna sprawa, miał przecież być oddelegowany jako sierżant do szkolenia rekrutów.

- W armii nic nie wiadomo. Jutro jadę z kompanią Bravo na ćwiczenia do Hunter-Liggett. Pomyślałem, że lepiej was uprzedzić.

- Cieszę się, że pan major będzie nam towarzyszył - powiedział układnie Jackson.

Oczywiście przesadził nieco. Wciąż uczył się sztuki kierowania ludźmi i krępowały go inspekcje, aczkolwiek zdawał sobie sprawę, że musi się do nich przyzwyczaić. Zdumiały go także wieści o Chavezie, postanowił więc dowiedzieć się czegoś bliższego od sierżanta Mitchella. Bądź co bądź Ding wciąż był

jednym z jego ludzi.

- Clark. - Tak miał w zwyczaju odpowiadać na telefony. Tym razem zadzwonił aparat na służbowej linii.

- Ruszamy. Proszę się tu stawić jutro o dziesiątej.
- Dobrze. - Clark odłożył słuchawkę.
- Kiedy? - spytała Sandy.
- Jutro.
- Jak długo?
- Dwa tygodnie. Mniej niż miesiąc. - Prawdopodobnie, ale tego już nie wypowiedział na głos.
- Czy to...
- Niebezpieczne? - John Clark uśmiechnął się do żony. - Kochanie, jeżeli wszystko zrobię tak jak trzeba, to nie, nie jest to niebezpieczne.
- Jak to jest - zastanawiała się Sandra Burns Clark - że to ja siwieję, a nie ty?
- Dlatego, że ja nie mogę iść do fryzjera i ufarbować się, a ty możesz.
- Coś z tymi handlarzami narkotyków, tak?
- Wiesz przecież, że nie wolno mi o tym mówić. Tylko byś niepotrzebnie się martwiła, a naprawdę nie ma się czego obawiać - kłamał, co czynił zresztą dość często.

Wiedziała o tym, oczywiście, i przeważnie chciała być okłamywana. Ale nie tym razem.

Clark powrócił do oglądania telewizji. Uśmiechał się w duchu. Już od długich lat nie ścigał handlarzy narkotyków i nigdy dotąd nie polował na tak grube ryby. W tamtych czasach nie wiedział jeszcze jak, nie miał dostępu do właściwych informacji. Teraz dysponował wszystkim, czego potrzebował do tej roboty. Łącznie z akceptacją prezydenta. Praca dla Agencji miała swoje zalety.

Cortez lustrował śródlądowe lotnisko - a raczej to, co po nim zostało - z satysfakcją zmieszaną z gniewem. Ani policja, ani armia jeszcze się tu nie pojawiły, choć prędzej czy później muszą przyjechać. Zorientował się, że ktokolwiek tu był, zrobił kawał

dobrej, profesjonalnej roboty.

Co mam o tym sądzić? - zadał sobie pytanie. Czyżby Amerykanie przysłali tu oddział

Zielonych Beretów? Przybył już na ostatnie z pięciu lotnisk, które miał dziś sprawdzić, obwożony helikopterem. Nie zdobył wprawdzie wyszkolenia detektywistycznego, posiadał jednak dogłębną wiedzę na temat min-pułapek i miał pojęcie, czego szukać: dokładnie tego, co sam by zrobił. Po dwóch strażnikach tutaj i na pozostałych lotniskach nie było śladu. To z pewnością oznaczało, że nie

żyją, choć przecież wiedział jedynie, że ich po prostu nie ma. Być może miał

uwierzyć, że to oni sami zaminowali szopę, ale to wszakże prości wieśniacy na żołdzie kartelu, niewyszkoleni zbóje, którzy najprawdopodobniej nie patrolowali nawet terenu, żeby sprawdzić...

- Za mną! - Odszedł od helikoptera, a w ślad za nim jeden z najemników do pomocy, były oficer policji ze szczątkową przynajmniej inteligencją, wystarczającą bodaj do wykonywania prostych rozkazów.

Gdybym chciał dłużej obserwować taki teren... pomyślałbym o ukryciu, pomyślałbym też o kierunku wiatru i pomyślałbym o drodze szybkiej ucieczki...

Zaletą, a jednocześnie wadą wojskowych jest przewidywalność ich zachowań.

Zadbaliby o punkt obserwacyjny z widokiem na cały pas, a także na szopę z paliwem.

Warunki te wedle kalkulacji Corteza spełniały dwa rogi pasa; skierował kroki ku północno-zachodniemu. Pół godziny buszował bez słowa w krzakach, a za nim krok w krok zdumiony asystent.

- Byli w tym miejscu - powiedział do siebie Felix, zatrzymawszy się na wygładzonej ziemi tuż za niewielkim wzniesieniem. Tu leżeli ludzie. Dostrzegł też ślady po podstawie karabinu maszynowego.

Nie potrafił powiedzieć, jak długo obserwowali pas startowy, ale podejrzewał, że tu właśnie kryje się wyjaśnienie tajemniczych zniknięć samolotów. Amerykanie? Jeśli tak, dla jakiej agencji pracowali? CIA? DEA? Może jakaś wojskowa grupa do operacji specjalnych?

I dlaczego ich wycofali?

I dlaczego zrobili to w tak ostentacyjny sposób?

A jeśli strażnicy żyją? Jeśli Amerykanie ich przekupili?

Cortez stanął i strzepnął błoto ze spodni. Wysyłali sygnał ostrzegawczy. Jasne. Po zabójstwie dyrektora FBI - Felix nie miał nawet czasu porozmawiać z eljefe o tym kretyńskim wybryku - wysyłali ostrzeżenie, żeby takie rzeczy się już nie powtórzyły.

Już samo to, że Amerykanie zrobili cokolwiek, było zdumiewające. Bądź co bądź

porwania czy zabójstwa obywateli amerykańskich należały do najbezpieczniejszych wyskoków międzynarodowych terrorystów. CIA pozwoliła, by jednego z szefów rezydentury zamęczono na śmierć w Libanie - i nie kiwnęła nawet palcem. A ilu marines zginęło od terrorystycznych zamachów? Amerykanie siedzieli cicho. Owszem, raz na

jakiś czas posyłali sygnały ostrzegawcze. Głupcy. Ostrzegali północnych Wietnamczyków przez prawie dziesięć lat, przegrali i dalej nie poszli po rozum do głowy. Więc teraz, żeby już nie siedzieć beczynn timer, zrobili coś jeszcze mniej skutecznego, niż gdyby nic nie zrobili. Żeby mieć taką siłę i robić z niej tak nędzny użytek! - pomyślał Cortez. Rosjanie znają się na rzeczy. Gdy w Libanie

porwano im człowieka, agenci z I Zarządu KGB zdjęli z ulicy własnych zakładników i zwrócili ich - według jednej wersji bez głów, według innej bez bardziej intymnych części ciała.

Skutek był natychmiastowy: porwanych Rosjan uwolniono z czymś na kształt przeprosin. Mimo swego nieokrzesania, Rosjanie wiedzieli, jakie są reguły gry. Grali schematycznie, stosując się do wszystkich klasycznych zasad tajnej działalności, toteż ich wrogowie wiedzieli, jakich granic przekroczyć nie wolno. Byli poważni i traktowano ich poważnie.

W przeciwieństwie do Amerykanów. Choć Cortez wielokrotnie ostrzegał przed nimi swojego chlebodawcę, sam był przekonany, że nie ośmielą się odpowiedzieć nawet na tak zuchwały wybryk jak zabójstwo wysokich dostojników państwowych.

A szkoda, pomyślał Cortez, bo mógłby to obrócić na własną korzyść.

- Dobry wieczór, szefie - powiedział Ryan, siadając przy chorym.

- Cześć, Jack. - Admirał Greer uśmiechnął się z wysiłkiem. - Jak ci się podoba nowa praca?

- Cóż, dbam, żeby pan wrócił na wygrzany fotel.

- To już twój fotel, synu - poprawił go ZDW. - Jeśli nawet stąd wyjdę i tak już czas na emeryturę.

Jackowi nie podobał się sposób, w jaki wymówił słowo jeśli.

- Chyba jeszcze nie jestem gotowy, panie admirale.

- Nikt nie jest nigdy gotowy. Do diabła, kiedy jeszcze byłem oficerem marynarki, ledwie nauczyłem się fachu, a trzeba było odejść. Tak już w życiu bywa, Jack.

Ryan zastanowił się nad tymi słowami, taksując szpitalny pokój. Admirał Greer był

podłączony do kroplówki. Niebiesko-zielone urządzenie, podobne do usztywniającej szyny, utrzymywało igły w ramieniu, ale Jack widział miejsca wcześniejszych nakłuć po kroplówkach, które pozostawiły brzydkie sińce. To nigdy dobrze nie wróżyło. Przy butelce z kroplówką wisiała mniejsza z D5 W. Było to jego lekarstwo, chemoterapia.

Ekscentryczna nazwa, jak na truciznę, bo przecież to nic innego tylko trucizna, biocyd, który miał zabijać raka nieco szybciej niż pacjenta. Nie miał pojęcia, co to za substancja, jakiś akronim oznaczający związek wyprodukowany raczej w Narodowym Instytucie Zdrowia niż w Wojskowym Centrum Badań nad Bronią Chemiczną. A może, pomyślał Jack, współpracowali ze sobą przy takich mieszankach. W każdym razie Greer sprawiał wrażenie ofiary jakiegoś okrutnego, złowrogiego eksperymentu.

Ale to nieprawda. Grono najlepszych specjalistów czyniło wszystko, co w ich mocy, by utrzymać go

przy życiu. Daremnie. Ryan nie widział dotąd swego szefa w tak marnej kondycji. Zdawało mu się, że z każdą wizytą - przynajmniej trzy razy w tygodniu - Greer traci na wadze. Oczy płonęły mu odpierającą ataki śmierci energią, lecz światłem na końcu tego tunelu bóleści nie było ozdrowienie. Admirał wiedział o tym tak dobrze jak Jack. Ryan znał tylko jeden sposób na uśmierzenie bólu szefa. I tak też postąpił. Otworzył teczkę i wyjął dokumenty.

- Pomyślałem, że zechce pan na to spojrzeć - Ryan podał admirałowi papiery.

Omali nie zaplątały się w przewodach kroplówki, co Greer skwitował utyskiwaniem na plastikowe spaghetti.

- Jutro odlatujesz do Belgii, tak?

- Tak, panie admirale.

- Pozdrów ode mnie Rudiego i Franza z BND. I uważaj na miejscowe piwo.

Ryan wybuchnął śmiechem.

- Tak jest, panie admirale. Greer przejrzał pierwszą teczkę.

- Węgrzy nie dają za wygraną, jak widzę.

- Doszło do nich słówko, żeby się trochę pohamowali, ale sam problem przez to nie zniknie. Sądzę, że należy ostudzić ich zapędy z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych stron. Nasz przyjaciel Gierasimow poradził nam, jak mamy dojść do kilku odpowiednich ludzi.

Greer ledwie powstrzymał śmiech.

- To mi się podoba. Ciekaw jestem, jak były dyrektor KGB przystosowuje się do życia w Ameryce.

- Gorzej niż jego córka. Okazało się, że od dawna marzy o operacji plastycznej nosa.

No i marzenie się spełniło. - Jack uśmiechnął się. - Kiedy widziałem ją ostatnim razem, pracowała nad swoją opalenizną. Jesienią wraca na studia. Żona trochę się niecierpliwi, a sam Gierasimow dalej z nami współpracuje. Nie mamy jeszcze, niestety, pomysłu, co z nim zrobić, kiedy już będzie po wszystkim.

- Powiedz Arthurowi, żeby pokazał mu moją starą rezydencję w Maine. Klimat mu się spodoba, a domu łatwo upilnować.

- Oczywiście przekażę.

- Jak ci się podoba dostęp do wszystkich spraw operacji? - spytał

James Greer.

- Cóż, te rzeczy, z którymi zdążyłem się zapoznać, wyglądają ciekawie. Ale pozostaje kłopot z ograniczonym obiegiem informacji.

- Kto to powiedział? - spytał zaskoczony ZDW.

- Sędzia to powiedział - odparł Jack. - Mają na tapecie parę spraw, do których nie bardzo chcą mnie dopuścić.

- Czyżby? - Greer zamilkł na chwilę. - Jack, jeśli nikt ci o tym nie powiedział, to ja ci mówię, że dyrektor, zastępca dyrektora - jeszcze nie wypełnili tego wakatu, prawda? -

oraz szefowie wydziałów mają dostęp do wszystkiego. Jesteś teraz szefem wydziału.

Nie ma nic, o czym nie powinieneś wiedzieć. Musisz wiedzieć. Przecież odpowiadasz przed Kongresem.

Ryan machnął na to ręką. Nie było o co się bić.

- Może sędzia inaczej się na to zapatruje i... ZDW próbował usiąść na łóżku.

- Słuchaj, synu. To, co teraz powiedziałeś, to bzdury! Musisz o wszystkim wiedzieć i przekaż Arthurowi, że ja tak mówię. Pierdoły o ograniczonych obiegach kończą się przed drzwiami mojego gabinetu.

- Dobrze, panie admirale. Dopilnuję tego.

Ryan nie chciał denerwować pryncypała. Wszakże był na razie tylko p.o. szefa wydziału, a poza tym przyzwyczał się do braku dostępu do spraw operacyjnych, które przez ostatnich sześć lat bez żalu zostawiał innym. Jack nie czuł się gotów do zadzierania z DG o coś takiego. Podniesie natomiast głos w sprawie swojej odpowiedzialności za wydział wywiadu w kontaktach z Kongresem.

- Mówię poważnie, Jack.

- Tak, panie admirale. - Ryan wskazał następną teczkę. Tę walkę odłożył do powrotu z Europy. - Rozwój wypadków w Afryce Południowej zasługuje na szczególne zainteresowanie i chciałbym zasięgnąć pańskiej opinii...

Rozdział 15

DOSTAWCY

Clark wysiadł z samolotu linii United Airlines w San Diego i wynajętym samochodem pojechał do pobliskiej bazy marynarki wojennej.

Podróż nie trwała długo. Jak zwykle, na widok potężnych, szarobłękitnych kadłubów ogarnęła go nostalgia. Sam niegdyś służył w marynarce i choć był wówczas młody i głupi, wspominał z rozrzewnieniem te czasy, gdy wszystko wydawało się prostsze.

USS „Ranger” tętnił życiem. Clark zostawił samochód na parkingu podoficerów i poszedł na nabrzeże, omijając wszechobecne ciężarówki oraz dźwig, który nawet na chwilę nie przerywał pracy. Lotniskowiec przygotowywał się do wyjścia w morze za osiem godzin i jego wielotysięczna załoga uwijała się przy załadunku wszelkiego rodzaju sprzętu. Na pokładzie startowym nie stało nic prócz jednego starego myśliwca Phantom F-4 z usuniętymi silnikami, używanego do szkolenia nowych członków załogi pokładowej lotniskowca. Piloci samolotów stacjonowali w trzech różnych bazach lotniczych marynarki i mieli wystartować dopiero po wyjściu okrętu w morze.

Oszczędzało to im zamieszania, jakie zazwyczaj towarzyszyło wychodzeniu lotniskowca z portu.

Clark podszedł do trapu strzeżonego przez kaprała piechoty morskiej, który miał

zapisane jego nazwisko na liście oficjalnych gości. Kapral odkreślił nazwisko na spisie i podniósł słuchawkę telefonu, żeby zgodnie z regulaminem zapowiedzieć wizytę. Nie oglądając się na niego, Clark wszedł na górę po schodkach prowadzących na pokład hangarowy lotniskowca, po czym rozejrzał się za wejściem na najwyższy poziom. Na lotniskowcu łatwo się zgubić, ale wystarczyło konsekwentnie iść na górę, żeby wreszcie dojść do pokładu startowego. Tak też uczynił, kierując się ku dziobowej windzie przy prawej burcie. Zastał tam oficera, którego kołnierz ozdobiony był

srebrnymi liśćmi komandora, a złota gwiazda nad kieszenią koszuli wskazywała na dowodzenie podczas działań na morzu. Clark szukał dowódcy dywizjonu średnich bombowców szturmowych Grumman A-6E Intruder.

- Pańskie nazwisko Jensen? - Komandor przyleciał wcześniej specjalnie na to spotkanie.

- Tak jest. Roy Jensen. Pan Carlson, tak? Clark uśmiechnął się.

- Mniej więcej się zgadza.

Gestem ręki kazał oficerowi iść za nim ku dziobowi. Na pokładzie startowym nic się jeszcze nie działo. Większość załadunku odbywała się na rufie. Szli na dziób czarną, szorstką nawierzchnią pokładu, niewiele różniącą się od asfaltu na prowincjonalnych drogach. Obaj musieli podnieść głos, żeby przekrzyczeć dochodzące z doku hałasy oraz wiejący z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę wiatr od morza. Kilka osób widziało, jak rozmawiają ze sobą, ale przy całej krzątaninie na pokładzie lotniskowca prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci na nich uwagę, było raczej nikłe. A podsłuchu na pokładzie startowym założyć nie sposób. Clark wręczył

kopertę, poczekał, aż Jensen przeczyta jej zawartość, po czym wziął ją z powrotem.

Dotarli już prawie na sam dziób i zatrzymali się pomiędzy torami katapult.

- To wszystko prawda?

- Owszem. Da sobie pan z tym radę?

Jensen zastanowił się, spoglądając na bazę marynarki.

- Jasne. Kto będzie na lądzie?

- Nie powinienem tego panu mówić... ale to będę ja.

- Pan wie, że manewry wcale nie mają odbywać się w tym akwenie...

- Plany zostały już zmienione.

- A co z bombami?

- Jutro zostaną załadowane na „Shastę”. Są pomalowane na niebiesko i lekkie jak na tego rodzaju...

- Wiem. Sam robiłem próbny zrzut nad China Lakę kilka tygodni temu.

- Pański dowódca grupy powietrznej otrzyma rozkazy za trzy dni. Nie będzie jednak wiedział, o co chodzi. Ani on, ani nikt inny. Wraz z bombami przyleci na pokład nasz konsultant. Będzie prowadzić całą misję od tej strony. Jemu też oddacie kasety z zarejestrowanym przebiegiem misji. Nikt inny nie może ich zobaczyć. Czy ma pan bombardiera-nawigatora, który umie trzymać język za zębami?

- Z takimi rozkazami? - spytał komandor Jensen. - Nie ma sprawy.

- Dobra. Nasz konsultant przyjedzie i poda szczegóły. Zgłosi się najpierw do dowódcy grupy powietrznej, ale poprosi o kontakt z panem. Dowódca będzie wiedział, że to cicha operacja. Jeśli pana o to spyta, proszę mu powiedzieć, że chodzi o ćwiczenie zrzutu, żeby przetestować nową broń. - Clark uniósł brew. - Prawda, że to tylko test?

- Ci ludzie, których mamy...

- Jacy ludzie? O tym nie musi pan wiedzieć. Nie chce pan wiedzieć - uciął Clark. - Jeśli coś pana trapi, niech pan lepiej powie mi od razu.

- Przecież mówiłem, że możemy to zrobić. Pytam tylko z ciekawości.

- Jest pan na tyle dorosły, żeby wiedzieć, że ciekawość bywa szkodliwa. - Clark powiedział to łagodnym tonem. Nie chciał obrazić komandora, ale jednocześnie musiał

jasno postawić sprawę.

- Zgoda.

USS „Ranger” wkrótce wypływał na długotrwałe manewry bojowe, które miały na celu przygotowanie floty lotniskowców na Oceanie Indyjskim. Zaplanowano trzy tygodnie intensywnych ćwiczeń od lądowań

na lotniskowcach po uzupełnianie zbiorników w powietrzu podczas działań bojowych z pozorowanym atakiem innego zespołu lotniskowców powracającego z zachodniego Pacyfiku. Manewry miały być przeprowadzone - Jak właśnie dowiedział się komandor Jensen - około trzystu mil od Panamy, a nie dalej na zachód. Dowódca dywizjonu zachodził w głowę, kto odważył się za jednym zamachem zmienić kurs trzydziestu jeden okrętów, w tym prawdziwych pożeraczy paliwa. Wskazywało to jednoznacznie na źródło rozkazów, które właśnie otrzymał. Jensen był człowiekiem ostrożnym; mimo iż przekazano mu wstępne polecenia w bardzo oficjalnej rozmowie telefonicznej, a rozkazy, które wręczył mu osobiście Carlson nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, byłby spokojniejszy, mając potwierdzenie z dodatkowego źródła.

- To wszystko. Dalsze informacje dostanie pan w odpowiednim czasie. Z

ośmiogodzinnym wyprzedzeniem. Czy to wystarczy?

- Nie ma sprawy. Zadbam o to, żeby bomby umieszczono we właściwym miejscu.

Niech pan będzie ostrożny tam, na ziemi, panie Carlson.

- Spróbuję. - Clark pożegnał się z pilotem i poszedł ku rufie, by poszukać wyjścia.

Musiał zdążyć na następny samolot za dwie godziny.

Gliniarze z Mobile byli w szczególnie ponurym nastroju. Nie dość, że ich człowiek został zamordowany w tak jawny, brutalny sposób, to pani Braden nierozważnie wyszła do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, i sama dostała dwie kule. Lekarzom, mimo wysiłków, nie udało się uratować jej życia. Zmarła po trzydziestu sześciu godzinach. Policja dysponowała jedynie: świadkiem - dzieciakiem, za małym, by mógł

mieć prawo jazdy, który twierdził, że trafił jednego z morderców z marlina wzór 1939, odziedziczonego po dziadku; oraz plamami krwi, które mogły, acz nie musiały świadczyć o jego prawdomówności. Policja wołała wierzyć, że to Braden sam zdobył

punkty, ale eksperci z działu zabójstw dobrze wiedzieli, że rewolwer z pięciocentymetrową lufą nie na wiele się przydaje, chyba że strzelanina odbywała się w zatłoczonej windzie. Każdy gliniarz w Missisipi, Alabamie, Luizjanie i na Florydzie szukał niebieskiego mikrobusu Plymouth Voyager z dwoma osobnikami płci męskiej, rasy białej, z włosami czarnymi, średniego wzrostu, średniej budowy, uzbrojonymi i niebezpiecznymi, podejrzanymi o zabójstwo policjanta.

Mikrobus odnalazł w poniedziałek po południu prawomyślny obywatel — owszem, byli jeszcze tacy w Alabamie - który zadzwonił do lokalnego szeryfa, a ten z kolei zawiadomił posterunek w Mobile.

- Chłopak mówił prawdę - powiedział prowadzący dochodzenie porucznik. Znalezione w tyle samochodu ciało wyglądało tak wstrętnie, jak wyglądałaby każda padlina po dwóch dniach w zamkniętym samochodzie, w Alabamie, w czerwcu; ale bez wątplenia rana w okolicach podstawy czaszki, dokładnie na linii włosów, wskazywała na kaliber 0,22. Jasne było również, że zabójca umarł na przednim, prawym siedzeniu, na skutek pojęznego upływu krwi z rany w głowie. I jeszcze jedna nowość.

- Widziałem już wcześniej faceta. Należy do szajki narkotykowej -zauważył inny detektyw.

- W co się wplątał Ernie?

- Diabli wiedzą. Co zrobić z jego dziećmi? - spytał detektyw. -Nie dość, że tracą mamę i tatę, to jeszcze będziemy trąbić na cały cholerny świat, że ich tatuś miał brudne ręce?

Coś takiego zrobić osieroconym dzieciakom?

Obu detektywom wystarczyło jedno spojrzenie, by natychmiast dojść do porozumienia, że nie, czegoś takiego zrobić nie można. Znajdzie się sposób, żeby z Erniego zrobić bohatera, a już na pewno ktoś musi pogłaskać po głowie małego Sandersona.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, co pan zrobił? - spytał Cortez. Przed wejściem opanował się i postanowił trzymać nerwy na wodzy.

W organizacji Latynosów będzie - musi być - Jedynym głosem rozsądku. Uszanują to z tych samych względów, dla których Rzymianie cenili cnotę: rzadki i podziwu godny przymiot, byle tylko cechował innych.

- Dałem Norteamericanos nauczkę - odparł Escobedo z bezczelnym spokojem, o mały włos nie pokonując samokontroli Feliksa.

- A jak oni na to zareagowali?

Escobedo zrobił zamaszty gest ręką, gest siły i zadowolenia z siebie.

- Ukąszeniem owada.

- Wie pan zapewne, że moje długotrwałe, skuteczne wysiłki, zwieńczone wreszcie ustanowieniem cennego źródła informacji, pan splukał jak...

- Jakie to źródło?

- Sekretarka dyrektora FBI - odrzekł Cortez.

- I nie można już jej wykorzystać? - spytał ze zdumieniem Escobedo. Idiota!

- Nie, jeśli nie chce pan, bym został aresztowany, jefe. Mogliśmy wykorzystywać informacje od tej kobiety, z należytą ostrożnością, przez długie lata. Mogliśmy demaskować wszelkie próby

infiltrowania organizacji. Mogliśmy się dowiadywać o nowych zamysłach Norteamericanos i przeciwdziałać im, uważnie i rozsądnie, chroniąc nasze operacje, a jednocześnie oddając im dość punktów, by wierzyli, że coś im się udaje osiągnąć.

Cortez już miał powiedzieć, że właśnie odkrył, dlaczego zniknęły te wszystkie samoloty, ale ugryził się w język. Gniew wziął tu górę nad opanowaniem. W głowie Feliksa kiełkowała powoli myśl, że mógłby z powodzeniem zastąpić siedzącego za biurkiem człowieka. Ale najpierw musiał zademonstrować organizacji swoją wartość i stopniowo udowodnić kartelowi, że bardziej się mu przyda niż ten nadęty bufon.

Lepiej niech się jeszcze trochę pomęczą, aż docenią różnicę pomiędzy wyszkolonym oficerem wywiadu a zgrają dyletanckich, ociekających bogactwem szmuglerów.

Ryan patrzył na rozpościerający się dwanaście kilometrów pod oknem samolotu ocean.

Łatwo wchodził w rolę ważnej osobistości. Jako szefowi wydziału przysługiwał mu specjalny lot z Andrews bezpośrednio na wojskowe lotnisko w głównej kwaterze NATO w Mons w Belgii. Reprezentował Agencję na odbywającej się dwa razy do roku konferencji z jego odpowiednikami ze sprzymierzonych krajów Europy. Wiele się spodziewał po swoim wystąpieniu. Miał wygłosić referat i zrobić jak najlepsze wrażenie. Znał wprawdzie wielu uczestników z poprzednich konferencji, traktowano go jednak do tej pory jak pilnego adiutanta Jamesa Greera. Teraz miał się sprawdzić bez protektora. Nie wątpił w swój sukces. Miał do swojej dyspozycji trzech szefów wydziałów i wygodne miejsce na pokładzie VC-20A, żeby przypomnieć mu, jaki jest ważny. Nie wiedział, że to ten sam samolot, którym Emil Jacobs leciał do Kolumbii. I całe szczęście. Mimo swego wykształcenia, Ryan pozostał przesądny.

Jako asystent dyrektora wydziału dochodzeń Bili Shaw był w ścisłym kierownictwie FBI i dopóki prezydent nie mianował nowego dyrektora, pełnił obowiązki szefa. Okres ten mógł potrwać dość długo. Był to wszak rok wyborów prezydenckich, toteż z nadejściem lata ludzie myśleli o konwencjach, a nie nominacjach. Shaw nie miał

bynajmniej nic przeciwko temu. Oznaczało to bowiem, że będzie kierował wszystkimi pracami, a w sprawie tak wielkiej wagi Biuro potrzebowało doświadczonego gliniarza u steru. Polityczne względy niezbyt obchodziły Williama Shawa. Do agentów należało rozwiązywanie spraw kryminalnych, a ta sprawa pochłonęła go całkowicie. Gdy tylko dowiedział się o śmierci

dyrektora Jacobsa, wezwał do siebie przyjaciela Dana Murraya. Dan miał za zadanie nadzorować dochodzenie ze swojego biura zastępcy asystenta dyrektora, ponieważ należało dopilnować co najmniej dwóch osobnych spraw: dochodzenia w Kolumbii i w Waszyngtonie. Dzięki swojemu doświadczeniu na stanowisku attache prawnego w Londynie Murray wiedział wystarczająco wiele, by zrozumieć, że zagraniczna część dochodzenia może pozostawiać wiele do życzenia.

Murray wszedł do gabinetu Shawa o siódmej. Obaj nie zmrużyli prawie oka przez ostatnie dwie doby, ale mogli zdrzemnąć się w samolocie. Dyrektor Jacobs miał być pochowany dziś w Chicago, a oni polecą razem z trumną na pogrzeb.

- Co słyszeć?

Dan otworzył teczkę.

- Rozmawiałem przed chwilą z Moralesem w Bogocie. Zamachowiec, którego przyskrzynili, pracował dla M-19 i gównie wie. Nazywa się Hector Buente, dwadzieścia lat, nie skończył studiów na Uniwersytecie Andyjskim - złe oceny. Zdaje się, że miejscowi gliniarze troszkę go naciskali - Morales twierdzi, że są nieźle wkurzeni - ale gówniarz dużo nie wie. Ludzi z M-19 zawiadomiono kilka dni temu, że będzie ważna robota, dopiero jednak na cztery godziny przed samą akcją dowiedzieli się co i gdzie. Nie mieli pojęcia, kto oprócz ambasadora jest w samochodzie.

Nawiasem mówiąc, mieli na innej trasie zapasową grupę zamachowców. Udało się zdobyć kilka nazwisk i miejscowi gliniarze przewracają miasto do góry nogami, żeby ich znaleźć. Ale według mnie to ślepa uliczka. Była to kontraktowa robota i tych, którzy cokolwiek wiedzą, dawno już nie ma w pobliżu.

- A miejsca, z których strzelano?

- Włamali się do obu mieszkań. Niewątpliwie upatrzyli je sobie i zbadali wcześniej. O

wyznaczonej porze weszli do środka, związali, a właściwie zakuli w kajdanki, właścicieli i zrobili swoje. Czysto zawodowa robota, od początku do końca - rzekł

Murray.

- Cztery godziny przed samą akcją?

- Tak.

- Czyli po starcie samolotu z Andrews - zauważył Shaw. Murray skinął głową.

- Z tego jasno wynika, że przeciek był po naszej stronie. Prokurator generalny Kolumbii jako jedyny wiedział o przylocie Emila i dopiero na trzy godziny przed faktem ujawnił wiadomość współpracownikom. Inni wyżsi funkcjonariusze rządowi wiedzieli, że coś się szykuje, stąd zapewne rozkaz pogotowia dla M-19, ale godziny się mimo to nie zgadzają. Przeciek wyszedł stąd, chyba że sam prokurator generalny dał cynk.

Morales twierdzi, że to nieprawdopodobna wersja, bo facet uchodzi tam za lokalnego Olivera Cromwella - uczciwy jak sam Bóg, a w dodatku odważny. Żadnej kochanki, której by coś ewentualnie wypaplał, nic z tych rzeczy. Przeciek wyszedł z naszego końca, Bili.

Shaw przetarł oczy i pomyślał o następnej kawie, ale miał już w organizmie dawkę kofeiny, która doprowadziłaby marmurowy posąg do płasawicy.

- Mów dalej.

- Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy wiedzieli o podróży. Oczywiście wszyscy twierdzą, że nie

puścili pary z gęby. Wystąpiłem o listę rozmów telefonicznych, ale niczego ważnego się nie spodziewam.

- A faceci...

- Z Andrews? - Dan uśmiechnął się. - Są też na liście. Może czterdziestu ludzi, góra, którzy mieli pojęcie, że dyrektor leci. Łącznie z tymi, którzy dowiedzieli się do godziny po starcie.

- Dowody rzeczowe?

- Owszem, mamy jedną z wyrzutni RPG i kilka sztuk innej broni. Żołnierze z armii kolumbijskiej przeszli samych siebie: na Boga, wbiec do budynku, wiedząc, że znajduje się tam broń maszynowa, do tego trzeba jaj. Chłopcy z M-19 mieli przy sobie także karabinki z bloku sowieckiego, chyba z Kuby, ale to już inna sprawa. Chciałbym poprosić Sowietów o pomoc w określeniu pochodzenia tej wyrzutni RPG.

- Myślisz, że zgodzą się na współpracę?

- W najgorszym wypadku powiedzą: nie, Bili. Zobaczymy, ile warta jest ta cała gtasnost'.

- Dobra, poproś ich.

- Poza tym nic szczególnego. Zwykle dowody, potwierdzające to, co i tak już wiemy.

Być może Kolumbijczykom uda się dojść do źródeł przez M-19, ale wątpię.

Rozpracowują to ugrupowanie już od dłuższego czasu, ale to twardy orzech.

- Dalej.

- Wyglądasz, jakbyś miał dość, Bili - zauważył Murray. - Mamy młodych agentów do palenia świeczki z dwóch stron. Takie stare pierdziele, jak my, powinny dać sobie na wstrzymanie.

- Tak, tak, niestety, za dużo naraz zważyło mi się na głowę. - Shaw wskazał na biurko.

- Kiedy odlot?

- Dziesiąta trzydzieści.

- No, wracam do swojego gabinetu i spróbuję się trochę kimnąć. Tobie też to radzę.

Shaw doszedł do wniosku, że to wcale niezły pomysł. Dziesięć minut później poszedł

w ślady Murraya, zasnął mimo ogromnych ilości wypitej kawy. Po godzinie przed drzwiami jego gabinetu pojawiła się Moira Wolfe, wyprzedzając o zaledwie kilka minut jego własną sekretarkę. Zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Nie chciała otwierać sama drzwi, nie chciała przeszkadzać panu Shawowi, mimo że miała mu coś ważnego do powiedzenia. Poczeka, aż wszyscy znajdą się razem w

samolocie.

- Cześć, Moira - przywitała ją sekretarka Shawa, mijając się z nią przy wyjściu. - Coś się stało?
- Chciałam porozmawiać z panem Shawem, ale chyba się zdrzemnął. Pracował bez przerwy od...
- Wiem. Tobie też przydałby się odpoczynek.
- Może tej nocy.
- Mam powiedzieć mu, że...
- Nie, zobaczę się z nim w samolocie.

Ze zgodą na sprawdzenie telefonów było trochę zamieszania. Agent, który miał

wszystko załatwić, dostał od prokuratora federalnego przez pomyłkę nazwisko innego sędziego i przesiedział w poczekalni do dziewiątej trzydzieści, bo na domiar złego sędzia przyszedł spóźniony w ten poniedziałkowy poranek. Po dziesięciu minutach miał wszystko, co trzeba. Na szczęście do firmy telefonicznej nie było daleko, a lokalne biuro Bella miało dostęp do wszystkich niezbędnych danych. Cała lista składała się z bez mała stu nazwisk, obok których widniało ponad dwieście numerów telefonów i sześćdziesiąt jeden numerów kart kredytowych, w tym kilka nie wydanych przez American Telephone - Telegraph. Całą godzinę zajęło sporządzenie ostatecznej listy wszystkich danych, po czym agent sprawdził ponownie wszystkie numery, czy przypadkiem nie pomylił się albo czegoś nie przeoczył. Był nowym agentem, świeżo po akademii oddelegowanym do pierwszej pracy w stołecznej sekcji terenowej. W

zasadzie biegał na posyłki dla swojego przełożonego i w ten sposób zdobywał szlify, toteż nie zainteresował się zbytnio danymi, które właśnie otrzymał. Nie wiedział na przykład, że kierunkowy 58 przed pewnym numerem oznacza międzynarodową rozmowę z Wenezuelą. Ale był jeszcze młody i miał się o tym przekonać przed lunchem.

Lecieli na pokładzie VC-135, wojskowej wersji starego 707, pozbawionej okien, co nie zawsze podobało się pasażerom, ale wyposażonej w duże drzwi towarowe, konieczne do wniesienia zwłok dyrektora Jacobsa w ostatnią podróż do Chicago. Prezydent leciał innym samolotem, którego lądowanie na Międzynarodowym Lotnisku O'Hare zaplanowano na kilka minut wcześniej. Miał

przemawiać zarówno w świątyni, jak i nad grobem.

Shaw, Murray i kilku innych wyższych funkcjonariuszy FBI lecieli drugą maszyną, często wykorzystywaną w podobnych okolicznościach, która wyposażona była w odpowiednie urządzenia mocujące trumnę w przedniej części kabiny pasażerskiej.

Dzięki temu mogli wpatrywać się w wypolerowaną, dębową skrzynię przez cały lot, a brak okien nie pozwalał na odwrócenie uwagi. To, bardziej niż cokolwiek innego, uświadomiło im, co się stało. Na pokładzie panowała cisza, tylko jednostajne wycie silników towarzyszyło żywym i nieboszczykowi.

Samolot należał do floty prezydenta i wyposażony był we wszystkie stosowne do tej roli urządzenia komunikacyjne. Porucznik Sił Powietrznych przeszedł do tyłu i spytał o Murraya, po czym zaprowadził go do przodu, gdzie znajdowała się konsola telekomunikacyjna.

Pani Wolfe siedziała przy przejściu, dziesięć metrów za kierownictwem. Po twarzy spływały jej łzy i choć pamiętała, że powinna porozmawiać z Shawem, nie sądziła, by pora po temu była najstosowniejsza. W końcu to nic takiego ważnego... ot, pomyliła się, gdy agent przesłuchiwał ją wczoraj po południu. Była przecież roztrzęsiona tym, co się stało. Wciąż nie mogła pogodzić się ze stratą. Zbyt wielu bliskich jej ludzi odeszło w ciągu ostatnich kilku lat, a psychiczny młyn weekendowej schadzki... co z nią zrobił? Otumaniał? Nie wiedziała. Tak czy owak, nie wypadało teraz rozmawiać o głupstwach. Dziś był czas na wspomnienie najlepszego w jej życiu szefa, człowieka, który troszczył się o nią co najmniej tak samo jak o agentów, którzy go chronili.

Zobaczyła, jak pan Murray poszedł po coś na przód kabiny obok trumny, którą, wchodząc do samolotu, musnęła ręką, by w ten sposób pożegnać się po raz ostatni z dyrektorem.

Rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. Murray wyszedł z ciasnej kabiny radiotelegraficznej, zachowując jak zwykle kamienną twarz. Nie spojrzął po drodze na trumnę, patrzył prosto przed siebie na tylne rzędy siedzeń, doszedł do swojego miejsca i usiadł obok żony.

- Cholera! - mruknął pod nosem Dan.

Żonie aż podskoczyła głowa. Takich rzeczy się wszakże nie mówi na pogrzebie.

Pogłaskała go po ramieniu, ale Murray potrząsnął głową. Kiedy wreszcie obrócił się do żony, zobaczyła w jego oczach smutek, lecz nie żalobę.

Lot trwał niewiele ponad godzinę. Z tylnego przedziału towarowego wyszli żołnierze straży honorowej w galowych mundurach, by

wyprowadzić z samolotu zwłoki dyrektora. Po nich wysiedli pasażerowie, oczekiwani przez zebranych na płycie lotniska pozostałych uczestników ceremonii oraz cofniętych dyskretnie reporterów z kamerami telewizyjnymi. Straż honorowa przemaszerała z trumną za poczem z dwoma sztandarami, narodowym i FBI z wyhaftowaną dewizą Biura: Wierność-Odwaga-Jedność. Murray patrzył, jak wiatr trzepocze sztandarami i zauważył w duchu, że to bardzo ulotne pojęcia. Ale nie chciał jeszcze nic mówić Billowi. Zostałoby to zauważone.

- No, teraz już wiemy, dlaczego roznieśliśmy to lotnisko. - Chavez oglądał uroczysty pogrzeb w koszarowej świetlicy. Wszystko mu się teraz wyjaśniło.

- Ale po co nas wycofali? - spytał Vega.

- Wracamy, Oso. A tam, gdzie nas teraz przerzuca, powietrze będzie bardzo rozrzedzone, gwarantuję.

Larson nie musiał oglądać w telewizji sprawozdania z pogrzebu. Pochylał się nad mapą, nanosząc znane i domniemane tajne rafinerie na południowy zachód od Medellin. Znał te tereny - kto ich nie znał? - ale zlokalizowanie konkretnych punktów... to cięższa sprawa, jednak to też już kwestia czysto

techniczna. Stany Zjednoczone opracowały nowoczesną technologię rozpoznawczą i doskonalili ją przez niemal trzydzieści lat. Przebywał teraz na Florydzie, przyleciawszy do Stanów pod pretekstem odbioru nowego samolotu, w którym jakoby wystąpił defekt silnika.

- Od kiedy się tym zajmujemy?

- Dopiero od dwóch miesięcy - odparł Ritter.

Mimo tak skąpej bazy danych, nie szło im najgorzej. Na mapę naniesiono oczywiście wszystkie miasteczka i wsie, a nawet poszczególne domostwa. Ponieważ większość z nich miała elektryczność, łatwo dało się je zlokalizować, a gdy już zostały zidentyfikowane, komputer wymazywał je elektronicznie. Pozostawały źródła energii, które nie były miastami, wioskami ani pojedynczymi gospodarstwami. Niektóre z nich pojawiały się regularnie. Postanowiono arbitralnie, że wszystkie źródła energii, które namierzano częściej niż dwa razy w tygodniu, są zbyt oczywiste, by zasługiwały na uwagę, toteż i te wykreślano z pamięci komputera. Pozostało około sześćdziesięciu punktów, które pojawiały się i znikwały zgodnie ze sporządzonym obok mapy i zdjęć wykresem. Każdemu z tych punktów mogło odpowiadać miejsce, gdzie rozpoczynał się proces rafinacji liści koki.

Z pewnością nie były to obozowiska kolumbijskich skautów.

- Nie da się ich rozpoznać chemicznie - powiedział Ritter. - Sprawdziłem. Ilości ulatniającego się eteru i acetonu można porównać z rozlaną butelką zmywacza do paznokci, nie biorąc nawet pod uwagę zachodzących naturalnie w takim środowisku procesów biochemicznych. Przecież to dżungla, prawda? Różne rzeczy gniją przy ziemi i podczas rozkładu ulatniają się wszelkiego rodzaju związki chemiczne.

Pozostaje nam więc rozpoznanie z satelity z wykorzystaniem zwykłej techniki na podczerwień. Wciąż całą robotę odwalają w nocy? Ciekaw jestem, dlaczego.

Larson chrząknął twierdząco.

- Zostało im to z czasów, kiedy armia deptała im po piętach. Robią to nadal chyba z przyzwyczajenia.

- To nam coś daje, nie sądzi pan?

- Co z tym zrobimy?

Murray nie uczestniczył do tej pory w żydowskim pogrzebie. Nie różnił się zbyt od katolickiego. Modlitwy odbywały się w niezrozumiałym dlań języku, ale treść zapewne była taka sama. „Panie, odsyłamy z powrotem do Twego królestwa dobrego człowieka. Dzięki Ci za to, żeś pozwolił mu z nami przeżyć te krótkie chwile”.

Wyjątkowe wrażenie zrobiła prezydencka mowa pogrzebowa, napisana przez najlepszego pisarza Białego Domu, okraszona cytatami z Tory, Talmudu i Nowego Testamentu. Potem prezydent mówił o sprawiedliwości, świeckim bogu, któremu Emil służył całe swe dorosłe życie. Kiedy jednak pod koniec stwierdził, że nie należy nosić w sercu zemsty, Murray pomyślał, że... nie chodziło mu nawet

o same słowa. Dawno nie słyszał tak poetyckiej mowy. Szkopuł w tym, że tu już prezydent zaczął mówić jak polityk. Czyżby przemawiał przeze mnie cynizm? - pomyślał agent. Wszak był gliną i sprawiedliwość oznaczała dlań tyle, że drań, który popełnił przestępstwo, musi za to zapłacić. Zapewne prezydent myślał tak samo, mimo dyplomatycznego kamuflażu.

Murray nie miał nic przeciwko temu.

Żołnierze oglądali sprawozdanie telewizyjne we względnej ciszy. Kilku pocierało noże o osetki, ale na ogół siedzieli w skupieniu, słuchając, co ich prezydent ma do powiedzenia, wiedząc, kto zabił człowieka, którego nazwisko większość poznała dopiero po jego śmierci. Chavez

pierwszy na głos wypowiedział słuszny wniosek, lecz przecież nie wymagało to szczególnej bystrości umysłu. Przyjęli niewypowiedzianą jeszcze wiadomość ze spokojem. Ot, jeszcze jeden dowód, że wróg uderzył bezpośrednio w jeden z ich najważniejszych symboli narodowych. Trumnę przykrywała ich narodowa flaga, obok sztandaru urzędu zmarłego, ale to przecież nie robota dla gliniarzy. Toteż żołnierze wymieniali w ciszy spojrzenia, słuchając mowy swego naczelnego dowódcy. Po ceremonii otworzyły się drzwi świetlicy i pojawił się w nich kapitan.

- Wracamy dziś w nocy. Pocieszające jest to, że tym razem lądujemy w chłodniejszym miejscu - powiedział swoim żołnierzom kapitan Ramirez.

Chavez puścił oko do Vegi.

USS „Ranger” wychodził z portu podczas przyływu, pilotowany przez flotyllę holowników, gdy tymczasem pozostałe okręty formowały się już na pełnym morzu, kołysząc się na szerokich falach Pacyfiku. Po niecałej godzinie „Ranger” sunął już z prędkością dwudziestu węzłów. Po upływie następnej godziny przysłała pora na operacje lotnicze. Najpierw zjawily się helikoptery. Pierwszymi samolotami na pokładzie były bombowce szturmowe Intruder, oczywiście pod dowództwem komandora Jensena. Po drodze widział, jak okręt z amunicją, USS „Shasta”, nabierał

szybkości, by dołączyć do płynącej dwie godziny za formacją bojową grupy tankowców. Na pokładzie „Shasty” znajdowały się bomby, które sam będzie zrzucił.

Miał już jakie takie pojęcie o celach. Jeszcze nie znał dokładnych lokalizacji, ale domyślał się, o kogo chodzi, a to go satysfakcjonowało. Jak powiedziano mu wcześniej tego samego dnia, nie on ma się martwić stratami ubocznymi. Cóż za przedziwny termin, pomyślał. Straty uboczne. Cóż za sposób określania ludzi, którzy zrzędzeniem losu znaleźli się w niewłaściwym miejscu. Współczuł im, ale nie bardzo.

Clark przybył do Bogoty późnym popołudniem. Nikt po niego nie wyszedł; jak zwykle wynajął samochód. Po godzinie jazdy z lotniska zaparkował auto na bocznej drodze.

Odczekał ze zniecierpliwieniem kilka minut, aż wreszcie zatrzymał się koło niego inny samochód. Kierowca, oficer CIA z miejscowej placówki, wręczył mu paczkę i odjechał

bez słowa. Paczka nie była wielka, ważyła około dziesięciu kilogramów, z czego połowa to solidny

statyw. Clark ułożył pakunek na podłodze pod siedzeniem pasażera i odjechał. W swoim czasie dostawał polecenia, żeby „dać komuś coś do zrozumienia”, ale nigdy dotąd nie robił tego w aż tak dobitny sposób. To wszakże w całości jego własny pomysł. No, może nie do końca jego. Dzięki temu łatwiej mu było przełknąć tę pigułkę.

VC-135 wystartował dwie godziny po pogrzebie. Szkoda, że w Chicago nie odbyła się stypa. Był to wprawdzie irlandzki zwyczaj, nie dla potomków wschodnioeuropejskich Żydów, ale Dan Murray nie wątpił, że Emil nie miałby nic przeciwko temu.

Zrozumiałby, że niejeden toast kuflem piwa czy szklaneczką whisky wzniesiono by dziś wieczór ku jego czci. W innej sytuacji uśmiełby się serdecznie. Ale nie teraz. Dan poprosił żonę, by wymanewrowała panią Shaw na drugą stronę samolotu, żeby mógł

usiąść obok Billa. Shaw natychmiast to zauważył, ale wstrzymał się z oczywistym pytaniem, dopóki samolot nie zakończył wznoszenia.

- O co chodzi?

Murray wręczył mu kartkę wyciągniętą przed kilkoma godzinami z pokładowego faksu.

- Niech to szlag! - zaklął pod nosem Shaw. - Nie Moira. Tylko nie ona.

Rozdział 16

USTA CELÓW

- Czekam na propozycje - rzekł Murray. Od razu pożałował tego tonu. - Na miłość boską, Dan! - Twarz Shawa poszarzała na chwilę i zaraz przybrała wściekły wyraz.

- Przepraszam, ale... do diabła, Bili, przechodzimy prosto do rzeczy, czy będziemy się z tym cackać do sądnego dnia?

- Do rzeczy.

- Jeden z agentów z waszyngtońskiego Biura zadał jej zwykłą porcję pytań.

Stwierdziła, że nikomu nie mówiła... może to i prawda, ale do kogo, u diabła, dzwoniła w Wenezueli? Sprawdzili wszystkie rozmowy cały rok wstecz, nikt przedtem nie dzwonił pod ten numer. Chłopak, któremu kazałem się tym zająć, poszedł jeszcze dalej: numer w Wenezueli

to mieszkanie, a kilka minut po rozmowie Moiry ktoś stamtąd dzwonił

do Kolumbii.

- O Boże! - Shaw pokręcił głową. Gdyby to był ktoś inny, Bili odczuwałby tylko złość, lecz Moira

pracowała z dyrektorem, jeszcze zanim wrócił do Waszyngtonu z oddziału terenowego w Nowym Jorku.

- Może to niewinna sprawa. Może czysty zbieg okoliczności - łagodził sytuacją Murray, ale zbyt nie zmienił zaciętego wyrazu twarzy Billa.

- Może chcesz obliczyć prawdopodobieństwo tego stwierdzenia, Danny?

- Nie.

- Cóż, wszyscy wracamy do biura po lądowaniu. Wezwę ją do siebie godzinę po powrocie. Chciałbym, żebyś ty też tam był.

- Dobrze.

Tym razem Murray pokręcił głową. Uroniła tyleż łez nad grobem, co inni żałobnicy.

Napatrzył się na hipokryzję za wszystkie czasy w swojej policyjnej karierze, ale odpychał od siebie myśl, że Moira jest następnym przykładem. To musi być zbieg okoliczności. Może któreś z jej dzieci z kimś koresponduje. Możliwości jest wiele, wmawiał sobie Dan.

Detektywi przeszukujący dom sierżanta Bradena znaleźli to, czego szukali. Nic wielkiego, tylko futerał ze sprzętem fotograficznym. Ale zawierał on aparat Nikon F-3

i tyle wymiennych obiektywów, że cały zestaw musiał kosztować osiem czy dziewięć tysięcy dolarów. Nie na kieszeń sierżanta policji z Mobile. Gdy reszta ekipy kontynuowała rewizję, główny detektyw zadzwonił do krajowego biura firmy Nikon i sprawdziwszy numer fabryczny aparatu, chciał dowiedzieć się, czy właściciel zarejestrował go w celach gwarancyjnych. Okazało się, że tak, a gdy przeczytano mu nazwisko, wiedział, że musi zadzwonić również do FBI. Sprawa należała do władz federalnych i miał tylko nadzieję, że uda im się jakoś ochronić dobre imię gliniarza, który na pewno miał brudne ręce. Brudne, niebrudne - zostawił przecież dzieci. Może FBI to zrozumie.

Adwokat postępował wbrew prawu federalnemu, lecz kierował się dobrem swoich klientów. Sprzeczności tego rodzaju ozdabiały nie tyle podręczniki prawa, ile raczej tomy spisanych werdyktów sądowych. Nie wątpił, że zostało popełnione przestępstwo, nie wątpił, że nikt nie podjął śledztwa w tej sprawie i nie wątpił, że jej ujawnienie może istotnie

zaważyć na obronie jego klientów, którym groził najwyższy wymiar kary. Raczej nie sądził, by go złapano, a jeśli nawet, to będzie miał co przedłożyć komisji etyki zawodowej w stanowej izbie adwokackiej. Zobowiązania zawodowe wobec klientów oraz osobisty wstręt do kary śmierci sprawiły, że Edward Stuart nie zamierzał odstąpić od swojej decyzji.

W kasynie podoficerskim na terenie bazy nic w istocie się nie zmieniło. Stuart odbył w swoim czasie służbę w marynarce jako absolwent prawa na lotniskowcu - nawet w marynarce pływające sześciotysięczne miasto potrzebowało jednego lub dwóch prawników - i dobrze znał marynarzy, i smak piwa. Udał się do sklepu mundurowego i sprawił sobie uniform podoficera Straży Przybrzeżnej i bez ceregieli wszedł na teren bazy, kierując kroki w stronę kasyna podoficerskiego, gdzie, jeśli

tylko zapłaci za drinki gotówką, nikt nie zwróci na niego szczególnej uwagi. Sam początkowo służył na USS „Eisenhower” i znał żargon na tyle dobrze, by zwycięsko przejść przez krótki test. Pozostało mu tylko odnaleźć członka załogi kutra „Panache”.

Kończył się właśnie przegląd techniczny kutra, następujący po każdym rejsie i przygotowujący go do kolejnej wyprawy, toteż załoga powinna walić po pracy do kasyna i raczyć się popołudniowym piwkiem, póki czas. Cała sztuka, żeby odnaleźć tych właściwych ludzi. Znał nazwiska i przejrzał taśmy filmowe z archiwów lokalnych stacji telewizyjnych, żeby zapoznać się z twarzami. Tylko łutowi szczęścia mógł

zawdzięczać, że natrafił na Boba Rileya. Lepiej znał karierę tego faceta niż inni bosmani.

Starszy bosmanmat wkroczył do kasyna o szesnastej trzydzieści, po dziesięciu godzinach kierowania pracami przy konserwacji sprzętu pokładowego. Zjadł lekki lunch i szybko zdążył wypocić go z nawiązką, doszedł więc do wniosku, że kilka kufla piwa uzupełni wszystkie płyny i elektrolity, które stracił w gorącym słońcu Alabamy.

Zauważyła go natychmiast barmanka i zanim wybrał stół, czekało już nań duże z pianką. Edward Stuart przysiadł się do niego minutę i pół kufla później.

- Czy ty jesteś Bob Riley?

- Zgadza się - odparł bosman, zanim się obrócił. - A ty?

- Chyba i tak mnie nie pamiętasz. Matt Stevens. Prawie wyrwałeś mi nogi z dupy kopę lat temu na „Mellonie”... i powiedziałeś wtedy, że już tego ścierwa do kupy nie złożę.

- Widać się pomyliłem - zauważył Riley, poszukując w pamięci tej twarzy.

- Nie, miałeś rację. Był ze mnie wtedy kawał łotra, ale ty... masz u mnie punkty, bosmanie. Pozbierałem się do kupy, tylko dzięki temu, co mi powiedziałeś. - Stuart wyciągnął rękę. - Jestem ci winien przynajmniej jedno piwko.

Riley był przyzwyczajony do takiej gadki.

- A jak? Wszyscy musimy dostać szkołę. Mnie też parę razy wycieпали za burtę w młodości.

- Sam czasem stosuję taką szkołę. - Stuart wyszczerzył zęby. - Jesteś chiefem, to musisz być szanowany, nie? Bo inaczej kto wychowa oficerów na ludzi?

Riley przyświadczył chrząknięciem.

- U kogo pracujesz?

- U admirała Hally'ego w Buzzard's Point. Musiałem przylecieć tu z nim na spotkanie z dowódcą bazy. Chyba gra w tej chwili w golfa. Jakoś nigdy nie ciągnęło mnie do tej gry. A ty jesteś na

„Panache”, tak?

- Jasne.

- U kapitana Wegenera?

- Tak. - Riley wypił do dna i Stuart pomachał na barmankę, żeby napełniła kufle.

- Czy jest taki dobry jak mówią?

- Red jest lepszym marynarzem ode mnie - odparł szczerze Riley.

- To już przesada, bosmanie. O, byłem świadkiem, jak wzięłeś wtedy tę łajbę... jak się nazywał ten kontenerowiec, co pękł na pół...?

- „Arctic Star”. - Riley rozpromienił się na to wspomnienie. - Chryste, wtedy zarobiliśmy uczciwie na pensje.

- Widziałem na własne oczy. Myślałem, że zwariowałaś. Ech, gdzie mi do ciebie. Ja zamiast statkiem steruję edytorem tekstu dla admirała, ale swoje zrobiłem w starych czasach na piętnastometrowej łodzi patrolowej pod Norfolk, zanim jeszcze zostałem chiefem. Ale takich wyczynów jak ten z „Arctic Star” to nie mam na koncie.

- Nie bądź taki skromny, Matt. Jeden taki wypad starczy na dwa lata morskich opowieści. Ja bym z miejsca się zamienił na łatwą robotę. Za stary już jestem na te wszystkie dramaty.

- Da się tu coś zjeść?

- Nie najgorzej.

- Mogę ci postawić obiad?

- Matt, nawet nie pamiętam, co ci wtedy powiedziałem.

- Ja pamiętam - zapewnił go Stuart. - Bóg jeden wie, co by ze mnie wyrosło, gdybyś mi nie dał zdrowej nauki. Szkoda gadać. Stawiam ci obiad. Chodź. - Gestem zaprosił Riley'ego do łoża pod ścianą.

Wypijali właśnie trzecie piwo, gdy pojawił się chief Oreza.

- Cześć, Dniówka - zawołał do kolegi Riley.

- Widzę, że piwko jest zimne, Bob. Riley wskazał na swojego kompana.

- To jest Mart Stevens. Służyliśmy razem na „Mellonie”. Opowiadałem ci kiedyś o tej akcji z „Arctic

Star"?

- Tylko ze trzydzieści razy - przygadał mu Oreza.

- Chcesz opowiedzieć, jak to było, Mart? - spytał Riley.

- Nie, nie, nawet wszystkiego nie widziałem dokładnie...

- Jasne, połowa załogi rzygała własnymi flakami. Bo kiwało jak rzadko kiedy. Nie było szansy, żeby wystartował śmigłowiec, a ten kontenerowiec... to znaczy ta połowa od rufy, bo dziobowej już nie było... zdawało się, że jeszcze sekunda, a będzie po wszystkim...

W ciągu godziny poszły jeszcze dwie kolejki piwa i trzech mężczyźni przeżuwali teraz pracowicie po wianuszku kielbasy z kiszoną kapustą, na gorąco, w sam raz pod piwo.

Stuart trzymał się opowieści o swym nowym admirale, naczelnym radcy prawnym Straży Przybrzeżnej, gdzie oficerowie z wykształceniem prawniczym również musieli wykazywać się umiejętnościami żeglarskimi i dowodzenia załogą.

- Hej, co to za dziwne historie ludzie opowiadają o tych dwóch ćpunach? - spytał wreszcie adwokat.

- O co chodzi? - spytał Oreza. Dniówka zachował jeszcze resztki trzeźwości.

- No bo chłopcy z FBI przyszli zobaczyć się z Hallym, nie? Musiałem wystukać jego raport na komputerze.

- A co ci z FBI mieli do powiedzenia?

- Nie powinienem... a, pieprzę to! Spokojna głowa, wy jesteście czyści. Biuro nic do was nie ma. Powiedzieli waszemu staremu, żeby szedł z Bogiem i więcej nie grzeszył, jasne? Aleście wyrwali szmalu tym bandzirom, nie słyszeliście? Operacja „Tarpon”.

Ta cała przechwycona forsa to dzięki wam, chłopcy. Nie wiedzieliście nawet o tym?

- Co? - Riley od wielu dni nie czytał gazet ani nie oglądał telewizji. Wprawdzie słyszał

o śmierci dyrektora FBI, nie miał jednak pojęcia, że ma to jakiś związek z jego operacją „Wisielec”, jak nazywał ów wyczyn w kabinie podoficerskiej.

Stuart powiedział im, co wiedział, a wiedział sporo.

- Pół miliarda dolarów? - powtórzył szeptem Oreza. - Za taką forszę niech nam zbudują kilka nowych łajb.

- Przydałyby się nam, wiadomo - zgodził się Stuart.

- Powiedzcie, chłopcy, tak szczerze, między nami, wy nie... tak naprawdę nie powiesiliście jednego z tych zasrańców, co? - Stuart chyłkiem wyciągnął z kieszeni malutki magnetofon i do oporu podkręcił poziom nagrania.

- Właściwie to był pomysł Dniówki - rzekł Riley.

- Nie wprowadziłbym go w życie bez ciebie, Bob - dorzucił skromnie Oreza.

- Tak, sztuka polegała na tym, jak go powiesić - wyjaśnił Riley. - Bo wiesz, wszystko musiało wyglądać autentycznie, jeśli chcieliśmy, żeby ten mniejszy zlał się ze strachu.

Ale sprawa wcale nie była taka trudna, jak tylko pogłównkowałem. Kiedy oddzieliliśmy go od kumpla, felczer dał mu zastrzyk eteru, żeby mu się na kilka minut film urwał, wtedy ja zawiązałem mu na grzbiecie taką jakby uprzęż z liny. Kiedyśmy go wyprowadzili na górny pokład, pętla miała z tyłu haczyk, więc jak zarzucałem mu pętlę na szyję, musiałem tylko zaczepić haczyk na oczku, które przygotowałem w uprzęży, żebyśmy podnosili go za uprzęż, a nie za szyję. Nie chcieliśmy zasrańca naprawdę zabić... no, ja osobiście to chciałem - powiedział Riley. - Ale Red nie sądził, że to najlepszy pomysł. - Bosman wyszczerzył zęby do Orezy.

- Inny kłopot to ucieszenie go - dodał Dniówka. - Zarzuciliśmy mu czarny kaptur na głowę. Tylko że w środku była gaza nasączona eterem. Drań darł się jak opętany, czując zapaszek, ale uspiło go, zanim poszedł

w górę.

- Ten mały we wszystko uwierzył. Skurwiel zeszczął się w spodnie, piękna robota!

Śpiewał jak kanarek, kiedy go przyprowadzili z powrotem do kabiny. Jak tylko ten zniknął z pola widzenia, spuściliśmy z masztu i ocuciliśmy tego drugiego. I tak byli obaj nabuzowani cały dzień od palenia trawki. Nie wiem, czy w ogóle skapowali się, cośmy im zrobili.

Nie skapowali się.

- Trawki?

- To był pomysł Reda. Mieli własny zapas marihuany; wyglądało to jak prawdziwe papierosy. Po prostu zwróciliśmy im paczkę i sami sobie dali w czuby. Dodaj do tego eter i całą resztę, a założę się, że nigdy im do łbów nie przyszło, co się naprawdę stało.

Prawie wszystko się zgadza, pomyślał Stuart z nadzieją, że magnetofon wszystko nagrywa.

- Szkoda, że naprawdę ich nie powiesiliśmy - powiedział Riley po kilku sekundach. -

Mart, czegoś takiego w życiu nie widziałeś, jak ten jacht wyglądał. Cztery osoby, stary... zarżnięci jak bydło. Czułeś kiedy krew? Nie wiedziałem, że można czuć krew.

Można - zapewniał bosman. - Zgwałcili żonę i córeczkę i poćwiartowali je, jakby były... Boże! Czy

wiesz, że dręczą mnie po tym koszmary? Koszmary... mnie! Chryste, to jedyna morska opowieść, którą chciałbym jak najszybciej zapomnieć. Mam córkę w wieku tej dziewczynki. Te gnoje zgwałciły ją i zabiły, a potem jeszcze poćwiartowały i rzuciły cholernym rekinom na pożarcie. Małą dziewczynkę, za małą, żeby prowadzić auto i chodzić na randki.

- Mamy być zawodowymi gliniarzami, tak? Mamy zachować zimną krew w każdej sytuacji, nie angażować się osobiście. Takie pierdoły? - spytał Riley.

- Tak jest w regulaminie - powiedział Stuart.

- Regulaminów nie pisali do takich sytuacji - rzekł Dniówka. - Ludzie, co robią takie rzeczy... to nie są prawdziwi ludzie. Nie wiem, czym są, do diabła, ale ludźmi na pewno nie. Nie można robić czegoś takiego i być człowiekiem, Mart.

- Ej, co ja mam na to powiedzieć? - spytał Stuart, przyjmując nagle postawę obronną i tym razem nie grając żadnej roli. - Mamy przecież prawa, żeby karać takich jak oni.

- Prawa niewiele dają, przyznaj - odparł Riley.

Różnica pomiędzy ludźmi, których zobowiązał się bronić, a tymi, których musiał

zdiskredytować, mówił sobie w duchu Stuart przez opary alkoholu, polegała na tym, że ci źli to jego klienci, a ci dobrzy nie. Podając się teraz za oficera Straży Przybrzeżnej - też łamał prawo, tak samo jak ci marynarze, i tak jak oni czynił to dla wartości wyższych, w imię szlachetnej sprawy. Zadał więc sobie pytanie, kto tu ma rację. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Cokolwiek było tu prawe, gdzieś ginęło, nie do odnalezienia w kodeksach ani kanonach etyki. Lecz jeśli tam tego nie było, to gdzie, u diabła? Stuart był jednakże prawnikiem i zajmował się prawem, a nie prawością. Prawość to domena sędziów i przysięgłych. I tym podobnych. Stuart powiedział sobie, że nie może tyle pić. Alkohol sprawiał, że zagmatwane sprawy stawały się przejrzyste, a przejrzyste się gmatwały.

Lot był tym razem o wiele cięższy. Zachodnie wiatry od Pacyfiku biły w andyjskie zbocza i wściekle buchały do góry, szukając sobie przejść. Powstająca wskutek tego turbulencja dawała się odczuć nawet na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, a tutaj, zaledwie sto metrów nad ziemią, lot był wręcz nie do zniesienia, zwłaszcza przy włączonym autopilocie reagującym na ukształtowanie terenu. By zmniejszyć skutki tego młyna, obaj piloci zapięli się mocno pasami, wiedząc jednocześnie, że z tyłu żołnierze przeżywali istne piekło, gdy potężny Sikorsky to podskakiwał, to opadał o dziesięć metrów przynajmniej dziesięć razy na minutę. PJ trzymał cały czas rękę na drążku, idąc za ruchami autopilota, ale gotów w każdej chwili przejąć stery w razie pierwszych oznak awarii

systemu. To było prawdziwe latanie, jak mawiał, co zazwyczaj oznaczało dlań niebezpieczne latanie.

Prześlizgiwanie się przez tę przełęcz - a raczej siodło - wcale nie ułatwiało im życia.

Od południa wznosił się trzysięcznik, od północy dwupółtysięcznik, a środkiem dmuchały masy powietrza znad Pacyfiku, tarposząc lecącego z prędkością trzystu kilometrów na godzinę Pave Lova. Był, ciężki, zatankowawszy ledwie przed kilkoma minutami blisko kolumbijskiego wybrzeża

Pacyfiku.

- Widać Mistrato - rzekł pułkownik Johns.

System nawigacji komputerowej już nakierował ich na północ, żeby mogli przelecieć z dala od miasta i wszelkich dróg. Obaj piloci wypatrywali też czujnie wszystkiego na ziemi, co wskazywało na obecność człowieka: samochodu lub domu. Trasę wybrano oczywiście na podstawie zdjęć satelitarnych, zarówno dziennych, jak i nocnych fotografii na podczerwień, ale niespodzianek nie dało się wykluczyć.

- Buck, Strefa Lądowania Jeden za cztery minuty - zawołał PJ przez interkom.

- Zrozumiałem.

Lecieli przez prowincję Risaralda, część wielkiej doliny leżącej pomiędzy dwoma pasmami grzbietów górskich wyrzuconych w niebo przez uskok tektoniczny w skorupie ziemskiej. PJ pasjonował się geologią. Wiedział, ile wysiłku kosztowało wzniesienie jego maszyny na taką wysokość, chylił więc czoło przed siłami, które wypychały góry na ten sam poziom.

- SL Jeden na widoku - zameldował kapitan Willis.

- Widzę. - Pułkownik Johns chwycił drążek. Wyregulował mikrofon. - Jedna minuta.

Broń w pogotowiu.

- Dobra.

Sierżant Zimmer przeszedł ze swojej pozycji na tył. Sierżant Bean włączył swojego miniguna, na wypadek gdyby coś zaszło. Zimmer poślizgnął się i prawie upadł w kałużę wymiocin. Nic nowego. Przestało rzucać, gdy wlecieli na zawietrzną od gór, jednak z tyłu kilku chłopaków porządnie się pochorowało i z rozkoszą wyjdą na twarde, nieruchomy grunt. Zimmer nie bardzo rozumiał, dlaczego. Przecież na ziemi było niebezpiecznie.

Pierwsza drużyna ustawiła się, kiedy śmigłowiec podchodził do pierwszego lądowania, i tak jak przedtem, w momencie gdy maszyna dotknęła ziemi, wyskoczyła natychmiast tylnymi drzwiami. Zimmer odliczył i upewniwszy się, że wszyscy wysiedli bezpiecznie, dał pilotowi znak do odlotu.

Następnym razem, powiedział sobie Chavez, następnym razem, kurwa, wejść i od razu wyjść! Przeżył już niejedną ciężką przejażdżkę helikopterem, ale nigdy jeszcze nie dostał tak w kość. Podszedł do linii drzew i czekał na resztę drużyny.

- Fajnie jest na ziemi? - spytał Vega, gdy tylko dołączył do niego.

- Nie wiedziałem, że aż tyle zjadłem - Jęczał Ding.

Wszystko, co zjadł przez ostatnich kilka godzin, zostało na pokładzie helikoptera.

Otworzył manierkę i wypił pół litra wody, żeby tylko spłukać wstrętny smak w ustach.

- Kiedyś przepadałem za diabelskimi młynami - powiedział Oso. -Przeszło mi, mano!

- Mowa! - Chavez pamiętał, jak wystawał w ogonkach do wielkich młynów w Knotfs Berry Farm i innych lunaparkach w Kalifornii. Nigdy więcej!

- W porządku, Ding? - spytał kapitan Ramirez.

- Przepraszam. To mi się jeszcze nie przydarzyło. Nigdy! Zaraz mi przejdzie - obiecał dowódcy.

- Spokojnie. Trafiło się nam ładne, spokojne miejsce lądowania. Oby.

Chavez potrząsnął głową, żeby się ocucić. Nie miał pojęcia, że choroba lokomocyjna zaczyna się w uchu środkowym, ba, dopiero pół godziny temu dowiedział się w ogóle o istnieniu takiej choroby. Ale postępował jak należy: oddychał głęboko i potrząsał

głową, by odzyskać równowagę. Ziemia nie porusza się, przekonywał sam siebie, ale część jego mózgu wciąż miała wątpliwości.

- Dokąd idziemy, kapitanie?

- Już się ustawiłeś w dobrym kierunku. - Ramirez poklepał go po ramieniu. - W drogę.

Chavez włożył gogle noktowizyjne i ruszył przez las. Ależ się zbłądził. Nigdy już się tak nie wygłupi - obiecywał sobie. Gdy głowa podpowiadała mu, że porusza się chyba niezupełnie tak, jak chciałyby nogi, całą uwagę skupił na stawianiu kroków i badaniu terenu, pozostawiając resztę oddziału dwieście metrów w tyle. Pierwszy wypad w niskie tereny bagienne to było tylko ćwiczenie, nic poważnego, pomyślał. Ale teraz skończyły się żarty.

Wszyscy pracowali tej nocy do późna. Trzeba było prowadzić dochodzenie, a jednocześnie nie zaniebysać bieżących spraw biura. Kiedy Moira wchodziła do gabinetu Shawa, zdążyła już uporządkować wszystkie sprawy do jego wiadomości, najwyższy też czas powiedzieć

mu to, o czym zapomniała. Nie zdziwiła się wcale, zastając również Murraya. Zdziwiła się zaś, gdy on właśnie przemówił pierwszy.

- Moira, czy ktoś przesłuchiwał cię w związku z podróżą Emila? -spytał Dan.

Skinęła twierdząco.

- Tak, zapomniałam o jednym. Chciałam panu powiedzieć dzisiaj rano, panie Shaw, ale kiedy przyszłam wcześniej, pan spał. Connie mnie widziała - dodała dla pewności.

- Dobrze, mów dalej - rzekł Bili, nie wiedząc, czy ma się pocieszyć tym zapewnieniem, czy nie.

Pani Wolfe usiadła i spojrzała w stronę otwartych drzwi. Murray wstał i zamknął je.

Wracając, położył jej dłoń na ramieniu.

- W porządku, Moira.

- Mam przyjaciela. Mieszka w Wenezueli. Poznaliśmy się... tak, poznaliśmy się półtora miesiąca temu i... ciężko mi wyjaśnić. - Zawiesiła głos i przez chwilę patrzyła w milczeniu na dywan. Wreszcie podniosła głowę. - Pokochaliśmy się. Przyjeżdża do Stanów w interesach co kilka tygodni i podczas nieobecności dyrektora chcieliśmy spędzić razem weekend... w Pustelni, w górach koło jaskiń Luray.

- Wiem, gdzie to jest - powiedział Shaw. - Sympatyczne miejsce, żeby się od tego wszystkiego na chwilę oderwać.

- Kiedy już więc wiedziałam, że pan Jacobs wyjeżdża i będziemy mogli spędzić razem długi weekend, zadzwoniłam do niego. Ma fabrykę. Produkuje części samochodowe...

właściwie to ma dwie fabryki, jedną w Wenezueli, a drugą w Kostaryce. Gaźniki i temu podobne rzeczy.

- Czy dzwoniłaś do niego do domu? - spytał Murray.

- Nie. Zostaje w pracy tak długo, że dzwoniłam do fabryki. Mam przy sobie numer. -

Podala im kawałek firmowego papieru z Sheratona, na którym sam zapisał telefon. -

Ale odebrała sekretarka, Consuela, bo on właśnie obchodził hale fabryczne, więc zadzwonił do mnie później i powiedziałam mu, że moglibyśmy się spotkać, no i przyleciał... Spotkaliśmy się na lotnisku w piątek po południu. Wyjechałam z biura zaraz po panu Jacobsie.

- Na którym lotnisku?

- Dullesa.

- Jak się ten człowiek nazywa? - spytał Shaw.

- Diaz. Juan Diaz. Może pan zadzwonić do niego do fabryki i...

- Ten numer to prywatne mieszkanie, a nie fabryka, Moira - powiedział Murray.

I już wszystko było jasne, tak szybko.

- Ale... ale on... - Umilkła. -Nie. On nie jest...

- Moira, musimy mieć dokładny rysopis.

- Nie, nie. - Usta jej otworzyły się szeroko i pozostawały nieruchome. Przeskakiwała wzrokiem z Shawa na Murraya i z powrotem, sparaliżowana docierającą do niej koszmarną prawdą. Ubrana była oczywiście na czarno, najprawdopodobniej miała na sobie dokładnie te same rzeczy, co na pogrzebie własnego męża. Przez kilka tygodni była znowu młodą, piękną, szczęśliwą kobietą. Koniec. Obaj szefowie z FBI czuli jej cierpienie, nienawidząc się za to, że jej zadali ból. Ona też była ofiarą. Ale była również ich przewodnikiem, a bardzo potrzebowali przewodnika.

Moira Wolfe zebrała w sobie resztki ludzkiej godności i podała im najdokładniejszy rysopis, jaki udało im się zdobyć w całej karierze. Mówiła łamiącym się głosem, dopóki nie straciła całkowicie panowania nad sobą. Shaw kazał swojemu asystentowi odwieźć ją do domu.

- Cortez - rzekł Murray, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi.

- Wszystko na to wskazuje - zgodził się asystent dyrektora wydziału dochodzeń. -Z

jego kartoteki wynika, że nie ma sobie równych w zjednywaniu ludzi. Boże, czyż trzeba nam lepszego dowodu? - Shaw kręcąc głową, sięgnął po kawę. - Ale przecież nie mógł wiedzieć, co szykują.

- Gdyby wiedział, po co by przyjeżdżał? - powiedział Murray. -Ale od kiedy przestępcy działają logicznie? Trzeba zacząć sprawdzać punkty odprawy paszportowej, hotele, linie lotnicze. Zobaczymy, czy uda się nam wpaść na jego ślad.

Zajmę się tym. Co zrobimy z Moirą?

- Nie złamała żadnego prawa, prawda? - To właśnie było najdziwniejsze. - Znajdź dla niej taką robotę, żeby nie musiała oglądać tajnych materiałów, może w innej instytucji rządowej. Dan, nie wolno nam i jej zniszczyć.

- Jasne.

Moira Wolfe dotarła do domu tuż przed jedenastą. Dzieci nie położyły się jeszcze spać, czekając na jej powrót. Pomyślały sobie, że łzy w jej oczach to opóźniona reakcja po pogrzebie. Wszystkie poznały też Emila Jacobsa i przeżywały jego śmierć tak samo jak pracownicy Biura. Nie odezwawszy się prawie ani słowem, Moira poszła prosto na górę do sypialni, zostawiając dzieci przed telewizorem. W łazience spojrzała w lustro, na kobietę, która dała się uwieść i wykorzystać, jak... jak idiotka, gorzej, jak głupia, próżna, samotna kobieta poszukująca swojej młodości. Tak desperacko pragnęła być znowu kochaną, że... Że skazała na śmierć... ilu? Siedmiu ludzi? Nie pamiętała już, patrząc w odbicie swojej

pustej twarzy. Młodzi agenci z ochrony Emila mieli rodziny. Sama zrobiła na drutach sweter dla pierwszego syna Lea. Jeszcze był za mały... nie będzie pamiętał, jakiego miłego, przystojnego, młodego miał ojca.

Wszystko przeze mnie.

Pomogłam ich zabić.

Otworzyła lustrzane drzwiczki apteczki. Jak większość ludzi, państwo Wolfe nie wyrzucali starych pigulek. Bez trudu znalazła plastikowe pudełeczko z tabletkami nasennymi. Z pewnością wystarczy.

- Gdzie cię niesie tym razem? - spytał Timmy Jackson starszego brata.

- Muszę dotrzeć na „Rangera” i obserwować manewry floty. Próbuje nowej taktyki przechwytywania, w której opracowaniu sam brałem udział. W dodatku jeden z moich kumpli właśnie objął dowództwo na „Enterprise”, więc wyjechałem dzień wcześniej, żeby nie stracić ceremonii. Jutro jadę do San Diego i polecę na DNO „Rangera”.

- DNO?

- Dostawy na okręt - wyjaśnił Robby. - Dwusilnikowy transportowiec turbośmigłowy.

A co tam słychać w piechocie?

- Wciąż gramolimy się po górach. Dostaliśmy w tyłek na ostatnich ćwiczeniach. Mój nowy dowódca drużyny wszystko skopał. To niesprawiedliwe - żalił się Tim.

- Dlaczego?

Porucznik Jackson wychylił ostatniego drinka.

- „Zielony porucznik i zielony dowódca drużyny to za duże obciążenie jak na jeden pluton” - tak powiedział nowy S-3. Był razem z nami w terenie. Kapitan miał, niestety, swoje zdanie na ten temat. Stracił wczoraj trochę na wadze... też mu się dostało za mnie. Boże, żeby tylko wrócił Chavez.

- Hm?

- Dowódca drużyny, którego straciłem. Miał... i tego właśnie nie rozumiem... Miał

przejsć do centrum szkolenia podstawowego jako instruktor, ale gdzieś się zgubił. S-3

mówi, że był w Panamie kilka tygodni temu. Kazałem szefowi mojej kompanii odnaleźć jego ślad w papierach i sprawdzić, co się z nim dzieje... bo to wciąż mój żołnierz, rozumiesz? - Robby skinął głową. Rozumiał. - Ale jego papiery ulotniły się, kanceliści biegają w kółko, żeby je odnaleźć. Z Fort Benning dzwonili i pytali, gdzie, do diabła, się podział, bo wciąż na niego czekają. Nikt nie wie, kamień w wodę. Czy takie rzeczy też się dzieją u was w marynarce?

- Kiedy ktoś przepada, to zwykle oznacza, że chce przepaść.

Tim potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Gdzie tam, to nie Ding. Z niego taki nałogowiec, że na pewno nie odejdzie, nawet po dwudziestu latach. Pójdzie na emeryturę w stopniu starszego sierżanta sztabowego.

Nie, on by nie zwiął.

- Może więc ktoś wrzucił jego teczkę do złej szuflady - zasugerował Robby.

- Może. Wciąż jestem zielony w tych sprawach - przypomniał sobie Timmy. - Ale i tak dziwne to wszystko, żeby ni stąd, ni zowąd pojawić się akurat tam, w dżungli. A zresztą, dość już. Co tam u siostrzyczki?

Na jedno nie mogli narzekać: nie było tu gorąco, owszem, nawet całkiem chłodno.

Może nie starczało powietrza, żeby było gorąco - doszedł do wniosku Ding.

Znawali się na nieznacznie mniejszej wysokości niż na obozie w Kolorado, minęły jednak od tego czasu całe tygodnie i dopiero po kilku dniach zaaklimatyzują się ponownie. Trochę to opóźni akcję, ale Chavez pomyślał, że w sumie upał bardziej otumania niż rozrzedzone powietrze i wymaga dłuższej aklimatyzacji.

Takich poszarpanych gór - nikt nie nazywał tych kolosów wzgórzami - jeszcze w życiu nie widział i choć porastał je gęsty las, z nadzwyczajną ostrożnością stawiał każdy krok. Gęstwina ograniczała widzialność i chwała Bogu. Zwisający mu z głowy, jak źle skrojona czapka, noktowizor miał zasięg do stu metrów, a zwykle jeszcze mniej, lecz jednak Chavez coś widział, a górna zasłona z gałęzi nie przepuszczała koniecznego dla nieuzbrojonego oka światła. Strasznie tu było i samotnie, ale sierżant Chavez czuł się tu jak w domu.

Nie szedł w prostej linii ku celowi wyznaczonemu na tę noc, lecz zgodnie z zalecaną w piechocie taktyką zbaczał w lewo i w prawo z wytyczonej trasy. Co pół godziny zatrzymywał się, robił pętlę dla zmylenia śladów i czekał, aż ujrzy resztę oddziału.

Wówczas oni przystawali na kilkuminutowy odpoczynek, sprawdzając najpierw, czy aby nikt nie zainteresował się nowymi gośćmi w wyższych partiach dżungli.

MP-5 trzymał przewieszony przez szyję, w każdej chwili gotowy do strzału. Wylot lufy zabezpieczył taśmą izolacyjną przed zanieczyszczeniem, okleił też klamery rzemienia, żeby nie hałasowały. Hałas był ich wrogiem. Tym razem nie było żartów.

Odprawa przed misją nie pozostawiała tu żadnych wątpliwości. Nie szli już tylko na zwiad.

Po sześciu godzinach marszu Chavez dotarł do wyznaczonego PN -postaju nocnego.

Przekazał komunikat przez radio - pięć uderzeń klawisza nadawania, po czym nastąpiła odpowiedź trzech trzasków - żeby

drużyna nie ruszała się z miejsca, póki nie zbada terenu. Wybrali im prawdziwe orle gniazdo, z którego za dnia mogli obserwować potężny odcinek szosy wijącej się w dole od Manizales do Medellin i wzdłuż której ukryte były w dżungli rafinerie koki.

Sześć spośród nich według wszelkiego prawdopodobieństwa znajdowało się w promieniu

jednonocnego marszu od obecnego postoju. Chavez czujnie okrążał teren, wypatrując śladów stóp, śmieci, jakiegokolwiek świadectwa obecności człowieka.

Zbyt dogodne miejsce, by nie wykorzystywano go w takim czy innym celu, pomyślał.

Może był tu fotograf z „National Geographic” i robił zdjęcia doliny. Z drugiej jednak strony dotrzeć tu nie było łatwo. Znajdowali się ponad tysiąc metrów nad drogą, a teren nie nadawał się do jazdy czołgiem, nie mówiąc już o samochodzie. Doszedł

wreszcie do terenu postoju, zataczając po drodze krąg i niczego podejrzanego nie znalazł. Może było to zbyt daleko od uczęszczanego szlaku. Po trzydziestu minutach włączył ponownie radio. Reszta drużyny miała dość czasu, by sprawdzić tyły; gdyby ktoś deptał im po piętach, doszłoby już do kontaktu. Słońce zdążyło oświetlić na czerwono kontury wschodniej ściany doliny, gdy zjawił się kapitan Ramirez. Dobrze się stało, że przerzut śmigłowcem skrócił noc. Mając za sobą tylko pół nocy marszu, byli zmęczeni, ale nie wyczerpani, został im też cały dzień na przyzwyczajenie się z powrotem do wysokości. Przeszli siedem kilometrów w linii prostej od SL - naprawdę pokonali jednak około dziesięciu kilometrów i wspięli się sześćset metrów.

Jak poprzednim razem, Ramirez porozstawiał ludzi dwójkami. Opoдал przepływał

strumień, ale nikt nie czuł się tym razem spragniony. Chavez i Vega zajęli pozycję nad jednym z dwóch najdogodniejszych dojsć do obozowiska, dość łagodnym, rzadko zadrzewionym zboczem z dobrym polem ostrzału. Ding nie podszedł tą drogą, oczywiście.

- Jak się czujesz, Oso?

- Dlaczego nigdy nas nie wezmą tam, gdzie jest dużo powietrza, chłodno i płasko? -

Sierżant Vega zdjął plecak i położył go tak, żeby służył mu za poduszkę. Chavez uczynił to samo.

- Bo tam ludzie nie toczą wojen, stary. Tam budują sobie pola golfowe.

- Niech to szlag! - Vega ustawił karabin maszynowy przy skalnym występie. Lufę przykrył tkaniną maskującą. Mógł też urwać parę gałęzi i zasłonić całą broń, ale w miarę możliwości nie chcieli niczego naruszać.

Tym razem Ding wygrał losowanie i natychmiast zasnął, bez słowa.

- Mamusiu? - Minęła już siódma, a o tej porze zawsze była na nogach i przygotowywała śniadanie dla całej rodziny rannych ptaszków. Dave zapukał do drzwi sypialni, ale nic nie usłyszał. Wtedy właśnie zaczął się bać. Stracił już ojca, wiedział

więc, że nawet rodzice nie są nieśmiertelnymi, niezmiennymi istotami, które potrzebne są dzieciom w samym środku ich rosnącego wszechświata. Ta zhora prześladowała każde z dzieci Moiry, choć żadne się z tego nikomu nie zwierzało, nawet swojemu rodzeństwu, żeby samymi słowami nie prowokować losu. A jeśli coś się stanie mamusi? Zanim jeszcze Dave położył rękę na klamce, oczy zasły mu łzami na samą myśl o tym, co mógłby zobaczyć.

- Mamusiu? - Głos mu się załamał. Wstyd mu było, bo obawiał się, że usłyszy go rodzeństwo. Przekreślił gałkę i powoli otworzył drzwi.

Przez odsłonięte okna do pokoju wpadało poranne światło. Mama leżała na łóżku, wciąż w czarnej, żałobnej sukni. Nie ruszała się.

Dave stał jak wryty, zalewając się łzami; oto jego osobista zmora urzeczywistniła się i uderzyła go z fizyczną wręcz siłą.

- ...Mamusiu?

Dave należał do odważnych nastolatków, a dzisiejszego ranka odwaga była mu potrzebna. Zebrał w sobie wszystkie siły, podszedł do łóżka i podniósł rękę matki.

Była jeszcze ciepła. Poszukał pulsu. Był, słaby i wolny, ale był. To pchnęło go do działania. Podniósł słuchawkę telefonu przy łóżku i wystukał 911.

- Pogotowie policyjne - odpowiedział niezwłocznie głos w słuchawce.

- Potrzebny natychmiast lekarz. Moja mama nie może się obudzić.

- Gdzie mieszkasz? - spytał głos. Dave podał adres.

- Tak, teraz opisz dokładnie, co się z mamą dzieje.

- Śpi i nie może się obudzić i...

- Czy mama dużo pije?

- Nie! - odparł gniewnie. - Pracuje w FBI. Poszła wczoraj prosto do łóżka, jak tylko wróciła z pracy. Miała... - Naraz zobaczył butelkę na stoliku nocnym. - O Boże! Tu leży butelka po pigułkach...

- Przeczytaj mi nazwę! - prosił głos.

- P-I-a-c-i-d-y-l. To mojego taty, a on... - To wystarczyło.

- Dobrze. Karetka będzie za pięć minut.

Przyjechała po czterech minutach. Dom Wolfe'ów znajdował się tylko trzy ulice od stacji pogotowia. Sanitariusze byli już w pokoju dziennym, zanim reszta rodziny zorientowała się, że coś się dzieje. Pobiegli na górę i zastali Dave'a trzymającego wciąż matkę za rękę. Szef ekipy odepchnął go na bok, sprawdził najpierw oddech, potem oczy, na końcu puls.

- Czterdzieści, nierówny. Oddech... osiem, płytki. Placidyl - zameldował.

- Tylko nie to gówno! - Drugi sanitariusz zwrócił się do Dave'a. - Ile było pigułek w butelce?

- Nie wiem. Mój tato je zażywał, a...

- Jazda, Charlie. - Pierwszy sanitariusz podniósł ją za ramiona. - Odejdź, chłopcze, trzeba się spieszyć. - Nie było czasu na zabawę z noszami. Potężnie zbudowany sanitariusz wyniósł Moirę Wolfe z pokoju, jak niemowlę. - Możesz przyjechać za nami do szpitala.

- Czy...?

- Wciąż oddycha, chłopcze. Nic bardziej pocieszającego nie da się w tej chwili powiedzieć - rzucił na odchodne drugi sanitariusz.

Co się dzieje, do cholery? - zastanawiał się Murray. Wpadł, żeby podrzucić Moirę - Jej samochód wciąż stał w garażu FBI - a także pomóc jej zwalczyć poczucie winy, które z pewnością ją gnębiło. Złamała przepisy bezpieczeństwa, postąpiła bardzo głupio, lecz przecież padła również ofiarą człowieka, który wybrał ją po długich poszukiwaniach ze względu na jej cechy, a potem wykorzystał je z największym profesjonalizmem. Każdy miał swoje słabe strony. To kolejna lekcja, jakiej nauczył się przez lata pracy w Biurze.

Nie miał okazji poznać dzieci Moiry, choć wiele o nich słyszał i łatwo domyślił się, kto wychodzi z domu za sanitariuszem. Murray zaparkował na drugiego i wyskoczył ze służbowego auta.

- Co się stało? - spytał drugiego sanitariusza. Murray pokazał swoją legitymację, żeby uzyskać odpowiedź.

- Próba samobójstwa. Pigułki. Coś jeszcze? - spytał sanitariusz, siadając za kierownicą ambulansu.

- Jedźcie już - Murray spojrzał, czy nie tarasuje drogi karetce. Gdy się odwrócił i popatrzył na dzieci, w mig zorientował się, że

wyraz „samobójstwo” padł po raz pierwszy, i spostrzegł, że widać w oczach na dźwięk tego ohydneho słowa.

To przez tego skurwysyna! Cortez! Módl się, żebym cię nigdy nie dopadł!

- Cześć dzieciaki, nazywam się Dan Murray, pracuję z waszą mamą. Chcecie, to podrzucę was do szpitala. - Śledztwo mogło poczekać. Umarłym się nie śpieszy. Emil by zrozumiał.

Wysadził dzieci przed wejściem do ambulatorium i odjechał poszukać miejsca do parkowania i zrobić użytek z komórkowego telefonu.

- Z Shawem proszę - powiedział dyżurnemu.

Długo nie czekał.

- Dan, mówi Bili. Co jest grane?

- Moira usiłowała w nocy popełnić samobójstwo. Tabletki.

- Co chcesz zrobić?

- Ktoś musi tu siedzieć z dziećmi. Czy Moira ma przyjaciół, do których można by się zwrócić o pomoc?

- Sprawdzę.

- Dopóki kogoś nie znajdziesz, wezmę to na siebie, Bili. Musisz mnie...

- Rozumiem. W porządku. Bądź ze mną w kontakcie.

- Dobrze.

Murray odłożył telefon i przeszedł do szpitala. Dzieci siedziały razem w poczekalni.

Dan dobrze wiedział, co to znaczy czekać w poczekalni po nagłych wypadkach.

Wiedział też, że złoty znaczek FBI otwiera przed nim niemal każde drzwi.

Poskutkowało i tym razem.

- Przed chwilą przyjęliście tu kobietę - zaczepił najbliższego lekarza. - Moirę Wolfe.

- Ach, to ten przypadek przedawkowania.

To jest człowiek, a nie jakiś pieprzony przypadek! - chciał krzyknąć Murray, ale poprzestał na skinieniu głową.

- Gdzie?

- Nie może pan...

Murray przerwał mu bez skrpułów.

- Jest związana z dochodzeniem najwyższej wagi. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Lekarz zaprowadził go do ambulatorium. Nie wyglądało to ładnie. Miała już w gardle rurkę respiratora i kroplówki w żyłach obu rąk. Gdy się jednak przyjrzał dokładniej, spostrzegł, że jedna z rurek pobierała krew i przechodziła przez jakiś pojemnik, po czym odprowadzała ją z powrotem. Nie miała na sobie ubrania, do klatki piersiowej przyklepiono jej czujniki EKG. Murray wyrzucał sobie, że patrzy na nią. Szpitale pozbawiają ludzi godności, ale czyż życie nie jest ważniejsze niż godność?

Dlaczego Moira o tym nie wiedziała?

Dlaczego nie zorientowałeś się w porę, Dan? - wyrzucał sobie Murray. Nie wolno przecież było spuszczać z niej oka. Cholera, gdybyś ją aresztował, nie zrobiłaby tego!

Może powinniśmy byli na nią krzyknąć, a nie cackać się jak z dzieckiem. Może źle to zrozumiała. Może. Może. Może.

Cortez, będziesz trupem, skurwielu. Jeszcze tylko nie wiem, kiedy.

- Wyjdzie z tego? - spytał Murray.

- Kim pan jest, do diabła? - spytał, nie odwracając głowy, lekarz.

- FBI i muszę wiedzieć. Lekarz dalej się nie odwracał.

- Ja też, kolego. Nałykała się placidyłu. To silny środek nasenny, niewielu lekarzy jeszcze go przepisuje, bo łatwo przedawkować. LD-50 to od pięciu do dziesięciu tabletek. LD-50 oznacza dawkę, która zabija połowę tych, którzy przedawkują. Nie wiem, ile zażyła. Przynajmniej jeszcze się trzyma, ale odczyty ma za słabe, żeby się cieszyć. Przeprowadzamy dializę "krwi", żeby więcej się do niej nie dostało, mam nadzieję, że nie tracimy czasu. Podaliśmy jej stuprocentowy tlen, potem napompujemy ją kroplówkami i poczekamy. Nie odzyska przytomności jeszcze co najmniej cały dzień. Może dwa. Może trzy. Trudno powiedzieć. Nie umiem panu także powiedzieć, jakie są szanse. Teraz już pan wie tyle, co ja. Niech pan się wynosi, bo mam kupę roboty.

- W poczekalni siedzi trójka dzieci, panie doktorze. Na te słowa lekarz odwrócił głowę na dwie sekundy.

- Niech pan im powie, że są duże szanse, ale jeszcze przez jakiś czas będzie ciężko.

Przepraszam, człowieku, ale naprawdę sam nie wiem. Pocieszające jest to, że jeśli wyjdzie z tego, to na całego. To świństwo zazwyczaj nie zostawia trwałych uszkodzeń. Chyba że cię zabije - dorzucił lekarz.

- Dziękuję.

Murray wyszedł do dzieci i powiedział im, co mógł. W ciągu godziny pojawili się sąsiedzi, aby zająć się rodzeństwem Wolfe'ów. Dan oddalił się dyskretnie, gdy tylko przyszedł agent i przejął czuwanie w poczekalni. Moira stanowiła prawdopodobnie ich jedyny ślad prowadzący do Corteza, co oznaczało, że jej życiu groziło niebezpieczeństwo nie tylko z jej własnych rąk. Murray dotarł do biura tuż po dziewiątej, wciąż spokojny i wściekły zarazem. Czekają na niego trzech agentów.

Gestem dłoni zaprosił ich do swojego gabinetu.

- No i coście zwojowali?

- Pan „Diaz” zapłacił w Pustelni kartą kredytową. Zidentyfikowaliśmy numer w dwóch stanowiskach linii lotniczych - chwala Bogu za te bankowe komputery. Zaraz po odwiezieniu pani Wolfe, złapał lot z Lotniska Dullesa do Atlanty, a stamtąd do Panamy. Tu ślad się urywa. Musiał zapłacić za kolejny bilet gotówką, bo nie ma żadnego Diaza na listach pasażerów tego wieczoru. Recepcjonista na Lotnisku Dullesa pamięta go - śpieszył się na samolot do Atlanty. Rysopis zgadza się z tym, co już mamy. Diabeł wie, jak się dostał do Stanów w zeszłym tygodniu, w każdym razie nie przez Dullesa.

Przeszukujemy teraz dane komputerowe, odpowiedź ma być gotowa jeszcze dziś przed południem - szansę są pół na pół, czy dowiemy się, jaką trasą wjechał do kraju. Założę się, że

przez jeden z tych molochów, Dallas-Forth Worth, Kansas City czy Chicago. Ale to jeszcze nie gwóźdź programu. American Express odkrył przy okazji, że ma całą talię kart kredytowych na nazwisko Juan Diaz. Kilka z nich zostało wydanych ostatnio, nie mają pojęcia, jakim sposobem.

- No? - Murray nalał sobie kawy. - Jak to się stało, że nikt tego nie zauważył?

- Przede wszystkim wszystkie rachunki regulowane były terminowo i w całości, więc pieski nie czekały. Karty różnią się trochę adresami, a przecież samo nazwisko nie jest wyjątkowo rzadkie, toteż pobieżna kontrola danych nie wzbudziła podejrzeń.

Wygląda na to, że ktoś wkłada im się do systemu komputerowego i to aż na samą górę, do programów zarządzania. Warto pójść tym śladem. Trzymał się tego nazwiska prawdopodobnie na wypadek, gdyby Moira zobaczyła kartę. Dowiedzieliśmy się jednak dzięki temu, że odwiedził okolice Waszyngtonu pięć razy w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Ktoś figluje z systemem komputerowym American Express, ktoś bardzo dobry. Ktoś -ciągnął agent - na tyle dobry, że umie przebić się do wielu komputerów. Facet potrafi otworzyć kompletne linie kredytowe Cortezowi i komu zechce. Znajdzie się chyba sposób, żeby to rozpracować, ale nie byłbym takim optymistą co do przyskrzynienia Corteza w krótkim czasie.

Usłyszeli pukanie do drzwi i wszedł następny agent.

- Dallas-Forth Worth - oznajmił, wręczając kartkę faksu. - Zgadzą się podpisy.

Przyleciał tam i przesiadł się na późny lot do Nowego Jorku na La Guardię, przylot w piątek po północy miejscowego czasu. Chyba wsiadł do ekspresu, żeby spotkać się z Moirą w Waszyngtonie. Ludzie jeszcze sprawdzają.

- Cudownie - rzekł Murray. - Wszystkie punkty dla niego. Skąd przyleciał?

- Jeszcze sprawdzamy, proszę pana. Bilet do Nowego Jorku kupił w kasie. Próbujemy też dowiedzieć się od urzędników imigracyjnych, gdzie przekraczał granicę.

- Dobra. Co dalej?

- Mamy jego odciski palców. Z kartki, którą zostawił pani Wolfe, zdjęliśmy odcisk chyba palca wskazującego lewej ręki. Zgadza się ze śladem na kwicie z kasy na Lotnisku Dullesa. Nie poszło tak łatwo, chłopcy musieli użyć laserów, żeby coś z tego wyszło. Wysłaliśmy ekipę do Pustelni, ale na razie nic. Mają tam niezłe sprzętaczki - za dobre dla naszych celów, ale nasi jeszcze nie dają za wygraną.

- Wszystko jest, oprócz zdjęcia tego drania. Wszystko, oprócz zdjęcia - powtórzył

Murray. - Co po Atlancie?

- Ach! Wydawało mi się, że już mówiłem. Złapał połączenie do Panamy.

- Na jaki adres wydana ma kartę kredytową American Express?

- W Caracas, najprawdopodobniej tylko skrzynka kontaktowa. Jak wszystkie.

- A dlaczego kontrola paszportowa nie... uff - Murray skrzywił się. - Oczywiście paszport ma na inne nazwisko albo całą kolekcję dobraną do kart kredytowych.

- Mamy do czynienia z prawdziwym zawodowcem. I tak szczęście, że mamy już to co mamy, w takim tempie.

- Co nowego w Kolumbii? — spytał następnego agenta.

- Niewiele. Laboratorium pracuje pełną parą, ale nie odkryliśmy niczego, o czym nie wiedzieliśmy wcześniej. Kolumbijczycy mają już nazwiska około połowy sprawców; więzień twierdzi, że nie zna wszystkich, i chyba nie kłamie. Zorganizowali na nich obławę na wielką skalę, ale Morales nie ma większych złudzeń. Są to co do jednego nazwiska ludzi, których rząd kolumbijski ściga od dłuższego czasu. Wszyscy z kręgów M-19. Robota była kontraktowa, tak jak myśleliśmy.

Murray spojrział na zegarek. Dziś odbywał się pogrzeb dwóch agentów z ochrony Emila, z nabożeństwem w katedrze narodowej, gdzie miał również przemawiać prezydent. Zadzwoił telefon.

- Murray.

- Mówi Mark Bright z Mobile. Mamy nowe szczegóły.

- Słucham.

- W sobotę został zastrzelony gliniarz. Robota na zamówienie, ingramy, z bliskiej odległości, ale chłopak z sąsiedztwa stuknął jednego z napastników ze staruszką marlina 0,22 prosto w tył głowy. Zabił go, ciało i wóz znaleziono wczoraj. Zabity napastnik został zidentyfikowany jako członek gangu narkotykowego. Lokalna policja przeszukała dom ofiary, detektywa sierżanta Bradena, i znalazła aparat fotograficzny, który należał do ofiary w sprawie piratów. Denat był sierżantem od włamań.

Podejrzewam, że pracował dla handlarzy i prawdopodobnie sprawdzał dom ofiary przed zabójstwami, szukając danych finansowych, które nam się w końcu udało znaleźć.

Murray pokiwał głową w zamyśleniu. Te fakty wносиły coś nowego. Więc chcieli się upewnić, czy ofiara nie zostawiła po sobie żadnych śladów, zanim zlikwidowali całą rodzinę, ale ich facet spartaczył robotę i za to go wykończyli. Była to także część zamachu na dyrektora Jacobsa, dodatkowy odprysk po operacji „Tarpon”. Dranie chyba naprawdę napinają mięśnie.

- Coś jeszcze?

- Miejscowi gliniarze są w podłym nastroju. Po raz pierwszy ktoś odważył się w taki sposób najść policjanta, publicznie, a w dodatku jego żona zginęła od zabłąkanej kuli.

Ludzie są wściekli. Zeszłej nocy zastrzelono handlarza narkotyków. Wyjdzie na to, że strzelano zgodnie z przepisami, ale nie wydaje mi się, że to przypadek. Tyle na razie.

- Dzięki, Mark. - Murray odłożył słuchawkę. - Dranie wypowiedziały nam wojnę, no cóż - mruknął pod nosem.

- Proszę?

- Nic, nic. Sprawdziliście wcześniejsze podróże Corteza: hotele, wypożyczalnie samochodów?

- Dwudziestu ludzi nad tym teraz pracuje. Wstępne dane powinniśmy mieć już za dwie godziny.

- Informuj mnie na bieżąco.

Stuart był pierwszym porannym interesantem prokuratora federalnego. Sekretarce wydawało się, że adwokat jest w wyjątkowo dobrym nastroju. Nie było widać po nim kaca.

- Dzień dobry, Ed. - rzekł Davidoff, nawet nie wstając. Biurko miał zavalone masą papierów. - Co cię do mnie sprowadza?

- Kara śmierci odpada - powiedział, siadając Stuart. - Daję przyznanie się do winy za wyrok dwudziestu lat. Więcej ze mną nie utargujesz.

- Do zobaczenia w sądzie, Ed - odparł Davidoff, zatapiając się na powrót w papierach.

- Nie jesteś ciekaw, co mam?

- Jeśli coś dobrego, to z pewnością pokażesz w stosownym czasie.

- Może mi wystarczyć do całkowitego uniewinnienia moich chłopców. Chcesz mi na to pozwolić?

- Uwierzę, jak zobaczę - powiedział Davidoff, ale już nie patrzył w papiery. Stuart był

może zbyt fanatycznym obrońcą, pomyślał prokurator, ale uczciwym. Nie kłamał, przynajmniej na sali sądowej.

Stuart z nawyku nosił staroświecką teczkę z usztywnionej skóry, a nie obowiązującą teraz wśród prawników nowszą, zgrabniejszą dyplomatkę. Wydobył z niej magnetofon. Davidoff obserwował w milczeniu. Obaj byli prawnikami i obaj świetnie potrafili skrywać swoje uczucia, mówić to, co trzeba, bez względu na własne przekonania. Ponieważ jednak obaj opanowali tę umiejętność w równym stopniu jak zawodowi pokerzyści, znali również bardziej subtelne sygnały, niewidoczne dla innych.

Stuart wiedział, że naciskając klawisz odtwarzania, wprowadził swojego adwersarza w zakłopotanie. Nagranie trwało kilka minut. Wprawdzie jakoś dźwięku była kiepska, taśmy dało się jednak słuchać,

a po drobnych zabiegach oczyszczających w laboratorium rozmowa będzie wystarczająco wyraźna.

Davidoff zareagował oczywistym argumentem:

- To nie ma związku z oskarżeniem. Informacje uzyskane w wymuszonej spowiedzi oskarżonego i tak nie są w ogóle brane pod uwagę jako materiał dowodowy.

Uzgodniliśmy to przecież wcześniej.

Mając teraz przewagę, Stuart rozluźnił się. Nadeszła pora na wielkoduszość.

- Wy uzgodniliście. Ja nic nie mówiłem. Rząd dopuścił się rażącego naruszenia konstytucyjnych praw moich klientów. Symulowana egzekucja stanowi co najmniej torturę psychiczną. Czyste bezprawie. Musisz postawić tych dwóch facetów na świadków, żeby dowieść swego, a ja wtedy ukrzyżuję tych marynarzy ze Straży Przybrzeżnej, co może skompromitować ich wszystkie zeznania. Wiadomo, co pomyśli sąd?

- Niewykluczone, że wstanie i zacznie klaskać - odrzekł zafrasowany Davidoff.

- Owszem, nie da się tego wykluczyć. Jedyne rozwiązanie, żeby się przekonać, to proces. -

Stuart schował do teczki magnetofon. - Nadal wolisz szybki termin procesu? Z takim materiałem dowodowym mogę podważyć wiarygodność całego twojego wyводу: bądź co bądź, jeśli wycięli jeden taki wariacki numer, to co będzie, jeżeli moi klienci zeznają, że zostali zmuszeni do masturbacji, żeby dostarczyć wam próbek nasienia, o których powiadomiliście prasę, albo że kazano im trzymać narzędzia zbrodni, żeby zdjąć odciski palców, a ja to wszystko zgrabnie powiążę z tym, co wiem o ofierze?

Sądzę, że mam ogromne szansę posłać ich do domu, żywych i wolnych. - Stuart pochylił się do przodu, opierając ręce na biurku Davidoffa. - Z drugiej strony, jak sam twierdzisz, trudno przewidzieć, jak zareaguje sąd. Proponuję ci więc przyznanie się do winy, a ty żądasz dwudziestu lat z obojętnie jakiego paragrafu... wychodzą zatem, powiedzmy, po ośmiu latach. Dziennikarzom mówisz, że są pewne kłopoty z materiałem dowodowym i że jesteś bardzo zły z tego powodu, ale, niestety, nic nie poradzisz. Moi klienci wychodzą z obiegu na dość długo. Ty dostajesz żądany wyrok, ale nikt nie umiera. Tak czy owak, to moja propozycja. Daję ci dwa dni na przemyślenie sprawy.

Stuart wstał, podniósł teczkę i wyszedł bez pożegnania. Gdy drzwi się za nim zamknęły, rozejrzał się za męską toaletą. Czuł przemożną potrzebę umycia rąk, nie bardzo wiedząc, dlaczego. Pewien był natomiast, że postąpił właściwie. Przesłany -

nie twierdził przecież, że to nie przestępcy -

dostaną wyrok, ale nie zginą na krześle elektrycznym, a kto wie, pomyślał, może się nawrócą na właściwą drogę. To typowe kłamstwo, którym pocieszają się adwokaci.

On sam z kolei nie będzie musiał rujnować kariery kilku facetom ze Straży Przybrzeżnej, którzy zapewne wychyliłi się tylko raz i już nigdy sobie na to nie pozwolą. Był gotów pójść na taki układ,

ale bez entuzjazmu. Tym sposobem każdy coś wygrywał, a dla prawnika to wszakże całkiem przyzwoity wynik. Mimo to chciał

koniecznie umyć ręce.

Edwin Davidoff miał twardszy orzech do zgryzienia. Nie była to przecież sprawa czysto kryminalna. To samo krzesło elektryczne, które przeniosłoby tych dwóch piratów do piekła, jego wyniosłoby do apartamentu w Budynku Dirksena, gdzie mieściły się biura Senatu. Od czasu, gdy Davidoff w pierwszej klasie szkoły średniej przeczytał konstytucję, pragnął miejsca w Senacie Stanów Zjednoczonych. Pracował

doprawdy bardzo ciężko, żeby na to zarobić: prymus w swojej grupie na wydziale prawa uniwersytetu Duke, całodniowa harówka za zaniżoną pensję w Departamencie Sprawiedliwości, prelekcje w całym kraju, które niemal zniszczyły mu życie rodzinne.

Złożył swoje życie na ołtarzu sprawiedliwości... i ambicji, nie krył tego przed sobą. I teraz, kiedy wszystko już leżało w jego zasięgu, kiedy miał słusznie pozbawić życia dwóch kryminalistów, którzy dowiedli, że do życia nie mają prawa... głupia taśma mogła to wszystko zniszczyć. Jeżeli ugnie się w oskarżeniu i za okazanie skruchy zażąda marnych dwudziestu lat, cała jego praca, wszystkie przemówienia na temat sprawiedliwości zostaną zapomniane. Raz na zawsze.

Z drugiej strony, co by się stało, gdyby zlekceważył to, co powiedział mu przed chwilą Stuart, i doprowadził do procesu... i zaryzykował, że zapamiętają go jako prokuratora, który przegrał sprawę z kretesem? Mógłby obciążyć marynarzy Straży Przybrzeżnej odpowiedzialnością za to, co zrobili... ale wówczas poświęciłby ich kariery i kto wie, czy nie wolność, na ołtarzu czego? Sprawiedliwości? Ambicji? A może zemsty?

Wszystko jedno, czy wygra, czy przegra sprawę piratów, ludzie ci ucierpią, mimo że dzięki nim administracja zadała najboleśniej dotąd cios w walce z kartelem.

Narkotyki. Wszystko się do nich sprowadzało. Ich zdolność korumpowania przewyższała wszystko, co znał do tej pory. Narkotyki ludzi korumpowały, deprawowały umysły poszczególnych jednostek, a w końcu pozbawiały życia.

Narkotyki rodziły takie pieniądze, że w sidła korupcji wpadali ci, co trzymali się z dala od samego procederu. Narkotyki korumpowały całe instytucje na każdym poziomie i w każdy możliwy sposób.

Narkotyki korumpowały całe rządy. Jakie więc było rozwiązanie? Davidoff nie znał

rozwiązania, choć wiedział, że gdyby przypadkowo ubiegał się o mandat do Senatu, mizdrzyłby się przed kamerami telewizyjnymi i ogłaszał wszem wobec, że takie rozwiązanie ma - a przynajmniej połowiczne - Jeśli tylko obywatele Alabamy zechcą, by ich reprezentował...

O Boże, pomyślał. Więc co ja mam teraz zrobić?

Tych dwóch piratów zasługuje na śmierć za to, co zrobili. Gdzie moje zobowiązania wobec ofiar? Nie wszystko było kłamstwem - właściwie nie kłamał wcale. Davidoff rzeczywiście wierzył w sprawiedliwość, naprawdę wierzył, że ludzie wymyślili prawo, by strzec się przed drapieżnikami, wierzył święcie, że jego życiową misją jest działanie jako narzędzie tej sprawiedliwości. Bo inaczej po co by pracował tak ciężko za tak marne wynagrodzenie? Czyżby tylko dla ambicji?

Nie.

Jedna z ofiar miała brudne ręce, ale co z pozostałą trójką? Jak to się nazywa w wojsku? Straty uboczne. Stosowano ten termin do sytuacji, gdy atak na indywidualny cel przypadkowo niszczył inne znajdujące się przypadkowo w pobliżu obiekty. Straty uboczne. Co innego, jeśli Departamentowi Stanu zdarzało się to podczas wojny. W

tym przypadku chodziło jednak o zwykłe morderstwo.

Nie, wcale nie takie zwykłe. Dranie się nie spieszyli. Bawiło ich to. Czy aby osiem lat to dla nich nie za mało? Ale jeśli przegrasz cały proces? A nawet jeśli wygrasz, czy możesz poświęcić tych ratowników morskich dla sprawiedliwości? Czy to też straty uboczne?

Musiało być jakieś wyjście. Zwykle się znajdowało, a przecież miał aż dwa dni na szukanie.

Spali znakomicie, a rozrzedzone, górskie powietrze nie dało im się tak mocno we znaki, jak przypuszczali. O zachodzie słońca drużyna była już na nogach. Chavez pił

neskę, studiując mapę i zastanawiając się, który z zaznaczonych celów dzisiejszej nocy wykreślą. Przez cały dzień chłopcy nie spuszczały z oczu biegnącej w dół drogi, wiedząc mniej więcej, czego szukać. Samochodów załadowanych pojemnikami z kwasem. Tania lokalna siła robocza rozładuje słoje i pomaszeruje z nimi w góry, a za tragarzami pójda ludzie z plecakami wypchanymi liśćmi koki i drobnym sprzętem.

Tuż przed zachodem słońca nadjechała ciężarówka. Światła zgasły, a ich noktowizory, z powodu braku teleobiektywów, nie pozwoliły na

dostrzeżenie wszystkich szczegółów. Ciężarówka odjechała dość szybko. Byli trzy kilometry od celu obecnej akcji, który z kolei znajdował się sześć kilometrów od ich bazy.

Kurtyna w górę. Każdy spryskał sobie porządnie ręce płynem przeciwko insektom, potem natarł nim twarz, szyję i uszy. Płyn ten nie tylko odstraszał owady, ale także rozmiękczał farbę maskującą, która stanowiła następną warstwę tego przerażającego makijażu. Partnerzy z każdej dwójki pomagali sobie nawzajem przy tych zabiegach.

Ciemniejsze odcienie szły na czoło, nos i kości policzkowe, jaśniejsze zaś kładło się na naturalnie zacienione miejsca, a więc pod oczami i w dołkach policzków. Nie były to barwy wojenne, jak można by sądzić po filmowych obrazkach żołnierzy. Celem była niewidoczność, a nie zastraszenie przeciwnika. Twarze ich nie przypominały w ogóle ludzkich twarzy.

Przyszędł wreszcie czas naprawdę pokazać, czy zasługują na swój żołd. Podejścia i punkty zborne

zostały wybrane wcześniej i przekazane do wiadomości każdego członka drużyny. Były jeszcze pytania i odpowiedzi, przewidywanie nieprzewidzianych okoliczności, ustalanie planów alternatywnych, po czym Ramirez kazał im wstawać, zbierać się i ruszać w drogę, póki jeszcze mieli trochę światła po wschodniej stronie doliny.

Rozdział 17

REALIZACJA

Przepisowy rozkaz bojowy dla wojsk lądowych uporządkowany jest według algorytmu RZRAWDS: Rozpoznanie, Zadanie, Realizacja, Asekuracja i Wsparcie; Dowodzenie i Sygnalizacja.

Rozpoznanie to wszelkie informacje o okolicznościach misji; o co chodzi i o czym powinien wiedzieć żołnierz.

Zadanie to zwięzły opis tego, co należy zrobić.

Realizacja wskazuje metody osiągnięcia celu misji, czyli jak wykonać zadanie.

Asekuracja i Wsparcie to wszelkie funkcje, które mogłyby pomóc żołnierzom w wykonaniu zadania.

Dowodzenie określa źródło rozkazów w każdym ogniwie łańcucha, teoretycznie na samą górę, aż do Pentagonu, i na dół, do najmłodszego stopniem członka jednostki, który na samym dole drabiny musi dowodzić samym sobą.

Sygnalizacja to ogólny termin obejmujący przyjęte na czas misji zasady komunikacji.

Żołnierze zostali już zaznajomieni z ogólnym rozpoznaniem, co zresztą nie było im aż tak potrzebne. Zarówno sytuacja, jak i obecne zadanie trochę się zmieniły, wiedzieli jednak o tym wcześniej. Kapitan Ramirez przekazał im instrukcje, jak wykonać bieżące zadanie, a także parę innych niezbędnych informacji na tę noc. Nie mieli wsparcia z zewnątrz. Zdani byli na własne siły. Ramirez dowodził oddziałem, wyznaczywszy liderów na wypadek, gdyby sam utracił zdolność kierowania akcją. Ustalił również kody radiowe. Przed wejściem z ludźmi do akcji pozostało mu już tylko powiadomić przez radio o swoich intencjach Zmienną, której lokalizacji nie znał, lecz od której otrzymał zgodę.

Jak zawsze, tak i tym razem sierżant sztabowy Domingo Chavez szedł na czele, wyprzedzając teraz o sto metrów Julia Vegę, który również szedł sam pięćdziesiąt metrów przed główną grupą, gdzie odległość pomiędzy poszczególnymi żołnierzami wynosiła przy podejściu do celu dziesięć metrów. Nogi gorzej znosiły schodzenie z góry, ale chłopcy byli tak spięci, że nie zwracali na to uwagi. Co kilkaset metrów Chavez wybierał przecinkę, z której mogli popatrzeć na cel - miejsce, na które mieli uderzyć - i przez lornetkę widział blade światelka latarni benzynowych. Mając słońce za plecami, nie przejmował się odbłaskami od szkieł lornetki. Cel znajdował się dokładnie tam, gdzie wskazywała mapa - zastanawiał się, w jaki sposób zdobyto taką informację - postępowali więc ściśle według ustalonego planu. Ktoś na piątkę odrobił

zadanie domowe, pomyślał. Spodziewali się zastać w „Hotelu” piętnastu ludzi. Miał

nadzieję, że to też się potwierdzi.

Marsz okazał się całkiem znośny. Zarośla nie były tak gęste jak w dolinach i mniej latało owadów. Pomyślał sobie, że też chyba nie lubią rozrzedzonego powietrza. Raz po raz nawoływały się ptaki, ot, zwyczajny leśny jazgot, maskujący odgłosy kroków oddziału - ale było tego cholernie mało. Chavez

słyszał, jak ktoś potknął się i upadł sto metrów za nim, tylko ninja jednak by się zorientował. Pokonał pół drogi w ciągu niespełna godziny i poczekał na resztę drużyny w wyznaczonym punkcie zbornym.

- Nieźle, jak na razie, jefe - powiedział Ramirezowi. - Nic nie widziałem, nawet lamy -

dodał, by pokazać, że jest rozluźniony. - Jeszcze niecałe trzy tysiące metrów i jesteśmy na miejscu.

- Dobra. Zatrzymaj się na następnym punkcie kontrolnym. I pamiętaj, że ktoś może się wybrać na spacer po lesie.

- Jasne, panie kapitanie. - Chavez natychmiast ruszył w dalszą drogę. Reszta poszła w jego ślady po dwóch minutach.

Ding poruszał się teraz wolniej. Prawdopodobieństwo kontaktu wzrastało z każdym krokiem w stronę „Hotelu”. Gangsterzy nie mogli być aż tak durni, ostrzegł się w duchu. Mieli trochę oleju w głowie, a do brudnej roboty zatrudniali miejscowych, ludzi, którzy wychowali się w tej dolinie i znali każdą ścieżkę. Wielu z nich miało przy sobie broń. Zdumiał się, jak dalece jego odczucia podczas tej misji odbiegają od wrażeń z poprzedniej, ale przecież wówczas całymi dniami obserwował i oceniał cele, teraz nie znał nawet ich liczby ani uzbrojenia, nie wiedział, jakie są ich umiejętności.

Boże, toż to prawdziwa walka.

Ale właśnie po to są ninja! - dodawał sobie otuchy tym zaklęciem.

Z czasem działy się dziwne rzeczy. Każdy krok zdawał się trwać wieczność, lecz gdy dotarł do ostatniego punktu zbornego, okazało się, że wcale się nie guzdrał. Widział

teraz światło celu, przyćmione, zielone półkole w nocnych goglach, ale wciąż nie było widać ani słyszać żadnego ruchu w lesie. Doszedłszy do ostatniego punktu kontrolnego, stanął za upatrzonym drzewem i trzymając podniesioną głowę, zwracał

się to w prawo, to w lewo, by wyłapać jak najwięcej informacji. Wydawało mu się, że już coś słyszy. Od czasu do czasu pojawiał się i znikał dziwny, nienaturalny dźwięk od strony celu. Niepokoił się, że jeszcze nic konkretnego nie widzi. Tylko to światełko, nic więcej.

- No i? - spytał szeptem kapitan Ramirez.

- Słyszać coś.

- Tak - rzekł po chwili kapitan.

Żołnierze zrzucili plecaki i podzielili się według planu. Chavez, Vega i Ingeles mieli podejść pod sam „Hotel”, reszta zaś okrążyć cel od lewej strony. Ingeles, sierżant łącznikowy, miał podwieszony pod karabinem granatnik M-203, Vega dźwigał kaem, a Chavez nie rozstawał się ze swoim MP-5 z tłumikiem. Ich zadaniem było ubezpieczenie misji. Mieli podejść jak najbliżej i wesprzeć ogniem właściwy atak.

Gdyby ktoś wszedł im w drogę, Chavez miał po cichu zlikwidować przeszkodę. Ding ruszył pierwszy na czele swojej grupy, a kapitan Ramirez minutę później. W obu grupach odstęp między żołnierzami zostały skrócone do pięciu metrów.

Dezorientacja stanowiła kolejne realne niebezpieczeństwo. Gdyby któryś z żołnierzy stracił kontakt z towarzyszami lub zwiad wroga wśliznął się między nich, skutki mogły być fatalne dla misji i jej wykonawców.

Ostatnich pięćset metrów szli przeszło pół godziny. Na mapie pozycja Dinga wyglądała całkiem wyraźnie, znacznie gorzej jednak w lesie po ciemku. Świat zawsze inaczej wyglądał w nocy i nawet z goglami noktowizyjnymi było... jakoś inaczej. Miał niejasną świadomość, że wpada w panikę. Nie dlatego, że się aż tak bał, tylko tracił pewność siebie. Powtarzał sobie co dwie, trzy minuty, że dobrze wie, co robi. Działo to za każdym razem - lecz zaledwie przez kilka minut, nim niepewność znów brała górę. Rozum podpowiadał mu, że przeżywa to, co w podręcznikach zwie się normalną reakcją niepokoju. Chavezowi się to nie podobało, ale wkrótce spostrzegł, że da się z tym żyć. Tak jak było napisane w podręcznikach.

Zauważył ruch i sam stanął w bezruchu. Uniósł lewą rękę ponad głowę, ostrzegając kolegów, żeby również się zatrzymali. Podniósł głowę, tak jak go uczyli. Ludzkie oko widzi w nocy tylko ruch, jak podpowiadały mu podręczniki i własne doświadczenie.

Chyba że wróg miał noktowizory...

Ten akurat nie miał. Niespełna sto metrów dalej wyłonił się ludzki kształt i poruszał się wolno pomiędzy Chavezem a miejscem, gdzie Chavez chciał się znaleźć. Ten prosty fakt wydał na tego człowieka wyrok śmierci. Ding dał znak Ingelesowi i Vedze, żeby zostali na miejscu, podczas gdy on sam przejdzie na prawo, w kierunku przeciwnym w stosunku do celu, by zająć go od tyłu. Jak na ironię, teraz poruszał się szybkim krokiem. Miał być na swoim miejscu za piętnaście minut. Wybierał za pomocą noktowizyjnych gogli czyste miejsca i stawiał kroki jak najostrożniej, idąc jednak z prawie normalną szybkością. Niepokój zastąpiła pewność siebie, gdy już widział

dokładnie, co ma zrobić. Najlżejszym nawet szelestem nie zmącił ciszy, poruszając się samotnie, przykucając i przerzucając wzrok spod nóg na cel i z powrotem na drogę. W

ciągu minuty dotarł do właściwego miejsca. Znalazł się na ścieżce, trasie patrolowej wartownika. Idiota trzymał się wydeptanej ścieżki, osądził go Chavez. Takich bzdur się nie robi, jeśli się chce żyć.

Wracał teraz, poruszając się wolnymi, dziecięcymi niemal krokami, ale szedł bardzo cicho. Bo po wydeptanej ścieżce - zorientował się po niewczasie Ding. - Może on wcale nie był takim idiotą. Głowę trzymał zwróconą ku górze. Ale karabin przewieszony miał przez ramię. Chavez pozwolił mu podejść bliżej, zdejmując gogle, gdy strażnik odwrócił wzrok. Stracił na kilka sekund cel z oczu. Był bliski paniki, ale w porę się opanował. Cel pojawi się przecież wkrótce w polu widzenia, wracając na południe.

Pojawił się, najpierw jako upiorna sylwetka, a już po chwili jako czarna masa posuwająca się przetartym korytarzem w dżungli. Ding przykucnął za pniem drzewa i z bronią wycelowaną w głowę wartownika

czekał, aż ten podejdzie bliżej. Lepiej później, a na pewniaka. Broń nastawił na pojedynczy ogień. Mężczyzna zbliżył się na odległość dziesięciu metrów. Chavez już nawet nie oddychał. Wycelował dokładnie w środek głowy i wystrzelił jeden nabój.

Metaliczny szczęk zamka H&K wydał się nieznośnie głośny, ale cel upadł natychmiast.

Słysząc było tylko stłumiony odgłos karabinu uderzającego o ziemię przy ciele ofiary.

Chavez wyskoczył z ukrycia, nie spuszczać lufy pistoletu z celu, ale mężczyzna - bo był to jednak mężczyzna - nie ruszał się. Ding założył z powrotem gogle i zobaczył

pojedynczą ranę dokładnie pośrodku nosa; kula przeszła pod kątem do góry i przeszła dolne partie mózgu, gwarantując natychmiastową, cichą śmierć.

Ninja! - wykrzyknął w duchu.

Stał przy trupie i spojrzał w górę, unosząc wysoko broń. Droga wolna. Po chwili w zielonkawym wizjerze ukazały się sylwetki schodzących z góry Vegi i Ingelesa.

Odwrócił się, znalazł punkt obserwacyjny i poczekał na kolegów.

Widział teraz cel jak na dłoni, siedemdziesiąt metrów przed sobą. Światło benzynowych latarni jarzyło się tak oślepiającym blaskiem, że postanowił zdjąć gogle i już ich nie zakładać. Dochodziło teraz z dołu więcej głosów. Wyłapywał nawet poszczególne słowa. Ludzie prowadzili nudną, codzienną rozmowę, jak przy każdej innej nużącej pracy. Słysząc też było chlapanie jakby... czego? Ding nie wiedział i nie zwracał sobie tym teraz głowy. Osiągnął pozycję swojej grupy. Powstał tylko jeden drobny problem.

Widzialność celu była ograniczona. Drzewa, które miały kryć ich z prawej flanki, w rzeczywistości zasłaniały im cel. Pozycję wspierającą zaplanowano źle, zdecydował.

Skrzywił się i sporządził nowe plany, wiedząc, że kapitan zrobiłby to samo. Znaleźli niemal tak samo dobre miejsce piętnaście metrów dalej, a przy tym wychodzące we właściwym kierunku. Popatrzył na zegarek. Należało się spieszyć. Nadszedł czas ostatniej, decydującej obserwacji celu.

Naliczył dwunastu ludzi. Na środku stało... coś, co sprawiało wrażenie przenośnej wanny. Chodziło w niej dwóch mężczyzn, krusząc albo mieszając czy robiąc Bóg wie co z dziwaczną zupą z liści koki i... Co nam mówili? - spytał się w duchu. Wody i kwasu siarkowego? Coś w tym guście. Chryste Panie! - pomyślał. Żeby chodzić w pieprzonym kwasie siarkowym! Ludzie wykonywali tę obrzydliwą czynność na zmianę. Obserwował taką jedną zmianę: ci, którzy właśnie wyszli z wanny, polewali sobie stopy i łydki czystą wodą. Musiało ich parzyć albo boleć, czy co? -pomyślał

Ding. Ale słyszał, że rozmawiają całkiem swobodnie.

opowiadał o swojej dziewczynie w dość niewybredny sposób, chwając się, jak mu dogodziła i jak on jej.

Sześciu mężczyzn miało karabinki, wszystkie AK. Chryste, cały świat nosi to cholerne żelastwo. Stali na obrzeżach placu, patrząc jednak do środka, a nie na zewnątrz. Jeden palił. Przy latarni leżał plecak. Któryś z ugniataczy powiedział coś do wartownika z bronią i wyciągnął sobie flaszkę piwa, a drugą dla tego, który mu dał pozwolenie.

Idioci! - powiedział do siebie Ding. W słuchawce rozległy się trzy trzaski. Ramirez dotarł na miejsce i pytał, czy Ding jest gotów. W odpowiedzi nacisnął dwa razy klawisz nadajnika, po czym rozejrzał się na lewo i na prawo. Vega ustawił karabin maszynowy na podstawie i zatrzasnął w zamku początek parcianej taśmy amunicyjnej.

Dwieście naboji było gotowych do użytku, a obok czekała druga taśma.

Chavez znów przycupnął jak najbliżej grubego drzewa i wybrał najdalszy cel.

Oszacował odległość na jakieś osiemdziesiąt metrów, odrobinę za dużo jak na jego broń, za daleko na strzał w głowę. Przetawił broń na ogień seryjny, przyłożył się mocno do broni i pieczołowicie wycelował.

Wystrzelił trzy naboje. Twarz mężczyzny wyrażała zaskoczenie, gdy dwa z nich trafiły mu w pierś. Zamiast oddechu wydawał z siebie chrapliwe jęki, co przykuło uwagę innych. Chavez przesunął ogień na innego uzbrojonego mężczyznę, który już zdejmował karabin z ramienia. Ten też dostał dwa lub trzy razy, ale nadal usiłował

złożyć się do strzału.

Gdy tylko zaszła możliwość, że ranny odpowie ogniem, odezwał się Vega, unieruchamiając go serią z karabinu maszynowego, a następnie przenosząc ogień na jeszcze dwóch uzbrojonych mężczyzn. Jeden z nich wystrzelił wprawdzie dwa naboje, ale poszły za wysoko. Inni, nieuzbrojeni mężczyźni reagowali wolniej niż strażnicy.

Dwóch rzuciło się do biegu, ale powstrzymał ich strumień ognia Vegi. Pozostali padli na ziemię i czołgali się. Pokazało się dwóch kolejnych uzbrojonych ludzi, a raczej ich broń. Z krzaków po przeciwnej stronie polany wpełzły ogniste zygzaki serii z broni maszynowej, wymierzone w grupę ubezpieczającą. Dokładnie według planu.

Grupa szturmowa pod komendą kapitana Ramireza otworzyła ogień z prawego skrzydła. Las rozbrzmiał charakterystycznym terkotem serii z M-16, a Chavez, Vega i Ingeles nadal obsypywali cel gradem pocisków w bezpiecznej odległości od grupy szturmowej. Jeden z ukrytych w krzakach strzelców musiał dostać. Błysk ognia przy wylocie lufy zmienił nagle kierunek, mierząc na oślep w górę. Ale dwóch innych zdążyło się jeszcze odwrócić i skierować ogień na grupę szturmową, nim padli.

Żołnierze strzelali teraz do wszystkiego, co się ruszało. Któryś z ugniataczy koki próbował podnieść porzucony karabin, ale nie zdążył. Inny znów wstał i być może chciał się poddać, lecz zanim podniósł ręce do góry, pierś przeszła mu seria pocisków smugowych z drugiego kaemu.

Grupa Chaveza przerwała ogień, aby pozwolić oddziałowi szturmowemu bezpiecznie wejść na zdobyty teren. Dwóch żołnierzy zajęło się dobijaniem tych, którzy ruszali się jeszcze, mimo ciężkich ran. Potem wszystko na chwilę ucichło. Wciąż syczała latarnia i oświetlała teren, lecz poza tym nie było nic słyszać, prócz echa strzelaniny i świergotu rozdrażnionych ptaków.

Czterech żołnierzy przeszukiwało zabitych. Reszta grupy szturmowej rozstawiła się na posterunkach wokół terenu rafinerii. Chavez, Vega i Ingeles zabezpieczyli broń, pozbierali swoje rzeczy i wyszli z ukrycia.

Oczom Chaveza ukazał się przerażający widok. Dwóch wrogów jeszcze żyło, ale kres miał nadejść lada chwila. Jeden padł ofiarą karabinu maszynowego Vegi, czego efektem był rozpruty brzuch. Drugi miał niemal odstrzelone obie nogi i obficie krwawił. Medyk oddziału popatrzył na nich bez współczucia. Obaj wyzionęli ducha w ciągu minuty. Nie mieli wyraźnych rozkazów dotyczących jeńców. Nikt nie mógł

amerykańskim żołnierzom zabronić zgodnie z prawem brać jeńców wojennych, a brak jednoznacznego stanowiska trapił kapitana Ramireza, lecz zrozumiał to niedomówienie. Cholernie przykra sprawa. Jednakże ci ludzie przyczyniali się do zabijania młodych Amerykanów narkotykami, a tego przecież też nie dopuszcza konwencja genewska. Parszywa sprawa, ale mówi się trudno. Poza tym mieli masę innych kłopotów na głowie.

Ledwie Chavez wszedł na pobojuwisko, gdy usłyszał jakiś hałas. Wszyscy zresztą słyszeli. Ktoś uciekał, prosto w dół. Ramirez wskazał na Dinga, który natychmiast rzucił się w pogoń. Sięgnął po gogle i starał się trzymać je w ręce podczas biegu, aż zdał sobie sprawę, że chyba nie warto biec w tej sytuacji. Zatrzymał się, przyłożył

noktowizor do oczu i dostrzegł zarówno ścieżkę, jak i uciekiniera. Raz lepsza jest ostrożność, innym razem brawura. Instynkt podpowiedział mu, że teraz trzeba wybrać tę drugą. Chavez popędził ścieżką, zdając się na swoje umiejętności stawiania kroków po ciemku, i szybko doganiał uciekiniera. Nie minęły trzy minuty, a słyszał już, jak uciekający człowiek potyka się o zarośla i upada. Ding stanął i znów zrobił użytek z gogli. Tylko sto metrów. Krew gotowała mu się w żyłach, gdy ponownie rzucił się do biegu. Jeszcze pięćdziesiąt metrów. Uciekinier znów upadł. Ding zwolnił. Trzeba teraz bardziej uważać na hałasy, przestrzegł się w duchu. Facet i tak nie miał szans uciec.

Chavez zbiegł ze ścieżki i poszedł w lewo na przełaj po prostej, poruszając się jakby płaśał tanecznym krokiem w najszybszym możliwym tempie. Co pięćdziesiąt metrów zatrzymywał się i patrzył przez gogle. Kimkolwiek był

uciekier, zmęczył się i poruszał coraz wolniej. Chavez wyprzedził go, po czym skręcił z powrotem w prawo i czekał na niego na ścieżce.

Ding omal się nie przeliczył. Ledwie zdążył unieść broń, gdy wyrósł przed nim ludzki kształt.

Sierżant instynktownie strzelił z trzech metrów w pierś. Z rozpaczliwym jękiem mężczyzna wpadł na Chavez. Ding odrzucił od siebie ciało i wypalił drugą serię w pierś. Zapadła głucha cisza.

- Chryste Panie! - wykrzyknął sierżant.

Kłękął, by złapać oddech. Kogo on zabił? Włożył z powrotem na głowę noktowizor i popatrzył na swoje dzieło.

Mężczyzna był bosy. Miał na sobie siermiężną, bawełnianą koszulę i spodnie z...

Chavez zabił chłopca, jednego z tych durnych biedaków, którzy tańczyli w pulpie koki.

Czy miał być z siebie dumny?

Następująca zwykle po zwycięskiej operacji bojowej euforia uszła z niego jak powietrze z dziurawego balonu. Biedak, nie miał nawet butów na nogach. Handlarze wynajmowali ich do taszczenia tego świństwa na górę i płacili im gówniane pieniądze za brudną, wstrętną robotę przy wstępnej rafinacji liści koki.

Miał rozpięty pasek. Gdy wybuchła strzelanina, załatwiał się właśnie w lesie i chciał

tylko zwiać, ale opuszczone do połowy gacie udaremniły tę próbę. Był mniej więcej w wieku Dinga, trochę mniejszy i lżejszej budowy, ale miał puciołowatą twarz od mącznej diety miejscowych chłopów. Na tej pospolitej twarzy malował się wciąż wyraz strachu, paniki i bólu, z którym przyszła doń śmierć. Nie miał broni. Należał do dorywczych robotników. Zginął, bo znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Chavez nie miał z czego być dumny. Włączył radio.

- Szóstka, tu Czoło. Załatwiłem go. Tylko jeden.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie. Poradzę sobie. - Chavez przerzucił sobie ciało przez ramię i ruszył z powrotem do celu. Wspinał się całych dziesięć wyczerpujących minut, ale to należało do jego obowiązków. Ding czuł, jak krew ofiary wycieka z sześciu ran w klatce piersiowej, zostawiając mu plamy z tyłu na koszuli.

Kiedy dotarł na miejsce, ciała leżały już jedno przy drugim, przeszukane. Bilans to wiele worków z liśćmi koki, kilka nieużytych słoików z kwasem oraz w sumie czternastu zabitych, gdy Chavez zrzucił swój ciężar obok ułożonych ciał.

- Co tak dyszysz? - spytał Vega.

- Nie jestem taki wielki jak ty, Oso - wysapał w odpowiedzi Ding.

Znaleziono dwa małe radia i różne inne rzeczy osobiste, które należało spisać, ale nic, co miałoby istotną wartość informacyjną. Kilku żołnierzy łakomym okiem spoglądało na pudło pełne puszek z

piwem, ale jakoś nikt nie kwapił się zaproponować toastu.

Jeżeli handlarze mieli ustalone kody radiowe, znajdowały się one w głowie tego, który był tu szefem. Nie dało się już teraz odróżnić, kto tu dowodził; śmierć zamazuje wszelkie różnice między ludźmi. Ciała ubrane były z grubsza tak samo, z wyjątkiem uzbrojonych mężczyzn, którzy mieli na sobie pasy parciane z ładownicami. W sumie widok nie cieszył nikogo. Ludzie, którzy jeszcze pół godziny wcześniej żyli, rozstali się z życiem. Poza tym niewiele dało się powiedzieć o misji.

Najważniejsze jednak, że drużyna Ramireza nie poniosła żadnych strat, choć sierżant Guerra przestraszył się niezłe bliskiej serii z karabinka. Ramirez dokończył inspekcji terenu i kazał chłopcom szykować się do odwrotu. Chavez znów szedł na czele.

Mieli przed sobą kawał ciężkiej drogi pod górę, dla kapitana Ramireza dużo czasu na myślenie. Doszedł do wniosku, że powinien być dużo wcześniej się nad tym zastanowić.

O co w tej całej misji naprawdę chodzi? Dla Ramireza misja oznaczała teraz w ogóle cel ich pobytu tu, w kolumbijskich górach, a nie tylko zlikwidowanie tej czy innej rafinerii.

Rozumiał, że obserwacja śródlądowych lotnisk przyczyniła się bezpośrednio do powstrzymania transportu narkotyków do Stanów Zjednoczonych. Przeprowadzali wówczas tajne rozpoznanie, a inni robili taktyczny użytek ze zdobytych przez jego ludzi informacji wywiadowczych. Pomysł nie tylko prosty, lecz także rozsądny. Ale co, do cholery, teraz robili? Jego drużyna dokonała wzorowego szturmego ograniczonymi siłami. Żołnierze nie mogli lepiej się spisać - wspomagani przez nieudolność wroga.

To musiało się zmienić. Wróg wyciągnie odpowiednie wnioski z tych lekcji. Lepiej się zabezpieczyć. Tyle się nauczy, zanim jeszcze zorientuje się, o co chodzi. Zniszczona rafineria będzie dla niego wystarczającą informacją, że trzeba wzmocnić system bezpieczeństwa.

Cóż właściwie dał ten atak? Kilkaset kilogramów liści koki tej nocy nie zostanie przerobionych. Nie miał żadnych instrukcji, żeby sprzątnąć liście, a nawet gdyby miał, trudno o lepszą metodę niż spalanie ich, ale nie był taki głupi, żeby rozpałać ognisko na zboczu góry w nocy, bez względu na rozkazy. Nie osiągnęli dziś niczego. Zupełnie, ale to zupełnie

niczego. Handlarze mieli całe tony liści koki, dziesiątki - może i setki - miejsc na rafinerie. Nie zranili poważnie handlu tej nocy, nie ukłuli nawet.

Więc po jaką cholere ryzykujemy życie? - zadał sobie pytanie. Powinien był je zadać komu innemu jeszcze w Panamie, ale wraz z trzema pozostałymi oficerami dał się ponieść wybuchowi agresji po zabójstwie dyrektora FBI. Poza tym był tylko kapitanem i wciąż musiał częściej wykonywać rozkazy, niż je wydawać. Jako zawodowy oficer przyzwyczał się do słuchania rozkazów dowódcy batalionu czy brygady, czterdziestoparoletnich zawodowców, którzy wiedzieli najczęściej, o co im chodzi.

Ale tym razem rozkazy płynęły z innego źródła - skąd? Tego już nie był pewien - i poddał się kojącemu samozadowoleniu, zakładając, że ktokolwiek wydaje rozkazy, wie chyba, co robi. Dlaczego nie zadałeś więcej pytań!

Ramirez doceniał sukces prowadzonej tej nocy akcji. Przed nią wszystkie jego myśli ogniskowały się na jednym celu. Wszak osiągnął ten cel i już nie widział niczego poza nim. Powinien był to przewidzieć. Teraz zrozumiał. Lecz teraz było już za późno.

Jeszcze bardziej trapił go inny aspekt tej pułapki. Oto musiał powiedzieć swoim ludziom, że wszystko jest w porządku. Spisali się na medal, czegoż jeszcze żądać?

Ale...

Co, do diabła, tu robimy? Nie wiedział, bo nikt mu dotąd nie powiedział, że nie jest pierwszym kapitanem, który zadaje to pytanie o wiele za późno, że już niemal tradycyjnie w amerykańskim wojsku inteligentni, młodzi oficerowie zastanawiają się, po jaką cholere wysłano ich kawał drogi, żeby coś robili. Najczęściej jednak zadawali to pytanie zbyt późno. Nie miał, oczywiście, żadnego wyboru. Musiał założyć, jak nauczyły go lata szkolenia i doświadczenia, że misja ma jakiś sens. Jeśli nawet rozsądek - Ramirez nie był na pewno głupcem - podpowiadał mu co innego, ostatecznie wmawiał sobie, iż dowódcom należy ufać. Jego podwładni ufali jemu.

Musiał więc tak samo ufać swoim przełożonym. Inaczej przecież wojsko nie mogłoby działać.

Dwieście metrów z przodu Chavez poczuł lekkość na plecach i zadał sobie inne pytania. Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że będzie musiał dźwigać pod górę krwawiące zwłoki wroga. Nie przewidział też, jak fizyczny ślad tego, co zrobił, zaciąży mu na sumieniu. Zabił wieśniaka. Nieuzbrojonego mężczyznę, nie prawdziwego wroga, ale biednego zasrańca, który po prostu chciał zarobić po niewłaściwej stronie, prawdopodobnie na chleb dla rodziny, jeśli miał rodzinę. Ale co Chavez mógł innego zrobić? Pozwolić mu uciec?

Sierżantowi było łatwiej. Miał nad sobą oficera, który mówił mu, co ma robić. Kapitan Ramirez wiedział, co robi. Był oficerem i taki właśnie miał zawód: wiedzieć, co się dzieje, i wydawać rozkazy. Z tą świadomością łatwiej mu się szło pod górę z powrotem do PN, ale zakrwawiona koszula nadal lepiła mu się do pleców niczym wyrzut sumienia.

Tim Jackson wrócił do swojego biura o dwudziestej drugiej trzydziści, po krótkich ćwiczeniach z drużyną na terenie Ford Ord. Ledwie zdążył usiąść na tanim krześle obrotowym, gdy zadzwonił telefon. Ćwiczenia nie poszły najlepiej. Ozkanian zbyt wolno przyswajał sobie nową rolę dowódcy drużyny. Już drugi raz z rzędu zawalił i skompromitował swojego porucznika, co z kolei ubodło sierżanta Mitchella, który dobrze życzył młodemu oficerowi. Obaj dobrze wiedzieli, że na wyszkolenie dobrego sierżanta prowadzącego drużynę trzeba pracować ze cztery lata i to jeśli się ma takiego bystrego chłopca jak Chavez. Tak czy owak Ozkanian prowadził drużynę, Mitchell więc musiał powiedzieć mu parę słów do słuchu. Robił to na modłę zupaka, z werwą, entuzjazmem i aluzjami na temat pochodzenia Ozkaniana.

- Porucznik Jackson - odpowiedział Tim po drugim dzwonku.

- Poruczniku, mówi pułkownik O'Mara z dowództwa operacji specjalnych.

- Tak jest, panie pułkowniku!

- Doszły mnie słuchy, że robicie hałas wokół sierżanta sztabowego Chaveza. Czy to prawda? - Jackson spojrział na wchodzącego Mitchella z kapuścianym hełmem pod spoconą pachą i tajemniczym uśmiechem na ustach. Ozkanianowi dostało się tym razem.

- Tak jest, panie pułkowniku. Nie pojawił się tam, gdzie się go spodziewano. Jest jednym z moich...

- Mylicie się, poruczniku! Teraz jest jednym z moich. Robi coś, o czym nie musicie wiedzieć i nie będziecie, powtarzam nie będziecie więcej pieprzyć przez telefon o sprawach, które was gównem obchodzą. Czy wyrażam się jasno, poruczniku?

- Ale panie pułkowniku, przepraszam, ale ja...

- Masz zatkałe uszy, czy co, synu? - Głos się nieco uspokoił, ale to właśnie zatrwożyło porucznika, który i tak miał zły dzień.

- Nie, panie pułkowniku. Po prostu dzwonili do mnie z...

- Wiem. To już załatwione. Sierżant Chavez robi coś, o czym nie musicie wiedzieć.

Kropka. Koniec. Jasne?

- Tak jest.

Rozmówca się wyłączył.

- Cholera! - rzucił porucznik Jackson.

Sierżant Mitchell nie usłyszał wprawdzie ani słowa z rozmowy, jednak wrzaski ze słuchawki dotarły aż do drzwi, w których stał.

- Chavez?

- Tak. Jakiś pułkownik z operacji specjalnych, z Fort MacDill, jak się domyślam, twierdzi, że Ding jest u nich i coś tam robi, o czym nie powinienem wiedzieć. Mówi, że załatwił za nas sprawę z Fort Benning.

- O w mordę! - skomentował wiadomość Mitchell, siadając naprzeciw biurka porucznika, po czym spytał: - Można usiąść, panie poruczniku?

- Jak myślisz, o co tu chodzi?

- Pojęcia nie mam, panie poruczniku. Ale mam kumpla w MacDill. Chyba zadzwonię do niego jutro. Nie lubię, jak mi tak ludzie giną bez śladu. Tak nie powinno być. A ten znów jakim prawem tak wsiadł na pana porucznika. Robi pan swoje, dba o ludzi jak trza, a nie opieprza się człowieka za to, że robi, co do niego należy. A jeśli nikt jeszcze panu nie powiedział, to nie wsiada się za takie coś na

Bogu ducha winnego porucznika. Dzwoni się po cichu do dowódcy batalionu albo może do S-1 i każe się mu spokojniutko załatwić sprawę. Porucznikowi dość suszy głowę jego własny pułkownik, a nie żeby jeszcze obcy się wpieprzał. Dlatego wszystko idzie drogą służbową, żeby każdy wiedział, kto mu daje popalić.

- Dziękuję, sierżancie - powiedział Jackson z uśmiechem. - Potrzebowałem tego.

- Powiedziałem Ozkanianowi, że powinien bardziej skupić się na prowadzeniu drużyny, niż zgrywać twardziela. Wydaje mi się, że tym razem posłucha. Całkiem dobry z niego chłop, tak naprawdę, tylko trzeba go trochę ustawić. - Mitchell wstał. -

Do zobaczenia jutro na zaprawie porannej, panie poruczniku. Dobranoc.

- Tak. Dobranoc, sierżancie.

Tim Jackson doszedł do wniosku, że sen jest ważniejszy niż biurokracja i poszedł do samochodu. Jadąc do swojej kawalerki, wciąż rozmyślał o telefonie pułkownika O'Mary czy jak się tam nazywał. Porucznicy niezbyt często zadawali się z pułkownikami. Raz wprawdzie pojawił się w Nowy Rok (obowiązkowo) w domu dowódcy brygady, ale nic więcej. Od nowych poruczników oczekiwano skromności. Z

drugiej strony jednak, w West Point wpojono mu wraz z wieloma innymi zasadami i tę, że odpowiada za swoich żołnierzy. To że Chavez nie zjawił się w Fort Benning, że odjechał z Ord w tak... niezwykłych okolicznościach oraz że swoim naturalnym i odpowiedzialnym zainteresowaniem sytuacją podopiecznego zasłużył jedynie na reprimendę, tylko wzmocniło ciekawość

młodego oficera. Owszem, niech Mitchell dzwoni, ale on sam jeszcze jakiś czas będzie się trzymał od tego z daleka, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, póki nie dowie się, co jest grane. Pod tym względem Tim Jackson był w szczęśliwym położeniu. Miał

starszego brata w służbie Pentagonu, który wiedział, jak trzeba postępować, i piał się w pocie czoła do rangi kapitana albo i nawet pułkownika. Robby mógł mu doradzić, a bardzo teraz potrzebował dobrych rad.

Lot dostawczym samolotem na lotniskowiec przebiegał wprawdzie gładko i przyjemnie, jednak Robby Jackson nie był wcale zachwycony. Nie podobało mu się siedzenie tyłem do kierunku lotu, ale przede wszystkim nie lubił w ogóle latać, nie trzymając ręki na drążku. Jako pilot myśliwców, oblatywacz, a od niedawna dowódca elitarnego dywizjonu Tomcatów, wiedział, że jest jednym z najlepszych pilotów na świecie i niezbyt ochoczo powierzał swoje życie podlejszym umiejętnościom innego lotnika. Poza tym w samolotach marynarki obsługa była do niczego. Tym razem obsługiwał ich piegowaty smarkacz z Nowego Jorku, sądząc po akcencie, któremu udało się wylać kawę siedzącemu obok facetowi na spodnie.

- Wspaniale - odezwał się towarzysz podróży.

- No cóż, to nie linie lotnicze Delta - odrzekł Jackson, chowając papiery z powrotem do torby. Nowe

założenia taktyczne zapisane już miał i tak w pamięci. Nic dziwnego.

Sam wszakże był ich głównym pomysłodawcą.

Sąsiad miał na sobie mundur khaki z literkami U.S. na kołnierzu. Można było sądzić, że to konsultant, cywil robiący to i owo dla marynarki. Zawsze znajdowało się ich kilku na pokładzie lotniskowca - elektrycy albo inżynierowie różnych specjalności, którzy zajmowali się specjalistycznym serwisem nowego sprzętu czy też pomocą w szkoleniu personelu marynarki. Otrzymywali dla niepoznaki stopień podchorążego, ale traktowano ich jak zawodowych oficerów; jedli w mesie oficerskiej i mieszkali we względnym luksusie - zaiste względny to termin na okręcie amerykańskiej marynarki, chyba że się jest kapitanem czy admirałem, a konsultantów aż tak nie hołubiono.

- Po co lecisz? - spytał Robby.

- Sprawdzić działanie nowego sprzętu. Niestety, więcej nie mogę powiedzieć.

- A, jedna z tych lepszych zabawek, co?

- Nie przeczę - odrzekł współpasażer, badając plamę na kolanie.

- Często tak?

- Pierwszy raz - odpowiedział sąsiad. - A ty?

- Jestem pilotem lotnictwa pokładowego i z tego żyję, ale teraz pracuję dla Pentagonu.

W biurze OP-05, dział taktyki myśliwców.

- W życiu nie lądowałem na lotniskowcu - dodał tamten nerwowo.

- Nic strasznego - pocieszył go Robby. - Chyba że w nocy.

- Tak? - facet nie był aż tak przerażony, żeby zapomnieć o tym, że na zewnątrz jest ciemno.

- Nie da się ukryć, lądowanie na lotniskowcu jest całkiem znośne w dzień. Bo jak podchodzisz do normalnego lotniska, to wybierasz punkt, w którym maszyna dotknie ziemi. To samo na lotniskowcu, tylko że pas jest krótszy. Ale w nocy nie bardzo widać, gdzie się wylądjuje. Dlatego trochę wtedy człowiekowi nieswojo. Ale nic się nie bój. Ta laleczka przy sterach...

- Dziewczyna?

- Tak. Wielu pilotów transportowych to dziewczyny. Ta z przodu jest całkiem niezła, instruktorka, jak słyszałem. - Ludziom zawsze lżej na duszy, gdy wiedzą, że pilot jest instruktorem, tylko że: - Dziś nasza instruktorka dociera nowego chorążego - dorzucił

złośliwie Jackson. - Uwielbiał dokuczać ludziom, którzy nie lubią latać. W ten właśnie sposób drażnił swojego przyjaciela Jacka Ryana.

- Nowego chorążego?

- Tak, świeżo po Pensacoli. Głowę daję, że nie sprawdził się na myśliwcach albo bombowcach szturmowych, to dali mu szansę na takiej ciężarówce. Gdzieś się muszą uczyć, nie? Każdy musi kiedyś pierwszy raz lądować na lotniskowcu. Ja też przez to przeszedłem. Nic wielkiego - rzekł Jackson spokojnie, po czym sprawdził, czy ma dobrze i mocno zapięte pasy. Wieloletnie doświadczenie nauczyło go, że najpewniejszym sposobem pokonania strachu jest przekazanie go komu innemu.

- Dziękuję bardzo.

- Bierzesz udział w manewrach?

- Co?

- W naszych ćwiczeniach. Mamy wystrzelić parę prawdziwych pocisków do atrap.

Próby pocisków.

- Chyba nie.

- A już miałem nadzieję, że przysłali cię tu z Hughes. Chcemy sprawdzić, czy system naprowadzania w phoeniksach naprawdę działa.

- Ach, nie, przykro mi. Mam inną robotę.

- Dobra. - Robby wyciągnął z kieszeni książkę i zabrał się do czytania. Mając teraz pewność, że leci z nim ktoś, kto gorzej znosi podróż niż on, mógł spokojnie zagłębić się w lekturze. Nie drżał ze strachu. Modlił

się tylko, żeby ten uczeniak nie rozsypał ładunku i pasażerów po całym pokładzie. Ale niewiele mógł na to poradzić.

Do PN drużyna dotarła wyczerpana. Wszyscy wrócili na swoje pozycje, a kapitan nadał meldunek przez radio. Jedna osoba z każdej pary natychmiast rozłożyła broń do czyszczenia, łącznie z tymi, którzy nie oddali ani jednego strzału.

- No, Oso i jego karabin maszynowy wpisali się dziś na listę strzelców - zagadnął

Vega, przepychając wycior przez lufę o długości pięćdziesięciu dwóch centymetrów. -

Dobra robota, Ding - dodał.

- Patałachy.

- Co tam, mano, póki my robimy, co trzeba, oni nie mają szans pokazać, że są dobrzy. -

- Dotąd szło nam cholernie łatwo, bracie. To się może zmienić. Vega na chwilę oderwał wzrok od broni.

- Taa. Co prawda, to prawda.

Na geostacjonarnej orbicie nad Brazylią satelita meteorologiczny Narodowego Urzędu Oceaniczno-Atmosferycznego okiem superczułej kamery spoglądał niezmiennie na planetę, którą opuścił przed jedenastoma miesiącami i na którą już nigdy nie miał

wrócić. Wydawało się, że stoi zawieszony w jednym miejscu, trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad szmaragdowozieloną plamą dżungli w dolinie Amazonki, choć w rzeczywistości pędził po swej orbicie na wschód z prędkością około jedenastu tysięcy kilometrów na godzinę, odpowiadającą prędkości obrotowej Ziemi. Satelita wyposażony był również w inne przyrządy, lecz ta właśnie kolorowa kamera telewizyjna miała najprostsze zadanie do spełnienia. Obserwowała chmury płynące w powietrzu, jak oddalone kłaczki waty. To, że tak prozaiczna funkcja mogła mieć kolosalne znaczenie, było tak oczywiste, że aż prawie niezauważalne. Ten satelita i jego poprzednie wcielenia uratowały tysiące istnień ludzkich i kto wie, czy nie stanowiły najpożyteczniejszej i najsprawniejszej części amerykańskiego programu kosmicznego. Zawdzięczali im życie przede wszystkim marynarze, których statki mogłyby wpłynąć w strefę nieprzewidzianego sztormu. Ze swej kosmicznej grędy satelita obejmował wzrokiem przestrzeń; od wielkiego oceanu otaczającego Antarktykę na południu poza Przylądek Północny w Norwegii i żaden sztorm nie uszedł jego uwagi.

Niemal tuż pod satelitą wciąż nie do końca wyjaśnione zjawiska atmosferyczne dawały początek cyklonowym sztormom na rozległych, ciepłych wodach u zachodnich wybrzeży Afryki, skąd przenosiły się na zachód ku Nowemu Światu, gdzie nazywano je huraganami. Dane z satelity szły do podległego Urzędowi Narodowego Centrum Huraganowego w Coral Gables na Florydzie, gdzie meteorologowie wraz z informatykami pracowali razem w ramach wieloletniego programu zmierzającego do wyjaśnienia, jak zaczynają się sztormy i dlaczego przenosiły się takimi, a nie innymi trasami. Właśnie zaczynał się dla nich pracowity sezon. Cała setka ludzi, niektórzy lata po doktoracie, ale też wakacyjni stażyści z dziesiątków uniwersytetów, badała zdjęcia przed pierwszym sztormem sezonu. Niektórzy pragnęli, by sztormów tych było wiele, bo mogliby wówczas więcej zaobserwować i nauczyć się. Bardziej doświadczeni naukowcy znali, owszem, to uczucie, lecz wiedzieli też, że te potężne sztormy oceaniczne są najbardziej niszczycielskim i nieokiełznanym żywiołem, który rokrocznie zabija tysiące ludzi mieszkających zbyt blisko morza. Zdawali sobie również sprawę, że sztormy te przyjdą w dogodnej dla siebie porze, nikt bowiem nie wymyślił jeszcze sprawdzalnego modelu, który wyjaśniałby dokładnie, dlaczego powstają. Człowiek musiał na razie poprzestać na ich obserwowaniu, śledzeniu drogi i pomiarach intensywności, a także ostrzeganiu tych, co znajdowali się na ich drodze. Naukowcy nadawali im imiona, wybierane lata naprzód, zaczynające się zawsze na pierwsze litery alfabetu i następnie schodzące niżej. Pierwszym imieniem na tegorocznej liście była Adela.

Pod obiektywem kamery chmury pęczniały ku niebu osiemset kilometrów od Wysp Zielonego Przylądka, kolebki huraganów. Nikt nie potrafił ocenić, czy zbiera się na tropikalny cyklon, czy tylko kolejną obfitą burzę deszczową. Sezon jeszcze się na dobre nie zaczął. Ale wszystkie znaki wskazywały, że zapowiada się bogato.

Zachodnioafrykańska pustynia była tej wiosny nadzwyczaj gorąca, a wysokie temperatury w tym regionie miały udowodniony związek z powstawaniem huraganów.

Kierowca ciężarówki przyjechał we właściwym czasie, aby zabrać ludzi i pastę z przerobionych liści koki, ale nikogo nie zastał. Czekał godzinę i wciąż nikt się nie pojawiał; przywiózł ze sobą dwóch ludzi i posłał ich na górę, na teren przetwórci.

Kierowca był kierownikiem grupy i nie chciało mu się już wdrapywać na te przeklęte góry. Toteż on palił papierosy, a oni się wspinali. Czekał następną godzinę. Na szosie panował całkiem duży ruch: przejeżdżało zwłaszcza dużo ciężarowych diesli z uszkodzonymi tłumikami. Z hukiem przetaczały się też wielkie szesnastokołowce, od których trzęsła się cała szosa, a podmuchy powietrza uderzały w ciężarówkę. Dlatego nie usłyszał innych odgłosów. Odczekawszy dwie godziny, zdał sobie sprawę, że sam będzie musiał pójść na miejsce. Zamknął ciężarówkę, zapalił jeszcze jednego papierosa i ruszył ścieżką pod górę.

Kierowcy szło się nie najlepiej. Choć wyrósł w tych stronach i pamiętał, jak w chłopięcych latach trzystumetrowe wzniesienia pokonywał w trakcie zabawy z kolegami, od dłuższego już czasu kierował ciężarówką i mięśnie nóg miał bardziej przywykłe do naciskania pedałów niż takich wyczynów. To, co dawniej zajęłoby mu czterdzieści minut, teraz trwało godzinę, a kiedy dotarł już niemal do polany, był

jadowicie wściekły - zbyt wściekły i zmęczony, by zwrócić uwagę na szczegóły, które powinien był zauważyć. Wciąż słyszał hałas przejeżdżających szosą samochodów, słyszał wrzask ptaków w otaczających go drzewach, ale nic poza tym, a przecież powinien był słyszeć coś jeszcze. Przystanął i schylił się, by złapać oddech, gdy dostrzegł pierwszy znak ostrzegawczy w postaci ciemnej plamki na ścieżce. Coś zaczerniło brązową ziemię, ale tyle mogło być różnych przyczyn, a on się spieszył na górę, żeby sprawdzić, co się tam dzieje, i nie miał czasu zastanawiać się nad byle plamą. W końcu nie mieli ostatnio żadnych kłopotów z armią czy policją, zastanawiał

się więc, dlaczego w ogóle rafinację przeprowadzano tak wysoko na górskim zboczu.

Nie było to już przecież konieczne.

Po pięciu kolejnych minutach widział już małą polanę i dopiero teraz spostrzegł, że nie dochodzą stamtąd żadne odgłosy, choć poczuł dziwny, ostry zapach. Był pewien, że to kwas używany przy rafinacji. Po czym przeszedł ostatni zakręt i zobaczył.

Kierowcy ciężarówki nieobca była przemoc. Brał udział w walkach jeszcze przed kartelem i sam zabił kilku sympatyków M-19 w wojnach, z których właśnie wyklął się kartel. Widział więc krew i sam przyczynił się do jej rozlewu.

Ale czegoś takiego nie widział. Wszystkich czternastu ludzi, których przywiózł zeszłej nocy, leżało w równiutkim rzędzie, ramię przy ramieniu, na ziemi. Ciała już spuchły i przy niektórych otwartych ranach buszowały zwierzęta. Ciała dwóch mężczyzn, których wysłał na górę, wskazywały na późniejszą śmierć. Choć kierowca do tego nie doszedł, zabiła ich mina-pułapka, gdy oglądali zabitych, z ran sączyła się jeszcze krew.

Twarz jednego wyrażała zaskoczenie i szok. Drugi

leżał twarzą do ziemi, z krwawą dziurą wielkości piłki futbolowej w plecach.

Kierowca stał jak wryty minutę lub dłużej, bojąc się ruszyć w którąkolwiek stronę.

Drżącymi rękami sięgnął po papierosa, po czym upuścił dwa na ziemię, ale był zbyt przerażony, by je podnieść. Zanim zdążył wyciągnąć trzeciego, odwrócił się i ostrożnie wycofał z powrotem po ścieżce. Sto metrów dalej pędził już na złamanie karku, w każdym ptasim zaśpiewie i świcie wiatru w gałęziach słysząc podchodzącego żołnierza. To musieli być żołnierze. Nie miał wątpliwości. Tylko żołnierze zabijali z taką precyzją.

- Gratuluję wspaniałego referatu. Nie traktowaliśmy radzieckich problemów narodowościowych tak poważnie jak ty. Widzę, że twoje nadzwyczajne zdolności analityczne się nie marnują. - Lord Basil Charleston wznosił toast. - Dobrze zasłużyłeś na swój awans. Gratulacje, sir

John.

- Dzięki, Bas. Szkoda tylko, że nie odbyło to się w innych okolicznościach - rzekł

Ryan.

- Aż tak źle?

Jack skinął twierdząco.

- Niestety.

- I Emil Jacobs też... Cholernie złe czasy dla waszych chłopaków.

Ryan uśmiechnął się smętnie.

- Można i tak to ująć.

- Co zatem zamierzasz z tym zrobić?

- Niestety, niewiele mogę na ten temat powiedzieć - odparł powściągliwie Jack. Nie wiem - ale tego właśnie nie mogę mu przecież powiedzieć.

- Jasne. - Szef SIS pokiwał ze zrozumieniem głową. - Jakkolwiek zareagujesz, nie wątpię, że będzie to reakcja najwłaściwsza.

W tej chwili zdał sobie sprawę, że Greer miał rację. Musiał wiedzieć o wszystkim albo ryzykować, że stanie się pośmiewiskiem swoich odpowiedników tutaj i wszędzie na świecie. Wróci do kraju za kilka dni i omówi wszystko z sędzią Moore'em.

Porucznik Jackson obudził się po sześciu godzinach snu. On również należał do tych szczęśliwców, którym przysługiwał największy luksus na pokładzie okrętu wojennego

- własna kajuta. Jego szarża i poprzednie stanowisko dowódcy dywizjonu dały mu wysoką pozycję na

liście VIP-ów, a przypadkowo znalazła się wolna, jednoosobowa kabina w tym pływającym mieście. Mieściła się z przodu, pod pokładem startowym. Blisko katapult dziobowych, sądząc po dochodzących dźwiękach, co wyjaśniało, dlaczego jeden ze stałych dowódców dywizjonu „Rangera” nie zgodził się na tę kwaterę. Po wylądowaniu od razu załatwił wszystkie konieczne rozmówki kurtuazyjne i nie miał

żadnych oficjalnych obowiązków przez następne... trzy godziny. Po umyciu się, ogoleniu i porannej kawie postanowił zrobić parę inspekcji bez świadków. Zszedł na dół do magazynu lotniskowca.

Mieścił się on w obszernym, względnie niskim pomieszczeniu, gdzie przechowywano bomby i pociski. Właściwie pomieszczeń było więcej, razem z przylegającymi do magazynu warsztatami, w których technicy mogli testować i naprawiać inteligentne bronie. Jacksona osobiście interesowały rakiety powietrze-powietrze typu AIM-54C

Phoenix. Mieli problemy z systemami sterującymi i jednym z celów obecnych manewrów było sprawdzenie, czy fabryczna kalibracja producenta jest odpowiednia.

Wstęp do magazynu był z oczywistych względów ograniczony. Gdy Robby wylegitymował się przed podoficerem technicznym, okazało się, że obaj służyli kilka lat wcześniej na „Kennedym”. Weszli razem na teren warsztatów, gdzie kilku techników, wspomaganych przez dziwnie wyglądające przyrządy, manipulowało przy raketach.

- Co o tym sądzisz? - spytał jeden.

- Odczyt mam w porządku, Duke - odparł inny, siedzący przy oscyloskopie. -

Spróbujmy teraz symulować zagłuszanie sygnału.

- Właśnie te egzemplarze mamy wypróbować na manewrach, panie poruczniku. -

wyjaśnił podoficer. -Na razie działają jak należy, ale...

- Ale czy to nie ty właśnie odkryłeś problem za pierwszym razem? -spytał Robby.

- Ja i mój dawny szef, porucznik Frederickson. - Bosman pokiwał głową. Odkrycie to kosztowało producenta kilka milionów dolarów kary. Wszystkie rakiety AIM-54C

floty zostały na kilka miesięcy wycofane z uzbrojenia, co pozbawiło marynarkę potencjalnie najskuteczniejszej broni typu powietrze-powietrze. Zaprowadził Jacksona do regału ze sprzętem

kontrolnym. - Ile z nich mamy wystrzelić?

- Tyle, żeby przekonać się, czy to działa, czy nie - odparł Robby. Bosman chrząknął.

- To może oznaczać niezłą kanonadę, panie poruczniku.

- Samoloty-cele są tanie! - rzekł z naciskiem Robby, pozwalając sobie na wierutne kłamstwo. Ale bosman wiedział, o co mu chodzi. Wychodziło i tak taniej, niż gdyby wypłynęli na Ocean Indyjski i postrzelali

sobie z irańskimi Tomcatami F-14A (bo oni też je mieli), a potem zorientowali się, że te zafajdane rakiety nie działają jak należy. W ten sposób można było najsprawniej wykończyć pilotów, których szkolenie kosztowało miliony dolarów od głowy.

Pocieszał się tym, że urządzenie naprowadzające działa, przynajmniej na tyle, na ile potrafiły ocenić aparaty kontrolne. Żeby nie było żadnych wątpliwości, poinstruował

Robby bosmana - wystrzelonych zostanie od dziesięciu do dwudziestu phoeniksów-C, plus większa liczba rakiet typu Sparrow i Sidewinder. Jackson zbierał się do wyjścia.

Zobaczył to, co chciał zobaczyć, a chłopcy mieli pełne ręce roboty.

- Wygląda na to, że opróżnimy ten magazyn. A wie pan coś o tych nowych bombach, które mamy też sprawdzić, panie poruczniku?

- Nie. Poznałem gościa, który się nimi zajmie podczas lotu. Nie był zbyt skory do rozmowy. Więc cóż to za sensacja? Bomba jak bomba, nie?

Starszy bosman zaśmiał się.

- Niech pan zaczeka. Pokażę panu bombę cichobijkę.

- Co?

- Nie oglądał pan dawniej Rocky i Bullwinkle, panie poruczniku?

- Bosmanie, nie bardzo rozumiem.

- Bo kiedy byłem dzieckiem, lubiłem oglądać taki serial o latającej wiewiórcie Rocky i łosiu Bullwinkle, a jeden z odcinków był o tym, jak Borys i Natasza - takie czarne charakterki, poruczniku - chcieli ukraść coś, co się nazywało cichobum, materiał

wybuchowy, który wysadzał różne rzeczy w powietrze bez hałasu. Zdaje się, że chłopcy z China Lake bardzo poważnie potraktowali to wyzwanie!

Bosman otworzył drzwiczki do składu bomb. Aerodynamiczne korpusy bomb - nie miały przymocowanych lotek ani zapalników, dopóki nie znalazły się na górnym pokładzie - leżały na

paletach bezpiecznie przytwierdzonych łańcuchami do stalowego pokładu. Na palecie, przy prostokątnej windzie, wynoszącej pociski na górę, znajdowała się kolekcja bomb pomalowanych na niebiesko. Niebieski kolor oznaczał, że przeznaczone są do ćwiczeń, ale z wywieszki na palecie jasno wynikało, iż zawierały również materiał wybuchowy. Robby Jackson był pilotem myśliwców i nie zrzucił wielu bomb w swojej karierze, lecz czynność ta stanowiła przecież nieodłączną część jego profesji. Wydawało mu się więc, że ma przed sobą standardowe, jednotonowe bomby, na co składało się pięćset kilogramów silnego materiału wybuchowego oraz przeszło pięćsetkilogramowy płaszcz ze stali. Jedyna różnica pomiędzy głupią lub żelazną bombą a samonaprowadzającą się inteligentną bombą polegała

na przymocowaniu paru dodatków: głowicy poszukującej do nosa i ruchomych stabilizatorów do ogona. Obie te części łączyły się z normalnymi zapalnikami, a w zasadzie zapalniki stanowiły część wyposażenia samosterującego. Z oczywistych powodów przechowywano je w innym pomieszczeniu. W sumie jednak niebieskie skorupy bomb wyglądały nader zwyczajnie.

- No i? - spytał.

Bosman w odpowiedzi postukał zgiętym palcem w najbliższą bombę. Odgłos był dziwny. Na tyle dziwny, że Robby zrobił to samo.

- To nie stal.

- Celuloza, panie poruczniku. Skubańcy zrobili bomby z papieru! Dobrze, co?

- Aha. - Robby zrozumiał. - Technologia Stealth.

- Te cudeńka trzeba jednak naprowadzić dokładnie w środek celu, bo odłamki nic tu nie działają. - Celem stalowej skorupy jest, ma się rozumieć, przekształcenie się jej w tysiące pędzących żyłek, wbijających się we wszystko, co tylko znajdzie się w ich balistycznym zasięgu po detonacji. To nie sam wybuch zabijał ludzi (bo po to wszak budowano bomby), ale raczej powstałe po wybuchu odłamki. - Dlatego właśnie tę nazywamy cichobijką. Narobi, kurwa, hałasu za wszystkie czasy, ale jak zniknie dym, zastanawia się człowiek, co tak rąbnęło.

- Nowe cuda z China Lake - zauważył Robby.

Po jakiego diabła komu bomba, która... ale niewykluczone, że to wyposażenie nowego bombowca taktycznego Stealth o niskiej wykrywalności. Nie znał się jeszcze dobrze na maszynach typu Stealth. Zajmował się czym innym w Pentagonie. Jego działką była taktyka myśliwców, toteż Robby poszedł omówić swoje notatki z dowódcą grupy powietrznej. Pierwsza część manewrów bojowych miała rozpocząć się za niewiele ponad dwadzieścia cztery godziny.

Wiść dotarła dość szybko do Medellin. W południe wiadomo już było, że dwie rafinerie zostały zniszczone i zginęło w sumie trzydziestu jeden ludzi. Sama liczba zabitych nie miała istotnego znaczenia. W obu wypadkach większość stanowili miejscowi chłopcy zatrudnieni jako tragarze, a

reszta to niewiele więcej wariacji stali najemnicy, których broń służyła do odstraszenia ciekawskich raczej za pomocą przykładu niż długotrwałej perswazji. Niepokój budziło jednak to, że jeśli wiadomość się rozniesie, mogą powstać trudności z najmowaniem nowych ludzi do rafinacji.

Ale najbardziej niepokojący był oczywisty fakt, że nikt nie wiedział, co się dzieje. Czy armia kolumbijska postanowiła wrócić w góry? Czy M-19 złamała przyrzeczenie albo lewacy z FARC wypowiedzieli umowę? Albo jeszcze coś innego? Nikt nie wiedział.

Było to o tyle irytujące, że słono płacili za informacje. Jednakże kartel tworzyła grupa ludzi i wszelkie działania podejmowano wyłącznie po ustaleniu wspólnego planu.

Postanowiono, że musi dojść do spotkania. Ale członkowie grupy zaczęli bać się o własną skórę. Wiedzieli już wszakże, że w okolicy są uzbrojeni ludzie, którzy nie liczyli się zbytnio z ludzkim życiem; to również bardzo niepokoiło szare eminencje kartelu. Najgorzej, że intruzi posiadali ciężką broń i umieli się nią posługiwać.

Zdecydowano przeto, że spotkanie odbędzie się w możliwie najbezpieczniejszym miejscu.

UWAGA

ŚCIŚLE TAJNE ***** „Kapar”

19:14Z

RAPORT SIGINT

PODSŁUCH 19.93 POCZ 19:04Z CZĘST 887,020MHZ

NAD: CEL FOKSTROT

ODB: CEL UNIFORM

F: PODJĘLIŚMY DECYZJĘ. SPOTKAMY SIĘ W TWOIM DOMU JUTRO

WIECZOREM o [20:00L] .

U: KTO PRZYJDZIE?

F: [CEL ECHO] NIE MOŻE, ALE PRODUKCJA TO I TAK NIE JEGO SPRAWA.

[CEL ALFA], [CEL GOLF] I [CEL WHISKEY] PRZYJADĄ ZE MNĄ. JAK U

CIEBIE Z BEZPIECZEŃSTWEM?

U: W MOIM [Z NACISKIEM] ZAMKU? [ŚMIECH] MÓJ KOCHANY, TEJ

TWIERDZY NIE SFORSUJE CAŁY PUŁK, A MÓJ HELIKOPTER STOI GOTOWY W KAŻDEJ
CHWILI DO STARTU. CZYM PRZYJEŻDŻACIE?

F: WIDZIAŁEŚ JUŻ MOJĄ NOWĄ CIĘŻARÓWKĘ?

U: TWOJE WIELKIE STOPY [ZNACZENIE NIEJASNE]? NIE, NIE WIDZIAŁEM

TWOJEJ WSPANIAŁEJ NOWEJ ZABAWKI.

F: SPRAWIŁEM JĄ SOBIE PRZEZ CIEBIE, PABLO. DLACZEGO NIE KAŻESZ

WYREMONTOWAĆ DROGI DO SWOJEGO ZAMKU?

U: DESZCZ WCIAŻ JĄ ROZMYWA. TO PRAWDA, POWINIENEM

WYASFALTOWAĆ DROGĘ, ALĘ SAM DOSTAJĘ SIĘ TU HELIKOPTEREM.

F: A WYMAWIASZ MI MOJE ZABAWKI! [ŚMIECH] DO ZOBACZENIA JUTRO,
PRZYJACIELU.

U: DO WIDZENIA.

KONIEC ROZMOWY. SYGNAŁ. KONIEC PODSŁUCHU.

Przechwycona rozmowa dotarła do gabinetu Boba Rittera kilka minut po zakończeniu podsłuchu. Oto nadarzała się świetna okazja, cel całej operacji. Wysłał natychmiast własne sygnały, bez porozumienia z Cutterem czy prezydentem. To on przecież dostał

licencję łowiecką.

Konsultant na pokładzie „Rangera” otrzymał zakodowaną wiadomość godzinę później.

Niezwłocznie zadzwonił do komandora Jensena, po czym poszedł porozmawiać z nim w cztery oczy. Nic wielkiego. Był doświadczonym agentem terenowym i wyjątkowo dobrze posługiwał się mapami. Umiejętność ta przydawała się bardzo na lotniskowcu, gdzie nawet starzy marynarze gubili się często w tym pomalowanym na szaro labiryncie. Komandor Jensen zdumiał się, że przyszedł tak szybko, ale zdążył już sprowadzić do siebie bombardiera-nawigatora na operacyjną odprawę.

Clark otrzymał wiadomość w tym samym mniej więcej czasie. Połączył się z Larsonem i natychmiast załatwił przelot nad doliną na południe od Medellin, aby dokonać ostatniego rekonesansu okolic celu misji.

Dręczące Dinga Chaveza wyrzuty sumienia znikły wraz z plamami krwi, gdy wyprał

koszulę. Sto metrów od ich bazy patrolowej przepływała czysta rzeczka, w której żołnierze po kolei prali swoje rzeczy i myli się na tyle dokładnie, na ile się dało bez mydła. Bo w końcu, perswadował sobie, głupi wieśniak czy nie, ale robił coś, czego nie powinien był robić. Chaveza bardziej trapiło teraz to, że zużył półtora magazynka amunicji, a oddział miał o jedną minę-pułapkę mniej, która zresztą, jak słyszeli kilka godzin wcześniej, eksplodowała dokładnie, tak jak zaplanowali. Ich pirotechnik miał

złotą rączkę do min-pułapek. Skończywszy skróconą toaletę, Ding powrócił na teren oddziału. Tej nocy nigdzie się nie mieli ruszać. Wystawią tylko posterunek nasłuchowy kilkaset metrów dalej i zwykły patrol, by sprawdzić, czy nikt na nich nie poluje, ale poza tym noc mieli przeznaczyć na odpoczynek. Kapitan Ramirez wyjaśnił, że powinni raczej ograniczyć aktywność na tym terenie, bo mogliby przedwcześnie spłoszyć zwierzynę.

Rozdział 18

SIŁA WYŻSZA

Dla sierżanta Mitchella nie było nic prostszego, tylko zadzwonić do znajomego w Fort MacDill. Służył razem z Erniem Davisem w Sto Pierwszej Dywizji Powietrznodesantowej, mieszkali ściana w ścianę w bliźniaku i zgnetli niejedną pustą puszkę po piwie wypitym w ogrodzie przy frankfurterkach albo hamburgerach z rusztu. Obaj byli sierżantami z siódmym stopniem wykszolenia, wiedzieli, co to znaczy wojsko, którym wszak rządzą właśnie sierżanci. Oficerowie mieli wyższe pensje i pełno zmartwień na głowie, a dzięki starym podoficerom wszystko się trzymało kupy.

Miał na biurku ogólnowojskową książkę telefoniczną i wykręcił odpowiedni numer służbowy.

- Ernie? Mówi Mitch.

- A cześć, jak tam się żyje w winnej krainie?

- Jak zwykle, skaczymy po górkach, bracie. Jak rodzinka?

- W porządku, Mitch. A twoja?

- Z Annie robi się już pannica. Ale dzwonię po to staruszku, żeby sprawdzić, czy dotarł do was jeden z naszych ludzi. Sierżant sztabowy Domingo Chavez. Powinien ci się spodobać, Ernie, dobry z niego chłopak. Jednym słowem, popieprzyło się nam coś tu w papierach i chciałem się tylko upewnić, czy jest tam, gdzie ma być.

- Nie ma sprawy - powiedział Erniego. - Chavez, powiadasz?

- Tak. - Mitchell przeliterował nazwisko.

- Nic mi to nie mówi. Poczekaj sekundę. Muszę zadzwonić z innego telefonu. - Po chwili Ernie znów się odezwał na tle charakterystycznego klekotu komputerowej klawiatury. Do czego to doszło? — zdziwił się Mitchell. Nawet sierżanci piechoty musieli teraz umieć posługiwać się tym draństwem. - Daj mi jeszcze raz to nazwisko.

- Chavez, imię Domingo, sierżant z szóstką. - Mitchell przeczytał też numer służbowy Dinga, identyczny z numerem ubezpieczenia.

- Tu go nie ma, Mitch.

- Jak to? Dzwonił do nas ten wasz pułkownik O'Mara...

- Kto?

- Facio przedstawił się jako O'Mara. Telefon odebrał mój porucznik i nieźle oberwał.

Nowy chłopak, musi się jeszcze dużo nauczyć - wyjaśnił Mitchell.

- Nie znam pułkownika O'Mary. Może to nie o nas chodzi, Mitch.

- Ale jaja, nie gadaj! - Mitchell był szczerze zdumiony. - Mój porucznik musiał dobrze wkurzyć tego faceta. Dobra, Ernie, będę kończył. Ucałuj ode mnie Hazel.

- Jasne, Mitch. Trzymaj się, stary. Cześć.

- Hm. - Mitchell gapił się przez chwilę na telefon. Co się działo, u diabła? Ding nie trafił ani do Benning, ani do MacDill. Gdzie więc był, do kurwy nędzy? Sierżant plutonowy wybrał numer

Centrum Ewidencji Wojskowej, mieszczącego się w Alexandrii w stanie Wirginia. Sierzanci stanowili zwartą społeczność, zwłaszcza zaś ci z siódmym stopniem specjalizacji. Spróbował więc połączyć się z sierżantem pierwszej kategorii Peterem Stankowskim. Udało się za drugim razem.

- Cześć, Stan. Tu Mitch.

- Szukasz nowej roboty? - Stankowski był kadrowym. Delegował swoich kolegów sierżantów na nowe stanowiska, co dawało mu dość znaczną władzę.

- Gdzie tam, piechota to moja miłość. Ale, ale, mówią, że rozbijasz się teraz taksówką na gąsienicach. - Mitchell dowiedział się ostatnio, że Stankowski postarał się też o pracę w Pierwszej Dywizji Kawalerii w Fort Hood, gdzie miał dowodzić transporterem opancerzonym M-2 Bradley.

- Cóż, Mitch, kolanka mi wysiadają. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że fajnie by było od czasu do czasu walczyć na siedząco? Poza tym ta dwudziestopięciomilimetrowa pukawka łańcuchowa to nie byle co. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Staram się kogoś odnaleźć. Jeden z moich sierżantów z szóstką został gdzieś oddelegowany i mamy mu wysłać bambetle, tylko okazało się, że nie ma go tam, gdzie myśleliśmy.

- Juuuz się robi. Poczekaj, pogadam tylko ze swoją magiczną maszynką, a chłopak się znajdzie na pewno. Jak się nazywa? - spytał Stankowski. Mitchell podał mu personalia.

- Jedenaście-Bravo, tak? - 11-B to specjalizacja wojskowa Chaveza. Symbol ten oznaczał, że Chavez jest z oddziałów specjalnych piechoty. Piechota zmechanizowana miała symbol 11-M.

- Tak. - Mitchell słyszał jeszcze stukot klawiatury.

- C-h-a-v-e-z, mówisz?

- Zgadza się.

- Jest, miał się stawić w Fort Benning i włożyć na głowę kapelusz misia Smokey...

- To właśnie on! - powiedział z ulgą Mitchell.

- ...ale zmienili rozkaz i oddelegowali go do MacDill.

Ale przecież nie ma go w MacDill! - Mitchell w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Trafił do tej bandy dziwaków. Znasz Erniego Davisa, nie? Jest właśnie tam. Zadzwoń do niego.

- Dobra - odpowiedział Mitchell, tym razem zupełnie zbity z tropu. Właśnie dzwoniłem! - Kiedy wybierasz się do Fort Hood?

- We wrześniu.

- Świetnie. No cóż, zadzwonię do Erniego. Nie daj się zwariować, Stan.

- Odezwij się kiedyś, Mitch. Pozdrów rodzinę. Cześć.

- Cholera - zaklął Mitchell, odwiesiwszy słuchawkę. Właśnie przekonał się, że Chavez już nie istnieje. Zdecydowanie dziwna sprawa. Armia nie powinna przecież tracić ludzi, przynajmniej nie w taki sposób. Sierżant nie wiedział, co dalej robić, pozostało mu tylko pogadać o tym z porucznikiem.

- Zdobyliśmy kolejnego gola zeszłej nocy - powiedział Ritter admirałowi Cutterowi. -

Szczęście nas nie opuszcza. Jeden z naszych ma zadrapania, nic groźnego, a chłopcy wzięli trzy pola rafinacyjne i zlikwidowali czterdziestu czterech ludzi wroga w akcji...

- I?

- I na dodatek dziś wieczorem czterech dygnitarzy kartelu ma się spotkać na naradę, tu, w tym miejscu. - Ritter wręczył Cutterowi zdjęcie satelitarne z tekstem podsłuchu.

- Całe kierownictwo produkcji: Fernandez, d'Alejandro, Wagner i Untiveros. Mamy skurczybyków w garści.

- Świetnie. Zrób to - rzekł Cutter.

Clark w tym momencie oglądał tę samą fotografię wraz z kilkoma zdjęciami, które sam wykonał z samolotu i planami sytuacyjnymi domu.

- Znasz ten pokój, o tu?

- Nigdy nie byłem w tym pomieszczeniu, ale wygląda mi na salę konferencyjną -

powiedział Larson. - Jak blisko musisz podejść?

- Wolałbym poniżej czterech kilometrów, ale znacznik naprowadzania laserem działa do sześciu.

- Może z wierzchołka tej górki? Mamy stamtąd dobry widok na rezydencję.

- Ile nam zajmie dojazd?

- Trzy godziny. Dwie autem, jedną na piechotę. Właściwie dałoby się to załatwić z samolotu...

- Twojego? - spytał Clark ze zjadliwym uśmiechem.

- Za nic! - Mieli pojechać terenowym subaru z napędem na cztery koła. Larson miał

kilka różnych par tablic rejestracyjnych, a zresztą samochód i tak nie był jego. - Mam numer telefonu i aparat komórkowy.

Clark skinął głową. Cieszył się tą robotą. Załatwiał już takich jak ci, ale nigdy dotąd z oficjalnym błogosławieństwem ani na tak wysokim szczeblu.

- Dobra, muszę jeszcze dostać ostateczną zgodę. Podjedź po mnie o piętnastej.

Murray wybiegł z biura natychmiast po otrzymaniu wiadomości. W szpitalu nikt nie wyglądał jak gwiazda filmowa, ale Moira sprawiała wrażenie, jakby postarzała się o dziesięć lat w ciągu sześćdziesięciu godzin. Godność ludzka też nie jest specjalnością szpitali. Ręce miała skrępowane z uwagi na możliwość powtórnej próby samobójstwa. Murray zdawał sobie sprawę, że zabiegi te są konieczne - trudno sobie wyobrazić bardziej uzasadnione okoliczności - ale jej godność osobista i tak już straszliwie ucierpiała, by jeszcze znosić takie upokorzenia.

Izolotka obstawiona już była kwiatami. Tylko kilku agentów miało pojęcie, co wyszło na jaw, a w biurze powszechnie mniemano, że zbytnio przejęła się nagłą śmiercią Emila. Co wcale nie było takie dalekie od prawdy.

- Najedliśmy się przez ciebie strachu, dziewczyno - zagadnął.

- To wszystko moja wina. - Nie potrafiła patrzeć mu prosto w oczy dłużej niż przez kilka sekund.

- Jesteś ofiarą, Moiro. Wrobił cię jeden z najlepszych w tym zawodzie. Zdarza się to nawet naszym największym cwaniakom. Uwierz mi. Wiem o tym najlepiej.

- Pozwoliłam się wykorzystać. Jak najgorsza dziwka...

- Nie chcę tego słuchać. Pomyliłaś się. Każdemu się może zdarzyć. Nie chciałaś nikogo skrzywdzić, nie złamałaś żadnego prawa. Nie warto przez to umierać. Nie warto, do diabła, wykańczać się, zwłaszcza że dzieci cię potrzebują.

- Co one pomyślą? Co pomyślą, kiedy się dowiedzą...

- Już im i tak napędziłaś strachu za wszystkie czasy. Kochają cię, Moiro. Czy coś jest w stanie to wymazać? - Murray potrząsnął głową. - Nie sędzę.

- Wstydzą się mnie.

- Boją się. To im jest wstyd, bo wydaje im się, że to częściowo ich wina. - Poruszył czułą strunę.

- Skąd! To moja wina...

- Już ci mówiłem, że nie. Moira, wpadłaś pod ciężarówkę, której na imię Felix Cortez.

- Czy to jego prawdziwe nazwisko?

- Był pułkownikiem DGI. Szkolony w Akademii KGB, jest naprawdę bardzo dobry w swoim

zawodzie. Wybrał ciebie, bo jesteś wdową, do tego młodą i ładną. Zrobił

wywiad, domyślił się, że jesteś samotna, jak większość wdów, no i włączył swój urok.

Sądzę, że ma wrodzony talent, a przy tym szkolili go najlepsi fachowcy. Nie miałaś szans. Wpadłaś pod ciężarówkę, której nawet nie zauważyłaś. Zjawi się u ciebie psychiatra, niejaki doktor Lodge z Tempie Unyversity. I powie ci dokładnie to samo, co ja, tylko weźmie dużo więcej forsy. Ale nie przejmuj się. Pójdzie na konto socjalne.

- Nie mogę zostać w Biurze.

- To prawda. Musisz pożegnać się z dostępem do poufnych danych - oświadczył jej Dan. - Ale to chyba niewielka strata. Dostaniesz pracę w Departamencie Rolnictwa, na tej samej ulicy, ta sama pensja i tak dalej - dodał pocieszająco Murray. - Bili wszystko już dla ciebie załatwił.

- PanShaw?Ale... za co?

- Za to, że jesteś dobrą dziewczyną, Moira, a nie żadnym potworem. W porządku?

- Co więc mamy właściwie zrobić? - spytał Larson.

- Poczekaj, sam zobaczysz - odparł Clark, patrząc na mapę drogową. Opodał miejsca, do którego jechali, znajdowała się wioska o nazwie Don Diego. Ciekaw był, czy mieszka tam jakiś Zorro. - Jaka masz legendę, gdyby nas ktoś zobaczył razem?

- Jesteś geologiem, który wynajął mnie, żeby z lotu ptaka poszukać nowych złóż złota.

- Dobrze.

Była to jedna z garści legend, którymi posługiwał się Clark. Rzeczywiście interesował

się geologią i potrafił w dyskusji na ten temat przegadać niejednego profesora. W

rzeczy samej nieraz dokonał tej sztuki. Legenda ta również wyjaśniała przeznaczenie części sprzętu z tyłu furgonetki z czterokołowym napędem, przynajmniej dla przygodnego i niewprawnego świadka. Znacznik laserowy, wytłumaczają, jest instrumentem obserwacyjnym, co niezbyt odbiegało od prawdy.

Jazda przebiegała bez sensacji. Lokalne drogi nie miały tak dobrej nawierzchni jak w Ameryce ani tak wielu barier ochronnych, ale największe niebezpieczeństwo stanowili miejscowi kierowcy, którzy jeździli raczej po kawalersku. Ale właśnie to mu się w nich podobało. Lubił Amerykę Południową. Mimo wszystkich problemów społecznych, tutejszych ludzi cechowała radość życia i otwartość, która działała nań odświeżająco -

być może Stany Zjednoczone też takie były w zeszłym stuleciu. Przynajmniej Zachód. -

Podziwiał tu wiele rzeczy. Szkoda tylko, że gospodarka nie rozwijała się normalnymi torami. Ale Clark nie robił z siebie socjologa. Sam wszakże był dzieckiem z robotniczej rodziny, a pod wieloma

względami robotnicy są wszędzie tacy sami. Z

pewnością zwykli tubylcy nie pałali większą miłością do handlarzy narkotyków niż on sam. Nikt nie lubi przestępców, zwłaszcza takich, którzy obnoszą się ze swoją władzą.

Żli byli na policję i armię, że nie potrafią sobie z nimi poradzić. Żli i bezsilni. Jediną grupą, która próbowała ich zneutralizować, byli partyzanci z marksistowskiego ugrupowania M-19 - w zasadzie elitarna kolekcja wychowanych w mieście i wykształconych na uniwersytetach intelektualistów. Po porwaniu siostry jednego z ważniejszych handlarzy, jego koledzy po fachu skrzyknęli się i postanowili ją odbić, zabijając ponad dwustu członków M-19 i tworząc przy okazji kartel Medellin. Za ten ruch Clark podziwiał handlarzy. Żli czy nie, zepchnęli marksistowskie ugrupowanie rewolucyjne do odwrotu, stosując partyzantkę miejską według reguł M-19. Błąd ich -

oprócz tego, że uprawiali proceder, do którego Clark żywił wstręt - polegał na tym, iż nie brali w ogóle pod uwagę możliwości analogicznej przegranej z o wiele potężniejszym wrogiem. Najwyższy czas, by karta się odwróciła, pomyślał Clark.

Zagłębił się w siedzeniu i starał się zdrzemnąć. Z pewnością zrozumieją, o co chodzi w tej grze.

Trzysta mil od kolumbijskiego wybrzeża USS „Ranger” ustawił się pod wiatr, by rozpocząć operacje lotnicze. Grupa bojowa składała się z lotniskowca, krążownika klasy Egis „Thomas S. Gates”, drugiego krążownika rakietowego, czterech wyposażonych w pociski manewrujące niszczycieli oraz okrętów eskortujących. Grupa zaopatrzeniowa z tankowcem floty, transportowcem „Shasta”, z amunicją i trzema jednostkami eskortującymi znajdowała się pięćdziesiąt mil bliżej południowoamerykańskiego brzegu. Zaś pięćset mil dalej, na pełnym morzu, płynęła podobna grupa, powracająca z długotrwałego patrolu w Camel Station na Oceanie Indyjskim. Powracająca flota symulowała nacierającą formację wroga, to znaczy Rosjan, chociaż nikt już nie nazywał tego po imieniu w dobie głośności.

Z wieżyczki kontrolnej, położonej wysoko ponad pokładem lotniskowca, Robby Jackson obserwował pierwsze gotujące się do startu maszyny - załadowane do maksimum myśliwce przechwytyjące Tomcat F-14, przycupnięte przy katapultach i ziejące stożkami ognia z silników. Był to za każdym razem fascynujący widok.

Choreografią tego baletu - wzorowo przesuujących się na czterech akрах pokładu startowego masywnych, obładowanych samolotów - kierowali młodzi chłopcy w usmarowanych, różnobarwnych kamizelkach. Gestami dłoni wydawali polecenia, uważając jednocześnie, by nie wejść w strumień wlotowy i wylotowy silników. Była to dla nich gra bardziej niebezpieczna niż ściganie się po miejskich ulicach w godzinach szczytu, a przy tym bardziej fascynująca. Technicy we fioletowych kamizelkach, których zwano „winogronami”, tankowali paliwo. Inna grupa, w czerwonych kamizelkach, podwieszała pomalowane na niebiesko rakiety ćwiczebne. Właściwe strzelanie zaczynało się dopiero następnego dnia. Tego wieczoru mieli ćwiczyć taktykę przechwytywania samolotów wroga, to znaczy kolegów-lotników z marynarki.

Nazajutrz w nocy wystartują zaś z Panamy maszyny C-130 Sił Powietrznych i wystrzelą całą serię zdalnie sterowanych celów latających, które, jak wszyscy wierzyli, zostaną zmiecione z nieba przez wystrzelone z Tomcatów, świeżo naprawione pociski AIM-54C Phoenix. Nie miał to być test producenta. Makietami sterować mieli podoficerowie Sił Powietrznych, których zadaniem było uchronić je przed ogniem, jakby ich życie od tego zależało, i dla których każdy udany unik oznaczał premię płaconą piwem lub inną wymienialną walutą przez załogę, która nie trafiła.

Robby obserwował start dwunastu maszyn, po czym udał się na pokład startowy.

Ubrany w oliwkowy kombinezon lotniczy, niósł swój hełm. Leciał dzisiejszej nocy jednym z samolotów wczesnego ostrzegania, E-2C Hawkeye, przeznaczoną dla marynarki zmniejszoną wersją dużego AWACS-a E-3A, z którego sprawdzi, czyjego nowe założenia taktyczne są lepsze od aktualnie obowiązujących. Górowały we wszystkich przeprowadzonych symulacjach komputerowych, ale komputery to nie rzeczywistość, o czym często zdawali się zapominać panowie z Pentagonu. Załoga E-2C czekała na niego przy drzwiach na pokład startowy. Po chwili zjawił się szef obsługi naziemnej Hawkeye'a, starszy podoficer marynarki w brązowej koszuli, gotów zaprowadzić ich do samolotu. Pokład startowy był jednak zbyt niebezpiecznym miejscem, by piloci mogli chodzić po nim samopas, toteż eskortował ich dwudziestopięciolatek, który znał tu każdy kąt. Po drodze Robby zauważył, jak pod kadłubem

Intrudera A-6E obsługa podwiesza pojedynczą niebieską bombę z zainstalowanym urządzeniem sterującym, co razem tworzyło kierowany laserem pocisk GBU-I5.

Zauważył też, że bombę podwieszono pod osobistą maszynę dowódcy dywizjonu.

Pomyślał, że to z pewnością część testu na działanie systemu, próbny zrzut. Nie tak często nadarzała się okazja zrzucać uzbrojoną bombę, a dowódcy dywizjonu też chcą się nacieszyć. Robby zastanawiał się przez chwilę, co mogło być celem - doszedł do wniosku, że chyba tratwa - ale miał inne zmartwienia na głowie. Szef wprowadził ich na pokład minutę później. Powiedział coś pilotowi, następnie zasalutował mu wytwornie i odszedł do innych obowiązków. Robby przypiął się do wystrzeliwanego fotela w kabine radarowej, znów niepokieszony, że siedzi w samolocie jako pasażer, a nie pilot.

Po normalnym rytuale przygotowawczym porucznik Jackson poczuł drgania, gdy uruchomiono turbośmigłowe silniki. Następnie Hawkeye ruszył powoli i nierówno ku jednej ze środkowych katapult. Silniki osiągnęły pełną moc, kiedy przymocowano przednie podwozie do wózka katapulty, i pilot ostrzegł przez interkom, że już czas. W

ciągu trzech błyskawicznych sekund samolot Grumman przeszedł ze startu stojącego do prędkości dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę. Ogon opadł po utracie kontaktu z pokładem lotniskowca, po czym maszyna wyrównała lot, by po chwili znowu zadrzeć nos i wznieść się na pułap sześciu kilometrów. Niemal natychmiast kontrolerzy radarów z tyłu zaczęli testować systemy i po dwudziestu minutach E-2C

znajdował się już na stanowisku bojowym, osiem mil od lotniskowca, a jego obrotowa antena kręciła się i wysyłała sygnały radarowe obwieszczające początek manewrów.

Jackson usadowił się tak, aby śledzić przebieg całej walki na ekranach radarów, podłączony do kanału łączności dowodzenia, co pozwalało mu sprawdzać na bieżąco, jak grupa powietrzna „Rangera” realizuje jego plan, gdy Hawkeye krążył po niebie.

Ze swojej pozycji widzieli też grupę bojową. Pół godziny po starcie Robby zauważył

jednoczesny start dwóch następnych maszyn z lotniskowca. Sterowany komputerem system radarowy śledził automatycznie dwa nowe kontakty. Wzbiły się na dziesięć tysięcy metrów i tam się spotkały. Ćwiczenie tankowania w locie - domyślił się natychmiast. Jeden z samolotów od razu wrócił na lotniskowiec, a drugi poleciał na wschód-południo-wschód. Wtedy mniej więcej rozpoczął się na dobre manewr przechwytywania, ale co kilka sekund Robby śledził kurs nowego kontaktu, aż ten zniknął z ekranu, zmierzając dalej ku brzegom Ameryki Południowej.

- Tak, tak, pojedę - powiedział Cortez. - Jeszcze nie jestem gotowy, ale na pewno pojedę. - Odwiesił słuchawkę, klnąc siarczyście i sięgnął po kluczyki. Felix nie zdążył

nawet jeszcze zobaczyć ani jednego ze zdemolowanych poletek rafinacyjnych, a oni kazali mu wypowiedzieć się na... posiedzeniu komitetu produkcyjnego, jak określił to eljefe. Zabawne. Tym głupcom było tak spieszo do przejęcia rządów w kraju, że już posługiwali się quasi-urzędową terminologią. Zaklął jeszcze raz, wychodząc z domu.

Jechać kawał drogi do zamku, który ten tłusty, nadęty kretyn wybudował sobie na szczycie góry. Sprawdził czas. Dwie godziny jazdy. Spóźni się. I na domiar złego nie będzie mógł im nic powiedzieć, bo nie miał czasu zbadać sprawy. Będą wściekli. A on znów będzie się przed nimi korzyć. Cortez miał już dość upokorzeń ze strony tych ludzi. Płacili mu wprawdzie niewiarygodne sumy, za żadne jednak pieniądze nie chciał

sprzedawać swojej godności. Powinien był o tym pomyśleć, zanim podpisał kontrakt, wypominał sobie Cortez, ruszając w drogę. Zaklął jeszcze raz.

Najnowszy podsłuch pod kryptonimem „Kapar” nosił numer 2091 i pochodził z połączenia przenośnej stacji z domem celu Echo. Tekst pojawił się na drukarce osobistego komputera Rittera. Po chwili nadszedł numer 2092; od pierwszego komunikatu nie minęło nawet trzydzieści sekund. Ritter wręczył oba wydruki swojemu asystentowi.

- Cortez... czyżby jechał prosto do celu? Boże Narodzenie w czerwcu.

- Jak zawiadomimy Clarka? - zastanawiał się Ritter. Asystent zamyślił się.

- Nie da rady.

- Dlaczego?

- Nie mamy bezpiecznej linii telefonicznej... Chyba żebyśmy dostali się na bezpieczne pasmo VOX lotniskowca, stamtąd do A-6, a z A-6 do Clarka.

Tym razem Ritter zaklął. Nie, tego nie mogli zrobić. Słabym ogniwem był

lotniskowiec. Wtajemniczony, kierujący morską częścią misji oficer na pokładzie statku musiałby zgłosić się do dowódcy lotniskowca - może od niego nie trzeba by było zaczynać, ale na pewno na nim by się skończyło - i poprosić o czystą kabinę radiową do przekazywania wiadomości przeznaczonych wyłącznie dla uszu odbiorcy.

Za duże ryzyko, nawet gdyby dowódca na to poszedł. Zadano by po drodze zbyt wiele pytań, za wiele osób doszłoby do obiegu informacyjnego. Zaklął jeszcze raz, po czym odzyskał równowagę. Może Cortez zdąży dojechać na czas.

Boże, cóż za satysfakcja powiedzieć FBI, że załatwili sukinsyna! Albo, stosowniej, że ktoś go załatwił, wiadomość niepotwierdzona. A może lepiej nie. Nie znał za dobrze Billa Shawa i nie wiedział, jak zareaguje.

Larson zaparkował subaru sto metrów od głównej drogi, w wybranym uprzednio, dobrze ukrytym miejscu. Wspinaczka na stanowisko nie okazała się aż tak trudna; dotarli na miejsce na długo przed zachodem słońca. Zdjęcia wskazały doskonały punkt na samej krawędzi górskiego grzbietu, z którego mieli widok w prostej linii na wspaniałą rezydencję. Posiadłość zajmowała siedem tysięcy metrów kwadratowych - z tego kwadrat o boku trzydziestu metrów przypadła na sam dwukondygnacyjny dom bez piwnicy, pośrodku ogrodzonej, sześćoakrowej działki, oddalonej o cztery kilometry i z grubsza sto metrów niżej od ich stanowiska. Nim zapadł zmrok, Clark badał przez siedmiokrotnie powiększającą lornetkę ochronę rezydencji. Doliczył się dwudziestu ludzi uzbrojonych co do jednego w broń automatyczną. W specjalnie zbudowanych w tym celu warowniach w murze znajdowały się dwa ciężkie karabiny maszynowe z załogami. Bob Ritter miał rację, nazywając to połączeniem Franka Lloyda Wrighta z Ludwikiem „Szalonym” Bawarskim. Dom był piękny, jeżeli gustuje się w stylu neoklasyczo-hiszpańsko-nowoczesnym, ufortyfikowany przy użyciu najnowszej technologii, aby uchronić się przed intruzami. Nie zabrakło także obowiązkowego lądowiska, na którym stał nowiutki Sikorsky S-76.

- Czy powinienem coś jeszcze wiedzieć o tym domu? - spytał Clark.

- Dość masywna konstrukcja, jak zresztą widać. Ja bym się dwa razy zastanowił.

Jesteśmy przecież w kraju trzęsień ziemi. Osobiście wolałbym prostą, drewnianą konstrukcję, ale oni uznają tylko beton... chyba dlatego, żeby powstrzymać kule i pociski moździerzy.

- Coraz lepiej - rzekł Clark.

Rozpakował plecak. Najpierw wyjął ciężki statyw i rozłożył go szybko i sprawnie na twardym podłożu. Następnie wyciągnął, zamocował na statywie i nastawił znacznik laserowy. Wreszcie wydobyl noktowizor Varo Noctron-V. Noctron powiększał tylko pięciokrotnie - Clark wolał układ soczewek lornetki - ale za to był mały, lekki i poręczny, a także wzmacniał otaczające światło pięćdziesiąt tysięcy razy. Technika posunęła się daleko do przodu od czasu, kiedy działał w Azji Południowo-Wschodniej, i wciąż stanowiła dla Clarka czarną magię. Pamiętał czasy, kiedy przedzierał się przez dżunglę z marnymi goglami Mark-1. Larson miał zająć się łącznością radiową i

rozłożył już sprzęt. Pozostało im tylko czekać. Pilot podał coś do zjedzenia i obaj mężczyźni usiedli.

- No, już wiadomo, co znaczą „wielkie stopy” - chichotał Clark godzinę później.

Szyfranci powinni byli się domyślić. Podał Larsonowi noctrona.

- O rany! Jedyna różnica pomiędzy dzieciakiem a mężczyzną...

Drogą jechała furgonetka Ford o ładowności trzy czwarte tony, z napędem na cztery koła. Przynajmniej jako taka opuściła fabrykę, by następnie odwiedzić warsztat specjalnych przeróbek samochodowych, gdzie założono jej opony o przekroju ponad metra. Efekt nie był aż tak groteskowy, żeby furgonetkę nazwać „wielkimi stopami” na wzór owych popularnych na pokazach samochodowych monstrualnych ciężarówek, lecz auto robiło podobne wrażenie. Pojazd był również, o dziwo, całkiem praktyczny.

Droga do casa istotnie wymagała poważnych napraw, ale na tej ciężarówce nie robiło to żadnego wrażenia, w przeciwieństwie do dupków z eskorty kacyka, którzy dwoili się i troili, by dotrzymać kroku nowej, cudownej zabawce szefa.

- Na pewno żre paliwo jak smok - zauważył Larson, gdy ciężarówka przejeżdżała przez bramę. Oddał Clarkowi noktowizor.

- Stać go na to. - Clark obserwował, jak samochód objeżdża dom.

Nie śmiał nawet o tym marzyć, ale stało się. Bałwan zaparkował ciężarówkę tuż pod domem i to pod samymi oknami sali konferencyjnej. Może nie chciał ani na chwilę oderwać oczu od nowej zabawki.

Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Na werandzie - Clark nie mógł sobie przypomnieć hiszpańskiego określenia - przywitali się wylewnie z gospodarzem pod okiem uzbrojonych mężczyzn, czujnych jak funkcjonariusze prezydenckiej ochrony.

Widział, jak rozluźnili się, gdy ich podopieczni weszli do środka, rozstąpili się i zmieszali ze swoimi odpowiednikami - bądź co bądź kartel to jedna wielka, szczęśliwa rodzina!

Dopóty dopóki, powiedział sobie Clark. Ze zdumieniem pokręcił głową na widok miejsca postoju ciężarówki.

- Jedzie ostatni gość. - Larson wskazał na parę reflektorów mozolnie wspinających się po żwirowej drodze.

Był to mercedes, przedłużona limuzyna, z pewnością opancerzona jak czołg. Tak jak samochód naszego ambasadora w Bogocie, pomyślał Clark. Czysta poezja. Tego VIP-a też przywitano z pompą i ceremoniałem. Widać teraz było przynajmniej pięćdziesięciu strażników. Mur obstawiony był dokładnie na całym obwodzie, a inne grupy patrolowały nieustannie pozostałe tereny. Zdziwił się, że nie ma strażników po zewnętrznej stronie ogrodzenia. Musieli jacyś być, tylko że ich nie zauważył. To nie miało znaczenia. W pokoju za ciężarówką zapaliły się światła. To, owszem, miało duże znaczenie.

- Chyba zgadłeś, chłopcze.

- Za to mi płacą - odparł Larson. - W jakiej odległości od domu stoi według ciebie...

Clark już zdążył sprawdzić, nastawiwszy laser zarówno na dom, jak i na ciężarówkę.

- Trzy metry od muru. Wystarczy.

Komandor Jensen zakończył tankowanie, odłączając się od KA-6, gdy tylko zatrzymały się wskaźniki paliwa. Zwinał wąż i obniżył lot, pozwalając cysternie oddalić się. Plan misji nie mógł być łatwiejszy do wykonania. Popuścił drążek w prawo, zmieniając kurs na jeden-jeden-pięć i wyrównując lot na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Miał wyłączony transponder identyfikacyjny i mógł odprężony cieszyć się samym lotem, co niemal zawsze sprawiało mu ogromną radość. Siedzenie pilota w Intruderze umieszczone jest dość wysoko dla lepszej widzialności podczas zrzutów bomb - zarazem jednak przypominał sobie, że człowiek czuje się w tej pozycji bardziej narażony, gdy do niego strzelają. Jensen latał w kilku misjach przed końcem wojny wietnamskiej i wciąż w pamięci przechowywał sznur eksplozji stumilimetrowych pocisków przeciwlotniczych nad Hajfongiem, które wyglądały jak czarne kłaczkowate waty ze złowrogimi, czerwonymi ognikami w środku. Ale nie dzisiejszej nocy. Teraz wysokie siedzenie było dla niego tronem na niebie. Gwiazdy jasno świeciły, niebawem miał wzejść chudnący księżyc. Żyć nie umierać. Szczęście dopełniała misja. Lepiej już być nie mogło.

W bladej poświacie gwiazd dostrzegali oddalony o dwieście mil ład. Intruder leciał

równy z prędkością niespełna ośmiuset kilometrów na godzinę. Jensen przesunął

drążek w prawo, gdy tylko znalazł się poza zasięgiem radaru z E-2C, zmieniając kurs na bardziej południowy, ku Ekwadorowi. Przekroczywszy linię brzegową, skręcił w lewo i trzymał się kursu równoległego do kręgosłupa Andów. Tu włączył transponder radiolokacyjny. Ani Ekwador, ani Kolumbia nie miały radarowego systemu obrony przeciwlotniczej. Obu krajów nie było stać na taki kaprys. Stąd monitory kontrolne Intrudera wskazywały jedynie zwykłe radary kontrolerów ruchu powietrznego, dość nowoczesne. Mało znanym paradoksem technologii radarowej było to, że te nowoczesne radary wcale nie wykrywały samolotów, a tylko radarowe transpondery.

Każdy cywilny samolot na świecie miał na pokładzie małą czarną skrzynkę - jak powszechnie zwano pokładowe wyposażenie elektroniczne - która odbierała sygnał

radarowy i odpowiadała własnym sygnałem, podając

identyfikację maszyny i inne istotne dane, które zaraz malowały się na ekranach kontrolnych stacji radarowej - w tych stronach zazwyczaj na lotnisku - służąc kontrolerom ruchu. Było to tańsze i bardziej niezawodne niż starsze radary, które działając na zasadzie odbicia, wykrywały samoloty tylko jako bezimiennie punkty, których identyfikację, kurs i prędkość musiała następnie ustalać chronicznie przepracowana załoga naziemna. Dziwny to zaiste przypis do historii technologii, skoro nowy wynalazek stanowił jednocześnie krok naprzód i wstecz.

Intruder wkrótce wszedł w strefę kontroli powietrznej Międzynarodowego Portu Lotniczego El Dorado pod Bogotą. Kontroler ruchu wezwał Intrudera, gdy tylko jego kod alfanumeryczny pojawił mu się na monitorze.

- Zrozumiałem, El Dorado - odparł niezwłocznie komandor Jensen. - Zgłasza się Cztery-Trzy Kito; Jesteśmy Inter-America Cargo, lot numer 6 z Quito do LAX.

Wysokość trzy-zero-zero, kurs trzy-pięć-zero, prędkość cztery-dziewięć-pięć. Odbiór.

Kontroler porównał tor z danymi radarowymi i odpowiedział po angielsku, w języku międzynarodowej komunikacji powietrznej.

- Cztery-Trzy Kilo, zrozumiałem. Tor czysty, nieograniczony pułap i widzialność.

Utrzymuj kurs i wysokość. Odbiór.

- Dobrze, dziękuję, dobranoc. - Jensen wyłączył radio i powiedział przez interkom do bombardiera-nawigatora: - Łatwo poszło, prawda? A teraz zabieramy się do roboty.

Na prawym siedzeniu, zamontowanym nieco niżej i z tyłu względem fotela pilota, oficer pokładowy marynarki włączył własne radio, uruchomiwszy zasobnik z multisensorem rozpoznania celu i ataku, podwieszony pod centralnym węzłem uzbrojenia.

Piętnaście minut przed czasem Larson podniósł swój telefon komórkowy i wybrał właściwy numer.

- Senior Wagner, porfavor.

- Momento - odpowiedział głos w słuchawce. Larson zastanawiał się, kto to może być.

- Wagner, słucham - odezwał się po chwili inny głos. - Kto mówi? Larson zdjął celofan z paczki papierosów i miał go przy mikrofonie

słuchawki, odzywając się jednocześnie zniekształconymi strzępkami słów. W końcu powiedział:

- Nie słyszę cię, Carlos. Zadzwoń za kilka minut. - Larson wyłączył się. Znajdowali się i tak na granicy zasięgu systemu komórkowego.

- Ładna zagrywka - rzekł z aprobatą Clark. - Wagner?

- Jego ojciec był sierżantem w SS - służył w Sobiborze - przyjechał tu w czterdziestym szóstym, ożenił się z miejscową dziewczyną i wszedł do przemytniczego interesu.

Umarł, zanim ktoś zdążył wpaść na jego ślad. Niedaleko pada jabłko - rzekł Larson. -

Carlos to też zdrowy kutas, podniecają go kobiety z siniakami na ciele. Nie cieszy się zbytnim

poważaniem kolegów, ale robi dobrze to, co robi.

- Święta nadchodzą - zauważył Clark. Po pięciu minutach odezwało się radio.

- Bravo Whiskey, tu Zulu X-Ray, odbiór.

- Zulu X-Ray, tu Bravo Whiskey. Słyszę cię dobrze. Odbiór - odpowiedział

natychmiast Larson, posługując się radiem, jakich używają kontrolerzy ruchu powietrznego, czyli z zaszyfowanym pasmem decymetrowym.

- Raport stanu gotowości, odbiór.

- Jesteśmy na miejscu. Misja przygotowana do wykonania. Powtarzam, misja gotowa.

- Dobra, rozumiem, jesteście gotowi. Mamy dziesięć minut. Zaczynajcie koncert.

Larson zwrócił się do Clarka.

- Zaświeć choinkę.

NZL już był włączony. Clark przełączył go z pozycji wyczekującej na aktywną. Skrót NZL oznaczał Naziemny Znacznik Laserowy, urządzenie przeznaczone dla żołnierzy na polu walki, wysyłające skupioną, podczerwoną (a zatem niewidoczną) wiązkę laserową przez skomplikowany, ale stabilny system soczewek. Z optyką laserową zsynchronizowany był osobny czujnik na podczerwień, który wskazywał operatorowi namierzony cel -na podobnej zasadzie jak teleskopowy celownik. Ciężarówka „wielkie stopy” miała z tyłu bagażową kabinę z włókna szklanego i Clark nastawił krzyżyk celownika na jedno z jej okienek, posługując się z wyczuciem pokrętłami dostrojenia.

Punkt laserowy pojawił się w wybranym miejscu, ale Clark po chwili namysłu postanowił zmienić nastawienie i wykorzystując fakt, że znajdują się nieco powyżej celu, rzucił wiązkę na środek dachu. Wreszcie włączył magnetowid sprzężony z NZL.

Chłopcy z Waszyngtonu chcieli uwiecznić ten numer na swoją chwałę.

- Dobra - powiedział cicho. - Cel podświetlony.

- Muzyka gra, wszystko jak w nutach - zameldował Larson przez radio.

Cortez jechał pod górę, minawszy już posterunek straży obsadzony dwoma facetami pijącymi piwo, co spostrzegł z obrzydzeniem. Droga przypominała mu te, wśród których wychował się na Kubie, i wykluczała szybką jazdę.

I tak obarczą go winą za spóźnienie.

Łatwizna, pomyślał komandor Jensen, usłyszawszy odpowiedź. Lecieli na wysokości dziesięciu tysięcy metrów w pogodną noc, żadnej artylerii przeciwlotniczej ani rakiet ziemia-powietrze. Nawet

testy fabryczne nie były aż tak łatwe.

- Jest - powiedział BN, spoglądając na monitor.

W pogodną noc widać bardzo, bardzo daleko z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, zwłaszcza gdy za siebie patrzy wielomilionowej wartości system. Pod kadłubem Intrudera zasobnik z multisensorem rozpoznania celu zauważył kropkę laserową, wciąż oddaloną o sto kilometrów. Wiązka była oczywiście modulowana i multisensor rozpoznał sygnał znacznika. Mieli więc już identyfikację celu.

- Zulu X-Ray potwierdza, że muzyka gra czysto - zameldował przez radio Jensen.

Następnie przez interkom: — Kolejny krok.

Włączono zasilanie głowicy inteligentnej bomby, która również zauważyła natychmiast punkt laserowy. Komputer pokładowy utrzymywał pozycję, wysokość, kurs i prędkość samolotu, a bombardier-nawigator zaprogramował pozycję celu z dokładnością do dwustu metrów. Mógł zrobić to z większą precyzją, ale nie musiał. Bomba uwalniała się całkowicie automatycznie, a na tej wysokości laserowa ścieżka schodzenia, do której należało ją wrzucić, miała wielokilometrową szerokość. Komputer wziął pod uwagę te wszystkie dane i postanowił dokonać optymalnego zrzutu, prosto w środek ścieżki.

Clark nie odrywał oczu od NZL. Oparty na łokciach, żadną częścią ciała nie dotykał

instrumentu, nie licząc przytkniętych do gumowej osłony celownika brwi.

- To już kwestia sekund — powiedział BN.

Jensen utrzymywał prosty, równy kurs Intrudera, podporządkowując się elektronicznemu torowi, wyznaczanemu przez różne systemy komputerowe na pokładzie. Cała akcja pozostawała już poza kontrolą ludzkich rąk. Urządzenie obsługujące węzeł uzbrojenia otrzymało sygnał z komputera. Wypaliło kilka naboju myśliwskich - właśnie takimi się posługiwano - wypychając bombę na zewnątrz.

Maszyna podskoczyła nieco do góry, pozbywając się przeszło sześćsetkilogramowego balastu.

- Bomba poszła - zameldował Jensen.

Nareszcie. Cortez zobaczył mur. Jego samochód - będzie musiał kupić sobie jeepa, jeśli ma przyjeżdżać tu często - wciąż tracił przyczepność na żwirze, ale już niedługo przejedzie przez bramę i jeśli pamięć go nie myliła, droga za ogrodzeniem miała przyzwoitą nawierzchnię - chyba z materiału pozostałego po lądowisku dla helikoptera, pomyślał.

- Leci - powiadomił Clarka Larson.

Bomba wciąż pędziła z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę. Po oderwaniu się spod samolotu dzięki grawitacji zaczęła opadać lekkim łukiem ku ziemi, przyspieszając nawet nieco w rozrzedzonym powietrzu, gdy głowica naprowadzająca zmieniała minimalnie kurs, aby skorygować

podmuchał wiatru. Kiedy tylko śledzony przez nią punkt laserowy wyszedł poza środek jej pola widzenia, zmieniała natychmiast swoje położenie i ustawiała odpowiednio plastikowe lotki na ogonie, by kropka wróciła tam, gdzie trzeba. Bomba miała opaść dokładnie siedem tysięcy trzysta metrów, a mikrokomputer w systemie naprowadzającym starał się trafić dokładnie w cel. Miał sporo czasu na korektę błędów.

Clark nie wiedział, czego się właściwie spodziewać. Od dawna nie uciekał się do wsparcia bombowców i zapomniał niektórych szczegółów - kiedy się wzywało do akcji lotnictwo bombardujące, nie było zwykle czasu na drobiazgi. Zastanawiał się, czy będzie słyhać gwizd - nie pamiętał tego z czasów swojej służby wojennej. Nie spuszczał z oka celu, uważając cały czas, żeby nie dotknąć NZL, bo mógł spieprzyć całą akcję. Obok ciężarówki stało kilku mężczyzn. Miał wrażenie, że wszystko trwa strasznie długo. Kiedy już stało się, co się miało stać, był całkowicie zaskoczony.

Żadnego gwizdu, zupełnie nic.

Cortez poczuł, jak przednie koła podskoczyły do góry, gdy wreszcie wjechał na twardej podjazd.

Naprowadzana laserem bomba GBU-15 miała gwarantowaną dokładność do trzech metrów i to w warunkach bojowych, a ta próba systemu była znacznie łatwiejsza.

Bomba spadła dosłownie centymetry od wyznaczonego punktu, uderzając w dach ciężarówki. W przeciwieństwie do poprzedniego próbnego zrzutu, tym razem bombę wyposażono w zapalnik uderzeniowy. Elektroniczny układ zapalników wspomagany był systemem mechanicznym. Co prawda nie okazał się konieczny, jednak materiały wybuchowe też potrzebują trochę czasu i bomba zdążyła opaść osiemdziesiąt centymetrów niżej, gdy doszło do procesu detonacyjnego. Ledwie korpus bomby przebił powłokę kabiny bagażowej, oba detonatory odpaliły ładunek wybuchowy.

Teraz wypadki potoczyły się już szybciej. Jako ładunku użyto octolu, bardzo drogiego materiału, stosowanego również do wyzwiania reakcji nuklearnej, o sile detonacji odpowiadającej rozprężaniu się materii z prędkością ośmiu tysięcy metrów na sekundę.

Palny płaszcz bomby ulotnił się w ciągu kilku mikrosekund. Następnie rozprężające się gazy z wybuchu rozrzuciły odłamki ciężarówki na wszystkie strony - tylko nie w górę

- a tuż za nimi szła twarda jak skała fala uderzeniowa. Odłamki i fala uderzyły w betonowe mury domu po niespełna jednej tysięcznej sekundy. Z wiadomym skutkiem.

Mur zniknął, rozpadłszy się na miliony drobnych, pędzących z prędkością kul odłamków, otwierając pozostałe części domu na atak reszty fali uderzeniowej. Ludzki system nerwowy nie nadąza po prostu z reakcją na tak szybki bieg wypadków, toteż zebrani w pokoju konferencyjnym nawet nie spostrzegli, że czeka ich rychła śmierć.

Laserowy znacznik NZL zapłonął białym światłem (z zielonkawym odcieniem). Clark skulił się odruchowo i oderwał oko od celownika, by zobaczyć jeszcze bielszy rozbłysk w okolicach celu.

Znajdowali się zbyt daleko, żeby usłyszeć od razu wybuch.

Nieczęsto da się widzieć dźwięk, lecz wielkie bomby właśnie to umożliwiają. Sprężone powietrze fali uderzeniowej wyglądało jak upiorna biała ściana rozszerzająca się promieniście z prędkością przekraczającą trzysta metrów na sekundę od miejsca, w którym dopiero co stała ciężarówka. Odgłos eksplozji dotarł do Clarka i Larsona dopiero po dwunastu sekundach. Oczywiście wszyscy uczestnicy zebrania już nie żyli i huk fali uderzeniowej zabrzmiał jak rozpaczliwy wrzask potępionych dusz.

- Chryste! - zawołał osłupiały z wrażenia Larson.

- Myślisz, że starczyło dynamitu, łobuzie? - spytał Clark, ledwie powstrzymując się od śmiechu.

Po raz pierwszy zebrało mu się na wesołość. Miał na swoim koncie śmierć wielu wrogów i do tej pory nie czuł z tego powodu radości. Rodzaj celu w połączeniu z metodą ataku stwarzały wrażenie, że zrobił facetom wyśmienity kawał. Ty sukinsynu!

Po chwili przyszło otrzeźwienie. Ten kawał pozbawił życia przeszło dwudziestu ludzi, z których tylko dwóch znajdowało się na liście celów, a to już nie żart. Przeszła mu ochota do śmiechu. Był profesjonalistą, nie psychopatą.

Cortez znajdował się niespełna dwieście metrów od wybuchu, ale to, że nie wjechał

jeszcze na samą górę, ocaliło mu życie, ponieważ większość odłamków przeleciała mu wysoko nad głową. Jednak fala wybuchu zrobiła swoje, wypychając mu na twarz przednią szybę, która popękała, ale nie rozprysła się, spojona polimerową warstwą wciśniętą pomiędzy dwa płyty szkła. Samochód przekoziółkował na dach, lecz Cortezowi udało się wyczołgać, zanim jeszcze ogarnął umysłem to, co ujrzały oczy.

Dopiero po sześciu sekundach przyszło mu na myśl słowo „wybuch”. Teraz już reagował znacznie szybciej niż strażnicy, z których wszakże połowa albo już i tak nie żyła, albo umierała. W pierwszym świadomym odruchu dobył pistolet i postanowił

podejść pod dom.

Tylko że domu już nie było. Ogluszony eksplozją, nie słyszał jęków rannych. Kilku strażników łąziło bezmyślnie z pistoletami gotowymi... do czego, sami nie wiedzieli. Ci z posterunku w najdalszym rogu posiadłości najmniej ucierpieli. Mury domu wzięły na siebie większość uderzenia, chroniąc ich przed wszystkim, prócz nie mniej groźnych odprysków.

- Bravo Whiskey, tu Zulu X-Ray. Dajcie ocenę zniszczeń, odbiór. -Larson włączył po raz ostatni mikrofon.

- Szacuję odchylenie trafienia na zero, powtarzam, zero. Detonacja całkowita i natychmiastowa. Wpiszcie czternaście przecinek zero. Odbiór.

- Zrozumiałem. Bez odbioru. - Jensen znów wyłączył radio. - Wiesz co - powiedział

przez interkom - pamiętam, kiedy jeszcze jako porucznik pływałem po Morzu Śródziemnym na „Kennedym” i razem z innymi

oficerami bałem się zapuszczać w niektóre zakamarki, bo piechociarze szprycowali się narkotykami.

- Mowa - odpowiedział bombardier-nawigator. - Pieprzone prochy. Nie martw się, szefie. Raczej nie grożą mi wyrzuty sumienia. Bo jak Biały Dom uważa, że wszystko gra, no to znaczy, że gra.

- Niby tak. - Jensen znów umilkł. Utrzyma teraz kurs, aż wyleci poza zasięg radaru z El Dorado, potem skręci na południowy zachód ku „Rangerowi”. Noc była naprawdę piękna. Zastanawiał się, jak szły manewry grupy powietrznej floty...

Cortez miał niewielkie doświadczenie z eksplozjami i subtelności takich wypadków były dlań nowością. Na przykład fontanna przed domem wciąż tryskała. Zakopane w ziemi kable elektryczne, prowadzące do domu, pozostały nieuszkodzone, wybuch nie zniszczył też doszczętnie skrzynki z bezpiecznikami. Pochylił twarz ku wodzie, by się obmyć. Kiedy się z powrotem wyprostował, czuł się już dość dobrze, choć dokuczał

mu jeszcze ból głowy.

Gdy nastąpił wybuch, za ogrodzeniem stało około tuzina pojazdów. Z mniej więcej połowy zostały strzępy, a ich baki z paliwem eksplodowały, oświetlając teren odosobnionymi pochodniami. Wbity w resztki muru tkwił wrak nowego śmigłowca Untiverosa. Wśród zgliszczy krzątali się też inni ludzie. Cortez stał spokojnie, starając się zebrać myśli.

Przypomniał sobie ciężarówkę zaparkowaną tuż pod... Ruszył do tego miejsca.

Podchodząc, spostrzegł, że choć na całym trzyhektarowym terenie wokół domu piętrzyły się zwały gruzu, tu było pusto. Po chwili ujrzał krater dwumetrowej głębokości i szeroki na sześć metrów.

Samochód-pułapka.

I to duża. Może nawet jednotonowa, pomyślał, odwracając się od krateru.

- Chyba widzieliśmy już wszystko, co trzeba - oznajmił Clark. Ostatni raz spojrzął

przez znacznik NZL i wyłączył urządzenie. Spakował go w ciągu niespełna trzech minut.

- Jak myślisz, kto to może być? - spytał go Larson, gdy już wkładał plecak. Podał mu noctrona.

- Na pewno ten facet, co przyjechał spóźniony bmw. Sądziś, że to ktoś ważny?

- Nie wiem. Może go dorwiemy następnym razem.

- Właśnie. - Clark pierwszy ruszył na dół.

Amerykanie. CIA, cudów nie ma. Dobili z kimś targu i udało im się jakoś podłożyć tonę materiału

wybuchowego w tyle tej monstrualnej furgonetki. Cortez podziwiał

pomysł. Furgonetka należała do Fernandezza -słyszał o niej, ale nigdy nie widział. Już jej nie zobaczę, pomyślał. Fernandez uwielbiał swoją nową ciężarówkę i parkował pod samym... Chyba o to właśnie chodziło. Amerykanie mieli kupę szczęścia. Dobra, jak tego dokonali? Na pewno nie własnymi rękami. Musieli więc posłużyć się kimś innym... kim? Kimś - nie, wciągnęli więcej ludzi, przynajmniej czterech lub pięciu z M-19 albo FARC...? To by się zgadzało. A może działali jeszcze bardziej okreśną drogą?

Zlecieli robotę Kubańczykom lub KGB? Przy tych wszystkich zmianach pomiędzy Wschodem a Zachodem, czyżby CIA udało się załatwić taką współpracę?

Nieprawdopodobne, ale przecież możliwe. Bezpośredni atak na dygnitarzy państwowych, których zamordował kartel, należał do tego gatunku prowokacji, po których można się było spodziewać najmniej prawdopodobnych mariaży.

Czy podłożenie bomby w tym miejscu było przypadkowe? Czyżby Amerykanie dowiedzieli się o spotkaniu?

Spod rumowiska, które niegdyś było zamkiem, dochodziły głosy. Węszyli wszędzie ludzie z ochrony i Cortez do nich dołączył. W domu przebywała rodzina Untiverosa.

Żona z dwojgiem dzieci oraz osiem, a może więcej osób służby. Zapewne traktował

ich jak niewolników, pomyślał Cortez, tak jak wszyscy wodzowie kartelu. Może ugodził w dumę któregoś z nich - zbałamucił córkę, to do nich podobne. Droit du seigneur. Określenie francuskie, ale wodzowie rozumieli je dobrze. Durnie, powiedział

w duchu Cortez. Czy istniała perwersja, której by się nie dopuścili?

Strażnicy z ochrony przeszukiwali już rumowisko. Zdumiewające, że ktoś przeżył pod zwałami gruzu. Cortez odzyskiwał słuch. Dochodziły doń jęki jakiegoś biedaka.

Ciekaw był, ilu się doliczą ofiar. A może... Tak. Obrócił się i wrócił do swojego przewróconego bmw. Z korka wlewu paliwa ciekła benzyna, mimo to Cortez sięgnął

do środka i wyciągnął telefon komórkowy. Zanim go włączył, odszedł dwadzieścia metrów od samochodu.

- Jefe, mówi Cortez. Mieliśmy tu eksplozję.

Jak na ironię, pomyślał Ritter, pierwszą wiadomość o powodzeniu misji przyniósł

kolejny podsłuch z serii „Kapar”. Co najistotniejsze, jak donieśli chłopcy z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, mieli już zapis głosu Corteza, co wydatnie zwiększało szansę jego zlokalizowania. Lepsze to niż nic, pomyślał ZDO, gdy po raz drugi w tym dniu wszedł jego gość.

- Nie wyszło nam z Cortezem - powiedział admirałowi Cutterowi. - Ale za to trafiliśmy d'Alejandra, Fernandezę, Wagnera i Untiverosa, poza zwykłymi stratami ubocznymi.

- Jak to?

Ritter spojrział ponownie na zdjęcie satelitarne domu. Potrzebował nowej fotografii do oszacowania skutków wybuchu.

- W polu rażenia znalazło się kilku strażników i część z nich dostała. Niestety, przebywała tam również rodzina Untiverosa: żona, dwójka dzieci oraz różne osoby ze służby.

Cutter wyprostował się jak oparzony.

- Nic mi o tym nie wspominałeś! Miało to przecież być chirurgiczne cięcie.

Ritter spojrział nań z widoczną irytacją.

- Do diabła, Jimmy! Czego się spodziewałeś, do cholery? Wciąż przecież jesteś oficerem marynarki, prawda? Czy nikt ci nie mówił, że zawsze w pobliżu znajdą się postronne osoby? Zrzuciliśmy bombę, czyżbyś zapomniał? Bombą nie wykonuje się zabiegów chirurgicznych, wbrew temu, co twierdzą eksperci. Bądź mężczyzną! -

Przypadkowe ofiary bynajmniej nie cieszyły Rittera, ale taka była cena tego interesu, co zresztą członkowie kartelu świetnie rozumieli.

- Ale ja powiedziałem prezydentowi...

- Prezydent osobiście przydzielił mi licencję łowiecką bez limitu odstrzałów. I to ja kieruję tą operacją, prawda?

- Tak nie miało być! A jeśli prasa się dowie? To morderstwo z zimną krwią!

- W przeciwieństwie do likwidowania handlarzy i ich siepaczy? To też morderstwo, czyż nie? A raczej byłoby morderstwem, gdyby prezydent nie postanowił, że czas zdjąć rękawiczki. Mówiłeś, że to wojna. Prezydent kazał nam traktować to jako wojnę i tak też postępujemy. Przykro mi, że na miejscu byli przypadkowi ludzie, ale zawsze są, do cholery. Gdybyśmy znali sposób na załatwienie tych cwaniaków bez krzywdzenia niewinnych osób, to byśmy się nim posłużyli, ale nie znamy. - Powiedzieć, że Ritter osłupiał ze zdumienia, to jeszcze mało. Przecież ten facet uchodził za profesjonalnego oficera armii. Pozbawianie ludzi życia to część charakterystyki jego zawodu. Owszem, perswadował sobie Ritter,

większość kariery Cutter spędził, żeglując za biurkiem w Pentagonie... nie widział

prawdopodobnie za dużo krwi, od czasu, kiedy się zaczął golić. Kicius w tygrysiej skórze. Nie, poprawił się Ritter. Raczej kicia. Trzydzieści lat w mundurze i facet zapomina, że prawdziwe

pociski zabijają ludzi nieco mniej precyzyjnie niż w filmie.

Szczególny przypadek zawodowego oficera. I taki ktoś doradzał prezydentowi w sprawach bezpieczeństwa narodowego. Wspaniale.

- Bądźmy szczerzy, panie admirale. Jeśli pan nie wygada się przed pismakami, ja też będę milczał. Oto podsłuch. Cortez mówi, że to bomba samochodowa. Clark musiał

załatwić sprawę, tak jak sobie wymarzyliśmy.

- A jeżeli miejscowa policja zechce wszcząć dochodzenie?

- Po pierwsze, nie wiadomo, czy lokalnym glinom wolno będzie tam wejść. Po drugie, skąd pan wie, że są odpowiednio przygotowani do zbadania, w czym rzecz? Ciężko się napracowałem, żeby wszystko wskazywało na samochód-pułapkę i wygląda na to, że Cortez dał się nabrać. Po trzecie, na jakiej podstawie sądzi pan, że miejscowe gliny nie mają tego głęboko w dupie?

- Ale prasa!

- Prasa to pański konik. Czy to nie pan nalegał, żeby raz na zawsze zrobić z nimi porządek? teraz zmienia pan zdanie? Trochę za późno -rzekł Ritter z niesmakiem.

Wykonali najlepszą operację od lat, a tu facet, który sam rzucił pomysł, robił teraz w gacie.

Admirał Cutter puszczał inwektywy Rittera mimo uszu, toteż nie okazał złości.

Obiecał prezydentowi chirurgiczne usunięcie ludzi, którzy zabili Jacobsa i resztę. Nie położył na szali śmierci niewinnych ludzi. Co ważniejsze, Farmer też nie.

Chavez był zbyt daleko na południe, aby usłyszeć wybuch. Drużyna zajęła pozycje przy nowej rafinerii. Wszystko wskazywało na to, że połowe laboratoria pracowały na zmiany. Na jego oczach dwóch ludzi rozkładało przenośną wannę pod opieką kilku uzbrojonych mężczyzn, słyszał też jęki i przekleństwa innych, którzy gramolili się jeszcze pod górę. Pojawiło się czterech chłopów z plecakami wyładowanymi słojami z kwasem. Towarzyszyło im dwóch następnych strzelców.

Chyba wieść się jeszcze nie rozeszła, pomyślał Ding. Był pewien, że ich akcja tamtej nocy zniechęci ludzi do zarabiania w taki sposób. Sierżant nie wziął pod uwagę możliwości, że ci chłopcy musieli ryzykować, żeby nakarmić rodziny.

Po dziesięciu minutach trzecia, sześciuosobowa zmiana doniosła liście koki pod eskortą pięciu dalszych uzbrojonych strażników. Każdy z robotników miał składane, brezentowe wiadro. Udali się do pobliskiego potoku po wodę. Szef strażników kazał

dwóm ludziom wejść do lasu i trzymać wartę. Wtedy załamał się plan. Jeden z wartowników szedł prosto na oddaloną o pięćdziesiąt metrów grupę szturmową.

- Oho - odezwał się szeptem Vega.

Chavez nacisnął cztery razy guzik nadawania, sygnał alarmowy.

Widzę - kapitan odpowiedział dwoma impulsami, po których nastąpiły dalsze trzy.

Przygotować się.

Oso chwycił karabin maszynowy i odbezpieczył go.

Może załatwią go po cichu, modlił się Chavez.

Najemnicy z wiadrami właśnie wracali, gdy Chavez usłyszał po lewej stronie krzyk.

Strzelcy poniżej niego zareagowali natychmiast. Wtedy Vega otworzył ogień.

Nagła seria z innego kierunku pomieszała strażnikom szyki, lecz zareagowali, tak jak zazwyczaj reagują zaskoczeni ludzie z bronią automatyczną - zaczęli strzelać na wszystkie strony.

- Cholera - warknął Ingeles i wystrzelił granat, który upadł pomiędzy słoje i wybuchł, opryskując wszystkich wokół kwasem siarkowym.

Wszędzie latały pociski smugowe, padali ludzie, ale panował tak wielki bałagan i chaos, że żołnierze stracili kontrolę nad sytuacją. Strzelanina ustała po kilku sekundach. Nikt w polu widzenia się nie ruszał. Niebawem pojawiła się grupa szturmowa i Chavez biegiem do niej dołączył. Policzył ciała i zabrakło mu trzech.

- Guerra, Chavez, szukajcie ich! - rozkazał kapitan Ramirez. Nie musiał dodawać: Zabijcie ich!

Ale nic z tego. Guerra natknął się na jednego i zabił go na miejscu. Chavez nie miał

szczęścia; niczego nie słyszał ani nie widział. Odnalazł potok i jedno wiadro trzysta metrów od rafinerii. Jeśli znajdowali się właśnie tam, kiedy wybuchła strzelanina, oznaczało to, że mają pięć minut przewagi w terenie znanym im od dziecka. Obaj żołnierze przez pół godziny biegali, rozglądali się i nasłuchiwali, ale dwóm ludziom udało się zbiec. Kiedy wrócili do celu, okazało się, że tego dnia nie była to najgorsza wiadomość. Jeden z kolegów nie żył. Strzelec Rocha dostał całą serię w pierś od jednego ze strażników i poległ na miejscu. Drużyna milczała.

Jackson też był w podłym humorze. Siły przeciwnika go pokonały. Zawiodły myśliwce z „Rangera”. Cały jego plan taktyczny zawalił się, gdy jeden z dywizjonów skręcił w złym kierunku i to, co miało być doskonałą pułapką, umożliwiło w rezultacie

„Rosjanom” czyste podejście dostatecznie blisko do lotniskowca, by odpalić pociski rakietowe. Taki wynik był kompromitacją, jeśli nie całkowitym zaskoczeniem. Nowe idee wymagały czasu i może należało dopracować niektóre założenia. To, że wszystko grało podczas symulacji komputerowej, nie musi oznaczać, że plan jest doskonały, pocieszał się Jackson. Wpatrywał się nadal w monitor radaru, wysupłując z pamięci poszczególne układy i ich zmiany. Naraz pojawił się powtórnie na ekranie

pojedynczy punkt, który przesuwiał się na południowy zachód w kierunku lotniskowca.

Zastanawiał się, kto to może być, gdy Hawkeye podchodził do lądowania.

E-2C doskonale siadł na skróconym dobiegu, zahaczając o linę numer 3 i kołując do przodu, by zrobić miejsce następnej maszynie. Robby wysiadł w samą porę, żeby zobaczyć, jak ląduje kolejny samolot. Był to Intruder, ten sam, na którego zwrócił

uwagę przed wejściem na pokład Hawkeye'a kilka godzin wcześniej. Osobista maszyna dowódcy dywizjonu, zauważył. Ten, który poleciał w kierunku lądu. Ale to nieważne.

Porucznik Jackson ruszył natychmiast do biura dowódcy grupy powietrznej na odprawę.

Komandor Jensen także odkołował z pasa startowego. Intruder złożył skrzydła, by zająć jak najmniej miejsca w przedniej części pokładu. Kiedy wreszcie wysiadł wraz ze swym BN, szef obsługi naziemnej samolotu już na nich czekał. Wyjął kasetę magnetowidową z gniazda na tablicy przyrządów. Wręczył ją dowódcy dywizjonu.

Opodal czekał na nich konsultant, któremu Jensen przekazał taśmę.

- Cztery zero według naszego człowieka - zameldował pilot. Jensen się nie zatrzymał.

Konsultant zaniósł taśmę do swojej kabiny, gdzie umieścił ją w metalowej kasecie z zamkiem. Opieczętował ją dodatkowo wielobarwną taśmą i z dwóch stron dał nalepkę ściśle tajne. Następnie umieścił kasetę w większej skrzynce transportowej i zaniósł do kabiny na poziomie 0-3. Za trzydzieści minut miał wylądować DNO. Kasetę poleci nim w kieszeni kuriera i wyląduje w Panamie, gdzie zaopiekuje się nią agent terenowy Agencji i przetransportuje do bazy Sił Powietrznych Andrews, a stamtąd wreszcie do Langley.

Rozdział 19

konsekwencje

Służby wywiadowcze chępią się przekazywaniem informacji z punktu A do punktów B, C, D i tak dalej z ogromną szybkością. W przypadku bardzo poufnych informacji czy danych zdobytych wyłącznie tajnymi metodami, rzeczywiście mają się czym chwalić. Co zaś tyczy danych dostępnych dla całego świata w otwartym obiegu informacyjnym, zostają zazwyczaj daleko z tyłu za komercyjnymi środkami masowego przekazu, stąd też podziw amerykańskich środowisk wywiadowczych - i zapewne wielu innych - dla CNN Te.da Turnera.

Dlatego też Ryan nie był zbyt zaskoczony, że w nagłówku do pierwszej przekazanej mu wiadomości o eksplozji na południe od Medellin powoływano się na CNN i inne agencje. W Mons była pora śniadaniowa. Dostał apartament w amerykańskiej sekcji dla VIP-ów w kwaterze głównej NATO i miał dostęp do kanału satelitarnego CNN.

Włączył telewizor w połowie pierwszej filiżanki kawy, by zobaczyć ujęcie nakręcone bez wątpienia z helikoptera kamerą noktowizyjną. Napis u dołu ekranu informował: MEDELLIN, KOLUMBIA.

- O Boże - wykrztusił Jack i odstawił filiżankę.

Śmigłowiec nie podleciał bardzo blisko, obawiając się zapewne ostrzału ze strony kłębiących się na ziemi ludzi, ale wystarczył nawet niewyraźny obraz. Z masywnej budowli zostały zwały gruzu rozrzucone wokół szerokiego dołu. Odcisnięta w ziemi pieczęć nie pozostawiała cienia wątpliwości. Ryan powiedział do siebie: samochód-pułapka, jeszcze zanim głos komentatora wyraził identyczne przypuszczenie. Z tego wynikało, że Agencja nie ma z tym nic wspólnego. Samochody-pułapki nie były w amerykańskim stylu. Amerykanie wierzyli w wymierzone w konkretny cel kule.

Precyzyjnie wycelowana broń to wszakże amerykański wynalazek.

Zmienił jednak zdanie po chwili refleksji. Po pierwsze, Agencja prowadziła niewątpliwie od pewnego czasu obserwację przywództwa kartelu, a w tej dziedzinie CIA miała znakomite wyniki. Po drugie, jeśli prowadzono systematyczną obserwację, to powinien być dowiedzieć się o wybuchu kanałami Agencji, a nie z kopii serwisu prasowego. Coś tu się nie zgadzało.

Co powiedział mu sir Basil? „Odpowiemy na pewno pięknym za nadobne”. A cóż to znaczy? W ostatniej dekadzie gra wywiadowcza

nabrała bardziej cywilizowanego charakteru. W latach pięćdziesiątych obalenie rządów należało do zwykłego repertuaru działań w interesie państwa. Polityczne zabójstwa stanowiły rzadką, aczkolwiek rzeczywistą alternatywę bardziej żmudnych wysiłków dyplomatycznych. W przypadku CIA, fiasko w Zatoce Świń i zła prasa wokół

niektórych operacji w Wietnamie - gdzie wszakże toczyła się wojna, a wojny to przedsięwzięcia z natury rzeczy raczej brutalne - w zasadzie położyły kres tego rodzaju działalności. Dziwne to, ale prawdziwe. Nawet KGB rzadko uciekało się do mokrej roboty, zostawiając ją takim degeneratom jak Bułgarzy albo częściej ugrupowaniom terrorystycznym, które wykonywały podobne usługi na zasadzie *qui pro quo* za broń i pomoc w szkoleniu. Ale trzeba przyznać, to też powoli zamierało.

Co dziwne, Ryan wierzył, że tego rodzaju stanowcze akcje są czasami konieczne - i mogą stać się jeszcze bardziej nieodzowne teraz, kiedy świat stronił od otwartych działań wojennych, przechodząc do półmrocznych bojów państwowego terroryzmu i utajonych konfliktów. Siły operacji specjalnych stanowiły realną i na poły cywilizowaną alternatywę dla bardziej zorganizowanych i niszczyielskich form przemocy uprawianych przez konwencjonalne siły zbrojne. Jeśli wojna jest tylko usankcjonowanym morderstwem na masową skalę, to czyż nie humanitarniej jest stosować przemoc w bardziej ukierunkowany i dyskretniejszy sposób?

Oto dylemat etyczny nienadający się bynajmniej do roztrząsania w porze śniadaniowej.

Ale cóż jest dobrem, a co złem na tym poziomie? - zastanawiał się Ryan. W prawie, etyce i religii przyjmuje się, że żołnierz, który zabija podczas wojny, nie jest przestępcą. Należało jednak odpowiedzieć na pytanie: co to jest wojna? W poprzednim pokoleniu problem był prosty. Państwa

szły armie oraz floty i wysyłały je do boju o byle błahostkę - później okazywało się zazwyczaj, że istniała pokojowa możliwość - i było to moralnie do przyjęcia. Ale wszak sama wojna się zmieniała. A kto decydował o tym, czym jest wojna? Państwa. Czy zatem państwo mogło określić, jakie są jego żywotne interesy i stosownie działać w ich obronie? Jak terroryzm wszedł

do tego równania? Przed laty, gdy Ryan sam był celem, doszedł do wniosku, że terroryzm można zdefiniować jako współczesny przejaw piractwa, którego praktyków zawsze traktowano jako wspólnych wrogów ludzkości. Z historycznego punktu widzenia istniał więc precedens niezupełnie wojennej sytuacji, która uzasadniała bezpośrednie użycie sił zbrojnych.

Jak wobec tego traktować handlarzy narkotyków? Czy to przestępstwo, które zwalczać należy rutynowymi środkami? A jeśli handlarze podporządkują naród swej woli? Czy taki naród staje się wspólnym wrogiem ludzkości, tak jak piraci Berberii w zamierzchłych czasach?

Niech to szlag, zasępił się Ryan. Nie wiedział, co ma do powiedzenia prawo. Jako historyk z wykształcenia nie mógł teraz pomóc sobie naukowymi dyplomami. Jedynym doświadczeniem w tego rodzaju procederze pochwalić się mogło pewne mocarstwo, które wdało się w prawdziwą wojnę, by zapewnić sobie prawo sprzedaży opium innemu narodowi, którego rząd stawiał opór, lecz przegrawszy wojnę, stracił prawo do ochrony swych obywateli przed używaniem narkotyków.

Niezbyt pocieszający precedens, prawda?

Wykształcenie kazało Jackowi szukać uzasadnień. Należał do tych, co wierzą, że dobro i zło naprawdę istnieją jako dające się oddzielić i zdefiniować wartości, lecz skoro podręczniki prawa nie zawsze dawały odpowiedzi, musiał ich szukać gdzie indziej. Jako ojciec brzydził się handlarzami narkotyków. Kto mu zaręczy, że jego własne dzieci nie skuszą się pewnego dnia na to przekłete świństwo? Czyż nie miał

obowiązku chronić własnych dzieci? A jako przedstawiciel służb wywiadowczych swojego kraju, czyż nie powinien rozciągnąć tego obowiązku na wszystkie dzieci swego narodu? A jeśliby wróg zagroził bezpośrednio krajowi? Czy zmienia to reguły gry? W przypadku terroryzmu znalazł już odpowiedź: kto zagraża w ten sposób państwu, naraża się na poważne ryzyko.

Takie państwa jak Stany Zjednoczone posiadały niewyobrażalne wręcz możliwości.

Dysponowały ludźmi w mundurach, którzy nie robili nic poza ćwiczeniem subtelnej sztuki zadawania śmierci. Umieli wytwarzać groźne narzędzia tego rzemiosła.

Wszystko, począwszy od przesycia kulą piersi jednemu wyznaczonemu człowiekowi z odległości tysiąca metrów, po wrzucenie komuś inteligentnej bomby o wadze jednej tony przez okno prosto do sypialni...

- Na Boga!

Rozległo się pukanie do drzwi. Ryan ujrzał w progu jednego z asystentów sir Basila, który wręczył mu kopertę i wyszedł.

Po powrocie do kraju powiedz Bobowi, że wykonał robotę na medal. Bas.

Jack wsunął wiadomość z powrotem do koperty i włożył do kieszeni marynarki. Miał

oczywistą rację. Ryan w to nie wątpił. Musiał teraz tylko zdecydować, czy to dobrze, czy nie. Wkrótce przekonał się, że łatwiej oceniać takie decyzje, gdy podejmują je inni.

Musieli się zmyć. Ramirez rozdzielił wszystkim zajęcia. Im więcej roboty, tym mniej trzeba myśleć. Musieli zatrzeć wszelkie ślady swej obecności. Musieli pochować Rochę. Za jakiś czas, jeśli w ogóle, jego rodzina, jeśli kogoś miał, dostanie zaplombowaną, metalową trumnę z siedemdziesięciokilogramowym obciążeniem symulującym ciało, którego w środku nie będzie. Chavez z Vegą dostali rozkaz wykopania grobu. Przygotowali dół na zwyczajową głębokość dwóch metrów, przygębieni tym, że zostawiają tak jednego ze swoich kolegów. Zawsze była nadzieja, że ktoś wróci na miejsce po ciało towarzysza, lecz ani jeden, ani drugi nie spodziewali się, by ktoś zadał sobie kiedyś tyle trudu. Choć mieli za sobą jedynie służbę w czasie pokoju, śmierć nie była dla nich nowością.

Chavez pamiętał tych dwóch chłopaków w Korei i wypadki podczas ćwiczeń na poligonie oraz katastrofy śmigłowców. Życie żołnierza jest niebezpieczne, nawet kiedy nie trzeba iść na wojnę. Starali się więc zrationalizować śmierć Rochy, traktując ją jako wypadek. Ale on przecież nie zginął przypadkiem. Poległ na służbie, wypełniając żołnierską powinność na wezwanie kraju, któremu na ochotnika zdecydował się służyć, którego mundur nosił z dumą. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, podjął

wyzwanie jak mężczyzna i teraz chowano go w obcej ziemi.

Chavez wiedział, że jego wcześniejsze przypuszczenia, iż nic takiego się nie przydarzy, były irracjonalne. Zaskoczenie wynikało raczej z tego, że Rocha, jak większość drużyny, był prawdziwym zawodowcem, inteligentnym, silnym, dobrze strzelającym, cichym w dżungli, żarliwym i bardzo poważnym żołnierzem, uradowanym akcją przeciwko handlarzom narkotyków - z przyczyn, których nie zdążył nikomu wyjawić.

Dziwne, ale to właśnie sprawiało ulgę. Rocha umarł na posterunku. Ding doszedł do wniosku, że takie epitafium każdemu przyniosłoby chlubę. Po wykopaniu dołu opuścili z największą ostrożnością ciało. Kapitan Ramirez wygłosił krótką mowę, po czym grób częściowo przysypano. Jak zawsze, Olivero nasypał gazu łzawiącego CS w proszku, aby ziemi nie rozgrzebały zwierzęta. Następnie zasypany dół przykryli darnią, zacierając wszelki ślad pogrzebu. Ramirez jednak odnotował skrzętnie miejsce, gdyby przypadkiem ktoś postanowił wrócić po zwłoki jego żołnierza. Teraz trzeba było ruszać.

Szli aż do rana, zmierzając do zapasowej bazy patrolowej, oddalonej o siedem kilometrów od tej, której samotnie strzegł teraz Rocha. Ramirez zaplanował

odpoczynek dla swoich ludzi, by następnie poprowadzić ich jak najprędzej na kolejną misję. Lepiej

niech pracują, niż za dużo myślą. Tak radziły podręczniki.

Lotniskowiec posiada równie zwartą społeczność jak okręt wojenny - dom dla sześciu tysięcy mężczyzn, z własnym szpitalem i sklepami, kościołem i synagogą, policją i klubem wideo, a nawet własną gazetą siecią telewizyjną. Załoga pracuje wiele godzin dziennie i udogodnienia, którymi cieszyła się w wolnym czasie, nie wykraczały poza zasłużone minimum - a co ważniejsze, marynarka przekonała się, że marynarze pracują o niebo lepiej, gdy mogą z nich korzystać.

Robby Jackson wstał i jak zwykle wziął prysznic, po czym udał się do klubu oficerskiego na kawę. Miał dziś jeść śniadanie z kapitanem, ale chciał się przedtem porządnie obudzić. W rogu klubowej kabiny stał telewizor, z którego korzystali oficerowie. Większość Amerykanów zaczyna dzień od porannego dziennika. W tym przypadku prezenter nie zarabiał pół miliona dolarów rocznie, nie musiał robić makijażu, musiał natomiast sam redagować serwis.

Wczoraj około dziewiątej -wieczorem - to znaczy dla nas o dwudziestej pierwszej zero zero - potężny wybuch zniszczył dom niejakiego Estebana Untiverosa. Senior Untiveros był ważną figurą w kartelu z Medellin. Wygląda na to, że jeden z jego przyjaciół nie żywił doń tak przyjaznych uczuć, jak mu się zdawało. Agencje donoszą, że umieszczona w samochodzie bomba całkowicie zniszczyła jego luksusową górską posiadłość, zabijając wszystkie przebywające tam osoby.

W kraju rusza w przyszłym tygodniu w Chicago pierwsza z letnich konwencji przedwyborczych. Gubernatorowi J. Robertowi Fowlerowi, czołowemu kandydatowi swej partii do nominacji, wciąż brakuje stu głosów. Spotyka się on dzisiaj z reprezentantami z...

Jackson odwrócił głowę i rozejrzał się po sali. Dziesięć metrów od niego siedział

komandor Jensen i wskazując na telewizor, chichotał w najlepsze do jednego ze swoich ludzi, który w milczeniu uśmiechał się do kubka.

Coś zaskoczyło w głowie Robby'ego.

Ćwiczenia w zrzucaniu bomb.

Konsultant, niezbyt rozmowny.

A-6E, który wziął kurs jeden-jeden-pięć w stronę Ekwadoru i wrócił na „Rangera”

kursem dwa-zero-pięć. Trzeci bok tego trójkąta musiał -mógł - przebiegać nad...

Kolumbią.

Wiadomość o bombie samochodowej.

Bomba z celulozowym płaszczem. Inteligentna bomba z celulozowym płaszczem, poprawił się porucznik Jackson.

No, sukinsynu...

Można się było cieszyć z kilku powodów. Nie gryzło go szczególnie sumienie z powodu śmierci handlarza narkotyków. Zastanawiał się wręcz, czemu, do diabła, nie strącają tych kurierskich samolotów z towarem. Po co ta polityczna gadka-szmatka o zagrożeniu bezpieczeństwa narodowego i prowadzeniu wojny chemicznej przeciwko Stanom Zjednoczonym? Czemu nie przeciwżyć zrzutów tak na ostro i dać im w dupę raz a dobrze? Zaoszczędziłoby się na makietach. W

wojsku nie było takiego, co nie stuknąłby kilku tych drani. Wróg jest tam, gdzie się go znajdzie - znaczy tam, gdzie wskaże naczelne dowództwo - a przecież porucznik Robert Jefferson Jackson żył z rozprawiania się z wrogami swojej ojczyzny. Załatwić ich inteligentną bombą, pozorując coś innego, no, to już czysty artyzm.

Jeszcze zabawniejszy był fakt, że Robby wiedział, tak mu się przynajmniej wydawało, co zaszło. Taki już kłopot z tajemnicami. Nie da się ich dochować. Tak czy inaczej, zawsze wychodzą na jaw. Nikomu nie piśnie słówka, ma się rozumieć. A szkoda.

Ale dlaczego właściwie utrzymywać to w tajemnicy? - zastanawiał się Robby. Sposób, w jaki kartel zabił dyrektora FBI, to przecież jawne wypowiedzenie wojny. Dlaczego nie obwieścić publicznie: dostaniecie za to! Zwłaszcza w roku wyborów. Czy kiedykolwiek społeczeństwo amerykańskie odmówiło poparcia swojemu prezydentowi, gdy zadeklarował konieczność walki z wrogiem?

Ale Jackson nie zajmował się polityką. Nadszedł czas śniadania z dowódcą. Dwie minuty później zjawił się w jego kabinie. Wartownik z marines otworzył mu drzwi i Robby zastał kapitana zagrzebanego w depeuszach.

- Mundur macie nieregulaminowy! - rzekł szorstko przełożony.

- Co...? Przepraszam, panie kapitanie. - Robby zaniemówił, sprawdzając, czy ma zapięty rozprek.

- Proszę. - Dowódca Sił Powietrznych „Rangera” wstał i wręczył mu wydruk depeszy.

- Właśnie cię awansowali, Robby... przepraszam, kapitanie Jackson. Gratuluję, Rob.

Lepsze to chyba niż kawa na początek dnia, co?

- Dziękuję, panie kapitanie.

- Jeszcze gdyby udało się nam dopracować tę twoją zwariowaną taktykę dla myśliwców...

- Tak, panie kapitanie.

- Mów mi Ritchie.

- Jasne, Ritchie.

- Możesz dalej zwracać się do mnie oficjalnie na mostku i przy ludziach - dodał

kapitan.

Ze świeżo awansowanych oficerów zawsze się naśmiewano. Musieli także płacić za oblewanie okazji.

Wczesnym rankiem zjechały ekipy telewizyjne. Też miały kłopoty z drogą do domu Untiverosa. Na miejscu była już policja, a żadnemu z reporterów nie przyszła do głowy wątpliwość, czy aby nie są to ludzie kartelu. Mieli na sobie mundury i pasy z pistoletami, zachowywali się również jak prawdziwi policjanci. Pod kierunkiem Corteza zakończyły się wcześniej dokładne poszukiwania rannych. Wywieziono dwóch rannych wraz z większością ocalałych strażników i prawie całą bronią palną. Straż osobista nie wzbudzała w Kolumbii wielkiej sensacji, czego już nie dało się powiedzieć o karabinach maszynowych. Oczywiście Cortez też zniknął przed pojawieniem się ekip reporterskich, które zaczęły filmować, gdy poszukiwania szły pełną parą. Niektóre z ekip przekazywały obraz na gorąco przez satelitę, choć jeden z ciężkich wozów transmisyjnych nie zdołał wjechać na górę.

Najłatwiejsza część poszukiwań, z lubością uwieczniana dla potomnych przenośnymi kamerami, rozpoczęła się od tego, co kiedyś było salą konferencyjną, a teraz kupą drobnego gruzu. Największą odnaniezoną częścią komitetu produkcyjnego (tego szyldu też nie ujawniono żurnalistom) była zdumiewająco nietknięta dolna połowa nogi, od miejsca tuż poniżej kolana do zawiązanego prawego buta. Jak później wykazano, szczątek ten należał do Carlosa Wagnera. Żona Untiverosa przebywała z dzieckiem po przeciwnej stronie domu, gdzie oglądali film na wideo. Magnetowid, wciąż włączony do sieci i z wciśniętym klawiszem odtwarzania, znaleziono tuż przed ciałami. Inna kamera śledziła mężczyznę - strażnika ochrony, chwilowo bez swojego AK-47 - który niósł bezwładne, zakrwawione ciało martwego dziecka do karetki.

- O, Boże! - jęknął prezydent, patrząc na ekran jednego z wielu telewizorów w Gabinetcie Owalnym.
- Jeżeli ktoś to wywęszy...

- Panie prezydencie, załatwialiśmy już takie rzeczy - wskazał Cutter. - Bombardowanie Libii za Reagana, naloty na Liban i...

- I mieliśmy istne piekło za każdym razem! Nikogo nie obchodzi, po co to zrobiliśmy, obchodzi ich tylko, że zabiliśmy niewinnych ludzi. Do licha, Jim, przecież to było dziecko! Co na to powiemy? „Ach, szkoda go, ale niestety znalazło się nie tam, gdzie trzeba”?

Według niepotwierdzonych danych -mówił reporter telewizji -dom należał do członka kartelu z Medellin, ale ze źródeł w miejscowej policji wiadomo, że oficjalnie nie oskarżono go o żadne przestępstwo, a... - reporter zrobił tu wymowną pauzę.- Sami państwo widzieli, co bomba zrobiła z jego żoną i dziećmi.

- Wspaniale - warknął prezydent. Podniósł pilot i wyłączył telewizor. -Te łotry mogą robić z naszymi dziećmi, co im się żywnie podoba, a jak my rozprawimy się z nimi na ich terytorium, to nagle oni stają się cholernymi ofiarami! Czy Moore zawiadomił

już o tym Kongres?

- Nie, panie prezydencie. CIA nie ma obowiązku powiadamiać ich przed upływem czterdziestu ośmiu godzin od rozpoczęcia takiej operacji, a dla celów administracyjnych operacja rozpoczęła się dopiero wczoraj po południu.

- Niech się nie dowiedzą - rzekł prezydent. - Jeśli im powiemy, będą przecieki jak nic.

Przekaż to Moore'owi i Ritterowi.

- Panie prezydencie, nie mogę...

- Co, u diabła, znaczy, że nie możesz? Właśnie wydałem ci rozkaz, kolego! - Prezydent podszedł do okien. - Miało być inaczej - mruknął pod nosem.

Cutter oczywiście znał sedno sprawy. Wkrótce miała rozpocząć się polityczna konwencja opozycji. Jej kandydat, gubernator Bob Fowler z Missouri, wyprzedzał

prezydenta w sondażach. To normalka. Urzędujący prezydent przeszedł przez prawyborcy bez liczącej się opozycji, co przyniosło nudny, z góry wiadomy wynik, zaś Fowler walczył rękami i nogami o nominację swojej partii i wciąż jego zwycięstwo wisiało na włosku. Wyborcy wolą przebojowych kandydatów i choć sam Fowler był

tak przebojowy jak ścierka do naczyń, jego zmagania wypadły interesująco. I tak jak każdy kandydat od czasów Nixona i pierwszej kampanii antynarkotykowej, twierdził, że prezydent nie dotrzymał obietnicy ograniczenia przemytu narkotyków. Znajoma śpiewka dla obecnego lokatora Gabinetu Ovalnego. Mówił dokładnie to samo przed czterema laty i zajechał na tym do gmachu na Pennsylvania Avenue. Teraz wreszcie spróbował zrobić radykalny krok. I oto, czego się doczekał. Rząd Stanów Zjednoczonych za pomocą najwymyślniejszych zdobyczy techniki militarnej zabił dwójkę dzieci z matką. Tego nie omieszka powiedzieć Fowler. Bądź co bądź był to rok wyborów.

- Panie prezydencie, przerwanie operacji w tej fazie byłoby raczej nieroztropne. Jeśli myśli pan poważnie o odwecie za śmierć dyrektora Jacobsa i innych, nie może pan teraz wstrzymać misji. Wkrótce wykażemy się rezultatami. Liczba lotów kurierskich spadła o dwadzieścia procent - perswadował Cutter. - Jeżeli do tego dodamy sukces z aferą prania pieniędzy, można mówić o prawdziwym zwycięstwie.

- Jak wytłumaczymy się z tej bomby?

- Myślałem o tym, panie prezydencie. A gdybyśmy tak powiedzieli, że nie wiemy, ale podejrzewamy dwie możliwości. Po pierwsze, mógł to być atak M-19. W politycznej retoryce tego ugrupowania dało się ostatnio zauważyć krytykę baronów narkotykowych. Po drugie, można stwierdzić, że wybuch jest wynikiem wewnętrznego sporu w samym kartelu.

- Niby dlaczego? - spytał, nie odwracając się od okna.

Źle się działo, gdy Farmer nie patrzył człowiekowi prosto w oczy. Cutter wiedział o tym i ogarnął go niepokój. Polityka to koszmar, pomyślał admirał, ale jednocześnie najciekawsza gra w okolicy.

- Zabójstwo Jacobsa i reszty było z ich strony nieodpowiedzialnym wybrykiem.

Wiadoma sprawa. Możemy puścić w obieg wersję, że niektórzy członkowie kartelu postanowili ukarać własnych wspólników za tak radykalną akcję, która naraziła na szwank cały interes. -Cutter był dumny z tego wyjaśnienia, które wprawdzie wymyślił

Ritter, jednak prezydent o tym nie wiedział. - Wiadomo, że handlarze bez większych skrupułów zabijają członków rodzin - to niemal ich znak firmowy. W ten sposób można pokazać, co oni robią, i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu - dokończył, uśmiechając się do pleców prezydenta.

Prezydent odwrócił się od okien. Miał sceptyczny wyraz twarzy, ale...

- Naprawdę sądzisz, że ten numer przejdzie?

- Owszem, panie prezydencie. Pozwoli nam to również przeprowadzić przynajmniej jeszcze jeden atak w ramach operacji „Wzajemność”.

- Muszę pokazać, że coś robimy - rzekł półgłosem prezydent. - A co słysząc u tych żołnierzy, co walają się po dżungli?

- Zlikwidowali w sumie pięć melin rafinacyjnych. Po naszej stronie mamy dwóch zabitych i dwóch rannych, niezbyt poważnie. Taka jest cena twardego działania. Ci ludzie są zawodowymi żołnierzami. Zdawali sobie dobrze sprawę z ryzyka. Są dumni z tego, co robią. Na tym froncie nie będzie pan miał problemów, panie prezydencie. Już niebawem rozejdzie się wieść, że miejscowi chłopcy nie powinni zatrudniać się u handlarzy. To się poważnie odbije na przetwórstwie koki. Nie na długo -może kilka miesięcy - ale fakt pozostanie faktem. Z powodzeniem będzie pan mógł się tym wykazać. Uliczna cena kokainy wkrótce także wzrośnie. O tym też warto wspomnieć.

Jest to nasz wskaźnik sukcesu lub fiaska operacji przeciw kartelowi. Gazety odnotują to jeszcze przed naszymi komunikatami.

- Tym lepiej - rzucił prezydent z pierwszym tego dnia uśmiechem na ustach. - Dobra, bądźmy tylko ostrożniejsi na przyszłość.

- Jasne, panie prezydencie.

Zaprawa poranna rozpoczynała się w siódmej dywizji piętnaście po szóstej, co między innymi wyjaśniało purytańskie cnoty tej jednostki. Chociaż żołnierze, zwłaszcza młodzi żołnierze, lubią sobie wypić tak samo jak każda inna grupa amerykańskiego społeczeństwa, przymusowe ćwiczenia fizyczne na kacu to tylko jeden krok od śmierci w męczarniach. W Ford Ord zrobiło się już ciepło, a o siódmej, na finiszu codziennego, pięciokilometrowego biegu, wszyscy z plutonu byli już porządnie zziębnięci. Nadszedł wreszcie czas na śniadanie.

Dzisiejszego ranka oficerowie jedli przy wspólnym stole i rozmowa toczyła się na temat roztrząsany w całym kraju.

- Doиграли się skurwiele - rzucił kapitan.

- Mówią, że to samochód-pułapka - zauważył inny.

- Głowę daję, że Agencja wie, jak się takie rzeczy załatwia. Z całym ich doświadczeniem z Libanu i tak dalej - dodał szef kompanii.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - rzekł S-2, oficer wywiadu. Jako były dowódca kompanii komandosów wiedział co nieco o bombach i minach-pułapkach. - Ale obojętnie, kto tego dokonał, znał się na rzeczy.

- Szkoda, że nas tam nie wysyłają - pozalił się któryś z poruczników.

Młodszy oficerowie przytaknęli mu chórem. Starsi milczeli. Ewentualność tę brano pod uwagę w dyskusjach w sztabie dywizji i korpusie od kilku lat. Decyzja o wysłaniu jednostek wojskowych - bo przecież o to chodziło - nie była łatwa, choć panowała powszechna zgoda, że da się to zrobić... jeśli tylko zezwolą lokalne władze. Czego nie należało się spodziewać. Było to dla oficerów zrozumiałe, lecz nader niepomysłne.

Trudno było przecenić poziom nienawiści do narkotyków w armii. Starsi oficerowie, od majora wzwyż, pamiętali kłopoty z narkotykami w latach siedemdziesiątych, kiedy armia była dokładnie tak zdemoralizowana jak wówczas twierdzili jej krytycy, do tego stopnia, że oficerom zdarzało się podróżować do niektórych miejsc wyłącznie w asyście uzbrojonej ochrony. Pokonanie tego szczególnego wroga wymagało całych lat wysiłków. Nawet dziś każdy amerykański wojskowy musiał liczyć się z wyrwykowymi próbami narkotykowymi. Dla starszych podoficerów i wszystkich oficerów nie było litości. Jeden pozytywny test i już wylatywał. Wobec sierżantów piątego stopnia i poniżej wykazywano więcej wyrozumiałości: jeden test pozytywny kończył się artykułem piętnastym i surową reprimendą; po drugim wynocha. Oficjalny slogan był

prosty: „Nie w mojej armii!” Do tego dochodził inny wymiar. Większość żołnierzy przy tym stole miała żony i dzieci, które jakiś handlarz mógł prędzej czy później upatrzeć sobie jako potencjalnych klientów. Panowała ogólna zgoda, że jeśli ktoś sprzedawał narkotyki dziecku zawodowego żołnierza, życiu tego handlarza groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Zdarzenia takie

rzadko miały miejsce, ponieważ żołnierze to ludzie nade wszystko zdyscyplinowani, ale pokusa była silna. Jak i możliwości.

Toteż jeden czy drugi handlarz znikali od czasu do czasu, a ich śmierć przypisywano porachunkom gangów. Wiele z takich morderstw pozostało na zawsze zagadką.

I tam właśnie jest Chavez, zreflektował się Tim Jackson. Zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. On, Munoz i Leon. Wszyscy hiszpanojęzyczni. Wszyscy oddelegowani w tym samym dniu. A więc brali udział w tajnej operacji, zapewne pod egidą CIA. Można przypuszczać, że mieli niebezpieczne

zadanie, ale byli żołnierzami i taki już wybrali zawód. Porucznikowi Jacksonowi lżej zrobiło się na duszy, gdy już wiedział to, czego nie powinien wiedzieć. Cokolwiek robił Chavez, było w porządku.

Nie będzie już musiał się tym zajmować. Tim Jackson miał nadzieję, że chłopak sobie poradzi. Chavez był bardzo dobry. Jeśli ktoś sobie poradzi, to na pewno on.

Ekipy telewizyjne wkrótce się znudziły i odjechały, by przygotować komentarz i ścieżki dźwiękowe. Cortez powrócił na miejsce, gdy tylko ostatni wóz reporterów wyjechał na główną drogę do Medellin. Tym razem wjeżdżał pod górę jeepem. Był

zmęczony i rozdrażniony, ale nade wszystko ciekawy. Stało się coś bardzo dziwnego, a on nie był pewien, co. Nie spocznie, póki się nie dowie. Dwóch ocalałych ludzi przewieziono do Medellin, gdzie miał ich leczyć prywatnie zaufany lekarz. Cortez ich przesłucha, ale musiał jeszcze załatwić coś na miejscu. Grupą policji badającą dom dowodził kapitan, który już dawno dogadał się z kartelem. Felix był pewien, że nie opłakiwał on śmierci Untiverosa ani reszty, ale przecież nie o to chodziło. Kubańczyk zaparkował jeepa i podszedł do rozmawiającego z dwoma podwładnymi dowódcy.

- Dzień dobry, Capitan. Czy udało się panu ustalić, co to za bomba?

- Z pewnością samochodowa - odrzekł z powagą policjant.

- Tak, też tak podejrzewałem - powiedział cierpliwie Cortez. - A materiał wybuchowy?

Tamten wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Może uda się wam ustalić - zasugerował Felix. - W ramach zwykłych czynności śledczych.

- Dobrze. Zrobi się.

- Dziękuję.

Wrócił do jeepa, żeby udać się w drogę na północ. W wyprodukowanej lokalnie bombie użyto by najprawdopodobniej dynamitu - nie brakowało go w miejscowych kopalniach - albo przemysłowego plastiku. Jeśli zaś wybuch przygotowało M-19, należało się raczej spodziewać semteksu, czeskiej odmiany RDX, preferowanej obecnie przez marksistowskich terrorystów na całym świecie z powodu jego mocy, dostępności i niskiej ceny. Ustalenie materiału wybuchowego naprowadzi go na ślad; zabawne, że policja zajmie się tym na jego polecenie. Był to jeden powód do zadowolenia, gdy zjeżdżał z góry.

Ale nie jedyny. Śmierć czterech kacyków kartelu nie zmartwiła go bardziej niż policjanta. Byli wszakże tylko biznesmenami, a tej kategorii ludzi Cortez nie darzył

zbyt dużym szacunkiem. Brał od nich pieniądze i to wszystko. Ktokolwiek dokonał tego wspaniałego dzieła, znał się na rzeczy. I dlatego Cortezowi zaświtała myśl, że to nie CIA. Nie znali się za dobrze

na zabijaniu. To, że sam omal nie zginął, obeszło go mniej, niż można by się spodziewać. Bądź co bądź zjadł zęby na tajnych operacjach i zdawał sobie sprawę z ryzyka. Poza tym, gdyby ten elegancki spisek wymierzono głównie przeciwko niemu, nie miałby szans go teraz analizować. Tak czy owak, zniknięcie z horyzontu Untiverosa, Fernandez, Wagnera i d'Alejandra oznaczało cztery wakaty na wierzchołku kartelu, o czterech ludzi mniej z władzą i prestiżem na przeszkodzie, gdyby... A właściwie, dlaczego nie? Fotel w zarządzie, z pewnością.

Może nawet więcej. Ale na razie czekała robota i wyjaśnienie zbrodni.

Gdy dotarł do Medellin, dwóch rannych z górskiej posiadłości Untiverosa zostało już opatrzonych i przygotowanych do maglowania. Wraz z nimi czekało pół tuzina służby zatrudnionej w miejskiej rezydencji nieboszczyka w Medellin. Przebywali w pokoju na najwyższym piętrze masywnego, ogniodpornego i dźwiękoszczelnego wieżowca.

Cortez zastał w pokoju ośmiu zaufanych służących przykutych kajdankami do wysokich krzeseł.

- Kto z was wiedział o wczorajszym spotkaniu? - spytał przymilnie. Wiedzieli wszyscy.

Untiveros był gadułą, a służba, jak to służba, nie zatykała uszu.

- Dobrze. Kto z was sypnął i komu? - zapytał oficjalnym, dobitnym tonem. - Nikt nie wyjdzie z tego pokoju, póki się nie dowiem - obiecał.

W odpowiedzi usłyszał jazgot wykrzykiwanych zaprzeczeń. Spodziewał się tego.

Większość nie kłamała. Cortez również w to nie wątpił.

Tym gorzej dla nich.

Felix spojrział na szefa ochrony i wskazał kobietę na pierwszym krześle od lewej.

- Zaczniemy od niej.

Gubernator Fowler wyszedł z hotelowego apartamentu ze świadomością, że cel, któremu poświęcił ostatnie trzy lata życia, jest teraz w zasięgu ręki. Prawie, poprawił

się w duchu, pamiętając, że w polityce nie ma pewności. Lecz pewien kongresman z Kentucky, który prowadził zdumiewająco przebojową kampanię, właśnie postanowił

sprzedać głosy swoich zdeklarowanych delegatów za posadę w gabinecie, co wypchnęło Fowlera na pierwsze miejsce z bezpiecznym marginesem kilkuset głosów.

Nie mógł tego powiedzieć wprost. Musiał poczekać, aż facet z Kentucky sam złoży oświadczenie, zaplanowane na drugi dzień konwencji i zarazem ostatni dlań dzień w pełnym słońcu, a raczej w świetle jupiterów. Wiadomość roztrąbią ludzie z obu obozów, co kongresman przyjmie ze stoickim uśmiechem i powie ludziom, żeby myśleli, co chcą, a i tak tylko on wie. Polityka, pomyślał Fowler, bywa tak cholernie obłudna. Rzecz osobliwa, bo kto jak kto, ale Fowler był człowiekiem nadzwyczaj

szczerem, co wszakże nie pozwalało mu łamać reguł gry.

Grał zgodnie z tymi regułami właśnie teraz, stojąc przed jaskrawymi reflektorami telewizyjnymi i nie mówiąc zgoła nic przez sześć minut gadania bez przerwy. Odbyły się „ciekawe dyskusje” na temat „ważnych problemów, przed którymi stoi nasz kraj”.

Gubernatora i kongresmana „łączyło pragnienie nowego przywództwa” dla kraju, który - Jak obaj świetnie wiedzieli, choć nie śmieli tego powiedzieć - będzie prosperował bez względu na to, kto wygra listopadowe wybory, ponieważ błahe różnice pomiędzy prezydentami a partiami zazwyczaj ginęły w zgiełku Kapitolu i ponieważ partie amerykańskie były tak zdeorganizowane, że kampanie prezydenckie coraz bardziej przypominały konkursy piękności. Może to i dobrze, myślał Fowler, choć przykro było spostrzec, że władza, której tak pożądał, mogła okazać się w końcu iluzoryczna. Następnie przysłała pora na pytania.

Zaskoczyło go pierwsze. Fowler nie zauważył, kto je zadał. Oślepiły go reflektory i flesze, zastanawiał się, czy po tylu miesiącach wzrok dojdzie do siebie - ale był to mężczyzna, chyba z którejś z wielkich gazet.

- Panie gubernatorze, według doniesień z Kolumbii, umieszczona w samochodzie bomba zniszczyła dom jednego z przywódców kartelu z Medellin, zabijając jego rodzinę. Czy mógłby pan skomentować fakt, że wybuch nastąpił tak krótko po zabójstwie dyrektora FBI i naszego ambasadora w Kolumbii?

- Niestety, nie oglądałem porannego dziennika, bo w tym czasie byłem na śniadaniu z kongresmanem. Co pan sugeruje? - spytał Fowler.

Optymistyczny kandydat nagle przerodził się w ostrożnego polityka, który chciał zostać mężem stanu. Mimo że to piekło, pomyślał. Wcześniej nie miał takich wątpliwości.

- Słysząc głosy, że Ameryka miała w tym swój udział - dodał reporter.

- Czyżby? Wiadomo, że z prezydentem różnimy się w opiniach na wiele kwestii, lecz nie pamiętam żadnego prezydenta w naszej historii, który chciałby popełnić morderstwo z zimną krwią i z pewnością nie będę o to oskarżał obecnego prezydenta -

rzekł Fowler najbardziej dyplomatycznym tonem, na jaki go było stać.

Nie zamierzał powiedzieć absolutnie nic - wszak po to właśnie jest dyplomatyczny ton

- albo nic, albo rzeczy na wskroś oczywiste. Zachował godną postawę przez większą część kampanii prezydenckiej. Nawet najzacieklejsi wrogowie Fowlera - miał kilku we własnej partii, nie mówiąc już o opozycji - przyznawali, że jest szlachetnym, przyzwoitym człowiekiem, który walczy programem, a nie inwektywami. Potwierdził

to swoim oświadczeniem. Nie zamierzał zmieniać polityki rządu Stanów Zjednoczonych ani usidlać swego przyszłego oponenta. Lecz bezwiednie dokonał i jednego, i drugiego.

Prezydent zaplanował tę podróż dużo wcześniej. Zgodnie z utartym zwyczajem, szef państwa wspaniałomyślnie usuwał się w cień podczas konwencji opozycyjnej partii.

Mógł pracować równie skutecznie w Camp David - było mu nawet łatwiej, bo łatwiej tam opędzić się od reporterów. Ale droga prowadziła przez ścieżkę zdrowia. Na trawniku przed Białym Domem stał śmigłowiec VH-3. Prezydent z Pierwszą Damą oraz świtą złożoną z dwóch funkcjonariuszy wyszedł z domu, przed którym stała ciżba reporterów z kamerami. Ciekaw był, czy Rosjanie ze swoją głośnością wiedzą, co ich czeka.

- Panie prezydencie! - zawołał znany reporter telewizyjny. - Gubernator Fowler wyraził nadzieję, że nie mamy nic wspólnego z bombą w Kolumbii! Czy mógłby pan skomentować tę wypowiedź?

Już podchodząc ku stłoczonym za liną dziennikarzom, prezydent uświadomił sobie, że popełnia błąd, ale nie mógł odpowiedzieć „nie”. Pytanie zadano wyraźnie i nikt nie uwierzy, że nie usłyszał, a brak odpowiedzi ujdzie za swego rodzaju odpowiedź.

Prezydent uchylił się od odpowiedzi na pytanie... Nie mógł przecież wyjechać z Waszyngtonu na tydzień, pozostawiając całą inicjatywę drugiej stronie - nie z tym pytaniem, porzuconym bez odpowiedzi na trawniku Białego Domu, prawda?

- Stany Zjednoczone - rzekł prezydent - nie mordują niewinnych kobiet i dzieci. Stany Zjednoczone walczą przeciwko ludziom, którzy to czynią. Nie niżamy się do ich zwierzęcego poziomu. Czy to wystarczająca

odpowiedź? - Mówił spokojnym, zrównoważonym tonem, lecz pod spojrzeniem, jakim obrzucił reportera, ten doświadczony dziennikarz zaczął wiercić się niespokojnie. Miło zobaczyć, pomyślał prezydent, jak moja władza niekiedy dociera do tych skurwieli.

Było to drugie poważne kłamstwo polityczne dnia, dnia - trzeba przyznać - nie obfitującego w sensacje. Gubernator Fowler dobrze pamiętał, jak John i Robert Kennedy szykowali spiski na życie Castro i innych, z osobliwym poczuciem elitarniej satysfakcji, rodem z powieści Iana Fleminga, po to tylko, by przekonać się dotkliwie, że polityczne zabójstwo to brudna robota. Zaiste bardzo brudna, zwykle bowiem napatoczą się ludzie, których nie chcesz zabić. Urzędujący prezydent wiedział

wszystko o stratach ubocznych - termin ten budził w nim wstręt, wskazywał jednak coś zarówno koniecznego, jak i niemożliwego do wyjaśnienia tym, którzy nie stoją na tej ziemi obiema nogami: terroryści, przestępcy i wszystkie gatunki tchórzy - bo ludzie brutalni to wszak zazwyczaj tchórze - najczęściej kryli się za plecami albo w tłumie niewinnych, prowokując silniejszego do działania, wykorzystując altruizm swoich wrogów jako broń skierowaną przeciwko nim. „Nic mi nie zrobicie. Bo to my jesteśmy ci «źli», a wy jesteście «dobrzy». Nie zaatakujecie nas, nie kompromitując jednocześnie własnych zasad”. Oto najwstrętniejsze oblicze tego najwstrętniejszego z gatunków ludzi. Czasem - rzadko, ale czasem - trzeba było pokazać im, że to nie popłaca. Co wszakże kończyło się krwawym widowiskiem. Jak jakiś międzynarodowy karambol na autostradzie.

Ale jak, do diabła, mam to wytłumaczyć amerykańskiemu społeczeństwu? W roku wyborów? Głosujcie na prezydenta, który właśnie zabił kobietę, dwoje dzieci i służących, by chronić wasze pociechy przed narkotykami...? - Prezydent zastanawiał

się, czy gubernator Fowler zdaje sobie sprawę, jak złudna jest prezydencka władza i z jakim potwornym hukiem jedna niezłomna zasada roztrzaskuje się o drugą. Gorsze to niż wrzawa reporterów, pomyślał prezydent i kręcąc głową, podszedł do helikoptera.

Przy stopniach zsalutował mu sierżant z marines. Prezydent oddał mu honory zgodnie z obowiązującą tradycją, mimo że żaden urzędujący prezydent nie nosił nigdy munduru. Zapiął pasy i spojrzał jeszcze na zebrany tłum. Kamery wciąż były wycelowane na niego i filmowały odlot. Agencje nie nadadzą tego ujęcia, ale na wypadek, gdyby śmigłowiec wybuchł lub się rozbił, kazały reporterom kręcić.

Wiadomość dotarła do policji w Mobile z opóźnieniem. Akta najpierw trafiły do sądowego rejestratora, a jeśli z sądu przeciekają informacje, tu właśnie należy zazwyczaj szukać dziury. Tym razem wiadomość zbulwersowała rejestratora. Widział

już niejedną sprawę w swojej karierze. Ten mężczyzna po pięćdziesiątce zdołał

wychować i wykształcić swoje dzieci, szczęśliwie uniknąwszy narkotykowej epidemii.

Ale nie każde dziecko w okolicy miało tyle szczęścia. Dosłownie w sąsiednim domu najmłodszy syn wziął mocną dawkę kokainy, po czym z prędkością ponad stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę wjechał w filar wiaduktu. Rejestrator znalazł

chłopaka od dziecka, podwoził go raz czy dwa do szkoły i płacił mu za strzyżenie trawnika. Trumnę zapieczetowano na pogrzeb w kościele baptystów Cypress Hill; podobno matka wciąż leczyła się po tym, jak kazano jej zidentyfikować to, co zostało z ciała chłopca. Pastor porównywał plagę narkotyków do Męki Pańskiej. Był

wspaniałym pastorem, świetnym mówcą w tradycji baptystów z Południa i gdy modlił

się z nimi za duszę zmarłego chłopca, jego osobiste i w pełni szczerze wzburzenie problemem narkotyków podsycalo tylko rozpalony już wcześniej gniew kongregacji...

Rejestrator nie mógł tego pojąć. Davidoffa uważał za doskonałego prokuratora.

Nieważne, czy był Żydem, czy nie, Bóg uczynił go jednym ze swych pomazańców, prawdziwym bohaterem w zawodzie szarlatanów. Jak do tego doszło? Tym dwóm łotrom miało ująć na sucho! - myślał rejestrator. To niesprawiedliwe!

Rejestrator stronił od barów. Jako baptysta, serio traktujący swoją wiarę, nie skosztował nigdy wysokowych trunków, napił się piwa tylko raz w życiu z chłopięcą przekorą i już nie wyzbył się poczucia winy za tę chwilę słabości. To jedno z tylko dwóch ograniczeń tego skądinąd zacnego i uczciwego obywatela. Drugie to sprawiedliwość. Wierzył w sprawiedliwość jak wierzył w Boga, a wiara ta jakoś przetrwała trzydzieści lat urzędowania w sądach federalnych. Sprawiedliwość, jak

sądził, pochodziła od Boga, a nie człowieka. Czyż wszystkich zachodnich praw nie dało się wywieść wprost lub pośrednio z Pisma Świętego? Czczył konstytucję swojej ojczyzny jak dokument z boskiego nadania, albowiem Bóg chciał, aby człowiek żył

wolny, aby mógł poznać Boga i służyć mu nie jak niewolnik, tylko z własnego wyboru dobra. Taka była wola nieba. Szkopuł jednak w tym, że dobro nie zawsze zwyciężało.

Przez lata pogodził się z tym stanem rzeczy. Otuchy dodawała mu wiara w to, że Pan jest ostatecznym sędzią, a jego wyroki niepodważalne. Lecz bywało i tak, że boska sprawiedliwość potrzebowała wsparcia, a jak wiadomo, Bóg wybierał instrumenty swej woli przez wiarę. I tak też się stało tego skwarne, dusznego poranka w Alabamie. Sądowy urzędnik miał wiarę, a Bóg swój instrument.

Rejestrator siedział w policyjnym barze nieopodal komendy, popijając lemoniadę, żeby się nie odróżniać od otoczenia. Gliniarze wiedzieli, kto zacz. Pojawiał się na wszystkich policyjnych pogrzebach. Przewodził społecznemu komitetowi, opiekującemu się rodzinami policjantów i strażaków, którzy zginęli na służbie. Nigdy nie chciał niczego w zamian.

- Cześć, Bili - zagadał do gliniarza z wydziału zabójstw.

- Co tam słyhać u władz federalnych? - spytał detektyw w stopniu porucznika.

Uważał urzędnika za lekko stukniętego, ale nie wadziło mu to tak jak innym.

Wystarczyło mu, że pisarz sądowy dbał o gliniarzy. Cóż więcej trzeba?

- Słyszałem coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- No? - Porucznik odstawił piwo. Też był baptystą, ale nie ortodoksyjnym. Niewielu zresztą policjantów żyło zbożnie, nawet w Alabamie, i jak większość z nich gryzło go z tego powodu sumienie.

- Nasi piraci dostaną łagodny wyrok w zamian za współpracę - oznajmił mu rejestrator.

- Co? - Nie była to jego sprawa, ale stała się symbolem wszelkiego zła. Do tego piraci siedzieli w tym samym więzieniu, w którym gościli jego podopieczni.

Urzędnik policyjny wyjawiał to, co wiedział, ale wiedział niewiele. Sprawa przybrała nagle zły obrót. Przeszkodził taki czy inny kruczek prawny. Sędzia nie wyjaśnił tego dokładnie. Davidoff wychodził z siebie, ale nic nie mógł poradzić. Szkoda, zgodzili się obaj. Davidoff należał do tych dobrych. I teraz właśnie urzędnik skłamał. Nie lubił

kłamać, lecz niekiedy wymagała tego sprawiedliwość. Tyle się zdążył nauczyć, pracując w sądownictwie federalnym. Przekuł w czyn słowa pastora: „Tajemnych Bóg ima się dróg, by cudne swe ziścić zamiary”.

Najśmieszniejsze było to, że rejestrator niezupełnie kłamał. Faceci, którzy zabili sierżanta Bradena, byli powiązani z piratami. FBI myśli, że piraci kazali go zamordować - i jego żonę.

- Jesteś pewny? - spytał detektyw.

- Słowo daję. - Pisarz opróżnił szklanę i postawił ją na stole.

- Dobra - powiedział policjant. - Dzięki. Nie powiedziałaś nam ani słowa. Dziękuję też za to, coście zrobili dla dzieci Bradena.

Pisarz speszył się. Nie oczekiwał wdzięczności za pomoc rodzinom policjantów i strażaków. Był to dlań zwykły obowiązek. Wynagrodzi go ten, co ów obowiązek na niego nałożył.

Pisarz wyszedł, a porucznik dołączył do kolegów przy narożnym stoliku. Wkrótce zgodzili się, że piratom nie ujdzie - nie może ujść - na sucho. Mimo że sprawę przejęły władze federalne, piraci byli winni wielokrotnego gwałtu i morderstwa, a także, na co wszystko wskazywało, winni kolejnych dwóch mordów, którymi bezpośrednio interesowała się policja w Mobile. Na ulicę dotarła wieść: życie handlarzy narkotyków jest w niebezpieczeństwie. To równie skuteczny sposób przekazywania wiadomości.

Funkcjonariusze policji mieli tę przewagę nad wyższymi urzędnikami rządowymi, że mówili językiem w pełni zrozumiałym dla przestępczego światka.

- Ale kto - spytał inny detektyw - ma dostarczyć tę wiadomość?

- Może bracia Pattersonowie? - zasugerował porucznik.

- Aha - rzekł kapitan. Po chwili namysłu dodał: - W porządku. Decyzję podjęto o wiele skuteczniej niż brzemienne w skutki, ważne decyzje rządowe. I o wiele łatwiej wykonano.

Dwóch wieśniaków dotarło do Medellin o zachodzie słońca. Corteza opanowało już poczucie rezygnacji. Należało pozbyć się ośmiu ciał - nic nadzwyczajnego w Medellin

- ludzi, którzy okazali się niewinni. Teraz nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Gdzie więc był przeciek? Dwóch ostatnich nie torturowano, zostali zastrzeleni, zobaczywszy uprzednio, jak pierwszych sześciu ginie w znacznie mniej łaskawych okolicznościach. Pokój wyglądał strasznie i Cortez czuł obrzydzenie. Cały wysiłek na darmo. Zabijać ludzi tak bez powodu. Był zbyt wściekły, by czuć wstyd.

Spotkał się z wieśniakami w innym pokoju na innym piętrze, umywszy wpierw ręce i przebrawszy się. Bali się, ale nie Corteza, co wielce go zdumiało. Po kilku minutach wyjaśniło się, dlaczego. Opowiadali swoje przeżycia nieskładnie, jeden przez drugiego, na co im pozwalał, zapamiętując szczegóły - niektóre z nich wzajemnie sprzeczne, ale tego należało się spodziewać, ponieważ było ich dwóch - po czym zaczął zadawać każdemu z osobna własne pytania.

- Mieli inne karabiny niż AK-47 - powiedział jeden z przekonaniem. - Znam ten dźwięk. Zupełnie

inny. - Ten drugi wzruszył ramionami. Nie znał się na broni.

- Widzieliście kogoś?

- Nie, senior. Słyszeliśmy strzelaninę, krzyki i uciekliśmy. Bardzo roztropna decyzja, pomyślał Cortez.

- Krzyki, powiadacie? W jakim języku?

- No jakże, w naszym. Słyszeliśmy, jak nas gonią, ale uciekliśmy. Nie złapali nas.

Znamy te góry - wyjaśnił ekspert od karabinów.

- Nie widzieliście ani nie słyszeliście nic więcej?

- Strzały, wybuchy, światła, błyski karabinów, to wszystko.

- A ta rafineria, ile razy tam byliście?

- Dużo razy, senior, bo tam wyrabiamy pastę.

- Dużo razy - potwierdził drugi. - Chodziliśmy tam od przeszło roku.

- Nikomu nie powiecie, że tu przyszliście. Nikomu ani słowa o tym, co wiecie - nakazał Felix.

- Ale rodziny tych...

- Nikomu ani słówka - powtórzył Cortez spokojnym, poważnym tonem. Chłopi dobrze wiedzieli, co im grozi. - Zostaniecie sownie wynagrodzeni za to, co zrobiliście, a rodziny innych dostaną odszkodowanie.

Cortez uważał się za sprawiedliwego człowieka. Tych dwóch górali dobrze mu się przysłużyło i należała im się odpowiednia nagroda. Wciąż nie wiedział, skąd był

przeciek, ale gdyby tak dorwał kogoś z... tych? M-19? Jakoś nie był zbyt przekonany.

W takim razie kto?

Amerykanie?

Chavez wiedział, że śmierć Rochy tylko dodała im ducha. Kapitan Ramirez ciężko przeżywał stratę, ale tego należało oczekiwać po dobrym oficerze. Nowa baza patrolowa znajdowała się zaledwie kilka kilometrów od jednej z wielu okolicznych plantacji kawy i trzy kilometry w innym kierunku od kolejnej polowej rafinerii.

Żołnierze spędzali dzień jak każdy inny. Połowa spała, połowa czuwała na warcie.

Ramirez siedział samotnie. Chavez nie mylił się. Ciężko przeżył stratę. Z

intelektualnego punktu widzenia kapitan wiedział, że powinien pogodzić się ze śmiercią jednego ze swoich ludzi, bo taki jest zwykły koszt tego zawodu. Lecz uczucia to nie to samo co rozum. Prawda była również taka - choć Ramirez nie myślał

dokładnie tymi kategoriami - że nie da się przewidzieć, którzy oficerowie nadają się do operacji bojowych, a którzy nie. Ramirez popełniał typowy błąd dla frontowego lidera.

Zbyt mocno zżył się ze swoimi ludźmi. Nie potrafił myśleć o nich jak o zbywalnych aktywach. Słabość ta nie miała nic wspólnego z odwagą, której kapitanowi nie brakowało; narażanie własnego życia było tą częścią zawodu, z którą łatwo przyszło mu się pogodzić. Nie potrafił jednak zrozumieć,

że narażanie życia jego podwładnych - co również, jak wiedział, wiązało się z tym zawodem - nieuchronnie oznaczało, że niektórzy muszą polec. O tym jakoś zapomniał.

Jako dowódca kompanii prowadził ludzi na niezliczonych ćwiczeniach polowych, ucząc ich, pokazując, jak mają wykonywać zadania, przeklinając, gdy włączały się czujniki laserowe na znak symulowanej straty. Rocha jednak nie poległ na niby. Ani nie był z niego zielony, świeżo upieczony rekrut. Był wyszkolonym zawodowcem. Co świadczyło o tym, że tak czy siak zawiódł swoich ludzi, wyrzucił sobie Ramirez, wiedząc jednocześnie, że nie ma racji. Gdyby rozstawił ich lepiej, gdyby uważniej dowodził, gdyby, gdyby, gdyby. Kapitan próbował strząsnąć z siebie te myśli, ale daremnie. Lecz uciec też przecież nie mógł. Będzie więc ostrożniejszy następnym razem.

Taśmy doszły razem tuż po lunchu. Bez wiedzy wykonawców operacji lot DNO z

„Rangera” skoordynowano z lotem kurierskim z Bogoty. Częściowo zajął się tym Larson, który przetransportował taśmę z zarejestrowanym nalotem do El Dorado, gdzie przekazał ją innemu oficerowi CIA. Obie kasety znalazły się w teczce kuriera Agencji, który leciał w przedniej kabynie transportowca Sił Powietrznych C-5A, ucinając sobie kilkugodzinną drzemkę na koi po prawej stronie samolotu, kilka metrów za kabiną pilotów. Maszyna wylądowała bezpośrednio w bazie Andrews. Kurier wyszedł z samolotu prosto na oczekujący go samochód Agencji, który pędem pojechał

bezpośrednio do Langley.

Ritter miał w gabinecie dwa telewizory, każdy z własnym magnetowidem. Przeglądał

w samotności obie taśmy naraz, ustawiając je aż do pełnej synchronizacji. Kasetę z samolotu nie pokazywała zbyt wiele. Widać było kropkę laserową i niewyraźne kontury domu, ale niewiele więcej do samego błysku detonacji. Taśma Clarka okazała się o niebo lepsza. Widział wyraźnie dom z jarzącymi się w oknach światłami oraz patrolujących teren strażników - ci z papierosami wyglądali jak robaczki świętojańskie; przy każdym zaciągnięciu twarze ich rozjaśniały się blaskiem. Potem wybuch. Zupełnie jakby oglądało się film Hitchcocka, pomyślał Ritter. Wiedział, co się dzieje - w przeciwieństwie do tych na ekranie. Łazili bezmyślnie, nieświadomi roli, jaką przyszło im odegrać w sztuce napisanej w gabinecie zastępcy dyrektora wydziału operacji, Centralnej Agencji

Wywiadowczej. Ale...

- Dziwne... - powiedział Ritter. Pilotem cofnął taśmę. Na kilkanaście sekund przed wybuchem bomby pod bramę zajechał nowy samochód. - A to kto? - rzucił w stronę ekranu. Następnie przewinął szybko

taśmę do przodu i odtworzył fragment po wybuchu. Samochód przybysza - bmw -

przewróciła fala uderzeniowa, ale po chwili kierowca zdołał wysiąść i dobył pistolet.

- Cortez...

Zatrzymał taśmę. Obraz nie na wiele się zdał. Przedstawiał mężczyznę przeciętnego wzrostu. Gdy wszyscy inni ludzie w pobliżu rumowiska chaotycznie biegali bez wyraźnego celu, ten stał chwilę, potem ocucił się przy fontannie - czyż to nie cud, że wciąż działała! - i podszedł do miejsca wybuchu. Nie mógł być pierwszym lepszym sługą jednego z szefów kartelu. Ci przeszukiwali teraz gruzy. Nie, ten już starał się wyniuchać, co się stało. Najlepszy obraz ukazał się tuż przed zanikiem wizji i jednostajnym szumem. To musiał być Felix Cortez. Rozglądał się, już kombinował, już węszył. Prawdziwy zawodowiec.

- Cholera, niewiele brakowało - wykrztusił Ritter. - Jeszcze minuta, a zaparkowałbyś auto, tam gdzie inni. Jedna parszywa minuta! - Ritter wyjął obie kasety i włożył je do sejfu obok innych materiałów z „Orlego Oka”, „Rewii” i „Wzajemności”. - Innym razem - pogroził taśmie. Następnie zaczął główkować. Czyżby Cortez maczał palce w zamachu?

- Rany boskie - rzekł Ritter na głos w swoim gabinecie.

Wziął tę możliwość pod uwagę, ale... Czyżby zorganizował zamach i zaraz przyleciał

do Ameryki...? Po co? Z tego, co mówiła ta sekretarka wynikało, że nawet nie starał

się wycisnąć z niej za dużo informacji. Zaaranżował banalny, weekendowy wypad kochanków. Klasyczna technika. Najpierw uwieść cel. Potem przekonać się, czy da się z niej coś wycisnąć (zwykle z niego, wedle stosowanych przez zachodni wywiad reguł

rekrutacji seksualnej, ale na odwrót w przypadku bloku wschodniego). Następnie utrwalić związek - i wreszcie go wykorzystać. Z dostępnych Ritterowi danych wynikało jednak, że Cortez nie doszedł jeszcze do tej fazy...

Nie, to chyba nie robota Corteza. Przekazał prawdopodobnie na bieżąco wszystkie zdobyte informacje, nie wiedząc, że FBI położyło łapę na operacjach finansowych kartelu. Nie było go na miejscu, gdy zdecydowano się sprzątnąć dyrektora. On by im to odradził. Po co się rzucać, kiedy właśnie udało się pozyskać świetne źródło informacji? Nie, tak nie postępuje profesjonalista.

No i co o tym sądzisz, Felix? Ritter dałby wiele za możliwość spytania go o to, choć odpowiedź była raczej oczywista. Oficerów wywiadu często zdradzali ich polityczni przełożeni. Nie pierwszy raz mu się to przydarzyło, ale i tak musi być wściekły. Tak samo wściekły jak Ritter na admirała Cuttera.

Po raz pierwszy Ritter zastanowił się, co też Cortez naprawdę robi. Prawdopodobnie zwił po prostu z Kuby i działał jako najemnik. Kartel zatrudnił go z uwagi na jego wykształcenie i doświadczenie, sądząc, że kupuje sobie jeszcze jednego najemnika -

bardzo dobrego, owszem, ale tylko najemnika. Tak jak kupowali sobie miejscowych gliniarzy - ba, amerykańskich gliniarzy - i polityków. Jednak oficer policji to nie to samo co zawodowy szpicel wykształcony w moskiewskim centrum. Służył im dobrą radą i na pewno pomyśli, że go zdradzili - no, powiedzmy, zrobili wielkie głupstwo, bo zabicie Emila Jacobsa to czyn z pobudek emocjonalnych, a nie racjonalnych.

- Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem! - warknął Ritter. Odpowiedź: ponieważ dzięki temu miał dobry pretekst do zrobienia tego, o czym zawsze marzył. Nie zastanawiał się, bo przeczuwał, że myślenie przeszkodziłoby mu w podjęciu akcji.

Wszak Cortez nie był terrorystą, tylko oficerem wywiadu. Współpracował z Macheteros, bo takie dostał zadanie. Przedtem zajmował się wyłącznie szpiegostwem i tylko dlatego że pracował w tym zwariowanym portorykańskim ugrupowaniu, ubzdurali sobie... Pewnie z tego między innymi powodu zwił.

Teraz go oświeciło. Kartel wynajął Corteza jako doświadczonego fachowca. A decydując się na to, przygarnął wilczka. Ale z potulnych wilczków wyrastają wilki, prawda?

Na razie mógł zrobić tylko jedno. Ritter wezwał asystenta i kazał mu wybrać najlepsze ujęcie Corteza z taśmy, przepuścić je przez komputer korygujący fotografie i przekazać FBI. Warto było spróbować, pod warunkiem że da się oddzielić postać od tła, ale to też zadanie dla analizującego obraz komputera.

Podczas pobytu prezydenta w górach zachodniego Marylandu. admirał Cutter pozostał

w swoim biurze w Białym Domu, będzie dolatywał do szefa na codzienne, poranne odprawy - przesunięte na nieco późniejszą porę w wakacyjnym harmonogramie prezydenta - ale większość czasu spędzi tutaj. Miał własne obowiązki, w tym rolę odpowiedzialnego przedstawiciela administracji. OPA, jak w duchu skracał ów tytuł, to jego zastępcze nazwisko podczas nieoficjalnych spotkań z prasą. Ten sposób informowania był istotnym czynnikiem sprawowania prezydenckiej władzy, częścią subtelnej gry rządu z prasą: oficjalne przecieki. Cutter wypuszczał próbne balony, czyli to, co w świecie biznesu zwie się sondażem rynku. Ilekroć prezydent miał pomysł, którego nie był zbyt

pewny, Cutter - lub odpowiedni sekretarz gabinetu, z których każdy również był OPA

- przedstawiał tło, a wypowiedź trafiała do znanych gazet, co pozwalało Kongresowi i innym ciałom uzgodnić swoje stanowisko, zanim pomysł otrzymał oficjalne prezydenckie imprimatur. W ten sposób wybrani dygnitarze mogli tańczyć i stroić miny bez ryzyka, że ktoś utraci twarz - ten orientalny koncept pasował jak ulał do terenu zamkniętego stołeczną obwodnicą.

Bob Holtzman, wieloletni korespondent z Białego Domu jednego z waszyngtońskich dzienników,

usadowił się wygodnie w fotelu naprzeciwko Cuttera, gotów na porcję informacji z kół zbliżonych do prezydenta. Obie strony doskonale znały reguły gry.

Cutter mógł powiedzieć, co mu się żywnie podoba, bez obawy, że jego nazwisko, tytuł

lub miejsce urzędowania zostaną ujawnione. Holtzman zaś wiedział, że może pisać, co mu ślina na język przyniesie, w granicach rozsądku, pod warunkiem że nie zdradzi źródła informacji nikomu, prócz redaktora naczelnego. Żaden z nich nie darzył

sympatią drugiego. Pogarda Cuttera dla dziennikarzy to bodaj jedyna nić łącząca go jeszcze z towarzyszami w mundurze, choć był przekonany, że nie daje tego po sobie poznać. Miał ich wszystkich, a zwłaszcza tego, który teraz przed nim siedział, za leniwych głupców, którzy nie umieją pisać ani myśleć. Holtzman uważał, że Cutter jest niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu - reporter nie był zachwycony tym, że wojskowy udzielał rad prezydentowi w tak delikatnych kwestiach. Co ważniejsze, uważał Cuttera za małostkowego, zapatrzzonego w siebie lizusa z kompleksem wyższości, a przy tym aroganckiego bałwana traktującego dziennikarzy jak niezbyt pożyteczną odmianę oswojonego sępa. Na skutek takiego wzajemnego mniemania o sobie, ich stosunki układały się dość dobrze.

- Będzie pan oglądał konwencję w przyszłym tygodniu? - spytał Holtzman.

- Staram się nie mieszać do polityki - odparł Cutter. - Kawa? Akurat! - zauważył w duchu reporter.

- Nie, dziękuję. Co się, do diabła, właściwie dzieje w krainie koki?

- Domysły domysłami... nie, to nieprawda. Mamy skubańców na oku od pewnego czasu, zgoda. Osobiście przypuszczam, że Emila zabiła jakaś frakcja kartelu - nic nowego - ale bez oficjalnego uzgodnienia zamachu. Wczorajszy wybuch może wskazywać na wewnętrzne spory w organizacji.

- No, ktoś się wkurzył nie na żarty - zauważył Holtzman, zapisując coś w notesie pod własnym określeniem dla Cuttera. „Odpowiedzialny przedstawiciel administracji” to w jego transkrypcji „OdPAd”. - Chodzą

słuchy, że kartel zlecił M-19 zamach na dyrektora FBI i że Kolumbijczycy porządnie przemaglowali faceta, którego udało im się przyskrzytnić.

- Może.

- Skąd wiedzieli o wizycie dyrektora Jacobsa?

- Nie wiem - odrzekł Cutter.

- Naprawdę? Wie pan, że jego sekretarka usiłowała popełnić samobójstwo. Biuro nabrało wody w usta, ale według mnie to dziwny zbieg okoliczności.

- Kto u nich prowadzi tę sprawę? Niech mi pan wierzy lub nie, ale nie wiem.

- Dan Murray, zastępca asystenta dyrektora. Sam nie zajmuje się robotą w terenie, ale informuje o sprawie Shawa.
- Nie mój rewir. Ja odpowiadam za zagraniczne aspekty sprawy, wewnętrznymi zajmuje się inny urząd - podkreślił Cutter, wznosząc kamienny mur, którego Holtzman nie przebije.
- A więc kartel wnerwił się na operację „Tarpon” i kilku jego szefów, działając bez poparcia całej organizacji, kazało sprzątnąć Jacobsa. Pozostali sądząc, według pana, że akcja ta była nierozważna, postanawiają zlikwidować tych, co wydali zlecenie?
- Na to wygląda, z tego, co wiemy. Musi pan zrozumieć, że nasz wywiad w tych sprawach nie jest zbyt wiarygodny.
- Nasz wywiad w żadnych sprawach nie jest zbyt wiarygodny - zauważył Holtzman.
- Niech pan z tym pójdzie do Boba Rittera. - Cutter postawił kubek z kawą.
- Jasne. - Holtzman uśmiechnął się. Jeśli w całym Waszyngtonie było dwóch ludzi, z których pod żadnym pozorem nie dało się niczego wycisnąć, to byli nimi właśnie Bob Ritter i Arthur Moore. - A Jack Ryan?
- Dopiero się urządza. A zresztą był i tak cały tydzień w Belgii na konferencji wywiadu NATO.
- Na Kapitolu słysząc pomruki, że wreszcie coś trzeba zrobić z tym kartelem, bo przecież zamach na Jacobsa to jawny atak na...
- Też oglądam telewizję, Bob. Słowa nic nie kosztują.
- A dzisiejsze oświadczenie gubernatora Fowlera...?
- Politykę zostawiam politykom.
- Słyszał pan, że podskoczyła cena kokainy na ulicy?
- Tak? Czyżby? To nie mój rynek. - Cutter jeszcze o tym nie wiedział. A więc już...
- Niewiele, ale jednak. Po ulicy krąży pogłoska, że nadchodzące dostawy są szczuplejsze niż zwykle.
- Miła wiadomość.
- Bez komentarza? - spytał Holtzman. - To pan mówił, że mamy do czynienia z prawdziwą wojną i tak też należy sprawę traktować.

Uśmiech przez moment zastygł na twarzy Cuttera.

- O takich rzeczach jak wojna decyduje prezydent.

- A Kongres?

- Niby Kongres też, lecz za czasów mojej pracy w rządzie Kongres nie wydał tego rodzaju deklaracji.

- Co czułby pan osobiście, gdybyśmy rzeczywiście brali udział w tym wybuchu?

- Nie wiem. Nie braliśmy udziału. - Rozmowa nie potoczyła się według zwykłego planu. Co Holtzman wiedział?

- Pytanie zadałem w trybie przypuszczającym - rzekł dziennikarz.

- Dobra. Tylko żadnych notatek i cytatów. W trybie przypuszczającym zatłuklibyśmy tych wszystkich skurwieli i chyba nie uрониłbym jednej łzy. A pan?

Holtzman chrząknął.

- Nieoficjalnie zgadzam się z panem. Wychowałem się w tym mieście. Pamiętam, jak można było jeszcze bezpiecznie chodzić po ulicach. Teraz liczę codziennie rano trupy i zastanawiam się, czy jestem w Waszyngtonie, czy w Bejrucie. A więc nie mieliśmy z tym nic wspólnego?

- Nie. Wygląda na to, że kartel robi u siebie porządki. To tylko spekulacje, ale nic lepszego w tej chwili nie mamy.

- Dobrze i to. Spróbuję zrobić z tego artykuł.

Rozdział 20

ODKRYCIA

Dziwne. Ale prawdziwe. Cortez był na miejscu od przeszło godziny. Towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych mężczyzn i pies, który miał wywęszyć ślady po zamachowcach.

Puste łuski pochodziły przeważnie z naboju 5.56 mm używanych przez większość krajów NATO i ich satelitów na całym świecie, a których pierwowzorem były sportowe naboje 0,223 Remingtona. Znaleźli też sporo łusek 9 mm oraz prowadnicę granatnika 40 mm. Jeden z napastników był ranny, chyba nawet poważnie. Atak miał

klasyczny przebieg, ostrzał z góry i grupa szturmowa na tym samym poziomie od północy. Wycofali się w pośpiechu, nie zakładając pułapek przy ciałach, jak w dwóch poprzednich przypadkach. Prawdopodobnie z powodu ранego, ocenił Cortez. A także dlatego, że wiedzieli... podejrzewali? Nie, chyba wiedzieli, że dwóch ludzi zbiegło, by wezwać pomoc.

Z pewnością w górach grasowało kilka oddziałów. Trzy, a może cztery, sądząc po liczbie i położeniu zaatakowanych dotychczas rafinerii. To wykluczało M-19.

Organizacja ta nie miała tylu wyszkolonych ludzi, by dokonać takiej operacji - a przynajmniej bez jego wiedzy, dodał w myślach. Kartel nie poprzestał bowiem na przekupywaniu lokalnych ugrupowań partyzanckich, lecz opłacał także informatorów w każdym oddziale, czego nie udało się osiągnąć kolumbijskim władzom.

A więc w górach masz amerykańskie tajne oddziały operacyjne. Kim właściwie są?

Chyba żołnierzami albo bardzo doświadczonymi najemnikami. Raczej żołnierzami. W

międzynarodowym środowisku najemników wiele się zmieniło - prawdę powiedziawszy, z ich skutecznością nigdy nie bywało najlepiej. Cortez był w Angoli i miał okazję przyjrzeć się afrykańskiemu oddziałowi. Najemnicy nie musieli się zbytnio wysilać, żeby je pokonać, choć to się też zmieniało, jak zresztą wszystko na świecie.

Ktokolwiek dokonał napadu, był już daleko stąd, na tyle daleko, że Cortez nie czuł się zagrożony, choć pościg i tak zostawi innym. Wszak był oficerem wywiadu i nie miał

żołnierskich ambicji. Na razie jednak zbierał dowody prawie jak policjant. Spostrzegł, że amunicja do karabinów i pistoletów maszynowych pochodziła od jednego producenta. Wprawdzie nie obciążał świadomie pamięci takimi szczegółami, zauważył

też jednak, że łuski 9 mm miały wyryty ten sam numer serii, jak te, które zebrał na jednym ze śródleśnych lotnisk na północnym wybrzeżu Kolumbii. Raczej wykluczał tu przypadkową zbieżność. A zatem ktokolwiek obserwował lotniska, przeniósł się tutaj...? W jaki sposób? Najprościej byłoby ciężarówką albo autobusem, lecz to zbyt proste; tak postąpiłoby M-19. Zbyt wielkie ryzyko dla Amerykanów. Yanquis przerzuciliby się helikopterami. Skąd? Może ze statku czy raczej z jednej z panamskich baz. Nie słyszał o żadnych manewrach amerykańskiej floty w osiągalnej dla helikoptera

odległości od wybrzeża. W takim razie duża maszyna przystosowana do tankowania w locie. Tylko Amerykanie to robili. W takim razie w grę wchodziła baza w Panamie. W

Panamie zaś miał swoich ludzi. Cortez włożył łuski do kieszeni i zaczął schodzić. Miał już punkt zaczepienia, a to wystarczało komuś z jego wyszkoleniem.

VC-20A Ryana - wciąż musiał wysilać wyobraźnię, by traktować go jako swój własny samolot - wystartował z lotniska nie opodal Mons wczesnym popołudniem. Pierwszy oficjalny występ Jacka w doborowym towarzystwie międzynarodowej elity wywiadu wyszedł mu całkiem nieźle. Referat na temat działalności sowieckiej w Europie Wschodniej spotkał się z powszechnym uznaniem i poparciem; z satysfakcją też dowiedział się, że szefowie wydziałów analiz wszystkich agencji wywiadowczych NATO podziela ją bez wyjątku jego zdanie o zmianach w polityce wroga: nikt nie miał

pojęcia, co się właściwie dzieje. Wachlarz teorii rozciągał się od poglądów w rodzaju nastaje pokój —i-co—my-teraz-mamy-do-roboty? Po opinię typu to-wszystko-stare-numery, lecz kiedy przyszło do formalnych ocen wywiadowczych, ludzie, którzy pracowali w tym fachu, kiedy Jacka jeszcze nie było na świecie, kiwali tylko głowami i mrużeli do kuflów z piwem - dokładnie to, co niekiedy robił i Ryan. Najbardziej optymistyczną wiadomością roku był niezaprzeczalny sukces grup kontrwywiadowczych, którym udało się powstrzymać operacje KGB w całej Europie i mimo że CIA nikomu nie zdradziła (oprócz sir Basila, który przebywał tam, gdy plan się rodził), jak do tego doszło, Agencja cieszyła się znacznym prestiżem za działalność w tym regionie. Ostateczny bilans, na który Jack lubił powoływać się podczas spotkania przedstawicieli wszystkich krajów, przedstawiał się dość przejrzyście: z militarne punktu widzenia NATO znajdowało się w najświetniejszej kondycji, a jego służby bezpieczeństwa odnosiły największe w historii sukcesy - szkopał w tym, że zasadnicza misja paktu budziła teraz wątpliwości natury politycznej. Ryan uważał to za sukces, pod warunkiem że politykom woda sodowa nie uderzy od razu do głowy, czego nikt przy zdrowych zmysłach sobie nie życzył.

Miał więc wiele powodów do zadowolenia, gdy belgijski krajobraz uciekał pod nim coraz niżej i wyglądał z oddali jak wyjątkowo piękna kołdra z rejonu Pensylwanii, zamieszkanego przez potomków holenderskich kolonizatorów.

Najlepszym chyba świadectwem świetnej kondycji NATO było jednak to, że rozmowy na bankietach i przy kawie, w przerwach pomiędzy sesjami plenarnymi, nie toczyły się na temat interesów w zwykłym znaczeniu tego słowa dla uczestników konferencji.

Eksperti wywiadu z Niemiec i Włoch, Wielkiej Brytanii i Norwegii, Danii i Portugalii, wszyscy jak jeden mąż wyrażali zaniepokojenie problemem narkotyków w swoich krajach. Kartel rozszerzał działalność na wschód, nie poprzestając już na handlowaniu swym towarem w samej Ameryce. Specjaliści odnotowawszy z uwagą zabójstwo Emila Jacobsa i innych, zastanawiali się,

czy aby międzynarodowy narkoterroryzm nie wszedł w nową, groźną fazę - i co w związku z tym należało uczynić. Francuzi, znani ze swych zdecydowanych kroków w obronie własnego kraju, ze szczególnym uznaniem przyjęli wiadomość o wybuchu bomby pod Medellin, zdziwieni zagadką i

nico irytującą reakcją Ryana: „Nie mam nic do powiedzenia. Nic mi nie wiadomo”. Dla nich sprawa była jasna. Gdyby w tak jawnych okolicznościach zamordowany został Francuz na równorzędnym stanowisku, DGSE przystąpiłaby do natychmiastowej akcji. W tym względzie Francuzi nie mieli sobie równych. Prasa francuska, a co ważniejsze, społeczeństwo, rozumie takie sytuacje i manifestuje swe poparcie. Toteż przedstawiciele DGSE spodziewali się, że Ryan opatrzy oficjalną odmowę komentarla porozumiewawczym uśmiechem, a nie zakłopotaną miną. Taka reakcja nie mieściła się w europejskich regułach gry i została przyjęta przez aliantów ze Starego Świata jako jeszcze jedno amerykańskie dziwactwo. Czy muszą być aż tak nieprzewidywalni? - zadawali sobie pytanie. Takie zachowanie miało wartość strategiczną w stosunku do Rosjan, ale przecież nie własnych sprzymierzeńców.

Ani nie własnych urzędników państwowych, dodał w myśli Ryan. Co się dzieje, do cholery?

Odległość pięciu tysięcy kilometrów od domu pozwalała Jackowi spojrzeć na całe wydarzenie z odpowiedniej perspektywy. Brak stosownego w takich zbrodniczych przypadkach mechanizmu prawnego usprawiedliwiał być może bezpośrednie działania.

Kto waży się bezpośrednio zagrozić władzy suwerennego państwa, naraża się na bezpośredni odwet tegoż państwa. Skoro mogliśmy zbombardować obcy kraj za organizację zamachu na amerykańskich żołnierzy w berlińskiej dyskotece, to dlaczego nie...

...zabić ludzi na terytorium zaprzyjaźnionego kraju?

Co sądzić o tym politycznym aspekcie?

Oto prawdziwy dylemat. Kolumbia miała własne instytucje prawne. To nie Libia rządona przez nieobliczalnego operetkowego kabotyna. To nie Iran, bezwzględna teokracja pod rządami stanowiącymi gorzkie świadectwo sukcesów gerontologii.

Kolumbia to kraj z prawdziwymi demokratycznymi tradycjami, który narażał własne instytucje na szwank, walcząc w obronie obywateli innego kraju przed... nimi samymi.

Co my robimy, do jasnej cholery?

Dobro i zło przyjmowało nieco inne wartości na tym poziomie sztuki politycznej. Czy rzeczywiście? Wedle jakich reguł? Jakich praw? Czy w ogóle istniały jedne albo drugie? Ryan wiedział, że zanim odpowie sobie na te pytania, musi zbadać fakty.

Rzecz wcale nie taka prosta. Jack

oparł się wygodnie w fotelu i spojrzął na kanał La Manche, rozszerzający się niby lej, w miarę jak samolot zmierzał dalej na zachód ku przylądkowi Land's End. Za tym skalistym, zgubnym dla statków punktem rozpościerał się północny Atlantyk, a za nim leżał dom. Miał jeszcze siedem godzin na decyzję, co powinien zrobić, gdy do niego dotrze. Siedem długich godzin, pomyślał Jack, ciekaw, ile razy może zadawać sobie te same pytania i ile razy dojdzie do nowych pytań zamiast odpowiedzi.

Prawo jest pułapką, stwierdził w duchu Murray; godną czci boginią, wspaniałą pięknnością z brązu,

która trzyma pochodnię w ciemności i wskazuje drogę. A jeśli droga ta prowadzi donikąd? Oto mieli teraz sprawę przeciwko złapanemu na gorącym uczynku podejrzanemu o udział w zamachu na dyrektora. Kolumbijczycy wyciągnęli z niego zeznanie, którego trzydzieści napisanych z pojedynczym odstępem stron maszynopisu leżało przed nim na biurku. Mieli wystarczające dowody rzeczowe, przebadane skrupulatnie w legendarnych laboratoriach Biura. Wszystko cacy, gdyby nie jeden mały problem. Traktat o ekstradycji, zawarty pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Kolumbią, już nie obowiązywał. Kolumbijski Sąd Najwyższy - a ściślej mówiąc, ci sędziowie, którzy pozostali przy życiu, po tym jak ich dwunastu kolegów zostało zamordowanych nie tak dawno przez zamachowców z M-19, a z których wszyscy, dziwnym trafem, popierali przed swą tragiczną śmiercią traktat o ekstradycji - doszedł do wniosku, że traktat ów jest sprzeczny z konstytucją ich państwa. No i po traktacie. Po ekstradycji. Zamachowiec sądzony więc będzie na miejscu i bez wątpienia dostanie wieloletni wyrok, ale Murray i Biuro chcieli przynajmniej posadzić drania w Marion w stanie Illinois - maksymalnie strzeżonym więzieniu federalnym dla wyjątkowo kłopotliwych przestępców; takim Alcatraz bez filmowej legendy. Departament Sprawiedliwości sądził, że powoła się w tej sprawie na ustawę o karze śmierci za morderstwa powiązane z narkotykami. Ale zeznanie wyduszone przez Kolumbijczyków nie do końca zgodne było z amerykańskimi przepisami o postępowaniu dowodowym i, jak przyznawali sami prawnicy, mogło być odrzucone przez amerykańskiego sędziego, co wykluczało karę śmierci. A facet, który sprzątnął dyrektora FBI, miał wszelkie szanse stać się idolem w Marion, w Illinois, gdzie większość więźniów nie darzyła FBI taką sympatią jak lwia część amerykańskiego społeczeństwa. To samo, jak dowiedział się poprzedniego dnia, dotyczyło sprawy piratów. Jakiemuś zasranemu obrońcy udało się sprytnie wywlec podstęp Straży Przybrzeżnej i szlag trafił również ten kwalifikujący się do kary śmierci przypadek. Na osłodę zostało Murrayowi przekonanie, że jego rząd odegrał się kartelowi w nader satysfakcjonujący sposób, podpadający jednak pod ogólną kategorię mordy z zimną krwią.

Murray wyrzucał sobie radość z takiego rozwoju wypadków. Niezbyt zgadzało się to z naukami, jakie pobierał jako student i jakich później sam udzielał innym jako wykładowca w Akademii FBI. Co się działo, gdy rządy łamały prawo? Podręczniki odpowiadały, że nastawała anarchia - przynajmniej wówczas, kiedy rząd jawnie łamał

własne prawa. Lecz przecież tak w skrócie można zdefiniować przestępcę - Jako kogoś, kogo przyłapie się na łamaniu prawa.

- Nie - rzekł cicho Murray.

Przez całe życie szedł za światłem sprawiedliwości, ponieważ w ciemne noce społeczeństwo nie miało nic prócz tej jedynej pochodni rozsądku. Zadaniem jego i Biura było strzec prawa w kraju wiernie i uczciwie. Owszem, istniało pole manewru -

musiało istnieć, ponieważ w zapisanych słowach nie sposób wszystkiego przewidzieć -

lecz gdy litera prawa nie wystarczała, postępowali zgodnie z zasadą, na której się opierało. Być może takie rozwiązanie nie zawsze było satysfakcjonujące, lecz nie miało rozsądnej alternatywy. Co jednak robić, gdy prawo nie skutkuje? Czy to też część gry?

Czy, mimo wszystkich słów i czynów, to wszystko jest grą pozorów?

Clark wyznawał nieco inny pogląd. Nie przejmował się nigdy prawem - przynajmniej nie bezpośrednio. Dla niego „legalne” oznaczało, że coś jest „w porządku”, a nie, że jacyś prawodawcy uchwalili zbiór przepisów i ten czy inny prezydent je podpisał. Dla niego ważne było to, że urzędujący prezydent postanowił, iż dalsze istnienie kogoś lub czegoś pozostaje w sprzeczności z interesami jego kraju. Służbę państwową rozpoczął

w marynarce Stanów Zjednoczonych jako członek elitarniej, utajnionej formacji komandosów SEAL. W tym zwartym, zamkniętym środowisku przyłgnał doń przydomek, który do dzisiejszego dnia wymawiano z respektem: Wąż - tak nazwano go, bo poruszał się bezszelestnie. Z tego, co wiedział, żaden wróg, który go zobaczył, nie dożył okazji, by się tym pochwalić. Nosił wówczas inne nazwisko, ale tylko dlatego, że po odejściu z marynarki popełnił błąd - naprawdę uważał to za błąd, lecz tylko w technicznym sensie - wykorzystując swoje kwalifikacje jako niezależny agent. I wiodło mu się całkiem nieźle, dopóki nie zidentyfikowała go policja. Z tej przygody wyniósł taką naukę, że choć nikt nie dociekał zbytnio, co dzieje się na polu bitwy, to poza nim wykazywano

nadgorliwość, co wymagało od niego znacznie większej rozwagi w działaniu. Głupim błędem w przeszłości i tym, że dał się niemal zdekonspirować lokalnej policji, zwrócił

na siebie uwagę CIA, której potrzebni byli niekiedy ludzie z jego rzadkimi umiejętnościami. Ocierało się to o ponury żart: Jeśli trzeba zabić, najlepiej nająć kogoś, kto żyje z zabijania. Przynajmniej wtedy go to śmieszyło, prawie dwadzieścia lat temu.

Inni podejmowali decyzje, kogo należy zabić. Ci inni to odpowiednio dobrani przedstawiciele narodu amerykańskiego, którym w taki czy inny sposób służył przez większość swego dorosłego życia. Prawem, jak chcąc nie chcąc, stwierdził raz na zawsze, było to, że prawa nie ma. Jeżeli prezydent powiedział „zabić”, wówczas Clark stawał się jedynie instrumentem odpowiednio określonej polityki rządu, zwłaszcza od kiedy wybrana grupa kongresmenów musiała zgadzać się z pionem wykonawczym.

Normy, które od czasu do czasu zakazywały tego rodzaju działań, wychodziły w formie rozkazów wykonawczych z kancelarii prezydenta, do których sam prezydent, wedle własnego uznania, mógł nie stosować się lub, ściślej mówiąc, nagiąć ich interpretację stosownie do okoliczności. Clark oczywiście dostawał bardzo niewiele tego typu zadań. Agencja wykorzystywała głównie inne z jego umiejętności - na przykład zdolność pojawiania się i znikania niepostrzeżenie z różnych miejsc, w czym nie miał sobie równych. Lecz zatrudniono go przede wszystkim do zabijania, a dla Clarka, ochrzczonego jako John Terrence Kelly w parafii Świętego Ignacego w Indianapolis, zabijanie należało po prostu do działań wojennych, usankcjonowanych przez jego kraj oraz religię, do której podchodził z umiarkowaną powagą. Wszak interwencja w Wietnamie nigdy nie otrzymała prawnej sankcji wypowiedzianej wojny, toteż jeśli zabijanie wrogów jego kraju było wówczas w porządku, to niby dlaczego miałoby teraz być inaczej? Występując już pod nowym nazwiskiem, John T. Clark, uważał, że morderstwo to zabijanie ludzi bez usprawiedliwionego powodu. Prawo zostawił prawnikom, świadom, że jego własna definicja usprawiedliwionego powodu jest o wiele praktyczniejsza i o wiele bardziej skuteczna.

Teraz interesował go wyłącznie następny cel. Przez dwa dni mógł jeszcze korzystać z usług Intrudera, a chciał zorganizować w miarę możliwości jeszcze jedno niewykrywalne bombardowanie. Clarka

zakwaterowano w domku opodal Bogoty, kryjówce założonej w zeszłej dekadzie przez CIA. Dom należał oficjalnie do firmy handlowej i przeważnie wynajmowano go przyjeżdżającym w interesach Amerykanom. Nie wyróżniał się niczym szczególnym. Telefon był całkiem zwyczajny, dopóki Clark nie podłączył doń podręcznej szyfrarki - nader prostego urządzenia, które nie zdałoby się psu na budę w Europie Wschodniej, ale wystarczało w zupełności w tutejszych warunkach stosunkowo niskiego zagrożenia podsłuchowego. Miał również antenę satelitarną, działającą przyzwoicie przez nierzucającą się w oczy dziurę w dachu i też podłączoną do aparatu szyfrującego, który przypominał turystyczny magnetofon kasetowy.

Co dalej? - zadał sobie pytanie. Wybuch u Untiverosa zorganizowano tak precyzyjnie, żeby stwarzał pozory samochodu-pułapki. A może by powtórzyć ten numer z prawdziwym samochodem-pułapką? Trudność polegała na takim ustawieniu wybuchu, żeby śmiertelnie przerazić namierzone cele i przegonić je na lepsze pole rażenia. Aby się to udało, próba musiałaby sprawiać wrażenie poważnego zamachu, ale nie na tyle poważnego, by ucierpieli niewinni ludzie. W tym cały problem z samochodami-pułapkami.

Detonacja o słabej mocy? - pomyślał. Niezły pomysł. Wybuch świadczyłby o poważnej próbie, która się nie powiodła. Za trudna sprawa, doszedł zaraz do wniosku.

Najprościej byłoby sprzątnąć kogoś z karabinu, tylko że trudniej naprowadzić sobie cel na muszkę. Już samo znalezienie stanowiska z pożądaną linią strzału byłoby trudne i niebezpieczne. Baronowie kartelu kazali obserwować wszystkie okna z widokiem na ich rezydencje. Gdyby jedno z takich mieszkań wynajął Amerykanin, a wkrótce potem z okna padł strzał - o tajności operacji raczej nie byłoby już mowy. Chodziło przecież przede wszystkim o to, żeby nie wiedzieli do końca, co się właściwie dzieje.

Pomysł operacyjny Clarka był doskonale prosty. Tak doskonały i tak prosty, że nie wpadł do głowy rzekomym ekspertom od czarnych operacji w Langley. Rzecz polegała na tym, żeby zabić tylu ludzi z jego listy, by wzmocnić paranoję w całym namierzonym towarzystwie. Zlikwidowanie wszystkich, choć ze wszech miar pożądane, nie wchodziło w rachubę z praktycznych względów. Chodziło mu o to, żeby zabić dostatecznie wielu i zrobić to tak, by skutecznie uruchomić reakcję łańcuchową w samym kartelu.

W skład kartelu wchodziło wielu całkowicie pozbawionych skrupułów ludzi, których inteligencję najlepiej porównać można do przebiegłości doświadczonego wroga na polu bitwy. Jak dobrzy żołnierze liczyli się z każdym potencjalnym niebezpieczeństwem, lecz w przeciwieństwie do żołnierzy, niebezpieczeństwo weszli nie tylko na zewnątrz, ale i wewnątrz swojej grupy. Mimo powodzenia ich wspólnego przedsięwzięcia,

nadal rywalizowali ze sobą. Mimo wielkich pieniędzy i potężnej władzy, nie byli i nigdy nie będą syci. Dla takich jak oni nigdy nie będzie za dużo jednego ani drugiego, ale zwłaszcza władzy. Clarkowi i innym wydawało się, że jako ostateczny cel wyznaczyli sobie przejęcie pełnej politycznej kontroli nad swoim państwem, a przecież państwami nie rządzą komitety, przynajmniej nie tak liczne. Clarkowi zależało na wzbudzeniu w śród kacyków kartelu podejrzania, że w ich szeregach szykuje

się zamach na władzę, a na ten sygnał zaczęły się radośnie wyrzywać wzorem wojen mafijnych w latach trzydziestych.

Może, przyznał w duchu. Dawał swojemu planowi trzydzieści procent szansy powodzenia. Ale nawet gdyby się nie powiódł, kilku mocnych graczy zostanie usuniętych z gry, a to też się liczyło jako sukces taktyczny, jeżeli nie strategiczny.

Oslabienie kartelu mogłoby zwiększyć szansę władz Kolumbii w walce z handlarzami, co byłoby jeszcze jednym możliwym rezultatem strategicznym, choć nie jedynym.

Mogło zdarzyć się i tak, że wojna, którą chciał wywołać, doprowadzi do takiego samego finału jak wojna Castellamare, czyli pamiętna Noc Włoskich Nieszporów, podczas której dziesiątki mafiosów zginęło z rąk własnych towarzyszy. Z mroku tej krwawej nocy wyłoniła się mocniejsza, lepiej zorganizowana i groźniejsza siatka przestępcza pod o wiele mądrzejszym przywództwem Carla „Lucky” Luciano i Vita Genovese. Z takim niebezpieczeństwem należało się poważnie liczyć, pomyślał Clark.

Lecz sytuacja i tak nie mogła stać się o wiele gorsza niż teraz. Do takiego przynajmniej wniosku doszedł Waszyngton. Gra warta była ryzyka.

Do domu przyszedł Larson. Był tu wcześniej tylko raz i mimo że jego wizyta pozostawała w zgodzie z legendą Clarka jako badacza lokalnych złóż - po całym domu poniewierały się liczne skrzynki z próbkami skał - ten aspekt misji napawał go niepokojem.

- Słuchałeś wiadomości?

- Wszyscy twierdzą, że to samochód-pułapka - odpowiedział Larson z chytrym uśmiechem. - Następnym razem już nie pójdzie nam tak łatwo.

- Może i nie. Następnym razem musimy dać spektakularny popis.

- Nie patrz na mnie! Chyba nie liczysz, że to ja znów się dowiem o kolejnym spotkaniu, co?

Przydałoby się, rzekł w duchu Clark, ale nie liczył na to i sam nie poparłby rozkazu, który by się tego domagał.

- Nie, trzeba się modlić o nowy podsłuch. Muszą się spotkać. Muszą razem omówić to, co się stało.

- Zgoda. Ale niekoniecznie w górach.

- Tak?

- Wszyscy z nich mają też posiadłości na nizinach. Clark o tym zapomniał. W dole trudniej wziąć ich na cel.

- Czy da się nastawić laser z samolotu?

- Dlaczego by nie? Tylko że wtedy ląduję, tankuję i na zawsze spieprzam z tego kraju.

Henry i Harvey Pattersonowie byli bliźniakami w wieku dwudziestu siedmiu lat i stanowili żywy dowód każdej możliwej społecznej teorii kryminologicznej. Ich ojciec przez całe swe krótkie życie był zawodowym, choć raczej zawodnym przestępcą, a zakończył je w wieku trzydziestu dwóch lat, gdy właściciel sklepu monopolowego strzelił do niego z dubeltówki dwunastki, z odległości trzech metrów. Ten fakt znaczył

wiele dla zwolenników szkoły genetycznej, której wyznawcy rekrutowali się przeważnie spośród politycznych konserwatystów. Bliźniaków uformował również dom bez ojca, złe szkoły, negatywna presja grupy równolatków oraz dzielnica nędzy.

Te fakty ważne były dla szkoły uznającej wpływ środowiska za główny czynnik kryminogeny, której najliczniejszymi zwolennikami są liberałowie.

Bez względu na powód ich zachowania byli przestępcami, którzy cieszyli się życiem i mało ich obchodziło, czy to wynik genetycznego uwarunkowania, czy też trudnego dzieciństwa. Głupi nie byli. Gdyby testy na inteligencję nie dyskryminowały analfabetów, mieliby nieco wyższe niż przeciętne ilorazy. Dzięki zwierzęcemu instynktowi, stanowili nie lada wyzwanie dla poszukującej ich policji, a uliczno-cwaśniacka znajomość prawa pozwalała im manipulować systemem karnym z ogromnym powodzeniem. Mieli też swoje zasady. Bracia Pattersonowie lubili wypić -

obaj stali na krawędzi alkoholizmu - ale nie tykali narkotyków. Odbiegali przez to nieco od normy, lecz jako że żaden z braci prawa nie traktował zbyt serio, nie przejmowali się także swym odstępstwem od statystycznego wizerunku kryminalisty.

Już jako nastolatki wyruszyli na szlak rabunków, włamań i rozbojów przebiegający przez całą południową Alabamę. Rówieśnicy traktowali ich z należnym szacunkiem.

Kilku nieszczęśników weszło w drogę jednemu lub obu - ponieważ byli jednojajowymi bliźniakami, wejście w drogę jednemu oznaczało nieuchronnie wejście w drogę obu - i pożegnało się z życiem, przerwany bądź za pomocą tępego narzędzia (pałka), bądź

też na skutek ran kłutych lub postrzałowych (nóż lub spluwa). Policja podejrzewała ich o pięć morderstw. Kłopot w tym, że nie wiadomo którego.

To, że byli bliźniakami, stanowiło w każdej osobnej sprawie problem techniczny, który ich adwokat - znaleźli sobie bardzo dobrego już we wczesnych latach swej kariery -

wykorzystywał z pomyślnym skutkiem. Ilekroć któryś z Pattersonów popełnił

morderstwo, policjanci mogli założyć się o swoje pensje, że jeden z braci - zazwyczaj ten mający motyw do zabójstwa - ostentacyjnie zdradzał swą obecność w oddalonym o wiele kilometrów miejscu. W dodatku ich ofiarami nigdy nie padali uczciwi obywatele, tylko ludzie z własnego środowiska kryminalistów, co naturalnie studziło zapał policji.

Ale nie tym razem.

Upłynęło czternaście lat, od kiedy kartoteki zanotowały ich pierwszy konflikt z prawem, lecz w końcu Henry i Harvey wpadli na całego; gliniarze wzdłuż i wszerz stanu dowiedzieli się od dowódców posterunków: policja wreszcie nakryła ich na poważnej zbrodni i - co wszyscy przyjęli z niekłamaną satysfakcją - wpadkę zawdzięczali innej parze jednojajowych bliźniąt. Serca braci Pattersonów podbiły dwie urocze osiemnastoletnie kurewki. Przez pięć tygodni Henry i Harvey nie mogli nasycić się siostrzyczkami Noreen i Doreen Grayson, a obserwujący z ukrycia rozkwit romansu policjanci zachodzili w głowę, skąd cała czwórka czerpie na to siły. Tak więc, prawdziwa miłość przyczyniła się do upadku braci Pattersonów.

Henry i Harvey postanowili uwolnić siostry Grayson od handlującego narkotykami alfonsa, do cna podłego i jeszcze bardziej niebezpiecznego osobnika, o bogatej kryminalnej przeszłości, podejrzanego o bezpośredni udział w zniknięciu wielu ze swoich dziewcząt. Przebrał miarkę, gdy brutalnie pobił siostry za to, że nie oddały mu prezentów - biżuterii - które dostały od Pattersonów z okazji równego miesiąca znajomości. Noreen wyszła z tego ze złamaną szczęką, a Doreen straciła sześć zębów, nie wspominając już o innych bezceństwach, które rozwścieczyły Pattersonów i zakończyły się pobytom obu dziewcząt w klinice Uniwersytetu Południowej Alabamy.

Bracia bliźniacy nie zdzierżyli takiej obrazy i tydzień później, w zakamarkach ciemnej uliczki, obaj posłużyli się bliźniaczymi rewolwerami Smith & Wesson, by pozbawić życia Elroda McIivane'a. Na ich nieszczęście w pobliżu znajdował się radiowóz policyjny. Nawet gliniarze uważali, że w tym przypadku bracia Pattersonowie wyświadczyli obywatelską przysługę miastu Mobile.

Porucznik policji doprowadził ich na przesłuchanie. Typowa dla nich arogancja tym razem była zwiędłym kwiatkiem. Rewolwery znaleziono niecałe pięćdziesiąt metrów od miejsca zbrodni. Choć na żadnym z nich nie wykryto wyraźnych odcisków palców -

broń palna nie zawsze nadaje

się do tego celu - cztery wydobyte z ciała McIivane'a pociski pasowały do obu.

Pattersonów nakryto cztery przecznice dalej; na rękach mieli ślady prochu wskazujące na niedawne użycie broni; wreszcie ich motyw pozbycia się alfonsa był dobrze znany.

Trudno o lepsze podstawy sprawy karnej. Policji brakowało już tylko przyznania się podejrzanych do winy. Fart bliźniaków się skończył. Nawet własny adwokat im to powiedział. Na niższy wyrok za skrucę nie mogli liczyć - miejscowy prokurator nie znosił ich jeszcze bardziej niż policja - i mimo że czekała ich długa odsiadka za morderstwo, mogli się cieszyć tym, iż nie pójdą na krzesło elektryczne, gdyż przysięgli pewnie nie zechcą posłać ludzi na śmierć za zabicie handlującego narkotykami alfonsa, który wpędził swoje dwie dziwki do szpitala i prawdopodobnie zabił kilka innych.

Wszystko wskazywało na zbrodnię w afekcie, a w prawie amerykańskim motywy takie uchodzą zazwyczaj za okoliczności łagodzące.

Pattersonowie w identycznych ubraniach więziennych usiedli naprzeciwko oficera policji. Porucznik

nie potrafił nawet ich odróżnić i nie miał zamiaru pytać, który jest który, wychodząc z założenia, że i tak skłamałiby z czystej złośliwości.

- Gdzie nasz adwokat? - spytał Henry lub Harvey.

- Właśnie - dodał Harvey lub Henry.

- Do tej rozmowy nie będzie nam potrzebny. A co byście, chłopaki, powiedzieli na wyświadczenie nam drobnej przysługi? - spytał porucznik. - Wy nam, a my wam. - W

ten sposób odpadł problem porady prawnej.

- Sranie po ścianie! - zaznaczył jeden z bliźniaków, określając w ten sposób pozycję przetargową. Musieli chwytać się choćby i brzytwy. Cele więzienne zapraszały i choć żaden z nich nie dostał długiego wyroku, swoje w stanowych pudłach odsiedzieli i pojmwali, że to nie przelewki.

- A dożywocie wam odpowiada? - spytał porucznik niewzruszony pokazem siły. -

Wiecie jak to jest: siedem, osiem lat, zanim zostaniecie zrehabilitowani i puszczą was na wolność. Przy odrobinie szczęścia, ma się rozumieć. Kupa czasu, osiem lat. Co wy na to, chłopcy?

- Frajerzy to my nie jesteśmy. Co jest grane? - spytał drugi Patterson, sugerując swą gotowość do negocjacji.

- Zrobicie coś dla nas, a powiedzmy, że spotka was coś miłego.

- Co to za robota? - Obaj bracia skłonni już byli do uzgodnień.

- Widzieliście Ramóna i Jesiisa?

- Tych piratów? Gnój.

W środowisku przestępczym, tak jak w każdym innym, obowiązuje pewna hierarchia.

Na samym dole znajdowali się ciemniejszy kobiet i dzieci.

Pattersonowie byli niebezpiecznymi przestępcami, ale nigdy nie skrzywdzili kobiety.

Załatwiali tylko mężczyzn - wprawdzie najczęściej mniejszych od nich, ale jednak mężczyzn. Co przysparzało im prestiżu w ich zamkniętym świecie.

- Taa, widzieliśmy skurwieli - rzekł drugi, dosadniej wspierając odpowiedź brata. -

Zgrywają gnoje ważniaków od dwóch dni. Latynosy jebane. Ja tam nie mówię, że my święci, ale nigdy my nie zgwałcili ani nie zabili żadnej dziewczynki; a ich mają niby zwolnić? Rzewne jaja!

Sprzątnęli my pieprzonego alfonsa, co leje swoje panienki, i za to dożywocie. I gdzie tu sprawiedliwość, proszę szanownego pana policjanta, co? To są jaja!

- Gdyby coś przydarzyło się Ramónowi i Jesiisowi, coś bardzo poważnego - rzekł

ściszym głosem porucznik - może stałoby się jeszcze coś, coś pomyślnego dla was, chłopcy.

- Co na ten przykład?

- Na przykład będziecie mogli widywać się regularnie z Noreen i Doreen, a nawet ustatkować się, jak ludzie.

- Ale jaja! - rzekł Henry lub Harvey.

- To najlepszy interes w mieście, chłopaki - oznajmił porucznik.

- Mamy zaciukać skurwysynów? - Pytanie zadał Harvey, sprawiając zawód bratu, który uważał się za mądrzejszego z nich dwóch.

Porucznik tylko spojrzał na nich w milczeniu.

- Kapujemy - powiedział Henry. - A skąd wiemy, czy dotrzymacie słowa?

- Jakiego słowa? - Porucznik umilkł na chwilę. - Ramón i Jesiis zabili czteroosobową rodzinę, a najpierw zgwałcili kobietę i jej córeczkę. Wszystko wskazuje też na to, że maczali palce w morderstwie policjanta z Mobile i jego żony. Ale coś się pogmatwało ze sprawą przeciwko nim i dostaną najwyżej dwadzieścia lat, z czego odsiedzą siedem czy osiem, nie więcej. Za zabicie sześciu osób. Niezbyt sprawiedliwe, co?

Teraz dopiero rzecz dotarła do obu bliźniaków. Porucznik spostrzegł u nich oznaki zrozumienia wyrażone identycznym spojrzeniem obu par oczu. Przyszła kolej na decyzję. Z dwóch par oczu wyzierała zrazu ostrożność, gdy zapadało rozstrzygnięcie, jak wykonać zadanie. Po chwili przybrały błogi wyraz. Obaj Pattersonowie skinęli głowami i umowa stała.

- Tylko bądźcie teraz ostrożni, chłopcy. Więzienie bywa niebezpiecznym miejscem.

Porucznik wstał, by wezwać strażnika. Gdyby ktoś spytał, powie, że - po uzyskaniu ich zgody na rozmowę bez adwokata - chciał ich zapytać o napad rabunkowy, w którym Pattersonowie nie brali

udziału, ale o którym mogli coś wiedzieć i że w zamian za te informacje zaoferował im wstawiennictwo u prokuratora. Niestety, na temat napadu, jak oświadczyli, nic nie wiedzą, więc po niecałych pięciu minutach rozmowy posłał ich z powrotem do celi.

Gdyby zaś zdradzili kiedyś rzeczywisty przedmiot dyskusji, będą to słowa recydywistów z niebudzącym cienia wątpliwości procesem o morderstwo nad głową, podważające słowa porucznika policji. W najlepszym razie epizod ten ukaże się na piątej stronie gazety „Mobile Register”, znanej z

nieprzejednanego stanowiska wobec groźnych przestępców. Nie bardzo też mogli przecież przyznać się do podwójnego morderstwa, obojętnie, czy na zlecenie policji, czy nie.

Porucznik był człowiekiem honoru, toteż niezwłocznie przystąpił do realizacji swojego zobowiązania, licząc na wzajemność ze strony Pattersonów. Z czterech kul usuniętych z ciała Elroda McIvane'a jedna nie nadawała się do ekspertyzy balistycznej ze względu na uszkodzenia - pociski pozbawione stalowej osłony łatwo się zniekształcają - a pozostałe, choć wystarczające jako materiał dowodowy w procesie karnym, były bliskie granicy przydatności. Porucznik kazał pobrać pociski z magazynu dowodów rzeczowych w celu ich ponownego zbadania, wraz z notatkami eksperta i fotografiami.

Musiał pokwitować odbiór, by zachować obieg dowodów. Ten wymóg prawny miał

gwarantować, że służące w procesie dowody, zebrane na miejscu przestępstwa lub gdzie indziej i oznaczone jako istotne dla sprawy, znajdują się zawsze w wiadomym miejscu i pod właściwym nadzorem. Procedura ta zapobiegała produkcji fałszywych dowodów obciążających. Kiedy zginął jakiś dowód, nawet jeśli się później odnalazł, nie mógł już posłużyć w procesie karnym, bo był trefny. Oficer poszedł do laboratorium, ale technicy zbierali się do domu. Spytał eksperta balistyki, czy mógłby jeszcze raz sprawdzić kule ze sprawy Pattersonów w poniedziałek rano. Facet odpowiedział, że owszem, jedna z prób wyszła tak sobie, ale jak sądzi, wystarcza do celów procesowych. Zgodził się jednak jeszcze raz zbadać kule.

Policjant wrócił z kulami do swojego gabinetu. Na kopercie, w której się znajdowały, oznaczono numer sprawy, a ponieważ właściwy nadzór, potwierdzony podpisem porucznika, został zachowany, nie naruszono obiegu służbowego. Na biurku zostawił

wiadomość, że nie chce zostawiać kul przez weekend w szufladzie i bierze je do domu, zamknięte w dyplomatce z szyfrowym zamkiem. Porucznik miał pięćdziesiąt trzy lata i do emerytury ze wszystkimi dodatkami za usługę brakowało mu czterech miesięcy.

Trzydzieści lat służby mi wystarczy, pomyślał, ciesząc się już, że wreszcie w pełni skorzysta ze swojej wędkarskiej łodzi.

Nie mógł wszakże odejść z czystym sumieniem, zostawiając dwóch zabójców policjanta z wyrokiem ośmiu lat o niezastrzonym rygorze.

Napływ narkotykowych pieniędzy do Kolumbii miał najprzeróżniejsze skutki uboczne, a jednym z nich, o ironio, było otrzymanie przez policję nowego i na wskroś nowoczesnego laboratorium kryminalnego. Gruz po domu Entiverosa poddano rutynowej serii badań chemicznych i w ciągu kilku godzin ustalono, że jako materiału wybuchowego zamachowcy użyli mieszanki cyklotetrametylenotetranitroaminy i trójnitrotoluenu. Znane potocznie jako HMX i TNT, zmieszane w proporcji siedemdziesiąt do trzydziestu - napisał chemik - tworzyły razem materiał wybuchowy octol, który był dość drogim, bardzo stabilnym i niezwykle groźnym, kruszącym materiałem wybuchowym, produkowanym głównie w Stanach Zjednoczonych, lecz sprzedawanym również przez amerykańskie, europejskie i jedno azjatyckie przedsiębiorstwo. Na tym skończył swoją dniówkę. Wręczył raport sekretarce, która przesłała faks do Medellin, gdzie tamtejsza sekretarka sporządziła

kopię kserograficzną, a ta po dwudziestu minutach znalazła się na biurku Feliksa Corteza.

Raport był kolejnym fragmentem zagadki dla byłego oficera wywiadu. Żadna z lokalnych kopalń nie używała octolu. Był zbyt drogi, a do celów przemysłowych w zupełności wystarczały proste materiały oparte na azotanach. Jeśli już się potrzebowało mocniejszego wybuchu, aby skruszyć skały, drażyło się po prostu większy otwór i pakowało więcej materiału wybuchowego. Możliwość taka nie istniała jednak w zastosowaniach militarnych. Rozmiary pocisku artyleryjskiego ograniczał

wszak kaliber działa, a wielkość bomby ograniczał jej wpływ na opór aerodynamiczny samolotu. Toteż organizacje wojskowe nieustannie poszukiwały mocniejszych materiałów wybuchowych, aby uzyskać większą skuteczność broni o ograniczonych gabarytach. Cortez zdjął z półki swojej biblioteki fachową encyklopedię i potwierdził

fakt, że octol ma zastosowanie niemal wyłącznie w wojsku... i używany jest jako wyzwalacz w pociskach nuklearnych. Parsknął śmiechem.

To parę rzeczy wyjaśniało. W pierwszej chwili sądził, że użyto tony dynamitu. Ten sam skutek dało się osiągnąć przez zastosowanie niespełna pięciuset kilogramów octolu. Wyciągnął następną książkę i dowiedział się, że waga samego materiału wybuchowego w bombie o ciężarze jednej tony nie przekracza pięciuset kilogramów.

Ale dlaczego nie było odłamków? Przecież ponad połowa ciężaru bomby to stalowa skorupa. Cortez odłożył ten problem na później.

Bomba lotnicza wiele wyjaśniała. Przypomniał sobie szkolenie na Kubie, gdy północnowietnamscy oficerowie tłumaczyli jego grupie działanie inteligentnych bomb, które obróciły w proch mosty i elektrownie w ich kraju podczas krótkiej, lecz tragicznej w skutkach kampanii nalotów Linebacker II w 1972 roku. Po latach kosztownych niepowodzeń amerykańskie myśliwce bombardujące zniszczyły dziesiątki potężnie obwarowanych celów w ciągu kilku dni, za pomocą nowych, precyzyjnie kierowanych pocisków.

Taka naprowadzona na ciężarówkę bomba do złudzenia przypominałaby chyba samochód-pułapkę?

Ale gdzie się podziały odłamki? Wrócił do raportu z laboratorium. Wykryto również ślady celulozy, których źródła technik dopatrywał się w tekturowych kartonach zawierających materiał wybuchowy.

Celuloza? To przecież papier lub włókno drzewne. Bomba z papieru? Cortez uniósł

jedną z książek: Jane's Weapons Systems. Była to ciężka „cegła” w twardej, sztywnej oprawie... pokryta płótnem tektura. Prosta rzecz, a cieszy. Jeżeli papier dało się tak wzmocnić do tak prozaicznego celu jak oprawa książki...

Cortez oparł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa, gratulując sobie... i Norteamericanos. Kapitalna robota. Wysłali samolot ze specjalną, inteligentną bombą, nakierowali ją na tę idiotyczną ciężarówkę i nie pozostawili po sobie nic, co uszłoby za dowód przestępstwa. Ciekaw był, kto też wpadł na taki pomysł, zdumiony, że Amerykanie zdobyli się na tak inteligentną akcję. KGB wysłałby

kompanię komandosów Specnazu i stoczył konwencjonalną bitwę piechoty, pozostawiając na miejscu wszelkie dowody swojej obecności i przekazując wiadomość w typowo rosyjski sposób - skuteczny, lecz wyzuty z subtelności. Amerykanie wreszcie zdobyli się na subtelność godną Hiszpana... subtelność Corteza, zachichotał Felix.

Niesamowite.

Miał już zatem "senijak". Musiał jeszcze tylko dowiedzieć się „po co”. Ależ to oczywiste! W amerykańskim dzienniku ukazał się artykuł o domniemanej wojnie mafijnej. Kartelem rządziło przedtem czternastu wodzów. Zostało dziesięciu.

Amerykanie spróbują zredukować i tę liczbę... jak? Czyżby założyli, że jeden zamach bombowy wznieci bezpardonową walkę wewnętrzną? Nie, jeden taki incydent to za mało, pomyślał Cortez. Dwa tak, ale niejeden.

A więc Amerykanie kazali oddziałom komandosów penetrować góry na południe od Medellin, zrzucili jedną bombę i prowadzili inne działania przeciwko lotom kurierskim.

To również nie ulegało wątpliwości. Po prostu zestrzeliwali samoloty. Ich ludzie obserwowali ukryte lotniska

i przekazywali informacje innym, gotowym do akcji jednostkom. Była to w pełni skoordynowana operacja. Najbardziej zadziwiające było to, że okazała się skuteczna.

Amerykanie postanowili wreszcie zrobić coś skutecznego. Już samo to zakrawało na cud. W ciągu długich lat jego kariery wywiadowczej, CIA z dużym powodzeniem zbierała informacje, lecz nie potrafiła ich skutecznie wykorzystać.

Felix wstał od biurka i podszedł do barku. Sprawa zasługiwała na poważne przemyślenie, co oznaczało dobry koniak. Nalał sobie potrójną porcję do stosownego kieliszka, potrząsnął nim parę razy, ogrzewając dłonią płyn, by aromatyczne opary zdążyły polechtać mu zmysły, nim zakosztował pierwszy łyk.

Alfabet chiński jest ideograficzny - Cortez miał okazję poznać całą galerię typów z chińskiego wywiadu - a na słowo „kryzys” w tym języku składają się dwa symbole oznaczające „niebezpieczeństwo” i „sposobność”. Kombinacja ta zaskoczyła go, gdy usłyszał ją po raz pierwszy, i wryła mu się na trwałe w pamięć. Sposobności takie nadarzają się niezwykle rzadko i są nader niebezpieczne. Głównym niebezpieczeństwem było dlań to, że nie wiedział, w jaki sposób Amerykanie zdobywają informacje. Wszystko wskazywało na wtykę wewnątrz organizacji. Ktoś dość wysoko, lecz nie aż tak wysoko, jak by sobie życzył. Amerykanie złapali kogoś na haczyk, tak jak on robił to często z innymi. Zwykłe postępowanie wywiadowcze, a w tym CIA celowała. A więc ktoś, kto został do głębi urażony i chciał się odegrać, a przy okazji zająć miejsce przy okrągłym stole wodzów. Sporo ludzi dałoby się zaliczyć do tej kategorii. Łącznie z Feliksem Cortezem. I oto zamiast własnymi siłami osiągnąć ten cel, mógł teraz zdać się na Amerykanów. Dziwiło go niezmiernie, a zarazem bawiło to, że powierzył Amerykanom własne interesy. Oto niemal doskonała definicja tajnej operacji. Wystarczyło tylko pozwolić Amerykanom zrealizować ich własny plan i zza linii bocznej

przyglądać się efektom. Musiał uzbroić się w cierpliwość i zaufać wrogowi. Cortez brał w rachubę grożące niebezpieczeństwo, uważał jednak, że gra jest warta ryzyka.

Nie wiedząc, jak przekazać informacje Amerykanom, sądził zrazu, że musi zdać się na uśmiech losu. Nie, to za mało. Mieli stałe źródło informacji, więc zapewne i tym razem je wykorzystają. Podniósł słuchawkę i wbrew swoim zwyczajom zadzwonił. Po chwili namysłu postanowił załatwić jeszcze jedną sprawę. Nie mógł wszak oczekiwać, że Amerykanie zrobią dokładnie to, co chciał, i dokładnie wtedy, kiedy chciał. Parę kroków musiał poczynić sam.

Samolot Ryana wylądował w Andrews tuż po dziewiętnastej. Jeden z jego asystentów

- Jak to dobrze mieć asystentów do dyspozycji - przejął poufne dokumenty i zawiózł je do Langley, zaś Jack wrzucił torby do bagażnika swojego jaguara XJS i pojechał do domu. Porządnie się wyśpi i otrząsnąwszy się z efektów różnicy czasu, wróci jutro do pracy. Przede wszystkim, powiedział sobie, wyjeżdżając na autostradę 50, trzeba sprawdzić, co Agencja wyprawia w Ameryce Południowej.

Ritter potrząsnął głową ze zdumienia i radości. Przyszedł znów „Kapar”. Tym razem sam Cortez. Nie wpadło im nawet do głowy, że nie mają doskonale szczelnej łączności. Nie pierwszy to raz w historii. To samo przydarzyło się Niemcom i Japończykom podczas II wojny światowej i powtarzało się nieraz w późniejszych latach. W tym Amerykanie byli po prostu dobrzy. Z porą też lepiej nie dało się utrafić.

Lotniskowiec mieli jeszcze do dyspozycji tylko trzydzieści godzin, ostatni dzwonek, żeby przekazać wiadomość człowiekowi Agencji na pokładzie „Rangera”. Ritter napisał rozkazy i warunki misji na swoim osobistym komputerze. Zaklejone w kopercie wydruki kazał doręczyć jednemu z zaufanych podwładnych, który złapał pierwszy samolot dostawczy Sił Powietrznych do Panamy.

Kapitanowi Jacksonowi nieco rażniej było na duszy. Wystarczył choćby ledwie odczuwalny, dodatkowy ciężar czwartego paska na epoletach białej służbowej koszuli, a czyż srebrny orzeł, który zastąpił dębowy liść na kołnierzu bluzy polowej, nie był o wiele odpowiedniejszym symbolem dla pilota? Niespodziewany awans oznaczał, że jest poważnym kandydatem na dowódcę grupy powietrznej lotniskowca - wiedział, że będzie to ostatni etap kariery związany z prawdziwym lataniem, ale za to najwspanialszy. Będzie musiał oblatywać różne typy samolotów i przejmie odpowiedzialność za ponad osiemdziesiąt maszyn, ich załogi i personel techniczny, bez których samolot stawał się jedynie przyjemną ozdobą pokładu startowego lotniskowca.

Szkoda tylko, że niezupełnie zdały egzamin jego założenia taktyczne, lecz pocieszał

się, że wszystkie nowe idee wymagają czasu. Dostrzegł błędy w kilku ze swoich pomysłów, zaś konfiguracje, które zaproponował dowódca jednego z dywizjonów

„Rangera”, niemal się sprawdziły... ba, znacznie nawet usprawniły cały plan. I to też było normalne. To samo dało się powiedzieć o pociskach raketowych Phoenix, których system kierujący działał całkiem przyzwoicie; nie aż tak dobrze, jak obiecywał producent, ale to też w końcu normalka.

Robby był w Centrum Informacji lotniskowca. Nie prowadzono w tym czasie żadnych operacji

lotniczych. Grupa bojowa przerwała manewry z powodu kiepskiej pogody, czekając na wyjaśnienie mające nastąpić za kilka godzin. Gdy mechanicy uwijali się przy maszynach, Robby wraz z wyższymi oficerami obrony powietrznej po raz szósty przeglądał taśmy z manewrami myśliwców. Formacje wroga spisały się na medal, rozpoznając plany obronne „Rangera”, reagując na nie szybko i skutecznie podchodząc doń na odległość rażenia. To, że myśliwce z „Rangera” przypuściły szturm podczas startu wrogich maszyn, na nic się nie zdało. Wszak główny cel operacji bojowej w powietrzu to powstrzymanie maszyn Backfire, gdy zbliżają się do celu.

Taśma pochodziła z rejestracji instrumentów radarowych na pokładzie E-2C Hawkeye, którym Robby leciał w pierwszej akcji, ale sześć razy w zupełności wystarczało.

Nauczył się, czego się miał nauczyć, i uwagę skupiał teraz na czym innym. Oto znów na monitorze pojawił się Intruder, najpierw w objęciach z cysterną, potem w drodze ku Ekwadorowi, by wreszcie zniknąć z ekranu tuż przed dotarciem do wybrzeża. Kapitan Jackson oparł się wygodnie w fotelu podczas trwającej nadal wokół niego dyskusji.

Przewinęli taśmę do przodu na fazę podejścia, ponad godzinę odtwarzali samą bitwę -

a raczej jej nędzną namiastkę, jak z przekąsem zauważył Jackson - a następnie przewinęli kasetę dalej. Dowódcę grupy powietrznej „Rangera” zdenerwowała niefrasobliwość, z jaką jego dywizjony przegrupowały się do powrotu na lotniskowiec.

Zjadliwymi uwagami skwitował kiepską organizację myśliwców kapitan, na którego funkcję już szykował się przecież Robby. Uwagi te były dobrą szkołą, choć niezbyt wybredną w formie. Dyskusja trwała, taśma kręciła się dalej, aż... znowu on, pojawił

się A-6, lecąc z powrotem na lotniskowiec, zrobiwszy co miał zrobić, diabeł wie, co.

Robby wiedział, że to tylko przypuszczenia, a dla zawodowego oficera przypuszczenia nie są bezpieczne. A jednak...

- Panie kapitanie Jackson?

Odwróciwszy się, Robby ujrzał okrętowego kancelistę z kartką na sztywnej tabliczce.

Była to oficjalna wiadomość, którą musiał podpisać, co też uczynił, zanim ją przyjął i przeczytał.

- Co jest grane, Rob? - spytał szef operacji.

- Admirał Painter leci do oficerskiej szkoły marynarki w Monterey i chce, żebym się z nim spotkał właśnie tam, a nie leciał z powrotem do Waszyngtonu. Sądzę, że chce przepytać mnie wcześniej z działania mojej cudownej nowej taktyki - odparł Jackson.

- Nie łam się. Epoletów ci z ramion nie zerwą.

- Do końca tego wszystkiego nie przemyślałem - odrzekł Robby, wskazując na ekran.

- Nikt nie potrafi wszystkiego przewidzieć.

Po godzinie „Ranger” wypłynął ze strefy burzowej. Jako pierwszy startował samolot DNO, który poleciał do Panamy dostarczyć pocztę i załadować parę drobiazgów.

Wrócił po czterech godzinach. Oczekiwał go konsultant, uprzedzony na czas bezpiecznym sygnałem na czystym kanale. Przeczytawszy wiadomość, udał się do kabiny komandora Jensena.

Kopie fotografii zawieziono do Pustelni, lecz najbliższy świadek był przecież w Alexandrii, dokąd Murray postanowił wybrać się osobiście.

Wolał nie pytać, skąd pochodziło zdjęcie. To znaczy wiedział, że pochodzi z CIA i że wykonano je w ramach jakiejś akcji obserwacyjnej, ale do szczegółowych okoliczności nie miał dostępu - tak przynajmniej odpowiedziano by mu, gdyby spytał, czego nie zrobił. Tym lepiej, bo w tym akurat przypadku nie byłby przekonany taką służbową odmową.

Moira czuła się coraz lepiej. Już nie krępowano jej rąk, a leczenia wymagały jedynie skutki uboczne tabletek nasennych. Coś z nerkami, ale kuracja przynosiła poprawę.

Zastał ją siedzącą na łóżku z podnoszonym przez naciśnięcie guzika oparciem.

Skończyły się już godziny odwiedzin - były u niej dzieci, a to, jak sądził Murray, najlepsza dla niej kuracja. Jako oficjalną diagnozę podawano nieumyślne przedawkowanie. Szpital wiedział swoje i nie obyło się bez przecieków, lecz Biuro trzymało się tej wersji wypadku, ponieważ nie zażyła śmiertelnej dawki tabletek. Dwa razy dziennie odwiedzał ją służbowy psychiatra Biura, który również stwierdzał

poprawę. Próba samobójstwa, choć całkiem poważna, dokonana została pod wpływem uczuciowego impulsu, a nie przemyślanej decyzji. Pod troskliwą opieką lekarzy i firmowego psychiatry przyjdzie do siebie i z pewnością powróci całkowicie do zdrowia. Psychiatra sądził również, że to, co zamierzał zrobić Murray, może okazać się pomocne.

- Wyglądasz już o niebo lepiej - zaczął. - Jak dzieciaki?

- Przysięgam, że już nigdy im tego nie zrobię - odpowiedziała Moira. - To czysta głupota i egoizm.

- Powtarzam ci, że wpadłaś pod ciężarówkę. - Murray usiadł na krześle przy łóżku i otworzył brązową kopertę. - Czy go poznajesz?

Wzięła zdjęcie i wpatrywała się w nie przez chwilę. Nie była to bardzo dobra fotografia. Zrobiona z odległości przeszło trzech kilometrów, mimo silnego obiektywu i wzmacniającej obróbki komputerowej, znacznie ustępowała amatorskiemu zdjęciu dziecka podczas zabawy. Ale obraz fotograficzny to coś więcej niż rysy twarzy.

Kształt głowy, fryzura, postawa, sposób trzymania rąk, charakterystyczne pochylenie szyi...

- To on - powiedziała. - Juan Diaz. Gdzieście zrobili zdjęcie?

- Dostaliśmy z innej agencji rządowej - odparł Murray, tak dobierając słowa, by nie powiedzieć nic... nic, co znaczyłoby CIA. - Prowadzili dyskretną obserwację tego czy innego miejsca, nie wiem gdzie, i uzyskali to, co sama widzisz. Podejrzewali, że to właśnie może być nasz koleżka. Jeśli chcesz wiedzieć, jest to pierwsza nasza fotografia Feliksa Corteza, ekspułkownika DGI. Przynajmniej wreszcie wiemy, jak łotr wygląda.

- Złapcie go - rzekła Moira.

- Tak, na pewno go dorwiemy - obiecał jej Murray.

- Wiem, co mnie czeka. Zeznania i cały ten korowód. Wiem, co mi zrobią prawnicy.

Wszystko zniosę, wytrzymam, panie Murray.

Wcale nie przesadza, pomyślał Dan. Nie pierwszy raz zemsta postawiła człowieka na nogi. Reakcję tę Murray przyjął jako pocieszający objaw. Miała jeszcze jeden cel, jeszcze jeden powód do życia. Jego sprawą było dopilnowanie, żeby zemście jej i Biura stało się zadość. Oficjalnie nazywało się to w Biurze retribucją, lecz setki przypisanych do sprawy agentów nie posługiwały się teraz tym terminem.

Jack pojawił się w pracy nazajutrz wcześniej rano, by zgodnie z oczekiwaniami zastać na biurku stertę papierów, z notatką od sędziego Moore'a na wierzchu.

Konwencja kończy się dziś wieczorem - czytał. - Masz rezerwację na ostatni samolot do Chicago. Jutro rano przesłuchasz gubernatora Fowlera. Jest to normalna procedura dla kandydatów na prezydenta. W załączeniu posyłam ci wytyczne rozmowy wraz z egzemplarzem analogicznej oceny kandydatów z kampanii prezydenckiej w 1984 roku.

W dyskusji możesz wykorzystać informacje z nagłówkiem „Zastrzeżone” i „Poufne”, ale nie „Tajne” i wyżej. Muszę dostać twój raport na piśmie przed siedemnastą.

A więc i ten dzień miał z głowy. Ryan zadzwonił do domu i zawiadomił rodzinę, że nie wróci na kolejną noc. Następnie zabrał się do pracy. Rittera i Moore'a będzie mógł

przepytać dopiero w przyszły poniedziałek.

Dowiedział się zresztą, że Ritter pozostanie większą część dnia w Białym Domu.

Postanowił teraz zadzwonić do Bethesdy i sprawdzić, jak się ma admirał Greer oraz poprosić go o radę. Ze zdumieniem dowiedział się, że Greer osobiście sporządził

ostatni tego rodzaju raport. Nie zdziwił się zaś o wiele słabszym niż podczas poprzedniej rozmowy głosem starego admirała. Nie zniknęła zeń radosna nutka, ale ciesząc się z tego, Jack miał jednocześnie wrażenie, jakby olimpijski łyżwiarz dawał

medalowy popis na cienkim, kruchym lodzie.

Rozdział 21

WYJAŚNIENIA

Nie sądził nigdy, że DNO jest najbardziej eksploatowaną maszyną na lotniskowcu. Nic w tym dziwnego i dobrze o tym wiedział, lecz szczegóły pracy pokracznego, wolnego, śmigłowego samolotu niewiele obchodziły pilota, który urodził się w Phantomie-I F-4N i wkrótce przesiadł się o oczko wyżej na Tomcata F-14A. Nie prowadził myśliwca od kilku tygodni; wychodząc do transportowca - oficjalnie zwanego C-2A Greyhound, co określało go niemal trafnie, bo rzeczywiście latał jak pies - obiecał sobie, że przy pierwszej okazji urwie się do Pax River na kilka godzin szaleństwa w prawdziwym samolocie. Czuję potrzebę, szepnął do siebie z uśmiechem. Potrzebę szybkości.

Transportowiec ustawiono do startu z dziobowej, lewej katapulty. Podchodząc do samolotu, Robby znów zobaczył Intrudera A-6E, osobistą maszynę dowódcy dywizjonu. Na zewnątrz pomostu mieścił się wąski kawałek pokładu zwany ogródkiem bombowym, gdzie składowano i przygotowywano uzbrojenie. Było to wygodne miejsce, zbyt małe do parkowania samolotów, a przy tym dość blisko krawędzi pokładu, co umożliwiało wyrzucanie bomb za burtę w razie potrzeby. Bomby transportowano małymi, niskimi wózkami i właśnie gdy wsiadał do transportowca, widział, jak jeden z nich podwozi niebieską, ćwiczebną bombę ku Intruderowi. Do jej korpusu przymocowane były dziwaczne urządzenia naprowadzające.

A więc szykuje się następny próbny zrzut dziś w nocy? Jeszcze jeden powód do radości. Zesłłym razem udało ci się wsadzić bombkę w samą norę, Jensen, pomyślał

Robby. Dziesięć minut później leciał już do

Panamy, gdzie miał przesiąść się na samolot Sił Powietrznych do Kalifornii.

Ryan leciał nad Wirginią Zachodnią pierwszą klasą rejsowego samolotu DC-9 linii American Airlines. Warunki na pokładzie nie umywały się do jego służbowej maszyny Sił Powietrznych, ale obecna podróż nie wymagała takiego luksusu. Towarzyszył mu agent ochrony, do czego Jack powoli się już przyzwyczajał. Tym razem przydzielili mu oficera operacyjnego po wypadku na służbie. Po rekonwalescencji wróci zapewne do operacji. Nazywał się Roger Harris. Miał trzydzieści lat lub coś koło tego i robił

wrażenie całkiem przytomnego faceta.

- Co robiłeś, zanim wstąpiłeś do nas? - spytał go Jack.

- Prawdę mówiąc, proszę pana...

- Mów mi Jack. Aureoli nie dali mi razem z nominacją.

- Trudno uwierzyć, ale trafiłem tu prosto z dzielnicowego posterunku w Newark.

Chciałem spróbować coś bezpieczniejszego, to przyszedłem do was. No i ładnie się zaczęło — zachichotał.

Tylko połowa miejsc w samolocie była zajęta. Ryan rozejrzał się i zobaczył, że nikogo nie ma w pobliżu, a urządzenia podsłuchowe jak zwykle zagłuszał ryk silników.

- Gdzie ci się to stało?

- W Polsce. Spotkanie mi się od razu nie podobało... czułem, że coś jest nie tak i trzeba się zmywać. Mój kontakt zwiął bez kłopotów, a ja popędziłem w drugą stronę.

Dwie przecznice od ambasady przeskoczyłem przez mur. To znaczy, chciałem przeskoczyć. Na ziemi siedział kot, zwykły dachowiec. Nadepnałem na niego, on zamiauczał, a ja potknąłem się i złamałem sobie pieprzone biodro, jak stara baba w wannie. - Smętny uśmiech. - Szpiegowska robota nie taka jak na filmach, co?

Jack skinął twierdząco.

- Kiedyś ci opowiem, jak coś podobnego i mnie się przydarzyło.

- W terenie? - spytał Harris. Wiedział, że Jack jest w wywiadzie, a nie w operacjach.

- Piękna historia. Szkoda, że nikomu nie wolno mi jej opowiadać.

- A co zamierzasz powiedzieć J. Robertowi Fowlerowi?

- To właśnie najśmieszniejsze. Wszystko, co może sam przeczytać w gazetach, ale urzędowej mocy nabiera dopiero, kiedy powie to ktoś z nas.

Podeszła stewardesa. Lot trwał zbyt krótko na posiłek, lecz Ryan zamówił dwa piwa.

- Niestety, nie wolno mi pić na służbie.

- Właśnie dostałeś dyspensę - rzekł Ryan. - Nie lubię pić sam, a zawsze piję podczas lotów.

- Podobno nie lubisz latać - zagadnął Harris.

- Przeszło mi - odparł Jack, niewiele odbiegając od prawdy.

- A więc co się dzieje? - spytał Escobedo.

- Kilka różnych rzeczy - odpowiedział Cortez powoli, z namysłem, tajemniczo, dając eljefe do zrozumienia, że jest jeszcze w lesie, ale wyteżę swój analityczny umysł, by wreszcie znaleźć prawidłową odpowiedź. - Sądzę, że Amerykanie mają w górach dwa, a może trzy oddziały najemników. Plądrują, jak panu wiadomo, niektóre z naszych rafinerii. Wydaje mi się, że liczą tu przede wszystkim na skutki psychologiczne.

Miejscowi chłopci już nie garną się do współpracy z nami. Nietrudno takich ludzi przestraszyć. Jeszcze trochę, a będziemy mieli problemy z produkcją.

- Oddziały najemników?

- To tylko termin techniczny, jefe. Najemnik, jak panu wiadomo, to ktoś, kto służy za pieniądze, lecz określenie to zazwyczaj odnosi się do usług paramilitarnych. Kim naprawdę są? Wiemy, że mówią po hiszpańsku. Mogą to być obywatele kolumbijscy, argentyńscy dysydenci - wiadomo, że Norteameńcanos posłużyli się ludźmi z armii argentyńskiej do szkolenia kontras, prawda? Niebezpiecznymi oficerami z czasów junty. Niewykluczone, że podczas obecnych niepokojów w swojej ojczyźnie postanowili czasowo przejść na żołd Amerykanów. To tylko jedna z wielu możliwości.

Musi pan zrozumieć, że tego rodzaju operacje organizuje się tak, żeby zawsze można było im przekonywająco zaprzeczyć. Obojętnie skąd się wywodzą, mogą nawet nie wiedzieć, że pracują dla Amerykanów.

- Wszystko jedno kim są, ważne, co mamy z nimi zrobić.

- Dopadniemy ich i zlikwidujemy - rzekł stanowczym tonem Cortez. - Potrzebujemy około dwustu uzbrojonych ludzi, ale z pewnością nie jest to dla nas większy problem.

Moi ludzie już przeszukują teren. Muszę uzyskać pańską zgodę na zgrupowanie koniecznej liczby mężczyzn, żeby porządnie przeczesać góry.

- Zgoda będzie. A co z wybuchem u Untiverosa?

- Ktoś władował czterysta kilo bardzo mocnego materiału wybuchowego na tył jego ciężarówki. Sprytna robota, jefe. Z żadnym innym wozem ten numer by nie wyszedł, ale ta ciężarówka...

»

- Si. Każda opona więcej ważyła. Kto to zrobił?

- Na pewno nie Amerykanie ani ich najemnicy - odrzekł stanowczo Cortez.

- Ale...

- Jefe, niech się pan zastanowi - zasugerował Felix. - Kto mógł mieć dostęp do ciężarówki?

Escobedo pogłównował nad tym przez chwilę. Jechali na tylnej kanapie jego przedłużonego mercedesa. Była to stara sześćsetka, wspaniale utrzymana, zupełnie jak nowa. Mercedes-Benz to ulubiona marka dla tych, którzy muszą liczyć się z groźnymi wrogami. I tak ciężki bez dodatków, z łatwością dźwigał jeszcze pięćset kilogramów opancerzenia w ważnych miejscach oraz grube poliwęglanowe okna, zdolne powstrzymać nabój z pistoletu maszynowego kaliber 7,62 mm. Opony wypełnione miał

pianką, nie powietrzem, co umożliwiałoby jazdę po przebicciu -przynajmniej przez jakiś czas. Zbiornik paliwa wypełniony był metalową siatką powietrznorurkową, która wprawdzie nie wykluczała pożaru, zapobiegała jednak bardziej niebezpiecznym wybuchom. Pięćdziesiąt metrów z przodu i z tyłu jechały dwa bmw M3, szybkie i mocne samochody z uzbrojonymi ludźmi, co przypominało do złudzenia przednią i tylną eskortę przywódców państwowych.

- Sądziś, że to ktoś z nas? - spytał Escobedo po minucie rozmyślenia.

- Możliwe, jefe. - Ton Corteza podpowiadał coś więcej niż tylko możliwość. Ostrożnie dozował swoje sugestie, nie spuszczał z oka znaków drogowych.

- Ale kto?

- Odpowiedź na to pytanie jest już pańską sprawą. Ja jestem oficerem wywiadu, nie detektywem. - To że Escobedo dał się nabrać na tak wierutne kłamstwo, świadczyło tylko o jego paranoi.

- A zaginione samoloty?

- Też nie wiadomo - zameldował Cortez. - Ktoś obserwował nasze lotniska, być może paramilitarne oddziały amerykańskie, najprawdopodobniej jednak ci sami najemnicy, którzy siedzą teraz w górach. Chyba dokonali sabotażu na samolotach, całkiem możliwe, że przy pomocy naszych strażników. Przypuszczam, że odchodząc, pozabijali strażników, żeby ich nikt nie sypnął, następnie zaminowali zbiorniki paliwa, stwarzając pozory zupełnie innego przebiegu wypadków. Bardzo zmyślna operacja, ale znalazłoby się odpowiednie wyjście, gdyby nie ten zamach w Bogocie. — Cortez wziął

głęboki oddech. - Zabójstwo Amerykanów w Bogocie było błędem, jefe. Zmusiło bowiem Amerykanów do przejścia

od zaledwie uciążliwej dla nas operacji do działań godzących bezpośrednio w nasze interesy. Skaperowali kogoś z organizacji, realizując własną wolę odwetu poprzez ambicje lub uraz jednego z pańskich wysoko postawionych kolegów.

Cortez mówił cały czas tym samym spokojnym, opanowanym głosem, jakim niegdyś składał raporty przełożonym w Hawanie, niczym nauczyciel do wyjątkowo pojętnego ucznia. Sposobem mówienia przypominał lekarza, a perswazje jego okazywały się nadzwyczaj skuteczne, zwłaszcza gdy przekonywał Latynosów, którzy wprawdzie lubią dyskutować z temperamentem, szanują jednak na zasadzie przeciwieństwa tych, którzy potrafią panować nad uczuciami. Ganiąc Escobedo za śmierć Amerykanów -

Escobedo nie znosił krytyki, Cortez dobrze o tym wiedział, a Escobedo wiedział, że Cortez wie - Felix wzmocnił tylko swą wiarygodność.

- Amerykanie bezmyślnie paplają o tym samym, zapewne, żeby nas zmylić w ten prymitywny sposób, pisząc o wojnach mafijnych w naszej organizacji. Nawiasem mówiąc, publikowanie prawdy, by zaprzeczyć prawdzie to sztuczka wynaleziona przez Amerykanów. Zmyślny sposób, ale posługiwali się nim zbyt często. Być może wydaje im się, że organizacja nie zna tego numeru, ale żaden

fachowiec z wywiadu nie da się na to nabrać. - Cortez improwizował i tę historyjkę zmyślił na poczekaniu... ale, jak sądził, robiła niezłe wrażenie. I odniosła właściwy skutek. Escobedo patrzył przez grube okna limuzyny, roztrząsając tę nową myśl.

- Ciekawe, kto...

- Tego już nie wiem. Może podczas dzisiejszego spotkania z seniorem Fuentesem uda się panom zbliżyć do prawdy. - Cortez z największym wysiłkiem starał się zachować powagę. Mimo wyjątkowego sprytu, mimo całej bezwzględności, eljefe poddawał się manipulacji jak dziecko, jeśli tylko naciśnięto się odpowiednie guziki.

Droga schodziła do najniższego poziomu doliny. Wraz z równoległą linią kolejową biegła wąwozem wydrążonym w skałach przez spływającą z gór rzekę. Cortez zdawał

sobie sprawę, że z czysto taktycznego punktu widzenia znajdowali się w niezbyt dogodnym położeniu. Choć nigdy nie był żołnierzem - nie licząc obowiązkowego w szkolnictwie kubańskim przysposobienia wojskowego - uświadamiał sobie minusy niskiego terenu. Było się z daleka widocznym dla ludzi przebywających na górze.

Znaki drogowe nabrały teraz nowego, złowieszczonego znaczenia. Felix wiedział

wszystko, co trzeba o samochodzie. Limuzyna została dodatkowo wyposażona przez światowej sławy producenta pojazdów opancerzonych, którego pracownicy dokonywali też regularnych jej przeglądów.

Dwa razy w roku wymieniano szyby, ponieważ światło słoneczne zniekształca krystaliczną strukturę poliwęglanu, tym bardziej w pobliżu równika i na dużych wysokościach. Szyby na pewno zatrzymają kulę z pistoletu maszynowego kaliber 7.62, a kevlarowe arkusze w drzwiach i wokół silnika mogły w sprzyjających okolicznościach powstrzymać nawet większe pociski. Mimo wszystko czuł się nieswojo, lecz siłą woli dławił wszelkie widoczne oznaki niepokoju.

- Ale któż to może być...? - spytał znów Escobedo, gdy samochód wziął ostry zakręt.

Czatowało na nich pięć załóg, z których każda składała się z dwóch mężczyzn, strzelca i ładowacza. Obsługiwali zachodniemieckie karabiny maszynowe MG3, niedawno zakupione przez armię kolumbijską, ponieważ pasowały do nich te same naboje NATO

7.62 mm, jakich używano do standardowej broni piechoty, G3, również niemieckiej produkcji. Tych pięć sztuk ostatnio skradziono - ściślej mówiąc, kupiono od pazernego sierżanta zaopatrzeniowca z wojskowego magazynu. Oparty na starym niemieckim karabinie maszynowym MG42, wsławionym w II wojnie światowej, MG3

zachował po swym protoplastacie szybkostrzelność tysiąc dwustu pocisków na minutę -

dwadzieścia na sekundę. Karabiny rozstawione były w pięćdziesięciometrowych odstępach; dwa miały zająć się tylną eskortą, dwa przednią, a tylko jeden mercedesem.

Cortez aż tak bardzo nie ufał opancerzeniu limuzyny. Spojrzał na cyfrowy zegarek.

Czas dokładnie zgadzał się z planem. Escobedo miał doborową grupę kierowców. Ale przecież Untiveros miał doborową grupę służących.

U wylotu lufy każdego z karabinów znajdowała się stożkowata końcówka, zwana tłumikiem płomienia, służąca, wbrew opinii laików, do osłony wzroku samego strzelającego. Ukrycie rozbłysku przed wzrokiem innych jest fizyczną niemożliwością.

Strzelcy otworzyli ogień w tym samym momencie i po prawej stronie drogi ukazało się pięć osobnych, metrowej długości stożków czysto-białego płomienia. Z każdego błysku u wylotu lufy szła linia pocisków smugowych, pozwalająca strzelcom naprowadzać ogień prosto na cel, bez potrzeby używania celowników.

Nikt z pasażerów trzech samochodów nie słyszał odgłosu strzałów, lecz wszyscy słyszeli huk uderzeń o karoserię, przynajmniej ci, którzy doczekali żywi.

Escobedo wyprostował się jak stalowy pręt na widok żółtej linii pocisków przyklepionej do pilotującego bmw M3. Samochód ten nie był tak dobrze zabezpieczony jak jego limuzyna. Tylne światła najpierw zjechały w lewo, potem w prawo, wreszcie samochód wypadł z drogi pod dużym

kątem i przekoziółkował jak zabawka jego syna. Nim do tego doszło, zarówno on, jak i Cortez poczuli uderzenia dwudziestu pocisków o ich własne auto. Odgłos ten przypominał grad walący o blaszany dach. Ale były to stopięćdziesięciogramowe pociski, a nie grad, walące w stal i kevlar, a nie blachę. Jego szofer, dobrze wyszkolony i zawsze w pogotowiu, przez chwilę zarzucał w obie strony tyłem długiego mercedesa, żeby nie wpaść na jadące przed nim bmw, naciskając jednocześnie gaz do deski. Sześciolitrowy silnik mercedesa zareagował błyskawicznie - był również opancerzony - w ciągu sekundy podwajając moc i obroty. Wszystkich pasażerów odrzuciło do tyłu. Escobedo zdążył już obrócić głowę i ujrzeć całą grozę sytuacji.

Wydawało się, że serie celowały mu prosto w twarz, powstrzymywane jakimś cudem przez grube szyby, które, jak zauważył, pękały pod gradem pocisków.

Cortez całym ciężarem ciała rzucił się na Escobedo, zwalając go na podłogę. Żaden z nich nie miał czasu odezwać się słowem. Gdy padł pierwszy strzał, samochód jechał z prędkością stu piętnastu kilometrów na godzinę. Teraz dobijał do stu sześćdziesięciu, uciekając ze strefy ostrzału szybciej, niż strzelcy zdążyli przesunąć linię ognia. Dostał

w sumie ponad czterdziestoma kulami. Po dwóch minutach Cortez podniósł wzrok.

Ze zdumieniem zauważył, że dwa pociski uderzyły w lewe okna od środka. Strzelcy byli nieco za dobrzy; udało im się przestrzelić pancerne szyby. Po przedniej i tylnej eskortie nie zostało ani śladu. Felix wziął głęboki oddech. Oto wygrał najbardziej karkołomną batalię w życiu.

- Skręć w pierwszą boczną drogę! - krzyknął do kierowcy.

- Nie! - zawołał zaraz Escobedo. - Prosto do...

- Głupiec! - Cortez odwrócił do eljefe. - Mamy się nadziać na następną zasadzkę? A skąd oni wiedzieli, że tu nas dopadną? Zjedź jak najszybciej z tej drogi! - wrzasnął

znów do kierowcy.

Szofer, który zdążył poznać się na taktyce zasadzek, nadepnął na hamulec i posłusznie skręcił przy pierwszej sposobności. Zjechał w prawo, ku sieci bocznych dróg łączących miejscowe plantacje kawy.

- Zatrzymaj się w jakimś ustronnym miejscu - rozkazał następnie Cortez.

- Ale...

- Spodziewają się, że uciekamy, a nie, że myślimy. Spodziewają się, że zrobimy dokładnie to, co zalecają wszystkie antyterrorystyczne poradniki. Tylko głupiec działa w przewidywalny sposób - rzekł Cortez, wytrzepując z włosów kawałki poliwęglanu.

Ostentacyjnie zabezpieczył

pistolet i włożył go z powrotem do kabury pod pachą. - Jose, świetnie się spisałeś!

- Straciliśmy oba samochody - zameldował szofer.

- Nie jestem zaskoczony - odparł Cortez. Całkiem szczerze. - Jesus Maria, niewiele brakowało.

Escobedo miał wiele wad, ale tchórzem na pewno nie był. Również i on zauważył

przestrzelone okno, dosłownie parę centymetrów od własnej głowy. Przez samochód przeleciały dwa pociski - utkwily do połowy w szybie. Eljefe wyrwał jedną i podrzucił

ją na dłoni. Była jeszcze ciepła.

- Trzeba porozmawiać z tymi, co montowali okna - rzekł lodowatym tonem Escobedo.

Uświadomił sobie, że Cortez ocalił mu życie. Lecz Cortezowi bardziej imponowało to, że dzięki szybkiemu refleksowi - mimo że spodziewał się ataku, i tak zareagował z niesłychaną szybkością - sam uszedł z życiem. Ostatnią próbę sprawności fizycznej przeszedł dawno temu, jeszcze w DGI. W takich właśnie chwilach nawet najostroźniejsi mogą poczuć się niezwycczeni.

- Kto wiedział, że jedziemy do Fuentesesa? - spytał.

- Muszę... - Escobedo podniósł słuchawkę i zaczął wystukiwać numer. Cortez delikatnie wyjął mu ją z ręki i odwiesił.

- Kto wie, czy nie byłby to poważny błąd, jefe - rzekł spokojnie. -Z całym szacunkiem, senor, ale pozwoli pan, że ja się tym zajmę. To profesjonalna robota.

Cortez jeszcze nigdy nie zrobił na swym szefie tak znakomitego wrażenia, jak w tej chwili.

- Zostanie ci to wynagrodzone - obiecał swemu wiernemu wasalowi. Escobedo wyrzucał sobie, że źle go czasami traktował i, co gorsza, bagatelizował niekiedy jego mądre rady. - Co mamy robić?

- Jose - Cortez zwrócił się do kierowcy - znajdź jakieś wysokie miejsce, z którego widać dom Fuentesesa.

W niespełna minutę szofer znalazł pnącą się pod górę drogę, z której roztaczał się widok na całą dolinę. Zjechał na bok i wszyscy trzej wyszli z auta. Jose zbadał

uszkodzenia limuzyny. Na szczęście nie ucierpiały ani opony, ani silnik. Choć karoseria nadawała się w całości do remontu, samochód zdolny był do jazdy i normalnego manewrowania. Jose darzył mercedesa wielką miłością i choć opłakiwał w duszy jego okaleczenia, pękał jednocześnie z dumy, że samochód i jego własne umiejętności uratowały wszystkim życie.

W bagażniku było kilka karabinów - niemieckie G3, takie same jak w uzbrojeniu armii, lecz zakupione całkiem legalnie - oraz lornetka. Cortez zostawił innym karabiny. Sam wziął lornetkę i nakierował ją na dobrze oświetlony, oddalony o dziesięć kilometrów dom Luisa Fuentesesa.

- Co chcesz zobaczyć? - spytał Escobedo.

- Jefe, jeśli on maczał palce w zamachu, już wie, że mógł się nie udać, a wówczas wokół domu będzie duży ruch. Jeśli zaś nie miał o niczym pojęcia, w domu będzie panował spokój.

- A co z tymi, co do nas strzelali?

- Sądzi pan, że wiedzą, czyśmy się uratowali? - Cortez potrząsnął głową. - Nie, nie będą pewni i najpierw spróbują udowodnić, że zamach się udał, że nasz samochód zdołał jeszcze kawałek się powlec; spróbują więc przede wszystkim nas odnaleźć.

Jose, ile zakrętów zrobiłeś, zanim tu przyjechaliśmy?

- Sześć, señor, a dróg jest tu wiele - odpowiedział szofer. Wyglądał całkiem groźnie z przewieszonym karabinem.

- Rozumie pan, w czym rzecz, jefe? Jeżeli nie mają ogromnej liczby ludzi, nie zdołają sprawdzić aż tylu dróg. Nie mamy przecież do czynienia z policją ani wojskiem. W

przeciwnym wypadku nie zatrzymywalibyśmy się. Taki zamach... nie, jefe, jak nie wyjdzie od razu, to już w ogóle nie wyjdzie. Proszę. - Rozdał szklanki.

Przyszła pora na trochę męskiej zgrywy. Felix otworzył drzwi samochodu i wyciągnął

kilka butelek wody Perrier - szefowi smakowała. Otworzył je, zaczepiając kapsle o dziury po kulach w pokrywie bagażnika i przechylając butelki w dół. Nawet Jose cmoknął z podziwu, a na Escobedo taka nonszalancja zawsze robiła wrażenie.

- Niebezpieczeństwo wywołuje u mnie pragnienie - wyjaśnił Cortez, rozdając pozostałe butelki.

- Na nudę dziś wieczór nie można narzekać - przyznał Escobedo, pociągając łąpczywie.

Czego nie dało powiedzieć się o komandorze Jensenie i jego bombardierze-nawigatorze. Pierwszy raz, jak zawsze, był szczególnym wydarzeniem, ale teraz to już rutyna. Szkopuł w tym, że wszystko szło im cholernie łatwo. Jensen jako dwudziestokilkuletni młodzieniec umykał przed pociskami ziemia-powietrze i ostrzałem z kierowanej radiolokacją broni przeciwlotniczej, wystawiając na próbę swe umiejętności i odwagę w walce z północnowietnamskimi artylerzystami, też niepozabawionymi sprytu i doświadczenia. Obecna misja była tak podniecająca, jak spacer do skrzynki pocztowej, lecz zaraz uświadomił sobie, że przecież pocztą przekazuje się nieraz ważne wiadomości. Operacja przebiegła dokładnie według planu. Komputer uwolnił bombę w przewidywanym czasie i BN

włączył urządzenie naprowadzające. Tym razem Jensen prawym okiem spoglądał na monitor telewizyjny.

- Ciekawe, co też powstrzymało Escobedo? - spytał Larson.

- Może dotarł na miejsce wcześniej? - zastanawiał się Clark, nie odrywając oka od znacznika laserowego.

- Może - przyznał drugi agent terenowy. - Zauważyłeś, że pod domem nie zaparkował tym razem żaden samochód?

- Tak. No ale zapalnik tej bombki nastawiony jest na jedną setną sekundy opóźnienia -

powiedział Clark. - Powinna wybuchnąć w sam raz, gdy doleci do stołu konferencyjnego.

Z tej odległości widok jest jeszcze bardziej imponujący, pomyślał Cortez. Nie widział

spadającej bomby, nie słyszał samolotu, który ją zrzucił - co wydało mu się dziwne - i zobaczył błysk, nim doszedł doń huk. Amerykanie ze swoimi zabawkami, pomyślał.

Potrafia być groźni. Najgorsze, że skądkolwiek czerpali informacje, źródło mieli bardzo, ale to bardzo dobre, a Felix nie miał pojęcia, jak je rozgryźć. Nie dawało mu to chwili spokoju.

- Wygląda na to, że Fuentes nie miał z tym nic wspólnego - rzekł Cortez, jeszcze zanim dosięgnął ich odgłos wybuchu.

- Przecież to my mogliśmy być tam w środku!

- Tak, ale nie było nas. Sądzę, że powinniśmy ruszać, jefie.

- A cóż to? - spytał Larson.

Na oddalonym o pięć kilometrów zboczu ukazały się światła samochodu. Żaden z nich wcześniej nie zauważył wjeżdżającego na obserwowany teren mercedesa.

Koncentrowali się wówczas na celu, ale Clark miał do siebie pretensję, że zapomniał o obserwacji okolicy. Tego rodzaju błąd częstokroć miał fatalne konsekwencje, a on pozwolił sobie na zbagatelizowanie tak poważnego niebezpieczeństwa.

Clark spojrział na samochód przez noktowizor, gdy tylko odwróciły się światła. Był to potężny...

- Jakie auto ma Escobedo?

- Wybierz, co chcesz - odparł Larson. - To tak jak kolekcja koni w Churchill Downs.

Porsche, rollsy, merce...

Ten wyglądał na przedłużoną limuzynę, chyba duży mercedes. Trochę dziwne miejsce na taką gablotę.

Spadamy stąd. Dwie wycieczki do tej studni chyba nam wystarczą. Zwijamy bombowy interes.

Po osiemdziesięciu minutach jazdy ich subaru musiał przyhamować. Na poboczu stała cała kawalkada karetek i wozów policyjnych, a w różowawym świetle migających kogutów pojawiali się i znikali umundurowani funkcjonariusze. Tuż przy szosie leżały przewrócone na bok dwa czarne bmw. Kimkolwiek byli ich właściciele, ktoś ich nie lubił, spostrzegł Clark. Na szosie nie było dużego ruchu, ale tak jak wszędzie, gdzie ludzie jeżdżą samochodami, kierowcy zwalniali, by się wszystkiemu przyjrzeć z bliska.

- Ktoś z nich zrobił sito - zauważył Larson. Clark bardziej fachowo ocenił sytuację.

- Naboje kaliber 7,62 mm. Karabiny maszynowe z bliskiej odległości. Całkiem dobra robota. Te wraki to bmw M3.

- Te wielkie, szybkie? Czyli należały do kogoś z grubą forszą. Czyżbyś przypuszczał...?

- W tym interesie za często się nie przypuszcza. Jak szybko możesz wyniuchać, co się tu stało?

- Dwie godziny po powrocie.

- Dobra.

Policjanci lustrowali przejeżdżające samochody, ale ich nie przeszukiwali. Jeden poświecił latarką na tył subaru. Leżało tam trochę dziwnych rzeczy, ale innych rozmiarów i kształtów niż karabiny maszynowe. Machnięciem ręki pozwolił im jechać dalej. Clark dodał gazu i zaczął snuć przypuszczenia. Czyżby wojna gangsterów, którą chciał sprowokować, już się zaczęła?

Robby Jackson miał dwie godziny przed wejściem na pokład samolotu Sił

Powietrznych C-141B. Na pokład weszło również około sześćdziesięciu żołnierzy w pełnym rynsztunku. Pilot myśliwca spoglądał na nich z rozbawieniem. Właśnie tak zarabiał na życie jego młodszy braciszek. Obok niego usiadł major piechoty, spytawszy o pozwolenie - Jako kapitan marynarki Robby był o dwa stopnie starszy.

- Z której dywizji?

- Siódmej, lekkiej piechoty.

Major starał się jak najwygodniej oprzeć w fotelu. Hełm ułożył sobie na kolanach.

Robby uniósł kapuścianą głowę. Kształtem przypominała niemiecki hełm z drugiej wojny światowej, wykonana była z kevlaru

i pokryta tkaniną maskującą oraz spiętymi zieloną, elastyczną opaską licznymi, powiązаныmi w węzły pasemkami materiału.

- Mój braciszek coś takiego nosi na głowie. Ciężkie cholerstwo. Co to warte?

- Kapuściana głowa? - Major uśmiechnął się z przymkniętymi oczami. -No cóż, kevlar niby powstrzymuje żelastwo, żeby człowiekowi nie rozerwało czachy, a ta szczota na wierzchu rozmazuje kontury, to i łatwiej się skryć w dżungli. Powiedział pan, że ma u nas brata?

- Świeżo upieczony oficerek, drugi porucznik, chyba tak to się u was nazywa, służy w... hm... ninja-coś-tam...

- Trzeci batalion siedemnastego pułku. Pierwsza brygada. Ja dowodzę wywiadem w drugiej brygadzie. A pan?

- Odsiaduję teraz dwa lata w Pentagonie. Latam na myśliwcach, kiedy nie pilotuję biurka.

- Miło tak całą robotę odwalać na siedząco - zauważył major.

- Wcale nie - odrzekł z chichotem Robby. - Spieprzam z Departamentu Obrony, kiedy tylko mam okazję polatać.

- Jasne, panie kapitanie. A co sprowadza pana do Panamy?

- Mamy manewry lotniskowców, kawałek od brzegu. Wysłali mnie, żebym popatrzył.

A pan co tu robi, majorze?

- Szkoleniowa wycieczka z jednym z naszych batalionów. Walka w dżungli i trudnym terenie to nasza specjalność. Bawimy się często w chowanego - wyjaśnił major.

- Partyzantka?

- Taktyka całkiem podobna. Tym razem ćwiczyliśmy operacje zwiadowcze. Trzeba było przedrzeć się na tyły, zebrać informacje, przeprowadzić parę ataków, ot co.

- No i jak poszło?

Major mruknął z niesmakiem.

-Nie tak jak chcieliśmy. Straciliśmy kilku dobrych ludzi z ważnych punktów... wy chyba też macie te kłopoty, co? Ludzie przychodzą i zaraz odchodzą, a na wyszkolenie nowych trzeba trochę czasu. W każdym razie właśnie z oddziałów zwiadowczych straciliśmy kilku dobrych chłopaków, a to nas porządnie osłabiło. Dlatego ćwiczymy nowych - dokończył major. - I tak w kółko.

- U nas jest trochę inaczej. Jak się już rozmieści gdzieś oddział, to rzadko się zdarza, żeby ktoś odszedł przed zakończeniem operacji.

- Zawsze mi się wydawało, że marynarka ma dobrze poukładane w głowie.

- Aż tak źle u was? Brat narzekał, że stracił dobrego... dowódcę drużyny, tak? Ale czy to aż taki powód do zmartwienia?

- Czasami tak. Miałem u siebie chłopaka, nazywał się Munoz, świetnie sobie radził w dżungli i dobry był z niego zwiadowca. Aż tu pewnego dnia zniknął; podobno wzięli go do jakiejś zasranej operacji specjalnej. Facet, który go zastąpił, już nie jest taki dobry. Zdarza się. Trzeba z tym żyć.

Jackson przypomniał sobie nazwisko Munoz, ale nie pamiętał, skąd.

- Jak mam dojechać do Monterey?

- Nie ma sprawy, tuż obok nas. Chce pan się z nami zabrać, kapitanie? Tylko uprzedzam, że u nas nie ma takich wygod jak w marynarce.

- Nam też zdarza się dostawać w kość, majorze. Raz nawet mi, cholera, nie zmienili pościeli przez całe trzy dni. W tym samym tygodniu kazali nam żreć hot dogi na obiad... do końca życia nie zapomnę tego rejsu. Dostaliśmy w dupę jak nigdy. Ale chyba klimatyzację w swoich jeepach macie, nie? - Obaj spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.

Ryan dostał apartament piętro wyżej niż swita gubernatora, zapłacony, jak się okazało, z funduszu kampanii wyborczej, rzecz raczej niecodzienna. Łatwiej było w ten sposób zadbać o bezpieczeństwo. Fowler miał zapewnioną do listopada pełną ochronę osobistą złożoną z funkcjonariuszy Secret Service, a jeśli by wygrał, to również na następne cztery lata. Hotel, bardzo ładny i nowoczesny, miał grube, betonowe stropy, co jednak nie wystarczyło do stłumienia zgiełku odbywających się piętro niżej przyjęć.

Ledwie Jack zdążył wyjść spod prysznic, a usłyszał pukanie do drzwi. Pośpiesznie narzucił wiszący w łazience szlafrok z monogramem hotelu i uchylił drzwi. Stała przed nim zabójczo ubrana kobieta koło czterdziestki - cała w czerwieni, obecnie znów kolorze siły. Nieobeznany z arkanami kobiecej mody, zastanawiał się, na co też wpływać może kolor stroju oprócz widoczności.

- Doktor Ryan? - spytała.

Nie podobał mu się już ton tego pytania, tak jakby był nosicielem zakaźnej choroby.

- Owszem. A z kim mam przyjemność?

- Elizabeth Elliot - odpowiedziała.

- Droga pani Elliot - rzekł Jack. - Ma pani nade mną przewagę. Otóż ja nie mam pojęcia, kim pani jest.

- Jestem asystentem doradcy do spraw polityki zagranicznej.

- No dobrze. Niech więc pani wejdzie.

Ryan otworzył drzwi na oścież i zaprosił ją gestem ręki do środka. Powinien był

pamiętać. Przecież to nie kto inny tylko E.E., profesor nauk politycznych w Bennington, przy której poglądach geopolitycznych Lenin wychodził niemal na Roosevelta. Przeszedł kilka kroków, nim spostrzegł, że kobieta nadal stoi w drzwiach.

- Wchodzi pani czy nie?

- Tak od razu?

Stała jeszcze dobrych dziesięć sekund, nim się odezwała. Jack wycierał dalej ręcznikiem włosy bez słowa, zdumiony wizytą.

- Przecierz wiem, kim pan jest - rzekła buntowniczym tonem. Przeciwno czemu się buntowała, Jack nie miał pojęcia. Tak czy owak,

Jack miał ciężki dzień i wciąż odczuwał skutki różnicy czasu po przylocie z Europy, do której doszła jeszcze godzina po podróży do strefy czasu środkowoamerykańskiego. To po części tłumaczyło jego odpowiedź.

- Przepraszam, ale to pani zaskoczyła mnie, jak wychodziłem spod prysznic. Mam dwoje dzieci i żonę, która, nawiasem mówiąc, też skończyła Bennington. Nie jestem Jamesem Bondem i nie figluję z panienkami. Jeśli chce mi pani coś powiedzieć, to proszę mówić. Miałem ciężki tydzień, jestem wykończony i chcę się wyspać.

- Czy zawsze jest pan taki nieuprzejmy? Rany boskie!

- Pani doktor, jeśli chce pani bawić się z dużymi chłopcami w Waszyngtonie, oto lekcja numer 1: czas jest na wagę złota. Chce mi pani coś powiedzieć, niech pani mówi. Chce pani o coś spytać, niech pani pyta.

- Co, do diabła, robicie w Kolumbii? - huknęła.

- O czym pani mówi? - spytał Jack bardziej opanowanym tonem.

- Dobrze pan wie, o czym mówię. Ja wiem, że pan wie.

- Czy mogłaby pani zatem łaskawie odświeżyć moją pamięć?

- Właśnie wyleciał w powietrze drugi baron narkotykowy - odparła, rzucając nerwowe spojrzenia na korytarz, jakby w obawie, że postronny obserwator mógłby pomyśleć, iż targuje się z kimś o cenę. Rzecz wcale pospolita podczas politycznych konwencji, a E.E. była całkiem atrakcyjna fizycznie.

- Nic mi nie wiadomo, by rząd amerykański czy inny prowadził tego rodzaju operację.

To znaczy, nie mam nic do powiedzenia na interesujący panią temat. Nie jestem wszytkowiedzący. Może mi pani wierzyć lub nie, ale nawet błogosławieństwo pracy w Centralnej Agencji Wywiadowczej nie jest równoznaczne z posiadaniem wiedzy, co dzieje się na każdej skale, w każdej kałuży i na każdej górze na świecie. Co podali w wiadomościach?

- Przecież to pan przede wszystkim powinien wiedzieć - oponowała Elizabeth Elliot.

Teraz ją ogarnęło zdumienie.

- Pani doktor, dwa lata temu napisała pani książkę o naszych przemożnych wpływach.

Przypomniał mi się wówczas stary żydowski dowcip.

Otóż pewien sędziwy Żyd z siola w carskiej Rosji, który miał dwie kury i nędzną szkapę, czytał sobie antysemitki szmatławiec - wie pani, Żydzi to, Żydzi tamto.

Wreszcie podszedł do niego sąsiad i spytał, po co czyta takie rzeczy, a stary mu na to, że przyjemnie dowiedzieć się, jaki jest wszechmocny. Taka też była pani książka, proszę mi wybaczyć: jeden procent faktów, a dziewięćdziesiąt dziewięć inwektyw.

Jeśli chce pani naprawdę dowiedzieć się, co możemy, a czego nie możemy, chętnie opowiem pani, w granicach obowiązującej mnie dyskrecji. Obiecuję, że spotka panią zawód, jaki i mnie spotyka na co dzień. Życzyłbym sobie, abyśmy mieli połowę tej władzy, jaką nam pani przypisuje.

- Ale zabijacie ludzi!

- Ma pani na myśli mnie osobiście?

- Tak!

Może tutaj bolało, pomyślał Jack.

- Owszem, zabijałem ludzi. Kiedyś opowiem pani też o koszmarnych snach. - Ryan umilkł na chwilę.
- Czy jestem z tego dumny? Nie. Czy zadowolony, że to zrobiłem?

Tak. Dlaczego? - spyta pani. Moje życie, życie mojej żony i córki oraz życie innych niewinnych ludzi wisiało wtedy na włosku, toteż zrobiłem to, co musiałem w obronie własnej i obronie tychże ludzi. Pamięta pani te okoliczności, prawda?

Ale to nie interesowało pani Elliot.

- Gubernator chce z panem rozmawiać o ósmej piętnaście. Dla Ryana oznaczało to sześć godzin snu.

- Będę punktualnie.

- Gubernator zapyta pana o Kolumbię.

- Może więc pani zarobić u niego punkty i uprzedzić moją odpowiedź. Nie wiem.

- Jeżeli gubernator wygra wybory...

- Stracę posadę? - Jack spojrzał na nią z pobłażliwym uśmiechem. - To jak ze złego filmu, szanowna pani. Jeżeli wygra pani pryncypał, będzie pani władna mnie zdymisjonować z trudnego, pełnego stresów stanowiska, wymagającego znacznie dłuższej rozłąki z rodziną, niżbym sobie życzył; władna zmusić mnie do życia w komforcie stosownym do moich zarobków sprzed dziesięciu lat; władna skłonić mnie do pisania znów książek historycznych czy wykładania na uczelni, bo po to przecież robiłem doktorat. Pani doktor, widziałem naładowane pistolety maszynowe wycelowane w moją żonę i córkę, i poradziłem sobie z takim zagrożeniem. Jeśli chce pani poważnie mi grozić, to nie zwolnieniem mnie z pracy. Zobaczymy się jutro rano, jak sądzę, ale musi pani wiedzieć, że z gubernatorem Fowlerem będę rozmawiał w cztery oczy. Moje

rozkazy służbowe nie pozwalają na obecność osób trzecich w pokoju. - Jack zatrzasnął

drzwi, przekręcił klucz i zasunął łańcuch. Wypił za dużo piw w samolocie, owszem, ale nikt dotąd nie zalał mu tak za skórę.

Doktor Elliot zeszła po schodach, nie skorzystawszy z windy. W przeciwieństwie do większości członków świąty gubernatora Fowlera, jego główny doradca był całkiem trzeźwy - w ogóle rzadko pił - i już zabrał się ostro do pracy, przygotowując kampanię, która miała rozpocząć się za tydzień, a nie tak jak zwykle dopiero w pierwszy poniedziałek września.

- No i? - spytał panią Elliot.

- Twierdzi, że nic nie wie. Myślę, że kłamie.

- Co jeszcze? - spytał Arnold van Damm.

- Jest arogancki, napastliwy i impertynencki.

- To samo można powiedzieć o tobie, Beth. - Roześmiali się oboje.

Nie darzyli się naprawdę sympatią, lecz kampanie polityczne błogosławią najdziwniejsze związki. Szef kampanii czytał właśnie raport o Ryanie, sporządzony przez kongresmana Alana Trenta, nowego przewodniczącego specjalnej komisji Izby Reprezentantów do spraw nadzoru wywiadu. E.E. nie miała okazji go przejrzeć.

Powiedziała mu, choć wiedział o tym wcześniej (tak jak ona, nie mając jednak pojęcia, o co naprawdę poszło), że Ryan posprzeczał się z Trentem na jakimś przyjęciu i nazwał go pedałem. Trent nigdy nie zapomniał ani nie przebaczył mu tej obelgi. Nie był

też skory do pochwał na wyrost. W swoim raporcie o Ryanie użył jednak słów takich, jak: inteligentny, odważny i uczciwy. A cóż to znaczy, do cholery? - zastanawiał się van Damm.

Zapowiadała się trzecia z kolei spokojna noc, Chavez był tego pewien. Szli od zachodu słońca i właśnie minęli drugi namierzony obiekt - ślady nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości. Odbarwienie gleby od rozlanych kwasów, ubita ziemia, pozostawione śmieci, wszystko świadczyło, że byli tu ludzie i najprawdopodobniej pojawiali się regularnie - ale nie przez dwie ostatnie noce. Ding miał świadomość, że należało się tego spodziewać. Wszystkie podręczniki, wszystkie wykłady w jego wojskowej karierze wyraźnie stwierdzały, że operacje bojowe to obłędna mieszanka nudy i grozy; nudy, bo większość czasu nic się nie działo, grozy, bo „to” mogło zdarzyć się lada chwila. Zrozumiał już, dlaczego żołnierzy w polu ogarnia niekiedy bezwład. Na ćwiczeniach zawsze wiadomo co... wiadomo, że coś się stanie. Armia rzadko marnowała czas na ćwiczenia bez kontaktu. Czas przeznaczony na szkolenie zbyt drogo kosztował. Musiał więc pogodzić się z drażliwym faktem, że prawdziwe operacje bojowe są

mniej fascynujące od ćwiczeń, a przy tym o wiele bardziej niebezpieczne. Ta dwoistość przyprawiała młodego żołnierza o ból głowy.

A bólów miał i tak już dosyć. Co cztery godziny łykał teraz po dwie tabletki tylenolu, aby uśmierzyć bóle mięśni i naciągniętych ścięgien; do tego dochodziło wyczerpanie i nerwowe napięcie. W tak młodym wieku na własnej skórze uczył się, że od nadmiernego wysiłku fizycznego w połączeniu ze stresem psychicznym człowiek starzeje się o wiele szybciej. W rzeczywistości nie był bardziej zmęczony niż urzędnik po cięższym dniu pracy przy biurku, jednakże charakter misji wraz ze szczególnym otoczeniem potęgowały wszelkie doznania. Radość czy smutek, uniesienie czy depresję, lęk czy brawurę, wszystko odczuwało się tu z większą intensywnością.

Słowem, operacje bojowe to nie przelewki. Dlaczego więc... nie, nie to, że lubił, ale...

Chavez otrząsnął się z tych myśli. Rozpraszały tylko uwagę.

I choć nie zdawał sobie z tego sprawy, odpowiedź była prosta. Ding Chavez urodził się frontowym żołnierzem. Tak jak chirurg urazowy nie znajdował przyjemności w oglądaniu okaleczonych ciał ofiar wypadków, tak i Chavez wolałby siedzieć przy barze obok ładnej dziewczyny albo pójść na mecz piłkarski z przyjaciółmi. Ale chirurg wiedział, że jego umiejętności przy stole operacyjnym przesądzają o życiu pacjentów, Chavez zaś wiedział, że jego umiejętności zwiadowcze decydują o losach misji. Tu było jego miejsce. Podczas misji wszystko wydawało się takie przejrzyste... może poza chwilami, gdy tracił pewność siebie, ale nawet to było na swój bardzo dziwny sposób przejrzyste. Wszystkimi zmysłami przeszukiwał drzewa jak radar, odciedzając świergot ptaków i szelest umykającej zwierzyny - chyba że w dźwiękach tych kryła się przydatna dlań wiadomość. Jego umysł stanowił doskonałą równowagę paranoi i pewności siebie. Chavez był amunicją swego kraju. Tyle rozumiał i choć bywało, że się lękał, walczył z nudą, sennością, troszczył się o towarzyszy, był teraz oddychającą, myślącą maszyną, której jedyny cel to zniszczenie wrogów ojczyzny. Praca ciężka, ale był do niej stworzony.

Wciąż jednak nic się tej nocy nie działo. Ślady były stare. Chavez zatrzymał się w zaplanowanym miejscu odpoczynku i poczekał na resztę drużyny. Wyłączył nocne gogle - i tak używało się ich tylko przez jedną trzecią czasu - i napił się wody.

Przynajmniej woda była tu dobra, z czystych górskich potoków.

- Tyle co nic, kapitanie - oznajmił Ramirezowi, gdy dowódca znalazł się przy nim. - Nic nie widziałem, nic nie słyszałem.

- Ślady, ścieżki?

- Tylko sprzed co najmniej dwóch albo nawet trzech dni. Ramirez wiedział, jak określić świeżość śladów, ale bardziej ufał sierżantowi Chavezowi. Odetchnął prawie z ulgą.

- Dobra, zbieramy się do powrotu. Jeszcze dwie minutki na odsapkę i prowadź resztę.

- Tak jest. Panie kapitanie?

- Słucham.

- Na tym terenie chyba nie mamy już nic do roboty.

- Może masz rację, ale dla pewności poczekamy jeszcze kilka dni - powiedział Ramirez.

Po części cieszył się, że od śmierci Rochy nie mieli kontaktu z wrogiem, lecz ta część jego świadomości zagłuszała sygnały alarmowe, które powinien był odbierać. Uczucia podpowiadały mu, że jest dobrze, podczas gdy inteligencja i analiza sytuacji powinny były ostrzec go, że jest źle.

Chavez też niezupełnie wyczuwał groźbę. Z oddalonych krańców świadomości dochodził doń złowieszczy pomruk, jak dziwnie zauważalna cisza przed trzęsieniem ziemi albo pierwsza zapowiedź chmur na czystym horyzoncie. Ding był zbyt młody i niedoświadczony, by dostrzec te sygnały. Owszem, był utalentowany. Był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, jednak zbyt krótko.

Tego też nie wiedział.

Ale obowiązki wzywały. Wyruszył na czele grupy pięć minut później i zaczął wspinać się z powrotem po górskim zboczu, unikając wszelkich przetartych szlaków, obierając inne drogi niż te, którymi dotychczas się posuwali, bacząc na wszelkie bezpośrednie niebezpieczeństwa, niepomny jednak groźby odległej, lecz nie mniej oczywistej.

C-141B wylądował dość twardo, pomyślał Robby, choć żołnierze najwyraźniej nie zwrócili na to uwagi. Większość z nich spała w najlepsze i trzeba ich było budzić.

Jackson rzadko zasypiał w samolotach. Sądził, że to zły nawyk dla pilota.

Transportowiec zwolnił i kołował tak strasznie ślamazarnie, jak myśliwiec w jarzmie ciasnego pokładu lotniskowca. Wreszcie otworzyła się tylna rampa.

- Niech pan idzie razem ze mną, kapitanie - powiedział major. Wstał i dźwignął plecak, ciężki, sądząc po wysiłku właściciela. - Kazałem żonie podrzucić mi mój prywatny samochód.

- A jak wróciła do domu?

- Ktoś ją odwiózł, takie tu zwyczaje - wyjaśnił major. - Dzięki temu możemy z dowódcą batalionu omówić więcej szczegółów ćwiczeń po drodze do Fort Ord.

Wysadzimy pana w Monterey.

- Mogę się z wami zabrać do samego fortu? Zajrzę do braciszka.

- Może być w polu.

- W piątek w nocy? Zaryzykuję. - Prawdziwy powód był jednak taki, że przed rozmową z majorem całe lata nie miał kontaktu z wyższym oficerem wojsk lądowych.

Jako świeżo awansowany kapitan miał teraz ambicję dorobić się admirałkiej flagi. A jeśli chciał dopiąć swego - Robby nie różnił się pod tym względem od innych pilotów myśliwskich, lecz skok od kapitana do kontradmirała (niższa połowa) jest najzdradliwszy w całej marynarce - to poszerzenie nieco horyzontów wiedzy wojskowej nie zawadzi. Będzie miał lepsze kwalifikacje na oficera sztabowego, a po funkcji dowódcy grupy powietrznej lotniskowca, jeśli ją dostanie, powróci przecież za biurko do sztabu.

- Dobra.

Dwugodzinna jazda z bazy Sił Powietrznych Travis do Fort Ord - Ord ma jedynie niewielkie lotnisko, za małe na transportowce - okazała się całkiem pożyteczna i Robby'emu dopisywało szczęście. Po dwóch godzinach wymiany morskich opowiastek na lądowe, dowiedziawszy się rzeczy, o których nie miał dotąd zielonego pojęcia, wpadł na braciszka powracającego z nocnej wyprawy do miasta.

Starszy brat stwierdził, że sofa wystarczy mu do szczęścia. Przyzwyczyił się wprawdzie do lepszych warunków, zmęczenie jednak zrobiło swoje.

Jack zjawił się ze swoim gorylem punktualnie w apartamencie gubernatora. Nie znał

nikogo z personelu ochrony, ale jego wizyta została wcześniej zapowiedziana, a ponadto miał przy sobie przepustkę CIA. Laminowaną legitymację rozmiarów karty do gry ze zdjęciem i numerem, lecz bez nazwiska, miał zwykle zawieszoną wokół szyi na łańcuszku, jak jakiś religijny talizman. Tym razem pokazał ją agentom i schował do kieszeni marynarki.

Odprawa miała odbyć się podczas najbardziej hołubionego przez wszystkie instytucje polityczne posiłku, czyli roboczego śniadania. W hierarchii towarzyskiej nie tak ważne jak lunch, nie mówiąc już o kolacji, śniadania z takiego czy innego powodu uważano za okazje wielkiej wagi. Śniadania były poważne.

Czcigodny J. (nie lubił swego pełnego imienia Jonathan) Robert (mów mi Bob) Fowler, gubernator stanu Ohio, był mężczyzną dobrze po pięćdziesiątce. Podobnie jak urzędujący prezydent, Fowler piastował uprzednio stanowisko prokuratora stanowego i mógł poszczycić się ogromnymi zasługami w umacnianiu prawa. Na opinii człowieka, który oczyścił

Cleveland, zjechał na sześć kadencji do Izby Reprezentantów, ale z tej Izby nie przechodziło się do Białego Domu, a mandaty senatorskie w jego stanie obsadzone były pewniakami. Został więc przed sześciu laty gubernatorem i wedle wszelkich raportów, bardzo skutecznym. Ostateczny cel politycznej kariery wyznaczył sobie dwadzieścia lat wcześniej i oto wreszcie zakwalifikował się do finału.

Był szczupły, mierzył bez mała metr osiemdziesiąt wzrostu, miał piwne oczy i ciemne, przyprószone siwizną na skroniach włosy. I był wycieńczony. Ameryka wiele wymaga od swych kandydatów na prezydenta. Obóz szkoleniowy korpusu marines to pestka w porównaniu z kampanią. Ryan przyjrzał się temu o prawie dwadzieścia lat starszemu od siebie mężczyźnie, który przez ostatnie sześć miesięcy pił zbyt dużo kawy i żywił

się kiepską strawą politycznych obiadów, a mimo to potrafił wykrzesać z siebie uśmiech po każdym głupim dowcipie opowiedzianym przez ludzi, których nie cierpiał

i, co najbardziej zdumiewające, wygłaszać to samo przemówienie nie mniej niż cztery razy dziennie, tak że za każdym razem fascynowało słuchaczy swoją nowością i świeżością. Znał się też tyle na polityce zagranicznej, pomyślał Ryan, ile Jack na teorii względności Einsteina, czyli nie za bardzo.

- Mam chyba przyjemność z panem doktorem Ryanem. - Fowler oderwał się od porannej gazety.

- Tak, bardzo mi miło.

- Przepraszam, że witam pana na siedząco. W zeszłym tygodniu skręciłem nogę w kostce i boli mnie jak jasna cholera. - Fowler wskazał ręką na laskę. Jack nic nie zauważył w porannym dzienniku

telewizyjnym. Fowler przemawiał, akceptując nominację, tańczył po podium... ze spieprzoną kostką. Facet z jajami. Jack podszedł

uścisnąć mu dłoń.

- Podobno pełni pan obowiązki zastępcy dyrektora do spraw wywiadu.

- Pan wybaczy, panie gubernatorze, ale mój oficjalny tytuł to zastępca dyrektora wydziału wywiadu CIA. Oznacza to, że stoję obecnie na czele jednego z głównych wydziałów Agencji. Pozostałe wydziały to: operacji, nauki i technologii oraz administracji. Administracja to wiadomo co. Faceci z operacji zbierają dane starymi metodami; to właśnie prawdziwi szpicle terenowi. Ci zNiT zajmują się programami satelitarnymi i innymi naukowymi sprawami. Chłopcy z wywiadu rozpracowują to, co im zrzucą operacje i NiT. Właśnie tym staram się kierować. Prawdziwym ZDW jest admirał James Greer, który...

- Słyszałem. Przykra sprawa. Podobno wspaniały człowiek. Nawet jego wrogowie twierdzą, że uczciwy. Trudno o lepszy komplement. Może zjemy śniadanie? - Fowler spełniał pierwszy warunek politycznej kariery. Był

sympatyczny. Czarujący.

- Chętnie, panie gubernatorze. Może w czymś pomóc?

- Dziękuję. Dam sobie radę. - Fowler wstał, podpierając się laską. - Służył pan w marines, był maklerem, wykładał historię. Znam pańską przeprawę z terrorystami sprzed kilku lat. Moi ludzie... czy też raczej informatorzy - dodał z uśmiechem, siadając z powrotem do stołu - donoszą mi, że wspinał się pan bardzo szybko po drabinie CIA, ale nie potrafia mi powiedzieć, dlaczego. Prasa też milczy na ten temat.

Trochę mnie to dziwi.

- Mamy jeszcze parę sekretów, panie gubernatorze. Nie wolno mi, niestety, dzielić się z panem wszystkimi informacjami, jakie by zapewne pana interesowały, a i tak przecież musi pan polegać na innych źródłach informacji o mojej osobie. Nie jestem obiektywny.

Gubernator skinął uprzejmie głową.

- Pożarł się pan niezgorzej z Alem Trentem, a mimo to wyraża się o panu tak, że powinien się pan zarumienić. Jak to wytłumaczyć?

- Z tym pytaniem najlepiej zwrócić się do pana Trenta, gubernatorze.

- Co też uczyniłem. Nie chciał mi odpowiedzieć. Nie darzy pana zbytnią sympatią.

- Nie wolno mi o tym rozmawiać. Przykro mi. Jeżeli wygra pan w listopadzie, może pan wówczas się dowiedzieć. - Tłumacz mu tu, że Al Trent pomógł CIA w zorganizowaniu ucieczki na Zachód szefa KGB, aby w ten sposób wyrównać porachunki z ludźmi, którzy zesłali jego bliskiego przyjaciela do

lagru. Nawet gdyby mógł opowiedzieć tę historię, kto by w to uwierzył?

- I wkurzył pan nieźle Beth Elliot wczorajszej nocy.

- Panie gubernatorze, czy mam z panem rozmawiać jak polityk, którym nie jestem, czy jak ktoś, kim jestem?

- Wal prosto z mostu, synu. To jedna z najrzadszych przyjemności człowieka na moim stanowisku. - Tego sygnału Ryan zupełnie nie pojął.

- Pani doktor Elliot zachowywała się arogancko i obraźliwie. Nie lubię, jak ktoś mną pomiata. Może winien jestem jej przeprosiny, ale sądzę, że z wzajemnością.

- Chce twojej dupy, a kampania jeszcze się nawet nie zaczęła. - Tę uwagę wypowiedział ze śmiechem.

- Moja dupa należy do kogo innego, gubernatorze. Pani Elliot może mnie w nią kopać, ale na pewno nie mieć.

- Niech pan, broń Boże, nie kandyduje na publiczny urząd, doktorze Ryan.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale za nic w świecie nie poddałbym się z własnej woli katorgom, jakie muszą znosić ludzie tacy jak pan.

- Jak się panu podoba praca w agencji rządowej? To pytanie, nie groźba - wyjaśnił

Fowler.

- Proszę pana, robię to, co robię, ponieważ uważam, że jest to ważne, a także dlatego, że chyba robię to dobrze.

- Ojczyzna pana potrzebuje? - spytał ironicznie kandydat na prezydenta. Pytanie oszołomiło urzędującego ZDW. - Ciężko wybrać stosowną odpowiedź, prawda? Jeśli odpowie pan przecząco, to nie powinien pan zostać na stanowisku, bo ktoś inny lepiej się na nie nadaje. Jeśli zaś odpowie pan twierdząco, to wyjdzie pan na aroganckiego gówniarza, któremu się wydaje, że nie ma sobie równych. Niech pan to sobie weźmie do serca, doktorze Ryan. To moja lekcja na dzisiaj. Teraz kolej na pańską. Chętnie się dowiem czegoś o świecie, to znaczy o pańskiej wersji świata.

Jack wyjął notatki i mówił ponad godzinę przy ponad dwóch filiżankach kawy. Fowler był wdzięcznym słuchaczem. Zadawał bystre pytania.

- Jeśli dobrze pana rozumiem, twierdzi pan, że nie zna prawdziwych zamiarów Sowietów. Poznał pan pierwszego sekretarza, prawda?

- Cóż... - Ryana zatkało. - Panie gubernatorze, nie mogę... to znaczy dwa razy uścisnęliśmy sobie

dłonie na przyjęciach dyplomatycznych.

- W spotkaniach tych nie poprzestał pan na uściskach rąk, ale nie wolno panu o tym mówić? Ciekawe. Nie jest pan politykiem, doktorze Ryan. Mówi pan prawdę, zanim postanowi kłamać. Jak widzę, świat jest według pana w całkiem dobrej kondycji.

- Pamiętam czasy, kiedy był w znacznie gorszej, panie gubernatorze - powiedział Jack, wdzięczny za zmianę drażliwego tematu.

- Dlaczego więc nie spuścić z tonu, ograniczyć zbrojenia, tak jak proponuję w kampanii?

- Wydaje mi się, że jeszcze na to za wcześnie.

- Mnie nie.

- W takim razie nie zgadzamy się, panie gubernatorze.

- Co się dzieje w Ameryce Południowej?

- Nie wiem.

- Czy to znaczy, że nie wie pan, co tam robimy, czy też nie wie pan, czy robimy tam cokolwiek, czy może wie pan, lecz nie wolno panu o tym mówić?

Poznać prawnika po tej gadce.

- Jak powiedziałem wczorajszej nocy pani Elliot, nic mi na ten temat nie wiadomo.

Mówię prawdę. Zaznaczyłem już, w których kwestiach coś wiem, ale obowiązuje mnie dyskrecja.

- Jestem niezmiernie zdziwiony, zważywszy na pańską pozycję.

- Przebywałem w Europie na konferencji wywiadowczej NATO, kiedy to wszystko się zaczęło, a poza tym jestem specjalistą w sprawach europejskich i sowieckich.

- A co według pana powinniśmy uczynić w związku z zabójstwem dyrektora Jacobsa?

- Ogólnie rzecz biorąc, powinniśmy reagować zdecydowanie na morderstwo każdego naszego obywatela, a zwłaszcza w takim przypadku. Kieruję jednak wywiadem, a nie operacjami.

- Czy w tych zdecydowanych reakcjach mieści się również morderstwo z zimną krwią?

- naciskał Fowler.

- Jeżeli rząd postanowi, że zabicie pewnych ludzi jest stosownym postępowaniem w obronie naszych interesów państwowych, wówczas przecież takie zabójstwo nie podpada pod prawną definicję morderstwa.

- Interesujący pogląd. Proszę mówić dalej.

- Z zasad, na jakich opiera się nasz rząd, wynika, że decyzje takie muszą być podejmowane... muszą odzwierciedlać wolę amerykańskiego społeczeństwa, a raczej wolę, jaką społeczeństwo to wyraziłoby, gdyby posiadało wiedzę dostępną ludziom podejmującym decyzje. Z tego też powodu ustanowiono nadzór Kongresu nad tajnymi operacjami: żeby z jednej strony upewnić się, że operacje są właściwe, z drugiej zaś w celu ich odpolitycznienia.

- Twierdzi więc pan, że tego rodzaju operacje zależą od rozsądnych ludzi, którzy z racjonalnych pobudek postanawiają... popełnić morderstwo.

- To zbyt duże uproszczenie, ale tak.

- Nie zgadzam się. Społeczeństwo amerykańskie jest za karą śmierci, to też zło.

Postępując tak, hańbimy się i zdradzamy ideały naszego kraju. Co pan o tym sądzi?

- Sądzę, że myli się pan, gubernatorze, ale nie ja odpowiadam za politykę rządu.

Dostarczam jedynie rządzącym informacji.

Głos Boba Fowlera przybrał raptem zupełnie nowy ton.

- Żeby nie było wątpliwości. W pełni zasłużył pan na pochlebne opinie, doktorze Ryan.

Jest pan rzeczywiście uczciwy, lecz mimo pańskiego młodego wieku, uważam, że pańskie poglądy noszą piętno przeszłości. Ludzie tacy jak pan współtworzą jednak politykę rządu, choćby poprzez własny wybór kierunków analiz... chwileczkę! -

Fowler uniósł rękę. -Nie kwestionuję bynajmniej pańskiej rzetelności. Nie wątpię, że wywiązuje się pan doskonale ze swoich obowiązków, ale wmawiać mi, że tacy jak pan nie współtworzą polityki rządu, toż to wierutna bzdura.

Ryan poczuł, że oblewa się rumieńcem i próbował zapanować nad sobą, lecz z mizernym skutkiem. Fowler istotnie nie kwestionował jego rzetelności, a jedynie drugą najjaśniejszą gwiazdę w jego osobistej konstelacji - inteligencję. Jack chciał wygarnąć mu, co o tym myśli, ale nie mógł.

- A teraz powie mi pan zapewne, że gdybym wiedział to, co pan wie, myślałbym inaczej, prawda?

- Nie, panie gubernatorze. Tego argumentu nie używam, bo śmierdzi gównem na odległość. Albo mi pan wierzy, albo nie. Mogę jedynie przekonywać pana, ale nie przekonać. Być może czasami się myślę - przyznał, dochodząc do siebie. -Mogę tylko służyć panu najlepiej jak umiem. Pozwoli pan, że i ja przekażę swoją lekcję?

- Proszę.

- Świat nie zawsze jest taki, jakiego byśmy sobie życzyli, ale życzenia go nie zmieniają.

Fowler był rozbawiony.

- Mam więc słuchać pana nawet wówczas, kiedy się pan myli? A jeżeli wiem, że pan nie ma racji?

Tu mogła nastąpić wspaniała filozoficzna dyskusja, lecz Ryan wiedział, kiedy ponosi porażkę. Zmarnował dziewięćdziesiąt minut. Jeszcze ostatnia próba.

- Panie gubernatorze, na świecie są tygrysy. Dane mi było raz patrzeć, jak moja córka walczy w szpitalu ze śmiercią, ponieważ ktoś, kto mnie nienawidził, chciał ją zabić.

Nie podobało mi się to i zaklinałem na wszystko, żeby do tego nie doszło. Ale życzenia na nic się nie zdały. Może doświadczyłem cięższej lekcji. Życzę panu szczerze, by nie spotkało to pana gubernatora.

- Dziękuję. Do widzenia, doktorze Ryan.

Ryan pozbiierał papiery i wyszedł. Tak potraktował go człowiek, który mógł zostać następnym prezydentem kraju. Jeszcze bardziej przygnębiła go własna na to reakcja: skurwysyn. Spełnił w ten sposób życzenie samego Fowlera. Bardzo niemądra myśl.

- Zwijaj się, stary! - zawołał Tim Jackson. Robby na wpół otwartym okiem zobaczył

Tima odzianego w panterkę i ciężkie buty. - Czas na poranny bieg.

- Nie tak dawno zmieniałem ci pieluchy.

- Najpierw mnie złap. Dawaj, za pięć minut masz być gotowy. Kapitan Jackson z uśmiechem spojrzał na młodszego braciszka. Jako

mistrz kendo był przecież w niezłej formie.

- Zobaczysz, dostaniesz tak w dupę, że się nie podniesiesz.

Pycha chodzi przed upadkiem, powiedział sobie kapitan Jackson piętnaście minut później. Już wolałby upadek. Gdyby upadł, mógłby chwilę odpocząć. Widząc, że brat się śłania, Tim zwolnił tempo.

- Wygrałeś - wykrztusił Robby. - Już ci nie będę więcej zmieniał pieluch.

- Coś ty, nie zrobiliśmy nawet trzech kilometrów.

- Lotniskowiec ma tylko trzysta metrów długości!

- Mowa. I założę się, że stalowy pokład źle działa na kolanka. Daj już sobie spokój, wracaj do chałupy i przygotuj śniadanko, panie kapitanie. Ja muszę zasuwać jeszcze trzy kilometry.

- Tak jest, panie poruczniku. - Gdzie są moje kije kendo? - pomyślał Robby. W tej konkurencji potrafię mu jeszcze dać w dupę!

Dopiero po pięciu minutach Robby trafił do właściwego budynku kwater kawalerskich.

Minął po drodze sporo oficerów wyruszających albo wracających z porannych biegów i po raz pierwszy w życiu poczuł się stary. Cóż za pomysł. Był przecież jednym z najmłodszych kapitanów w marynarce i wciąż wspaniałym pilotem myśliwców. Umiał

też przygotować śniadanie. Po powrocie z treningu Tim zastał nakryty stół.

- Nie łam się, Rob. Ja z tego żyję. Nie umiem za to latać samolotami.

- Zamknij się i wypij sok.

- Gdzie, do diabła, byłeś?

- Na pokładzie „Rangera”, to lotniskowiec, chłopcze. Obserwowałem manewry u wybrzeży Panamy. Mój szef przylatuje dziś po południu do Monterey i mam się tam z nim spotkać.

- Byłeś tam, gdzie wybuchają bomby - powiedział Tim, smarując tost.

- A co, znów coś wybuchło wczoraj w nocy? - spytał Robby. To by się zgadzało.

- Chyba rąbnęliśmy kolejnego pana z kartelu. Aż miło patrzeć, jak CIA albo czort wie komu wyrosła wreszcie para jaj. Chciałbym tylko wiedzieć, jak chłopcy wrzucają im te bomby.

- O co ci chodzi? - spytał Robby. Coś było nie w porządku.

- Rob, przecież wiem, co jest grane. Tam przecież są nasi ludzie.

- Tim, nie wiem, o czym mówisz.

Podporucznik Timothy Jackson pochylił się nad stołem w konspiracyjny sposób, charakterystyczny dla młodszych oficerów.

- Dobra, stary, wiem, że to tajemnica i tak dalej, ale czy trzeba geniusza, żeby to wyglówkować? Posłali tam jednego z moich ludzi. Popatrz, stary. Jeden z moich najlepszych sierżantów znika, nie pojawia się tam, gdzie go niby odkomenderowali i gdzie przebywa w przekonaniu

armii, na miłość boską! Mówi po hiszpańsku. Tak samo inni, którzy się dziwnie odmeldowali: Munoz ze zwiadu, Leon i jeszcze o dwóch słyszałem. Wszyscy mówią po hiszpańsku, jasne? I nagle, ni stąd, ni zowąd, wybucha afera w krainie bananów.

Wystarczy postukać się w łeb.

- Mówiłeś komuś o tym?

- A po cholere? Martwię się trochę o Chaveza. To jeden z moich ludzi i szkoda mi go, ale to cholernie dobry żołnierz. Jeśli o mnie chodzi, to niech sobie wybije tyłu handlarzy, ilu mu się podoba. Chciałbym tylko wiedzieć, jak zrobili te bomby. Może mi się to kiedyś przydać. Chciałbym przejść do operacji specjalnych.

Bomby zrobiła marynarka, Timmy, prawie wyrwało się Robby'emu.

- Dużo się o tym mówi?

- O pierwszym wybuchu to wszyscy myśleli, że dobra robota, ale o udziale naszych ludzi? No, może i znajdzie się kilku takich, co myślą podobnie jak ja, ale o takich pierdołach się głośno nie gada. Dyskrecja, co?

- Zgadza się, Tim.

- Znasz chyba tego faceta z Agencji, nie?

- Niby tak. Jestem ojcem chrzestnym Jacka juniora.

- Możesz mu od nas powiedzieć: zabijcie, ilu chcecie.

- Dobrze — odrzekł cicho Robby.

Musiała to być operacja Agencji. Bardzo czarna operacja, ale nie aż tak czarna, jakby sobie Agencja życzyła. Jeżeli taki smarkacz ledwie rok po akademii skapował, w czym rzecz... Załoga „Rangera”, szefowie personelu i podoficerowie w całej armii... wielu ludzi musiało się już domyślać. A nie wszyscy, którzy słyszeli te rozmowy, staną po właściwej stronie.

- Posłuchaj dobrej rady. Jak usłyszysz, że ktoś papla na ten temat, powiedz, żeby się lepiej zamknął. Bo jak rozniesie się plotka o takiej operacji, zaczną znikać ludzie.

- Coś ty, Robby, niech tylko taki podskoczy Chavezowi i Munozowi, to...

- Słuchaj, chłopcze! Ja tam byłem. Strzelali do mnie z karabinów maszynowych, a za moim Tomcatem raz leciał pocisk raketowy, o mało nie zginął mój najlepszy oficer radarowy. Tam jest niebezpiecznie i za gadanie się umiera. Pamiętaj. To już nie szkółka, Tim.

Tim zastanowił się chwilę. Brat miał rację. Brat również zachodził w głowę, co z tym fantem zrobić, jeśli w ogóle. Może powinien siedzieć cicho, ale przecież był pilotem Tomcata, człowiekiem czynu, nie z tych, co siedzą i nic nie robią. Jeśli już nic więcej nie może, powinien przynajmniej

ostrzec Jacka, że zabezpieczenie operacji nie jest takie szczelne jak powinno być.

NIEDYSKRECJE

W przeciwieństwie do generałów lotnictwa i wojsk lądowych, większość admirałów marynarki nie ma do dyspozycji osobistych samolotów i przeważnie korzystają z pasażerskich linii lotniczych. Samopoczucie poprawia im za to czekająca wiernie u wyjścia świta asystentów i szoferów, a Robby Jackson także nie wzgardził

dotatkowymi punktami u swego szefa i zjawił się tego wieczoru na lotnisku San Jose w sam raz, kiedy 727 podkołował do rękawa. Musiał poczekać, rzecz jasna, aż najpierw wyjdą pasażerowie pierwszej klasy, albowiem nawet admiralicja podróżuje drugą.

Wiceadmirał Joshua Painter był obecnym asystentem szefa operacji marynarki do spraw lotnictwa morskiego, dla wtajemniczonych znanym pod służbowym symbolem OP-05 lub po prostu 05. Jego awans na trójgwiazdkowy stopień graniczył z cudem.

Painter był, po pierwsze, uczciwym człowiekiem; po drugie, mówił, co myśli; po trzecie, uważał, że miejsce prawdziwej marynarki jest na morzu, a nie nad Potomakiem; i wreszcie rzecz najbardziej go dyskwalifikująca, był najrzadszym okazem spośród oficerów marynarki, bo napisał książkę. Marynarka nie zachęca swoich oficerów do przelewania myśli na papier, z wyjątkiem wypocin na temat termodynamiki albo zachowania się neutronów w komorze reaktora. Ten intelektualista, indywidualista i wojownik w szeregach coraz bardziej antyinteligentnej, konformistycznej i biurokratyzowanej formacji uważał się za odszczepieńca w tym, co z dnia na dzień przeobrażało się w Korporację Marynarki Wojennej. Painter pochodził ze stanu Vermont, był kostycznym, zgryźliwym mężczyzną niskiego wzrostu i wątłej budowy, o matowych, niemal bezbarwnych niebieskich oczach i tak ostrym języku, że mógłby ciąć granit. Był również żywym bóstwem braci lotniczej. Wylatał ponad czterysta misji nad Wietnamem Północnym, na kilku różnych modelach Phantoma F-4 i miał na koncie dwa MIGi - boczna płyta kadłuba z dwoma czerwonymi gwiazdami wisiała w jego gabinecie w Pentagonie z podpisem: sidewinder to

znaczy nie trzeba przeproszać. Ten perfekcjonista i nader wymagający szef nade wszystko przedkładał jednak dobro swoich podwładnych.

- Widzę, że dotarła do ciebie wiadomość - zauważył Josh Painter i palcem poklepał

nowiutkie pagony Robby'ego.

- Tak jest.

- Doszły mnie też słuchy, że twoja nowa taktyka okazała się niewypałem.

- Mogło być trochę lepiej - przyznał kapitan Jackson.

- Tak, zawsze to trochę lepiej, jeżeli lotniskowiec nie pójdzie na dno. Może funkcja dowódcy grupy powietrznej utwierdzi cię w tym przekonaniu. Właśnie podpisałem twoją nominację - oznajmił OP-05. - Dostaniesz Szóstą Grupę. Przenosi się na „Abe Lincoln” na czas remontu „Indy”. Moje

gratulacje, Robby. Staraj się nie nawalać przez następnych osiemnaście miesięcy. Co właściwie nie wypaliło podczas manewrów? - spytał po drodze do czekającego samochodu.

- „Rosjanie” kantowali - odparł Robby. - Chytrze pograli. Uwagę tę szef skwitował

śmiechem. Mimo swej oschłości, Painter

miał poczucie humoru. Na dyskusji upłynął czas jazdy do kwater admiralicji Akademii Marynarki Wojennej w Monterey na kalifornijskim wybrzeżu.

- Masz jakieś nowe wiadomości o tych bydlakach z Medellin? - spytał Painter, gdy jego adiutant wnosił bagaże.

- Nieźle dajemy im popalić, prawda? - zauważył Jackson. Admirał stanął jak wryty.

- O co ci chodzi, do cholery?

- Wiem, że nie powinienem nic wiedzieć, panie admirale, ale... po prostu byłem tam i chcąc nie chcąc, widziałem, co się dzieje.

Painter zaprosił Jacksona do środka.

- Sprawdź, co jest w lodówce. Nalej mi martini, a sobie, co chcesz, ja tymczasem wypompuję zęzę.

Robby przygotował wszystko jak należy. Ktokolwiek wyposażył kwatery, dobrze wiedział, co Painter pija. Jackson otworzył sobie piwo Miller Lite.

Painter wrócił bez mundurowej koszuli i łyknął ze swojego kieliszka. Następnie odprawił adiutanta i przyjrzał się bacznie Jacksonowi.

- Proszę mi powtórzyć, co pan powiedział przed wejściem, kapitanie.

- Panie admirale, wiem, że nie mam upoważnienia, ale też nie jestem ślepy. Widziałem na radarze, jak A-6 leciał w kierunku wybrzeża i nie wierzę, że to przypadek. Ludzie odpowiedzialni za utajnienie operacji mogli się lepiej spisać.

- Jackson, musisz mi wybaczyć, ale przeleciałem pięć i pół godziny, siedząc za blisko silników w starym, zdezelowanym 727. Chcesz mi powiedzieć, że te dwie bomby, które załatwiły handlarzy narkotyków, zostały zrzucone z jednego z moich A-6?

- Tak jest. Pan o tym nie wiedział?

- Nie, Robby. Nie wiedziałem. - Painter wypił do dna i postawił kieliszek. - Chryste Panie. Co za kretyn wymyślił tę poronioną operację?

- Ale ta nowa bomba... przecież musiała... rozkazy musiały... cholera, przecież rozkazy na coś takiego muszą przejść przez 05.

- Jaka znów nowa bomba? - Painter ledwie stłumił krzyk, lecz zaraz się opanował.

- Z jakiegoś tworzywa, włókna naturalnego, chodzi o nowy korpus. Wygląda jak zwykła, niskooporowa tonówka z urządzeniem naprowadzającym, tylko nie ze stali ani innego metalu i pomalowana jest na niebiesko jak bomba ćwiczebna.

- No tak. Rzeczywiście prowadzono prace nad bombą o niskiej wykrywalności dla ATA. - Painterowi chodziło o samolot szturmowy o niskiej wykrywalności typu Stealth, nad którym pracowała marynarka. - Ale przecież przeszła dopiero wstępne próby, do cholery, może kilkanaście zrzutów. Cały program jest w stadium eksperymentalnych testów, nawet bez ładunku wybuchowego, a i tak prawdopodobnie każę wywalić projekt do sracza, bo nie wart jest ogromnych kosztów. Bomby jeszcze nawet nie wyszły z China Lake.

- Panie admirale, kilka z nich znajdowało się w zbrojowni na „Rangerze”. Widziałem je na własne oczy, dotykałem własnymi rękami. Jedną taką bombę widziałem podwieszoną pod A-6. Obserwowałem go na radarze, lecąc w E-2 podczas manewrów. Odleciał w kierunku lądu i wrócił z innego kierunku. Zbieżność czasów mogła być przypadkowa, ale dużej forsy na to bym nie postawił. W nocy przed samym odlotem widziałem znów taką bombę podwieszoną do tego samego samolotu. A nazajutrz słyszę, że kolejnemu facetowi z kartelu dom wyleciał w powietrze. Jasna sprawa, że pół tony kruszącego materiału wybuchowego zupełnie wystarczy do tego, a po palnym płaszczu bomby nie zostanie ani śladu.

- Do tych bomb ładuje się prawie pięćset kilogramów octolu. - Painter mruknął z niesmakiem. - Wystarczy, żeby załatwić dom. Wiesz, kto pilotował A-6?

- Roy Jensen, komandor...

- Znam go. Pływaliśmy razem na... Robby, co się tu dzieje, do jasnej cholery?

Opowiedz mi wszystko dokładnie od samego początku, wszystko, co widziałeś.

Kapitan Jackson skwapliwie spełnił prośbę. Zajęło mu to całe dziesięć minut.

- Kto przysłał konsultanta? - spytał Painter.

- Nie pytałem, panie admirale.

- O ile się zakładamy, że już go nie ma na pokładzie? Wrobili nas, synu. Mnie wrobili.

Niech to szlag! Rozkazy powinny były przejść przez mój gabinet! Ktoś wykorzystał

moje zasrane samoloty, nie pytając mnie nawet o zdanie.

Tu nie chodziło już o samo bombardowanie, zrozumiał Robby, ale zachowanie hierarchii. I tajemnicy wojskowej. Gdyby misję planowała marynarka, nie byłoby takich problemów. Painter wraz ze swoim specjalistą od A-6 już by się postarali, żeby postronnym osobom, takim jak Robby w E-2C, nie dać powodów do domysłów.

Admirał najzwyczajniej w świecie obawiał się teraz, że jego ludzie będą świecili oczami za operację narzuconą z góry, z pominięciem obowiązującej drogi służbowej.

- Sprowadzić tu Jensena? - zastanowił się na głos Robby.

- Myślałem o tym. Zbyt oczywiste. Mógłbym go wpakować w tarapaty. Muszę się dowiedzieć, od kogo dostał rozkazy. „Ranger” zostaje w morzu jeszcze z dziesięć dni, tak?

- Chyba tak, panie admirale.

- To robota Agencji - rzekł ściszym głosem Josh Painter. - Autoryzowana jeszcze wyżej, ale na pewno zlecona Agencji.

- Nie wiem, czy to coś da, ale mam tam wysoko postawionego przyjaciela. Jestem ojcem chrzestnym jego dzieciaka.

- Kto to taki?

- Jack Ryan.

- A, tak, poznałem go. Był ze mną dzień czy dwa na „Kennedym”, kiedy... na pewno pamiętasz ten rejs, Rob. - Painter uśmiechnął się. - Zaraz potem trafili cię tym pociskiem. Wtedy już był na HMS „Invincible”.

Co? Jack był wtedy na pokładzie? Ale... dlaczego, u diabła, nie skontaktował się ze mną?

- Nie miałeś nawet pojęcia, o co chodziło w tej operacji, prawda? - Painter pokręcił

głową na wspomnienie afery z „Czerwonym Październikiem”. - Może on ci o tym opowie. Ja nie mogę.

Robby przyjął dyskrecję szefa ze zrozumieniem i powrócił do tematu.

- Operacja ma również swoją stronę lądową, panie admirale - powiedział i wyjaśniał

przez następnych parę minut.

- Sylwia z Marysią - skwitował relację Jacksona admirał. Była to grzeczna wersja wyrażenia określającego źle przygotowaną i zgubną w skutkach operację: syf z malarią. - Robert, zapieprzaj pierwszym samolotem do Waszyngtonu i powiedz swojemu przyjacielowi, że jego operacja śmierdzi na kilometr.

Cholera, czy te bałwany z Agencji nigdy się nie nauczą? Jeśli to gówno wypłynie na wierzch, a z tego, co mówisz, wynika, że już wypływa, to źle na tym wyjdziemy. Źle na tym wyjdzie cały kraj. Tylko nam brakowało tego smrodu, zwłaszcza teraz, przed wyborami, świetny prezent dla tego kutasa

Fowlera. Powiedz mu też, że jeśli już Agencja chce pobawić się w wojnę, to może warto czasami spytać się najpierw o radę facetów, którzy się na tym trochę znają.

Kartel miał na zawołanie wielu ludzi przywykłych do noszenia broni, toteż udało się ich skrzyknąć w ciągu zaledwie kilku godzin. Cortez został upoważniony do dowodzenia całą operacją. Postanowił koordynować akcję z wioski Anserma, znajdującej się w samym środku terytorium, na którym działały grupy najemników. Nie zdradził szefowi wszystkiego, co wiedział, ani nie odkrył przed nim prawdziwego celu operacji. Siła kartelu brała się ze zgodnej współpracy. Limuzynami, ciężarówkami i autobusami zwieziono bez mała trzystu hardych i obytych z przemocą ludzi ze świty wszystkich kacyków kartelu. Ich obecność tutaj zmniejszyła liczebność ochrony osobistej pozostałych szefów, co znacznie ułatwiało Escobedo śledztwo, który z jego kolegów chce przechwycić władzę, podczas gdy Cortez zajmował się najemnikami.

Miał szczery zamiar unieszkodliwić amerykańskich żołnierzy i wybić ich do nogi, ale z tym nie musiał się spieszyć. Felix ani przez chwilę nie wątpił, że ma do czynienia z elitarnymi oddziałami, może nawet słynnymi Zielonymi Beretami, niezwykle groźnym przeciwnikiem, którego darzył należnym szacunkiem. Licząc się więc ze stratami w swoich szeregach, ciekaw był, ilu żołnierzy musi poświęcić, by zmienić całkowity bilans sił wewnątrz kartelu na własną korzyść.

Zebranej cizbie nie musiał nic mówić. Ci nieokrzesani, brutalni mężczyźni z lubością wymachiwali bronią wzorem japońskich samurajów z marnych filmów, które tak lubili oglądać, i tak jak aktorzy ucharakteryzowani na zabójców, ludzie ci przywykli, że inni płaszcą się przed nimi, wszechwładnymi, niepokonanymi wojownikami kartelu, uzbrojonymi w karabinki AK-47, pogromcami z wiejskich uliczek. Komiczna zgraja, pomyślał Cortez.

Cała sytuacja stawała się zaiste komiczna. Cortezowi w to graj. Szykowało się przezabawne, rozrywkowe polowanie, żywcem przeniesione sprzed wieków, kiedy to osaczano w gawrze niedźwiedzia i szczuto nań

psy. W końcu niedźwiedź zdychał i choć psy też rzadko wychodziły z tego cało, zawsze znalazło się przecież nową sforę. Nowe psy tresowało się inaczej, by służyły nowemu panu... Cudownie, doszedł zaraz do wniosku Cortez. On rzuci do tych igrzysk ludzi zamiast niedźwiedzi i psów, igrzysk wskrzeszonych po raz pierwszy od czasów rzymskich cesarzy. Zrozumiał już, dlaczego niektórzy narkotykowi bonzowie stali się tacy, jacy są. Taka boska niemal wszechmoc zżera człowiekowi duszę. Będzie musiał o tym pamiętać. Ale najpierw trzeba było się wziąć do roboty.

Została ustalona hierarchia służbowa. Żołnierzy podzielono na pięć grup po około pięćdziesięciu ludzi i każdej przypisano określony obszar penetracji. Z bezpiecznie położonego w oddali domu Cortez miał koordynować łączność radiową. Jediną komplikację stanowiła potencjalna interwencja kolumbijskiej armii. Tym zajmował się sam Escobedo. M-19 i FARC zaczną harcować na innym terenie. Armia będzie miała co robić.

Żołnierze, jak rychło przywykli się nazywać, odjechali ciężarówkami w góry. Buena serte - pożegnał Cortez ich przywódców: Szczęścia. Nie traktował tych życzeń poważnie. Szczęście już nie odgrywało żadnej roli w tej operacji, co było po myśli ekspułkownika DGI. W dobrze zaplanowanej operacji szczęście jest czynnikiem zbędnym.

W górach dzień upływał spokojnie. Chavez słyszał rozbrzmiewające echem po całej dolinie kościelne dzwony, wzywające wiernych na niedzielną mszę. Czyżby była niedziela? - zastanawiał się. Stracił rachubę czasu. Tak czy owak, na szosie panował

mniejszy niż zwykle ruch, sądząc po odgłosach. Poza stratą Rochy wszystko układało się dobrze. Nie zużyli nawet dużo amunicji, a za kilka dni spodziewali się nowego zrzutu ze wspierającego operację helikoptera. Amunicji nigdy nie ma za wiele. Tej prawdy Chavez zdążył się nauczyć. Szczęście to pełna ładownica. I pełna manierka. I gorący posiłek.

Dzięki szczególnej topografii doliny, hałasy roznosiły się na dużą odległość i pod górę, z minimalnym wytłumieniem, a powietrze, choć rozrzedzone, nadawało każdemu dźwiękowi metaliczną przejrzystość. Chavez już z daleka usłyszał ciężarówkę i skierował lornetkę na oddalony o kilka kilometrów zakręt szosy. Nie miał

najmniejszych obaw. Wszak ciężarówka były tylko celami i nie należało się nimi przejmować. Nastawił lornetkę na jak najostrzejszy obraz, a i bez tego sierżant miał

doskonały wzrok. Po upływie około minuty dostrzegł trzy ciężarówka z płaskimi naczepami i zdejmowanymi, drewnianymi bokami, takie jakich używali rolnicy. Ale te przewoziły ludzi, ludzie ci mieli chyba broń.

Ciężarówka zatrzymały się i ludzie wyskoczyli. Chavez klepnął śpiącego towarzysza.

- Oso, idź szybko po kapitana!

Za niespełną minutę przybył Ramirez z własną lornetką.

- Pan stoi! - Jęknął Chavez. - Padnij, do kurwy nędzy!

- Przepraszam, Ding.

- Widzi pan ich?

- Tak.

Zrazu widzieli niewyraźne kłębowisko ludzi, ale nie sposób było nie zauważyć, że mieli przewieszane przez ramiona karabiny. Wkrótce podzielili się na cztery grupy i zaczęli schodzić z szosy. Po chwili zniknęli za drzewami.

- Zanim tu dotrą, upłynie ze trzy godziny, kapitanie - oszacował Ding.

- W tym czasie przejdziemy dziesięć kilometrów na północ. Przygotuj się do wymarszu.

Ramirez nastawił radio satelitarne.

Zmienna, tu Nóż, odbiór. - Dostał odpowiedź za pierwszym razem.

- Nóż, tu Zmienna. Słyszać was głośno i wyraźnie. Odbiór.

- Nóż melduje, że do lasu, osiem kilometrów na wschód-południo-wschód od naszej pozycji, wchodzi grupa uzbrojonych ludzi. W sile wzmocnionego plutonu, maszerują w naszym kierunku.

- Czy to żołnierze? Odbiór.

- Nie. Powtarzam, nie. Widać broń, ale brak mundurów. Powtarzam, nie mają na sobie mundurów. Przygotowujemy się do opuszczenia pozycji.

- Zrozumiałem, Nóż. Odejdźcie natychmiast, zameldujcie się, kiedy będziecie mogli.

Postaramy się dowiedzieć, co się dzieje.

- Tak jest. Bez odbioru.

- O co tu chodzi? - spytał jeden z oficerów sztabowych.

- Nie mam pojęcia. Szkoda, że nie ma tu Clarka - rzekł drugi. - Trzeba sprawdzić w Langley.

Jacksonowi udało się złapać nocny lot linii United z San Francisco bezpośrednio na Lotnisko Dullesa w Waszyngtonie. Dzięki telefonowi admirała Paintera na lotnisku czekała już na niego limuzyna marynarki

wojennej, która zawiozła go na lotnisko krajowe, gdzie zaparkował swojego chevroleta corvette i ze zdziwieniem stwierdził, że nikt mu go nie ukradł. Podczas lotu odtwarzał w myślach całą sprawę, tam i z powrotem. Jeśli spojrzeć na to abstrakcyjnie, operacje CIA wydawały się całkiem zabawne: skradający się po zakamarkach świata szpiegowie ze swoimi tajnymi, cholera wie jakimi, zadaniami. Nie miał nic przeciwko i tej misji, tylko że wykorzystywali marynarkę, a tego się nie robi bez powiadomienia ludzi.

Najpierw pojechał do domu przebrać się. Potem zadzwonił.

Ryan cieszył się pobytem w domu. Dotarł na miejsce w piątek wieczorem, kilka minut przed powrotem żony z kliniki, i do późnego sobotniego ranka odsypiał nerwowe dni i przeskoki przez strefy czasowe. Resztę dnia poświęcił na zabawę z dziećmi, a wieczorem wybrał się z nimi do kościoła na mszę, żeby nie wstawać w niedzielę wcześniej rano; wreszcie chciał też odświeżyć znajomość ze swoją żoną. Teraz siedział

na siodełku pokaznej kosiarki do trawy. Był wprawdzie jedną z grubych ryb w CIA, sam jednak kosił trawnik. Inni siali i nawozili, ale sielankowa czynność koszenia działała na Jacka jak najlepsza terapia. Oddawał się temu trzygodzinnemu rytuałowi co dwa tygodnie - nieco częściej wiosną, ale teraz przyrost trawy obniżył się już do znośnego poziomu. Lubił zapach ściętej trawy, a także oleisty zapach silnika kosiarki i drgania motoru. Nie mógł sobie pozwolić na całkowitą ucieczkę od rzeczywistości.

Miał przypięty do pasa przenośny telefon, którego elektroniczny sygnał przebijał się przez warkot

maszyny. Jack zgasił motor i przycisnął guzik na słuchawce.

- Halo.

- Jack? Mówi Rob.

- Co słychać, Robby?

- Właśnie przyszyli mi czwarty pasek.

- Moje gratulacje, kapitanie Jackson! Czy aby nie jest pan za młody na takie honory?

- To część zakrojonej na wielką skalę akcji, mającej na celu zrównanie skrzydlatych istot z płazami. Słuchaj, Sissy i ja wybieramy się do Annapolis. Moglibyśmy wpaść do was na chwilę po drodze?

- Jasne. Zjecie z nami lunch?

- Nie chcielibyśmy sprawiać wam kłopotu.

- Robby, daj spokój - odpowiedział Jack. - Od kiedy to tak spokorniałeś przede mną?

- Odkąd stałeś się taki ważny i te rzeczy.

Ryan swoją dosadną repliką pogwałcił jeden z przepisów Federalnej Komisji Łączności.

- Będziemy za godzinkę z hakiem, dobra?

- Dobra, akurat skończę trawnik. Na razie, stary.

Ryan wyłączył się i zadzwonił do domu, w którym były trzy linie telefoniczne. Żeby było śmieszniej, rozmowa z ogrodu do domu musiała być międzymiastowa.

Potrzebował linii waszyngtońskiej do połączeń z pracą. Cathy używała linii z Baltimore do połączeń ze szpitalem. Do tego dochodziła linia lokalna do innych rozmów.

- Halo? - odpowiedziała Cathy.

- Rob i Sis przyjeżdżają na lunch - oznajmił żonie Jack. - Może kielbaski z rusztu?

- Mam włosy w strasznym stanie! - oświadczyła Cathy Ryan.

- Dobrze, włosy też dam na ruszt. Możesz przygotować węgiel? Powinienem skończyć trawnik za jakieś dwadzieścia minut.

Naprawdę trwało to ponad pół godziny. Ryan postawił kosiarkę w garażu obok swojego jaguara i poszedł do domu się umyć. Musiał się też ogolić. Ledwie zdążył

wytrzeć twarz, gdy pod dom podjechał Robby.

- Musiałeś chyba pędzić na łeb, na szyję - powiedział Jack. Wciąż miał na sobie brudne szorty.

- Czy wolałby pan, żebym się spóźnił, doktorze Ryan? - spytał Robby, wysiadłszy wraz z żoną z samochodu.

W drzwiach pojawiła się Cathy. Wśród pocałunków i uścisków opowiedzieli sobie w skrócie, co zdarzyło się w ich życiu od poprzedniego spotkania. Cathy i Sissy poszły do salonu, a Jack z Robbym wyszli z kiełbaskami na taras. Węgiel nie był jeszcze całkiem gotowy.

- No i jak się czujesz w stopniu kapitana?

- Czułbym się jeszcze lepiej, gdyby płacili mi tyle, ile jestem naprawdę wart. - Na razie bowiem zmienił mundur, lecz wciąż brał pensję komandora. - Dają mi też grupę powietrzną na lotniskowcu. Admirał Painter wczoraj wieczorem mi o tym powiedział.

- Potężny kop w górę! - Jack poklepał Robby'ego po ramieniu. - To kolejny wielki krok, prawda?

- Jeśli tylko nie nadepnę sobie na ptaszka. Marynarka daje, marynarka też bierze, niech będzie błogosławiona... Dopiero za półtora roku, co oznacza przerwanie wspaniałej wycieczki po Pentagonie, chyba się rozplącę. - Robby umilkł na chwilę i spoważniał. -

Ale nie po to tu jestem.

- Tak?

- Jack, co wyście, chłopcy, rozpętali w tej Kolumbii?

- Nie wiem, Rob.

- Dobra, Jack, mów do mnie jeszcze. Bo ja wiem, do cholery! Zabezpieczenie waszej operacji jest do dupy. Zgoda, obowiązuje cię tajemnica, ale mój admirał jakby się trochę wkurwił, że wysługujecie się jego sprzętem, nie mówiąc mu ani słowa.

- Kto to taki?

- Josh Painter - odparł Jackson. - Spotkałeś się z nim na „Kennedym”, pamiętasz?

- Skąd o tym wiesz!?

- Z wiarygodnego źródła. Myślałem o tym. Oficjalna historyjka była taka, że Iwan zgubił podwodniaka, a myśmy niby mieli pomóc w poszukiwaniach, ale chyba zaszło drobne nieporozumienie, co wyjaśnia, dlaczego mojemu oficerowi radarowemu musieli rozłupać czaszkę, a Tomcata szyli mi przez trzy tygodnie, zanim znów mógł latać.

Domyślam się, że było w tym coś więcej, niż oko widziało, choć nic nie przedostało się do prasy.

Szkoda, że nie znam tej historii. Ale odłożmy to na później. A teraz słuchaj uważnie. Te dwa domy handlarzy, które wyleciały w powietrze - otóż bomby zostały zrzucone ze średniego bombowca szturmowego A-6E Intruder, należącego do Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Nie ja jeden o tym wiem. Ktokolwiek planował operację, gadaj, co chcesz, Jack, ale zabezpieczenie jest do dupy i koniec.

Zrzuciliście też do lasu grupę komandosów. Nie wiem, co tam robią, ale ludzie też wiedzą, że oni tam są. Może nie wolno ci powiedzieć, co tam się wyprawia. Wiadomo, zamknięty obieg informacji i buzia na kłódkę, ale ja ci mówię, Jack, że już są przecieki i faceci na wysokich stołkach w Pentagonie spienią się nie na żarty, jak ten syf dojdzie do prasy. A bałwanowi, który to wszystko wymyślił, niech się nie wydaje, że mu to ujdzie na sucho, bo już mam sygnały z góry, że nasi chłopcy w niebieskich i zielonych mundurach nie będą, powtarzam, nie będą tym razem jeść tej żaby.

- Uspokój się, Robby. - Ryan otworzył Robby'emu i sobie po puszcze piwa.

- Jack, jesteśmy przyjaciółmi i nic tego nie zmieni. Wiem, że ty nie zrobiłbyś takiego głupstwa, ale...

- Nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem, do cholery, jasne? Byłem cały tydzień w Belgii i powiedziałem im, że nie wiem. W piątek rano byłem w Chicago u tego Fowlera; jemu i jego doradcy też powiedziałem, że nie wiem. Teraz tobie mówię, że nie wiem.

Jackson nie odzywał się przez chwilę.

- Każdemu innemu wygarnąłbym, że jest kłamcą. Wiem dobrze, jakie masz teraz stanowisko, Jack. Mówisz poważnie? Z ręką na sercu? Jack, to ważna sprawa.

- Słowo honoru, kapitanie. Robby dopił piwo i zgniótł puszkę.

- Tak właśnie zawsze jest, nie? - powiedział. - Wysyła się gdzieś ludzi, żeby zabijali i sami też nieraz obrywali po głowie, i nikt nic nie wie. Boże, jak fajnie być tylko zasranym pionkiem. Wcale nie boję się ryzyka, ale zawsze przyjemniej wiedzieć, po co.

- Zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć.

- Mądry pomysł. Naprawdę nie powiedzieli ci, co jest grane?

- Złamanego słowa, ale niech mnie szlag, jeżeli się nie dowiem. A ty mógłbyś tymczasem poradzić coś swojemu szefowi.

- Co?

- Powiedz mu, żeby nie robił szumu, póki się z tobą nie skontaktuję.

Wszelkie wątpliwości braci Pattersonów co do powierzonej im misji rozwiały się w niedzielę po południu. W dniu odwiedzin przyszły do nich siostrzyczki Grayson i usiadły naprzeciwko swoich

chłopców - obie pary nie miały żadnych problemów z rozróżnieniem swoich partnerów - i wyznały dozgonną miłość mężczyznom, którzy wybawili je od okrutnego alfonsa. Nie chodziło tu już więc tylko o szybsze wyjście z pudła. Ostateczna decyzja zapadła w drodze powrotnej do celi.

Henry i Harvey siedzieli w tej samej celi, ze względu na bezpieczeństwo. Ich rozdzielenie utrudniłoby kontrolę i ułatwiłoby kontakt z innymi więźniami, którzy uważali Pattersonów za cwane bestie. W przeciwieństwie do innych zachowywali się spokojnie, nie rywalizowali ze sobą, co w warunkach więziennych było rzadkością.

Ten fakt osłabił czujność strażników, co Pattersonowie potrafili skutecznie wykorzystać.

Z oczywistych względów więzienia buduje się tak, by nie dało się ich łatwo zdemolować. Żelbetowych podłóg niczym się nie przykrywa, bo wykładziny czy płytki wkrótce zostałyby zerwane jako materiał na podpałkę albo w innym nieczym celu.

Twarda, gładka, betonowa podłoga świetnie nadawała się do ostrzenia narzędzi.

Każdy z braci miał już prosty odcinek ciężkiego, metalowego pręta wyrwanego z ramy łóżka. Nikt jeszcze nie skonstruował więziennego łóżka, w którym nie ma metalu, a metal to dobry materiał na broń. W gwarze więziennej taka broń nazywa się szpilą, ohydne słowo, w pełni odpowiadające ohydnemu celowi. Zgodnie z prawem, areszty i więzienia nie mogą być li tylko klatkami do trzymania więźniów jak zwierząt w zoo, toteż w tym więzieniu, jak i w innych, znajdował się warsztat rękodzielniczy.

Sędziowie twierdzą bowiem od lat, że beczynny umysł to warsztat diabła. To, że diabeł

i tak już rezyduje w umysłach przestępców, oznacza zaś, że więzienne warsztaty dostarczają narzędzi i materiałów do wytwarzania lepszych szpil. W tym przypadku każdy z braci miał po kawałku wydrążonego drewna i trochę taśmy izolacyjnej. Henry i Harvey pracowali na zmiany: jeden ostrzył pręt o beton, by uzyskać ostrze przypominające igłę, a drugi wypatrywał, czy nadchodzi strażnik. Pręty były wysokiej jakości, toteż ostrzenie trwało dobrych kilka godzin, ale w więzieniu nie można narzekać na brak wolnego czasu. Po wyostrzeniu każdy pręt zamocowali w otworach drewnianych rękojeści. Tak się cudownie złożyło, że otwory, wyżłobione warsztatową frezarką, miały idealną długość i średnicę. Taśmą izolacyjną zaklinowali mocno pręty w drewnianych rączkach i już obaj bracia mieli gotowe piętnastocentymetrowe szpile, którymi można było zadać człowiekowi głębokie rany klute.

Szpile ukryli - w tym więźniowie mają ogromną wprawę - i omówili taktykę. Każdy absolwent szkoły partyzantki miejskiej lub terrorystycznej cmoknąłby z podziwu. Choć bracia Pattersonowie posługiwali się chamskim językiem, a w dyskusji brakowało technicznego żargonu, jakiego zwykli używać wyszkoleni specjaliści w walkach ulicznych, bezbłędnie pojmowali, o co chodzi w takiej misji. Zнали zasady skrytego podejścia, rozumieli znaczenie manewru i zmylenia śladów, wiedzieli też, że należy sprzątnąć teren po pomyślnym zakończeniu misji. Liczyli przy tym na cichą współpracę towarzyszy z celi, bo areszty i więzienia, choć to miejsca okrutne i podłe, pozostają jednak ścisłymi społecznościami, a piraci zdecydowanie nie cieszyli się popularnością, podczas gdy Pattersonowie plasowali się wysoko w hierarchii, jako twardzi, uczciwi bandyci. Poza tym każdy wiedział, że nie

należy im raczej wchodzić w drogę, co również zachęcało do współpracy, a odstraszało kapusiów.

W więzieniach panuje także rygor higieniczny. Ponieważ wśród przestępców przeważają ludzie niezbyt skorzy do kąpieli, co grozi wybuchem epidemii, od zbiorowego prysznicu nikt się nie wymiga. Na to właśnie liczyli bracia Pattersonowie.

- Jak to? - mężczyzna z hiszpańskim akcentem spytał wreszcie Stuarta.

- A no tak, że wyjdą po ośmiu latach. Biorąc pod uwagę, że wymordowali czteroosobową rodzinę oraz zostali przyłapani z dużą ilością kokainy, jest to i tak cholernie dobre wyjście - odparł adwokat.

Nie lubił załatwiać interesów w niedziele, a szczególnie nie lubił załatwiać interesów z tym facetem we własnym domu z rodziną w ogrodzie, ale sam przecież podjął się zarabiać na handlarzach narkotyków.

Powtarzał sobie co najmniej dziesięć razy, prowadząc każdą taką sprawę, że był

głupcem, gdy po raz pierwszy zgodził się bronić ich człowieka - i udało mu się go wyciągnąć, bo agenci urzędu do walki z narkotykami zlekceważyli procedurę, naginając dowody i przegrywając klasyczny przypadek uchybień formalnych. Tym sukcesem nie tylko zarobił pięćdziesiąt tysięcy dolarów za cztery dni pracy, ale także zdobył sobie nazwisko w narkotykowym środowisku, które miało dużo forsya do stracenia... albo opłacenia dobrych prawników. Takim ludziom niełatwo powiedzieć

„nie”. Byli naprawdę groźni. Zdarzało się, że zabijali prawnika, który nie spełnił ich oczekiwań. A płacili dobrze, tak dobrze, że miał dość czasu, by służyć swoim niewątpliwym talentem mniej zasobnym klientom, którzy nie mogli mu płacić.

Przynajmniej tak perswadował sobie w bezsenne noce, usprawiedliwiając interesy z tymi gadami.

- Niech pan zrozumie, że nad tymi facetami wisiało krzesło elektryczne, a co najmniej dożywocie, i mnie się udało zbić to do dwudziestu lat z wypuszczeniem po ośmiu. I niech mi kto powie, że to nie świetny interes.

- Dało się ubić lepszy - odpowiedział mężczyzna z tępym wzrokiem i głosem tak pozbawionym emocji, że sprawiał wrażenie automatu. I to bardzo groźnego automatu dla prawnika, który nigdy w życiu ani nie posiadał ani nie użył broni.

To była druga strona równania. Wynajmowali nie tylko jego. Gdzieś indziej był inny prawnik, który tylko doradzał, nie angażując się bezpośrednio w sprawę. Ot, prosta zapobiegliwość, mądra również z profesjonalnego punktu widzenia, zawsze lepiej bowiem zasięgnąć drugiej opinii na każdy temat. Oznaczało to również, że w szczególnych przypadkach handlarze mogli upewnić się, czy ich własny prawnik nie ma podejrzanych konszachtów z urzędami państwowymi, co zdarzało się przecież w krajach, z których pochodzili. A co miało też miejsce i tutaj, dodadzą złośliwi. Stuart mógł postawić wszystko na informacje uzyskane od marynarzy Straży Przybrzeżnej i liczyć na umorzenie całej sprawy. Ryzyko szacował na pięćdziesiąt procent. Stuart był

dobry, ba, nawet wspaniały na sali sądowej, ale Davidoff też, a nie ma na świecie prawnika procesowego, który mógłby przewidzieć reakcję przysięgłych - miłujących ład i porządek przysięgłych w południowej Alabamie - na sprawę tego rodzaju.

Ktokolwiek siedział w cieniu i doradzał siedzącemu przed nim facetowi, nie mógł się równać ze Stuartem na sali sądowej. Na pewno jakiś profesorek, pomyślał obrońca, dorabiający do uniwersyteckiej pensji nieformalnymi poradami. Obojętnie kim był, Stuart instynktownie go - Ją? - nienawidził.

- Jeśli zrobię to, czego pan oczekuje, ryzykujemy przerznięciem całej sprawy. Mogą rzeczywiście skończyć na krześle.

Oznaczałoby to również zrujnowanie karier marynarzom Straży Przybrzeżnej, którzy wprawdzie dopuścili się niecnego czynu, ale z pewnością nie aż tak niecnego jak klienci Stuarta. Jako prawnik miał moralny obowiązek jak najskuteczniej bronić klientów w granicach prawa oraz kodeksu etyki zawodowej, lecz przede wszystkim na podstawie swej wiedzy i doświadczenia - kierując się instynktem, wyrocznią tak prawdziwą i ważką jak niewymierną. To, w jaki sposób prawnik ma wywiązywać się ze swoich obowiązków wobec klienta, było tematem niezliczonych wykładów na studiach prawniczych, lecz odpowiedzi udzielane w amfiteatralnych audytoriach na uczelni okazywały się zawsze prostsze niż w rzeczywistym świecie prawa poza zielonymi trawnikami uniwersyteckich miasteczek.

- Mogliby też wyjść na wolność.

Facetowi chodzi o uchylenie wyroku po apelacji, domyślił się Stuart. Nie miał już wątpliwości, że doradza im akademicki prawnik.

- Z zawodowego obowiązku doradzę moim klientom zgodę na wynegocjowany przeze mnie układ.

- Pańscy klienci nie skorzystają z tej rady. Pańscy klienci powiedzą panu jutro rano, że ma pan... jak to się mówi? Iść va banque? - Mężczyzna uśmiechnął się jak groźna maszyna. - Takie są pańskie instrukcje. Do widzenia, panie Stuart. Znajdę sam drzwi. -

Maszyna wyszła.

Stuart gapił się na półki z książkami przez kilka minut, zanim postanowił

zatelefonować. Nie miał na co czekać. Lepiej od razu zawiadomić Davidoffa. Nic nie podano jeszcze do wiadomości publicznej, choć ulica wiedziała swoje. Ciekaw był, co prokurator sobie pomyśli. Łatwiej było przewidzieć, co powie. Po wściekłym „przecież doszliśmy do porozumienia!” nastąpi stanowcze „dobrze, zobaczymy, co powie ława przysięgłych!” Davidoff wysupła z siebie cały swój niekwestionowany talent i w Okręgowym Sądzie Federalnym dojdzie do iście epickiego pojedynku. O cóż więcej chodzi w sądach? Będzie to fascynujący i ekscytujący przyczynek do teorii prawa, lecz jak większość takich przyczynków, mało będzie miał wspólnego z dobrem i złem, jeszcze mniej z tym, co rzeczywiście zaszło na pokładzie dobrego statku „Empire Builder”, a już nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Murray siedział w swoim biurze.

Przeprowadzka z rodziną do domu w mieście była formalnością. Bywał w nim znacznie rzadziej niż niegdyś w służbowym mieszkaniu w londyńskiej dzielnicy Kensington jako attache prawny w ambasadzie na Grosvenor Square. Zasłużył chyba na bardziej okazałe lokum. Miasto, które było siedzibą rządu Stanów Zjednoczonych, skąpiło przyzwoitych warunków mieszkaniowych urzędnikom z rządowymi pensjami.

Sekretarki nie było w pracy w niedzielę, wobec czego Murray sam musiał odbierać telefony. Tym razem miał rozmowę na bezpośredniej, prywatnej linii.

- Tak, Murray przy telefonie.

- Mark Bright. Nastąpiły zmiany w sprawie piratów, o których powinieneś wiedzieć.

Obrońca oskarżonych zadzwonił właśnie do prokuratora okręgowego. Wycofuje się z wcześniejszego układu. Chce walczyć o umorzenie sprawy, powołać na świadków tych marynarzy i oddalić oskarżenie z powodu numeru na statku. Davidoff ma pewne obawy.

- A co ty o tym sądzisz? - spytał Murray.

- Davidoff chce sporządzić nowy akt oskarżenia: morderstwo w powiązaniu z narkotykami. Co oznacza dokopanie Straży Przybrzeżnej, cóż, taka jest cena sprawiedliwości. To jego słowa, nie moje - zastrzegł się Bright. Jak wielu agentów FBI, był członkiem palestry. - Na podstawie własnego doświadczenia, nie jego, widzę sprawę czarno, Dan. Davidoff jest dobry, to znaczy świetnie spisuje się przed ławą przysięgłych, ale ten obrońca, Stuart, wcale nie gorszy. Chłopcom z miejscowej delegatury urzędu do walki z narkotykami nieźle już załazł za skórę, walczy skurczybyk skutecznie. Prawo jest zagmatwane. Co powie sędzia? Zależy od sędziego.

Co powiedzą przysięgli? Zależy od tego, co powie i zrobi sędzia. To tak, jakbyś teraz wykupił zakłady na następny superpuchar, jeszcze zanim się zaczął sezon. A przecież trzeba też wziąć pod uwagę, co się stanie w sądzie apelacyjnym po procesie w sądzie okręgowym. Cokolwiek się stanie, nasi marynarze dostaną kopa. Szkoda chłopaków.

Bez względu na ostateczny werdykt, Davidoff wywierci każdemu z nich drugą dziurę w dupie za to, że mu podłożyli tę świnię.

- Trzeba ich ostrzec - powiedział Murray. Pomyślał zaraz, że rada ta jest zbyt pochopna, ale właściwie dlaczego by nie? Murray wierzył w prawo, ale jeszcze bardziej wierzył w sprawiedliwość.

- Czy mógłby pan powtórzyć?

- Dzięki nim mamy „Tarpona”.

- Panie Murray - już nie był Danem - może będę zmuszony ich aresztować. Davidoff może powołać wielką ławę przysięgłych i...

- Proszę ich ostrzec. To rozkaz, panie Bright. Miejscowi gliniarze mają chyba dobrego prawnika, który ich reprezentuje. Proszę załatwić tego prawnika kapitanowi Wegenerowi i jego ludziom.

Bright zawahał się przed odpowiedzią.

- Panie Murray, to, co mi pan teraz kazał zrobić, może być przyjęte jako...

- Mark, pracuję w Biurze dość długo. Może za długo - przez Murraya przemawiało zmęczenie i inne uczucia. - Ale nie będę się spokojnie przyglądał, jak gnoi się tych ludzi za to, że nam tak pomogli. Zgoda, będą musieli odpowiadać przed sądem, ale na miłość boską, niech przynajmniej mają takie same przywileje jak ci zaszranii piraci! Tyle chyba możemy dla nich zrobić. Zapisz to jako mój rozkaz i wykonaj.

- Tak jest.

Murray słyszał dopowiedzianą w myślach resztę odpowiedzi Brighta: Cholera!

- Wracając do sprawy, czy potrzebujecie jeszcze jakiejś pomocy z naszej strony?

- Nie. Mamy już wszystkie wyniki z laboratorium. Od tej strony sprawa jest jasna jak słońce. Test na DNA wykazał, że próbki nasienia pochodzą od oskarżonych, a próbki krwi od ofiar. Żona była krwiodawczynią i znaleźliśmy cały litr jej krwi w zamrażarce Czerwonego Krzyża; druga próbka pochodziła od córki. Davidoff mógłby właściwie wygrać swoje tylko na tej podstawie.

Nowe technologie testów na zgodność DNA stawały się szybko jedną z najgroźniejszych broni w sądowym arsenale Biura. Dwóch Kalifornijczyków, którym wydawało się, że popełnili doskonałe morderstwo połączone z gwałtem, teraz stało w obliczu komory gazowej, dzięki pracy dwóch biochemików Biura i względnie tanemu testowi laboratoryjnemu.

- Jak tylko będziesz czegoś potrzebował, dzwoń bezpośrednio do mnie. Ta sprawa jest ściśle związana z morderstwem Emila, mam więc do dyspozycji całą maszynę Biura.

- Dobrze, panie Murray. Przepraszam za zakłócenie spokoju w niedzielę.

- Dobra.

Odkładając słuchawkę, roześmiał się z przeprosin Brighta. Odwrócił się na obrotowym krześle i popatrzył przez okno na Pennsylvania Avenue. W przyjemne niedzielne popołudnie ludzie przechadzali się ulicą prezydentów jak pielgrzymi, zatrzymując się po drodze przy straganach z lodami i pamiątkowymi koszulkami. Dalej, na tej samej ulicy, za Kapitołem, w dzielnicach skwapliwie omijanych przez turystów, znajdowały się inne miejsca, do których wchodziłi ludzie, również jak pielgrzymi, również zatrzymując się, by dokonać zakupów.

- Cholerne narkotyki - powiedział cicho. Ile jeszcze szkody narobią?

Zastępca dyrektora wydziału operacji także był w swoim biurze. Trzy meldunki od Zmiennej nadeszły w ciągu dwóch godzin. Cóż, nikt przecież nie wykluczał, że przeciwnik zareaguje.

Wyglądało na to, że działali szybciej i w bardziej zorganizowany sposób niż się spodziewał, jednak i tę możliwość wziął wcześniej pod uwagę. Wszak rzucił do akcji te właśnie a nie inne oddziały, ze względu na ich umiejętności terenowe... oraz ich anonimowość. Gdyby wybrał Zielone Berety z Centrum Wojsk Specjalnego Przeznaczenia z Fort Bragg w Karolinie Północnej lub komandosów z Fort Stewart w Georgii, czy wreszcie ludzi z nowej komendy operacji specjalnych w MacDill - byłoby za dużo ludzi ze zbyt wąskiego środowiska, co zwróciłoby natychmiast uwagę niepowołanych osób. Natomiast lekka piechota miała cztery niemal kompletne i stacjonujące daleko od siebie dywizje, przeszło czterdzieści tysięcy ludzi rozmieszczonych od Nowego Jorku po Hawaje, a ich wyszkolenie terenowe nie ustępowało bardziej wyspecjalizowanym jednostkom; ponadto wyłuskanie czterdziestu ludzi z czterdziestu tysięcy było o wiele bardziej dyskretnym przedsięwzięciem.

Niektórzy z nich zginą. Wiedział o tym, podejmując decyzję, wiedzieli także - w co nie wątpił - sami żołnierze. Należeli do zasobów armii, a bywa tak, że zasoby się wyczerpują. Brutalna to prawda, lecz prawda. Gdyby żołnierze piechoty woleli bezpieczne życie, nie wstąpiliby, po pierwsze, do piechoty, po drugie, nie zaciągnęliby się później do służby zawodowej co najmniej raz i wreszcie nie zgłosiliby się na ochotnika do misji, którą im przedstawiano jako potencjalnie niebezpieczną. Nie byli to przecież urzędnicy państwowi, których wrzucono do dżungli i pozostawiono na łaskę losu. Byli zawodowymi żołnierzami, którzy dobrze znali stawkę tej gry.

Przynajmniej tak perswadował sobie Ritter. Ale, oponował wewnętrzny głos - jeśli sam nie wiesz, jaka jest stawka, skąd oni mają wiedzieć?

Najśmieszniejsze było to, że operacja przebiegała dokładnie według planu... w terenie.

Genialny pomysł Clarka, by za pomocą kilku osobnych aktów przemocy sprowokować gangsterską wojnę wewnątrz kartelu, zdawał się przynosić pierwsze owoce. Bo jak inaczej wytłumaczyć próbę zamachu na Escobedo? Cieszył się, że Cortezowi i jego szefowi udało się uciec. Teraz nastąpi odwet, zamieszanie i chaos, co pozwoli Agencji wycofać się chyłkiem i zatrzeć wszelkie ślady.

Kto, my? - zapyta Agencja, zamiast odpowiedzieć na pytania reporterów, którymi zasypią ich z pewnością nazajutrz rano. Dziwił się nawet, że nie padły dotychczas.

Lecz fragmenty układanki, zamiast składać się w przejrzystą całość, coraz bardziej nie przystawały do siebie. Grupa bojowa „Rangera” odpłynie z powrotem na północ i nie przerwie swoich manewrów, zmierzając wolno do San Diego. Reprezentant CIA już opuścił statek i leciał do domu z drugą i ostatnią kasetą wideo. Reszta ćwiczebnych bomb zostanie zrzucona do morza, wycelowana w bezzałogowe tratwy ratunkowe, jak podczas zwykłych manewrów. To, że nie zostały nigdy oficjalnie wydane z eksperymentalnej bazy marynarki w Kalifornii, pozostanie na zawsze tajemnicą. Jeśli nie? Jakaś pomyłka w papierach - cały czas się zdarzały. Nie, jedyny problem to te oddziały w terenie. Mógł wszakże zarządzić ich natychmiastową ewakuację. Ale niech raczej zostaną tam jeszcze kilka dni. Może się znajdzie dla nich kolejne zadanie, a jeśli zachowają ostrożność, poradzą sobie. Przeciwnik nie jest aż tak dobry.

- No i? - spytał Zimmera pułkownik Johns.

- Trzeba zmienić silnik. Ten wysiadł. Komory spalania są w porządku, ale całkiem nawaliła

sprężarka. Może chłopcy w domu potrafiliby naprawić. Nie ma mowy, żebyśmy sami sobie poradzili z tym, co tu mamy.

- Jak długo?

- Sześć godzin, jeśli od razu zaczniemy, panie pułkowniku.

- Dobra, Buck.

Przywieźli ze sobą dwa zapasowe silniki. Jednak do hangaru, w którym trzymali helikopter Pave Low III, nie zmieścił się już MC-130, służący do tankowania w locie i transportu części zamiennych, toteż Zimmer kazał podoficerowi nacisnąć guzik i otworzyć wrota. I tak potrzebowali specjalnego wózka i podnośnika, żeby poradzić sobie z silnikami turbinowymi T-64.

Drzwi hangaru odsunęły się na metalowych szynach i równocześnie pod samolot podjechała ciężarówka. Natychmiast ludzie zeskoczyli na platformę. Był upalny dzień w Strefie Kanału - regionie, gdzie śnieg ogląda się tylko w telewizji - i przyszła pora na coś zimnego do picia. Wszyscy znali kierowcę ciężarówki, Panamczyka, który pracował tu od niepamiętnych czasów i nieźle z tego żył.

Miał też konika na punkcie samolotów. Z długich lat obserwacji i rozmów z żołnierzami obsługującymi maszyny wyniósł znajomość całego inwentarza Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i byłby znakomitym informatorem wywiadu, gdyby komuś wpadło do głowy, by go zwerbować. Jednakże nie miał

zamiaru wyrządzać krzywdy swoim chlebodawcom. Prawda, że nieraz zachowywali się arogancko, ale gdy miał kłopoty ze swoją ciężarówką, mechanik w zielonym mundurze naprawiał mu ją na miejscu za darmo, a przed Świątami Bożego Narodzenia

-wszyscy wiedzieli, że ma dzieci - zawsze znalazły się prezenty dla niego i jego synów.

Udało mu się też załatwić dzieciakom przejażdżki helikopterem i pokazać im, jak wygląda rodzinny dom obok bazy z lotu ptaka. Nie każdy ojciec mógł zrobić dzieciom taką frajdę! Norteamericanos, zgoda, nie byli idealni, ale życzliwi, a nawet hojni, jeśli postępowało się z nimi uczciwie, bo właśnie uczciwości oczekiwali od tubylców. Tym bardziej teraz, gdy mieli kłopoty z rządzącym jego krajem pyszałkiem o dziobatej jak ananas twarzy.

Rozdając ludziom coca-colę i chrupki, zauważył, że w hangarze stoi Pave Low III, potężny, groźny i na swój sposób piękny helikopter. To mu wyjaśniło obecność transportowca-cysterny Combat Talon i uzbrojonych strażników, którzy nie pozwalali mu przejechać zwykłą trasą. Wiele wiedział o obu maszynach i choć nie zdradziłby nigdy, co wiedział o ich możliwościach, to przecież przekazanie samej informacji, że tu stoją, nie było zbrodnią.

Ale już następnym razem, gdy pieniądze przejdą z rąk do rąk, usłyszy prośbę o notowanie godzin ich przylotów i odlotów.

Przez pierwszą godzinę maszerowali bardzo szybko, by wreszcie zwolnić do zwykłego ostrożnego, powolnego i czujnego tempa. A i tak niezbyt chętnie poruszali się w świetle dziennym. Noc rzeczywiście należała do ninja, lecz dzień należał już do wszystkich. Jak hazardziści, żołnierze grupy szturmowej woleli korzystać z każdej karty w talii i jak hazardziści świadomie unikali tego, co sportowiec mógłby nazwać walką fair.

Wszyscy pomalowali się maskującymi farbami. Mimo upału, mieli na sobie rękawiczki.

Wiedzieli, że najbliższy oddział „Rewii” znajdował się piętnaście kilometrów na południe i że każdy napotkany po drodze człowiek to albo niewinny, albo wróg, w każdym razie nie przyjaciel, a dla żołnierzy maskujących swoją obecność pojęcie

„niewinny” było dość ryzykowne. Mieli unikać wszelkiego kontaktu, a jeśli już do kontaktu by doszło, sprawę należało rozstrzygnąć na miejscu.

Inne reguły też się zmieniły. Nie posuwali się już gęsiego. Zbyt wiele osób idących tą samą drogą zostawia wyraźny ślad. Choć Chavez

pozostawał na czele, a Oso dwadzieścia metrów za nim, reszta drużyny szła rzędem, często zmieniając kierunek, poruszając się zygzakami, jak obrońca w futbolu amerykańskim, ale po znacznie większej przestrzeni. Wkrótce zaczną robić pętle, obserwując, czy nikt za nimi nie idzie. Jeśli tak, tego kogoś czekała niespodzianka. Ale na razie oddział miał dotrzeć do wyznaczonego stanowiska i ocenić siłę wroga. Oraz czekać na rozkazy.

Porucznik policji niezbyt często chodził do kościoła Łaski Pańskiej na wieczorne nabożeństwa, uczynił to jednak tym razem. Spóźnił się, ale znany był z niepunktualności, mimo że jeździł wszędzie nieoznakowanym radiowozem. Zostawił

samochód obok zatłoczonego parkingu, wszedł do kościoła, usiadł z tyłu i postarał się, by usłyszano jego kiepski śpiew.

Piętnaście minut później obok jego samochodu zatrzymał się inny, również nieoznakowany. Wysiadł z niego mężczyzna z łyżką do opon, rozbił szybę w prawych, przednich drzwiach, po czym wyjął policyjne radio, strzelbę zamocowaną pod tablicą wskaźników... oraz zamkniętą, wypełnioną dowodami dyplomatkę. W niespełną minutę wrócił do swojego auta i odjechał. Teczka odnajdzie się tylko wtedy, gdy bracia Pattersonowie nie dotrzymają słowa. Gliniarze dotrzymują słowa.

Rozdział 23

IGRZYSKA ROZPOCZĘTE

Rutyna poranna w niczym się nie zmieniła, mimo tygodniowej nieobecności Ryana w pracy. Jego szofer obudził się wcześniej i własnym samochodem pojechał do Langley, gdzie przesiadł się do służbowego buicka, biorąc przy okazji dokumenty dla swojego pasażera. Znajdowały się one w metalowej walizeczce z zamkiem kodowym i systemem samoniszczącym. Nikt dotąd nie usiłował

atakować samochodu ani jego pasażera, co wcale nie znaczyło, że nie dojdzie do tego w przyszłości. Szofer, jeden z funkcjonariuszy ochrony CIA, nosił przy sobie pistolet Beretta 92-F 9 mm, a pod deską rozdzielczą trzymał pistolet maszynowy Uzi. Szkolił się w Secret Service i z największym znanstwem ochraniał

swojego pryncypała, jak nazywał urzędującego ZDW. Rad byłby wszakże, gdyby jego podopieczny mieszkał bliżej centrum Waszyngtonu, albo żeby mu przynajmniej dali większy ryczałt na benzynę za dojazdy prywatnym autem. Przejechał wewnętrzną pętlą stołecznej obwodnicy, następnie skręcił na prowadzącą na wschód do Marylandu autostradę 50.

Jack Ryan wstał piętnaście po szóstej, co stawało się dlań coraz wcześniejszą porą, w miarę jak zbliżał się do czterdziestki, i wykonał te same poranne czynności, co większość pracujących ludzi, aczkolwiek jako mąż lekarki miał zagwarantowane śniadanie złożone wyłącznie ze zdrowych dań, czyli nie takich, jakie lubił. Co jest właściwie złego w tłuszczu, cukrze i konserwantach?

O szóstej pięćdziesiąt był już po śniadaniu, ubrany i w połowie porannej gazety. Dzieci wyprawiała do szkoły Cathy. Po drodze do drzwi Jack pocałował tylko córkę, bo Ryan junior uważał, że jest za duży na takie dziecięce czułości. Właśnie podjeżdżał pod dom buick, z taką regularnością i punktualnością, jakiej pozazdrościłyby mu linie lotnicze i koleje.

- Dzień dobry, doktorze Ryan.

- Dzień dobry, Phil.

Jack wolał sam otwierać sobie drzwi samochodu. Usiadł na prawym tylnym siedzeniu.

Najpierw doczyta „Washington Post”, kończąc jak zwykle na komiksach i zostawiając na deser Gary'ego Larsona. Jeśli coś było potrzebne do szczęścia ludziom Agencji, to z pewnością była to codzienna dawka „Pieskiego życia”, bez wątpienia najpopularniejszego komiksu w Langley. Nietrudno zrozumieć, dlaczego. Buick wjechał już z powrotem na autostradę 50 w nieprzerwany potok sunących ku stolicy samochodów. Ryan otworzył zamek metalowej walizeczki. Następnie za pomocą legitymacji służbowej wyłączył system samoniszczący. Papiery były ważne, ale ewentualny napastnik byłby bardziej zainteresowany osobą Ryana niż dokumentami, a nikt w Agencji nie miał złudzeń co do jego - czy też innych - zdolności oporu wobec prób wymuszenia informacji. Miał jeszcze czterdzieści minut na zapoznanie się z wydarzeniami ostatniej doby - w tym konkretnym przypadku całego weekendu - by mógł zadawać inteligentne pytania szefom wydziałów podczas rannej odprawy.

Najpierw warto przeczytać gazetę, żeby z przyzwoitej perspektywy spojrzeć na raporty CIA. Ryan nie darzył dziennikarzy zbyt dużym zaufaniem - ich analizy często bywały błędne - ale nie dało się ukryć, że ich podstawowe zadanie nie różniło się od celu Agencji: zbieranie i przekazywanie informacji, a z wyjątkiem pewnych ściśle technicznych zagadnień - owszem, bardzo istotnych w takich dziedzinach, jak kontrola zbrojeń - skutecznością często nie ustępowali, a czasami wręcz przewyższali pracowników państwowych na usługach Langley. Oczywiście dobry korespondent zagraniczny zarabiał więcej od swego odpowiednika na rządowym garnuszku, a talent sprzedawało się temu, kto więcej płacił. Poza tym reporterzy mogli pisać książki, prawdziwe źródło kokosów, co udowodnili

kolejni moskiewscy korespondenci.

Jedynym istotnym błogosławieństwem służbowej legitymacji, jak wynikało z wieloletniego stażu Ryana, były źródła. Nawet na jego szczeblu w Agencji miał dostęp do informacji niewiele odbiegających treścią od doniesień kompetentnych dzienników.

Różnica polegała na tym, że Jack znał źródła tych informacji, co w sposób istotny pomagało ocenić ich wiarygodność. Była to subtelna, lecz częstokroć decydująca różnica.

Odprawę zaczął od raportów ze Związku Sowieckiego. Działo się tam wiele interesujących rzeczy, lecz wciąż nikt nie wiedział, co oznaczają i do czego zmierzają.

A jakże. Ryan i Agencja słali analizy w podobnym duchu dłużej, niż sięgał pamięcią.

Ludzie oczekiwali czegoś więcej. Tak jak ta Elliot, pomyślał Jack, która nienawidziła Agencji za to, co robi - ściślej mówiąc za to, czego już nie robiła od lat - Jednak na przekór sobie spodziewała się od tejże Agencji wiedzy o wszystkim. Kiedy wreszcie się obudzą i przekonają, że przewidywanie przyszłości nie jest wcale łatwiejszym zadaniem dla analityków wywiadu niż dla dobrego sprawozdawcy sportowego typowanie zwycięzców ligi baseballowej. Nawet po Meczu Gwiazd w środku sezonu w tabeli wschodniej konferencji Ligi Amerykańskiej trzy drużyny dzieliły niewielkie różnice punktowe. To był dylemat dla bukmacherów. Szkoda -mruczał pod nosem Ryan - że w Las Vegas nie przyjmują zakładów na skład sowieckiego Politbiura, głośno' albo rozwiązanie problemu narodowościowego. Miałby wówczas pewne wskazówki. Gdy dojeżdżali do obwodnicy, przeglądał raporty z Ameryki Środkowej i Południowej - jakiś kacyk narkotykowy nazwiskiem Fuentes wyleciał w powietrze.

Czyż to nie przykra sprawa? - zapytał Jack, ale zaraz pomyślał trzeźwo: nie, wcale nie tak źle, że facet zginął. Gorzej natomiast, że zginął od bomby zrzuconej z amerykańskiego samolotu. Za to właśnie Beth Elliot nie znosiła CIA, przypomniał

sobie. Sędzia, prokurator i kat; wszystko w ramach jednej instytucji. Nie chodziło jej bynajmniej o dobro czy zło. Kierowała się polityczną efektywnością i może estetyką.

Politycy bardziej dbają o sprawy niż zasady, ale przemawiali tak, jakby te dwa rzeczowniki oznaczały to samo.

Cholera, czyżbyś pograżał się w poniedziałkowym cynizmie?

Jak, do diabła, Robby Jackson na to wpadł? Kto wymyślił tę operację? Co się stanie, gdy sprawa naprawdę się wyda?

Albo lepiej: Czyja mam się tym przejmować? Jeśli tak, to dlaczego? Jeśli nie, to dlaczego nie?

Ta sprawa trąci polityką, Jack. Jak polityka ma się do twojej pracy? Czy w twojej pracy w ogóle jest miejsce na politykę?

Kiedy indziej byłby to wymarzony temat do filozoficznych rozmyślań, w czym pomagała mu jezuicka

edukacja. Ale rzecz tym razem nie polegała na abstrakcyjnym roztrząsaniu zasad i hipotez. Oczekiwano od niego odpowiedzi. A jeśli członek komisji zada mu pytanie, na które będzie musiał odpowiedzieć? Należało się z tym liczyć w każdej chwili. Mógłby wówczas zwlekać z odpowiedzią tylko tak długo, jak długo jedzie się z Langley do Kapitulu.

A gdyby Ryan skłamał, poszedłby do więzienia. Oto ciemniejsza strona jego awansu.

Gdyby zaś przyznał uczciwie, że nic nie wie, mogliby mu nie uwierzyć, prawdopodobnie nie wierzyliby członkowie komisji, może też i sąd. Nawet uczciwość nie zapewniała skutecznej ochrony. Czyż to nie zabawna myśl?

Jack popatrzył przez okno, gdy przejeżdżali obok świątyni mormonów, tuż przy obwodnicy koło Connecticut Avenue. Budowla stanowczo dziwaczna, niepozbawiona wszak monumentalności, dzięki marmurowym kolumnom i złożonym wieżyczkom.

Wierzenia, w imię których powstała ta imponująca świątynia, wydawały się Ryanowi osobliwe - katolikowi od urodzenia - lecz wyznający je ludzie byli uczciwi i pracowici, bezwzględnie lojalni wobec ojczyzny, ponieważ niezłomnie wierzyli w ideały Ameryki.

A o cóż więcej chodziło? Albo się w coś wierzy, albo nie. Każdy głupek może opowiadać się przeciwko czemuś, jak rozkapryszone dziecko, które upiera się, że nie znosi nie znanej mu jarzyny. Widać było, w co ci ludzie wierzą. Mormoni płacili dziesięcinę ze swoich zarobków, co pozwoliło im zbudować ten pomnik wiary, tak jak średniowieczni chłopci odejmowali sobie od ust, by postawić katedry na miarę swojej epoki, dokładnie w tym samym celu. O chłopach tych zapomnieli wszyscy prócz Boga, w którego wierzyli. Katedry - świadectwo ich wiary - pozostały na ich chwałę, wciąż służąc zgodnie ze swym pierwotnym przeznaczeniem. Kto pamięta o politycznych rozgrywkach tamtej epoki? Moźni i ich zamki rozsypały się w proch, królewskie dynastie przeważnie się skończyły, a jedynym trwałym dziedzictwem tamtych czasów pozostały pomniki wiary, wiary w coś ważniejszego niż ludzka doczesność, uwiecznionej w ukształtowanym ludzkimi rękami kamieniu.

Gdzież szukać lepszego dowodu na to, co naprawdę ważne? Jack wiedział, że nie on pierwszy i nie ostatni nad tym się zastanawia, ale nie tak często zdarzało się komuś widzieć prawdę tak przejrzystą, jak Ryanowi, w ten poniedziałkowy rano. Doraźne osiągnięcia jawiły mu się teraz jako płytkie, ulotne i w ostatecznym rachunku bezużyteczne dobra. Musiał jednakże postanowić, co ma czynić i choć wiedział, że o jego działaniu przesądzą być może inni, wiedział też, jakie wskazówki, jaka miara przyświecać ma jego działaniu. To na razie wystarczy, powiedział sobie.

Piętnaście minut później samochód przejechał przez bramę, potem przed frontem gmachu, i wreszcie zaparkował w garażu. Ryan włożył wszystkie papiery z powrotem do walizeczki i wjechał windą na siódme piętro. Nancy parzyła już dla niego kawę w ekspresie. Za pięć minut zjawią się szefowie wydziałów na poranną odprawę. Ryanowi zostało jeszcze kilka chwil na zastanowienie.

To, co wystarczało mu na obwodnicy, straciło swą ostrość w czterech ścianach gabinetu. Teraz musiał coś zrobić i choć kierować się będzie zasadami, samo działanie wymagało decyzji taktycznych. A Jack wciąż był w lesie.

Szefowie wydziałów przyszli punktualnie i rozpoczęli odprawę. Urzędujący ZDW

wydał im się tego dnia dziwnie nieobecny i cichy. Zwykle zadawał dużo pytań i rzucał

parę dowcipnych uwag. Tym razem tylko kiwał głową i mruczał pod nosem, prawie nie odzywając się słowem. Może miał nieudany weekend.

Dla innych poniedziałkowy ranek oznaczał pójście do sądu, rozmowy z prawnikami i rozprawy. Ponieważ oskarżony mógł i powinien pokazać się na procesie karnym z jak najlepszej strony, w więzieniu w Mobile przyszła pora na kąpiel.

Jak we wszystkich dziedzinach więziennego życia, zachowywano ściśle rygory bezpieczeństwa. Otwarto drzwi cel i więźniowie w sandałach i owinięci tylko ręcznikami pomaszerowali do końca korytarza pod czujną kuratelą trzech doświadczonych strażników. Dzień zaczął się jak zwykle od narzekań, dowcipów, od czasu do czasu padło soczyste przekleństwo. Poza celami więźniowie trzymali się raczej w oddzielnych rasowo grupach, choć przepisy więzienne zabraniały takiej segregacji w blokach - strażnicy wiedzieli, że prowadzą one tylko do groźnych awantur, ale sędziom, którzy je wymyślali, przyświecały zasady, a nie rzeczywistość.

Poza tym, jeśli doszło do śmiertelnego pobicia, wina spadała przecież na strażników. Byli oni najbardziej cyniczną grupą wśród stróżów prawa, wzgardzeni przez policjantów jako zwykli dozorca, znieawidzeni przez podopiecznych i niecieszący się zbytym szacunkiem społeczeństwa. Trudno im było szanować własną pracę, a najbardziej troszczyli się o osobiste bezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo związane z pracą w tej instytucji było bardzo realne. Śmierci więźnia bynajmniej nie traktowali lekko - zawsze przeprowadzano śledztwo z udziałem samych strażników i policji, a w niektórych przypadkach również funkcjonariuszy federalnych - lecz życie przestępcy liczyło się mniej niż życie strażnika - dla samych strażników.

Mimo to starali się, jak mogli. Mieli w większości ogromne doświadczenie i wiedzieli, czego szukać. To samo odnosiło się do więźniów i to, co się tu działo, nie różniło się w zasadzie od tego, co działo się na polu walki lub w mrocznych wojnach pomiędzy organizacjami wywiadowczymi. Taktyka ewoluowała wraz ze zmieniającymi się posunięciami i kontrposunięciami obu stron. Niektórzy więźniowie byli sprytniejsi od innych. Zdarzali się wśród nich istni geniusze. Wśród innych, zwłaszcza młodych, dominował strach i uległość, a jedyną ich troską, podobnie jak strażników, było przetrwanie w niebezpiecznym otoczeniu. Każda kategoria więźniów wymagała nieco innej formy nadzoru, toteż strażnicy pracowali pod ogromną presją. Nieuchronnie musiały zdarzać się pomyłki.

Ręczniki powieszono na ponumerowanych haczykach. Każdy z więźniów dostał

własną kostkę mydła i pod okiem strażnika paradował nago do sali z dwudziestoma prysznicami. Strażnik upewnił się, czy nikt nie wnosi niebezpiecznych przedmiotów.

Był jednak młody i jeszcze się nie nauczył, że gdy komuś bardzo zależy, to zawsze znajdzie stosowną

kryjówkę.

Henry i Harvey Pattersonowie zajęli prysznic dokładnie naprzeciwko piratów, którzy głupio wybrali miejsca niewidoczne ze stanowiska strażnika przy drzwiach. Bracia wymienili uradowane spojrzenia. Gnoje może i byli groźnymi bandziorami, ale w głowach mieli pusto. Braciom nie było zbyt wygodnie. Taśma izolacyjna na drewnianych rączkach o szerokości dwóch centymetrów wprawdzie była gładka, ale miała ostre brzegi, toteż z niezwykłą determinacją musieli wchodzić pod prysznic normalnym krokiem. Bolało ich. Ze wszystkich pryszniców trysnęła od razu gorąca woda i łazienka zaczęła wypełniać się parą. Bracia Pattersonowie namydlili się w pewnym miejscu, by z większą łatwością wydobyć szpile, których końcówki widoczne były na pewno dla baczego obserwatora, ale wiedzieli wcześniej, że strażnik jest nowy. Harvey skinął na dwóch ludzi na drugim końcu łazienki. Numer zaczął się od raczej niewybrednego, zaimprovizowanego dialogu.

- Oddaj mi to pierdolone mydło, skurwysynu!

- Ty ofiaro pękniętego kondomu - odparł spokojnie drugi. Przygotował swoją kwestię.

Poszły w ruch pięści.

- Spokój, bydlaki. Do mnie, ale już! - wrzasnął strażnik.

Wtedy do rozróby włączyło się następnych dwóch; jeden wiedział, o co chodzi, a drugi, debiutant, który wiedział tylko, że się boi, bronił się na serio. Wkrótce reakcją łańcuchową bijatyka objęła całą łazienkę. Strażnik wybiegł na zewnątrz, wzywając pomoc.

Henry i Harvey odwrócili się z ukrytymi w dłoniach szpilami. Ramón i Jesiis obserwowali ukradkiem walkę, nie chcąc się dać w nią wciągnąć; nie mieli pojęcia, że zamieszanie zostało ukartowane.

Harvey wziął Jesiisa, a Henry Ramóna.

Jesus nie spostrzegł nadchodzącego niebezpieczeństwa, tylko błyskawiczny ruch ręki i cios w klatkę piersiową, potem drugi. Spojrzał na swoją pierś i ujrzał krew tryskającą z rany, która sięgała aż do serca - z każdym uderzeniem serca wypływało coraz więcej krwi. Ręka napastnika zadała kolejny cios i do dwóch krwawych punktów dołączył

trzeci. Wpadł w panikę, próbując dłonią powstrzymać upływ krwi, nie wiedząc, że większość jej uchodziła do worka osierdziowego, co spowodowało wewnętrzny krwotok. Zwalił się na ścianę, a potem osunął na podłogę. Jesus umarł, nie wiedząc, dlaczego.

Henry, który uważał się za mądrzejszego, postanowił szybciej załatwić sprawę.

Ramón, czując niebezpieczeństwo, odwrócił się, czym bezwiednie ułatwił zadanie drugiemu bliźniakowi, który przyparł go do kafelków i wbił mu szpilę w bok głowy, w okolicę skroni, wiedząc, że w tym miejscu czaszka jest cienka jak skorupka jajka.

Wbitą szpilę przekręcił jeszcze po dwa razy w prawo i w lewo, w górę i w dół. Ramón potrzepotał

się kilka sekund jak ryba na haczyku, po czym opadł bezwładnie, niczym szmaciana lalka.

Każdy z Pattersonów włożył szpilę do ręki ofiary swojego brata - nie musieli się w łaźni przejmować odciskami palców - położyli ciała jedno przy drugim i wycofali się pod swoje prysznice. Myli się energicznie nawzajem, by usunąć wszelkie ślady krwi.

Bijatyka już ustała. Dwaj mężczyźni, którzy pobili się o kostkę mydła, podali sobie ręce na zgodę, przeprosili strażnika i wrócili do porannych ablucji. Para nadal wypełniała łaźnię, a Pattersonowie cały czas szorowali pieczołowicie ciała. Czystość była cnotą, zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodziły dowody zbrodni. Pięć minut później wodę zakręcono i więźniowie wymaszerowali z łaźni.

Strażnik jak zwykle odliczył ludzi - tę jedną czynność strażnik więzienny umie wykonywać bezbłędnie - i nie doliczył się dwóch. Tymczasem pozostali zaczęli się wycierać i łapać za tyłki, jak to więźniowie w wyłącznie męskim towarzystwie.

Strażnik wsunął głowę do łaźni i chciał dosadnie przywołać szkolną hiszpańszczyznę dwóch maruderów, gdy pod tumanami pary spostrzegł nieruchome ciało.

- Kurwa mać! - Odwrócił się i zawołał pozostałych strażników. - Nie ruszać się ani na krok! - krzyknął do więźniów.

- O co chodzi? - spytał anonimowy głos.

- Te, stary, mam być za godzinę w sądzie - zawtórował mu inny. Bracia Pattersonowie wytarli się, włożyli sandały i stali grzecznie.

Pozostali konspiratorzy mogli spojrzeć po sobie z zadowoleniem - wszak właśnie popełnili doskonale podwójne morderstwo przy stojącym pięć metrów dalej gliniarzu -

ale bliźniacy podarowali sobie takie zbędne gesty. Każdy z nich wiedział, co drugi w tej chwili myśli: wolność. Oto wymigali się od jednego morderstwa, popełniając dwa inne. Wiedzieli, że gliniarze będą grali z nimi fair. Porucznik wyglądał na porządnego chłopca, a porządni gliniarze dotrzymują słowa.

Wiść o śmierci piratów rozeszła się z prędkością, której pozazdrościłyby wszystkie agencje prasowe. Porucznik siedział przy biurku i spisywał raport, kiedy i do niego dotarła wiadomość. Pokiwał głową i powrócił do wstydliwego obowiązku wyjaśnienia, jak doszło do włamania do jego radiowozu i kradzieży drogiego radia, teczki i, co najgorsze, strzelby. Ten ostatni przedmiot wymagał masy papierkowej roboty.

- Może w ten sposób Bóg nakazał ci siedzieć w domu i oglądać telewizję - zauważył

inny porucznik.

- Ty niecny bezbożniku, wiesz przecież, że w końcu postanowiłem... o, cholera!

- Co jest?

- Sprawa Pattersonów. Miałem wszystkie pociski w teczce, zapomniałem wyjąć.

Koniec. Duane, zapieprzyli mi pociski! Notatki eksperta, zdjęcia, wszystko!

- Prokurator okręgowy będzie wniebowzięty, chłopcze. Wypuściłeś Pattersonów z powrotem na ulicę.

Warto było. Tego porucznik nie powiedział na głos.

W swoim oddalonym o cztery przecznice biurze Stuart odebrał telefon i odetchnął z ulgą. Powinien był się zmartwić, owszem, ale jakoś tym razem nie potrafił zmusić się do oplakiwania swoich klientów. Oplakiwać należało raczej system, który ich zawiódł, ale nie ich życie, które nikomu nie przyniosło żadnego pożytku. Poza tym wziął

honorarium z góry, jak w przypadkach z handlarzami narkotyków postępował każdy rozsądny adwokat.

Piętnaście minut później prokurator federalny wydał oświadczenie, w którym wyrażał

ubolewanie, że więźniowie zginęli w tak okrutny sposób i że w sprawie ich śmierci odpowiednie władze federalne podejmą niezwłocznie śledztwo. Dodał, że miał nadzieję doprowadzić do śmierci oskarżonych w ramach obowiązującego prawa, lecz śmierć wymierzona przez prawo to coś zupełnie innego niż śmierć z rąk nieznanego mordercy. W sumie sporządził wspaniałe oświadczenie, które wybiję się na czoło południowych i wieczornych wiadomości, co cieszyło Davidoffa bardziej niż sama śmierć delikwentów. Gdyby przegrał sprawę, mógłby pożegnać się z senackim mandatem. A tak, ludzie powiedzą, że sprawiedliwości przeciw stało się zadość i z tym faktem skojarzą zarówno jego oświadczenie, jak i jego twarz. Niemal tak dobrze, jakby doprowadził do skazania sprawców na śmierć.

Adwokat Pattersonów był oczywiście obecny przy przesłuchaniu. Nigdy nie rozmawiali z oficerem policji bez swojego prawnika - przynajmniej jemu się tak wydawało.

- Co mi do tego? - rzekł Harvey. - Jak mnie się nikt nie czepia, to i ja się nie czepiam, nie? Słyszałem, jak się chłopaki chyba o coś pozarli. Tożem siedział cicho. Bo w pudle to jest tak, że jak jest rozpierzdowa, to najlepiej nawet nie patrzeć, nie? Nic nie widzisz, nic nie wiesz.

- Odnoszę wrażenie, że moi klienci nie mają nic do powiedzenia w interesującej panów sprawie - oznajmił adwokat detektywom. - Czy możliwe jest, że ofiary dokonały wzajemnego mordu?

- Nie wiemy. Na razie przeprowadzamy rozmowy z bezpośrednimi świadkami zajścia.

- Rozumiem więc, że nie rozważają panowie oskarżenia moich klientów w związku z tym pożałowania godnym incydem?

- Z pewnością nie teraz, panie mecenasie - odrzekł starszy rangą detektyw.

- Dobrze, proszę to wpisać do protokołu. Proszę również zapisać, że moi klienci nie wiedzą nic, co wiązałoby się z prowadzonym przez panów śledztwem. I wreszcie, to też ma być na piśmie, wszelkie przesłuchania moich klientów muszą odbywać się w mojej obecności.

- Tak, panie mecenasie.

- Dziękuję. A teraz panowie pozwolą, że porozmawiam z moimi klientami na osobności.

W następstwie trwającej około piętnastu minut rozmowy adwokat wiedział, co zaszło.

To znaczy nie wiedział oficjalnie - ale wiedział. Nie mógł zgodnie z zasadami etyki zawodowej działać na podstawie własnych spekulacji, nie łamiąc przysięgi urzędnika sądowego. Uczynił więc to, co mógł. Złożył wniosek o ujawnienie nowych okoliczności w sprawie swoich klientów oskarżonych o morderstwo. Pod koniec dnia dołączy dowód na to, o czym nie wiedział.

- Dzień dobry, panie sędzio - powiedział Ryan.

- Dobry, Jack. Tylko błagam, krótko, za kilka minut wyjeżdżam z miasta.

- Panie sędzio, jeśli ktoś mnie pyta, co się, do cholery, dzieje w Kolumbii, co mam odpowiedzieć?

- Nie informowaliśmy cię o tym, prawda? - rzekł Moore.

- Zgadza się.

- Takie mam rozkazy. Chyba się domyślasz, skąd pochodzą. Mogę ci jednak powiedzieć, że Agencja nikogo nie wysadziła w powietrze, jasne? Owszem, prowadzimy pewną operację na tym terenie, ale nie podstawialiśmy żadnych samochodów-pułapek.

- Cieszę się, panie sędzio. Ani przez chwilę nie myślałem, że bawimy się w samochody-pułapki - powiedział Jack najspokojniej jak tylko mógł. Cholera! Sędzia też? - A więc, jeśli będzie telefon z Kapitelu, mam im tak odpowiedzieć?

Moore wstał z uśmiechem.

- Musisz nauczyć się postępować z nimi, Jack. Niełatwa to sztuka i często niezabawna, ale sądzę, że znajdziesz w nich kompetentnych partnerów - z tego, co słyszałem dziś rano, lepszych niż Fowler i spółka.

- Mogłem się lepiej spisać, panie sędzio - przyznał Ryan. - Ostatnio zajmował się tym sam admirał. Powiniennem dokładniej poradzić się go przed wyjazdem.

- Wcale nie oczekujemy od ciebie doskonałości, Jack.

- Dziękuję.

- No, nie mogę spóźnić się na samolot do Kalifornii.

- Szczęśliwej podróży, panie sędzio - rzucił Ryan na odchodne. Jack wszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi i dopiero teraz

zmienił neutralny wyraz twarzy.

- O, Boże - westchnął.

Gdyby sędzia Moore po prostu okłamał go na poczekaniu, łatwiej byłoby mu się z tym pogodzić. Ale nie, kłamstwo zostało zrecznie przygotowane, musiało być zaplanowane i wyćwiczone. Nie podstawialiśmy żadnych samochodów-pułapek.

Nie, kazaliście marynarce zrzucić bomby za was.

Dobra, Jack. Co teraz zrobisz, do cholery?

Nie wiedział, ale miał jeszcze cały dzień na decyzję.

Jeśli mieli jeszcze jakieś wątpliwości, rozwiązał je poniedziałkowy świt. Ludzie, którzy wtargnęli w góry, nie odeszli. Spędzili całą noc we własnej bazie, zaledwie kilka kilometrów na południe, i Chavez słyszał teraz odgłosy ich krzątania. Słyszał nawet pojedynczy strzał, lecz jeśli w ogóle do kogoś strzelano, to na pewno nie do członka jego drużyny. Może do sarny albo innego zwierzęcia, a może facet się potknął i wypalił

przez pomyłkę. W każdym razie nie wróżyło to nic dobrego.

Oddział przygotował się starannie do obrony. Osłona i ukrycie nie pozostawiały nic do życzenia, pola ostrzału też, ale najważniejsze, że ich pozycja nie była oczywista.

Uzupełnili po drodze manierki i obozowali z dala od źródła wody; ktoś, kto polował

na żołnierzy, założyłby coś wręcz przeciwnego. Szukałby też pozycji na wyższym terenie, ale ta była prawie równie dobra. Zbocze góry porastał las, a gęste zarośla uniemożliwiały ciche podejście. Przeciwnie zbocze było zdradliwe, a pozostałe dojścia do punktu obserwacyjnego widoczne z pozycji drużyny, co pozwalało żołnierzom poczekać na odpowiedni moment i w razie konieczności usunąć się z drogi. Ramirez miał dobre oko do terenu. Obecna misja nakazywała im unikać kontaktu w miarę możliwości; w razie czego mieli użądlić wroga i czym prędzej się oddalić. Oznaczało to również, że Chavez z towarzyszami nie byli już jedynymi myśliwymi w tych lasach. Żaden z nich nie przyznałby się do strachu, ale wszyscy jak na komendę zdwoili czujność.

Chavez czuwał poza obrębem obozu, na posterunku obserwacyjnym, z którego doskonale widział najbardziej prawdopodobną drogę podejścia do reszty oddziału oraz skrytą drogę powrotu na wypadek, gdyby musiał się wycofać. Towarzyszył mu Guerra, sierżant operacyjny. Ramirez wołał, by oba kaemy pozostały razem przy bazie.

- Może po prostu sobie pójdą - szepnął Ding. Guerra chrząknął nieprzekonany.

- Zdaje mi się, że nadepełniłszy im na ogon o jeden raz za dużo. Teraz trzeba ich porządnie zranić.
- Chyba zrobili sobie popas. Ciekawe, na jak długo?
- Chyba też czeszą teren w górę i w dół, jakby im do łba strzeliło, że są pieprzoną szczotką. Jeśli się nie mylę, to ich zobaczymy tam, na tym wierzchołku, potem zejną tą przecinką i wrócą pod górę prosto przed naszym nosem.
- Może masz rację, Paco.
- Powinniśmy ruszać.
- Lepiej poczekać do zmroku - odparł Ding. - Jak już wiemy, co robią, można się im wymykać.
- Może. Znosi się na deszcz. Ding, nie wydaje ci się, że raczej wrócą sobie do domciu i nie będą moknąć po głupiemu, tak jak my?
- Dowiemy się za godzinę, dwie.
- Będziemy mieli widzialność do dupy.
- Zgadza się.
- Patrz! - Guerra pokazał palcem.
- Widzę.

Chavez wycelował lornetką w odległą linię drzew. Zobaczył od razu dwóch, do których za niecałą minutę dołączyło następnych sześciu. Nawet z odległości kilku kilometrów widać było wyraźnie, że są zasapani i zziązani. Jeden zatrzymał się i pociągnął z butelki - czyżby piwo? - na otwartej przestrzeni, jakby się wystawiał na cel. Co to za hołota? - zastanawiał się Ding. Mieli na sobie zwykłe ubrania, bez najmniejszej troski o kamuflaż, ale poza tym sprzęt mieli taki jak Chavez. Karabinki wyglądały na AK-47, głównie ze składaną kolbą.

- Szóstka, tu Czoło, odbiór.
- Tu Szóstka.
- Mam na oku ośmiu... nie, dziesięciu ludzi z karabinkami AK, pół kilometra na wschód poniżej wierzchołka dwa-zero-jeden. W tej chwili nic nie robią, po prostu sobie stoją, odbiór.
- W którym kierunku patrzą, odbiór.
- Nigdzie, opieprzają się, panie kapitanie. Odbiór.
- Melduj, jak się coś ruszy - rozkazał kapitan Ramirez.

- Tak jest. Bez odbioru.

Chavez wrócił do lornetki. Jeden z ludzi pomachał ręką w kierunku wierzchołka.

Trzech innych ruszyło we wskazanym kierunku z wyraźnym ociąganiem.

- A cio to, dzidzi nie ce spinać sie na małą zasianą gólkę? - spytał Ding. Choć Guerra o tym nie wiedział, Chavez cytował swojego pierwszego sierżanta z Korei. - Chyba są zmęczeni, Paco.

- Świetnie. Może pójda sobie do domu.

Rzeczywiście byli zmęczeni. Wyznaczona trójka z mazołem wdrapała się na górę, skąd krzykiem dała znać pozostałym, że nic nie widzą. Reszta na dole stała na polanie, jakby nigdy nic. Durnie, zauważył Ding ze zdumieniem. Pewność siebie to cnota żołnierska, ale to nie była pewność siebie ani nie byli to żołnierze. Gdy trzech wspinaczy znalazło się mniej więcej w połowie drogi powrotnej, słońce przysłoniły chmury. Niemal natychmiast zaczął padać deszcz. Po zachodniej stronie góry zanosło się na większą tropikalną burzę. Dwie minuty za deszczem przyszła pierwsza błyskawica. Jeden piorun uderzył w sam wierzchołek góry, dokładnie tam, gdzie jeszcze niedawno stała trójka wspinaczy. Zawisł tam na zdumiewająco długi ułamek sekundy, jak palec rozgniewanego boga. Po chwili zaczęły uderzać wszędzie dokoła i lunęło na całego.

Nieograniczona widzialność zmniejszyła się, w najlepszym razie do promienia czterystu metrów, to rosnać, to znów malejąc wraz z pochodem matowych parawanów ulewy. Chavez i Guerra wymienili zatroskane spojrzenia. Ich zadanie polegało na obserwacji i słuchaniu, teraz zaś nie sięgali daleko wzrokiem, a słyszeli jeszcze mniej. Co gorsza, po burzy teren będzie mokry. Nie usłyszą szelestu liści ani trzasku przydeptywanych gałęzi. Wilgotność powietrza wytłumi dźwięki. Te fajłapy, które obserwowali, będą więc mogły niezauważenie podejść dużo bliżej do ich posterunku. Z drugiej strony, jeśli oddział zechce ruszyć, z tego samego powodu będzie mógł iść szybciej bez zwiększonego ryzyka, że zdradzi swą obecność. Jak zawsze, otoczenie było neutralne, dając przewagę tylko tym, którzy wiedzieli, jak je wykorzystać na swoją korzyść, a niekiedy także upośledzając jednakowo obie strony.

Burza trwała całe popołudnie, pozostawiając kilkadziesiąt milimetrów opadów deszczu. W odległości niespełna stu metrów od sierżantów uderzył piorun, dla obu doświadczenie całkiem nowe i tak samo przerażające jak kanonada artylerii, z nagłym wybuchem światła i huku. Potem już było tylko mokro, zimno i okropnie, gdy temperatura spadła poniżej piętnastu stopni.

- Ding, patrz do przodu na lewo - szepnął zaniepokojony Guerra.

- O kurwa! - Chavez nie musiał pytać, jak im się udało tak blisko podejść. Wciąż ogłuszeni przez piorun, na grząskim od deszczu poszyciu, widzieli dwóch ludzi niespełna dwieście metrów dalej.

- Szóstka, tu Czoło, mamy dwóch łebków dwieście metrów na południowy wschód od naszej pozycji - zameldował Guerra kapitanowi. - Bądźcie gotowi. Odbiór.

- Dobra, jesteśmy w pogotowiu - odpowiedział Ramirez. - Tylko bez nerwów, Paco.

Guerra w odpowiedzi przekręcił wyłącznik.

Chavez poruszał się bardzo wolno, unosząc broń do pozycji strzeleckiej; upewnił się, że broń jest zabezpieczona, ale nie spuszczał kciuka z bezpiecznika. Wiedział, że są prawie niewidoczni, dobrze zamaskowani ukształtowaniem terenu i gęstwiną młodych drzew. Obaj mieli na sobie farby maskujące i nawet z odległości piętnastu metrów nie powinni odróżniać się od otoczenia. Musieli zachowywać się spokojnie, bo ludzkie oko bardzo skutecznie wykrywa wszelki ruch, ale póki nie popełnią błędu, będą niewidoczni. Była to praktyczna demonstracja korzyści płynących z nauki dyscypliny w armii. Obaj sierżanci żalowali, że nie mają na sobie maskujących mundurów polowych, ale za późno było, żeby się tym martwić, a ich mundury khaki i tak przybrały brązową barwę od deszczu i błota. Bez zbędnych słów, każdy z nich zajął

najdogodniejsze stanowisko do obserwacji. Mogli porozumiewać się tylko szeptem i to wyłącznie w celu przekazywania sobie bardzo ważnych informacji.

- Słyszę coś z tyłu - cicho powiedział Chavez po dziesięciu minutach.

- Lepiej popatrz - odpowiedział Guerra.

Ding potrzebował trzydziestu sekund na odwrócenie głowy i ciała.

- O, o! - Zobaczył kilku ludzi rozkładających na ziemi materace. -

Rozbijają się na noc.

Teraz było już jasne, co się stało. Faceci, których obserwowali, kontynuowali marsz i wreszcie rozłożyli się z nocnym obozem wokół ich posterunku. Słyszeli i widzieli już przeszło dwudziestu mężczyzn.

- Zapowiada się upojna noc - szepnął Guerra.

- No. A ja bym się chętnie odlał. - Była to nieśmiała próba żartu. Ding spojrzał na niebo. Z ulewy zrobił się kapuśniaczek, ale nadal wisały gęste chmury. Wcześniej zapadnie zmrok, może za dwie godziny.

Wróg podzielił się na trzy grupy, co nie było takie głupie, ale każda z nich rozpałała ognisko do gotowania, co dla odmiany było bardzo głupie. Zachowywali się też hałaśliwie, rozmawiając, jakby zasiadali do obiadu w wiejskiej cantinie. Chavezowi i jego towarzyszowi w to graj. Mogli znów porozumieć się przez radio.

- Szóstka, tu Czoło, odbiór.

- Tu Szóstka.

- Szóstka, tego... - Chavez zawahał się. - Przeciwnik rozbił obóz wokół nas. Nie wiedzą, że tu jesteśmy.

- Powiedz, co zamierzacie robić.

- Na razie nic. Może spróbujemy wyjść stąd, jak będzie ciemno. Damy znać, kiedy.

- Dobra. Wyłączam się.

- Wyjść stąd? - szepnął Guerra.

- Nie ma sensu go martwić, Paco.

- Hej, mano, ja się martwię jak cholera.

- Martwienie się jeszcze nikomu nie pomogło.

Wciąż nie było odpowiedzi. Ryan wyszedł z biura po zwykłym z pozoru dniu pracy, na który składało się załatwianie zaległej korespondencji i raportów. Niewiele jednak z tej pracy udało się w pełni zrealizować. Nie opuszczały go natarczywe, odwracające uwagę myśli.

Kazał szoferowi jechać do Bethesdy. Nie zapowiedział się, ale wizyta w szpitalu nie powinna nikogo zaskoczyć. Ochrona apartamentu VIP-a była tak mocna jak zawsze, ale wszyscy tu już znali Ryana. Strażnik przy drzwiach potrząsnął smętnie głową, gdy Jack nacisnął klamkę. Zrozumiał ten sygnał. Zatrzymał się i zebrał w sobie. Greer nie powinien widzieć oznak szoku na twarzach gości. A Jack przeżył szok na widok admirała.

Ważył już niespełna pięćdziesiąt kilogramów, strach na wróble, który niegdyś był

mężczyzną, zawodowym oficerem marynarki, dowodzącym okrętami i ludźmi w służbie swojej ojczyzny. Pięćdziesiąt lat służby państwowej mizerniało teraz na łóżku.

Tu chodziło o coś więcej niż śmierć człowieka. Umierała cała epoka, pewien styl. Oto gasło pięćdziesiąt lat doświadczenia, mądrości i rozsądku. Jack usiadł przy łóżku i wyprosił oficera ochrony z pokoju.

- Cześć, szefie. Otworzył oczy.

Co mam teraz powiedzieć? Jak się pan czuje? Wspaniałe pytanie do umierającego człowieka!

- Jak podróż, Jack? - głos był słaby.

- W Belgii całkiem nieźle. Pozdrowienia od wszystkich. W piątek miałem odprawę z Fowlerem, tak jak pan z poprzednim kandydatem.

- Co o nim sądzisz?

- Wydaje mi się, że potrzebuje pomocy w polityce zagranicznej. Uśmiech:

- Ja też. Ale bardzo ładnie przemawia.

- Niezbyt dobrze mi poszło z jego doradcą, panią Elliot z Bennington. Wstrętny babsztyl. Jeśli jej szef wygra, to twierdzi, że mogę się pożegnać z robotą. -Nie powinien był tak mówić.

Greer usiłował się poruszyć, ale nie mógł.

- Wobec tego znajdź ją, pocałuj i przeproś. Jeśli będzie trzeba, to pocałuj ją w dupę na dziedzińcu Bennington. Kiedy wreszcie nauczysz się uginać czasami ten twój sztywny irlandzki kark? Spytaj kiedyś przy okazji Basila, jak bardzo lubi ludzi, z którymi musi pracować. Twoim świętym obowiązkiem jest służyć krajowi, Jack, a nie wyłącznie ludziom, którzy ci się podobają.

Cios zawodowego boksera nie sprawiłby mu dotkliwszego bólu.

- Tak, panie admirale. Ma pan rację. Muszę się jeszcze dużo nauczyć.

- Ucz się szybko, chłopcze. Nie zostało mi już czasu na dużo lekcji.

- Proszę tak nie mówić, panie admirale. - Ta odzywka zabrzmiała jak błaganie dziecka.

- Moje dni są już policzone, Jack. Niektórzy moi koledzy ze służby zginęli na Wyspach Salomona pięćdziesiąt lat temu, czy na Leyte, czy w wielu innych częściach oceanu. Ja miałem więcej szczęścia niż oni, ale i na mnie przyszła kolej. A ty masz przejąć moje obowiązki. Chcę, żebyś mnie zastąpił, Jack.

- Wciąż potrzebuję rad, panie admirale.

- Kolumbia?

- Mógłbym zapytać, skąd pan wie, ale nie zrobię tego.

- Kiedy ktoś taki jak Arthur Moore nie patrzy ci prosto w oczy, wiesz, że coś jest nie w porządku. Był tu w sobotę i nie patrzył mi w oczy.

- Okłamał mnie dzisiaj. - Ryan wyjaśniał przez pięć minut, co wie, co podejrzewa i czego się obawia.

- I chcesz wiedzieć, co robić? - spytał Greer.

- Z pewnością przydałyby mi się jakieś wskazówki, panie admirale.

- Nie potrzebujesz żadnych wskazówek, Jack. Starczy ci oleju w głowie. Masz wszelkie niezbędne kontakty. I wiesz, co jest dobre.

- Ale...

- Polityka? To gówno? - Greer był bliski śmiechu. - Jack, jak się tak leży beczynn timer w łóżku, wiesz,

O czym się myśli? O wszystkich tych sytuacjach, do których chciałoby się wrócić i zachować inaczej, wszystkich błędach, wszystkich ludziach, których można było lepiej potraktować i dziękuje się Bogu, że nie było jeszcze gorzej. Jack, nigdy nie pożałujesz uczciwości, nawet jeżeli nie obejdziesz się bez ludzkiej krzywdy. Kiedy zostałeś porucznikiem marines, składałeś przysięgę przed Bogiem. Teraz rozumiem, po co to robimy. To pomoc, nie groźba. To po to, aby przypomnieć, jak ważne są słowa.

Idee są ważne. Zasady są ważne. Słowa są ważne. Twoje słowo liczy się najwięcej.

Twoje słowo to ty. To moja ostatnia lekcja, Jack. Teraz radź sobie sam. - Umilkł. Jack widział,

jak przez pancerz mocnych środków uśmierzających przebija się ból. - Masz przecież rodzinę, Jack. Wracaj do swoich dzieci. Pozdrów je ode mnie i powiedz, że według mnie mają bardzo fajnego tatę i powinny być z niego dumne. Dobranoc, Jack. - Greer odpłynął w sen.

Jack nie wstawał przez kilka minut. Tyle mu bowiem zajęło dojście do siebie. Wylał

oczy i wyszedł z pokoju. Przed drzwiami natknął się na lekarza. Jack zatrzymał go i przedstawił się.

- Niestety, długo nie wytrzyma. Góra tydzień. Przykro mi, ale od początku nadzieje na wyleczenie były nikłe.

- Zróbcie wszystko, żeby nie cierpiał - rzekł cicho Ryan. Kolejna błagalna prośba.

- Robimy, co się da - odparł onkolog. - Dlatego większość czasu śpi. Za to w chwilach przebudzenia ma wciąż bardzo bystry umysł. Bardzo sympatycznie mi się z nim rozmawia. Lubię go. - Lekarz był przyzwyczajony do utraty swoich pacjentów, nigdy jednak nie cieszył się z tego powodu. - Za kilka lat może udałoby się nam go uratować. Postęp, niestety, nie nadąza.

- Tak już jest. Dziękuję za pański wysiłek. Dziękuję za troskliwą opiekę.

Ryan zjechał windą na parter i kazał szoferowi zawieźć się do domu. Po drodze znów przejechali obok świątyni mormonów, której marmury lśniły teraz w świetle reflektorów. Jack nie wiedział jeszcze dokładnie, co robi, ale był już pewien, co ma osiągnąć. Złożył milczącą obietnicę człowiekowi na łożu śmierci, a nie ma obietnicy bardziej wiążącej.

Chmury powoli się rozstępowały i wkrótce mogło przebić się światło księżyca.

Nadszedł czas. Wróg rozstawił posterunki wartowników. Patrolowali teren tak samo jak ci, którzy strzegli polowych rafinerii. Ogniska wciąż się paliły, lecz rozmowy ustały, bo znużeni ludzie szybko posnęli.

- Po prostu wyjdźmy razem, jakby nigdy nic - odezwał się Chavez. - Jak zobaczą, że się czołgamy albo skradamy, od razu pomyślą, że to wróg. A jak zwyczajnie przejdziemy, to jesteśmy swoi, nie?

- Niby tak - zgodził się Guerra.

Obaj przewiesili sobie karabiny przez piersi. Profil każdego z osobna wzbudziłby z pewnością podejrzenia wroga, lecz jeśli będą szli jeden przy drugim, kontury ich się rozmyją, a broń i tak mieli gotową do natychmiastowego użycia. Ding mógł polegać na swoim MP-5 SD2, jeśli zaszłaby potrzeba cichej egzekucji. Guerra zaś wziął ze sobą maczetę.

Metalowa klinga była oczywiście oksydowana, a błyszczało jedynie samo ostrze.

Guerra wspaniale posługiwał się bronią sieczną i wiecznie ostrzył stal. Był także oburęczny i trzymał maczetę luźno w lewej ręce, w prawej ściskając kolbę swojego M-16.

Drużyna przesunęła się już na linię oddaloną z grubsza o sto metrów od obozu, przez który mieli przejść, gotowa do wsparcia w razie potrzeby. Byłaby to dość ryzykowna akcja i wszyscy mieli szczerą nadzieję, że nie okaże się konieczna.

- Dobra, Ding, prowadź. - Guerra wprawdzie górował rangą nad Chavezem, w tej jednak sytuacji bardziej liczyły się umiejętności niż hierarchia.

Chavez zaczął schodzić, jak najdłużej wykorzystując naturalne osłony; następnie odbił

w lewo i na północ, coraz bliżej bezpiecznego miejsca. Gogle noktowizyjne zostawił w plecaku w bazie oddziału, ponieważ spodziewał się zmiany na posterunku przed zmierzchem. Przydałyby się teraz. Bardzo.

Dwaj żołnierze poruszali się jak najciszej, w czym pomagało im mokre poszycie, ale coraz trudniej było przebijać się przez gęste zarośla na obranej drodze. Pozostało jeszcze tylko trzysta lub czterysta metrów do bezpieczeństwa, ale tym razem okazało się to za daleko.

Nie szli przetartymi ścieżkami, jednak nie mogli ich całkowicie ominąć, a jedna z nich zataczała pętlę. Właśnie kiedy Chavez i Guerra ją przecinali, zaledwie trzy metry od nich pojawiło się dwóch mężczyzn.

- Co robicie poza obozem? - spytał jeden z nich. Chavez pomachał do nich przyjaźnie, łudząc się, że ten gest go powstrzyma, ale nieznajomy wraz ze swym kompanem u boku podeszli zdecydowanym krokiem, starając się zobaczyć, kto zacz. Gdy zdążył

zauważyć, że Ding ma nie taką broń jak trzeba, było już za późno dla wszystkich.

Chavez chwycił oburącz pistolet maszynowy i wystrzelił pojedynczy pocisk w brodę intruza, dziurawiąc mu czaszkę na wylot. Guerra z obrotu zadał cios maczetą i, tak jak w filmach, głowa upadła na ziemię. Obaj rzucili się, by pochwycić zwalające się ofiary, zanim narobią zbyt dużo hałasu.

Cholera! - pomyślał Ding. Teraz zorientują się, że ktoś tu jest. Nie było czasu na ukrycie ciał - mogliby natknąć się na innych ludzi. Skoro tak, lepiej w pełni wykorzystać zabójstwo. Znalazł odciętą głowę i złożył ją na piersi ofiary Guerry, gdzie spoczęła w objęciach bezwładnych rąk. Ostrzeżenie było wyraźne: Odpierdolcie się od nas!

Guerra skinął głową z aprobatą i ruszyli dalej. Po dziesięciu minutach usłyszeli splunięcie tuż obok po prawej stronie.

- Obserwuję was pół wieczności — rzekł Oso.

- Wszystko gra? - szepnął Ramirez.

- Spotkaliśmy po drodze dwóch facetów. Nie żyją - powiedział Guerra.

- Ruszajmy stąd, póki ich nie znajdą.

Nic z tego. Już po chwili usłyszeli odgłos padającego ciała, potem krzyk, potem wrzask, potem dziką serię z AK-47. Ogień poszedł wprawdzie w złym kierunku, wystarczył jednak, by obudzić wszystko, co żyje w promieniu dwóch kilometrów.

Wszyscy z drużyny włączyli sprzęt noktowizyjny, by czym prędzej przedrzeć się przez zarośla, gdy tymczasem cały obóz za nimi huczał od wrzasków i przekleństw skierowanych na wszystkie strony świata. Nie zatrzymywali się przez następne dwie godziny. Rozumieli już sytuację bez oficjalnych rozkazów z sieci satelitarnej: teraz to ich tropiono.

Zaczął się z niesłychaną prędkością, sto mil od Wysp Zielonego Przylądka. Kamery satelitów rejestrowały żywioł już od kilku dni na różnych częstotliwościach widzialnego spektrum. Zdjęcia przesyłano elektronicznie, wszędzie tam, gdzie znajdowało się odpowiednie wyposażenie, i statki już zmieniały kurs, by ominąć strefę zagrożenia. Znad zachodnioafrykańskiej pustyni unosiło się, tego już niemal rekordowo ciepłego lata, bardzo gorące, suche powietrze i wywiewane wschodnimi pasatami mieszało się z wilgotnym powietrzem oceanicznym, tworząc setki potężnych, burzowych cumulusów, które zaczęły się łączyć. Chmury sięgały nagrzanej powierzchni wody, wciągając w siebie dodatkowe ciepło i w ten sposób zwiększając posiadaną już energię. Gdy mieszanina ciepła, deszczu i chmur osiągnęła pewną krytyczną masę, burza zaczęła przybierać bardziej zorganizowaną formę. Specjaliści z Narodowego Centrum Huraganowego wciąż nie rozumieli, dlaczego tak się działo i dlaczego, w podobnych przecież okolicznościach, działo się to tak rzadko -teraz wszakże nie mieli wątpliwości, co się święci. Główny specjalista za pomocą komputera wyświetlał w przyspieszonym tempie sekwencje zdjęć satelitarnych, przewijał film z powrotem, znów odtwarzał. Widział wyraźnie. Chmury rozpoczęły wędrówkę po orbicie, wokół jednego punktu przestrzeni, odwrotnie do kierunku wskazówek zegara.

Powstawał na jego oczach huragan, wykorzystujący ruch obrotowy, aby spotęgować własną siłę, jakby wiedział, że tym sposobem zyska dodatkową energię. Takie sztormy zdarzały się wcześniej, w tym roku warunki jednak były wyjątkowo dobre do ich powstawania. Jakże pięknie wyglądały na fotografiach - jak abstrakcyjna sztuka -

pierzaste wiatraczki babiego lata.

A raczej, pomyślał główny specjalista, tak wyglądałyby, gdyby nie zabijały tylu ludzi.

Huraganom nadawano nazwy pochodzące od imion, a nie kolejne numery, ponieważ liczba była zbyt prozaiczna jako przyczyna śmierci - setki tysięcy czasami - ludzi. W

początkowej fazie były to niżej tropikalne, które, w miarę powiększania zasięgu i mocy, przeradzały się w huragany - miał teraz do czynienia z takim właśnie zjawiskiem: Adela.

Jedyną bodaj prawdziwą rzeczą w filmach jest to, pomyślał Clark, że szpiedzy spotykają się w barach. Bary spełniały pożyteczną funkcję w cywilizowanych krajach.

Wpadali tu mężczyźni na jednego czy więcej głębszych, spotykali się z innymi mężczyznami i nawiązywali rozmowy w przyćmionym świetle anonimowych salek, zazwyczaj przy akompaniamencie marnej muzyki, zagłuszającej słowa. Larson przyszedł z minutowym spóźnieniem i przemknął się do miejsca Clarka. Ta cantina nie miała stołków barowych, a jedynie prawdziwą mosiężną barierę do oparcia stóp.

Larson zamówił lokalne piwo, w czym Kolumbijczycy byli bardzo dobrzy. Byli dobrzy i w wielu innych dziedzinach, pomyślał Clark. Gdyby nie problem narkotyków, ten kraj mógłby zajść daleko. Ten kraj cierpiał... tak jak? Nie, jeszcze bardziej niż jego własny.

Rząd kolumbijski musiał zdać sobie sprawę, że prowadził wojnę przeciwko handlarzom i przegrywał... inaczej niż Ameryka? - dumiał oficer CIA. W

przeciwieństwie do Ameryki, władze Kolumbii były zagrożone? Tak, na pewno, jesteśmy w o wiele lepszej sytuacji niż ten kraj.

- No i? - spytał, gdy właściciel odszedł na drugi koniec baru. Larson mówił ściszym głosem, po hiszpańsku.

- Nie ma żadnej wątpliwości. Liczba uzbrojonych ludzi w służbie kartelu wyraźnie zmniejszyła się na ulicach.

- Gdzie się przerwali?

- Jeden facet powiedział mi, że na południowy zachód. Mówi się o jakiejś ekspedycji w górach.

- O, Boże - mruknął Clark.

- Co się dzieje?

- W górach jest około czterdziestu żołnierzy ze szturmowych oddziałów piechoty... -

wyjaśniał dalej przez kilka minut.

- Dokonaliśmy inwazji? - Larson spojrzał na kontuar. - Chryste Panie, co za tłuk wpadł na ten pomysł?

- Obaj pracujemy dla niego... dla nich, jak mi się zdaje.

- Niech to szlag! Wszystko można tym ludziom zrobić, tylko nie właśnie to, do cholery!

- Świetnie. Leć do Waszyngtonu i powiedz to ZDO. Jeżeli Ritterowi nie odbiło, każe ich szybko ewakuować, zanim komuś stanie się krzywda. - Clark odwrócił się.

Zamyślił się głęboko i niezbyt spodobał mu się możliwy rozwój wypadków.

Przypomniały mu się pewne ćwiczenia nocne z piechociarzami... - Może byśmy tak jutro rzucili okiem, co się tam dzieje?

- Chyba marzysz o tym, żebym się zdekonspirował? - zauważył Larson.

- Masz dobrą melinę? - Clark miał na myśli to, co każdy agent terenowy zapewnia sobie przed tajną misją, bezpieczne miejsce, w którym może się skryć w razie konieczności.

Larson obruszył się.

- A czy papież jest Polakiem?

- A co z twoją dziewczyną?

- Jeżeli jej też nie zapewnimy bezpieczeństwa, to już więcej na mnie nie liczcie. -

Agencja zachęcała do lojalności wobec tajnych współpracowników, nawet jeśli się z nimi nie sypiało, a Larson darzył normalnym sentymentem swoje długoletnie kochanki.

- Pojedziemy tam jako ekspedycja geologiczna, ale to już ostatni raz. Po tym wypadzie oficjalnie zostaniesz na moje polecenie zdekonspirowany i wrócisz do Waszyngtonu po następną robotę. Ona też. To rozkaz.

- Nie wiedziałem, że masz... Clark uśmiechnął się.

- Oficjalnie nie, ale wkrótce przekonasz się, że pan Ritter i ja rozumiemy się. Ja pracuję w terenie, a on respektuje moje decyzje.

- Ty to masz tupet.

Zamiast odpowiedzi Clark uniósł brew i przeszył Larsona groźnym spojrzeniem.

Cortez siedział w jedynym porządnym pomieszczeniu w całym domu. Była to kuchnia, duża jak na lokalny standard, ze stołem, na którym rozłożył radia, mapy oraz arkusz strat i zysków. Do tej pory stracił jedenastu ludzi w krótkich, gwałtownych i przeważnie cichych starciach - rubryka zysków pozostawała pusta, ale to w pełni odpowiadało jego celom. Czerwonym mazakiem zaznaczał tereny akcji na przezroczystej oprawie głównej mapy taktycznej. Natrafił na dwa, może trzy amerykańskie oddziały. O kontaktach wnioskował, rzecz jasna, na podstawie śmierci jedenastu ludzi. Wolał

wierzyć, że stracił jedenastu głupców, co oczywiście było względną miarą, szczęście bowiem też zawsze liczyło się na polu walki, lecz historia uczy, że najczęściej półgłówki giną najpierw, że darwinowska selekcja naturalna znajduje potwierdzenie również na polu bitwy. Planował stratę jeszcze około pięćdziesięciu ludzi, nim zrobi coś innego. Zawezwie wówczas posiłki, jeszcze dotkliwiej przerzedzając szeregi wodzowskich zauszników. Następnie zadzwoni do swego szefa i powie mu, że zidentyfikował dwóch albo trzech współzrądców kartelu, których ludzie zachowywali się dość dziwnie w polu - ma się rozumieć, już wiedział, których oskarży - a następnego dnia ostrzeże jednego z nich - również z góry wyznaczonego — że jego własny szef zachowuje się dość dziwnie, a on, Cortez, jest lojalny wobec całej organizacji, która go opłaca, a nie poszczególnych osobistości.

Jego plan zakładał, że Escobedo zostanie zlikwidowany. Było to konieczne i wcale nie napawało go smutkiem. Amerykanie zlikwidowali już dwóch doprawdy mądrych członków, a on przyczyni się do likwidacji dwóch pozostałych mózgow. Ocaleni wodzowie będą potrzebowali Corteza i będą wiedzieli, że go potrzebują. Jego pozycja szefa bezpieczeństwa i wywiadu osiągnie wyższą rangę miejsca przy okrągłym stole, gdy tymczasem reszta kartelu zostanie przebudowana wedle jego pomysłu na sprawniejszą i bezpieczniejszą organizację. Po roku będzie pierwszym wśród równych; jeszcze rok, a będzie już po prostu pierwszym. Nie będzie nawet musiał zabijać rywali.

Escobedo był wszak jednym z mądrzejszych, a okazał się tak podatny na manipulację.

Reszta będzie jak dzieci, bardziej zainteresowana pieniędzmi i drogimi zabawkami niż tym, co organizacja może naprawdę osiągnąć. Sam nie miał przejrzystej wizji celu.

Cortez nie należał do ludzi przewidujących dziesięć ruchów naprzód. Wystarczały mu cztery czy pięć.

Wrócił do map. Wkrótce Amerykanie wyczują groźbę jego operacji i odpowiednio zareagują. Otworzył teczkę i porównał fotografie lotnicze z mapami. Wiedział już, że Amerykanów dyslokował i wspierał prawdopodobnie jeden śmigłowiec. Ryzyko to zakrawało na głupotę. Czyż Amerykanie nie nauczyli się niczego o helikopterach na równinach Iranu? Musiał zidentyfikować możliwe lądowiska... rzeczywiście musiał?

Cortez zamknął oczy i nakazał sobie wrócić do podstawowych zasad. To właśnie było realne niebezpieczeństwo tego rodzaju operacji. Człowiek tak skupiał się na tym, co się w danej chwili dzieje, że tracił z oczu ogólny obraz sytuacji. Może był inny sposób.

Amerykanie już mu pomogli. Może pomogliby mu jeszcze raz? Jak miał do tego doprowadzić? Co mógł dla nich i przez nich zrobić? Co oni mogli zrobić dla niego?

Miał temat do rozmyślań na całą bezsenność.

Zła pogoda nie pozwoliła im wypróbować nowego silnika poprzedniej nocy i z tego samego powodu musieli czekać do trzeciej miejscowego czasu, aby ponowić próbę tej nocy. Pave Low nie mógł pokazywać się w świetle dziennym pod żadnym pozorem, bez wyraźnego rozkazu z góry.

Wózek wyciągnął śmigłowiec z hangaru, rozłożono i zablokowano wirnik, po czym włączono silniki. PJ i kapitan Willis zwiększyli obroty, a sierżant Zimmer tkwił już przy konsoli mechanika pokładowego. Odkołowali normalnie do pasa i rozpoczęli start, jak bywa z helikopterami, od nierównych podrygów, gdy tony metalu i paliwa z ociąganiem unosiły się w powietrze, jak dziecko wspinające się po raz pierwszy w życiu po drabinie.

Trudno było powiedzieć, co stało się najpierw. Do uszu pilota dotarł potworny zgrzyt, przedarłszy się przez ochronną gąbkę hełmofonu Dartha Vadera. Równocześnie, a może o milisekundę wcześniej, Zimmer zbyt głośno krzyknął na alarm przez telefon pokładowy. Tak czy owak, pułkownik Johns przerzucił wzrok na tablicę przyrządów i zobaczył, że wszystkie wskazania silnika numer 1 są do niczego. Willis i Zimmer zgasili razem silnik, a PJ wykonał nagły zwrot helikopterem, rad, że znajduje się tylko piętnaście metrów od ziemi. W niespełna trzy sekundy był już z powrotem na pasie i przerzucił silnik na jałowe obroty.

- Co jest grane?

- Nowy silnik, panie pułkowniku. Szlag go trafił, wygląda na to, że wysiadła sprężarka.

Po dźwiękach można się spodziewać czegoś jeszcze gorszego. Muszę się przyjrzeć, czy przy okazji nie uszkodziło się nic innego - zameldował Zimmer.

- Mieliście jakieś kłopoty z zamontowaniem go?

- Nie. Wszystko jak w instrukcji. To już drugi raz z tym typem silnika. Producent spieprzył coś z tymi nowymi łopatkami turbiny. Trzeba będzie przetestować całą serię silników, aż zidentyfikujemy problem, uziemić każdą maszynę, w której go zamontowali; u nas, w marynarce, armii, wszędzie.

W nowej konstrukcji silnika stalowe łopatki turbosprężarki zastąpiono ceramicznymi.

Zmniejszyła się masa - można było wziąć więcej paliwa - i cena - można było kupić więcej silników - w porównaniu ze starą konstrukcją, a próby producenta wykazały, że nowa wersja jest równie sprawna - to znaczy, dopóki nie weszły do normalnego wyposażenia. Pierwszy defekt spowodował rzekomo wessany ptak, lecz dwa śmigłowce marynarki z takimi silnikami spadły do morza i zniknęły bez śladu. Zimmer miał rację. Każdy śmigłowiec z tym silnikiem zostanie uziemiony, dopóki nie zrozumie się przyczyny i nie usunie wady.

- O, wspaniale, Buck - rzekł Johns. - A ten drugi zapasowy?

- Niech pan zgadnie, panie pułkowniku - zasugerował Zimmer. - Mógłbym kazać im przysłać stary z przeróbką.

- A jakie jest twoje zdanie?

- Chyba powinniśmy zamówić remont starego albo przełożyć dobry z innej maszyny z bazy Hurlburt.

- Chwyć za telefon - rozkazał pułkownik. - Chcę tu mieć dwa dobre silniki i to miгіem.

- Tak jest.

Członkowie załogi spojrzeli po sobie, zastanawiając się nad drugą kwestią. Co z ludźmi, których mieli wspierać?

Nazywał się Esteves i był także sierżantem sztabowym w Jedenastej Bravo. Nim to wszystko się zaczęło, należał do oddziału zwiadowczego Piątego Batalionu, Czternastego Pułku Piechoty, Pierwszej Brygady Dwudziestej Piątej Dywizji Piechoty Lekkiej z bazą w Schofield Barracks na Hawajach. Młody, twardy i dumny jak każdy z żołnierzy „Rewii”, był też zmęczony i sfrustrowany. A w tej chwili chory. Coś musiał

zjeść albo wypić. Jak będzie czas, zgłosi się do medyka drużyny i dostanie tabletki na żołądek, ale teraz kiszki mu skręcało, a ręce słabły bardziej, niżby sobie tego życzył.

Byli w terenie dokładnie o dwadzieścia siedem minut krócej niż oddział Nóż, ale nie natknęli się na wroga od czasu zniszczenia maleńkiego lotniska. Natrafili na sześć miejsc przeznaczonych na polowe rafinerie, w tym cztery niedawno używane, ale na żadnym nie było ludzi. Esteves pragnął wpisać się na listę strzelców, wierząc, że koledzy z innych drużyn zarobili już punkty. Podobnie jak Chavez, wychował się w dzielnicy gangów, choć w przeciwieństwie do Dinga mocno się z jednym związał, dopóki los nie zerwał tej więzi tak gwałtownie, że kazał mu pchać się do wojska.

Również w przeciwieństwie do Chaveza, sam kiedyś brał narkotyki, dopóki jego siostra nie wstrzyknęła sobie dawki wzmocnionej heroiny. Na jego oczach zgasła, jakby ktoś wyrwał wtyczkę z gniazdka. Odnalazł nazajutrz w nocy handlarza i wstąpił

do armii w obawie przed sprawą o morderstwo; ani mu przez myśl nie przeszło, że zostanie zawodowym żołnierzem, ani mu się nie śniło, że są w życiu inne możliwości niż praca w myjni samochodowej i zasiłki dla bezrobotnych. Z entuzjazmem powitał tę szansę wyrównania porachunków z mętami, które zabiły mu siostrę i zniewoliły przyjaciół. Ale jeszcze ani jednego nie zabił, nie wpisał się na listę strzelców.

Zmęczenie i frustracja stanowiły groźną mieszankę w obliczu wroga.

Wreszcie, pomyślał. Zobaczył płomień ogniska pół kilometra dalej. Zrobił, co do niego należało, meldując obserwację kapitanowi, czekając, aż drużyna rozdzieli się na dwie grupy, by wreszcie wkroczyć do akcji i skosić z dziesięciu ludzi wykonujących swój idiotyczny taniec w kwasie. Mimo zmęczenia i zapału, dyscyplinę nauczył się stawiać na pierwszym miejscu w życiu. Poprowadził swoich dwóch ludzi na dobrą pozycję wspierającą, gdy tymczasem kapitan zajął się grupą szturmową. Dokładnie w chwili, gdy zdał sobie sprawę, że dzisiejsza noc okaże się inna, tak też się stało.

Nie było wanny ani plecaków z liściami, tylko piętnastu uzbrojonych ludzi. Wystukał

sygnał alarmowy przez radio, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nie zauważył, że dziesięć minut

wcześniej gałąź złamała antenę. Stał, zastanawiając się, co robić, rozglądając się za jakimś znakiem, wskazówką, a dwóch żołnierzy u jego boku zachodziło w głowę, co się, do licha, dzieje. Wtedy znów złapał go skurcz żołądka. Esteves zgiął się wpół, potknął się o korzeń i upuścił karabin, który nie wypalił, ale kolba uderzyła o ziemię na tyle mocno, że zamek przeskoczył, wydając metaliczny szczęk. Wówczas właśnie zorientował się, że siedem metrów dalej jest człowiek, którego obecności wcześniej nie odkrył.

Człowiek ten nie spał; masował obolałe łydki, żeby łatwiej zasnąć. Nagły hałas zaskoczył go. Pierwszą reakcją było niedowierzanie; skąd się tu ktoś wziął? Zadbał

przecież, żeby nikt z towarzyszy nie wyszedł poza posterunek wartowniczy. Ten dźwięk jednak świadczył o obecności człowieka, a przyczyną musiała być metalowa broń. Jego oddział ostrzeżono już o starciach z... wszystko jedno z kim, ważne, że tamci zabili kolegów. Spowodowało to, że uczucie zaskoczenia natychmiast zmieniło się w lęk. Obrócił karabin w lewo i wystrzelił cały magazynek. Cztery pociski trafiły Estevesa, który zdążył jeszcze przed śmiercią przekląć parszywy los. Jego dwóch towarzyszy przeczesano ogniem miejsce, z którego padły strzały, masakrując sprawcę.

Tymczasem pozostali przy ognisku zerwali się na nogi i rozbiegli po całym terenie.

Grupa szturmowa nie dotarła jeszcze na pozycję. Kapitan logicznie zareagował na strzelaninę. Jego grupa wspierająca wpadła w zasadzkę, więc musiał jak najszybciej przedostać się do celu, by pójść swoim żołnierzom na odsiecz. Żołnierze grupy wspierającej skierowali ogień na obozowisko i niebawem przekonali się, że w okolicy jest więcej ludzi. Większość z uciekających wpadła na grupę szturmową, która biegła w ich kierunku.

Gdyby ktoś sporządził odpowiedni raport z akcji, napisałby zapewne już na wstępie, że obie strony straciły panowanie nad sytuacją. Kapitan prowadzący drużynę zachował się nierozważnie i zamiast zostać na tyłach

i wszystko przemyśleć, poprowadził ludzi na czele i poległ jako jeden z pierwszych.

Reszta drużyny nie miała już dowódcy, nawet o tym nie wiedząc. Męstwo pojedynczych żołnierzy nie zmalało na jotę, lecz żołnierze to, po pierwsze, drugie i ostatnie, członkowie grup, z których każda jest żyjącym, myślącym organizmem, którego całkowita siła jest większa niż suma części składowych. Bez przywództwa i komend, polegali tylko na szkoleniu, ale gubili się w okropnym hałasie i ciemnościach.

Obie grupy ludzi przemieszały się już ze sobą, a brak szkolenia i przywództwa u Kolumbijczyków był teraz mniej ważny, walka bowiem toczyła się pomiędzy poszczególnymi osobnikami z jednej strony i wzajemnie wspierającymi się parami z drugiej. Wszystko trwało bez mała pięć chaotycznych i krwawych minut. Pary wygrały. Zabijały z poświęceniem i skutecznością, po czym odczołgały się z pola bitwy, by wreszcie dobrnąć do swego obozowiska, podczas gdy pozostali przy życiu wrogowie nadal strzelali, przeważnie w swoich własnych towarzyszy. Tylko pięciu dotarło do punktu zbornego, trzech z grupy szturmowej i dwójka Estevesa z grupy wspierającej. Połowa drużyny poległa, w tym kapitan, medyk i radiotelegrafista.

Żołnierze wciąż nie wiedzieli, z kim mieli do czynienia - przez brak łączności nie zostali w porę ostrzeżeni przed prowadzoną przeciwko nim operacją kartelu. To, co wiedzieli, było jednak wystarczająco ponure. Wrócili do bazy, spakowali plecaki i ruszyli w drogę.

Kolumbijczycy wiedzieli mniej i jednocześnie więcej. Wiedzieli, że zabili pięciu Amerykanów - jeszcze nie znaleźli Estevesa - i że sami stracili dwudziestu sześciu ludzi, z których kilku poległo zapewne od ognia własnych towarzyszy. Nie wiedzieli, czy komuś udało się zbiec, nie znali liczby oddziału, który ich zaatakował, nie wiedzieli nawet, że zostali faktycznie zaatakowani przez Amerykanów - wprawdzie znaleźli przy nich amerykańską broń, lecz M-16 były popularne w całej Ameryce Południowej.

Podobnie jak ci, których przegonili, wiedzieli, że stało się coś strasznego. Zbierali się w grupę, siadali, wymiotowali i przeżywali pobitewny szok, przekonawszy się po raz pierwszy, że samo posiadanie broni automatycznej jeszcze nie czyni z nich bogów.

Szok stopniowo ustąpił wściekłości, gdy zaczęli zbierać poległych.

Drużyna Bandera - a raczej to, co z niej zostało - nie mogła pozwolić sobie na ten luksus. Nie mieli czasu zastanawiać się, kto wygrał, a kto przegrał. Każdy z nich nauczył się przerażającej lekcji bojowej. Ktoś bardziej wykształcony mógłby zauważyć, iż świat nie jest deterministyczny, lecz pięciu członków Bandery pocieszało się tą najbardziej ponurą z żołnierskich obserwacji: Zawsze można wdepnąć w gówno.

Rozdział 24

REGUŁY GRY

Clark i Larson wyruszyli na długo przed świtem na południe, znów w wypożyczonej furgonetce subaru z napędem na cztery koła. Z przodu leżała teczka, z tyłu zaś kilka pudeł z próbkami skał, przykrywającymi dwa pistolety Beretta z lufami nagwintowanymi pod tłumiki. Aż żal było maltretować spluwy w jednym pudle ze wszystkimi kamieniami, lecz żaden z mężczyzn nie zamierzał brać ze sobą broni po akcji do domu, a obaj mieli zresztą nadzieję, że nie zrobią z niej użytku.

- Czego właściwie szukamy? — spytał Larson po godzinnej albo i dłuższej ciszy.

- Wydawało mi się, że wiesz. Czegoś nadzwyczajnego.

- Widok ludzi wałęsających się z karabinami nie jest w tych stronach niczym nadzwyczajnym, jeśli jeszcze nie zdążyłeś zauważyć.

- Zorganizowane akcje?

- Też, ale to już nam daje wiele do myślenia. Wojska raczej tu dziś nie zobaczymy -

powiedział Larson.

- Dlaczego?

- Partyzanci znów zaatakowali zeszłej nocy niewielki posterunek armii; słyszałem dziś rano w radiu. M-19 albo FARC pokazuje rogi.

- Cortez - rzekł natychmiast Clark.

- Tak, to się trzyma kupy. Odciągnąć armię w inne miejsce.

- Muszę się spotkać kiedyś z tym chłopcem - oznajmił Clark umykającemu za oknami krajobrazowi.

- I? - spytał Larson.

- A jak sądzisz? Łotr maczał palce w zamachu na naszego ambasadora, dyrektora FBI i szefa Agencji do Walki z Narkotykami, do tego dorzucił kierowcę i ludzi z ochrony.

To terrorysta.

- Chcesz go przerzucić do Stanów?

- Czy wyglądam na gliniarza? — odparł Clark.

- Stary, my nie...

- Ja jak najbardziej. Czyżbyś zapomniał te dwie bomby? Zdaje się, że byłeś przy tym.

- To było...

- Coś innego? - Clark zachichotał. - Zawsze to mówią: Ale to coś innego. Larson, ja nie chodziłem do Dartmouth, tak jak ty, i może jestem za tępy na tę subtelną różnicę.

- To nie pierdolony film szpiegowski! - rzucił gniewnie Larson.

- Carlos, gdyby to był film, to zamiast ciebie siedziałyby tu blondyna z dużym cycem w luźnej bluzce. Jeśli chcesz wiedzieć, to ja tkwię w tym interesie od czasu, kiedy ty kierowałeś samochodami firmy Match-box, a nie zdarzyło się, żeby podłożyła mi się jakaś panienka podczas pracy. Nigdy. Ani razu. Parszywy los. - Mógłby dodać, że jest żonaty i związek traktuje poważnie, ale po co peszyć chłopaka? Osiągnął zamierzony efekt. Larson uśmiechnął się. Atmosfera się rozluźniła.

- No to chyba pod tym względem jestem lepszy, panie Clark.

- Gdzie jest dziewczyna?

- W Europie, do końca tygodnia. Zostawiłem jej wiadomość w trzech miejscach... To znaczy, ostrzeżenie, że ma się zmyć. Jak tylko wróci, ma złapać pierwszy lot do Miami.

- Świetnie. Ta operacja jest wystarczająco skomplikowana. Kiedy już będzie po wszystkim, ożeń się z dziewczyną, ustatkuj, załóż rodzinę.

- Myślałem o tym. Tylko że... czy można z taką robotą...

- Twoja robota jest statystycznie mniej niebezpieczna niż prowadzenie sklepu monopolowego w wielkim mieście. A przecież ich właściciele zakładają rodziny.

Podczas trudnej misji gdzieś na końcu świata na duchu podtrzymuje cię właśnie świadomość, że masz do kogo wrócić. Możesz mi zaufać, synu.

- Ale na razie jesteśmy na terenie, który chciałeś obserwować. Co robimy?

- Trzeba powęszyć po bocznych drogach. Nie jedź za szybko. - Clark opuścił szybę i zaczął dosłownie wachać powietrze. Następnie otworzył teczkę i wyciągnął mapę topograficzną. Zamilkł na kilka minut, wczuwając się w sytuację. W górach byli żołnierze wyszkoleni w penetracji indiańskiej dżungli, którzy chcieli uniknąć kontaktu z polującymi na nich Kolumbijczykami. Musiał dokładnie wczuć się w ich położenie, spoglądając to na teren, to na mapę. - Boże, zabiłbym człowieka za dobre radio. -

Twoja wina, Johnny, powiedział do siebie Clark. Powinieneś był tego zażądać.

Powinieneś był powiedzieć Ritterowi, że ktoś musi utrzymywać z ziemi łączność z żołnierzami, a nie tylko przez radio satelitarne, jakby to były jakieś ćwiczenia sztabowe.

- Po to, żeby z nimi pogadać?

- Pomyśl, chłopie, jaką ochronę do tej pory widziałeś?

- No, właściwie żadnej.

- Zgadza się. Gdybym miał radio, mógłbym wycofać ich z gór i wtedy zabralibyśmy ich stąd na czysto, zawieźli na pieprzone lotnisko, a stamtąd odlecieliby już do domciu -

rzekł Clark z wyraźnym żalem w głosie.

- To wariac... A niech to, masz rację. Rzeczywiście, sytuacja jest idiotyczna. - Larsona wreszcie oświeciło; był zdumiony, że dopiero teraz pojął całą groźbę sytuacji.

- Zapamiętaj sobie: masz przykład, co się dzieje, jak kierujesz operacją z Waszyngtonu, a nie z terenu. To nauczka na przyszłość. Sam kiedyś możesz prowadzić podobne misje. Ritter rozumuje jak szef siatki szpiegowskiej, a nie agent terenowy, tak jak ja; za długo już nie pracował w terenie. To największy problem w Langley: faceci, co reżyserują całe to przedstawienie, zdążyli zapomnieć, jak tu jest, a reguły gry bardzo się zmieniły od czasu, kiedy obsługiwali wszystkie swoje skrzynki kontaktowe w Budapeszcie. Poza tym mamy tu do czynienia z zupełnie inną sytuacją, niż im się zdaje. To już nie jest zwykła operacja wywiadowcza, ale wojna na mniejszą skalę.

Trzeba też wiedzieć, kiedy się nie konspirować. To przecież zupełnie nowa gra.

- Nie przerabiali z nami takich rzeczy na Farmie.

- Nic dziwnego. Większość nauczycieli to banda zgrzybiałych... -Clark umilkł. -

Zwolnij trochę.

- Co się stało?

- Zatrzymaj się.

Larson posłuchał i zjechał na pobocze. Clark, wyciągnąwszy kluczyki ze stacyjki, wyskoczył z teczką, co wyglądało bardzo dziwnie. Następnie otworzył tylne drzwi i rzucił kluczyki Larsonowi. Pogrzebał w jednym z pudeł i spod próbek złotoносnych skał wydobył berettę i tłumik. Miał na sobie traperską kurtkę, doskonale kryjącą na lędźwiach pistolet razem z tłumikiem i resztą. Dał ręką znać Larsonowi, żeby został w aucie i jechał wolno za nim. Sam ruszył pieszo z mapą i fotografią w rękach. Zbliżył się do zakrętu drogi; zaraz za nim stała ciężarówka. Koło niej kręcili się uzbrojeni ludzie.

Wpatrywał się w mapę, gdy zaczęli doń krzyczeć. Podniósł głowę z niekłamanym zaskoczeniem. Jeden z mężczyzn poderwał AK w sposób niewymagający komentarza: Do mnie, bo zastrzelę.

Larson omal nie posikał się w spodnie, ale Clark spokojnie dał mu znak, żeby podjechał za nim i jakby nigdy nic podszedł do ciężarówki. Platformę zakrywał

brezent, ale Clark wiedział już, co się pod nim znajdowało. Miał dobry węch. Dlatego właśnie zatrzymał się przed zakrętem.

- Dzień dobry - powitał najbliższego mężczyznę z karabinem.

- Zły dzień wybrałeś na spacer po tej drodze, przyjacielu.

- Mówił mi, że będziecie w okolicy. Mam pozwolenie - odparł Clark.

- Co? Pozwolenie? Od kogo pozwolenie?

- Od senora Escobedo, oczywiście - dosłyszał Larson. Chryste, to nieprawda, błagam powiedz mi, że to wszystko sen!

- Kim jesteś? - spytał mężczyzna z mieszaniną wściekłości i znużenia.

- Jestem geologiem. Szukam złota. Tu - powiedział Clark, odwracając zdjęcie. - O tu, gdzie zaznaczyłem, jestem pewien, że tu jest złoto. Ma się rozumieć, nie przyjechałbym tu bez pozwolenia senora Escobedo, a on kazał mi mówić każdemu, kogo spotkam, że jestem tu pod jego ochroną.

- Złoto... Szukasz złota? - spytał drugi, dołączywszy do nich. Ten pierwszy mu natychmiast ustąpił i Clark zorientował się, że rozmawia z szefem.

- Si. Proszę podejść, to wam pokażę. - Clark poprowadził ich na tył subaru i wyciągnął

dwie próbki skał z kartonu. - Moim kierowcą jest senior Larson. To on przedstawił

mnie senior Escobedo. Jeśli panowie znają senior Escobedo... Muszą panowie go znać, tak?

Mężczyzna wyraźnie nie wiedział, co robić i co o tym sądzić. Clark mówił dobrze po hiszpańsku, z lekkim akcentem i tak naturalnie, jakby pytał policjanta o drogę.

- O, proszę spojrzeć - powiedział Clark, wskazując na skałę. - To jest złoto. Kto wie, czy to nie największe złoża od czasów Pizarra. Myślę, że senior Escobedo i jego przyjaciele wykupią te ziemie.

- Nic mi o tym nie mówili - spuścił z tonu nieznajomy.

- Oczywiście. Bo to tajemnica. I muszę ostrzec pana, senior, żeby nie opowiadał pan o tym nikomu, bo rozmówi się z panem senior Escobedo!

Larson ostatnim wysiłkiem opanowywał ciśnienie pęcherza.

- Kiedy odjeżdżamy? - zawołał ktoś z ciężarówki.

Clark rozejrzał się, gdy tymczasem dwóch uzbrojonych mężczyzn zastanawiało się, co robić. Kierowca i może jeszcze ktoś w kabinie. Nie słyszał ani nie widział nikogo więcej. Ruszył w stronę ciężarówki. Jeszcze dwa kroki i zobaczył, co chciał, a jednocześnie obawiał się zobaczyć. Spod krawędzi brezentu wystawał koniec lufy karabinu M-16A2. Decyzję podjął w ciągu niespełna sekundy. Sam zdziwił się, jak stare nawyki wciąż doń powracają.

- Stój!-krzyknął przywódca.

- Czy mogę załadować parę próbek na waszą ciężarówkę? - spytał Clark, nie odwracając się. - Dla senior Escobedo? Będzie z pewnością bardzo uradowany, gdy zobaczy, co znalazłem. Zapewniam pana - dodał Clark.

Dwaj mężczyźni rzucili się za nim ze zwieszonymi w rękach karabinami. Zbliżyli się na trzy metry i wtedy Clark się odwrócił. Podczas obrotu lewa ręka wymachiwała mapą i fotografią, podczas gdy prawa, pozornie nieruchoma, sięgnęła za pas po berettę.

Żaden nie zauważył, co się święci - spostrzegł Larson. Zrobił to tak gładko...

- Nie na tę ciężarówkę, senior, muszę...

Zaskoczyła go jeszcze jedna niespodzianka, tym razem ostatnia. Ręka Clarka poderwała się w górę i wypaliła prosto w czoło mężczyzny z odległości półtora metra.

Nim przywódca zdążył upaść, jego towarzysz też już nie żył z tej samej przyczyny.

Clark natychmiast przeszedł na prawą stronę ciężarówki. Wskoczył na stopień pod drzwiami szoferki i zobaczył, że w środku siedzi tylko kierowca, który również dostał

strzał w głowę. Larson tymczasem wyskoczył z samochodu. Podchodząc od tyłu do Clarka, o mały włos sam nie zainkasował kuli.

- Nigdy tego nie rób! - powiedział Clark, zabezpieczając pistolet.

- Chryste, ja tylko...

- Trzeba uprzedzić o swojej obecności w takich sytuacjach. O mało nie zginąłeś, bo skąd miałem wiedzieć, że to ty? Pamiętaj o tym. Chodź tu. - Clark wskoczył na platformę ciężarówki i odrzucił plandekę.

Większość poległych to byli miejscowi, sądząc po ubraniach, ale dwie twarze Clark skądś znał. Po chwili już sobie przypomniał...

- Kapitan Rojas. Przykro mi, chłopie — rzekł cicho do bezwładnego ciała.

- Kto?

- Dowódca drużyny Bandera. Jeden z naszych. Te skurwiele zabiły naszych ludzi -
dodał znużonym głosem.

- Wygląda na to, że nasi chłopcy nieźle się też spisali...

- Naucz się jednego, chłopcze. W polu są dwa rodzaje ludzi: twoi i obcy. Druga kategoria obejmuje także niebiorących udziału w walce i robisz wszystko, żeby ich oszczędzić, jeśli masz na to czas, ale naprawdę liczą się dla ciebie tylko swoi. Masz chustkę?

- Dwie.

- Daj mi obie i załaduj tych dwóch na ciężarówkę.

Clark zdjął korek podwieszony pod kabiną zbiornika paliwa. Związał dwie chustki i zatkał wlew. Bak był pełny i materiał natychmiast nasiąknął benzyną.

- Wracamy do samochodu. - Clark odkręcił tłumik i wrzucił go wraz z pistoletem do pudła z próbkami, zamknął tylne drzwi i siadł na przednim siedzeniu. Wcisnął

samochodową zapalniczkę. - Podjedź blisko niego.

Larson usłuchał i zrównał się z ciężarówką, akurat kiedy zapalniczka wyskoczyła gotowa do użytku. Clark wyjął ją i dotknął nasiąkniętych chusteczek. Zająły się w mgnieniu oka. Nie trzeba było mówić Larsonowi, żeby dodał gazu. Przejeżdżali następny zakręt, gdy ogień buchnął na dobre.

- Teraz gazu do miasta - rozkazał następnie Clark. - Jak można najszybciej dostać się do Panamy?

- Mogę cię przetrzucić w dwie godziny, ale to oznacza...

- Masz kody radiowe, żeby połączyć się z bazą Sił Powietrznych?

- Tak, ale...

- Jesteś już poza tym krajem. Twoja legenda jest doszczętnie spalona

- rzekł Clark. - Daj znać swojej dziewczynie, zanim wróci. Niech zdezerteruje, opuści statek, czy jak to powiedzieć w przypadku samolotu, byle tylko tu nie wracała. Też jest spalona. Obojgu wam grozi śmiertelne niebezpieczeństwo - koniec żartów. Ktoś mógł nas obserwować. Ktoś mógł zauważyć, że mnie tu przywiozłeś. Ktoś mógł

zwrócić uwagę, że dwa razy pożyczyleś ten samochód. Najprawdopodobniej nie, ale w tym fachu człowiek nie dożywa starości, podejmując niepotrzebne ryzyko. Już nic nie macie do roboty przy tej operacji, więc czym prędzej spieprzajcie stąd.

- Tak jest. - Larson odezwał się, dopiero gdy dojechali do autostrady. - To, co zrobiłeś...

- O co chodzi?

- Miałeś rację. Nie możemy pozwolić, żeby...

- Mylisz się. Wcale nie wiesz, dlaczego to zrobiłem, prawda? - spytał Clark. Mówił, jakby prowadził lekcję w szkole, ale podał tylko jeden powód. - Patrzysz na to oczami szpiega, a to już nie jest operacja wywiadowcza. Tam, w tych górach, walczą i kryją się nasi ludzie, żołnierze. Chciałem podrzucić wrogowi fałszywy trop. Jeśli pomyślą, że nasi ludzie zjawili się tu, aby pomścić swoich zabitych, w ten sposób może część łośców zejdzie na dół, zaczną węszyć, nie tam, gdzie trzeba i odwróci uwagę od naszych chłopaków. Niewiele, ale nic więcej nie dało się zrobić. - Po chwili milczenia dodał: - Nie powiem, że nie sprawiło mi to przyjemności. Nie lubię patrzeć, jak zabijają naszych ludzi i wkurwia mnie, jak mi nie wolno nic z tym zrobić. To samo powtarza się od lat

- na Bliskim Wschodzie, wszędzie - giną nasi, a my nie kiwniemy nawet zasranym palcem. Tym razem miałem dodatkowe powody. Długo na to czekałem. I wiesz co?

Rzeczywiście mi ulżyło - przyznał chłodno Clark. - A teraz stul pysk i jedź. Muszę trochę pomyśleć.

Ryan był w swoim biurze, wciąż milczący, zamyślony. Sędzia Moore wyjeżdżał z miasta pod każdym pretekstem. Ritter też spędzał mnóstwo czasu poza biurem.

Jacknie mógł więc zadawać pytań i żądać odpowiedzi. Z tego samego powodu Ryan był teraz najwyższym urzędnikiem obecnym w biurze, spadło więc na niego mnóstwo cudzych obowiązków; dokumentów i rozmów telefonicznych. Może powinien to wykorzystać. Jednego był pewien. Musiał dowiedzieć się, co jest grane. Nie miał też wątpliwości, że Moore i Ritter popełnili dwa błędy. Po pierwsze, sądzili, że Ryan o niczym nie wie. Nie docenili go. Zaszedł tak daleko w Agencji tylko dlatego, że umiał

dochodzić prawdy. Po drugie, pochopnie założyli, że brak doświadczenia powstrzyma go w zbyt uporczywych dociekaniach, nawet jeśli zacznie się czegoś domyślać. W

zasadzie obaj myśleli jak biurokraci. Ludzie, którzy całe życie podporządkowali biurokracji, przeważnie bali się wszelkich odstępstw od ustalonych reguł. Żyli w ciągłym strachu przed utratą posady i sami utrzymywali innych w przekonaniu, że nie warto się wychylać. Ale w tej kwestii Jack podjął decyzję wiele lat temu. Nie wiedział, jaki właściwie ma zawód. Był już żołnierzem piechoty morskiej, maklerem, profesorem historii, wreszcie wstąpił do CIA. W każdej chwili mógł wrócić na uczelnię.

Uniwersytet Wirginii proponował już Cathy profesurę zwyczajną na wydziale medycznym i nawet Jeff Pelt wyraził życzenie, by Ryan jako gościnnie wykładający ożywił wydział historii. Przyjemnie byłoby znów pouczyć, pomyślał Jack. Praca też łatwiejsza niż to, co robił tutaj. Obojętnie, jaką przyszłość wybierze, nie będzie niewolnikiem obecnego stanowiska, a James Greer udzielił mu rady, jakiej potrzebował: Rób to, co uważasz za dobre.

- Nancy. - Jack nacisnął guzik interkomu. - Kiedy wraca pan Ritter?

- Jutro rano. Musiał spotkać się z kimś na Farmie.

- Dobrze, dziękuję. Mogłabyś zadzwonić do mojej żony i zawiadomić ją, że wrócę dziś do domu dosyć późno?

- Oczywiście, panie doktorze.

- Dzięki. Potrzebne mi są dokumenty weryfikacji traktatu o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej średniego zasięgu, wstępny raport Biura Studiów i Programów Broni Strategicznych.

- Doktor Molina wyjechał z sędzią do Surmy vale - powiedziała Nancy. Tom Molina był szefem Biura Studiów, które opiniowało prace dwóch innych departamentów nad procedurą weryfikacyjną traktatu.

- Wiem. Chciałbym tylko przejrzeć raport, żebym mógł omówić go z nim, jak wróci.

- Zajmie mi to piętnaście minut.

- Nie ma pośpiechu - odparł Jack i wyłączył interkom.

Z tym dokumentem i sam król Salomon biedziłby się całe trzy dni, a jemu dawał

całkiem przekonujący pretekst do zostania dłużej w biurze. Kongres biedził się nad pewnymi szczegółami technicznymi, gdy obie strony dążyły do zniszczenia swych ostatnich wyrzutni. Ryan i Molina mieli być przesłuchiwani w tej sprawie w przyszłym tygodniu. Jack wysunął blat do pisania z prawej strony biurka, wiedząc już, co robi, gdy Nancy i reszta personelu biura pójdą do domu.

Cortez był bardzo bystrym obserwatorem politycznym. Dlatego między innymi tak młodo awansował na pułkownika w tak zbiurokratyzowanej organizacji jak DGI.

Wzorowana na KGB, obrosła już całą kolekcją urzędników, inspektorów i oficerów ochrony do tego stopnia, że amerykańska CIA to przy niej kółko gospodyń domowych

- tym bardziej więc zdumiewało porównanie skuteczności obu agencji. Mimo niewątpliwych zalet, Amerykanom brakowało politycznej woli, trwonili bowiem czas na kłótnie o całkiem oczywiste sprawy. W Akademii KGB jeden z wykładowców porównał ich do dawnego polskiego sejmu, zbieraniny przeszło pięciuset szlachciców, z których wszyscy bez wyjątku musieli wyrazić zgodę, nim cokolwiek uchwalono - i z tej też przyczyny nie uchwalono nigdy niczego, zostawiając Polskę na pastwę tych, którzy potrafili podjąć prostą decyzję.

W tym jednak przypadku Amerykanie ruszyli na całego, działali stanowczo i skutecznie. Co się zmieniło?

To, co się zmieniło - co musiało się zmienić w tym przypadku - polegało na tym, że Amerykanie łamali własne prawa. Zareagowali emocjonalnie... nie, to nie fair, pomyślał

Felix. Odpowiedzieli siłą na bezpośrednią i arogancką prowokację, tak jak zareagowałiby Sowieci, choć z drobnymi różnicami taktycznymi.

Jedyny emocjonalny aspekt tej reakcji polegał na tym, że postąpili odpowiednio tylko poprzez złamanie niewzruszalnych praw nadzoru nad działalnością wywiadu. A przecież był to w Ameryce rok wyborów prezydenckich...

- Ha.,- rzekł Cortez. - Czyżby to było aż tak proste? Amerykanie, którzy raz już mu pomogli, zrobią to ponownie. Musiał tylko zidentyfikować właściwy cel. Zajęło mu to jedynie dziesięć minut. Stopień pułkownika pasował do tej sytuacji jak ulał. W całym stuleciu historii Ameryki Łacińskiej takie akcje podejmowali zawsze pułkownicy.

Co na to powiedziała by Fidel? Cortez z trudem powstrzymał się od wybuchu śmiechu na samą myśl. Dopóki bowiem ten brodaty ideolog oddychał, dopóty nienawidził

Norteamericanos, tak jak ewangelista nienawidzi grzechu, cieszył się z każdego nadeptnięcia im na nagniotek, podrzucił swoich kryminalistów i wariatów pocziwemu Carterowi. Wszyscy mogli wykiwać tego głupca, pomyślał Cortez z rozbawieniem, który stosował przeciwko nim każdy możliwy gambit partyzanckiej dyplomacji. Ten numer by mu się spodobał. Teraz Felix musiał tylko wymyślić sposób przekazania wiadomości. Była to z jego strony wysoce ryzykowna gra, ale do tej pory wygrał

wszystkie rzuty, a kości turlały się pomyślnie.

Może to jednak był błąd, zreflektował się Chavez. Może pozostawienie głowy w rękach zabitego mężczyzny tylko rozsierdziło wroga. Z takiego czy innego powodu Kolumbijczycy przeczesywali teraz las ze zdwojoną energią. Nie wpadli na ślad drużyny Nóż, a żołnierze robili wszystko, żeby im to utrudnić, ale jednego był pewien: musi dojść do decydującej, krwawej rozprawy i to w niedalekiej przyszłości.

Jednakże nie widział tego tak wyraźnie kapitan Ramirez. Wciąż powtarzał rozkazy, by za wszelką cenę unikać kontaktu, a Chavez się im podporządkowywał. Większość nie miała nic przeciwko temu, ale Chavez kwestionował tę taktykę - czy raczej chciał ją kwestionować. Lecz sierżanci nie kwestionują rozkazów kapitana, przynajmniej nie za często, a jeśli już, to trzeba znaleźć sposobność załatwienia sprawy na stronie. Jeżeli już miało dojść do walki, a na nic innego się nie zanosilo, to dlaczego, do diabła, nie doprowadzić do niej na korzystnych warunkach? Dziesięciu dobrych chłopaków, uzbrojonych w automaty, granaty i dwa kaemy, mogło przecież zaskoczyć tamtych i sprawić im krwawą łaźnię. Naprowadzić ich tylko na ślad i wciągnąć do strefy ognia.

Zostały im jeszcze dwie miny-pułapki. Przy odrobinie szczęścia mogli położyć dziesięciu czy piętnastu ludzi w ciągu trzech pierwszych sekund. Wtedy tamci -tych kilku, co zdoła zwiać - prędko spuszczą z tonu. Będą popuszczali w gacie. Już odechce im się pościgu. Dlaczego Ramirez tego nie widział? Dalej ich popędzał do utraty tchu, wyciskał z nich resztki sił, zamiast poszukać dobrego miejsca na odpoczynek, przygotować porządną zasadzkę, odwalić sprawę raz a dobrze i dopiero wtedy wyruszyć dalej. Był czas na ostrożność, był i czas na walkę, a to najważniejsze słowo we wszystkich wojskowych słownikach: inicjatywa, nie oznaczało zgoła nic innego tylko to, kto podejmuje decyzję i kiedy jest czas na co. Chavez wyczuwał to instynktownie. Podejrzewał, że Ramirez za dużo myśli.

O czym, Chavez nie wiedział, lecz myślenie kapitana zaczęło sierżanta martwić.

Larson oddał samochód i zawiózł Clarka na lotnisko własnym bmw. Będzie mu brakowało auta, pomyślał po drodze do samolotu. Clark wywoził w bagażu cały swój tajny lub poufny ekwipunek i nic więcej. Nie tracił czasu na pakowanie rzeczy osobistych, nawet maszynki do golenia, ale za to beretta 92-m z tłumikiem znów przytulała mu się do pleców. Szedł spokojnym, normalnym krokiem, lecz Larson wiedział już, jak rozpoznać napięcie u Clarka. Wyglądał nawet na bardziej rozluźnionego niż zazwyczaj, bardziej beztroskiego, bardziej roztargnionego, by sprawić niegroźne wrażenie na otaczających go ludziach. To diabelnie niebezpieczny gość, pomyślał Larson. Pilot odtworzył w pamięci strzelaninę przy ciężarówce, jak Clark uspił czujność dwóch bandytów, omotał ich, poprosił o pomoc. Nigdy nie przypuszczał, że Agencja ma takich ludzi, przynajmniej od czasu przesłuchań komisji Churcha.

Clark wdrapał się do samolotu i zrzucił na tył swój sprzęt. Okazał nawet nieznaczne zniecierpliwienie, gdy Larson przeprowadzał próbę przed lotem. Uspokoił się dopiero, kiedy schowało się podwozie.

- Jak długo do Panamy?

- Dwie godziny.

- Leć nad wodą jak najszybciej.

- Denerwujesz się?

- Teraz tylko twoimi umiejętnościami - powiedział Clark przez hełmofon. - Tak serio, to martwię się o tych trzydziestu czy więcej chłopaków, o których ktoś tu chyba zapomniał.

Czterdzieści minut później wylecieli z kolumbijskiej przestrzeni powietrznej. Gdy samolot znalazł się nad Zatoką Panamską, Clark sięgnął do tyłu po swój sprzęt, otworzył drzwi i wyrzucił wszystko do morza.

- Czy wolno mi spytać...?

- Załóżmy na chwilę, że cała operacja bierze w łeb. Ile dowodów chcesz wziąć ze sobą do senackiej sali przesłuchań? - Clark umilkł. -Mało prawdopodobne, ale co powiesz, jeśli ludzie zobaczą, że coś taszczy my i zaczną pytać, co to jest i po co?

- Aha. Dobra.

- Myśl, Larson. Henry Kissinger powiedział: „Nawet paranoicy mają wrogów”. Jeżeli chcą zostawić tych żołnierzy na pastwę losu, to dlaczego nie nas?

- Ale... pan Ritter...

- Znam Boba Rittera od dawna. Mam do niego kilka pytań. Chcę sprawdzić, czy potrafi mi dość przekonująco odpowiedzieć. Głowę daję, że nie powiedział nam wszystkiego, co powinien. Może to kolejny przykład waszyngtońskiej perspektywy. A może i nie.

- Nie sądzisz chyba...

- Nie wiem, co o tym sądzić. Daj im sygnał - rozkazał Clark. Nie widział powodu, żeby Larson za dużo o tym myślał. Za krótko pracował w Agencji, by rozumieć takie problemy.

Pilot skinął głową i wykonał polecenie. Nastawił radio na rzadko używaną częstotliwość i zaczął nadawać.

- Howard, zgłasza się lot specjalny X-Ray Golf Whiskey Delta. Proszę o pozwolenie na lądowanie. Odbiór.

- Whiskey Delta, tu kontrola lotniska Howard, nie wyłączaj się -odpowiedział z wieży kontroler, który zaraz sprawdził sygnały wywoławcze. Nie wiedział, kto to jest XGWD, ale litery te znajdowały się na jego gorącej liście. CIA, pomyślał, albo jakaś inna agencja, która wysyła ludzi tam, gdzie nie trzeba, a więcej nie musiał wiedzieć.

- Whiskey Delta, bierz kurs jeden-trzy-jeden-siedem. Możesz podchodzić do lądowania. Wiatr jeden-dziewięć-pięć, prędkość dwadzieścia kilometrów na godzinę.

- Dobra, dziękuję. Bez odbioru.

Przynajmniej jedno dzisiaj poszło gładko, pomyślał Larson. Dziesięć minut później wylądował i podkołował za jeepem pod rampę. Czekali tam na nich oficerowie ochrony Sił Powietrznych, którzy zaprowadzili ich zaraz do siedziby operacji bazy. W

bazie zarządzono próbny alarm; wszyscy mieli na sobie zielone mundury, a większość broń boczną.

Do tej większości należał personel operacyjny, niemał bez wyjątku ubrany w kombinezony lotnicze, by sprawiać groźne wrażenie.

- Najbliższy lot do kraju? - spytał Clark młodą kobietę w stopniu kapitana. Na jej bufiastym kombinezonie widniały srebrne skrzydełka pilota i Clark ciekaw był, na czym też ona lata.

- Mamy 141 do Charleston - odpowiedziała. - Ale jeżeli chcecie nim lecieć...

- Niech panienka najpierw sprawdzi rozkazy operacyjne. - Clark podał jej swój paszport na nazwisko J.T. Williams. - W sekcji WS -dodał usłużnie.

Pani kapitan wstała i wysunęła najwyższą szufladę kartoteki z tajnymi materiałami, tę zabezpieczoną podwójnym zamkiem szyfrowym. Wyjęła oznaczony czerwoną obwódką segregator i otworzyła go na ostatniej teczce. Była to sekcja wywiadu specjalnego, identyfikująca pewne

rzeczy i ludzi objętych jeszcze ściślejszą ochroną niż materiał ściśle tajny. Wróciła na miejsce po zaledwie dwóch sekundach.

- Dziękuję, panie pułkowniku Williams. Odlot za dwadzieścia minut. Czy panowie mają jakieś specjalne życzenia?

- Proszę łaskawie zawiadomić Charleston, żeby podstawili nam samolot do Waszyngtonu. Przepraszam panią kapitan za tak gwałtowne najście. Dziękuję za pomoc.

- Zawsze do pańskich usług, panie pułkowniku - odpowiedziała, uśmiechając się do szarmanckiego oficera.

- Pułkowniku? - spytał Larson, gdy już wyszli.

- Operacje specjalne, ni mniej, ni więcej. Całkiem przyzwoicie jak na zdezelowanego bosmanmata, nie?

Jeep podwiózł ich za pięć minut pod Lockheeda Starliftera. Tunelowaty przedział

towarowy był pusty. Samolot należał do kwatermistrzostwa Sił Powietrznych, jak wyjaśnił szef załadunku. Wyładowali tu jakiś towar, ale do domu wracali na pusto.

Clark nie miał nic przeciwko temu i rozciągnął się wygodnie, gdy tylko samolot wystartował. Zadziwiająco, myślał, zapadając w sen, ile wspaniałych rzeczy potrafili dokonać jego rodacy. W ciągu kilku zaledwie godzin mogłeś przenieść się ze strefy śmiertelnego zagrożenia do stanu całkowitego bezpieczeństwa. Ten sam kraj, który wysyłał ludzi w pole i nie zapewniał im należytego wsparcia, traktował ich jak wielkie figury -pod warunkiem że odpowiednie adnotacje znajdowały się w odpowiedniej teczce, tak jakby to polepszało sprawę. Niesamowite, co możemy zrobić i czego zrobić nie możemy. Po chwili chrapał w najlepsze obok zdumionego Carlosa Larsona.

Obudził się dopiero po pięciu godzinach, przed samym lądowaniem.

Jak każdy inny urząd, CIA miała swoje określone godziny urzędowania. O piętnastej trzydzieści ci, którzy z własnego wyboru przychodzili do pracy wcześniej, pakowali już manatki, żeby uniknąć ulicznych korków, a o siedemnastej trzydzieści nawet siódme piętro pustoszało. Obok gabinetu Jacka pani Nancy Cummings narzuciła pokrowiec na swoją maszynę do pisania IBM - używała również komputera, ale nie rozstawiała się jeszcze z maszyną do pisania - i przycisnęła guzik interkomu.

- Czy będę panu jeszcze potrzebna, doktorze Ryan?

- Nie, dziękuję. Do jutra.

- Do widzenia.

Jack znów obrócił się w krzesło i wpatrywał się w drzewa za oknem, które tworzyły naturalny mur osłaniający siedzibę Agencji przed obserwacją z zewnątrz. Usiłował myśleć, lecz w głowie miał próżnię. Nie wiedział, co znajdzie.

Zdawał sobie sprawę, że za to, co zamierzał zrobić, zapłaci karierą w Agencji, ale już miał wszystko w nosie. Jeśli tego wymagała jego posada, to nie warto było się o nią bić.

Ale co powiedziałyby na to admirał?

Jack nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wyjął z szuflady biurka powieść kryminalną i zabrał się do czytania. Kilkadziesiąt stron później była już dziewiętnasta.

Czas. Ryan podniósł słuchawkę i zadzwonił do ochrony piętra. Po wyjściu sekretarek strażnicy pełnili rolę chłopców na posyłki.

- Mówi doktor Ryan. Potrzebne mi są pewne dokumenty z centralnej kartoteki. -

Podał trzy liczby. - To waży parę kilo - ostrzegł strażnika. - Lepiej proszę wziąć kogoś do pomocy.

- Tak jest. Zaraz idziemy.

- Nie musicie się śpieszyć - rzekł Ryan, odkładając słuchawkę. Wyrobił już sobie opinię wyrozumiałego szefa. Gdy tylko słuchawka

spoczęła z powrotem na widełkach, włączył swoją osobistą kserokopiarkę. Następnie przeszedł do sekretariatu Nancy i przez chwilę nasłuchiwał oddalających się ku głównemu korytarzowi kroków dwóch strażników.

Gabinetów nie zamykano na klucz. Nie było takiej potrzeby. Aby się tu dostać, przechodziło się przez około dziesięć posterunków ochrony, których strzegli uzbrojeni funkcjonariusze pod nadzorem centralnego biura bezpieczeństwa mieszczącego się na parterze. Do tego dochodziły jeszcze patrole. Ochrona w CIA była ściślejsza niż w więzieniu federalnym i niemal tak samo zniewalająca. Nie obejmowała jednakże ścisłego kierownictwa Agencji, toteż Jack bez żadnych obaw przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi do biura Boba Rittera.

Biurowy sejf ZDO - skarbiec byłby tu stosowniejszym określeniem - zamontowany był

tak samo jak u Ryana, za atrapą boazerii w ścianie. Nie chodziło tu tyle o tajność -

każdy wprawny włamywacz znalazłby go w ciągu niespełna minuty - ile o estetykę.

Jack odchylił boazerię i wykręcił kombinację szyfru. Ciekaw był, czy Ritter wie, że Greer zna kombinację. Może i wiedział, lecz z pewnością nie wpadło mu do głowy, że admirał ją zapisał - rzecz tak niespotykana w Agencji, że nikt poważnie nie brał nawet pod uwagę tej ewentualności. Najinteligentniejsi ludzie na świecie też mieli swoje słabe punkty.

Drzwi sejfu podłączono do niezawodnego systemu alarmowego, który działał

podobnie jak przy systemach zabezpieczających pociski nuklearne, a lepszych przecież nie wymyślono. Jeśli nie wybrałeś właściwej kombinacji, włączał się alarm. Po pierwszej pomyłce nad tarczą zapalała

się lampka, ostrzegając, że masz dziesięć sekund na poprawienie błędu, a po upływie tego czasu zaświeci się inna lampka na dwóch różnych posterunkach straży. Po drugiej pomyłce włączało się już więcej sygnałów alarmowych. Trzecia uniemożliwiała otwarcie sejfu przez dwie godziny. Kilku wysokich urzędników CIA miało okazję przeklinać ten system i stać się pośmiewiskiem wydziału ochrony. Ale nie Ryan, którego nie przerażały zamki szyfrowe. Komputer rejestrujący każde otwarcie sejfu zdecydował, że do zamka dobiera się, oczywiście, sam Ritter, i tyle.

Jackowi serce teraz biło szybciej. W sejfie znajdowało się ponad dwadzieścia teczek, a czas liczył się na minuty. Ale i tym razem w sukurs przyszły mu ściśle procedury Agencji. Na wewnętrznej stronie okładki każdej teczki przypinano streszczenie jej zawartości z informacją, czego dotyczy operacja „Jakaśtam”. Nie czytał dokładnie streszczeń, wybierając jedynie interesujące go tematy. W ciągu niespełna dwóch minut odłożył teczki z kryptonimami „Orle Oko”, „Rewia I”, „Rewia II”, „Kapar” i

„Wzajemność”. Cały stos mierzył prawie pół metra wysokości. Jack zapamiętał, gdzie leżały poszczególne teczki i zatrzasnął sejf, nie zamykając go na zamek. Następnie wrócił do swojego gabinetu i ułożył papiery na podłodze za biurkiem. Rozpoczął od czytania teczki z nagłówkiem „Orle Oko”.

- Chryste Panie! - „Wykrywanie i likwidacja lotniczego transportu narkotyków do kraju”, co przecież oznaczało ni mniej, ni więcej tylko... zestrzeliwanie samolotów.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę. - Do gabinetu weszli strażnicy z dokumentami, o które prosił. Ryan kazał im położyć teczki na krześle i pozwolił odejść.

Miał teraz godzinę, najwyżej dwie na zrobienie tego, co postanowił zrobić, co oznaczało, że może

jedynie przejrzeć, a nie przeczytać dokumenty. Teczka każdej operacji zawierała bardziej szczegółowe streszczenie celów i metod, a także harmonogram akcji i raporty dzienne. Jack miał do dyspozycji wielką, skomplikowaną kserokopiarkę. Zaczął wkładać pierwsze arkusze do podajnika. Automatyczny pobór kartek pozwalał mu na jednoczesne kopiowanie i czytanie tekstu. Za półtorej godziny miał już odbitki przeszło sześciuset kartek, może ćwierć tego, co przyniósł. Wolałby więcej, ale tyle musiało wystarczyć. Wezwał strażników i kazał im odnieść dostarczone wcześniej dokumenty - nie omieszkął trochę pomiąć dla niepoznaki papiery. Gdy tylko strażnicy wyszli, pozbiierał dokumenty, które...

...ukradł? Raptem zaświtało mu w głowie, że pogwałcił prawo. Wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Naprawdę. Wkładając z powrotem

teczki do sejfu, Ryan powiedział sobie, że właściwie niczego złego nie uczynił. Wszak jako dyrektor miał prawo wiedzieć o tych sprawach, a przepisy nie dotyczyły przecież jego... ale zaraz uprzytomnił sobie, że to niebezpieczny sposób myślenia. Służył

wyższej sprawie. Postępował w imię dobra. Czynił...

- Cholera! - zaklął na głos, zamknąwszy drzwi sejfu. - Nie wiesz, co robisz. - Minutę później siedział już w swoim gabinecie.

Przyszedł czas, żeby się zbierać. Najpierw wpisał liczbę odbitek do rejestru kopiarki.

Nigdzie w tym budynku nie robiło się odbitek bez zanotowania ich liczby z podpisem, ale pomyślał o tym zawczasu. Z grubsza tę samą liczbę kartek, z pozoru kopię raportu przyniesionego przez Nancy, ułożył w plik i zostawił w swoim sejfie. Szefom wydziałów wolno było robić tego rodzaju kopie bez szczególnych ograniczeń.

Sporządzone odbitki schował do swojej aktówki. Przed samym wyjściem Ryan zmienił

szyfr zamka. Skinieniem głowy pożegnał się ze strażnikiem przy windzie. W garażu w podziemiach gmachu czekał na niego agencyjny buick.

- Przepraszam, że trzymałem cię tak długo, Fred - rzekł, wsiadając Jack. Fred był jego wieczornym szoferem.

- Nic się nie stało, panie dyrektorze. Do domu?

- Tak. - Całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie zacząć czytać po drodze. Oparł się wygodnie i zmusił do drzemki. Pewien był bowiem, że ma teraz ostatnią okazję odespać całą nadchodzącą noc.

Clark wylądował w bazie Andrews tuż po ósmej. Od razu zadzwonił do biura Rittera, ale połączenie automatycznie przełączyło się na inny numer, gdzie poinformowano go, że ZDO nie będzie w biurze do rana. Nie mając nic lepszego do roboty, Clark i Larson zatrzymali się w motelu opodal Pentagonu. Kupiwszy sobie przybory do golenia i szczoteczkę do zębów, Clark znów poszedł spać, ku ponownemu zaskoczeniu młodszego oficera, który był zbyt podniecony, by pójść w jego ślady.

- Bardzo źle? - spytał prezydent.

- Straciliśmy dziewięciu ludzi - odparł Cutter. - To nieuniknione, panie prezydencie.

Wiedzieliśmy od początku, że operacja jest niebezpieczna. Oni też. Możemy teraz...

- Możemy teraz zamknąć tę operację i to natychmiast. I wszystko dokładnie zatuszować, żeby nikt nie dowiedział się kiedykolwiek, że w ogóle się zaczęła. Nie ma i nie było. Na coś takiego nie dawałem zgody,

na pewno nie na straty wśród ludności cywilnej ani tym bardziej na śmierć dziewięciu naszych chłopców. Do cholery, przecież sam mi pan mówił, admirale, że te dzieciaki są tak dobre...

- Panie prezydencie, ja nigdy nie...

- A kto, do jasnej cholery! - krzyknął prezydent tak głośno, że aż postawił na nogi agenta Secret Service pod drzwiami gabinetu na piętrze. - Po co mnie pan zrobił w to gówno?

Dostojna twarz Cuttera zrobiła się trupio blada. Cała mrówcza praca na nic; akcja, którą proponował od trzech lat... Ritter święcił triumf. Oto czego się dograł.

- Panie prezydencie, naszym celem było zranienie kartelu. Osiągnęliśmy ten cel. Oficer CIA, który właśnie prowadzi operację „Wzajemność” w Kolumbii, twierdzi, że mógłby sprowokować wojnę w samym kartelu - i już są pierwsze rezultaty! Nadeszła wiadomość o próbie zamachu na jedną z grubych ryb, Escobedo. Kurczą się dostawy narkotyków. Nie ogłosiliśmy jeszcze tego oficjalnie, ale prasa już donosi o skoku cen na ulicy. Wygrywamy.

- Świetnie. Niech pan to powie Fowlerowi! - Prezydent z hukiem walnął teczką o biurko. Według jego prywatnych sondaży Fowler prowadził o czternaście punktów.

- Panie prezydencie, po konwencji kandydat opozycji zawsze...

- Cóż to? Pan mi tu daje polityczne rady? Panie, nie wykazał się pan nawet kompetencjami w pańskiej rzekomej specjalności.

- Ależ panie prezydencie, ja...

- Proszę zamknąć całą operację. Wszystko zatuszować. Chcę, żeby pan to zrobił i to szybko. To pan nabrudził i pan po sobie posprząta.

Cutter zawahał się.

- Panie prezydencie, jak mam się do tego zabrać?

- Nie moja w tym głowa. Chcę tylko wiedzieć, kiedy będzie po wszystkim.

- Ale to może oznaczać, że będę musiał zniknąć na pewien czas.

- No to niech pan znika!

- Moja nieobecność może zostać zauważona.

- W takim razie został pan oddelegowany do misji specjalnej, na rozkaz prezydenta.

Admirale, ta sprawa ma być zamknięta. Nie obchodzi mnie, jak pan to zrobi.

Wykonać!

Cutter stanął na baczność. Wciąż pamiętał, jak to się robi.

- Tak jest, panie prezydencie.

- Ster prawo na burt - powiedział Wegener. Kuter Straży Przybrzeżnej „Panache”

obrócił się wraz ze zmianą pozycji steru, kierując się w stronę kanału portowego.

- Ster zero.

- Ster zero, tak jest. Panie kapitanie, ster zero - zameldował młody sternik pod czujnym okiem nawigatora Orezy.

- Dobra! Jedna trzecia naprzód, ustalić kurs na jeden-dziewięć-pięć. - Wegener spojrzał na młodszego oficera. -Przejmij ster. Wyływaj z portu.

- Tak jest, przejmuję ster - potwierdził z niejakim zaskoczeniem chorąży.

„Wyływaj” oznacza zazwyczaj, że zaczynasz od samego doku, ale stary był dziś wyjątkowo ostrożny. Dzieciak przy sterze mógł równie dobrze zacząć dopiero tutaj.

Wegener zapalił fajkę i poszedł na skrzydło mostku. W ślad za nim podążył Dniówka.

- Chyba nie odczuwałem dotąd takiej ulgi, wychodząc w morze -rzekł Wegener.

- Dobrze rozumiem, w czym rzecz, kapitanie.

Dobiegł wreszcie końca koszmarne dzień. Tylko jeden, ale wystarczył za wszystkie czasy. Ostrzeżenie agenta FBI było dla Reda całkowitym zaskoczeniem. Przemaglował

pojedynczo członków załogi - co okazało się dlań tyleż obrzydliwe, co bezowocne - by dowiedzieć się, kto sypnął. Oreza domyślał się, o kogo chodzi, ale nie był pewien.

Dziękował Bogu, że nigdy nie będzie musiał weryfikować swoich domysłów. To niebezpieczeństwo umarło wraz z piratami w więzieniu w Mobile. Ale obaj mężczyźni dostali nauczkę na przyszłość. Odtąd będą postępować zgodnie z prawem.

- Kapitanie, dlaczego ten facet z FBI nas ostrzegał?

- Dobrze pytanie, Dniówka. Zdaje się, że to, co wycisnęliśmy z tych drani, naprowadziło ich na tę aferę z grubą forszą. Chyba pomyśleli, że mają wobec nas dług wdzięczności. A poza tym, ten miejscowy twierdzi, że to jego szef z Waszyngtonu kazał mu nas ostrzec.

- No to ma u nas otwarty kredyt - powiedział Oreza.

- Chyba masz rację. - Obaj zostali na pokładzie, delektując się jeszcze jednym zachodem słońca na morzu, gdy „Panache” obrał kurs jeden-osiem-jeden na pozycję patrolową w Cieśninie Jukatańskiej.

Chavezowi został już ostatni komplet baterii. Sytuacja pod każdym względem pogarszała się. Deptała im po piętach grupa jakichś ludzi, co wymagało wzmożonej ochrony tyłów. Wprawdzie to nie jego zmartwienie

jako zwiadowcy, odczuwał jednak niepokój, tak dotkliwy jak obolałe mięśnie, które kazały mu co kilka godzin łykać tylenol. Ktoś ich śledził. Może to czysty przypadek - a może Ramirez stosował już zbyt oczywistą taktykę unikową. Chavez w to wątpił, lecz był zbyt zmęczony, by logicznie myśleć i zdawał sobie z tego sprawę. Może kapitan miał ten sam kłopot. To już poważna sprawa. Sierżantom płacono za walkę, kapitanom za myślenie. Ale jeśli Ramirez był zbyt zmęczony, by myśleć, równie dobrze obeszliby się bez niego.

Hałas. Świst przecinającej powietrze gałązki. Ale przecież było bezwietrznie. Może jakiś zwierzak. A może nie.

Chavez zatrzymał się. Podniósł rękę. Vega, który szedł pięćdziesiąt metrów za nim, przekazał sygnał dalej. Ding przeszedł pod drzewem i ustawił się w punkcie o najlepszej widzialności. Oparł się o pień i zaczął zasypiać. Potrząsnął głową, usiłując strząsnąć z siebie ogarniającą go senność. Wycieńczenie dawało znać o sobie.

Dostrzegł ruch. Człowiek. Ledwie widoczny w goglach noktowizora zielony kształt, prosty niemal jak patyk, prawie dwieście metrów na prawo przed Dingiem. Szedł pod górę i... w odległości dwudziestu metrów za nim drugi. Poruszali się jak... żołnierze, skomplikowanym krokiem sprawiającym cholernie głupie wrażenie, gdy patrzyło się na to z boku...

Był jeden sposób, żeby się upewnić. W dolnej części jego gogli PVS-7 znajdowała się mała lampka emitująca promienie podczerwone przeznaczona do czytania map. Poza zakresem widzialności ludzkiego oka, ukazywała się jednak jak latarnia morska komuś, kto miał na sobie inną parę PVS-7. Nie musiał nawet robić żadnego hałasu. I tak będą się rozglądali bez przerwy.

Mimo wszystko było to ryzykowne.

Chavez odszedł od drzewa. Z tej odległości nie widział jeszcze, czy mają na sobie sprzęt noktowizyjny, jeżeli w ogóle byli to...

Tak. Postać na czele rozglądała się na prawo i lewo. Zatrzymała się zwrócona wprost na pozycję Chaveza. Ding podniósł nieco gogle, odsłaniając lampkę na podczerwień, którą mignął trzy razy.

Opuścił z powrotem noktowizor na miejsce, w sam raz, by zobaczyć, że ten drugi odpowiada mu identycznym sygnałem.

- Chyba to nasi chłopcy - szepnął Chavez do mikrofonu nadajnika.

- W takim razie nieźle się pogubili - odrzekł Ramirez do słuchawki. - Ostrożnie, sierżancie.

Dwa trzaski. Jasne.

Chavez zaczekał, aż Oso ustawi karabin maszynowy w wygodnym miejscu, po czym ruszył ku temu drugiemu, przezornie trzymając się takiej drogi, by Vega mógł go cały czas osłaniać. Miał wrażenie, że idzie całą wieczność, zwłaszcza bez skierowanej na cel broni, ale przecież na to nie mógł sobie pozwolić. Spozstrzegł jeszcze jednego, a zapewne było ich więcej, z ukrycia obserwujących go przez celowniki karabinów. Jeżeli byli to nieprzyjaciele, jego szansę ujrzenia wschodu słońca oscylowały wokół zera.

- Ding, czy to ty? - cichy szept skrócił pozostałych dziesięć metrów. - Toja, Leon.

Chavez skinął głową. Obaj mężczyźni głęboko westchnęli z ulgą. Po chwili padli sobie w ramiona. W tych okolicznościach zwykły uścisk dłoni jakoś nie wystarczał.

- Zbłądziliście, Berto.

- Jak amen w pacierzu, bracie. Wiem, kurwa, gdzie jesteśmy, ale i tak wszystko przechłapanie.

- Gdzie kapitan Rojas?

- Zginął. Esteves, Delgado, połowa grupy.

- Dobra. Poczekaj. - Ding przycisnął klawisz radiotelefonu. - Szóstka, tu Czoło.

Właśnie spotkaliśmy się z Banderą. Mieli drobne kłopoty, panie kapitanie. Lepiej niech pan tu przyjdzie.

Dwa trzaski.

Leon wezwał resztę swojej drużyny. Chavezowi nawet nie przyszło do głowy, żeby ich policzyć. Już na pierwszy rzut oka widać było, że połowy brakuje. Obaj żołnierze usiedli na zwałonym pniu.

- Co się stało?

- Wleźliśmy prosto na nich, stary. Myśleliśmy, że to polowa rafineria. Ale nie. Musiało ich być z trzydziestu, czterdziestu chłopca. Chyba Esteves przesrał sprawę i wszystko się posypało. Jak strzelanina w knajpie, bracie. Potem zginął kapitan Rojas i... strach mówić, mano. Od tego czasu uciekamy dzień i noc.

- Nam też depczą po piętach.

- A co dobrego dla odmiany? - spytał Leon.

- Niestety, ostatnio nic, Berto - odparł Ding. - Chyba najwyższy czas stąd spieprzać.

- Zgadza się - powiedział sierżant Leon, gdy nadszedł Ramirez. Złożył kapitanowi raport.

- Kapitanie - rzekł Chavez, gdy tamten skończył - mamy już chyba wszyscy dość.

Może poszukamy dobrego miejsca na rozprostowanie kości.

- Dobrze mówi - zgodził się Guerra.

- A co z naszym ogonem?

- Chłopcy nie słyszeli nic od dwóch godzin, panie kapitanie - przypomniał Guerra. -

Ten pagórek chyba nie jest zły. - Na mocniejszą perswazję nie mógł już sobie pozwolić wobec oficera, ale w końcu poskutkowało.

- Weź ludzi na górę. Wyznacz krąg posterunków i dwie wysunięte pozycje wartowników. Spróbujemy odsapnąć do zachodu słońca. Może uda mi się wezwać pomoc.

- Przyda nam się, kapitanie.

Guerra odszedł, żeby zorganizować obóz. Chavez też natychmiast ruszył przeczesać teren, gdy tymczasem reszta drużyny udała się na nowe MPN - miejsce postoju nocnego. Z tym jednak wyjątkiem, pomyślał Chavez, że tym razem było to raczej MPD

- miejsce postoju dziennego. Żaden lepszy dowcip nie przyszedł mu do głowy w tych okolicznościach.

- Mój Boże - westchnął Ryan.

Była czwarta nad ranem i nie spał tylko dzięki kawie i strachowi. Ryan odkrył wiele rzeczy w swej agencyjnej karierze, ale jeszcze nigdy z czymś podobnym się nie zetknął.

Pierwszym krokiem będzie teraz... co?

- Prześpij się, choćby kilka godzin - powiedział do siebie. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do biura. Na posterunku o każdej

porze tkwił oficer dyżurny.

- Mówi doktor Ryan. Przyjadę do pracy później. Coś złego zjadłem. Całą noc wymiotowałem... Nie, chyba już po wszystkim, ale muszę się parę godzin przespać.

Przyjadę jutro... dzisiaj własnym samochodem. Tak. Dziękuję. Do widzenia.

Zostawił żonie wiadomość na drzwiach lodówki i zwał się do łóżka w gościnnym pokoju, żeby jej nie budzić.

Samo przekazanie wiadomości nie nastroczało Cortezowi żadnych kłopotów. Inni mieliby zapewne trudności, ale jednym z pierwszych kroków, jakie poczynił po zatrudnieniu się w kartelu, było zdobycie listy zastrzeżonych numerów telefonicznych z Waszyngtonu i okolic. Nie miał z tym większych problemów. Tak jak z innymi zadaniami, chodziło tu przede wszystkim o nawiązanie kontaktu z kimś, kto ma dostęp do potrzebnych informacji. W tej dziedzinie Cortez nie miał sobie równych. Kiedy już zdobył listę telefonów - kosztowało go to dziesięć tysięcy dolarów, najlepiej zainwestowanych pieniędzy, to znaczy najlepiej zainwestowanych cudzych pieniędzy -

pozostało już tylko wywiedzieć się

o harmonogramy zajęć. To już niebłaha sprawa. Danej osoby mogło akurat nie być w pracy, co groziło wpadką, lecz odpowiedni dopisek zastrzegający poufność informacji powinien odstraszyć niepowołanego czytelnika. Sekretarki takich ludzi przeważnie należały do osób zdyscyplinowanych, które okazując zbytnią ciekawość, ryzykowały utratę pracy.

Zadanie jednak niepomrotnie ułatwiał nowy wynalazek, faks. Stał się szybko symbolem sukcesu. Każdy musiał go mieć, tak jak każdy musiał mieć bezpośrednią, prywatną linię telefoniczną, która nie przechodziła przez sekretariat. Prywatna linia i faks tworzyły naturalną parę. Cortez pojechał do swojego prywatnego biura w Medellin i sam napisał wiadomość na maszynie. Wiedział, jak wyglądają oficjalne komunikaty rządowe i skwapliwie zadbał o każdy szczegół. Rozpoczął od nagłówka poufne nimb; wpisał lipne nazwisko w rubryce od, zaś rubrykę do wypełnił już nader realnym nazwiskiem. Sama wiadomość była krótka, acz treściwa i wskazywała zakodowany adres zwrotny. Jak zareaguje odbiorca? Trudno wszak przewidzieć. Lecz to również Cortez potraktował jako hazard wart ryzyka. Wsunął kartkę do faksu, wybrał

odpowiedni numer

i czekał. Resztę zrobiła maszyna. Usłyszawszy świergot elektronicznej pieśni godowej drugiego faksu, przesłał wiadomość. Cortez wyjął oryginał i włożył go do portfela.

Adresat obrócił się zaskoczony, usłyszawszy pomruk faksu. Musiała to być służbowa wiadomość, tylko bowiem z pół tuzina osób znało numer tej prywatnej linii. (Nie przyszło mu nigdy do głowy, że zna go również komputer firmy telefonicznej).

Skończył to, co właśnie robił, po czym sięgnął po wiadomość.

Cóż to jest nimb? - zastanawiał się. Tak czy owak, wiadomość przeznaczona była wyłącznie dla niego, toteż zabrał się do czytania. Raczył się właśnie trzecią filiżanką porannej kawy i tylko szczęściu zawdzięczał to, że rozlał jej zawartość na biurko, a nie na spodnie.

Na punktualności Cathy zawsze można było polegać. Telefon zadzwonił w gościnnym pokoju dokładnie o ósmej trzydzięci. Jack poderwał głowę, jakby go prąd poraził i sięgnął ręką po agresywny przyrząd.

- Halo?

- Dzień dobry, Jack - powitał go rzeński głos żony. - Co się z tobą dzieje?

- Musiałem pracować do późna. Czy wzięłaś to, o co cię prosiłem?

- Tak. Co...

Jack nie dał jej dokończyć.

- Ważne, że ja wiem, o co chodzi, kochanie. Czy możesz po prostu przekazać wiadomość? To ważne.
- Cathy też była dość inteligentna, by pojąć aluzję.

- Dobrze, Jack. Jak się czujesz?

- Koszmarnie. Ale mam masę roboty.

- Ja też, koteczku. Cześć.

- Cześć. - Jack odwiesił słuchawkę i z ociąganiem wstał z łóżka. - Najpierw prysznic -
wydał sobie komendę.

Cathy musiała spieszyć się na chirurgię. Podniosła słuchawkę służbowego telefonu i wybrała odpowiedni numer na waszyngtońskiej linii szpitala. Zadzwonił tylko raz.

- Dan Murray.

- Dan, mówi Cathy Ryan.

- Dzień dobry! Czym mogę służyć pani doktor w ten piękny poranek?

- Jack prosił, żebym ci przekazała, że wpadnie do ciebie tuż po dziesiątej. Chciałby, żebyś pozwolił mu zaparkować na podjeździe i kazał mi powiedzieć, że chłopcy z korytarza nie powinni się dowiedzieć. Nie wiem, co to znaczy, ale kazał mi to powtórzyć. - Cathy nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy zachować powagę. Jack czasami lubił małe zgrywy - wydawały jej się raczej głupawe - w kręgu wtajemniczonych kolegów i nie była pewna, czy aby to nie kolejna próbka tego swoistego humoru. Jack zwłaszcza uwielbiał tego rodzaju zabawy ze swoim przyjacielem z FBI.

- Dobra, Cathy, zajmę się tym.

- Muszę lecieć naprawić komuś oczko. Pozdrów ode mnie Liz.

- Jasne. Udanego zabiegu.

Murray odłożył słuchawkę ze zdumioną miną. Chłopcy z korytarza nie powinni się dowiedzieć. „Chłopcy z korytarza” to wyrażenie, którego Murray użył podczas ich pierwszego spotkania w szpitalu Świętego Tomasza w Londynie, kiedy Dan pracował

jako attache prawny w tamtejszej ambasadzie na Grosvenor Square. Chłopcy z korytarza to CIA.

Ale przecież Ryan był jedną z sześciu najważniejszych osobistości w Langley, ba, może nawet jednym z najwyższej trójcy.

O co tu, do diabła, chodziło?

Zadzwoił do sekretarki i kazał jej powiadomić strażników, że mają wpuścić Ryana na podjazd, który biegnie pod główną bramą Budynku Hoovera.

Clark zjawił się w Langley o dziewiątej rano tego samego dnia. Nie miał żadnej przepustki - nie takiej jaką bierze się w teren - musiał więc, wchodząc głównym wejściem, posłużyć się hasłem, co sprawiało nader konspiracyjne wrażenie. Samochód zostawił na parkingu dla gości - CIA też taki miała - i wszedłszy główną bramą, natychmiast skręcił w lewo, gdzie dostał coś, co wyglądało na plakietkę dla gości, a przy tym skutecznie otwierało elektronicznie blokowane bramki na terenie budynku.

Następnie skręcił na prawo i przeszedł obok malowideł ściennych, które wyglądały, tak jakby gigantycznemu dziecku pozwolono chlapać błotem, gdzie popadnie. Clark nie wątpił, że dekoratorem tych wnętrz musiała być wtyka z KGB. A może po prostu wybrano najtańszego pacykarza. Winda zawiozła go na siódme piętro, skąd skręcił

korytarzem ku biurom dyrektorskim zajmującym osobny korytarz, z oknami wychodzącymi na front gmachu. Zatrzymał się przed sekretariatem ZDO.

- Clark do pana Rittera - powiedział.

- Czy jest pan umówiony? - spytała sekretarka.

- Nie, ale sądzę, że pan Ritter chciałby się ze mną zobaczyć - rzekł uprzejmie Clark.

Nie miał powodu, żeby ją obrażać. Poza tym za młodu wpojono mu szacunek dla kobiet. Podniosła słuchawkę i przekazała wiadomość.

- Proszę wejść, panie Clark.

- Dziękuję. - Zamknął za sobą drzwi. Drzwi były oczywiście ciężkie i dźwiękoszczelne.

I bardzo dobrze.

- Co ty tu robisz, do diabła? - zawołał ZDO.

- Musicie zamknąć „Rewię” - rzekł Clark bez ogródek. - Posypała się. Tamci urządzili polowanie na naszych chłopaków i...

- Wiem. Słyszałem wczoraj wieczorem. Ale zrozum, że nie miałem od początku złudzeń, że wyjdziemy z tej operacji na czysto. Jeden z oddziałów porządnie oberwał

trzydzieści sześć godzin temu, ale z przechwyconych informacji wynika, że chłopcy wzięli więcej, niż oddali, a potem wyrównali porachunki z innymi, którzy...

- To już moja robota - powiedział Clark.

- Co? - spytał zdumiony Ritter.

- Wybraliśmy się z Larsonem na przejażdżkę wczoraj mniej więcej o tej porze i natknąłem się na tych... mniejsza z tym, kogo. Właśnie skończyli ładować ciała na ciężarówkę. Nie widziałem powodu, żeby pozwolić

im żyć - oznajmił spokojnym tonem Clark. Od niepamiętnych czasów nikt nie zdobył się w CIA na tego rodzaju wyznanie.

- Chryste, John! - Ritter był zbyt zaskoczony, by opieprzyć Clarka za niesubordynację i wkroczenie do odrębnej operacji.

- Rozpoznałem jedno ciało - kontynuował Clark. - Kapitan Emilio Rojas, wojska lądowe Stanów Zjednoczonych. Wspaniały chłopak.

- Przykro mi. Nikt nie twierdził, że to bezpieczna misja.

- Ufam, że jego rodzina, jeśli kogoś miał, doceni to. Operacja leży. Nie wolno dopuścić do dalszych strat. Jakie są plany ewakuacji? - spytał Clark.

- Zastanawiam się nad tym. Muszę z kimś skoordynować akcję. Nie jestem pewien, czy dostanę zgodę.

- W takim razie proponuję, by przedstawił pan sprawę dość stanowczo.

- Czyżbyś mi groził? - spytał cicho Ritter.

- Nie, panie dyrektorze, wolałbym, żeby pan nie odczytał moich słów w ten sposób.

Twierdzę na podstawie własnego doświadczenia że tę operację należy zakończyć i to natychmiast. Pańskim zadaniem jest dobitne uzmysłowienie tej konieczności ludziom, którzy autoryzowali operację. Gdyby mimo to nie dostał pan zgody, szczerze radzę panu i tak ją zakończyć.

- Mogę za to stracić pracę - zauważył ZDO.

- Po zidentyfikowaniu ciała kapitana Rojasa podpałem ciężarówkę. Z dwóch powodów. Chciałem odwrócić uwagę wroga i chciałem również, by ciała nie zostały rozpoznane. Nigdy jeszcze nie paliłem zwłok przyjaciela i łatwo mi to nie przyszło.

Larson wciąż nie wie, dlaczego to zrobiłem. Jest za młody, żeby zrozumieć. Pan nie.

Wysłał pan tych żołnierzy w teren i pan za nich odpowiada. Jeśli twierdzi pan, że pańska posada jest dla pana ważniejsza, to czuję się w obowiązku poinformować, że się pan myli. - Clark nie podniósł jeszcze głosu ponad poziom zwyczajnej, rozsądnej dyskusji, lecz po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Bob Ritter zaczął obawiać się o własne bezpieczeństwo.

- Twoja próba odwrócenia uwagi wroga powiodła się. Czterdziestu ludzi przeciwnika skierowano nie tam, gdzie trzeba.

- Świetnie. Tym łatwiej będzie zorganizować skuteczną ewakuację.

- John, nie możesz mi wydawać takich rozkazów.

- Panie dyrektorze, nie daję panu rozkazów. Mówię, co należy zrobić. Dał mi pan wolną rękę w wykonaniu operacji.

- Chodziło o „Wzajemność”, nie „Rewię”.

- Nie czas teraz na rozważania semantyczne. Jeżeli natychmiast nie wyciągnie pan tych żołnierzy, zginie ich jeszcze więcej - może nawet wszyscy. Na pańską odpowiedzialność. Nie wolno wysyłać ludzi w pole bez wsparcia. Wie pan o tym doskonale.

- Racja, oczywiście - rzekł po chwili Ritter. - Nie mogę zrobić tego na własną rękę.

Muszę poinformować... sam wiesz. Zajmę się tym. Ewakuujemy ich jak najszybciej.

- Dobrze. - Clark odetchnął.

Ritter był twardym szefem, czasem nawet za twardym w stosunku do podwładnych, ale dotrzymywał słowa. Poza tym ZDO miał na tyle oleju w głowie, żeby nie sprzeciwiać się mu w takich sprawach. Clark w to nie wątpił. Swoje stanowisko przedstawił dość jasno, a Ritter pojął, w czym rzecz.

- A co z Larsonem i jego kurierem?

- Wycofałem już oboje. Jego samolot jest w Panamie, a on sam siedzi w Marriocie, parę kroków stąd. Prawdę mówiąc, chłopak sprawdził się w każdym calu, ale jest spalony w Kolumbii. Chyba powinni oboje dostać kilkutygodniowy urlop.

- Jasne. A ty?

- Mogę wrócić jutro, jeżeli trzeba. Przydam się chyba podczas ewakuacji.

- Zdaje się, że namierzeliśmy Corteza.

- Czyżby?

- To ty zrobiłeś mu pierwsze zdjęcie.

- O! Gdzie...? Ten facet pod domem Untiverosa, któregośmy o mały włos nie dostali?

- Dokładnie ten. Zidentyfikowany przez tę kobietę, którą uwiódł. Dowodzi siłami w terenie z domku w pobliżu Ansermy.

- Trzeba będzie jednak wrócić z Larsonem.

- Myślisz, że warto ryzykować?

- Dla Corteza? - Clark zastanowił się. - To zależy. Warto zobaczyć. Co wiemy o jego ochronie?

- Nic - przyznał Ritter. - Wiadomo mniej więcej, gdzie jest dom. Z podsłuchu. Fajnie byłoby dostać go żywego. Wie dużo przydatnych rzeczy. Przerzucamy go tutaj i obiecujemy sprawę o morderstwo. Z wyrokiem śmierci, ma się rozumieć.

Clark pokiwał głową zamyślony. Do nieodłącznych składników powieści szpiegowskich należał również mit, jakoby agenci wywiadu ochoczo połykali kapsułki z cyjankiem albo dumnie stawali przed plutonem egzekucyjnym. Fakty mówiły coś wręcz przeciwnego. Ludzie godzili się na śmierć jedynie wówczas, gdy nie mieli innego, ciekawszego wyjścia. Sztuka polegała na tym, żeby dać im takie wyjście, które nie wymagało inteligencji fizyka jądrowego. Jeśli uda im się złapać Corteza, przepuści się go przez całą zwykłą maszynkę legislacyjną, zasądzi wyrok śmierci - kwestia właściwego doboru sędziego, a w sprawach ocierających się o bezpieczeństwo narodowe procedury są dość elastyczne - i wtedy się uderzy. Po pewnym czasie Cortez pęknie, prawdopodobnie nawet przed procesem. Cortez nie był przecież idiotą i dobrze wiedział, kiedy i jak dobić targu. Bez skrupułów zaprzedał niegdyś własny kraj.

Zdrada kartelu to już przy tym błahostka.

Clark skinął głową.

- Potrzebuję kilku godzin na zastanowienie.

Ryan skręcił z północno-zachodniego odcinka Dziesiątej ulicy na podjazd. Wokół kręcili się umundurowani strażnicy i ochroniarze w cywilu, z których jeden trzymał tabliczkę z listą dziesięciu gości. Podszedł do samochodu.

- Jack Ryan do Dana Murraya.

- Czy ma pan legitymację służbową?

Jack pokazał mu przepustkę CIA. Strażnik spojrział na nią i dał znak koledze. Ten nacisnął guzik opuszczający stalową barierę, która miała uniemożliwiać wjazd samochodów-pułapek pod kwaterę główną FBI. Przejechał przez nią i znalazłszy miejsce, zaparkował auto. W holu wyszedł mu na spotkanie młody agent FBI i wręczył

kartę magnetyczną, która pozwoli mu sforsować elektronicznie sterowaną bramę Biura. Gdyby ktoś przypadkiem wynalazł odpowiedni wirus komputerowy, pomyślał

Jack, połowa rządu nie dostałaby się do pracy. I może kraj byłby bezpieczny, dopóki nie rozwiązano by problemu.

Budynek Hoovera został przedziwnie zaprojektowany. Niewtajemniczonemu łatwiej tu nawet się pogubić niż w Pentagonie. Ryan też był całkowicie zdezorientowany, gdy wreszcie dotarli do właściwego biura. Dan już na niego czekał i wprowadził go do swego gabinetu. Jack zamknął za sobą drzwi.

- Co jest grane? - spytał Murray.

Ryan postawił aktówkę na biurku Murraya i otworzył ją.

- Potrzebuję rady.

- W jakiej sprawie?

- W sprawie najprawdopodobniej nielegalnej operacji... ściślej mówiąc, kilku operacji.

- W jakim sensie nielegalnych?

- Morderstwo - odparł Jack tak beznamiętnie, jak tylko umiał.

- Samochody-pułapki w Kolumbii? - spytał Murray ze swego obrotowego fotela.

- Nieźle, Dan. Tylko że to nie były samochody-pułapki.

Ach tak? Dan siedział w milczeniu i myślał kilka sekund. Pamiętał, że cokolwiek robiono, miało to na celu odwet za morderstwo Emila i jego współpracowników.

- Obojętnie, co to było, w każdym razie prawo w takich przypadkach jest dość zagmatwane, sam wiesz. Zakaz zabijania ludzi w operacjach wywiadowczych jest dekretem wykonawczym, wydanym przez prezydenta. Jeżeli sam dopisze pod konkretnym rozkazem: „nie dotyczy tej sprawy”, wówczas wszystko staje się legalne...

z grubsza. Prawo w tej kwestii jest doprawdy dziwne. Właściwie o tym, bardziej niż w innych

sprawach, powinna rozstrzygać konstytucja, a ta jest ogólnikowa, tam gdzie musi.

- Tak, wiem o tym. Nielegalność polega jednak na tym, że polecono mi podać nieprawdziwe informacje Kongresowi. Gdyby powiadomiono ludzi z komisji nadzoru, nie byłoby to morderstwo, lecz właściwie sformułowana polityka rządu. Jeśli dobrze rozumiem przepisy, nie byłoby to morderstwo, nawet gdybyśmy powiadomili Kongres już po fakcie, mamy bowiem prawo do rozpoczęcia tajnej operacji, jeśli facetów z komisji nadzoru nie ma w mieście. Ale jeśli szef kontrwywiadu każe mi podać fałszywe informacje Kongresowi, to popełniamy morderstwo, ponieważ działamy wbrew prawu.

To była na razie dobra wiadomość.

- Mów.

- Złą wiadomością jest to, że zbyt wielu ludzi wie, co się dzieje, a jeśli sprawa się wyda, naszym ludziom w terenie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Zostawmy na boku aspekt polityczny; warto tylko wspomnieć, że jest ich kilka. Dan, nie wiem, co robić, do cholery. - Analiza Ryana była jak zwykle bardzo dokładna. Popełnił tylko jeden błąd. Nie wiedział, co jest naprawdę złą wiadomością.

Murray uśmiechnął się, nie dlatego że chciał, tylko zadość uczynił potrzebie przyjaciela.

- A na jakiej podstawie sądzisz, że ja wiem? Ryanowi przeszło nieco napięcie.

- Cóż, mógłbym pójść po radę do księdza, ale oni nie są włączeni w obieg zastrzeżonych informacji. Ty to co innego, a przecież FBI to najlepsze powołanie po kapłańskim.

Był to ich wspólny, prywatny żart. Obaj ukończyli Boston College.

- Skąd płyną rozkazy do tej operacji?

- Zgadnij. W każdym razie nie z Langley. Płyną z gmachu położonego przy tej ulicy, dokładnie sześć przecznic dalej.

- To znaczy, że nie mogę nawet iść do ministra sprawiedliwości.

- Właśnie. Zawiadomiłby pewnie swojego szefa, prawda?

- I gotowe kłopoty z własną biurokracją - dodał od niechcienia Murray.

- Czy posada rządowa warta jest tych nerwów? - spytał smętnie Jack, ponownie wpadając w depresyjny nastrój. - Do diabła, może byśmy tak razem odeszli na emeryturkę. Komu możesz zaufać?

Odpowiedź była prosta.

- Bili Shaw nam pomoże. - Murray wstał. - Chodźmy do niego.

„Pętla” należy do terminów używanych w żargonie komputerowym, które weszły do języka potocznego. Oznacza grupę ludzi, których łączy zamknięty cykl działań lub decyzji, funkcjonujący niezależnie od otaczającego świata. Każdy rząd posiada praktycznie nieskończoną ilość takich pętli, z których każdą określa szczególny zbiór reguł gry, zrozumiałych wyłącznie dla jej uczestników. W ciągu kilku godzin utworzono kolejną pętlę. W jej skład weszli wybrani członkowie personelu FBI, lecz nie minister sprawiedliwości, który był formalnym zwierzchnikiem Biura. Dołączyć miało również kilka osób z Secret Service, lecz bez szefa, sekretarza skarbu.

Dochodzenia tego rodzaju polegały głównie na ściganiu papierków i analizie danych, toteż Murray - któremu powierzono kierownictwo tej pętli - zdumiał się, zobaczywszy, że jeden z obiektów zainteresowania pętli wkrótce się ruszył. Wcale mu nie pomogła wiadomość, że człowiek ów jechał do bazy Sił Powietrznych Andrews.

Ryan siedział już wtedy w swoim biurze. Wszyscy spostrzegli, że wygląda mizernie, ale też wszyscy słyszeli o jego zesłonocej chorobie. Zjadł coś niedobrego. Wiedział

już, co robić: nic. Ritter wyjechał, a sędzia jeszcze nie wrócił. Niełatwo nic nie robić.

Jeszcze trudniej znosił zajmowanie się rzeczami, które nie miały dlań teraz żadnego znaczenia. Czuł się jednak lepiej. Problem nie był już wyłącznie jego własnością. Nie zdawał sobie biedak sprawy, że to wcale nie powód do lepszego samopoczucia.

Rozdział 25

KRYPTONIM „ODYSEJA”

Murray oczywiście wysłał do Andrews doświadczonego agenta, który dojechał na miejsce w samą porę, żeby zobaczyć, jak mały

odrzutowiec kołuje na koniec pasa startowego numer 1 po lewej stronie. Pokazawszy swoją legitymację, agent dostał się do gabinetu pułkownika dowodzącego Osiemdziesiątym Dziewiątym Dywizjonem Transportu Lotniczego. W ten sposób poznał plan lotu maszyny, która właśnie wystartowała. Skorzystał z telefonu pułkownika i zadzwonił do Murraya, następnie pouczył samego pułkownika, że nikogo u niego nie było i nikt o nic oficjalnie nie pytał, że jest to część ważnego, poufnego dochodzenia kryminalnego. Sprawie nadano kryptonim „Odyseja”.

Murray był u Shawa już minutę po odebraniu telefonu. Shaw miał wrażenie, że całkiem nieźle radzi sobie jako pełniący obowiązki dyrektora. Miał świadomość, że to tymczasowa posada i gdy tylko znajdzie się odpowiednią osobistość polityczną, powróci na stare śmieci pierwszego zastępcy dyrektora wydziału dochodzeń. Trochę się przeciwko temu buntował. Bo cóż złego w tym, żeby dyrektorem Biura był

doświadczony gliniarz? Jasne, że to nie policyjna, lecz polityczna robota, a w ciągu swej przeszłotrzydziestoletniej kariery policyjnej zdążył się zorientować, że polityka to nie jego działka.

- Musimy tam kogoś posłać - rzekł Shaw. - Ale jak, na miłość boską?

- Może naszego attache prawnego w Panamie? - zasugerował Murray. - Znam go.

Solidny gość.

- Jest oddelegowany do roboty z DEA. Nie będzie go na miejscu przez dwa dni. Jego zastępca nie da sobie rady. Za zielony, żeby pokierować akcją.

- W Bogocie jest Morales... ale ktoś może zauważyć... Znów bawimy się w berka, Bili, a facet leci osiemset kilometrów na godzinę... A może Mark Bright? Kto wie, czy nie uda mu się podwędzić odrzutowca Sił Powietrznych.

- Próbuj!

- Agent specjalny Bright - odezwał się głos w słuchawce.

- Mark, mówi Dan Murray. Potrzebujemy twojej pomocy. Notuj. Murray wyjaśnił

zadanie. Dwie minuty później Bright wymamrotał

łagodne przekleństwo i wyciągnął notes z telefonami. Najpierw zadzwonił do bazy Sił

Powietrznych Eglin, następnie do lokalnego posterunku Straży Przybrzeżnej, wreszcie do domu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że nie zdąży do domu na kolację.

Bright wychodząc, wziął kilka rzeczy i kazał innemu agentowi zawieźć się do portu straży, gdzie czekał już nań śmigłowiec. Wystartował minutę po wejściu pasażera na pokład i skierował się na wschód ku bazie Eglin.

Siły Powietrzne miały tylko trzy maszyny F-15E Strike-Eagle - prototypy bombardującej wersji wielkiego, dwusilnikowego myśliwca. Dwa takie samoloty przechodziły próby w bazie Eglin, podczas gdy Kongres zastanawiał się, czy rozpocząć seryjną produkcję. Poza kilkoma maszynami treningowymi, stacjonującymi w innych bazach, była to jedyna dwumiejscowa wersja F-15. Gdy Bright wysiadł z helikoptera, u boku myśliwca stał już major, który miał go pilotować. Dwóch podoficerów pomogło agentowi włożyć kombinezon, uprząż spadochronu i kamizelkę ratunkową. Hełm spoczywał na oparciu tylnego fotela. Po dziesięciu minutach samolot był gotów do startu.

- Co jest grane? - spytał pilot.

- Muszę być w Panamie najszybciej, jak tylko się da.

- O rany, to znaczy, że mam lecieć szybko? - odparł major i roześmiał się. - W takim razie nie ma co się spieszyć.

- Jak to?

- Cysterna wystartowała trzy minuty temu. My poczekamy ze startem, aż wzniesie się na dziesięć tysięcy metrów. Tam sobie zatankujemy i gaz do dechy. Druga cysterna wystartuje nam na spotkanie z Panamą... żebyśmy mieli dość paliwa na lądowanie. W

ten sposób możemy lecieć większość trasy z prędkością naddźwiękową. Powiedział

pan, że się śpieszy, nie?

- Uhm. - Bright miał kłopoty z dopasowaniem hełmu. Niezbyt dobrze siedział mu na głowie. W kabinie panował też upał, a jeszcze nie zaczęła na dobre działać klimatyzacja. - A jeżeli druga cysterna nie nadleci?

- Eagle to świetny szybowiec - pocieszył go major. - Nie zostanie nam zbyt dużo do przepłynięcia wpław.

W uszach zaskrzeczał Brightowi komunikat radiowy. Major odpowiedział, po czym zwrócił się do pasażera.

- Niech się pan trzyma za jaja, szefie. Kołujemy na start.

Eagle podkołował do końca pasa startowego. Pilot zwiększył moc do maksimum, a następnie zwolnił hamulce. Dziesięć sekund później Bright zastanawiał się, czy katapultowy start z lotniskowca jest równie emocjonujący. F-15E wznosił się pod kątem czterdziestu stopni i cały czas przyspieszał, pozostawiając wybrzeże Florydy daleko za sobą. Uzupełnili paliwo sto siedemdziesiąt kilometrów od brzegu - Bright był zbyt zafascynowany, by się bać, choć trzęsło całkiem nieźle - i gdy po rozdzieleniu się z cysterną Eagle wszedł na dwanaście tysięcy metrów, pilot włączył dopalacze. Z tylnej kabiny sterowano przede wszystkim systemami uzbrojenia, ale zawierała też kilka przyrządów nawigacyjnych.

Na jednym z nich agent odczytał, że właśnie przekroczyli prędkość tysiąca ośmiuset kilometrów na godzinę.

- Po co ten pośpiech? - spytał pilot.

- Zależy mi, żeby zdążyć przed kimś do Panamy.

- Czy mógłby mi pan podać parę szczegółów? Może w czymś pomogę?

- Jeden z tych prywatnych odrzutowców, chyba G-111, wystartował z Andrews osiemdziesiąt pięć minut temu.

Pilot roześmiał się.

- To wszystko? No to może pan spokojnie zameldować się w hotelu, zanim on wylądaje. Już go wyprzedziliśmy. Niepotrzebnie tylko marnujemy paliwo na taki szybki lot.

- Niech pan marnuje - powiedział Bright.

- Świetnie. Latam czy stoję, płacami i tak tyle samo. Dobra, powinniśmy być na miejscu dziewięćdziesiąt minut przed tamtym. Jak się panu podoba lot?

- A gdzie wózek z drinkami?

- Znajdzie pan butelkę pod prawym kolaniem. Wyborny krajowy rocznik, dobry bukiet, subtelny.

Bright sięgnął po butelkę i pociągnął łyk z czystej ciekawości.

- Sól i elektrolity na zachowanie przytomności umysłu - wyjaśnił pilot po kilku sekundach. - Pan z FBI, prawda?

- Prawda.

- Co jest grane?

- Nie wolno mi mówić. Co to? - Usłyszał buczenie w słuchawkach.

- Radar obrony przeciwlotniczej - odparł major.

- Co?

- Tam jest Kuba. Mają baterię pocisków klasy ziemia-powietrze, która nie lubi amerykańskich samolotów wojskowych. Nie mam pojęcia, dlaczego. A zresztą jesteśmy poza ich zasięgiem. Próżne obawy. To normalka. Wykorzystujemy ich do kalibrowania naszych systemów. Jak zabawa, to zabawa.

Murray przeglądał z Shawem materiały, które podrzucił im Jack. Musieli najpierw rozstrzygnąć, co miało się dzieć; następnie rozstrzygnąć, co faktycznie się dzieje; potem rozstrzygnąć, czy jest to legalne, czy nie; wreszcie, jeśli nie, podjąć odpowiednie działania, skoro tylko mogliby ustalić, jakie działania są w tej sytuacji odpowiednie. Była to puszka Pandory, której zawartość Ryan wysypał Murrayowi na biurko.

- Wiesz, czym to się może skończyć? Shaw odwrócił się od biurka.

- Kraj nie potrzebuje jeszcze raz takiego skandalu. - Przynajmniej ja nie chcę się do tego przyczynić, pomyślał.

- Sprawę i tak mamy, czy chcemy, czy nie - rzekł Murray. - Przyznaję, że chciałbym zawołać „dobra robota!”, biorąc pod uwagę motyw operacji, ale z tego, co mówi Jack, wynika, że mamy tu do czynienia co najmniej z formalnym uchybieniem praw nadzoru, a na pewno złamaniem dekretu prezydenckiego.

- Chyba że istnieje jakiś tajny układ, o którym nic nie wiemy. A może wie minister sprawiedliwości?

- Niewykluczone, że jest w to wmieszany. W dniu zamachu na Emila poleciał razem z resztą towarzystwa do Camp David, pamiętasz?

- Najbardziej mnie interesuje, po co nasz koleżka wyskoczył do Panamy.

- Może się dowiemy. Leci zupełnie sam. Żadnej obstawy, wszystko w ścisłej tajemnicy.

Kogo posłałeś do Andrews, żeby wycisnąć te informacje?

- Pata O'Daya - odpowiedział Murray. Nazwisko nie wymagało komentarza. -

Kazałem mu też zbadać powiązania z Secret Service. Współpracował kiedyś z nimi.

Nie od razu, oczywiście. Pośpiech może nam tylko zaszkodzić.

- Zgoda. W „Odysei” mamy teraz osiemnastu ludzi. Za mało.

- Na razie musimy zawęzić krąg uczestników, Bili. W pierwszej kolejności trzeba wciągnąć kogoś z Departamentu Sprawiedliwości, żeby osłaniał nam tyłki. Tylko kogo?

- Nie mam pojęcia - odparł rozgoryczony Shaw. - Co innego prowadzić dochodzenie, o którym minister sprawiedliwości wie, choć sam jest wyłączony, ale nie pamiętam, bym kiedykolwiek prowadził sprawę zupełnie bez jego wiedzy.

- W takim razie jeszcze poczekajmy z tym. Poprzestańmy na razie na rozpoznaniu planu, a potem zastanowimy się, co robić dalej. - Była to na wskroś logiczna decyzja Murraya. Lecz była także błędna. Dzień obfitował w pomyłki.

F-15E wylądował na Howard Field punktualnie, osiemdziesiąt minut przed planowym przylotem samolotu z Andrews. Bright podziękował pilotowi, który uzupełnił paliwo i natychmiast wystartował, by powrócić do Eglin. Brightowi wyszedł na spotkanie oficer wywiadu bazy

wraz z prawnym attache ambasady w Panama City, młodym, inteligentnym człowiekiem, zbyt jednak świeżym na swoim stanowisku, jak na tak poufną sprawę.

Gość przekazał swoim dwóm kolegom skąpe informacje, jakie sam posiadał, i nakazał

im utrzymać sprawę w ścisłej tajemnicy. Na początek to wystarczyło. Wstąpił do sklepu wojskowego, gdzie kupił sobie niewyróżniające się ubranie. Oficer wywiadu załatwił mu zwyczajny samochód z lokalnymi tablicami, który postawił pod bramą.

Na terenie bazy mieli poruszać się anonimową niebieską limuzyną Sił Powietrznych.

Plymouth stał zaparkowany koło pasa startowego, gdy wylądował VC-20A. Bright wyciągnął z torby nikona i założył teleobiektyw. Samolot dokołował pod jeden z hangarów i wraz z drzwiami otworzyły się składane schodki. Przyłożywszy oko do celownika, Bright zaczął robić zdjęcia z odległości kilkaset metrów, gdy z samolotu wysiadł samotny pasażer i wskoczył do oczekującego nań samochodu.

- O rany, to naprawdę on. - Bright przewinął film i wyciągnął kasetę. Wręczył ją innemu agentowi FBI, a sam załadował następny film na trzydzieści sześć klatek.

Samochód, za którym jechali, był bliźniakiem ich limuzyny. Natychmiast wyjechał z bazy. Bright i reszta ledwie zdążyli przesiąść się do innego auta, ale pułkownik przy kierownicy miał ambicje zostania kierowcą wyścigowym i szybko zajął pozycję obserwacyjną sto metrów za celem.

- Czemu bez obstawy? - spytał.

- Skądinąd wiem, że zwykle się tym nie przejmuje - odparł Bright. - Dziwne, prawda?

- Jasne, dość pomyśleć, kim jest, co wie i gdzie się w tej chwili znajduje, do cholery.

Jazda do miasta przebiegła bez sensacji. Limuzyna Sił Powietrznych podwiozła Cuttera pod luksusowy hotel na przedmieściach Panama City. Bright wyskoczył z auta i obserwował go, jak melduje się w recepcji. Sprawiał wrażenie podróżującego w interesach biznesmena. Po kilku minutach do Brighta dołączył drugi agent, a pułkownik został w samochodzie.

- Co teraz?

- Ufasz tu komuś z policji? - spytał Bright.

- Nie. Znam kilku chłopaków, całkiem dobrych. Ale żeby im ufać? Nie tutaj, bracie.

- Cóż, pozostaje nam tradycyjna metoda - rzekł Bright.

- Dobra.

Zastępca attache prawnego sięgnął po portfel i podszedł do recepcji. Wrócił po dwóch minutach.

- Biuro jest mi winne dwadzieścia dolarów. Zameldował się pod nazwiskiem Robert Fisher. Mam też numer karty kredytowej American Express. - Podał również Brightowi pomiętą kopię z podpisem.

- Zadzwoń do biura i zajmij się resztą. Trzeba obserwować jego pokój.

Potrzebujemy... Cholera, ilu my w ogóle mamy ludzi?

Bright dał mu znak do wyjścia.

- Za mało na taką operację.

Bright wykrzywił twarz. Musiał sprostać nie lada wyzwaniu. „Odyseja” była operacją ściśle tajną i Murray wyraźnie zastrzegł, że ma być doskonale zabezpieczona, ale -

zawsze przecież było jakieś „ale” - tę robotę należało wykonać. Był najstarszym rangą agentem na miejscu i musiał podjąć decyzję. Panował okropny upał i wilgotność, ale nie tylko dlatego Marka Brighta oblał pot.

- Dobra. Powiedz mu, że potrzebujemy z pół tuzina doświadczonych ludzi do pomocy w obserwacji.

- Jest pan pewien, że...

- Niczego nie jestem pewien! Facet, którego mamy śledzić... jeśli go podejrzewamy...

Chryste Panie, Jeśli go podejrzewamy"... - Bright zamilkł. Cóż więcej można było powiedzieć?

- Tak.

- Ja poczekam tutaj. Powiedz pułkownikowi, żeby zorganizował akcję. Okazało się, że nie musieli się

spieszyć. Obiekt (bo właśnie stał się obiektem, pomyślał Bright) pojawił się w holu trzy godziny później, rzeźki i wypucowany, w tropikalnym garniturze. Czekwały na niego przed wejściem cztery samochody, ale Cutter wiedział tylko o małym białym mercedesie, do którego wsiadł

niezwłocznie i którym odjechał na północ. Pozostałe trzy jechały za nim w umożliwiającej obserwację odległości.

Zapadał zmierzch. Bright zrobił tylko trzy zdjęcia na nowej rolce. Wyjął kasetę z aparatu i założył bardzo czuły czarno-biały film. Zrobił kilka zdjęć samochodu, zwracając szczególną uwagę na numer rejestracyjny. Szoferem tym razem nie był już pułkownik, ale sierżant z żandarmerii, który dobrze znał teren i był zachwycony współpracą przy ściśle tajnej operacji Biura. Zidentyfikował natychmiast dom, przed którym zatrzymał się mercedes. Powinni byli od razu się domyślić.

Sierżant znał miejsce z widokiem na ten dom niecały tysiąc metrów dalej, lecz było już za późno, żeby tam jechać, a samochód nie mógł zostać na autostradzie. Bright z miejscowym funkcjonariuszem FBI wyskoczyli z auta i pośpiesznie znaleźli mokre, cuchnące miejsce, na którym położyli się i czekali. Sierżant zostawił im radio, by w razie czego mogli go wezwać, i życzył im szczęścia.

Właściciel domu wyjechał w sprawach wagi państwowej, lecz uprzejmie pozostawił im rezydencję do dyspozycji, łącznie z nieliczną, dyskretną służbą, która podała przekąski i napoje, po czym oddaliła się, pozostawiając włączone magnetofony.

Akurat! Obaj mężczyźni zdawali sobie sprawę z poufnego charakteru mającej się odbyć rozmowy i to Cortez zaskoczył gościa subtelną propozycją, by sprawę omówić na zewnątrz, mimo upalnej pogody. Obaj zdjęli marynarki i przez drzwi balkonowe wyszli do ogrodu. Z ulgą spostrzegli imponującą kolekcję niebieskawych lamp owadobójczych, które trzaskały i migotały, przyciągając i porażając tysiące insektów.

Hałas zniweczyłby wszelkie próby nagrania rozmowy, a któż spodziewałby się, że obaj bohaterko zrezygnują z dobrodziejstw klimatyzacji?

- Jestem wdzięczny, że zechciał pan odpowiedzieć na moją wiadomość - rzekł

uprzejmie Cortez. Nie był to czas na butę i zadęcie. Spotkali się, żeby ubić interes, musiał więc zdobyć się na stosowną wobec człowieka tej rangi pokorę. Nie przeszkadzało mu to. Negocjacje z takimi osobistościami wymagają skromności i musi się do tego przyzwyczaić -zawyrokował w duchu Felix. Oczekiwali szacunku, co wszak znacznie ułatwiało kapitulację.

- O czym chce pan rozmawiać? - spytał admirał Cutter.

- O waszych operacjach przeciwko kartelowi. - Cortez wskazał gościowi bambusowy fotel. Zniknął na chwilę, by pojawić się z tacą z drinkami i szkłem. Trunkiem wieczoru była woda mineralna Perrier. Żaden nie tknął alkoholu. Dla Feliksa był to pierwszy dobry znak.

- Jakie operacje ma pan na myśli?

- Powinien pan wiedzieć, że osobiście nie miałem nic wspólnego ze śmiercią pana Jacobsa. Uważam

to za szalony wybryk.

- Niby dlaczego mam panu uwierzyć?

- Byłem wówczas w Ameryce. Nie powiedziano panu? - Cortez dorzucił kilka szczegółów. - Źródło informacji, takie jak pani Wolfe -podsumował - jest warte znacznie więcej niż głupi, emocjonalny odwet. Jeszcze większą głupotą jest jawna, oczywista prowokacja wobec mocarstwa. Wasza odpowiedź zasługuje na uznanie.

Doprawdy, prowadzone obecnie operacje są nader skuteczne. O inwigilację naszych lotnisk zacząłem was podejrzewać dopiero po zakończeniu tej operacji, a wasza symulacja samochodów-pułapek - toż to istne dzieło sztuki, rzecz można. Czy może mi pan zdradzić strategiczny cel tej operacji?

- Niech pan da spokój, pułkowniku.

- Panie admirale, w każdej chwili mógłbym ujawnić prasie całość prowadzonych przez was operacji - rzekł niemal smutnym tonem Felix.

- Albo pan powie mnie, albo swojemu Kongresowi. Z dwojga złego, we mnie znajdzie pan znacznie bardziej wyrozumiałego słuchacza. Jesteśmy w końcu obaj ludźmi tej samej profesji.

Cutter powiedział mu po chwili zastanowienia. Z irytacją przyjął wybuch wesołości swego rozmówcy.

- Kapitalne! - powiedział Cortez, opanowawszy się wreszcie. -Chciałbym kiedyś poznać tego człowieka, tego, który wpadł na ten pomysł. Zawodowiec najwyższej próby!

Cutter potwierdził skinieniem, jakby na siebie przyjął komplement. Przez chwilę Felix zastanawiał się, czy to aby prawda... łatwo przecież sprawdzić.

- Proszę mi wybaczyć, panie admirale. Uważa pan zapewne, że bagatelizuję waszą operację. Otóż powiem panu uczciwie, że nic podobnego. Osiągnęliście bowiem swój cel.

- Wiemy. Wiemy, że ktoś usiłował zabić pana i Escobedo.

- Owszem - odparł Felix. - Wszystko się zgadza. Chciałbym przy okazji dowiedzieć się, skąd macie tak dobry wywiad o naszej działalności, wiem jednak, że tego pan mi nie zdradzi.

Cutter sądził, że ma atut w ręku.

- Mamy lepsze zaplecze, niż się panu wydaje, panie pułkowniku. -Atut okazał się blotką.

- Nie wątpię - przyznał Cortez. - Sądzę natomiast, że mamy wspólne zainteresowania.

- Jakież to zainteresowania?

- Chcecie wszcząć wojnę wewnątrz kartelu. Ja również. Cutter zdradził się, wstrzymując oddech.

- O! Czyżby?

Cortez już wiedział, że jest górą. I ten głupiec doradzał amerykańskiemu prezydentowi?

- Otóż stanę się de facto częścią waszej operacji i zreformuję kartel, co pociąga za sobą eliminację niektórych, co zapalczywszych jego członków.

Cutter nie był skończonym idiotą, lecz popełnił kolejny błąd, stwierdzając w formie pytania rzecz oczywistą:

- Z panem jako nowym przywódcą?

- Czy pan zdaje sobie sprawę, kim naprawdę są ci baronowie narkotykowi? Podłymi wieśniakami. Nieokrzesanymi barbarzyńcami pijanymi władzą, a grymaszą jak rozwyrzzone dzieci, że się ich nie szanuje. -Cortez uśmiechnął się do gwiazd. -Nie zasługują na poważne traktowanie ze strony takich ludzi jak my. Czy zgodzi się pan ze mną, że świat będzie lepszy, gdy ich już na nim zabraknie?

- Jak pan sam zdążył zauważyć, myśl ta nie jest mi obca.

- Wobec tego mamy wspólny interes.

- Konkretnie?

- Wasze samochody-pułapki zlikwidowały już pięciu kacyków. Ja dokonam dalszej redukcji. Ma się rozumieć, likwidacja obejmie tych wszystkich, którzy poparli zamach na waszego ambasadora i innych. Takie występki nie mogą ująć bezkarnie, bo inaczej świat pograży się w chaosie. Na dowód dobrej wiary zredukuję jednostronnie o połowę przerzuty kokainy do pańskiej ojczyzny. W handlu narkotykami zapanował

bałagan i nadmiar przemocy - rzekł oskarżycielskim tonem były pułkownik DGI. -

Przydałaby mu się gruntowna reforma.

- Ależ my chcemy położyć mu kres! - Już mówiąc to, Cutter zdawał sobie sprawę, że palnął głupstwo.

Cortez popijał perriera i kontynuował rozsądnie.

- Handlu nic nie powstrzyma. Dopóki wasi obywatele będą chcieli niszczyć sobie mózgi, ktoś zawsze im to umożliwi. Problem więc polega na tym, jak uporządkujemy cały ten proceder. Wasze wysiłki edukacyjne w końcu doprowadzą do zmniejszenia popytu na narkotyki do znośnego poziomu. Na razie zaś mogę tak uregulować handel, by ograniczyć do minimum rozprzestrzenianie się tej plagi społecznej. Zredukuję eksport. Mogę również zapewnić wam nieco spektakularnych aresztowań, by część chwały spadła na waszą policję. Wszak mamy rok wyborów prezydenckich, prawda?

Cutter i tym razem wstrzymał oddech. Grali w pokera o wysokie stawki, a Cortez właśnie oznajmił, że talia jest znaczone.

- Niech pan mówi - wydusił wreszcie przyparty do muru.

- Czyż nie to właśnie stanowiło cel waszych operacji w Kolumbii? Osłabić kartel i zredukować przerzut narkotyków? Proponuję panu sukces, sukces, na który powołać się może pański prezydent. Redukcję eksportu, głośne procesy i aresztowania, wewnętrzną wojnę w kartelu, za którą nie poniesiecie winy, lecz za którą także będziecie mogli przypisać sobie zasługę. Daję wam zwycięstwo - rzekł Cortez.

- W zamian za...?

- Ja też muszę odnieść drobne zwycięstwo, by wzmocnić swoją pozycję wobec pozostałych kacyków, tak? Wycofa pan wsparcie dla Zielonych Beretów, które wałęsają się po tych koszmarnych górach. Wie pan, tych żołnierzy, których wspomaga wielki, czarny helikopter w hangarze numer 3 w bazie Sił Powietrznych Howard. Pan rozumie, ci przywódcy, których chcę wyeliminować, mają do dyspozycji zbrojne oddziały, a jedyny sposób na zredukowanie ich liczebności, to dać waszym ludziom ich zabić. Z drugiej jednak strony, niestety, abym mógł uwiarygodnić swoją pozycję wśród przełożonych - słowo to wymówił z druzgocącą ironią - moją krwawą i kosztowną operację musi zwieńczyć zwycięstwo. Jest to smutna konieczność, aczkolwiek z pańskiego punktu widzenia likwiduje zarazem potencjalny problem ujawnienia operacji, prawda?

Mój Boże. - Cutter odwrócił wzrok od Corteza i poprzez owadobójcze lampy wpatrywał się w dżunglę.

- Jak myślisz, o czym oni gadają?

- Diabeł ich wie - odparł Bright. W aparacie miał już ostatnią rolkę filmu. Mimo wysokiej czułości, żeby zrobić dobre zdjęcie, musiał nastawić migawkę na znacznie dłuższy czas ekspozycji, co zmuszało do trzymania aparatu nieruchomo, niczym strzelby wycelowanej w odległego jelenia.

Jak to ujął prezydent? Natychmiast zamknąć operację i nie obchodzi mnie jak...

Ale przecież nie w ten sposób.

- Przykro mi - rzekł Cutter. - To wykluczone. Cortez rozłożył ręce w bezradnym geście.

- W takim razie poinformujemy świat, że pański rząd dokonał inwazji na terytorium Kolumbii i popełnił morderstwo na iście epicką skalę. Zdaje pan sobie oczywiście sprawę, co zapewne czeka pana, pańskiego prezydenta i wielu wyższych urzędników pańskiego rządu. Tyle czasu upłynęło, nim uporaliście się ze wszystkimi poprzednimi skandalami. Ufam, że niełatwo pracować w rządzie spętanym tyłoma własnymi prawami, które na domiar złego wykorzystuje się potem przeciwko własnym urzędnikom.

- Nie uda się panu zaszantażować rządu Stanów Zjednoczonych.

- A dlaczegoż to, panie admirale? Nasz wspólny zawód obciążony jest ryzykiem, nieprawdaż? Pan omal nie zabił mnie swoją pierwszą „bombą samochodową”, a przecież nie robię panu wyrzutów z tego powodu. Pańska strona ryzykuje ujawnienie skandalu. Na miejscu była rodzina Untiverosa, jak pan doskonale wie, jego żona i dwoje dzieci, oraz jedenaście osób ze służby, jeśli dobrze pamiętam. Wszyscy zginęli od waszej bomby. Nie liczę ludzi uzbrojonych. Żołnierz ponosi żołnierskie ryzyko. Tak jak ja wówczas. I pan także, admirale, z tym wyjątkiem, że pan ryzykuje inaczej niż żołnierz. Pan ponosi ryzyko konfrontacji z własnymi sądami, dziennikarzami z telewizji i komisjami Kongresu.

Jak brzmi stara żołnierska dewiza? - spytał się w duchu Cortez. Lepsza śmierć, niżli hańba. Wiedział, że jego gościa nie stać na ani jedno, ani drugie.

- Potrzebuję czasu na...

- Zastanowienie? Przykro mi, panie admirale, ale muszę być w Kolumbii za cztery godziny, a więc wyjść stąd za piętnaście minut. Moi przełożeni nie wiedzą, że wyjechałem. Nie mam czasu. Ani pan. Proponuję panu zwycięstwo, na które liczyliście, pan oraz pański prezydent. Wymagam czegoś w zamian. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, konsekwencje będą nieprzyjemne dla obu stron. Nie ma się nad czym zastanawiać. Tak czy nie, panie admirale?

- Jak myślisz, co przypieczętowali tym uściskiem dłoni?

- Cutter nie wygląda na uszczęśliwionego finałem. Wezwij samochód. Chyba się zmywają.

- Z kim on w ogóle rozmawiał, do cholery? Nie znam faceta. Jeśli to handlarz, to nietutejszy.

- Nie wiem. - Samochód wrócił za późno, ale inny jechał za Cutterem pod sam hotel.

Gdy Bright wrócił na lotnisko, dowiedział się, że obiekt zamierzał porządnie się wyspać. VC-20A miał odlecieć prosto do Andrews nazajutrz w południe. Bright postanowił go uprzedzić, lecąc wczesnym rejsowym samolotem do Miami i tam przesiąść się na lot na Washington National. Wróci półżywy z wycieńczenia, ale zdąży na czas.

Ryan odebrał telefon za dyrektora - sędzia Moore wreszcie wracał do pracy, ale zostały mu jeszcze trzy godziny lotu do Lotniska Dullesa. Gdy winda dla wyższego personelu otworzyła się w podziemnym garażu, szofer Jacka był gotów i natychmiast pojechali do Bethesdy. Spóźnili się. Jack otworzył drzwi, by zobaczyć łóżko przykryte prześcieradłem. Lekarze już wyszli.

- Byłem przy tym. Nie cierpiał - oznajmił mu jeden z oficerów CIA. Jack nie rozpoznał go, choć tamten sprawiał wrażenie, jakby na niego czekał. - Pan doktor Ryan, tak?

- Tak - rzekł cicho Jack.

- Około godziny przed zgonem wspomniał coś o... żeby pamiętał pan o tym, o czym obaj panowie rozmawiali. Nie wiem, o co chodziło.

- Nie znam pana.

- John Clark. - Mężczyzna podszedł uścisnąć Ryanowi dłoń. - Jestem z operacji, ale zwerbował mnie też admirał, dawno temu. - Clark westchnął. - Jakbym stracił ojca.

Dwa razy.

- Taak - wydusił z trudem Ryan. Był zbyt zmęczony, zbyt zrezygnowany, by skrywać emocje.

- Chodźmy, postawię panu kawę i opowiem parę historyjek o starym. - Clark też się smucił, ale był człowiekiem oswojonym ze śmiercią. Czego nie dało się powiedzieć o Rynie, na jego szczęście.

Bufet był już zamknięty, wzięli więc kawę z ekspresu w poczekalni. Była odgrzana i kwaśna, ale Ryan nie chciał jeszcze wracać do domu, a ponieważ przypomniał

sobie, że przyjechał własnym samochodem. Musiałby wracać sam wieczorem. Nie czuł

się na siłach prowadzić. Postanowił zadzwonić do domu i uprzedzić Cathy, że zostanie na noc w mieście. CIA miała umowę z jednym z miejscowych Marriottów. Clark zaproponował, że odwiezie go do hotelu, toteż Jack zwolnił szofera. Obaj dojrżeli już wówczas do drinka.

Larsona nie było w pokoju. Zostawił wiadomość, że w nocy spodziewa się Marii i zamierza po nią wyjechać. Clark miał małą butelkę burbona, a w tym hotelu mieli prawdziwe, a nie plastikowe szklanki. Przygotował dwa drinki i wręczył jeden Jackowi Ryanowi.

- Za Jamesa Greera, ostatniego z zacnych weteranów - rzekł Clark, wznosząc szklankę.

Jack łyknął i omal się nie zakrztusił. Clark dolał za mało wody.

- Jeśli pana zwerbował, jak to się stało, że...

- Wylądowałem w operacjach? - Clark uśmiechnął się. - Cóż, panie doktorze, nie mam wyższego wykształcenia, ale Greer zwrócił na mnie uwagę dzięki swoim kontaktom w marynarce. To długa historia i nie o wszystkim powinienem paplać, dość powiedzieć, że nasze drogi zeszły się trzy razy.

- Czyżby?

- Kiedy Francuzi wkroczyli, żeby przyskrzynić tych łobuzów z Action Directe, których zidentyfikował pan na zdjęciach satelitarnych, byłem oficerem łącznikowym w Czadzie.

Gdy weszli po raz drugi w pościgu za terrorystami z ULA, którzy nie darzyli pana zbyt dużą sympatią, byłem w śmigłowcu. To ja też jestem tym durniem, który ewakuował

z plaży panią Gierasimow z córką. I to wszystko, za przeproszeniem, z pańskiej winy.

Ja wykonuję wariacką robotę - wyjaśnił Clark. - Wszystkie numery w terenie, na myśl o których etatowi szpiedzy sikają w gacie. Może po prostu są mądrzejsi ode mnie.

- Nie wiedziałem.

- Bo nie miał pan o niczym wiedzieć. Przykro mi, że nie dorwaliśmy tych gnojków z ULA. Od dawna chciałem pana za to przeprosić. Francuzi spisali się doskonale. Byli nam tak wdzięczni za wskazanie Action Directe, że chcieli nam podać głowy facetów z ULA na tacach. Na przeszkodzie stanął nam jednak ten przeklęty oddział libijski na manewrach i nasz helikopter wleciał prosto na nich - takie już ryzyko niskiego latania -

a jak się później okazało, obóz był i tak pusty. Wszystkim było przykro, że akcja nie wypaliła. Oszczędzilibyśmy panu trochę zmartwień. Próbowaliśmy, doktorze Ryan.

Naprawdę.

- Jack. - Ryan nadstawił szklanekę ponownie.

- Dobra. Mów mi John. - Clark napełnił obie szklanki. - Admirał zgodził się, żebym ci to wszystko opowiedział. Wspomniał też, że wdepnąłeś w to, co dzieje się na południu. Byłem tam - powiedział Clark. - Co chcesz wiedzieć?

- Jesteś pewien, że możesz o tym mówić?

- Admirał dał mi wolną rękę. Przecież jest... przepraszam, był zastępcą dyrektora, sądzę więc, że wolno mi postępować zgodnie z jego wolą. Jako zwierzę terenowe nie rozeznaję się we wszystkich biurokratycznych zawiłościach, ale na zdrowy rozum, prawda jeszcze nikomu nie powinna zaszkodzić. Poza tym Ritter powiedział mi, że wszystko odbywa się legalnie i że ma wszelkie uprawnienia do tego polowania.

Uprawnienia te mogą pochodzić tylko z jednego źródła. Ktoś zawyrokował, że sprawa narkotyków doprowadziła do „stanu bezpośredniego zagrożenia” - to cytat -

bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Tylko jeden człowiek może sobie w praktyce pozwolić na taką ocenę sytuacji, a jeśli już tak postanowi, to ma prawo wszczęcia odpowiednich działań. Może nie skończyłem studiów, ale za to dużo czytam. Od czego mam zacząć?

- Od początku - odpowiedział Jack. Słuchał przeszło godzinę.

- Wracasz tam? — spytał Ryan, gdy Clark skończył.

- Szansy przydybania Corteza chyba nie warto przepuścić. Mogę też pomóc przy ewakuacji tych chłopaków z gór. Nie jestem zachwycony, ale z tego żyję. Nie sądzę, żeby twojej żonie podobało się wszystko, co robi jako lekarz.

- Muszę cię spytać o jedno. Co czułeś, naprowadzając te bomby na cel?

- A co ty czułeś, strzelając do ludzi, kiedy to jeszcze robiłeś? Jack skinął głową.

- Przepraszam... Też mi to przyszło do głowy.

- Najpierw wstąpiłem do SEAL marynarki. Długi staż w Azji Południowo-Wschodniej.

Dostawałem rozkazy zabijania ludzi i z rozkazów

tych się wywiązywałem. Przecież też nie mieliśmy wówczas formalnie wypowiedzianej wojny. Nie ma się czym chwalić, ale robota jest robotą. Od zwerbowania do Agencji nie miałem wielu tego typu zadań... Bywało i tak, że chętnie wykonałbym ich więcej, bo w ten sposób mógłbym w ostatecznym rozrachunku ocalić życie kilku ludziom.

Miałem już głowę Abu Nidala na muszce, ale nie dostałem pozwolenia na sprzątnięcie sukinsyna. To samo z innymi dwoma, wcale nie lepszymi. Byłaby to pod każdym względem czysta, doskonale utajniona robota, ale zniewieściała sekcja w Langley nie potrafiła podjąć decyzji. Kazali mi tylko sprawdzić, czy sprawa jest do zrobienia, co jest równie niebezpieczne jak pociągnąć za spust, ale nigdy nie dostałem zielonego światła na zakończenie misji. Z mojego punktu widzenia operacja jest w porządku. Ci łajdacy są wrogami naszego kraju, zabijają naszych obywateli; sprzątnęli też kilku ludzi z Agencji i to w niezbyt wybredny sposób, a my na to nic. I doszukaj się tu sensu. Ale ja tylko wykonuję rozkazy. Jeszcze mi się nie zdarzyło postąpić wbrew rozkazowi.

- A gdybyś tak pogadał z FBI?

- Chyba żartujesz. Nawet gdybym chciał, a wcale nie mam ochoty, przede wszystkim zależy mi na tych dzieciakach w górach. Jeżeli mnie powstrzymasz, Jack, chłopcy mogą głupio zginąć. Wcześniej, dziś wieczorem, dzwonił do mnie Ritter i pytał, czy chcę wracać. Wylatuję jutro o ósmej czterdzieści do Panamy, a stamtąd z powrotem do Kolumbii.

- Wiesz, jak się ze mną skontaktować?

- Dobry pomysł - zgodził się Clark.

Odpoczynek każdemu dobrze zrobił. Bóle zelzały i wszyscy mieli nadzieję, że w pierwszych godzinach marszu rozruszają zeszywniałe wciąż mięśnie. Kapitan Ramirez zebrał swoich żołnierzy i wyjaśnił im nową sytuację. Przez radio satelitarne nadał

prośbę o ewakuację. Wiadomość ta spotkała się z powszechną aprobatą. Niestety, dodał, prośba musiała być przekazana wyżej - z pozytywną opinią, jak zapewniła Zmienna - a zresztą śmigłowiec i tak czekał na wymianę silnika. Pozostaną więc w terenie co najmniej jeszcze jedną noc, może dwie. Na razie mieli unikać kontaktu i posuwać się ku odpowiedniemu miejscu ewakuacji. Punkty takie zostały już wyznaczone i Ramirez wskazał jeden z nich, do którego zamierzał dotrzeć. Znajdował

się on piętnaście kilometrów na południe. Zadanie na dzisiejszą noc polegało więc na przedarciu się ukradkiem przez grupę, która na nich polowała. Sztuka nie lada, ale jak już się uda ominąć wroga, pozostanie im czysty, przeczesany uprzednio teren.

Spróbują tej nocy zrobić osiem, dziewięć kilometrów, a resztę zostawić na jutrzejszą.

Tak czy owak, misja dobiegła końca i już się wycofywali. Niedobitki z drużyny Bandera stworzą trzecią grupę wsparcia, wzmacniając siłę ogniową Noża. Każdy miał

co najmniej dwie trzecie początkowego zapasu amunicji. Kończyła im się wprawdzie żywność, ale mieli jej dość na dwa dni, jeśli nikt nie będzie jęczał, że mu od czasu do czasu zaburczy w brzuchu. Ramirez zakończył odprawę optymistyczną nutą. Misja była kosztowna i niełatwa, ale osiągnęli swój cel i porządnie dali się we znaki handlarzom. Teraz wszyscy musieli zebrać siły do marszu. Żołnierze wymienili porozumiewawcze spojrzenia i szykowali się do drogi.

Chavez wyruszył na czele dwadzieścia minut później. Postanowili iść jak najbliżej wierzchołka góry. Przeciwnik wykazał skłonność do obozowania niżej i w ten sposób mieli największe szansę uniknięcia kontaktu. Tak jak poprzednio, Ding miał trzymać się z dala od wszystkiego, co wskazywałoby teren zamieszkały. Z tego powodu musieli obejść szerokim łukiem plantacje kawy i położone przy nich wioski, lecz tę samą taktykę stosowali przecież do tej pory. Musieli też posuwać się tak szybko, jak pozwalała na to ostrożność. Często robili to na ćwiczeniach i zawsze z dużą pewnością siebie. Ding stracił nieco z tej pewności po doświadczeniach w polu.

Pocieszające dla niego było natomiast to, że Ramirez znów zachowywał się jak oficer.

Może zmęczenie też dało mu wcześniej w kość.

Przebywanie w pobliżu plantacji kawy miało tę dobrą stronę, że teren nie był gęsto zarośnięty. Miejscowi chodzili do lasu po drewno na opał, co przerzedziło nieco gęstwiny. Jaki wpływ miało to na erozję gruntu, to już nie Chaveza zmartwienie.

Ważne, że mógł poruszać się szybciej i pokonywać prawie dwa kilometry na godzinę, dużo szybciej niż się spodziewał. O północy nogi mówiły mu już o każdym przebytym metrze. Po raz kolejny przekonywał się, że zmęczenie pozostaje w organizmie. Na całkowitą regenerację nie wystarczał jednodniowy odpoczynek, bez względu na to, w jakiej się było kondycji. Niewykluczone, że wysokość też robiła swoje. Nie bacząc na nic, ostatnimi siłami starał się utrzymać tempo, zachować czujność i pamiętać marszrutę. Operacje piechoty o wiele bardziej, niż się wydaje, angażują umysł, który jako pierwszy staje się ofiarą zmęczenia.

Pamiętał z mapy małą osadę, około pół kilometra poniżej miejsca, w którym się teraz znajdował. Skręcił w prawo w wyznaczonym punkcie kilometr wcześniej - sprawdził

miejsce podczas odpoczynku przed czterdziestoma minutami. Usłyszał dochodzący z tamtego kierunku hałas.

Wydał mu się dziwny. Miejscowi chłopcy, jak mu powiedziano, ciężko harowali na plantacjach. O tej porze powinni już spać. Ding zignorował oczywisty sygnał. Nie zignorował jednak krzyku - może raczej stękania, jakie się wydaje podczas...

Włączył noktowizor i ujrzał biegnącą ku niemu postać. Zrazu nie był pewien - po chwili nie miał już wątpliwości. Przez zarośla biegła ze zdumiewającą zwinnością dziewczyna. Zza jej pleców dobiegał ciężki tupot kogoś, kto ją gonił. Chavez wystukał

na klawiszach radiotelefonu alarm. Wszyscy za nim zatrzymali się i oczekiwali sygnału wolnej drogi.

Nie doczekali się. Dziewczyna potknęła się i zmieniła kierunek. Po kilku sekundach potknęła się drugi raz i upadła Chavezowi prosto pod nogi.

Sierżant zacisnął jej dłoń na ustach. Wskazujący palec drugiej ręki przytknął sobie do warg w powszechnym geście błagania o ciszę. Oczy jej rozszerzyły się i zbieleły, gdy go zobaczyła - a raczej nie jego, tylko mieszaną farb maskujących, jak z filmowego horroru.

- seniorita, proszę się nie bać. Jestem żołnierzem, nie krzywdzę kobiet. Kto cię goni? -

Odjął dłoń od jej ust, modląc się, żeby nie zaczęła krzyczeć.

Ale nie mogła, nawet gdyby chciała, z trudem łapiąc oddech, by odpowiedzieć. Biegła zbyt długo i zbyt szybko.

- Jeden z ich żołnierzy, tych z karabinami. Chciałam..

Położył jej z powrotem dłoń na ustach, gdy odgłos deptanych gałęzi zbliżył się.

- Gdzie jesteś? - wołał męski głos. Cholera!

- Uciekaj tędy - rozkazał jej Chavez i wskazał drogę. - Nie zatrzymuj się ani nie oglądaj za siebie. Szybko!

Dziewczyna pobiegła, a jej prześladowca podążył za hałasem. Przebiegł obok Dinga Chaveza i zdążył zrobić tylko jeden krok dalej. Sierżant zacisnął mu dłoń na ustach i powalił go, odciągając mu głowę do tyłu. W chwili gdy obaj padli na ziemię, nóż bojowy Dinga wykonał jedno poprzeczne cięcie. Chaveza zdumiał efekt akustyczny.

Uchodzące z tchawicy powietrze w połączeniu z tryskającą krwią wydawało bulgot, na dźwięk którego Chaveza aż cofnęło. Mężczyzna miotał się w konwulsjach, by po kilku sekundach opaść bezwładnie. Ofiara miała własny nóż, który Ding wbił do rany. Miał

nadzieję, że nie obwiniają za to dziewczyny, ale przecież zrobił dla niej, co mógł. Po chwili nadszedł kapitan Ramirez i nie był zachwycony.

- Nie miałem wyboru, panie kapitanie - rzekł pokornie Chavez. W duchu był z siebie dumny. Przecież obrona słabszych to obowiązek żołnierza.

- Spieprzać mi stąd!

Oddział wyruszył szybko, by jak najprędzej oddalić się od tego miejsca, ale jeśli ktoś poszukiwał krewkiego lunatyka, żaden dźwięk na to nie wskazywał. Reszta nocy przebiegła już bez żadnych incydentów. Do wyznaczonego postoju dotarli tuż przed świtem. Ramirez ustawił radio i nadał komunikat.

- Dobra, Nóż, notujemy waszą pozycję i cel. Nie mamy jeszcze potwierdzenia ewakuacji. Połączcie się z nami około osiemnastej czasu lokalnego. Powinna być wtedy decyzja. Odbiór.

- Rozumiem. Połączymy się o osiemnastej. Nóż bez odbioru.

- Głupia sprawa z tą Banderą - powiedział jeden łącznościowiec do drugiego.

- Zdarza się.

- Pan Johns?

- Zgadza się - odrzekł pułkownik, nie odwracając się od razu. Właśnie wrócił z próbnego lotu. Nowy, a ściślej mówiąc odremontowany, pięcioletni silnik spisywał się całkiem nieźle. Pave Low III był już gotów do pracy. Pułkownik Johns odwrócił się wreszcie, by zobaczyć, z kim ma do czynienia.

- Czy pan mnie poznaje? - spytał bez ogródek Cutter.

Miał na sobie dla odmiany galowy mundur. Nie wkładał go od miesięcy, ale trzy gwiazdki na obszytych galonem epoletach lśniły w porannym słońcu wraz ze wstęgami i odznaką oficera wojny lądowej. W bielutkim mundurze wyjściowym robił istotnie imponujące wrażenie. Dokładnie tak, jak zamierzał.

- Tak, panie admirale. Przepraszam.

- Pańskie rozkazy zostały zmienione, pułkowniku. Proszę jak najszybciej wracać do swojej bazy w kraju. To znaczy dzisiaj - rzekł z naciskiem Cutter.

- Ale co się stanie...

- To zostanie załatwione innymi środkami. Czy muszę panu mówić w czyim imieniu z panem rozmawiam?

- Nie, panie admirale.

— Nie wolno panu z nikim dyskutować na ten temat. Dosłownie z nikim, nigdzie, nigdy. Czy potrzebne są panu dalsze instrukcje, pułkowniku?

— Nie, panie admirale, zrozumiałem dokładnie pańskie rozkazy.

— Świetnie.

Cutter odwrócił się i poszedł z powrotem do swojej limuzyny sztabowej, która natychmiast odjechała. Następnie zatrzymał się na szczycie wzgórza opodal Przekopu Gaillarda, gdzie stacjonował wóz łączności. Cutter wszedł prosto do środka, nie bacząc na uzbrojonego strażnika i wygłosił podobną mowę. Zdumiał się wielce, że usunięcie wozu nie jest takie proste i wymaga pomocy helikoptera. Wielkie rozmiary samochodu nie pozwalały na holowanie go wąską drogą dojazdową. Wydał wszakże rozkaz zakończenia działalności i obiecał załatwić śmigłowiec do transportu wozu.

Zanim to nastąpi, mieli pozostać na miejscu i nic nie robić. Ich łączność została spalona, tłumaczył, i dalsze transmisje jeszcze bardziej mogłyby zaszkodzić ludziom, z którymi się komunikowali. Argumenty te spotkały się także ze zrozumieniem, więc pośpiesznie wyszedł. Wsiadł do samolotu o jedenastej. Zdaży do domu w Waszyngtonie na kolację.

Mark Bright dotarł do stolicy tuż po porze lunchu. Przekazał kasety z filmami ekspertowi z laboratorium i udał się do biura Dana Murraya, gdzie zdał raport z tego, co widział.

- Nie wiem, z kim się spotkał, ale może rozpoznasz twarz. Zrobiliście już coś z numerem karty kredytowej?

- To konto CIA, do którego miał dostęp od dwóch lat. Ale dopiero teraz skorzystał z niego po raz pierwszy. Nasz miejscowy kolega przesłał nam faksem kopię do identyfikacji podpisu. Ekspertyza grafologiczna wykazała zgodność charakterów pisma

- powiedział Murray. - Coś taki zmięty?

- Nie wiem... Przecież spałem najwyżej trzy godziny przez ostatnią dobę. Odsłużyłem już swoje w stolicy. Myślałem, że w Mobile będę miał długie wakacje.

Murray uśmiechnął się.

- Witamy z powrotem w nierzeczywistym świecie Waszyngtonu.

- Musiałem skorzystać z pomocy, żeby zrobić ten numer - powiedział następnie Bright.

- Jakiej mianowicie? - Uśmiech zgasł mu na twarzy.

- Personelu Sił Powietrznych, wywiadu i wydziału kryminalnego lokalnej policji.

Powiedziałem im, że to ściśle tajna operacja, a nawet gdybym powiedział im wszystko, co wiem, a nie zrobiłem tego, to przecież

sam nie mam pojęcia, co jest grane. Biorę na siebie odpowiedzialność, ale gdybym tak nie postąpił, nie zrobiłbym prawdopodobnie tych zdjęć.

- Chyba postąpiłeś słusznie - rzekł Murray. - Nie miałeś dużego wyboru, jak sądzę.

Tak już czasami bywa.

Bright z ulgą przyjął oficjalne rozgrzeszenie.

- Dziękuję.

Musieli poczekać jeszcze pięć minut na zdjęcia. Sprawa dostała zielone światło, ale nawet

priorytetowe przypadki wymagały czasu, ku utrapieniu wszystkich zainteresowanych. Wreszcie technik - sam szef sekcji - wszedł z wilgotnymi odbitkami.

- Wydawało mi się, że spieszno wam do tych obrazków.

- Wspaniała intuicja, Marv... Rany boskie! - wykrzyknął Murray. - Marv, to ściśle tajny materiał.

- Wiem, Dan. Gęby na kłódkę. Można zrobić z tego wyraźniejsze zdjęcia, ale zajmie nam to jeszcze godzinę. Mam się zabrać do roboty?

- Jak najszybciej - rozkazał Murray i technik wyszedł. - Chryste Panie - powiedział

Murray, spojrzawszy znów na fotografię. - Robisz wredne zdjęcia, Mark.

- Kto to właściwie jest?

- Felix Cortez.

- Nie znam.

- Były pułkownik DGI. O mały włos nie wpadł nam w łapy, kiedy przyskrzyniliśmy Filiberto Ojedę.

- Sprawa Macheteros? - To się nie trzymało kupy.

- Nie, niezupełnie. - Murray potrząsnął głową.

Zastanowił się i zadzwonił po Billa Shawa. Urzędujący dyrektor zjawił się w niespełna minutę. Agent Bright wciąż niczego nie rozumiał, gdy Murray pokazał swojemu szefowi fotografię.

- Bili, nie uwierzysz własnym oczom.

- Kim więc, do diabła, jest Felix Cortez? - spytał Bright. Shaw odpowiedział mu na pytanie.

- Po ucieczce z Portoryko zaczął pracować dla kartelu. Maczał też palce w morderstwie Emila, nie wiemy, w jakim stopniu, ale głowę daję, że się do tego dołożył.

A tu proszę, siedzi sobie z doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

I o czymże to ci panowie dyskutowali, jak myślisz?

- Mam jeszcze niewywołane zdjęcie, jak ściskają sobie dłonie -oznajmił młodszy agent.

Shaw i Murray spojrzeli nań w osłupieniu, gdy to powiedział. Następnie spojrzeli po sobie. Facet, który doradza prezydentowi

w sprawach bezpieczeństwa narodowego, uściśnął dłoń najemnikowi kartelu...?

- Dan - odezwał się Shaw - Co się tu dzieje, do jasnej cholery? Czy cały świat już zupełnie

zwariował?

- Na to wygląda.

- Zadzwoń do swojego przyjaciela Ryana. Powiedz mu... Powiedz jego sekretarce, że szykuje się akcja terrorystyczna... Nie, za duże ryzyko. Może złapać go po drodze do domu?

- Ma szofera.

- Wspaniale.

- Mam pomysł. - Murray podniósł słuchawkę i wykręcił numer w Baltimore. - Cathy?

Dan Murray. Dziękuję, dobrze. O której szofer podwozi zwykle Jacka do domu?

Został w mieście? Dobra, bądź więc łaskawa zrobić coś dla mnie, ważna sprawa, Cathy. Powiedz Jackowi, żeby po drodze do domu wpadł do Danny'ego odebrać książki. Nic więcej, Cathy. To nie dowcip. Możesz to dla mnie zrobić? Dziękuję, pani doktor. - Odłożył słuchawkę. - Konspiracja jak z filmu, co?

- Czy aby ten Ryan nie jest z CIA?

- Owszem - odparł Shaw. - I to właśnie on podrzucił nam ten pasztet. Niestety, Mark, nie możesz być dopuszczony do tej sprawy.

- Doskonale rozumiem.

- Najlepiej dowiedz się, kiedy masz pierwszy lot do domciu i sprawdź, jak ci rośnie twoja nowa pociecha. Odwaliłeś tu kawał dobrej roboty. Nie zapomnę o tym -

przrzekł tymczasowy dyrektor.

Pat O'Day, świeżo awansowany inspektor w kwaterze głównej FBI, obserwował z parkingowego swojego podwładnego, który stał na pasie lotniska w poplamionym kombinezonie sierżanta lotniczych służb technicznych. Był bezchmurny, gorący dzień w bazie Sił Powietrznych Andrews. F-4C wylądował tuż przed VC-20A. Dostosowany do celów wojskowych samolot dyspozycyjny dokołował do stojanki numer 89 po zachodniej stronie bazy. Podjechały schodki i Cutter wyszedł w cywilnym ubraniu.

Biuro już wiedziało - poprzez personel wywiadowczy Sił Powietrznych - że rano odwiedził załogę śmigłowca i wóz komunikacyjny. Nikt jeszcze nie skontaktował się z nimi, by spytać o cel tych wizyt, bo centrala wciąż starała się sama rozgryźć sprawę, z marnym skutkiem, pomyślał O'Day, ale to przecież normalka. Chciał wrócić w teren do prawdziwej policyjnej roboty, choć ta sprawa miała swoje uroki. Cutter poszedł na parking, gdzie zostawił swój prywatny samochód, rzucił torbę na tylne siedzenie i odjechał, pozostając bez przerwy w polu widzenia O'Daya i jego kierowcy.

Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego wjechał na Suitland Parkway w kierunku Waszyngtonu, a następnie, już na terenie miasta, skręcił na 1-395. Wbrew ich oczekiwaniom, zamiast

obrać wyjazd na Maine Avenue i skierować się ku Białemu Domowi, pojechał prosto do swej oficjalnej rezydencji w Fort Myer w stanie Wirginia.

Na tym musieli zakończyć dyskretną, rutynową obserwację.

- Cortez? Nazwisko nie jest mi obce. Cutter spotkał się z byłym funkcjonariuszem DGI? - spytał Ryan.

- Oto zdjęcie. - Murray wręczył Jackowi fotografię. Laboranci zastosowali komputerową obróbkę wzmacniającą i dzięki tej jednej z najcudowniejszych sztuczek detektywistycznej czarnej magii, z gruboziarnistego negatywu zrobili doskonałą, ostrą odbitkę. Moira Wolfe ponownie zidentyfikowała Corteza, żeby już nikt nie miał

najmniejszej wątpliwości. - Masz jeszcze jedno. - Na drugim zdjęciu panowie ściskali sobie dłonie.

- To się spodoba w sądzie - rzekł Ryan, oddając fotografię.

- Zdjęcia nie stanowią żadnego dowodu - odparł Murray.

- Hm?

Shaw wyjaśnił, w czym rzecz.

- Wysocy urzędnicy państwowi cały czas spotykają się z... z dziwnymi osobnikami.

Pamiętasz, jak Kissinger potajemnie udał się do Chin?

- Ale to było... - Ryan umilkł, porażony głupotą swojej obiekcji. Pamiętał wszak potajemne spotkanie z pierwszym sekretarzem sowieckiej partii, o którym nie mógł

poinformować FBI. Co by o tym pomyśleli ludzie?

- Nie jest to dowód przestępstwa ani spisku, dopóki nie wiemy, czy przedmiot rozmowy jest zgodny z prawem - wyjaśnił Jackowi Murray. - Jego adwokat wytoczy argument, zapewne przekonujący, że spotkanie z Cortezem, choć z pozoru odbiegające od normy, miało na celu realizację poufnej wprawdzie, ale zgodnej z interesem państwa polityki.

- Pieprzenie w bambus - skomentował Jack.

- Adwokat zgłosiłby sprzeciw wobec tak sformułowanej opinii, a sędzia kazałby skreślić ją z protokołu, poleciłby ławie zignorować ją i przywołałby pana do porządku za niewybredny język, doktorze Ryan - rzekł z naciskiem Shaw. - Owszem, mamy tu bardzo interesującą informację, lecz nie stanowi ona dowodu przestępstwa, dopóki nie przekonamy się, że mamy do czynienia z przestępstwem. Jasne, że to pieprzenie w bambus.

- Nawiasem mówiąc, spotkałem się z facetem, który naprowadzał „bomby samochodowe” na cele.

- Gdzie on jest? - spytał niecierpliwie Murray.
- Chyba już z powrotem w Kolumbii. - Ryan wyjaśniał szczegóły przez kilka minut.
- Kto to jest, do diabła? - spytał Murray.
- Zostawmy na razie jego nazwisko w spokoju, dobra?
- Uważam, że powinniśmy z nim porozmawiać - powiedział Shaw.
- Nie ma ochoty na rozmowę z wami. Nie chce iść do pudła.
- Nie ma obawy. - Shaw wstał i zaczął chodzić po pokoju. - Nie wiem, czy panu wiadomo, że też jestem prawnikiem. Mam nawet doktorat z prawa. Gdybyśmy chcieli wytoczyć mu proces, jego adwokat rzuciłby nam w twarz precedensem Martineza-Barkera. Wie pan, o jaką sprawę chodzi? Mało znany rezultat afery Watergate.

Martinez i Barker zamieszani byli w spisek Watergate, prawda? Ich obrona, bodaj wcale uczciwa, opierała się na przekonaniu oskarżonych, że włamanie zostało usankcjonowane przez uprawniony urząd jako część dochodzenia w interesie bezpieczeństwa narodowego. W przydługim uzasadnieniu sąd apelacyjny większością głosów orzekł, że nie było zamiaru przestępstwa, oskarżeni działali cały czas w dobrej wierze, a zatem przestępstwa jako takiego w ogóle nie popełniono. Pański znajomy zezna, że poinformowany przez swoich przełożonych o klauzuli „stanu bezpośredniego zagrożenia” oraz autoryzacji na samej górze, wykonywał tylko posłusznie rozkazy ludzi, którzy mieli wystarczające upoważnienia konstytucyjne, by je wydawać. Dan zdążył już chyba powiedzieć panu, że w tego rodzaju przypadkach żadnego prawa właściwie nie ma. Ba, większość moich agentów z rozkoszą postawiłaby temu facetowi piwo za pomszczenie śmierci Emila.

- Zapewniam was, że ten facet to poważny, doświadczony weteran i z tego, co się zdążyłem zorientować, nie ma fioła na punkcie zabijania.
- Nie wątpię. A propos zabijania, znaleźli się prawnicy, którzy twierdzą, że interwencjom policyjnych snajperów cholernie blisko do morderstw z zimną krwią.

Odróżnienie działań policji od akcji bojowych jest doprawdy trudniejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. W tym konkretnym przypadku, gdzie przebiega granica pomiędzy morderstwem a uzasadnioną operacją antyterrorystyczną? Wszystko sprowadzi się do... i tak zadecydują w końcu polityczne przekonania sędziów w procesie, apelacji i wszystkich pozostałych etapach procedury. Polityka, panowie.

Musicie wiedzieć - rzekł Shaw - że o wiele prościej było ścigać włamywaczy do banków. Przynajmniej człowiek wiedział, na czym stoi.

- Tu jest klucz do całej tej afery - powiedział Ryan. - Gotów jestem założyć się o każde pieniądze, że wszystko się zaczęło, bo mamy rok wyborów prezydenckich.

Zadzwoił telefon Murraya.

- Tak? Dobra, dziękuję. - Odłożył słuchawkę. - Cutter właśnie wsiadł do samochodu.

Jedzie George Washington Parkway. Czy ktoś chce zgadnąć, dokąd?

Rozdział 26

INSTRUMENTY PAŃSTWA

Inspektor O'Day podziękował swoim szczęśliwym gwiazdom - jako Irlandczyk wierzył

w takie rzeczy - za to, że Cutter okazał się skończonym idiotą. Wzorem poprzednich doradców do spraw bezpieczeństwa, zrezygnował z ochrony Secret Service, a sam przecież nie miał zielonego pojęcia o inwigilacji. Obiekt wjechał prosto na George Washington Parkway i zmierzał na północ przekonany, że nikt go nie zauważy. Nie pokusił się nawet o takie manewry, jak zawracanie na światłach czy zjazd w boczną jednokierunkową uliczkę, których łatwo nauczyć się z telewizyjnych seriali, a jeszcze lepiej z lektury przygód Philipa Marlowe'a, ulubionej rozrywki Pata O'Daya. Nawet podczas służby przesłuchiwał kasety z nagrajnymi powieściami Chandlera. Miał

większe trudności z rozwikłaniem tych fikcyjnych spraw niż prawdziwych, ale to tylko dowód, że z Marlowe'a byłby agent FBI pierwsza klasa. Ta sprawa nie wymagała jednak aż takich umiejętności. Cutter ze swoimi trzema gwiazdkami admirałskimi był

zagubionym dzieckiem w dżungli, jeśli chodzi o konspirację. Przez cały czas trzymał

się tego samego pasa jezdni i zjechał z autostrady w kierunku CIA, chyba że pan admirał okazał nagle zainteresowanie Instytutem Badawczym Federalnego Zarządu Autostrad w Fairbanks, zresztą o tej porze z pewnością nieczynnym. Jediną trudność stanowiło podjęcie obserwacji, kiedy już wyjdzie z budynku. Ciężko tu było ukryć samochód - CIA miała raczej dobrą ochronę. O'Day wysadził kolegę i kazał mu trzymać wartę w przydrożnym lesie oraz wezwał na pomoc drugi wóz. Nie wątpił, że Cutter wkrótce wyjdzie i pojedzie prosto do domu.

Doradca do spraw bezpieczeństwa nie zorientował się, że jest śledzony i zostawił auto na parkingu dla VIP-ów. Jak zwykle, ktoś przytrzymał mu drzwi i odprowadził na siódme piętro, do biura Rittera. Admirał usiadł, nie zawracając sobie głowy czczymi uprzejmościami.

- Twoja operacja się rozlatuje - oświadczył bez ogródek zastępcy dyrektora wydziału operacyjnego.

- O co chodzi?

- Chodzi o to, że spotkałem się wczoraj z Feliksem Cortezem. Wie o naszych oddziałach. Wie o rozpoznaniu lotnisk. Wie o bombach i wie o helikopterze wspierającym „Rewię”. Zamykam cały kram. Już kazałem załodze helikoptera wracać do bazy w Eglin, a załodze stacji „Zmienna” przerwać łączność.

- Bujda! - krzyknął Ritter.

- To są fakty. Ja tu wydaję rozkazy, Ritter. Jasne?

- Co z naszymi ludźmi? - naciskał ZDO.

- Wziąłem to na siebie. Nie musisz wiedzieć, jak. Wszystko się wyciszy - odparł

Cutter. - Masz, czego chciałeś. Wojna w kartelu trwa. Eksport narkotyków spadnie o połowę. Możemy puścić do prasy wiadomość, że zwycięstwo w kampanii antynarkotykowej jest pewne.

- Z Cortezem na czele kartelu, tak? Czy nie przyszło ci do głowy, że gdy tylko porządnie usadzi się w siodle, wszystko wróci do normy?

- A tobie nie przyszło do głowy, że facet może rozdmuchać operację na cały świat?

Masz pojęcie, co się stanie z tobą i sędzią, gdyby do tego doszło?

- To samo, co z tobą - odszczeknął Ritter.

- Nie ze mną. Byłem przy tym tak samo jak minister sprawiedliwości. Prezydent nie upoważnił cię nigdy do zabijania ludzi. Nie wspomniał słowem o inwazji na terytorium innego kraju.

- Ta operacja to twój pomysł, Cutter.

- Gdzie tak jest napisane? Czy masz mój podpis pod choć jednym protokołem? - spytał

admirał. - Jeśli sprawa się wyda, w najlepszym przypadku możesz liczyć na to, że zamkną nas w jednej celi. Gdyby ten Fowler wygrał wybory, obaj mamy przechlapane.

Stąd wniosek, że sprawa nie może się wydać.

- Mam twoje nazwisko w protokole.

- Ta operacja już została zakończona i nie pozostał po niej ślad. Cóż więc możesz zrobić, żeby wsypać mnie, nie narażając jednocześnie siebie i Agencji na znacznie poważniejsze oskarżenia? - Cutter był z siebie bardzo dumny. Obmyślił wszystko podczas powrotnego lotu z Panamy. - Tak czy owak, ja tu wydaję rozkazy. Udział

CIA w tej sprawie definitywnie

się skończył. Jesteś jedynym człowiekiem, który ma dokumentację. Proponuję, żebyś ją zniszczył. Wszystkie papiery dotyczące „Rewii”, Zmiennej, „Wzajemności” i „Orlego Oka” powinny się ulotnić. Zostawimy tylko „Kapara”. To jedyna część całej operacji, której druga strona nie rozpracowała. Zrób z tego normalną tajną operację, a na pewno nam się przyda. To są rozkazy. Proszę je wykonać.

- Zostanie parę niezalatwionych spraw.

- Gdzie? Myślisz, że ludzie będą pchać się na ochotnika do pudła? Czy twój pan Clark oświadczy wszem i wobec, że zabił przeszło trzydzieści osób? Czy ta załoga lotnictwa marynarki napisze książkę o zrzuconiu dwóch inteligentnych bomb na prywatne rezydencje w zaprzyjaźnionym kraju? Twoi łącznościowcy ze Zmiennej nic właściwie nie zobaczyli. Pilot myśliwca stracił kilka samolotów, ale komu o tym powie? Samolot kontroli obszaru, który go naprowadzał, nie widział, jak chłopak robi, co trzeba, bo tuż przed akcją przerwano łączność. Ludzie z operacji specjalnych, którzy wykonywali naziemną część misji na lotnisku w Pensacoli, nie puszcza pary z gęby. Mamy tylko kilku gości z przechwyconych samolotów kurierskich. Sądzę, że znajdzie się na nich jakiś sposób.

- Zapomniałeś o chłopakach w górach - rzekł speszony Ritter. Znał już tę historię.

- Potrzebne mi są dane o ich pozycjach, żebym mógł zorganizować ewakuację.

Przeprowadzę to własnymi kanałami, jeśli pozwolisz. Daj mi informacje.

- Nie.

- To nie była prośba. Dobrze wiesz, że mogę cię w każdej chwili wsypać. Wtedy wszelkie twoje próby wciągnięcia mnie w to całe gówno będą wyglądały na nędzne wysiłki ratowania własnej skóry.

- Ale wybory i tak mielibyście z głowy.

- Będziesz miał się czym pocieszać w pierdłu. Człowieku, Fowler nie chce sadzać na krześle nawet wielokrotnych morderców. Ciekawe, jak zareaguje na zrzuconie bomb na ludzi, których w ogóle nie postawiono w stan oskarżenia, nie mówiąc już o tych stratach ubocznych, które odfajkowałeś lekką ręką. Nie ma innego wyjścia, Ritter.

- Clark wrócił do Kolumbii. Wysłałem go za Cortezem. To też załatwiłoby sprawę. -

Był to ostatni gambit Rittera, ale nie na wiele się zdał.

Cutter poderwał się z krzesła.

- A jeżeli spieprzy robotę? Nie warto ryzykować. Odwołaj swojego psa. To też rozkaz. Daj mi teraz te dane... I zniszcz dokumentację.

Ritter ociągał się. Ale nie widział żadnej alternatywy. ZDO podszedł do swojego sejfu w ścianie - drzwiczki w boazerii były otwarte — i wyciągnął teczkę. W tej z nagłówkiem „Rewia II” znajdowała się mapa taktyczna z zaznaczonymi punktami ewakuacyjnymi. Podał ją Cutterowi.

- Trzeba to wszystko zniszczyć jeszcze dzisiaj. Ritter westchnął.

- Dobrze.

- Cieszę się. - Cutter włożył mapę do kieszeni marynarki. Wyszedł bez słowa.

- I tyle z tego wyszło - powiedział Ritter.

Trzydzieści lat w służbie państwowej, kierowanie agentami na całym świecie, operacjami w imię racji stanu, a teraz miał wykonać bzdurny rozkaz albo czekać na przesłuchanie przed komisją Kongresu, sądami i w końcu wylądować w więzieniu.

Jedyna satysfakcja, że mógłby wpakować tam również innych. Nie warto. Bob Ritter niepokoił się o los tych żołnierzy w górach, ale Cutter powiedział przecież, że się tym zajmie. Zastępca dyrektora wydziału operacyjnego Centralnej Agencji Wywiadowczej pocieszył się, że może wierzyć mu na słowo, wiedząc przecież, że nie uwierzy. Miał

też świadomość, że tylko tchórzostwo kazało mu udawać, że wierzy.

Zdjął teczki z dokumentami ze stalowych półek i przeniósł na biurko. Pod ścianą stała maszyna do mielenia papieru, jeden z ważniejszych instrumentów współczesnej władzy. Były to jedyne egzemplarze tych dokumentów. Łącznościowcy z panamskiego wzgórza niszczyli wszystkie komunikaty zaraz po przekazaniu kopii do biura Rittera. „Kapar” szedł przez NSA, ale nie otwierano tam archiwów operacyjnych, toteż wszystkie komunikaty utoną w masie danych w podziemiach kompleksu w Fort Meade.

Była to wielka maszyna z automatycznym podajnikiem. Niszczenie dokumentów przez wyższych urzędników państwowych traktowano jako rzecz normalną. Wszak zbędne kopie poufnych papierów stanowiły niepotrzebne ryzyko. Nikt nie zwróci uwagi na to, że plastikowy worek, przed chwilą jeszcze pusty, zapełni się papierowym makaronem z ważnych niegdyś dokumentów wywiadu. CIA co dzień spalała tego całe tony i wykorzystywała część powstałego w ten sposób ciepła do ogrzewania wody w łazienkach. Ritter wkładał do podajnika papiery w centymetrowych plikach i patrzył, jak całe świadectwo jego operacji terenowych zmienia się w śmieci.

- Jest - zameldował przez radio młodszy agent. - Jedzie na południe.

O'Day przejął obserwację trzy minuty później. Drugi samochód już jechał za Cutterem, a kiedy do akcji dołączył O'Day, było już wiadomo, że pan admirał wraca sobie do Fort Myer, dzielnicy rezydencji rządowych opodal Sherman Road, na wschód od kasyna oficerskiego. Cutter mieszkał w domu z czerwonej cegły z oszkloną werandą, na wprost wojskowego cmentarza Arlington. Wprawdzie inspektor O'Day, który służył

w Wietnamie, niewiele wiedział o admirałach i prowadzonej przez niego operacji, wydawało mu się jednak bluźnierstwem, że tu właśnie mieszka. Agent FBI nie chciał

wyciągać pochopnych wniosków, ale podpowiadał mu je instynkt, gdy obserwował, jak Cutter zamyka samochód i wchodzi do domu.

Jednym z dobrodziejstw posady w gabinecie prezydenta było to, że miał wspaniałą ochronę osobistą na każde zawołanie i stałe zabezpieczenie łączności najdoskonalszymi środkami technicznymi. Secret Service oraz inne agencje rządowe nie szczędziły wysiłków i czasu, by jego linie telefoniczne były zawsze bezpieczne. FBI musiałyby zgłosić każdy podsłuch, a także uzyskać wpierw nakaz sądowy, a

żaden z tych warunków nie został spełniony. Cutter wybrał numer na zwolnionej od opłat linii -

poprzez kierunkowy 800 - i powiedział kilka słów. Gdyby ktoś nagrał tę rozmowę, Cutterowi trudno byłoby ją wytłumaczyć, ale przecież ten sam problem miałby i postronny słuchacz. Każde wypowiedziane słowo było pierwszym hasłem na stronie pewnego słownika, a każdy numer strony składał się z trzech cyfr. Dostał stary kieszonkowy słownik przed wyjściem z rezydencji w Panamie i niebawem miał go wyrzucić. Szyfr był prosty i łatwy w użyciu, a przy tym skuteczny, gdyż wypowiedziane słowa odpowiadały stronom słownika, których numery w połączeniu dawały współrzędne na mapie, wyznaczające kilka położonych w Kolumbii miejsc.

Rozmówca powtórzył je dla potwierdzenia i odwiesił słuchawkę. Rozmowa nie zostanie w rachunku wykazana jako międzymiastowa, a sam numer zostanie jutro odłączony. By zwieńczyć dzieło, wyjął z kieszeni dyskietkę komputerową. Jak wielu ludzi, miał na drzwiach lodówki magnesy do przypinania wiadomości. Teraz przesunął

jednym z nich kilka razy nad dyskietką, likwidując znajdujące się na niej dane.

Dyskietka była ostatnim świadectwem istnienia żołnierzy operacji „Rewia”, a zarazem ostatnim sposobem wznowienia z nimi łączności satelitarnej. Wylądowała w kubie na śmieci. „Rewia” nigdy się nie odbyła.

Tak przynajmniej wmawiał sobie wiceadmirał James Cutter. Nalał drinka, wyszedł na werandę i spojrzał poprzez zielony dywan na niezliczone nagrobki. Wielokrotnie już podchodził w przeszłości do Grobu Nieznanego Żołnierza i obserwował prezydencką gwardię honorową podczas zmiany warty przed miejscami spoczynku ludzi, którzy służyli swojej ojczyźnie do ostatniej kropli krwi. Zdał sobie teraz sprawę, że będzie więcej nieznanych żołnierzy poległych gdzieś w świecie.

Pierwszy nieznaną żołnierz zginął we Francji podczas I wojny światowej i wiedział, o co walczył - czy też myślał, że wie, poprawił się Cutter. Najczęściej nie rozumieli naprawdę, o co właściwie chodzi. To, co im mówiono, nie zawsze było prawdą, lecz ojczyzna była w potrzebie, więc szli spełnić swój obowiązek. Ale do zrozumienia, o co naprawdę chodzi, o co toczy się gra, trzeba szerszych horyzontów. A to rzadko - czy kiedykolwiek? - pokrywało się z tym, co mówiono żołnierzom. Pamiętał własną służbę u wybrzeży Wietnamu, gdy jako podoficer na niszczycielu obserwował pociski z ciężkich dział bombardujące ląd i próbował wczuć się w los żyjącego w błocie żołnierza. Mimo wszystko szli ku chwale ojczyzny, nie wiedząc, że sama ojczyzna nie wie, jakiej służby naprawdę potrzebuje. Armia składała się z młodziutkich chłopców, którzy ufnie wypełniali swoje posłanie, służąc życiem, a w tym wypadku śmiercią.

- Szkoda chłopaków - szepnął do siebie. Parszywy los. Ale cóż mógł na to poradzić?

Wszyscy byli zaskoczeni, że nie dało się nawiązać łączności. Radiotelegrafista stwierdził, że nadajnik jest w porządku, ale odpowiedzi Zmiennej o osiemnastej czasu lokalnego nie było. Kapitan Ramirez nie miał wesołej miny, postanowił jednak iść dalej do punktu ewakuacyjnego. Przygoda Chaveza z niedoszłym gwałcicielem nie miała żadnych następstw, toteż młody sierżant wyruszył na czele drużyny już po raz ostatni, jak mniemał. Wróg przeczesał teren niechlujnie, po partacku, i szybko tu nie wróci.

Noc przeszła spokojnie. Poruszali się na południe w godzinnych etapach, zatrzymując się na punktach zbórnych, zataczając po drodze kręgi, by sprawdzić, czy nikt nie idzie ich śladem. Pościgu nie było. O czwartej nad ranem dotarli do punktu ewakuacji, znajdującego się na polance tuż pod szczytem o wysokości trzech tysięcy metrów.

Helikopter mógł zdjąć ich z niemal każdego miejsca, lecz wciąż zależało im głównie na zatajeniu swej obecności. Już wkrótce odlecą. Szkoda, że stracili kolegów, lecz nikt się już nie miał dowiedzieć, po co tu naprawdę byli, i misja, choć kosztowna, zakończyła się sukcesem. Tak powiedział kapitan Ramirez.

Rozstawił ich w szerokim kręgu, aby osłonić wszystkie podejścia i wyznaczył

dotatkowe posterunki obronne na wypadek, gdyby stało się coś niespodziewanego. Ukończywszy to zadanie, ponownie nastawił swoje radio satelitarne i zaczął nadawać. Lecz i tym razem nie doczekał się odpowiedzi Zmiennej.

Nie miał pojęcia, gdzie tkwi problem, wszak do tej pory wszystko działało sprawnie, a nieudane połączenia to dla oficera piechoty nie pierwsza. Nie martwił się tym razem. Jeszcze nie.

Clark nie ukrywał zaskoczenia wiadomością. Właśnie planowali z Larsonem lot do Kolumbii, gdy do niego dotarła. Zwykła notatka z kilkoma szyfrowanymi słowami wystarczyła, by wyprowadzić Clarka z równowagi. Z trudem zapanował nad wybuchem wściekłości, świadom, że nerwy to jego najgroźniejszy wróg. Chciał zrazu zadzwonić do Langley, ale powstrzymał się w obawie, że rozkaz może zostać tak wzmocniony, że trudno mu będzie go zbagatelizować. Gdy już nieco ochłonął, zaczął trzeźwo myśleć. To właśnie cała groźba emocji, uprzytomnił sobie. Nie pozwalały mu myśleć. A teraz należało myśleć do bólu. Za minutę postanowił, że czas na nieco inicjatywy.

- Chodź, Larson, wyskoczmy na małą przejażdżkę. - Poszło mu jak z płatka. Był

wciąż pułkownikiem Williamsem dla Sił Powietrznych i dostał natychmiast samochód.

Następnie zaopatrzył się w mapę. Clark wyteżył umysł, usiłując przypomnieć sobie drogę na to wzgórze... Jazda zajęła im godzinę, a na ostatnich kilkuset metrach brnęli przez koszmar wyboistej, krętej, miejscami tylko bitej drogi. Wóz stał wciąż na miejscu, a przed nim tkwił na posterunku uzbrojony wartownik, który przywitał ich niezbyt entuzjastycznie.

- Daj spokój, człowieku, przecież byłem tu wcześniej.

- A, to pan... ale proszę pana, mam rozkaz... Clark nie dał mu dokończyć.

- Nie dyskutuj ze mną. Znam twoje rozkazy. A po co, do cholery, tu przyjechałem?

Teraz bądź grzeczny i zabezpiecz broń, bo się możesz przypadkowo skaleczyć. - Clark przeszedł obok niego, budząc i tym razem podziw Larsona, na którym naładowana i wycelowana broń robiła znacznie większe wrażenie.

- Co jest grane? - spytał Clark, ledwie przekroczywszy próg wozu. Rozejrzał się dokoła. Wszystkie urządzenia zostały wyłączone. Jedyne szmer dochodził z urządzeń klimatyzacyjnych.

- Kazali przerwać łączność - odpowiedział starszy oficer łączności.

- Kto wam kazał?

- Niestety, nie mogę powiedzieć. Dostałem rozkaz, żeby przerwać łączność i tyle.

Chce pan odpowiedzi, niech pan idzie do Rittera.

Clark podszedł do rozmówcy.

- Ritter jest za daleko.

- Mam rozkazy.

- Jakie rozkazy?

- Żeby się wyłączyć, do diabła! Nie nadawaliśmy ani nie przyjęliśmy żadnego komunikatu od wczorajszego lunchu - odpowiedział oficer.

- Kto wam dał rozkaz?

- Nie mogę powiedzieć!

- Kto wspiera oddziały w terenie?

- Nie wiem. Ktoś inny. Powiedział nam, że nasza łączność została zdekonspirowana i nasze zadanie przejął ktoś inny.

- Kto? Tym razem może pan mi powiedzieć - powiedział Clark hipnotycznie spokojnym głosem.

- Nie, nie mogę.

- Czy możecie nawiązać łączność z oddziałami w terenie?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ich pasma satelitarne są zakodowane. Algorytm częstotliwości znajduje się na dyskietkach komputerowych. Dwie z nich zostały skasowane. Ten facet był przy tym i wziął sobie trzecią dyskietkę.

- Jak można odnowić łączność?

- Nie da się. Jednorazowy algorytm opiera się na losowych transmisjach z satelitów Navstar. Diabelnie bezpieczny i praktycznie nie da się go odtworzyć.

- Jednym słowem, ci chłopcy są całkowicie odcięci od świata?

- No, niezupełnie, wziął przecież trzecią dyskietkę i ktoś inny ma...

- I pan w to wierzy? - spytał Clark. Wahanie oficera było dobitną odpowiedzią. Clark tym razem przemówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Przed chwilą powiedział mi pan, że łączność była nie do odkodowania, ale potulnie przyjęliście stwierdzenie faceta, którego nigdy przedtem nie widzieliście, że łączność ta została zdekonspirowana.

Mamy tam trzydziestu naszych chłopaków i wszystko wskazuje na to, że porzucono ich na pastwę losu. Kto więc rozkazał, żebyście się zamknęli?

- Cutter.

- Był tutaj?

- Wczoraj.

- Boże! - Clark rozejrzał się po kabinie. Oficer wstydził się najwyraźniej spojrzeć mu w twarz. Łącznościowcy sami próbowali wcześniej domyślić się, co naprawdę zaszło, i doszli do tego samego wniosku, co Clark. - Kto ułożył cały plan łączności do tej operacji?

- Ja.

- W jakie radiostacje polowe wyposażone są oddziały?

- Zwyczajne cywilne nadajniki z małymi przeróbkami. Mają wybór dziesięciu częstotliwości jednowstęgowych.

- Zna je pan?

- Tak, ale...

- Proszę mi je natychmiast podać.

Oficer chciał w pierwszym odruchu odmówić, ale się przemógł. W razie czego powie, że Clark go zastraszył. Wcale nie odbiegało to od prawdy. Istotnie bał się w tej chwili Clarka. Wyciągnął grafik częstotliwości z szuflady. Cutterowi nie wpadło do głowy, żeby to też zniszczyć, ale i tak przecież oficer znał kanały radiowe na pamięć.

- Gdyby ktoś pytał...

- Nigdy pana tu nie było.

- Bardzo dobrze. - Clark wyszedł w ciemność. - Z powrotem do bazy — rozkazał

Larsonowi. - Szukamy śmigłowca.

Cortez wrócił do Ansermy i z satysfakcją stwierdził, że jego siedmiogodzinna nieobecność nie została nawet zauważona. Przed powrotem posadził przy telefonie człowieka, który wiedział, gdzie go szukać. Umyty i wypoczęty czekał teraz na telefon. Pogratulował sobie przede wszystkim stworzenia sieci komunikacyjnej w Ameryce, gdy tylko zatrudnił się w kartelu; następnie sukcesu z Cutterem, choć bez euforii. Raczej nie mógł przegrać, a Amerykanin tylko ułatwił mu zadanie swoją głupotą, podobnie jak Carter i marielitos, choć przynajmniej były prezydent kierował

się względami humanitarnymi, a nie korzyściami politycznymi. Teraz tylko pozostało mu czekać. Bawił go szyfr książkowy, którym się posłużył, odwrotność zazwyczaj stosowanego. Zwykle przekazywało się liczby i na ich podstawie identyfikowało słowa, ale tym razem słowa prowadziły do liczb. Cortez miał już amerykańskie sztabówki -każdy mógł kupić sobie amerykańskie mapy wojskowe w ich Wojskowej Agencji Kartograficznej. Posługiwał się już nimi, dowodząc swoją operacją przeciwko Zielonym Beretom. Metoda szyfru książkowego zawsze stanowiła bezpieczny sposób przekazywania informacji.

Cortez lepiej niż ktokolwiek inny umiał czekać, ale umiał sobie czas dalszymi planami.

Wiedział już, jakie będą jego dwa następne posunięcia, lecz co potem? Przede wszystkim, myślał Cortez, kartel zbagatelizował rynek europejski i japoński. Oba te regiony obfitowały w twardą walutę i choć ze zdobyciem Japonii nie pójdzie łatwo -

trudno bowiem

wwozić na ten rynek towary nawet legalnie - Europa niebawem stanie się o wiele prostsza do opanowania. Zapoczątkowana przez EWG integracja kontynentu w jedną polityczną całość wkrótce sprawi, że znikną wszelkie bariery celne. To dla Corteza ogromna szansa. Wystarczyło tylko znaleźć takie porty, gdzie kontrola jest albo nieszczelna, albo da się przekonać, a następnie zorganizować sieć dystrybucji. Nie mógł wszakże pozwolić, by zmniejszenie dostaw do Ameryki wpłynęło na obroty kartelu. Europa to przecież niemal dziewiczy rynek i w tym właśnie kierunku poszerzy horyzonty kartelu, by zbyć nadwyżkę towaru. W samej Ameryce obniżka podaży tylko podniesie cenę. Tak naprawdę oczekiwał, że złożona Cutterowi obietnica - owszem, czasowa - będzie miała mały, lecz pozytywny wpływ na dochody kartelu. Jednocześnie zdeorganizowane siatki dystrybucyjne w Ameryce skonsolidują się po zmniejszeniu dostaw. Silni i sprawni przetrwają i po okrzepnięciu zabiorą się do rzeczy w bardziej uporządkowany sposób. Zorganizowana przestępczość stanowiła dla Yanquis większy problem niż samo uzależnienie od narkotyków, które ją powodowało. Gdy już przestępczość zmaleje, problem uzależnienia straci swą priorytetową pozycję w panteonie amerykańskich chorób społecznych. Kartel nie dozna uszczerbku. Będzie rósł w siłę i mnożył bogactwo dopóty, dopóki ludzie będą pożądać jego produktu.

Tymczasem Kolumbia zostanie jeszcze bardziej opanowana od wewnątrz, lecz subtelniej. I w tej

d dziedzinie Cortez był zawodowcem najwyższej próby. Kokainowi baronowie wierzyli w skuteczność przemocy, oferowali pieniądze, grożąc jednocześnie śmiercią. Nie, z tym również należało wreszcie skończyć. Pociąg do kokainy w krajach rozwiniętych nie będzie przecież trwał wiecznie. Prędzej czy później przestanie być modna i popyt stopniowo zmaleje. Tego właśnie nie rozumieli ludzie z kartelu. Gdy już to nastąpi, kartel powinien mieć solidną bazę polityczną i zróżnicowane zaplecze gospodarcze, jeśli chce przetrwać osłabienie swojej władzy. Wymagało to bardziej elastycznego stosunku do własnego państwa. Cortez podjąłby się i tego zadania.

Likwidacja co brutalniejszych kacyków będzie pierwszym krokiem na drodze do tego celu. Historia uczyła, że można osiągnąć modus vivendi z niemal każdym. Wszak Cortez udowodnił właśnie, że to nie przesada.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę. Zapisał podane słowa i wyłączwszy się, wziął

słownik. Po chwili kreślił już pozycje na sztabówce. Zorientował się zaraz, że amerykańskie Zielone Berety to nie głupcy. Zaplanowali obozowiska w miejscach trudno dostępnych. Zaatakowanie i zniszczenie ich będzie bardzo kosztowne. Szkoda, ale wszystko ma swoją cenę. Zwołał sztab i zaczął nadawać komunikaty radiowe. Za niespełna

godzinę jego grupy pościgowe zejda z gór, by się przegrupować. Postanowił uderzać oddzielnie w poszczególne oddziały. Zapewni to wystarczającą siłę do pokonania każdej jednostki, a także zagwarantuje dostateczne straty po stronie żołnierzy kartelu.

Nie będzie towarzyszył swoim wojownikom w górach, a szkoda. Zapowiadało się bowiem niezłe widowisko.

Ryan nie mógł spać. Byłby spokojny, gdyby chodziło o konspirację skierowaną przeciwko wrogowi zewnętrznemu. Jego praca w CIA polegała głównie na tym - na wysiłku przynoszącym pożytek własnemu krajowi, częstokroć kosztem szkód i krzywd w innym kraju. Taka już była jego praca w służbie ojczystego rządu. Teraz jednak działał przeciwko temu rządowi. Ten fakt spędzał mu sen z powiek.

Jack siedział w swojej bibliotece, przy oświetlającej biurko lampie. Pod ręką miał dwa telefony, jeden bezpieczny, drugi zwyczajny. Zadzwonił ten drugi.

- Halo?

- Mówi John - odezwał się głos w słuchawce.

- Co się stało?

- Ktoś odciął wsparcie oddziałom w terenie.

- Dlaczego?

- Może ktoś chce, żeby zniknęły. Ryanowi dreszcz przebiegł po plecach.

- Gdzie jesteś?

- W Panamie. Przerwano łączność i nie ma już śmigłowca. Trzydziestu chłopców czeka w górach na pomoc, która nie nadejdzie.

- Jak mogę się z tobą skontaktować? - Clark podał mu numer. -Dobra, zadzwonię za parę godzin.

- Nie marnuj czasu. - Odłożył słuchawkę.

- Boże! - Jack spojrział w mrok biblioteki. Zadzwonił do biura i przekazał wiadomość, że sam pojedzie do pracy. Następnie zadzwonił do Dana Murraya.

Ryan wjechał z powrotem pod gmach FBI sześćdziesiąt minut później. Murray czekał

już na niego i zaprowadził go ponownie na górę. Był tam również Shaw. Wszyscy z ulgą przyjęli ofertę kawy.

- Nasz człowiek w terenie zadzwonił do mnie do domu. Zmienna została wyłączona, a załogę śmigłowca, który miał ewakuować żołnierzy, wycofano z akcji. Twierdzi, że zostali... cholera, uważa, że...

- Taak - przerwał Shaw. - Mamy już prawdopodobnie do czynienia ze złamaniem prawa. Zmowa w celu dokonania morderstwa. Inna rzecz, że udowodnić to będzie bardzo trudno.

- Mam gdzieś twoje prawo. Co z tymi żołnierzami?

- Jak można ich stamtąd wydostać? - spytał Murray. - Poprosić o pomoc... Nie, nie możemy przecież wciągać w to Kolumbijczyków.

- Jak według ciebie zareagują na jawną inwazję obcego wojska? -zauważył Shaw. - Nie inaczej niż my w takiej sytuacji.

- A gdyby tak dopaść Cuttera? - spytał Jack. Shaw odpowiedział:

- Z czym? Co mamy? Nic. Dobrze, można sprowadzić tych łącznościowców, załogę śmigłowca i pogadać z nimi, ale przez jakiś czas nie puszczą pary z gęby, zanim wszystko się wyjaśni, żołnierzy szlag trafi.

- A jeśli uda się ich uratować, co wtedy? - spytał Murray. - Wszyscy sprawcy mają alibi, dokumenty zniszczone...

- Jeśli wolno mi coś zasugerować, panowie, może zapomnielibyśmy na chwilę o procesach i sądach, a raczej skupili się na wydostaniu tych chłopców z kolumbijskiej dżungli.

- Zgoda, tylko...

- Myślicie, że trzydzieści czy czterdzieści nowych ofiar doda waszej sprawie mocniejszych argumentów? - uniósł się Ryan. - Co tu właściwie jest celem?

- Cios poniżej pasa, Jack - rzekł Murray.

- Gdzie są twoje akta dotyczące tej sprawy? Co teraz będzie, gdy prezydent zezwolił

na akcję, z Cutterem jako swoim łącznikiem, jeśli nie było pisemnych rozkazów? CIA działała zgodnie z ustnymi rozkazami, które były nielegalne. Oprócz tego kazano mi zmylić Kongres, gdyby zadawano pytania; czego do tej pory nikt jeszcze nie zrobił!

Jest także kruczek prawny, który mówi, że możemy zacząć tajną akcję bez powiadamiania Kongresu i nic się nie dzieje. Ograniczenia naszych tajnych zleceń pochodzą od władzy wykonawczej Białego Domu, ale pamiętaj, tylko wtedy, gdy jest informowana na bieżąco. Z tego też powodu facet, który zezwolił na zabijanie, pomijając władzę wykonawczą, może być wstecznie oskarżony o morderstwo tylko wtedy, jeśli wyjdzie na jaw jakikolwiek szczegół związany z tym morderstwem. Co za bałwan wymyślił te przepisy?

- Zapomniałeś o jednym - wtrącił Murray.

- Wiem, Cutter najprawdopodobniej odpowie, że to wcale nie jest tajna operacja, tylko paramilitarna akcja antyterrorystyczna. Znika wówczas cała kwestia nadzoru Kongresu, bo wchodzimy na teren uchwały

o specjalnych uprawnieniach wojskowych, która ma również klauzulę umożliwiającą działanie bez autoryzacji Kongresu. Czy na któreś z tych praw powołano się kiedykolwiek w sądzie?

- Niezupełnie - odparł Shaw. - Było wokół nich trochę tańców, ale nic konkretnego.

Zwłaszcza uprawnienia wojskowe to kwestia konstytucyjna, którą obie strony boją się omawiać przed sądem. Skąd ty się wzięłeś, Ryan?

- Muszę przecież chronić Agencję. Jeśli ta awantura wyjdzie na jaw, CIA cofnie się do stanu z lat siedemdziesiątych. Co się na przykład stanie z waszymi programami antyterrorystycznymi, jeśli nasze źródła informacji wyschną? - Ten strzał zrobił

wrażenie. CIA była cichym partnerem w walce z terroryzmem, przekazując większość swoich danych FBI, o czym Shaw doskonale wiedział. - Z drugiej strony, na podstawie naszych rozmów przez ostatnie dwa dni, czego tak naprawdę możecie się chwycić?

- Jeżeli wycofując wsparcie dla „Rewii”, Cutter umożliwił Cortezowi likwidację naszych oddziałów, to według obowiązującego w okręgu waszyngtońskim prawa mamy do czynienia ze znową w celu dokonania morderstwa. W przypadku braku stosownego prawa federalnego, przestępstwo sądzić można z przepisów prawa lokalnego, obejmującego dane przestępstwo. Część tego, co zrobił, została dokonana w USA, a tu właśnie obowiązuje wspomniane prawo. Tak też prowadziliśmy sprawy w latach siedemdziesiątych.

- Co to za sprawy? - spytał Jack.

- Efekt przesłuchań komisji Churcha. Badaliśmy planowane przez CIA zamachy na Castro i innych. Nie doszło nawet do procesów. Chcieliśmy wykorzystać przepis o znowie, ale kwestie konstytucyjne okazały się tak zagmatwane, że dochodzenie, ku uldze wszystkich zainteresowanych, umarło śmiercią naturalną.

- Zapowiada się teraz to samo, prawda? Tylko że kiedy my tu sobie dyskutujemy...

- Jasne - wtrącił ZDW. - W pierwszej kolejności trzeba ich stamtąd wydostać wszystkimi możliwymi sposobami. Czy da się to zrobić dyskretnie?

- Jeszcze nie wiem.

- Dobra, na początek skontaktujmy się z twoim agentem terenowym — zaproponował

Murray.

- On nie...

- Zagwarantujemy mu bezpieczeństwo, wszystko, co zechce - powiedział od razu Shaw. - Moje słowo. A zresztą, o ile mi wiadomo, nie zrobił nic sprzecznego z prawem - chroni go precedens Martineza-Barkera - ale w razie czego, daję słowo, Ryan, nic mu się nie stanie.

- Dobra. - Jack wyciągnął kartkę papieru z kieszeni koszuli. Numer, który mu podał

Clark, nie był oczywiście prawdziwym numerem, ale poprzez dodawanie i odejmowanie w przewidziany sposób połączenie doszło do skutku.

- Mówi Ryan. Dzwonię z dyrekcji FBI. Poczekaj, oddaję słuchawkę.

- Bili Shaw przy telefonie. Pełnię obowiązki dyrektora. Po pierwsze, zapewniłem właśnie Ryana, że jesteś czysty. Słowo: nikt cię nie tknie. Ufasz mi? Dobra. - Shaw uśmiechnął się wyraźnie zdumiony.

- Do rzeczy. Jestem na bezpiecznej linii, sądzę, że ty też. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje i co możemy według ciebie zrobić. Wiemy już o tych chłopcach i zastanawiamy się nad tym, jak ich wyciągnąć. Jack twierdzi, że masz jakieś pomysły. Słuchamy. - Shaw włączył głośnik i wszyscy zabrali się do notowania.

- Jak szybko możemy przygotować radia? - spytał Ryan, gdy Clark już skończył.

- Technicy zaczynają się schodzić około siódmej trzydzieści. Sądzę, że do lunchu. A transport?

- Postaram się to załatwić - powiedział Jack. - Jeśli chcecie zachować tajność, będzie tajnie. Wprawdzie oznacza to dopuszczenie nowego człowieka, ale można mu całkowicie ufać.

- Można się z nimi porozumieć? - spytał Shaw Clarka, którego nazwiska jeszcze nie znał.

- Nie - odpowiedział rozmówca. - Jesteście pewni, że sami załatwicie sprawę?

- Nie, ale spróbować trzeba - odparł Shaw.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem. - Połączenie się urwało.

- Teraz tylko trzeba ukraść parę samolotów - powiedział Murray. -Przydałby się też może statek? O wiele lepiej, gdyby sprawę udało się załatwić dyskretnie, prawda?

- Hm? - Ryan nie bardzo rozumiał. Murray zaraz mu wszystko wyjaśnił.

Admirał Cutter wyszedł z domu o szóstej piętnaście na codzienną trasę biegową, prowadzącą w dół ku rzece i dalej ścieżką równoległą do George Washington Parkway. Inspektor O'Day pobiegł za nim. Rzuciwszy niedawno palenie, bez trudu dotrzymywał Cutterowi kroku, obserwując

jednocześnie, czy nie dzieje się nic nadzwyczajnego, ale nic się nie działo. Żadnego przekazywania wiadomości, żadnych skrzynek kontaktowych, ot, mężczyzna w kwiecie wieku dbający o kondycję fizyczną. Gdy Cutter zawrócił w stronę domu, przejął go inny agent. O'Day musiał się przebrać i jechać za Cutterem do pracy, ciekaw, czy tam zauważy coś podejrzanego w zachowaniu admirała.

Jack dotarł do pracy o zwykłej godzinie. Odprawa poranna w biurze sędziego Moore'a zaczęła się o ósmej trzydzieści, po raz pierwszy od dłuższego czasu w pełnej obsadzie, choć w zasadzie nie wiadomo, po co. Zauważył, że sędzia i ZDO siedzą w milczeniu i kiwają głowami, nie robiąc prawie notatek.

Byli... nie, niezupełnie przyjaciółmi, pomyślał Ryan. W admirale Greerze miał

przyjaciela i mistrza. Ale sędzia Moore był dobrym szefem, a choć z Ritterem nie znalazł wspólnego języka, ZDO przecież źle go nie traktował. Musi dać im jeszcze jedną szansę, powiedział sobie porywczo Jack. Po zakończeniu odprawy z ociąganiem zbierał swoje rzeczy, gdy inni szybko wychodzili. Moore pojął aluzję, Ritter także.

- Jack, chcesz coś powiedzieć?

- Nie jestem pewien, czy nadaję się na ZDW -zaczął Ryan.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał sędzia Moore.

- Dzieje się coś, o czym nie chcecie mi powiedzieć. Jeśli mi nie ufacie, nie powinienem zostawać na tym stanowisku.

- Rozkazy - rzekł Ritter. Nie potrafił ukryć zażenowania.

- Spójrz mi więc prosto w oczy i powiedz, że wszystko jest w porządku. Powinienem wiedzieć. Mam prawo wiedzieć.

Ritter popatrzył na sędziego Moore'a.

- Przykro mi, że nie możemy wprowadzić pana do tej sprawy, doktorze Ryan -

powiedział DG. Próbował spojrzeć Jackowi w oczy, ale wzrok mu błędził przez chwilę, aż zatrzymał się na jednym punkcie na ścianie. - Muszę jednak też wykonywać rozkazy.

- Dobrze. Mam zaległy urlop. Chcę przemyśleć parę spraw. Z pracą jestem na bieżąco.

Zniknę na kilka dni, już za godzinę.

- Jutro pogrzeb, Jack.

- Wiem. Przyjadę, panie sędzio - skłamał Ryan i wyszedł z pokoju.

- Ryan wie - powiedział Moore, gdy drzwi się zamknęły.

- Niemożliwe.

- Wie i chce zrezygnować ze stanowiska.

- Co w takim razie robimy, jeżeli się nie mylisz?

Dyrektor generalny tym razem podniósł wzrok.

- Nic. To najlepsze, co można w tej chwili zrobić.

I miał rację. Cutter osiągnął więcej, niż sam przypuszczał. Niszcząc szyfry konieczne do nawiązania łączności z czterema oddziałami: Nóż, Bandera, Rysa i Omen, pozbawił

Agencję możliwości wpływu na dalsze wypadki. Ani Moore, ani Ritter nie oczekiwali, że doradca do spraw bezpieczeństwa ewakuuje żołnierzy, ale nie mieli żadnego innego wyjścia, które nie zaszkodziłoby im, Agencji, prezydentowi - i przy okazji całemu krajowi. Jeżeli Ryan nie chce być na miejscu, gdyby sprawa się sypnęła... cóż, pomyślał

Moore, może coś wyczuł. DG nie dziwił mu się, że chce się trzymać z daleka.

Zostało mu jeszcze parę spraw do załatwienia. Ryan wyszedł z biura tuż po jedenastej.

Miał w swoim jaguarze telefon i wybrał jeden z numerów Pentagonu.

- Z kapitanem Jacksonem, proszę. Jack Ryan przy telefonie. - Robby zgłosił się po kilku sekundach.

- Cześć, Jack!

- Podskoczysz ze mną na lunch?

- Jasne. Gdzie?

- Znasz tę restauracyjkę Artiego?

- K Street nad rzeką. Tak.

- Bądź tam za pół godziny.

- Dobra.

Robby zauważył przyjaciela przy narożnym stoliku i zaraz się przysiadł. Czekają już na niego jedzenie; przy stoliku siedział jeszcze jeden mężczyzna.

- Mam nadzieję, że lubisz wołowinę - powiedział Jack. Wskazał na drugiego mężczyznę. - Poznajcie się, to Dan Murray.

- Z FBI? - spytał Robby, podając mu rękę.

- Zgadza się, kapitanie. Jestem zastępcą asystenta dyrektora.

- W jakiej specjalności?

- Właściwie powinienem być w sekcji kryminalnej, ale odkąd wróciłem, utknąłem na dwóch poważnych sprawach. Domyślasz się zapewne, jakich.

- Uhm. - Robby zabrał się za sandwicza.

- Potrzebna nam pomoc - powiedział Jack.

- Mianowicie?

- Chcielibyśmy, żebyś przerzucił nas dyskretnie w pewne miejsce.

- Gdzie?

- Hurlburt Field. To część...

- Bazy Eglin, wiem. W Hurlburt stacjonuje dywizjon operacji specjalnych, tuż koło Pensacoli. Kupa ludzi ostatnio pożyczala sobie samoloty od marynarki. Szef nie jest szczęśliwy z tego powodu.

- Możesz mu o tym powiedzieć - rzekł Murray. - Byle tylko słówko nie wyszło poza jego gabinet. Chcemy wyczyścić śmierdzącą sprawę.

- Co?

- Nie mogę powiedzieć, Rob — odpowiedział Jack. - Ale wiąże się z tym, co sam mi podszeptałeś. Gorsze bagno niż ci się wydaje. Musimy działać naprawdę szybko i nikt nie może się o tym dowiedzieć. Na razie tylko potrzebujemy powietrznej taksówki.

- Załatwi się, ale muszę zawiadomić admirała Paintera.

- A potem?

- Spotkamy się w Pax River o czternastej. Świetnie, miałem i tak ochotę na parę lotów szkoleniowych.

- Mógłbyś też skończyć lunch.

Jackson opuścił ich pięć minut później. Zaraz też wyszli Ryan z Murrayem i pojechali do domu tego drugiego. Stąd Jack zadzwonił do żony z wiadomością, żeby się nie martwiła, ale musi, niestety, wyjechać na kilka dni z miasta. Odjechali samochodem Ryana.

Centrum Doświadczalne Lotnictwa Marynarki Wojennej w Patuxent River znajduje się około godziny jazdy z Waszyngtonu, na zachodnim brzegu zatoki Chesapeake. W

miejscu jednej z ładniejszych plantacji sprzed wojny secesyjnej powstał najważniejszy ośrodek lotów próbnych i testów marynarki, spełniający większość funkcji bazy Sił

Powietrznych Edwards w Kalifornii. Mieści się tu szkoła pilotów-oblatywaczy marynarki wojennej, w której Robby pracował niegdyś jako instruktor, a także wiele wyspecjalizowanych instytucji. Jedną z nich zajmowała się myśliwcami i samolotami szturmowymi. Legitymacja FBI Murray'a otworzyła im wstęp na teren bazy. Po przejściu przez budkę ochrony spokojnie czekali, słuchając ryku odpalających silników odrzutowych. Po dwudziestu minutach zajechała corvetta Robby'ego. Świeżo upieczony kapitan zaprowadził ich do hangaru.

- Macie szczęście - powiedział. - Bierzymy dwa Tomcaty do Pensacoli. Admirał

uprzedził bazę telefonicznie i chłopcy już przeprowadzają próbę silników. Mam...

Do pokoju wszedł inny oficer.

- Panie kapitanie, nazywam się Joe Bramer - zameldował się porucznik. - Słyszałem, że lecimy na południe.

- Zgadza się, panie Bramer. Ci panowie lecą z nami. Jack Murphy i Dan Tomlinson, pracownicy rządowi, którzy muszą zapoznać się z procedurą lotów marynarki. Znajdą się dla panów kombinezony i hełmy?

- Oczywiście, panie kapitanie. Już przynoszę.

- Chcieliście dyskrecji, macie dyskrecję - zachichotał Jackson. Wyciągnął z torby swój kombinezon i hełm. - Jaki sprzęt bierzecie ze sobą w podróż?

- Przybory do golenia - odpowiedział Murray. - I jedną torbę.

- Zmieści się.

Piętnaście minut później wszyscy wspinali się po drabinkach na pokłady dwóch samolotów. Jack leciał z przyjacielem. Po następnych pięciu minutach Tomcaty kołowały do końca pasa startowego.

- Tylko nie szalej, Rob - powiedział Ryan, gdy oczekiwali pozwolenia na start.

- Jak pasażerskim liniowcem - przyrzekł Jackson.

Obiecanki cacanki; myśliwce oderwały się od płyty i wspięły na pułap z grubsza dwa razy szybciej niż 727, ale potem Jackson już pilotował gładko i spokojnie.

- Co jest grane, Jack? - spytał przez interkom.

- Robby, nie mogę...

- Czy nie opowiadałem ci jeszcze, co potrafię z tą maszyną wyprawiać? Stary, mogę ją nawet zmusić do śpiewania.

- Robby, próbujemy uratować naszych ludzi porzuconych na pastwę losu i jeśli piśniesz o tym komuś słówko, nawet swojemu admirałowi, możesz nam wszystko spieprzyć. Reszty już powinieneś się domyślić.

- Dobra. Co z twoim samochodem?

- Stoi tam, gdzie stał.

- Powiem komu trzeba, żeby nakleili ci identyfikator.

- Świetnie.

- Coraz lepiej znosisz latanie, Jack. Jeszcze ani razu nie jęknąłeś.

- Cóż, tak się składa, że czeka mnie dziś jeszcze jeden lot, i to pieprzonym helikopterem. Pierwszy od czasu, kiedy prawie skręciłem kark na Krecie. - To zwierzenie przyniosło mu ulgę. Prawdziwy kłopot polegał oczywiście na tym, czy uda im się znaleźć wolną maszynę. Ale tym już miał się martwić Murray. Jack rozejrzał się wokoło i zdębiał na widok drugiego Tomcata; końcówki skrzydeł myśliwców rozdzielało zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Murray pomachał do niego ręką. -

Jezus Maria, Robby!

- Hm?

- Drugi samolot!

- I tak kazałem mu trzymać się trochę dalej. Zawsze latamy w szyku.

- Gratuluję, udało ci się wydusić ze mnie jęk.

Lot trwał nieco ponad godzinę. Zatoka Meksykańska ukazała się najpierw jako błękitna wstążka na horyzoncie, by przerodzić się w oceaniczną masę wody, gdy podchodzili do lądowania. Widoczne od wschodu plaże Pensacoli zniknęły zaraz za mgłą. Ryan ze zdumieniem uświadomił sobie, że mniej się

boi latania, gdy znajduje się na pokładzie samolotu wojskowego. Rzecz w tym, że miał dużo lepszą widzialność.

Ale myśliwce nawet lądowały razem w szyku, co zdawało się mu czystym szaleństwem, choć nic się nie stało. Bramer wylądował pierwszy, a Robby o sekundę czy dwie później. Oba samoloty dokołowały do końca pasa, skręciły i zatrzymały się przy dwóch samochodach. Obsługa naziemna podbiegła z drabinkami.

- Powodzenia, Jack - powiedział Robby, gdy podniosła się osłona kabiny.

- Dzięki za podwiezienie, stary.

Jack wygramolił się z kabiny bez pomocy i zszedł po drabince na płytę. Za minutę był

już przy nim Murray. Wsiedli do oczekujących samochodów, a za nimi Tomcaty odkołowały, by wystartować do ostatniego etapu podróży ku pobliskiej bazie lotnictwa marynarki wojennej w Pensacoli.

Murray uprzedził swoich ludzi telefonicznie. Oczekujący ich oficer był szefem wywiadu pierwszego dywizjonu operacji specjalnych.

- Musimy zobaczyć się z pułkownikiem Johnsem - rzekł Murray po wylegitymowaniu się.

Nic więcej nie trzeba było mówić. Samochód przewiózł ich obok największych helikopterów, jakie Ryan widział w życiu, do niskiego pawilonu. Oficer wywiadu wprowadził ich do środka. Przedstawił gości pułkownikowi, sądząc błędnie, że Ryan też jest z FBI, i wyszedł.

- W czym mogę panom pomóc? - spytał ostrożnie PJ.

- Chcielibyśmy porozmawiać o pańskich podróżach do Panamy i Kolumbii - odparł

Murray.

- Przykro mi, ale nie rozprawiamy o tym, co tutaj robimy. Na tym przecież polegają operacje specjalne.

- Dwa dni temu otrzymał pan pewne rozkazy od wiceadmirała Cuttera. Był pan wtedy w Panamie - rzekł Murray. — A przedtem przerzucił pan oddziały piechoty do Kolumbii. Najpierw na wybrzeże, później w góry, zgadza się?

- Przepraszam, ale wstrzymam się od komentarza, a wszelkie wnioski, jakie pan wyciągnie, proszę przypisać wyłącznie sobie.

- Jestem gliniarzem, a nie reporterem. Otrzymał pan bezprawne rozkazy. Jeśli je pan wykona, może pan być współwinny popełnienia bardzo poważnego przestępstwa.

Najlepiej wyłożyć od razu karty na stół, pomyślał Murray. Osiągnął pożądaną efekt.

Słyszając z ust wysokiego rangą funkcjonariusza FBI, że jego rozkazy mogą być nielegalne, Johns wreszcie zareagował, choć nader powściągliwie.

- Zadaje mi pan pytania, na które doprawdy trudno odpowiedzieć. Murray sięgnął do torby i wyciągnął żółtą kopertę. Wyjął z niej fotografię i podał ją pułkownikowi Johnsiowi.

- Rozkazy przekazał panu doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Zanim to zrobił, spotkał się z tym oto facetem. Jest to pułkownik Felix Cortez. Służył

dawniej w DGI, ale teraz pracuje dla kartelu narkotykowego jako szef służb bezpieczeństwa. Walnie przyczynił się do zamachu w Bogocie. Do jakiego porozumienia doszli, nie wiemy. Wiemy natomiast, że nad Przekopem Gaillarda stoi wóz łączności, który utrzymywał kontakt z czterema oddziałami w terenie. Cutter odwiedził wóz i kazał zerwać łączność. Następnie przybył do pana, rozkazał panu wycofać się do kraju i nigdy nie wspominać o misji. Niech pan teraz połączy ze sobą te trzy fakty i powie mi, czy to, co z tego wychodzi, wydaje się godne pańskiego udziału.

- Nie wiem, co o tym myśleć. - Johns odpowiedział odruchowo, ale zrobił się różowy na twarzy.

- Panie pułkowniku, te oddziały poniosły już dotkliwe straty. Wszystko wskazuje na to, że celem rozkazów, które pan otrzymał, może być śmierć pozostałych żołnierzy. Są w tej chwili osaczani przez wroga - rzekł Ryan.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, żeby ich stamtąd wydostać.

- Kim pan właściwie jest?

- CIA.

- Ale przecież to pańska zasrana operacja!

- Nie, lecz nie będę teraz nudził pana szczegółami - powiedział Jack.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy. Bez niej ci żołnierze nigdy nie wrócą do domu. Taka jest prawda.

- Chcecie nas tam wysłać, żebyśmy posprząтали wasze brudy. To dla was typowe, zawsze wysyłacie nas...

- Niezupełnie - przerwał Murray. - Zamierzamy lecieć z wami. Przynajmniej część drogi. Kiedy może pan wystartować?

- Proszę mi dokładnie powiedzieć, co mam zrobić.

Murray spełnił życzenie. Pułkownik Johns skinął głową i spojrzał na zegarek.

- Za dziewięćdziesiąt minut.

MH-53J był dużo większy niż CH-46, w którym Ryan omal nie zakończył życia w wieku dwudziestu trzech lat, lecz wcale nie mniej przerażający" Spojrzał na pojedynczy wirnik i uświadomił sobie, że udają się przecież w długą podróż nad wodą.

Z zawodową rutyną członkowie załogi podłączyli obu cywilów do interkomu i powiedzieli im, gdzie mają siedzieć i co robić. Ryan ze szczególną uwagą słuchał

instrukcji na wypadek przymusowego wodowania. Murray zaś nie spuszczał oka z sześciolufowych minigunów. Trzy takie znajdowały się na pokładzie. Helikopter wystartował tuż po czwartej i skierował się na południowy zachód. Gdy tylko wznieśli się w powietrze, Murray kazał przymocować się do podłogi długą na sześć metrów liną bezpieczeństwa, by mógł chodzić po pokładzie. Podeszedł zaraz do wpółotwartych drzwi z tyłu śmigłowca i patrzył na uciekający pod nimi ocean. Ryan nie ruszał się z miejsca. Lepiej znosił ten lot niż helikopterami piechoty morskiej za dawnych lat, ale mimo wszystko czuł się tak, jakby siedział na żyrandolu podczas trzęsienia ziemi, gdy śmigłowiec trząsał i kołysał pod ogromnym sześciolopatowym wirnikiem. Widział z przodu jednego z pilotów, który siedział sobie wygodnie jakby za kierownicą samochodu.

Nie przewidział jednak tankowania w locie. Poczł, że samolot zwiększa obroty wirnika nośnego i ustawia się lekko nosem do góry. Po chwili zobaczył przez przednie okno skrzydło samolotu. Murray pośpieszył do przodu, żeby się przyjrzeć operacji, i stanął za szefem załogi, sierżantem Zimmerem. Był wraz z Ryanem podłączony do interkomu.

- Co się stanie, jeżeli zaczepicie o przewód? - spytał Murray, gdy zbliżali się do podajnika.

- Nie wiem - odparł chłodno pułkownik Johns. - Jeszcze mi się to nigdy nie przydarzyło. Czy byłby pan łaskaw zachować teraz ciszę?

Ryan rozejrzał się za toaletami. Zobaczył wreszcie coś, co wyglądało jak kempingowa ubikacja, lecz żeby zrobić użytek z tego przybytku, musiałby odpiąć pasy bezpieczeństwa. Jack postanowił poczekać. Tankowanie skończyło się bez sensacji, co Jack przypisywał wyłącznie swoim modlitwom.

„Panache" patrolował swój rewir w Cieśninie Jukatańskiej pomiędzy Kubą a wybrzeżem Meksyku. Nic szczególnego się nie działo, odkąd kuter został skierowany w ten rejon, ale załoga cieszyła się, że jest z powrotem na morzu. Największą atrakcją było teraz obserwowanie nowej, żeńskiej części załogi. Mieli kobietę w stopniu chorążego, świeżo po Akademii Straży Przybrzeżnej w Connecticut, oraz pół tuzina innych, głównie młodszych marynarzy, lecz także dwie w randze podoficerów, obie ze specjalnością elektroniczną. Obie też, jak nie bez oporów przyznali ich koledzy, znały swój fach. Kapitan Wegener przypatrywał się nowej pani chorąży podczas jej wachty na stanowisku młodszego oficera pokładowego. Jak wszyscy chorążowie, była zdenerwowana, pełna dobrych chęci i nieco przestraszona, zwłaszcza pod okiem kapitana na mostku. Była też śliczna jak z obrazka, czego do tej pory Wegener nie dopatrzył się u żadnego chorążego.

- Mostek, mostek - wzywał głośnik pokładowy. Wegener podniósł słuchawkę obok swego miejsca na mostku.

- Tu kapitan. O co chodzi?

- Proszę zejść do kabiny radiowej, panie kapitanie.

- Już idę. - Wegener wstał z fotela. - Proszę trzymać wachtę - powiedział, idąc ku rufie.

- Panie kapitanie - meldowała pani podoficer w kabine radiowej - dostaliśmy właśnie wiadomość z helikoptera Sił Powietrznych, że muszą nam kogoś podrzucić i że to tajemnica. Nie mam nic na ten temat w instrukcji i... no nie bardzo wiedziałam, co mam robić, to zadzwoniłam po pana kapitana.

- Hm? - Kobieta podała mu mikrofon. Wegener nacisnął guzik nadawania. - Tu

„Panache”. Z kim rozmawiam?

- „Panache”, tu Cezar. Helikopter leci w waszym kierunku. Oscar Sierra. Mam dla was pasażera, odbiór.

Oscar Sierra znaczyło tyle, co jakaś operacja specjalna. Wegener po chwili namysłu doszedł do wniosku, że nie ma się nad czym zastanawiać.

- Rozumiem, Cezar, podaj przewidywany czas przylotu.

- Za dziesięć minut.

- Rozumiem, dziesięć minut. Będziemy czekać. Bez odbioru. - Wegener oddał

mikrofon i wrócił na mostek.

- Przygotować lądowisko - rozkazał oficerowi pokładowemu. - Panno Walters, proszę wziąć kurs na hotel Corpin.

- Tak jest, panie kapitanie.

Przygotowania przebiegały szybko i sprawnie. Bosmanmat wachty włączył megafon:

- Obsługa lądowiska, obsługa lądowiska, wszyscy na posterunki. Palenie wzbronione na górnym pokładzie.

Niedopałki pofrunęły do wody i marynarze zdjęli czapki, żeby przypadkowo nie wessały ich turbiny śmigłowca. Chorąży Walters sprawdziła kierunek wiatru i odpowiednio skorygowała kurs, zwiększając także prędkość kutra do piętnastu węzłów i ustawiając w ten sposób dziób pod wiatr, odpowiedni kurs do operacji lądowania helikoptera. I to wszystko, pomyślała z dumą, sama, bez instrukcji.

Wegener odwrócił się uśmiechnięty. Był to jeden z pierwszych kroków w karierze nowego oficera. Wiedziała dokładnie, co robić i wykonała wszystko bez pomocy.

Kapitan patrzył na to, jak na pierwszy samodzielny krok własnego dziecka, zdolnego i chętnego do nauki.

- O rany, ale wielki - wykrzyknął Riley na skrzydle mostku. Wegener wyszedł, żeby też się przyjrzeć.

Zobaczył helikopter Sił Powietrznych MH-53, o wiele większy od największych śmigłowców w wyposażeniu Straży Przybrzeżnej. Pilot podleciał od rufy, następnie obrócił maszynę i podchodził bokiem. Kogoś przypięto do linki ratunkowej i opuszczono w oczekujące ramiona czterech marynarzy. Gdy tylko odpięto pasażerowi uprząż, helikopter obniżył nos i odleciał na południe. Szybko i sprawnie, ocenił Red.

- Nie wiedziałem, że będziemy mieli towarzystwo - rzekł Riley, wyjmując cygaro.

- Jeszcze nie odwołałam pogotowia na lądowisku, bosmanie! - krzyknęła chorąży Walters zza steru.

- Tak jest, proszę pani, przepraszam, zapomniałem - odpowiedział bosman, spoglądając szelmowsko na Wegenera. Następny egzamin zdany na piątkę. Nie bała się huknąć na chiefa, starszego przecież od jej własnego ojca.

- Może pani odwołać pogotowie - powiedział jej kapitan. - Ja też nie wiedziałem -

rzekł do Riley. - Idę na rufę zobaczyć, kto zacz.

Słyszał, jak chorąży Walters wydaje rozkazy pod opieką porucznika i dwóch chiefów.

Zbliżywszy się do drzwi wychodzących na pokład helikopterowy, zobaczył gościa, który właśnie zdejmował zielony kombinezon lotniczy. Z niejakim zdumieniem spostrzegł, że facet chyba nic nie ma przy sobie. Po chwili przybysz odwrócił się i Wegener zdumiał się jeszcze bardziej.

- Czołem, panie kapitanie - zaczął Murray.

- Co się stało?

- Czy możemy porozmawiać w bardziej zacisznym miejscu?

- Proszę za mną. - Wkrótce weszli do kabiny Wegenera. - Jestem panu dłużny parę przysług - rzekł. - Mógł mi pan nieźle dać w kość za ten głupi numer z piratami. Dziękuję też za pańskiego prawnika. Napędził mi strachu...

ale okazuje się, że rozmawiał ze mną już po śmierci tych drani. Ostatni raz już się tak wygłupiłem - przyrzekł Wegener. - Przyleciał pan odebrać dług, tak?

- Zgadł pan.

- O co więc chodzi? Nie pożyczasz się, ot tak, śmigłowca dywizjonu operacji specjalnych dla własnej przyjemności.

- Chciałbym, żeby pan dopłynął w pewne miejsce jutro w nocy.

- Gdzie?

Murray wyjął z kieszeni kopertę.

- Proszę, oto współrzędne. Mam też plan łączności radiowej. - Murray podał mu dalsze szczegóły.

- Sam pan to przygotował, prawda? - powiedział kapitan.

- Owszem, a co?

- Powinien był pan sprawdzić prognozę pogody.

Rozdział 27

BITWA o WZGÓRZE NINJA

Armie mają swoje nawyki. Wydają się one dziwne lub zgoła idiotyczne cywilom, lecz we wszystkich można doszukać się racjonalnych przyczyn, pojawiających się od tysiącleci, odkąd ludzie zaczęli walczyć ze sobą w zorganizowany sposób. W

większości wypadków uczono się na błędach. Każda bezsensowna śmierć to kolejna lekcja dla armii, które nie mogą doprowadzić do tego, by podobna omyłka zdarzyła się ponownie. Błędy takie oczywiście powtarzają się w żołnierskiej profesji, tak jak i w każdej innej, ale też jak w każdym innym zawodzie, praktycy z prawdziwego zdarzenia to ci, którzy nigdy nie zapominają podstawowych zasad. Należał do nich kapitan Ramirez. Choć zreflektował się, że jest nazbyt sentymentalny, że śmierć towarzyszy -

w końcu chleb powszedni wybranego przezeń sposobu życia - to ciężar ponad jego siły, pamiętał wszakże i inne lekcje, z których jedna przypominała mu się bardzo wyraźnie w związku z niedawnym i przykrym odkryciem. Wciąż oczekiwał, że zostaną ewakuowani tej nocy przez śmigłowiec Sił Powietrznych i miał powody, by wierzyć, że udało mu się zgubić oddziały wysłane w pogoń za drużyną Nóż, pamiętał jednak wszystkie

lekcje z przeszłości, gdy ludzie ginęli, bo zdarzyło się coś nieoczekiwanego, bo zbyt wiele rzeczy przyjęli za pewnik, bo zapomnieli o podstawach.

Podstawową regułą było tutaj to, że oddział stacjonujący w miejscu jest zawsze bardziej narażony na atak i aby zmniejszyć ryzyko, inteligentny dowódca przygotowuje plan obrony. Ramirez nie zapomniał o tym ani nie stracił wyczucia terenu. Nie sądził, by ktokolwiek miał niepokoić jego ludzi tej nocy, przygotował się jednak na tę ewentualność.

Rozmieszczenie ludzi odpowiadało rodzajowi zagrożenia, które ocenił jako bardzo liczną, ale raczej

słabo wyszkoloną grupę, a także jego dwa mocne punkty: po pierwsze, wszyscy jego żołnierze mieli radia, a po drugie, miał do dyspozycji trzy sztuki broni z tłumikiem. Ramirez miał nadzieję, że wróg się nie pojawi, ale jeżeli już do tego dojdzie, zaplanował dlań całą serię paskudnych niespodzianek.

Każdy z jego ludzi był częścią dwuosobowej grupy wzajemnego wsparcia - nie ma nic gorszego niż samotność w akcji bojowej, a skuteczność każdego żołnierza wzrasta wielokrotnie dzięki obecności towarzysza u boku. Każda para wykopała trzy okopy -

główny, zamienny i zapasowy - które stanowiły część trzech osobnych systemów obronnych, pieczołowicie zamaskowanych i tak rozlokowanych, by osłaniały się wzajemnie. W miarę możliwości oczyszczono pola ostrzału, zawsze z flanki, a nie na wprost, by ogień dosięgnął napastnika z boku, a nie z przodu, bo plan zakładał, że wróg zostanie zmuszony do posuwania się w kierunku przewidzianym przez drużynę.

Gdyby wreszcie wszystkie środki zawiodły, przygotowano trzy drogi odwrotu i odpowiednie punkty zborne. Żołnierze pracowali w pocie czoła cały dzień, kopiąc okopy, szykując pozycje, układając pozostałe miny-pułapki, a w porach odpoczynku natychmiast zasypiali, nie mając siły na rozmowy. Sam jednak nie potrafił zapomnieć się w pracy i ani na chwilę nie mógł przestać myśleć.

W ciągu dnia sytuacja stawała się coraz gorsza. Nie udało się nawiązać łączności i ilekroć Ramirez prowadził nasłuch o wyznaczonej porze, a w eterze panowała głucha cisza, coraz trudniej było mu cokolwiek to usprawiedliwić. Już nie mógł zrzucić winy na awarie sprzętu albo przerwy w zasilaniu bazy przekaźnikowej. Całe popołudnie wmawiał sobie, że to niemożliwe, by zostali porzuceni, ba, nie brał nawet pod uwagę możliwości, że już ich porzucono, lecz z ciemnych zakamarków świadomości przebijała się uporczywa myśl, że oto on i jego żołnierze są całkiem sami, daleko od domu, narażeni na atak wroga i mogący liczyć tylko na to, co przydźwigali na własnych plecach.

Helikopter wylądował na tym samym lotnisku, które opuścił ledwie przed dwoma dniami, i gdy tylko dokołował do hangaru, drzwi się za nim zamknęły. W podobny sposób ukryto natychmiast eskortujący ich MC-130. Całkowicie wyczerpany lotem Ryan na chwiejnych nogach wyszedł prosto na oczekującego nań Clarka. Poczyszczając wiadomością było to, że Cutterowi nie chciało się spotkać z dowódcą bazy, bo nawet nie przyszło mu do głowy, że jego rozkazy zostaną zignorowane. Skutkiem tego powrót samolotu dywizjonu operacji specjalnych przyjęto tu jako kolejne dziwactwo, a jeden zielony helikopter - w cieniu wydawały się czarne - niewiele różnił się od drugiego.

Jack wrócił do samolotu po spacerku do toalety i wypiciu litra wody z lodówki.

Wszyscy zostali już sobie przedstawieni i, jak zdążył zauważyć, pułkownik Johns świetnie dogadał się z Clarkiem.

- Trzecia GOS?

- Tak jest, pułkowniku - odpowiedział Clark.

- Nigdy sam nie dotarłem do Laosu, ale wyście uratowali sporo naszych chłopaków.

- Od tego czasu pracowałem bez przerwy w Agencji... no, prawie bez przerwy -

poprawił się Clark.

- Nie wiem nawet, gdzie mam lecieć. Ten kutas z marynarki kazał nam zniszczyć wszystkie mapy. Zimmer pamięta niektóre częstotliwości, ale...

- Częstotliwości mam - rzekł Clark.

- Dobra, ale i tak musimy ich znaleźć. Nawet korzystając z samolotu-cysterny nie wiadomo, czy starczy mi środków na porządne poszukiwania. Teren jest ogromny, wysokość podbija tylko zużycie paliwa. Z jakim wrogiem mamy do czynienia?

- Kupa ludzi z karabinkami AK. Chyba nie pierwszozna. PJ wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Niby nie. Mam trzy sikawki. Bez wsparcia z powietrza...

- Zgadza się: pan właśnie będzie tym wsparciem. Trzymałbym się tych sikawek. W porządku, strefy ewakuacyjne zostały ustalone wcześniej, tak? - spytał Clark.

- Tak... po jednej głównej i dwóch awaryjnych na każdy oddział, w sumie dwanaście.

- Musimy przyjąć, że znane są wrogowi. Zadanie na dzisiejszą noc to odnaleźć ich i przerzucić w miejsce, o którym my wiemy, a wróg nie. Jutro w nocy mógłby pan wrócić i ewakuować ich.

- I stamtąd lecieć... Ten gość z FBI chce, żebyśmy lądowali na jakiejś łajbie. Trochę gnębi mnie Adela. Według ostatniej prognozy, którą oglądałem w południe, przesuwa się na północ w kierunku Kuby. Trzeba będzie jeszcze to potwierdzić.

- Właśnie to zrobiłem - powiedział Larson, dołączywszy do nich. - Adela znów wali na zachód i godzinę temu przerodziła się w huragan. Przeciętą prędkość wiatru siedemdziesiąt pięć.

- Cholera - zaklął pułkownik Johns. - Jak szybko się przesuwa?

- Podejdzie blisko jutro w nocy, ale nie powinno być problemu z dzisiejszym lotem.

- O jaki konkretnie lot wam chodzi?

- Larson podskoczy ze mną zlokalizować oddziały. - Clark wyciągnął radio z tego, co jeszcze niedawno było torbą Murraya. - Polatamy tam i z powrotem nad doliną, gadając do tej zabawki. Przy odrobinie szczęścia nawiążemy z nimi kontakt,

- Musisz rzeczywiście wierzyć w szczęście, synu - powiedział Johns.

O'Day doszedł do wniosku, że życie agenta FBI nie zawsze jest tak cudowne, jak to sobie ludzie wyobrażają. Do tego dochodził też mały problem, że mając do dyspozycji tylko niespełna dwudziestu agentów, nie mógł zlecić tej wstrętnej roboty podwładnemu. Nie brakowało też innych problemów. Jeszcze nie przyszło im nawet do głowy, żeby starać się o pozwolenie na przeszukanie, a rewizja w domu Cuttera bez zezwolenia - Biuro bardzo rzadko już uciekało się do tego - nie wchodziła w rachubę.

Właśnie wróciła żona Cuttera i rozstawiała po kątach służbę jak urodzona dziedziczka.

A z drugiej strony Sąd Najwyższy przed kilkoma laty wydał orzeczenie, że przeszukiwanie śmieci nie wymaga zgody sądu. Ten fakt dał Patowi okazję do najlepszej od wielu lat gimnastyki górnej połowy ciała. Ledwie teraz ruszał rękami po załadowaniu kilku ton cuchnących worków na tył pomalowanej na biało śmieciarki.

Mógł to być jeden z wielu kubłów. Dzielnicę Fort Myers przeznaczoną dla VIP-ów traktowano jeszcze jak teren wojskowy; nawet kubły na śmieci musiały być ustawione regulaminowo, a w tym przypadku dwa domy korzystały z tego samego śmietnika obsługiwanego przez jedną firmę oczyszczania miasta. O'Day oznaczył torby przed załadowaniem na wóz i wreszcie piętnaście worków ze śmieciami wylądowało w jednym z licznych laboratoriów Biura, nie tego wszakże, które leżało na trasie dla zwiedzających, albowiem FBI pokazuje wycieczkom w Budynku Hoovera tylko swe piękne oblicze: schludne, czyste, sterylne laboratoria. Na szczęście wentylacja działała bardzo sprawnie, a pod ręką było kilka pojemników z odświeżaczem powietrza, by zniwelować odór przedostający

się przez chirurgiczne maski laborantów. Sam O'Day czuł się, jakby eskadra zielonych much miała już latać za nim do końca życia. Przeszukiwanie i badanie śmieci na białym stole z pseudomarmurowym blatem -czterodniowej dawki fusów z kawy i niedojedzonych rogalików, rozkładających się ciastek i kilku pieluch (te pochodziły z innego mieszkania: do funkcjonariusza z sąsiedniego domu przyjechała w odwiedziny najmłodsza wnuczka) - trwało godzinę.

- Bingo! - oznajmił wreszcie laborant, unosząc w zabezpieczonej gumową rękawicą dłoni komputerową dyskietkę. Mimo rękawiczek trzymał ją tylko za rogi i natychmiast wrzucił do przygotowanej plastikowej torby. O'Day wziął torbę i poszedł na górę do pracowni daktyloskopijnej.

Dwóch starszych laborantów pracowało tej nocy do późna. Pozwolili sobie na drobne oszustwo. Już wcześniej mieli gotowe odciski Cuttera z centralnej kartoteki -

wszystkim wojskowym pobiera się rutynowo odciski palców przy poborze - z całym kuferkiem zawodowych sztuczek, nie wyłączając lasera.

- Gdzieście to znaleźli? - spytał jeden z nich.

- Na stercie gazet - odpowiedział O'Day.

- No tak! Dobra izolacja termiczna i nie ma tłustych plam. Może coś z tego będzie. -

Laborant wyjął dyskietkę z przezroczystej torby i zabrał się do pracy. Badanie trwało dziesięć minut, podczas których O'Day krążył po pokoju.

- Mam po jednej stronie odcisk kciuka z ośmioma punktami i rozmazany, chyba palca serdecznego, na odwrocie, z jednym wyraźnym punktem i drugim słabiutkim. Jest jeszcze zupełnie inna grupa odcisków, zbyt rozmazana, żeby dało się ją zidentyfikować. Różnice w układzie wskazują raczej na inną osobę.

O'Day doszedł do wniosku, że wynik okazał się lepszy, niż miał prawo oczekiwać w takich okolicznościach. Identyfikacja odcisków zazwyczaj wymagała potwierdzenia dziesięciu osobnych punktów, zważywszy na nieregularności, które decydowały, że daktyloskopia jest sztuką. Inspektor nie wątpił, że Cutter miał w ręce tę dyskietkę, nawet gdyby sąd nie był o tym przekonany, jeśli w ogóle dojdzie do rozprawy. Teraz należało sprawdzić, co było na niej zapisane i w tym celu O'Day udał się do innego laboratorium.

Niewiele czasu upłynęło od wejścia komputerów osobistych na rynek do zastosowania ich w działalności przestępczej. Do badania takiej właśnie działalności Biuro powołało specjalny wydział. Najlepszymi jednak fachowcami w tej dziedzinie byli prywatni konsultanci, którzy na co dzień zajmowali się włamywaniem do cudzych banków danych i dla

których komputery były cudownymi zabawkami. Jakby tego było mało, zawsze znalazła się jakaś agencja rządowa, gotowa płacić im za tę zabawę, co można by porównać do kariery zawodowych futbolistów. Ten, który teraz czekał na O'Daya, był

jednym z arcymistrzów. Miał dwadzieścia pięć lat i wciąż studiował w lokalnym college'u, mimo zaliczenia, wystarczającej z nawiązką do skończenia studiów liczby przedmiotów, z najniższą oceną dobry z plusem. Miał długawe rude włosy i brodę, którym nie zaszkodziłoby trochę szamponu. O'Day wręczył mu dyskietkę.

- Sprawa jest ściśle tajna - powiedział.

- Świetnie - oznajmił konsultant. - Ta zabawka to Sony MFD2DD, dwustronna, o podwójnej gęstości, 135TPI, prawdopodobnie sformatowana na 800K. Co na niej ma być?

- Nie jesteśmy pewni, ale chyba algorytm szyfrowy.

- A! Ruskie systemy komunikacyjne? Sowieci chcą nas przechytrzyć?

- Nie pańska sprawa - zastrzegł O' Day.

- Ale z was mruki - podsumował rudzielec, wsadzając dyskietkę do stacji nowego komputera Apple Macintosh IIx, wyposażonego dodatkowo w szereg układów, z których dwa konsultant sam zaprojektował. O'Day słyszał, że ten spec zgodziłby się pracować na maszynie IBM, tylko wówczas, gdyby mu ktoś przyłożył do głowy pistolet.

Programy, którymi się posługiwał przy tej robocie, zostały napisane przez innych genialnych amatorów i miały na celu odzyskiwanie danych z uszkodzonych dyskietek.

Pierwszy nosił nazwę Rescuedata. Operacja była nader delikatna. Najpierw głowice czytające odszukały poszczególne strefy magnetyczne dyskietki, skopiowały dane do ośmiomegabajtowej pamięci IIx, na twardy dysk i mięką dyskietkę, co pozwoliło na wyjęcie ze stacji oryginału, który O'Day natychmiast wrzucił z powrotem do torby.

- Rozmagnetyzowana - oznajmił zaraz mistrz.

- Co?

- Rozmagnetyzowana. Nie skasowana czy sformatowana, ale rozmagnetyzowana.

Prawdopodobnie za pomocą małego magnesu.

- Cholera - zaklął O'Day. Znał się na tyle na komputerach, by wiedzieć, że zapisane magnetycznie dane można zniszczyć poprzez oddziaływanie polem magnetycznym.

- Niech się pan nie podnieca.

- Hm?

- Gdyby facet ją na nowo sformatował, mielibyśmy przechlapane, ale on tylko przesuwiał nad dyskietką magnes. Część danych na pewno zniszczył, ale chyba coś zostało. Niech mi pan da ze dwie godzinki, a postaram się odzyskać dla pana, co się da... Mam tu jakiś zapis. Nie poznaję formatu... wygląda mi na algorytm transpozycyjny. Nie znam się na tych waszych szyfrach. Wygląda na cholernie skomplikowany. - Rozejrzał się wokół. - To trochę potrwa.

- Jak długo?

- A jak długo trwało malowanie Mony Lisy? Zbudowanie katedry? Jak długo...

O'Day zdążył wyjść z pokoju, nim tamten wymienił trzecie arcydzieło ludzkich rąk.

Wrzucił dyskietkę do sejfów w swoim gabinecie, po czym pobiegł do hali sportowej na prysznic i pół godziny relaksu w jacuzzi. Pod prysznicem zmył z siebie smród, a gdy strumień bąbelków koił mu obolałe ciało, doszedł do wniosku, że sprawa przeciwko temu sukinsynowi nabiera rumieńców.

- Panie kapitanie, nikogo tam chyba nie ma.

Ramirez oddał słuchawki i skinął głową. Nie miał już żadnych wątpliwości. Spojrzał na Guerrę.

- Zdaje się, że ktoś tu o nas zapomniał.

- Cóż, bardzo dobra wiadomość. Co teraz zrobimy?

- Kolejne połączenie wypada o pierwszej. Damy im jeszcze jedną szansę. Jeśli i tym razem nic, trzeba będzie się ruszyć.

- Dokąd, panie kapitanie?

- Spróbujemy zejść na dół i zobaczymy, czy nie da się pożyczyć jakiegoś transportu, a jeżeli... Chryste, nie mam pojęcia. Starczy nam chyba forsy na przelot...

- Bez paszportów, dowodów tożsamości...

- Może trzeba będzie wpaść do ambasady w Bogocie?

- To wbrew tuzinowi różnych rozkazów, kapitanie - zaznaczył Guerra.

- Zawsze jest pierwszy raz - odparł sentencjonalnie kapitan Ramirez. - Każ kolegom zjeść ostatnie racje żywności, wypocząć jak najlepiej, bo za dwie godziny zbiórka i całonocne pogotowie. Chavez z Leonem zjedzą w dół na patrol, powiedzmy ze dwa kilometry. - Ramirez nie musiał wyrażać swych obaw. Obaj wiedzieli, co się święci.

- Wszystko gra, kapitanie - pocieszył go sierżant. - Poradzimy sobie, żeby tylko ci zasrani radiowcy się pozbiali.

Odprawa przed misją trwała piętnaście minut. Mężczyźni byli źli, rozjuszeni poniesionymi stratami. Nie zważając na grozę tego, co miało nastąpić, dawali się ponieść uczuciu wściekłości spowodowanemu dotychczasowymi stratami. Ileż brawury, męskiego pozerstwa. Głupcy.

Pierwszy cel znajdował się zaledwie trzydzieści kilometrów dalej - z oczywistych powodów wołał zacząć od konfrontacji z najbliższym oddziałem - z których dwadzieścia dwa można było przejechać ciężarówkami. Musieli tylko poczekać do zmroku. Gdy wreszcie nadszedł czas, w drogę wyruszyło szesnaście ciężarówek, po piętnastu ludzi w każdej. Cortez patrzył, jak odjeżdżają, i słyszał odgłosy rozmów, aż samochody zniknęły mu z oczu. Jego własna gwardia została oczywiście na miejscu.

Zwerbował dotychczas dziesięciu ludzi, lojalnych tylko w stosunku do niego.

Werbował rozsądnie. Kierował się wyłącznie umiejętnościami kandydatów. Większość z nich to dezertery z M-19 albo FARC, ludzie, którym pięć lat zabawy w partyzantkę zupełnie wystarczyło. Kilku szkoliło się na Kubie lub w Nikaragui i znało podstawy żołnierskiego rzemiosła, ściślej mówiąc terrorystycznego rzemiosła, co i tak stawiało ich wyżej od żołnierzy kartelu, którzy w większości nie otrzymali żadnego formalnego wykształcenia. Byli najemnikami. Cortez interesował ich wyłącznie jako źródło pieniędzy, ale obiecał im też coś więcej. Krótko mówiąc, nie mieli co ze sobą zrobić.

Armia kolumbijska ich nie chciała. Kartel im nie ufał. Swego czasu ślubowali wierność dwóm ugrupowaniom marksistowskim, do tego stopnia przeżartym korupcją polityczną, że zaprzedały się kartelowi. Pozostał więc Cortez. Był dla nich człowiekiem, dla którego warto zabijać. Jeszcze nie wyjawiał im swych celów, nie powierzyłby im bowiem jakiegokolwiek innej roboty. Wszystkie wielkie ruchy zaczynały się od niewielkich grup ludzi, których dwuznacznym metodom odpowiadały równie mętne cele i którzy znali wyłącznie lojalność wobec jednego wodza. Przynajmniej tak Corteza nauczono. Sam nie wierzył w to bezkrytycznie, ale niczego innego teraz nie potrzebował. Nie

miał złudzeń, że pod jego przywództwem dokona się rewolucja.

Dążył jedynie do - Jak to się zwało? - przejęcia władzy siłą. Tak, o to chodziło. Cortez, chichocząc do siebie, wszedł z powrotem do swojej kwatery i zaczął przeglądać mapy.

- Jak to dobrze, że żaden z nas nie pali - powiedział Larson, gdy schowało się podwozie. Z tyłu w kabinie znajdował się zapasowy zbiornik z paliwem. Czekał ich dwugodzinny lot do strefy patrolowej i dwugodzinny powrót, a w międzyczasie trzy godziny poszukiwań na miejscu. - Myślisz, że się uda?

- Jeśli nie, ktoś za to słono zapłaci - odparł Clark. - Jak z pogodą?

- Wrócimy w samą porę. Wolałbym się jednak nie zakładać o jutrzejszą prognozę.

Chavez i Leon byli dwa kilometry od najbardziej wysuniętego punktu obserwacyjnego drużyny. Obaj mieli przy sobie broń z tłumikiem. Leon wprawdzie nie był zwiadowcą grupy Bandera, ale Chavezowi podobały się jego umiejętności terenowe. Najbardziej pocieszające było to, że nic nie znaleźli. Kapitan Ramirez podzielił się z nimi swoimi obawami. Jak dotąd, obaj sierżanci na szczęście nie natknęli się jednak na nic, co mogłoby je potwierdzać. Najpierw udali się na północ, potem kilkukilometrowym łukiem przeszli w kierunku południowym, wszystkimi zmysłami szukając oznak ludzkiej obecności. Właśnie zamierzali wspiąć się z powrotem ku wyznaczonemu lądowisku, gdy Chavez zatrzymał się i odwrócił głowę.

Dźwięk był wyraźnie metaliczny. Dał znak ręką Leonowi, żeby się nie ruszał, a sam obracał głowę z nadzieją... że co? - spytał się w duchu - że naprawdę coś usłyszał? Że poniosła go wyobraźnia? Włączył gogle noktowizyjne i spojrzał w dół. Gdzieś tam biegła droga. Gdyby ktoś miał nadejść, to właśnie stamtąd.

Zrazu trudno było mu ocenić. Gęstwina wysokich zarośli i niemal całkowity mrok zmusiły go do nastawienia gogli na maksymalną czułość, co spowodowało, że obraz był niewyraźny, jak sygnał telewizyjny w odbiorniku bez anteny, a to, czego wypatrywał, znajdowało się w dużej odległości - co najmniej pięciuset metrów, czyli tyle dokładnie, ile sięgał wzrokiem przez leśną przesiekę. Napięcie wzmacniało czujność, ale także i wyobraźnia pracowała na zwiększonych obrotach, musiał więc uważać, by nie widzieć tego, czego w rzeczywistości nie było.

Coś jednak tam było. Czuł to jeszcze, zanim powrócił hałas. Tym razem już nie metaliczny dźwięk, ale... nieco za głośny szelest liści, a po chwili już zupełna cisza nocy po zawietrznej stronie góry. Chavez spojrzał na Leona, który też miał na sobie gogle na podczerwień i także patrzył w tym samym kierunku, na ten sam zielonkawy, rozmazany obraz. Zwrócił zasłoniętą goglami twarz ku Chavezowi i skinął

potwierdzająco. Nie było w tym geście ani krztyny emocji, ot, profesjonalne przekazanie niemiłej wiadomości. Chavez ukląkł i włączył radio.

- Szóstka, tu Czoło - zgłosił się Ding.

- Tu Szóstka.

- Jesteśmy w najdalej wysuniętym punkcie. Na dole mamy jakiś ruch, jakieś pół kilometra pod nami. Poczekamy jeszcze, żeby zobaczyć, co to jest.

- Dobra. Bądźcie ostrożni, sierżancie - rzekł Ramirez.

- Jasne. Bez odbioru. - Podeszedł do niego Leon.

- Jak chcesz to rozegrać? - spytał Berto.

- Trzymajmy się blisko i nie róbmy za dużo ruchu, póki nie zobaczymy, co się "święci.

- Racja. Może schowajmy się pięćdziesiąt metrów wyżej.

- Dobra, idź pierwszy, zaraz ruszam za tobą. - Chavez jeszcze raz spojrział w dół, po czym poszedł za kolegą pod gęstą kępę drzew. Wciąż nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego w noktowizorze. Po dwóch minutach stał już na nowym posterunku.

Berto pierwszy zauważył podejrzane ruchy i wskazał w dół na przesiekę. Poruszające się ziarna były większe niż zwykle zakłócenia wywoływane przez system noktowizora.

Głowy. Czteryście lub pięćset metrów od nich. Zmierzały prosto pod górę.

Dobrze, powiedział do siebie Chavez. Trzeba ich policzyć. Odprężył się. Zwykła robota. Nic nowego. Strach przed nieznanym miał już za sobą. Będzie walka.

Wiedział, jak się do tego zabrać.

- Szóstka, tu Czoło, grupa ludzi mniej więcej w liczbie kompanii idą prosto na was.

- Coś jeszcze?

- Poruszają się jakby wolno. Ostrożnie.

- Jak długo możecie tam jeszcze zostać?

- Ze dwie minuty.

- Zostańcie tak długo, jak możecie, a potem wracajcie. Spróbujcie doprowadzić ich jeszcze z kilometr. Im więcej ich wlezie nam w sieci, tym lepiej.

- Jasne.

- Ludzi od metra, cholera - szepnął Leon.

- Przydałoby się przerzedzić ten tłumek, zanim się ruszymy, co? - Chavez przerzucił

wzrok na podchodzącego wroga. Nie dopatrzył się żadnej przejrzystej organizacji. Nie spieszyli się, szli wolno pod górę, choć już ich wyraźniej słyszał. Podchodzili trzy - lub czteroosobowymi grupkami, zapewne składającymi się z przyjaciół; jak gangi uliczne, pomyślał. Dobrze mieć druha za plecami.

Gangi uliczne, pomyślał. Nie zawracali sobie głowy farbami maskującymi, liczyły się tu tylko te zasrane AK-47. Żadnego planu czy podziału na grupy szturmowe. Zastanowił

się, czy mieli radiotelefony. Raczej

nie. Spozstrzegł poniewczasie, że wiedzieli, dokąd idą. Nie pojmował, skąd mogą wiedzieć, ważne jednak, że szli prosto w piekielną zasadzkę. Tylko że było ich dużo.

Cholernie dużo.

- Trzeba się zmywać - szepnął Ding do Berta.

Pognali do góry, a raczej szli na tyle szybko, na ile pozwalało im wyszkolenie terenowe. Co jakiś czas zatrzymywali się, by poinformować dowódcę o pozycji swojej i wroga. W górze nad nimi drużyna miała jeszcze pełne dwie godziny na przegrupowanie i przygotowanie zasadzki. Chavez i Leon nasłuchiwali w słuchawkach komend kapitana. Oddział wychodził do przodu, by przywitać intruza w sporej odległości przed główną linią obrony, która przebiegała pomiędzy dwoma szczególnie stromymi partiami zbocza, gdzie zorganizowano dwa stanowiska karabinów maszynowych, i pokrywała dojście zwiężające się tu do niespełna trzystu metrów.

Gdyby wróg okazał się na tyle głupi, by przejść tą właśnie trasą, cóż, to już jego zmartwienie. Na razie szedł najprostszą drogą ku strefie lądowania. Może ktoś ich poinformował, że tam powinna stacjonować drużyna Nóż, pomyślał Chavez, obierając z Leonem posterunek nieco poniżej jednego z karabinów maszynowych.

- Szóstka, tu Czoło, jesteśmy na pozycji. Wróg znajduje się trzysta metrów niżej.

Dwa trzaski.

- Widzę ich - zameldował przez radio inny głos. - Granat Jeden widzi ich.

- Medyk widzi cel.

- Kaem Jeden widzi cel.

- Granat Jeden. Mamy ich na oku.

- Nóż, tu Szóstka. Tylko bez nerwów - powiedział spokojnie Ramirez. - Zdaje się, że idą prosto do frontowych drzwi. Pamiętajcie o sygnale, chłopaki...

Spokój trwał jeszcze dziesięć minut. Chavez wyłączył gogle, żeby oszczędzić baterie i przyzwyczać wzrok do ciemności. W myślach odtwarzał raz po raz plan akcji. Miał

wraz z Leonem wyznaczony szczegółowy zakres obowiązków. Każdy żołnierz miał

ograniczyć ogień do ściśle określonej strefy. Wszystkie pola rażenia zbiegały się i częściowo pokrywały. Nawet oba karabiny maszynowe były tak samo ograniczone.

Trzeci znajdował się kawał drogi za linią obrony wraz z niewielką grupą rezerwową, gotową wesprzeć drużynę podczas odwrotu lub gdyby zaszło coś niespodziewanego.

Znajdowali się już niespełna sto metrów od linii obrony. Czołowa grupa nacierającego wroga liczyła osiemnastu do dwudziestu ludzi, a reszta wlokła się z tyłu, starając się dotrzymać im kroku. Poruszali się wolno, ostrożnie stawiając stopy, z przewieszoną przez piersi, gotową do strzału bronią. Chavez doliczył się trzech w swoim polu rażenia. Leon wziął już na cel dolną partię stoku.

W dawnych czasach wrogie armie strzelały do siebie zmasowanym ogniem na przemian. Piechota napoleońska nacierała dwuszeregami, żołnierze podnosili na komendę karabiny i strzelali do siebie jedną potężną salwą. Zamierzeniem tu był szok.

Ten sam cel przyświeca i dzisiejszym armiom. Oszłomienie tych wrogów, którzy cudem nie polegli na miejscu, uświadomienie im, że wcale nie chcieli się znaleźć tam, gdzie się znaleźli, pomieszanie im szyków, zakłócenie rytmu, chaos. Nie czyni się już tego zwartymi tyralierami strzelającymi salwami z dystansu. Dzisiaj pozwala się wrogowi podejść jak najbliżej, a ten efekt psychologiczny jest podobny.

Trzy trzaski w słuchawkach. Przygotować się, rozkazał Ramirez. Wzdłuż całej linii żołnierze przytulili policzki do kolb. Karabiny maszynowe spoczęły nadwójnogach.

Odbezpieczono broń. W środku linii kapitan Ramirez owinał wokół dłoni koniec pięćdziesięciometrowego kabla telefonicznego. Do drugiego końca przymocowana była puszka z kilkoma kamieniami. Powoli i ostrożnie kapitan napiął kabel. Następnie szarpnął z całej siły.

Wszystko jakby zamarło na chwilę, która zdawała się trwać całe godziny. Napastnicy instynktownie odwrócili się w stronę źródła hałasu na tyłach własnych szeregów, plecami do nieznannej groźby.

Chwila skończyła się rozbłyskami z karabinów żołnierzy. Piętnastu napastników z pierwszej linii padło w mgnieniu oka. Za nimi dalszych pięciu poległo albo zostało rannych, zanim zdążyli odpowiedzieć ogniem. Wtedy właśnie atak z góry ustał.

Napastnicy pozbierali się za późno. Wielu z nich wystrzeliło całe magazynki przed siebie na oślep, ale żołnierze pochowali się już do okopów, nie wystawiając się na cel.

- Kto strzelał? Kto strzelał? Co tu się dzieje? - Był to głos sierżanta Olivero z nieskazitelnym akcentem.

Zamieszanie jest sprzymierzeńcem przygotowanego żołnierza. Większa grupa ludzi wbiegła na pole rażenia, by sprawdzić, co się stało i dowiedzieć się, kto do kogo strzelał. Chavez, tak jak i cała

reszta, policzył do dziesięciu, nim podniósł się ze swojego dołka. Miał dwóch mężczyzn niespełna trzydzieści metrów od swojej pozycji.

Na „dziesięć!” powalił jednego krótką serią i zranił drugiego. Poległo chyba z tuzin dalszych napastników.

Pięć trzasków w radioodbiornikach.

- Wycofać się - rozkazał Ramirez.

Wszyscy wzdłuż całej linii wykonali ten sam manewr. Jeden żołnierz z każdej pary wyruszył od razu, podbiegł pięćdziesiąt metrów pod górę i zatrzymał się w uprzednio wyznaczonym miejscu. Karabiny maszynowe, które dotychczas raziły tylko krótkimi seriami jak zwyczajne karabinki, teraz grzały długimi seriami, osłaniając przegrupowanie. W ciągu minuty Nóż oddalił się od stanowisk, które teraz znajdowały się pod spóźnionym i chaotycznym ostrzałem. Jeden z żołnierzy został postrzelony zabłąkaną kulą, ale zlekceważył ranę. Utartym zwyczajem Chavez ruszał ostatni i szedł najwolniej, przeskakując od jednego drzewa do drugiego pod coraz cięższym ogniem nieprzyjaciela. Włączył znów nocne gogle, by ocenić sytuację.

Około trzydziestu mężczyzn leżało w polu rażenia, z których najwyżej połowa dawała znaki życia. Ponieważ wróg robił manewr oskrzydłający od południowej strony, starając się okrążyć opuszczone już pozycje. Obserwował, jak grupka wrogów wchodzi na stanowisko, które ledwie kilka minut temu zajmował z Leonem. Stali jak wryci, dalej nie wiedząc, co się właściwie stało. Słychać było teraz jęki rannych, a po chwili przekleństwa, wulgarne, mocne przekleństwa rozjuszonych ludzi, którzy przyzwyczaili się do zadawania, a nie ponoszenia śmierci. Do hałasu sporadycznych wystrzałów i jęków doszły nowe głosy. To pewnie dowódcy wydawali rozkazy w języku zrozumiałym dla wszystkich żołnierzy. Chavez już pomyślał, że walka zakończy się łatwym zwycięstwem, gdy po raz ostatni spojrział w stronę nacierających sił.

- O, kurwa. - Włączył nadajnik. - Szóstka, tu Czoło. Jest ich więcej niż kompania, kapitanie. Powtarzam, więcej niż kompania. Liczbę zabitych oceniam w tej chwili na trzydziestu. Właśnie znów ruszyli w górę. Widzę z trzydziestu ludzi idących na południe. Ktoś im mówi, żeby spróbowali nas okrążyć.

- Dobra, Ding. Idź pod górę.

- Jasne. - Chavez ruszył niezwłocznie, przeskakując dołek Leona.

- Panie Clark, przy panu zacznę wierzyć w cuda - rzekł Larson przy sterach swojego beechcrafta. Nawiązali łączność z drużyną Omen przy trzeciej próbie i kazali żołnierzom przejść pięć kilometrów do polany, która ledwie pomieści Pave Lowa.

Następna próba trwała znacznie dłużej, prawie czterdzieści minut. Szukali teraz Bandery. A raczej tego, co z niej zostało, przypomniał sobie Clark. Nie wiedział, że niedobitki drużyny połączyły się z Nożem, który był ostatnim oddziałem na jego liście.

Druga linia obrony była z oczywistych powodów bardziej rozproszona niż pierwsza, co wzbudziło niepokój kapitana. Jego żołnierze przeprowadzili pierwszy atak tak perfekcyjnie, że ktoś w Akademii Piechoty mógłby pewnego dnia napisać artykuł na ten temat, szkopał w tym, że jedno z niewzruszonych praw sztuki wojennej mówi, że skuteczne manewry rzadko da się powtórzyć. Nic nie uczyło lepiej niż śmierć. Wróg się teraz pozbiera, rozciągnie szyki, spróbuje skoordynować akcję, a przynajmniej zrobi lepszy użytek z przewagi liczebnej. Napastnik zastosował teraz mądry manewr.

Działał szybciej. Wiedząc już, że ma naprzeciw siebie prawdziwego wroga z prawdziwymi zębami, doszedł do oczywistego wniosku, że najlepiej przeć do przodu, przejąć inicjatywę i narzucić tempo akcji bojowej. Temu Ramirez nie mógł skutecznie przeciwdziałać. Ale i on miał jeszcze parę asów w rękawie.

Zwiadowcy na flankach informowali go na bieżąco o pozycjach wroga. Nacierają teraz trzy grupy po około czterdziestu ludzi w każdej. Ramirez nie mógł stawić czoła wszystkim trzem naraz, mógł za to ugryźć po kolei każdą z osobna. Również dysponował trzema grupami bojowymi po pięciu ludzi w każdej. Jedną - niedobitki Bandery - ustawił w środku, ze zwiadowcą po lewej stronie obserwującym ruchy trzeciej grupy wroga, podczas gdy on przerzucał większość swoich ludzi na południe i lokował ich na skośnej linii wzdłuż stoku, tworząc drugą linię obrony w kształcie niemal dokładnej litery L i zakończoną od góry dwoma karabinami maszynowymi.

Nie musieli długo czekać. Nieprzyjaciel podchodził szybciej, niż Ramirez przewidział

w najśmielszych oczekiwaniach; jego żołnierze ledwie zdążyli zająć pozycje strzeleckie, ale napastnicy wciąż poruszali się w przewidywalny sposób, znowu na własną zgubę. Chavez z dolnego posterunku ostrzegł przed zbliżającym się wrogiem. I tym razem pozwolili napastnikom podejść na pięćdziesiąt metrów. Chavez i stojący kilka metrów dalej Leon wypatrywali dowódców. Mieli za zadanie strzelać jako pierwsi, z użyciem tłumików, by zlikwidować tych, co starali się skoordynować akcję i prowadzić natarcie. Chavezowi wydawało się, że jednego już ma; ktoś tu więcej gestykulował do innych. Przyłożył się do MP-5 i wypuścił serię, ale chybił. Mimo tłumika, strzały były na tyle głośne, że sprowokowały ogień wroga. Wówczas odezwał

się cały oddział. Poległo następnych pięciu napastników. Reszta odpowiedziała ogniem, tym razem dokładniej, i uformowała się do natarcia na pozycje obrońców, ale gdy tylko błyski u wylotów luf zdradziły stanowisko napastników, dwa karabiny maszynowe zaczęły czesać ich formację.

Teatr walki był zarazem koszmarny i fascynujący. Gdy tylko rozpoczęła się strzelanina, ludzie utracili zdolność widzenia w mroku. Chavez próbował radzić sobie, przymykając jedno oko, tak jak go uczyli, jednak nie na wiele mu się to zdało. Las ożył

oślepiającymi, krągłymi językami ognia, a tu i ówdzie małe kule płomienia oświetlały poruszających się ludzi, jak szeregi lamp stroboskopowych. Pociski smugowe z kaemów wyrzucały snopy ognia w stronę atakujących. Gdy pojawiły się u wylotu lufy karabinka szturmowego, był to znak, że trzeba zmienić magazynek. Towarzyszący temu hałas był dla Chaveza zupełnie nowym doświadczeniem: terkotowi M-16

akompaniowało niższe, powolniejsze klekotanie karabinków AK-47, wykrzykiwane rozkazy, jęki

wściekłości, bólu i rozpaczliwej śmierci.

- Wycofać się! - rozkazał po hiszpańsku kapitan Ramirez.

Kolejny raz zmieniali pozycje parami. A raczej próbowali. Dwóch członków drużyny zostało trafionych w tej potyczce. Chavez potknął się o jednego, który usiłował

odczłogać się w bezpieczne miejsce. Ding dźwignął kolegę na ramiona i pobiegł pod górę, nie zważając na ból nóg. Ranny - był to Ingeles - umarł w punkcie zbornym. Nie było czasu na żałobę; magazynki poległego kolegi rozdano innym strzelcom. Gdy kapitan Ramirez usiłował kolejny raz przegrupować siły, wszystkich doszły odgłosy strzałów z dołu, krzyki, przekleństwa. Jeszcze tylko jednemu żołnierzowi udało się dotrzeć do umówionego punktu. Drużyna Nóż miała teraz o dwóch zabitych więcej i jednego rannego w ciężkim stanie. Pieczę nad nim przejął Olivero, który odprowadził

rannego do punktu sanitarnego, przygotowanego obok SL. Po piętnastu minutach walki wróg stracił następnych dwudziestu ludzi, kosztem jednej trzeciej stanu drużyny.

Gdyby kapitan Ramirez miał czas się zastanowić, doszedłby do wniosku, że mimo całej swej wiedzy na temat walki, był już na straconej pozycji. Ale nie było czasu na myślenie.

Żołnierze Bandery powstrzymali kolejne natarcie wroga kilkoma seriami, ale stracili jednego człowieka podczas odwrotu na górę. Następna linia obrony znajdowała się czterysta metrów dalej. Bardziej zwarta niż poprzednia, była jednak niebezpiecznie blisko ich ostatniej pozycji obronnej. Nadszedł czas rzucić do gry ostatnią kartę.

Nieprzyjaciel i tym razem okrążył opuszczony już teren i wciąż nie wiedział, jakie straty zadał nieczystym siłom, które to pojawiały się, to znikwały, jak w upiornym śnie.

Dwóch mężczyzn, którzy starali się dowodzić atakiem, zostało wyeliminowanych; jeden poległ, a drugi został ciężko ranny. Wstrzymali teraz atak, aby się przeformować, gdy pozostali liderzy się naradzali.

W obozie żołnierzy sytuacja przedstawiała się podobnie. Gdy tylko zidentyfikowano poległych i rannych, Ramirez przegrupował siły, tak aby zrekompensować straty, z niejasnym poczuciem ulgi, że nie ma czasu na opłakiwanie poległych kolegów, że zawodowe wyszkolenie zmusza go do skupienia nad bieżącymi zadaniami. Śmigłowiec nie przyleci na czas. A może i przyleci? Czy to jeszcze miało jakiegokolwiek znaczenie?

Co w ogóle miało jeszcze jakieś znaczenie?

Należało z pewnością jeszcze bardziej zredukować siły wroga, by odwrót miał

jakiegokolwiek szansę powodzenia. Musieli uciekać, ale najpierw trzeba było jeszcze trochę pozabijać. Ramirez trzymał dotąd materiały wybuchowe w zapasie. Żaden z jego żołnierzy nie wystrzelił ani nie rzucił jeszcze granatu, a dostępu do obecnej pozycji strzegły pozostałe miny-pułapki, każda z nich zastawiona tak, by chronić poszczególne pozycje strzelców.

- Na co jeszcze czekacie? - zawołał w dół Ramirez. - Chodźcie, jeszcze z wami nie skończyliśmy! Najpierw was wybijemy, a potem zerzniemy wasze kobiety!

- Oni nie mają kobiet - krzyknął Vega. - Pieprzą się ze sobą. Chodźcie, cioty, czas na was!

I przyszli. Jak cios bezwzględnie rozbijający gardę boksera, natchnieni wściekłością, niepomiernie wcześniejszych strat, zwabieni głosami, które przeklinali, prąc naprzód. Ale już ostrożniej; nauka nie poszła w las. Przeskakiwali od drzewa do drzewa, osłaniali się wzajemnie, strzelali przed siebie, nie pozwalając przeciwnikom podnieść głów.

- Coś się dzieje tam na południu. Widzisz błyski? - powiedział Larson. - Tam, na drugiej godzinie, na stoku.

- Widzę.

Przeszło godzinę próbowali nawiązać kontakt z Banderą. Latali i nadawali nad wszystkimi trzema punktami ewakuacyjnymi, bez skutku. Clark nie garnął się do opuszczenia terenu, ale nie miał wyboru. Jeśli tam było to, czego szukali, musieli podlecieć bliżej. Nawet w terenie otwartym te małe radyjka miały zasięg mniejszy niż dwadzieścia kilometrów.

- Leć - rozkazał pilotowi. - Leć tam jak najszybciej. Larson schował klapy i pchnął drążek do przodu.

Żołnierze zwali ten manewr workiem. Termin, przejęty od armii sowieckiej, doskonale określał jego funkcję. Oddział rozlokował się

w szerokim łuku, tworząc dwuosobowe gniazda strzeleckie, choć cztery zajmowała teraz jedna osoba zamiast dwóch, a jedno pozostało puste. Na przedpolu każdego gniazda ułożono jedną lub dwie miny. Linia obronna przebiegała tuż za granicą kępy drzew i wychodziła w dół na otwarty teren szerokości mniej więcej siedemdziesięciu metrów, prawdopodobnie powstały na skutek niewielkiego osunięcia się ziemi, o czym świadczyły zwalone stare drzewa i kilka zupełnie młodych. Hałas i błyski z luf zbliżyły się do tej linii i zatrzymały się, choć ogień wcale nie ustał.

- Dobra, chłopcy - rzekł Ramirez. - Na mój rozkaz spieprzamy stąd z powrotem do SL, a stamtąd trasą odwrotu numer 2. Ale najpierw przydałoby się trochę przerzedzić to towarzystwo.

Przeciwnik też się naradzał, tym razem wykazując więcej rozsądku. Wymieniali nazwy, a nie wskazywali już miejsc, co wystarczyło im, by zamaskować swój plan akcji, choć i tym razem posuwali się najłatwiejszą, przewidywalną drogą, zamiast ją przecinać. Z

pewnością nie można im było odmówić odwagi, pomyślał Ramirez; kimkolwiek byli ci ludzie, nie cofali się przed niebezpieczeństwem. Gdyby choć trochę się podszkolili i mieli bardziej kompetentnych dowódców, byłoby już po walce.

Chavezowi co innego zaprzętało myśli. Dzięki tłumikowi dźwięku i płomienia jego broń była zarówno bezgłówna, jak i bezbłyskowa, a jak przystało na ninja, posługiwał

się goglami na podczerwień, by wyłuskiwać indywidualne cele i powalać je bez cienia litości. Wypatrzył jednego potencjalnego przywódcę. Zadanie było niemal za łatwe.

Terkot wystrzałów z linii wroga maskował hałas jego własnej broni. Sprawdził jednak torbę z amunicją i spostrzegł, że zostały mu już tylko dwa magazynki i sześćdziesiąt naboju oprócz tych, które miał załadowane. Kapitan Ramirez rozgrywał tę partię sprytnie, ale i ryzykownie.

Zza drzewa ukazała się następna głowa, a po niej ręka dająca komuś znaki. Ding wziął

głowę na cel, wystrzelił i trafił mężczyznę w gardło. Choć Chavez o tym nie wiedział, był to dowódca sił wroga, a jego śmiertelny jęk porwał resztę do akcji. Wzdłuż całej linii drzew na oddział szturmowy posypał się grad kul. Wróg zaatakował z rozdzierającym okrzykiem.

Ramirez pozwolił napastnikom podejść do połowy drogi, po czym z granatnika wystrzelił pierwszy granat fosforowy, który rozprysł się pajęczą fontanną białego oślepiającego światła. W tym samym momencie pozostali żołnierze zdetonowali swoje miny rozpryskowe.

- O, cholera, to Nóż. Willie Pete i miny rozpryskowe. - Clark wysunął antenę przez okno samolotu. - Nóż, tu Zmienna; Nóż, tu Zmienna. Zgłoś się, odbiór!

Próba pomocy nie mogła nadejść w gorszym momencie.

Trzydziestu nieprzyjaciół zginęło, a dziesięciu odniosło rany od odłamków min.

Następnie w linię drzew wystrzelono granaty, w tym wszystkie typu Willie Pete, by wzniecić pożary. Wielu napastników dostało się pod prysnic płonącego fosforu, niektórzy płonęli żywcem, wzmagając nocną kakofonię rozdzierającymi wrzaskami. W

ruch poszły granaty ręczne, zabijając kolejnych napastników. Ramirez znów włączył nadajnik.

- Wycofać się, wycofać się natychmiast!

Kiedy drużyna Nóż wycofywała się ze swojej pozycji, dostała się pod ogień strzelającego na oślep nieprzyjaciela. Ci żołnierze, którzy mieli granaty dymne i z gazem łzawiącym CS, rzucali je, by osłonić odwrót, ale fajerwerki te dały przeciwnikowi konkretny cel i każdy wybuch przyciągał ogień z tuzina luf. Dwóch żołnierzy zginęło i dwóch zostało rannych. Ramirez, do tej chwili świetnie panujący nad sytuacją, teraz zupełnie stracił kontrolę nad wypadkami. W jego słuchawce trzeszczał nieznamy głos.

- Tu Nóż - zgłosił się Ramirez. - Zmienna, co się z wami dzieje, do cholery?

- Nad wami, jesteście nad wami. Jaka jest sytuacja, odbiór?

- Gówniana. Wycofujemy się do SL. Lądujcie, lądujcie natychmiast! - Ramirez krzyknął do swoich żołnierzy: - Jazda do SL, przylecieli po nas!

- Niemożliwe, niemożliwe. Nóż, nie możemy teraz lądować. Musicie się z tego wyciągnąć. Potwierdź! - krzyczał do mikrofonu Clark. Bez odpowiedzi. Powtórzył

instrukcje, ale i tym razem nie doczekał się potwierdzenia.

Z dwudziestu dwóch mężczyzn zostało już tylko ośmiu. Ramirez niósł rannego i słuchawki spadły mu z głowy, gdy biegł przez ostatnią kępę drzew, ku położonej dwieście metrów wyżej SL, gdzie zaraz miał wylądować helikopter.

Ale nie wylądował. Ramirez położył rannego i patrzył na niebo, najpierw gołym okiem, potem przez gogle na podczerwień, lecz helikoptera nie było; ani świateł

stroboskopowych, ani rozświetlającego nocne niebo ciepła silników. Kapitan porwał

słuchawki i wrzasnął:

- Zmienna, co z wami, do cholery?

- Nóż, tu Zmienna. Krążymy samolotem nad waszą pozycją. Nie możemy dokonać ewakuacji do jutrzejszej nocy. Musicie wydostać się w bezpieczne miejsce, powtarzam, musicie uciekać w bezpieczne miejsce. Potwierdź!

- Zostało nas tylko ośmiu, zostało nas tylko... - Ramirez urwał i po raz ostatni pozwolił

sobie na ludzką reakcję. - O, Boże. - Zawahał się, widząc, że większość żołnierzy już uciekła, a przecież był ich dowódcą, odpowiadał za nich. Tego, że nie on za to wszystko naprawdę odpowiadał, nie dane mu było już nigdy się dowiedzieć.

Wróg podchodził coraz bliżej, podchodził z trzech stron. Mieli tylko jedną drogę odwrotu. Była to wcześniej wyznaczona trasa, ale Ramirez spojrzał na żołnierza, którego przytaszczył i nie ruszając się z miejsca patrzył, jak uchodzi z niego życie.

Znów podniósł wzrok na niebo, potem popatrzył na swoich ludzi i nie wiedział, co dalej robić. Nie było czasu na manewry z obozów szkoleniowych. Sto metrów dalej, zza ostatniej linii drzew, wyszedł pierwszy z nieprzyjaciół i zaczął strzelać. Żołnierze odpowiedzieli ogniem, ale siły wroga były zbyt liczne, a piechurzy wystrzelili już ostatnie magazynki.

Chavez zauważył, co się dzieje. Połączył się z powrotem z Vegą i Leonem, by razem przenieść ciężko rannego w nogę kolegę. Widział, jak kilku ludzi ostrzeliwuje SL.

Widział, jak Ramirez pada i strzela do nacierającego wroga, lecz Ding z kolegami nic już nie mógł na to poradzić. Pobiegli na zachód wyznaczoną drogą odwrotu. Nie oglądali się. Nie musieli. Hałas

mówił sam za siebie. Terkotowi M-16 zawtórował

głośniejszy ogień AK. Wybuchło jeszcze kilka granatów. Mężczyźni krzyczeli i przeklinali, wszyscy po hiszpańsku. A po chwili słyhać już było tylko serie z AK.

Bitwa o to wzgórze dobiegła końca.

- Czyżby to oznaczało to, co mi się wydaje? - zapytał Larson.

- To oznacza, że na pewno któryś SNT w Waszyngtonie umrze -rzekł cicho Clark. W

oczach załśniły mu łzy. Przeżył podobną sytuację już raz w życiu, kiedy jego helikopter wydostał się z matni na czas, a drugi nie zdążył. Wstydził się wówczas bardzo długo, że jemu udało się przeżyć, a innym nie. - Cholera! - Potrząsnął głową i opanował się.

- Nóż, tu Zmienna. Słyszysz mnie, odbiór? Podaj nazwisko. Powtarzam, odpowiedz nazwiskiem.

- Poczekaj - odezwał się Chavez. - Tu Chavez. Kto jest na tym kanale?

- Słuchaj uważnie, chłopcze, bo kanał jest spalony. Mówi Clark. Spotkaliśmy się kiedyś. Róbcie to samo, co wtedy, podczas ćwiczeń nocnych. Pamiętasz?

- Tak jest. Pamiętam kierunek. Możemy tam iść.

- Wrócę po was jutro. Uważajcie, chłopcy, to jeszcze nie koniec. Powtarzam, wrócę po was. A teraz spieprzajcie. Bez odbioru.

- O co chodzi? - zapytał Vega.

- Idziemy na wschód, potem w dół na północ i z powrotem na wschód.

- I co potem? - napierał Oso.

- A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?

- Wracaj na północ - rozkazał Clark.

- Co to znaczy SNT? - zapytał Larson, wchodząc w zakręt. Clark odpowiedział ledwo słyszalnym głosem:

- SNT to skurwysyn na tyłach, jeden z tych bezużytecznych, wydających rozkazy gnojków, przez których giną frontowe zwierzaki, takie jak my. I któryś z nich za to zapłaci, Larson. A teraz zamknij gębę i leć.

Przez następną godzinę prowadzili dalsze, bezskuteczne poszukiwania drużyny Bandera, po czym zawrócili do Panamy. Lot trwał dwie godziny i piętnaście minut.

Clark nie odezwał się słowem, a Larson bał się otworzyć usta. Pilot podkołował prosto do hangaru, w którym stał Pave Low i natychmiast zamknęły się za nim drzwi. Czekali na nich w środku Ryan z Johnsem.

- No i? - zapytał Jack.

- Nawiązaliśmy łączność z Omenem i Rysą - powiedział Clark. - Chodźmy. -

Zaprowadził ich do gabinetu ze stołem, na którym rozłożył mapę.

- A co z pozostałymi? - zapytał Jack.

Pułkownik Johns nie musiał pytać. Wyczytał już częściowo odpowiedź z wyrazu twarzy Clarka.

- Omen będzie dokładnie tutaj jutro w nocy. Rysa tutaj - rzekł Clark, wskazując dwa zaznaczone punkty na mapie.

- Dobra, poradzimy sobie z tym - powiedział Johns.

- Ale co, do licha, z innymi? - ryknął Ryan.

- Nie udało nam się nawiązać kontaktu z Banderą. Widzieliśmy za to, jak nieprzyjaciel wyłupił drużynę Nóż. A raczej większość oddziału - poprawił się Clark. - Przynajmniej jednemu chłopakowi udało się uciec. Zejdę po niego. - Clark zwrócił się do pilota. -

Larson, ty się lepiej zdrzemnij. Potrzebuję cię rzeńskiego za sześć godzin.

- Co z pogodą? - zapytał Johnsa.

- Cholerna burza. Kręci się jak pijany bąk. Nikt nie ma pojęcia, w którą stronę pójdzie, ale jeszcze nie doszła na nasz teren. Już parę razy latałem w podobnych warunkach -

odparł pułkownik Johns.

- Dobra. - Pilot odszedł. W sąsiednim pokoju stało kilka pryczy. Opadł na jedną z nich i zasnął w niespełną minutę.

- Chcesz zejść na ziemię? - zapytał Ryan.

- A co mam robić, zostawić ich tak? Czy nie za wiele tego, jak na jeden raz? - Clark odwrócił się. Oczywiście miał zaczerwienione i tylko PJ wiedział, że to nie ze zmęczenia i braku snu. - Przykro mi, Jack. Tam są nasi ludzie. Muszę spróbować. Oni by też po mnie przyszli. Nic się nie bój, stary. Wiem, jak się do tego zabrać.

- Jak? - zapytał PJ.

- Dolecimy na lotnisko około południa i resztę drogi przejedziemy autem.

Powiedziałem Chavezowi - to ten chłopak, z którym nawiązałem kontakt - żeby wycofali się na wschód i zeszli z góry. Postaramy się podjechać po nich, zawieźć na lotnisko i przerzucić samolotem.

- Tak po prostu? - zapytał z niedowierzaniem Jack.

- Jasne. Dlaczego nie?

- Jest różnica pomiędzy odwagą a idiotyzmem - powiedział Ryan.

- Pieprzę odwagę. Z tego żyję. - Clark wyszedł się przespać.

- Wie pan, czego my się naprawdę boimy? - odezwał się Johns, będąc już sam na sam z Ryanem. - Boimy się pamiętania o tych razach, kiedy można było coś zrobić, ale się tego nie zrobiło. Mogę panu jednym tchem wyliczyć w szczegółach wszystkie swoje niepowodzenia z dwudziestu kilku lat. - Pułkownik miał na sobie niebieską koszulę ze skrzydłami dowódcy i wszystkimi baretkami. Miał ich sporo.

Wzrok Jacka spoczął na jednej, błękitnej z pięcioma białymi gwiazdami.

- Ale przecież pan...

- Miło się to nosi i miło, jak generałowie z czterema gwiazdkami salutują mi pierwsi i traktują mnie, jak nie wiadomo kogo. Ale wie pan, co się liczy? Tych dwóch chłopaków, których wyciągnąłem. Jeden jest teraz

generałem. Drugi lata w Delta Air Lines. Obaj żyją. Obaj mają rodziny. To się liczy, panie Ryan. Ci, których nie udało mi się wyciągnąć, też się liczą. Niektórzy zostali na miejscu, boja byłem za słaby, za wolny albo miałem pecha. Czy też im się nie poszczęściło. Albo jeszcze coś. Powinienem był ich uratować. To mój zawód - rzekł

półgłosem Johns. - Taką mam pracę.

- To myśmy ich tam posłali - mówił do siebie Jack. - Moja Agencja ich tam wysłała.

Niektórzy z nich już polegli, a my pozwalamy, żeby ktoś nam kazał zaprzestać wszelkich działań. I ja tu mam być...

- Dziś w nocy może być niebezpiecznie.

- Może. Na to wygląda.

- Ma pan na pokładzie trzy miniguny - rzekł po chwili Ryan. - I tylko dwóch strzelców.

- Nie mogłem znaleźć trzeciego tak na zawołanie i...

- Ja nieźle strzelam - oznajmił Jack.

BILANS

Cortez siedział przy stole i przeprowadzał obliczenia. Amerykanie spisali się nadspodziewanie dobrze. W góry wyszło prawie dwustu ludzi kartelu.

Dziewięćdziesięciu sześciu wróciło, w tym szesnastu rannych. Sprowadzili nawet ze sobą żywego Amerykanina. Był ciężko ranny, wciąż krwawił z czterech ran, a kolumbijscy żołnierze nie potraktowali go zbyt dobrze. Młody, odważny żołnierz zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć z bólu, trząsał się, próbując ostatkiem sił panować nad sobą. Odważny mężczyzna, ten Zielony Beret. Cortez nie śmiał obrażać jego odwagi pytaniami. Poza tym żołnierz bredził, a Cortez miał inne sprawy na głowie.

Na miejscu był oddział sanitarny, który opatrywał swoich rannych. Cortez udał się tam, wziął jednorazową strzykawkę i napełnił ją morfiną. Wróciwszy, wbił igłę w żyłę zdrowego ramienia żołnierza i nacisnął tłok. Żołnierz od razu się rozluźnił, gdy ból zastąpiło chwilowe, cudowne uczucie błogości. Wtedy oddech ustał i wraz z bólem uszło z niego życie. Wielka szkoda. Cortez chętnie wykorzystałby takich ludzi jak ten, ale oni zazwyczaj służyli tylko ojczyźnie. Podszedł do telefonu i wykręcił odpowiedni numer.

- Jefe, zlikwidowaliśmy wczorajszej nocy jeden oddział wroga... Tak, jefe, dziesięciu, tak jak podejrzewałem; mamy wszystkich. Dzisiejszej nocy wyruszamy za następnym oddziałem... Jest tylko jeden mały problem, jefe. Wróg bronił się zawzięcie i ponieśliśmy spore straty. Potrzebowalibyśmy więcej ludzi na dzisiejszy wypad. Si, dziękuję, jefe. To w zupełności wystarczy. Proszę ich wysłać do Riosucio. Niech dowódcy zameldują się u mnie po południu. Odprawy dokonam na miejscu. Naprawdę? Wspaniale. Będziemy na pana czekali.

Jeśli dobra passa się utrzyma, pomyślał Cortez, następny oddział Amerykanów będzie walczył równie zaciekle. Jeśli szczęście dopisze, pozbędzie się dwóch trzecich żołnierzy kartelu w ciągu jednego tygodnia. Tej samej nocy rozprawi się też z ich szefami. Teraz szło mu już z górki. Prowadził bardzo trudną i niebezpieczną grę, ale najgorsze miał już za sobą.

Pogrzeb odbył się wcześniej. Greer był wdowcem i żył w separacji z żoną na długo przed jej śmiercią. Powód separacji znajdował się obok prostokątnego dołu na cmentarzu w Arlington: skromny, biały nagrobek porucznika Roberta White'a Greera z Korpusu Piechoty Morskiej, jego jedyne dziecko, który po ukończeniu Akademii Marynarki Wojennej pojechał do Wietnamu, by tam umrzeć. Ani Moore, ani Ritter nie mieli okazji poznać młodego Greera, a James nie trzymał jego fotografii u siebie w gabinecie. Były ZDW był człowiekiem sentymentalnym, lecz nierozpamiętującym przeszłości. Kazał jednak już dawno pochować się przy grobie syna, a ze względu na jego rangę i stanowisko zrobiono wyjątek i zarezerwowano miejsce na tę chwilę, która choć pisana każdemu, zawsze przychodzi nie w porę. Był istotnie sentymentalny, lecz tylko w sprawach doniosłej wagi. Ritter pomyślał, że oto ma przed oczyma wiele wyjaśnień. Troska, jaką otoczył kilku inteligentnych młodych ludzi i przyjął ich do Agencji, zainteresowanie ich karierą, nauki i względy, jakimi ich obdarzał.

Była to skromna, cicha ceremonia. Przyszło kilku bliskich przyjaciół Jamesa i znacznie więcej

osobistości z rządu. Wśród nich również prezydent... i - co Bob Ritter przyjął z gniewem - wiceadmirał James A. Cutter junior. Prezydent sam wygłosił mowę podczas nabożeństwa w kaplicy, podkreślając zasługi człowieka, który służył ojczyźnie nieprzerwanie przez ponad pięćdziesiąt lat, zaciągnąwszy się do marynarki w siedemnastym roku życia, by następnie ukończyć akademię, otrzymać dwie gwiazdki generalskie, a wreszcie trzecią po objęciu stanowiska w CIA. „Wzór profesjonalizmu, rzetelności i poświęcenia, który niewielu udało się osiągnąć, a nikomu prześcignąć”

-
tak prezydent podsumował karierę wiceadmirała Jamesa Greera.

- I ten skończony bałwan słuchał sobie tych słów w pierwszym rządzie, jakby nigdy nic, pomyślał Ritter. Z niesmakiem patrzył, jak gwardia honorowa Trzeciej Dywizji Piechoty zwija złożoną na trumnie flagę. Nie było komu jej przekazać. Ritter sądził, że otrzymają...

Ale gdzie był Ryan? Rozejrzał się ukradkiem. Nie zauważył go wcześniej, bo Jack nie przyjechał z Langley razem z resztą oficjalnej delegacji CIA. Flagę siłą rzeczy przekazano Moore'owi. Ścisłano sobie dłonie, wymieniano okolicznościowe słowa:

„Tak, to rzeczywiście łaska boska, że w końcu zgasł tak nagle”; „Tak, tacy ludzie nie rodzą się codziennie”; „Tak, to zaiste koniec szkoły Greera, wielka szkoda...”; „Nie, nie miałem okazji poznać jego syna, ale słyszałem...” Dziesięć minut później Ritter i Moore siedzieli już w służbowym cadillacu i jechali z powrotem George Washington Parkway. .

- Gdzie, do diabła, podział się Ryan? - zapytał DG.

- Nie wiem. Myślałem, że przyjedzie własnym autem.

Moore był nie tyle nawet zły, ile przygnębiony tą niestosownością. Wciąż miał na kolanach zwiniętą flagę i trzymał ją tak ostrożnie jak noworodka, sam nie wiedząc, dlaczego - dopóki nie przemknęło mu przez myśl, że gdyby naprawdę istniał Bóg, jak w młodości zapewniali go kaznodzieje, i gdyby James rzeczywiście miał duszę, to trzymał w rękach najlepsze tego świadectwo. Flaga była ciepła w dotyku i choć zdawał

sobie sprawę, że ponosi go wyobraźnia, a materiał mógł nagrzać się od porannego słońca, energia promieniująca z flagi, której James służył od wczesnej młodości, zdawała się oskarżać go o zdradę. Dziś rano uczestniczyli w pogrzebie, ale cztery tysiące kilometrów dalej poniewierali się inni ludzie, których Agencja wysłała z misją, a którzy nie dostaną nawet czezej satysfakcji w postaci grobu wśród swoich.

- Bob, co myśmy narobili? - zapytał Moore. - Jak się w to wkopaliśmy?

- Nie wiem, Arthurze. Naprawdę, nie wiem.

- Jamesowi się udało - mrucał pod nosem DG. - Przynajmniej odszedł...

- Z czystym sumieniem? - Ritter wyglądał przez okno, nie mogąc spojrzeć w twarz swojemu szefowi.

- Posłuchaj, Arthurze... - urwał, nie wiedząc, co właściwie powiedzieć.

Ritter pracował w Agencji od lat pięćdziesiątych, wpieryw jako agent w terenie, potem jako oficer prowadzący, szef rezydentury, w końcu jako dyrektor sekcji w Langley.

Zdarzało mu się tracić agentów terenowych, ale ani razu ich nie zdradził. Zawsze jest pierwszy raz, powiedział sobie w duchu. Uświadomił sobie jednak natychmiast, że każdy człowiek spotyka

się też pierwszy raz ze śmiercią i niewłaściwe dokonanie ostatecznego bilansu to tchórzostwo, świadectwo przegranego życia. Ale cóż innego mogli zrobić?

Do Langley mieli niedaleko i samochód zatrzymał się, nim pytanie doczekało się odpowiedzi. Wjechali windą na górę. Moore poszedł do swojego gabinetu, Ritter do swojego. Sekretarki jeszcze nie wróciły. Jechały mikrobusem. Ritter chodził tam i z powrotem po pokoju, dopóki nie przyjechały, następnie poszedł porozmawiać z panią Cummings.

- Czy dzwonił może Ryan?

- Nie, w ogóle go dziś nie widziałam. Czy pan dyrektor wie, gdzie on jest? - zapytała Nancy.

- Niestety, nie wiem. - Ritter wrócił do siebie i niewiele myśląc zadzwonił do domu Ryana, gdzie odpowiedziała mu tylko automatyczna sekretarka. Znalazł w kartotece numer do pracy Cathy i połączył się z nią z pominięciem sekretariatu.

- Mówi Bob Ritter. Muszę wiedzieć, gdzie jest Jack.

- Nie wiem - odpowiedziała powściągliwie doktor Ryan. - Mówił mi wczoraj, że musi wyjechać. Nie powiedział, dokąd.

Ritterowi dreszcz przebiegł po twarzy.

- Cathy, naprawdę muszę się dowiedzieć. Sprawa jest poważna, nie mogę ci powiedzieć, jak ważna. Zaufaj mi. Muszę wiedzieć, gdzie on jest.

- Przecież powiedziałam, że nie wiem. Czy to znaczy, że i wy nie wiecie? - zapytała przestraszonym głosem.

Ryan wie o wszystkim, stwierdził w duchu Ritter.

- Dobrze, Cathy. Znajdę go. Nie martw się, bo nie ma powodu. - Daremnie się trudził, żeby ją uspokoić i odłożył słuchawkę przy pierwszej okazji.

ZDO poszedł do gabinetu sędziego Moore'a. Flaga leżała na środku biurka DG, wciąż zwinięta w trójkąt. Sędzia Moore, dyrektor wywiadu, wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Jack wyjechał. Żona twierdzi, że nie wie, dokąd. On wie, Arthurze. Wie i pojechał, żeby coś z tym

zrobić.

- Skąd mógł się dowiedzieć?

- Diabli wiedzą. - Ritter zastanowił się chwilę, po czym ręką dał znak szefowi. -

Chodźmy.

Weszli do gabinetu Ryana. Ritter otworzył boazerię pokrywającą sejf Ryana, wykręcił

odpowiednią kombinację... i nic się nie stało, oprócz tego, że nad tarczą zaświeciła się lampka ostrzegawcza.

- Cholera - zaklął Ritter. - Myślałem, że pamiętam.

- Kombinację Jamesa?

- Tak. Wiesz, jaki on był, nie znosił tych cholernych zamków i prawdopodobnie...

Ritter rozejrzał się. Znalazł to, czego szukał przy trzecim podejściu: wysunął blat do pisania i zobaczył numer.

- A jednak się nie pomyliłem. - Obrócił się i spróbował drugi raz. Tym razem wraz z lampką włączył się cholerny brzęczyk. Ritter jeszcze raz wrócił do biurka i sprawdził

kombinację. Na arkuszu zauważył jeszcze inne zapiski. Ritter dalej wysunął blat.

- O, Boże.

Moore skinął głową i podszedł do drzwi.

- Nancy, zawiadom ochronę, że to my mordujemy się z sejfem. Wszystko wskazuje na to, że Jack zmienił kombinację, nie uprzedzając nas tak jak powinien. - DG zamknął

drzwi i wrócił do Rittera.

- On wie, Arthurze.

- Możliwe. Jak to sprawdzić?

Minutę później byli w gabinecie Rittera. Przemelił wszystkie dokumenty, ale nie własną pamięć. Nie zapomina się nazwiska lotnika odznaczonego Medalem Honoru.

Teraz wystarczyło już tylko otworzyć wewnętrzną książkę telefoniczną Autovon i zadzwonić do pierwszego dywizjonu operacji specjalnych w bazie Sił Powietrznych Eglin.

- Muszę rozmawiać z pułkownikiem Johnsem - powiedział Ritter sierżantowi, który odebrał telefon.

- Pułkownik Johns jest gdzieś w terenie. Nie wiem, gdzie.

- A kto wie?

- Może oficer operacyjny dywizjonu. To nie jest bezpieczna linia, proszę pana -
przypomniał mu sierżant.

- Numer do niego? - Sierżant podał numer telefonu i następna rozmowa już przebiegała na bezpiecznej linii.

- Muszę skontaktować się z pułkownikiem Johnsem - oświadczył Ritter, przedstawivszy się.

- Panie dyrektorze, rozkazy nie pozwalają mi podawać tej informacji nikomu.

Absolutnie nikomu.

- Majorze, jeśli jest znowu w Panamie, muszę o tym wiedzieć. Jego życie może od tego zależeć. Stało się coś, o czym pułkownik Johns musi wiedzieć.

- Ale ja mam rozkazy...

- Sram na twoje rozkazy, chłopcze. Jeśli mi nie powiesz, a załoga śmigłowca zginie, ty za to odpowiesz! Teraz mnie pan połączy, majorze, tak czy nie?

Oficer w życiu nie zaznał walki i kwestie życia czy śmierci były dlań czystą abstrakcją -
przynajmniej do tej chwili.

- Są tam, gdzie kiedyś. W tym samym miejscu, z tą samą załogą. Więcej nie mogę powiedzieć.

- Dziękuję, panie majorze. Postąpił pan słusznie. Naprawdę. Radzę, niech pan zrobi pisemną notatkę z tej rozmowy. - Ritter odłożył słuchawkę. Rozmowa szła przez głośnik.

- To z pewnością Ryan - przyznał DG. - Co robimy?

- Sam musisz zdecydować, Arthurze.

- Ilu jeszcze ludzi zabijemy, Bob? - zapytał Moore. Najbardziej teraz obawiał się luster.

Bał się spojrzeć w nie i zobaczyć nie całkiem taki wizerunek, jaki chciałby ujrzeć.

- Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

- Mam gdzieś konsekwencje - burknął były prezes Sądu Apelacyjnego Stanu Teksas.

Ritter skinął głową i przycisnął guzik telefonu. Mówił już swym zwykłym, stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem:

- Chcę wszystkie materiały „Kapara” z ostatnich dwóch dni. - Drugi guzik. - Szef rezydentury w Panamie ma zadzwonić do mnie za trzydzieści minut. Powiedźcie mu, że ma nic nie planować na cały dzień, bo będzie bardzo zajęty. - Ritter odłożył

słuchawkę na widełki. Będą musieli kilka minut poczekać, ale nie była to okazja na oczekiwanie w milczeniu.

- Dzięki Bogu - rzekł Ritter po chwili. Moore uśmiechnął się po raz pierwszy tego dnia.

- Mnie też podziękuj, Robert. Miło być znów mężczyzną, prawda?

Żandarmi przyprowadzili pod lufami pistoletów mężczyznę w jasnobrązowym garniturze, który twierdził, że nazywa się Luna i któremu przeszukano już teczkę w poszukiwaniu broni. Clark od razu go rozpoznał.

- Co tu robisz, do cholery, Tony?

- Kto to jest? - zapytał Ryan.

- Szef rezydentury w Panamie - odparł Clark. - Tony, mam nadzieję, że nie przychodzisz tu z byle jakiego powodu.

- Mam teleks dla doktora Ryana od sędziego Moore'a.

- Co?

Clark wziął Lunę pod ramię i zaprowadził do biura. Nie było dużo czasu. Mieli wylecieć z Larsonem za kilka minut.

- Oby to nie był jakiś głupi dowcip - ostrzegł Clark.

- Czego chcesz, robię tu za listonosza, nie? - rzekł Luna. - Przestań zgrywać supermana. W końcu to moja działka. - Wręczył Jackowi pierwszą kartkę.

ŚCIŚLE TAJNE - WYŁĄCZNIE DO WGLĄDU ZDW

ODZYSKANIE ŁĄCZNOŚCI SATELITARNEJ Z ODDZIAŁAMI „REWII”

NIEMOŻLIWE. ZRÓB WSZYSTKO, CO UWAŻASZ ZA STOSOWNE, ŻEBY

PRZERZUCIĆ ZAGROŻONE JEDNOSTKI W TERENIE. POWIEDZ CLARKOWI, ŻEBY BYŁ OSTROŻNY. ZAŁĄCZNIK MOŻE CI SIĘ PRZYDAĆ. C. NIE WIE.

POWODZENIA. M/R

- Nikt n*ie mówił, że to głupcy - wydusił Jack, podając wiadomość Clarkowi.

Nagłówek stanowił osobną wiadomość, nie mającą nic wspólnego z tajnością i ograniczonym obiegiem. - Czyżby znaczyło to, co mi się wydaje?

- Jeden SNT z głowy. Niech będzie, że dwóch - zauważył Clark. Zaczął wertować załączone fakty - Cholerny świat!

Położył plik na biurku i chodził chwilę nerwowo, wyglądając przez okna na stojący w hangarze samolot. W porządku, powiedział do siebie. Clark nie miał w zwyczaju zmieniać ustalonych planów. Rozmawiał przez kilka minut z Ryanem, po czym zwrócił

się do Larsona:

- Trzeba ruszyć dupę, stary. Do roboty.

- Zapasowe radia? - zapytał go na odchodnym pułkownik Johns.

- Dwa, we wszystkich nowe baterie i kilka zapasowych - odrzekł Clark.

- Miło pracować z facetem, który się zna na rzeczy - powiedział PJ. - Tylko ostrożnie, panie Clark.

- Zawsze, panie pułkowniku - rzucił Clark, po drodze do drzwi. -Do zobaczenia za kilka godzin.

Otworzyły się drzwi hangaru. Niewielki ciągnik wyciągnął beechcrafta na słońce i drzwi zamknęły się z powrotem. Ryan słuchał, jak zapalają się silniki, a potem ich cichnącego warkotu, gdy maszyna odkołowała spod hangaru.

- A co z nami? - zapytał pułkownika Johnsa.

Weszła kapitan Montaigne. Niskim wzrostem i kruczoczarnymi włosami wdała się w swoich francuskich przodków. Choć nie grzeszyła urodą, Ryanowi od razu przemknęło przez myśl, że musi być świetna w łóżku i zaraz pohamował się, nie wiedząc doprawdy, dlaczego coś takiego przyszło mu do głowy. Co dziwniejsze, była pierwszym pilotem w jednostce operacji specjalnych.

- Zapowiada się paskudna pogoda, pułkowniku - oznajmiła bez wstępów. - Adela znów pędzi na zachód z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Nic na to nie poradzimy. Z samym lotem i ewakuacją nie powinno pójść źle.

- Za to powrót może być dość podniecający, PJ - dorzuciła trzeźwo Montaigne.

- Nie wszystko naraz, Francie. Poza tym mamy awaryjne miejsce lądowania.

- Nawet pan nie jest aż takim wariatem, pułkowniku. PJ odwrócił się do Ryana i pokręcił głową.

- Młodszy oficerowie nie są dziś tacy jak dawniej.

Większość czasu lecieli nad wodą. Larson prowadził maszynę tak spokojnie i pewnie jak zawsze, raz po raz spoglądał jednak na północny wschód. Pomyłka nie wchodziła w rachubę: wysokie, pierzaste chmury odwiecznie zwiastowały nadchodzący huragan.

Za nimi czaiła się Adela, napisawszy już nowy rozdział w historii. Zrodzona u Wysp Zielonego Przylądka, gnała przez Atlantyk z przeciętną prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, następnie zatrzymała się na wschodzie basenu Morza Karaibskiego, osłabła, na nowo pozbierała siły, przemknęła na północ, potem na zachód, a nawet raz skręciła na wschód. Takiej kapryśnej wariatki nie było od pamiętnej Joanny. Nie za wielka jak na huragan i nie tak szybka jak Kamila, Adela była jednak groźnym sztormem, osiągając w porywach prędkość stu czterdziestu kilometrów na godzinę. W pobliżu tropikalnych cyklonów latali samolotami tylko zamiłowani tropiciele huraganów, których zwykle śmiertelne niebezpieczeństwo już nudziło. Dwusilnikowy beechcraft nie miał tu nic do roboty, nawet z Chuckiem Yeagerem przy sterach. Larson obmyślał już awaryjne plany. Gdyby misja się powiodła albo sztorm znowu zmienił kierunek, wyznaczał sobie miejsca na lądowanie i tankowanie, z których mógłby już lecieć na południowy wschód, by wyminąć ciągnącą ku nim szarą nawałnicę. Powietrze było myląco przejrzyste i spokojne. Pilot zastanawiał się, za ile godzin przyjdzie gwałtowna odmiana, a przecież to tylko jedno z niebezpieczeństw, które miał przed sobą.

Clark siedział na prawym fotelu i ze spokojnym, nieludzko błogim wyrazem twarzy patrzył przed siebie, gdy tymczasem mózg jego pracował na większych obrotach niż oba silniki beecha. Przed szybą widział wciąż twarze z przeszłości. Z pamięci wyławiał

dawne akcje bojowe, przeszłe niebezpieczeństwa, przeszłe lęki, przeszłe ucieczki, w których twarze, te odegrały pewną rolę. Przede wszystkim jednak przypominał sobie dawne nauki, te z sal wykładowych i te ważniejsze, płynące z własnego doświadczenia.

John Terence Clark nie należał do ludzi, którzy zapominają. Stopniowo odnalazł w pamięci wszystkie ważne nauki na

dzisiejszy dzień, a dotyczące przetrwania w samotności na wrogim terenie. Następnie pojawiły się twarze, które miały odegrać dzisiaj swoje role. Wpatrywał się w nie, na każdej zobaczył wyraz, którego się spodziewał; taksował je wzrokiem, by lepiej zrozumieć ludzi, którzy się za nimi kryli. Wreszcie powstał plan dnia. Rozważał

wszystkie szczegóły i oceniał je miarą prawdopodobnych celów przeciwnika. Brał pod uwagę wszelkie warianty w razie niepowodzenia jednej z części planu. Dokonawszy tego, postanowił dać sobie spokój. Szybko można bowiem dojść do punktu, w którym wyobraźnia staje się wrogiem. Każda część operacji zamknięta była teraz w oddzielnej skrzynce; otworzy je po kolei w stosownym czasie, zawierzy swojemu doświadczeniu i instynktowi. Ale nie potrafił odpędzić pytania, czy - kiedy - te wszystkie zasady go zawiodą.

Prędzej czy później, przyznał w duchu Clark. Ale nie dzisiaj.

Zawsze to sobie powtarzał.

PJ zorganizował dwugodzinną odprawę przed misją. Wraz z kapitanem Willisem i kapitan Montaigne

opracował każdy szczegół: gdzie uzupełnią paliwo, gdzie samolot będzie krążył, jeśli coś nie wypali, jaki kurs obrać, gdyby stało się coś złego. Każdy członek załogi został o wszystkim dokładnie poinformowany. Było to więcej niż konieczne; był to moralny obowiązek wobec załogi. Dzisiejszej nocy ryzykowali życie.

Musieli wiedzieć, dlaczego. Jak zwykle, sierżant Zimmer zadał kilka pytań i zgłosił

ważną propozycję, którą natychmiast włączono do planu. Nadszedł czas na przygotowanie samolotu do startu. Podczas tej żmudnej, kilkugodzinnej procedury sprawdzono dokładnie każdy podzespół obu maszyn. Przy okazji szkolono też nowych członków załogi.

- Zna się pan na obrotowych karabinach maszynowych? - spytał Ryana Zimmer.

- W życiu nie strzelałem z takich sikawek. - Ryan pieszczotliwie pogłaskał uchwyt miniguna.

Ta pomniejszona wersja dwudziestomilimetrowego działka Vulcan miała wiązkę sześciu luf, która obracała się napędzana silnikiem elektrycznym, pobierając naboje z potężnego, umieszczonego po lewej stronie podajnika oraz nastawianą szybkostrzelność: cztery lub sześć tysięcy naboji na minutę - sześćdziesiąt sześć albo sto na sekundę. Strzelało się z niego pociskami półsmugowymi. Powód był czysto psychologiczny. Serie z tej broni przypominały wiązki laserowe z filmów science fiction, doskonale ucieleśnienie śmierci. Świetnie się też z niej celowało; Zimmer zapewnił go, że z oślepiającym błyskiem u wylotu luf konkurować może tylko słońce w samo południe. Udzielił również Ryanowi krótkiego instruktażu: gdzie są przełączniki, jak stać, jak celować.

- A o walce, co pan wie?

- To zależy, co pan rozumie przez walkę - odparł Ryan.

- Walka polega na tym, że faceci z karabinami chcą pana zabić - wyjaśnił spokojnie Zimmer. - Jest niebezpiecznie.

- Tyle wiem. Miałem okazję walczyć kilka razy. Dajmy sobie z tym spokój, dobra? Już i tak mam stracha.

Ryan spojrział najpierw na karabin maszynowy, potem przez okno i zastanowił się, co mu strzeliło do głowy, żeby się samemu do tego pchać. Ale jaki miał wybór? Czy mógł

ot tak, po prostu, wysłać tych ludzi na ryzykowną misję? Gdyby tak postąpił, czym właściwie różniłby się od Cuttera? Jack rozejrzał się po wnętrzu maszyny. Tu, na betonowej podłodze hangaru, wydawała się taka wielka, mocna i bezpieczna.

Skonstruowano ją jednak po to, by latała w niespokojnym powietrzu, pod wrogim niebem. Był to śmigłowiec, a Ryan wyjątkowo nie znosił tych maszyn.

- Najśmieszniejsze jest to, że ta misja to pestka - rzekł po chwili Zimmer. - Znamy się na rzeczy, polecimy na miejsce, zabierzemy wszystkich i wracamy.

- Właśnie tego się boję, sierzancie - powiedział Ryan, śmiejąc się głównie z samego siebie.

Wylądowali w Santagueda. Larson znalazł faceta, który kierował lokalnymi połączeniami lotniczymi, i przekonał go, że nie będzie mu potrzebny mikrobus Volkswagen. Dwaj oficerowie CIA ruszyli na północ i po dwóch godzinach przejechali przez wioskę Anserma. Wałęsali się po okolicy przez pół godziny, aż wreszcie znaleźli to, czego szukali: kilka ciężarówek wjeżdżających i wyjeżdżających z prywatnej drogi oraz elegancki samochód osobowy. Miejsce zgadzało się z danymi „Kapara”; Clarkowi też wydawało się już w samolocie, że to tutaj. Upewniwszy się jeszcze raz, pojechali dalej na północ i po godzinie skręcili w boczną drogę prowadzącą w góry opodal Vegas del Rio. Clark siedział z nosem przy mapie, Larson zaś znalazł tymczasem dogodnie, wysoko położone miejsce na postój. Przyszła kolej na radio.

- Nóż, tu Zmienna, odbiór. - Cisza, mimo pięciu minut prób. Larson wyboistymi drogami prowadził samochód dalej na zachód, usiłując znaleźć inne wysokie miejsce dla Clarka. Dopiero o piętnastej, przy piątej próbie, doczekali się odpowiedzi.

- Tu Nóż. Odbiór.

- Chavez, mówi Clark. Gdzie jesteś, do diabła? - spytał Clark, po hiszpańsku, oczywiście.

- Najpierw pogadamy.

- Fajny z ciebie chłop. Naprawdę mielibyśmy z ciebie pociechę w 3 GOS.

- Dlaczego mam ci ufać, człowieku? Ktoś nas zrobił w konia i chciał zostawić tu, na dobre.

- Nie ja.

- To miło - usłyszeli sceptyczną, gorzką odpowiedź.

- Chavez, rozmawiamy na kanale, który może być spalony. Jeżeli masz mapę, jesteśmy na następujących współrzędnych - powiedział Clark. - Jest nas dwóch, w niebieskim mikrobusie Volkswagen. Możesz sobie nas sprawdzać, ile chcesz:

- Już to zrobiłem! - odpowiedziało mu radio.

Clark odwrócił gwałtownie głowę, by pięć metrów dalej zobaczyć mężczyznę z AK-47.

- Tylko spokojnie, chłopcy - rzekł sierżant Vega.

Z lasu wynurzyło się jeszcze trzech mężczyzn. Jeden z nich miał na udzie zakrwawiony bandaż. Chavez też miał przewieszony przez ramię karabinek AK, ale trzymał w pogotowiu swój MP-5 z tłumikiem. Podszedł od razu do samochodu.

- Nieźle, chłopcze - zagadnął Clark. - Jak nas podszedłeś?

- Radio. Musieliście nadawać z wysoko położonego miejsca, zgadza się? Z mapy wynika, że jest ich

sześć. Słyszałem wasz sygnał z innego punktu i zobaczyłem, jak jedziecie w tym kierunku pół godziny temu. A teraz chcę wiedzieć, co się tu, kurwa, dzieje.

- Może najpierw zajmijmy się rannym? - Clark podszedł do Chaveza i podał mu swój pistolet, rękojęcią do przodu. - Mam w samochodzie apteczkę.

Rannym żołnierzem był sierżant Juardo, strzelec z 10. Górskiej w Fort Drum. Clark otworzył tylne drzwi mikrobusu, pomógł wnieść go do środka i zdjął z rany bandaż.

- Znasz się na tych rzeczach? - zapytał Vega.

- Byłem kiedyś w komando SEAL - odparł Clark, podnosząc rękę, żeby mogli zobaczyć tatuaż. - W trzeciej grupie operacji specjalnych. Odsiedziałem swoje w Wietnamie i robiłem tam rzeczy, których nie pokazywali w telewizji.

- Kim byłeś?

- Skończyłem na starszym bosmanmacie, w armii to E7. - Clark przyjrzał się ranie.

Wyglądała nie najlepiej, ale chłopak miał szansę na przeżycie, jeśli tylko nie straci za dużo krwi, co mu się na razie udawało. Wszystko wskazywało na to, że piechurzy, jak dotąd, postępowali słusznie. Clark rozerwał

woreczek i zdezynfekował ranę zasypką. - Macie środki do zwiększania objętości krwi?

- Tak. - Sierżant Leon podał Clarkowi zestaw dożylny. - Nikt z nas nie wie, jak się do tego zabrać.

- Prosta sprawa. Przypatrzcie się. - Clark ścisnął Juarda za ramię i kazał mu zacisnąć pięść. Następnie wbił igłę zestawu w dużą żyłę na zgięciu łokcia. - Widzicie, raz-dwa i po wszystkim. No, trochę oszukuję. Moja żona jest pielęgniarką i czasami pozwala mi poćwiczyć w szpitalu - przyznał Clark. - No i jak? - spytał pacjenta.

- Przyjemnie jest wreszcie posiedzieć - wyznał Juardo.

- Nie chcę ci dawać zastrzyku przeciwbólowego. Wolałbym, żebyś był przytomny.

Wytrzymasz jakoś?

- Pytanie. Te, Ding, masz cukierka? Chavez rzucił mu butelkę z tylenolem.

- To już ostatnie, Pablo. Postaraj się, żeby ci starczyły na długo.

- Dzięki, Ding.

- Mamy w samochodzie kanapki - powiedział Larson.

- Zarcie! - Vega rzucił się w kierunku szoferki. Minutę później czterej żołnierze objadali się za wszystkie czasy, popijając coca-colą z puszek, które Larson kupił po drodze.

- Skąd macie te karabinki?

- Pożyczyliśmy sobie od wroga. Kończyła nam się amunicja do naszych szesnastek, a poza tym pomyślałem, że lepiej dostosować się do otoczenia.

- Dobrze myślisz, chłopcze - pochwalił go Clark.

- Dobra, co dalej? - zapytał Chavez.

- Decyzja należy do was - odparł Clark. - Są dwie możliwości. Albo jedziemy na lotnisko, dwie godziny drogi stąd, potem trzy godziny lotu i po wszystkim, jesteście z powrotem na terytorium Stanów Zjednoczonych

- Albo?

- Chavez, nie miałbyś ochoty podziękować facetowi, który was tak załatwił?

Clark znał odpowiedź, zanim zadał pytanie.

Admirał Cutter siedział wygodnie w fotelu, kiedy zadzwonił telefon. Wiedział, kto dzwoni po migającej lampce wskazującej linię. - Słucham, panie prezydencie?

- Wpadnij do mnie.

- Już idę, panie prezydencie.

Lato jest w Białym Domu równie leniwym sezonem jak w innych urzędach państwowych. W prezydenckim kalendarzu było więcej niż zwykle ceremoniału, który uwielbiał jako polityk, a którego nie znosił jako urzędnik. Ściskanie rączek „miss pełnej mleka”, jak nazywał nieprzerwany strumień gości - choć zastanawiał się niekiedy, czy będzie miał okazję poznać „miss kondom”, zgodnie z duchem zmieniających się obyczajów seksualnych. Obowiązki te były bardziej męczące, niż się zazwyczaj sądzi. Przed każdą wizytą dostawał kartkę papieru z kilkoma akapitami informacji, żeby gość wyszedł pod wrażeniem: „Niesamowite, prezydent naprawdę wie, o co mi chodzi! Naprawdę się przejął!” Uściski i rozmowy ze zwykłymi ludźmi zazwyczaj należały do przyjemniejszych obowiązków prezydenta, ale nie teraz, ledwie tydzień przed konwencją, wciąż na drugim miejscu w sondażach, jakie każda stacja telewizyjna ogłaszała co najmniej dwa razy w tygodniu.

- Co z Kolumbią? - zapytał prezydent, gdy tylko zamknęły się drzwi.

- Panie prezydencie, kazał mi pan zamknąć tę operację i tak też postąpiłem.

- Żadnych problemów z Agencją?

- Nie, panie prezydencie.

- W jaki sposób...

- Powiedział mi pan, że nie chce wiedzieć, jak to zrobić.

- Czy mam rozumieć, że nie powinienem o tym wiedzieć?

- Twierdzą jedynie, że wykonuję pańskie polecenia. Dostałem rozkazy i rozkazy te są właśnie wykonywane. Nie sądzę, by nie akceptował pan konsekwencji.

- Czyżby?

Cutter rozluźnił się nieco.

- Panie prezydencie, pod wieloma względami operacja się powiodła. Import narkotyków zmalał i będzie się nadal zmniejszał przez kilka przyszłych miesięcy.

Proponuję, by pozwolił pan rozpisywać się prasie na ten temat przez jakiś czas. Będzie mógł pan sam się na to powołać nieco później. Daliśmy im porządnego kopniaka.

Skutków operacji „Tarpon” nie sposób nie przecenić. „Kapar” pozwala nam nadal gromadzić cenne informacje. Za kilka miesięcy dojdzie również do spektakularnych aresztowań.

- Skąd wiesz?

- Sam to załatwiłem, panie prezydencie.

- A jak tego dokonałeś? - zapytał prezydent i urwał. - Następną rzecz, o której nie powinienem wiedzieć?

Cutter potwierdził skinieniem głowy.

- Zakładam, że cały czas postępujesz zgodnie z obowiązującym prawem - oświadczył

prezydent na użytek włączonego magnetofonu.

- Może pan śmiało tak zakładać, panie prezydencie. - Była to sprytna odpowiedź, bo mogła oznaczać wszystko albo nic, zależnie od punktu widzenia. Cutter również wiedział o ukrytym magnetofonie.

- I jesteś pewien, że polecenia są realizowane?

- Nie mam najmniejszej wątpliwości, panie prezydencie.

- To sprawdź jeszcze raz.

Trwało to znacznie dłużej, niż przewidział brodaty konsultant. Inspektor O'Day trzymał w ręku wydruk i rozumiał z niego tyle, że tekst mógłby równie dobrze być napisany po kurdyjsku. Połowę

strony pokrywały zera i jedynki.

- Kod wewnętrzny maszyny - wyjaśnił konsultant. - Programował to cacko prawdziwy zawodowiec. Udało mi się odzyskać z tego około czterdziestu procent. Algorytm transpozycyjny, tak jak myślałem.

- Słyszałem już to wczoraj wieczorem.

- To nie Ruski. Ten algorytm szyfruje odbieraną wiadomość. Żadna sztuka, każdy głupi by to zrobił. Cały szkopał w tym, że system działa na podstawie niezależnego sygnału wejściowego, innego dla każdej transmisji, bez względu na wbudowany algorytm szyfrowy.

- Zechciałby pan to wyjaśnić?

- Wszystko wskazuje na to, że bardzo dobry komputer - gdzieś tam - steruje tym cackiem, na pewno nie rosyjski. Nie dorobili się jeszcze takiej technologii, chyba że ukradli naszą. Prawdopodobnie sygnał wejściowy, który wprowadza zmienną do systemu pochodzi z satelitów Navstar. To tylko przypuszczenie, ale myślę, że system wykorzystuje bardzo precyzyjny impuls czasowy do uruchomienia klucza szyfrowego, inny dla każdej transmisji w jedną lub drugą stronę. Sprytne rozwiązanie. To wskazuje na NSA. Satelity Navstar mają atomowe zegary do odmierzenia czasu z wielką dokładnością, a najczulsza część systemu jest także zaszyfrowana. Krótko mówiąc, mamy tu do czynienia ze sprytnym sposobem szyfrowania sygnału, nie do złamania ani skopiowania, nawet gdyby się wiedziało, jak to wszystko działa. Ktokolwiek zaprogramował to cacko, ma dostęp do wszystkiego, czym dysponujemy. Byłem kiedyś konsultantem NSA, a nawet nie słyszałem o tym robaczku.

- Dobra, a jeśli się zniszczy dyskietkę...?

- Wtedy koniec połączenia. Koniec, kropka. Jeżeli moje przypuszczenia są trafne, istnieje gdzieś komputer, który kontroluje algorytm i stacje naziemne, które go kopiują. Zmazujesz algorytm, tak jak ktoś tu postąpił, a faceci, z którymi rozmawiałeś, nie mogą już nawiązać z tobą łączności i nikt inny nie może się już z nimi porozumieć.

Nie ma bezpieczniejszych systemów niż ten.

- Tyle d" a się powiedzieć? Coś jeszcze?

- Połowa z tego, co panu powiedziałem, to w miarę uzasadnione przypuszczenia. Nie potrafię zrekonstruować algorytmu. Mogę tylko stwierdzić, na czym prawdopodobnie polegał. Powiązanie z Navstarem to też tylko prawdopodobieństwo, ale duże prawdopodobieństwo. Udało się częściowo uratować program szyfrujący, w którym widać robotę NSA jak na dłoni. Ktoś, kto to wymyślił, jest prawdziwym specem od szyfrowania komputerowego. Wiadomo, że to nasza robota. Głowę daję, że mamy tu próbkę najmądrzejszego programu szyfrującego, jaki wymyślono w tym kraju. Ten, kto się nim posługiwał, to nie byle kto. W każdym razie, ktokolwiek to był, wszystko zmasał. Nie da się użyć systemu już nigdy więcej. Operacja, do której go wykorzystano, została definitywnie zamknięta.

- Tak - rzekł O'Day, zmrożony tym, co usłyszał. - Dobra robota.

- Wystarczy, że napisze pan teraz krótką notatkę do mojego profesora i wyjaśni, dlaczego nie stawiałem się dzisiaj na egzamin.

- Wydam polecenie, żeby ktoś to zrobił - przyrzekł O'Day już przy drzwiach. Poszedł

do biura Murraya i zdziwił się, że go nie zastał. Następnie wpadł do Billa Shawa.

Pół godziny później było już jasne, że popełnione zostało przestępstwo. Powstał więc problem, co z tym fantem zrobić.

Śmigłowiec wystartował z minimalnym obciążeniem. Wymagania misji były nader złożone - bardziej niż przy poprzednich misjach - i tym razem liczyła się także prędkość. Gdy tylko Pave Low wzniósł się na wysokość przelotu, uzupełnił paliwo z MC-130E. Tym razem nie było czasu na dowcipy.

Ryan siedział z tyłu, przypięty do fotela, gdy MH-53 J trząsał się i podskakiwał w strumieniu zaśmigłowym cysterny. Miał na sobie zielony kombinezon i hełm w tym samym kolorze. Dostał też kamizelkę kuloodporną. Zimmer wyjaśnił, że wprawdzie nie przepuści, prawdopodobnie, pocisku z pistoletu i niemal na pewno powstrzyma odłamki, to nie ma co

liczyć, że zatrzyma kulę z karabinu. Jeszcze jedno zmartwienie. Kiedy już na dobre oddzielili się po raz pierwszy od cysterny - czekało ich drugie tankowanie przed zejściem na ziemię - Jack obrócił się i spojrzał przez drzwi; chmury, niczym wysunięte macki ośmiornicy, przesuwały się w ich kierunku - Adela była coraz bliżej.

Rana Juarda skomplikowała trochę sytuację i zmieniła plany. Załadowali go na fotel Clarka w beechu i zostawili mu radio oraz zapasowe baterie. Następnie Clark z całą resztą pojechał z powrotem do Ansermy. Larson wciąż sprawdzał zmieniającą się z godziny na godzinę pogodę. Miał wystartować za dziewięćdziesiąt minut, żeby wypełnić swoją część misji.

- Jak u was z amunicją? - zapytał Clark w mikrobusie.

- Spokojnie starczy do AK - odpowiedział Chavez. - I po sześćdziesiąt sztuk na głowę do pistoletów maszynowych. Przekonałem się do tych maszynek z tłumikiem.

- Też je lubię. Granaty?

- Na wszystkich? - zapytał Vega. - Pięć odłamkowych i dwa z gazem paraliżująco-drgawkowym.

- Gdzie się wybieramy? - zapytał następnie Ding.

- Do pewnego domu pod Ansermą.

- Mają mocną obstawę?

- Jeszcze nie wiem.

- Zaraz, co to za numer? W co nas chcesz wpakować? - zaniepokoił się Vega.

- Spokojnie, sierżancie. Jeśli będzie za gorąco, wycofujemy się i wracamy. Na razie trzeba tylko obejrzeć sobie teren z bliska. Zrobię to z Chavezem. Póki pamiętam, mam tam w torbie zapasowe baterie. Przydadzą się wam?

- Mowa! - Chavez wyciągnął gogle noktowizyjne i od razu zmienił baterie. - Kto jest w tym domu?

- Dwóch facetów, za którymi rozglądamy się od dawna. Numer 1 to Felix Cortez -

powiedział Clark i dorzucił parę informacji. - To on kieruje operacją przeciwko oddziałom „Rewii”, bo taki kryptonim dali waszej operacji, jeśli nikt nie raczył wam tego powiedzieć. Maczał też palce w morderstwie naszego ambasadora. Chcę skurwiela dorwać i to żywego. Numer dwa to niejaki senor Escobedo, jedna z grubych ryb kartelu. Wielu ludzi chciałoby tego gnoja przydybać.

- Tak - odezwał się Leon. - Grubych sztuk jeszcze nie złowiliśmy.

- Do tej pory udało nam się załatwić pięciu czy sześciu skurwysynów. To było moje zadanie w tej całej operacji. - Clark spojrzał na Chaveza. Musiał to powiedzieć, żeby zyskać wiarygodność.

- Ale jak, kiedy...

- Nie powinniśmy tyle gadać, dzieciaki - przerwał mu Clark. - Nie należy paplać i chwalić się zabijaniem ludzi, obojętnie kto ci mówi, że wszystko jest w porządku.

- Naprawdę jesteś taki dobry? Clark potrząsnął tylko głową.

- Czasami tak, czasami nie. Gdybyście wy, chłopcy, nie byli dobrzy, to by was tu nie było. A bywa i tak, że o wszystkim przesądza pech.

- Tak właśnie było z nami - powiedział Leon. - Nie wiem nawet, co się właściwie stało, ale kapitan Rojas...

- Wiem, widziałem, jak ładowali jego zwłoki na ciężarówkę... Leon zeszywniał.

- I co...

- Co zrobiłem? - dokończył Clark. - Było ich trzech. Też ich później załadowałem na ciężarówkę. Potem wszystko podpaliłem. Nie jestem z tego wcale dumny, ale chyba udało mi się odwrócić od was uwagę tej bandy. Niewiele, ale nic więcej nie mogłem wtedy zrobić.

- Kto właściwie odebrał nam wsparcie z powietrza?

- Ten sam facet, który odciął łączność radiową. Wiem, kto zacz. Jak skończymy tę robotę, jemu też dobiorę się do skóry. Nie posyła się ludzi w teren, żeby im wyciąć taki parszywy numer.

- Co mu zrobisz? - nie wytrzymał Vega.

- Dam mu porządnie po łapach. Dość tego, kochani, trzeba się martwić o dzisiejszą noc. Wszystko po kolei. Jesteście żołnierzami, a nie narwanymi wyrostkami. Mniej gadania, więcej myślenia.

Chavez, Vega i Leon potraktowali wezwanie Clarka poważnie. Zabrali się do sprawdzania sprzętu. W mikrobusie było wystarczająco dużo miejsca na rozebranie i wyczyszczenie broni. O zachodzie słońca Clark pojechał do Ansermy. Znalazł zaciszne miejsce około kilometra od celu i zostawił tam samochód. Wziął od Vegi nocne gogle i poszedł z Chavezem na spacer.

W okolicy niedawno odbyły się zniwa. Clark nie miał pojęcia, co też tu uprawiano, ale to oraz fakt, że niedaleko znajdowała się wioska, oznaczało, że drzewa rosły tu rzadziej, bo wycinano je na opał. Mogli poruszać się szybko. Pół godziny później widzieli już dom, który od lasu dzieliło dwieście metrów otwartego terenu.

- Niedobrze - zauważył Clark ze swojego stanowiska na ziemi.

- Naliczyłem sześciu, wszyscy z karabinkami AK.

- Mamy towarzystwo - rzekł oficer CIA, obracając się w kierunku, z którego dochodził hałas. Nadjechał mercedes, toteż właścicielem mógł być każdy z członków kartelu. Towarzyszyły mu jeszcze dwa samochody, jeden przed nim, drugi za nim.

Razem wysiadło sześciu goryli, by sprawdzić teren.

- Escobedo i La Torre - rzekł zza okularów Clark. - Dwie grube ryby na spotkanie z Cortezem. Ciekawe, po co...

- Za dużo ich, stary - powiedział Chavez.

- Czy zauważyłeś, że nie sprawdzali żadnego hasła ani nic takiego?

- No więc?

- Wszystko się da zrobić, jeżeli sprytnie pogramy.

- Ale jak...

- Myśl twórczo - powiedział mu Clark. - Wracamy do samochodu. -Zabrało im to kolejne dwadzieścia minut. Gdy dotarli na miejsce, Clark nastawił radio.

- Cezar, tu Wąż, odbiór.

Drugie tankowanie odbyło się blisko brzegu. Trzeba będzie jeszcze co najmniej raz uzupełnić paliwo przed powrotem do Panamy. Inna możliwość raczej nie wchodziła teraz w rachubę. Pocieszające było to, że Francie Montaigne prowadziła swojego Combat Talona z wyczuciem i wprawą. Jej radiotelegrafisci już nawiązali łączność z ocalałymi oddziałami piechurów, wyręczając w tym załogę

śmigłowca. Po raz pierwszy w całej misji wsparcie lotnicze funkcjonowało jak należy. MC-130E

koordynował różne części akcji; naprowadzał Pave Lova na odpowiednie tereny i ostrzegał przed możliwym zagrożeniem, a poza tym poił śmigłowiec benzyną.

Śmigłowiec nieco uspokoił lot. Ryan wstał i przechadzał się po pokładzie. Po pewnym czasie strach stawał się nudny; zdołał nawet wcelować do muszli w toalecie. Załoga zaakceptowała go przynajmniej jako znośnego intruza, a to już dla niego wiele znaczyło.

- Ryan, słyszysz mnie? - spytał Johns. Jack nacisnął guzik mikrofonu.

- Tak, pułkowniku.

- Pański człowiek w terenie chce, żebyśmy zrobili coś innego.

- Co mianowicie?

PJ przekazał mu plan Clarka.

- Co oznacza dodatkowe tankowanie, ale poza tym nic nadzwyczajnego. Decyzja?

- Jest pan pewien?

- Operacje specjalne to w końcu nasz chleb.

- Dobra. Chcemy tego łobuza.

- Rozumiem. Sierzancie Zimmer, za minutę „suche stopy”. Kontrola systemów.

Mechanik pokładowy sprawdził tablicę przyrządów.

- Tak jest, PJ. Wszystko gra. Wszystkie kontrolki zielone.

- Świetnie,. Najpierw schodzimy po oddział Omen. Przybliżony czas dwadzieścia minut. Ryan, lepiej chwycić się czegoś. Zaraz liżemy ziemię. Muszę pogadać z naszym wsparciem.

Jack nie wiedział, o co chodzi. Zorientował się, gdy przelatywali nad pierwszym pasmem przybrzeżnych gór. Pave Low podskoczył jak zwariowana winda, potem podłoga jakby zarwała się pod nim, kiedy już minęli najwyższe wzniesienie.

Śmigłowiec leciał teraz na komputerowym układzie sterowania, nad stokiem o kącie nachylenia sześć stopni - odnosiło się wrażenie znacznie większej stromizny - to windując się, to znów nurkując w zależności od ukształtowania terenu i utrzymując się cały czas zaledwie parę metrów od ziemi. Maszynę zaprojektowano z myślą o bezpieczeństwie, a nie wygodzie. Ryan jednak nie czuł się ani zbyt bezpiecznie, ani wygodnie.

- SL Jeden za trzy minuty - ogłosił pułkownik Johns pół wieczności później. - Trzeba się rozgrzać,

Buck.

- Tak jest. -Zimmer włączył na konsoli zasilanie minigunów. - Wyłączniki gorące.

Sikawki gorące.

- Strzelcy na stanowiska. To do pana, Ryan - dodał PJ.

- Dziękuję. - Ryan stęknął, nie włączywszy mikrofonu. Zajął pozycję po lewej stronie maszyny i włączył miniguna, który natychmiast zaczął się obracać.

- Cel za minutę - powiedział drugi pilot. - Mam wyraźny sygnał na jedenastej godzinie.

Dobra. Omen, tu Cezar, słyszysz mnie, odbiór?

Jack słyszał tylko odpowiedzi PJ, ale i za nie był wdzięczny.

- Słyszę cię, Omen. Podaj jeszcze raz swoje położenie... Potwierdzam, schodzimy.

Dobry sygnał. Trzydzieści sekund. Przygotować się tam z tyłu - powiedział kapitan Willis Ryanowi i reszcie. -Zabezpieczyć broń, zabezpieczyć broń.

Jack odsunął kciuki od spustów i skierował broń w niebo. Śmigłowiec schodząc, ustawił się ostro nosem do góry. Zatrzymał się i zawisł w powietrzu kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, nie dotykając gruntu.

- Buck, powiedz kapitanowi, żeby zaraz tu przyszedł.

- Tak jest, PJ. - Ryan słyszał, jak Zimmer biegnie do ogona i po chwili poczuł przez podeszwy butów tupot wskakujących na pokład żołnierzy.

Patrzył wciąż na zewnątrz, ponad obracającymi się lufami miniguna, dopóki śmigłowiec nie wzbił się w powietrze, a nawet wówczas skierował lufy na ziemię.

- Wcale nieźle poszło, co? - zauważył pułkownik Johns, skierowawszy maszynę z powrotem na południe. - Cholera wie, dlaczego nam za to płacą. Gdzie ten szczer lądowy?

- Właśnie go zapinam, pułkowniku. Wszyscy na pokładzie. Cała drużyna w komplecie, żadnych strat.

- Kapitanie...?

- Słucham, panie pułkowniku.

- Mamy robotę dla waszego oddziału, jeśli dacie radę.

- Zamieniam się w słuch.

MC-130E Combat Talon krążył nad terytorium Kolumbii, co niepokoiło trochę załogę, gdyż nie mieli oficjalnego pozwolenia. Głównym ich zadaniem było teraz pośredniczenie w łączności, a mimo najnowocześniejszego sprzętu, znajdującego się na pokładzie czterosilnikowego samolotu wspierającego, nie wywiązałyby się z tego zadania, pozostając nad oceanem.

Brakowało im teraz dobrego radaru. Zespół Pave Low/Combat Talon powinien pracować pod nadzorem systemu wczesnego ostrzegania AWACS, którego jednak zabrakło podczas tej operacji. Brak ten nadrabiał porucznik i kilku podoficerów, pisząc na mapach i porozumiewając się jednocześnie na bezpiecznych kanałach radiowych.

- Cezar, podaj stan paliwa - zgłosiła się kapitan Montaigne.

- W porządku, Pazur. Trzymamy się nisko w dolinach. Tankowanie mniej więcej za osiemdziesiąt minut.

- Potwierdzam, osiem-zero minut. Na razie nie stwierdza się wrogiej aktywności radiowej.

- Potwierdzam.

Ten problem też wchodził w rachubę. Przecież kartel mógł mieć wtykę w kolumbijskim lotnictwie. Przy całej przewadze technicznej obu amerykańskich maszyn, byle myśliwiec z czasów II wojny światowej zestrzeliłby je bez trudu.

Clark czekał na nich. Z dwoma samochodami. Vega ukradł z farmy ciężarówkę, wystarczająco dużą, jak na ich potrzeby. Okazało się, że Oso świetnie sobie radzi z kablami zapłonu, aczkolwiek dość mętnie tłumaczył, w jaki sposób nabył tę umiejętność. Śmigłowiec wylądował i żołnierze

pobiegli w kierunku światła lampki stroboskopowej, którą Chavez wciąż miał przy sobie. Clark przeprowadził krótką rozmowę z kapitanem na temat misji. Śmigłowiec oderwał się od ziemi i poleciał na północ, wspomagany silnym wiatrem w dolinie.

Następnie obrał kurs na zachód w kierunku MC-130, po kolejną porcję paliwa.

Mikrobus i ciężarówka podjechały pod dom kartelu. Clarkowi kotłowały się w głowie myśli. Naprawdę przebiegły facet kierowałby operacją ze środka wioski, gdzie podejście byłoby o wiele trudniejsze. Cortez wolał pozostać z dala od ludzkich oczu, ale zlekceważył elementarne, w kategoriach wojskowych, wymogi fizycznego bezpieczeństwa. Cortez myślał jak szpieg, dla którego bezpieczeństwo i konspiracja to jedno i to samo, a nie jak zwierzę frontowe, dla którego bezpieczeństwo to dużo karabinów i czyste pole ostrzału. Cóż, każdy miał swoje słabości. Clark jechał z tyłu ciężarówki, razem z żołnierzami drużyny Omen, z odręcznie naszkicowanym planem celu. Czuł się jak za dawnych lat, kiedy musiał kierować misją zorganizowaną w ostatniej chwili, bez żadnego uprzedzenia. Żywił nadzieję, że ci młodzi żołnierze lekkiej piechoty nie ustępują zwierzakom z 3 GOS. Lecz nawet Clark miał swoje ograniczenia. Chłopcy z 3 GOS wówczas też byli młodzi.

- A więc, za dziesięć minut - podsumował.

— Dobrze - odparł kapitan. — Nie mieliśmy prawie żadnego kontaktu. Starczy nam broni i amunicji.

- No i? - zapytał Escobedo.

- No i zabiliśmy zeszłej nocy dziesięciu Norteamericanos i zabijemy następnych dziesięciu tej nocy.

- Ale z jakimi stratami! - oponował La Torre.

- Mamy do czynienia z bardzo dobrze wyszkolonym przeciwnikiem. Nasi wykosili ich w końcu, ale wróg walczył mężnie i zaciekle. Tylko jeden przeciwnik przeżył - rzekł

Cortez. - Jego ciało jest w sąsiednim pokoju. Zmarł tutaj, wkrótce po tym, jak go przynieśli.

- Skąd pan wie, że nie ma ich w pobliżu? - zapytał Escobedo. O fizyczne bezpieczeństwo nie musiał się do tej pory sam troszczyć.

- Znam rozlokowanie wszystkich oddziałów wroga. Czekają na śmigłowiec, który ma ich ewakuować. Nie mają pojęcia, że helikopter został wycofany z akcji.

- Jak pan tego dokonał? - zastanowił się na głos La Torre.

- Panowie pozwolą, że metody zatrzymam dla siebie. Za te zdolności mi przecież płacicie, nie dziwcie się więc, kiedy robię z nich użytek.

- Co dalej?

- Nasza grupa szturmowa, tym razem bez mała dwustu ludzi, już powinna zbliżać się do drugiej grupy Amerykanów, noszącej kryptonim Rysa. Następną kwestią, jest to, którzy członkowie ścisłego przywództwa kartelu wykorzystują sytuację do własnych celów - czy też, mówiąc bez ogródek, którzy przywódcy współpracują z Amerykanami. Jak często bywa w takich operacjach, odnosi się wrażenie, że każda ze stron wykorzystuje drugą.

- Oo? - Tym razem Escobedo wyraził zdziwienie.

- Sijefe. I nie powinno panów dziwić, że udało mi się zidentyfikować tych, którzy zdradzili swych towarzyszy. - Spojrzał na obu z triumfalnym uśmiechem.

Drogi dojazdowej pilnowało tylko dwóch strażników. Clark wrócił do volkswagena, gdy tymczasem żołnierze oddziału Omen biegli przez las do celu. Vega z Leonem wyjęli boczną szybę i ten pierwszy siedział teraz z tyłu, przytrzymując szkło ręką.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Clark.

- Start! - odparł Chavez.

- Uwaga. - Clark wziął ostatni zakręt i wolniej podjechał do dwóch strażników. Zdjęli broń z ramion i przyjęli bardziej agresywną postawę. - Przepraszam, zgubiłem się.

Był to sygnał dla Vegi, żeby upuścić szybę. Na dźwięk tłuczonego szkła, Chavez i Leon podnieśli się na kolana i wycelowali swoje MP-5 w strażników. Obaj dostali serie w głowę bez ostrzeżenia i obaj padli bezszelestnie. Żołnierze ze zdziwieniem stwierdzili, że pistolety maszynowe narobiły nadspodziewanie dużo hałasu we wnętrzu samochodu.

- Dobra robota - powiedział Clark. Zanim ruszyli dalej, nadał wiadomość przez radio.

- Tu Wąż. Omen, zgłoś się.

- Wąż, tu Omen Szóstka. Na pozycji. Powtarzam, jesteśmy na pozycji.

- Potwierdzam. Bądźcie w pogotowiu. Cezar, tu Wąż.

- Wąż, tu Cezar, słucham.

- Podaj pozycję.

- Mamy do was osiem kilometrów.

- Dobrze, Cezar, utrzymujcie tę pozycję. Uwaga, ruszamy.

Clark zgasił światła i podjechał mikrobusem sto metrów ku domowi. Wybrał miejsce, gdzie podjazd skręcał. Zatrzymał wóz, po czym ustawił go tak, żeby blokował drogę.

- Dajcie mi jeden granat odłamkowy - powiedział, wysiadając z samochodu, zostawiwszy kluczyk w stacyjce. Najpierw poluzował zawleczkę. Następnie przymocował drutem korpus granatu do klamki, a drugim drutem połączył zawleczkę z pedałem gazu. Zajęło mu to niespełna minutę. Wystarczyło teraz otworzyć drzwi, a komuś może przytrafić się paskudna niespodzianka. - Dobra, idziemy.

- Sprytne, panie Clark - zauważył Chavez.

- Chłopcze, ja byłem ninja, zanim to się stało modne. A teraz zamknijcie się i róbcie, co do was należy.

Skończył się czas na uśmiechy i dowcipy. Czuł się, jakby wróciła mu młodość, ale choć to przyjemne uczucie, byłoby jeszcze przyjemniejsze, gdyby w swej młodości nie robił

rzeczy, o których lepiej nie pamiętać. Pamięć nie kłamała wszakże o szczerym entuzjazmie, z jakim w młodych latach prowadził ludzi do walki. Było to straszne, niebezpieczne, lecz był to też jego żywioł, o czym dobrze wiedział. Przez moment nie był już panem Clarkiem, ale znów Wężem, człowiekiem, którego kroków nikt nie usłyszał. Po pięciu minutach dotarli do wyznaczonego posterunku.

Żołnierze armii północnowietnamskiej byli groźniejszymi przeciwnikami niż ci. Cała obstawa warowała przed samym domem. Wziął od Vegi noktowizor i policzył ich, po czym przeczesał wzrokiem cały teren, by sprawdzić, czy nie ma gdzieś wysuniętych posterunków, ale niczego nie

zauważył.

- Omen Szóstka, tu Wąż. Podaj pozycję.
- Pierwsza linia drzew na północ od celu.
- Pokaż pozycję lampą stroboskopową w podczerwieni.
- W porządku.

Clark odwrócił głowę i w goglach ukazała się migająca plamka stroboskopu, w miejscu oddalonym o dziesięć metrów od linii drzew. Chavez, który nasłuchiwał na tym samym paśmie radiowym, uczynił podobnie.

- Dobra, przygotować się. Cezar, tu Wąż. Jesteśmy na wschód od celu, w miejscu, gdzie podjazd przechodzi przez kępę drzew. Omen jest po północnej stronie. Mamy dwa stroboskopy do oznaczenia naszych pozycji. Potwierdź.
- Potwierdzam, jesteście w drzewach na podjeździe, na wschód od celu. Powtarzam, na wschód od celu, Omen na północ. Dwa stroboskopy na wyznaczonych pozycjach.

Jesteśmy gotowi, osiem kilometrów od

celu - odpowiedział PJ, najbardziej obojętnym głosem, na jaki go było stać.

- Dobra, wchodźcie. Zaczynamy koncert. Powtarzam, wchodźcie.
- Rozumiem, potwierdzam, Cezar wchodzi do akcji.
- Omen, tu Wąż. Ognia. Powtarzam, ognia.

Cortez miał nad oboma przewagę, choć żaden z nich nie znał ostatecznego powodu.

La Torre rozmawiał wszakże poprzedniego dnia z Feliksem, który oświadczył mu, że Escobedo jest zdrajcą. Dlatego on też pierwszy wyciągnął pistolet.

- Co to ma znaczyć? - zapytał zaskoczony Escobedo.
- Pozorowany zamach był bardzo sprytny, jefe, ale mnie nie tak łatwo przechytryć - rzekł Cortez.
- O co tu chodzi?

Zanim Cortez zdążył wyrecytować przygotowaną odpowiedź, od północnej strony domu rozległy się strzały z kilku karabinów. Felix nie był skończonym głupcem; w pierwszym odruchu pogasił

wszystkie światła w domu. La Torre wciąż mierzył w Escobedo, a Cortez tymczasem rzucił się do okna z pistoletem w ręce, by sprawdzić, co się dzieje. Natychmiast zorientował się, że to głupota i padł na kolana. Ściany murowanego domu powstrzymają pociski, szyby z pewnością nie.

Ogień był słaby, sporadyczny. Tylko kilku ludzi, jakaś niepoważna zaczepka, a przecież miał podwładnych, którzy zrobią z tym porządek. Ludzie Corteza wraz z goryłami Escobedo i La Torre natychmiast odpowiedzieli ogniem. Felix z satysfakcją patrzył na żołnierski kunszt swoich ludzi, którzy rozdzielili się na dwie grupy strzeleckie i w mig zastosowali tradycyjny manewr piechoty, na przemian ogień i podejście. Obojętnie co było powodem tego zajścia, niebawem załatwią sprawę fachowo. Goryle kartelu byli jak zwykle odważni, ale niezdarni. Dwóch już padło.

Tak, zobaczył, że już skutkowało. Strzały zza drzew ustawały. Pewnie jacyś bandyci, którzy zbyt późno zorientowali się, że natrafili na...

Takiego dźwięku w życiu jeszcze nie słyszał.

- Widzę cel - usłyszał Jack w słuchawkach interkomu.

Ryan nie widział domu. Choć tkwił na stanowisku, Johns nie łudził się, że ma do czynienia z prawdziwym strzelcem. Sierżant Zimmer stał przy prawym minigunie, tym po stronie pilota. Obniżyli lot tak drastycznie, że Ryan czuł, ba, wiedział, że może wyciągnąć rękę i dotknąć

wierzchołków drzew. Raptem śmigłowiec przechylił się. Nagły hałas i drgania oszołomiły Jacka. Oślepiające światło płomienia wylotowego miniguna rzuciło cień helikoptera na tę stronę, gdzie Jack wypatrywał innych celów.

Cortez miał wrażenie, że ukazała się przed nim ogromna rura neonowa żółtego koloru.

Wszędzie tam, gdzie dotknęła ziemi, wznosiły się potężne chmury pyłu. Przeczesała tam i z powrotem teren pomiędzy domem a drzewami, by nagle zniknąć po kilku zaledwie sekundach. Cortez niczego nie widział w tumanach pyłu, choć po chwili zdał

sobie sprawę, że powinien zobaczyć chociażby błyski z karabinów swoich najemników.

Błyski, owszem, pojawiły się, ale znacznie dalej, na linii drzew i tym razem było ich już więcej.

- Cezar: wstrzymaj ogień, wstrzymaj ogień!

- Dobra - odpowiedziało radio. Dochodzący z góry straszliwy hałas wreszcie ustał.

Clark usłyszał go po raz pierwszy od wielu lat. Jeszcze jeden dźwięk z młodości, nie mniej przerażający teraz niż wówczas.

- Uwaga, Omen, wchodzimy, Wąż wchodzi. Potwierdź.

- Omen, tu Szóstka, przerwać ogień, przerwać ogień! - Kanonada z linii drzew ustała.

- Wąż: Wchodź!

- Jazda! - Clark zdawał sobie sprawę, że prowadzenie ludzi tylko z pistoletem w ręce to czysta głupota, ale był tu dowódcą, a dobrzy dowódcy idą na czele. Dwieście metrów do budynku pokonali w ciągu trzydziestu sekund.

- Drzwi! - krzyknął Clark do Vega, który strzałem z AK wybił zawiasy i kopniakiem wyrwał drzwi z ramy. Clark niskim szczupakiem rzucił się do środka i wykonał obrót, uderzając o podłogę. Zobaczył w pokoju jednego mężczyznę, który wystrzelił z AK, ale strzał poszedł za wysoko. Clark położył go jednym strzałem w twarz i poprawił, kiedy mężczyzna już leżał na podłodze. Do przyległego pokoju prowadziło przejście bez drzwi. Dał znak Chavezowi, który wrzucił tam natychmiast granat łzawiący.

Poczekali, aż wybuchnie, i obaj rzucili się do drugiego pokoju, też nisko, przy samej podłodze.

W pokoju było trzech mężczyzn. Jeden, z pistoletem w ręce, postąpił krok ku nim.

Clark i Chavez trafili go w pierś i głowę. Drugi uzbrojony mężczyzna klęczał przy oknie i próbował się obrócić, ale nie dał rady i upadł na bok. Chavez w mgnieniu oka znalazł się przy nim i rąbnął go kolbą w czoło. Clark tymczasem rzucił się ku trzeciemu i z całej siły

uderzył nim o ścianę. Teraz wkroczyli Vega i Leon, w półprzysiadzie podchodząc do ostatnich drzwi. Trzeci pokój był pusty.

- Dom czysty! - krzyknął Vega. - O rany, kto...

- Chodź! - Clark wyprowadził swoją ofiarę na zewnątrz. Za nim wyszedł osłaniany przez Leona Chavez ze swoim łupem. Vega nie palił się do wyjścia. Dowiedzieli się, dlaczego, dopiero kiedy wszyscy już znaleźli się na zewnątrz.

Clark natychmiast chwycił radio.

- Cezar, tu Wąż. Mamy ich. Spieprzamy stąd.

- Leon! - zawołał Vega. - Popatrz.

- Tony - powiedział sierżant.

Tony z drużyny Bandera był jedynym oprócz nich żołnierzem, który ocalał po bitwie o Wzgórze Ninja. Leon podszedł do wciąż przytomnego Escobedo.

- Ty skurwysynu! Powieszę cię za jaja! - wrzasnął, wymachując karabinem.

- Przestań! - przywołał go do porządku Clark. Nie odniosło to prawie żadnego skutku; pomógł dopiero obezwładniający cios. - Jesteś żołnierzem, do cholery. Zachowuj się jak żołnierz! Zanieście z Vegą kolegę do helikoptera, już!

Drużyna Omen wyszła na otwarty teren. Kilku ludzi z ochrony kartelu jakimś cudem przeżyło. To

niedociągnięcie skorygowano natychmiast pojedynczymi strzałami z karabinów. Kapitan zebrał żołnierzy i odliczył ich.

- Dobra robota - pochwalił go Clark. - Wszyscy są?

- Tak jest!

- Dobra. Szykujcie się dojazdy.

Pave Low nadleciał tym razem od zachodu i znów nie dotknął ziemi. - Jak za dawnych lat, pomyślał Clark. Helikopter, który siadał na ziemi, mógł trafić na minę. Mało prawdopodobne tutaj, ale PJ nie dożył męskiego wieku i stopnia pułkownika, bawiąc się w rachunek prawdopodobieństwa. Clark chwycił Escobedo za ramię - zdążył już na tyle mu się przyjrzeć, żeby go zidentyfikować - i wepchnął go na rampę śmigłowca.

Tam czekał na nich jeden z członków załogi, który odliczył wszystkich pasażerów i zanim Clark zdążył porządnie usiąść ze swoim podopiecznym, MH-53 J wznosił się już w powietrze i kierował na północ. Kazał jednemu z żołnierzy pilnować Escobedo, a sam poszedł do przodu.

Jezus Maria, pomyślał Ryan. Naliczył sześć ciał, a przecież widział tylko te, które znajdowały się w pobliżu helikoptera. Jack wyłączył napęd miniguna i odprężył się, tym razem naprawdę. Doszedł właśnie do wniosku, że odprężenie to uczucie względne. Już lepsza jazda z tyłu

pieprzonego helikoptera niż strzelanina na ziemi. Niesamowite. Poczul czyjąś dłoń na ramieniu.

- Wzięliśmy Corteza i Escobedo, żywcem! - krzyczał Clark.

- Escobedo? Co, u diabła, on tam...

- Narzekasz?

- Ale co my z nim zrobimy, do cholery? - zapytał Jack.

- Chyba nie mogłem go tak po prostu zostawić tam, co?

- Tylko co...

- Jak chcesz, to mogę udzielić mu bezpłatnej lekcji latania. - Clark wskazał na lewą rampę. - Jeżeli się nauczy, zanim rąbnie o ziemię, tym lepiej dla niego...

- Nie, tylko nie to, kurwa, nie jesteśmy mordercami! Clark spojrzał na niego z uśmiechem.

- Ten minigun koło pana doktora nie służy chyba do prowadzenia negocjacji.

- Dobra, chłopcy - zabrzmiał przez interkom głos PJ, nim rozmowa potoczyła się dalej.

- Jeszcze jeden przystanek i koniec na dzisiaj.

Rozdział 29

UZUPEŁNIENIA

Zaczął się od ostrzeżenia prezydenta. Admirał Cutter nie miał zwyczaju sprawdzać, czyjego rozkazy zostały wykonane. W jego marynarskiej karierze albo ty wydawałeś rozkazy, a inni je wykonywali, albo inni wydawali je tobie, a ty je wykonywałeś.

Wykręcił numer do Agencji, połączył się z Ritterem i chcąc nie chcąc, zadał mu całkiem zbędne, a przez to obraźliwe, pytanie. Cutter zdawał sobie sprawę, że już dostatecznie upokorzył faceta i dalsze znęcanie się nad nim nie ma sensu... ale co się stanie, jeżeli prezydent miał rację? Lepiej dmuchać na zimne. Ritter zareagował w niepokojący sposób. W jego głosie, wbrew oczekiwaniom admirała, nie było śladu irytacji. Odpowiedział tonem pierwszego lepszego rządowego biurokraty, twierdząc że, owszem, rozkazy są wykonywane. Ritter był wprawdzie chłodnym, wyrachowanym graczem, nawet tacy jednak potrafią tłumić emocje tylko do pewnych granic wytrzymałości; Cutter nie wątpił, że do tej granicy ZDO nie tylko doszedł, ale ją przekroczył. Dość na tym, że Ritter powinien być wściekły, a nie był.

Coś tu nie gra. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego nakazał sobie spokój.

Chyba rzeczywiście nie gra. Może Ritter grał z nim w „kamienną twarz”. Może nawet sam przejrzał na oczy i przekonał się, że to najrozsądniejsze wyjście z sytuacji i pogodził się z losem. Bądź co bądź, Ritter nie gardził stanowiskiem zastępcy dyrektora do spraw operacji. Była to wszak jego miska ryżu, jak mawiano w kołach rządowych.

Nawet najważniejsi dostojnicy w rządzie byli wrażliwi na takie rzeczy. Nawet im trudno byłoby pogodzić się z utratą gabinetu, sekretarki i kierowcy, a już najbardziej tytułu desygnującego ich na ważne osoby, mimo nędznych zarobków. Jak w tym czy innym filmie, wyjść z rządu to wkroczyć w realny świat, a w realnym świecie wymagano, aby realne wyniki pokrywały się ze sprawozdaniami i ocenami wywiadu.

Ilu zostawało w rządzie dla ciepłej posady, przywilejów i izolacji od tego realnego świata? Było ich więcej, jak sądził Cutter, niż tych, którzy uważali się za uczciwych przedstawicieli społeczeństwa.

Lecz po chwili zastanowienia, Cutter doszedł do wniosku, że nawet jeśli tak mogło być, to przecież pewności nie ma i dalsze dochodzenie nie zawadzi. Sam więc wybrał

numer do Hurlburt Field i kazał się połączyć z pierwszym dywizjonem operacji specjalnych.

- Muszę porozmawiać z pułkownikiem Johnsem.

- Pana pułkownika nie ma w bazie i nie można się z nim w tej chwili skontaktować.

- Muszę wiedzieć, gdzie jest.

- Niestety, miejsce jego pobytu nie jest mi znane.

- Co to znaczy, nie jest panu znane, kapitanie?

Prawdziwy oficer dyżurny dywizjonu skończył już zmianę i obowiązki jego przejął na wieczór jeden z pilotów helikoptera.

- To znaczy, że nie wiem, gdzie jest - odparł kapitan. Zamierzał dać bardziej ciętą odpowiedź na tak idiotyczne pytanie, ale rozmowa odbywała się na bezpiecznej linii i diabeł wiedział, z kim ma do czynienia.

- A kto wie?

- Nie mam pojęcia, ale postaram się dowiedzieć.

Czyżby popieprzyło im się coś z hierarchią służbową? - zadał sobie pytanie Cutter. A jeżeli nie?

- Czy wszystkie MC-130 są na miejscu, kapitanie? - zapytał Cutter.

- Trzy sztuki gdzieś odleciały, proszę pana. Miejsce ich pobytu objęte jest tajemnicą służbową... bo, widzi pan, to, gdzie w danej chwili znajdują się nasze samoloty, prawie zawsze stanowi tajemnicę. Mając poza tym ten huragan na karku, szykujemy się do przebazowania większości naszych maszyn, gdyby przypadkiem przywiało go w naszą stronę.

Cutter mógł zażądać informacji natychmiast, ale musiałby wówczas przedstawić się, a przecież i tak rozmawiał z jakimś dwudziestokilkuletnim gówniarzem, który mógł

powiedzieć „nie”, bo nikt nie kazał mu postąpić inaczej, i który wiedział, że i tak nie zostanie poważnie ukarany za to, że nie podjął inicjatywy i nie postąpił wbrew rozkazom bezpośrednich przełożonych, tym bardziej przez telefon, bezpieczny czy nie.

Żądaniem takim zwróciłby również na coś uwagę w niewłaściwy sposób...

- No, dobrze - rzekł na koniec Cutter i odłożył słuchawkę. Następnie zadzwonił do Andrews.

Pierwsze informacje o kłopotach nadeszły od Larsona, którego beech krążył nad SL

drużyny Rysa. Juardo, walcząc wciąż z bólem w zranionej nodze, z okna kabiny obserwował teren przez gogle na podczerwień.

- Stary, widzę na ziemi jakieś ciężarówki, tam, na trzeciej godzinie. Będzie ich z piętnaście.

- O, wspaniale - rzucił Larson i włączył mikrofon.

- Pazur, tu Oko, odbiór.

- Oko, tu Pazur - odpowiedział Combat Talon.

- Mamy tu chyba ruch na ziemi, sześć kilometrów na południowy wschód od Rysy.

Powtarzam, mamy na ziemi ciężarówki. Nie widać na razie ludzi. Radzę ostrzec Rysę i Cezara przed możliwością kontaktu.

- Rozumiem, przekażę.

- Chryste, żeby tylko się dziś nie spieszyli - powiedział Larson przez interkom. -

Zejdziemy trochę, żeby się przyjrzeć.

- Jasne, stary.

Larson wypuścił klapy i zredukował prędkość do granic możliwości. Panował prawie zupełny mrok, a latanie nisko nad górami w nocy nie należało do jego ulubionych rozrywek. Juardo wyęczał wzrok, ale nie mógł niczego zobaczyć przez gęstwinę drzew.

- Nic nie widzę.

- Ciekawe, jak długo stoją tam te ciężarówki...

W dole, może pięćset metrów poniżej wierzchołka góry, pojawił się jaskrawy błysk. Po chwili było ich już więcej - drobne, jasne kropki jak robaczki świętojańskie. Larson złożył następny meldunek.

- Pazur, tu Oko. Mamy chyba wymianę ognia poniżej SL Rysy.

- Rozumiem.

- Rozumiem - odparł PJ na ostrzeżenie MC-130. - Dowódca samolotu do załogi: Mamy prawdopodobnie wymianę ognia przy następnej SL. Zapowiada się gorąca ewakuacja. - W tym momencie coś się zmieniło. Śmigłowiec nieco wyrównał lot i zwolnił. - Buck, co się dzieje?

- O rany - Jęknął mechanik pokładowy. - Chyba mamy wyciek na P3. Może nieszczelna sprężarka, może wysiadł zawór, w drugim silniku. Tracę obroty na Nf i trochę na Nseni panie pułkowniku. T5 nieco wzrasta. -Trzy metry nad głową mechanika urwała się sprężyna zaworu. Wydostawało się wtedy powietrze, które powinno w zamkniętym obiegu powracać do turbiny. To z kolei zmniejszyło jej moc; ubytek sprężonego powietrza powodował również wzrost temperatury na wylocie silnika, czyli T5. Johns i Willis widzieli to wszystko na wskaźnikach kontrolnych, woleli jednak usłyszeć fachową ocenę sierżanta Zimmera. Silniki należały do niego.

- Opisz mi wszystko dokładnie, Buck - rozkazał Johns.

- Straciliśmy dwadzieścia sześć procent mocy na dwójce. Nie da się tego naprawić.

Puścił zawór, ale nie powinno się już pogorszyć. Temperatura na wylocie powinna się ustabilizować

niedużej dopuszczalnego maksimum... może. Nie jest tak źle, PJ.

Będę robił, co się da.

- Dobrze - warknął pilot.

Nie miał powodów do radości. Wszystko szło im dobrze tej nocy, za dobrze. Jak większość doświadczonych w walce weteranów, Johns był podejrzliwy. Z niepokojem rozważał już problem mocy i obciążenia maszyny. Musiał wznieść się ponad te zaszranie góry, żeby uzupełnić paliwo i wrócić do Panamy...

Ale najpierw trzeba było ewakuować ludzi.

- Podaj czas.

- Cztery minuty - odparł kapitan Willis. - Będzie można już coś zobaczyć za tym grzbietem. Zaczyna dawać nam w kość.

- Tak, widzę. - Johns spojrział na przyrządy. Jedyńka osiągnęła już sto cztery procent mocy znamionowej. Dwójka nieco przekraczała siedemdziesiąt trzy procent. Skoro musieli, mimo awarii, wykonać następną część misji, trzeba było machnąć na to ręką.

PJ przestawił autopilota na wyższy pułap. Coraz trudniej będzie pokonywać wierzchołki gór z większym ładunkiem i mniejszą mocą silników.

- Tłuką się na całego - powiedział Johns minutę później. System noktowizyjny pokazywał mu wzmożony ruch na ziemi. Johns włączył nadajnik. - Rysa, tu Cezar, odbiór. - Cisza.

- Rysa, tu Cezar, odbiór. - Udało się dopiero za czwartym razem.

- Cezar, tu Rysa, jesteśmy pod ostrzałem wroga.

- Potwierdzam. Widzę, co się dzieje, synu. Oceniam waszą pozycję na trzysta metrów poniżej SL. Idźcie pod górę, będziemy was osłaniać. Powtarzam, będziemy was osłaniać.

- Jesteśmy w bliskim kontakcie z nieprzyjacielem, Cezar.

- Uciekajcie do SL. Powtarzam, uciekajcie do SL, osłaniamy was -powiedział

spokojnie PJ. - Wiem, co robić, chłopcze. Byłem tu już nieraz..., pomyślał - Przerwać kontakt, już!

- Tak jest. Rysa, tu Szóstka, odwrót do SL. Powtarzam, odwrót do SL, natychmiast! -

PJ przełączył się na interkom.

- Buck, grzejemy. Strzelcy na stanowiska, w SL jest gorąco. Na ziemi są nasi.

Powtarzam: pamiętajcie, że na ziemi są nasi. Uważać mi z tymi pieprzonymi minigunami!

Johns setki razy wyobrażał sobie, co by było, gdyby miał takie чудо w Laosie. Pave Low dźwigał przeszło sześćset kilogramów tytanowego opancerzenia, pokrywającego silniki, zbiorniki paliwa i przekładnie. Pilotów chronił nieco mniej skuteczny kevlar.

Reszta maszyny miała się znacznie gorzej - każdy dzieciak przedziurawiłby aluminiowe poszycie kadłuba śrubokrętem - ale na to już nie było rady. Krążył nad SL na wysokości trzystu metrów, lecąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, żeby zbadać sytuację. Sytuacja nie wyglądała najlepiej.

- Nie podoba mi się to - powiedział mu przez interkom Zimmer. Sierżant Bean przy tylnym karabinie maszynowym żywił takie same

obawy, ale nic nie mówił. Ryan, który niczego nie widział na kolejnych lądowiskach, także trzymał głowę na kłódkę.

- Ruszyli się, Buck.

- Na to wygląda.

- Dobra, schodzę w dół spiralą. Załoga, potwierdzić: podchodzimy bliżej do celu.

Możecie odpowiadać na ogień skierowany na nas, ale w żadnym innym wypadku, dopóki nie wydam rozkazu. Chcę usłyszeć potwierdzenie.

- Zimmer, potwierdzam.

- Bean, potwierdzam.

- Ryan, potwierdzam.

I tak gównie widzę, trudno więc, żebym strzelał, mruknął do siebie.

Było gorzej, niż na to wyglądało. Najemnicy kartelu postanowili zaatakować pierwszą SL z niespodziewanego kierunku, pech chciał, że od strony awaryjnego punktu ewakuacyjnego wybranego przez Ryse,

a drużyna nie miała czasu przygotować pełnego planu obronnego. Na domiar złego, niektórzy z napastników przetrwali bitwę z Nożem i paru rzeczy się nauczyli, na przykład tego, że szybkie natarcie nie zawsze wynika z braku ostrożności, a niekiedy jest najroztropniejszym wyjściem. Wiedzieli także o śmigłowcu, lecz niewiele. Nigdy dotąd nie widzieli wyposażonych helikopterów. Dlatego nadlatujący śmigłowiec ratowniczy nie przestraszył ich. Gdyby znali jego uzbrojenie, już byłoby po walce. O

przebiegu walki jak zwykle przesądzały: dobre posunięcia i błędy, wiedza i ignorancja.

Rysa pośpiesznie wycofywała się, zostawiając za sobą podłożone naprędcy miny-pułapki, ale tak jak przedtem, straty nie tylko nie odstraszały wroga, lecz jeszcze bardziej zagrzewały go do walki, a kombatanci spod Wzgórza Ninja szybko się uczyli.

Rozdzielili się teraz na trzy oddzielne grupy i rozpoczęli okrążenie położonej na wierzchołku wzniesienia SL.

- Mam stroboskop w podczerwieni - powiedział Willis.

- Rysa, tu Cezar, potwierdź waszą SL.

- Cezar, Rysa, widzicie sygnał?

- Tak. Schodzimy. Zbierz ludzi na otwartym terenie. Powtarzam, niech wszyscy przejdą na widoczne miejsce.

- Niesiemy trzech zabitych. Robimy, co się da.

- Macie trzydzieści sekund - powiedział PJ.

- Będziemy gotowi.

Tak jak zesłłym razem, strzelcy słyszeli jedynie część rozmowy, po czym skierowane do nich instrukcje:

- Rozkaz dla załogi. Kazałem naszym wyjść na otwartą przestrzeń. Jak tylko się ich policzy, macie spryskać cały teren. Wszystkim poza nimi przywalić z grubej rury.

Ryan, to znaczy, że masz grzać, ile wlezie, jasne?

- Jasne - odpowiedział Jack.

- Piętnaście sekund. Tylko patrzcie dobrze.

Helikopter pojawił się jak grom z jasnego nieba. Nikt nie wiedział, skąd się wziął. Pave Low lądował stromą spiralą, musiał jednak przelecieć również nad oddziałami wroga.

Sześciu najemników usłyszało hałas maszyny i ujrzało czarną masę przesuwaną się na tle chmur. W jednej chwili wycelowali karabiny w niebo i nacisnęli spusty. Pociski kaliber 7,62 mm przeszywały podłogę helikoptera z charakterystycznym dźwiękiem przypominającym bicie gradu o blaszany dach, po którym wszyscy od razu poznali, co się dzieje. Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, rozwiął je krzyk bólu. Ktoś dostał.

- PJ, jesteśmy pod ostrzałem - zameldował przez interkom Zimmer, wymierzając jednocześnie z obrotowego karabinu krótką serię. Znów kadłub rozdzwonił się od trafiających weń pocisków. Smuga ognia obwieściła wszem i wobec, czym i gdzie jest Pave Low, prowokując następne strzały.

- O, Boże! - Kule posypały się na kuloodporne oszklenie kabiny pilotów. Nie przeszły na wylot, ale pozostawiły widoczne ślady, a uderzenia iskrzyły się jak świetliki. Johns instynktownie odbił w prawo, by uciec przed gradem kul. Odsłonił w ten sposób lewą stronę maszyny.

Ryan przeraził się jak nigdy w życiu. Wydawało mu się, że tam na dole widzi sto, dwieście, tysiąc błysków z luf wycelowanych prosto w niego. W pierwszej chwili chciał odskoczyć, ale wiedział, że najbezpieczniej jest za ponad pięćsetkilogramową podstawą miniguna. Pomiędzy obracającymi się lufami wypatrzył, miejsce największego skupienia błysków i nacisnął spust.

Miał wrażenie, że trzyma w rękach młot pneumatyczny i słyszy, jak jakiś olbrzym rozdziera ogromny płócienny żagiel na strzepy. Z luf buchnął strumień ognia, długi na dwa metry i szeroki na metr, tak jasny, że Ryan ledwie widział cokolwiek, ale nie sposób było przeoczyć zwartego walca pocisków smugowych, który wszedł prosto w rozbłyskujące jeszcze na ziemi ogniki. Ale już nie na długo. Przerzucił się z celu na cel, w czym pomagały mu zwroty helikoptera i potężne drgania miniguna. Linia ognia przez kilka sekund wiła się w ciemnościach. Gdy wreszcie zdjął kciuki ze spustu, błyski z luf na dole już ustały.

Skurwysyny, powiedział do siebie, tak zaskoczony, że przez moment zapomniał o niebezpieczeństwie. Strzelano do nich nie tylko z jednego miejsca. Ryan namierzył inny cel i wziął się do roboty. Tym razem poprzestał na krótkich seriach po kilkaset naboju naraz. Po chwili helikopter wykonał zwrot i cele zniknęły mu z oczu.

W kabine pilotów Willis i Johns sprawdzili przyrządy. Byli szczerze zdziwieni, nie stwierdziwszy żadnych poważniejszych uszkodzeń. Urządzenia kontroli lotu, również opancerzone, silniki, napęd i zbiorniki paliwa były odporne na ogień broni strzeleckiej.

Przynajmniej miały być.

- Mamy tu z tyłu kilku rannych - zameldował Zimmer. - Załatwmy sprawę jak najszybciej.

- Dobra, Buck. Rozumiem. - PJ nawrócił i zaczął schodzić w lewą stronę. - Rysa, tu Cezar, spróbujemy jeszcze raz. - Nawet w jego głosie nie było już tego lodowatego spokoju. Metody walki nie zmieniły się tak bardzo, ale on się postarzał.

- Wróg nas okrąża. Rusz pan dupę! Wszyscy są na miejscu. Wszyscy na miejscu.

- Dwadzieścia sekund, synu. - Do załogi: - Uwaga, schodzimy. Dwadzieścia sekund.

Helikopter stanął i obracał się w powietrzu, przerwawszy raptem płynny, majestatyczny lot. Johns miał nadzieję, że ci, którzy go widzieli, nie byli na to przygotowani. Otworzył przepustnicę do maksimum i zanurkował ku SL. Dwieście metrów nad ziemią Johns poderwał nos do góry i szarpnął dźwignią skoku okresowego, by gwałtownie zwolnić. Manewr ten miał opanowany do perfekcji. Pave Low wytracił pęd dokładnie w odpowiednim miejscu... i silnie uderzył o ziemię z powodu zmniejszonej mocy drugiego silnika. Johns skurczył się odruchowo w chwili uderzenia, spodziewając się na półświadomie, że eksploduje pod nim mina, ale nic się nie stało, więc zostawił helikopter na miejscu.

Zdawało się, że każda chwila trwa całą wieczność. Umysły i ciała napompowane adrenaliną mają własne poczucie czasu, zdolne powstrzymać tykanie zegarków. Ryan miał wrażenie, że widzi kątem oka obracające się osobne łopaty wirnika. Chciał

spojrzeć do tyłu, chciał zobaczyć, czy drużyna weszła już na pokład, ale odpowiedzialny był wyłącznie za stanowisko strzelca przy lewych drzwiach. Pojął w mig, że nie płacą mu za niewykorzystaną amunicję. Upewniwszy się, że nie ma przed sobą swoich, z impetem nacisnął spust i przeczesał linię drzew szerokim łukiem, mniej więcej pół metra nad ziemią. Po drugiej stronie Zimmer robił to samo.

Clark wyglądał przez rampę. Obok przy minigunie stał Bean, ale nie mógł strzelać. Z

tej strony bowiem podchodzili żołnierze Rysy. Sądząc po ruchach nóg, musieli biec, lecz wyglądało to jak na zwolnionym filmie. Zza drzew padły pierwsze strzały.

Ryan nie posiadał się ze zdumienia, że ktoś jeszcze mógł przeżyć w miejscu, które ostrzelał z miniguna; a jednak. Dostrzegł iskrę na burcie i wiedział, że strzelają do niego, ale nie uchylił się. Nie było gdzie się schować, a poza tym zdawał sobie sprawę, że kadłub maszyny w większym stopniu narażony jest na ostrzał. W jednej chwili zorientował się, skąd dochodzą strzały, skierował tam lufy i wypalił następną serię.

Wydawało się, że strumień pocisków zachybotał śmigłowcem. Płomienie wylotowe wywierciły dziurę w tumanie pyłu wzniesanym przez wirnik, ale wciąż na linii drzew pojawiały się błyski strzałów.

Clark słyszał krzyki w środku i na zewnątrz kadłuba, tłumione niskim skowytom obrotowych karabinów. Czuł uderzenia kul o bok helikoptera, a już po chwili zobaczył, jak dwóch żołnierzy upadło tuż przy wirniku ogonowym, gdy tymczasem inni wskakiwali na pokład.

- Cholera! - Skoczył jak oparzony i wybiegł przez rampę wraz z Chavezem i Vegą.

Clark podniósł jednego z leżących żołnierzy i przeciągnął

go pod rampę. Chavez i Vega zajęli się drugim. Pod ich stopami wznosiły się obłoczki kurzu od kul. Vega upadł dwa metry od rampy, nie wypuszczając rannego. Clark rzucił swojego żołnierza w wyciągnięte ręce jego towarzyszy i pośpieszył na pomoc.

Najpierw podniósł żołnierza Rysy. Kiedy się odwrócił, Chavez już taszczył Vegę.

Clark chwycił Oso pod ramiona, pociągnął do tyłu i uderzył plecami o rampę. Ding szybko złapał kolegę za nogi i przerzucił go z całej siły na pokład. Przeskoczył

natychmiast przez leżącego, by chwycić się podstawy miniguna i w ostatniej chwili znaleźć się na pokładzie unoszącego się już w powietrze helikoptera. Kule wlatywały prosto przez opuszczoną rampę do środka, ale Bean miał nareszcie wolne pole ostrzału i przeczesał ogniem cały teren.

Wznosili się powoli. Helikopter dźwigał teraz kilka ton nowego obciążenia, pracował

w rozrzedzonym powietrzu na wysokości tysiąca pięciuset metrów nad poziomem morza i to ze zmniejszoną przez awarię mocą. PJ przeklinał ociężałą maszynę. Pave Low z trudem uniósł się kilka metrów, wciąż pod ogniem nieprzyjaciela.

Napastnicy nie posiadali się ze złości, że oto wymykają im się ofiary, i podjęli ostatnią próbę, by temu zapobiec. Helikopter traktowali jako koszmarną zjawę, która odebrała im zwycięstwo, a ich towarzyszom życie, i postanowili nie puścić tego płazem. Ponad sto karabinów mierzyło w śmigłowiec kołyszący się tuż nad ziemią.

Ryan czuł, jak przeleciało obok niego kilka pocisków - wpadały przez drzwi z jego strony, leciały Bóg wie gdzie, wymierzone w niego i jego karabin maszynowy. Strach mu przeszedł. Błyski z luf były dla niego po prostu punktami, na które należało kierować ogień. Wybierał pojedynczy cel i naciskał spust, po czym natychmiast przesuwał lufy na następny. Bezpieczeństwo, jeśli w ogóle można było mówić tu o bezpieczeństwie, polegało na wyeliminowaniu zagrożenia. Nie było gdzie uciekać, a wiedział przecież, że możliwość odpowiadania ogniem na atak to luksus, o którym większość pasażerów helikoptera marzyła, a który przypadł w udziale tylko trzem. Nie mógł sprawić im zawodu. Przesuwał miniguna z lewej strony na prawą i z powrotem, w przeciągu sekund, które wydawały się trwać całe godziny; miał wrażenie, że słyszy każdy osobny pocisk wypluwany z luf. Głowa odskoczyła mu w tył, gdy coś uderzyło w hełm, ale natychmiast wyprostował się i przycisnął spust, przeczesując ciągłym ogniem cały teren, dopóki nie zorientował się, że musi unieść ręce i opuścić lufy, bo cele mu uciekały. Przez krótką, absurdalną chwilę zdawało mu się, że to wróg, a nie on się oddala. Raptem było już po wszystkim. Jeszcze przez chwilę nie mógł oderwać rąk od

broni. Próbował cofnąć się o krok, ale zaciśnięte ręce kurczowo trzymały się uchwytów, dopóki nie zmusił ich całym wysiłkiem woli, by wreszcie opadły bezwładnie. Ryan potrząsnął głową, żeby przyjść do siebie. Był ogłuszony hałasem strzelaniny i dopiero po kilku sekundach doszły do niego wyższe rejestry okrzyków rannych żołnierzy. Rozejrzał się wokół i spostrzegł, że całe wnętrze samolotu wypełnia kwaśny dym z obrotowych karabinów, rzednący wraz z napływem świeżego powietrza, gdy śmigłowiec nabierał szybkości. Oczy miał wciąż porażone od oślepiającego płomienia wylotowego, a nogi ugiwały się pod nim od nagłego zmęczenia, jakie ogarnia człowieka po gwałtownym wysiłku. Chciał usiąść, przespać się i obudzić w innym miejscu.

Ktoś krzyknął tuż obok niego. Za ledwie metr od Ryana leżał na plecach Zimmer i zwijał się z bólu, zaciskając ręce na piersi. Jack podszedł zobaczyć, co się stało.

Zimmer dostał trzy kule w pierś. Ustami i nosem wydychał różowe obłoczki krwi.

Jedna z kul zmiażdżyła mu prawe ramię, ale poważniejszym zagrożeniem były rany w płucach. Ryan wiedział od razu, że Zimmer wykrwawi się na śmierć na jego oczach.

Czy był na miejscu lekarz? Czy mógłby mu pomóc?

- Tu Ryan - powiedział przez interkom. - Sierżant Zimmer jest ranny. Poważnie ranny.

- Buck! - zareagował natychmiast PJ. - Buck, wszystko w porządku? Zimmer próbował odpowiedzieć, ale nie mógł. Strzały uszkodziły linię jego interkomu. Krzyknął coś, czego Ryan nie zrozumiał. Jack obrócił się i zaczął

wrzeszczeć najgłośniej jak mógł do reszty pasażerów, do ludzi, którzy albo całkowicie zobojętnieli, albo nie wiedzieli, co się dzieje.

- Lekarza! Sanitariusza! - dodał, nie wiedząc, jakiego określenia używa się w piechocie. Clark usłyszał krzyki i ruszył w jego stronę.

- Nie bój się, Zimmer, wyłizesz się z tego - pocieszał rannego Jack. Te rzeczy zapamiętał z krótkiej służby w korpusie marines. Najważniejsze, dać powód do życia. -

Załatamy dziury i wszystko będzie dobrze. Trzymaj się, wiem, że to boli, ale wyjdiesz z tego.

Clark był po chwili na miejscu. Zdjął mechanikowi pokładowemu kamizelkę antyodłamkową, nie zważając na rozdzierający ból przestrzelonego ramienia. Dla Clarka był to również powrót do minionych lat i ledwie zapamiętanych wydarzeń.

Jakoś udało mu się zapomnieć, jak przerażające i okrutne bywają takie chwile. Mimo że szybciej niż inni potrafił się pozbierać, koszmar bezsilności pod zmasowanym ogniem nieprzyjaciela i tragicznych skutków nierównej walki niemal go obezwładnił.

Teraz też był bezsilny. Wystarczył mu rzut oka na umiejscowienie ran. Clark spojrzał na Ryana i pokręcił głową.

- Moje dzieci! - krzyknął Zimmer. Sierżant miał powód do życia, ale, niestety, sam powód teraz nie wystarczał.

- Opowiedz mi o swoich dzieciach - powiedział Ryan. - Mów.

- Siedmioro... Mam siedmioro dzieci... Muszę... Nie mogę umrzeć! Dzieci... Dzieci mnie potrzebują.

- Spokojnie, sierżancie, wyciągniemy cię z tego. Wyłizesz się jak nic - pocieszał go Ryan ze łzami w oczach ze wstydu, że musi okłamywać umierającego człowieka.

- Potrzebują mnie! - Głos miał coraz słabszy, w miarę jak krew napływała do gardła i płuc.

Ryan spojrzał na Clarka z nadzieją, że da się jeszcze coś powiedzieć, dodać cierpiącemu otuchy, cokolwiek. Clark w milczeniu patrzył Ryanowi w twarz. Jack przeniósł wzrok z powrotem na Zimmera i wziął go za rękę, tę zdrową.

- Siedmioro dzieci? - spytał.

- Potrzebują mnie - Jęknął Zimmer, wiedząc już, że ich więcej nie zobaczy, nie zobaczy, jak rosną, zakładają rodziny i mają własne dzieci, nie pomoże im, nie doradzi.

Nie sprostał ojcowskiemu obowiązkom.

- Powiem ci coś o twoich dzieciach, Zimmer - rzekł wreszcie Ryan.

- Co? - Wyglądało, jakby nie rozumiał. Spojrzał na Ryana w oczekiwaniu rozwiązania zasadniczej kwestii życia. Jack temu nie mógł sprostać, powiedział mu jednak, co mógł.

- Wszystkie pójdą na studia, stary. - Ryan ścisnął mu rękę z całej siły. - Przysięgam, Zimmer, wszystkie twoje dzieciaki pójdą na studia. Już moja w tym głowa. Przysięgam Bogu, stary, dotrzymam słowa.

Sierżant chciał coś powiedzieć, lecz zanim Ryan zdołał pochylić się, twarz Zimmera zastygła w bezruchu. Ryan włączył interkom.

- Zimmer nie żyje, panie pułkowniku.

- Rozumiem. - Ryan poczuł się urażony tym lodowatym potwierdzeniem. Nie słyszał

bowiem myśli Johnsa: O, Boże, Boże, co ja teraz powiem Carol i dzieciom?

Ryan trzymał głowę Zimmera na kolanach. Powoli wysunął się i złożył głowę zmarłego na metalowej podłodze śmigłowca. Clark objął potężnymi ramionami młodszego mężczyznę.

- Dotrzymam przyrzeczenia - powiedział mu zdławionym głosem Jack. - Nie myśl sobie, że to jakieś cholerne kłamstwo. Nie, naprawdę to zrobię!

- Wiem. On też uwierzył. Naprawdę.

- Jesteś pewien? - Nie mógł powstrzymać łez i ledwie zdołał powtórzyć najważniejsze pytanie w jego życiu: - Naprawdę jesteś pewien?

- Zrozumiał, co mu powiedziałaś, Jack, i uwierzył ci. Zrobiłaś wspaniałą rzecz, doktoro. - Clark objął Ryana, tak jak mężczyźni obejmują tylko swoje żony, dzieci i tych, z którymi otarli się o śmierć.

Z przodu, na prawym fotelu, pułkownik Johns odłożył swój żal do zamkniętego schowka, który później otworzy i w pełni przeżyje tę bolesną stratę. Ale teraz musiał

skończyć misję. Buck na pewno by go zrozumiał.

Odrzutowiec Cuttera wylądował w Hurlburt Field długo po zapadnięciu zmroku. Na admirala czekał samochód, który odwiózł go do dowództwa dywizjonu. Pojawił się tu bez żadnego uprzedzenia i wkroczył do kancelarii jak zły duch.

- Kto tu dowodzi, do jasnej cholery?

Sierżant przy biurku rozpoznał od razu doradcę prezydenta. Widział go w telewizji.

- Tymi drzwiami, panie admirale.

Cutter zastał drzemiącego w obrotowym fotelu kapitana. Młody oficer dość niezdarnie stanął na baczność.

- Chcę wiedzieć, gdzie jest pułkownik Johns - oświadczył mu spokojnie wiceadmirał

Cutter.

- Przykro mi, ale tej informacji nie wolno mi...

- Wiecie, z kim macie do czynienia?

- Tak jest, panie admirale.

- I chcecie mi odmówić odpowiedzi, kapitanie?

- Panie admirale, mam rozkazy.

- Kapitanie, moje rozkazy są tu ważniejsze. Proszę w tej chwili odpowiedzieć mi na pytanie. - Cutter podniósł głos o kilka decybeli.

- Nie wiem, panie admirale, gdzie...

- To znajdźcie mi kogoś, kto wie, i przyprowadźcie tutaj, ale już! Kapitan był już tak przerażony, że poszedł po linii najmniejszego

oporu. Zadzwoił do bazy po majora, który stawił się w kancelarii po niespełna ośmiu minutach.

- Co to za rozróżba, do cholery? - spytał major w drzwiach.

- Majorze, ja tu rozrabiam - odpowiedział mu Cutter. - Chcę wiedzieć, gdzie jest pułkownik Johns. Jest w końcu dowódcą tej pieprzonej jednostki, tak?

- Tak jest!

Co się tu, kurwa, dzieje...? - pomyślał.

- Czy chcecie mi wmówić, że nikt z was tu nie wie, gdzie jest wasz dowódca? - Cutter pozwolił sobie na ostrzejszy wypad, zbity z tropu obojętnością oficerów na jego autorytet i rozkazy.

- Panie admirale, w operacjach specjalnych...

- Czy to jest pieprzony obóz harcerski, czy wojsko? - krzyczał admirał.

- Panie admirale, melduję posłusznie, że wojsko - odparł major. - Pułkownik Johns jest w terenie. Dostałem rozkaz, żeby nie udzielać informacji na temat jego miejsca pobytu ani rodzaju misji osobom nieupoważnionym, a pana na liście nie ma, panie admirale.

Takie mam rozkazy.

Cutter nie posiadał się ze zdumienia i jeszcze bardziej się wściekł.

- Czy wiecie, kim jestem i dla kogo pracuję? - Od przeszło dziesięciu lat nie zdarzyło mu się, żeby młodszy oficer tak go traktował. Tamtemu złamał karierę jak zapalkę.

- Panie admirale, mam wyraźne rozkazy na piśmie. Prezydenta też nie ma na liście -

rzekł kapitan, stojąc na baczność. Baran pieprzony, będzie mi tu nazywał Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych obozem harcerskim! Mam cię w dupie razem z konikiem, na którym zajechałeś do swojego gabinetu... wielki panie admirale - zdawała się wyraźnie mówić jego twarz.

Cutter musiał spuścić z tonu, odzyskać panowanie nad sobą. Z tym bezczelnym gówniarzem załatwi się przy innej okazji. Teraz jednak potrzebował informacji. Zaczął

więc od przeprosin, jak mężczyzna z mężczyzną.

- Proszę mi wybaczyć, majorze. To niezwykle ważna sprawa i, niestety, nie mogę panu wytłumaczyć nawet, dlaczego jest ważna ani wszystkich problemów z nią związanych.

Dość, że powiem, iż jest to kwestia życia i śmierci. Pański dowódca, pułkownik Johns, może znajdować się w miejscu, gdzie niezbędna mu będzie pomoc. Niewykluczone, że cała operacja się posypała i stąd potrzebna mi pilnie informacja o miejscu jego pobytu.

Pańska lojalność wobec dowódcy i przykładowa dyscyplina służbowa są doprawdy podziwu godne, niemniej od oficerów oczekuje się również samodzielnych decyzji w nieprzewidzianych okolicznościach. Taką decyzję musi pan właśnie teraz podjąć, panie majorze. Powtarzam, że potrzebna mi ta informacja, i to pilnie.

Rozsądna perswazja okazała się skuteczniejsza niż zaciętrzewienie.

- Panie admirale, pułkownik Johns poleciał z powrotem do Panamy razem z jednym z naszych MC-130. Nie wiem, po co i nie wiem, co tam robią. To normalne w operacjach specjalnych. Praktycznie wszystko, co tu robimy, rozdziela się na zamknięte obiegi informacji, a obiegi te są szczelniejsze niż gdzie indziej.

Powiedziałem panu dosłownie wszystko, co wiem.

- Gdzie dokładnie?

- Howard, panie admirale.

- Dobrze. Jak można się z nimi skontaktować?

- Nie ma z nimi łączności przez naszą sieć. Tego już nie wiem. Mogą się z nami kontaktować, ale my z nimi nie.

- To głupota - oponował Cutter.

- Niezupełnie, panie admirale. Postępujemy tak na co dzień. Ze wsparciem MC-130

stanowią samowystarczalny zespół. Na pokładzie MC leci personel techniczny wraz z całym zapleczem operacji, dopóki więc nie dadzą nam znać, że czegoś potrzebują, są całkowicie niezależni od tej bazy. W razie nagłych wypadków rodzinnych możemy kontaktować się z nimi przez kancelarię operacji w bazie Howard, ale, jak dotąd, nie zaszła taka potrzeba. Jeśli pan admirał sobie życzy, spróbuję otworzyć panu ten kanał, ale to może potrwać kilka godzin.

- Dziękuję bardzo. Przecież mogę tam być za kilka godzin.

- Zapowiada się gwałtowna zmiana pogody w tym regionie, panie admirale - ostrzegł go major.

- Trudno. - Cutter wyszedł z pokoju i wrócił do samochodu. Jego odrzutowiec zdążył

tymczasem uzupełnić paliwo i dziesięć minut później wystartował do Panamy.

Johns miał teraz łatwiejszy lot, na północny wschód wzdłuż wielkiej doliny andyjskiej, stanowiącej kręgosłup Kolumbii. Leciąco się wprawdzie gładko, ale gnębiły go trzy rzeczy. Po pierwsze, z powodu mniejszej mocy nie zdoła przelecieć nad górami po zachodniej stronie przy obecnym obciążeniu maszyny. Po drugie, będzie musiał

uzupełnić paliwo za niecałą godzinę. Po trzecie wreszcie, pogoda przed nim pogarszała się z minuty na minutę.

- Cezar, tu Pazur, odbiór.

- Zgłasza się Cezar.

- Kiedy tankujemy, panie pułkowniku? - spytała kapitan Montaigne.

- Wolałbym zbliżyć się najpierw do wybrzeża i może jeśli spalimy więcej, polecę dalej na zachód i tam zatankujemy.

- Dobrze, tylko że, niestety, zaczynamy wyłapywać emisje radarowe i ktoś może nas zauważyć. Są to cywilne radary kontroli obszaru, ale mój samolot jest na tyle duży, że nie da się go zupełnie ukryć.

Cholera! Johnsowi wyleciało to jakoś z głowy.

- Ciężko będzie - powiedział PJ Willisowi.

- Wiem. Za prawie dwadzieścia minut powinniśmy dolecieć do przełęczy i tam się przebić przez góry.

- Masz wysokość?

- Na mapie zaznaczyli dwa tysiące siedemset metrów. Dalej obniża się trochę, ale zwiększa się ryzyko wykrycia przez radary... no i pogoda. Sam nie wiem, pułkowniku.

- Sprawdźmy, na jaką wysokość możemy się wznieść - powiedział Johns. Przez ostatnie dwie godziny oszczędzał silniki. Ale nie teraz. Musiał

sprawdzić, co się da zrobić. PJ przerzucił dźwignię sterowania skoku na pełną moc, obserwując jednocześnie wskaźnik drugiego silnika. Wskazówka nie doszła tym razem nawet do siedemdziesięciu procent.

- Wyciek z P3 pogarsza się - zauważył Willis.

- Widzę.

Starali się wyciągnąć maksymalny skok z wirnika, ale nie wiedzieli jeszcze, że wirnik też został uszkodzony i nie dawał takiej siły nośnej jak powinien. Pave Low z trudem wznosił się w górę, lecz dobrnąwszy do dwóch tysięcy sześciuset metrów, zatrzymał

się i począł opadać; walczył dzielnie o każdy metr, ale stopniowo tracił wysokość.

- Może jak spalimy więcej paliwa... - rzekł z nadzieją Willis.

- Na to nie licz. - PJ włączył radio. - Pazur, tu Cezar, nie damy rady przelecieć przez góry.

- To my przylecimy do was.

- Nie, za wcześnie. Musimy tankować bliżej wybrzeża.

- Cezar, tu Oko. Słyszę, że macie kłopoty. Jakiego paliwa potrzebujecie do tego potwora? - zapytał Larson. Zgodnie z planem, od czasu ewakuacji trzymał się blisko helikoptera.

- W tej chwili mógłbym lecieć nawet na moczu, synu.

- Doleciecie do wybrzeża?

- Tak. Będzie ciężko, ale powinniśmy się wyrobić.

- Mogę wam podać namiary lotniska sto sześćdziesiąt kilometrów od wybrzeża, gdzie jest dość paliwa lotniczego. Mam też na pokładzie ranego, który krwawi i potrzebuje pomocy lekarskiej.

Johns i Willis spojrzeli po sobie.

- Gdzie to jest?

- Z taką prędkością, jak teraz, doleci się za czterdzieści minut. El Pindo. Małe lądowisko dla prywatnych samolotów. O tej porze powinno być puste. Mają tam czterdzieści tysięcy litrów zmagazynowanych pod ziemią. Wiem, bo sam wpadałem tam nieraz.

- Wysokość?

- Poniżej pięciuset. Zdrowe, gęste powietrze dla waszego wirnika, pułkownika.

- Nie ma co się zastanawiać - powiedział Willis.

- Pazur, słyszeliście? - zapytał Johns.

- Tak jest.

- Spróbujemy. Odbij na zachód. Trzymaj się w takiej odległości, żebyśmy utrzymali kontakt radiowy, ale możecie spokojnie unikać radarów.

- Dobrze. Odbijam na zachód - odpowiedziała Montaigne.

Z tyłu Ryan wciąż siedział przy swoim minigunie. Na pokładzie helikoptera było ośmiu rannych, ale już zajmowało się nimi dwóch sanitariuszy i pomoc Ryana okazała się zbędna. Podszedł do niego Clark.

- No i co zrobimy z Cortezem i Escobedo?

- Corteza chcemy zatrzymać, a z drugim, diabli wiedzą, co robić. Jak się wytłumaczymy z jego porwania?

- Czyżbyś myślał, że postawimy go przed sądem? - zapytał Clark przy akompaniamencie szumu silników i wiatru.

- Każde inne rozwiązanie to morderstwo z premedytacją. Pamiętaj, że jest teraz więźniem, a zabicie więźnia to morderstwo z zimną krwią.

Prawnik się znalazł, pomyślał Clark, ale wiedział, że Ryan ma rację. Zabijanie więźniów było niezgodne z kodeksem.

- Mamy go odwiedzić?

- Wtedy sypnie się operacja - powiedział Ryan. Zdawał sobie sprawę, że mówi trochę za głośno na tak poufny temat. Powinien był teraz siedzieć cicho, w skupieniu, ale otoczenie i natłok wydarzeń nie

pozwalają mu pozbierać myśli. - O, Boże, nie wiem, co robić.

- Gdzie lecimy... to znaczy, gdzie leci ten helikopter?

- Nie wiem. - Ryan włączył interkom, żeby zapytać pilota. Zaskoczyła go odpowiedź, którą natychmiast powtórzył Clarkowi.

- Dobra, ja to załatwię. Mam pomysł. Wezmę go stąd po wylądowaniu. Z Larsonem razem wyczyścimy tę sprawę raz, a dobrze. Chyba wiem, co z nim zrobimy.

- Ale...

- Nie chcesz chyba wiedzieć, co?

- Nie możesz go zamordować! - nalegał Jack.

- Ja go nie zamorduję - rzekł Clark.

Ryan nie wiedział, jak ma rozumieć tę odpowiedź. Ale ważne, że znalazło się jakieś wyjście, i Jack zgodził się.

Larson pierwszy dotarł na miejsce. Lotnisko było słabo oświetlone. Pod niskim sklepieniem chmur migotało tylko kilka światełek, ale udało mu się bezpiecznie wylądować i z zapalonymi światłami pozycyjnymi naprowadzić helikopter pod stację paliw. Ledwie zdążył się zatrzymać, gdy około pięćdziesiąt metrów dalej siadł Pave Low.

Larson nie mógł wyjść z podziwu. W bladoniebieskim świetle widział liczne dziury w kadłubie helikoptera. Wybiegł doń mężczyzna w kombinezonie lotniczym. Larson przywitał się z nim i zaprowadził do węża pompy, długiego, o średnicy około trzech centymetrów, używanego do obsługi prywatnych samolotów. Zasilanie pomp było wyłączone, ale Larson wiedział, gdzie znajduje się włącznik i przestrzelił zamek drzwiczek. Robił to pierwszy raz w życiu: jak na filmach, pięć pocisków wyrwało mosiężny mechanizm z drewnianej ramy. Minutę później sierżant Bean włożył już końcówkę węża do zewnętrznego zbiornika. Wtedy właśnie pojawił się Clark z Escobedo. Jeden z żołnierzy trzymał karabin przy głowie jeńca, a tymczasem oficerowie CIA naradzali się.

- Wracamy - oznajmił pilotowi Clark.

- Co? - Larson odwrócił się i zobaczył, jak dwóch żołnierzy przenosi Juarda z beecha do helikoptera.

- Odwozimy naszego przyjaciela do domu w Medellin. Najpierw jednak trzeba zrobić dwie rzeczy...

- Wspaniale.

Larson wrócił do swojego samolotu, wspiął się na skrzydło i otworzył korki zbiorników paliwa. Musiał czekać piętnaście minut, helikopter bowiem gasił zazwyczaj pragnienie, korzystając z przewodów o większej średnicy. Gdy mechanik wyjął

końcówkę z wlewu zbiornika, wirnik zaczął się znów obracać. Wkrótce śmigłowiec wzleciał w mrok. Na północy niebo przebiła błyskawica i Larson wcale nie narzekał, że nie będzie musiał lecieć w tamtym kierunku. Pozwolił Clarkowi zatankować paliwo, a sam poszedł do budynku zadzwonić. Najśmieszniejsze, że jeszcze na tym interesie zarobi, choć w tym, co stało się w ciągu ostatniego miesiąca, nie było zaiste nic śmiesznego.

- Dobra - powiedział Johns przez interkom. - To już ostatni przystanek i lecimy wreszcie do domciu.

- Temperatura silników nie najlepsza - zauważył Willis.

Silniki typu T-64-GE-7 skonstruowano do spalania lotniczego paliwa, a nie bardziej lotnej i niebezpiecznej benzyny wysokooktanowej używanej do awionetek. Gwarancja producenta stwierdza, że po trzydziestu godzinach używania takiego paliwa komory spalania mogą wybuchnąć, ale nie przewiduje wadliwych sprężyn zaworów ani strat mocy P3.

- Chyba będziemy zaraz mieli okazję je ochłodzić - rzekł pułkownik, wskazując głową na widniejące przed nimi czarne chmury.

- Niepoprawny optymista z pana, pułkowniku - powiedział Willis najbardziej lodowatym tonem, na jaki go było stać. Przecież nie obawiał się byle jakiej burzy -

między nimi a Panamą szalał huragan. Już lepiej, gdy do człowieka strzelają. W walce z huraganem nie da się odpowiedzieć ogniem.

- Pazur, tu Cezar, odbiór - zgłosił się Johns przez radio.

- Słyszę, Cezar.

- Jak z pogodą przed wami?

- Brzydko, panie pułkowniku. Radzę odbić na zachód, znaleźć przejście nad górami i dolecieć od strony Pacyfiku.

Willis spojrział na wskaźniki nawigacyjne.

- Pazur, właśnie przybraliśmy na wadze około dwóch tysięcy kilogramów. Chyba jednak musimy lecieć inną drogą.

- Huragan przesuwa się na zachód z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, a wasz kurs na Panamę ściąga was na prawy dolny kwadrant.

- Cała droga pod wiatr - powiedział do siebie PJ.

- Podaj mi konkretną liczbę.

- Maksymalną prędkość wiatru w porywach ocenia się na sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Wspaniale! - zauważył Willis. - Mamy małe szansę na Panamę. Cholernie małe.

Johns skinął głową. Jakby sam wiatr nie wystarczył, ulewa na dodatek znacznie zmniejszy sprawność silników. Zasięg lotu może spaść do połowy przeciętnego... o tankowaniu podczas burzy nie ma mowy... najlepiej byłoby znaleźć miejsce do lądowania i przeczekać, na to też jednak nie mógł sobie pozwolić... Johns jeszcze raz włączył radio.

- Pazur, tu Cezar. Lecimy na Pierwsze Awaryjne.

- Czyś ty człowieku na łeb upadł? - odparła Francie Montaigne.

- Nie podoba mi się to - rzekł Willis.

- Trudno. Możesz złożyć stosowny raport, jak będzie trzeba. To tylko sto mil od wybrzeża, a jeżeli nam nie wyjdzie, wykorzystamy wiatr jak procę. Pazur, sprawdź

pozycję Pierwszego Awaryjnego.

Facet zwariował.

- Połączcie się z Pierwszym Awaryjnym. Muszę mieć ich pozycję, i to już -

powiedziała Montaigne do swoich łącznościowców.

Murrayowi nie było zbyt wesoło. Choć Wegener powiedział mu, że Adela nie jest wcale najgroźniejszym huraganem, ale to, co zobaczył, przekroczyło jego wszelkie oczekiwania. Fale dochodziły do dwunastu metrów i choć „Panache” w porcie prezentował się jak biała, stalowa opoka, teraz miotał się niczym dziecinna łódeczka w wannie. Agent FBI przyłożył sobie okłady ze skopolaminy za uchem, by przetrwać ataki choroby morskiej, ale walkę tę w tej chwili przegrywał. A Wegener siedział sobie na swoim fotelu na mostku, jak gdyby nigdy nic, i palił fajkę niczym stary wilk morski, gdy tymczasem Murray trzymał się kurczowo uchwyty nad głową, czując się jak na rozhuśtanym trapezie.

Nie znajdowali się na zaplanowanej pozycji. Wegener wyjaśnił gościowi, że mogą znajdować się tylko w jednym miejscu, które wprawdzie zmienia położenie, lecz przecież nie mieli wyboru. Murray dziękował Bogu, że fale nie są już tak wysokie jak przedtem. Dogramolił się do drzwi i spojrzął przez okno na potężną kolumnę chmur.

- „Panache”, tu Pazur, odbiór - odezwało się radio. Wegener wstał i sięgnął po mikrofon.

- Pazur, tu „Panache”. Mam słaby sygnał, ale słyszę, odbiór.

- Podaj pozycję, odbiór.

Wegener podał położenie pilotowi, który mówił jakby dziewczęcym głosem. Chryste Panie, wszędzie już ich pełno.

- Cezar leci do was.
- Rozumiem. Powiedzcie Cezarowi, że warunki pod kreską. Powtarzam, pogoda bardzo zła.
- Rozumiem. Przekażę, czekajcie na wiadomość. Ten sam głos odezwał się dwie minuty później.
- „Panache”, tu Pazur. Cezar będzie próbował. Jeżeli nie da rady, będzie wracał do Panamy. Czy da się to zrobić. Odbiór.
- Tak, spróbować zawsze można. Podaj czas, odbiór.
- Około sześćdziesięciu minut, sześć-zero minut.
- Rozumiem, będziemy gotowi. Podawaj bieżące informacje. Bez odbioru. Panno Walters, przejmuję stery. Niech bosmani Oreza i Riley przyjdą zaraz na mostek.
- Kapitan przy sterach - powiedziała chorąży Walters.

Była zawiedziona. Oto przeżywała najwspanialszą przygodę młodości w samym środku cholernego tropikalnego sztormu. Nawet nie cierpiała na chorobę morską w przeciwieństwie do wielu członków załogi. Dlaczego więc stary nie pozwolił jej zostać przy tych zasranych sterach?

- Lewy ster - rozkazał Wegener. - Zmień kurs na trzy-trzy-pięć. Dwie trzecie naprzód.
- Lewy ster, jasne, zmieniam kurs na trzy-trzy-pięć. - Sternik przekręcił koło, następnie chwycił dźwignię przyspieszenia. - Dwie trzecie, panie kapitanie.
- Bardzo dobrze. Jak się czujesz, Obrecki? - zapytał kapitan.
- Młyn, jak w wesołym miasteczku, ale ciekaw jestem, kiedy skończy się ta przejażdżka. - Chłopak uśmiechnął się, nie odrywając oczu od kompasu.
- Nieźle sobie radzisz. Tylko powiedz mi, kiedy się zmęczysz.
- Tak jest, panie kapitanie.

Minutę później pojawili się Oreza i Riley.

- Co jest grane? - zapytał ten pierwszy.
- Mamy lądowanie za trzydzieści minut - oznajmił kapitan.

- O kurwa! - wyraził swą opinię Riley. - Przepraszam, Red, ale... niech to!

- No, dobrze, skoro mamy już z głowy wytworny wstęp, chciałbym właśnie wam powierzyć to zadanie - rzekł szorstko Wegener.

Riley przyjął wymówkę z zawodową godnością.

- Proszę wybaczyć, kapitanie, dam z siebie wszystko. Damy pierwszego na wieżę?

Wegener skinął głową. Pierwszy oficer najlepiej nadawał się do kierowania podchodzeniem śmigłowca.

- Przyrowadź go tu. - Riley odszedł i Wegener zwrócił się do swojego nawigatora: -

Dniówka, chciałbym, żebyś ty był przy kółku, jak ustawimy się pod wiatr, czekając na lądowanie śmigłowca.

- Panie kapitanie, to się nie może udać.

- Dlatego właśnie ty staniesz przy kółku. Zmień Obreckiego za pół godziny i wyczuj łajbę. Trzeba mu się ładnie podłożyć.

- Chryste! - Oreza wyrżał przez okno. - Zrobię, co się da, Red.

Johns leciał nisko, zaledwie sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Wyłączył autopilota, bardziej ufając w tych warunkach własnemu doświadczeniu i instynktowi. Obsługę silników zostawił Willisowi, a sam skupił się bez reszty na przyrządach nawigacyjnych.

Zaczęło się całkiem zniecka. Jeszcze przed chwilą lecieli w czystym powietrzu, a nim się zdążyli obejrzeć, o kadłub śmigłowca bębniły strugi deszczu.

- Nie jest tak źle - Johns skłamał bezwstydnie przez interkom.

- A jeszcze nam za to płacą - dodał ironicznie Willis.

PJ spojrział na wskaźniki nawigacyjne. Wiatr dał teraz z północnego zachodu, zmniejszając nieco prędkość helikoptera, ale przecież niebawem zmieni kierunek. Przerzucił wzrok ze wskaźnika prędkości względem powietrza na inny, sprzężony z radarem dopplerowskim, wskaźnik prędkości względem ziemi.

Satelitarne oraz inercyjne systemy nawigacyjne informowały go poprzez monitor komputera, gdzie się znajduje i czerwoną kropką znaczyły miejsce, gdzie chce się znaleźć. Na innym monitorze ukazywały się dane systemu radarowego, który sondował idącą przed nimi burzę i czerwonym kolorem oznaczał najgorsze regiony.

Będzie się starał ich unikać, jednak i te żółte, przez które musiał przelecieć, nie wróżyły nic dobrego.

- Cholera! - krzyknął Willis.

Wpadli w dziurę powietrzną. Obaj piloci gwałtownie przestawili drążek skoku na maksymalny kąt natarcia łopat. Ich spojrzenia utkwily w wariometrze. Przez chwilę spychało ich w dół z prędkością przekraczającą trzysta metrów na minutę, niecałych trzydzieści sekund życia dla znajdującego się na

wysokości stu pięćdziesięciu metrów śmigłowca. Na szczęście tego rodzaju porywy są zjawiskami czysto miejscowymi.

Helikopter poderwał się z pięćdziesięciu metrów i mozolnie odzyskiwał pułap. PJ

doszedł do wniosku, że bezpieczniejszą wysokością przelotu w tych warunkach będzie dwieście metrów. Podsumował krótko:

- O mały włos.

Willis chrząknął wymownie.

Z tyłu przypinano pasażerów pasami do podłogi. Ryan już sam zdążył to zrobić i trzymał się kurczowo podstawy karabinu maszynowego, jakby to coś pomagało. Mógł

patrzeć przez otwarte drzwi... za którymi nie było nic, prócz masy szarego mroku raz po raz iluminowanego błyskawicą. Helikopter to podskakiwał, to opadał, miotany masami pędzącego powietrza, jak dziecięcy latawiec, tylko że ważył prawie dwadzieścia ton. Lecz Ryan nic na to nie mógł poradzić. Jego los był w rękach innych ludzi i ani jego wiedza, ani pomoc na nic by się nie zdały. Nawet po zwymiotowaniu nie poczuł się lepiej. Chciał tylko, żeby już było po wszystkim i jedynie głos rozsądku podszeptował mu, że wcale nie jest mu wszystko jedno, jak to się skończy.

Wciąż trzęsło niemiłosiernie, ale wiatry się zmieniły, gdy maszyna przebijała się przez burzę. Zaczynały wiać od północnego wschodu, ale przemieszczały się ze znaczną prędkością w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i wkrótce już napierały na lewą stronę śmigłowca, co zwiększyło im prędkość wobec ziemi.

- Oto cudowny sposób na oszczędność paliwa - zauważył Johns.

- Sto kilometrów - odparł Willis.

- Cezar, tu Pazur, odbiór.

- Słyszę, Pazur, jesteśmy sto kilometrów od Pierwszego Awaryjnego i trochę tu trzęsie... - Trochę trzęsie, o rany, pomyślała kapitan Montaigne, czując się jak w wagoniku diabelskiego młyna, a przecież leciała przez obszar lepszej pogody, dwieście kilometrów dalej - ...poza tym wszystko w porządku - zameldował Johns. - Jeśli nie uda nam się wylądować, spróbujemy przeskoczyć z wiatrem na drugą stronę i dolecieć do wybrzeża Panamy. - Johns skrzywił się, gdy mocniejszy deszcz zaczął bić w szyby kabiny. Trochę wody dostało się w tym samym czasie do obu silników.

- Zgasł! Wysiadła nam dwójka.

- Spróbuj ją odpalić - powiedział Johns, starając się zachować spokój. Obniżył nos i wytracił wysokość, by zyskać na prędkości i uciec przed ulewą. To też podobno było zjawisko o lokalnym zasięgu. Podobno.

- Postaram się - wymamrotał Willis.

- Jedyńka mi też siada - oznajmił Johns. Otworzył przepustnicę do maksimum i odzyskał nieco mocy. Dwusilnikowa maszyna pracowała teraz na jednym silniku i to na osiemdziesiąt procent mocy. - Trzeba uruchomić dwójkę, kapitanie, bo „dołujemy”

trzydzieści metrów na minutę.

- Staram się - powtórzył Willis. Deszcz trochę zelżał i dwójka włączyła się, ale dawała tylko czterdzieści procent. - Osiemdziesiąt kilometrów. Jesteśmy zdani na Pierwsze Awaryjne.

- Dobrze i to, bo marny ze mnie pływak. - PJ miał spocone ręce. Czuł, jak ślizgają mu się w uszytych na miarę rękawicach. Czas na komunikat: - Uwaga, cel za jakieś piętnaście minut - poinformował załogę. - Powtarzam, piętnaście minut.

Riley dobrał sobie dziesięciu doświadczonych marynarzy. Każdy z nich miał owiniętą wokół pasa linę ubezpieczającą i Riley osobiście sprawdzał po kolei wszystkie węzły i kłamry. Choć mieli na sobie, co do jednego, kamizelki ratunkowe, to żeby odnaleźć człowieka za burtą w tych warunkach, należałoby spodziewać się cudu od wyjątkowo miłosiernego Boga, który i tak miał tej nocy masę roboty, pomyślał Riley.

Przygotowano też łańcuchy mocujące i zapas pięciocentymetrowych lin, przytwierdzonych gdzie się dało do pokładu. Ustawił załogę lądowiska pod zwróconą ku rufie ścianą nadbudówki.

- Jesteśmy gotowi - zameldował przez telefon pierwszemu oficerowi w wieży kontrolnej, po czym zwrócił się do swoich ludzi: - Jeśli mi któryś wypadnie za burtę, to sam, kurwa, skoczę do wody i uduszę!

Lecieli w wirach wiatru. Według monitora nawigacyjnego, znajdowali się teraz na północ od celu, lecąc z prędkością bez mała trzystu kilometrów na godzinę. Trzęsło, jak nigdy dotąd. Raz ściągnęło ich w dół ku czarnym falom i Johnswi cudem udało się zatrzymać trzydzieści metrów nad wodą. Doszło już do tego, że i pilotowi zachciało się wymiotować. W życiu nie latał w takich warunkach, a rzeczywistość okazała się gorsza, niż przewidywały podręczniki.

- Ile jeszcze?

- Już powinniśmy być na miejscu! - powiedział Willis. - Prosto na południe.

- Dobra. - Johns pchnął drążek w lewo.

Nagła zmiana kierunku lotu względem wiatru groziła przewrotką, ale udało mu się utrzymać panowanie nad maszyną i wejść bokiem na nowy kurs. Dwie minuty później wlecieli już w cichą strefę.

- „Panache”, tu Cezar, gdzie jesteście, do diabła?

- Zapalić wszystkie światła, już! - krzyknął Wegener, usłyszawszy wezwanie. Po chwili kuter

wyglądał jak oświetlona choinka.

- Niech mnie diabli, jeśli nie wyglądacie ślicznie! - odezwał się po chwili ten sam głos.

Adela była małym, słabym huraganem, który przeobrażał się teraz na powrót w tropikalną burzę z powodu zmiennej lokalnej pogody, co sprawiło, że wiatr nie wiał z taką siłą, jak się spodziewano. Jednakże oko cyklonu było również małe i chimeryczne, a właśnie oka teraz potrzebowali.

Panuje błędne przekonanie, że oko huraganu jest spokojne. Nic podobnego, choć po straszliwych wiatrach hulających po wewnętrznej stronie ściany chmur, bryza o prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę nie wydaje się tu obserwatorowi niczym szczególnym. Wiatr jest tu jednak zmienny i nieobliczalny, a fale w oku, wprawdzie nie tak wysokie, jak w obszarze samego sztormu, są jednak bardziej kapryśne. Wegener zatrzymał okręt niecałą milę od północno-zachodniego krańca oka, którego średnica wynosiła zaledwie cztery mile. Sztorm szedł z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Mieli więc piętnaście minut na przyjęcie helikoptera. Jediną bodaj sprzyjającą okolicznością była dobra widzialność. Nie padał deszcz i załoga śmigłowca mogła obserwować fale i dostosować do nich manewry.

W wieży kontrolnej pierwszy oficer włożył słuchawki i połączył się z helikopterem.

- Cezar, tu „Panache”, będę was naprowadzał z wieży kontrolnej. Wiatr trzydzieści kilometrów na godzinę, zmienny. Statek huśta się

w pionie i ma duże przechyły boczne na około pięciometrowych falach. Zostało nam piętnaście minut, nie ma więc takiego pośpiechu. -To ostatnie zdanie miało jedynie dodać otuchy załodze helikoptera. Sam zastanawiał się, czy manewr jest wykonalny.

- Kapitanie, kilka węzłów więcej, a będzie mniej kiwało - odezwał się Dniówka przy sterze.

- Nie możemy wypłynąć z oka.

- Wiem, ale brakuje mi sterowności.

Wegener wyszedł na pokład rozejrzeć się. Helikopter był już widoczny; krążył nad nimi z włączonymi, migającymi światłami stroboskopowymi, które pozwalały pilotowi ocenić sytuację. Jeśli coś tu nie wypali, szykuje się niezłe piekło. Dniówka miał rację.

- Dwie trzecie - rozkazał Wegener, wszedłszy z powrotem do środka.

- O, Chryste, to jakiś kajak - wykrztusił zdumiony Willis.

- Żebyśmy tylko nie zaczepili o wiosła. - PJ, zniżając lot, zrobił ostatnie okrążenie i wziął kurs prosto ku rufie kutra. Gdy wyrównał na wysokości trzydziestu metrów, okazało się, że nie ma dobrej stateczności. Brakowało mu mocy i helikopter przechylał

się to na prawo, to na lewo.

- Ustawcie ten cholerny kuter w miejscu raz, a dobrze! - krzyknął nerwowo do mikrofonu.

- Próbujemy - odpowiedział pierwszy oficer. - Wiatr idzie nam na lewą burtę od dziobu. Radzę podlecieć od lewej burty i przez cały czas trzymać się pod kątem do pokładu.

- Tak. Rozumiem, dlaczego. - Johns jeszcze raz ustawił moc i podleciał do kutra.

- Dobra, idziemy! - krzyknął Riley do swoich ludzi. Podzielili się na trzy grupy, po jednej na każdą goleń helikoptera.

Johns zorientował się, że pokład jest za mały na równe lądowanie wszystkimi kołami jednocześnie, ale podchodząc pod kątem, mógł w końcu ustawić koła nad czarną nawierzchnią lądowiska. Podleciał wolno, zrazu o trzydzieści kilometrów na godzinę szybciej niż wynosiła prędkość kutra, po czym zwalniał stopniowo, zbliżając się do pokładu, ale pech chciał, że w ostatniej chwili wiatr zmienił się i obrócił helikopter.

Johns zaklął i poderwał maszynę do góry, by spróbować jeszcze raz.

- Przepraszam - powiedział. - Mamy awarię silnika.

- W porządku, nie ma pośpiechu - odpowiedział pierwszy oficer. PJ rozpoczął manewr od nowa, tysiąc metrów od okrętu. Podejście

tym razem poszło dobrze. Sto metrów przed rufą podniósł nos helikoptera, aby wytracić nadmierną prędkość, następnie wyrównał i gładko podszedł do przodu. Przód siadł dokładnie tam, gdzie Johns chciał, jednak w tej samej chwili pokład przechylił się gwałtownie i śmigłowcem rzuciło na prawą, burtę. PJ odruchowo zwiększył obroty wirnika, by oderwać się od pokładu. Nie powinien był tego robić i wiedział o tym już w chwili, gdy wykonywał manewr.

- Nie idzie mi - powiedział przez radio i rozpoczął kolejne podejście, klnąc w duchu na czym świat stoi.

- Szkoda, że nie ma już czasu na więcej prób - przyznał oficer Straży Przybrzeżnej. -

Było to ładne, gładkie podejście. Tylko kuter nam się brzydko przechylił. Proszę spróbować jeszcze raz tak samo, a wszystko będzie dobrze.

- Dobra, ostatni raz.

Kuter, mimo stabilizatorów, odchyłał się o dwadzieścia stopni w lewo i w prawo, ale Johns wbił wzrok w sam środek lądowiska, jedyny nieruchomy punkt w przestrzeni.

Na tym musi polegać cała sztuka, wmawiał sobie - trzeba wybrać punkt, który się nie rusza. Znowu podniósł nos maszyny, żeby wytracić szybkość i powoli zbliżał się do pokładu. Nad samą nawierzchnią przerzucił wzrok w miejsce, gdzie miały sięść przednie koła i gwałtownie przygasił

obroty. Wrażenie było takie, jakby rozbili się o ziemię, ale ujemny ciąg utrzymał helikopter w miejscu.

Pierwszy poderwał się Riley i rzucił się pod przednią goleń. W ślad za nim podążył

drugi bosmanmat z łańcuchami. Chief wypatrzył odpowiednie miejsce i zaczepił

łańcuchy, po czym wyciągnął rękę z zaciśniętą pięścią. Na ten sygnał dwóch marynarzy przy drugim końcu łańcuchów napięło je mocno, a Riley wyskoczył spod kadłuba i pobiegł od lewej burty zając się resztą. Trwało to kilka minut. Pave Low przesunął się dwa razy, zanim go porządnie zabezpieczyli. Łańcuchy wzmocnili pięciocentymetrowymi linami. Gdy Riley wreszcie skończył robotę, do ruszenia śmigłowca trzeba by chyba użyć materiałów wybuchowych. Marynarze weszli do kabiny prawą rampą i wyprowadzali pasażerów na pokład. Riley naliczył piętnastu ludzi. Według zapowiedzi spodziewał się więcej. Po chwili ujrzał ciała i wynoszących je z trudem mężczyzn.

W kabinie pilotów Johns i Willis wygasili silniki.

- Pazur, Cezar wylądował. Wracaj do bazy. - Johns zdjął hełm za wcześnie, by usłyszeć odpowiedź, ale Willis poczekał na potwierdzenie.

- Dobra. Bez odbioru.

Johns rozejrzał się wokół. Nie czuł się teraz jak pilot. Śmigłowiec wylądował i nic już mu nie groziło. Przyszedł czas, by wyjść i zrobić coś innego. Nie mógł wyjść swoimi drzwiami, nie ryzykując upadku na pokład, poza tym... zapomniał przecież o Bucku Zimmerze. Dopiero teraz mógł o nim pomyśleć. Cóż, pocieszył się, Buck zrozumiałby.

Pułkownik przeszedł obok tablicy przyrządów mechanika pokładowego. Ryan wciąż tkwił na swoim miejscu, w kombinezonie poplamionym wymiocinami. Johns ukląkł u boku swojego sierżanta. Służyli razem przeszło dwadzieścia lat.

- Powiedział mi, że ma siedmioro dzieci - odezwał się Ryan. Johns był zbyt zmęczony, by okazać wzruszenie. Mówił jak wiekowy starzec znużony życiem, zmęczony lataniem, zmęczony wszystkim.

- Taak, śliczne jak z obrazka. Jego żona jest z Laosu. Carol, tak ma na imię. O, Boże, Buck... dlaczego właśnie teraz?

- Pomogę - zaproponował Jack.

Johns chwycił ciało pod pachami, Jack podniósł nogi. Musieli poczekać w kolejce.

Najpierw wynoszono rannych, dopiero później zwłoki. Jack spostrzegł, że żołnierze wynoszą swoich kolegów z pomocą sierżanta Beana. Marynarze straży zaoferowali pomoc, lecz oferta została odrzucona - stanowczo, acz uprzejmie, a marynarze rozumieli powody. Ryan i Johns także zrezygnowali z pomocy: pułkownik z racji długoletniej służby z przyjacielem, a oficer CIA z racji

narzuczonego sobie dobrowolnie obowiązku. Riley ze swoimi ludźmi odczekali, aż wszyscy wyjdą i pozbiali bagaże oraz broń. Następnie sami zeszli pod pokład.

Ciała złożono na jakiś czas w przejściu. Ranni zostali ulokowani w mesie załogi. Ryana wraz z oficerami Sił Powietrznych zaprowadzono do mesy oficerskiej. Zastali tam człowieka, który dał temu wszystkiemu początek przed wieloma miesiącami, choć nikt z nich nie miał już nigdy zrozumieć, jak do tego doszło. Jack rozpoznał jeszcze jedną twarz.

- Cześć, Dan.

- Źle? - zapytał agent FBI.

Jack zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

- Mamy Corteza. Chyba jest ranny. Leży w ambulatorium pod eskortą dwóch żołnierzy.

- Czym tak dostałeś? - zapytał Murray. Wskazał na hełm Jacka. Ryan zdjął hełm i spostrzegł odprysk w miejscu, gdzie pocisk 7.62

mm zdarł około centymetra powłoki z włókna szklanego. Jack miał świadomość, że powinien jakoś na to zareagować, ale ta część jego życia została sześćset kilometrów za nim. Usiadł tylko i bez słowa gapił się w pokład. Dwie minuty później Murray przeniósł go do koi i przykrył kocem.

Kapitan Montaigne musiała przez ostatnie trzy kilometry walczyć z silną wichurą, ale była świetnym pilotem, a Lockheed Hercules był świetnym samolotem. Wylądowała twardo, lecz nie najgorzej, i podkołowała za prowadzącym jeepem do hangaru. Czekał

tam na nią mężczyzna w cywilnym ubraniu wraz z kilkoma oficerami. Natychmiast po wyłączeniu maszyny wyszła im na spotkanie. Kazała chwilę poczekać i udała się do toalety, śmiejąc się w duchu mimo zmęczenia, że nie ma w Ameryce mężczyzny, który pod jakimkolwiek pozorem zabroniłby kobiecie pójść do toalety. Jej kombinezon śmierdział, a po fryzurze nie pozostało nawet wspomnienie. Czekali na nią pod samymi drzwiami.

- Pani kapitan, chciałbym wiedzieć, coście robili tej nocy - zapytał cywil, ale Montaigne zorientowała się w mig, że facet nie jest cywilem, choć kutas z pewnością nie zasługiwał na nic więcej. Nie знаła podłoża całej afery, ale tyle wiedziała.

- Właśnie skończyłam bardzo wyczerpującą misję. Jesteśmy wszyscy wykończeni.

- Muszę porozmawiać z całą załogą na temat charakteru tej misji.

- To jest moja załoga, proszę szanownego pana. Jeżeli już koniecznie trzeba o czymś porozmawiać, będzie pan rozmawiał wyłącznie ze mną! - warknęła.

- Co pani robiła? - zapytał stanowczo Cutter. Starał się udawać, że nie ma do czynienia z dziewczyną. Nie wiedział, że ona wcale nie udaje, że nie ma do czynienia z mężczyzną.

- Pułkownik Johns poleciał na ratunek pewnym żołnierzom z operacji specjalnych. -

Obiema rękami zaczęła masować sobie kark. - No i uratował ich, przynajmniej większość, z tego, co wiem.

- Dlaczego więc nie ma go w bazie? Montaigne spojrzała mu prosto w oczy.

- Miał awarię silnika. Nie mógł wznieść się na nasz pułap... nie mógł przelecieć nad górami. Wleciał prosto w sztorm. I już stamtąd nie wyleciał. Czy jeszcze coś chciałby pan wiedzieć? Bo ja chciałabym wziąć prysznic, łyknąć trochę kawy i zacząć myśleć o misji ratunkowej.

- Lotnisko zamknięte - odezwał się dowódca bazy. - Nikt nie wyleci w ciągu najbliższych dziesięciu godzin. Pani kapitan, musi pani odpocząć.

- Słusznie. Panowie wybaczą, ale zajmę się teraz swoją załogą. Za kilka minut podam współrzędne dla misji ratunkowej. Ktoś przecież musi spróbować - dodała.

- Panie generale, chcę... — zaczął Cutter.

- Zostaw tę załogę w spokoju, człowieku - powiedział jednogwiazdkowy generał Sił

Powietrznych, który mógł sobie na to pozwolić, bo i tak odchodził wkrótce na emeryturę.

Larson wylądował na miejskim lotnisku w Medellin, w tym samym mniej więcej czasie, kiedy MC-130 zbliżał się do Panamy. Był to wariacki lot. Z tyłu siedział Clark z lufą pistoletu wciśniętą między żebra skutego Escobedo. W czasie lotu padło wiele obietnic rychłej śmierci pod adresem Clarka, Larsona i jego dziewczyny pracującej w liniach Avianca oraz wielu innych ludzi. Clark znosił te groźby ze stoickim uśmiechem.

- No i co teraz mi zrobisz? Zabijesz mnie od razu? - zapytał Escobedo, gdy podwozie samolotu zatrzasnęło się w otwartej pozycji.

Wreszcie Clark odezwał się poważnie:

- Chciałem ci udzielić lekcji latania ze śmigłowca na ziemię, ale mi nie pozwolili. W

takim razie będziemy musieli cię chyba wypuścić.

Escobedo nie wiedział, jak odpowiedzieć. Jego duma nie bardzo potrafiła pogodzić się z faktem, że nie mieli ochoty go zabić.

- Kazałem Larsonowi uprzedzić twoich towarzyszy o naszym przylocie.

- Larson, ty zgniły zdrajco, myślisz, że ci się uda z tego wyjść cało? Clark wbił pistolet w żebra Escobedo.

- Nie przeszkadza się pilotowi w locie. Gdybym był panem, senor, cieszyłbym się bardziej z powrotu do domu. Zadbaliśmy nawet i o to, żeby przyjechali po pana na lotnisko.

- Kto?

- Pańscy przyjaciele - rzekł Clark, gdy koła uderzyły już o płytę lotniska. Larson włączył rewers, by wyhamować samolot. - Towarzysze z rady nadzorczej.

Wtedy dopiero Escobedo spostrzegł, czym to pachnie.

- Coście im powiedzieli?

- Prawdę - odparł Larson. - Że wyleciał pan z kraju w bardzo dziwnych okolicznościach i przy nader niesprzyjającej pogodzie. A do tego te wszystkie dziwne wydarzenia ostatnich kilku tygodni. Myślałem, że to jakiś zbieg okoliczności...

- Ale ja im powiem...

- Co? - zapytał Clark. - Że ryzykowaliśmy życie, żeby odtransportować pana z powrotem do domciu? Że to wszystko zmyłka? Pewnie, że im pan to powie.

Samolot zatrzymał się, ale silniki nie przerywały pracy. Clark zakneblował wodza, po czym odpiął mu pas bezpieczeństwa i pchnął ku drzwiom. Samochód już czekał. Clark wyszedł, prowadząc go przed sobą z lufą między żebrami.

- Nie jesteś Larsonem — powiedział mężczyzna z pistoletem maszynowym.

- Jestem jego przyjacielem. Larson pilotuje samolot. Oto wasz człowiek. Powinniście mieć coś dla nas, według umowy.

- Nie musicie odlatywać - powiedział człowiek z teczką.

- Facet ma za dużo przyjaciół. Lepiej będzie, jeśli się ulotnimy.

- Jak chcecie - powiedział drugi. - Ale z naszej strony nic wam nie grozi. — Wręczył

Clarkowi teczkę.

- Gracias jefe - podziękował Clark. Uwielbiali wprost, jak się w ten sposób do nich zwracano. Pchnął ku nim Escobedo.

- Nie należy zdradzać przyjaciół—powiedział ten pierwszy, gdy Clark wchodził z powrotem do samolotu. Uwaga skierowana była pod adresem skutego i zakneblowanego kacyka, który szeroko, bardzo szeroko rozwartymi oczami gapił się na wchodzącego na pokład i zatrząskującego drzwi Clarka.

- Spieprzamy, i to szybko.

- Następny przystanek w Wenezueli - rzekł Larson, zwiększając obroty.

- Potem Guantanamo. Wyrobisz się?

- Będę musiał łyknąć trochę kawy, ale tu parzą naprawdę doskonałą. Samolot wzniósł

się w powietrze i Larson tylko pomyślał: O, Boże, jak dobrze, że ten numer mamy już za sobą. Prawda, on miał już wszystko z głowy, ale inni nie.

Rozdział 30

DLA DOMU SŁUŻBY

Kiedy Ryan obudził się, najgorsze mieli już za sobą. Kuter równo sunął na wschód z prędkością dziesięciu węzłów. Ponieważ sztorm przemieszczał się na północny zachód z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, po sześciu godzinach wpłynęli na spokojniejsze wody. Wzięli wówczas kurs na północny wschód, a „Panache” rozwinął

swą największą ekonomiczną prędkość dwudziestu węzłów.

Żołnierzy zakwaterowano razem z rekrutami straży, którzy traktowali ich jak udzielnych władców. Jakimś cudem znalazły się butelki z mocnym trunkiem - zapewne pochodziły z kabiny chiefów, ale nikt nie śmiał pytać - i zostały niezwłocznie opróżnione. Mundury zamieniono im na nowe z magazynu. Poległych umieszczono w chłodni, co zostało przyjęte ze zrozumieniem, jako jedyna możliwość. Było ich pięciu; dwóch, w tym Zimmer, zmarło w trakcie akcji ewakuacyjnej. Na pokładzie znajdowało się też ośmiu rannych, jeden ciężko, ale dwóch sanitariuszy wojskowych i jeden sanitariusz straży zadbało, żeby jego stan się nie pogorszył. Żołnierze przeważnie spali i jedli, a potem znów spali podczas krótkiego rejsu.

Ranny w ramię Cortez siedział w areszcie. Czuwał przy nim Murray. Gdy Ryan się obudził, zszedł na dół z kamerą, ustawił ją na statywie i wysoki urzędnik FBI rozpoczął przesłuchanie. Już wkrótce okazało się, że Cortez nie miał nic wspólnego z morderstwem Emila Jacobsa, co Murray przyjął z jakimś zdziwieniem, lecz uzyskane informacje potwierdzały tę wersję. Komplikacji takiej żaden z nich nie przewidywał, Ryan doszedł jednak do wniosku, że mogą obrócić ją na własną korzyść. Właśnie zaczął wypytywać Corteza o jego doświadczenia w DGI. Kubańczyk przez cały czas chętnie współpracował. Sprzeniewierzył się jednemu protektorowi, łatwo mu więc przyszło uczynić to wobec drugiego, zwłaszcza że Jack obiecał mu, że nie stanie przed sądem, jeśli będzie współpracował. Obietnicę tę miał spełnić co do joty.

Cutter został w Panamie jeszcze jeden dzień. Operacja poszukiwania helikoptera została opóźniona z powodu pogody, nie zdziwił się więc wcale, że niczego nie znaleziono. Sztorm przesunął się dalej na północny zachód i rozwiał się na Jukatanie, kończąc swój żywot serią szkwałów, które kilka dni później spowodowały liczne tornada w Teksasie. Cutter zdążył jednak wcześniej wyjechać. Gdy tylko pogoda się trochę poprawiła, poleciał bezpośrednio do Waszyngtonu, zaledwie kilka godzin po powrocie kapitan Montaigne do bazy Sił Powietrznych Eglin, gdzie załoga przysięgła jej zachowanie tajemnicy po wsze czasy.

Kuter „Panache” po uzyskaniu zgody zawinął do bazy marynarki wojennej w Guantanamo, trzydzieści sześć godzin po wylądowaniu helikoptera na jego pokładzie.

Kapitan Wegener uzasadnił prośbę awarią i przeczekaniem huraganu Adela. Kilka mil przed portem pułkownik Johns włączył silniki helikoptera i poleciał do bazy, gdzie maszynę

natychmiast zamknięto w hangarze. Kuter wpłynął do portu godzinę później z widocznymi uszkodzeniami spowodowanymi przez sztorm; niektóre z nich okazały się całkiem poważne.

Na statek czekali na nabrzeżu Clark z Larsonem. Ich samolot również został ukryty.

Dołączyli do nich Ryan i Murray, a oddział marines wszedł na pokład po Feliksa Corteza. W kilku rozmowach telefonicznych ustalili, co robić dalej. Nie było łatwych rozwiązań, a żadne z nich nie pozostawało całkowicie w zgodzie z prawem. Żołnierzy opatrzone w szpitalu bazy i następnego dnia odtransportowano samolotem do Fort MacDill na Florydzie. Tego samego dnia Clark i Larson odstawili samolot do Waszyngtonu, zatrzymawszy się po drodze na Bahamach, by uzupełnić paliwo.

Maszynę przejęło niewielkie przedsiębiorstwo należące do CIA. Larson poszedł na urlop i zastanawiał się, czy wziąć ślub i założyć rodzinę. Jednego był pewien: odejdzie z Agencji.

Zdarzyło się jeszcze coś, czego nikt się nie spodziewał i co miało na zawsze pozostać tajemnicą dla wszystkich, prócz jednej osoby.

Admirał Cutter przyjechał dwa dni wcześniej i powrócił do zwykłych, codziennych zajęć. Prezydent udał się na serię spotkań przedwyborczych, starając się nadrobić punkty w sondażach, dwa tygodnie przed konwencją. Sprawilo to wyraźną ulgę jego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego. Tak czy owak, doradca doszedł do wniosku, że ma już tego dosyć. Dobrze służył prezydentowi, zrobił to, co należało zrobić, i zasługiwał na nagrodę. Pomyślał, że dowództwo floty byłoby wcale stosowne, ze wskazaniem na naczelnego dowódcę Floty Atlantyku. Wiceadmirałowi Painterowi, obecnemu zastępcy szefa sztabu operacji marynarki wojennej do spraw lotnictwa, oznajmiono już, że może się spodziewać takiej decyzji, lecz ostatnie słowo należało przecież do prezydenta, a Cutter sądził, że może dostać wszystko, na co ma ochotę.

Później, jeśli prezydent wygra wybory, może szefostwo Komitetu Połączonych Sztabów... Było o czym myśleć podczas śniadania, które wreszcie jadł o ludzkiej porze. Zdąży nawet pobiegać po porannej odprawie z oficerem CIA. Dzwonek zadzwonił

o siódmej piętnaście. Cutter sam otworzył drzwi.

- Kim pan jest?

- Pański oficer-sprawozdawca nagle zachorował, panie admirale, i mnie zlecono dziś dyżur — powiedział nieznajomy. Wyglądał na starego, twardego agenta terenowego po czterdziestce.

- Dobra, proszę. - Cutter wprowadził go do gabinetu. Mężczyzna usiadł, zadowolony, że w gabinecie jest telewizor z magnetowidem.

- Świetnie, od czego dziś zaczynamy? - zapytał Cutter, gdy drzwi się zamknęły.

- Guantanamo, panie admirale - odrzekł mężczyzna.

- Cóż się dzieje na Kubie?

- Mam wszystko na taśmie, panie admirale. - Oficer włożył kasetę do magnetowidu i przycisnął klawisz „play”.

- Co to jest...? O, Boże! - Taśma szła przez kilka minut. Wreszcie oficer CIA zatrzymał ją. - No i co z tego? Są to przecież słowa zdrajcy swojej ojczyzny - rzekł

Cutter, odpowiadając na wyczekujący uśmiech gościa.

- Mam jeszcze to. - Uniósł fotografię ich dwóch. - Osobiście pragnąłbym widzieć pana w więzieniu federalnym. Tego chce FBI. Zaaresztują pana jeszcze dzisiaj. Może pan wyobrazić sobie zarzuty. Sprawę prowadzi zastępca wicedyrektora Murray. Chyba właśnie w tej chwili prowadzi rozmowy w prokuraturze federalnej, nie wiem zresztą, jak wygląda dokładnie procedura. Osobiście nic mnie to nie obchodzi.

- Dlaczego więc...?

- Mam fioła na punkcie kina. Też służyłem kiedyś w marynarce. Na filmach w takich sytuacjach zawsze dają facetowi szansę załatwić sprawę samemu... „dla dobra służby”, tak chyba się mówi. Nie próbowałbym uciekać. Śledzi pana cały oddział FBI, jeśli nie zdążył pan jeszcze tego zauważyć. Biorąc pod uwagę, jak się załatwia sprawy w tym mieście - Jak długo wszystko trwa - wątpię, czy spotka się pan z ludźmi z Biura przed dziesiątą czy jedenastą. Jeśli tak, niech Bóg ma pana w opiece. Dożywocie jak w banku. Szkoda tylko, że nie mogą zrobić panu nic gorszego, ale dożywocie w federalnym pudle to też nie zabawa i tylko patrzeć, jak jakiś cwaniak dobierze się panu do tej wypieszczonej dupci, kiedy w pobliżu nie będzie strażników. Też bym to chętnie zobaczył. No, czas na mnie. - Wyjął kasetę z magnetowidu i wsadził ją do teczki wraz z fotografią, której Biuro nie powinno mu było dać - a Ryanowi powiedzieli, że potrzebna mu będzie do identyfikacji Corteza. - Żegnam pana, panie admirale.

- Ale przecież pan...

- Co? Nikomu nie przysięgałem zachowania tajemnicy w tej sprawie. Jakie zresztą tajemnice ujawniłem, admirale? Pan przecież przy tym wszystkim był.

- Pan jest Clark, tak?

- Przepraszam, kto? - powiedział, wychodząc z gabinetu. I już go nie było.

Pół godziny później Pat O'Day zobaczył, jak Cutter w szortach biegnie w stronę George Washington Parkway. Wyjazd prezydenta ma przynajmniej tę dobrą stronę, pomyślał inspektor, że nie trzeba zrywać się z łóżka o wpół do piątej, żeby włączyć się za tym sukinsynem. Przybył na miejsce dopiero czterdzieści minut temu i zabijał czas skłonami i przysiadami. Wreszcie podopieczny się pojawił.

O'Day poczekał, aż Cutter go minie, po czym ruszył za nim i bez trudu utrzymywał równy dystans, bo jednak różnica wieku robiła swoje. Ale okazało się, że to nie jedyny powód...

O'Day biegł za nim kilometr, dwa, w stronę Pentagonu. Cutter wybrał ścieżkę biegową pomiędzy ulicą a rzeką. Może nie czuł się najlepiej. Na zmianę biegł i szedł. Może chce sprawdzić, czy ktoś mu depte po piętach, pomyślał O'Day, ale... Znow zaczął biec.

Dokładnie naprzeciwko północnego parkingu Cutter zbiegł ze ścieżki i skierował się w stronę ulicy, jakby zamierzał przejść przez jezdnię. Inspektor zbliżył się już do niego na odległość niespełna piętnastu metrów. Coś tu nie grało. Nie wiedział, co. Ale...

...tak jakoś dziwnie patrzył na przejeżdżające samochody, jakby wcale nie czekał na lukę, zorientował się zbyt późno O'Day. Od południowej strony nadjeżdżał autobus miejski, skręcił przed chwilą z mostu na Czternastej ulicy i...

- Uwaga! - Ale admirał zignorował ostrzeżenie.

Rozległ się pisk hamulców. Autobus próbował wyminąć mężczyznę i uderzył w inny samochód. Do karambolu dołączyło pięć aut. O'Day podbiegł tylko dlatego, że był policjantem, a policja musi odpowiednio zareagować w takich przypadkach. Wiceadmirał James A. Cutter junior wciąż leżał na ulicy, odrzucony piętnaście metrów od miejsca zdarzenia.

Chciał, żeby to wyglądało na wypadek, pomyślał O'Day, ale to nie był wypadek. Agent nie zwrócił uwagi na mężczyznę w tanim samochodzie, który nadjechał od drugiej strony ulicy i jak wielu innych gapił się na tę scenę, jednak na jego twarzy zamiast przerażenia widać było wyraźną satysfakcję.

Ryan czekał w Białym Domu. Prezydent przerwał podróż z powodu śmierci swojego doradcy, ale wciąż był prezydentem, miał określone obowiązki, a jeżeli ZDW

stwierdził, że musi się z nim zobaczyć, to znaczyło, że sprawa jest poważna. Zdumiał

się, ujrawszy obok Ryana kongresmanów Ala Trenta i Sama Fellowsa, współprzewodniczących specjalnej komisji Izby Reprezentantów do spraw nadzoru wywiadu.

- Wejdźcie - rzekł, zapraszając ich wielkopańskim gestem do Gabinetu Owального. -

Cóż ważnego panów do mnie sprowadza?

- Panie prezydencie, przyszliśmy porozmawiać w sprawie pewnych tajnych operacji, zwłaszcza tej pod kryptonimem „Rewia na Wodzie”.

- O co chodzi? - zapytał prezydent ostrożnie. Ryan wyjaśniał przez minutę lub dwie.

- Ach, to. No cóż. O „Rewii” zostali poinformowani ci dwaj panowie osobiście przez sędziego Moore'a, na podstawie prawa o ryzykownych operacjach.

- Doktor Ryan powiedział nam, że powinniśmy również wiedzieć o kilku innych sprawach, innych operacjach powiązanych z „Rewią” -powiedział

kongresman Fellows.

- Nic o tym nie wiem.

- Wie pan, panie prezydencie - rzekł spokojnie Ryan. - Sam pan wszystko autoryzował. Moim obowiązkiem, według prawa, jest informować Kongres o takich poczynaniach. Zanim jednak to zrobię, uważałem za stosowne powiadomić najpierw pana prezydenta. Poprosiłem tych dwóch kongresmanów, by jako świadkowie mogli potwierdzić, że to uczyniłem.

- Panowie Trent i Fellows, czy mogę panów na chwilę przeprosić? Widzę, że dzieje się coś, o czym nie wiem. Czy panowie pozwolą, że porozmawiam chwilkę z doktorem Ryanem w cztery oczy?

Powiedzcie, że nie! - zaklinał w duchu Ryan, lecz nie odmawia się takich próśb prezydentowi, toteż po chwili siedział już z nim sam na sam.

- Co pan ukrywa, Ryan? - zapytał prezydent. - Bo wiem, że coś pan ukrywa.

- Owszem, panie prezydencie. Są rzeczy, które ukrywam i będę nadal ukrywał.

Nazwiska naszych ludzi, z CIA i wojska, którzy działali w dobrej wierze, sądząc, że wykonują polecenia pochodzące od najwyższych władz.

Ryan wyjaśniał dalej, ciekaw, co z tego prezydent już wcześniej wiedział. Był

przekonany, że akurat tego nigdy nie sprawdzi. Większość naprawdę ważnych tajemnic Cutter zabrał ze sobą do grobu. Ryan podejrzewał tylko, co się mogło tu wydarzyć, ale... postanowił nie budzić licha. Czy można być powiązany z czymś takim, zadał sobie pytanie,

i nie dać się skorumpować?

- O tym, co zrobił Cutter, nic nie wiedziałem. Przykro mi. Żał mi zwłaszcza tych żołnierzy.

- Udało nam się około połowy ludzi uratować, panie prezydencie. Byłem przy tym.

Tego właśnie nie mogę nikomu wybaczyć. Cutter umyślnie odciął im wsparcie, żeby dać panu polityczną...

- Nigdy nie wydałem takiego polecenia! - krzyknął prezydent.

- A jednak doszło do tego z pańskim przyzwoleniem. - Ryan starał się patrzeć mu prosto w oczy i po chwili wahania to prezydent, a nie on, odwrócił wzrok. - Mój Boże, jak pan mógł do tego dopuścić, panie prezydencie?

- Ludzie domagają się od nas powstrzymania dopływu narkotyków.

- Niech więc pan to zrobi, niech pan robi dokładnie to, co starał się pan zrobić, ale w zgodzie z prawem, na litość boską.

- Nie da się.

- Dlaczego? - zapytał Ryan. - Czy naród amerykański kiedykolwiek sprzeciwił się użyciu siły w celu obrony naszych interesów narodowych?

- Ale tego, cośmy się starali uczynić w tym przypadku, nie można było podać do publicznej wiadomości.

- W takim razie wystarczyło powiadomić Kongres i przeprowadzić tajną operację.

Miał pan częściowe poparcie dla operacji, polityka wcale niekoniecznie weszłaby w paradę, ale łamiąc prawo, panie prezydencie, z kwestii bezpieczeństwa narodowego zrobił pan grę polityczną.

- Ryan, jest pan inteligentny, rzutki i dobry w tym, co pan robi, ale przy tym naiwny.

Jack nie był wcale taki naiwny.

- Co więc każe mi pan robić, panie prezydencie?

- Ile właściwie Kongres powinien wiedzieć?

- Chce pan, bym kłamał dla pana? Powiedział pan, że jestem naiwny. Dwa dni temu na moich rękach umarł żołnierz, sierżant Sił Powietrznych, który osierocił siedmioro dzieci. Proszę mi powiedzieć, czy to oznaka naiwności, że fakt ten zaważył na moim myśleniu?

- Nie może pan tak do mnie mówić.

- Proszę mi wierzyć, że nie znajduję w tym żadnej przyjemności, ale kłamał za pana nie będę.

- Ale chce pan zataić nazwiska ludzi, którzy...

- Którzy wykonywali pańskie rozkazy w dobrej wierze. Tak, panie prezydencie, chcę je zataić.

- Co się stanie z krajem, Jack?

- Zgadzam się, że lepiej uniknąć kolejnego skandalu, ale to już kwestia polityczna. O

tym pan prezydent musi porozmawiać z pańskimi gośćmi z Kongresu. Moim obowiązkiem jest przekazywanie informacji rządowi oraz wykonywanie pewnych zadań dla tegoż rządu. Jestem narzędziem polityki państwa. Tak jak ci żołnierze, którzy zginęli za kraj, panie prezydencie, i którzy mieli prawo oczekiwać, że ich życie będzie miało większą wartość dla rządu, któremu służyli. To przecież byli ludzie, panie prezydencie, w większości młodzi chłopcy, którzy poszli wykonać swoje

zadanie, bo ich kraj - a właściwie pan, panie prezydencie - uważał, że dobrze mu się w ten sposób przysłużą. Nie śniło im się nawet, że mają wrogów w Waszyngtonie. Nie brali takiej możliwości w ogóle w rachubę i dlatego większość z nich zginęła. Wkładając mundur, nasi żołnierze składają wszak przysięgę na miłość i wierność ojczyźnie. Czy nie jest gdzieś napisane, że ojczyzna winna im jest to samo? Nie pierwszy raz coś takiego się wydarzyło, ale przedtem nie brałem w tym udziału i nie mam zamiaru kłamać w tej sprawie, panie prezydencie, żeby chronić pana czy kogoś innego.

- Nie wiedziałem o tym, Jack. Mówię uczciwie, nie wiedziałem.

- Chcę wierzyć i wierzę, że jest pan człowiekiem honoru. Czy to, co pan przed chwilą powiedział, czy to pana usprawiedliwia? - Jack urwał. Milczenie rozmówcy starczyło za pełną odpowiedź.

- Czy chciałby pan spotkać się z kongresmanami, zanim przekażę im informacje?

- Tak. Niech pan poczeka na nas na zewnątrz.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Jack czekał pełen obaw przez godzinę, nim Trent i Fellows wyszli z gabinetu. Pojechali z nim w milczeniu do Langley i wszyscy trzej weszli do gabinetu dyrektora generalnego.

- Panie sędzio - rzekł Trent - wyrządził pan być może największą przysługę krajowi, w pańskiej karierze.

- W tych okolicznościach... - Moore przerwał. - Cóż innego mogłem uczynić?

- Mógł pan zostawić tych żołnierzy na pewną śmierć, mógł pan ostrzec wroga, że wchodzimy do akcji - powiedział Jack. - Gdyby pan tak postąpił, nie byłoby mnie tutaj.

I za to jestem panu wdzięczny, panie sędzio. Mógł pan utrzymywać kłamstwo.

- I żyć z tym? - Moore uśmiechnął się i pokręcił głową.

- A operacje? - zapytał Ryan. Nie wiedział dokładnie, o czym dyskutowano w Gabinetcie Ovalnym, i postanowił nawet nie zgadywać.

- Nigdy nie miały miejsca - odrzekł Fellows. - Z punktu widzenia ustawy o ryzykownych operacjach, postąpił pan jak należy: owszem, dość późno, ale zostaliśmy powiadomieni. Nie potrzebujemy jeszcze jednego skandalu, a wszystko wskazuje na to, że sytuacja się ustabilizuje. Politycznie sprawa jest dość śmierdząca, ale z prawnego punktu widzenia można się uprzeć, że wszystko jest w porządku.

- Najdziwniejsze jest jednak to, że misja się niemal powiodła - zauważył Trent. -

Wasza operacja „Kapar” to istny majstersztyk i mam nadzieję, że będzie kontynuowana.

- Tak. Jako całość operacja była skuteczna - odezwał się po raz pierwszy Ritter. -

Nawet bardzo. Udało nam się przecież doprowadzić do wojny mafijnej w kartelu, której ostatnim epizodem było morderstwo Escobedo, a może nie ostatnim, jeśli wojna nadal się będzie toczyć. Po śmierci tylu kacyków może władze kolumbijskie wezmą się w garść. Potrzebujemy pewnego pola manewru. Nie możemy się wszystkiego pozbawić.

- Zgoda - rzekł Ryan. - Potrzebujemy pola manewru, ale polityki państwa nie uprawia się w taki sposób, do cholery!

- Jack, powiedz mi, gdzie jest granica między dobrem a złem? -zapytał Moore. - Ty tu dziś jesteś ekspertem - dodał bez wyraźnej ironii.

- Podobno żyjemy w kraju demokratycznym. Ludzie mają prawo co nieco wiedzieć, przynajmniej ci oto panowie. - Wskazał na kongresmanów. - Jeżeli już rząd decyduje się zabijać ludzi w obronie interesów państwa lub jego obywateli, nie musi to być od razu morderstwo. Przynajmniej nie zawsze. Nie, nie mam pewności, gdzie przebiega granica. Ale ja wcale nie muszę mieć pewności, bo od tego są inni ludzie.

- Cóż, przyjdzie styczeń i to już nie będziemy my -zauważył Moore. - Zgadzą się więc, że sprawa zostaje między nami. Żadnych politycznych rozgrywek, tak?

Trudno szukać bardziej odległych sobie politycznie ludzi niż Trent i Fellows, a jednak homoseksualista z Nowej Anglii i konserwatywny mormon z Arizony zgodnie skinęli głowami.

- Nie, ta sprawa nie nadaje się do politycznych rozgrywek - rzekł Trent.

- Kraj by na tym ucierpiał - dorzucił Fellows.

- I to, cośmy właśnie zrobili... - mruknął Ryan. - Cokolwiek to było, do diabła...

- Pan ma czyste ręce - rzekł Trent. - To reszta z nas podjęła decyzję.

- Tak - burknął Jack. - W końcu ja też wkrótce polecę.

- Tak pan sądzi? - zapytał Fellows.

- Nie byłbym taki pewny, doktorze Ryan. Nie wiemy, kogo Fowler mianuje, zapewne jakiegoś politycznie pewnego prawnika, do którego ma zaufanie. Znam nazwiska na liście - powiedział Trent.

- Mnie tam na pewno nie ma. Fowler mnie nie lubi - rzekł Ryan.

- Wcale nie musi pana lubić, a pan wcale nie musi być dyrektorem. Ale zostanie pan - oznajmił mu Trent. Może jako zastępca dyrektora, dodał w myślach.

- Zobacz się - rzekł Fellows. - Diabli wiedzą, jak sprawy potoczą się w listopadzie.

Fowler może jeszcze wszystko spieprzyć.

- Jasne, Sam - odparł Trent. - Cuda się zdarzają.

- Zostaliśmy jeszcze z jednym asem w ręku - wtrącił Ritter.

- Rozmawiałem już na ten temat z Billem Shawem - rzekł Moore. - Zabawna rzecz, ale jedynym przestępstwem, jakie facet popełnił, jest nielegalne przekroczenie granicy naszego państwa. Żadna informacja, którą od niej wydobył, nie była formalnie tajemnicą państwową. Zdziwiający, prawda?

Ryan pokręcił głową i wyszedł wcześniej z pracy. Był umówiony ze swoim adwokatem, który miał niebawem zająć się ustanowieniem funduszu na wykształcenie siedmiorga dzieci na Florydzie.

Żołnierzy piechoty skierowano na odprawę do ośrodka operacji specjalnych w Fort MacDill. Dowiedzieli się tam, że operacja w pełni się powiodła, pod przysięgą zobowiązali się do chowania tajemnicy, dostali awanse i zostali oddelegowani do nowych jednostek. Poza jednym wyjątkiem.

- Chavez?-zawołał jakiś głos.

- Tak, panie Clark.

- Chcesz, to postawię ci obiad.

- A jest tu w okolicy dobra meksykańska restauracja?

- Może uda mi się coś znaleźć.

- Z jakiej okazji?

- Pogadajmy o robocie - rzekł Clark. - Zwalnia się u mnie etat. Za lepszą forszę niż to, co teraz bierzesz. Tylko że musiałbyś wrócić do szkoły na dwa lata.

- Myślałem o tym - odparł Chavez. Wydawało mu się, że jest dobrym materiałem na oficera. Gdyby był dowódcą zamiast Ramireza, może... a może i nie. Ale chciał się sprawdzić.

- Dobry jesteś, chłopcze. Chcę, żebyś ze mną pracował. Chavez zastanowił się. Tak czy owak, obiad za darmo warto zjeść.

Kapitana Bronco Wintersa oddelegowano do dywizjonu myśliwców F-15 w Niemczech, gdzie od razu się wyróżnił i został dowódcą eskadry. Skutecznie już przepędził demony śmierci matki. Winters nie grzebał już w przeszłości. Dostał

zadanie i wykonał je.

Po upalnym i lepkiem lecie nastąpiła w Waszyngtonie zimna jesienna szaruga. Setki polityków

rozjechało się po kraju przed wyborami

prezydenckimi, które tego listopada miały również do zaoferowania wszystkie mandaty w Izbie Reprezentantów i jedną trzecią w Senacie oraz setki mianowanych stanowisk w administracji rządowej. Wczesną jesienią FBI zdekonspirowało kilka kubańskich siatek wywiadowczych, co jednak, o dziwo, nie miało żadnego znaczenia w kampanii. Jeżeli aresztowanie siatki narkotykowej traktowano jako sukces policji, to aresztowanie siatki szpiegowskiej przyjmowano krytycznie z powodu samego istnienia takiej siatki. Nikomu nie dało to punktów politycznych, oprócz środowiska kubańskich emigrantów, których głosy i tak już prawdopodobnie zostały przesądzone, gdyż Fowler zapowiadał otwarcie dialogu z tą samą Kubą, z której uciekli. Prezydent odzyskał prymat po własnej konwencji, lecz prowadził niemrawą kampanię i zwolnił

dwóch czołowych doradców politycznych. Na wyniku zaważyła jednak głównie powszechna niemal chęć zmiany i choć odległość między zawodnikami na mecie była niewielka, Fowler wygrał wybory ledwie dwuprocentową przewagą ogólnej liczby głosów. Niektórzy twierdzili, że to daje mu mandat wyborców, inni uważali, że żaden z kandydatów nie pokazał niczego szczególnego w kampanii. Ten drugi pogląd bliższy był prawdy, pomyślał Ryan, kiedy już było po wszystkim.

W całym mieście i okolicach zwolnieni z mianowanych stanowisk urzędnicy szykowali się do powrotu do domu - gdziekolwiek ten dom się znajdował - lub do przeprowadzki do kancelarii adwokackich, żeby tylko pozostać na terenie stolicy. Kongres zbytnio się nie zmienił, ale też rzadko bywało, aby całkowicie się zmieniał.

Ryan został w swoim biurze, ciekaw, czy utrzyma się na stanowisku ZDW. Było jeszcze za wcześnie na ostateczne wyroki. Ale jedno wiedział: prezydent był wciąż prezydentem i człowiekiem honoru, obojętnie jakie popełnił błędy. Zanim przekaże urząd swojemu następcy, zastosuje prawo łaski wobec tych, którym się to należało.

Wszystko zostanie im wpisane do kartotek, lecz trudno oczekiwać, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę, a kiedy już szczegóły wyjaśni się Fowlerowi - miał się tym zająć Trent - na rehabilitację nie zwróci nigdy uwagi nawet pies z kulawą nogą.

W sobotę po wyborach Dan Murray pojechał z Moirą Wolfe do bazy Sił Powietrznych Andrews, gdzie czekał już na nich odrzutowiec. Po ponadtrzygodzinnym locie wylądowali w Guantanamo. Ta pozostałość po wojnie hiszpańsko-amerykańskiej, w wojskowym żargonie zwana Gitmo, jest jedyną amerykańską bazą wojskową na komunistycznym terytorium, cierniem w boku Fidela Castro, uwierającym go tak samo, jak on uwiera swego olbrzymiego sąsiada zza Cieśniny Florydzkiej.

Moira świetnie radziła sobie w Departamencie Rolnictwa jako szefowa sekretariatu jednego z dyrektorów. Trochę schudła, ale Murray się tym nie przejmował. Zaczęła uprawiać chód dla kondycji i doskonale spisywała się na sesjach z psychologiem. Była ostatnią ofiarą, miał więc nadzieję, że ta podróż przyniesie jej ulgę.

A więc nadszedł ten dzień, pomyślał Cortez. Był zaskoczony i rozczarowany tym, co go spotkało, ale zdążył już pogodzić się z losem. Grał w wielkim stylu i przegrał w wielkim stylu. Bał się swojego losu, lecz nie okazywał tego, nie przed Amerykanami.

Wsadzili go na tylne siedzenie limuzyny i zawieźli pod bramę. Zauważył inny samochód z przodu, ale nie zawracał sobie nim głowy.

I oto kres podróży, wysoki płot z drutu kolczastego. Po jednej stronie strzeżony przez amerykańskich marines w panterkach, a po drugiej przez Kubańczyków w mundurach polowych. Może jeszcze jest szansa, mała szansa, pomyślał Cortez, wykręcić się z tego odpowiednią gadką. Limuzyna zatrzymała się pięćdziesiąt metrów od bramy. Kaprał po jego lewej stronie wyciągnął go z auta i zdjął mu kajdanki, żeby nie wziął ich ze sobą i nie wzbogacił w ten sposób komunistycznego państwa. Takie bzdury im w głowie, pomyślał Felix.

- No, chodź, Pancho - powiedział czarnoskóry kaprał. - Czas wrócić do domciu.

Mimo że zdjęto mu kajdanki, dwóch marines musiało chwycić go mocno pod ramiona i prowadzić do rodzinnego kraju. Przy bramie po drugiej stronie zobaczył czekających na niego dwóch oficerów, na razie bez oznak wrogości. Prawdopodobnie obejmą go po bratersku, gdy przejdzie przez granicę, co o niczym nie będzie świadczyło. Tak czy owak, Cortez postanowił przyjąć wyzwanie losu jak mężczyzna. Wyprostował się i uśmiechnął do swych współziomków, jak do oczekującej na lotnisku rodziny.

- Cortez! - zawołał męski głos.

Wyszli z budki strażniczej tuż przy bramie. Mężczyzny nie znał, ale kobieta...

Felix zatrzymał się i szarpnięty przez idących dalej marines omal się nie przewrócił.

Stała po prostu i patrzyła na niego. Nie powiedziała ani słowa. Cortez nie wiedział, jak zareagować. Uśmiech zniknął mu z twarzy. Pod jej spojrzeniem skurczył się w sobie.

Nie chciał przecież jej zranić. Wykorzystać, owszem, ale nigdy przecież...

- Chodź, chodź, Pancho - ponaglał kaprał i popychał go do przodu. Byli już przed samą bramą.

- Ach, byłbym zapomniał, masz, to twoje, Pancho - burknął kaprał, wpychając mu za pas wideokasetę. - Nie ma to jak w domu, zasrańcu. - Ostatnie pchnięcie.

- Witaj w domu, pułkowniku - rzekł starszy z dwóch Kubańczyków. Objął swego dawnego towarzysza i szepnął mu do ucha: - Odpowiesz za wszystko!

Ale zanim go odprowadzili, Felix obejrzał się po raz ostatni i zobaczył Moirę, która wciąż stała nieruchomo u boku nieznanego mu mężczyzny. Ostatnią myślą, jaka przysłała mu do głowy, gdy się odwracał, było to, że wreszcie zrozumiała: najmocniejsze uczucia wyraża milczenie.

KONIEC

Podziękowania

Jak zawsze, podziękowania należą się wielu osobom. Wielkiemu Geraldo za przyjaźń; Russowi za drugą ratę mądrych rad i zdumiewający zakres wiedzy; Carlowi i Colinowi, którzy nie mieli pojęcia, co rozpoczynają ale przecież i ja nie wiedziałem; Billowi za mądrość; Richowi za rozważania nad tym, co się naprawdę liczy; Timowi, Ninja Sześć, za więcej niż kilka rad na temat tajników walki w terenie; Edowi, dowódcy wojowników i Patricji, która wymyśliła kapuścianą głowę, za ujmującą gościnność; Pete'owi, byłemu dyrektorowi najbardziej ekscytującej szkoły (świadectwem ukończenia jest życie); Patowi, który uczy tego samego przedmiotu w innej szkole; Harry'emu, słuchaczowi, za szalenie poważny brak szacunku; W.H., który daje z siebie wszystko w beznadziejnej, niewdzięcznej pracy; oraz, ma się rozumieć, kilkunastu oficerom, którzy mogliby nauczyć paru rzeczy astronautów; i wielu, wielu innym - niech Ameryka służy Wam tak wiernie, jak Wy jej służycie.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40

13, 620 81 62

Warszawa 2003

338 339